

ARCHIWUM EMIGRACJI

W poprzednich zeszytach m.in.:

Czesław Miłosz, *Bieliński i jednorożec*

Jan K. Kapera, *Od Guggenheim Museum do Currier Gallery. Jan Lebenstein — Kronika Amerykańska*

Mirosław A. Supruniuk, *Czesław Miłosz i Kongres Wolności Kultury*

Dobrochna Ratajczakowa, *O teatrze Bronisława Przyłuskiego*

Ryszard Löw, *Literatura polska w przekładach hebrajskich*

Natan Gross, *W drodze i po drodze — polskie korzenie hebrajskiego kabaretu*

Wojciech Ligęza, *Metafory Moralisty — o poezji Tadeusza Sułkowskiego*

Czesław Miłosz, *Wielkie pokuszenie. Dramat intelektualistów w krajach demokracji ludowej*

Tymon Terlecki, *Głos diabelskiego adwokata (w sprawie literatury na emigracji)*

Listy Andrzeja Bobkowskiego i Konstantego A. Jeleńskiego do Mieczysława Grydzewskiego, Jerzego Kosińskiego do Józefa Chałasińskiego, Marii Wertenstein do Kazimiery Kott, Jerzego Stempowskiego do Janiny i Wacława Kościańskich, Witolda Gombrowicza do Tymona Terleckiego oraz korespondencja Michała Chmielowca z Henrykiem Elzenbergiem i listy różnych osób do Marii Modzelewskiej

Rozmowy z Zygmuntem Michałowskim, Stanisławem Frenklem, Józefem Czapskim, Witoldem Gombrowiczem, Janem Nowakiem-Jeziorańskim, Czesławem Miłoszem, Bolesławem Taborskim, Jerzym Giedroyciem, Wacławem Iwaniukiem i Kazimierzem Wierzyńskim

Wspomnienia m.in. o: Tamarze Karren-Zagórskiej, Tadeuszu Nowakowskim, Marcie Reszczyńskiej-Stypińskiej, Januszu Kowalewskim, Tadeuszu Wittlinie, Zdzisławie Broncelu, Reginie Kowalewskiej, Kazimierzu Brandysie, Stanisławie Kotwiczu, Annie Bogusławskiej, Janie Kottcie, Piotrze Łabużku, Edmundzie Neusteinie, Tadeuszu Janie Nowackim

Redakcja:

Janusz Kryszak (red. naczelny), Mirosław Adam Supruniuk (z-ca red. naczelnego)

Jarosław Koźmiński, Wacław Lewandowski, Wojciech Ligęza, Krzysztof Pomian, Dobrochna Ratajczakowa, Anna Supruniuk

ARCHIWUM EMIGRACJI

STUDIA * SZKICE * DOKUMENTY

ROK 2002/2003

ZESZYT 5/6

Zeszyt poświęcony
Józefowi Mackiewiczowi

UNIwersytet MIKOŁAJA KOPERNIKA
TORUŃ 2003

ARCHIWUM EMIGRACJI
ŹRÓDŁA I MATERIAŁY DO DZIEJÓW EMIGRACJI POLSKIEJ PO 1939 ROKU

XIV/XV

Pod redakcją
Stefanii Kossowskiej i Mirosława A. Supruniuka

Projekt okładki: Mirosław A. Supruniuk
Rysunek na okładce: Stanisław Frenkiel

Artykuły przeznaczone do kolejnych numerów pisma powinny być przesyłane w dwóch egzemplarzach wraz z krótkim streszczeniem (w miarę możliwości w j. angielskim) (oraz na HD) na adres:
Archiwum Emigracji, Biblioteka UMK, Toruń 87-100, ul. Gagarina 13, p. 225, Poland
tel. (48-56) 611-43-91, 611-43-98, tel./fax (48-56) 652-04-19
e-mail Archiwum@bu.uni.torun.pl
http://www.bu.uni.torun.pl/Archiwum_Emigracji

Kolegium Doradcze:

Zofia Bobowicz (Francja), Anna Frajlich (USA), Maja E. Cybulska (Anglia),
Stefania Kossowska (Anglia), Ryszard Lów (Izrael), Krzysztof Muszkowski (Anglia),
Lech Paszkowski (Australia), Jerzy Pietrkiewicz (Anglia)

© Copyright by Archiwum Emigracji
© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2003

ISBN 83-231-1549-4

Skład: Joanna Krasnodębska
Książki serii „Archiwum Emigracji” sprzedaje Księgarnia Uniwersytecka
Toruń 87-100, ul. Reja 25
tel./fax (056) 6114298; e-mail ksiazki@cc.uni.torun.pl
Druk i oprawa: Zakład Poligraficzno-Wydawniczy POZKAL, Inowrocław, ul. Cegielna 10/12

SPIS TREŚCI

STUDIA — SZKICE

Krzysztof Stachewicz, <i>Stanisława Kościalkowskiego droga do prawdy. Refleksje inspirowane książką „Via lucis”</i>	7
Andrzej Karcz, „Znosić wygnanie w tym pięknym, ...ale jakże obcym kraju”. <i>Lata amerykańskie Manfreda Kridla</i>	23
Beata Tarnowska, „ <i>Et in Arcadia Ego</i> ”. <i>Obraz i słowo w najnowszej poezji Andrzeja Buszy</i>	39
Jerzy Malinowski, <i>O malarstwie Leona Weissberga</i>	57

KORESPONDENCJE — DOKUMENTY — ROZMOWY

Zbigniew Kratochwil, <i>Twórczość Mariana Kratochwila</i>	63
Aleksander Tansman, „ <i>Trzykrotnie ucałowany przez muzę</i> ”. <i>Rozmowa Jerzego Tuszewskiego</i>	73
Andrzej S. Kowalczyk, <i>Jerzy Stempowski — Iwan Senkiw: dzieje przyjaźni</i>	85
Anna Mieszkowska, <i>Listy do Pani Hanki</i>	119
Zbigniew Girzyński, <i>Jerzy Giedroyc a „przełom październikowy” w Polsce</i>	143

JÓZEF MACKIEWICZ — SZKICE I WSPOMNIENIA

Wacław Lewandowski, <i>Setna rocznica urodzin Józefa Mackiewicza</i>	155
Czesław Miłosz, <i>Głos wiernego czytelnika</i>	157
Wojciech Chudy, <i>Józefa Mackiewicza filozofia człowieka i polityki</i>	160
Tomasz Mianowicz, <i>Józef Mackiewicz w Niemczech: pisarz jeszcze nie znany?</i>	176
Lajos Pálfalvi, <i>Recepcja Józefa Mackiewicza na Węgrzech</i>	190
Maria Zadencka, <i>Wojna i polityka w prozie Józefa Mackiewicza</i>	194
Reinhard Veser, <i>Znaki przestrzeni jako środki dyskursu ideologicznego w „Drodze donikąd”</i>	204
Aleksander Fiut, <i>Spotkanie z niepojętym (Kilka uwag o „Drodze donikąd”)</i>	215
Jan Zieliński, <i>Sprawy i sprawy Miasojedowów</i>	224
Waldemar Jakubowski, „ <i>Kontra</i> ” <i>Józefa Mackiewicza. O postaciach i technikach powieściowych</i>	233
Jerzy R. Krzyżanowski, „ <i>Nie trzeba głośno mówić</i> ” — <i>powieść historyczna czy polityczna?</i>	249
Natan Gross, <i>Józef Mackiewicz — od strony Ponar</i>	256
Zenowiusz Ponarski, <i>Józef Mackiewicz — fakty i mity</i>	273
Stefania Kossowska, <i>Józef Mackiewicz w jury nagrody „Wiadomości”</i>	302
Jadwiga Maurer, <i>Dzień z Józefem Mackiewiczem</i>	307
Stanisław Wujastyk, <i>Józef Mackiewicz</i>	311

WSPOMNIENIA — BIOGRAFIE

Ryszard Löw, <i>Józefa Baua znaki obecności. Józef Bau (1920–2002)</i>	317
Ryszard Löw, <i>Yoram Bronowski (1948–2001)</i>	321
Mirosław A. Supruniuk, <i>Janusz Eichler z Argentyny. Janusz (Juan) Eichler (1923–2002)</i>	324
Artur Nowak, <i>Droga Pani Lucjo. Lucja Gliksman (1913–2003)</i>	331
Ryszard Löw, <i>O Pani Lucji, której już nie ma. Lucja Gliksman (1913–2003)</i>	335

Krystyna Eichler, <i>Michał Kobielał — Wilno, 1940 r. Zygmunt Fijałkowski (1920–ok. 1983)</i>	338
Józef Lewandowski, <i>Teresa Lewandowska (1928–1983)</i>	340
Florian Śmieja, <i>Fragmety trudnej korespondencji. Zygmunt Ławrynowicz (1925–1987)</i>	351
Janusz Kryszak, <i>Adam Marian Tomaszewski (1918–2002)</i>	358
Eugeniusz S. Kruszewski, <i>Kali czyli magia pędzla. Hanna Gordziatowska-Weynerowska (1919–2000)</i>	360
Krystyna Eichler, <i>Polscy studenci w Libanie 1942–1952</i>	363
Ryszard Demel, <i>Zapiski studenta rozbrojonego</i>	366

RECENZJE — OMÓWIENIA — POLEMIKI

Janusz Kryszak, <i>Antologia Bogdana Czaykowskiego (Antologia poezji polskiej na obczyźnie 1939–1999, wyboru dokonał, oprac. i napisał przedmowę Bogdan Czaykowski. Warszawa-Toronto 2002)</i>	381
Wacław Lewandowski, <i>Kto (na Boga!) jest „księciem poetów”?</i> (<i>Antologia poezji polskiej na obczyźnie 1939–1999, wyboru dokonał, oprac. i napisał przedmowę Bogdan Czaykowski. Warszawa-Toronto 2002</i>).....	384
Karolina Famulska, <i>Pegaz jako koń polski</i> (Wojciech Wierzewski, <i>Pegaz za Oceanem. Toruń 2001</i>).....	386
Rafał Moczkoan, <i>Między kulturami — polscy twórcy w Ameryce (Życie w przekładzie, pod red. H. Stephan. Kraków 2001)</i>	389
Piotr Rambowicz, <i>Przemilczana książka</i> (Michał Bąkowski, <i>Votum separatum. Londyn 2000</i>).....	391
Liliana Rydzyńska, <i>Profesjonalna i moralna odpowiedzialność biografów</i> (Bogumiła Żongołłowicz, <i>Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów. Kraków 1999</i>).....	395
Ewelina Godlewska, <i>Zjednoczenie Europy w „Kulturze”</i> (Iwona Hofman, <i>Zjednoczona Europa w publicystyce paryskiej „Kultury”. Lublin 2001</i>).....	399

STANISŁAWA KOŚCIAŁKOWSKIEGO DROGA DO PRAWDY REFLEKSJE INSPIROWANE KSIĄŻKĄ *VIA LUCIS*

Krzysztof STACHEWICZ (Poznań)

Problemy światopoglądowe są zapewne równie dawne, jak początki istnienia człowieka. Pytania o pochodzenie życia, istotę człowieka, sens jego egzystencji, istnienie Boga i Jego stosunek do świata pojawiają się w kulturze europejskiej na przestrzeni wszystkich wieków, stanowiąc poniekąd jej „nerw” problemowy. Pytania te są obecne w literaturze i sztuce, filozofii i teologii, wreszcie w życiu ludzi, próbujących zmagać się z nimi niejako na własny rachunek. Niewielka książka Stanisława Kościałkowskiego wydana na emigracji i zatytułowana *Via lucis*¹ ma charakter osobistych zmagañ jej autora z fundamentalną problematyką światopoglądową. Autor nie był zawodowym filozofem ani teologiem i chociaż przez stronicę jego książki przewijają się różni myśliciele (Platon, Pascal, Nietzsche, Kant, Brzozowski etc.), pisarze i poeci (Mickiewicz, Krasiński, Prus, Konopnicka, Fredro, Norwid, Żeromski, Mauriac etc.), czy twórcy systemów religijnych, jak Konfucjusz (dodajmy — wszystkie cytaty autor pisał z pamięci!), z którymi dyskutuje i często polemizuje, to jednak nie jest to rozprawa z dziedziny filozofii pisana ze wszystkimi rygorami metodologicznymi obowiązującymi w przypadku prac naukowych. *Via lucis* to raczej próba przemyślenia fundamentów światopoglądu wyznawanego przez autora z ogromnym ładunkiem — w dobrym tego słowa znaczeniu — subiektywizmu, a momentami wyznań osobistych. Wyznawane idee miały dla autora tej książeczki ogromne znaczenie praktyczne, egzystencjalne. Dlatego nim przejdziemy do kwestii za-

¹ S. Kościałkowski, *Via lucis*. Londyn 1963.

sadniczych tego szkicu warto przyrzeć się postaci Stanisława Kościałkowskiego, jego drodze życiowej i naukowej².

I

Stanisław Julian Zyndram-Kościałkowski urodził się 24 października 1881 r. w Grodnie w rodzinie lekarza, aktywnego działacza powstania styczniowego i zesańca syberyjskiego. Po uzyskaniu świadectwa dojrzałości w gimnazjum rosyjskim w Grodnie rozpoczął studia historyczne w Warszawie, aby po roku kontynuować je na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Oprócz historii studiował też literaturę polską (jako przedmiot poboczny). Tu na podstawie rozprawy pt. „Rola polityczna Antoniego Tyzenhauza, podskarbiego litewskiego za Stanisława Augusta”, napisanej pod kierunkiem wybitnego polskiego historyka, prof. Wincentego Zakrzewskiego, uzyskał tytuł doktora (1905). W roku następnym przeniósł się do Wilna, gdzie z wielką pasją podjął obowiązki nauczyciela historii i języka polskiego w tamtejszym szkolnictwie. Po wybuchu I wojny światowej energicznie włączył się w organizowanie polskiego szkolnictwa na Wileńszczyźnie, będąc od 1915 r. członkiem tajnego Komitetu Edukacyjnego. Leżały mu na sercu losy szkół wszystkich szczebli. Był dyrektorem Gimnazjum im. króla Zygmunta Augusta, a jednocześnie współtworzył Uniwersytet Stefana Batorego w Wilnie. W roku 1921 został powołany na stanowisko zastępcy profesora tejże uczelni, a w dwa lata później profesora. W roku 1935 został profesorem zwyczajnym historii. Dał się poznać jako wybitny pedagog prowadzący na uniwersytecie słynne proseminarium, wdrażające studentów w metodologiczne arkana badań historycznych. Owocem tych zajęć była jego późniejsza książka pt. *Historyka*³, będąca doskonałym nowoczesnym wprowadzeniem w warsztat historyczny. Powszechnie ceniono jego jasne i uwzględniające najnowsze osiągnięcia naukowe wykłady. Wygłaszał je nie tylko w trybie uniwersyteckim, ale także — w wersji popularnej — dla słuchaczy radia czy dla więźniów (prowadził je przez 19 lat)⁴. Wykształcił wielu wybitnych historyków. Wybuch wojny w 1939 r. przerwał działalność wileńskiej uczelni i prof. Kościałkowski przeniósł zajęcia do swego domu, aktywnie działając też w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, którego był ostatnim prezesem od 1938 r., czyli od śmierci Mariana Zdziechowskiego, wielkiego polskiego filozofa. 14 czerwca 1941 r. został aresztowany i deportowany w głąb Rosji na północny Ural⁵. Wraz z nim aresztowano też jego żonę, Eugenię z Zelskich, z którą go jednak rozdzielono w transportach i utracił z nią na długie miesiące jakikolwiek kontakt. O harcie ducha Kościałkowskiego i jego osobowości świadczy choćby jeden fakt związany z aresztowaniem przez NKWD. Kiedy przyszli po niego do siedziby Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Kościałkowski poprosił o pół godziny, aby móc dokończyć roczne sprawoz-

² Por.: L. Żytkowicz, *Kościałkowski Stanisław*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny*, t. 14. Wrocław-Warszawa-Kraków 1968–1969 s. 394–396; B. Podoski, *Prof. Stanisław Kościałkowski*, [w:] S. Kościałkowski, *Antoni Tyzenhauz*, t. 1. Londyn 1970 s. 7–10; S. Legeżyński, *S. Kościałkowski*, [w:] *Literatura polska na obczyźnie 1940–1960*, t. 2, red. T. Terlecki. Londyn 1965 s. 617–618; J. Długosz, *Stanisław Kościałkowski (1881–1960), uczonego i patriotę*, [w:] *Wilno-Wileńszczyzna jako krajobraz i środowisko wielu kultur*, t. 3. Białystok 1992 s. 59–70; *Słownik historyków polskich*. Warszawa 1994 s. 251–252.

³ S. Kościałkowski, *Historyka. Wstęp do studiów historycznych*. Londyn 1954.

⁴ Por.: J. Długosz, *Stanisław Kościałkowski...*, s. 60.

⁵ Być może, jak przypuszczał sam Kościałkowski, aresztowano go na skutek pomyłki. Prawdopodobnie utożsamiono go z wileńskim działaczem POW majorem Marianem Kościałkowskim (S. Kościałkowski, *Raptularz*. Londyn 1973 s. 124–125 i 142).

danie z działalności Towarzystwa, które właśnie przygotowywał⁶. Wywózka pozbawiła Kościałkowskiego wolności, owego „najśodszeo daru niebios”⁷. W styczniu 1942 r. został zwolniony i przebywał w Kujbyszewie, Kitabie i Samarkandzie. W sierpniu opuścił Rosję sowiecką i udał się do Teheranu. Kierował tu Towarzystwem Studiów Irańskich oraz Polsko-Irańskim Uniwersytetem Ludowym. Aktywną działalność organizacyjną i kulturalno-oświatową rozwinął też w Libanie (Bejrut), dokąd przeniósł się w 1945 r. Pięć lat później wyjechał z żoną do Anglii. Tu podjął pracę nauczyciela w żeńskim gimnazjum prowadzonym przez nazaretanki w Pitsford Hall, koło Northampton w środkowej Anglii. Był też wykładowcą Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie w Londynie. Zmarł w 1960 r. w Pitsford. Tak charakteryzował go Bohdan Podoski:

Miał w sobie ogromne zasoby duchowe, pragnął być każdemu pomocnym, promieniowała zeń ogromna dobroć, która była zasadniczą cechą jego charakteru. Nie zasklepiął się w swych pracach naukowych. Żył pełnią życia narodowego; był patriotą w najszlachetniejszym tego słowa rozumieniu; był chrześcijaninem w najgłębszym tego wyrazu znaczeniu⁸.

Profesor Kościałkowski pozostawił po sobie ogromną spuściznę naukową, głównie z zakresu historii⁹. Uderzająca jest też rozpiętość tematyczna jego prac. Zajmował się historią gospodarczą Litwy (np. *Ze studiów nad dziejami ekonomii królewskich na Litwie*, 1911), problemami stosunków polsko-irańskich (*L'Iran et la Pologne à travers les siècles*, 1943), polsko-libańskich (*Polacy a Liban i Syria w toku dziejowym*, 1949), zbierał i zestawiał polonica libańskie. Był autorem rozmaitych syntez historii Polski o charakterze podręcznikowym (np. *Tysiąc lat historii Polski w zarysie*, 1944; *Poznajmy naszą przeszłość*, 1988). Interesowały go też problemy upadku Konstantynopola (*Zdobycie Konstantynopola przez Turków w 1453 r. i upadek Cesarstwa*) czy ugody hadziackiej (*Ugoda hadziacka z 1658 r.*, 1958). Z okazji 75. rocznicy urodzin wydano w Londynie księgę pamiątkową ku jego czci zatytułowaną *Studia i szkice przygodne z historii i z jej pogranicza z literaturą*. Kościałkowski parał się też biografistyką, by wymienić tu jego książkę poświęconą postaci arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego, metropolity wileńskiego, jezuitę Maksymilianowi Ryłło — założycielowi uniwersytetu francuskiego w Bejrucie, Aleksandrowi Zdanowiczowi czy Marianowi Zdziechowskiemu, z którym przez lata współpracował w wileńskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Zajmował się też edytorstwem, czego owocem było wydanie pamiętników Jakuba Gieysztorza czy aktów cechów wileńskich. *Opus vitae* S. Kościałkowskiego było poświęcone postaci Antoniego Tyzenhauza, podskarbiego litewskiego z czasów Stanisława Augusta. Nad tą monografią pracował od 1904 r. przez 35 lat. Jednak po jej pierwszym wydaniu nadal ją udoskonalął. W wersji ostatecznej ukazała się w dwutomowej edycji w latach 1970–1971 staraniem Lidii Ciołkoszowej i żony autora. Monografia jest poświęcona stosunkom wewnętrznym, przede wszystkim gospodarczym, w Wielkim Księstwie Litewskim w drugiej połowie XVIII wieku.

Stanisław Kościałkowski był gorliwym katolikiem, a jednak dalekim od taniej dewocji i przywiązaniem do ideałów tolerancji, był wielkim patriotą, nie mającym jednak nic wspólnego z nacjonalizmem i szowinizmem. Jego pracowite życie cechowała pogoda ducha, konsekwencja w wyborach moralnych, niezależnienie się od losu, rzetelność naukowa i wiara w moc dobra. Dzięki temu dorobek jego życia jest tak znaczący i wielo-

⁶ Tamże, s. 13.

⁷ Tamże, s. 12.

⁸ B. Podoski, *Prof. Stanisław Kościałkowski...*, s. 10.

⁹ Dzięki inicjatywie wdowy po S. Kościałkowskim bogate archiwum jego pism stworzono w Bibliotece Narodowej w Warszawie.

płaszczynowy. Wiara w moc kultury narodowej napędzała wytężoną pracę organiczną Kościałkowskiego nad budowaniem podstaw edukacji i nauki polskiej. Swoim ideałom pozostał wierny do końca, włączając się we wszelkie możliwe inicjatywy mające na celu podnoszenie świadomości Polaków czy to w kraju czy na obczyźnie.

II

Prawda stanowi w życiu człowieka wartość najbardziej fundamentalną. Poza nią człowiek nie jest w stanie żyć, odnaleźć jakichkolwiek ideałów, drogowskazów, nie jest w stanie właściwie „począć samego siebie” (S. Kierkegaard). Poza prawdą panuje całkowity nihilizm, absolutna pustka. Dlatego człowiek walczy o prawdę często za cenę swego życia. Cóż bowiem jest warte życie bez prawdy? Stanisław Kościałkowski był świadomy doniosłości tej wartości tak dla życia narodu, każdego człowieka, jak i własnej egzystencji. Silnie zakorzeniony w ideałach i wartościach, które uznał za prawdziwe, bohatersko stawiał czoła tragediom osobistym i dramatom ojczyzny, których czas dziejowy mu nie szczędził. Aresztowanie i wywózka na Sybir, rozstanie z ukochaną żoną, tułaczka po świecie były dla Kościałkowskiego swoistą Jaspersowską sytuacją graniczną, skłaniającą do refleksji nad fundamentami swego światopoglądu, nad rudymentami aksjologii, która kieruje ludzkimi wyborami. Do tej pory wszystko to wydawało się oczywiste, normalne, oswojone i jedynie możliwe. Teraz, być może, Kościałkowski odczuł nagłą potrzebę refleksji nad tym, co nieustannie jakoś mu towarzyszyło, ale niekoniecznie wymagało racjonalnego namysłu, swoistego usprawiedliwienia przed samym sobą. Reflektując nad fundamentalnymi w życiu człowieka kwestiami być może chciał się jeszcze bardziej zakorzenić w tym, w co zawsze wierzył, a co było w tym ciężkim czasie na każdym kroku gwałcone przez otoczenie bliższe i dalsze. Owocem tego trudu jest książka *Via lucis*, w której autor postanowił podzielić się z czytelnikami swymi refleksjami zapoczątkowanymi w północno-uralskiej tajdze i kontynuowanymi w Teheranie i Bejrucie. W słowie wstępnym tak mówił: „Pisanie tych uwag odrywało myśl moją od smutnej rzeczywistości, dawało mi chwile wytchnienia i zapomnienia”¹⁰. Dawało pewnie poczucie, że rzeczywistość łagrowa jest jakimś pozorem, czymś, co na dłuższą metę nie ma znaczenia, jakąś fluktuacją dziejową, która minie i obróci się w popiół. Pozostanie natomiast Prawda, sponiewierana i na różne sposoby niszczone w złu wojny wywołanej przez dwa totalitarne systemy oparte na fałszu. Kościałkowski przyjmuje jedność, wieczność prawdy i jej niezależność od podmiotu. Człowiek prawdę odkrywa, a nie tworzy. Ona istnieje niezależnie od niego. Podstawowym obowiązkiem człowieka jest poszukiwanie prawdy: w nauce na drodze wątpienia, w religii na drodze wiary. Kościałkowski jest świadomy, że poszukiwanie prawdy jest zawsze *in fieri*, że nie odnalazł całej prawdy¹¹. Píše na ten temat współczesny filozof:

Taka jest kondycja człowieka, że zawsze odnajduje prawdę tylko w niepełnej i w niedoskonałej postaci, tylko w części i fragmentarycznie¹².

Dlatego właśnie Kościałkowski nie chciał być nauczycielem prawdy, lecz jej świadkiem na miarę własnego odczytania i rozumienia jej istoty. Nie cechowała go częsta wśród intelektualistów świadomość „posiadania” prawdy. On wiedział, że prawdą się

¹⁰ S. Kościałkowski, *Via lucis*, s. 3.

¹¹ Tamże: „Bynajmniej zaś i ani trochę rozważania te nie roszczą sobie pretensji do tego, że odnalazły już, że odszukały prawdę, i bynajmniej nie twierdzą, że tak jest, a nie jest inaczej”.

¹² A. Siemianowski, *Człowiek i prawda*. Poznań 1986 s. 260.

żyje, a nie posiada. Jako historyk musiał być świadomy ile zła spływało na ludzkość za sprawą „posiadaczy” prawdy. Swoista synteza życia i poglądów Kościałkowskiego skłania do zatrzymania się nad jego tekstem z pieczołowitą uwagą. Niewątpliwie jego refleksje nad fundamentami ludzkiego bycia w świecie zasługują na to.

Kościałkowski rozpoczyna swą drogę ku „światłu prawdy” od konfrontacji dwóch światopoglądów: materialistycznego i spirytualistycznego. Pierwszy sprowadza całą rzeczywistość do materii. Wszystko, co jest albo jest materią albo stanowi epifenomen materii. Nasz autor widzi pozytywne zmiany zachodzące w materializmie na skutek wypierania we współczesnej fizyce pojęcia materii przez pojęcie energii, co prowadzi do swoistej dematerializacji materii. Być może — zastanawia się — jest to droga nauki do spirytualizmu? Materialistyczna koncepcja rzeczywistości jest szczególnie niewystarczająca kiedy trzeba wytłumaczyć istnienie człowieka. Człowiek — jako istota transcendująca struktury przyrody — nie mieści się w ramach materialistycznego redukcjonizmu:

Z człowiekiem tedy wkraczamy w dziedzinę abstrakcji, w dziedzinę pozafizyczną, metafizyczną, opartą wprawdzie o fakty doświadczalne i przyrodnicze, lecz jednocześnie w niejednym od nich oderwane, nadrzędne, w dziedzinę mistyki i wiary¹³.

Rzeczywistość człowieka wręcz domaga się uwzględnienia czynnika pozamaterialnego — ducha. Tylko światopogląd spirytualistyczny jest w stanie dokonać prawidłowego rozpoznania fenomenu osoby ludzkiej. Tak postawiony problem domaga się odpowiedzi na pytanie, kim jest człowiek? Z pytaniem tym Kościałkowski zmagą się na drodze poszukiwań ontologicznych, prowadzących do jego przeformułowania na nieco inną postać: co wyróżnia człowieka spośród innych bytów ożywionych? Co stanowi specyfikację człowieczego bytowania w świetle życia zwierząt? Kościałkowski dostrzega tę *differentia specifica* w otwarciu człowieka na Istotę Najwyższą — Boga. Pisał:

Cechą najbardziej znamiennej człowieka jest fakt, że zasadniczo — o ile nie zachodzą jakieś przeszkody szczególne — może on poznawać Boga, może tak czy inaczej, płycej lub głębiej, myśleć o Bogu, ujmować Go — goręcej lub ozięblej — sercem¹⁴.

Tylko i wyłącznie człowiek jest zdolny do poznania Boga, do posiadania idei Boga (wyraźne nawiązanie do Kartezjusza). To tu leży istota człowieka. Jest on *homo religiosus*. A skoro tak, to nie może być samą materią tudzież jej wytworem. Skąd w materii wzięłaby się idea nieskończoności i ducha? Trzeba przyjąć w człowieku pierwiastek pozamaterialny — duszę. Duszę jednak można pojmować po arystotelesowsku jako formę kształtującą materię (ciało). Jest ona wtedy czynnikiem konstytuującym byt ożywiony, swoistą siłą witalną rozwijającą żywy organizm. W takim ujęciu idea nieśmiertelności duszy w zasadzie się nie pojawia¹⁵. Dlatego słusznie Kościałkowski zauważa, że „dopiero idea Boga unieśmiertelnia duszę człowieka”¹⁶. Dopiero w Nim, jako obrazie i podobieństwie duszy, człowiecza świadomość ma zapewnione trwanie w nieskończoność. Dusza pochodząc od Boga, będąc — jak mówi Genesis — jego tchnieniem jest kongenialna Bogu. Człowiek może jednak nastrajać ją na swego Mistrza lub przeciwnie. Stąd naturalne poznanie Boga — aczkolwiek możliwe z istoty (wyraźne echo orzeczenia Soboru Watykańskiego I) — u jednych przebiega bez zakłóceń, u innych z problemami

¹³ S. Kościałkowski, *Via lucis*, s. 7.

¹⁴ Tamże, s. 8.

¹⁵ Por.: C. Tresmontant, *Problem duszy*. Warszawa 1973.

¹⁶ S. Kościałkowski, *Via lucis*, s. 9.

lub nie zachodzi w ogóle. Problem afirmacji Boga wiąże się zatem ściśle z kondycją intelektualną i moralną człowieka.

Kościałkowski dostrzega — za Pascalem — fundamentalną sprzeczność bytu ludzkiego: z jednej strony człowiek jest istotą kruchą, słabą, potrzebującą pomocy, z drugiej jest w nim moc, siła zdolna przeciwstawić się nieprzyjaznym zrządzieniom historii. Stąd człowiek jest tylko i aż człowiekiem. Wizja Kościałkowskiego jest naznaczona dużym ładunkiem indywidualizmu:

Kaźde ludzkie ja — jest w pewnej mierze światem dla siebie, reprezentuje pewien etap rozwoju pierwiastków ludzkich; kaźde ja jest miejscem przejścia wieków; w kaźdym ja jest dziejowy posterunek¹⁷.

Odrzuca on jednak zdecydowanie nowożytny antropocentryzm, przeciwstawiając mu teocentryzm, przyznający ideom wieczne i niezmiennie trwanie (Platon), a Bogu bycie ich podstawą. Antropocentryzm — odmawiając ideom własnego samodzielnego bytu w myśl zasady *idealía sunt nomina* — jest dla Kościałkowskiego poglądem przypisującym człowiekowi wszystkie możliwe prerogatywy, jak tworzenie wartości mocą swej woli (tak u Nietzschego), czy dowolne kształtowanie norm moralnych. Ze skrajnego egoizmu i subiektywizmu może wyzwolić zwolennika antropocentryzmu wyłącznie teocentryzm, kładący nacisk na powinność moralną, wychodzenie ku drugim ludziom etc. Te dwa światopoglądy są dla Kościałkowskiego rozłączne, trzeba wybierać: *aut* — *aut*.

Do życia człowieka można podejść na dwa sposoby: fenomenalny i numenalny (odwołanie do rozróżnienia Kanta). Pierwszy chwyta powierzchnię zjawiska, drugi jej istotę, Kantowską *Ding an sich*. Na poziomie numenalnym rzeczywistość jawi się jako organiczna całość, swoista jedność istoty. Kościałkowski odwołuje się do zasady hinduistycznej: *Tat twam asi* (To jesteś ty), widzącej w kaźdym bycie jakieś odbicie człowieczego „ja”. Taką optykę widzenia rzeczywistości posiadał jeden z największych świętych w historii zachodniego chrześcijaństwa — św. Franciszek z Asyżu. We wszystkich bytach widział on brata i siostrę, czyli coś pokrewnego własnemu jestestwu. Dzięki podejściu numenalnemu, sięgającemu w głąb bytu jesteśmy w stanie dojść „do rozumienia cech, łączących wszelki byt, do poznania jedności wszystkiego, co istnieje, której ogniwnem i spójnią jest nasza ludzka jaźń”¹⁸. Z takiego stanowiska płyną istotne dyrektywy natury moralnej, stojące na straży poszanowania nie tylko życia ludzi, ale i istnienia wszelkich bytów wchodzących w skład naszego świata.

Nieodłącznym elementem naszej ludzkiej kondycji jest cierpienie. Choroby, ból, cierpienie psychiczne, śmierć — wszystko to jest nie do uniknięcia i nie do przewidzenia w życiu kaźdego człowieka, konstytuując horyzont tragizmu immanentnie wpisany w byt osoby ludzkiej. U jednych budzi on bunt, sprzeciw, u innych przyjęcie, zgodę, przemianę cierpienia w jakieś pozytywne owoce. Skutki cierpienia mogą być negatywne, jak depresja, przygnębienie, gorycz, żal w stosunku do Boga, ale może ono generować postawy wartościowe: współczucie wszelkiej niedoli, wyzbycie się egoizmu, oportunistu etc. W tym kontekście zrozumiwały staję się sens Krzyża stawiany w chrześcijaństwie w centrum wiary. Cierpienie posiada zatem potencjalnie twórczą moc. Pisał Kościałkowski:

Wielkości nie zdobywa się bez cierpienia. Jest ona — rzecz można — nieodzownym składnikiem wielkości, jej podstawą i cechą stałą¹⁹.

¹⁷ Tamże, s. 14.

¹⁸ Tamże, s. 17.

¹⁹ Tamże, s. 19.

Cierpienie osadza też człowieka w realnej rzeczywistości, nie pozwala mu oddalić się od tego, co realne, „uświadamia mu rzeczywistość”, stąd można dokonać zamiany Kartezjańskiej formuły „myślę więc jestem” na „cierpię więc jestem”. Co jednak ma począć człowiek, który nie jest w stanie poradzić sobie z własnym cierpieniem, którego cierpienie przytłacza, demoralizuje, odziera z godności? Co ma począć ktoś dla kogo „oczyszczający ogień” cierpienia jest zabójczy? Nasz autor widzi cztery fundamenty, na których można się oprzeć, aby pokonać destrukcyjną moc cierpienia. Po pierwsze, Bóg. On trwa wiecznie i wobec Niego znikomość naszej egzystencji jest wyraziście czytelna. Jego wszechmoc i dobro gwarantuje dogłębny sens występującego w świecie cierpienia. Po drugie, kontemplacja cnoty. Cnota jako duchowa sprawność moralna jest w stanie przemieniać cierpienie w składową wewnętrznego rozwoju, dążenia do doskonałości. Po trzecie, zrozumienie powszechności cierpienia. Występuje ono powszechnie i to nie tylko w świecie ludzkim. Cierpi przyroda, cierpi świat zwierząt. Cierpienie jest zatem nieodłącznym elementem rozwoju całego uniwersum istot żywych. Po czwarte wreszcie, człowiek może szukać oparcia w cierpieniu, mając poczucie wykonania obowiązku moralnego i religijnego, żądającego od człowieka przyjęcia cierpienia jako „kielicha męki” z rąk Opatrzności. Na tych czterech drogach widzi Kościółkowski możliwość godzenia się człowieka z własnym cierpieniem, które jest częścią fundamentalnej strategii godzenia się z życiem, dochodzenia do „prawdy żywota”. Bynajmniej jednak nie głosi Kościółkowski jakiejś apologii cierpiętnictwa. Do cierpienia nie należy dążyć, trzeba je przyjmować. Dążyć należy wyłącznie do prawdy. I to bezwarunkowo. Na tej drodze do prawdy często pojawia się cierpienie i przyjęcie jej stanowi jeden z elementów jej poszukiwania. Czym jest prawda? Kościółkowski wyraźnie przyjmuje jej koncepcję klasyczną, oddającą najpełniej nasze potoczne intuicje. Głosi ona, że prawdą jest zgodność myśli z rzeczywistością (*adequatio rei et intellectus*). Prawda jest jedna, jej rozczłonkowanie przez kulturę scjentyistyczną prowadzi do zagubienia sensu tej fundamentalnej tezy. Człowiek powinien bronić odkrytej prawdy w sposób bezkompromisowy. Prawda jest też niezmienna aczkolwiek zmieniają się ludzkie wglądy w nią. Kościółkowski wyraźnie nawiązuje tu do ontologicznego i epistemologicznego rozumienia prawdy nie zawsze niestety rozróżniając pomiędzy ich odmiennymi sensami. Dla człowieka, uważa omawiany uczony, najważniejsza jest prawda moralna. Nie prawda o świecie, historii, lecz prawda etyczna wpisująca się w sam rdzeń naszego człowieczeństwa. Prawda ta ujawnia się poprzez swój zobowiązujący, normatywny charakter. Wskazuje na to, co człowiek czynić powinien. Kościółkowski zgadza się z Pascalem, że w odkrywaniu prawdy ogromną rolę odgrywa serce — sfera uczuć i emocji, a nie tylko rozum. Nawiązując wyraźnie do nurtu augustyńskiego w filozofii chrześcijańskiej pisał:

[...] szukanie obiektywnej prawdy w subiektywnej jaźni — daje często wyniki jak najpomysłniejsze. Bo logika prawdy często bywa irracjonalna, a serce odkrywać umie prawdy, o których rozum nie ma nawet pojęcia. Zna tylko kierunek jej lotu i właściwość jej działania²⁰.

Prawda musi więc być poszukiwana przez całego człowieka — tak jego intelekt, jak i serce. Prawda jest ważna dla całej egzystencji ludzkiej, a nie tylko dla sfery myśli. Prawda jest człowiekowi wręcz niezbędna do życia, bycia w pełni człowiekiem²¹.

Człowiek jest specyficznym bytem, którego nie zadawała życie w świecie natury i który musi stworzyć kulturę duchową jako swoiste środowisko życia dla siebie, dla swej

²⁰ Tamże, s. 23.

²¹ Por.: A. Siemianowski, *Człowiek i prawda*. s. 257–264.

duchowej sfery²². Świadczy o tym choćby geograficzna i chronologiczna powszechność występowania kultury. Nie da się wskazać jakiegokolwiek cywilizacji żyjącej poza wszelkimi strukturami kultury choćby najbardziej szczątkowej i prymitywnej. Przestrzeń kultury jest odzwierciedleniem — mówi Kościałkowski — ludzkich potrzeb, pragnień, dążeń. Służby kulturze narodowej Kościałkowski był oddany całym sercem w swej pracy uniwersyteckiej i nauczycielskiej. Akcji edukacyjnej nie przerwał nawet na Uralu, gdzie w sowieckim łagrze zbierał materiały do słownika homonimów, pisał wiersze (*Sonety Uralskie*), zachęcał do twórczości innych oraz organizował cykle odczytów na różne tematy dla współwięźniów. Autor nasz zauważał spływanie współczesnej sobie kultury. Dostrzegał kilka przyczyn takiego stanu rzeczy. Główną winę ponoszą — według niego — systemy religijno-moralne schlebające dążeniom ludzi do życia wygodnego i łatwego. W parze z tym idzie dobrobyt materialny i zbytek, pozwalające zaspokajać wszystkie zachcianki ludzi. Rodzi to płytszą, bezmyślną, podłość. Człowiek, którego wszystkie zachcianki są zaspokojone, gnuśniej i jałowiej — zamierają w nim wszelkie wyższe aspiracje i dążenia egzystencjalne. Niebezpieczne symptomy „przecieleśnienia” wizji człowieka dostrzegał Kościałkowski w ówczesnej apologii kultury fizycznej i sportu. Przenikliwość tej intuicji można docenić szczególnie dzisiaj, w dobie krańcowej komercjalizacji sportu. Niemniej prorocza jest konstatacja Kościałkowskiego o złu, jakie wyrządzi kulturze umysłowej cywilizacja obrazu. Oducza ona refleksji, zastanawiania się i zatrzymywania na jakimkolwiek problemie:

Ze względu na masowość produkcji i konsumpcji, ze względu na oddziaływanie na wyobraźnię, w sposób wprost katastrofalny wpływa na spływanie mas i szerokich kół mało krytycznych półinteligentów, budząc jakże nie głębokie tylko zainteresowania i płytki styl życia!²³

Jednostronność rozwoju naszej kultury (a może od pewnego czasu już tylko cywilizacji?), polegająca na silnej dynamice nauk ścisłych i jej pochodnej w postaci techniki, doprowadzają — uważa Kościałkowski — do swoistego wynaturzenia mentalności ludzi. Głównie polega to na odzieraniu człowieka z najistotniejszego dla jego człowieczeństwa zmysłu moralnego, estetycznego lub, mówiąc ogólnie, aksjologicznego. Żyjemy — uważał nasz autor — w czasach jakiegoś końca, w okresie „jesieni czasów nowoczesnych”. Czy dzisiaj my, ludzie przełomu wieków bogatsi od Kościałkowskiego o ponad pięćdziesiąt lat rozwoju cywilizacji naukowo-technicznej, nie mamy tego samego — tyle że dużo bardziej wyostrego — poczucia? Czyż postmoderniści nie próbują nam właśnie mówić: skończyły się już czasy nowoczesności i żyjemy w nowej epoce? Czyż to, czego początki dostrzegał w swoich czasach Kościałkowski, nie weszło właśnie w fazę finalną? Te niepokojące pytania — niezależnie od tego ku jakim odpowiedziom się skłaniamy — wskazują jednoznacznie na trafność i zasadność problemów wyartykułowanych w latach 40. na syberyjskich szlakach przez naszego historyka i patriotę! Głębokie pęknięcie w naszej kulturze polegające na rozżewie pomiędzy rozwojem wiedzy a doskonaleniem intuicji moralnych (tu raczej widać wyraźny regres!) daje niespotykane przewartościowanie całej struktury aksjologicznej europejskiej kultury. Kościałkowski wyraża głęboką wiarę w możliwość odwrócenia tych procesów. Czy rzeczywiście — pytamy z dzisiejszej perspektywy — pogodzenie tych dwóch przestrzeni ludzkiej kultury jest jeszcze możliwe? Czy rozwój wewnętrzny człowieka na wszystkich płaszczyznach ludzkiego bytowania w świecie ma szansę realizować się w kulturowym *milieu* czasów współczesnych? Niepo-

²² Por.: R. Ingarden, *Książeczka o człowieku*. Wyd. 4. Kraków 1987 s. 29–38.

²³ S. Kościałkowski, *Via lucis*, s. 24.

kojącym jest fakt, że nawet mając nadzieję na to, że pozytywna odpowiedź jest zasadna nie jesteśmy nastawieni tak jednoznacznie optymistycznie jak autor *Via lucis*... Dużo bardziej zatarliśmy granicę pomiędzy dobrem a złem, a przecież to rozróżnienie jest nerwem naszego człowieczeństwa. Zbyt mocno odczuwamy skutki powszechnego oddziaływania kultury obrazu i pop kultury mass mediów na umysłowość i mentalność ludzi, aby żywić silne przekonanie, że renesans wymiaru duchowego jest pewny.

Tak jak życie wewnętrzne człowieka może dokonywać się wyłącznie w przestrzeniach kultury, tak też nie może istnieć prawdziwie ludzka kultura bez Boga. Temu głębokiemu przekonaniu swego życia poświęcił Kościółkowski ostatnią część swych rozważań filozoficzno-swiatopoglądowych. Człowiekowi jest potrzebny swoisty — mówiąc językiem współczesnego myśliciela, Victora Emila Frankla — Nad-sens, zakorzenienie w czymś, co go przerasta. Wtedy — uważa Kościółkowski — człowiek nabiera mesjańskiej wprost siły, jest zdolny do wielkich czynów. Człowiekowi potrzebna jest świadomość bycia częścią jakiejś Wielkiej Sprawy, której nie wolno pod żadnym pozorem i dla żadnej racji sprzeniewierzyć się. Tylko ludzie żyjący taką świadomością mogą stanowić „sól ziemi”, zaczyn tego świata.

Przyszłość, twierdzi Kościółkowski, leży w rękach pojedynczych ludzi tworzących elity intelektualne, moralne i duchowe. To one mogą poprowadzić do „bitwy o nowe życie”, na gruzach pozorów i ułud, których wszędzie pełno, a które z istoty swej są skazane na zniszczenie. Na każdym człowieku ciąży ów obowiązek należenia do elity, przemieniania własnego umysłu i serca, oczyszczania ich z nalotów fałszu i zła i kierowania w stronę prawdy i dobra. Wymaga to poniekąd bycia outsiderem, pójścia pod prąd panujących obyczajów czy norm, walkę z powszechną mentalnością i przyzwyczajeniami. Warunkiem oddziaływania na masę jest jednak wyzbycie się specyficznych form zamykania się elit w swoich kręgach. Trzeba mieć odwagę „przeciętności”, wsiąkania w tłum oraz zrezygnować z władzy, „nic bowiem tak jak władza nie upaja i nie gorszy”²⁴. Trzeba zrezygnować z zaszczytów, pochwał, oryginalności, myśli o byciu mężem opatrnościowym czy wzorem postępowania dla innych. Wszystko to bowiem nadmiernie skupia uwagę na sobie nie pozwalając bez reszty oddać się Sprawie. Zadaniem człowieka jest bezinteresownie służyć wartościom. Kościółkowski tak sformułował istotę swej filozofii życia:

Umieć trzeba i chcieć trzeba pełnić cicho i skromnie, z oddaniem i poświęceniem obowiązki stanu swego [...]. Dążenie do najwyższych wartości moralnych — przy jednoczesnym pozostawaniu szarym człowiekiem — wmieszanym w tłum, nie chcącym się przez sytuację swoją czy przywilej jakikolwiek wybić się ponad innych²⁵.

Służyć wartościom powierzonym nam poprzez powołanie życiowe — oto zadanie i poniekąd istota naszej egzystencji. Jakikolwiek oglądanie się na korzyści płynące z tej służby niweczy jej bezinteresowny charakter i wynaturza ją. Dlatego wszelkie ambicje i oczekiwania związane z pełnionymi przez nas obowiązkami wynikającymi z naszego życiowego powołania są niedopuszczalne.

Kościółkowski opowiada się za jednością zasad moralnych obowiązujących w życiu osobistym i społeczno-politycznym. Wszak prawda moralna, prawda o dobru jest jedna i nie może być różna w sferze prywatnej i publicznej. Negowanie tej prawdy prowadzi do bestializacji sfery politycznej. Polityka staje się wtedy „fałszywą grą”, gdyż jej reguły są arbitralnie stanowione przez różnych ludzi rozgrywających własne interesy. Oderwana od prawdy moralnej umożliwia posługiwanie się różnymi niegodziwymi środkami wtedy,

²⁴ Tamże, s. 31.

²⁵ Tamże.

gdy przynoszą one wymierne korzyści. Pragmatyka wchodzi w przestrzeń tego, co etyczne. Drogą odnowy jest oparcie zasad polityki na fundamentalnych, obiektywnych wartościach moralnych. Autor *Via lucis* poddaje zdecydowanej krytyce XVI-wieczną zasadę stworzoną przez ojca nowożytnej filozofii polityki, N. Machiavellego, głoszącą: cel uświęca środki. W myśl tej zasady godziwe są wszystkie środki prawidłowo prowadzące do osiągnięcia zamierzonego celu. Kościółkowski uważa, iż środki powinny być uchwycone w samym celu, wydobyte z niego jako jego immanentne elementy. Takie środki są zawsze zgodne z zasadami etyki. W przeciwnym razie człowiek jest zmuszony zawierać kompromisy ze złem, polegające na wyborze tzw. mniejszego zła, a jakiegokolwiek pakowanie ze złem musi skończyć się jego afirmacją, kapitulacją człowieka przed potęgą zła. Zło wraca do tego, kto je raz wybrał („jest jak bumerang” napisze Kościółkowski) i zdecydowanie żąda coraz bardziej jednoznacznych kroków ku jego realizacji. Zło można pokonać wyłącznie cnotą, czystością moralną, a nie „mniejszym złem”. Przyszłość jednak — wierzy Kościółkowski wiarą chrześcijan — nie należy do zła, lecz do Dobra. To ono, mając swą ontyczną podstawę w Bogu, zatriumfuje i zwycięży. Dlatego należy urzeczywistniać je częściowo już teraz, trzeba szukać jego elementów wszędzie tam, gdzie ono jest. Krzykliwość zła daje pozorne poczucie jego mocy i wszechobecności, podczas gdy dobro jest obecne, moglibyśmy powiedzieć, w sposób dużo bardziej dyskretny, subtelny, delikatny. Trzeba umieć pochylić się nad tą rzeczywistością dobra, wydobyć ją na światło dzienne, wykrzesać, „rozpalić tak, ażeby jasnym buchnęło płomieniem i mroki ciemności rozjaśnił mogło”²⁶. Jednak — a wydaje się to rzeczą niezwykle ważną — Kościółkowski twierdzi, iż nawet ku złu nie powinniśmy budzić w sobie nienawiści. Ona bowiem przynależy do porządku zła i jej obecność w człowieku jest zawsze niebezpieczna. Nienawiść jest totalizująca, w jej immanentną logikę jest wpisana ekspansywność, ogarnianie coraz szerszych obszarów. Dlatego właśnie uruchomienie mechanizmów i dynamiki nienawiści zagraża człowiekowi, samemu jądro jego człowieczeństwa.

Kluczem do oceny ludzi jest dla naszego autora wyłącznie etyka. Nie urodzenie, wykształcenie, nie zajmowane stanowiska czy piastowane urzędy, lecz wartość moralna, charakter etyczny świadczą o jakości człowieka. Tak starał się zawsze patrzeć na ludzi, czego dowodem są jego impresje o towarzyszach niedoli z sowieckiego obozu. Podobnie powinniśmy, według niego, oceniać wytwory człowieka, jego dzieła. Jakość moralna literatury, sztuki, wydarzeń historycznych powinna decydować o takim czy innym traktowaniu ich w dziejach ludzkości. Swoiste kryterium moralizatorskie miałyby decydować o doniosłości dzieł człowieka, a nie jakieś spojrzenie utilitarystyczne czy estetyczne. Kościółkowski opowiada się wyraźnie za silnym dydaktyzmem i moralizmem w swej koncepcji kultury.

Kościółkowski zauważył w swoich czasach szybko posuwający się proces dewaluacji słów. Píše:

Słowo staje się nieraz pustym dźwiękiem bez treści, bez myśli — nie jest często zgodne z myślą i uczuciem, bywa często ich zaprzeczeniem, — znaczy nie to, co znaczyło dawniej. Wielu posługuje się nim, nie jako narzędziem porozumienia, lecz jako narzędziem wprowadzenia w błąd, zaciemnienia i zamącenia jasnej dotąd myśli²⁷.

Ta „hodowla semantycznych bakterii” niesie ze sobą ogromne niebezpieczeństwo ubezwłasnowolnienia człowieka. Język zaczyna bowiem być środkiem ukrywania własnych myśli, a nie ich komunikowania, staje się narzędziem nieporozumienia, oglupiania, kłótni, siania nienawiści etc. Powrót do fundamentalnej funkcji języka, dbanie o jego kulturę, ja-

²⁶ Tamże, s. 35.

²⁷ Tamże, s. 38.

sność wypowiedzi staje się wręcz imperatywem moralnym. Szczególną uwagę na ten aspekt zwracał Kościółkowski towarzyszom niedoli w czasie pobytu na Uralu.

Całą moralność da się, idąc za wskazaniem Chrystusa, sprowadzić do miłości Boga i bliźniego. Kościółkowski głęboko wierzy w powszechne braterstwo między ludźmi, nawet między wrogami i przeciwnikami: wszyscy jesteśmy między sobą braćmi. Przyszłość zależy w swej istocie od tego, czy sobie ten fundamentalny fakt uświadomimy czy też nie. I — to jeszcze ważniejsze — czy będziemy potrafili przemienić tę prawdę w czyn, w praktykę życia codziennego, życia publicznego. Wymaga to niewątpliwie wyrzeczeń, otwarcia na potrzeby drugich, wyjścia w myśleniu poza własne ciasne interesy, poza własne ja. Tego wymaga się, powiada Kościółkowski, od marksistów rzekomo walczących o dobro proletariatu, tego wszyscy mają prawo domagać się od nas, chrześcijan. Rezygnacja z wygody życia w obliczu niewygód mas jest koniecznością. W przeciwnym wypadku nikt nie będzie traktował nas, i prawdy, którą wyznajemy, poważnie. Z prawdy o braterstwie międzyludzkim płynie dyrektywa bycia miłosiernym wobec bliźnich. To, z kolei, wymaga w wielu przypadkach spieszenia z jałmużną wobec potrzebujących: słabych, sierot, bezdomnych. Z nimi wszak utożsamia się Chrystus, o czym świadczy ewangeliczna perykopa o Sądzie Ostatecznym. Zresztą pewne obowiązki ma człowiek także wobec swych „młodszych braci”, zwierząt — ten wątek Kościółkowski rozwijał prawdopodobnie pod wpływem poglądów Mariana Zdziechowskiego. Miłość do człowieka powinna być jednak zakorzeniona w miłości do Boga. Tylko w Bogu cały porządek moralny ma oparcie i z Niego może czerpać siłę do realizacji dobra i zmagania się ze złem. Chrześcijaństwo, uważał Kościółkowski, ratuje człowieka przed ubóstwieniem czegokolwiek na tym świecie, łącznie z ojczyzną. Deifikacja rzeczywistości ziemskich bowiem to domena pogaństwa. Chrześcijanin ma świadomość, że wszystko, co ziemskie przemienie. Pozostanie jedynie to, co wieczne. I ku temu właśnie ma być zwrócony chrześcijanin. Z tego ma czerpać światło, będące busołą na szlakach jego życiowego pielgrzymowania, z tego ma czerpać siłę i moc do bycia wiernym prawdzie, niezależnie od panujących mód i trendów. Mając oparcie w Bogu, chrześcijanin ma być zacznem i świadkiem Prawdy, Dobra i Piękną.

Oto droga do światłości — *via lucis* — prof. Stanisława Kościółkowskiego. Drogaznaczona trudem, mozołem, jednak z jasno postawionym celem i zasadami, których trzeba przestrzegać, chcąc go osiągnąć. Droga, którą autor starał się konsekwentnie kroczyć i której w całym swym pracowitym życiu starał się być wierny. Teoria i życiowa praktyka stanowiły dla niego jedność, której fundamentem była prawda. A tej sprzeniewierzyć się nie wolno.

III

Książka Kościółkowskiego pt. *Via lucis* stanowi swoiste świadectwo dane prawdzie. Autor dzieli się w niej swoimi refleksjami, przemyśleniami, formułuje dyrektywy. Próbuje dać syntezę najważniejszych zagadnień egzystencjalno-światopoglądowych. Nakreślić mapę, która by mogła być drogowskazem dla ludzi szukających w życiu jakiegoś sensu, jakiejś ogólnej orientacji. Dlatego należy ją czytać respektując konwencję w jakiej powstała. Ze świadectwem się nie dyskutuje. Można je przyjąć lub odrzucić, badając jego autentyczność. Nie chcę zatem nawet próbować krytyki tez postawionych przez autora. Nie chcę podejmować polemiki czy też próbować osadzić jego koncepcji w szerszym tle teorii antropologiczno-etyczno-teologicznych. Zadanie, jakie sobie stawiam jest dużo skromniejsze i chyba bardziej adekwatne do charakteru książki i zamiarów jej autora. Chcę zatrzymać się nad kilkoma intuicjami zawartymi w niej, które wydają się szczególnie aktualne, nośne i posiadające bogaty ładunek refleksji wyrastającej ponad czas,

w którym powstała. Chcę też pokazać, jak teoria wyłożona w tej książce przekładała się w życiu Kościałkowskiego na praktykę. Okres pobytu w łagrach sowieckich, na którym chcę się tu skupić, ze względu na swoistą ekstremalność egzystencjalną doskonale nadaje się do realizacji tych zadań.

Kościałkowski, co zostało wyżej wielokrotnie sygnalizowane, miał w świadomości dogłębne zmiany cywilizacyjno-kulturowe zachodzące w czasach, w jakich przyszło mu żyć. Dostrzegał jałowieństwo kultury, banalizację życia, płyciznę myślenia. Próbował diagnozować te chorobowe symptomy. Przyczyn upatrywał w tworzeniu cywilizacji obrazu (kino), oduczającej człowieka myślenia, w odchodzeniu od zasad moralnych w życiu publicznym i jednostkowym, w lekceważeniu najwyższych wartości i stawianiu na utylitarystyczno-hedonistyczne potrzeby uznawane za najistotniejsze w systemie materializmu i konsumpcjonizmu. Miał świadomość, że wybicie na plan pierwszy potrzeb materialnych zabija jakiegokolwiek pragnienia wewnętrzne, duchowe. Takie „przewartościowanie wartości” obserwował na uralskiej zsyłce, widząc jak potrzeba głodu przysłania wszystko inne, nie pozwalając ludziom skupić uwagi na czymkolwiek, co nie wiąże się ściśle z jedzeniem. Współczesność, dokonując w sposób sztuczny wyeksponowania tego, co wiąże się ze sferą cielesno-materialną w życiu człowieka, dokonuje analogicznego zawężenia aksjologicznej uwagi i zainteresowań. Niewątpliwie żyjemy w czasach eksplozji tych elementów, które w czasach Kościałkowskiego były zauważalne wyłącznie przez wyjątkowo bystrych obserwatorów życia społecznego. Budzenie w człowieku sztucznych potrzeb poprzez coraz bardziej wyrafinowane reklamy powoduje zabijanie w nim rzeczywistych potrzeb duchowych. Człowiek staje się tworem „jednowymiarowym” (H. Marcuse), funkcjonującym na płaszczyźnie: produkowanie (zarabianie) — konsumpcja (wydawanie). Przewidywania Kościałkowskiego wysnute na podstawie obserwowanych, szczątkowych dopiero, trendów realizuje się dziś coraz pełniej. Cywilizacja obrazu sukcesywnie wyniszcza krytyczne myślenie, powoduje zanik czytania, umiejętność pisanie etc. Następuje też widoczny proces wykorzenia człowieka z tego etosu, który zawsze stanowił swoiste środowisko życia osoby ludzkiej. Całościowe projekty życia ulegają rozpadowi, a w zamian pojawia się nastawienie epizodyczne, gdzie rządzi kalejdoskop wzajemnie nie powiązanych i samowystarczalnych epizodów. Miejsce pielgrzymy, konsekwentnie dążącego do swego życiowego celu, zajął spacerowicz, włóczęga, turysta niezobowiązująco eksplorujący rzeczywistość i szukający w niej nowych wrażeń i podnieć²⁸. Spójność i całościowość przestały być cnotami, a stały się uciążliwym ubezwłasnowolniającym balastem. Człowiekowi współczesnemu („ponowoczesnemu”) zaczęła ciążyć już sama prawda. Dla wpływowego myśliciela amerykańskiego, Richarda Rorty’ego, ma ona charakter totalitarny, zniewalający. Trzeba głosić wyłącznie „słabe” prawdy, które tak naprawdę niczego nie są pewne i do niczego nie zobowiązują. Przystąpiliśmy zatem do burzenia fundamentów wszystkiego, co stanowiło nerw kultury europejskiej. Tak daleko przenikliwy wzrok Kościałkowskiego nie mógł sięgnąć! Jego myślenie było osadzone w porządku zupełnie odmiennych rudymetów. W ich perspektywie patrzył na niepokojące zjawiska i trendy kulturowe, które mogą zburzyć te fundamenty kultury europejskiej. I rzeczywiście burzą. Czy zatem świat zasad moralnych i przekonań światopoglądowych Kościałkowskiego stanowi wyłącznie archeologię ducha ludzkiego i niczego nie może nam już powiedzieć, co byłoby aktualne *hic et nunc*? Czy wartości, w których wileński uczony był tak silnie zakorzeniony, przestały być już aktualne? Uważam, że zdecydowanie nie. Niewątpliwie żyjemy w czasie rozpadania się pewnego etosu (być może nawet klasycznego!) opartego na takim, a nie innym odczytaniu sensu fundamentalnych warto-

²⁸ Por.: Z. Bauman, *Dwa szkice o moralności ponowoczesnej*. Warszawa 1994 s. 7–39.

ści. Nie oznacza to jednak końca tychże wartości (można się tu odwołać do rozróżnienia Maxa Schelera między samymi wartościami a ich konkretyzacją historyczną obecną w postaci etosu). Potrzebujemy nowego etosu, nowego zakorzenienia w autentycznych (ciągle tych samych!) wartościach. Wszak poza nimi życie człowieka traci jakkolwiek sens i znacznie. Życie w aksjologicznej pustce rodzi bunt, rozpacz i bezsens. Współcześnie wykazała to choćby twórczość Jeana Paula Sartre'a czy Alberta Camusa. Radykalne zakorzenienie Kościałkowskiego — tak na płaszczyźnie teoretycznej, jak i ściśle praktycznej, egzystencjalnej — w Dobru, Prawdzie i Pięknie posiada składową ponadczasową i z niej warto czerpać naukę w diametralnie różnej przestrzeni kulturowo-społecznej.

Wydaje się, że ważną cechą moralnego charakteru Kościałkowskiego była żelazna konsekwencja w przestrzeganiu wartości i norm przyjętych za swoje. W żadnych okolicznościach życia — także łagrowego, obfitującego przecież w przeżycia krańcowe — nie czuł się dyspensowany od przestrzegania określonych reguł i zasad etycznych. Jeśli je przekraczał miał poczucie winy. Siły do takiego postępowania i przeżywania niełatwej rzeczywistości obozowej czerpał, jak się wydaje, z wiary, nadziei i miłości — trzech fundamentalnych cnót. Dzięki wierze posiadał całościową wizję rzeczywistości, w tym własnego życia, którego fundamentem był Bóg. W Nim znajdował kres swych poszukiwań Prawdy. Oficerowi NKWD, który pytał go, jak może być osobą wierzącą, będącą intelektualistą, odpowiedział:

Tak, właśnie dlatego, że usiłuję zgłębić myślą życie, muszę być wierzącym i religijnym i w tym znajduję zadowolenie myśli, poszukującej prawdy i zaspokojenie sumienia oraz wielką pociechę dla duszy w strapieniu²⁹.

Wiara w Opatrzność pozwalała mu przetrwać najtrudniejsze chwile. Dawała racjonalne podstawy pod silną nadzieję. Wbrew całej obozowej rzeczywistości, która programowo zabijała wszelkie przejawy nadziei. Niezwykle ważną była dla Kościałkowskiego miłość. Do Boga, ludzi, wszelkiego stworzenia, jak pisał w *Via lucis*. Na szczególną uwagę zasługuje jednak jego miłość do żony. W sytuacjach ekstremalnych miłość do ukochanego człowieka ratowała wielu przed ostatecznym załamaniem, utratą wiary w przyszłość, poczuciem zabijającego bezsensu życia. Pisał o tym wybitny współczesny psychiatra, więzień obozu hitlerowskiego, V. E. Frankl:

Po raz pierwszy w życiu przekonuję się o prawdzie tego, co wielu myślicieli uważało za mądrość życia i co opiewało tylu poetów: że miłość jest ostatecznym i najwyższym celem, do jakiego byt ludzki może się wznieść. Pojmuję sens ostateczny i największej tajemnicy, jaką przekazuje nam poezja, myśl i... wiara: zbawienie człowieka przez miłość i w miłości! Pojmuję, że człowiek, któremu już nic na świecie nie pozostało, może jeszcze być szczęśliwy — choćby na chwilę — zatapiając się całkowicie w myśli o ukochanej istocie³⁰.

W swoim *Raptularzu*, w którym Kościałkowski dokładnie notuje wszystko, co spotkało go w sowieckim łagrze (zresztą pisał go właśnie z myślą o żonie³¹) wspomina traumatyczne rozstanie z nią w Wilnie i smutną chwilę, w której poczuł się sam. Jego obozowy dziennik jest wolny od jakiegokolwiek formy ekshibicjonizmu duchowego, a jednak

²⁹ S. Kościałkowski, *Raptularz*, s. 83.

³⁰ V. E. Frankl, *Psycholog w obozie koncentracyjnym*. Warszawa 1962 s. 43.

³¹ S. Kościałkowski, *Raptularz*, s. 93. Tak pisał o swoich zapiskach: „Traktuję je jako rozmowę z żoną i zapisywanie różnych dla Niej szczegółów”; s. 195: „Robię notatki w tym dzienniczku i myślę sobie, jak wspólnie je kiedyś odczytywać będziemy”. Zapiski te nie były przeznaczone do publikacji. Opublikowano je, z pewnymi skrótami, za zgodą wdowy po zmarłym Profesorze.

w wielu miejscach daje on wyraźne świadectwo swej miłości do żony i roli jaką odgrywała ona w jego przetrwaniu. Zapisuje m.in. symboliczną wręcz scenę:

Przy zdejmowaniu obrączki, gdy mój naczelnik zauważył, że zdejmując ją z palca widocznie jestem wzruszony i podnoszę do ust, by ją ucałować, nie mógł wyjść z podziwu, dlaczego to robię, dla niego te rzeczy, oprócz materialnej wartości, nie miały żadnego innego znaczenia³².

W innym miejscu wspomina dwunastą rocznicę swego ślubu jako „najdroższy dzień”, mówi o „zżeraniu przez tęsknotę”³³. Kiedy zginęła mu spinka do koszuli pisał: „Zmartwiłem się tym bardzo nie dlatego, że była mi potrzebna, lecz dlatego, że najdroższe ręce żony robiły ją dla mnie”³⁴. O wyzwoleniu z obozu myślał zawsze w kontekście połączenia się ze swoją żoną³⁵. Myśli o niej towarzyszyły jego wszystkim czynnościom i zajęciom w zonie³⁶. Nieustannie przywoływał jej obecność. Miłość do ukochanej kobiety dodawała mu siłę, dawała poczucie sensu i energię potrzebne do przetrwania. Miał jednak poczucie, iż może umrzeć na „nie ludzkiej ziemi” nigdy już nie spotkawszy żony. Wiara, że „wszystko w ręku Boga” pozwalała jednak trwać mimo takich wątpliwości, ponieważ „gdy się w Bogu swą ufność położy, trwoga przestaje zdejmować serce człowieka”³⁷. Oczywiście, taka fundamentalna postawa wobec rzeczywistości nie zawsze chroniła przed zwątpieniem, rezygnacją, smutkiem, łzami. Jednak zawsze pomagała wyjść z tego stanu i trzeźwo — nie mamiąc się złudnymi plotkami o pewnym zwolnieniu z łagru, które niezrealizowane prowadziły do wielu załamań — mieć nadzieję często wbrew nadziei, czyniąc swoją maksymę: *Contra spem spero*. Nie pozwalała na zaskorupienie się w swoim bólu, ześrodkowanie całej uwagi na kwestiach związanych z głodem, papierosami, pogrążeniu się w apatii, rozdrażnieniu, rozgoryczeniu etc.³⁸. Dzięki temu fundamentowi Kościółkowski spieszył z pomocą bardziej od niego potrzebującym, organizował akcje kulturalne dla towarzyszy, pomagał chorym, dbał o godny pochówek zmarłych. Wiara, nadzieja i miłość stanowiły dla Kościółkowskiego rzeczywistość swego Nad-sensu, pozwalającego przetrwać sytuacje pozbawione jakiegokolwiek sensu w wymiarach czysto ziemskich.

Wielką wartością w życiu Kościółkowskiego stanowiła Ojczyzna. Dla niej walczył w powstaniu styczniowym jego ojciec, dla niej cierpiał on sam. Jego miłość do własnego kraju i narodu była jednak wolna od jakiegokolwiek nienawiści w stosunku do innych nacji czy kultur. Patriotyzm Kościółkowskiego był całkowicie pozbawiony jakiegokolwiek formy szowinizmu czy nacjonalizmu. Wiedział, iż miłość do tego, co własne nie suponuje niechęci do tego, co inne. To chorobliwe kompleksy żywią się nieustannie wykazywaniem własnej wyższości wobec innych. Poza tym, uznanie Boga za Najwyższą Wartość uchroniło go przed deifikacją niższych wartości, w tym i Ojczyzny. Cenił i szanował Litwinów, dostrzegał ich racje. Nie rozumiał dyskusji o antagonizmach polsko-litewskich, uważając je za niemądre i niepotrzebne³⁹. Nie było w jego postawie cienia antysemityzmu, wręcz przeciwnie,

³² S. Kościółkowski, *Raptularz*, s. 43.

³³ Tamże, s. 50: „Rozmyślałem, przypominam, tęsknię, przy czym czuję, jak tęsknota za gardłem mnie dusi, prawdziwie bólem fizycznym stać się może”; s. 195: „Łzy o jakże często dławiają mnie w gardle, kapią z oczu, a tęsknota staje się czymś niemal nie do zniesienia”.

³⁴ Tamże, s. 100.

³⁵ Dla przykładu: tamże, s. 76, 195.

³⁶ Tamże, s. 195: „Cokolwiek robię — stoi żona przede mną”.

³⁷ Tamże, s. 91.

³⁸ Kościółkowski próbował dokonać ciekawej typologii postaw i zachowań łagierników złamanych sytuacją, panującą w obozie: tamże, s. 113–114.

³⁹ Tamże, s. 109.

głęboki szacunek dla Żydów, ich przywiązania do narodu i tradycji. Dla przykładu, będąc zwolnionym z części obowiązków obozowych starał się zawsze w soboty chodzić do pracy, aby uczynić mniej widoczną nieobecność Żydów, świętujących szabat⁴⁰. Nie było w nim też cienia nienawiści w stosunku do Rosjan. Doskonale obrazują to portrety grup narodowościowych, jakie sporządził w łagrze⁴¹. W ocenach opisywanych przedstawicieli różnych nacji najwyraźniej nie kierował się żadnymi stereotypami ani uprzedzeniami narodowościowymi. Kościec charakterologiczny i przede wszystkim moralny były jedynym kryterium oceniania tych osób. Charakterystyczny jest też brak w *Raptularzu* jakichkolwiek aluzji politycznych. Ta sfera nie interesowała go zupełnie lub też sądził, iż w warunkach, w jakich się znalazł nie ma żadnego sensu roztrząsanie problemów politycznych. Moralna odpowiedzialność — jak wierzył — wystarcza tak dla moralności osobistej, jak i społecznej. Wystarcza do bycia człowiekiem zatroskanym o dobro we wszystkich dziedzinach życia i znoszącym to, co Bóg (los?) zsyła.

Wizja świata Stanisława Kościółkowskiego była, jak sam pisał, głęboko teocentryczna, ześrodkowana na Bogu, od którego wszystko pochodzi. Mówiąc o Bogu, nieustannie jednak odwoływał się do człowieka. Takie antropologiczne nachylenie teologicznych wywodów Kościółkowskiego jest bardzo wymowne i charakterystyczne. Nie ma w refleksji i mówieniu o Bogu ucieczki od rzeczywistości człowieka. Podobną intuicję niesie współczesna teologia. Antropologiczny teocentryzm wileńskiego uczonego wpisuje się doskonale w klimat wielkich dysput filozofów i teologów, odbywających się pod hasłem, jak współcześnie mówić o Bogu? Trzeba mówić o Nim z głębi rzeczywistości jaką stanowi człowiek. Zresztą, tradycyjna teologia zawsze mówiła o analogiczności wszelkich orzeczeń na temat Bytu Absolutnego.

„Droga światła”, którą rysuje w swej książce profesor Kościółkowski, jest traktem wypróbowanym. Autor konsekwentnie nią zmierzał w swym bogatym i pracowitym życiu. Był wierny ideałom, zasadom i normom, które uznał za prawdziwe. Była to jego droga do prawdy. Wiele elementów ją konstytuujących jest dyskusyjnych, wiele razi jednostronnością i uproszczeniami, wiele uległo dezaktualizacji. Ale nie to jest najważniejsze. Jest w książce warstwa, której waga pozostanie na zawsze niewątpliwa, są to składowe ponadczasowe, obecne na wielu innych drogach. I właśnie dzięki temu *Via lucis* Kościółkowskiego pozostaje świadectwem, nad którym nie można przejść do porządku dziennego. Świadectwem danym prawdzie.

⁴⁰ Tamże, s. 102.

⁴¹ S. Kościółkowski, *Skład narodowościowy naszego obozu*, [w:] *Raptularz*, s. 211–234.

„ZNOSIĆ WYGNANIE W TYM PIĘKNYM, ...ALE JAKŻE OBCYM KRAJU” — LATA AMERYKAŃSKIE MANFREDA KRIDLA

Andrzej KARCZ (Stany Zjednoczone)

Kiedy wybuchła wojna, Manfred Kridl (1882–1957) pracował na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie na stanowisku profesora zwyczajnego historii literatury polskiej.

Po zamknięciu uniwersytetu przez władze litewskie w grudniu 1939 r. opuścił Wilno i udał się do Brukseli 25 marca 1940 r. Już w maju musiał uciekać do Francji, a następnie przez Hiszpanię do Portugalii. Stamtąd przedostał się do Stanów Zjednoczonych, gdzie 10 września 1940 r. zatrzymał się w Nowym Jorku, a następnie udał się do Northampton w stanie Massachusetts. Rodzinie Kridla, tj. żonie, synowi Andrzejowi i córce Elżbiecie, udało się przedostać do Ameryki po wielu perypetiach rok później, w październiku 1941 r. Odbyli oni wielką podróż przez Syberię koleją transsyberyjską, następnie przez Japonię, Szanghaj i Filipiny dotarli do Stanów Zjednoczonych¹.

W Ameryce Kridl kontynuował pracę akademicką i naukową wykładając najpierw język rosyjski i literaturę polską na małej żeńskiej uczelni humanistycznej Smith College w Northampton, a następnie od 1948 r. do końca życia (od 1955 jako profesor emerytowany) ucząc literatury polskiej na prestiżowym Uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku.

Z prac naukowych Kridla z okresu amerykańskiego można odtworzyć sobie obraz pracy naukowca, który z jednej strony próbował konsekwentnie realizować swój dawny program badań teoretyczno- i historycznoliterackich zapoczątkowanych przed wojną i który z drugiej strony wychodził naprzeciw nowym potrzebom pracy wykładowcy literatury polskiej na uniwersytecie w obcym kraju. Wśród tych potrzeb na czoło wysuwało

¹ Dane biograficzne uzyskane dzięki uprzejmości p. Elizabeth Kridl Valkenier w rozmowie prywatnej odbytej 28 grudnia 2002 r. w Nowym Jorku. Część informacji zaczerpnięta również z maszynopisu autorstwa E. Kridl Valkenier.

się popularyzowanie kultury polskiej. Obraz ten należy uzupełnić informacjami zawartymi we wspomnieniach uczniów Kridla, zwłaszcza tych, którzy studiowali pod jego kierunkiem na Columbii.

Udany wyjazd z ogarniętej wojną Europy do Ameryki potencjalnie oznaczał dla każdego intelektualisty możliwość kontynuowania pracy umysłowej w warunkach pokojowych. Dzięki pomocy Bohdana Zawadzkiego, kolegi z Uniwersytetu Wileńskiego w czasie wojny pracującego w Smith College, Kridl zdołał podjąć pracę akademicką zaraz po znalezieniu się w Stanach Zjednoczonych. O ile praca taka dawała naukowcowi komfort, to jednak emigracja, zwłaszcza na samym początku, była dla Kridla stanem bolesnym. Przeczytać można w różnych źródłach, między innymi w korespondencji Kridla, że pobyt na obczyźnie znosił on z wielkim trudem. Początek pobytu na emigracji niesie z sobą problemy przystosowania się do innej rzeczywistości, pokonania bariery językowej, przeciwstawienia się stanom alienacji i samotności. Kridl stawiał czoła tym problemom i to — można przypuszczać — całkiem skutecznie skoro od momentu znalezienia się w Ameryce zdołał być, niemal jak kiedyś w Polsce, bardzo aktywny naukowo. Ale — jak chyba słusznie skomentował niedawno Tadeusz Bujnicki — warunki, w jakich znalazł się Kridl, nie sprzyjały badaniom naukowym i dlatego poświęcił on swe wysiłki przede wszystkim pracy popularyzatorskiej i dydaktycznej². Praca akademicka, którą Kridl podjął na obczyźnie, w istocie niosła ze sobą nowe obowiązki i wymogi nie zawsze sprzyjające głębokim studiom teoretyczno- i historycznoliterackim. Owe obowiązki i wymogi były nowe nawet dla tak doświadczonego badacza i nauczyciela, jak Kridl. Oto zasłużony profesor historii literatury polskiej, specjalista od literatury romantycznej i teoretyk literatury musi inaczej ukierunkować swoje zainteresowania badawcze i dostosować metody nauczania do innego systemu edukacyjnego. Czy to w Smith College, czy później na Columbii Kridl prowadził zajęcia ze studentami, których potrzeby bardzo różniły się od potrzeb studentów wileńskich. Przede wszystkim jego nauczanie sprowadzone było do dość elementarnej poziomu, gdzie początkowo dominowała nauka języka polskiego i rosyjskiego jako języka obcego (w Smith College Kridl wykładał nie tylko literaturę, ale i język) i gdzie studia nad literaturą polską, przeobrażające się niejednokrotnie w studia nad kulturą, były skoncentrowane na takich podstawach dyscypliny, jak informacje o najważniejszych pisarzach i ich głównych dziełach oraz interpretacje tychże dzieł nastawione na wyjaśnianie zawartych w nich podstawowych znaczeń. Jednocześnie studia te stały się wzbogacone o amerykański kontekst kulturowy dostarczając uczącemu nowych perspektyw poznawczych i badawczych.

Trudy pracy akademickiej Kridla w warunkach emigracyjnych nie były w żaden sposób ułatwione polityczną atmosferą, jaką stwarzano wokół faktu, że nowo powołana, pierwsza w Ameryce, katedra literatury polskiej im. Adama Mickiewicza na Columbia University, którą objął Kridl w 1948 r., była ufundowana przez rząd komunistyczny Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Jak napisała Maria Renata Mayenowa, jedna z przedwojennych uczennic Kridla:

bardzo tłustym drukiem prowadzono nagonkę w prasie amerykańskiej na Kridla-komunistę, wykładającego literaturę polską na uniwersytecie Columbia w Nowym Yorku, a jednocześnie bardzo sprawnie i milcząco utrącano druk jego prac w Polsce³.

Profesor Harold B. Segel, który w roli „następcy” Kridla miał od 1959 r. kontynuować jego pracę, ale z powodu zamknięcia katedry i zmiany profilu posady, nie zawsze

² T. Bujnicki, *Manfred Kridl i rosyjska „szkoła formalna”*, Pamiętnik Literacki 1996 z. 1 s. 124.

³ M. R. Mayenowa, *Wspomnienie o Manfredzie Kridlu*, Nowa Kultura 1957 nr 7.

było to możliwe, podobnie wspominał o złej atmosferze wokół katedry⁴. Cały uniwersytet stał się przedmiotem podejrzeń ze strony władz federalnych, ponieważ posiadał dwie „komunistyczne” katedry (tak samo, jak polska finansowana była w tym czasie na Columbii katedra czeska). Takie samo podejrzliwe stanowisko zajmowała amerykańska społeczność polonijna. Z punktu widzenia wielu ludzi z polsko-amerykańskiej społeczności — pisał Segel — Uniwersytet Columbia aprobując profesurę polonistyki im. Adama Mickiewicza dostarczał polskim komunistom platformy do szerzenia swojej propagandy. Sytuacja stawała się jeszcze bardziej złożona — pisał dalej Segel — z powodu działań dotychczasowego wykładowcy języka polskiego na Columbii Arthura Colemana, który bardzo sprzeciwiał się mianowaniu Kridla na nową katedrę. Coleman miał swoje powody, o czym w *Abecadle Miłosza* wspomina z kolei Czesław Miłosz, który wówczas jako attaché ambasady polskiej w Waszyngtonie odegrał kluczową rolę w ustanowieniu katedry. Coleman nie miał odpowiednich kwalifikacji — pisze Miłosz — a szef departamentu slawistyki profesor Simmons uznał, że zamiast niego mógłby zatrudnić prawdziwego specjalistę i znawcę przedmiotu. Wybór Simmons padł na Kridla. Po objęciu przez niego katedry Coleman ze straconej pozycji zaczął prowadzić przeciwko niemu nagonkę, która niczym oliwa dolana do ognia podsycała kampanię prowadzoną przeciwko Kridlowi, rzekomemu bolszewikowi, w prasie polonijnej. W swoim wspomnieniu Miłosz również wyjaśnia postawę Polonii amerykańskiej i powody braku zrozumienia przez nią takiej inicjatywy, jak obsadzenie katedry na Columbii przez Kridla⁵. Więcej o wydarzeniach wokół katedry Miłosz pisał w *Roku myśliwego*:

Simmons, profesor rusycystyki, zwrócił się w 1948 bodaj roku do mnie, to jest do attaché ambasady, żeby Polska ufundowała katedrę literatury polskiej. Ponieważ zaproponował Manfreda Kridla, kuratora naszego Koła Polonistów (Sekcja Twórczości Oryginalnej) w Wilnie, znalazł we mnie sprzymierzeńca. Modzelewski, wówczas minister spraw zagranicznych, ze starych komunistów, zrozumiał wartość propagandową i zdobył potrzebną sumę (wówczas wysoka), 10 tysięcy dolarów rocznie. Żeby bogaty uniwersytet amerykański zebrał u komunistycznego rządu, to nieładnie. Ale katedry polskiej w Ameryce dotychczas nie było i ja ją zrobiłem. A wtedy rozpętało się piekło — cała prasa polonijna przez parę lat podnosiła krzyk o komunistyczną infiltrację (Kridl jako bolszewik!), choć myśl, że sami mogliby ufundować katedrę, nigdy nie przyszła im do głowy. A po kilku latach, kiedy skończyło się warszawskie subsydlum, katedra przestała istnieć⁶.

Można sobie wyobrazić, jak w szczególności działania na tle politycznym przypominały liberalnie nastawionemu Kridlowi Polskę przedwojenną lat 30., kiedy to również ze strony kół skrajnie prawicowych padały równie absurdalne słowa krytyki pod jego adresem. Wówczas za propagowanie formalizmu w badaniach literackich oskarżano Kridla o „bolszewizm”, teraz za piastowanie stanowiska (to prawda, że finansowanego przez powojenny rząd warszawski) na amerykańskim uniwersytecie był nazwany komunistą.

Ufundowanie przez rząd komunistyczny katedry literatury polskiej na amerykańskim uniwersytecie u początku maccartyzmu w Ameryce i w momencie rodzenia się zimnej wojny w świecie było ewenementem. A jaką rolę w tym wszystkim odegrał Kridl? Jedno jest pewne, że pomimo ogromu kontrowersji, jak zawsze stał on ponad doraźną polityką — choć problemy społeczne i polityczne nigdy nie były mu obojętne! — i piastował posadę profesora z największym oddaniem i godnością. Jak byli studenci Kridla wspomina-

⁴ H. B. Segel, *The Columbia Slavic Department, or What Happened to the Good Old Days*, *The Sarmatian Review* 1996 vol. XVI nr 2.

⁵ Cz. Miłosz, *Abecadło Miłosza*. Kraków 1997 s. 156–158.

⁶ Cz. Miłosz, *Rok myśliwego*, Kraków 1991 s. 156.

ją, pomimo osobistych nieprzyjemności, jakie go spotykały, wykonywał swą pracę również z odwagą i perfekcją.

Czy jednak wroga atmosfera wokół posady na Columbii w połączeniu z pozostałymi trudami życia i pracy na emigracji nie nakłaniały Kridla do powrotu do Polski? W lutym 1946 r. odpowiadał na podobne pytanie w liście do przyjaciół w Polsce. Niewykluczone, że list adresowany był do byłego wileńskiego ucznia Kridla, późniejszego profesora na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, Czesława Zgorzelskiego, za którym warto przytoczyć następujące słowa listu:

Mój Boże, gdyby to było możliwe, spakowałbym zaraz manatki i przyjechał do kraju. O tym tylko się marzyło przez tych ciężkich 5 lat — to jedno podtrzymywało na duchu i pozwalało znosić wygnanie w tym pięknym, ciekawym, zacnym, ale jakże obcym kraju. Teraz, kiedy ta możliwość wydaje się zasadniczo wykonalna, zjawiają się trudności rozmaitej natury; są wśród nich takie, których usunięcie nie leży w mojej mocy. W każdym razie zapewniam Was i powtórzcie to wszystkim: uważam, że miejsce moje jest w kraju, w moim biednym uniwersytecie, wśród moich przyjaciół, kolegów i uczniów-współpracowników, że proszę Boga — wraz z poetą — aby mi zezwolił jeszcze jeść chleb z polskiego pola i mieć trumnę z polskiej sosny. Może zezwoli...⁷.

Cytując te słowa Zgorzelski słusznie pisał o Kridlu jako człowieku dotkniętym rysem tragicznym. Wygnanie, obcy kraj i „trudności rozmaitej natury” określały jego egzystencję. Dopełniała ją typowa świadomość emigranta, że przynależy się do innego miejsca niż to, w którym się jest obecnie. Z nostalgią i poczuciem obowiązku wobec przyjaciół, kolegów i opuszczonej ojczyzny wysyłał Kridl do Polski, głównie do Torunia, paczki. Można tylko wyobrazić sobie stan jego uczuć rok po napisaniu cytowanych słów, kiedy to udało mu się przyjechać do Polski. Był to jednak zaledwie przyjazd z wizytą, a nie powrót na stałe. Niewykluczone, że wizyta ta była rozczarowaniem, gdyż uświadomiła Kridlowi, iż nie ma dla niego miejsca w powojennej komunistycznej Polsce. Wydaje się jednak, że i inne wydarzenia 1947 r. w życiu osobistym Kridla, takie jak zawarcie po śmierci drugiej żony małżeństwa z Amerykanką Katherine Weidler, zadecydowały o tym, że zaczął on patrzeć na swoją emigrację nieco przychylniejszym okiem i przestał traktować ją jako stan przejściowy. Z pewnością istotną była tu sytuacja całej rodziny. Kridl miał dwoje dzieci z drugiego małżeństwa. Dorastająca córka Elżbieta i syn Andrzej byli już obywatelami amerykańskimi i wyjazd z Ameryki oznaczałby komplikację spraw rodziny. Także w tym okresie, dokładnie w 1948 r., otworzyły się przed Kridlem lepsze perspektywy pracy zawodowej w Ameryce w związku z otrzymaniem posady na Columbia University.

Było to stanowisko prestiżowe. Kridl nosił tytuł „the Adam Mickiewicz Professor of Polish Studies”, co sygnalizowało i wybitność uczonego, i wysoką rangę prowadzonej przez niego samodzielnie katedry. Kridl prowadził zajęcia zarówno dla studentów „przeddyplomowych”, jaki i dla magistrantów i doktorantów specjalizujących się w języku i literaturze polskiej. Jeden z jego studentów, dziś sędziwy profesor rusycystyki na Columbii, Robert A. Maguire, ostatnio wspominał, że zajęcia Kridla składały się ze znakomicie zorganizowanych wykładów, na których nie było raczej miejsca na dyskusje, jako że studenci w opinii Kridla nie mieli wystarczająco dużo wiedzy; było za to miejsce na pytania, na które padały zwięzłe odpowiedzi⁸. Inny student Kridla, *emeritus professor college*’u w Pensylwanii Zygmunt Wardziński wspominał, również ostatnio, że na wykłady Kridla uczęszczało przeciętnie od dwunastu do osiemnastu studentów (co na polonistyce i w ogóle sławistyce w USA jest

⁷ Cz. Zgorzelski, *Manfred Kridl. Jego dzieła i osobowość*, Przegląd Humanistyczny 1957 nr 1 s. 72.

⁸ R. A. Maguire, *Manfred Kridl*, [w:] *Between Lvov, New York, and Ulysses' Ithaca*. Józef Wittlin: poet, essayist, novelist, ed. by A. Frajlich. Toruń 2001 s. 203–204.

całkiem pokaźną liczbą) i że sam wykładowca odczytując wykłady z rękopisu był bardzo poważny, metodyczny i formalny. Spoza powagi i formalności — pisał Wardziński — przebijają się jednak Kridla zainteresowanie przedmiotem wykładu i troska o słuchaczy⁹. Wśród prowadzonych regularnie zajęć wyróżniały się szczególnie następujące kursy Kridla: współczesna słowiańska teoria literatury, wprowadzenie do teorii literatury krajów słowiańskich, przegląd historii literatury polskiej, historia literatury i kultury polskiej, polska powieść XIX wieku, literatura staropolska, poezja polska XIX i XX wieku i historia nowożytnej myśli polskiej. I Maguire, i Wardziński w swoich krótkich artykułach-wspomnieniach również komentowali temat ogromnego i trwałego wpływu, jaki wywarło na nich nauczanie Kridla. Wiedza, którą przekazywał, przekraczała wąskie granice wykładanych przez niego dyscyplin. I tak, teoria literatury przeobrażała się w komparatywne studia nad literaturą nie tylko słowiańską, ale w ogóle europejską, a historia literatury polskiej obejmowała zjawiska szeroko rozumianej kultury Polski rozpatrywanej na tle całej cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Uczniowie Kridla zapamiętali, że oddany on był wielkiej szkole myślenia znanej pod nazwą formalizmu i strukturalizmu, szkole wyrosłej w krajach słowiańskich, a mającej reperkusje w całej myśli zachodniej XX wieku. Jako organizator, rzecznik i propagator polskiej szkoły formalnej, mającej związek z rosyjskim formalizmem i czeskim strukturalizmem, Kridl był jak najbardziej powołany do przekazywania wiedzy o cennym wkładzie tej części słowiańskiej humanistyki w naukę światową. Jego kompetencja w tej sferze była porównywalna do jego ekspertyzy w dziedzinie historii literatury polskiej. Obecność Kridla na Columbii przyczyniła się do tego, że uniwersytet ten został uznany w okresie powojennym za uczelnię mającą najsilniejszą polonistykę na poziomie studiów podyplomowych w Stanach Zjednoczonych. Opinię tę przypomniał dziś Wardziński. Co więcej — i należy to podkreślić — właśnie dzięki szerokim horyzontom badawczym Kridla i dzięki jego programowi nauczania obejmującemu nie tylko polonistykę, ale i inne dziedziny humanistyki, jego rola na uniwersytecie amerykańskim nie ograniczała się do wzmocnienia pojedynczego kierunku czy przedmiotu studiów. Była ona o wiele większa i chyba równała się roli takich wybitnych humanistów świata słowiańskiego obecnych w Ameryce zaraz po wojnie, jak Roman Jakobson, René Wellek czy Dmitrij Czyżewskij. I roli Kridla nie da się pomniejszyć nawet wtedy, gdy weźmie się pod uwagę fakt — wskazany przed laty przez wileńskiego ucznia Kridla, a od lat 60. profesora slawistyki na University of British Columbia w Vancouver, Zbigniewa Folejewskiego — że jego wysiłki propagowania formalizmu w Ameryce nie odniosły dużego skutku i że kierunek ten wraz ze strukturalizmem stał się znany praktycznie bez jego udziału z tego powodu, że do Ameryki w tym czasie przybyli też tacy przedstawiciele tych kierunków, jak właśnie Jakobson i Wellek, mający duży wpływ na rozwój amerykańskich badań literackich¹⁰. Jeśli udział Kridla, którego krótka, bo przerwana śmiercią działalność naukowa w Ameryce, był tutaj mniejszy, to i tak nie podważa to jego roli i zasług.

O wadze zasług Kridla zaświadczają nawet po latach jego uczniowie podkreślając we wspomnieniach — wielu z nich znajdujących się w archiwum biblioteki uniwersyteckiej na Columbii — jak wielkie znaczenie dla nich miała wiedza wyniesiona z pobieranych u niego nauk. Co interesujące, to nie tylko fakt, że przywołują oni przykłady ilustrujące obszary zdobytej wiedzy, jak np. poznanie słowiańskich szkół teoretycznoliterackich czy polskiej poezji, ale również to, że komentują rozległe o Kridlu jako osobowości o nieprzeciętnych cechach charakteru i człowieku, którego postawa była godna naśladowania. I tak, Kridl jest pamiętany jako człowiek bez politycznych i religijnych uprzedzeń,

⁹ Z. Wardziński, *Manfred Kridl*, *The Polish Review* 2000 nr 2 s. 251.

¹⁰ Z. Folejewski, „*Formalism*” in *Polish Literary Scholarship*, *Slavic Review* 1972 nr 3 s. 581–582.

jako umysł tolerancyjny i otwarty, mimo że krytyczny, i jako obrońca demokratycznych wartości. Cechy charakteru i postawy społecznej Kridla są postrzegane jako konsekwencja jego intelektualizmu i wiedzy. Nikt trafniej nie określił tej integralności postawy i umysłu badacza niż jedna z osób znających go najlepiej: Elizabeth Kridl Valkenier, córka Kridla, profesor historii sztuki rosyjskiej i *resident scholar* w The Harriman Institute na Columbia University. W prywatnym liście z 4 czerwca 1997 r. do piszącego niniejsze słowa oznajmiła ona, że

jedną rzeczą, która zawsze zwracała moją uwagę jako być może mająca związek z nieortodoksyjnym, nowym spojrzeniem M[anfreda] K[ridla] na badania literackie, były jego własne liberalne, postępowe poglądy polityczne. Nie był on nacjonalistą o zawężonym myśleniu, a obiektywny, uniwersalistyczny i porównawczy sposób patrzenia na świat był częścią jego charakteru¹¹.

Obok roli odegranej na uniwersytecie i wpływu wywartego na uczniów o wadze zasług Kridla świadczą jednak przede wszystkim jego prace naukowe powstałe w Ameryce. Dwoma pierwszymi pracami były: szkic *Adam Mickiewicz. The National Poet of Poland. 1798–1855* opublikowany w tomie zbiorowym *Great Men and Women of Poland* wydanym w Nowym Jorku w 1941 r. i opracowanie wydania *Pana Tadeusza* w tomie 13 „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie”, który wyszedł w Jerozolimie w 1943 r.¹² Kolejną pracą Kridla była antologia przygotowana we współredakcji z Józefem Wittlinem i Władysławem Malinowskim w 1943 r. Nosiła ona tytuł *For Your Freedom and Ours: Polish Progressive Spirit through the Centuries* i była podawana jako przykład właśnie postawy politycznej Kridla, który dokonał takiego, a nie innego wyboru tekstów ilustrujących polską myśl polityczną i jej demokratyczne tradycje¹³. Antologia ta, która miała na celu popularyzację Polski w okresie wojny w świecie anglosaskim poprzez zaprezentowanie bogatych tradycji polskiej myśli demokratycznej, była — jak się okazało — książką potrzebną. Miała ona nie tylko nowojorskie wydanie, ale i londyńskie, którego nieco zmieniony tytuł brzmiał *The Democratic Heritage of Poland: „For Your Freedom and Ours”*. W Anglii książka ukazała się już w roku 1944, choć niektóre źródła podają, iż było to drugie wydanie (pomimo notki „First published in 1944” z tyłu strony tytułowej), gdyż pierwsze wyszło równocześnie z nowojorskim. Edycja angielska książki była poprzedzona wstępem Bertranda Russella¹⁴. W języku polskim antologia po raz pierwszy wyszła w Nowym Jorku w 1945 r. i nosiła tytuł *Polska myśl demokratyczna w ciągu wieków*¹⁵. Prezentowała wybór tekstów nieco obfitszy niż w wersjach amerykańskiej i angielskiej. Jak wprowadzenie redaktorów i entuzjastyczne słowo wstępne Russella rekomendujące

¹¹ „One thing that has always struck me as possibly related to M[anfred] K[ridl]’s unorthodox, new look at literary studies was his own liberal, progressive political outlook. He was not a narrow nationalist and an objective, universalist and comparative way of looking at things was part of his character”. (Tłum. — A.K.)

¹² M. Kridl, *Adam Mickiewicz. The National Poet of Poland. 1798–1855*, [w:] *Great Men and Women of Poland*, ed. by S. P. Mizwa. New York 1941 s. 190–204. Artykuł w tłumaczeniu na angielski H. Chybowskiej; A. Mickiewicz, *Pan Tadeusz, czyli ostatni zajazd na Litwie*, oprac. M. Kridl. Jerozolima 1943 (Szkolna Biblioteczka na Wschodzie, t. 13).

¹³ *For Your Freedom and Ours: Polish Progressive Spirit through the Centuries*, ed. by M. Kridl, J. Wittlin, W. Malinowski, translation by L. Krzyżanowski. New York 1943.

¹⁴ *The Democratic Heritage of Poland: „For Your Freedom and Ours”*, ed. by M. Kridl, J. Wittlin, W. Malinowski, translated by L. Krzyżanowski. London 1944.

¹⁵ *Polska myśl demokratyczna w ciągu wieków. Antologia*, ed. by M. Kridl, W. Malinowski, J. Wittlin. New York 1945.

książkę zaświadczać, antologia przygotowana była dla doraźnych celów czasu wojny. Jej celem było przedstawienie Anglosasom pozytywnego wizerunku Polski poprzez autentyczne dokumenty historyczne obejmujące czasy od XV wieku (na przykład, wyjątki z Aktu Unii Horodelskiej i Konstytucji *Neminem Captivabimus*) do okresu drugiej wojny światowej (m.in. fragmenty *Manifestu do ludów świata* uchwalonego przez robotniczy ruch podziemny w 1941 r.). Wartość książki, jak i sama idea tego typu antologii, okazały się znacznie trwalsze aniżeli potrzeby okresu wojny. Potwierdziły to znajdujące zainteresowanie dwa współczesne, amerykańskie i polskie, jej wydania opracowane po 38 i 43 latach¹⁶.

Inną książką Kridla, która miała więcej niż jedno wydanie, było obszerne opracowanie historii literatury polskiej pod tytułem *Literatura polska na tle rozwoju kultury*¹⁷. Opublikowana ona była pierwszy raz po polsku w 1945 r. w Nowym Jorku, ale w 1956 w ramach serii „Columbia Slavic Studies” została opracowana i wydana również w Nowym Jorku jej wersja angielska w tłumaczeniu Olgi Scherer-Virski. Jej tytuł brzmiał *A Survey of Polish Literature and Culture*¹⁸. W roku 1967 miał miejsce jeszcze dodruk tej ważnej książki. Angielska edycja nie była — jak podaje Kridl we wstępie — prostym przekładem *Literatury polskiej na tle rozwoju kultury*, ale stanowiła „gruntownie przerebioną i zrewidowaną wersję polskiego oryginału dostosowaną do nowego celu książki i jej nowych czytelników”. Zmianie uległa objętość, gdyż z powodu braku angielskich tłumaczeń wielu utworów polskich autor i tłumacz musieli zrezygnować z podania wielu przykładów i cytatów. Jednak angielskie wydanie zostało uzupełnione od strony technicznej: włączono dane bibliograficzne, przypisy i uwzględniono najświeższą literaturę przedmiotu. Rezultatem było dzieło monumentalne, wielka synteza historii literatury polskiej obejmująca materiał od średniowiecza do końca drugiej wojny światowej wraz z „tłem rozwoju kultury”. Cel książki był ściśle dydaktyczny i właśnie jako podręcznik uniwersytecki służył przez wiele dziesięcioleci studentom, ale i badaczom literatury polskiej, na obczyźnie. W pewnym sensie dopiero po latach zastąpiła go „uaktualniona”, bo obejmująca czasy powojenne, również wydana po angielsku, *The History of Polish Literature* Miłosza¹⁹. Ale podręcznik Kridla, mimo że coraz bardziej trudno dostępny, może dalej służyć obcokrajowcom jako znakomite źródło informacji o polskiej literaturze, kulturze i historii.

We wstępie do *A Survey of Polish Literature and Culture* interesujące wydaje się wyjaśnienie Kridla o tym, dlaczego podręcznik zawiera owo tło kulturowe przy prezentacji literatury i zjawisk literackich. W przypadku innego badacza może wyjaśnienie takie byłoby zbyt techniczne, ale nie w przypadku Kridla, który przecież od połowy lat 30. prowadził kampanię o reformę nauki o literaturze polegającą na uściśleniu jej przedmiotu badań i wyeliminowaniu z pola jej zainteresowań zjawisk pozaliterackich, właśnie tła kulturowego. W wyjaśnieniu Kridl podaje, że skoro jego książka jest przeznaczona dla studentów, których program studiów obejmuje literaturę, historię i kulturę, i że skoro historycy literatury zainteresowani są problemami kultury, to włączenie przynajmniej ogólnych informacji o kulturze wydało się konieczne. Ale — dopowiada Kridl stanowczo —

¹⁶ *For Your Freedom and Ours: Polish Progressive Spirit from the 14th Century to the Present*, ed. by K. M. Olszer. [2nd, enl. ed.] New York 1981; *Polska myśl demokratyczna w ciągu wieków. Antologia*, red. M. Kridl, W. Malinowski, J. Wittlin. Warszawa 1986.

¹⁷ M. Kridl, *Literatura polska na tle rozwoju kultury*. New York 1945.

¹⁸ M. Kridl, *A Survey of Polish Literature and Culture*. New York 1956.

¹⁹ Cz. Miłosz, *The History of Polish Literature*. New York 1969.

zostało to zrobione z powodów czysto dydaktycznych, mimo że nie w zgodzie z postawą teoretyczną autora wobec autonomicznego charakteru literatury i jej rozwoju według specyficznych dla niej i w dużym stopniu niezależnych „praw”. To jest też powodem, dlaczego termin „literatura” został dla celów tej książki użyty w szerszym sensie obejmując nie tylko poetów, powieściopisarzy i dramaturgów, ale również pisarzy piszących o polityce, sprawach społecznych i moralnych, oraz historyków i krytyków literatury.

Jednak dzieła literackie w ścisłym tego słowa znaczeniu zostały potraktowane w przeważającej mierze z punktu widzenia literackiego, a wybór pisarzy został dokonany w oparciu o ich artystyczne osiągnięcia i doniosłość. Literatura też stanowi znaczną większość książki, podczas gdy tło historyczne i kulturowe zostało potraktowane mniej gruntownie²⁰.

Cytowane słowa wyrażają prawdziwy niepokój naukowca i teoretyka literatury dbającego o to, by jego intencje zostały dobrze zrozumiane. Słowa te ilustrują, jak nieustannie ważne dla Kridla były sprawy metodologii badań literackich, a wśród nich podejście „autonomiczne”, „ściśle literackie”, formalistyczne do literatury. To podejście autora sprawiło, że *A Survey of Polish Literature and Culture* to podręcznik uniwersytecki o wielkiej wartości naukowej.

Inną pracą Kridla, która dotyczyła problemów metodologii i podejścia formalistycznego do literatury, był artykuł *Russian Formalism* opublikowany w 1944 r. w nowojorskim kwartalniku naukowym „The American Bookman”²¹. Informował on czytelnika amerykańskiego o rosyjskiej szkole formalnej, tłumaczył główne postulaty formalizmu jako nowej nauki o literaturze, przedstawiał obszary zainteresowań poszczególnych reprezentantów szkoły, szkicował jej powstanie i rozwój historyczny, umieszczał badania formalistyczne literatury na tle innych, podobnych tendencji w europejskiej teorii literatury, oceniał wreszcie znaczenie formalizmu. Tym artykułem Kridl zamierzał kontynuować propagowanie metody formalnej, które zainicjował przed wojną w Polsce wraz ze swoimi studentami z Wilna i z grupą młodych naukowców z Uniwersytetu Warszawskiego. Ale artykuł opublikowany w „The American Bookman” zaledwie ogólnie sygnalizował istnienie nowego kierunku badań literackich, który wielu czytelnikom amerykańskim musiał zaledwie przypominać wiele też im już znanych z działalności ich własnej Nowej Krytyki. Dlatego ważniejsza wydała się następna publikacja Kridla poświęcona badaniom formalnym literatury. Był nią artykuł pt. *The Integral Method of Literary Scholarship: Theses for Discussion* opublikowany w 1951 r. w piśmie „Comparative Literature”²². Prezentował on szczegółowo Kridla własną propozycję badań literackich ukierunkowanych na dzieło literackie, propozycję nazwaną przez niego „metodą integralną”, która zasadniczo pokrywała się z postulatami szkoły formalnej, choć w pewnych punktach próbowała ją przekraczać. Artykuł był oparty na przedwojennej książce Kridla *Wstęp do badań nad*

²⁰ „This was done for purely didactic reasons, although not in accordance with the author’s theoretical attitude concerning the autonomous character of literature and its development according to its own specific and to a large extent independent «laws». This is also the reason why the term «literature» has been conceived, for the purpose of this book, in the broader sense, including not only poets, novelists, and dramatists, but also political, social, and moral writers, as well as historians and literary critics.

However, literary works in the strict sense are treated mostly from the literary point of view, and the choice of authors is based on their artistic significance and achievements. Literature, too, constitutes the bulk of the book, while historical and cultural developments are treated less thoroughly”. M. Kridl, *A Survey...*, s. V. (Tłum. — A.K.)

²¹ M. Kridl, *Russian Formalism*, *The American Bookman* 1944 nr 1 s. 19–30.

²² M. Kridl, *The Integral Method of Literary Scholarship: Theses for Discussion*, *Comparative Literature* 1951 nr 1 s. 18–31.

dziełem literackim (Wilno 1936) i zanim został wydrukowany w „Comparative Literature” posłużył Kridlowi — jak informuje przypis — za treść wykładu wygłoszonego w The English Institute we wrześniu 1948 r. Podczas gdy postulaty umieszczone w przedwojennej książce nie uległy zmianie w artykule, to jednak były tu przedstawione w o wiele lepiej dopracowanej postaci. W angielskiej wersji językowej były po prostu sformułowane bardziej zwięźle i przez to brzmiały bardziej przekonująco, pomimo stonowania wielu pierwotnych tez. Wyrażając przekonanie, że istnieje metoda badań literatury ściśle literacka, Kridl przyznawał, że nie jest ona skończonym systemem i dlatego w podtytule artykułu zaznaczył, iż prezentowane „tezy” należy traktować jako materiał do dyskusji. Artykuł był ważną publikacją w działalności Kridla w Ameryce. Pokazywał, że badacz nie tylko nie odszedł od podstawowej dla niego problematyki naukowej, o którą toczył boje w latach 30. w Polsce, ale że podjął niełatwy trud propagowania tejże problematyki na obcym gruncie.

Kridl, twórca metody integralnej i propagator formalizmu, mający na uwadze problemy ściśle literackie, jednak miał w zwyczaju wychodzić poza swoją dyscyplinę. Pokazuje to wskazana wyżej, wykraczająca poza literaturę, antologia *For Your Freedom and Ours*, jak i omawiający polsko-rosyjskie stosunki polityczne artykuł *Poland and Russia in the Past and in the Future* opublikowany w 1945 r. w czasopiśmie politologicznym „Journal of Central European Affairs”²³. Widoczne jest, że Kridl dosyć często włączał w zakres swoich zainteresowań Rosję. Takie komparatywne podejście przynosiło pożytek poloniście pracującemu w Ameryce, gdyż jego głos stawał się lepiej słyszalny wśród czytelników amerykańskich, którzy sprawami polskimi czy kulturą polską raczej się nie interesowali. W przypadku Kridla włączanie Rosji w krąg swoich zainteresowań przychodziło chyba też naturalnie, jako że od dawna bliskie mu były osiągnięcia rosyjskiej nauki o literaturze, zwłaszcza w zakresie metodologii badań literackich. Problemom literatury polskiej i rosyjskiej poświęcił Kridl swój następny szkic naukowy zatytułowany *The First Polish Translation of the „Slovo”*²⁴. Traktował on o pierwszym przekładzie na język polski arcydzieła literatury staroruskiej *Słowo o wyprawie Igora*. Szkic zawiera dużo informacji o autorze przekładu Cyprianie Godebskim i opisuje format przekładu będącego krytycznym wyborem najważniejszych ustępów rosyjskiego oryginału i stanowiącego miejscami podsumowanie jego treści. Głównym celem Kridla w tym szkicu było zaprezentowanie artyzmu i literackości polskiego przekładu. Kridl uczynił to porównując fragmenty obydwu tekstów i formalistycznie, słowo po słowie, je analizując. Szkic zamyka uwaga o znaczeniu przekładu Godebskiego dla recepcji rosyjskiego utworu w Polsce.

W czasie działalności naukowej w Ameryce Kridl nie zapomniał, że jest również mickiewiczologiem. W 1948 r. w piśmie nowojorskim „The American Slavic and East European Review” opublikował obszerny artykuł pt. *Adam Mickiewicz (1798–1855)*²⁵. Ogłoszony w 150. rocznicę urodzin poety artykuł przede wszystkim informował czytelnika o „charakterze Mickiewiczowskiego świata poetyckiego”. Kridl wskazywał zatem na obecne w tym świecie elementy filozofii romantycznej, folkloru, fantastyki, autobiografii, religii, patriotyzmu, liryzmu i epiki. Co interesujące, to fakt, że opisując poezję Mickiewicza Kridl posłużył się w dużym stopniu narzędziami metody formalistycznej: wskazywał literackie chwytły, mówił o strukturze

²³ M. Kridl, *Poland and Russia in the Past and in the Future*, Journal of Central European Affairs 1945 vol. 5 nr 2 s. 144–164.

²⁴ M. Kridl, *The First Polish Translation of the „Slovo”*, Russian Epic Studies 1947 vol. 42 s. 171–178.

²⁵ M. Kridl, *Adam Mickiewicz (1798–1855)*, The American Slavic and East European Review 1948 vol. 7 nr 4 s. 340–360.

i konstrukcji utworów, analizował język. Rezultatem był cenny szkic naukowy zawierający odkrywcze spostrzeżenia o istocie sztuki poetyckiej Mickiewicza.

W roku 1951 Kridl opublikował swój szkic ponownie w zredagowanej przez siebie księdze *Adam Mickiewicz. Poet of Poland. A Symposium* upamiętniającej 150. rocznicę urodzin Mickiewicza²⁶. Książka, w której przygotowaniu uczestniczyli również Miłosz i Wittlin, i która według informacji Miłosza subsydiowana była przez Ambasadę Polską w Waszyngtonie, prezentowała amerykańskim czytelnikom — czytamy w przedmowie Kridla — „powszechne znaczenie dzieła polskiego poety” i „jego wkład do kultury światowej”. Książka była zbiorem opinii osób współczesnych Mickiewiczowi oraz prac badaczy-slawistów XX wieku z Polski i innych krajów. Spośród badaczy-slawistów w książce znalazły się prace między innymi Wacława Borowego, Czesława Miłosza, Józefa Wittlina, Czesława Zgorzelskiego, Mariana Jakóbca, Ludwika Krzyżanowskiego, George’a Noyesa, Karela Krejčí i Enrico Damianiego. W tomie Kridl umieścił również jeszcze jeden własny szkic, tym razem krótki, zatytułowany *Mickiewicz on America and the American Potato*. Wiersz może szczególnie zainteresować amerykańskich czytelników — napisał Kridl na samym początku szkicu, a w dalszej jego części w zwięzłej, ale odślaniającej wszystkie niuanse znaczeń wiersza analizie zaprezentował utwór, w którym „Ameryka i kartofel zostały uhonorowane przez młodego Mickiewicza”. Książka *Adam Mickiewicz. Poet of Poland* doczekała się po osiemnastu latach przedruku. W 1969 r. przedrukowało ją i wydało wydawnictwo Greenwood Press.

W okresie amerykańskim Kridl publikował swoje prace naukowe także poza Ameryką. Obok wcześniej wskazanych dwu prac wydanych w Jerozolimie i Londynie, w roku 1956 opublikował recenzję i artykuł w Wiesbaden, a w 1957 szkic wspomnieniowy w Warszawie. W wiesbadeńskim kwartalniku „Die Welt der Slaven”, obok recenzji książki Wiktora Weintrauba *The Poetry of Adam Mickiewicz*, Kridl ogłosił artykuł *Um einen richtigen Zugang zum Leben und Werke Adam Mickiewicz*²⁷, a w wychodzącym wówczas w Warszawie „Pamiętniku Literackim”, po okresie „utrącania druku jego prac w Polsce” (Mayenowa), opublikował głośny szkic *Boje Wilna i Warszawy o nową naukę o literaturze*²⁸. Szkic ten zasługuje na szczególną uwagę. „Został napisany — jak czytamy w przypisie od redakcji — w czerwcu 1947 do zaprojektowanej wówczas książki poświęconej Franciszkowi Siedleckiemu”. Sama data powstania tekstu i czas jego publikacji dziesięć lat później wskazują na zawile losy i jego, i książki, która się nigdy nie ukazała, oraz dobrze dokumentują dzieje prac Kridla w Polsce okresu stalinowskiego. Szkic Kridla opisywał działalność naukową grupy formalistycznie nastawionych badaczy i krytyków, w wielu przypadkach uczniów Kridla, którzy przed wojną „torowali nowe drogi wiedzy o literaturze”. Artykuł znakomicie dokumentował okoliczności powstania i działalność w latach 30. polskiej szkoły formalnej, do której istnienia przyczynił się i której patronował Kridl. Podobnie do innych „amerykańskich” prac Kridla na temat formalizmu, artykuł *Boje Wilna i Warszawy* jeszcze raz demonstrował, jak ogromne znaczenie dla badacza miała problematyka reformy badań literackich i nowych, ergocentrycznych kierunków w nauce o literaturze, zwłaszcza formalizmu. Ze szczególną pasją wspominał aktywność naukową zarówno własną, jak i formalistów polskich: m.in. Kazimierza Wóycickiego, Franciszka Siedleckiego, Jerzego Putramenta, Marię Rzeuską, Kazimierza Budzyka

²⁶ *Adam Mickiewicz: Poet of Poland. A Symposium*, ed. by M. Kridl. New York 1951.

²⁷ M. Kridl, *Um einen richtigen Zugang zum Leben und Werke Adam Mickiewicz*, *Die Welt der Slaven* 1956 z. 1 s. 50–62. Tu również recenzja książki Weintrauba, s. 87–92.

²⁸ M. Kridl, *Boje Wilna i Warszawy o nową naukę o literaturze*, *Pamiętnik Literacki* 1957 z. 2 s. 297–307.

i Dawida Hopensztanda. Kridl dawał wyraz przekonaniu, że pomimo strat, które przyniosła wojna, wysiłki polskich adeptów formalizmu nie poszły na marne i że ich osiągnięcia są wciąż żywe. Pisząc zza oceanu przemawiał dalej głosem mistrza i przewodnika grupy i świadom zagrożeń istniejących w powojennej Polsce wydawał się tym głośniej wzywać swych uczniów i współpracowników do dalszej pracy. „Jedno, co wiemy i o czym możemy zapewnić — kończył Kridl w imieniu grupy — że w pracy tej nie ustaniemy, będziemy ją prowadzić dalej w miarę sił i środków”.

Taki był plan Kridla w 1947 r. Można uznać, że w pracy tej nie ustał, kontynuował bowiem swoje zainteresowania formalizmem, mimo tego, że musiał poświęcać się innym sprawom, jak na przykład działalności popularyzatorskiej. Książka opublikowana w 1957 r. pod tytułem *An Anthology of Polish Literature* była właśnie kolejnym dziełem Kridla popularyzującym literaturę polską²⁹. Jak informuje on w słowie wstępnym, książka była pierwszym w Ameryce tego typu obszernym, bo liczącym 625 stron, zbiorem dzieł literatury polskiej w języku polskim z komentarzami, wyjaśnieniami i biografiami pisarzy po angielsku. Miała ona ułatwić studentom anglojęzycznym studia nad literaturą polską i rozbudzić w nich dalsze nią zainteresowanie. Obejmując najważniejsze utwory literatury polskiej (lub ich najbardziej reprezentatywne fragmenty) od *Bogurodzicy* do Miłosza, antologia była i wciąż jest cenną pomocą dydaktyczną i naukową dla polonisty w Ameryce. Ze wspomnienia Maguire’a wiemy, że jako taka służyła samemu Kridlowi, gdy opierając się na tekstach z antologii zorganizował on jeden z ostatnich swoich wykładów na Columbii. W roku 1964 ukazało się jej drugie wydanie.

Antologia literatury polskiej była ostatnią pracą opublikowaną za życia autora. Kilka innych prac wydanych zostało pośmiertnie, inne pozostały w archiwum w maszynopisach. Wiadome jest, że tuż przed śmiercią Kridl przygotowywał kilka prac, z których dwie ukazały się pośmiertnie w roku 1958. Pierwszą z nich była książka poświęcona poezji lirycznej Juliusza Słowackiego. Gdyby nie jej zawile dzieje wydawnicze, z pewnością zostałaby wydana za życia autora. Jak wspomina Mayenowa, Kridl przygotowywał wstęp do wyboru liryk Słowackiego dla serii „Biblioteka Narodowa”, ale został on przez wydawnictwo odrzucony. W formie siedemdziesięciostronicowej książki w języku angielskim wydało go natomiast wydawnictwo holenderskie Mouton. Praca *The Lyric Poems of Julius Slowacki* wyszła więc najpierw po angielsku, a dopiero rok później po polsku, kiedy to wydał ją Katolicki Uniwersytet Lubelski w swoich „Rocznikach Humanistycznych”³⁰. Podobnie do prac Kridla w języku angielskim o Mickiewiczu, tekst o Słowackim informował czytelnika obcego o wielkim polskim poecie romantycznym, w tym przypadku poecie zupełnie przez tego czytelnika nieznanym. Ale ta praca Kridla miała jeszcze inną wartość, a mianowicie tę, że była innowacyjną analizą języka poetyckiego autora *W Szwajcarii*. Owa innowacyjność polegała na zastosowaniu bliskich Kridlowi narzędzi formalistycznych, które w wielu miejscach analizy pozwoliły mu uchwycić to, co esencjonalne w poezji Słowackiego.

Drugą pracą Kridla opublikowaną z materiałów pośmiertnych był przysłany do kraju przez rodzinę długi i nieskończony szkic *Sprawa realizmu w powieści*³¹. Wydrukowany przez „Pamiętnik Literacki” szkic nie stanowił spójnej całości, ale był przedrukiem notatek autora prowadzonych po polsku i angielsku na temat realizmu. Redakcja pisma poinformowała w krótkiej notce poprzedzającej tekst, że Kridl „nie zdążył tematu opracować”, że do

²⁹ *An Anthology of Polish Literature*, ed. by M. Kridl. New York 1957.

³⁰ M. Kridl, *The Lyric Poems of Julius Slowacki*. ‘s-Gravenhage 1958; *Juliusza Słowackiego liryki*, *Roczniki Humanistyczne* 1959 t. 7 nr 1 s. 5–82.

³¹ M. Kridl, *Sprawa realizmu w powieści*, *Pamiętnik Literacki* 1958 z. 1 s. 157–176.

redakcji „doszły tylko luźne kartki, mówiące o rozmiarach i charakterze zamierzenia, o warsztacie uczonego i jego wątpliwościach” i że „powaga warsztatu Manfreda Kridla, szacunek dla jego pamięci, ważność wreszcie tematu każą nam podać polskiemu czytelnikowi treść pozostawionych przez zmarłego notatek”. Pomimo ich fragmentaryczności czytelnik może częściowo odtworzyć sobie treść i rozmiar dzieła, nad którym Kridl pracował przed śmiercią i które stanowi zamknięcie drogi twórczej wielkiego badacza. Dzieło miało być teorią i historią powieści realistycznej. Miało być analizą struktur i kompozycji tego gatunku literackiego, miało zajmować się elementami fabuły, tematyki i stylu powieści realistycznej, miało wreszcie obejmować utwory i autorów różnych epok (Diderot, Sterne, Balzac, Stendhal). Najbardziej interesujące wydaje się to, że planowane dzieło miało być pracą wykorzystującą narzędzia szkoły formalnej. Wydrukowane notatki odsłoniły bowiem nie tylko plan i temat pracy, ale przede wszystkim formalistyczny warsztat Kridla. Potwierdziły konsekwentność jego postawy badawczej.

Sprawa realizmu w powieści nie jest jedyną pracą spośród materiałów pośmiertnych Kridla. Pozostałe prace, w formie bardziej czy mniej skończonej i nigdy nie wydane, znajdują się w archiwum na Columbii. Archiwum o nazwie „Bakmeteff Archive of Russian and East European History and Culture” mieści się w dziale książek rzadkich i manuskryptów Biblioteki Butler Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Gromadzi ono materiały dotyczące społeczności emigrantów z Rosji i Europy Wschodniej, jak również materiały dokumentujące amerykański punkt widzenia tego regionu. Archiwum mieści ponad milion pozycji w 900. zbiorach. Wśród nich znajduje się „dosyć dobrze skatalogowana” (Valkenier) kolekcja „Manfred Kridl Papers”, dar córki badacza ofiarowany bibliotece w 1979 r. W opisie zbioru można przeczytać, że materiały pochodzą z lat ok. 1925–1974, że jest ich około 5 tys. i że znajdują się w 30. pudełkach. Dalszy opis zawiera krótką notę biograficzną o Kridlu i następującą informację:

Materiały te, dotyczące głównie jego [Kridla] lat w Stanach Zjednoczonych, składają się z korespondencji, rękopisów, dokumentów, fotografii i drukowanych materiałów. Wśród korespondentów są Oskar Halecki, Roman Jakobson, Hans Kohn, Czesław Miłosz, Leszek Serafinowicz (Jan Lechoń), Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin i Florian Znaniecki. Jest po jednym lub dwu listach od Vladimira Nabokova, Harlowa Shapleya i Antoniego Słonimskiego. Rękopisy obejmują wykłady i artykuły Kridla. Są również dokumenty osobiste i rodzinne. Znajduje się około 100 fotografii z Warszawy okresu powstania 1944 roku i okresu zaraz po drugiej wojnie światowej. Materiały drukowane obejmują kopie książek Kridla³².

W opisie tym wymienione zostały nazwiska zaledwie garstki osób, z którymi Kridl korespondował. Warto zatem podać, choćby i selektywnie, więcej nazwisk korespondentów dla unaocznienia, z kim między innymi badacz utrzymywał kontakty. W pudełkach numerowanych od 1 do 5 wśród skatalogowanej alfabetycznie korespondencji pojawiają się m.in. następujące nazwiska: Kazimierz Budzyk, Tadeusz Czeżowski, Albert Einstein, Konrad Górski, Juliusz Kleiner, Julian Krzyżanowski, Waclaw Lednicki, Claude Lévi-

³² „These papers, which concern mostly his years in the United States, consist of correspondence, manuscripts, documents, photographs, and printed materials. Among the correspondents are Oskar Halecki, Roman Jakobson, Hans Kohn, Czesław Miłosz, Leszek Serafinowicz (Jan Lechoń), Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin, and Florian Znaniecki; there are one or two items each from Vladimir Nabokov, Harlow Shapley, and Antoni Słonimski. The manuscripts include lectures and articles by Kridl; there are also personal and family documents. There are about 100 photographs from Warsaw during the 1944 uprising and immediately after World War II. Printed materials include copies of books by Kridl”.

Strauss, Alfred Tarski, Julian Tuwim, Wiktor Weintraub, René Wellek, Wiktor Erlich, Zbigniew Folejewski, Aleksander Hertz, Renata Mayenowa, Maria Rzeuska, Irena Sławińska, Czesław Zgorzelski. Obok nazwisk ludzi nauki i literatury, a wśród nich — jak widać — wielu uczniów wileńskich Kridla, na listach i dokumentach związanych z korespondencją pojawiają się również nazwy różnych instytucji i organizacji, z którymi Kridl wymieniał listy. Wśród korespondentów są zatem redakcje czasopism, wydawnictwa, amerykański Departament Stanu, Ambasada Polska, Uniwersytet Łódzki, Uniwersytet Toruński, Fundacja Forda, Zakład Narodowy im. Ossolińskich i Katolicki Komitet do Spraw Uchodźców.

Pudełka o numerach 6, 7 i 8 zawierają rękopisy wykładów i notatki do zajęć uniwersyteckich z okresu pracy na uniwersytecie w Brukseli, Wilnie, w Smith College i na Columbi. Więcej rękopisów mieszczą pudełka z numeracją od 9 do 15. Obok list publikacji i kopii życiorysu badacza jest tu kopia jego wykładu o Mickiewiczu wygłoszonego dla Organizacji Narodów Zjednoczonych w 1955 r. z okazji setnej rocznicy śmierci poety; są też maszynopisy i rękopisy innych wykładów, szkiców, notatek, bibliografii. Wśród nich znajdują się maszynopisy opublikowanych prac, takich jak *Anthology of Polish Literature*, *The First Polish Translation of the „Slovo”*, *Russian Formalism* czy *The Lyric Poems of Julius Slowacki*. Spośród mniej znanych — lecz jakże ważnych, bo informujących obcego czytelnika o kulturze polskiej — publikacji Kridla umieszczono tu też maszynopisy haseł do encyklopedii i słowników: m.in. hasła *Polish Literature* do *Collier's Encyclopedia* i *The Encyclopedia Americana*³³. To, co w omawianej kolekcji najbardziej interesujące dla krytyka badającego dorobek Kridla, to manuskrypty i maszynopisy prac nigdy nie opublikowanych. Według opisu kolekcji ich liczba jest znaczna, choć trudno jest potwierdzić, które z drobniejszych szkiców były opublikowane, a które nie. Większość, zwłaszcza z wcześniejszych lat działalności naukowej Kridla, doczekała druku. W kolekcji są takie tytuły, jak np.: *Alexandre Fredro, Introduction à la theorie du roman*, *Lyric Poetry and Its Genres*, *Narodziny nowego świata*, *O pierwszej sowieckiej okupacji Wilna*, *O polskości Wilna*, *O tzw. polityce realistycznej*, *Poland's Fight for Democracy*, *Polish Post-War Literature*, *The Position of Poland*, *Present Ideological Trends in Poland*, *Psychologia Sowietystów*, *Wielki szyderca* i inne. Bardzo duża część tych drobnych artykułów, szkiców czy recenzji, niejednokrotnie o tematyce wykraczającej poza naukę o literaturze, była — jak można się domyślać — opublikowana w różnych nieliterackich czasopismach, co umknęło uwadze bibliografów i nigdzie nie zostało odnotowane.

Znajdujące się w kolekcji maszynopisy nigdy nie opublikowanych prac Kridla zawierają szczególnie ważne dwa teksty, nad którymi badacz pracował w okresie amerykańskim w ostatnich latach życia. Są nimi artykuł „What is Theory of Literature?” i obszerna praca, najprawdopodobniej fragment planowanej książki pt. „The Short Stories of Erskine Caldwell”³⁴. W tekście obydwu prac napisanych na maszynie widnieją naniesione ręką autora poprawki. Widać, że dużo pracy włożył on w korektę tekstów już w niektórych partiach gotowych do druku. „What is Theory of Literature?” jest siedmiostronicowym, gęsto zapisanym, tj. bez przerw między liniami, maszynowym tekstem, u którego spodu widnieje ręczny podpis autora. W artykule zostaje podjęta próba odpowiedzi na pytanie postawione w tytule, jak również pytanie, czy w ogóle teoria literatury jest możliwa.

³³ M. Kridl, *Polish Literature*, [w:] *Collier's Encyclopedia*. New York 1965 vol. 19 s. 211–214; *Polish Literature*, [w:] *The Encyclopedia Americana*. New York 1968 vol. 22 s. 306–308.

³⁴ M. Kridl, „What is Theory of Literature?” (maszynopis, 7 s., w Bakhmeteff Archive of Russian and East European History and Culture, Butler Library, Columbia University, Nowy Jork); M. Kridl, „The Short Stories of Erskine Caldwell” (maszynopis, 61 s., w Bakhmeteff Archive).

A zatem jak we wcześniejszych pracach, takich jak książka z 1923 r. *Krytyka i krytycy* czy budzący swego czasu kontrowersje *Wstęp do badań nad dziełem literackim*, Kridl nawet po latach i to w zmienionych warunkach pracy na obczyźnie nie odszedł od nurtujących go podstawowych problemów nauki o literaturze. W artykule pobrzmiewają oczywiście echa jego wcześniejszych przemyśleń i formalistyczne rozumienie teorii literatury stoi u podstaw przedstawianych tu argumentów. Formułując je autor dowodzi, jak istotne dla badań literackich jest istnienie właściwie rozumianej teorii literatury. Możemy przeczytać na przykład takie stwierdzenia: „Jeśli wiedza o literaturze chce naprawdę być wiedzą opartą na podstawach naukowych, musi uprawiać teorię literatury”, teoria literatury „musi być integralną częścią wszelkiej wiedzy i badań o literaturze, ich podstawą i weryfikacją” i badacz literatury „wie, iż jego zadaniem jest najpierw przede wszystkim opisać i wyjaśnić dzieła literackie, ustalić ich miejsce pośród innych dzieł i w ewolucji poszczególnego gatunku, oraz powstrzymać się od wyrażenia moralnych i estetycznych sądów”. Stwierdzenia Kridla zawierają prawdy warte dziś przypomnienia.

Druga, dużo obszerniejsza praca w maszynopisie, „Short Stories of Erskine Caldwell” jest również rozprawą teoretycznoliteracką, choć jest też czymś więcej. Skupia się bowiem na analizie dzieła pisarza amerykańskiego Erskine’a Caldwell’a i bada arcyzm tego dzieła. Kridl określa cel analizy następująco:

Celem naszym jest jak najbardziej obiektywny i dokładny opis jego [Caldwella] dzieła i wyczerpująca analiza najważniejszych chwytów artystycznych, za pomocą których świat przedstawiony jego dzieł zostaje powołany do życia³⁵.

Określając w ten sposób cel Kridl wyraźnie sugeruje, że jego analiza będzie zorientowana formalistycznie. I tak jest w istocie. Porusza on bowiem wiele znanych problemów analizy utworu literackiego, które zawsze stały w centrum zainteresowania szkoły formalnej. Takimi problemami są: brak związku dzieła literackiego z konkretną rzeczywistością pozaliteracką, niemożność utożsamienia autora z jego dziełem i fikcyjność literatury. Wszystkie te problemy są istotne — podkreśla Kridl — przy analizie dzieła Caldwell’a, który pisał utwory fikcji literackiej i jednocześnie uprawiał pisarstwo dziennikarskie, oraz którego utwory krytykowano za to, że świat przedstawiony w nich nie jest „prawdziwy”. Kridl jednak przede wszystkim analizuje rozmaite elementy i chwyt techniki pisarskiej Caldwell’a, co pozwala mu nie tylko dokonać klasyfikacji wszystkich analizowanych opowiadań i uchwycić to, co esencjonalne w ich strukturze, ale również odsłonić „podstawowe cechy imaginacji twórczej” amerykańskiego pisarza.

„Short Stories of Erskine Caldwell” jest pracą nie skończoną — nagle jej tekst w środku rozważań o przestrzeni i czasie w utworach Caldwell’a urywa się. Z zamieszczonego na początku pracy planu czy spisu treści można odczytać, jakie inne rozdziały Kridl planował do pracy dodać. Można też zauważyć, że maszynopis stanowi zaledwie połowę zamierzonego projektu — z siedemnastu rozdziałów podanych w planie maszynopis zawiera tekst tylko dziewięciu. Pracę o Caldwellu trzeba uznać za ostatnie lub jedno z ostatnich dzieł, nad którymi Kridl pracował w ostatnich miesiącach przed śmiercią, która nadeszła 4 lutego 1957 r.

Dorobek naukowy — jakże okazały! — który Kridl zostawił pracując na emigracji w Ameryce, pokazuje, że „wygnanie w tym pięknym, ale jakże obcym kraju” znosił badacz pracowicie i twórczo. I należy ten etap jego pracy uznać za równie ważny jak etapy poprzednie. Był on jednak odmienny z tego powodu, że z jednej strony Kridl pracując na

³⁵ „Our aim is as objective and accurate a description of his work as possible, and an exhaustive analysis of the most important artistic devices by means of which the world revealed in his works comes alive”. M. Kridl, „The Short Stories of Erskine Caldwell”, s. 3c. (Tłum. — A.K.)

obczyźnie musiał uprawiać działalność naukową i dydaktyczną zorientowaną na inne problemy i inne cele niż praca w kraju. Z drugiej strony konsekwentnie realizował swój program badań naukowych, zwłaszcza w zakresie teorii literatury, zapoczątkowanych przed wojną w Polsce.

„Po śmierci profesora skończyła się katedra” — napisał Miłosz we wspomnieniu o Kridlu i losach katedry na Columbii. Jednak dziedzictwo profesora trwało i trwa. Wprawdzie katedry nigdy nie reaktywowano, ale próby utrzymania polonistyki na Columbii były i są podejmowane. Dziś polonistyka na Columbii jest — zapewnia wykładająca tam literaturę polską profesor i poetka Anna Frajlich. To jednak wiedza przekazana uczniom, a przede wszystkim prace naukowe Kridla decydują o trwałym dziedzictwie pozostawionym przez niego po okresie działalności naukowej tak w Polsce, jak i w Ameryce. Wzniesione lub wydane pośmiertnie niektóre spośród jego prac są tego niezbitym dowodem³⁶.

³⁶ Obok wyżej wskazanych dzieł, takich jak *Polska myśl demokratyczna w ciągu wieków*, *For Your Freedom and Ours* czy *Sprawa realizmu w powieści*, należy wskazać choćby artykuł *W sprawie Wyspiańskiego* w antologii: *Polska krytyka literacka 1919–1939*, red. J. Z. Jakubowski (Warszawa 1966) czy książkę *Wstęp do badań nad dziełem literackim* (Würzburg 1978). Oddzielną kategorię stanowiłyby tu, należące do bibliografii przedmiotowej, niezliczone publikacje innych autorów omawiające działalność naukową Kridla.

ET IN ARCADIA EGO. **OBRAZ I SŁOWO** **W NAJNOWSZEJ POEZJI** **ANDRZEJA BUSZY**

Beata TARNOWSKA (Olsztyn)

W najnowszej poezji Andrzeja Buszy, powstałej oryginalnie w języku angielskim i przyswojonej polszczyźnie przez Bogdana Czaykowskiego¹, odniesienia do innych sztuk — pośród których szczególnie uprzywilejowaną pozycję zajmuje malarstwo — są ważnym chwytem artystycznym. Już na początku lat 70., w nie opublikowanych dotąd „Notes towards Poetic Credo”, postrzegając poezję jako wyizolowany z rzeczywistości zewnętrznej, niepowtarzalny świat barw i form linearno-geometrycznych, poeta wykazywał „postawę korespondencyjną”:

Kiedy tworzę wiersze, zajmuje mnie nie tylko semantyka, składnia i fonetyka, ale również dobór kolorów, geometryczne struktury, harmonie ruchu i akordy asocjacji².

Strukturę własnego świata poetyckiego, będącego „próbą połączenia tendencji kubi-
stycznych i ekspresjonistycznych z symbolizmem”, autor „Notes” opisywał zestawiając z twórczością angielskiego poety i plastyka, Michaela Bullocka³. Żywej paletce barw,

¹ A. Busza, *Glosy i refrakcje*, przeł. z ang. B. Czaykowski. Berlin-Toronto 2001 (dalej używam skrótu GR. Liczba podana obok oznacza numer strony). Zob. rec.: J. Pasternski, *Ścieżka, cedr i inne znaki*, *Fraza* 2001 nr 4 s. 251–254.

² A. Busza, „Notes towards a Poetic Credo” [mps], s. 5.

³ Zob. przekłady Bullocka autorstwa A. Buszy, B. Czaykowskiego i W. Leach w „Oficynie Poetów” 1970 nr 3 s. 16–18. Inaczej postrzegał relacje pomiędzy obiema poetykami Paul Green, umieszczający je w kontekście neosurrealistycznych tendencji występujących we współczesnej poezji kanadyjskiej. Zob.: P. Green, *The Relevance of Surrealism with Some Canadian Perspectives*, *Mosaic* 1969 Summer Issue 2/4 s. 66–67. Phyllis Webb zauważa natomiast, że poezja Buszy wpisuje się w tradycję poezji europejskiej, gdzie „cienie Baudelaire’a, symbolistów i surrealistów zjawiają się niemal na wyciągnięcie ręki”. P. Webb, [rec.: *Volvox, Poetry from the Unofficial*

konstituującej przestrzeń w wierszach Bullocka — „zieleni, czerni i czerwieni” Busza przeciwstawiał własne upodobania kolorystyczne: „barokowe złocenia, czernie, biele i błękity”. Predylekcję do linii, które „wiją się i kręcą, i owijają dokoła siebie jak pnącza”, „nieprzewidywalnych jak płynąca zakolami rzeka”, porównywał z własną skłonnością do ostrych kontrastów oraz zgeometryzowanych form przestrzennych:

Mój własny *inscape* [...] opiera się na równomiernym rozłożeniu akcentów. Podskórne konstruktywne wzory są w istocie geometryczne. Nawet zjawiska naturalne wydają się zorganizowane wedle Euklidesowych konfiguracji. Kontrasty są ostre i mocno zarysowane jakby w jońskim słońcu⁴.

W tym dążeniu do geometryzacji oraz ukrytego konstruktywizmu przejawiał się rys apolliński: poezja sytuująca siebie w opozycji do zewnętrznego, pogrążonego w chaosie świata, stanowiła zarazem próbę jego świadomego uporządkowania:

Nieusatsfakcjonowany zewnętrznym światem, poeta kreuje w swojej wyobraźni inny świat, należący do niego i całkowicie mu posłuszny. Relacja pomiędzy tym światem a światem „prawdziwym” polega w dużej mierze na kontraście⁵.

Obok sygnalizowanej autonomizacji świata poetyckiego, Busza — także w najnowszej poezji — usiłuje przekroczyć w jakimś sensie ograniczenia tworzywa słownego. Słowo, wychylone w stronę innych sztuk, i pochłaniające je zarazem, zaczyna być rodzajem meta-tekstu, „znakiem znaków”. Malarskość tej poezji, przejawiająca się w dążeniu do ewokowania skojarzeń wizualnych, zwłaszcza tych związanych z dziełami sztuki, w jeszcze większym stopniu niż dotychczas staje się jednym z głównych jej wyznaczników.

Wiersze o malarstwie, zwane ekfrazą, znano już w starożytności. Wywodząca się ze słynnej horacjańskiej formuły *ut pictura poesis* (poemat to jak obraz), tradycja utożsamiania poezji i malarstwa ukonstytuowana była na przekonaniu, iż poezja, podobnie jak sztuki plastyczne, wywołuje przedstawienia oglądowe, tylko należą one do sfery oglądowości wyobraźniowej. Obok podobieństw, łączących obie te dziedziny artystyczne, dostrzegano także różnice ich jakości i wartości⁶. Po okresie największego rozpowszechnienia horacjańskiej formuły, jakie nastąpiło w epoce Odrodzenia, Gotthold Ephraim Lessing w słynnym *Laokoonie* (1766) wyznaczył granice poezji i malarstwa, uznając literaturę za sztukę czasową, zaś malarstwo — przestrzenną⁷.

Languages of Canada — in English Translation, ed. by J. M. Yates and Ch. Lillard. Port Clements 1971] — audycja radiowa, mps z archiwum B. Czaykowskiego.

⁴ A. Busza, „Notes...”, s. 6. Termin *inscape* jest trudno przetłumaczalnym neologizmem, stworzonym przez Gerarda Manleya Hopkinsa na oznaczenie „złożonej z danych zmysłowych szczególności i niepowtarzalności przedmiotu, która składa się na jego wewnętrzną jedność”. Zob.: St. Barańczak, *Nieśmiertelny diament: o poezji Hopkinsa*, [w:] G. M. Hopkins, *Wybór poezji*, przeł. St. Barańczak. Kraków 1981 s. 7.

W porównaniu z wcześniejszą poezją, w tomie *Glosy i refrakcje* Andrzej Busza poszerza zakres wykorzystywanej gamy kolorystycznej. Obok dominującej czerni i bieli, pojawiają się różne odcienie czerwieni, a także złoto i błękity. Nieco rzadziej występuje srebro i zieleń; sporadycznie natomiast — kolory ziemi: umbrzy, szarości i brązy.

⁵ A. Busza, „Notes...”, s. 4.

⁶ Leonardo da Vinci, na przykład, w *Traktacie o malarstwie* zakwestionował rozpowszechnione jeszcze w poprzedniej epoce przeświadczenie o wyższości poezji nad malarstwem. Zob.: M. Rzepińska, *Leonarda da Vinci „Traktat o malarstwie”*. Wrocław 1984 s. 8–21.

⁷ G. E. Lessing, *Laokoon, czyli o granicach malarstwa i poezji, cz. 1.*, przeł. H. Zymon-Dębicki. Wrocław 1962. Zob.: H. Markiewicz, *Wymiary dzieła literackiego*. Kraków 1984 (rozdz. *Obrazowość a ikonizacja literatury*).

Obecność „momentu plastyczno-malarskiego w sztuce słowa” podkreślana jest także współcześnie⁸, ale zdania na temat przekładu intersemiotycznego wydają się wciąż mocno podzielone. W polskich badaniach podejmujących temat „wzajemnego oświeclania się sztuk” dominuje przeświadczenie, że — jak pisze Alina Kowalczykowa — „języki różnych sztuk nie są przekładalne”⁹. Ten sam pogląd wyraża m.in. Ryszard Nycz, twierdząc, iż „słowa naśladować mogą [...] jedynie słowa”¹⁰, a także Erazm Kuźma, który tezę o pozorności „przekładu” jednego systemu znaków na drugi uzasadnia w następujący sposób:

Ponieważ barwa czy linia nie są znakami, między systemem malarstwa i poezji brak jest symetrii. Można je tylko porównywać, ale trzeba ustalić płaszczyznę pośredniczącą między systemami — metasemantykę¹¹.

Inaczej — choć nie do końca zgodnie¹² — traktują natomiast ów problem semiotycy, zakładający ontologiczną jedność znaków występujących w kulturze. Zdaniem Seweryny Wystouch,

nie ma powodu, by kwestionować możliwość intersemiotycznego przekładu, skoro status ontologiczny literatury, filmu i sztuk plastycznych jest taki sam: stanowią wtórne języki, nadbudowane nad językami prymarnymi: naturalnym i wizualnym¹³.

Do „wierszy mówiących o sztuce”, opozycyjnych względem „wierszy milczących o sztuce”¹⁴, należy cykl *Pory roku*¹⁵. Choć zarówno tytuł, jak i schemat konstrukcyjny cyklu nawiązują bezpośrednio do koncertu skrzypcowego *Cztery pory roku* Antonio Vivaldiego¹⁶, przedmiotem opisu nie stają się wrażenia wywołane odbiorem muzyki, lecz przestrzeń percypowana przez pryzmat dzieł malarskich. Przywoływane nazwiska malarzy reprezentujących różne epoki i kierunki w sztuce, pojawiają się tutaj na zasadzie

⁸ W ostatnich latach wzrosła w Polsce liczba opracowań poświęconych temu zagadnieniu. Zob. bibliografię w książce: S. Wystouch, *Literatura i semiotyka*. Warszawa 2001 s. 17.

⁹ A. Kowalczykowa, *O wzajemnym oświeclaniu się sztuk w romantyzmie*, [w:] *Pogranicza i korespondencje sztuk*, pod red. T. Cieślakowskiej i J. Sławińskiego. Wrocław 1980 s. 179.

¹⁰ R. Nycz, *Tekstowy świat. Poststrukturalizm a wiedza o literaturze*. Warszawa 1993 s. 76.

¹¹ E. Kuźma, *Granice porównywalności poezji z malarstwem i filmem. (Na przykładzie wczesnej fazy polskiej poezji awangardowej)*, [w:] *Pogranicza...*, s. 258.

¹² Zob.: E. Benveniste, *Semiotologia języka*, [w:] *Znak, styl i konwencja*, wybrał M. Głowiński. Warszawa 1977 s. 36.

¹³ S. Wystouch, *Literatura a sztuki wizualne*. Warszawa 1994 s. 185. Zob.: U. Eco, *Pejzaż semiotyczny*, przeł. A. Weinsberg. Warszawa 1972.

¹⁴ Określenie zaproponowane przez E. Balcerzana (*Poezja jako semiotyka*, [w:] *Pogranicza...*, s. 22). W rozróżnieniu tym Balcerzan widzi wybór nacechowany światopoglądowo: poezja „milcząca o sztuce” pomija estetykę sztuki. Zob.: tegoż, *Poezja polska w latach 1939–1965, cz. 2*. Warszawa 1988 s. 196. Podobny podział proponuje Adam Czerniawski, pisząc o poetach-„sztukmistrzach”, którzy czerpią inspirację z „cudzej wyobraźni”, i „romantykach”, którzy kontemplując rzeczywistość bezpośrednio dostępną zmysłom, świadomie wykluczają z kolei świat kultury. Tegoż, *Światy umowne. Szkice o wierszu współczesnym*. Warszawa 2001 s. 98–102.

¹⁵ Zob. rec.: E. Zyman, *Et in Arcadia Ego*, *Dziennik* 14–16 XII 2001 s. 9.

¹⁶ Transmutację na poziomie konstrukcyjnym, będącą nie tylko aktywizowaniem pamięci muzycznej odbiorcy, ale także jego wiedzy na temat terminologii fachowej, Edward Balcerzan nazywa tendencją muzykologiczną. Zob. tegoż, *Poezja polska w latach...*, s. 200. Por.: J. Opalski, *O sposobach istnienia utworu muzycznego w dziele literackim*, [w:] *Pogranicza...*, s. 60–62. Utworem Buszy, który powiela schemat kompozycji muzycznej jest również cykl poetycki *Wariacje* (GR 25–29). Cztery części cyklu, nawiązujące do wariacji orkiestrowej *Enigma variations* (1899) angielskiego kompozytora Edwarda Williama Elgara, stanowią różne ujęcia motywu tajemnicy.

„klucza” otwierającego przed obytym ze sztuką czytelnikiem rozległe pole asocjacji¹⁷. Ten sam fragment wizualnej rzeczywistości postrzegany jest w kilku odsłonach: upersonifikowana ścieżka wśród drzew, będąca adresatem całego cyklu, jawi się w coraz to innych barwach i kształtach. Poprzez rejestrowanie zmiennych wyglądnw rzeczy, poeta nawiązuje do twórczości Claude’a Moneta, który malując wielokrotnie ten sam wycinek natury, za każdym razem uzyskiwał inne wrażenie kolorystyczne:

Monet nasyczał światłem płótno za płótnem
Malując te samą fasadę Katedry w Rouen
I ty moja ścieżko wśród drzew
Godna jesteś wielu jasnych wierszy

GR 31

W wierszu Buszy nie dzieła kultury naśladowują naturę, lecz odwrotnie: to upostaciowana natura zdaje się kopiować ów wyizolowany z rzeczywistości empirycznej, konstytuujący sam siebie świat sztuki, a także stykającą się z nim bezpośrednio „zewnętrznosc” — wernisaże, wystawy, pokazy mody:

Jarzębina ubrała się w barocco jagód
A przez polanki ścielą się dywany
Według ostatniej jesiennej mody
[...]
I choć nie jesteś Galerią Tate ani V i A czy Ermitażem
Jesteś mi ścieżko moją osobistą galerią
Otwarcie nowej wystawy każdego sezonu
Codzienny wernisaż dla wiewiórek i ptaków

GR 30

Odwrócenie zasady *mimesis*, wedle której natura służy za zwierciadło dla dzieł sztuki, może być rozumiane jako żart. Natura obnaża bowiem aspekt „sztuczności”, nieoczekiwanie stając się wtórnym językiem nadbudowanym nad językiem prymarnym¹⁸, którym w tym kontekście jest metarzeczywisty świat ludzkich twórnw. W tym właśnie świecie-lustrze przegląda się przyroda, kopiując formy i zróżnicowane w zależności od pór roku barwy, jakie stosowali słynni malarze. Przyroda „naśladowuje” więc występujące w sztukach plastycznych s t y l e —

Jarzębina ubrała się w barocco jagód

GR 30

k o l o r y —

Rdzawymi brązami ciemnym złotem w rosach
Liście dębów i klonów przeplotły się geometrycznie

¹⁷ Seweryna Wysłouch wyróżnia następujące typy nawiązań metatekstowych, pomagających w identyfikacji malarskiego tematu: nawiązania metatekstualne (przywołanie nazwiska twórcy i tytułu dzieła) oraz nawiązania intertekstualne (werbalizacja i opis cudzego tekstu). Zdaniem Wysłouch, metatekstowe przywołania — które mogą obejmować zarówno nazwisko twórcy, jak i nazwę dzieła, bądź tylko jeden z tych elementów — najczęściej umieszczone są w tytule utworu, ewentualnie nazwisko wprowadzone zostaje w dedykacji. Sygnały metatekstowe mogą również znajdować się w samym tekście. S. Wysłouch, *Literatura i semiotyka...*, s. 86. Por.: E. Balcerzan, *Poezja jako semiotyka sztuki*, [w:] *Pogranicza...*, s. 21–39; Z. Łapiński, „*Ja piszę, ty malujesz*”, [w:] tamże, s. 205–221; E. Kuźma, *Granice porównywalności*, [w:] tamże, s. 257–269.

¹⁸ Zob.: S. Wysłouch, *Literatura i semiotyka...*, s. 22.

Na wzór brokat Owena Jonesa
Iglaste krzewy oczywiście mają jak zwykle jak zawsze
Ową szczególną barwę niebieskości Morrisa

GR 30

i f o r m y —

[...] zębate koła i zwoje kolczastych jeżyn
Bezlistne brzozy z węzłami letnich gniazd
Rzeźbią i dziergają ten promienny dzień
I olśniewająco czyste niebo chłodnego błękitu

GR 31

Każda pora roku posiada swoje kolorystyczno-przedstawieniowe ekwiwalenty w dziełach poszczególnych malarzy. Wczesną jesień „reprezentują” brązowo-złote brokаты Owena Jonesa oraz „niebieskości” Williama Morrisa — angielskich plastyków doby przedsecesyjnej¹⁹, listopad — neoplastycyzm Mondriana, sprowadzający rzeczy do elementarnych form i kolorów, „zimowe szarości i umbry” Giotta wiosną zamienione zostają na „soczystą zieleń i wesoły wiridian” Botticellego, a lato przybiera postać znaną ze świetlistych pejzaży Claude’a Lorraine’a, zwanego w Anglii Claude’m.

Jesienno-zimowa panorama Vancouver widziana jest przez pryzmat dzieł utrzymanych zarówno w konwencji przedstawieniowej —

Na Brzegu Północnym jodły wydają się wbiegać
Na lukrowane zbocza jak w krajobrazie Wili.²⁰

GR 31

jak i tych, na których wszelkie odniesienia do realnej rzeczywistości są już tylko domysłem:

A Delta którą przyprószył pierwszy śnieg
To czysty Mondrian późnej paryskiej fazy
Dla samolotu który właśnie ląduje

GR 31

W inspirowanych wielkomijskim środowiskiem kompozycjach paryskiej fazy (1912–1914) twórczości Pieta Mondriana przedmioty wydawały się oddalać i zwężać, zrywając tym samym więzy z dostępną zmysłowo rzeczywistością. Widziany z okna samolotu, zimowy pejzaż Delty — przybrzeżnej części położonego nad zatoką Vancouver, ujścia rzeki Fraser — na wzór dzieł Mondriana zdaje się być geometryczną konstrukcją zrytmizowanych form, wyrażającą harmonię odwiecznego porządku wszechrzeczy²¹. Odwołując się zarówno do pamięci artystycznej odbiorcy, jak i jego wrażeń wywołanych

¹⁹ Owen Jones (1809–1874), angielski plastyk, architekt, projektant wnętrza i tkanin, prekursor Art Nouveau. William Morris (1834–1898), angielski plastyk, poeta i pisarz związany z grupą pre-rafaelitów, prekursor Art Nouveau.

²⁰ Zdaniem A. Buszy, wiele obrazów jego Żony „to uproszczone quasi-krajobrazy”. Z listu do autorki niniejszego artykułu z 2 X 2002 r.

²¹ Metaforyka odnosząca się do konwencji nieprzedstawiającej zdominowała także poetyckie widzenie zimowego pejzażu w wierszach Bogdana Czaykowskiego: „śniegiem przeproszone abstrakcje czarnych gałęzi”; „grafika czarno-białych akcentów i blask / suchy, iskrowy, chrzęszczący jak pancierz”. Zob.: tegoż, *Wiatr z innej strony. Wiersze zebrane z lat 1953–1989*. Kraków 1990 s. 116, 182. Nawiązania do malarstwa, szczególnie holenderskiego XVII wieku, w o wiele większym stopniu występują w poezji Adama Czerniawskiego. Zob. na ten temat: A. Dziadek, *Problem ekphrasis — dwa „Widoki Delft” (Adam Czerniawski i Adam Zagajewski)*, *Teksty Drugie* 2000 nr 4 s. 141–151; W. Lięża, *Jerozolima i Babilon. Miasta poetów emigracyjnych*. Kraków 1998 s. 266–273.

równy do pamięci artystycznej odbiorcy, jak i jego wrażeń wywołanych widzeniem krajobrazu „z lotu ptaka”, Busza osiąga iluzję naocności.

W trzeciej części cyklu, nadejście wiosny porównane zostaje z początkiem nowej epoki w dziejach europejskiego malarstwa: „Jak kiedy po Giotcie nastał Botticelli” (GR 32). Charakteryzująca średniowieczne freski Giotto asceza środków wyrazu, zastąpiona została żywą kolorystyką oraz iluzją ruchu, jakie nieodłącznie towarzyszą przedstawieniom Botticellego:

Ledwo świt a tu już smukłe wiązy i brzozy
Stoją po kostkach w stokrotach i narcyzach
Kwitnące obłoki sypią śnieg
Pachnących płatków na trawę i ścieżkę
Zachodni wiatr rozgarnia samowolnie liście
Jak kiedy wężo-głowy kaduceusz
Merkuriusz wkładał w mirtę i kwiaty pomarańczy
By dosięgnąć słodczy lazuruowego nieba

GR 32

Zza ukazującego się oczom podmiotu pejzażu prześwieca idylliczna przestrzeń odzwierciedlona w obrazie Sandro Botticellego *Primavera* (1482)²². Smukłe wiązy i brzozy, jak też stokrotki i narcyzy — elementy północnego pejzażu — niepostrzeżenie łączą się ze zmitologizowaną wizją uwiecznioną na płótnie mistrza włoskiego renesansu, zastępując niejako obecne tam pomarańczowe drzewa oraz śródziemnomorskie gatunki kwiatów. Na konkretyzację malarskiego dzieła pozwalają dwa, przywołane w wierszu jego elementy: upersonifikowana postać wiatru rozgarniającego gałęzie (z prawej strony obrazu wylatujący spośród drzew bóg wiatrów Zefir stara się pochwycić spacerującą Flore), a także umiejscowiona po lewej stronie postać boga Merkurego, który kaduceuszem rozprasza chmury²³.

Arkadyjska wizja pojawia się także w czwartej części, przywołującej z kolei obrazy pejzażystów francuskich XVII wieku, Claude’a Lorraine’a i Nicolasa Poussina:

Pod lśniąca miedzią słońca w aureoli
Letni przedwieczór drzemie
W brzęczeniu sennych pszczół
I rymujących pizzicato cykad
Po brzegi wypełniona słodczy soków
Spływa wzdłuż liści uwzorzonych żyłkami
Pstrokacąc ciepłe trawy pośród drzew
A spod cienistych żywopłotów
Patrzają oczami niedźwiadków jagody
Ze skosem wieczoru odpływa przypyływ Claude’a
Może usłyszysz fujarkę Fauna ucichającą w mroku
Poświata zmarmurza drzewa drzewa przybierają
pozy klasyczne
Et in Arcadia Ego

GR 33

²² Zob.: Ch. Dempsey, *The Portrayal of Love. Botticelli's „Primavera” at the Time of Lorenzo the Magnificent*. Princeton 1998.

²³ Według J. E. Circlota, istotę kaduceusza określa układ składających się nań elementów: symetrycznie oplatające pręt węże odzwierciedlają „zawsze tę samą ideę aktywnej równowagi antagonistycznych sił wzajemnie się hamujących, by mogła zaistnieć forma wyższa, statyczna”. Wedle niektórych legend, posiadający magiczną moc kaduceusz Merkurego nie tylko przemieniał w złoto wszystko, czego dotknął, ale nawet ciemności był w stanie przemienić w światło. Zob.: J. E. Circlot, *Słownik symboli*, tłum. I. Kania. Kraków 2000 s. 173–174.

Przestrzeń liryczna, w której pojawiają się rekwizyty o antycznej proveniencji, stanowi poetycką syntezę świata przedstawionego na płótnach dawnych mistrzów²⁴. Poeta akcentuje przede wszystkim najbardziej charakterystyczne elementy idyllicznych pejzaży Lorraine'a: refleksy światła na pomarszczonej lekką bryzą, morskiej tafli, kępy otulonych zachodzącym słońcem drzew, zastygłych jakby w znieruchomiałym, przejrzystym powietrzu²⁵. Na Lorrainowską wizję krainy szczęśliwości, gdzie ludzie i zwierzęta ukazani są w zgodnym bytowaniu, i nic nie mąci przepojonej błogością atmosfery, nakładają się reminiscencje obrazów Nicolasa Poussina, który czasami burzył idyllę wprowadzając doń elementy przypominające o nieuchronności przeznaczenia i śmierci²⁶.

W odróżnieniu od pełnego dynamiki, radosnego obrazu z trzeciej części, część czwarta wydaje się pogrążona w bezruchu: świat „pod miedzią słońca” chyli się ku wieczorowi, fujarka „ucicha w mroku”²⁷. Zastygnięcie w marmur, jak również przywołanie postaci przedwcześnie zmarłego poety, Johna Keatsa („zupełnie jak gdybyś czytywała

²⁴ Obrazy Lorraine'a i Poussina stały się także inspiracją wiersza Czesława Miłosza *Szczęście* z 1948 r.:

Jak ciepłe światło! Z różowej zatoki
Choiły masztów, odpoczynek lin
We mgłach poranka. Tam, gdzie w wody morza
Sączy się strumień, przy mostku, dźwięk fletu.
Dalej, pod łukiem starożytnych ruin
Widać idące maleńkie postacie,
Jedna ma chustkę czerwoną. Są drzewa,
Baszty i góry o wczesnej godzinie.

Cyt. za: Cz. Miłosz, *Wiersze*, t. 2. Kraków 1993 s. 87. Płótna Lorraine'a inspirowały często twórczość angielskich poetów XVIII wieku; śladem tej fascynacji jest również wiersz Johna Keatsa *Oda do urny greckiej*, a także cykl wierszy *Zaproszenie do podróży* Teofila Gautiera i Charlesa Baudelaire'a. Zob. też przekład wiersza Baudelaire'a *Les Phares* [*Pochodnie*], poświęconego sztuce wielkich malarzy w: J. Starzyński, *O romantycznej syntezie sztuk. Delacroix, Chopin, Baudelaire*. Warszawa 1965 s. 223–224.

²⁵ Wedle *Larousse Encyclopedia of Renaissance & Baroque Art*, „dominującym elementem [...] obrazów [Lorraine'a — B.T.] jest światło. [...] Ta świetlistość osiągnęła zenit w latach 1640–1655, gdy Claude namalował serię płócien przedstawiających zatoki portowe o wschodzie lub zachodzie słońca. Słońce jest w nich umieszczone centralnie, nisko, a jego silne promienie zatrzymują się na kolumnach, olinowaniu statków, na wzgórkach i na ruinach. Jest to zarazem najbardziej poussinowski okres w malarstwie Claude'a”. Cyt. za: R. Goczyńska, *Podróżny świata. Rozmowy z Czesławem Miłoszem. Komentarze*. Kraków 1992 s. 363.

²⁶ Napięcie dramatyczne emanuje m.in. z obrazu *Orfeusz i Eurydyka* (ok. 1648), na którym idealistyczny pejzaż kontrastuje ze sceną śmiertelnego ukąszenia Eurydyki przez węża. Podobny kontrast występuje w obrazie *Człowiek duszony przez węża*, gdzie budząca grozę scena przedstawiona została w samym rogu kompozycji. Zob.: A. Oseka, *Spojrzenie na sztukę*. Warszawa 1987 s. 57; G. P. Bellori, *Życie Mikołaja Poussina. Poussin i teoria klasycyzmu*, oprac. J. Białostocki. Wrocław 1953; A. Blunt, *The Paintings of Nicolas Poussin* (The Mellon Lectures). Princeton, N.J. 1967.

²⁷ W XX-wiecznej poezji motyw „śmierci” fletu — symbolu harmonii — łączy się ze zburzeniem Arkadii. Jak pisze Ryszard Przybylski: „Symbolami harmonii były początkowo tylko antyczna lira i chrześcijańskie organy. Lecz kiedy sztuka, broniąc się rozpaczliwie przed chaosem, zaczęła uciekać do Arkadii Poussina, w idealny pejzaż Lorraine'a, kryć się w żelaznej konstrukcji mszy muzycznej Bacha, koncertach Vivaldiego, i kantatach Haendla, symbolami harmonii stały się również takie instrumenty jak flet, trąbka i skrzypce. [...] Instrumenty te zostały włączone w «orkiestrę polifoniczną świata» grającą na chwałę boskiej harmonii”. Tegoż, *To jest klasycyzm*. Warszawa 1978 s. 128.

Keatsa” — GR 33²⁸), ewokuje symboliczne znaczenia, zrozumiałe przez metonimię. Przede wszystkim przywodzi na myśl ciężar nagrobnej płyty i ciszę cmentarza. Kończące wiersz zdanie „Et in Arcadia Ego” sygnalizuje, podejmowany zwłaszcza w sztuce klasycystycznej, temat „śmierci w Arkadii”. Ta słynna inskrypcja, która pojawia się w malarstwie europejskim począwszy od obrazu Giovanniego Francesca Guercina *Et in Arcadia ego* (ok. 1621–1623), widnieje również na płótnie Nicolasa Poussina *Pasterze arkadyjscy* (znanym także jako *Et in Arcadia ego*). Jako werbalny element wkomponowany w dzieła Guercina i Poussina, wyrażenie to staje się łącznikiem pomiędzy wierszem Buszy a warstwą przedstawieniową przywoływanych obrazów.

Obie wersje Poussinowskiej kompozycji (ok. 1630 oraz 1640) ukazujące grupę osób zgromadzonych przy kamiennym grobowcu, różnią się m.in. znaczącym detalem: na pierwszym obrazie, bliższym średniowiecznej tradycji moralizatorskiej, ukazana została spoczywająca na grobie trupa czaszka, symbol śmierci. Wersja druga, zgodnie z prawidłami teorii sztuki klasycznej pozbawiona tego ponurego przedmiotu, stanowi jedynie elegijne kontemplowanie idei śmiertelności²⁹. Zdaniem wielu komentatorów, sens łacińskiego napisu zawiera się w imaginatywnych słowach wypowiedzianych przez śmierć: „Ja, Śmierć, istnieję nawet w Arkadii”. Natomiast amerykański historyk sztuki Erwin Panofsky, wkładając te słowa w usta zmarłego, opowiada się za ich odmiennym znaczeniem: „Ja również żyłem w Arkadii”³⁰. Panofsky treść słów interpretuje wprawdzie w sposób niezgodny z zasadami łacińskiej gramatyki, ale za to odzwierciedlający elegijno-sentymentalny nastrój, jaki wyraża ostateczna wersja Poussinowskiej kompozycji. Podobnie jak Poussin, Busza ukrył dramatyzm przedstawianej sceny, w o wiele mniejszym nawet stopniu ewokując znaki śmierci³¹. Idylliczność przestrzeni, zarówno tej percypowanej w bezpośrednim oglądzie, jak i wyłaniającej się z płócien dawnych mistrzów oraz z poematów Keatsa, skonstrastowana jednak zostaje ze złowrogim sensem zawierającym się w tajemniczo brzmiących słowach.

Obok najliczniej reprezentowanych odniesień do sztuk niewerbalnych, zwłaszcza plastycznych, poeta nawiązuje również do sztuki synkretycznej, jaką jest film³². Wiersz *Szkie burzy* łączy, zawierające się już w tytule, odniesienia do malarstwa z ukrytym „qu-

²⁸ Por. na przykład: J. Keats, *Ode to a Nightingale*, [w:] F. T. Palgrave, *The Golden Treasury*, Penguin Books 1994 s. 275–277. W utworze tym Keats przedstawia kontrast pomiędzy kruchością ludzkiego życia a nieśmiertelnością piękna, upostaciowanego w śpiewie słowika.

²⁹ *Et in Arcadia Ego* stanowi również tytuł obrazu George’a Wilhelma Kolbego (ok. 1801), przywołującego charakterystyczne dla elegijnej tradycji XVIII wieku porównanie śmierć-nowe życie: „para w miłosnym objęciu stoi przed klasycystycznym sarkofagiem, otoczonym bujną, kwitnącą roślinnością; z przodu widać gigantyczne liście kapusty z wielkimi, wyjedzonymi przez robaki dziurami; są to niewątpliwie symbole *vanitas*. Ponad krzakami i kwiatami wysoko tryskają ku górze kłosa, triumfalnie zapowiadające nowe życie rozwijające się w przyrodzie”. J. Białostocki, *Płec śmierci*. Gdańsk 1999 s. 134.

³⁰ E. Panofsky, *Poussin and the Elegiae Tradition. Meaning in the Visual Arts*. New York 1965 s. 295–322; tegoż, *Studia z historii sztuki*, oprac. J. Białostocki. Warszawa 1971 s. 324–342 (rozd.: „*Et in Arcadia ego*”. *Poussin i tradycja elegijna*). Por.: J. Białostocki, *Teoria i twórczość. O tradycji i inwencji w teorii sztuki i ikonografii*. Poznań 1961 s. 127–131; R. Przybylski, „*Et in Arcadia ego*”. *Esej o tęsknotach poetów*. Warszawa 1966 s. 136–140.

³¹ Obok grobowca, w kompozycji Poussina można dostrzec jeszcze inne, związane ze śmiercią, symbole: cień rzucany przez rękę pasterza przybiera kształt kosi, a postać stojącej kobiety przywodzi na myśl uosobienie Przeznaczenia.

³² Zob.: J. Makota, *O klasyfikacji sztuk pięknych. Z badań nad estetyką współczesną*. Kraków 1964 s. 226–231.

asi-cytatem”³³ z wypowiedzi filmowej. Obraz pejzażu przefiltrowany przez umysł innego artysty, Vincenta van Gogha

czarne pióra topól
dymy
na obrzeżach
krajobrazu

nieco bliżej
skiby rysują
kordurojowymi falami
pochyłe pole

wrony van gogha
kraczą
w mroczność drzew

sąsiaduje tutaj z wizją zapośredniczoną z *Psa andaluzyjskiego* — pierwszego filmu hiszpańskiego reżysera Luisa Buñuela, zrealizowanego w 1928 r. wespół z Salvadorem Dalim:

z ołowiu
chmury
błysk jak brzytwa
tnie oko

i śle ziarnisty deszcz
zabarwiony krwawo
ściekami i rowami

GR 11

Treść tego epatującego dziwnością i grozą filmu, będącego ciągiem sekwencji nie przystających do siebie pod względem przyczynowo-skutkowym, odzwierciedlała idee zawarte w manifestach Andre Bretona. Oto jak opisuje fragment dzieła Buñuela Ewa Królikowska:

człowiek ostrzący brzytwę — księżyc — słynne ujęcie brzytwy, przecinającej oko i wypływająca zeń, przezroczysta masa — mężczyzna, jadący ulicą na rowerze — kobieta z mężczyzną śledzą przez okno wypadek, przewracającego się rowerzystę, jego agonię — zbiegowisko, na ulicy leży już tylko oderwana dłoń...³⁴

Celem surrealistycznej zasady zestawiania przedmiotów i zjawisk jak najbardziej do siebie nie przystających, było ewokowanie nowego, spowitego tajemnicą sensu.

Dokonując intersemiotycznego przekładu z różnych pod względem tworzywa tekstów kultury, poeta w pewien sposób „współzawodniczy” z nimi: ożywia treści przedstawione na obrazie („wrony van gogha / kraczą” — GR 11), a wyizolowaną z filmu sekwencję unieruchamia i traktuje, jak gdyby była obrazem. Jak zauważa Edward Balcerzan,

w transmutacji dzieła malarskiego niesłychanie trudno zachować wrażenie bezruchu, wizję rzeczy i gestów zakrzepłych w olejnej fakturze. Z reguły poetyckie „przekłady”

³³ Określenie Danuty Danek. Zob.: tejsze, *O cytatach struktur (quasi-cytatach) i ich funkcji w wewnętrznej polemice literackiej*, [w:] *Prace z poetyki poświęcone VI Międzynarodowemu Kongresowi Słowistów*, pod red. M. R. Mayenowej i J. Sławińskiego. Wrocław 1968 s. 78–102.

³⁴ E. Królikowska, *Śladami Buñuela. Kino hiszpańskie*. Warszawa 1988 s. 78. Kilka lat po zrealizowaniu tego filmu, motyw utraty oka stał się obsesją w twórczości innego malarza, Victora Braunera. Zob.: K. Janicka, *Surrealizm*. Warszawa 1985 s. 113–120; *Encyklopedia surrealizmu*, przeł. K. Janicka. Warszawa 1993 s. 162.

z malarstwa, także z fotografii [...] stają się opisami widowsk. Portrety zaczynają mówić, faktura ulega dynamizacji — teatralnej lub filmowej³⁵.

W przeciwieństwie do tchnącego spokojem, klasycznego pejzażu z czwartej części *Pór roku*, *Szkic burzy* jest próbą uchwycenia ruchliwości form, jakie współtworzą pejzaż kinetyczny³⁶. Podkreśleniu towarzyszących burzy, negatywnych emocji służy kompozycja kolorystyczna, harmonizująca z konwulsyjną atmosferą pejzażu: czerń topól i wron, a także szarość dymów oraz ołowiany kolor chmur korespondują z czerwienią błyskawicy zakrwawionej brzytwy. Metafora „czarne pióra topól”, wskazująca na pewien ambiwalentny atrybut przywołanych tu drzew, obok czerni ewokuje miękkość i „skrzydłatość”. Przeginane wiatrem, smukłe drzewa zdają się wlatywać w powietrze. Zdaniem Gastona Bachelarda, „wszelka forma smukła dąży wzwyż, ku światłu. Kształt smukły to ucieleśniony poryw”³⁷. Ten odzwierciedlający gwałtowność wiatru obraz nie sugeruje jednakże radości, z jaką kojarzy wzbijanie się w górę Bachelard, a jedynie lęk i niepokój. Obok kontrastowych barw, także wyginające się linie (kształty drzew na wietrze, dymów, „falujących” pól) ewokują owo wrażenie wibrowania, które stanowi rozpoznawalny element ekspresyjnego stylu twórczości Vincenta van Gogha. Przeciwwagą dla niespokojnej linii staje się natomiast prosty kształt tnącej oko brzytwy³⁸, wprowadzający kulminacyjny moment okaleczenia ciała, paroksyzm szaleństwa.

Podobny schemat łączenia metatekstualnych odniesień do malarstwa z ukrytym „*quasi*-cytatem” z wypowiedzi filmowej występuje w wierszu *Klowni na deszczu i wietrze*, nawiązującym do jednego z ulubionych motywów w malarstwie Marca Chagalla. W wierszu tym można odnaleźć najważniejsze elementy onirycznej twórczości francuskiego malarza, jak przepojony poezją irrealizm, kolor przeradzający się w światło, fascynację nieważkością i tańcem, a nawet dążenie do geometryzacji przestrzennych form.

gdyby padał śnieg
wtopiliby się
w zimowy krajobraz

ale jest tylko
ciemna noc
wietrzna i dżdżysta

³⁵ E. Balcerzan, *Poezja polska...*, s. 204.

³⁶ Warto przytoczyć w tym miejscu fragment *Traktatu o malarstwie* Leonarda da Vinci, zawierający wskazówki dotyczące sposobu przedstawienia w obrazie nawałnicy: „Aby dobrze przedstawić burzę, stwórz naprzód chmury rozbite i potargane, lecące z biegiem wiatru w towarzystwie piaszczystej kurzawy, wzbitej z wybrzeży morskich; i gałęzie, i liście, niesione potęgą wściekłego wichru i rozproszone w powietrzu wraz z innymi przedmiotami lekkimi. Drzewa i zioła, pochylone ku ziemi, zdają się, jakby chciały mknąć za biegiem wiatrów, z gałęzmi wychylonymi z ich naturalnej drogi i poplątanymi, odwróconymi liśćmi [...]. Powietrze straszne z powodu ciemności grubych, wywołanych przez kurz, mgłę i gęste chmury”. Cyt. za: M. Rzepińska, *Leonarda da Vinci „Traktat...”, s. 63.*

³⁷ G. Bachelard, *Wyobraźnia poetycka. Wybór pism*, tłum. H. Chudak, A. Tatarkiewicz. Warszawa 1975 s. 196.

³⁸ Natrętnie powracająca w całej poezji Andrzeja Buszy obecność rzeczy raniących: ostrych, twardych, zimnych i chropowatych, ewokuje nie tylko fizyczne i duchowe cierpienia, ale jest również zapowiedzią unicestwienia. Jak pisze Teresa Michałowska, brzytwa lub nóż — atrybuty Fortuny — „mogły radykalnie przeciąć i zniszczyć ludzkie szczęście”. Też, *Poetyka i poezja. Studia i szkice staropolskie*. Warszawa 1982 s. 372.

idą więc
 ręka w rękę
 po bruku lśniącym jak ikra
 niebieskoocy
 pod błękitnymi parasolami

 marząc o Pauzylipie
 jak jaskółki
 tęskniące do południowych nieb

 globusy ulicznych latarni
 o Charlot o Chagallu
 tańczą wesoło
 wokół skweru

 gdy niespodziewanie
 wcale nie wzywany
 wilgotny półksiężyc
 wyslizga się z przedarć
 chmur

 i bierze
 w złoty nawias
 ich groteskowy pochód
 i świat

GR 13–14

W kompozycji kolorystycznej wiersza dominują odcienie czerni („ciemna noc”, „jaskółki”) i błękitu („niebieskoocy / pod błękitnymi parasolami”, „południowe nieba”), skontrastowane z bielą cyrkowych kostiumów, oraz światłem ulicznych latarni i wyzierającego zza chmur księżyc³⁹. Najobficiej reprezentowany błękit, kojarzący się z otchłanią nieba, dałą, i tym, co nierzeczywiste⁴⁰, wraz z motywem ptaków oraz tańca symbolizuje ulotny świat marzeń. Podobnie jak w twórczości Chagalla, opozycja góra-dół⁴¹ ulega tutaj zaburzeniu: idące pod parasolami postacie kłownów zdają się odrywać od ziemi, i zniknąć w padającym z góry strumieniu księżycowego światła.

Na wizję zainspirowaną malarstwem francuskiego artysty, nakłada się reminiscencja z romantycznej komedii francuskiego reżysera Marcela Carne’a *Komedianci* (1945)⁴². Jak pisze Jerzy Płażewski,

rzadko udaje się artyście wizja tak sugestywna, że widz godzi się wejść z nim w świat zupełnie nowy, niezwykle, nieznan z doświadczenia, a jednak od razu dobrze znajomy. [...] Dążenie Carnego do elegancji stylu, do starannych, wyszukanych oświetleń nie kłó-

³⁹ W podobnej tonacji kolorystycznej utrzymany został m.in. obraz *Clown na koniu* (1927), na którym ciemne tło kontrastuje z wielobarwnymi, jakby przesycenymi złotym światłem, figurami przywołanych w tytule postaci. Umieszczając postać kłowna na kole, fosforyzującym jak bańka mydlana, Chagall kolejny raz potwierdza swą fascynację nieważkością i cyrkową ekwilibrystyką.

⁴⁰ Zob.: *Leksykon symboli Herder*, oprac. M. Oesterreicher-Mollwo, przeł. J. Prokopiuk. Warszawa 1992 s. 17–18; M. Rzepińska, *Historia koloru w dziejach malarstwa europejskiego*. Kraków 1983 s. 126.

⁴¹ Por.: J. Łotman, *Struktura tekstu artystycznego*, przeł. A. Tanalska. Warszawa 1984 s. 312–326.

⁴² Informację tę zawdzięczam samemu Poeicie: „Wiersz o kłownach kojarzy mi się z deszczowym wieczorem, w który byłem na filmie Marcel Carne’a *Les Enfants du Paradis*. Charlot to oczywiście Chaplin”. Z listu Andrzeja Buszy do autorki niniejszego artykułu z 20 IX 2002 r.

ciło się z milczącą sztuką smutnego mima Baptiste [...], zakochanego do szaleństwa w enigmatycznie pięknej Garance⁴³.

Niekiedy w miejsce wyraźnych sygnałów metatekstualnych, jakimi są przywołane nazwiska artystów, poeta jedynie werbalizuje świat przedstawiony w obrazie. W wierszu *Glosa do sonetu 130* — będącym w równym stopniu głosem do utworu Williama Szekspira, jak i obrazu *Dama z gronostajem* Leonarda da Vinci — identyfikacja malarskiego wzorca nie nastręcza trudności tym bardziej, iż obok przywołania warstwy przedstawieniowej obrazu pojawia się imię jego twórcy. Dwa teksty kultury, do których nawiązuje Busza, zestawione zostały na zasadzie kontrastu. Sonet Szekspira przedstawiając choć „wartą kochania”, to wcale nie piękną kochankę, parodiuje zarazem fałszujące rzeczywistość konwencje opisu kobiecej urody:

W oczach kochanki mojej słońce nie lśni,
Czerwień koralu barwę warg przerasta,
Przy bieli śniegu smagłe są jej piersi,
Włos jak drut czarny jej głowę porasta.
Róże z Damaszku znam, białoczerwone,
Lecz na jej licu róż tych nie dostrzegam;
I znam pachnidła wonią nasycone
Milszą niż tchnienie, co z jej ust wybiega,
Lubię, gdy mówi, lecz wiem doskonale,
Że stokroć bardziej mnie muzyka wzrusza;
Bogin chodzących nie widziałem wcale,
A wiem, że miła ciężko się porusza.
Lecz, na niebios, jest warta kochania
Ponad fałszywe wszelkie porównania!⁴⁴

Ucieleśnieniem piękna, którego Szekspirowski bohater nie odnajduje w pospolitej kochance, wydaje się natomiast intrygująca dama z wiersza Buszy:

twe oczy wcale nie są jako słońca
w ich abstrakcyjnym szafirze
czają się cienie chłodu

fałda czerwieni twoich ust
asymptota namiętności i perfekcji
przeczy uśmiechom Leonarda

przyciśnięty do twej piersi
gronostaj
moja przewrotna madonno
tak gładki i nieskazitelny
wsuwa swój łasy ryjek
w fałdy brokatu

zapomniany florentyński autor
sonetów
orzekł że zdajesz się raczej słuchać
niżli mówić

a jednak zmrożona muzyka
twej twarzy

⁴³ J. Płażewski, *Historia filmu dla każdego (1895–1980)*. Warszawa 1986 s. 124.

⁴⁴ W. Shakespeare, *Dziela. Sonety*, tłum. M. Słomczyński. Kraków 1988 s. 138.

przyprawiła mnie nieraz
prawie o szaleństwo

GR 15

Dama z gronostajem (ok. 1485), w polskiej literaturze zwana *Damą z łasiczką*, przedstawia Cecylię Gallerani, córkę ambasadora mediolańskiego i faworytę księcia Mediolanu Lodovica il Moro, którego porównywano do łasicy⁴⁵. Dzięki przywołaniu słynnego obrazu, wygląd „przewrotnej madonny” może pokrywać się z wyobrażeniem, jakie potencjalnie wytworzy w swoim umyśle czytelnik. W rezultacie wiersz Buszy — zakotwiczony głębiej w rzeczywistości wizualnej — wymaga mniej uzupełnień konkretyzacyjnych⁴⁶. W przeciwieństwie do autora sonetu, który usiłuje zrekonstruować wygląd nieznaną czytającemu osoby, Busza odwołuje się do wrażeń zmagazynowanych w artystycznej pamięci odbiorcy.

O wyższości obrazu nad poetyckim słowem, które — stwarzając „świat najbardziej spośród wszystkich «światów» sztuki iluzoryczny”⁴⁷ — nie może konkurować z obrazem w dziedzinie przedstawiania wyglądom rzeczy, pisał m.in. Lessing. Zdaniem autora *Laokoona*, poeta — w przeciwieństwie do malarza — nie może przedstawić obrazu rzeczy, której elementy znajdowałyby się równocześnie obok siebie, gdyż „wyobraźnia ludzka nie jest zdolna przedstawić sobie, jaki efekt dają razem te usta i ten nos, i te oczy, jeśli nie przypominamy sobie podobnej kompozycji takich części w naturze czy sztuce”⁴⁸. Lessing zalecał zatem poetom:

malujcie [...] upodobanie, skłonność, miłość, zachwyty, który wzbudza piękność, a odmalujecie samą piękność!⁴⁹

Elementem łączącym wiersz Buszy z sonetem Szekspira jest — obok wykorzystania barokowego konceptu — ukazanie siły oddziaływania przedstawianych postaci. W *Glosie do sonetu 130* poetyckie „ja” ulega jakby rozszczepieniu: z jednej strony przywdziewa bowiem historyczny kostium enigmatycznego wielbiciela Cecylii Gallerani, z drugiej zaś — pozostaje współczesnym miłośnikiem sztuki, który kontemplując obraz, przekracza zarazem w swej wyobraźni granicę między tym wyizolowanym ze świata empirii dziełem, a zewnętrzną wobec niego rzeczywistością⁵⁰.

Przykładem transmutacji właściwej (tj. odnoszącej się do sztuk niewerbalnych), jest wiersz *Burgundia*, którego obrazowanie oparte zostało na heraldyce. Sygnałem wskazującym, iż właśnie herb księstwa Burgundii stanowi — mówiąc językiem semiotyki — ro-

⁴⁵ Zob.: G. Vasari, *Żywoty najslawniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów*, tłum. K. Estreicher. Warszawa 1980 s. 306.

⁴⁶ Por. pojęcie „miejsc niedookreślonych” w: R. Ingarden, *O dziele literackim. Badania z pogranicza ontologii, teorii języka i filozofii literatury*, przeł. M. Turowicz. Warszawa 1988 s. 316–326.

⁴⁷ Jak pisze Janina Makota, „Dzieło malarskie nie dopomina się o uzupełnienia akustyczne, dzieło muzyczne nie oczekuje uzupełnień optycznych. A dzieło literackie wymaga jednych i drugich, i wielu jeszcze innych”. Tejże, *O klasyfikacji sztuk pięknych...*, s. 185.

⁴⁸ G. E. Lessing, *Laokoon...*, s. 86.

⁴⁹ Tamże, s. 92. Wedle Lessinga, wzór godny naśladowania stanowi *Iliada* Homera, w której opis wielkiej urody Heleny zastąpiony został sugestywną reakcją podziwiających ją starców — członków rady starszych ludu trojańskiego.

⁵⁰ Podobnie ukształtowana sytuacja liryczna pojawia się w wierszu Adama Czerniawskiego *Embarquement pour Cythere*. Dama z przywoływanego w tytule obrazu Antoine’a Watteau *Odjazd na Cyterę* (1717), choć przeniesiona we współczesną scenerię, „zapatrzona w miasto zadymione”, odpływa na łodzi ku wyspom szczęśliwym, i na pożegnanie macha dłonią: „Białą rękę podniosła na znak, że / Mnie widzi i pamięta”. Zob.: A. Czerniawski, *Poezje zebrane*. Łódź 1993 s. 13.

dzaj prototekstu⁵¹, jest obok odwołań do jego warstwy materialnej („aksamitne brzegi”, lewe półkole), fragmentaryczna werbalizacja warstwy przedstawieniowej („lew na tylnych łapach wspięty / w polu gwiazd”, kwiaty lilii).

czerwony księżyc nad Burgundią

i nawet aksamitne brzegi
są zabarwione
herbową czerwienią
gdzie w lewym półkolu
słynie Yonne

na lewo od Vezeley
Lew na tylnych łapach
wspięty w polu gwiazd
rdzawych jak fleurs-de-lys
na zmrożonych szronem łąkach
Murtenu i Nancy

mise en abime
srebrny gołąb
głosi krew
krzyże za krzyżami
Deus le volt
oultre mer
gdzie grobowiec

państwo głązów
wiecznie suchy
zbeszczeszczony pyłem

Allah akbar
sokół spada
na ogrody z damascenu
z krzykiem co przesywa serce

zranione serce Kriemhildy
gdy ujrzała
śmierć Sigurda
i radosną twarz
Brunhildy

żyzna gleba Burgundia
obradza purpurą winnic
złotem płowych zbóż
pod czerwienią słońca
pod sierpem księżycza

GR 20

⁵¹ Literackie kompozycje odwołujące się do herbów, ich wyobrażeń plastycznych oraz symboliki, szczególnie popularne były w literaturze staropolskiej, zwłaszcza barokowej. Zob.: P. Buchwald-Pelcowa, *Na pograniczu emblematów i stemmatów*, [w:] *Słowo i obraz. Materiały Sympozjum Komitetu Nauk o Sztuce PAN Nieborów, 29 września–1 października 1977 r.*, pod red. A. Morawińskiej. Warszawa 1982 s. 73–95; J. A. Chrościcki, *Pompa funebris. Z dziejów kultury staropolskiej*. Warszawa 1974; tegoż, *Barokowa architektura okazjonalna*, [w:] *Wiek XVII. Kontrreformacja. Barok. Prace z historii kultury*, pod red. J. Pelca. Wrocław 1970.

Dwa wewnętrzne elementy herbu — lew i lilie — jako atrybuty królewskiej i książęcej władzy, są najczęściej spotykane w heraldyce średniowiecznej. Wedle *The Oxford Guide to Heraldry*,

Lew [...] w heraldyce pojawia się w wielu pozach, z których najpowszechniejsze jest ukazanie go wspinającego się na tylne łapy, a także idącego z uniesioną przednią łapą, a głową zwróconą w lewo⁵².

Podobnie istotną rolę spełnia w heraldyce kwiat lilii,

gdyż — jak podaje *Leksykon symboli* — lilie są kwiatami królewskimi [...], szczególnie dlatego, że ich kształt przypomina berło⁵³.

Kwiaty lilii, od 1179 r. zdobiące herb królów Francji, w strukturze świata przedstawionego w utworze Buszy stanowią symbol śmierci: „fleurs-de-lys / na zmrożonych szronem łąkach” — bitewnych polach Murteny i Nancy. Pod Nancy, w bitwie ze Szwajcarami w 1477 r. poległ książę Burgundii Karol Śmiały (1433–1477)⁵⁴, którego słowa zamieszczone zostały jako motto utworu: *Qui a terre, il a guerre, et qui a chevance, il a process* [„Kto ma ziemię, ten ma wojnę, / a kto ma mienie, ten ma kłopoty”]⁵⁵.

Nasylenie przestrzeni przedstawionej w wierszu czerwienią (jednej z pięciu barw heraldycznych, obok zieleni, błękitu, purpury i czerni), posiada wymowę symboliczną⁵⁶: wiersz niejako egzemplifikuje znaczenia, jakimi „obdarza” czerwień chrześcijańskie średniowiecze. Jak pisze Maria Rzepińska, „czerwień [wiązana jest w średniowieczu — B.T.] ze słońcem, ogniem, latem i Marsem — bogiem wojny”. Jako uosobienie destrukcyjnej siły ognia, barwa ta interpretowana była również jako znak-symbol Sądu Ostatecz-

⁵² Th. Woodcock, J. M. Robinson, *The Oxford Guide to Heraldry*. Oxford 1988 s. 203.

⁵³ H. Biederman, *Leksykon symboli*, tłum. J. Rubinowicz. Warszawa 2001 s. 194; „stylizowany kwiat wzorowany na lilii czy irysie, powszechnie spotykany w Królewskiej Armii Francuskiej, wykorzystywany był w Anglii aż do 1801 r.”. Zob. też: *The Oxford Guide to Heraldry...*, s. 201. Opis nie istniejącej w naturze lilii heraldycznej odnajdujemy w słowniku J. E. Circlota: „Emblemat ma za podstawę trójkąt przedstawiający wodę. Powyżej jest krzyż (konjunkcja i urzeczywistnienie duchowe), poszerzony dwoma symetrycznymi liśćmi, które owijają się wokół belki poziomej. Centralna wznosi się prosto ku niebu jako symbol zwykle przypisywanych jej treści”. J. E. Circlot, *Słownik symboli*, s. 229.

⁵⁴ „Książę Burgundii, syn Filipa Dobrego objął rządy w Burgundii jeszcze za życia ojca, kiedy ten ciężko zachorował, i natychmiast wszedł w konflikt z królem francuskim, Ludwikiem XI. Zostawszy księciem w 1467 roku, dążył do rozszerzenia swego panowania aż po Ren, co doprowadziło do konfrontacji z cesarzem niemieckim, Fryderykiem III, i Szwajcarami, którzy obawiali się, że ekspansja terytorialna Burgundii naruszy równowagę sił w Europie. W czasie tych walk zginął w bitwie ze Szwajcarami pod Nancy, w 1477 r. Wraz z jego śmiercią skończył się najbardziej ambitny z planów politycznych Burgundii”. *Średniowiecze. Encyklopedia popularna*, oprac. H. R. Loyn. Warszawa 1996 s. 168.

⁵⁵ Wiersz Buszy, w którym pojawiają się zwroty w języku francuskim oraz arabskim, należy niewątpliwie do „utworów wielojęzycznych”. Innojęzyczne wtręty, które skupiając uwagę odbiorcy, rozbijają brzmieniową spójność wypowiedzi, uzasadnione są odwołaniem do określonego kontekstu kulturowego oraz historycznego. Por.: L. Forstner, *The Poets' Tongues: Multilingualism in Literature*. Cambridge 1970 s. 74n.

⁵⁶ Zdaniem Juana E. Circlota, zarówno zewnętrzne elementy herbu, jak i wewnętrzne — w tym kolory, metale, tła i figury — oprócz sensu dosłownego oraz anegdotycznego, związanego ze swym pochodzeniem, posiadają również sens symboliczny: „Metale i kolory można «odczytywać» w świetle właściwej im symboliki”. J. E. Circlot, *Słownik symboli*, s. 157.

nego⁵⁷. To dwojake znaczenie odzwierciedlone zostało z jednej strony, w obrazach winnic rosnących na „żywej glebie Burgundii”, z drugiej — zwiastującego śmierć, czerwonego księżycyca.

Zza pojawiających się na tarczy herbu figur, które — jak półksiężyc⁵⁸ czy lew wspięty na tylnych łapach, sugerują siłę, dominację, wojnę i przelew krwi, przeświecają historyczne wydarzenia. Nazwy miejscowości stają się znakami Historii, jak wspomniane już Murten i Nancy, czy Vezeley, gdzie święty Bernard z Clairvaux (1090–1153), teolog i mistyk cysterski, w 1146 r. nawoływał do drugiej wyprawy krzyżowej („srebrny gołąb / głosi krew”). Przywołane w wierszu słowa *Deus volt* [Bóg tak chce] stały się hasłem bojowym krucjat prowadzonych w celu „wyzwolenia” grobu Chrystusa w Palestynie⁵⁹.

W rozległy kontekst historyczno-kulturowy, ukazujący zderzenie cywilizacji chrześcijańskiej ze światem islamu (por.: „*Allah akbar* [Allah jest wielki], sokół spada / na ogrody z damascenu / z krzykiem co przeszywa serce”), wplecione zostały odwołania do *Sagi o Nibelungach* Ryszarda Wagnera („zranione serce Kriemhildy / gdy ujrzała / śmierć Sigurda / i radosną twarz / Brunhildy” — GR 21). Wiersz, w którym odwołania do odległych, historycznych wydarzeń krzyżują się ze światem mitów i legend, wywołuje wrażenie ornamentacyjnego fryzu, na którym poszczególne elementy, usytuowane obok siebie w arbitralnie wyznaczonym porządku, zdają się odsyłać do ahistorycznej rzeczywistości linearnych form i kolorów.

Odwołania do sztuk niewerbalnych, z których najczęściej reprezentowane jest malarstwo, jak również synkretycznych, jak film, wzbogacają ogląd rzeczywistości przedstawionej w wierszach Buszy. Posiłkując się utrwalonym w dziełach sztuki spojrzeniem innych artystów, poeta ukierunkowuje zarazem konkretyzacyjne wyobrażenia odbiorcy, którego wiedza oraz określony poziom kultury intelektualnej wydają się z góry założone⁶⁰. Otwarcie na sztuki operujące odmiennym tworzywem oznacza też chęć poszerzenia możliwości słowa zarówno w zakresie wizualnych skojarzeń, jak i schematów konstrukcyjnych. Charakterystycznym chwytem w najnowszej poezji Buszy jest nawiązywanie do dzieł nie tylko różniących się pod względem tworzywa, ale należących do bardzo odległych nieraz epok i stylów. Poetycki świat, w którym dzieła dawnych mistrzów malarstwa sąsiadują z XX-wieczną sztuką filmową, przywodzi na myśl awan-

⁵⁷ M. Rzepińska, *Historia koloru...*, s. 118. „Ogromna rola emocjonalna i estetyczna czerwieni jest spadkiem po tradycjach antycznej purpury, barwy władzy, cesarstwa i najwyższego kapłaństwa. [...] Od niepamiętnych czasów i we wszystkich kulturach czerwień wiązała się z pojęciem sił życiowych, ognia, krwi, wojny, namiętności i płodności. Jest to kolor [...] «ziemski»”. Tamże, s. 126.

⁵⁸ Symboliczne znaczenie półksiężycyca jest ambiwalentne. Według J. E. Circlota, w zachodniej emblematyce średniowiecznej sierp księżycyca, przedstawiony razem z gwiazdą, symbolizuje wyobrażenie raju. Tegoż, *Słownik symboli*, s. 368. Półksiężyc otaczający gwiazdę jest także — od czasu wypraw krzyżowych — emblematem świata muzułmańskiego. Natomiast pokrewny wyobrażeniu półksiężycyca sierp, obok znaczenia dorocznych żniw, stanowi symbol czasu i śmierci (jako żniwiarza). Zob.: tegoż, *Leksykon symboli...*, s. 128, 144.

⁵⁹ *Średniowiecze...*, s. 70.

⁶⁰ Jak pisze Edward Balcerzan, „większe zobowiązania wobec artystycznych doświadczeń odbiorcy podejmuje się zazwyczaj w nurtach klasycyzujących, mniejsze — w kręgach romantycznych. Sztuka pojawia się częściej jako temat poezji kultury, rzadziej bywa tematem poezji natury”. E. Balcerzan, *Poezja jako semiotyka...*, s. 22.

gardowy kolaż, będący w istocie rozpaczliwą próbą tworzenia syntezy „z resztek pękniętej rzeczywistości”⁶¹.

Phyllis Webb, określając wiersze Buszy mianem „poezji wygnania, a nie nowego ładu”⁶², sugerowała brak zakorzenienia poety w Kanadzie. Przed „próżnią straszną, olbrzymimi przestrzeniami pomiędzy Vancouver a Toronto i Ottawą”⁶³, poeta chroni się w świat europejskiej kultury. Metaforę przytoczoną przez kanadyjską pisarkę można rozumieć jednakże inaczej: jako ontologiczną bezdomność, na jaką skazuje siebie ta — na styku różnych tradycji kreująca swe pozaprzestrzenne światy („wszędzie i nigdzie”) — nowoczesna liryka.

⁶¹ Por.: H. Friedrich, *Struktura nowoczesnej liryki. Od połowy XIX do połowy XX wieku*, przeł. E. Feliksiak. Warszawa 1978 s. 232. Zob.: E. Kuźma, *Granice porównywalności*, s. 263. Por.: R. Nycz, *Tekstowy świat...*, s. 189–224 (rozd. *O kolażu tekstowym. Zarys dziejów pojęcia*).

⁶² P. Webb, [rec.: *Volvox...*] . „Czystą mową wygnania” nazwał swój język Saint-John Perse w utworze *Exil [Wygnanie]* z 1942 r. S.-J. Perse, *Anabaza*, przeł. Z. Bieńkowski. Warszawa 1980 s. 107.

⁶³ Z rozmowy przeprowadzonej z Andrzejem Buszą przez autorkę niniejszego artykułu, 30 IV 1998 r. w Londynie.

O MALARSTWIE LEONA WEISSBERGA

Jerzy MALINOWSKI (Warszawa-Toruń)

W latach 1925–1926 działała w Paryżu „Grupa Czterech”, którą założyli polscy malarze o żydowskich korzeniach, pochodzący ze Lwowa i ziemi lwowskiej — Alfred Aberdam, Zygmunt Menkes, Joachim Weingart i Leon Weissberg. Działalność grupy omówiłem w publikacji *O genezie i twórczości tzw. Grupy Czterech*, także w artykułach poświęconych jej członkom¹.

Najmniej znanym w Polsce współzałożycielem „Grupy Czterech” był Leon Weissberg². Urodził się on w Przeworsku w 1894 (lub 1893). Pochodził z zamożnej rodziny; ojciec posiadał wytwórnię wody sodowej i drukarnię. Przyszły artysta od 1902 r. uczył się w gimnazjum klasycznym w Wiedniu. Po zdaniu matury w 1910 r., wbrew naciskom ojca, który pragnął skierować go na studia prawnicze, pozbawił pomocy finansowej, zaczął studia w wiedeńskiej Kunstgewerbeschule (Szkoła Rzemiosł Artystycznych), a następnie w Akademii Sztuk Pięknych. Zmobilizowany w 1916 r., służył do końca wojny w armii austriackiej.

W 1918 r. powrócił do domu, lecz wkrótce rodzina wysłała go na studia prawnicze do Berlina. Nie rozpoczął ich jednak. Podejmował się różnych prac, by utrzymać się przy życiu. Grał epizodyczne role w filmie i teatrze. Pisał sztuki, z których jedna, *Wojna i pokój*,

¹ *O genezie tzw. Grupy Czterech*, Zabytkoznawstwo i Konserwatorstwo 2000 t. 31 s. 159–192 — wersja francuska: *Genèse artistique du Groupe des Quatre* [w:] *École de Paris — le groupe des Quatre*. Paris 2000 s. 45–75; Alfred Aberdam — malarz „École de Paris” [w:] *Mistrzowi Mieczy-sławowi Porębskiemu uczniowie*, pod red. T. Gryglewicza [i in.]. Kraków 2001 s. 235–256; *Twórczość malarska Joachima Weingarta*, Pamiętnik Sztuk Pięknych 2002 nr 2. Na publikację oczekuje obszerny tekst poświęcony twórczości Zygmunta Menkesa.

² Szczegółowy życiorys i katalog dzieł malarskich zawiera publikacja *Weissberg* (Paris 1980), z przedmową Philippe Soupaulta, wydana przez L. Lachenal (córkę artysty) i K. Mesdaga Rittera. O artyście pisali także: H. Fenster, *Undzere farpajnitge kinstler*. Paris 1951 s. 96–99; Ch. Aronson, *Bilder un gesztalt fun Montparnas (Scenes et visages de Montparnasse)*. Paris 1963 s. 312–317; *Weissberg. Rétrospective 1924–1942, katalog wystawy*. Paris: Galerie Mann, 1998 (zawiera przedruki tekstów J.-M. Dunoyer, Ph. Soupaulta, J. Malinowskiego, Ch. Aronsona i H. Fenster). Wspomniana książka *École de Paris — le groupe des Quatre* zawiera m.in. tekst J.-M. Dunoyer *Leon Weissberg* (s. 85–107) i obszerny biogram wraz z fragmentami wypowiedzi o artyście (s. 130–140).

miała być wystawiona z pewnym sukcesem. Pracował jako skrzypek w kabarecie. W 1919 r. podjął dalsze studia w ASP w Monachium. W 1922 r. odwiedził Włochy, Holandię i Belgię, a w 1923 r. przybył do Paryża i osiedlił się na Montparnasse. Zygmunt Menkes wspominał, że poznał Weissberga w kawiarni La Rotonde o drugiej w nocy, tuż po jego przyjeździe do stolicy Francji, i zaproponował mu nocleg w swoim pokoju hotelowym³.

Geneza twórczości Weissberga nie jest znana. Wiadomo, że w Berlinie w 1918 r. malował m.in. portrety na zamówienie. W Wiedniu, Berlinie i Monachium zetknął się z ekspresjonizmem. Pierwszy znany obraz — *Portret żydowskiego chłopca* — z około 1922 r. charakteryzuje się linearnym ujęciem, które zapewne jest wynikiem kontaktu z rodzącą się w Niemczech nową rzeczowością.

Nie wiadomo, gdzie i w jakich okolicznościach powstał *Portret Franza Kafki*. Wybitny pisarz zmarł w 1924 r., portret zapewne musiał być wykonany w 1923 r. Postać Kafki Weissberg ujął realistycznie. Jest to jednak typ realizmu, który kształtował się około 1920 r. pod wpływem zmian wniesionych przez postimpresjonizm. *Portret Franza Kafki* utrzymany został w żółtawo-brunatnym kolorycie. Rysy twarzy, poza i przedmioty, w tym półki z książkami, świadczące o profesji portretowanego, oddane zostały z dużą precyzją.

Typem poży do tego portretu zbliżone są dwa następne ważne paryskie dzieła Weissberga *Portret Tobiasza Habera* (malarza z Łodzi, przebywającego w Paryżu; 1924) i *Portret Leopolda Zborowskiego* (1926). Zborowski interesował się od 1925 r. twórczością artysty i kupował jego obrazy. Haber i Zborowski ujęci zostali w analogicznej pozycji, co Kafka, a więc siedząc na krześle, z twarzą lekko zwróconą w lewo i ze złożonymi rękami. Obraz wiszący w tle portretu Habera, a papiery i atrament na stoliku obok Zborowskiego podobnie wskazywały na zawód portretowanych. Wszystkie trzy portrety typem twarzy pełnej melancholii i gestów rąk przypominały nieco twórczość Mojżesza Kislinga. Bardziej ekspresyjny wydaje się natomiast, ujęty w popiersiu na neutralnym tle, *Portret rosyjskiego malarza* (1926).

W połowie lat 20. Weissberg malował przede wszystkim martwe natury. Wykonana po przyjeździe do Paryża *Martwa natura z kałamarzem* (1924) wykazuje wpływy kubizmu przejawiające się w geometryzacji przedmiotów i spłaszczeniu przestrzeni, zbliżając się nieco do *Martwej natury* Aberdama z 1923 r. W następnych martwych naturach związki z kubizmem zanikały. Ślady kubistycznej geometryzacji przedmiotów odnaleźć można jeszcze w *Martwej naturze ze świecznikiem* (1925), zaś efekt kubistycznego spłaszczenia w *Martwej naturze z figurką* (także z 1925). Bogate malarskie faktury w drugim z tych obrazów, a także w powstałej nieco wcześniej *Martwej naturze z nożem* (1924) zapowiadały związki artysty z École de Paris. W tym kontekście szczególnie wyrafinowana wydaje się *Martwa natura z butelką* (1925) — inspirowana fowizmem, utrzymana w ciemnych barwach, lecz ożywiona bielą światła.

W 1924 r. Weissberg debiutował na Salonie Jesiennym. Odtąd co roku będzie w nim uczestniczył. W 1925 r. wystawił „piękną” martwą naturę, którą Edward Woroniecki określił jako cézanne’owską, zaś rok później na Salonie Niezależnych m.in. akt myjącej się kobiety, uznany przez tego samego krytyka za „naturalistyczne studium [...] o mało estetycznej pozie”⁴. Ekspozował także na Salonie Tuileryjskim.

³ List Z. Menkesa do H. Fensterera z 10 XII 1946 cytuje K. Mesdag Ritter, *Parcours w: École de Paris — le groupe des Quatre*, s. 20.

⁴ E. Woroniecki, *L’art polonais à Paris*, La Pologne Politique, Economique, Litteraire et Artistique 1925 nr 21 (1 X) s. 787. O udziale Weissberga w paryskich Salonach: A. Blum, *Nasi artyści w Paryżu. Salon Jesienny*, Chwila 1925 nr 2357 (10 X) s. 3; E. Woroniecki, *L’art polonais à Paris*, La Pologne Politique, Economique, Litteraire et Artistique 1926 nr 8 (15 IV) s. 300.

Na przełomie 1925 i 1926 r. wraz z „Grupą Czterech”, obok Alfreda Aberdama, Zygmunta Menkesa i Joachima Weingarta, wziął udział w wystawie w galerii Au Sacre du Printemps, prowadzonej przez Jana Śliwińskiego. Albert Wepper w korespondencji w lwowskiej „Chwili” pisał:

Weissberg, najdalej w uproszczeniu formy idący, maluje odważną, szybką a pieszczącą ręką obrazy jakby inspirowane miłością, tęsknotą i szczęściem rodzinnym⁵.

Ta uwaga Weppera miała zapewne związek z poznaniami przez artystę Marii z Berów Pragier, pochodzącej z Warszawy, od 1927 r. jego żony. W twórczości Weissberga pojawiła się więc nowa tematyka — portrety żony i przedstawienia kobiet.

Zapewne pierwszym ważnym artystycznie dziełem był obraz *Czesząca się kobieta* (1924) — ekspresyjnie malowane w ściemnionej brunatnej tonacji przedstawienie postaci przed lustrem. Interesująca wydaje się aranżacja tego portretu, w którym zamaszty gest kobiety został zrównoważony optycznie przez drobne przedmioty na toalecie.

Największe uznanie przyniósł artyście akt *Żydowska narzeczona* (1926). W porównaniu do wcześniej wspomnianych obrazów jest on bardziej dekoracyjny w ujęciu, zaś w tonacji jaśniejszy, o bogatym kolorycie z przewagą biało-żółcistych i jasnobrunatnych odcieni. Chil Aronson podkreślał w swoich wspomnieniach poetyckość dzieła i nastrój nostalgii za żydowskim miasteczkiem⁶. Podobny stylistycznie i przedstawiający tę samą modelkę — przyszłą żonę artysty — jest portret *Kobieta na zielonym tle* (także z 1926). Obydwa obrazy łączy linearny, dość precyzyjnie ujęty, kontur i pewna płaszczyznowość form, co przypomina nieco późną twórczość Egon Schiele, którą artysta mógł poznać w czasie pobytu w Wiedniu.

Powstała w 1927 i 1928 r. seria aktów i portretów, do których pozowała żona artysty, wyróżnia się bardziej malarskim, syntetycznym potraktowaniem. Pośród nich były obrazy: *Kobieta w lisie*, *Akt na krześle*, *Akt siedzący* (wszystkie z 1927) oraz *Kobieta w marynarce* i *Kobieta oparta na łokciu* (obydwa z 1928). Utrzymane są one w charakterystycznej białawo-żółtawej, perłowej tonacji, analogicznej do tonacji ówczesnych obrazów Menkesa i Weingarta.

Pierwsze znane pejzaże Weissberga pochodzą z 1924 r. Są to słoneczne widoki pagórkowatej okolicy, zapewne przypominającej rodzinne strony artysty we wschodniej Małopolsce. *Pejzaż z jabłoniemi*, *Pejzaż z telegraficznym słupem* (1924) oraz *Wieś z czerwonymi dachami* (1926 lub wcześniej) malowane są za pomocą szerokich, płaskich plam barwnych, fakturalnie kładzionych szerokimi pociągnięciami pędzla. Południowy, intensywny koloryt tworzą zestawienia żółtawych oraz czerwono-brunatnych pól i wzgórz, zieleni drzew, ciemno-niebieskiego nieba i czerwieni dachów. *Wieś z czerwonymi dachami* łączy z *Pejzażem z jabłoniemi* podobny sposób kształtowania sylwety drzew, zaś z *Pejzażem z telegraficznym słupem* — motywy słupów linii telegraficznej oraz parterowych domków o dwuspadowych dachach.

Bliskie ekspresjonizmowi, przypominające nieco twórczość Soutine’a czy Kikoïne’a, są dwa inne, zbliżone do siebie pejzaże *Folwark za ogrodem* (1925) oraz *Dom wśród drzew* (1926) z dynamicznie kształtowanymi sylwetami drzew i pewnymi deformacjami architektury.

W końcu lat 20. Weissberg malował głównie pejzaże, rzadziej portrety i martwe natury. *Żniwa* (1926), *Akwedukt w Arcueil* (1926) oraz *Pejzaż nadrzeczny* (około 1927) były widokami południowo-francuskich miasteczek i wsi, ujętymi w panoramicznej pers-

⁵ A. Wepper, *Młodzi artyści żydowscy w Paryżu*, Chwila 1926 nr 2452 (15 I) s. 3.

⁶ Ch. Aronson, *Bilder un gestalten fun Montparnas*, s. 313.

pektywie. Artysta przedstawiał na tle pofałdowanego terenu, często z motywem rzeki, nieregularne układy niewysokich domków o białych ścianach i dwuspadowych dachach, wysokie drzewa o rozłożystych koronach. W tym pejzażu pojawiały się drobne, sztafazo-we ludzkie postaci, które wykonywały gospodarskie czynności. Inspiracją dla tych obrazów było niewątpliwie malarstwo holenderskie XVII wieku. Weissberg nie deformował przestrzeni i architektury; w jego dziełach inspiracje postimpresjonizmem łączyły się z fowizującym określeniem plamy barwnej. Spośród najbardziej charakterystycznych pejzaży wymienić można *Zbocze* (1927) czy *Na brzegu stawu* (1927). W tym samym czasie pojawiły się także szkicowe, ekspresyjne pejzaże, np. *Pejzaż z białym płotem* i *Pejzaż z czarnym płotem*, a także martwe natury (*Martwa natura ze szklanką*).

W 1928 r. Weissberg podjął tematykę miejską. Były to widoki paryskich ulic ze sklepami i kawiarniami (*Bistro pod drzewami*, 1928; *Plac*, 1929), a także przedmieść (*Pejzaż z czerwoną parasolką*, 1928).

Weissberg nawiązał w Paryżu kontakty z polskimi marszandami — obok Leopolda Zborowskiego — także z Jadwigą Zakową, ponadto Galerią Manteau. Sprzedawał obrazy nieokreślonego z nazwiska amerykańskiemu kolekcjonerowi i doktorowi Karolowi Berowi (bratu żony), z którym podpisał roczny kontrakt.

Wraz z dawnymi członkami „Grupy Czterech” wziął udział w dwóch polskich wystawach w Paryżu: w 1929 r. w galerii Editions Bonaparte oraz w 1935 w wystawie Grupy Paryskiej Plastyków Polskich.

Weissberg zaangażowany był także w tworzenie środowiska artystów żydowskich w Paryżu. Uczestnicząc w Kongresie Kultury Żydowskiej w 1937 r., wystąpił z ideą zorganizowania Stowarzyszenia Artystów Żydowskich w Paryżu. Wraz z Chilem Aronsonem składał wizyty znanym żydowskim malarzom i rzeźbiarzom, przekonując ich do tej inicjatywy. Wkrótce Stowarzyszenie zostało założone⁷.

W 1932 r. doszło do rozwodu Weissberga z Marią Pragier, która związała się z Oserem (Ojzerem) Warszawskim, znanym pisarzem, pochodzącym z Warszawy. Artysta, wraz z zaprzyjaźnionym malarzem, pochodzącym z Łodzi, Maurycym Mędrzyckim (Mendjizkim), wyjechał wówczas na dłuższy pobyt do Saint-Paul-de-Vence. W 1935 r. przeniósł się do dawnej pracowni Henri Rousseau przy rue Perrel 2 bis, zajmowanej dotąd przez Menkesa. Portret artysty, zatytułowany *Wagabunda*, namalował Roman Kramsztyk.

Z twórczości Weissberga z lat 30., gdy malował głównie na południu Francji, zachowało się niewiele. Znanе są przede wszystkim portrety — *Dziewczyna w bieli* (portret Henriette Tachon, 1937) czy portrety córki Lidii (1937), zbliżone formalnie do obrazów artysty z połowy lat 20. Bardziej interesujące wydają się jednak postimpresjonistyczne pejzaże, jak *Czerwone dachy* (około 1933), *Plaża w Cagnes* (około 1933) czy *Sekwana przy moście w Suresnes* (1935).

W 1937 r. w twórczości Weissberga rozpoczął się nowy okres, który można określić jako ekspresjonistyczny. Podjął wówczas inspirowaną przez Georges Rouaulta tematykę cyrkową i przedstawienia postaci we wnętrzu. Zapewne przełomowym dziełem była *Rozmarzona księżniczka* — przedstawienie młodej dziewczyny w towarzystwie clownów. (Monotypię z podobnym clownem w trójkątnej czapeczce, grającym na gitarze, wykonał artysta w tym samym roku.) Z 1940 r. pochodzi obraz *Malarz Jakub Mącznik (Muncznik) w pracowni*. Weissberg stosował wówczas stosunkowo wąską skalę barwną, ograniczoną do bieli, żółci, zieleni i brązów. Zachowywał przestrzenny układ obrazu. Wprowadzał kontrasty światłocieniowe, zaś plamy barwne kładł płasko, często miały one „postrzępiony” charakter.

⁷ Tamże, s. 317.

Tworzył kompozycje z postaciami w „dużej” skali na pierwszym planie. Tło było ledwo zasugerowane lub neutralne, ograniczone do układu plam.

Po wybuchu wojny w 1940 r. Weissberg opuścił Paryż i przebywał na południu Francji w Rodez, Marsylii i Entraygues. W 1941 r. spotkał w Marsylii Władymira Raykisa, ówczesnego właściciela Galerie Zak, który zaproponował mu kontrakt na obrazy małych formatów, malowane głównie na tekturze (płótno było wówczas we Francji racjonowane). Miały one być wysyłane do galerii amerykańskich.

Wśród wielu obrazków z 1941 i 1942 r. wymienić można kompozycje z postaciami clownów i woltyżerek (*Dwóch clownów z mandoliną*, *Clown i woltyżerka*, *Clown i dziewczyna*) i scenę z cyrku z woltyżką i clownami na arenie (*Cyrk*, 1940).

Z postacią clowna utożsamiał się sam Weissberg, przedstawiając w groteskowy sposób w obrazie *Stary clown* (1942) własną twarz. Tematyka cyrkowa i wyobrażenie smutnej twarzy clowna stawały się dla artysty odzwierciedleniem tragizmu życia⁸. Wojna i Zagłada Żydów nadały jej nowy dramatyczny wyraz.

Obok tematyki cyrkowej Weissberg malował pejzaże z postaciami (*Jesień*, 1941; *Kąpiący się w Entraygues* i *Pejzaż z Entraygues*, obydwa z 1942). W obrazach tych ujawniła się silna deformacja przestrzeni i postaci, sprowadzonych do kilku plam barwnych. Kolor był kładziony płaskimi, pociągłymi plamami, w czym można dostrzec inspirację fowizmem. O ile jednak fowiści używali czystych zasadniczych barw, to barwy w dziełach Weissberga są przełamane i pozbawione ostrości.

W lutym 1943 r. Weissberg aresztowany został przez francuską policję i przekazany Gestapo. Artystę umieszczono w obozie w Drancy i następnie wysłano do obozu śmierci w Majdanku.

Tragicznie przerwana twórczość Weissberga miała wiele cech wspólnych z twórczością pozostałych artystów z „Grupy Czterech”. W ekspresjonistycznej formie, charakterystycznej dla École de Paris, Weissberg malował nastrojowe pejzaże, martwe natury, portrety i akty. Podejmował, podobnie jak inni członkowie grupy, traktowaną aliteracko tematykę sztuki — muzyczną, teatralną i cyrkową⁹.

⁸ O popularności tej tematyki od przełomu XIX i XX wieku pisała m.in. M. Podraza-Kwiatkowska w rozdziale *Bóg, ofiara, clown czy psychopata? O roli artysty na przełomie XIX w XX wieku* w książce *Symbolizm i symbolika w poezji Młodej Polski* (Kraków 1975).

⁹ Za udostępnienie obrazów Weissberga dziękuję córce artysty p. Lydii Lachenal z Paryża.

TWÓRCZOŚĆ MARIANA KRATOCHWILA

Zbigniew KRATOCHWIL (Warszawa)

Publikowany poniżej szkic zmarłego w październiku 2002 r. historyka Zbigniewa Kratochwila o bracie, Marianie Kratochwilu, został napisany w połowie lat 90. jako wstęp do książki poświęconej twórczości znakomitego malarza i wydany w kilku zaledwie egzemplarzach w formie CD, wespół z reprodukcjami obrazów oraz dokumentacją obecności prac Mariana Kratochwila w muzeach, galeriach i zbiorach prywatnych na świecie.

Wspólnie z Autorem planowaliśmy uzupełnienie książki o wspomnienia przyjaciół i rodziny oraz o dokumenty osobiste z archiwum, a po uaktualnieniu wydanie jej nakładem Archiwum Emigracji. Ledwie zarysowany kształt takiej publikacji powstał na krótko przed październikiem. Nie rezygnujemy z pomysłu.

Zbigniew Kratochwil i jego córka, Ewa Gubała podarowali Archiwum Emigracji prawie 130 rysunków i szkiców Mariana z lat 20. i 30. XX wieku oraz 5 prac olejnych. Podarowali również archiwalia, w tym wspólną korespondencję obu braci, dokumentację wystaw i aktywności artystycznej, i wreszcie pamiątki osobiste: fotografie, dyplomy itd. Po śmierci ojca, Ewa Gubała przekazała do Archiwum gipsową głowę Mariana Kratochwila.

Tekst szkicu ukazuje się bez skrótów z niewielkim uzupełnieniem w części dotyczącej obecności prac Mariana Kratochwila w Toruniu.

(Red.)

Marian Kratochwil pochodził z byłych Kresów Wschodnich. Urodził się w Kosowie Huculskim w 1906 r. w rodzinie sędziego. Gimnazjum ukończył w Złoczowie, mieście Jana III Sobieskiego. Uzyskał w nim dobre wykształcenie, uzupełniane przez ojca. W Sokole doszedł do dużej sprawności fizycznej. Po wstępnych studiach historycznych i filozoficznych na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie zmienił całkowicie kierunek swych zainteresowań. Była nim sztuka.

W 1926 r. jego pierwszym i jedynym nauczycielem, głównie rysunku, był znany artysta malarz Stanisław Batowski. W krótkim czasie Marian osiągnął na tyle wysoki poziom,

że zgodnie z opinią Batowskiego nie potrzebował już studiować w Akademii Sztuk Pięknych. Od tego czasu był samoukiem.

Początkowo całą swą uwagę skierował na perfekcyjne opanowanie rysunku ołówkiem i piórkiem. Efektem tej działalności było wiele albumów. Pokazał w nich nie tylko krajobraz, ale i folklor ze szczególnym uwzględnieniem chłopów, Żydów, plebsu miejskiego i małomiasteczkowego.

W roku 1929 został powołany do odbycia rocznej służby w podchorążówce piechoty w Rawie Ruskiej.

W dalszym ciągu doskonalili swe techniki opanowując żmudne dziedziny grafiki, miedziorytu i akwaforty a także i malarstwa. Skierowuje swoje zainteresowania na wspaniałe tereny Wołynia, Podola i w mniejszym stopniu Pokucia i Polesia.

W początku lat 30. rozpoczyna na wielką skalę malowanie obrazów olejnych.

Jego bazą wypadową staje się nieduże miasteczko Podkamień k. Brodów, określane przez króla Sobieskiego jako „Częstochowa Wschodu” ze względu na potężny, ufortyfikowany klasztor Dominikanów.

Jego długoletnim towarzyszem w sztuce był Leopold Buczkowski znany później literat i grafik. Wprowadził Buczkowskiego w tajniki malowania i rysunku, ale efekt nie był takiej miary, jakiej można się było spodziewać. Po wojnie rozeszły się ich drogi. Buczkowski przeczucił się na literaturę (prozę), która u Mariana Kratochwila spotkała się z zastrzeżeniami.

W tym czasie powstaje znaczna ilość kompozycji i pejzaży Mariana. W 1936 r. bierze po raz pierwszy udział w zbiorowej wystawie Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych we Lwowie.

Wkrótce potem przenosi się na krótki okres do Warszawy. Wstępuje na skutek rad przyjaciół na Akademię Sztuk Pięknych i ku zdumieniu wszystkich, oprócz niewielkiego pokazu w Resursie Obywatelskiej, wystawia 80 obrazów w Zachęcie. Za obraz *Niedziela w Ożomli* otrzymuje medal brązowy, mając niespełna 30 lat. Obraz ten nabyła późniejsza propagatorka jego sztuki, znana powieściopisarka Zofia Kossak-Szczucka. Niestety obraz ten zaginął w czasie wojny. Jego reprodukcja znajduje się w tygodniku „Światowid” (10 IV 1937 r.).

Gdy Marian zwrócił się do państwa o pomoc pieniężną, gdyż chciał wyjechać do Włoch, uzyskał niewielkie stypendium w wysokości 300 zł.

Pobyt w Warszawie, gdzie zapisał się do Akademii Sztuk Pięknych, nie potrwał długo.

Poziom Akademii nie był dla Mariana odpowiednio wysoki. W tym czasie powstaje cykl grafik pt.: *Wojna*, gdyż artysta miał złe przeczucia przy pogarszających się stosunkach politycznych w Europie.

Ponownie bierze udział w zbiorowej wystawie Związku Polskich Artystów Plastyków we Lwowie i przygotowuje się do kolejnej wystawy w Zachęcie, planowanej na 1939 r.

Maluje kilka dużych obrazów, w tym niewykończone dzieło pt.: *Pożegnanie radości*. Jest to jakby wizja kończących się szczęśliwie minionych czasów w naszym kraju. Na obrazie widać na karuzeli rozradowanych żołnierzy i cywili, chłopów i mieszczan. Są to Polacy i Ukraińcy. Z boku przygląda się temu widowisku zamyślony Żyd w chałacie i wydaje się, że jakby przewidywał koniec tego okresu spokoju i beztrioski. Wystawa w 1939 r. w Zachęcie nie odbyła się, ponieważ we wrześniu wybuchła wojna polsko-niemiecka.

Marian Kratochwil działał jakby w trójkącie miast Lwów-Złoczów-Podkamień. Ale pomimo uroków Podkaminia, był zawsze wierny swemu ukochanemu miastu Lwowowi, w którym rozpoczęła się i zakończyła jego przedwojenna kariera artysty malarza.

Marian Kratochwil, wyjątkowy artysta, ale i patriota, bierze w niej czynny udział. Broni w randze ppor. 52 p. piechoty naszej niepodległości przed germańskim najazdem. Niewielu było wtedy artystów, którzy czynnie walczyli z wrogiem Polski.

Jego udział w walkach z Niemcami w ramach 12. dywizji piechoty trwał do oblężenia Lublina. Pod koniec tej walki wraz z dużą grupą obrońców przechodzi do partyzantki. Ale był to już daremny trud, została tylko gorzka klęska. Nie daje się wziąć do niewoli i wraca do Lwowa. A tam działają bolszewicy, a zwłaszcza NKWD nastawione na aresztowanie oficerów polskich.

W piękny mroźny dzień wigilijny 1939 r. żegnany łzami matki wyrusza ze Lwowa. Przedostaje się do armii francuskiej, ale nie bierze już udziału w walkach, bo Niemcy rzucili na kolana Francję, która walczyła z pomocą angielską krócej niż to uczyniła Polska.

Z Francji przedostaje się na statku do Szkocji, gdzie pozostaje już do końca wojny jako asystent Centrum Wyszkożenia Piechoty przy dywizji generała Maczka. Mimo trudnych obozowych warunków, kontynuuje działalność twórczą. Powstaje drugi cykl *Wojna* oraz pewna ilość obrazów poświęconych Szkocji i Edynburgowi. Cykle wojenne przekazał muzeum w Chicago.

Nie zaniedbuje też rysunku. Osiągnął w tej dziedzinie znaczny postęp przy zmianie swego stylu. W 1947 r. opuszcza po demobilizacji Szkocję i osiada w Londynie. Za zasługi wojenne władze emigracyjne przyznały później Marianowi, podobnie jak innym oficerom, stopień kapitana.

Ze względu na trudne warunki finansowe stara się o pomoc polskich władz emigracyjnych. Ale gdy jeden z wyższych generałów odmawia przyjęcia na rozmowę „jakiegoś tam porucznika” uznaje, że musi działać na własną rękę, nie oglądając się na wątpliwą pomoc polskich emigrantów. Jak się okazało nawet późniejszy prezydent Raczyński w niczym mu nie pomógł.

Powstaje pytanie, dlaczego nie wraca do kraju, gdzie została jego rodzina? Dla artysty ośrodek londyński ze wspaniałymi muzeami to baza do poznania wielkich osiągnięć sztuki z czasów starożytnych: Egipcjan, Greków i Rzymian, a także poznania dawnych osiągnięć Chin i Japonii. Muzea londyńskie penetrował przez 8 lat. W tej sytuacji uważa powrót do kraju za niemożliwy.

W Londynie musi zarabiać na życie i pracuje przez 3 lata w wielkim magazynie meblowym jako dekorator. Oczywiście tworzy równoległe wiele rysunków atramentem, lawowanych, poświęconych Londynowi, w którym trwa odbudowa miasta, zniszczonych zabytków i kościołów. Obraz przedstawiający pożar katedry św. Pawła przekazuje wiele lat później na audyencji księciu Karolowi. Powstają kolejne obrazy ze scen ulicznych, jarmarków na East Endzie, Petticot Lane, Kingslandzie. W dalszej części rysunków pokazuje znaną fortecę Tower of London.

W tym czasie artyście sprzyja szczęście. Poznaje dwie wybitne kobiety, Angielki. Pierwsza z nich to artystka malarka Dame Ethel Walker, znana ze swych świetnych obrazów. Poznała się na sztuce Mariana, a ponieważ uznała, że Marian potrzebuje pomocy finansowej, zapisała mu w testamencie wszystkie swoje obrazy. I rzeczywiście w chwilach kryzysowych ich sprzedaż dawała poważne wsparcie. Druga z nich to artystka malarka Kathleen Browne, późniejsza żona artysty, pochodząca z rodziny Plantagenetów. Jej przodek Browne był kanclerzem Elżbiety I królowej Anglii. Niestety to wysokie powinowactwo nie przyniosło jej żadnych korzyści. Nie opływała w dostatki podobnie jak spadkobiercy generała Wellingtona. Tej kobiecie Marian Kratochwil zawdzięczał późniejszą stabilizację w życiu, a przede wszystkim ogromną pomoc duchową, zawodową i psychiczną w działalności artystycznej.

Kontynuując malarstwo o tematyce angielskiej Marian odwiedza Kornwalię i dalsze okolice Anglii, uwieczniając piękne obrazy o tematyce morskiej i lądowej. Dzięki pracy w magazynie Marian zaoszczędził fundusze na wyjazd do Hiszpanii, który doradziła mu Kathleen Browne.

Wyjazd do Hiszpanii trwał około 20 miesięcy, przy czym podzielony był na dwa okresy: 1953 i 1955 r. Marian jest zafascynowany Hiszpanią, przepięknymi krajobrazami, architekturą starych miast i ich mieszkańcami. Przypominają mu one nasze byłe Kresy Wschodnie, a szczególnie Wołyń i Podole. Główne twórcze uderzenie artysty następuje w Toledo (Kastylija), mieście znanym z pobytu znakomitego malarza El Greco. Następnie maluje i rysuje w Rondzie (Andaluzja). Z powstałych obrazów można szczególnie wyróżnić piękne widoki Toleda położonego nad rwącą rzeką Tag. Jest to Toledo w aureoli światła, ale jest też pokazane podczas potężnej burzy przechodzącej nad miastem.

W 1961 r. Marian poślubia Kathleen Browne, jego podporę w trudnych okresach życia. Organizują w Chelsea szkołę dla początkujących i zaawansowanych malarzy, czemu służy powstałe duże studio. W tym roku wybiera się ponownie do Hiszpanii, do Toledo i Rondy, gdzie pracuje przez 4 miesiące. Uważał, że w tym czasie, gdy namalował 150 obrazów, ulepszył znacznie koloryt, przewyższający swym poziomem jego polskie osiągnięcia.

Od dłuższego czasu zamierzał przyjechać do Polski i odwiedzić rodzinę, z którą rozstał się w grudniu 1939 r. Przez cały czas była prowadzona obszerna korespondencja, w której był informowany o losach matki i rodzeństwa w Polsce. Wprawdzie w 1958 r. brat Zbigniew zjawił się w Londynie i przedstawił bardziej szczegółowo sprawy rodzinne, niemniej zawsze dominowała w nim tęsknota za Polską, chociaż tak odmienną w tym czasie od stanu przedwojennego. Należy zaznaczyć, że grono przyjaciół w Polsce wraz z rodziną przeprowadziło przekazanie M. Kratochwilowi znacznej części jego dzieł: obrazów olejnych i albumów, które w późniejszym okresie w przeważającej części powróciły do Polski w ramach darów dla muzeów.

Marian Kratochwil przybył do Polski z żoną dopiero w lipcu 1965 r. Odwiedzili obu braci: Zbigniewa w Żychlinie k. Kutna i Zygmunta w Polanicy Zdroju oraz siostrę Jadwigę we Wrocławiu. Pobyt trwał w sumie 4 tygodnie. Niezmiernie serdeczne było przywitanie z matką w Polanicy Zdroju po 26 latach rozłąki. Matka uznała wtedy, że może już odejść w spokoju z tego świata, gdyż oczekiwała tylko na to, aby zobaczyć się ze swym synem. I rzeczywiście pół roku później zmarła.

Po raz drugi Marian był z żoną w Polsce w sierpniu 1967 r. Tym razem odwiedził brata Zbigniewa w Warszawie, w której przypomniawszy sobie okres, gdy przebywał w stolicy w 1936 r. W Polanicy Zdroju przebywał z żoną kilka tygodni na kuracji, mieszkali u brata Zygmunta.

Odwiedziny w Polsce wspominał zawsze z rozrzewnieniem, starając się aby kontakty z rodziną były jak najczęstsze i to obustronne. Ale upłynęło aż 13 lat zanim ponownie zjawił się z żoną w Polsce. Tym razem już w zupełnie innym charakterze — na wystawie swych obrazów.

Hiszpanię odwiedził jeszcze raz w 1967 r. i przebywał tam 2 miesiące. Odwiedził też Lizbonę w Portugalii. Wpływ pobytu w Hiszpanii, a szczególnie dzieło Cervantesa, dały w efekcie kilka dużych obrazów, poświęconych wraz ze szkicami nieśmiertelnemu Don Kichotowi. Z czasem nie zapomni o jego wiernym giermku Sancho Pansa. Twarz Don Kichota przestudiował malując kilkadziesiąt szkiców i portretów.

Po okresie hiszpańskim artysta rozszerza tematykę swych dzieł o treści z zakresu baśni i fantastyki. Nawiązuje też do zagadnień społeczno-politycznych, dominujących w XIX i XX wieku np. w obrazie pt.: *Ołowiani żołnierze*.

W 1968 r. organizuje we własnym studio wystawę pt.: „London and Scotland”. Pokazał na niej 85 najważniejszych obrazów o tematyce brytyjskiej. Wśród zaproszonych gości był Kazimierz Wierzyński, poeta wielkiego formatu. Zwrócił się z pytaniem do Mariana ze łzami w oczach: „Gdzie Pan był przez te lata minione?”. Niestety Wierzyński

wkrótce umiera, a Marianowi ubywa entuzjasta jego sztuki. Wystawa była niewątpliwym, wstępnym sukcesem Mariana Kratochwila i zainteresowała wielu znawców.

Żałować należy, że nie doszło do nawiązania kontaktu z Marianem Hemarem już choćby ze względu na ich sentyment dla utraconego miasta Lwowa.

Następna wystawa w studio zgromadziła aż 150 osób. Byli już na niej przedstawiciele ambasady Hiszpanii, Polacy z prezydentem Raczyńskim oraz Anglicy z majorem dzielnicy Chelsea.

Marian Kratochwil podarował niektóre ze swych obrazów, grafik i rysunków kilku muzeom brytyjskim w Londynie i National Gallery of Art w Edynburgu.

W 1970 r. artysta przekazuje dar dla Muzeum Narodowego w Krakowie po wizycie dyrektora tego muzeum Jerzego Banacha. Objął on 10 obrazów olejnych oraz 17 grafik z cyklem wojennym. Dołącza do nich 13 zgromadzonych u siebie obrazów przyjaciela Mieczysława Janikowskiego, zmarłego w nędzy w Paryżu. Obrazy jego oprawia własnym kosztem. W tym też roku obrazy pokazano na wystawie w Muzeum Narodowym w Krakowie. Także i Muzeum Narodowe w Warszawie otrzymało obrazy.

W 1971 r. Marian Kratochwil wybrał się z żoną do Włoch, do których zamierzał wyjechać jeszcze przed drugą wojną światową. Łącznie byli we Włoszech 7 tygodni. Największe wrażenie na artyście wywarło w Rzymie dzieło Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. Uznał je za największe osiągnięcie sztuki europejskiej. Uważał, że to dzieło wryło się mocniej w pamięci ludzkiej niż dzieło poety Dantego. Sztuka zwyciężyła słowo. Kontynuował tę podróż na południe przez ciekawe miasto Gimignano w Toskanii, z budowlami wyróżniającymi się ozdobnymi wieżami. Dotarli z żoną aż do Kalabrii. Ale z powrotem zatrzymali się na dłuższy czas w Wenecji, gdzie szczególną uwagę zwrócili oboje na plac św. Marka. Powstały tu obrazy poświęcone głównie placowi św. Marka, ale także kilka związanych z samą Wenecją. Dużo czasu upłynęło, gdyż dopiero w 1979 r. doszło do wystawy 20 obrazów o tematyce hiszpańskiej w Instytucie Hiszpańskim w Londynie. Przedstawiciele Hiszpanii, a szczególnie ówczesny ambasador zafascynowany sztuką Mariana, organizują wystawę tych obrazów w Muzeum Santa Cruz w Toledo. Były one oczywiście darem artysty. Hiszpanie zapewnili mu coś rzadko spotykanego dla artystów polskich — stałą ekspozycję.

Nieco później studio Mariana odwiedza dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie Tadeusz Chruścicki. Przy pomocy ambasady polskiej, a szczególnie konsula generalnego Tadeusza Kalinowskiego, Marian przekazuje do Polski wybrane przez p. Chruścickiego dalsze obrazy olejne, w tym główne dzieła z okresu polskiego. Dołącza do nich grafiki, szkicowniki, wycinanki. W ten sposób łączna liczba obrazów olejnych, które otrzymało Muzeum Narodowe w Krakowie wzrasta do około 80.

W 1980 r. Marian Kratochwil przyjeżdża na wystawę swych dzieł do Krakowa. Wygłasza przy tym jak zwykle wprowadzające przemówienie. Zakończył je w żartobliwym tonie: „Pójdźcie Państwo popatrzeć na to, co Kratochwil zmalował i mówcie źle czy dobrze, ale mówcie. Nikt tego nie rozumiał lepiej niż sam Picasso”. W tym też roku oddaje w postaci daru dla Muzeum Polskiego w Rapperswilu 26 obrazów o tematyce wybitnie kresowej. Są to przeważnie nieduże obrazy. W zasadzie powinny się one znaleźć np. w Muzeum Wrocławskim, gdyż byłyby one tu oglądane z zainteresowaniem przez przesiadalców z byłych Kresów. A tak prawie wszystkie zalegają w magazynie.

W 1981 r. została zorganizowana wystawa w Zachęcie, obejmująca wszystkie darowane przez Mariana dzieła. Wrażenie było ogromne. Artysta otrzymał medal Zachęty oraz medal Zasłużony dla Kultury Polskiej. Nie zapomniano też o medalu dla uczestnika wojny z 1939 r.

Niestety po zamknięciu wystawy ogłoszono stan wojenny. Potem wypadki w Polsce nie potoczyły się pomyślnie dla Mariana. Muzeum Narodowe w Krakowie rozdzieliło

część obrazów na pięć muzeów: w Warszawie, Poznaniu, Gdańsku, Bydgoszczy i Toruniu, mimo braku większego poparcia ze strony artysty dla tego przedsięwzięcia.

Jeżeli chodzi o Zachętę trudno nie wyrazić zdziwienia (wybiegając w czasie), że nie zdecydowano się na pokazanie obrazów Mariana Kratochwila, gdy galeria obchodziła swoje stulecie, preferując, oprócz kilku artystów o utrwalonej już renomie, także takich, którzy nie mieli większych osiągnięć.

Muzeum Narodowe w Krakowie nie przyznało stałej ekspozycji tzw. „ściany”, co zapewnił poprzednik dyrektora Chruścickiego dyrektor Banach. Muzeum zdobyło się jedynie na stałe wystawienie trzech mniejszych obrazów z okresu polskiego twórczości artysty, pomijając znacznie większe osiągnięcia związane z dziełami o tematyce hiszpańskiej. Jest ich w krajowych muzeach 26. Nie od rzeczy trzeba przypomnieć o dystansie dzielącym sztukę hiszpańską od sztuki polskiej oraz o fakcie, że żaden artysta polski poza Marianem Kratochwilem nie ma zapewne stałej ekspozycji w muzeach hiszpańskich.

Również pozostałe muzea polskie nie są za bardzo skłonne do stałego wystawiania obrazów Mariana Kratochwila. Na szczególną uwagę zasługuje powściągliwość w tym względzie Muzeum Narodowe w Warszawie.

W 1986 r. następuje kolejna wystawa 33 obrazów olejnych i 40 rysunków w Muzeum Santa Cruz w Toledo. Hiszpanie nie zapomnieli, w odróżnieniu od Polski, o artyście. Otrzymuje on jedno z najwyższych odznaczeń hiszpańskich, order Izabeli Katolickiej La Encomienda. Zostaje przyjęty do Akademii Sztuk Pięknych i Wiedzy Historycznej. Przyznano mu złoty medal Akademii.

Muzeum uzupełnia swą kolekcję. Dalszy okres do 1990 r. Marian poświęca na skompletowanie większej ilości rysunków z byłych Kresów Wschodnich. Maluje w dalszym ciągu obrazy o tematyce hiszpańskiej uzupełniając je portretami, w których dotychczas się nie specjalizował. Część rysunków została wystawiona wraz z dziełami żony artysty, Kathleen Browne w Polskim Instytucie Kulturalnym w Londynie w 1994 r. Rok później przekazał 80 rysunków jako dar dla Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie.

Niestety Biblioteka Jagiellońska nie zamierza chyba propagować kresowych rysunków Mariana Kratochwila, nie usiłując przekazać ich na wystawy do różnych muzeów w Polsce, czy choćby do Muzeum miasta Krakowa, które przewidziało dział poświęcony Lwowowi i byłym Kresom Wschodnim. Należy podkreślić, że wszystkie obrazy jak i rysunki zostały przez Mariana dostarczone do Polski w stanie oprawionym z pięknymi ramami. Koszt ram do wszystkich darowanych obrazów wyniósł około 20 tys. funtów.

Okres po 1996 r. sprowadza się do uzupełnienia i wykończenia dalszych obrazów, które w ilości 30 sztuk przekazuje Hiszpanii. Tematyka tych obrazów jest różna. W jednym z nich nawiązuje do upadku kultury w Europie w poprzednim wieku. W 1997 r. obrazy te zostały pokazane na wystawie w Madrycie, a następnie przesłane do muzeów w Granadzie i Rondzie oraz do Zamku Rycerzy Maltańskich w Consegrua k. Madrytu. Z tych 30 obrazów 12 znalazło się w Muzeum Granady. Gubernator Granady przekazał Marianowi serdeczne podziękowania i zaproponował nazwanie jednej ulicy w Granadzie jego nazwiskiem. Artysta uznał, że ze względu na skomplikowane nieco nazwisko nie warto tej propozycji realizować. I tu wyszła na jaw jego znana skromność.

W ostatnich latach działalności malarskiej do największych przedsięwzięć Mariana Kratochwila należy zaliczyć obraz pt.: *Goyesca meditationes*. Był to hołd złożony Goi a równocześnie protest przeciw wszelkim zbrodniom Europejczyków dokonany w ciągu ostatnich dwustu lat.

Wydawałoby się, że warto zainteresować się ostatnimi osiągnięciami Mariana Kratochwila, biorąc pod uwagę sukces propagandowy. Ale któż jest zdolny w Polsce do takiego podejścia. Co na to media i ci, którzy zarządzają i obsługują kulturę polską?

W uzupełnieniu jeszcze garść wspomnień z życia artysty.

Marian Kratochwil był wielkim entuzjastą idei Polski Jagiellońskiej. Niestety uznał po wojnie, że tendencje nacjonalistyczne naszych sąsiadów nie odpowiadają już jego dawnym poglądom. Szczególnie nie mógł przeboleć faszystowsko-nacjonalistycznej morderczej działalności ukraińskich organizacji OUN i UPA. Jak mówił, w głowie mu się nie mieściło, że dojdzie do takiego zwyrodnienia części społeczeństwa ukraińskiego. Szczególnie ubolewał nad losem polskiej wsi Huta Pieniacka, położonej blisko Podkamina k. Brodów. W tej wsi w 1944 r. Ukraińcy spod znaku UPA wraz z hitlerowcami wymordowali ponad 1000 mieszkańców. Mord ten Marian zamierzał opisać szczegółowo w swej książce „Metamorfozy”.

Gdy rodacy z dawnego Pokucia prosili o pomoc w odbudowie kościołów, przekazał pokaźną sumę na remont świątyni w Nadwonnej, za co ks. arcybiskup Jaworski ze Lwowa przesłał mu podziękowanie.

W Polsce Marian był w sumie czterokrotnie. W latach 1965 i 1967 były to wizyty prywatne u rodziny. Należy podkreślić, że cała rodzina Mariana wyszła cało z wojennych przejść, mimo że wszyscy znaleźli się początkowo w innych krajach. W początkowych latach po wojnie Marian wspomagał finansowo matkę i młodsze rodzeństwo. Następne przyjazdy w 1980 i 1981 r. były już związane z wystawami w Krakowie i Warszawie. W obu tych latach za zasługi wojenne przyznano Marianowi z żoną kilkutygodniowe pobyty w Ciechocinku dla podratowania zdrowia.

Niezależnie od działań malarskich w swej dziedzinie Marian zajmował się literaturą z zakresu sztuki, a także wspomnieniami ze swego bogatego w zdarzenia życia. W okresie pracy we własnym studio prowadził wykłady w EPSOM School of Art. Cztery lata poświęcił dziełu w języku angielskim pt.: „Technika malarska”. Rękopis przekazał do Courthauld Institute przy Uniwersytecie Londyńskim.

Warto zaznaczyć, że sztukę swą Marian Kratochwil określił jako beczasową i uniwersalną, opierając się na dogłębnym poznaniu sztuki starożytnych krajów — Egiptu, Grecji czy Chin.

Odrzucał zarzuty, że wzoruje się na impresjonistach. I faktycznie jego obrazy, oprócz wartości czysto artystycznych, mają głęboki sens społeczny i moralny.

W 1992 r. napisał i doprowadził do wydania książki poświęconej twórczości swej żony Kathleen Browne. Książka została napisana w języku angielskim, została też przekazana papieżowi Janowi Pawłowi II.

Również w tematyce wspomnieniowej Marian wykazał dużą aktywność. W 1988 r. razem ze swym bratem Zbigniewem napisali *Wspomnienia o Mieczysławie Kistrynie*¹. Był to znany pedagog lwowski w okresie do 1939 r. Do jego gimnazjum uczęszczało całe rodzeństwo tzn. trzech bracia: Marian, Zbigniew i Zygmunt oraz siostra Jadwiga. Marian był w tej szkole tylko przez krótki okres, ale właśnie Kistryn umożliwił mu podjęcie wstępnych studiów u artysty malarza Stanisława Batowskiego.

Marian zredagował też ciekawsze zdarzenia w planowanej publikacji pt.: „Pogaduszki lwowsko-żłoczowskie”. Miał dużą bibliotekę szczególnie z dziełami z zakresu sztuki i filozofii. Dużo książek o różnej treści przekazał do Biblioteki Polskiej w Londynie. W bibliotece jest jego obraz poświęcony Marszałkowi Piłsudskiemu, gdy obserwuje toczącą się bitwę siedząc na Kasztance.

Bardzo dużo wysiłku włożył w wieloletnią pracę pt.: „Metamorfozy”. W tym przypadku pisał ją w języku angielskim, co było niełatwym zadaniem dla obcokrajowca. Jej

¹ M. Kratochwil, Z. Kratochwil, *Wspomnienia o Mieczysławie Kistrynie*, Rocznik Lwowski 1991 s. 138–163.

dokładny tytuł w języku angielskim brzmi: „Metamorphoses: From Brush to Pen. Recollections of My Past”.

Książka ta znajduje się w druku w Los Angeles (USA). Przewiduje się też jej tłumaczenie na język polski. Obejmuje ona przebieg i zdarzenia z bogatego życia artysty łącznie z obu światowymi wojnami.

Cały trud wydania książki wziął na swoje barki wytrawny przyjaciel Mariana prof. Marek Żebrowski, który wraz z kilkoma polskimi przyjaciółmi w Londynie staje się kolejnym propagatorem osiągnięć Mariana na polu literatury i sztuki. Należy podkreślić, że prof. Żebrowski znał doskonale niemal wszystkie fragmenty z życia Mariana Kratochwila, a był mu jako pianista bardzo bliski ze względu na znane zainteresowania artysty muzyką. Inna dziedzina, którą Marian się entuzjazmował była muzyka poważna. W swej młodości zastanawiał się, czy nie zostać kompozytorem, ale rozdwojenia jaźni nie było — został malarzem.

Sam grywał dobrze na fortepianie. Jego wielkim przyjacielem był znany kompozytor polski, żyjący w Anglii Andrzej Panufnik. Mawiał on, że na terenie angielskim ma znaczenie tylko dwóch artystów polskich tzn. on i Marian. Niestety Panufnik wkrótce potem umiera. Poświęcił on Marianowi kwintet pt.: *Wycinanki*. Warto by wydać lub nagrać ten utwór.

Marian Kratochwil miał wielkie uznanie dla twórczości Karola Szymanowskiego, którego oceniał jako największego polskiego kompozytora po Chopinie. Marian pamiętał, że w 1922 r. Karol Szymanowski odwiedził dwukrotnie nasz lwowski dom i wraz z innymi artystami grywał w kwartetach. Oprócz niego brali w tych imprezach udział późniejszy przyjaciel rodziny, znany wiolonczelista Dezyderiusz Danczowski oraz dwóch znanych w tym czasie skrzypków.

W Londynie Marian przekazał w 1975 r. radiu BBC komplet płyt z utworami Szymanowskiego. Recenzent BBC Anthony Hopkins był zachwycony sztuką Szymanowskiego i poświęcił mu kilka audycji. Nagranie na taśmie magnetofonowej jednej z tych audycji przesłane zostało do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Niestety nie było żadnej reakcji ze strony Ministerstwa.

Dzięki Anglikom wprowadzono na muzyczny rynek krajów anglojęzycznych utwory Szymanowskiego.

Marian przyjaźnił się też ze znanym pianistą Krystianem Zimmermanem i jako pierwszy zwrócił uwagę właśnie radiu BBC na wielki talent Zimmermana. Mariana odwiedzali liczni artyści z Polski i zagranicy, dyrygenci, artyści teatralni, nawet Mira Zimińska-Sygietyńska. Ale było to niestety normalne dla Polaków, że właściwie żaden z nich nie przypomniał w Polsce o artyście polskim z Londynu. Trzeba przyznać, że było to godne pożałowania.

Jedne odwiedziny były jednak ciekawsze, ale niepolskie. W 1989 r. zjawił się w pracowni artysty dyrektor Konserwatorium w Moskwie Borys Kulikow. Był to wszechstronnie wykształcony człowiek, interesował się sztuką malarską. Gdy zobaczył obrazy Mariana, był zachwycony, ale nade wszystko podobały mu się rysunki i to do tego stopnia, że klęknął przed artystą dla wyrażenia swego uznania. Chciał zorganizować wielką wystawę w Moskwie i przewidywał wstępny występ znakomitego pianisty Światosława Richtera. Niestety ówczesny okres przemian i niepokojów nie sprzyjał zorganizowaniu wystawy w Moskwie, a obaj wymienieni Rosjanie wkrótce zmarli. Przy okazji warto przypomnieć, że artysta miał propozycje urzędzenia wystaw w Londynie, Paryżu i Szwajcarii, ale stawiano mu warunki, których nie mógł zaakceptować.

Oceniając rolę Polaków z Polski wyróżnił specjalnie wspomnianych już: b. konsula generalnego Ambasady Polskiej w Londynie Tadeusza Kalinowskiego, który pomógł w przekazaniu obrazów do muzeów polskich, a także inicjatora sprowadzenia obrazów, dyrektora muzeum Narodowego w Krakowie Jerzego Banacha, który w pełni docenił wielkość artysty i wartość jego dzieł. Marian wspominał też z uznaniem architekta

i artystycznego organizatora wystawy w Zachęcie Jana Kosińskiego. Z Polaków, dużą pomoc okazali mu prof. Mieczysław Paszkiewicz i dr Zbigniew Szydło. Temu ostatniemu przekazał większą liczbę obrazów, uważając, że będzie jakby polskim reprezentantem-kolekcjonerem malarstwa Mariana na terenie Wielkiej Brytanii.

Na zakończenie należy podkreślić działalność polskiego literata Andrzeja Turczyńskiego. W latach 1993–1994 doszło do dłuższej korespondencji Mariana z Andrzejem Turczyńskim, przy czym w wielu listach wypowiedzieli sobie credo na tematy twórczości literackiej i malarstwa. Andrzej Turczyński przetłumaczył fragmenty dzieła Mariana „Metamorfozy”, które ukazało się w miesięczniku literackim „Akant” w Bydgoszczy w latach 1998–1999². Ale nie koniec na tym.

Jako specjalista także w zakresie sztuki A. Turczyński napisał w 1999 r. „Esej o sztuce Mariana Kratochwila”³. Należy podkreślić, że A. Turczyński nigdy nie widział się z Marianem i dysponował, oprócz listów, pewną liczbą zdjęć obrazów Kratochwila. Materiałów nie miał za dużo, ale dzięki swej docieklivości i talentowi przedstawił obraz Mariana w sposób niezwykle trafny, mimo że w niektórych fragmentach, z braku pewnych informacji, w oparciu o własną interpretację, mogły powstać pewne niedomówienia nie wpływające jednak na wartość całej publikacji.

Opracowanie nie obejmuje oceny i wartości osiągnięć Mariana Kratochwila, które należą, jak już zaznaczono, do rzetelnych krytyków i znawców sztuki z tego zakresu.

Sztuka artysty znalazła pełne, entuzjastyczne niemal poparcie ze strony kół hiszpańskich. W Polsce to uznanie jest właściwie mocno ograniczone. Obrazy artysty zalegają w przeważającej części w magazynach, a ze strony zwolenników awangardy spotykają się z lekceważeniem. Ale ci, którzy mają odpowiednią wiedzę o sztuce i mogą porównać poziom sztuki polskiej do hiszpańskiej, zdają sobie sprawę, na czym polega wartość dzieł i klasa artysty i uznanie tych, którzy jego twórczość poparli.

Po ostatnim pobycie w Polsce Marian wyczuwał to niezbyt przyjazne nastawienie części krytyków. Powoływał się na wielkich mistrzów palety, którzy nie znaleźli uznania wśród współczesnych. Jak mawiał jeden z przyjaznych mu znawców sztuki: „Nie musi się Pan martwić, pańska sztuka sama się obroni”. Można przytoczyć łańskie przysłowie: *ars longa vita brevis*.

Ale artysta żył długo, bo 91 lat. Przeinaczając to przysłowie należałoby powiedzieć w odniesieniu do niego: *ars longa vita longa*.

Przejścia wojenne, częste kłopoty finansowe, obojętność Polaków i inne rozgoryczenia nadwreżyły zdrowie i serce Mariana Kratochwila. W 1996 r. uległ ciężkiej kontuzji nogi. Dłuższy okres rekonwalescencji nie poprawił wydatnie stanu jego zdrowia, czuł się coraz gorzej. Mimo to, jeszcze do końca życia zajmował się pisaniem swej książki, załatwianiem niektórych bieżących spraw z gospodarstwa domowego, a nawet opieką nad jego o rok starszą żoną, która oprócz częściowej utraty wzroku miała kłopoty z poruszaniem się. Kres życia artysty nastąpił 3 grudnia 1997 r. Pękło szlachetne serce artysty.

Marian bał się ogromnie swego odejścia. Nagła śmierć zaskoczyła go niespodziewanie. Marzył o tym, aby spocząć w przyszłym rodzinnym grobie na cmentarzu powązkowskim w Warszawie. Niestety plany te nie doczekały się realizacji. Ponieważ zawsze odwiedzał angielski kościół katolicki Church of Our Lady St. Johnswood w Londynie, jego przyjaciele angielscy postanowili przeprowadzić uroczystości pogrzebowe właśnie w tym

² M. Kratochwila, *Leopold Buczkowski — mój Brat w sztuce (1–7)*, Akant 1998 nry 12–13; 1999 nry 2–4, 6–7.

³ Tekst nie został opublikowany. Maszynopis w archiwum Mariana Kratochwila w zbiorach Archiwum Emigracji BUMK.

kościelne. Odbyły się one w dniu 12 grudnia 1997 r. Na uroczystość przybyli liczni przyjaciele Mariana zarówno polscy, angielscy jak i hiszpańscy. Brał w niej też udział b. ambasador Królestwa Hiszpanii w Londynie Felipe de la Morena. Zabrakło niestety polskiego ambasadora, który nie uznał za stosowne wzięcie udziału w tym smutnym obrzędzie. No cóż, co kraj to obyczaj.

Uroczystość w kościele przeprowadzono w języku angielskim, w którym przemawiali znajomi Anglicy oraz przyjaciel artysty prof. Mieczysław Paszkiewicz. Ponieważ Marian pochodził z gór, pożegnał go polski zespół góralski „Giewont”. Utwory Bacha i Schuberta w wykonaniu solistów nawiązały w tej żałobnej mszy do wielkiej miłości Mariana dla mistrzów muzyki. Pogrzeb odbył się na cmentarzu Kensington Cemetery, na którym spoczęło wielu polskich emigrantów.

Wdowie Kathleen Browne nie podobało się, że brak było w kościele przemówienia w języku polskim. Ten trudny obowiązek przejął na siebie brat Mariana Zbigniew. Sam nie był przekonany, czy wywiązał się z tego zadania dobrze, ale był tym, który ze łzami oczach przerzucił w tym smutnym dniu w imieniu rodziny pomost dla duszy Mariana do jego prawdziwej ojczyzny, Polski.

Na grób posypała się ziemia przywieziona z Polski. W ciszy cmentarnej nie zabrzmiał niestety pożegnalny marsz żałobny wielkich kompozytorów. Nie było też salwy pożegnalnej dla kapitana, obrońcy Polski przed Niemcami.

Marian Kratochwil swą twórczością zapewnił sobie nie tylko pamięć, ale i stałą pozycję w historii sztuki w skali nie tylko polskiej, ale i europejskiej.

Na apel Autora o wystawienie dzieł Mariana w polskich muzeach w rocznicę jego śmierci zareagowały pozytywnie tylko dwa muzea w Gdańsku i w Toruniu, przy czym wystawy okresowe obrazów spotkały się z dużym zainteresowaniem publiczności.

Z opracowanego przez autora zestawienia dzieł nie obejmującego ich wszystkich wynika, że obrazów olejnych było ponad 500. W rzeczywistości liczba ta jest dużo większa. Oprócz tego trudno oszacować ilość grafiki, rysunków, itp.

Dzieła artysty znajdują się w następujących muzeach:

Polska: Muzeum Narodowe w Krakowie, Warszawie, Poznaniu i Gdańsku, Muzea Okręgowe w Bydgoszczy i Toruniu, Biblioteka Jagiellońska w Krakowie, Archiwum Emigracji w Toruniu.

Szwajcaria: Polskie Muzeum w Rapperswilu.

Wielka Brytania: The British Museum, The Victoria and Albert Museum, The London Museum.

Szkocja: National Gallery of Modern Art.

USA: Chicago R.C. Museum.

Hiszpania: Muzeum Santa Cruz w Toledo, Muzeum w Granadzie, Muzeum w Rondzie, Muzeum Rycerzy Maltańskich w Consegrua.

Znaczna liczba obrazów znajduje się w Polsce w zbiorach rodzinnych i prywatnych a także w Wielkiej Brytanii w rękach prywatnych, w tym u ks. Walii. Dużo obrazów pozostało także we Lwowie, ale o ich losie brak danych.

Marian był z bratem Zbigniewem w ciągłej łączności listownej od 1950 r. po rok 1995. Pozostało kilkaset listów będących kopalnią wiedzy o życiu i działalności Mariana Kratochwila. W listach tych poświęcał niemało miejsca życiu rodzinnemu. Bardzo ciekawa jest również korespondencja z A. Turczyńskim.

Marian Kratochwil był w zagadnieniach związanych ze sztuką niełatwy do kompromisu. W życiu codziennym był to „dusza człowiek”, sypał kawałami jak z rękawa. I choć stroił czasem „oczko” do pięknych kobiet, był wierny nade wszystko swej ukochanej żonie.

„TRZYKROTNIE UCAŁOWANY PRZEZ MUZĘ” ROZMOWA JERZEGO TUSZEWSKIEGO Z ALEKSANDREM TANSMANEM

Aleksander TANSMAN (Francja)

Urodził się 12 czerwca 1897 r. w Łodzi. Miałem szczęście spotkać go i przez wiele godzin rozmawiać, bardzo późno, bo w lipcu 1986 r. w Paryżu. Nie mogłem wówczas przewidzieć, że było to cztery miesiące przed jego śmiercią, w dniu 15 listopada 1986 r. Jak nietrudno policzyć, w czasie mojej wizyty paryskiej Aleksander Tansman dobijał dziewięćdziesiątki. A mimo to, jakże był wtedy pełen życia. Pamiętam, jak w pewnym momencie spostrzegłem, że jest już druga w nocy, więc zapytałem nieśmiało, czy może by należało odpocząć i powrócić do rozmowy nazajutrz. Pan Aleksander spojrział na mnie wymownie i zapytał: „Panie Jerzy, a ile pan ma lat?”. Można sobie wyobrazić, jak się wtedy poczułem. Rozmowę oczywiście kontynuowaliśmy.

Jesteśmy w mieszkaniu Aleksandra Tansmana, przy ulicy Florence Blumenthal 3 w Pasy — XVI dzielnicy Paryża.

Aleksander Tansman: Urodziłem się w Łodzi, przy ulicy Zawadzkiej 18, ale teraz jakoś inaczej się nazywa.

Jerzy Tuszewski: *Dziś ulica Pruchnika 20.*

W Łodzi także chodziłem do gimnazjum prywatnego, polskiego. Rodzina była dość bogata, bo mój ojciec był przedstawicielem przemysłu na Kaukazie. Ale bardzo młodo umarł i matka prowadziła interesy. Mieliśmy dwie guwernantki — niemiecką i francuską. Niemiecka była bardzo stara, francuska była młoda. Stąd też mam frankofilskie uczucia. I zawsze mieliśmy powóz z kuczerem¹. I właściwie moim marzeniem było zostać kuczerem. Po raz pierwszy byłem na koncercie Eugéne Ysaÿe'a². Pamiętam, że na afiszach widniało: „król skrzypków”. Ja miałem może osiem, dziewięć lat i myślałem, że może wyjdzie król z koroną i tak dalej... A on wyszedł we fraku. Byłem trochę rozczarowany, ale potem, jak zaczął grać, to ja postanowiłem, że będę kompozytorem. I od tego czasu

¹ Kuczer — woźnica, stangret.

² Eugéne Ysaÿe (1858–1931), słynny skrzypek belgijski.

pisałem pod wpływem Chopina, Griega. Jak miałem lat piętnaście, szesnaście, zacząłem pisać zupełnie, jak pisali już w Europie. Nawet nie znałem nazwiska Strawińskiego, ani Schönberga, ani Bartóka, ale to w powietrzu było widocznie.

Ale to już było w Warszawie...

No tak. Podczas wojny — to był rok 1915, 1916. Podczas wojny też założono Orkiestrę Symfoniczną w Łodzi. Dyrygentem był Mazurkiewicz. Ja grałem na fortepianie partie harfowe, bo w Łodzi nie było harfy, ani harfisty. No i właściwie mogę powiedzieć, że tam się nauczyłem orkiestracji, siedząc w orkiestrze, bo nigdy lekcji orkiestracji nie miałem. I siedząc w orkiestrze zdałem sobie sprawę, jak można kombinować różne instrumenty. No i później przyjeżdżałem zawsze do Łodzi z Warszawy, bo w Warszawie byłem na uniwersytecie. Tam dobrze się do mnie odniósł Henryk Melcer³. Pierwszy konkurs kompozytorski ogłoszono na początku 1919 r. Ja posłałem trzy kompozycje, trzy różne hasła anonimowe. Wtedy jeszcze byłem w mundurze wojskowym, bo służyłem w Legii Akademickiej. Siedzę sobie w łódzkim Grand Hotelu na kawie i czytam gazetę. Od razu widzę wyniki konkursu. Pierwszą nagrodę otrzymał ten... hasło... po otwarciu koperty okazało się, że był to Aleksander Tansman. Druga i trzecia nagroda, hasła takie i takie. Po otwarciu kopert — to samo nazwisko. I tak wszystkie trzy nagrody otrzymałem. To był pierwszy konkurs po ogłoszeniu niepodległości. Było dużo kompozycji. Przysłało też z Krakowa, z Poznania. No podobno było jakieś dwieście różnych kompozycji. Więc dla mnie, te wygrane konkursy, były wielką niespodzianką. Ale postanowiłem pojechać do Paryża.

Ale właśnie dlaczego?

Dlatego, że w Polsce było przede wszystkim bardzo konserwatywne podejście do muzyki i też był pewnego rodzaju antysemityzm. Niestety muszę powiedzieć, że on także był jednym z powodów mego wyjazdu. W niepodległej Polsce Królewskiej nie było tego. Jedynym krajem katolickim, w którym nie było inkwizycji to była właściwie Polska. Ale mój profesor też okazał się antysemitą. Pisał, że Rubinstein gra Chopina nie po aryjsku. No, tak!

Tu może warto sięgnąć do dokumentów trochę późniejszej daty, zawieszając na chwilę moją rozmowę z kompozytorem. W Filharmonii Warszawskiej w roku 1922 dyrektor Emil Młynarski poprowadził nowy utwór Aleksandra Tansmana — „Impresje”. Nie przypadł on jednak do gustu profesorowi Stanisławowi Niewiadomskiemu, krytykowi dziennika „Rzeczpospolita”. Oto co pisał w dniu 18 marca 1922 r.:

Poinformowany przez mego sąsiada, co się dziś nazywa impresjonizmem w muzyce, nigdy dokładnie zrozumieć tego nie mogłem i zachwycony tym, iż impresjonizm pozwala na spisywanie nutami wszystkiego, co komuś przyjdzie do głowy rankiem, w południe, czy wieczór, słuchałem z najlepszą wolą poematu pana Tansmana. Ale prócz najswobodniejszych kategorii, do których nareszcie przyzwyczajają się ludzkie ucho — pieski najlepiej wychowane nie zenują się do dziś dnia a chociażby i w salonie wyć głośno przy szeregu nielogicznych dysonansów — trudno było zauważyć coś interesującego. Rytmika utworu jest tak uboga, tematyczna robota a nawet kontrasty są do tego stopnia wykluczone, że słuchacz odczuwa w końcu tylko jakieś przesuwanie się bezcielesnych mar dźwiękowych, które prócz znużenia nie pozostawiają nic w umyśle jego.

W „Gazecie Warszawskiej” z dnia 9 października 1922 r. profesor Piotr Rytel⁴ pisał o wykonaniu czterech pieśni japońskich Aleksandra Tansmana:

³ Henryk Melcer (1898–1928), pianista, kompozytor, pedagog.

⁴ Piotr Rytel (1884–1970), kompozytor, pedagog i publicysta muzyczny.

Trudno o koncert bardziej rażący, jak program dwóch pierwszych koncertów symfonicznych. Z epoki czystej, wielkiej sztuki Beethovena przerzucono się w matnie modernizmu i futuryzmu wobec czego Ryszard Strauss wydaje się być jagnięciem niewinnym. Ostatnio pomiędzy dziełami tegoż Straussa, Debussiego i Ravela wykonano cztery melodie japońskie Aleksandra Tansmana. Znając pana Tansmana od pierwszych jego kroków stawianych na polu twórczości muzycznej, uważam się za uprawnionego do przyznawania autorowi melodii japońskich głębszych zdolności. Może nawet talentu. Z drugiej jednak strony wszakże, muszę wyrazić ubolewanie z racji rezultatu w działalności paryskiej pana Tansmana oraz oburzenie z powodu widocznego w owych melodiach, jakie wytworzył w orkiestrowym sezonie ubiegłym, zaniku wszelkich aspiracji wyższych. I uczucie szczerego zdumienia, iż kierunek, którego wyznawcą stał się pan Tansman, jeszcze budzi zainteresowanie w Paryżu. Młody kompozytor zbliża się ideowo do grupy futurystów francuskich, których przedstawiciele: panowie Darius Milhaud i Francis Poulenc bawili w Warszawie. Panowie ci złożyli w gruncie rzeczy dowód zupełnej niemal degeneracji smaku i polotu charakteryzujących geniusz narodu francuskiego. Właściwie, na serio brać takich rzeczy nie można. Muzyka tego rodzaju, pozbawiona wartościowych pierwiastków duchowych, już z chwilą wyjrzenia na świat skazana jest na pogrzebanie. Jak dzieci martwo urodzone.

I pomyśleć, że to wszystko napisał o futurystcie Tansmanie jego nauczyciel, u którego młody wówczas muzyk pobierał pierwsze lekcje kompozycji.

No, cóż... tak pisałem muzykę nowoczesną. Miałem straszne krytyki. Gwizdano i...

Gwizdano?...

Gwizdano, no tak i w Paryżu też gwizdano. Jedna strona gwizdże, druga strona bije brawo. Tutaj w Paryżu na lewo siedział znany krytyk, który był w rodzaju Rytla, a na prawo jakiś pan, którego nie znałem. Z drugiej strony ten pan na prawo oklaskiwał, i ten krytyk powiedział: „No, na pewno ten kompozytor panu dobrze zapłacił za to, że pan tak oklaskuje”. Później okazało się, że to był Rothschild, ten słynny bankier. Tak, że ja nie byłem tak bogaty, żeby płacić Rothschildowi. No, ale tu w Paryżu, dzięki Bogu, jakoś przypadkiem poznałem kompozytora Maurice Ravela, który się mną zajął. Zaprowadził mnie do pierwszych wykonawców, do pierwszych wydawców i... już po roku miałem orkiestrowe wykonanie. No, wie pan, to były inne czasy. Międzywojenny Paryż był swoistym centrum artystycznym całego świata.

I ledwie minęło kilka lat, a już popłynął pan do Ameryki...

Byłem najmłodszym kompozytorem zaproszonym w roku 1927. No, więc osiem lat po przyjeździe do Paryża. No i co rok jechałem do Ameryki i później dookoła świata.

Sukces błyskawiczny.

Tak. Ale tu muszę powiedzieć, że do Paryża po raz pierwszy mogłem wyjechać dzięki Paderewskiemu. Jemu nawet poświęciłem dwadzieścia małych utworów na fortepian, takich parafraz ludowych. On był wtedy Prezesem Rady Ministrów, premierem. A później pojawił się na moim pierwszym występie w Ameryce. I to była cała historia. Nie znałem wtedy amerykańskich zwyczajów. Jakiś dziennikarz dopadł mnie i pyta: „Co pan myśli o Paderewskim?”. Ja chciałem jakieś takie „boom boom” zrobić i powiedziałem, że to jest wyjątkowy geniusz, nie tylko fortepianu, ale cokolwiek by robił, robiłby genialnie. Do dziś widzę moją fotografię w gazecie: Tansman mówi „Paderewski wielki geniusz, ale zły pianista!”. On potem pojawił się na jednym z moich koncertów. Później przyszedł do garderoby i powiedział, że on zna te amerykańskie obyczaje, te dziennikarskie historie. Oni wszystko przekręcają! I nawet mnie pocałował. Wszystko się dobrze skończyło... dzięki Bogu! A ja jeszcze go słyszałem tutaj w Paryżu. On miał jakąś taką niezwykłą charyzmę. Czulem jak...

Mrówki po plecach chodzą?...

Mrówki po plecach, tak.

Ale może, panie Aleksandrze, zanim powędrujemy za Ocean, pozostajmy jeszcze przez chwilę w Paryżu pierwszych lat 20. — tego okresu „burzy i naporu” w pana życiu muzycznym, jeśli tak mogę powiedzieć?...

Sturm und Drang Periode — jak mówią Niemcy. To dobre określenie.

Zaczął pan — między innymi — od „przecierania” drogi Karolowi Szymanowskiemu.

No tak, można by tak powiedzieć. Szymanowskiego w ogóle nie znali w Paryżu. Podczas wojny był w Rosji. Ja jego zupełnie twórczości nie znałem. I on przyjechał do Paryża w 1922 r. Ja już wtedy byłem znany w Paryżu. Przyprowadził Szymanowskiego do mnie Artur Rubinstein. I ja napisałem pierwszy obszerny artykuł o Szymanowskim w „La Revue Musicale”, które było centrum życia muzycznego, nie tylko paryskiego — międzynarodowego. I urządziłem też mu koncert pod patronatem „La Revue Musicale”. Bo muszę panu powiedzieć, że początkowo był to salon, gdzie wszyscy kompozytorzy mieszkający w Paryżu, a także z zagranicy byli przedstawiani na zebraniach muzycznych Henri Prunières’owi, który był redaktorem naczelnym. Miał on najlepszych korespondentów z całego świata. Tam poznałem Bełę Bartóka, Manuela de Fallę⁵ i innych. Ponadto odbywały się koncerty pod patronatem „La Revue Musicale” albo u samego Prunières’a w domu, albo w redakcji „Revue” przy ulicy Grenelle, albo w Teatrze Vieux-Colombier. Ja — niestety — nie mogłem uczestniczyć w koncercie Karola Szymanowskiego, ponieważ byłem na swoim tournée w Niemczech. W każdym razie dla Szymanowskiego był to dobry start.

Jeśli można spytać, panie Aleksandrze, z czego żył młody kompozytor w latach 20. w tym światowym Centrum Sztuki?...

Przyjechałem do Paryża z 80 frankami w kieszeni i zacząłem pracować w dzielnicy La Villette jako pakarz. Potem, dzięki językom jakie znałem, znalazłem miejsce w banku. W końcu, dzięki Ravelowi, wszedłem w środowisko i po 6 miesiącach należałem już do awangardy owych czasów. Wszystko poszło bardzo szybko. Najpierw sprowadziłem moją siostrę, a prawie po roku matkę. Właśnie po roku mogłem już żyć z mojej muzyki. Początkowo dawałem lekcje gry na fortepianie. Jeździłem trochę na różne tournée po Niemczech, Austrii, Szwajcarii, Belgii... Zostałem także członkiem Belgijskiej Akademii Królewskiej.

Czy to prawda, że właśnie królowa Elżbieta przedstawiła pana polskiemu Ambasadorowi?

Napisałem utwór dla Quatuor Belge à Clavier, dedykowany królowej Elżbiecie, był to kwartet na fortepian i orkiestrę, którym sam dyrygowałem w Brukseli. Po koncercie poproszono mnie do loży. Królowa Elżbieta zapytała: „gdzie jest pański Ambasador?” — Nie wiem, nie znam go — odrzekłem. Wówczas powiedziała: „Czy mógłby pan zostać tu kilka dni? Zorganizuję przyjęcie na pana cześć”. No i dwa dni potem przybył po mnie wysłannik królewski, któremu towarzyszył policjant na motocyklu... Odbyło się przyjęcie. I wówczas do Ambasadora polskiego królowa Elżbieta powiedziała: „Panie Ambasadorze, zazwyczaj ambasadorowie przedstawiają na dworze swoich rodaków, pozwoli pan przedstawić sobie polskiego kompozytora Aleksandra Tansmana”. Ambasador był bardzo zmieszany i od tego czasu ilekroć byłem w Brukseli zawsze mieszkalem w gmachu Ambasady.

Słyszałem, że grał pan w duecie z królową Elżbietą.

Tak. Nie była wielkim wirtuozem, ale grała bardzo po prostu...

⁵ Manuel de Falla (1876–1946), kompozytor hiszpański.

Powróć do tych lat z początków pana kariery. Mówił pan, że bardzo szybko zaczęto wydawać pana utwory?

Najpierw to był Demets — pierwszy wydawca Ravela, którego przejął Eschig. Ravel zaprowadził mnie najpierw do Demets'a, który niewiele o mnie wiedział, a potem zaprowadził mnie także do Eschig'a. To znaczy, że była to umowa na pierwszeństwo wydań, ponieważ miałem także utwory wydawane w Edition Universel w Wiedniu, wiele w Ameryce i Argentynie. Bardzo szybko dostałem zamówienia z Ameryki.

Czy to zdarzało się wielu kompozytorom w tamtych czasach?

Tak, Prokofiewowi, Rachmaninowowi, Ravelowi, Bartókowi...

Bela Bartók. Ktoś mi opowiadał, że właśnie istnieje tu pewna paralela między Bartókiem, który grał swój koncert na fortepian ze swoją drugą żoną, a panem, który również...

Tak, też... ze swoją drugą żoną. Colette Cras, która była córką słynnego kompozytora i admirała w jednej osobie. Ale to już było nieco później.

Więc powróćmy do Paryża lat 20. Na przykład do okresu, kiedy poznał pan kompozytorów z „Grupy Sześciu”.

Maurice Ravel zaprowadził mnie do Rolanda Manuela. Urządzał on słynne poniedziałki — był kompozytorem i jednym z najznakomitszych krytyków swoich czasów.

Był również uczniem Ravela?

Był uczniem Ravela a także jego przyjacielem. Poszedłem tam i zostałem natychmiast przyjęty tak, jak gdyby mnie znano. Poznałem tam Milhauda, Honeggera, Roussela, Florenta, Schmitta. I tak to się zaczęło.

Uważano, że należał pan do „Szkoły Paryskiej”?

Tak. To była grupa przyjaciół. Byli to kompozytorzy, którzy przybyli z Europy Wschodniej lub Środkowej: Nikołaj Czerepnin, Czech — Bohuslav Martinu, Rumun — Marcel Mihałowici, Tibor Harsanyi — Węgier. Każdy tworzył swoją muzykę, ale to była grupa przyjaciół.

A skąd wzięła się nazwa „Szkoła Paryska”?

To pomysł dziennikarski, tak jak „Grupa Sześciu”. Wymyślił to Jean Cocteau, jak pamiętam, w artykule zamieszczonym w „Comœdii”. Było takie pismo artystyczne „Comœdia”.

Ale pan zawsze uważał się w tamtych czasach za polskiego kompozytora, mimo że w Polsce uznawano pana za Żyda.

Tak, ale nic na to nie poradzę. Dla mnie ważne są lata dzieciństwa, młodości, jest się przywiązany przecież do swojej „karmicielki”. Moja muzyka ma w sobie dużo polskości. Zresztą mazurki są w prawie każdym moim utworze; w kwartecie smyczkowym, w symfoniach. Polski folklor jest bardzo bogaty. [...] Sądzę, że to po trosze tłumaczy także linię melodyczną moich utworów, a przede wszystkim zapis harmoniczny.

Jedna z dziennikarek francuskich zapytała pana niedawno, czy Polska była w m o d z i e, kiedy pan przybył do Paryża?

We Francji Polska zawsze — w jakimś sensie — była w m o d z i e. Nie wiem, czy pan wie, to była kiedyś bardzo słynna historia — gdy car Aleksander III przyjechał do Paryża, wielu ludzi krzychało: „Niech żyje Polska!”...

Do dzisiaj wielu Francuzom została ta znajomość europejskiej geografii. Ale może powróćmy do niezwyklego zainteresowania w Paryżu twórczością kompozytora właśnie polskiego, jak to do dziś pan stanowczo podkreśla, mimo, że od roku 1938 jest pan obywatel francuskim.

Skoro już pan dotknął sprawy mego o b y w a t e l s t w a, to może przypomnę, że wystąpiłem o tę zmianę dopiero wiosną 1938 r., kiedy po powrocie z podróży poślubnej do Włoch z moją drugą żoną Colette przeczytałem w gazetach, iż Polska zawarła u k ł a d o n i e a g r e s j i z Niemcami. W ciągu dwóch tygodni, w dniu 1 czerwca 1938 r. otrzymałem od prezydenta Republiki Lebruna pismo akceptujące moją prośbę. Co wcale nie zmienia faktu, że nadal jestem polskim kompozytorem. A jeśli idzie o moje paryskie początki, to przecież od razu miałem sławnych wykonawców. Na przykład w Paryżu to był Huberman, jeden z największych skrzypków swoich czasów, a może nawet wszystkich czasów, w Ameryce to byli: Mengelberg, Koussevitzky, Toscanini, w Niemczech — Kleiber, Abendroth, Klemperer.

Słyszałem, że był pan szczególnie zadowolony z interpretacji Toscaniniego „Tańców polskich”?

Tak, to było naprawdę... Nic o tym nie wiedziałem. Przyjechałem do Nowego Jorku i widzę na afiszu koncert inauguracyjny sezon, październik 1933; i widzę w programie *Tańce polskie*, którymi dyrygować miał Toscanini. To było zupełnie jak cud, ponieważ Toscanini był już prawie ślepy i dyrygował z pamięci, nie opracowywał już zbyt wielu utworów współczesnych i dlatego to było dla mnie prawdziwie wielkim wydarzeniem. Byłem właśnie na początku mojej podróży dookoła świata. Niebawem wyjechałem. Miałem bardzo, bardzo duże tournée po Ameryce.

Ale zaczął pan chyba swoją podróż od Dalekiego Wschodu?

Od Hawajów. Najpierw było Honolulu, gdzie raz już byłem, a potem Japonia.

Czy to prawda, że orkiestra japońska nauczyła się wszystkiego na pamięć?

Tak, to było absolutnie nie do wiary. Byłem j e d y n y m, który miał nuty! Wszyscy muzycy z uprzejmości nauczyli się swoich partii na pamięć. Znali nawet numery porządkowe i kiedy mówiłem: „trzy takty przed 42”, oni wiedzieli, gdzie to jest.

Był pan pierwszym kompozytorem w owych czasach, który odbył podróż dookoła świata ze swoimi utworami.

Rozpocząłem od Polski w 1932 r., potem był Paryż, Stany Zjednoczone, następnie Japonia, Chiny, Hongkong, Filipiny, Jawa, Bali, Sumatra, a w drodze powrotnej Cejlon, Indie, Egipt. A ponieważ w tym czasie nie byłem żonaty, poprosiłem mojego impresaria by przedłużył trochę czas trwania podróży abym mógł nie tylko dawać koncerty, ale także zwiedzać. Tak więc trwało to prawie rok!

Ale powróćmy jeszcze przez chwilę do pierwszego pana tournée po Stanach Zjednoczonych. Kiedyś wspominał pan, że było ono zorganizowane przez impresaria, którego spotkał pan przez przypadek.

Spotkałem go w Zürichu. Wykonywany tam był jeden z moich utworów w ramach Festiwalu Muzyki Współczesnej. Ów człowiek wiedział, że miałem już kontrakt z dyrygentem Koussevitzky'm. Zaprosił mnie na kolację. Pił bardzo dużo. Wszystko skończyło się kontraktem, który gwarantował mi minimum 10 tys. dolarów. Ponieważ tak dużo pił, pomylił się o jedno zero i napisał 100 tys. Byłem na tyle uczciwy, że powiedziałem: „drogi przyjacielu, napisał pan o jedno zero za dużo”. Natychmiast wytrzeźwiał i był bardzo wdzięczny.

To był jedyny impresario, który lubił muzykę. To on sprowadził do Stanów Bartóka i Ravela. I to w tym samym czasie.

A więc odbywał pan swoje tournée w tym samym czasie, co Ravel i Bartók, czyli w najlepszym towarzystwie.

Tak, to było trochę żenujące, ponieważ Amerykanie nie zdawali sobie z tego sprawy. Wydawali przyjęcia, na przykład w Chicago u Rockefellera, na cześć Ravela i Tansmana. Powiedziałem do Ravela: „Nie, pan jest znakomitością światową, a ja jestem tylko młodym debiutantem”. „Obaj jesteśmy kompozytorami i jeśli pan nie pójdzie, ja również nie pójdę”. Poszliśmy więc. Było to przyjęcie bardziej ceremonialne, niż na dworze królewskim. Za każdym krzesłem stał lokaj w peruce zupełnie jak za czasów Ludwika XIV. Ravel nie mówił po angielsku, na dodatek więc musiałem tłumaczyć. Jak tylko ktoś zwrócił się do nas, zaraz zmieniano nam talerze. Efekt był taki, że prawie nic nie zjedliśmy i potem musieliśmy pójść do *drugstore*’u na hamburgera!... Natomiast Bela Bartók miał zdecydowanie odmienny charakter, był bardzo dziwnym człowiekiem. Nigdy nie przyzwyczał się do Ameryki. Widziałem go nieco później, niedługo przed jego śmiercią. Nie rozumiał, dlaczego ludzie tak bardzo się śpieszą. Umarł niemalże w nędzy. Pogrzeb opłaciło Stowarzyszenie Autorów Amerykańskich. Było wielu dyrygentów pochodzenia węgierskiego, którzy nigdy nic dla niego nie zrobili. Zajmował się wtedy folklorem amerykańskim, ale przecież nie mógł z tego żyć. Sergiusz Koussewitzky, któremu opowiadałem o stanie w jakim znajduje się Bartók, zamówił u niego utwór — koncert na orkiestrę. Ale nie mógł już wywiązać się z tego, bo choroba — białaczka — była już dość zaawansowana. Odwiedziłem go w szpitalu na miesiąc przed śmiercią, zresztą moja 5. Sonata z roku 1955 jest jemu dedykowana... Ale tu muszę kilka słów dodać o wspomnianym Koussewitzky’u, poznanym przeze mnie tutaj w Paryżu, gdyż on właśnie odegrał ogromną rolę w mojej karierze. On właściwie wprowadził mnie do Ameryki. On zamówił u mnie pierwszy koncert fortepianowy, a później symfonię. I ta symfonia akurat miała swoje pierwsze wykonanie w czasie jednej z pierwszych wielkich transmisji radiowych na świecie ze stacji amerykańskiej.

Jeśli nie policzymy w ogóle pierwszej transmisji koncertu z królewskiego pałacu w Laeken na terenie dzisiejszej Brukseli do Konga w Afryce w roku 1914, a więc przed uruchomieniem radia publicznego na świecie.

No, tak, ma pan rację. Ale oni wtedy zrobili taką typową amerykańską reklamę, że Francja wynajęła im studio na wieży Eiffla i urządzili całą komedię: „Czy ty słyszysz, Aleksandrze? Tutaj gramy twoją symfonię!”. I to wszystko było w prasie... Właśnie wczoraj była u mnie pewna Amerykanka, która pisze o mnie tezę doktorską i pokazywała mi wycinki prasowe, tudzież fotokopie tamtych artykułów i recenzji z bostońskiej prasy. Jeden zaś tytuł brzmiał: *Three times kiss by the muse* — Trzykrotnie ucałowany przez muzę...

Ja myślę, że pana ta muza ucałowała wielokrotnie... Pan jest typowym przykładem — można powiedzieć — DZIECKA SZCZĘŚCIA. Zresztą o tym takie zdanie ma pana biograf — Janusz Cegiełła⁶. Pana nawet nie ominęli tzw. „wielcy ludzie” z poza świata muzyki. Jeśli już jesteśmy blisko Ameryki, to tam przecież poznał pan Charlie Chaplina...

Tak. Miałem nawet polecający list do niego. Ale nie wiadomo było, czy to się uda? On wtedy właśnie rozwiódł się i powiedzieli mi, że nikogo nie przyjmuje. Pamiętam, że po odwiedzinach, w Hollywood jedna z pań, które towarzyszyły nam z żoną, powiedziała: „wejdźmy tu może do tej kawiarni, bo tutaj czasami bywają «gwiazdy» kinowe”. Wchodzimy i od razu widzę siedzącego Charlie Chaplina z jakimś innym panem. Ja wyjmuję z kieszeni list i wręczam go aktorowi. A on od razu: „Niech pan wejdzie i siada”. Ja mówię: tu żona czeka ze mną. „Niech pan zaprosi żonę, a jutro zapraszam na kolację przyśle po was samochód”. Nie bardzo wierzyliśmy w to zaproszenie, ale na wszelki wypadek odpowiednio ubraliśmy się. O wpół do ósmej zadzwonili z portierni, że jest szofer, który

⁶ J. Cegiełła, *Dziecko szczęścia. Aleksander Tansman i jego czasy*. Warszawa 1986.

na nas czeka. Byliśmy na kolacji, po której Chaplin pokazał nam jeszcze przed premierą swój film pt.: *Cyrk*. No i od tego czasu zaczęła się nasza przyjaźń. Później poświęciłem mu swój koncert fortepianowy, grany na wolnym powietrzu w Hollywood Ball. 22 tysiące osób było na tym koncercie, a on wyszedł na scenę z ukłonami. I właściwie tylko dzięki tej przyjaźni jestem tutaj. Bo podczas wojny ostatniej to on — Charlie Chaplin założył specjalny komitet, żeby nas jakoś uratować. Do tego komitetu weszli między innymi: Toscanini, Koussewitzky, Rodziński — wielu dyrygentów. No i przesyłał mi też pieniądze. No, wie pan, właśnie dzięki niemu jesteśmy tutaj. Klęska Francji, to słynne *armistice* — „zawieszenie broni” zastało nas w Nicei, w tzw. „wolnej strefie”, nie okupowanej przez Niemców. W ostatniej chwili mer Nicei powiedział: „Proszę pana, za chwilę przychodzi tu policja francuska i my nie będziemy mogli panu pomóc. Niech pan wyjeżdża natychmiast”. I myśmy wyjechali prawie ostatnim okrętem. Ameryka stała się naszą ostoją, no i pomoc Chaplina.

I proszę sobie wyobrazić, że mój pierwszy koncert w Los Angeles — żywo to pamiętam — odbył się w dniu 7 grudnia 1941 r.

Data słynnego nalotu Japończyków na bazę Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych — Pearl Harbor na Hawajach. Czy słyszał pan przez radio zapowiedź przystąpienia Ameryki do wojny?

Nie. To był pierwszy mój koncert po przyjeździe do Ameryki — nic nie wiedziałem, nie czytałem gazet, nie słuchałem radia, nawet go nie miałem... I był taki kompozytor pochodzenia polskiego, Jung się nazywał, pisał muzykę do filmów i on odwoził nas na koncert. Pyta mnie ni z tego, ni z owego: „Co pan o tym myśli?” Nie wiedziałem, o co chodzi... „Jak to? Przecież od dziś — wojna!” A sala była przepelniona...

Pan wybaczy mi tę perfidną uwagę w tym miejscu — z podróży do Japonii przywiózł pan miecz samurajski podarowany panu przez samego cesarza Hirohito...

Tak. Byłem przez niego przyjęty. Świetnie władał językami, ale urzędowo musiał mówić po japońsku, ja mówiłem po angielsku. „Złoty medal” wręczono mi podczas koncertu. Ponieważ Japończycy ciągle się kłaniają, kiedy mówią sobie „dzień dobry” i „do widzenia”, trzeba stale uważać, aby nie podnieść się z miejsca jako pierwszy i pamiętać o ukłonach nawet podczas gry. Medal dyndał mi na szyi przez cały czas, zwłaszcza kiedy kłaniałem się.

Cesarz był bardzo skromnym człowiekiem. W czasie wojny przedstawiano go z „nożem w zębach”, ale to był botanik, który nie miał wiele do powiedzenia.

Słyszałem, że rozpowszechniano także pana podobiznę na pudełkach z zapalkami, które krążyły po całej Japonii.

Kiedy przypląnałem do Japonii — na ogół mówi się, że Japończycy są bardzo surowi — najpierw celnicy przepuścili mnie jako pierwszego i zamiast zażądać ode mnie dokumentów, wszyscy wyciągnęli programy i poprosili o autografy.

Jest pan również honorowym członkiem Cesarskiej Akademii Muzycznej w Tokio i utrzymuje pan wspaniałe kontakty z tym krajem aż do dziś.

Tak, są przyjaciele Aleksandra Tansmana w Tokio. Ostatnio dostałem tę małą czarną wazę z laki i program z moją biografią w języku japońskim. Podczas mojego tam pobytu podarowano mi sztukę jedwabiu na kosztulę z prośbą, abym udał się do najlepszego krawca, który zdejmie ze mnie miarę. Przez całe lata nie potrzebowałem potem kupować koszul, ponieważ miałem dwa tuziny jedwabnych koszul! I zawsze te prezenty były anonimowe. Codziennie kiedy wracałem wieczorem do siebie zastawałem jakiś podarunek.

Na ogół musiałem sam płacić za hotel, tym razem kiedy chciałem uregulować rachunek okazało się, że hotel był już opłacony.

Było to zrobione bardzo dyskretnie?

Tak, bardzo dyskretnie przez nieznanego wielbiciela.

Podczas tournée dookoła świata poznał pan Gandhiego, kolejną niezwykłą osobowość...

Byłem w Bombaju i spotykałem tam przede wszystkim Anglików grających w golfa. Ale jak można przyjechać do Indii i ograniczyć się tylko do tego? Poszedłem więc do świątyni buddyjskiej i spotkałem kapłana, który mówił po angielsku. Powiedziałem mu: „mam co najmniej dwa tygodnie bezczynności, czy mógłby mi pan pomóc? Chciałbym dowiedzieć się czegoś o Indiach. Z Anglikami mogę zawierać znajomości w Europie”. Wtedy ów kapłan powiedział: „Przyślę panu jutro studentów, oni pokażą panu co nieco”. I rzeczywiście przyszli. To oni pokazali mi całą nędzę Indii. Zobaczyłem wszystko, co można było zobaczyć w ciągu kilku dni. Na koniec spytali mnie: „czy zainteresowałoby pana spotkanie z Gandhim?”. Ależ to szaleństwo! Gandhi z pewnością nie zechce mnie przyjąć! Sądziłem, że to dowcip, ale nie, w dwa dni później dostarczono mi do hotelu list: „Pan Gandhi będzie szczęśliwy, mogąc pana przyjąć”. Gandhi mieszkał w aśramie pod Bombajem, wziąłem więc taksówkę, której właściciel nie chciał przyjąć zapłaty! Człowiek, który wyszedł mi na spotkanie był nadzwyczajnej brzydoty. Nigdy nie widziałem człowieka równie brzydkiego. Ale kiedy tylko uśmiechnął się wyglądał jak święty! Studiowałem trochę *Bhagawadgitę* — ewangelię hinduizmu, aby otrzaskać się i powiedziałem mu o tym. „Ależ dlaczego nie miałby pan zostać z nami przez jakiś czas w aśramie?” Zostałem tam 6 dni. Wyjaśnił mi wszystko. Mam zresztą egzemplarz z jego adnotacjami zrobionymi po angielsku. To było niezwykle wzbogacające!

Odnalazłem właściwie trzech prawie św i ę t y c h ludzi na świecie. Jeden to był właśnie Gandhi, drugi to był papież Jan XXIII, który mnie przyjął na prywatnym przyjęciu. To znaczy — było na nim 30 osób! Wtedy papież chciał mnie p o b ł o g o s ł a w i ć. Ja wówczas powiedziałem: „Ale, proszę Pana, ja nie jestem chrześcijaninem!”. A papież — „tym większy jest powód!”. — *C' est une raison de plus!*

To był wielki papież.

No i później trzecim takim człowiekiem był dla mnie Albert Einstein, z którym muzykowałem. Fałszywie grał na skrzypcach, ale tylko Mozarta. Z jaką wielką radością grał!... Nadzwyczajni byli to ludzie!

Ale chciałem tu przy okazji opowiedzieć panu o zabawnej przygodzie koncertowej, jaka mnie spotkała w Singapurze. Ponieważ tego samego dnia był jakiś duży balet, to na tym moim koncercie, w ogromnej sali opery było nie więcej, niż 20 osób. Jeden z krytyków napisał: „Nie wiem, czy pan Tansman jest dobrym kompozytorem, czy dobrym pianistą, ale na pewno jest *good sport*, bo mógłby zaprosić zebraną publiczność do swego mieszkania w hotelu i tam dać koncert, bo zupełnie nieźle zagrał ten koncert”. I nawet musiałem na końcu zagrać: *God save the King*... Więc powiedziałem menadżerowi, że niech mi tylko opłaci hotel, bo ja z honorarium zrezygnuję. A on na to: „Nie, proszę pana, zrobimy drugi koncert”. No i jak wróciłem z wyspy Bali zrobili ten koncert i tu sala była przepelniona! Grałem dwadzieścia utworów ludowych, a największe powodzenie miał ostatni. Nie wiedzieli, co to jest. Krytycy napisali, że to był... piękny horror! A to była pieśń kościelna: *Boże coś Polskę!*...

To istotnie zabawna historia koncertowa. Można by o nich napisać kilka książek. Podobnie, jak o pańskich przyjaźniach i spotkaniach choćby tylko z dziedziny muzyki. Weźmy takiego na przykład George'a Gershwina. Podobno nawet był pana dalekim kuzynem?

To przypuszczenie mojego biografy — Janusza Cegiełły. Zresztą to całkiem możliwe, gdyż miałem wujka, który nazywał się Gerszuni, a nazwisko Gershwin...

To przekształcony Gerszuni?

A no właśnie! To całkiem możliwe. George kiedyś przyjechał na mój pierwszy koncert w Ameryce z Bostońską Orkiestrą i bardzo mu się podobał. A ja podziwiałem Gershwina za jego melodykę, ale on nie znał rzemiosła. Wszystkie jego utwory były instrumentowane na orkiestrę przez kogoś innego. Powiedziałem mu — był zawsze otoczony przez całą rodzinę — „przyjedź do Paryża na jakiś czas, brakuje ci bardzo niewiele, masz intuicję, ale musisz uniezależnić się od aranżerów”. „Dobrze, przyjadę” — odpowiedział, ale w to nigdy nie uwierzyłem. Aż tu pewnego dnia, telefon, to George. „Jestem w Paryżu. Stałem w Hotelu Majestic”. Wsiadłem w samochód, jadę i co widzę: Gershwin z mamą, tatą, wujem, kuzynem i nie wiadomo jeszcze z kim!

W końcu wyjechali, a on pracował ze mną nad instrumentalizacją *Amerykanina w Paryżu*. Wędrowaliśmy avenue de la Grande Armée w poszukiwaniu odpowiednich klaksonów, ponieważ potrzebne były nam klaksony. On miał intuicję, kilka małych uwag zupełnie mu wystarczyło.

Mam ciągle w uszach jego „Błękitną rapsodię” graną przez Władysława Kędrę.

Widziałem go na krótko przed śmiercią. Dyrygowałem w San Francisco jednym ze swoich utworów, a on miał dyrygować w tydzień po mnie. Wyglądał dobrze, ale kiedy wróciłem do Paryża dowiedziałem się, że zmarł. Cierpiał na to samo, co Ravel, miał coś w mózgu...

To był naprawdę ogromny talent! To jest jego fotografia z dedykacją, tam przy fortepianie — „z admiracją i z wdzięcznością”. Trochę mu pomogłem. Niektóre rzeczy on niby sam mógłby się nauczyć, ale o niektórych nie wiedział teoretycznie. No, z nim to była zabawna historia. On strasznie lubił grać. Na przykład, tu w Paryżu jak był, zaprosił go Rothschild. I on takie honorarium sobie zawinszował, że nawet dla Rothschilda było za duże. Więc zaprosił wszystkich na kolację. Ale po kolacji, jak on zobaczył fortepian, to przysiadł do fortepianu i grał całą noc.

„Rapsody in blue”.

Wszystko grał. I swoje różne pieśni, i to *The Man who I Love, Do it again — Oh, do it again...* — [zanucił pan Aleksander].

„Summer time”.

To jest piękne! To jest jedna z najlepszych oper współczesnych — *Porgé and bess*. Byłem na niej w Nowym Jorku. Wspaniale była śpiewana i grana przez murzynów...

Czy bliski kontakt z Gershwinem nie zaraził pana stylistyką jazzu?

Podczas jednej z moich podróży statkiem powstała *Sonatina transatlantycka*, która wkrótce, ni z tego ni z owego przyniosła spory sukces. Pisano nawet na afiszach „kompozytor słynnej sonatiny transatlantyckiej”. Zrobiła taką karierę, ponieważ najpierw pisana była na fortepian, potem na skrzypce i fortepian, a w końcu na orkiestrę. Były to moje pierwsze wyobrażenia o jazzie. Wszyscy kompozytorzy pozostawali już pod wpływem jazzu: Strawinsky, Ravel, Roussel, Schmitt. To było w powietrzu.

Ale pan go przetworzył na swój sposób?

Tak, oczywiście, w mojej IV Symfonii scherzo jest charlestonem i bluesem jednocześnie.

Komponował pan również muzykę filmową?

Tak, robiłem muzykę do filmów. Pierwszym filmem był *Rudzielec* Duviviera. Odnosił światowy sukces, nie z powodu mojej muzyki, ale niemniej stał się utworem klasycznym,

który znaleźć można we wszystkich filmotekach. Później zrobiłem muzykę filmową w Ameryce, ale w Ameryce było to bardzo trudne, ponieważ oni mieli swoich aranżerów. Byłem pierwszym kompozytorem, który nie chciał aranżera. Musiałem więc płacić kary. Poza tym istniały sztywne reguły: sceny miłosne na przykład musiały być pisane na skrzypce i dzielić się podobnie, jak w Lohengrinie. Ja napisałem na przykład coś na róg. Producenci byli na ogół kompletnymi ignorantami. Jeden z najbardziej znanych, nie chcę wymieniać tu jego nazwiska, spytał mnie: „czy mógłby pan napisać muzykę bez bemołów?”. Odpowiedziałem: „Tak”. Jemu się wydawało, że bemol to dysonans. Wynikła z tego cała historia, bo w końcu było za dużo bemołów. Wówczas oświadczył: „zaangażowałem pana, ponieważ zobaczyłem pana nazwisko w *Encyclopaedia Britannica*. Chciałbym muzykę, którą wszyscy mogliby gwizdać wychodząc z kina”. „Nie, pan chce taką muzykę, którą wszyscy mogliby gwizdać już tam wchodząc”.

Zupełnie nam nie szło. W końcu musiał mi zapłacić za niedotrzymanie umowy. Mimo to zrobiłem jednak muzykę do filmu Duviviera i Charlesa Boyera. Film nosił tytuł *Obsesja*. Grały tam wielkie gwiazdy takie, jak Robinson, Charles Loton. Potem przyszły inne filmy — *Sister Kenny* i *Paris underground* z Constancem Bennettem. To był film o tym, jak Amerykanie wyobrażali sobie życie w okupowanym Paryżu. Zbudowali np. dozorcówkę, w której stał fortepian. „Nie! Słuchajcie, dozorcówka w Paryżu wygląda zupełnie inaczej!” W końcu wszystko trzeba było urządzać od nowa. To było bardzo zabawne...

W jakim momencie opuścił pan Stany Zjednoczone?

Wróciliśmy dopiero w 1946 r., ponieważ moja żona przeszła poważną operację i musieliśmy zostać tam rok dłużej.

Przed wojną miałem w Paryżu coś w rodzaju małego pałacyku. Kiedy wróciliśmy: ja, żona i dzieci, podaję adres i słyszę „nie, nie, to już nie istnieje!” Pałacyk był zajęty, a wszystko co w nim, zostało rozkradzione. Moja teściowa i szwagierka ocalały kilka drobiazgów jak np. te pamiątki z Bali, ale ja miałem piękne obrazy, prezenty od przyjaciół.

Znał pan przecież wielkich malarzy, znał pan także Kandinsky'ego.

Tak. Znałem również Modiglianiego. Miałem kolekcję serwetek... Było to niedługo już przed jego śmiercią. Spotykaliśmy się wszyscy w kawiarni La Rotonde na Montparnassie, a on rysował coś na serwetkach i ofiarowywał to przyjaciołom. Miałem około 2 tuzinów takich serwetek. Niestety wszystkie skradziono. A mógłbym dziś być milionerem.

W 1981 r., w tym pamiętnym dla Polski roku „Solidarności” był pan w Polsce.

Tak. Mam tutaj list od Lecha Wałęsy, ponieważ skomponowałem utwór pt.: *Hotd*, który wykonano w Gdańsku i on przysłał mi ten czarujący list z podziękowaniami, zaprosił mnie do siebie, ale ja nie byłem w Polsce od czasu stanu wojennego.

Czy widział pan pański dom rodzinny przy ul. Pruchnika 20?

Po wojnie, tak. Odbyła się uroczystość wmurowania tablicy pamiątkowej w ścianę domu, w którym się urodziłem, tak więc pojechałem tam.

A więc, przypominano sobie w Polsce o pańskim istnieniu w myśl znanego przysłowia, że „nikt nie jest prorokiem we własnym kraju”. Trochę czasy się zmieniły...

Tak, ale to nie w moim kraju grają mnie najczęściej.

Tak, ale odznaczono pana medalem Stowarzyszenia Kompozytorów Polskich, którego jest pan honorowym członkiem, a także krzyżem zasługi i krzyżem zasługi dla kultury polskiej. A ostatnio dostałem... zostałem mianowany kawalerem orderu sztuk pięknych i literatury.

Moje gratulacje! Czasy trochę się zmieniły...

No, tak, wie pan. I ludzie wszyscy chcą zaczynać od zera. Jak się zaczyna od zera, to się kończy zerem.

Czyli wierzy pan w ciągłość kultury?

Absolutnie! Nie wierzę, że jest przerwa i że można zacząć od zera.

Co pan myśli o dzisiejszej, współczesnej muzyce?

No, nie wszystko dla mnie jest muzyką, co się nazywa współczesną muzyką. Na przykład w latach 20. ja należałem do awangardy. We wszystkich słownikach z tamtych lat: „ekstremna awangarda” i tak dalej. Tak, że mi trudno sądzić, ale wiem, że grają niektóre rzeczy, które nie będą miały drugiego wykonania. Co to jest muzyka? Jest to pewnego rodzaju przerwa ciszy. Ale byle jaka przerwa ciszy nie jest muzyką. Muzyka ma swoje pewne postulaty. Jest harmonia, jest rytm i kolor. Ale sam kolor nie wystarcza. A dzisiaj pisze się komputerami muzykę. To dla mnie nie jest poważne. Współczesność — jedna rzecz, a moda — to jest inna rzecz. Na przykład tutaj. Proszę pana, ja byłem na jednym koncercie bardzo znanego kompozytora, nazwiska panu nie powiem... I cała sala siedziała tak zagłuszona, ręce na uszach. Nic nie słyszeli. A jak się skończył koncert — to owacje! Publiczność już wie z góry — powiedzieli, że jest geniusz — ale nic nie słyszeli i robili owacje. Czasami słyszę przez radio byle co. No, w Polsce jest dobra szkoła muzyczna.

Ale moim zdaniem, tradycja zawsze musi być szanowana. Nie można powiedzieć, że zaczyna się od zera i się coś nowego robi. Nowego nic nie ma. Nie ma nic na świecie niczego nowego. Trzeba wynaleźć, co jest do dyspozycji, coś dodać do tego, co już istnieje. Ale jeżeli pan weźmie na przykład *Święto wiosny* Strawińskiego to temat może dziecko nawet pamiętać. To jest podejście do rzeczy. I tak samo wszystkich wielkich muzyków, których znałem: czy Schönberga, czy Bartóka — oni uważali, że coś dodają nowego, ale nie odrzucają, nie mówią, że wszystko co było, to trzeba skreślić i zacząć... Jeszcze dotychczas nie wiadomo jak się piramidy budowało.

Zgadzam się, co do tradycji, ale wierzę, że ma pan na myśli „tradycję kopernikańską”, której — moim zdaniem — był pan zawsze wierny.

Tak, ma pan rację. Bo tu nie chodzi o pospolity tradycjonalizm. Wzruszenie znaleźć można w naszej epoce tak samo jak w wiekach minionych. Wyrazić emocje epoki maszyn. Jej liryzm. Oto prawdziwa muzyka. Ale imitować muzyką ruch maszyn, to cyrk. Każda epoka, również i nasza ma własne momenty subiektywne. Są one nierozdzielnie związane z genezą twórczości artystycznej. Trzeba je tylko wyodrębnić w ich przejawach aktualnych i dostosować do obiektywnej, współczesnej realizacji. Skłonność do wzruszenia i moment liryczny pozostaną na zawsze warunkami *sine qua non* sztuki muzycznej. Idee i emocje z nich wypływające są tym, co pozostaje ze środków wyrazu tej czy innej epoki. Z punktu widzenia wartości rzeczywistych istnieją tylko dwa rodzaje muzyki: dobra i zła. Osobowość artysty przejawia się wyborze istoty muzyki, w sposobie obróbki materii dźwiękowej. Jedynym zaś, właściwym sposobem jest podążanie za własną naturą. Tylko sposób tworzenia nie opierający się wpływowi otoczenia daje czasem niedostrzegalnie postęp. Bądźmy dziećmi własnej epoki, ale nie słuchajmy ślepo głosu mody. Jest ona powierzchowna i przemijająca. I jeżeli tak właśnie będziemy tworzyć zaparcie się owego czynnika subiektywnego stanie się niemożliwe. Tym, czego powinniśmy poszukiwać w ruchu muzycznym naszego czasu jest muzyka.

JERZY STEMPOWSKI — IWAN SENKIW DZIEJE PRZYJAŹNI

Andrzej Stanisław KOWALCZYK (Warszawa)

Adresat listów Stempowskiego, dr Iwan Senkiw, był uczniem i przyjacielem pisarza. Urodził się w 1913 r. w rodzinie ukraińskiej we wsi Pobereże w powiecie stanisławowskim. Ukończył gimnazjum ukraińskie w Stanisławowie, a następnie studiował etnografię na Uniwersytecie Warszawskim. Tytuł magistra filozofii otrzymał w roku 1938 na podstawie pracy pt. „Grażda huculska”, napisanej pod kierunkiem prof. Cezarii Baudouin de Courtenay. Podczas wojny pracował w Muzeum Etnologicznym w Berlinie. Po wojnie pracował jako tłumacz w konsulacie amerykańskim w Hamburgu. W 1952 przeniósł się do Dortmundu w Westfalii, gdzie otrzymał pracę w bibliotece naukowej. Wynikiem studiów nad etnografią Huculszczyzny była książka *Die Hirtenkultur der Huzulen* (Marburg 1981), Kultura pasterska Huculów.

W liście do piszącego te słowa, datowanym 16 stycznia 1992, dr Iwan Senkiw opisał dzieje swojej znajomości z Jerzym Stempowskim i Stanisławem Vincenzem:

„Będąc uczniem siódmej klasy gimnazjum, miałem szczęście być zaproszonym na zebranie sympatyków panidealizmu szwajcarskiego filozofa i psychologa Rudolfa M. Holzapfla (1874–1930), które odbyło się w 1932 r. w Stanisławowie w jednym hotelu z inicjatywą głównych kaznodziei panidealizmu: St. Vincenza i Izydora Blumenfelda ze Lwowa¹.

Vincenz nakreślił optymistyczne cele nowego Towarzystwa w Galicji Wschodniej, które mnie się bardzo podobały. On mówił, że centrala Międzynarodowego Towarzystwa Panidealistów znajduje się w Szwajcarii, jego członkowie są publicystami, ludźmi nauki i kultury. Chodzi mu głównie o nawiązanie bliskich stosunków z inteligencją narodów europejskich i twórczą współpracę. Pod koniec zebrania St. Vincenz zwrócił się do mnie

¹ Izydor Blumenfeld (zm. 1944), przemysłowiec, właściciel fabryki farmaceutycznej „Laokoon” we Lwowie; z wykształcenia matematyk, biograf Newtona. Wraz z Vincenzem przełożył *Wszelkie* Rudolfa Marii Holzapfla (Warszawa 1935). Na temat fascynacji St. Vincenza panidealizmem zob.: A. St. Kowalczyk, *Stanisław Vincenz — Rudolf Maria Holzapfel*, [w:] *Studia o Stanisławie Vincenzie*, red. P. Nowaczyński. Lublin 1994 s. 49–62. [Wszystkie przypisy — Andrzej Stanisław Kowalczyk].

z propozycją, żebym odwiedził go podczas wakacji w Słobodzie Rungurskiej pod Kołomyją na Podkarpaciu w powiecie kołomyjskim. Chętnie skorzystałem z zaproszenia i pojechałem pociągiem do Słobody Rungurskiej, kopalni naftowej, która była własnością rodziny Vincenzów. Tutaj żyli jeszcze rodzice Stanisława Vincenza, brat Kazimierz, zarządca kopalni, i pani Lena Vincenzowa, z pochodzenia Rosjanka z Krymu, pierwsza żona pana Stanisława Vincenza, z którą wziął rozwód. Z czasem S. Vincenz zapoznał w Warszawie Polkę, pannę Irenę, wziął z nią ślub i zamieszkał w Warszawie. Z pierwszą żoną miał on jednego syna, którego posłał do szkół do Anglii. Z Ireną miał dwoje dzieci: Andrzeja i córkę Barbarę.

W Słobodzie mieszkała w dużym domu pani Lena przez cały rok sama, tylko ze służbą. Latem i na Boże Narodzenie zajeżdżał do Słobody pan Stanisław, gdzie miał swoje mieszkanie. Wtedy przybywali do Słobody też goście, których zapraszał. I goście pani Leny. Pan Stanisław bywał w Słobodzie tylko parę tygodni i wracał z powrotem do swej rodziny w Warszawie albo do Bystrzeca w Czarnohorze, gdzie miał własny dom drewniany w huculskim stylu. Tutaj przebywała pani Irena ze swoimi dziećmi, przeważnie latem. Tu zajeżdżali też goście pana Stanisława. Raz spotkałem tutaj dwie młode pary z Anglii, innym razem przywitał mnie w Bystrzecu dr Blumenfeld.

W Słobodzie przywitała mnie pani Lena bardzo mile i przedstawiła swoim gościom, wśród których zapoznałem państwa Rettingerów z Warszawy i ich przyjaciela pana Jerzego Stempowskiego². Od tego czasu gościłem w Słobodzie na prośbę pani Leny prawie co roku latem i na Boże Narodzenie. Za każdym razem spotykałem tutaj pana Jerzego ze swą przyjaciółką panią Wichuną, z którymi często rozmawiałem i chodziłem na spacer. [...] W Słobodzie pan Stanisław czytał nam dwóm *Panideal* Holzapfla i tłumaczył na język polski. Nasze filozoficzne rozmowy przeciągały się nieraz nawet do drugiej godziny po północy. W tym czasie pan Stanisław pisał swój utwór *Na wysokiej połoninie*. Świeżo napisane rozdziały odczytywał sam głośno wszystkim gościom. Nieraz wędrował on po wsiach huculskich i brał mnie ze sobą. Jednego razu pojechaliśmy taksówką do Riczki obok Kosowa. Tutaj odwiedziliśmy płka Okołowicza, który zbierał eksponaty huculskie dla muzeum Towarzystwa Przyjaciół Huculszczyzny. Pierwszy raz miałem okazję oglądać piękne wyroby przemysłu domowego Huculów.

Gdy zdałem maturę, Vincenz wystarał się dla mnie stypendium, posłał mnie do Warszawy i poradził studiować etnografię Huculszczyzny. Wprowadzie stypendium było skromne, tylko 60 złotych na miesiąc, ale lepiej jak nic. Podczas studiów uniwersyteckich nie zerwałem swoich kontaktów ze Słobodą. Była ona dla mnie przepiękną oazą towarzyskiej kultury i międzynarodowej przyjaźni. Tutaj spotykałem inteligentnych ludzi różnej narodowości prawie ze wszystkich krajów Europy. Jedni rozmawiali po polsku, inni po niemiecku, angielsku, żydowsku i francusku.

W Słobodzie zaczęła się moja przyjaźń z panem Stempowskim i trwała aż do jego śmierci w 1969 r. Miał wrodzony talent zabawiania swych znajomych rozmową towarzyską na różne tematy, którą upiększał paradoksami, ironią i humorem. Był bardzo rozmowny i bez znużenia można było go słuchać godzinami. Byłem zawsze pilnym jego słuchaczem, co się mu bardzo podobało. To było pierwsze ogniwo naszej przyjaźni. Wszyscy autorzy poważnych artykułów o Stempowskim stwierdzają, że był ukrainofilem.

² O Ludwice i Mieczysławie Rettingerach i Stempowskim zob.: A. St. Kowalczyk, *Nieśpieszny przechodzień i paradoksy. Rzecz o Jerzym Stempowskim*. Wrocław 1997. Rozdział pt. *Moja ojczyzna jest dniostrzymym jarem, stepem porośniętym burzanem...*; także: H. Micińska-Kenarowa, *O Jerzym Stempowskim*, [w:] B. Miciński, J. Stempowski, *Listy*, oprac. A. Micińska, J. Klejnocki, A. St. Kowalczyk. Warszawa 1995.

Urodził się na Ukrainie³, tam wyrastał na chlebie ukraińskim. Miał wrodzony sentyment do ukraińskich rodaków. Myśmy się od razu zrozumieli i odczuli wzajemną sympatię. Będąc jeszcze uczniem gimnazjum, już korespondowałem ze Stempowskim. Pisałem mu o swoich pozytywnych i negatywnych przeżyciach w gimnazjum. On udzielał mi mądrych porad, jak mam się zachowywać w różnych sytuacjach wobec nauczycieli i księży. Jednego lata spędziliśmy wspólnie wakacje w Peczenizynie, gdzie mieszkaliśmy w ładnym pensjonacie trzy tygodnie na jego koszt. Stamtąd wędrowaliśmy do pobliskiego Kosowa na jarmarki i chramy. Innym razem zatrzymaliśmy się w Kosmaczu cały tydzień. Jednego dnia przy pięknej pogodzie poszliśmy na pobliską górę Grahit. Nasza wspólna wędrowka pozostała dla mnie niezapomnianym przeżyciem.

Kultura ludowa Huculów była najsilniejszym węzłem naszej przyjaźni. Mieliśmy wspólne zainteresowania etnograficzne. Podczas moich studiów na uniwersytecie wyjeżdżałem latem na Huculszczyznę celem zbierania materiałów dla mej pracy magisterskiej «Grażda huculska». Były to obronne dwory huculskie, rozsiane po górach. Dziś można je oglądać tylko w muzeum koło Kosowa. Stempowski był zachwycony moją pracą. Jego interesowała architektura starych grażd i zabudowań gospodarczych, które powstały w dawnych czasach dzięki nadmiernemu bogactwu lasu. Wspólnie zwiedzaliśmy stare grażdy w Kosmaczu, Żabiu i w osiedlach pod Czarnohorą, niektóre były już niezamieszkałe, bo nierentowne z braku materiału budowlanego na reperacje. Typowym przeżyciem kultury huculskiej są worynie (płoty) przy drogach pasterskich wiodących na połoniny. Rezultatem naszych wspólnych badań w terenie jest moja praca etnograficzna w języku niemieckim pt. *Der huzulische Hof*, która ukazała się w roczniku «Volkswerk» w 1942 roku w Jenie.

Nie zgadzam się z twierdzeniem W. Zbyszewskiego, że Stempowski był egoistą, «że nigdy dla nikogo palcem nie kiwnął»⁴. To nie jest zgodne z prawdą, przeciwnie Stempowski był wielkim altruistą. Oto parę przykładów. W Warszawie mieszkał Stempowski u państwa Rettingerów, gdzie zajmował mały pokoik, ale opłacał całe mieszkanie, światło, wodę i służącą za Rettingerów, bo pan Rettinger był bez pracy. Drugi przykład: jednego razu spotkał Stempowski na Huculszczyźnie chłopaka, co paśł krowy przy drodze. Stempowski zainteresował się nim i zaopiekował. Oddał go do gimnazjum w Kołomyi i cały czas opłacał naukę oraz utrzymanie za swego ulubieńca. Z mego doświadczenia: Stempowski publikował swe artykuły w «Wiadomościach Literackich». Z honorarium, jakie mu się należało, zaprenumerował dla mnie «Wiadomości Literackie», które otrzymywałem przez sześć lat. Jednego razu nie mogłem znaleźć w Warszawie dla siebie mieszkania, bo były za drogie. Telefonicznie powiedziałem to mu. Od razu powiedział, że bym się sprowadził do niego, bo państwo Rettingerowie wyjechali do znajomych i mogę korzystać z ich pokoju. Pełne cztery tygodnie żyłem wtedy u Stempowskiego na pełnym jego utrzymaniu. Służąca gotowała nam smaczne obiady. Te fakty wystarczą chyba, że Stempowski nie był egoistą.

Jeszcze jeden motyw naszej przyjaźni. Gdy żyłem w Warszawie, wtedy pani Rettingerowa często zapraszała mnie do siebie. Wtedy we trójkę w nieobecności pana Rettingera spędzaliśmy ładnie popołudnie w niedzielę w pokoju Rettingerów. Często we trójkę chodziliśmy na wernisaże, do teatru, na koncerty i odczyty. Nieraz pan Stempowski brał mnie ze sobą, gdy szedł w gošcinę z panią Wichuną do znajomych. Przypuszczam, że robili oni to dla przyzwoitości. Iść tylko we dwójkę z cudzą żoną do teatru lub w gošcinę

³ Eseista urodził się 10 grudnia 1893 r. w Krakowie; dzieciństwo spędził w Szebutyńcach i Winikowcach na Podolu.

⁴ W. A. Zbyszewski, *Sceptyk i arystokrata*, Wiadomości 1969 nr 46 s. 1–2.

dawało powód złym językom do plotek i obmowy. Ale we trójkę, z przyjacielem Hucul-szczyzny, to zupełnie co innego.

Stosunek Stempowskiego i jego przyjaciółki Wichuny do pani Leny Vincenzowej w Słobodzie był bardzo serdeczny. Proszę wziąć pod uwagę, że Stempowski i pani Wichuna mieli u pani Leny idealny i luksusowy pobyt i odpoczynek, pierwszorzędne obiady, śniadania przynosiła służąca do łóżka, piękne mieszkanie z łazienką i światłem elektrycznym na łonie cudownej przyrody górskiej i to wszystko za darmo! Pan Jerzy przyjeżdżał do Słobody zawsze z pięknymi podarunkami dla pani Leny i wynagradzał ją komplementami. Nieraz rozmawiali po rosyjsku. Pani Lena mieszkała w mansardowym mieszkanku na pierwszym piętrze. Schody i poręcz do jej mieszkania Jerzy malował olejną farbą co roku na własny koszt, czym sprawiał Lenie ogromną przyjemność.

Obiady odbywały się w wielkiej jadalni o 12 godzinie. Kucharka — Ukrainka — gotowała cudowne obiady. Goście zbierali się w jadalni i czekali stojąco na gospodynię, p. Lenę. Gdy zeszła na dół, wtedy wszyscy mężczyźni podchodzili po kolei do niej, witali, pozdrawiali i całowali w rękę. Tylko Szwajcar Hans Zbinden⁵ ją w rękę nie całował, na co wszyscy goście bardzo się oburzali. Nazywaliśmy go szwajcarskim chłopem. On znał Irenę, prawdziwą żonę Vincenza. Lenę lekceważył, możliwie, jak Rosjanę, która żyła w Słobodzie z łaski Vincenza. Lena koncentrowała całą swoją miłość na synu, który był na nauce w Anglii.

Gdy Stempowski żył na emigracji, a ja w Dortmundzie, wtedy parę razy go odwiedzałem w Muri i w Bernie. W 1954 roku zaprosiłem go by przyjechał do mnie do Dortmundu. Umieściłem go w pobliskim hotelu i od razu zapłaciłem za niego hotel na jeden tydzień. Wtedy dostarczyłem mu informacji do napisania artykułu pt. *Dziennik podróży do Westfalii*⁶. Gdy Stempowski odjeżdżał do Berna, przyszedł do mnie i zwrócił mi wszystkie moje pieniądze, które wpłaciłem za niego w hotelu. Nie chciałem przyjąć. Błagałem go, żeby tego nie robił. Mówiłem mu: «Ależ panie Jerzy, pan tyle dobrego zrobił dla mnie w ciągu naszej znajomości. Proszę dać mi możliwość bodaj troszeczkę odwdziżyć się Panu». Niestety, uparł się i moich pieniędzy nie wziął. Typ szlachetnego arystokraty”.

⁵ Hans Zbinden (1893–1970), pisarz szwajcarski i historyk kultury. Swoje podróże po Polsce opisał w książce *Polen einst und jetzt* (dwa wydania). Pomagał Stempowskiemu w pierwszych latach jego pobytu w Szwajcarii (zob.: B. Miciński, J. Stempowski, *Listy*).

⁶ [J. Stempowski] P. Hostowiec, *Dziennik podróży do Westfalii*, Kultura 1955 nr 1/2 s. 40–55. Przedruk krajowy: J. Stempowski, *Od Berdyczowa do Lafitów*, wstęp i oprac. A. St. Kowalczyk. Wołowiec 2000.

LISTY

1.

1 maja [19]46

Muri (Berne)
Thunstr. 29.

Kochany Panie Janku,

Dziś z rana dostałem od Pana pierwszy znak życia od wielu lat i niezmiernie się cieszę z odnalezienia Pana. Niezupenie tylko zdaję sobie sprawę z Pańskiej sytuacji. Czy jest Pan w obozie jako D.P.¹? Przez kilka dni byłem gościem takiego obozu w Monachium². Było tam b. źle, ale w zonie angielskiej obozy mają być dużo lepsze. Mnie się tam osobiście b. podobało, bo był to obóz przechodni, do którego każdego dnia przyjeżdżali nowi uchodźcy ze Wschodu, od Bałtyku do Adriatyku, i w hallu wejściowym można by pisać kronikę wschodniej Europy. Zdaje się jednak, że tylko mnie jednego ta kronika interesowała. Zachód oddał tę część świata syroidom³ i nawet się nią więcej nie interesuje. U Pana pewnie już tego ruchu przyjezdnych nie ma. Za to jedzenie było w tym obozie tak marne, że każdy musiałby dostać szkorbutu, gdyby go przedtem z obozu nie wypędzono na ulicę.

Bardzo chciałbym wiedzieć, jakie były Pańskie koleje od ostatniego listu, który mi Pan przysłał z Berlina w 1941. Czy był Pan potem w naszych stronach? I co Pan tam widział?

Widziałem niedawno jeszcze przyjezdnych z Karpatów i dostaję co pewien czas stamtąd wiadomości, zresztą b. smutne. Wiem, że zeszłego lata i jesieni specjalne oddziały NKWD (*ucmpeδumeu*⁴) miały swe posterunki nie tylko w Żabiem, Krasnoile, ale nawet na Hołowach, dokąd polska policja nie każdego miesiąca zaglądała. Wielu ludzi tam ostatnio zginęło, zostało wywiezionych albo uciekło do partyzantów. Zniszczenie i zagłada tam wielka. Tylko lasy stoją takie same. Zeszłego lata były tam wielkie walki z partyzantami, ale zdaje się, partyzanci wyszli stamtąd przed zimą, bo od bitwy na Hołowach (lipiec–sierpień) nic o nich nie słyszałem.

Dr. Vincenz jest w Wiedniu i wybiera się gdzieś na Zachód, być może w Pańskie strony⁵. O tem p. Jędrus⁶ będzie najlepiej wiedział. Cała jego rodzina wyjechała przed kilku dniami z Węgier i jest gdzieś w drodze na Zachód.

Czy wie Pan o odnalezieniu się Bazia⁷? Jest w Hamburgu, tam ożenił się. P. Jędrus się z nim widuje.

Bardzo się cieszę, że Pan się ożenił w Holandii. Ja mam tu najbliższych przyjaciół tej narodowości⁸ i myślę, że ten kraj ma jeszcze wielką przyszłość.

Niech Pan często pisze, kochany Panie Janku. Za dwa dni wyjeżdżam na kilka tygodni do Francji, będę tu z powrotem 25 czerwca, ale listy będą mi odsyłać. Najserdeczniejsze pozdrowienia od szczerze oddanego

J.S.

¹ D.P., *Displaced Persons* (ang.) — określenie byłych więźniów obozów hitlerowskich, robotników przymusowych i innych przesiedleńców na terenie byłej III Rzeszy po jej upadku.

² Zob. Stempowskiego *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec*, [w:] *Od Berdyczowa do Rzymu*. Paryż 1971; *Od Berdyczowa do Lafitu*, oprac. A. St. Kowalczyk. Wołowiec 2000.

³ Syrojidzi — ohydne „ludotwory” występujące w czwartym tomie *Na wysokiej połoninie* (*Barwinkowy wianek*) Stanisława Vincenza. W korespondencji określenie Sowietów.

⁴ *уцпебумелу* (ros.) — tępicieł, niszczyciel.

⁵ Stanisław Vincenz wraz z rodziną wojnę spędził jako uchodźca na Węgrzech. W 1946 Vincenzowie przez Bratysławę przedostali się do Wiednia, gdzie czekał por. Konstanty Jeleński. Przewiół ich do Quakenbrück w Niemczech, gdzie stacjonowała 1. Dywizja Pancerna gen. Maczka.

⁶ Andrzej Vincenz (ur. 1922), młodszy syn Stanisława Vincenza, językoznawca i polonista, prof. Uniwersytetu w Getyndze. W czasie wojny żołnierz 1. Dywizji Pancernej.

⁷ Bazyli Przybyłowski, krewny Stanisława Vincenza, którego matka była z domu Przybyłowska.

⁸ Małżeństwo Henri i Dieneke Tzaut — przyjaciele Stempowskiego w Bernie; Dieneke (zm. 1998), pianistka i malarka, była z pochodzenia Holenderką.

2.

Muri, 23 grudnia 1950

G. Stempowski
Thunstr. 27,
Muri bei Bern

Kochany Panie Janku,

Niedługo upłynie 10 lat odkąd Pan znikł z moich oczu. Ostatni Pański list był z Berlina, potem korespondencja urwała się. Ja też Pana nie mogłem do niej zachęcać, bo pisanie do mnie było wówczas dla Pana niezdrowe. Za to od 1945 wiele razy szukałem Pana różnymi drogami. Sam byłem dwa razy w Niemczech, w końcu 1945 i w końcu 1948. Wówczas ktoś mi powiedział, że Pan się ożenił i wyjechał do Holandii. Szukałem Pana i tam przez znajomych. Dopiero dziś dostałem Pański adres od. p. Stanisława. Trochę zasmuciłem się, że Pan wciąż jest w obozie tranzytowym, w zawieszeniu, ale ostatecznie w tej chwili nawet i ci, którzy we własnych kamienicach mieszkają, są także w zawieszeniu i niepewności jutra. Nawet tu od kilku dni opanował wszystkich strach i obawa przyszłości.

Szczerze cieszę się, że po tylu latach nareszcie Pana odnalazłem i chciałbym bardzo dowiedzieć się jak najwięcej o Panu samym: co Pan przez te lata robił, jak Pan daje sobie rady teraz i jakie ma Pan plany i pomysły na najbliższą przyszłość. Bardzo mi pilno odnowić naszą dawną przyjaźń.

Zacznę więc od tego, że napiszę Panu o sobie. Wiosną tego roku obchodziłem jubileusz dziesięcioletniego pobytu w gminie podmiejskiej, do której przyjechałem na dwa tygodnie w ostatnich dniach kwietnia 1940. Wędrując, częściowo pieszo, przez Węgry i Jugosławię, zatrzymywałem się wszędzie po drodze, aby pożegnać się z Europą Wschodnią, bo wówczas już miałem świadomość, że jej więcej nie zobaczę. Wędrowałem przez małe miasteczka i wsie, i w wielu miejscach byłbym chętnie został na dłużej, może na resztę życia¹. Kiedy przyjechałem do Muri, wieś podobała mi się średnio. Po dwóch tygodniach, myślałem, będę jej miał dosyć. Miałem jechać następnie do Francji, ale w kilka dni później wojna ogarnęła Francję, i dalej nie miałem dokąd jechać. W ten sposób zostałem w Muri. Co roku wyjeżdżam stąd na parę miesięcy, bo stały pobyt tu nawet i dla miejscowych nie jest zdrowy. Byłem więc kilka razy we Francji, we Włoszech i w Niemczech.

Po 1945 zacząłem dużo pisać i drukować. Większość moich pism ukazała się w paryskiej „Kulturze”. Nie wiem czy Pan ją kiedy widział. Drukowałem także i gdzie indziej, w różnych językach. Wszystko podpisuję nazwiskiem Paweł Hostowiec. Pod tym nazwiskiem otrzymałem nawet nagrodę literacką w Londynie przed kilku tygodniami. Piszę coraz więcej i obecnie mam na warsztacie małą książeczkę o formacji historycznej pejzażu berneńskiego i tom opowiadań². Staram się z tego żyć, ale to mi się nie zupełnie udaje.

Z każdego wyjazdu przywożę jakiś „dziennik podróży”, który potem drukuję. „Kultura” wydrukowała mi już kilka takich dzienników, z Niemiec i Włoch. Wiosną projektuję nową podróż do Niemiec przez Monachium, Stuttgart, Bonn, Heidelberg, Kolonię. Może uda mi się Pana zobaczyć w tej podróży. Bardzo bym się z tego cieszył. Musielibyśmy się naprzód spisać, abym mógł to zawczasu obmyślić.

Ze światem ukraińskim nie straciłem kontaktu. W Niemczech odwiedzałem zarówno A. M. Liwickiego i ośrodek UNR, jak i ośrodek UHWR w Monachium³. W Salzburgu rozminąłem się w 1945 z moim dawnym słuchaczem z Instytutu Teatralnego, Awenirem Kołomyjcem, który później tam zmarł na gruźlicę. Zaprzyjaźniłem się natomiast bardzo z Leonidem Mosendzem⁴, który później leczył się w Szwajcarii na TBC, ale bez powodzenia, bo zmarł też przed dwoma laty. Ilość książek ogłoszonych po ukraińsku na emigracji jest imponująca, wiele z nich nosi znamiona wielkiego talentu. Mosendz i inni autorzy ukraińscy drukowali też w „Kulturze”. Jewhen Małaniuk⁵, który długi czas mieszkał w Regensburgu, wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Powodzi mu się tam średnio, i od kilku miesięcy się do mnie nie odzywa.

Wchodzimy teraz w okres świąteczny, niedługo zaczniemy nowy rok, przesyłam więc Panu najserdeczniejsze życzenia. Niech mnie Pan będzie łaskaw też symbolicznie przynajmniej przedstawić Pańskiej małżonce, abym i jej mógł ucałować rączki i złożyć najserdeczniejsze życzenia. Bardzo będę się cieszył z wiadomości od Pana, tymczasem całuję Pana, kochany Panie Janku, po przyjacielsku, szczerze oddany
Jerzy Stempowski.

¹ Zob. esej *Księgozbiór przemysłowców* w tomie *Od Berdyczowa do Lafitu*.

² Esaj o pejzażu berneńskim to *La Terre Bernoise* (Librairie E. Droz. Genève 1954). Przekł. polski: *Ziemia berneńska*, przekł. A. St. Kowalczyk. Warszawa 1990.

³ Andrij Liwyćkyj (1879–1954), polityk, członek rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej atamana Symona Petlury. Następnie prezydent URL na emigracji w Polsce.

UHWR, Ukraińska Wyzwільna Hołowna Rada — ośrodek polityczny na emigracji, powołany jeszcze na Ukrainie w roku 1944 przez UPA i część OUN (banderowców).

⁴ Leonid Mosendz (1897–1948), poeta, prozaik, tłumacz, publicysta. Na emigracji od roku 1920.

⁵ Jewhen Małaniuk (1897–1968), poeta, eseista, publicysta. Oficer armii atamana Petlury; po 1920 na emigracji w Polsce, następnie w Stanach Zjednoczonych.

3.

Monachium, 9 lipca 1951

Metzstr. 12, München 8.

Kochany Panie Janku,

Od przeszło 3 miesięcy jestem w ciągłych rozjazdach, ale dotąd nie jestem pewny, czy Pana potrafię odwiedzić. Wydawca „Kultury”, którą być może Pan zna, i której jestem pilnym współpracownikiem, powziął myśl wydania jesienią specjalnego numeru niemieckiego, poświęconego niemieckiej literaturze ostatniego pięciolecia i zawierającego około stu stronnic antologii. W celu zebrania tych materiałów przyjechałem tu 20 czerwca, ale dotąd mało posunąłem naprzód robotę. Czasopisma francuskie wydały już kilka niemieckich numerów, ale wszystko to były rzeczy przypadkowe, powierzchowne. Wydawało mi się, że potrafię zrobić coś lepszego, bardziej przemyślanego i systematycznego. Teraz widzę trudność tego przedsięwzięcia i przyczynę niepowodzenia poprzedników. Nowych książek nikt systematycznie nie zbierał. Wielkie biblioteki mają zbiory b. zdekompletowane, pochodzenia lokalnego. Żadna nie obejmuje całych Niemiec. Naj-

kompletniejsza znajduje się w Frankfurtach, ale jest mało dostępna z powodu szczupłości lokalu. Dzięki uprzejmości jej dyrektora, prof. Eppelsheimera, będę tam mógł przeczytać to, czego nie znajdę gdzie indziej. Wybieram się tam w końcu miesiąca i — jeżeli uda mi się wyspekulować bilet, przyjadę na jeden dzień do Pana. W Hamburgu są doskonali wydawcy, których być może będę musiał odwiedzić.

Bardzo cieszyłbym się z zobaczenia Pana i nawet byłbym niepokieszony, gdyby mi się to nie udało. Muszę się jednak do pewnego stopnia liczyć z taką ewentualnością, bo z doświadczenia wiem, że najpiękniejsze plany zostają często udaremnione przez niepomysłne okoliczności, wśród których na pierwszym miejscu należy wymienić brak pieniędzy. Jeszcze do Pana o tym napiszę, kiedy się zbliżą terminy.

Jak Pan się miewa i czy w Pańskiej sytuacji nie zmieniło się coś na lepsze? Stany Zjednoczone i Kanada otworzyły teraz szersze granice. Czy się Pan tam nie wybiera?

31 marca byłem przejazdem w Grenoble i zaszedłem niespodzianie do dra Vincenza. Zastałem go w otoczeniu rodziny i gości, w pokoju ludzako podobnym do jego pokoju w Słobodzie¹. Nawet książki i fotografie na ścianach były, jeżeli nie te same, to bardzo podobne. Widocznie ludzie, niektórzy przynajmniej, noszą swój dom na plecach jak żółwie lub ślimaki.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła wam, kochany Panie Janku, szczerze oddany Jerzy Stempowski.

¹ W Słobodzie Rungurskiej pod Kołomyją stał dom rodzinny Vincenzów.

4.

Monachium, 28.VII.[19]51

Kochany Panie Janku,

Zdaje się, że tym razem z mojej podróży do Hamburga nic nie wyjdzie. Pan Gennadij jest widocznie sam w rozjazdach, bo się do mnie nie odzywa. Bardzo tego żałuję, bo chciałbym go poznać. Tymczasem moje fundusze wyczerpały się, i jutro lub pojutrze będę zmuszony do odwrotu. Jadę do Muri, gdzie mój adres jest Panu znany: Thunstr. 27, Muri bei Bern. Czekam tam wielką i pilną robotą. Niezmiernie żałuję, że te niepomysłne okoliczności nie pozwoliły mi Pana widzieć, ale mam nadzieję, że ta okazja jeszcze się znajdzie, bo do Niemiec będę zapewne jeszcze wracał. Następnym razem zacznę moją podróż od Hamburga, aby na pewno się z Panem nie rozminąć.

Bardzo się cieszę z wiadomości, że Pan pracuje nie bez skutku, nie *pour le roi de Prusse*¹, ale także z pożytkiem dla siebie. Przypuszczam, że ta poprawa losu obudziła u Pana dalsze nadzieje i ambicje.

Jakie ma Pan plany na najbliższy rok? Czy zostaje Pan w Europie?

Czy jeszcze interesuje się Pan etnografią? Przypominam sobie, że nasze ostatnie spotkanie miało miejsce w Prokurawie, gdzie przez dwa dni rozważaliśmy razem różne pomysły etnograficzno-socjologiczne. Czy z Prokurawy zachował Pan jakieś notatki lub wspomnienia? Przedmiot naszych ówczesnych zainteresowań znikł już zapewne z oblicza ziemi, i zostało zeń tylko to, co zachowało się w naszej pamięci. Czy nie sądzi Pan, że jako ostatni świadkowie powinniśmy spisać i ogłosić drukiem to co jeszcze pamiętamy, zanim życie zmyje te resztki z naszej pamięci?

Gdyby Pan zechciał coś o Prokurawie z punktu widzenia etnograficznego napisać, wydrukujemy to w „Kulturze”. Jeżeli Pan woli, moglibyśmy napisać to razem, łącząc nasze wiadomości i wspomnienia w formie dwugłosu, dialogu czy też napisanej wspólnie rozprawy. Zostawiam to do Pańskiego uznania. Byłoby mi bardzo przyjemnie wystąpić

wspólnie z Panem w druku, pisząc o rzeczy, która nas wspólnie pociągała i która jest warta pamięci.

W ciągu najbliższych 2 miesięcy będę zajęty czym innym; jeżeli ten projekt się Panu podoba, musiałby zacząć go Pan, wybrać jego formę i plan, do którego ja bym się jesienią dołączył.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła zawsze oddany
Jerzy Stempowski

¹ *pour le roi de Prusse* (franc.) — dosłownie: dla króla Prus.

5.

19 sierp[nia] [19]51

Muri bei Bern,
Thunstr. 27.

Kochany Panie Janku,

Serdecznie dziękuję za list z 14-go. Widzę zeń, że Pan ma takie same jak ja kłopoty emigranckie. Obaj jesteśmy oderwani od naszych studiów i książek. Kto wie, czy do nich kiedyś wrócimy. Światu, jaki wyszedł z tej wojny takie rzeczy nie są potrzebne. Od 12 lat — jeżeli w ogóle piszę — czerpię z dawnego kapitału, z tego co, zachowałem w pamięci.

W Niemczech spędziłem 6 tygodni na czytaniu w bibliotekach. Z tego co widziałem i czytałem wyniosłem wrażenie, że książka doszła do pewnego punktu rozwoju, poza którym żadnej przyszłości na razie nie widać. Za 50 lat — a może jeszcze za naszego życia — książka w jej dotychczasowej postaci może zniknąć zupełnie. Zostaną spisy abonentów telefonu, rozkłady jazdy, taryfy celne, romanse kryminalne i to co dziś zastępuje sennik egipski. Na inne druki w naszym stanie cywilizacji miejsca jest coraz mniej i niedługo zabraknie go zupełnie. Wydawcy niemieccy robią podobne przewidywania.

Spieszmy więc, kochany Panie Janku, ze spisywaniem tego co jeszcze wiemy, dopóki istnieje możliwość druku. Bardzo się cieszę, że Panu się myśl naszego dwugłosu podobała. Mając przed sobą bardzo obszerny temat, spróbujmy zrobić tymczasowy plan naszego dialogu. Aby zachować w nim jakiś porządek, najlepiej być może zrobimy, zaczynając od jakiejś miejscowości i pisząc tak, jak gdybyśmy szli pieszo z jednej wsi do drugiej, rozmawiając po drodze. Nie jest to może plan bardzo metodyczny, jeżeli chodzi o przedmiot, ale b. praktyczny i żywy nie wymagający rozważań o metodzie. Co Pan o tym myśli?

Zacząlibyśmy więc może od Kosmacza i Prokurawy, tak jak to było w rzeczywistości latem 1939. Do tej podróży napisałbym mały wstęp. Potem opisałbym naszą wizytę u staruchy z rodu Zwinków, która nie chodziła do cerkwi i nie brała udziału w obrzędach, i opisałbym lekko cerkiew w Prokurawie, którą oglądaliśmy następnego dnia.

Następnie głos zabrałby Pan o tym, co Pan później sam znalazł w Prokurawie i o czym nic nie wiem, bo już się więcej nie widzieli.

Dodalibyśmy potem do tego rzut oka socjologicznego na zakazy pracy i spożycia. Nie wiem, co Pan widział i jakie uwagi ogólne to nastęrczyło. Być może wyjdzie z tego dobry dialog. Mnie zagadnienie pracy zawsze interesowało. Ostatnio w Niemczech czytałem piękny szkic młodego socjalisty berlińskiego, Waltera Jaide, o *das deutsche Arbeit-swunder*¹. Jaide uważa pracowitość w społeczeństwach przemysłowych za zjawisko kompensacyjne, za próbę odmierzenia w kategoriach ilościowych wartości własnej człowieka

tam, gdzie do szacunku dla samego siebie brak przesłanek jakościowych. Na ten temat można by wiele rzeczy aktualnych powiedzieć, i Pan też pewnie ma zapas różnych uwag i poglądów.

Razem chodziliśmy także w Żabiem, gdzie oglądaliśmy kilka rozbudowanych gospodarstw. W sprawach budynków Pan jest majster i moja rola byłaby rolą kompana, podtrzymującego rozmowę. Inne tematy warte wspólnych rozważań widzę też w Żabiem: opis chramu i życie religijne Hucułów, wizyta u opowiadacza i rozważania na temat zbiorowej pamięci Hucułów i u ludzi żyjących w systemie kapitalistycznym, itd. Musimy to rozłożyć na dwa lub więcej ciągów po 20 stron. Wymieniłem tu tematy, które mnie przyszły na myśl. Pan pewnie ma ich jeszcze więcej.

Czy Pan czyta po francusku? W zeszłym roku napisałem w tym języku pracę o starożytnościach rolniczych kantonu berneńskiego, dla której dotąd nie znalazłem wydawcy. Przysłałbym ją Panu w rękopisie. Zobaczyłby Pan próbę analizy historyczno-socjologicznej kraju należącego do obszaru śródziemnomorskiego. Tego roku w Nizy zacząłem pracować nad obszarem dawnej Ligurii, i chciałbym tam jeszcze wrócić. W Nizy można jeszcze drukować takie rzeczy i jest tam naukowe towarzystwo, wiele prac drukowanych, ale widzę też miejsce i dla siebie, bo posługuje się trochę inną metodą, czytaniem ziemi samej, mówiącej nieraz więcej niż dokumenty.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu, kochany Panie Janku, szczerze oddany
J.S.

¹ *das deutsche Arbeitswunder* (niem.) — niemiecki cud gospodarczy.

6.

29.XII.[19]51

Muri (Bern),
Thunstr. 27

Kochany Panie Janku,

Najserdeczniej dziękuję Panu za ostatni liścik i życzenia. Mam wyrzuty sumienia, bo zaniedbałem bardzo naszą korespondencję i wspólne sprawy, ale mam nadzieję to wszystko naprawić.

Nie jestem wprawdzie chory, ale skutek jest bardzo podobny. Latem mianowicie przeszedłem pewnego rodzaju kryzys finansowy i musiałem się wziąć do b. niewdzięcznej pracy, która mnie bardzo nuży. Jestem mianowicie tłumaczem z hiszpańskiego na francuski i pracuję co dzień — także we wszystkie święta — od 10 do 2–3 w nocy. Z początku ta szybka praca nużyła mnie tak, że pół dnia spałem, a przez resztę dnia byłem, jak mówią, osowiały, do żadnego wysiłku umysłowego niezdatny. Teraz dopiero przyzwyczaiłem się do tego zajęcia, odrabiam je na pół mechanicznie, hiszpańskie ozdoby słowne nie robią mi więcej kłopotu, i zaczynam wracać do zdrowia. Przez kilka miesięcy nie odpowiadałem na żadne listy, aż wreszcie przestano do mnie pisać. Pański ostatni list leży na wierzchu całej paczki i obiecuję sobie w ciągu najbliższych dni odpowiedzieć nań akuratnie. List Pańskiego kolegi bardzo pochwalam i uważam za potrzebne, aby takie listy były pisane i aby się Sławoje i inni nie zapominali¹. Zresztą pierwszy artykuł Sławoja — o 1939 — podobnie jak wiersze Śmigłego-Rydza „Kultura” drukowała jako dokumenty dające d o k ł a d n y obraz tych postaci i sprowadzające je do właściwych, realnych proporcji znacznie dokładniej niż wszelka analiza ich działalności². Tak też to zrozumiała większość czytelników. Drugi fragment wspomnień Sławoja nie ma tak

jasnego charakteru i dlatego czytelnicy mają teraz w tej sprawie głos. Aby list Pańskiego kolegi się ukazał, chciałbym zrobić w nim kilka formalnych poprawek, po zrobieniu których go Panu odeślę.

Do huculskich wspomnień wróć i przyślę Panu mój tekst do dwugłosu.

Nie wiem co myśleć o Pańskim wyjeździe do USA. Jechać tam trzeba wcześniej, dopóki się jest młodym i giętkim, odkładać tego nie trzeba. Czy jednak ma Pan już jakieś pojęcie o tym co tam Pan będzie robił? Życie tam nie jest igraszką, jak mówił Sławoj. Małaniuk jest tam od 2 lat zatrudniony jako *errand boy*³ w wielkim szpitalu. Młody Szulgin⁴ próbował różnych zawodów i teraz sprzedaje książki we francuskiej księgarni w Montrealu. Pan pewnie też będzie różnych rzeczy próbował. Aby temu dać rady i nie szarpać się ponad miarę, trzeba mieć jakiś start, jakaś pracę początkową. W następnym liście przyślę Panu adres jednej znajomej z Warszawy, która w Ameryce skończyła uniwersytet — wyjechała tam w 1945 — i pracuje w Church World Service w dziale t.z. *resettlement*, t.j. wynajdywania pracy i znośnych warunków egzystencji dla emigrantów. Może to się Panu przyda. Z moich znajomych tylko jedna trafiła od razu na swoją drogę. Była to młoda Żydówka z Berlina, która wyjechała w 1943 w mundurze H[itler-]J[ugend] po wymordowaniu jej całej rodziny i wszystkich prawie znajomych. Ta skończyła tu kurs roentgenologii i odbyła tu roczną praktykę jako pomocnica lekarza. Po przyjeździe do Los Angeles na trzeci dzień miała już pracę w tym zawodzie, dobrze płatną i uciążliwą. Po roku wyszła za męża, ale z jej listów widzę, że nie jest tam szczęśliwa. Tego jednak ani pieniądze, ani praca, ani Ameryka nie dają same. Pisała, że California jest zupełnie taka sama, jak to sobie w Berlinie wyobrażała, i że ten brak wszelkiej niespodzianki i nowości sprawił ją w stan nudy i apatii, z której się dopiero po roku zaczęła otrząsać.

Ameryka jest zresztą w stanie stałej rewolucji. Nie ma w niej żadnej stałości posiadania ani ciągłości stosunków społecznych. Roosevelt i jego *New Deal*⁵ były próbą opanowania tego chaosu społecznego i ekonomicznego, ale próbą też chaotyczną. Nikt nie wie co z tego będzie za kilka lub kilkanaście lat. Być może wyjdzie z tego coś dobrego, ale w tym wszystkim trzeba się będzie samemu odnaleźć i do tego trzeba być młodym, giętkim i przytomnym.

Do jakiego miejsca Pan tam jedzie?

Do tego czasu spróbujemy jeszcze pisać do siebie, aby nic między nami się nie urwało.

Najserdeczniejsze życzenia przesyłam Panu, Kochany Panie Janku, i Pańskiej żonie.
Szczerze oddany
J.S.

¹ List Wasyla Kosarenki-Kosarewycza (Kultura 1952 nr 2/3) polemizujący z Felicjanem Sławojem Składkowskim, którego wspomnienia pt. *Opowieści administracyjne, czyli Pamiętnik Niebohaterski* ukazały się w „Kulturze” w roku 1951 (nry: 7/8, 9).

² E. Rydz-Śmigły, *Poezja i historia*, Kultura 1949 nr 8 s. 71–79. Wstęp napisał P. H. (Paweł Hostowiec) czyli Jerzy Stempowski. Było to 17 wierszy z tomiku pt. *Dążąc do końca swoich dróg*, który ukazał się w Londynie w roku 1989.

³ *errand-boy* (ang.) — goniec.

⁴ Rostysław Szulgin — dziennikarz ukraiński; później pracował w radiu kanadyjskim; syn Aleksandra Szulgina, ukraińskiego działacza politycznego, historyka i socjologa.

⁵ *New Deal* (ang.) — nowy ład, program interwencji państwa w gospodarkę wprowadzony przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta dla złagodzenia skutków Wielkiego Kryzysu 1929 roku.

5 stycznia 1952

Muri Be[rn],
Thunstr. 27

Kochany Panie Janku,

Serdecznie dziękuję za długi list, który mnie i ucieszył i zmartwił, bo widzę Pana stojącego przed bardzo trudnymi pytaniami. Nie mogę się oprzeć pewnemu zniechęceniu na widok praktyk administracyjnych amerykańskich, patrzących na „materiał ludzki” z punktu widzenia czysto utylitarnego, bez żadnego humanizmu. Przypomina mi to wzory sowieckie. Utylitaryzm jest zresztą złym przewodnikiem, także i w sprawach praktycznych. Przypominam sobie, że przed laty przeglądałem amerykańską książkę pt. *The Mongols among us*, z której odniosłem wrażenie, że w Stanach Zjedn[oczonych] musi być więcej mongoloidów niż w jakimkolwiek innym kraju. Jeden mniej lub więcej jest rzeczą całkowicie obojętną. Jest to taka sama historia jak ze szpiegami sowieckimi wśród naszych uchodźców. W samej Francji i w samych tylko Włoszech jest więcej komunistów fanatycznych niż w całym Związku Sow[ieckim]. Jeden mniej lub więcej nic nie znaczy, ani też Sowiety nie mają żadnej potrzeby posyłania na Zachód nowych agentów, bo mają ich tam znacznie więcej niż potrafią kiedykolwiek zatrudnić. Wśród samych studentów Oxfordu mają najlepszych agentów, gotowych z fanatyzmu do największych posług i mających wszystkie drzwi otwarte. Przed rokiem na ulicy w Bernie jeden agent MWD¹ sfotografował mnie w towarzystwie pewnego Ukraińca do mego *dossier* w Bezpiece. Był to brytyjski student rzekomo na wakacjach w Szwajcarii. Od czasu do czasu Rosjanie wysyłali na przepadłe małych agentów przez linię demarkacyjną do Niemiec w charakterze uchodźców, ale robili to tylko w celach prowokacyjnych, aby wywołać ze strony angielsko-amerykańskiej zaryglowanie z ich boku linii demarkacyjnej, której sowiecka straż sama nie mogła upilnować. Na to utylitaryści Zachodu dali się naiwnie złapać, dzięki swej małostkowości i brakowi jakichkolwiek innych kryteriów myślowych i moralnych jak czysty utylitaryzm doraźny.

Wracam jednak do Pańskich spraw. Wydaje mi się, że Pański projekt jest jedynie rozsądny. Bardzo to niewdzięczna rzecz być matką mongoloida, bo oprócz zmartwień nic z tego nie może wynikać². Natura sama postawiła temu granicę w postaci krótkiego życia mongoloidów, którzy tylko w wyjątkowych wypadkach przekraczają 20-ty rok życia. W miarę dorastania stają się coraz kłopotliwsi dla rodziców i otoczenia. Miałem sposobność obserwowania kilku takich wypadków pośród swoich znajomych i pamiętam ich zmartwienia i kłopoty. Wydaje mi się, że i dla Pańskiej żony wyjazd będzie okrutną może, ale dobroczynną w skutkach operacją. Do dzieci ułomnych matki są często bardziej przywiązane niż do innych, ale na tym samym fakcie całego życia w rozsądny sposób nie można zbudować, zwłaszcza młodej kobiecie, mającej połowę i lepszą połowę życia jeszcze przed sobą.

Nie wiem czy nie ulega Pan pewnym złudzeniom sądząc, że znajdzie Pan możliwość pracy jako etnograf. Dziś więcej niż kiedykolwiek w Stanach trzeba tylko robotników. Nie wiem nawet czy Church World Service Panu w etnologicznych ambicjach będzie mógł pomóc. Myślę, że do tego będzie Pan musiał dojść sam, jeżeli Panu starczy zdrowia, żyjąc z innego zajęcia. Być może jednak się mylę. Na Pańskim miejscu odbyłbym jakieś krótkie wyszkolenie w jakimś zawodzie mechanicznym, aby mieć podstawę do dalszych kroków. Wyjeżdżający stąd, bez względu na to, co zamierzali robić w Ameryce, przechodzili kurs dla spawaczy, którzy są teraz poszukiwani w przemyśle zbrojeniowym. Być może jest to zbytek ostrożności, która zniechęca Fortunę, patronkę odważnych.

W każdym razie w Niemczech nie ma co zostawać. To na pewno do niczego nie prowadzi. Dopóki Pan jest młody, kochany Panie Janku, niech Pan stamtąd ucieka do nowych krajów, w których dzięki obecnej koniunkturze łatwiej teraz urządzić się niż kiedykolwiek. To jest też ważna okoliczność do wzięcia w rachubę.

Moja znajoma z Church World Service nazywa się Halina Korsak, jest wdową po b. wiceministrze z czasów Piłsudskiego, która zawsze była czymś w rodzaju *social worker*. Będę do niej pisał niedługo i napiszę też o Panu. Z tego co mi sama kiedyś mówiła, mam wrażenie, że to może być dla Pana użyteczna znajomość.

Napiszę do Pana jeszcze w krótkim czasie. Tymczasem najserdeczniejsze pozdrowienia przesyłam Państwu obojgu, szczerze oddany
J. Stempowski

P.S. Oto adres:
Mrs. H. Korsak, 508 West End Ave.
New York 24, N.Y.

¹ MWD — Ministerstwo Wnutriennych Dziel — sowiecki odpowiednik polskiej Bezpieki.

² Młodsza córka Senkiwów, Irenka, była dotknięta mongolizmem.

8.

1 marca 1953

Bern,
Nydegasse 17.

Drogi, kochany Panie Janku,

W ostatnich czasach — mniej więcej od roku — powodziło mi się źle, nie tyle materialnie co moralnie. Byłem tak przemęczony i znużony, że przestałem pisać cokolwiek do druku i nawet na listy nie odpowiadałem. Dla tej przyczyny nie odpisywałem tak długo na Pański list z listopada, który mnie bardzo zastanowił i dał wiele do myślenia.

Z Ameryki miałem kilka listów podobnych do Pańskiego, z opisem przygód tego samego rodzaju. E. Małaniuk, którego Pan może znał osobiście z Warszawy, znany poeta ukraiński z południowej części kraju, był przez cały bodaj rok zatrudniony jako *errand boy* w szpitalu, z wielką szkodą dla swego zdrowia, bo jest o rok lub dwa starszy ode mnie. Młody Szulgin, bardzo obrotny chłopiec, przez dłuższy czas był w Kanadzie w wielkich opałach, cierpiał głód, zmarło mu jedno dziecko, kiedy go wyrzucono z mieszkania itd. Obaj myśleli też o powrocie do Europy, ale potem jakoś dali sobie rady, chociaż i teraz — o ile wiem — nie bardzo się im dobrze powodzi.

Lepiej trochę wyszli ci, którzy mimo akademickich tytułów od razu jechali nastawieni na pracę fizyczną i odbyli już w Europie pewną zaprawę w warsztatach mechanicznych, w rzemiosłach poszukiwanych w Ameryce. Jeden młody historyk, b. uczeń szkoły marynarskiej, był tu na takich kursach i na praktyce, miał dyplom spawacza (*Schweisser*). Ten dostał w Kanadzie pracę w fabryce sprzętu radiowego, gdzie spawa srebrem różne części takich aparatów i dość dobrze zarabia, bo myśli już o kupieniu własnego drewnianego domu, według tamtejszych wzorów i obyczajów. Tam jechał przygotowany z góry na najgorsze i on jeden nie skarżył się ponad miarę, chociaż tak samo myślał o powrocie, ale raczej z powodu znudzenia i zniechęcenia, niż z racji tych warunków życia lub niedostatecznych zarobków. Pisze mi ostatnio jego żona o zabawnej rozmowie swego męża z jego *foreman*'em¹. Ten ostatni był bardzo zdumiony wykształceniem ogólnym mego młodego przyjaciela i powie-

dział mu: „Gdybym miał pański *background*, byłbym już dziś pewnie dyrektorem naszej fabryki”. Widocznie tam wykształcenie ogólne służyć może tylko do tego, aby z robotnika wyjść na foremana, a z foremana na dalsze szczeble kariery przemysłowej.

Coś podobnego słyszałem ostatnio od argentyńskiego radiotelegrafisty wojskowego, z którym czasami pracuję, i który z wielką wprawą odbiera telegramy z Buenos Aires, z których ja potem robię rodzaj streszczenia. Argentyńczycy mówią i piszą bardzo dziwnie po hiszpańsku, i kiedy chcą być bardzo górnolotni używają wszystkich czasowników w *subjunctivo* (czas używany w *oratio obliqua*² i dla wyrażenia życzenia, obawy, a także przy pewnych konstrukcjach zdań pobocznych). Widząc raz taką stronę pełną *subjunctivów*, zapytałem mego telegrafistę, dlaczego niektóre zdania są w tym trybie bez żadnej potrzeby. Na to odpowiedział: „Mój panie, gdybym wiedział jak używać poprawnie *subjunctivo*, nie byłbym dziś radiotelegrafistą, ale członkiem Akademii Hiszpańskiej”. „Finansowo na pewno by Pan na tym gorzej wyszedł” — zauważyłem. „To jest pewne i dlatego wybrałem mój obecny zawód, nie troszcząc się o *subjunctivo*”.

Jak Panu teraz udało się urządzić w Niemczech? Czy znalazł Pan zajęcie w jakimś muzeum? Europa niestety szybko się amerykańizuje. Niemieccy znajomi, których widziałem latem 1951, bardzo się na to skarżyli. Tu też jest już mała Ameryka, i ja czuję się tak prawie jak Małaniuk w New Jersey. Do Europy przyszło to razem z pieniędzmi i z teorią J. M. Keynes’a (*theory of full employment*³).

Będę się bardzo cieszył z wiadomości od Pana. Może coś razem przedsięwzięmy. Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyłam, szczerze oddany
Jerzy Stempowski.

P.S. Czy wie Pan już, że pani Helena Vincenz⁴ zmarła w Londynie w końcu ub. roku?

¹ *foreman* (ang.) — brygadzysta.

² *oratio obliqua* (łac.) — mowa zależna.

³ *theory of full employment* (ang.) — teoria pełnego zatrudnienia.

⁴ Helena Vincenz, pierwsza żona Stanisława Vincenza; emigrowała spod okupacji sowieckiej na Węgry w 1940; mieszkała w Londynie.

9.

29 grudnia 1953

Bern,
Nydegasse 17.

Kochany Panie Janku,

Najserdeczniej dziękuję za życzenia i za odezwanie się, bo już myślałem, że straciłem Pana z oczu. Ostatni list pisał Pan do mnie po powrocie z Ameryki, z tym samym adresem co dziś. Z listu Pańskiego miałem jednak wrażenie, że to jest adres tymczasowy. Bardzo więc cieszę się z odnalezienia Pana.

Nic nie wiem, jak się Panu teraz powodzi. Czy znalazł Pan możliwość pracowania naukowo? Myślę, że dziś w Niemczech jest to bardziej możliwe niż gdzie indziej w Europie, która przechodzi okres ogólnej rebarbaryzacji. Tu np. żadne badania nie prowadzące do celów użytkowych i do pieniędzy nie są popierane. Moja książka o formacji pejzażu berneńskiego leży od kilku lat w rękopisie i być może ukaże się dopiero teraz w Hiszpanii. Bardzo bym się cieszył, gdyby Panu się udało lepiej niż mnie.

Moje nerwy nie uległy żadnej odmianie. Przez ostatnie dwa lata cierpiałem na rodzaj melancholii, i dla tej przyczyny nic nie pisałem i nawet nie odpowiadałem na listy, mając

zaledwie dość energii na odrabianie niewielkiej pracy zarobkowej, z której się utrzymuję. Jestem mianowicie zatrudniony jako tłumacz z hiszpańskiego na użytek poselstw południowo-amerykańskich, dla których tłumaczę i przerabiam na europejski ład różne materiały i komunikaty urzędowe. Zajęcie nudne i niewdzięczne. Teraz dopiero zaczynam się otrząsać z tego długiego okresu frustracji ale jeszcze nie mam odwagi wziąć się do jakiś ambitniejszych planów. Czy pamięta Pan nasze projekty dwugłosu o Huculszczyźnie? Wzięliśmy się doń akuratnie za parę tygodni przed wystąpieniem u mnie pierwszego kryzysu melancholii. Może byśmy powrócili teraz do tego pomysłu?

Czy miewa Pan wiadomości od Vincenzów? Stanisław Vincenz mieszka zawsze na 52, cours Jean Jaures, Grenoble (Isère). Odwiedziłem go w 1951 wiosną. Mieszka zupełnie jak w Słobodzie, otoczony takimi samymi przedmiotami i książkami. Niektórzy widocznie niosą swój dom na sobie jak żółwie i ślimaki. Bardzo mu tego zazdrozczę. Pani Lena zmarła w 1952 w Londynie u Staśka, który się przedtem ożenił i teraz, jak się dowiaduję, jest na Jamajce, gdzie ma mu się lepiej powodzić niż w Anglii¹.

Proszę się do mnie odzywać, Kochany Panie Janku. Wie Pan, jak bardzo Pana lubię, po bratersku. Żałuję bardzo, że w 1951 nie odwiedziłem w Hamburgu Pana i nie miałem okazji poznać Pańskiej żony. Przesyłam Państwu obojgu najserdeczniejsze życzenia, szczerze oddany Jerzy Stempowski.

¹ Stanisław Vincenz, syn pisarza z pierwszego małżeństwa; fizyk.

10.

21 listopada 1954

Monachium,
Pension Bolvary
Reitmorstr. 12.

Kochany Panie Janku,

Po przyjeździe do Monachium wpadłem tu w taki kołowrót jak Pan w swoim sklepie. Miałem do przeczytania 97 słuchowisk przysłanych na konkurs, po 20–25 stronik każdy, a ponieważ przez kilka dni chorowałem i nie mogłem nic czytać, rękopisy te stworzyły prawdziwy zator, któremu niełatwo było dać rady, bo do każdego musiałem jeszcze napisać małą ocenę. Dopiero przed dwoma dniami skończyłem tę robotę i teraz czekam na zebranie się całego jury, które będzie musiało dokonać wyboru wśród jakiś 20 najlepszych rękopisów. Potrwa to jeszcze z tydzień i wątpię, abym mógł stąd wyjechać przed 27 listopada.

Dla tych przyczyn nie odzywałem się dotąd do Pana. Po wyjeździe z Dortmundu spędziłem jeden dzień w Düsseldorfie, który wygląda na najbogatsze miasto Niemiec. Główne ulice są pełne dam w najpiękniejszych futrach, zasiadających rano i wieczorem w kawiarniach i jedzących ciastka niezwyklej wielkości. Teatry i teatrzyki są pełne publiczności wyglądającej tak, jak gdyby po latach głodu i nędzy dorwała się do wielkich pieniędzy i spieszyła wydać je jak najprędzej. Słowem coś zupełnie innego niż w Dortmundzie. Coś podobnego, chociaż w skromniejszej skali, dzieje się w Monachium. Dortmund pozostaje najciekawszą rzeczą, jaką widziałem podczas obecnego pobytu w Niemczech, i jestem Panu niezmiernie wdzięczny, że Pan mi pomógł w zapoznaniu się z tym kawałkiem Niemiec.

Bardzo osobliwy widok przedstawia też Radio Free Europe, ogromna maszyna zatrudniająca koło 150 Polaków, tyłuż Czechów i trochę mniej Węgrów, nie licząc Niemców. Wszystko to mieści się w wielkim budynku wzniesionym przez Amerykanów na skraju parku. Do przedsięwzięcia tego należy też pewna ilość nowych kamienic, w której

mieszkają pracownicy Radia. Autobusy Radia przywożą ich o 9 rano do biura i rozwożą do domów o 17.30. Są oni bardzo dobrze płatni i mają życie tak ułatwione pod każdym względem, że nie wyobrażam sobie, aby mogli z własnej woli porzucić te posady i wrócić do życia emigrantów takich jak Pan i ja. Do tej roboty Amerykanie zgromadzili tutaj część najzdolniejszych emigrantów, sprowadzonych z różnych krajów. Znalazłem tu sporo znajomych z różnych czasów. Część ich czuje się z tym wszystkim źle, niby w złoconej klatce, czemu nie mogę się dziwić, bo cały ten wysiłek nie ma zapewne większego sensu. Radia słucha w kraju wiele osób, ale z bardzo różnym efektem. O ile wiem, niektórzy słuchają go z wielką irytacją, myśląc nie bez racji, że kanarki ze złoconych klatek nie mają prawa uczyć ludzi pozostających pod sowieckim reżimem. Spotkałem też przed kilku miesiącami jednego komunistę, który powiedział mi z uśmiechem: jaka szkoda, że ci panowie z Radia mają tak zły smak i przemawiają tak pospolicym i nieobyczajnym językiem. Wszystko to jest jednym z paradoksów i wybryków naszego czasu. Wydaje mi się, że historia grupy emigrantów zatrudnionych tu przy Free Europe byłaby dobrym przedmiotem studiów dla socjologa, ale nie podjąłbym się takiego zadania.

Jaki obrót wzięły tymczasem Pańskie sprawy? Czy Pańska kawiarnia już otwarta? Bardzo jestem ciekawy jak mieszkańcy Korei¹ odnieśliby się do tego nowego dla nich zjawiska? Ma Pan pewnie pełne ręce roboty. Czy widoki na inne zajęcie przybrały jakieś konkretne kształty? Dowiedziałem się paru szczegółów o prof. G. v. Mende, o którym mi Pan wspominał. Jego urząd nazywa się Hilfsbureau für heimatlose Ausländer, Cäcilienallee 52, Düsseldorf 10. Sądząc z nazwy, byłoby to akuratnie coś dla Pana, ale nie wiem dobrze, jaki jest właściwy zakres działania i możliwości prof. G. v. Mende. Być może dowiem się jeszcze o tym czegoś użytecznego.

Rączki Pańskiej żony całuję, obu córeczkom serdeczne pozdrowienia przesyłam, *lieve kind*² całuję, a Panu przesyłam, kochany Panie Janku, najserdeczniejsze, przyjacielskie pozdrowienia, szczerze oddany
J.S.

¹ Korea — nazwa obozu dla przesiedleńców, gdzie mieszkali Senkiwowie.

² *lieve kind* (holender.) — kochane dziecko.

11.

23.IX.1955.

Bern,
Nydegasse 17.

Kochany Panie Janku,

Niezmiernie ucieszył mnie Pański list. Widzę, że znalazł Pan dobre wyjście z swego wygnania na Korei i że zbliżył się Pan do pracy w zakresie swoich zainteresowań i uzdolnień. Na emigracji jest to rzecz trudna, udaje się rzadko i tylko najzdolniejszym.

Z Pańskiego listu rozumiem, że Pański kurs zacznie Pan dopiero w przyszłym roku, bo nie widzę go w spisie, który mi Pan był łaskaw przysłać. Ma więc Pan sporo czasu na przygotowanie go i przemyślenie czym będzie Pan mógł zainteresować słuchaczy, oraz przyjrzeć się tym słuchaczom.

Z pomocy naukowych mam u siebie A. Brücknera *Historię kultury polskiej*. Pan pewnie ją zna. Jest to nieoceniona kopalnia wszelkiego rodzaju wiadomości, książka którą wszyscy profesorowie historii i literatury trzymają w nocy pod poduszką, żeby we śnie nawet coś mogło z niej trafić do ich pamięci. Czytałem niedawno wzmiankę, że gdzieś na emigracji —

zdaje się w Paryżu wychodzi zeszytami nowe wydanie tej książki. Zanim Pan je będzie mógł kupić, służę Panu moim egzemplarzem, w którym brak 16 stron. Są to 3 wielkie tomy nieoprawione i trochę podszargane, które ocalałem z rozgromu tutaj[szego] poselstwa¹.

Z innych książek czytałem niedawno Henryka Paszkiewicza (być może słuchał go Pan na Uniwersytecie Warszawskim) *The Origin of Russia*, o której pisałem przed kilku miesiącami w „Kulturze”². Jest to historia średniowieczna obszaru rosyjsko-ukraińsko-polskiego, między Wisłą a Wołgą. Książka fundamentalna, wykorzystująca i opisująca wszystkie istniejące źródła i całą literaturę naukową. Od autora wiem, że miało się ukazać jej drugie wydanie. Taka książka powinna się znajdować w każdej bibliotece historycznej i slawistycznej. Pewnie więc Panu ją Instytut kupi: Henryk Paszkiewicz. *The Origin of Russia*. George Allen and Unwin. London 1954. 639 s. Gdyby Pan miał z tym trudności, mogę Panu służyć moim egzemplarzem. Na uważne przeczytanie go trzeba liczyć 2–3 tygodnie czasu.

Ostatnio wyszło sporo książek niemieckich dotyczących Europy Wschodniej. Nie mam żadnego ich przeglądu, to Panu łatwiej przyjdzie.

Czytam w tej chwili książkę:

Georg Baron Manteuffel-Szoegel: *Geschichte des polnischen Volkes während seiner Unfreiheit (1772–1914)*. Duncker & Humblot. Berlin 1950.

Wydaje mi się dobra, a w każdym razie przejrzysta i łatwa do czytania. W przypisach znajduje się najpotrzebniejsza bibliografia.

W Niemczech jest kilka instytutów zajmujących się sprawami Europy Wsch[odniej]. W Monachium znajduje się najstarszy z nich; na czele jego stoi Hans Koch, ur. we Lwowie, b. prof. teologii protest[anckiej]. Nie znam tej instytucji, ale słyszałem, że posiada bibliotekę. Tam przypuszczam można się więcej dowiedzieć, czym w zakresie literatury Niemcy w tej chwili rozporządzają.

Widziałem też prospekt miesięcznika czy kwartalnika slawistycznego, który musiał się w krótkim czasie ukazać. Redaktorem jego jest prof. Koschmider, b. prof. wileńskiego uniwersytetu. Pierwszy numer jego już pewnie wyszedł i można go znaleźć w nowościach bibliograficznych. Tam znajdzie Pan zapewne wznowienia nowych książek.

Mam u siebie jeden numer pisma „Der europäische Osten, Monatsschrift für Selbstbestimmungsrecht u[nd] Freiheit der Völker”. München 9, Jörg-Verlag G.m.b.H., Schweiger str. 2. Tam też są omówienia książek. Wydawcą jest Hanns Gert Frhr. [Freiherr] v[on] Eseebeck, który, o ile wiem, jest szwagrem v[on] Brentana, ministra spraw zagranicznych.

Jeżeli chodzi o najnowszą (1945–1955) historię, czy ma Pan numery specjalne „Kulturzy” poświęcone historii Polski i sytuacji wewnętrznej kraju w tym okresie? Wyszło tego przed paru laty 5 zeszytów.

Z tego zakresu polecam Pańskiej uwadze także krótką rzecz mego pióra: *Die polnische Literatur drinnen u[nd] draussen (1945–1955)*, która ukazała się w „Deutsche Zeitung” Stuttgart W., Silberburgstr. 193, 17 września r.b.

Wydaje mi się, że dla powodzenia Pańskiej działalności w Instytucie najważniejszą rzeczą byłoby przyjrzenie się słuchaczom i wycucie, co ich do Instytutu sprowadza — czy potrzeba rozrywki, czy kształcenia się i w jakim celu — i czym ich można zainteresować.

Odczyt o „Kulturze” może być — jako rzecz żywa — dobrym pomysłem. Za kilka dni przyślę Panu o tym notatkę z różnymi wiadomościami o charakterze malowniczym i anegdotycznym.

Przychodzi mi na myśl, że wiele użytecznych dla Pana książek wychodzi teraz w Polsce. Jest tam kilka instytutów geograficznych. Widziałem przed kilku miesiącami wielki tom ilustrowany z opisem analitycznym krajobrazu polskiego, ale nie przypominam sobie szczegółów. Dowiem się o tym. Z tamtejszymi książkami jest sporo kłopotu,

bo często po kilku tygodniach już są wyczerpane i nie do kupienia. Życie musi być tak nudne i przykre, że kto może zamyka się w domu i czyta.

Program Auslandsinstitutu dortmundzkiego robi bardzo dobre wrażenie. Jest może trochę chaotyczny i przypadkowy, ale na początek jest to nieuniknione i czasami zabawniejsze od systematyczności uniwersyteckiej.

Przychodzi mi na myśl, że Nadrenia jest starą rzymską prowincją, i że w sensie znalezienia jakiegoś ogólnoeuropejskiego ducha warto byłoby zająć się wspólnymi tradycjami rolniczymi Europy, które są zapewne widoczne także w Westfalii. Rozwój górnictwa zaczął się tam dopiero w XIX w., na wsi muszą być więc jeszcze stare *Bauernhöfe* i *Bauernhäuser*. Zwiedzenie takich domów i odczytanie tego, co mówią o przeszłości, musi być w Westfalii rzeczą bardziej egzotyczną niż film z wysp Polinezji, tak dziś te rzeczy zeszyły na drugi plan. To byłoby coś z Pańskiej specjalności. Można by z tego robić wykłady z porównaniem z innymi krajami i z wycieczką do jakiejś wsi, gdzie są stare domy i obejścia. Takie rzeczy są najlepiej zachowane niedaleko od ośrodków fabrycznych, gdzie rolnictwo nie idzie naprzód, bo ludność czerpie zarobki z innych źródeł. Z pewnego powodzenia mojej książeczki o *Terre bernoise* wnoszę, że takie rzeczy budzą pewne zainteresowanie. Najwięcej czytelników moja książeczka znalazła zupełnie niespodzianie w Holandii, gdzie sprzedano jej 50 egzemplarzy. Być może w Westfalii jest już jakieś towarzystwo zajmujące się takimi studiami, ale to tylko pomaga. Historycy umieją czytać dokumenty, ale nie umieją odczytać gruntu, zabudowań, drzew itd. Przekonałem się o tym w Nicei, gdzie miejscowe [towarzystwo] historyczne wydało już 100 tomów o przeszłości okolic miasta, ale nikt nie odczytał dotąd ziemi, zapisanej tak gęsto, że można by zrobić z tego kilka tomów fantastycznych jak historia 1001 nocy. Zacząłem już tę robotę, ale byłem zbyt krótko, aby ją wykończyć*.

Piszę to wszystko *prima vista*, o innych sprawach napiszę niedługo.

Pańskiej żony rączki całuję, pannę Pony najserdeczniej pozdrawiam, a *lieve kind* całuję z całego serca. Często ją sobie przypominam. Cieszę się bardzo, że Pańska kawiarnia dobrze poszła mimo obaw, jakie Pan miał.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany
J.S.

* *Die Landwirtschaft in der europäischen Kulturgeschichte. Die Landw[irtschaft] als Quelle der gemeinsamen Zügen der europäischen Kultur*, tak można by ten temat sformułować.

¹ Poselstwo polskie w Bernie zostało w roku 1945 przekazane przez posła RP Aleksandra Ładosia władzom komunistycznym warszawskim.

² [J. Stempowski] P. Hostowiec, *Początki Rosji*, Kultura 1955 nr 6 s. 137–142.

12.

17 marca 1956.

Bern,
Nydeggasse 17

Kochany Panie Janku,

Dziękuję za list z 14-go, który w tej chwili właśnie otrzymałem. Bardzo się cieszę z Pańskiej współpracy z Auslandsinstytutem. Przypadł Panu trudny temat, wymagający długiej lektury. Nie wiem czy znajdzie Pan łatwo potrzebne książki.

Na pierwszy rzut oka wydaje mi się, że ocena Rosjan przez Zachód była bardzo niejednolita i ulegała silnym wahaniom. Pomijam tu doświadczenia pierwszych podróżników do Rosji z czasów Iwana Groźnego, którzy na ogół ocenili Rosjan jako dzikich ludzi,

złych i przewrotnych, co — mając na uwadze, że komunikowali się z otoczeniem cara — odpowiadało rzeczywistości.

Okres bliższych stosunków z Rosją i odkrycie rzeczywistego oblicza krain i mieszkańców przypada na czas Mikołaja I. Z tego czasu datuje epokowa książeczka, czytana potem przez całą elitę rosyjską. Są to listy z Rosji Astolpha de Custine. Mam tu francuski egzemplarz, trochę skrócony de Custine'a. Wiem, że niedawno — może przed 2–3 lata — ukazało się w Stanach Zjednoczonych angielskie tłumaczenie tej książki. Nie wiem, czy istnieje tłumaczenie niemieckie; warto go poszukać. De Custine znał Mickiewicza i jego obraz Rosji zbiega się na wpół z mickiewiczowskim.

Mam u siebie doskonałą książkę Wacława Lednickiego *Russia, Poland and the West*, gdzie znajdzie Pan wiele materiałów i wskazówek do tego tematu. Mogę Panu tę książkę przysłać. Pisałem o niej zeszłego roku w „Kulturze”¹.

Wielkie pomieszanie pojęć zaczęło w końcu XIX wieku, kiedy z okazji aliansu francusko-rosyjskiego Zachód zaczął propagować na użytek własnych obywateli bardzo ocukrowany obraz Rosji i Rosjan. B. sekretarz ambasady francuskiej w Petersburgu Melchior de Voüé napisał wówczas świetną książkę o powieści rosyjskiej budząc wielkie zainteresowanie literaturą rosyjską. Na pół wieku Tołstoj i Dostojewski stali się ulubioną lekturą całej elity umysłowej Zachodu. Elita ta do dziś dnia widzi Rosjan tak, jak przedstawiają ich ci dwaj pisarze tj. jako naród moralistów, podobnych do Indusów, zagłębionych w roztrząsania moralne i mało przedsiębiorczych. Było to właśnie w czasie, kiedy powstawały olbrzymie zakłady przemysłowe Pułowa pod Petersburgiem i kiedy Rosja przygotowywała się do panowania nad Europą. Bardzo ostra charakterystyka imperializmu rosyjskiego znajdzie się np. w publicystycznych pismach M a r x a.

O wpływie literatury rosyjskiej na obraz Rosji u ludów Zachodu istnieje niem[iecka] rozprawa, nieco satyryczna, kobiety piszącej pod pseudonimem SIR GALAHAD, której nazwisko nie przychodzi mi w tej chwili na pamięć i która zmarła przed kilku laty na emigracji w Berlinie. Rozprawa jej nosi tytuł *Idiotenführer durch die russische Literatur*. Wyszła w Niemczech gdzieś koło 1930.

Do konfuzji pojęć i fałszywych ocen przyczynił się fakt, że Zachód stykał się mało z Rosją, wiele natomiast z rosyjską inteligencją, będącą osobliwym tworem samoderżawia. Inteligencja ta potępiała całą Rosję oficjalną, była rewolucyjna, liberalna, słowem stanowiła odwrotność tego, czym był ogół narodu. Od Czaadajewa, Hertzena i Bakunina do Lenina i Trockiego istnieje w tym pewna ciągłość. Widok tej inteligencji wytworzył na Zachodzie obraz Rosji podminowanej od wewnątrz, niepewnej jutra, zagrożonej przewrotami, głęboko nieprodukcyjnej. Stworzono nawet termin IMPRODUCTIVITÉ SLAVE, słowiańska nieprodukcyjność. Znacznie bliższy rzeczywistości jest obraz Rosji przemysłowej z 1907 czy 1909, jaki znajduje się w klasycznej książce niemieckiej SCHULZE-GAEVERNITZA. Jest tam sumiennie i krytycznie opisany rozwój przemysłu rosyjskiego, przypominającego wzory amerykańskie z końca XIX i początku XX wieku.

Obraz chaosu i nieprodukcyjności zwiększył się jeszcze w oczach Zachodu po 1917. Przez długie lata nikt nie wyobrażał sobie, że Rosja może stworzyć największą granicę lądową doskonale uzbrojoną. Nie wierzono temu nawet w 1937–1938. Pamiętam z tych lat moją rozmowę z komunistą francuskim Georges FRIEDMANN, kierownikiem centru dokumentacji społecznej paryskiej École normale supérieure, który spędził dłuższy czas w Rosji i zwiedził parę fabryk wojennych. Zwracał on moją uwagę na całkowitą rozbieżność między obrazem Rosji, jaki rozpowszechniony był na Zachodzie, i rzeczywistością. Na Zachodzie słowo Rosja kojarzyło się z dziką rewolucją, partyzantami, krwawymi represjami itd. Głównymi rysami rzeczywistości był powszechny przymus pracy, rozbudowa przemysłu w *ударном порядке*² i żelazny rygor policyjny.

Wreszcie rozbieżności między rzeczywistością i obrazem jej na Zachodzie weszły w ostatnią fazę w roku ubiegłym, kiedy nagle cały świat zaczął mówić o „odwilży” i liberalizacji, której w rzeczywistości nie ma wcale lub jest w dozach homeopatycznych. Zachód chce się ludzić i nie ma odwagi spojrzeć na rzeczywistość oczami de Custine’a.

W najbliższych dniach zobaczę jeszcze w tut[ejszej] bibliotece, co na ten temat jest więcej. Po wojnie wyszło tu także kilka książek o Rosji i Zachodzie. Heine radził pisać rozprawę o nodze według schematu: *der Fuss im Alterum, der Fuss im Mittelalter und der Fuss in der Neuzeit*³. Wydaje mi się, że i Pański temat tak należy ułożyć, aby nie zgubić się w obszernym materiale z różnych czasów.

Mnie też zima i grypa bardzo dokuczyły. Dobrze, że to się już kończy. Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia całej Pańskiej rodzinie, nie zapominając o *lieve kind*, a Pana, kochany Panie Janku, ściskam po bratersku, szczerze oddany
J.S.

¹ [J. Stempowski] P. Hostowiec, *Polska, Rosja i Zachód*, Kultura 1955 nr 4 s. 129–132.

² в ударном порядке (ros.) — w systemie przodownictwa pracy.

³ *der Fuss im Alterum...* (niem.) — noga w antyku, noga w średniowieczu, noga w nowożytności.

13.

Bern, 24 marca 1956
Nydegasse 17.

Kochany Panie Janku,

Dziękuję za list z 22-go. Od ostatniego listu obejrzałem tutejsze publikacje. Najciekawsza z nich dla Pana jest: A. von Schelten, *Russland und Europa*. Bern. Francke Verlag. Jest to obszerna książka zawierająca przegląd całych stosunków między Rosją i Zachodem, zwłaszcza w ciągu XIX w., rodzaj podręcznika. Kosztuje około 25 Mk. Niestety nie mam jej, ale przypuszczam, że znajdzie ją Pan w jakiejś bibliotece.

Po wojnie ostatniej między bibliotekami różnych krajów zawarte zostały umowy o wzajemnym wypożyczaniu sobie książek. Dyrektor tut[ejszej] Landesbibliothek mówił mi, że może mi wypożyczyć książki z Pragi i Warszawy. To oczywiście nieprawda, bo tamtejsze biblioteki nie wypożyczają ani na kraj ani na zagranicę t.z. prohibitów, do których zaliczone są nawet stare roczniki „Wiadomości Literackich”. Być może jednak Niemcy objęte są tymi umowami, a wówczas miałby Pan nieograniczoną możliwość wypożyczania książek z bibliotek szwajcarskich, austriackich, skandynawskich *etc.*

Nowości amerykańskie można znaleźć w bibliotekach istniejących przy każdym America House. Nie wiem, jaki jest tryb wypożyczania z tych bibliotek dla zamieszkałych, ale przypuszczam, że za pośrednictwem bibliotek publicznych rzecz jest możliwa. De Custine’a listy z Rosji ukazały się przed kilku laty w USA w tłumaczeniu jednego z wielkich ekspertów, samego Kennana czy Kohlera, i nie przypuszczam, aby tej książki zabrakło w America Houses.

Wieczory petersburskie, które Pan wspomina, są dziełem Josepha de Maistre. Jego nazwisko wymawia się de Mestr. Są to rozważania apologetyczne na temat monarchii absolutnej i jest tam m.in. pochwała kata. Być może jest tam też coś ciekawego i dla Pana ale raczej ubocznie. Trzeba by to uważnie przeczytać. Brat de Maistre’a, Xavier de Maistre, był też w Rosji i jest znacznie lepszym pisarzem, autorem *Podróży po moim pokoju* i powieści *La jeune Sibérienne*, z której zostało w ros[yjskiej] mowie potocznej wyrażenie

nie *параша сибирячка* na znane naczynie więzienne. Utwory te jednak Pana tematu bezpośrednio nie dotyczą.

Jeżeli Pan sięga daleko wstecz, być może przyda się Panu Радищев, *Путешествие из Петербурга в Москву* z końca XVIII w., opisująca życie ludu pańszczyźnianego. Bolszewicy b. się z tym obnosili i mam tę książkę w sow[ieckim] wydaniu. Mogę ją przysłać.

Lednickiego wysyłam. Jeżeli przyjdzie mi coś na myśl do Pańskiego tematu, napiszę. Bardzo jestem ciekawy Pańskiego planu wykładów.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany
J.S.

P.S. Największy America House widziałem w Monachium przy Arcisstr., ale słyszałem, że podobne istnieją i w innych miastach. Monachijski A.H. miał b. porządną bibliotekę z nowościami, z czego mało kto korzystał.

14.

Bern, 20.XII.1956
Nydegasse 17.

Kochany Panie Janku,

Dziękuję Panu serdecznie za listy i wiadomości. Byłem bardzo rad, że zaczął Pan pracować trochę w swoim fachu, poza Koreą. Nic Pan jednak nie pisze o tym, jak skończył się Pański kurs o Rosji. Czy był Pan zeń zadowolony i jakie projekty wynikły stąd na rok następny.

W połowie października byłem w Tübingen na spotkaniu historyków polskich i niemieckich, które opisałem krótko w grudniowej „Kulturze”¹. Byli tam zresztą nie tylko historycy i — jak na wszystkich zjazdach — najciekawsze rozmowy były prywatne. Z całej tej podróży — bo potem spotkaliśmy się jeszcze w Monachium ze specjalistami od *Zeitgeschichte*, czyli po amerykańsku *current history* — wyniosłem wrażenie, że — mimo powolnego tempa odbudowy uniwersytetów i bibliotek — w Niemczech odbywa się wielka praca myśli. Młode pokolenie, które wydawało się zdziesiątkowane przez wojnę i zdemoralizowane przez hitleryzm, otrząsnęło się szybko z całego tego spadku po przeszłości i weszło na nowe tory, przypominające trochę dawny, przedbismarckowski idealizm niemiecki. Niektóre instytucje są całkowicie w rękach młodzieży. W grupie uczonych np. pracujących w monachijskim Institut für *Zeitgeschichte* najstarszy wiekiem ma koło 40 lat. Pod względem metody jest to jeszcze niezrównoważone, ale pod tym względem historia jest najtrudniejsza do odnowienia. W t.z. Tübingen Kreis widziałem też uczonych z innych uniwersytetów i w przyszłym roku chciałbym poznać też inne ośrodki badań, a przy tej okazji odwiedzić Pana w Dortmundzie.

Wszystko to jednak jest w tej chwili dla mnie rzeczą uboczną, bo w tym roku wziąłem się do innej pracy obliczonej na dłuższy termin. W 1958 będzie mianowicie obchodzone — zdaje się, że tylko we Włoszech — 2000-lecie Owidiusza, o którym chciałbym z tej okazji napisać małą książeczkę. Owidiusz — głównie za sprawą filologów i krytyków francuskich — został przed stu laty zaliczony do drugorzędnych wierszopisów, i nikt prawie się nim odtąd na serio nie zajmował. Trudno jest na tak stary temat powiedzieć coś nowego, wybrałem się więc tego lata do Sulmony, miejsca urodzenia Owidiusza, gdzie filolodzy niczego dotąd ciekawego nie znaleźli. Jest to nie odkryte dotąd przez turystów miasteczko — niespełna 30.000 mieszkańców — w Abruzzach, na drodze z Rzymu do Pescary, niedalekie również od Neapolu. Pojechałem tam na kilka dni, a zostałem 6 tygodni. Poznanie od wewnątrz — nie od strony turystycznej — Włoch Południowych i zakresu kultury neapolitańskiej było dla mnie wielkim odkryciem. Sulmona żyje dotąd

wspomnieniami i legendami o swoim poecie. Jako pierwszy cudzoziemiec odbywający pielgrzymkę do ojczyzny Owidiusza, byłem tam bardzo życzliwie przyjęty i znalazłem wielu, przeważnie młodych przyjaciół. Spotykając się z nimi każdego wieczoru, założyliśmy rodzaj wolnej akademii zwanej Academia della Pizza, od rodzaju blinów, będących narodową potrawą neapolitańczyków.

Włochy Południowe są biedne, mieszkańcom ich brak samochodów i innych kosztownych rozrywek, zajmują się więc czytaniem i literaturą. Mam wrażenie, że w samej Sulmonie czytają więcej niż w całej Szwajcarii. Znalazłem się więc tam niejako w swoim żywiole i chciałem tam wrócić we wrześniu 1957, na początek tamtejszego *anno ovidiano*, uroczystości komemoracyjnych projektowanych na cały rok. Nie mniej ciekawy jest Neapol. Jest to nie tylko najpiękniejsze miasto Europy, mające nieprzerwaną ciągłość kultury na przestrzeni 2,5 tysiąca lat, ale także siedziba wielkiego ruchu umysłowego, mało znanego poza Włochami. Od 2 lat czytam więcej po włosku niż w jakimkolwiek języku.

Podczas mego pobytu w Monachium zaczęły się tak zwane wypadki październikowe w Warszawie². Dzięki sprawności organizacji Free Europe, można je było śledzić niemal z godziny na godzinę. Wydawało się, że wszystko potoczy się tak, jak później na Węgrzech. Rzecz jednak wzięła inny obrót, bo na czele ruchu przeciw sowieckiemu stanęła sama partia, która — posiadając pewną organizację i świadomość spraw międzynarodowych — zdołała opanować sytuację i zatrzymać kraj na samym brzegu przepaści. Pancerne dywizje sowieckie stały już o kilkadziesiąt km od Warszawy, naprzeciw zastępującej im drogę armii Rokossowskiego. Partia przygotowywała się już od 1,5 roku do tej dramatycznej rozgrywki, która była niespodzianką dla Kremla.

Na Węgrzech partia składała się z stalinistów i ruch opozycyjny przeszedł od razu w ręce ludu nie znającego granicy wolności w systemie podziału świata między Rosją i Ameryką i liczącego na pomoc Zachodu. Zresztą po interwencji zbrojnej na Węgrzech sytuacja w Polsce stała się również niepewna. Miarą uzyskanych tam swobód jest fakt, że z więzień wyszli nie tylko nieprawomyślni komuniści, ale także więźniowie sekretnie skazani przez tajne wyroki. Nawet Henryk Józewski³, który ukrywał się przez 8 lat, a przed 2 laty został schwytyany z tajnym wyrokiem skazany na dożywotnie więzienie, jest znów na wolności. Gazety warszawskie wypowiadają się z większą swobodą niż gazety emigracyjne. Wszystko to stworzyło zupełnie nową sytuację, którą trzeba będzie na nowo przemyśleć. Na razie do kraju się nie wybieram.

Przesyłam Panu, kochany Panie Janku, i Pańskim bliskim najserdeczniejsze życzenia wesołych świąt, szczerze oddany
Jerzy Stempowski

¹ [J. Stempowski] P. Hostowiec, *Spotkanie historyków w Tybindze*, Kultura 1956 nr 12 s. 114–119.

² W październiku 1956 r. następuje kulminacja napięcia społecznego: w związku z pogłoskami o przygotowaniach do puczu wojskowego w celu likwidacji tzw. „odwilży” powstają samorzutnie rady robotnicze, pracownicy FSO na Żeraniu w Warszawie organizują uzbrojoną milicję, powstają robotnicze oddziały samoobrony, wrzenie ogarnia szkołę wyższą. W kierunku Warszawy posuwają się sowieckie kolumny pancerne. Władze nie mogą liczyć na lojalność Wojska Polskiego. W dniach 19–21 X obraduje pod presją społeczną burzliwe VIII Plenum PZPR. Pojawia się w Warszawie delegacja sowiecka z Chruszczowem, „Prawda” moskiewska oskarża prasę polską o prowadzenie systematycznej kampanii przeciw socjalizmowi. Następują zmiany personalne w aparacie władzy: I sekretarzem KC PZPR wybrany zostaje Władysław Gomułka.

Wypadki węgierskie — 23 X 1956 po manifestacji mieszkańców Budapesztu pod pomnikiem gen. J. Bema, demonstrujących solidarność z Polską, doszło do starć z milicją, która otworzyła ogień. Spontanicznie powstały oddziały bojowe, żołnierze oddawali broń cywilom lub przechodzili

na stronę demonstrantów. W całym kraju zaczęły powstawać rady rewolucyjne przejmujące władzę. 1 XI nowy premier Imre Nagy wypowiedział członkostwo Węgier w Układzie Warszawskim, ogłosił neutralność państwa i zwrócił się do ONZ o pomoc. Domagał się przyśpieszenia wycofywania wojsk sowieckich z Węgier. 3 XI rozpoczęły się negocjacje w tej sprawie w ambasadzie sowieckiej, ale delegacja węgierska została aresztowana, a następnego dnia 1000 czołgów sowieckich, wspartych przez piechotę i lotnictwo, wjechało do Budapesztu. Mimo ogromnej sowieckiej przewagi militarnej walki uliczne trwały kilka dni, obie strony poniosły znaczne straty, tysiące domów zostało zniszczonych. Rozpoczął się masowy exodus Węgrów za granicę. Nagy wraz ze współpracownikami został uwięziony i po tajnym procesie stracony w 1958.

³ Henryk Józewski (1892–1981), polityk, działacz państwowy; artysta malarz. W roku 1920 wiceminister spraw wewnętrznych w rządzie ukraińskim atamana Symona Petlury. W latach 1929–1938 wojewoda wołyński. W latach 1924–1925 założył i prowadził wraz ze Stempowskim „Bibliotekę Pstrykońską”, serię wydawniczą, w której ukazały się trzy tomiki, dwa z litografiami Józewskiego, jeden z esejem Stempowskiego pt. *Pielgrzym*. W czasie okupacji aktywny w konspiracji, po wojnie więziony.

15.

21.III. [19]62

Jerzy Stempowski
Nydszgasse 17 Bern

Drogi, kochany Panie Janku,

Serdecznie dziękuję za list z 9-go o Pańskich projektach autorskich i wydawniczych. Dziękuję również za propozycję wzięcia w nich udziału. Huculszczyzna zajmuje tak ważne miejsce w moich wspomnieniach, że pisałbym o niej z największą przyjemnością, aby w myśli przynajmniej wrócić w tamte strony. Ale jak się do tego wziąć?

Rzecz w tym, że znana nam Huculszczyzna była jak śpiąca królewna, śniąca swój dziwny sen o starowieku, ale którą wystarczyłoby obudzić, aby zaczęła mówić, śmiać się, śpiewać, żyć i cieszyć się życiem. Ci, którzy o niej wówczas pisali, zachowywali się trochę jak królewicz mający ją obudzić: mówili jej komplementy, sławili jej urodę, chwalili nawet jej sen. Od tamtych czasów dzieli nas jednak straszna przepaść lat. Kto wie, co z niej jeszcze zostało? — Ludność jej zesłano częściowo na Syberię niewielu pewnie stamtąd wróciło. W „Suczasnoui Ukraini” czytałem wiadomość z prasy sowieckiej, że lasy na Huculszczynie wyrabano, zostawiając łyse góry. Wnosić stąd można, że Czeremosz i Cisa nie są już takie same i nie szumią jak dawniej. Nikt już pewnie nie pamięta starych zwyczajów dotyczących pracy i nie potrafi opowiedzieć historii Wielitów. Nie ma już pewnie dawnych budynków, nie zachowały się nawet nazwy płąjów. Huculszczyzna jest dziś być może jak niegdyś piękna kobieta, której ślubowaliśmy miłość, lecz która straciła urodę i nawet pamięć, zmieniona do niepoznania przez straszną chorobę. Miłość, którą jej przyrzekaliśmy, jest wciąż żywa w naszej pamięci, ale przedmiotu jej już byśmy pewnie nie poznali. Najwierniejsze uczucia znają takie kłęski. Nie możemy mówić o Huculszczynie jak dawniej, musimy znaleźć do tego nowe słowa, nowy ton. Jesteśmy trochę w położeniu Petrarcki, który przez całe życie pisał sonety do Laury, zrazu żywej, potem umarłej, zmieniając ton z jej śmiercią. Jak znaleźć te nowe słowa? Rzecz jest do przemyślenia. Projektowana przez Pana książka ma być dziełem zbiorowym, będą w niej więc różne głosy, różne tony, ale ktoś jeden przynajmniej powinien zaznaczyć przemianę, jaką przeżyła Huculszczyzna w naszej własnej pamięci i wyobraźni. Trzeba zapytać o to p. Stanisława¹. Niech Pan też pokaże mój list p. Orestowi, który, jako poeta, będzie na pewno mieć o tym swoje^{*} zdanie.

Ponieważ myśli Pan o przedrukowaniu kilku tekstów dawniejszych, przychodzi mi na myśl, że Huculsczyzna miała już wielu piewców. Najpiękniejsze być może stronice poza *Wysoką Połoniną* znaleźć można w *Galizische Erzählungen* Leopolda Sacher-Masocha, którego Niemcy nie tylko zapomnieli, lecz także wykreślili ze swej historii literatury. Nazwisko jego zachowało się tylko w patologii seksualnej, odeń bowiem pochodzi termin „masochizm”. Ale niezależnie od masochizmu Leopold von Sacher-Masoch (proszę nie mieszać go z żyjącym obecnie Aleksandrem Sacher-Masochem) napisał 20 tomów opowiadań galicyjskich, które w latach 1875–1900 były tłumaczone na francuski, rosyjski itd. Znaleźć w nich można najpiękniejszy opis Galicji Wschodniej z połowy XIX wieku. Część ich — jak *Don Juan aus Kolomea* — dotyczy Huculsczyzny. Próbowałem badać, czy autor zna z własnego doświadczenia wnętrza gór, i przekonałem się, że musiał bywać w Burkucie i Szykmanach, bo opis wiodącej tam drogi jest zupełnie dokładny. Warto by wybrać zeń jakiś dobry fragment lub nawet całą nowelę. Biblioteki niemieckie nie mają jego książek. We Wiedniu, gdzie ich przed paru laty szukałem, okazało się, że tylko biblioteka Opery zbierała, chociaż niesystematycznie, jego książki, i te tylko znalazły się obecnie w wiedeńskiej Nationalbibliothek. Ma Pan jednak pod ręką najlepsze źródło wiadomości w osobie jedynej córki Sacher-Masocha, która miała też wszystkie jego książki. Jest to żona Arthura Saternusa, mieszkająca na Manderscheiderstr. 29 w Köln-Sülz. P. Stanisław poznał ich na Węgrzech, pana Saternusa znam także i ja, może się więc Pan na nas powołać.

Słyszałem od p. Stanisława, że ciekawy opis Huculsczyzny znajduje się w dziełach Wincentego Pola, który był geografem, ale tekstu tego nie znam. Można go pewnie znaleźć w paryskiej Bibliotece Polskiej na 6, Quai d’Orléans, Paris 4-ème. Mogę tam o to zapytać.

Gdzieś w maju–czerwcu wybieram się do Frankfurtu a. M. i będąc tak blisko od Pana przyjechałbym do Dortmundu, żeby porozmawiać bliżej o Pańskich projektach, bo wszystkiego nie można omówić listownie. Dodam tylko, że Pański projekt uważam za świetny i warty najstaranniejszego wykonania.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu, kochany Panie Janku, szczerze oddany
Jerzy Stempowski.

* a dla mnie bardzo ciekawe

¹ Tj. Stanisława Vincenza, autora *Na wysokiej połoninie*.

15.V.[19]62

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
Bern

Drogi, kochany Panie Janku,

Serdecznie dziękuję za list i odbitkę. Pańskie wspomnienia z Holandii czytałem już przedtem, bo abonuję „Suczansnist” od początku jej istnienia i nawet ją czytam. Bardzo się z tego artykułu ucieszyłem. Nie wiem, czy Panu mówiłem, że od 10 lat mieszkam tu z parą przyjaciół, małżeństwem szwajcarsko-holenderskim. Pani domu jest Holenderką, w której zachował się geniusz artystyczny tego kraju, bo jest doskonałą pianistką a jednocześnie przygotowuje wystawę, swoich obrazów i rysunków. Przetłumaczyłem jej Pański artykuł, który też uznała za bardzo ciekawy. Przyjrzałem się, fotografii z muzeum etno-

graficznego, z której widzę, że moja sympatia panna Irena bardzo urosła i jest prawie tego samego wzrostu co jej matka.

Vincenz zrobił się w ostatnich latach bardzo stary i prócz tego wiele podróżuje. Przysłała mi co kilka miesięcy kartkę, zawsze z innego kraju. Trudno się, z nim teraz skomunikować. Znałem kiedyś starego profesora, który mówił mi, że z powodu wieku nie może już odpowiadać na listy, ale niektóre czyta. Nie wiem, czy i Vincenz trzyma się tej zasady, ale widocznie to należy do wieku, bo i na moim stole leży z 50 listów, na które od miesiący nie odpowiadam.

Bardzo dobrze wybrał Pan czas na wakacje, bo od połowy lipca do połowy września nigdzie już nie można znaleźć miejsca, i wszystkie letniska wyglądają jak dworce kolejowe w godzinach największego tłoku. Tak trudno odpocząć. W czerwcu jest bardzo przyjemnie we Włoszech. W wielu miejscach obudowano tam domki umeblowane z kuchnią, które można wynająć na miesiąc i żyć w nich jak u siebie za niewielkie pieniądze. Bardzo chwalił mi Jesolo-Lido koło Wenecji, nową stacją klimatyczną, gdzie zbudowano kilkaset takich domków. Bodaj że dokonało tego jakieś towarzystwo holenderskie, bo jeździ tam wielu Holendrów. Tak zagospodarowane miejscowości są teraz i w Grecji, ale to daleka podróż, gdy do Wenecji jest teraz od Pana niedaleko. Tu na dworcu widuję, pociąg Dortmund–Milano, którym raz nawet jechałem do Włoch. Z Jesolo pewnie chodzą co godzinę autobusy do Wenecji. Dla Pańskich córek takie wakacje byłyby niezapomnianym wrażeniem. Niech Pan zapyta w biurze turystycznym, które to Panu może załatwić, a w każdym razie pokazać prospekt z kosztorysem takiego pobytu. Na ogół pobyt we Włoszech nie jest droższy od pobytu w Niemczech, tylko Rzym jest bardzo drogi. Zresztą nie chcę Pana do niczego namawiać. Być może taka podróż z wielkim natłokiem nowych wrażeń nie jest odpoczynkiem i trzeba po niej z kolei odpoczywać.

Teraz chciałbym napisać o moich planach na najbliższe miesiące. Dostałem od studentckiego stowarzyszenia w Frankfurtu — Deutsch-polnischer Arbeitskreis — zaproszenia do wygłoszenia odczytu na temat stosunków emigrantów polskich do swego komunistycznego państwa. Odczyt ten miałby się odbyć w poniedziałek 18 czerwca. Myślę przyjechać do Frankfurtu już 15-go, a po odczycie wyjechać na jakieś dwa tygodnie do Holandii, gdzie ostatni raz byłem w 1923. W tej podróży będzie mi być może towarzyszyła pani Tzaut. Wszystkie te plany są na razie tymczasowe, bo frankfurckie stowarzyszenie nie odpowiedziało mi jeszcze na mój ostatni list. Kiedy tylko dostanę, odpowiedź, projekty staną się, konkretne i zaraz o nich Panu doniosę.

Bardzo się cieszę z Pańskiego projektu przyjazdu do Szwajcarii. Góry tutejsze dają niezliczone możliwości wycieczek. Koło Berna są góry różnej wysokości i natury. Moje ulubione góry są bardzo blisko. Jest to Stockhornkette nie przekraczająca 2.200 m., bardzo znana w XVIII w., dziś natomiast nieuczęszczana, bo niższe góry nie są w modzie u alpinistów. Stockhornkette jest bardzo podobna do naszych Karpatów, ma tylko więcej skał i przepaści. Od strony berneńskiej jest na niej bardzo wygodne schronisko, skąd, już na wysokości 1660, można robić jednodniowe wycieczki różnej długości i natury. Zawiódłbym tam Pana i wprowadził. Nie wiem, czy towarzyszyłbym Panu w dłuższych wycieczkach, bo bardzo wyszedłem z formy i ostatnio reumatyzm przeszkadza mi w chodzeniu. Już w pierwszych dniach czerwca góry te są zazwyczaj wolne od śniegu. Niedaleko od Berna jest jednak także główny łańcuch Alp Berneńskich, z Jungfrau, Eigerem i innymi sławnymi szczytami. Tam sezon alpinistyczny zaczyna się w lipcu, i na szczytach robi się wielki tłok. Gdyby Pan chciał je zobaczyć, jest tam wiele kolejek zębatych i linowych, wspinających się na znaczną wysokość. W moich projektach leży od lat przejście między Alpami Berneńskimi i Valezańskimi przez Ravilpass, gdzie raz już byłem przed wielu laty. Jest to jedna z najdzikszych i najmniej uczęszczanych partii gór, przemarsz jest długi — na moje obecne zdolności liczyć

trzeba 2–3 dni — i wysokość przełęczy wynosi 2.500 m. Przypuszczam, że Ravilpass jest wolny od śniegu dopiero w połowie lipca. Schodzi się zeń w dolinę Rodanu — Rhodanus flumen, jak go nazywa Juliusz Cezar — i z góry ma się dobry widok na całe pasmo Mont-Blanc. Gdyby Ravilpass był wolny od śniegu, moglibyśmy spróbować tego przyjscia. Wszyscy alpiniści w nim błądzą i wpadają w okropne przygody, ale najtrudniejszą jego część dobrze pamiętam i potrafię znaleźć drogę. Jest to miejsce nawiedzane przez trzęsienia ziemi, które pozasypywały drogi znajdujące się na mapach, ale my w Karpatach nauczyliśmy się obchodzić bez dobrych map. Stockhornkette i Ravilpass nie wymagają ekwipunku technicznego ani nawet podkutych butów.

Trzeba tylko, żeby nasze itineraria były zgodne w czasie. Terminem wiążącym mnie jest tylko odczyt w Frankfurcie, inne są bardziej elastyczne.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu, kochany Panie Janku, szczerze oddany
J.S.

17.

22.V.[19]62

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
Bern

Drogi, kochany Panie Janku,

Dziękuję, za list i wycinek o Pańskim odczycie, który zwracam. Może będzie Panu na coś potrzebny. Muzyka ludowa interesowała mnie bardzo. Ilekroć spotykałem się z Sygietyńskim Tadeuszem, który był największym znawcą tego przedmiotu, rozmawialiśmy całymi wieczorami, przeglądając jedną melodię za drugą. On pierwszy nauczył mnie odróżniać w niej różne nawarstwienia. Są więc motywy prastare, z głębi wieków, towarzyszące różnym czynnościom i obrzędom. Niektóre np. śpiewa się pasąc konie, inne wychodząc na robotę z końmi, inne pasąc owce itd. Tych motywów jest niewiele. Pieśni na dwa i więcej głosów pochodzą z XVII–XVIII w. Ponieważ liturgia bizantyńska jest cała śpiewana, każda cerkiew miała od początku swój chór, śpiewający rano w cerkwi a wieczorem w karczmie, na weselach, chrzcinach itd. Na polskim skrawku Wołynia były chóry mające za sobą 7–8 wieków nieprzerwanej działalności. Niektóre miały nuty z XVII w., których bez znajomości paleografii nie można było obcemu odczytać. Dla tych przyczyn pieśni ukraińskie mają charakter szkolony. Pierwotnie pieśni śpiewane w cerkwiach napisane były na 10-tonową gamę bizantyńską, której ślady słyhać w pieśniach i melodiach huculskich. W XVII w. przyszła muzyka włoska z włoską gamą 12-tonową. Nie wiem, jaką drogą to się odbyło, pewnie przez Polskę, ale tam, gdzie jest tyle wyszkolonych chórów, wystarczy pewnie przywieźć nuty, aby nowa muzyka się przyjęła. Trzeba też brać pod uwagę, że muzyka, barokowa poza Włochami była w XVII w. przeważnie muzyką wokalną, *a cappella*, była więc jak najlepiej przystosowana do ukraińskich chórów cerkiewnych. Potem włoska muzyka barokowa została na Zachodzie wyparta przez niemiecką *Schriftmusik* i muzyki starszej od Bacha do niedawna na Zachodzie wcale nie znano; utworów *a cappella* nikt nie umiał śpiewać. Tradycje włoskiej muzyki barokowej zachowały się tylko na Ukrainie. Tylko tamtejsze chóry mogłyby w stosowny sposób śpiewać utwory *a cappella* Heinricha Schütza, które na Zachodzie wykonywane są raz na 30 lat. Musiałem odbywać podróże, aby je posłyszeć. Shakespeare mówi często o muzyce, ale ze słów jego od razu widać, że ma na myśli coś innego od Bacha czy Haydna. Aluzje jego odnoszą się do muzyki barokowej, jaką znamy dziś, zresztą bardzo pobieżnie, z Monteverdiego i Schütza, i która właściwie jest nam nierównie bliższa

od późniejszej *Schriftmusik*. W muzyce, jak w ogóle w sztuce ludowej, pełno jest wspomnień Baroku, nieraz wielkiej sztuki barokowej. Osobliwością chórów ukraińskich było ich wysokie wykształcenie. Kiedyś byłem w Poczajowie i na drodze spotkałem dwóch dziadów i dwie baby śpiewających na cztery głosy. Szedłem za nimi przez cały prawie dzień i uszedłem ze 20 km, nie mogąc się od nich oderwać. Gdyby chóry operowe na Zachodzie umiały tak śpiewać, chodziłbym co wieczór do opery. Kiedy chór Koszyca¹ w 1921 wyjechał z Polski na Zachód, najlepszy chór paryskiej Scholi Cantorum brał od Koszyca przez dłuższy czas lekcje, i w kilka lat później słyszałem w Paryżu koncert, na którym chór Scholi Cantorum śpiewał przez cały wieczór pieśni ukraińskie, jakich nauczył się od chóru Koszyca. Był to wówczas najlepszy chór Zachodu, ale nie dorastał do zespołu, który Koszyc zebrał na Wołyniu po 1920. Dopiero w ostatnich latach pojawiło się, w Paryżu kilka zespołów wokalnych tej klasy, z których najciekawszy jest Ensemble Marcel Couraud, śpiewający utwory barokowe w sposób przypominający chóry ukraińskie. W tej wielkiej perspektywie muzyka ludowa ukraińska, rumuńska i rosyjska odsłaniają swój głębszy sens.

Bardzo dziękuję, Panu, kochany Panie Janku, za propozycje, zainteresowania moim odczytem socjaldemokratów dortmundzkich. Trzeba jednak naprzód zobaczyć, co wyjdzie z mego odczytu we Frankfurcie, jak się potoczy dyskusja i co interesuje w tym temacie słuchaczy niemieckich.

Co się tyczy Sacher-Masocha, panią Martę wprowadziło zapewne też w błąd tak zwane wydanie berneńskie dzieł jej ojca. W rzeczywistości było to wydanie fikcyjne, drukowane w Dreźnie i noszące tylko na pierwszej stronie słowo Bern, być może z powodu różnych nieporozumień, jakie autor miał z cenzurą w Niemczech. Wiedząc o fikcyjności tego wydania, myślałem, że zostawiło przynajmniej jakiś ślad w Bernie, ale szukałem go tu na próżno w bibliotekach. Zacząłem więc szukać go w starych czytelniach, z których pożyczałem książki Lenin w latach swej emigracji. W jednej czytelni znalazłem istotnie *Das Vermächtnis Kains* — *opus magnum* Sacher-Masocha — ale figurowało tam w spisie książek, których od 50 lat nikt nie żądał. Leżało w osobnym składzie i dopiero po kilku dniach mi to znaleziono. Wypożyczenie tej książki kosztowało mnie 25 franków. Myślę, że za tę cenę można ją także kupić. W Niemczech istnieje znów, o ile wiem, biuletyn antykwarzy, w którym można dać ogłoszenie, że się poszukuje książek Sacher-Masocha. Na ogłoszenie takie przysyłają oferty z ceną. Najtrudniejszą do znalezienia książką jego jest powieść *Die Helden unserer Zeit*, będąca satyrą na Berlin i Prusaków po Sadowie². Nawet we Wiedniu, gdzie na pozór powinny się znajdować, dzieła Sacher-Masocha są bardzo rzadkie i nikogo nie interesują od 1900. Najwięcej ich, jakkolwiek nie wszystkie, znajduje się w bibliotece Opery wiedeńskiej, wcielonej ostatnio do wiedeńskiej Nationalbibliothek, ale i tam nawet satyry na Prusaków nie znalazłem. Książka ta była przyczyną różnych nieszczęść autora i zapewne powodem wykreślenia jego nazwiska ze wszystkich historii literatury niemieckiej. Fakt ten daje pojęcie o tym, ile są wari profesorowie historii literatury i ich podręczniki. Nazwisko S.-M. i tytuły głównych jego dzieł znaleźć można tylko w encyklopedii Brockhause. Później, po śmierci autora przedrukowywano tylko dwie jego książki: *Venus im Pelz*, powieść wchodząca w skład *Dziedzictwa Kaina* i z której wyszło słowo „mazo-chizm”, oraz *Don Juan aus Kolumbea*. Tę ostatnią książkę znajdzie Pan najłatwiej u antykwariuszy, bo została przedrukowana w małej bibliotece Reclama w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy. Jest to mała książeczka, która nowa kosztowała 80 Pf. Sacher-Masocha odkryłem na mój użytek w 1936 i zamierzałem wydać wybór jego dzieł po polsku i po niemiecku z moim studium o autorze. Jeżeli tego dotąd nie wykonałem nawet częściowo, przyczyną tego była niedostępność jego książek.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu, kochany Panie Janku, szczerze oddany
J.S.

¹ Ołeksander Koszyc (1875–1944), dyrygent, kompozytor i etnograf ukraiński; dyrygent znakomych chórów i orkiestr kijowskich. W latach 1919–1924 odbył światowe *tournée* z założonym przez siebie chórem ukraińskim. W roku 1926 osiadł w Nowym Jorku.

² W bitwie pod Sadową w roku 1866 wojska pruskie pokonały armię austriacką. Zwycięstwo to potwierdziło hegemonię Prus wśród państw niemieckich i otworzyło drogę do zjednoczenia Niemiec pod egidą Prus.

18.

13.IX.[19]62

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
Bern

Kochany Panie Janku,

Bardzo dziękuję za list z Dortmundu i cieszę się, że znalazł Pan trochę książek Sacher-Masocha. Przy tej lekturze proszę brać pod uwagę, że S.-M. pisał dla pieniędzy i ogłosił koło 400 tomów powieści i nowel na różne tematy. Pewnego rodzaju skandaliczność pomaga bardzo w zbyciu książek, i w tym zapewne leży prawdziwe źródło tak zwanego masochizmu. I dziś jest w literaturze tak samo, tylko że doza skandaliczności i pornografii musi być znacznie większa, aby zwrócić uwagę czytających. Takie książki jak *Lolita* Nabokowa są szczytowym osiągnięciem w tej dziedzinie, i w porównaniu z nimi Sacher-Masoch jest lekturą dla młodych panienek.

Najważniejszym dziełem S.-M. jest *Das Vermächtnis Kains*, zbiór dłuższych opowiadań w 3 lub 4 tomach. Akcja tych opowiadań toczy się w znacznej części w Galicji Wschodniej. Tam też znajduje się arcydzieło masochizmu p.t. *Venus im Pelz*, z którego widać, że cały ten masochizm jest wymyślony, literacki, zresztą świetnie opisany. To opowiadanie sprawiło, że cały zbiór był wielokrotnie przedrukowywany.

Książka, która najwięcej przyczyniła się do zapomnienia S.-M. i wykreślenia go z historii literatury niemieckiej, jest innej natury. Jest to wielotomowa powieść p.t. *Die Helden unserer Zeit* i jest rodzajem satyry na berlińską societę z czasów Bismarcka, i tego profesorowie hist[oriii] literatury dotąd autorowi nie przebaczyli, mimo że Bismarcka i nawet Prus już dawno nie ma.

S.-M. był przez pewien czas docentem historii w Grazu, i produktem ubocznym jego historycyzmu są niezliczone powieści historyczne, częściowo odnoszące się do historii Rosji, bo S.-M. znał rosyjski i mógł czerpać materiały z pierwszej ręki. Tych powieści historycznych w ogóle lepiej nie czytać, bo napisane są wyraźnie za pieniądze lub raczej dla pieniędzy. Tylko powieści i nowele galicyjskie są coś warte, bo S.-M. czuł się w jakiś sposób przywiązany do kraju urodzenia i wciąż doń w myśli powracał. W jego ogromnej produkcji, obok rzeczy doskonale napisanych i przemyślanych, jest wiele śmiecia, pisanego prędko dla zarobku. Nie trzeba się więc zrażać łatwiznami i tanimi produktami pióra, ale szukać tekstów lepszych.

W liście książek, jaką Pan przytacza, większości tytułów nie znam zupełnie, nie widzę natomiast opowiadań, które wydały mi się najlepsze. Pamiętam np. opowiadanie dłuższe p.t. *Hadaschka*, którego akcja toczy się w okolicy Nadwórnej.

Jeżeli chodzi o *Don Juana z Kołomyi*, uważam go za jedno z lepszych opowiadań. Jego romantyczny styl jest dziś zupełnie niemodny, ale ma już urok antyku, bo od pół wieku nikt już w ten sposób nie pisze. W opowiadaniu jest wiele ciekawych szczegółów.

Karczma, w której rozgrywa się pierwsza scena, jest koło pierwszej stacji na drodze z Kołomyi do Słobody. W naszych czasach już tam takiej karczmy nie było, ale pozostały jej jakieś szczątki. Czy Pan je pamięta? Innym zabawnym szczegółem jest fantastyczny filozof, który pisał aforyzmy na kartkach i rzucał je za siebie. Taki człowiek istniał rzeczywiście i pochodził z ormiańskiej, zapewne kuckiej rodziny Romaszkanów. Ostatni potomek Romaszkanów był w 1940 na Węgrzech i chciałem go wypytać o tego osobliwego przodka, ale uchodźcy z Polski byli strasznie rozproszeni po całych Węgrzech, i szukałem go na próżno. Starszy Vincenz zna trochę jego historię.

Niech Pan nie daje się zbić z tropu tym, co piszą o S.-M. niemieccy krytycy, profesowie i historycy literatury, bo żaden z nich nic z S.-M. nie zrozumiał. Oni to właśnie go zaprzepaścili. Niemcy nie rozumieli nigdy autonomicznej wartości literatury, sądzili ją zawsze z punktu widzenia użyteczności politycznej, wychowawczej. Nie znali się na żartach. Pisarz, który w razie mobilizacji powszechnej mógłby ewentualnie być innego zdania lub, co nie daj Bóg, zdezerterować, nie był tolerowany. Literatura nie dająca się ustawić *in Reih und Glied*¹ była odrzucana. Dlatego nawet *Lucinda* Fr. Schlegla jest po dziś dzień jak gdyby na indeksie, Heinego wydają tylko u Ulbrichta itd. Można z góry przyjąć, że wszystko, co *die Professoren* piszą o S.-M., jest głupstwem, i trzeba starać się przemyśleć rzecz samemu. To np., co Pan cytuje z życiorysu S.-M. o jego powodzeniu u Francuzów, jest wierutnym głupstwem i nie odpowiada rzeczywistości. Po francusku ukazało się koło 20 tomów powieści i opowiadań S.-M. w doskonałym tłumaczeniu i świetnym wyborze, same tylko opowiadania z Galicji Wschodniej, żadnych powieści historycznych i żadnych prawie masochizmów prócz jednej *Venus im Pelz*, która jest pewnego rodzaju arcydziełem analizy. Francuzi poznali się na S.-M. w tym samym stopniu, w jakim niemieccy profesorowie nic z niego nie rozumieli. Jeżeli S.-M. został ośmieszony i zapomniany we Francji, było to dziełem bardzo osobliwej i perfidnej intrygi niemiecko-żydowskiej, o której kiedyś Panu opowiem.

Jeżeli chodzi o ucrainica językowe S.M. trzeba brać pod uwagę, że w jego czasach prawdziwy język ukraiński istniał w Galicji głównie w formie dialektalnej, i że znajomi S.M. mówili „jazyczjem”, jak dziś na Rusi Zakarpackiej. S.M. wahał się nawet, czy pisać po niemiecku, czy po rosyjsku, czyli jazyczjem. Gdyby był wybrał tę drugą drogę, mielibyśmy zdumiewający swą lekkomyślnością tekst literacki w języku stworzonym tylko do kazań i urzędowych przemówień. *Das Vermächtis Kains* poprzedza obszerny wstęp, gdzie S.M. mówi o sobie. Z tego wstępu można się o nim samym najwięcej dowiedzieć.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu, kochany Panie Janku, szczerze oddany J.S.

Rączki Pańskiej Małżonki całuję, i obie panienki, pannę Renatę i Pannę Irenkę pozdrawiam najserdeczniej.

P.S. W ostatnim Numerze „Kultury” znajduje się obszerny dziennik mojej podróży do Holandii². Czy przysłać go Panu?

¹ *in Reih und Glied* (niem.) — w szeregu.

² [J. Stempowski] P. Hostowiec, *Notatnik nieśpiesznego przechodnia*, Kultura 1962 nr 9 s. 25–48.

Padowa, 14.X.[19]65

Kochany Panie Janku,

Dziękuję za list, który dopiero teraz otrzymałem. Bardzo się cieszę z wszystkiego, co Pan pisze o swoim małżeństwie i o swej żonie. Dobra żona jest największym skarbem, ważniejszym od milionów i honorów.

Piszę do Pana z drogi, żeby mój list znalazł Pana jeszcze przed odjazdem do Paryża. Bardzo się Panu ta podróż dobrze kalkuluje, bo Paryż jest najdroższym miastem Europy, i 200 DM starcza tam w najlepszym razie na dwa dni.

Bardzo jestem ciekawy wrażień, jakie Pan i żona wyniosą z tej podróży. Na pierwszy rzut oka Paryż jest najsmutniejszym miastem na świecie. Z jego murów bije coś przygnębiającego. Jest to być może pamięć wieków pewnych wielkich poczynań, wielkich wypadków, z których na dłuższą metę nic nie wyszło i został tylko wielki katzenjammer, *Weltschmerz*. Za pierwszym pobycem po miesiącu dopiero zacząłem się z tego uczucia otrząsać. Wraca ono do mnie znów za każdym nowym pobycem. Rozległość, wielkość tego *Weltschmerzu* jest być może tym, co Paryż ma dziś najlepszego do ofiarowania.

Kiedyś Paryż był stolicą nowej sztuki, centralnym laboratorium myśli, ale te czasy — które pamiętam z młodości — minęły. Dzisiejszy Paryż jest miejscem jałowym, w którym nic się ważnego nie dzieje. Dlatego radziłbym Państwu oglądać miasto jak wszyscy turyści, zobaczyć Notre-Dame, Wieżę Eiffla, Louvre (ogromna galeria obrazów starych, na których obejrzenie trzeba kilku dni), Musée d'Art Moderne (obrazy XX wieku, szkoły francuskiej), Place Vendôme z posągami Napoleona na kolumnie, Place de l'Etoile z Łukiem Triumfalnym, widocznym z daleka. Wszystkie te rzeczy figurują pewnie w programie wycieczki, prócz może Musée d'Art Moderne. Jeżeli Państwo będą mieli trochę czasu wolnego od zwiedzania, najlepiej byłoby przejść się trochę po mniej hałaśliwych ulicach, na przykład po Wyspie św. Ludwika (l'île Saint-Louis) lub po Rue de Rivoli (Arkady). Wyspa jest stara, rue de Rivoli oddaje czasy Napoleona, można więc rzucić okiem na dwa aspekty historyczne miasta.

Najlepiej zacząć od kupienia planu miasta *Par arrondissements* z osobnym planem każdej z 20 dzielnic, z planem métro i spisem ulic. Kto raz był w Paryżu, wraca tam później, i z planem miasta nie zgubi się w nim.

Mam nadzieję, że kiedyś przyjadą Państwo tam, kiedy i ja będę w Paryżu, i że będę im mógł służyć za przewodnika.

Teatry bardzo podupadły w Paryżu i mogę tylko przed nimi przestrzec. Gdyby Państwo chcieli jednak coś w teatrze zobaczyć, radziłbym pójść do Théâtre de la Huchette, na rue Huchette, przecznica Boulevard Saint-Michel, koło samej Sekwany. Grane tam od 12 lat bez przerwy dwie sztuki Ionesco, zabawne i [...] nie wymagające większej znajomości francuskiego.

Proszę się pilnować samochodów, które jeżdżą tam prędzej niż gdzie indziej, i przechodzić ulice przy semaforach, bez pośpiechu i niecierpliwości.

Najserdeczniejsze życzenia dobrej podróży i szczęśliwego powrotu przesyła Panu, kochany Panie Janku, i rączki Pańskiej małżonki całuje szczerze oddany
J.S.

P.S. Wracam właśnie z Jugosławii, o której przy okazji opowiem. Bardzo ciekawy kraj.

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
3000 Bern

Drogi, kochany Panie Janku,

Dziękuję najserdeczniej za dwa listy. Bardzo się cieszę, że wydał pan córkę dobrze za mąż. Wysłałem jej telegram z gratulacjami, ale — bez Pańskiej pomocy — nie odgadłaby pewnie od kogo go otrzymała. Nazwisko jej męża jest mi w jakiś sposób znane z młodości. Był jakiś uczony tego nazwiska, ale nie mogę go sobie dokładniej przypomnieć.

Jak się miewa moja sympatia Irenka? Ile teraz ma lat? Czy rozwinęła się trochę? Czy mówi więcej niż wówczas, kiedy ją poznałem?

Nie udało mi się do Pana przyjechać, ale nie porzucam tej myśli. Jest mi trochę trudno jeździć, bo na skutek zaburzeń mózgowych trapiących mnie od trzech blisko lat postarzałem bardzo. Tak się przynajmniej czuję. Jestem jak Churchill, który zasypiał na posiedzeniach rady koronnej. Niedawno widziałam naszego dawnego gazdę Stanisława Vincenza. On też bardzo się postarzał i prawie wcale nie chodzi. Pani Rena¹ wozi go wózkiem jak inwalidę. Pamięć ma zawsze świetną, ale też zasypia na radzie koronnej. Ostatnio zaczął otrzymywać listy ze Słobody². Po ćwierci wieku milczenia tamtejsi znajomi piszą doń wzruszające listy i zapraszają do odwiedzin. Vincenz pytał mnie nawet, czy nie pojechałbym z nim na kilka tygodni do Słobody, mnie jednak te zaproszenia wydają się trochę podejrzane. Przesłano mu także fotografie, z których widać, że strojów huculskich więcej nie ma, i że chodzą tam obdarci jak bolszewicy. Huculszczyzna istnieje więc już tylko w naszej pamięci. Lasy są wyrąbane — o tym pisano w prasie sowieckiej — strojów nie ma, budynki częściowo rozebrane. Okazuje się, że ludzie są najtrwalszym materiałem. Upadają imperia, miasta walą się w gruzy, a ludzie wypełniają z ruin żywi, z plecami osypanymi tynkiem, jak pluskwy.

Bardzo dziwne były losy weneckich malarzy settecenta. Znany był z nich tylko Antonio Canale. Francesco Guardi, największy być może z nich artysta, był tak mało ceniony, że muzea nie kupowały go, i do 1922 można było jego obrazy kupić tanio na wolnym rynku. Stąd takie kolekcje jego obrazów w muzeach biednych, jak Varosliget w Budapeszcie, posiadające 22 obrazy Guardiiego, z czego kilka zaliczanych do najpiękniejszych. W 1936, kiedy w Paryżu zebrano obrazy z muzeów włoskich, Guardiiego musiano wypożyczyć od Gulbenkiana. Inny świetny malarz Pietro Longhi uchodził za ilustratora i przechowywany był w Museo Correr, poświęconym historii Wenecji. Dziś największa jego kolekcja znajduje się w Wenecji w Palazzo Pésaro, zmienionym na muzeum. Bernardo Bellotto pozostawał nieznanym historykom sztuki aż do 1948, czy nawet 1955. W Wenecji nie ma ani jednego płótna Bellotta. Najpiękniejsze były w Warszawie. Mam o tych ostatnich książkę bardzo pięknie ilustrowaną. Zwłaszcza szczegóły dają o życiu XVIII wieku lepsze pojęcie od wszystkich książek. W wiedeńskim Kunstmuseum jest kilka obrazów wcześniejszych niż warszawskie, i nie dorównujących im. Nie znam tylko jego obrazów z Ermitażu i z Moskwy.

Jeżeli Pan ma krewną pracującą na Lido di Jesolo, przypuszczać można, że będzie Pan z żoną nieraz w Wenecji. Od połowy lipca do połowy września Wenecja jest zbyt obciążona turystami, trzeba tam jechać wiosną, w początku lata lub jesienią. Wenecja ma bardzo piękne muzea — Accademia, Museo Correr na piazza San Marco, Pésaro itd. — ale na mój gust najpiękniejszą rzeczą są wędrowki po t.z. Venezia Minore, po mniejszych uliczkach miasta.

Wiedeń widziałem po wojnie w 1957 czy 1959, podczas festiwalu młodzieży³. Miasto mało zniszczone było w czasie wojny, a te ślady zostały zatarte. Widać wprawdzie, że

niektóre domy nie są z epoki, ale to nie razi. Wiedeńczycy zachowali dawną lekkomyślność. Mogłem się o tym przekonać odwiedzając wesołe miasteczko Grinzing, gdzie we wszystkich domach piją heurigera i śpiewają na cały głos. Na każdym szynku w Grinzingu wisi nad drzwiami korona Bachusa, jak w dawnym Rzymie. Jest to zapewne wspomnienie z czasów Marka Aureliusza, który rezydował przez długie lata w Vindobonie. Miasto ciekawe, ale oderwane od swej habsburskiej przeszłości, bardziej prowincjonalne dziś od Paryża, gdzie zresztą najlepiej widać zdeklasowanie Europy.

Kochany Panie Janku, życzę Panu wesołych wakacji, przyjemnych dni we Wiedniu i Wenecji. Proszę się nie zniechęcać moim milczeniem, bo często o Panu myślę. Będę bardzo rad, jeżeli się pan do mnie odezwie. Najserdeczniejsze wyrazy przyjaźni łączy i rączki Pani Gerdy całują. Szczerze oddany
J.S.

Poprawka: W Wenecji nie mówi się palazzo, ale Ca, zatem Ca'Pésaro.

¹ Irena Vincenz (1901–1991), żona Stanisława Vincenza, autorka dziennika o pisarzu (drukowany w kwartalniku „Regiony”, w 2003 ukaże się nakładem Fundacji Pogranicze w Sejnach); przygotowała do druku obydwie powojenne wydania *Na wysokiej połoninie* (londyńskie — Oficyna Poetów i Malarzy — i warszawskie — PAX).

² M.in. od Olhy Duczyminskiej, pisarki ukraińskiej zaprzyjaźnionej z Ireną i Stanisławem Vincenzami od lat 20. Część korespondencji opublikował Andrzej Vincenz pt. *Gałązka z dalekich połonin*, Znak 1985 nr 6 s. 102–115.

³ Zob. dziennik tej podróży: *Notatnik nieśpiesznego przechodnia*, Kultura 1960 nr 1–2 s. 15–33. Przedruk: *Od Berdyczowa do Rzymu*. Paryż 1971; *Od Berdyczowa do Lafitu*. Wołowiec 2000.

21.

23.II.[19]67

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17

Kochany Panie Janku,

Najserdeczniej dziękuję za list. Bardzo się cieszę, że książka Kota¹ się Panu podobała. Proszę jej nie zwracać. To jest prezent od „Kultury” dla starego abonenta, jakim Pan jest. Słusznie się Panu ta książeczka należy. W jej ocenie ma Pan rację. Ugoda hadziacka była prawdziwą musztardą po obiedzie. Trzeba było ją robić przed Chmielnickim. Potem już nikt w ugodę nie wierzył. To jest zapewne główna przyczyna jej niechlujnej redakcji. Nie wiem natomiast, czy ma Pan rację sądząc, że Niemirycz² był skompromitowany swoją kolaboracją ze Szwedami. Połowa szlachty była tak samo skompromitowana. W tamtych czasach wyznania były płynne, ludzie zmieniali je wciąż, powstawały coraz nowe grupy wyznaniowe, i nikt się temu nie dziwił. Tak samo wierność królowi, pojęcie średniowieczne, była traktowana mniej rygorystycznie. W końcu XVII wieku, po tylu wojnach religijnych i zatargach wewnętrznych, przestano cokolwiek brać na serio. Młody lord Antony Shaftesbury wystąpił nawet przeciw angażowaniu się uczuciowemu w sprawy religijne i polityczne, radząc sceptycyzm i uczucia letnie we wszystkich dziedzinach, jako bardziej odpowiadające ludziom wykształconym. Z jego teorii, która miała ogromny rozgłos w pierwszych latach XVIII wieku, wyrósł duch Oświecenia. Przebłyśki tej sceptycznej lekkomyślności widoczne były już w drugiej połowie wieku XVII, i bez tego ogólnego tła trudno byłoby sobie wiele ówczesnych zjawisk wytłumaczyć. Antycypację Oświecenia dostrzec można np. u Stanisława

Herakliusza Lubomirskiego w jego *Rozmowach Artaxesa i Ewandra*, które miały kilkanaście wydań.

Korzystam z tej okazji, aby zwrócić Panu fotografię pani Renaty. Bardzo piękne zdjęcie. Dziękuję najserdeczniej za jego łaskawe przysłanie. Pani Renata ślicznie wygląda. Pamiętam ją jako malutką dziewczynkę z włosami zaczesanymi na czoło. Już wówczas było widać, że wyrośnie na osobę pełną woli i energii. Gratuluję Panu takiej córki. Nic Pan nie pisze o Irenie, mojej sympatii. Dla osób tego typu lata dwudzieste są krytyczne. Jak panna Irena te lata przeszła? Czy mieszka razem z Panem na Korei?

Chciałbym bardzo wybrać się jeszcze do Pana, ale podróżowanie przychodzi mi coraz trudniej, i w ciągu najbliższego lata będę miał z tym wiele kłopotu. Ma mianowicie do mnie przyjechać moja bratowa, wdowa po zmarłym bracie Hubercie³, który zostawił 10-letniego syna. Losy tego bardzo uzdolnionego chłopca są dla mnie źródłem troski, i chciałbym go raz przynajmniej zobaczyć.

Najserdeczniejsze wyrazy przyjaźni przesyła Panu, kochany Panie Janku, i Pani Gerdzie szczerze oddany
J.S.

¹ Stanisław Kot, *Jerzy Niemirydz. W 300-lecie ugody hadziackiej*. Paryż 1960.

² Jerzy Niemirydz (1612–1659), podkomorzy kijowski, twórca ugody hadziackiej (1658), na mocy której miało powstać Wielkie Księstwo Ruskie, połączone unią z Polską. Ugodę zniweczył atak wojsk moskiewskich na Ukrainę i powstanie kozackie; Niemirydz i jego zwolennicy zostali wymordowani.

³ Zuzanna Stempowska, żona Huberta Stempowskiego (1897–1962), młodszego brata pisarza. Stempowski wspierał bratową finansowo. Jej przyjazd do Berna nie doszedł do skutku. Wkrótce wyjechała z synem Hubertem do Argentyny. Hubert Stempowski mieszka obecnie w Republice Południowej Afryki.

22.

27.XI.[19]68

Drogi, kochany Panie Janku,

Bardzo byłem wzruszony Pańską zbyt krótką wizytą i dziękuję Panu za nią najserdeczniej. Nie zdążyliśmy opowiedzieć sobie nawet setnej części tego, co mnie zwłaszcza leżało na sercu. Mam nadzieję, że rozmowa nasza została tylko odłożona do wiosny, kiedy i ja wrócę jeszcze do podróżowania. Brak mi go teraz bardzo, ale muszę, czekać cieplejszej pory.

Pani Dieneke, w której ma Pan teraz szczerą przyjaciółkę, mówiła mi, że nie abonuje Pan więcej „Kultury”, bo stała się dla Pana zbyt droga. Tym bardziej oceniam sto złotych, które tak lekkomyślnie zostawił Pan mnie, nie licząc się nawet z własnymi wydatkami w podróży. „Kulturę” będzie Pan odtąd otrzymywał ode mnie, być może tylko trochę nieregularnie. Mam już przygotowanych do przesyłki kilka ostatnich numerów. Brak mi tylko Pańskiego nowego adresu. Proszę mi go przysłać j a k n a j p r ę d z e j, żeby „Kultura” nie gromadziła się u mnie ponad miarę, zwłaszcza w okresie przedświątecznym.

Nie jestem pewien, czy dawny adres wystarczy dla tego listu, kończę go więc tu i całuję Pana, kochany Panie Janku, z całego serca, szczerze oddany
J.S.

G. Stempowski
Kalcheggweg 15
3000 Berne

Drogi, kochany Panie Janku,

Trudno mi powiedzieć nawet, ile przyjemności zrobiła mi Pańska wizyta. Nie mogę odżałować, że była tak krótka, i że nie mieliśmy czasu na pomówienie o wielu rzeczach nas obu interesujących. Tymczasem nadszedł Pański list, na który śpieszę odpowiedzieć, aby rozproszyć Pańskie obawy o mnie. Widział mnie Pan w niedobrej formie, ale od tego dnia już się, zdążyłem poprawić. Tak samo moja sytuacja materialna jest zupełnie zadawalniająca. Wciąż jeszcze zarabiam na życie, chodzę do teatru i na wernisaże. Zresztą w moim wieku wydaje się coraz mniej pieniędzy. Dawniej np. wydawałem wiele na podróże, dziś podróżuję niewiele. Gdybym wygrał na loterii 100 000 franków, nie wiedziałbym, co z nimi zrobić. Na siebie wydać bym ich nie potrafił i musiałbym odstąpić je Giedroyciowi lub Panu, który znalazłby na nie lepszy użytek. Jeżeli przyjąłem bez protestu sto złotych od Pana, muszę się z tego wytłumaczyć. Pieniądze te nie były mi potrzebne, ale wzruszyły mnie bardzo jako dowód przyjaźni, na jaki z moich znajomych nikt się dotąd nie zdobył. Chowam je dotąd w portfelu, który noszę na sercu, jako cenną pamiątkę.

Żałuję bardzo, że nie był Pan u nas na obiedzie lub kolacji, aby przekonać się, jak my się tu odżywiamy. Pani Dieneke gotuje sama w stylu holenderskim, z którym żadna z tutejszych restauracji nie może rywalizować. Po każdym kryzysie przybywa mi szybko na wadze. Muszę nawet uważać, aby to nie szło zbyt prędko i nie obciążało zbyt mocno serca. Jeżeli Pan jeszcze kiedyś się tu wybierze, zostanie Pan przez kilka dni i zobaczy Pan, że na starość znalazłem tu najlepsze warunki i niczego innego nie umiałbym sobie życzyć. Dokuczają mi tylko zaburzenie mózgowie, ale na to nie ma lekarstwa. Niech więc Pan wypędzi od siebie wszelką troskę o mnie.

Wiele numerów „Kultury” mam w dwóch egzemplarzach i jeden z nich będę Panu posyłał. Wypożyczone z biblioteki czytają się nie tak dobrze jak własne. Na pierwszy ogień posyłam jednocześnie z tym listem numer wrześniowy z osobliwym utworem Czesława Miłosza *Liturgia Efraima*. Utwór ten przypomni mi moją własną młodość i formację umysłową. Dzięki przypadkowi w 15-tym roku życia zacząłem czytać autorów z III–VI wieku, pogan i chrześcijan: Juliana Apostatę, Ammiana Marcellina, Claudiana, Augustyna, Orosiusa, Tertulliana, Commodiana z Gazy, Paulina z Pelli i in. Efraima Syryjczyka pamiętam mniej, ale widziałem go wówczas też w *Patrologia Orientalis*. Już wówczas, w 1908, czasy te wydały mi się bardzo podobne do tych, które zdawały się, nadchodzić z XX wiekiem. Lektury te skazywały mnie na samotność, bo nigdy nie widziałem profesora filologii klasycznej, który by — poza Augustynem — czytał któregokolwiek z tych autorów. Nie miałem więc z kim rozmawiać o przedmiocie moich zainteresowań. Ta sama samotność otaczała mnie na uniwersytecie. Wielu miało mnie za głupiego. Dla tych przyczyn wzięłem się do równoległego studiowania medycyny, która dała mi żywy kontakt z młodzieżą moich czasów. Nie wiem zupełnie jak Miłosz trafił do Efraima, którego dość dobrze naśladowuje. Przypuszczam, że niewielu tylko czytelników „Kultury” zrozumie ten utwór Miłosza. Co Pan o nim powie? Jeżeli wyda się Panu nudny i obcy, proszę nie zmuszać się do czytania i nie ukrywać swego zdania. Następne numery „Kultury” będę wysyłał co kilka dni.

Zastanawiam się, skąd w Dortmundzie wzięła się nazwa Oetzalstr. Oetzal jest zamkniętą doliną Tyrolu, gdzie podczas I-ej wojny zamykano honoratorów wyjeżdżających za granicę na 2 miesiące, żeby nie wywozili sekretów. Wielu się wówczas z tą doliną zapoznało.

Przesyłam Panu, kochany Panie Janku, najserdeczniejsze życzenia, Pani Gerdy rączki całuje, o Irene myślę, zawsze z najwyższą sympatią, szczerze oddany
J.S.

LISTY DO PANI HANKI

Anna MIESZKOWSKA (Warszawa)

Adresatką kilku publikowanych niżej listów była znana piosenkarka Hanka Ordonówna. Naprawdę nazywała się Maria Anna Pietruszyńska, zamężna Tyszkiewiczowa. Prawdziwa data jej urodzenia nie jest znana. Przedwojenne wydanie leksykonu *Czy wiesz kto to jest?*, które pod redakcją Stanisława Łozy ukazało się w 1938 r., podaje datę 11 sierpnia 1904. W jedynym ocalałym dokumencie (paszport konsularny, wydany w Teheranie w 1942), wpisano — 23 września 1905. Nekrologi, które w prasie krajowej i emigracyjnej zamieściła rodzina jej męża, informują o roku rodzenia 1902 (25 IX). Różne encyklopedie i słowniki powojenne też niczego nie wyjaśniają. Najprawdopodobniej artystka urodziła się w roku 1900. Bo najwcześniejsze wzmianki o jej występach pochodzą już z roku 1916. A miała właśnie 16 lat, gdy jako uczennica warszawskiej szkoły baletowej występowała w przedstawieniach Teatru Wielkiego. Konrad Tom wspominał, że debiutowali razem, jesienią 1915 r. w Teatryku Miraż, ona tańczyła, on prowadził konferansjerkę.

Jej kariera przedwojenna jest dobrze znana i pamiętana. Początek jej kariery to teatryki rewiowe Lwowa i Warszawy. Dzięki ogromnej pracy i pomocy wielu życzliwych jej talentowi ludzi (Jerzy Boczkowski, Fryderyk Járosy, Juliusz Osterwa), zdobyła uznanie publiczności i krytyków. Jako piosenkarka i jako aktorka. W latach 1918–1939 występowała w następujących teatrach: Sfinks, Czarny Kot, Miraż, Wesoły Ul, Qui Pro Quo, Banda, Cyrulik Warszawski, i Teatr Dramatyczny im. Juliusza Słowackiego w Krakowie.

Okoliczności jej aresztowania przez Niemców i wyjazdu z okupowanej Warszawy, przez wiele lat były okryte rodzinno-towarzyską tajemnicą. Znam wiele wersji tych wydarzeń opowiadanych przez artystów, którzy przeżyli wojnę w Warszawie. Mniej znane są wspomnienia tych, którzy byli z nią w Wilnie. Najbardziej wiarygodne jest świadectwo męża.

2 kwietnia 1961 r., w monachijskim studiu Radia Wolna Europa, Henryk Rozpędowski przygotował audycję poświęconą Hance Ordonównie. Brał w niej udział także Michał Tyszkiewicz, w latach 1952–1972 pracownik Sekcji Polskiej RWE.

Oto zapis dokumentalny tej audycji:

Michał Tyszkiewicz: 1 listopada 1939 roku, gdy Hanka zaprotestowała przeciw wyświetlaniu hitlerowskiego filmu o zajęciu Warszawy, aresztowało ją gestapo. Wyszła na wolność w lutym czterdziestego roku, po wielu staraniach z mojej strony, jako obywatela litewskiego. Do jej uwolnienia wykorzystane zostały znajomości mojego kuzyna, Stefana Tyszkiewicza i jego żony, spowi-

nowaconej z królem Wiktorem Emanuelem — włoskim. Poprzez tegoż wstawienie się u Hitlera, została Ordonka zwolniona z Pawiaka i zezwolono jej wyjechać przez Prusy Wschodnie na neutralną wówczas Litwę. Zamieszkała w Wilnie, gdzie była jej ciotka ze strony matki, i gdzie ja też czasowo przebywałem.

Pierwszy jej występ w Wilnie, w sali Teatru na Pohulance stał się manifestacją narodową. Wilno, będące wówczas pod okupacją litewską, cieszyło się jeszcze w porównaniu z resztą Polski, stosunkową wolnością. Wielu wybitnych literatów, dziennikarzy i artystów, wśród rzeszy wielotysięcznej uchodźców z terenów okupowanych przez Niemców czy Sowiety, nadawało spokojnemu kiedyś miastu przyspieszony rytm stolicy. Ordonówna występowała tam w Teatrze Dramatycznym, dawała koncerty i recitale. W jej programie, obok starych, popularnych piosenek były też nowe o akcentach patriotycznych: kujawiaki, melodie góralskie, *Lajkonik*, *Pieśni Warszawy*. Widownia na jej występach zawsze była pełna. A brawa długie, niemilknące. Tak było do wkroczenia Armii Czerwonej do Wilna. Z powodu mojego politycznego zaangażowania, zajmowałem się opieką nad obywatelami polskimi na Litwie z ramienia Rządu RP na obczyźnie, zostałem aresztowany i przewieziony na Łubiankę w Moskwie. Wówczas władze sowieckie zwróciły się do Ordonówny z propozycją koncertów w Moskwie. Hanka, pomimo szantażu NKWD, z początku odmawiała, ale w końcu wyraziła zgodę, przede wszystkim ze względu na nadzieję interwencji w mojej sprawie.

Po kilku koncertach w Rosji, wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Hanka próbowała wrócić do Wilna, ale została aresztowana. Wywieziono ją pod Kujbyszew nad Wołgą, do sowchozu — tuczarni świń.

Henryk Rozpędowski: Wiemy, że Ordonówna spotkała potem zespół polskich artystów. Wydo stała się z sowchozu i koncertowała w różnych miejscach Rosji. Gościmy w naszym studiu pana Adolfa Bożyńskiego, artystę, który przed wojną występował z Ordonówną, a w czasie wojny przez jakiś czas przebywał w Rosji. Panie Adolffie, czy zechciałby pan opowiedzieć, jak przyjmowała polską artystkę publiczność sowiecka?

Adolf Bożyński: Publiczność moskiewska entuzjazmowała się występami Ordonówny tak samo, jak publiczność warszawska. Ówczesny sowiecki komisarz do spraw kultury, powiedział w rozmowie ze mną, że jej występy to objawienie, że czegoś podobnego Moskwa jeszcze nie widziała i nie słyszała. Ordonówna zdumiała wszystkich, zarówno znakomitym wykonaniem swych piosenek jak i nieporównywalną interpretacją wierszy polskich klasyków, jednoosobowych skeczy, małych scenek rodzajowych, błyskawiczną charakteryzacją, całkowitym panowaniem nad nastrojami sali, narzucaniem widzom nastroju — wszystko to wprowadzało mieszkańców Moskwy w osłupienie. Tak, sztuka Ordonówny to artyzm wyrafinowany. Ale uczucia i namiętności są wspólne wszystkim ludziom. W czasie jej artystycznej włóczęgi kołchoźnicy, półanalfabeci, oklaskiwali ją tak samo gorąco jak krytycy w *Qui Pro Quo*.

H.R.: Potem Ordonówna zgłasza się do polskiej armii organizowanej w Rosji pod dowództwem generała Andersa. Rozpoczyna się epopeja, którą artystka wspomina jako jedno z największych jej przeżyć: transport dzieci polskich (głównie sierot wojennych) ciężarówkami z Aszchabadu do Bombaju wzdłuż granicy Afganistanu. W Indiach przyjaciele prowadzą ją do lekarza. Odnowiła się gruźlica. Przeżycia ostatnich lat zmogły jej organizm. Przez jakiś czas przebywała w sanatorium pod Bombajem, potem wyjechała do Teheranu. Pokonuje ogromną podróż: sześć tysięcy kilometrów, częściowo wskroś pustyni, wojskowym jeepem. Z Persji, również samochodem, przyjeżdża do Palestyny. Mimo złego stanu zdrowia, koncertuje dla polskich oddziałów wojskowych. Daje ponad pięćdziesiąt koncertów, z czego część w warunkach polowych. Było to pięćdziesiąt wieczorów walki organizmu osłabionego chorobą z wolą pełnienia swej artystycznej misji, do końca, do granic możliwości.

PIOSENKA: *Wróć, tak bez ciebie mi źle...* [Skrzyżować w wyciszeniu z: *Bo gdy harmonia walca gra.*]

H.R.: Piosenki te nagrała Hanka Ordonówna na dwa lata przed śmiercią. Brak jej tchu, głos często się łamie i tylko niekiedy brzmi jak dawniej wspaniałe, niepowtarzalne tony.

Te piosenki — to dokument dramatycznych zapasów wielkiej artystki z nieubłaganym przeznaczeniem. Ostatnie lata spędziła Hanka Ordonówna w Libanie pod opieką lekarzy i męża, który był wtedy pracownikiem Poselstwa Polskiego w Bejrucie.

M.T.: Mieszkaliśmy w Brumanii, pod Bejrutem. Była właściwie skazana na stałe leżenie w łóżku. Ale jej temperament twórczy, jej pasja życia, optymizm — nie gasły. Wprost przeciwnie, w tym czasie pod pseudonimem Weroniki Hort, napisała i wydała książkę *Tułacze dzieci*. Przygotowywała do druku drugą książkę — *Zamki na lodzie* i zbierała materiały do powieści autobiograficznej. Pisała wiersze, nowele, impresje i artykuły.

Przeżywała silnie boje pod Monte Cassino. Płakała, że nie może być na froncie, koncertować, śpiewać dla żołnierzy. Wtedy przyszło jej na myśl, że nie ma piosenek żołnierskich. Wkrótce, w 1945 roku, ukazał się w druku zbiorek jej *Piosenek żołnierskich*.

H.R.: W naszych archiwach mamy nagranie pieśni żołnierskiej, której kompozytorem i autorem jest Hanka Ordonówna. Wielka pieśniarka śpiewa swą optymistyczną pieśń gasnącym już głosem.

PIOSENKA: [z wyciszenia] — *Nie zmyłk nas rozstajne drogi...*

H.R.: Jednym z najbardziej interesujących przejawów jej wszechstronnego talentu — jest malarstwo. Objawiło się nieoczekiwanie, u kresu życia. Jak obudziło się w niej zainteresowanie malarstwem?

M.T.: Chora lubiła wpatrywać się w szczyby i pęknięcia na betonowej podłodze pokoju. Tworzyła w jej wyobraźni cały świat kształtów. Kiedyś wzięła do ręki węgiel, usiadła na podłodze i zaczęła je obrysowywać. Powstawały bryły, formy, obrazy. Z początku traktowała to jako rozrywkę. A potem malarstwo porwało ją zupełnie. Malowała wbrew zakazom lekarza, całymi godzinami, dniami.

H.R.: Oglądałem obrazy, fotografie, reprodukcje. Obrazy są złe, gdy Ordonówna stara się naśladować „prawdziwe malarstwo”. Kiedy są odbiciem przeżyć wyrażonych w autentyczny, jej własny sposób, są znakomite, świadczą o zdumiewających, malarskich wizjach. Tematyka obszerna: *We-sele łowickie, Dzieci uchodźcze, Posiłek w Rosji, Maria Magdalena, Portret Matki, Beduinka, Psy, Pejzaż morski*. Płótno, o wymiarach z górą dwa na trzy metry — *Winobranie libańskie*, wystawiono w Bejrucie w gmachu, w którym odbywały się obrady UNESCO.

Zbliżała się jesień czterdziestego dziewiątego roku. Jesień w przyrodzie i zmierzch jej życia. Dysponujemy uszkodzonym wprawdzie, ale cennym dokumentem: nagraniem głosu gasnącej gwiazdy.

PIOSENKA: *Jak mi uciec od tęsknoty*. [Ostatnie nagranie. Śpiew bez towarzyszącego instrumentu.]

H.R.: Ostatnią melodię, którą starała się zanucić, znali niegdyś wszyscy wielbiciele jej talentu.

PIOSENKA: *Dźwięk melodii zapomnianej*. [Ordonówna przerywa piosenkę, mówi:] Dość! [Kasze.]

H.R.: Powiedziała „dość” i przerwała śpiew.

Zmarła 8 września 1950 roku.

Hanka Ordonówna — uosobienie optymizmu, radości życia, twórczej pasji wielkiej pracowitości — jest wzorem dla młodych polskich artystów. Jej piosenki będą brzmiały zawsze.

PIOSENKI: *Jak mi uciec od tęsknoty, Pokochaj mnie gorącej, Sunny boy, Kochany*.

SPIKER: Słyszeli państwo audycję w opracowaniu Stanisława Julickiego, pod tytułem „Hanka Ordonówna — gwiazda niezapomniana”.

Mówi Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa, w programie świątecznym.

W grudniu 1941 Hanka Ordonówna dotarła do Buzułuku. W obozach zbornych powstającej Armii Polskiej na Wschodzie znalazło się bardzo wielu aktorów i artystów przedwojennych kabaretów. Powstały aż dwie Czołówki Rewiowe, którymi kierowali: Feliks Konarski i Kazimierz Krukowski. Jednak z niewyjaśnionych do dzisiaj powodów, Hanka Ordonówna, do żadnego z tych zespołów nie wstąpiła. Powodów mogło być wiele. Między innymi zawiść i zazdrość, poczucie zagrożenia mniej znanych artystek, które sprowokowały zainteresowanie się władz wojskowych przyczynami, dla których Ordonka nie odmówiła występów w Moskwie. Pieśniarka ujęła się honorem. Po kilku dniach opuściła Buzułuk i udała się do Aszchabadu, gdzie jej mąż zajmował się organizacją pomocy dla polskich sierot, których rodzice zginęli na Syberii, w rosyjskich więzieniach, lub znaleźli się w polskim wojsku. Ten fragment jej biografii też jest dość dobrze znany. Jako

opiekunka grupy około setki dzieci w różnym wieku, i w różnym stanie zdrowia przebyła ogromną drogę aż do Indii.

Od 1943 była w Palestynie. Przez kilka miesięcy oboje z Michałem Tyszkiewiczem byli oficjalnie zatrudnieni przez Czerwony Krzyż. Czuła się jeszcze dobrze. Dała dla wojska pięćdziesiąt koncertów. I to był wysiłek ponad jej możliwości. Odnowiła się gruźlica. Konieczna była operacja, potem pobyty w sanatoriach. Od 1944 mieszkała z mężem w Libanie. Dobra opieka, rezygnacja z wysiłku artystycznego poprawiły jej stan zdrowia. Ale czuła się bardzo samotna. Pisała listy do wielu osób z kraju i przyjaciół, którzy pozostali na emigracji. Do Polski wysyłała paczki z kawą, pieprzem, herbatą, pończochami i butami dla dawnych koleżanek. Najserdeczniejsze kontakty utrzymywała z aktorami, którzy byli z nią w Wilnie, a po wyzwoleniu udało im się powrócić do Polski. Interesowała się powojennym życiem teatralnym w kraju. Pytała o kolegów, z którymi łączyły ją artystyczne lub prywatne przyjaźnie sprzed wojny. Te jej listy zapewne gdzieś są. W prywatnych domach. W jej zbiorach ocalały (nie wszystkie, niestety!) listy i kartki pisane przez m.in. aktora Łukasza Łukaszewicza, który w Wilnie opiekował się jej mieszkaniem przy ulicy Kasztanowej 2, a repatriując się do Polski zabrał jej dwa psy Dżerę i Reka. Miał też w Polsce przez pewien czas duży zbiór jej piosenek i notatek, który później zaginął. Pisali też do niej inni aktorzy: Danuta Wyrwicz, Tadeusz Białkowski, Stanisława Koszutska, Niuta i Waclaw Zdanowiczowie, Bronisława Janikowska (legendarna Isia z prapremiery *Wesela* Wyspiańskiego).

Do zniszczenia części korespondencji i obszernych fragmentów (całe strony wycięte są nożyczkami!) niesystematycznie prowadzonego dziennika, przyznał się sam Michał Tyszkiewicz. Dlaczego nie zniszczył wszystkiego? Jakim cudem ocalały bezcenne listy Fryderyka Járosy'ego, najbardziej interesujące — Ireny Brzezińskiej, Zbigniewa Bliczewicza, Elżbiety Osterwianki, i przykry dowód fałszywej przyjaźni aktorskiego małżeństwa Ochrymowiczów?

Z przekazów pośrednich wiadomo, że Ordonka nawiązała korespondencję z przebywającym w Londynie Marianem Hemarem, którego prosiła o nowe wiersze i piosenki. Wiem, że jej odpisał. Ale ani w archiwum Hemara nie odnalazłam listów Ordonki, ani w zbiorach pieśniarki nie ocalał ślad ich korespondencji.

Osobnego komentarza wymagają listy (które celowo pomijam w tej publikacji) Władysława i Teodozji Ochrymowiczów, z którymi Ordonka знаła się sprzed wojny. Była ich gościem w Nowym Jorku w 1938 r.

Jest tych listów dwadzieścia. Ale w całości nie są interesujące. Rozplotkowane, chaotyczne w treści, złośliwie opisujące losy dawnych kolegów, którzy w wyniku zawieruchy wojennej znaleźli się w Stanach Zjednoczonych: Jadwigi Smosarskiej, Marii Modzelewskiej, Władysława Dana Daniłowskiego, Henryka Warsa, Stanisława Sielańskiego i innych.

Są złym świadectwem nadawców, którzy pisali m.in., że „za dużo jest gwiazd na niebie i na emigracyjnej scenie...”.

Ale zawierają wiele cennych przyczynków do biografii Hanki Ordonówny. Ochrymowiczom w Stanach Zjednoczonych udało się osiągnąć sukces. Bardziej finansowy niż artystyczny. Mieli w Nowym Jorku własny godzinny program radiowy*, do którego zapraszali przebywających w tym mieście kolegów. Nadawali dużo polskiej muzyki. Także

* To była spółka Franciszka Zachary i Władysława Ochrymowicza: Trans-Phono Recording Co. Professional and Personal STUDIO RECORDINGS, 260 East 161st Street (Studio 312) New York, N.Y. Tel. Melrose 5-6554. Podaję pełną nazwę i adres firmy, która działała ponad dwadzieścia lat i wydała kilkaset płyt.

przedwojennej. Odnalezione dawne polskie płyty Hanki Ordonówny były częstym urozmaiceniem radiowego programu. Cieszyły się uznaniem słuchaczy, którzy dopytywali się o powojenne losy artystki. Ochrymowiczowie mieli nawet pomysł ściągnięcia Hanki Ordonówny i Michała Tyszkiewicza do Stanów. Ale przestraszyli się informacji o jej najgorszym stanie zdrowia. Chora Ordonka nie mogłaby przecież występować. Szybko więc wycofali się (w mało elegancki sposób!) z tej propozycji. Mieli inny pomysł. Aby artystka na własny koszt nagrała w miejscowym studiu kilka piosenek ze skromnym akompaniamentem i wysłała nagrane „woski” do Stanów. Tak się stało. Ordonka poniosła koszty wynajęcia studia, opłacenia akompaniatora. Wysiłek okazał się tragiczny dla jej zdrowia. W dniu nagrania była ubrana w granatowy kostium, na głowie miała kapelusz z dużym rondem. Białe rękawiczki, czarne pantofle i torebka — też czarna — uzupełniały strój. Niewątpliwie podniecenie dodało jej sił. Niestety na krótko. W studiu, na prośbę akompaniatora śpiewała do mikrofonu siedząc. Ale nie oszczędzała głosu. Mimo osłabienia zaśpiewała z brawurą, radośnie. Dała z siebie maksimum wysiłku dla uzyskania możliwie dobrej jakości nagrania. Po nagraniu zasłała. Gdy „woski” dotarły do Ochrymowiczów, oni nagle przestali być zainteresowani wydaniem tej płyty. Pisali, że zmienił się gust słuchaczy, którzy wolą melodie taneczne (polki!), a ona sama jest już przebrzmiałą legendą. Jednym słowem poinformowali śmiertelnie chorą Ordonkę, że płyty nie wydadzą. Minął jednak rok i Ordonka dostała wiadomość z Brazylii, że są w sprzedaży jej płyty i cieszą się ogromnym powodzeniem wśród Polonii. Był to dla niej szok. Ochrymowiczowie ją po prostu oszukali. Płyty zostały wydane w dość dużym nakładzie (10 tysięcy!) i były rozprowadzane wszędzie tam gdzie mieszkali Polacy. Dotarły nawet do Polski.

Bardzo chora artystka nie dostała nie tylko żadnego honorarium, ani zwrotu poniesionych kosztów, ale nie dostała nawet jednego egzemplarza tej płyty! Był to dla niej ogromny wstrząs psychiczny. Cała sprawa wydała się w styczniu 1950 r. i przyspieszyła powrót choroby, która czała się w ukryciu. 8 września 1950 Hanka Ordonówna zmarła. Została pochowana na miejscowym cmentarzyku, skąd w 1990 r., na skutek interwencji Jerzego Waldorffa, została ekshumowana i pochowana w Alei Zasłużonych na warszawskich Powązkach.

W opublikowanym wspomnieniu, w wychodzącym w Londynie, „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” 20 września 1950 r. Konrad Tom pisał:

Sztuka aktorska jest palcem po wodzie pisana, aktora, którego traci się z oczu — traci się i z serca. Już w ostatnich latach fascynująca sylwetka Ordonki zatarła się w wyobraźni ogółu. Nieliczni tylko przyjaciele interesowali się jeszcze gasnącą gwiazdą, wiedzieli, że w Libanie walczy z nieubłaganą chorobą. Wokoło postaci Ordonki, jednej z najpopularniejszych aktorek, wytworzyła się jaskrawa i chaotyczna legenda. Ale prawdziwa Ordonka była o wiele ciekawsza od anegdotek i legend. Niespożyta siła witalna Hanki wywracała wszystkie przeszkody na drodze do kariery. Zapalem czy też „zawzięciem się” mogła pokonać najtrudniejsze zadanie, opanować na poczekaniu każdy tekst, ułożyć każdy taniec. Był to fenomen mnemotechniki i szybkiej orientacji. Miała z natury nieskazitelną dykcję, giętkość głosu, poczucie rytmu, plastyki ciała. Nikt jej nie uczył teatru, dopiero znacznie później tamten czy ów reżyser doszlifowywał ten wspaniały diament.

Intuicja prowadziła ją nieomylnie, a skupiona siła wewnętrzna dawała przedziwną sugestywność jej interpretacji. Błahe w gruncie rzeczy piosenki nabierały blasku i głębi, docierały do wyobraźni słuchacza i pozostawały w niej długo. *Mała rzeczka Manzanares*, *Ballada o szaleństwach Mac Donalda*, *Kniaginiuszka*, *Uliczka w Barcelonie*, czy sto innych piosenek utrwaliło się w pamięci tłumów, nie dzięki autorowi, kompozytorowi, ale dlatego, że w mówiła je w nas Ordonka. Fantazja nieraz dodawała jej skrzydeł na scenie i była natchnieniem dla autorów. Choroba mogła zwyciężyć ciało, lecz nie mogła sparaliżować fantazji.

W mojej osobistej pamięci Ordonka pozostanie pewnie taka, jaką zastałem ją w Palestynie w 1943 roku: żalostną garsteczką popiołu, w której niesamowitym blaskiem zarzyły się jeszcze iskierki zapalu. Chciałbym bardzo, żeby w pamięci ogółu pozostała jak najdłuższą świetną, promienistą gwiazdą, Ordonką ze starej budy Qui Pro Quo.

Składałem tę skromną wiązanek wspomnień na jej tułaczkiej mogile z bolesnym przeświadczeniem, że odeszła na zawsze nieprzeciętna jednostka, dobra Koleżanka i zasłużony członek naszej teatralnej społeczności.

Jesienią 1995 r. byłem w Waszyngtonie u Tadeusza Wittlina. Pisałem wówczas obszerny szkic do biografii Fryderyka Járosy'ego. Byłem zainteresowana wyjaśnieniem wielu wątpliwości w jego bogatym życiu artystycznym, ale i prywatnym. Na prośbę autora książki *Hanka Ordonówna. Pieśniarka Warszawy i jej świat* zabrałam do Polski ocalałą część archiwum legendarnej pieśniarki. Wybrane do publikacji listy są najciekawsze z całego zbioru. Brakuje w nim m.in. korespondencji z Konstantym Ildefonsem Gałczyńskim, która została przekazana córce poety, pani Kirze Gałczyńskiej. Oraz listów (ilu?) Mariana Hemara, które były „widziane” w Londynie przez Edwarda Dziewońskiego. Może kiedyś ktoś je odnajdzie. Na pewno były interesujące.

LISTY OD IRENY BRZEZIŃSKIEJ*

1.

M.P.[Recanati] 28.3.[19]46

Ppor. Irena Brzezińska
Polish Forces C.M.F.
Teatr Dram[atyczny] 2 Korp[usu]

Najdroższa Haneczko Moja!

Co za radość z Twego listu! Hip, hip, hurra!!

Jesteś, żyjesz i masz humor — to najważniejsze. W Warszawie czytałam o Tobie w „Biuletynie Polski Podziemnej”, że opiekujesz się polskimi dziećmi, gdzieś w Indiach. Tak Ci wówczas zazdrościłam, bo ja siedziałam w kraju i byłam szczuta przez tych przeklętych Niemców-gestapowców. Ale jakoś Bóg dał, że wyszłam z tego cało, bo postrzelili mnie tylko w kolano, ale z życiem udało mi się z tego piekła wyjść. Straciłam swoich Najbliższych, między innymi brata, którego Niemcy zastrzelili jak psa w egzekucji publicznej — i ja na to patrzyłam — możesz sobie wyobrazić co się wówczas ze mną działo. Ale co Ci będę pisać o tych koszmarach. Wszyscy w tej wojnie przeszli ciężkie i trudne chwile.

Droga Moja! Ja z Wilna wyszłam, a właściwie wyjechałam do Warszawy, po wejściu Niemców do Wilna, a więc we wrześniu 1941. Ciotki Twojej nie widziałam, ale wiem od Władka, który się opiekował Twoimi psami, że Ciotka Twoja jest i dobrze się czuje. Co później było, tego niestety nie wiem, bo z Wilnem zerwałam kontakt zupełnie dla wielu powodów. Między innymi dlatego, że weszłam w dużą konspiracyjną robotę podziemną

i lepiej było, abym o pobycie w Wilnie nie mówiła. Gdyż jak wiesz Gestapo zaraz by się mną zainteresowało.

Dużo zresztą koleżanek i kolegów z wileńskiego teatru też wróciło do Warszawy. Ale dużo też zginęło lub umarło. Między innymi Lusja Aleksandrowicz (Kielanowska) zginęła w Oświęcimiu. Zosia Tatarska też zginęła bardzo tragiczną śmiercią, Nina Świerczewska umarła po porodzie, na zakażenie. Ale jakoś te śmierci nie robiły wrażenia — bo wiesz, dziecińko, że życie nasze, Polaków, podczas okupacji było bardzo tanie i nieważne. Ginęło przecież tylu wartościowych ludzi codziennie, mordowanych w więzieniach i obozach koncentracyjnych. Nie ma domu, ani rodziny w Polsce, aby kogoś nie ubyło, aby kogoś nie zamordowali. Miałam nie pisać o tych koszmarach i naturalnie poniosło mnie, tak jak zawsze ile razy o tym mówię.

Hanuś Kochana! Martwi mnie Twoja choroba, ale to chyba nie jest tak poważne, abys nie mogła w niedługim czasie wrócić na scenę! Ażebyś wiedziała, jak jesteś potrzebna, i jaki czuje się brak Ciebie, gdy patrzy się na dzisiejsze tzw. „rewie”! Nie dalej jak wczoraj byłam w Ankonie na *Cyruliku Warszawskim* z Járósym, który tu przyjechał z terenów niemieckich.

No, mój Boże! Poza nim i Zosią Terné nikogo tam nie ma, i pomyślałam sobie — Boże, dajcie tutaj Hankę Ordonównę, która jest nie do zastąpienia.

Tak, Haneczko! Musisz, musisz wrócić na scenę! Wierzę w to, że zobaczę Cię jeszcze w którejś z Twoich niezapomnianych kreacji piosenkarskich, albo w *Johnym*...

Mój Boże! Jak bym chciała pracować, w tym samym teatrze co Ty, i móc się od Ciebie uczyć. Jak patrzę na to dzisiejsze pokolenie aktorskie — to najmłodsze — to mówię Ci, płakać mi się chce! Jaki ci ludzie mają do sztuki stosunek, Boże!

Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa, że przygotowywali mnie, i uczyli, tacy ludzie jak: Stanisława Wysocka, Stanisław Stanisławski, Aleksander Zelwerowicz, Stefan Jaracz, i inni...

To przecież byli (niestety byli, bo poza Zelwerem, wszyscy wymienieni już nie żyją!) ludzie z prawdziwego teatru i mieli uczciwy i rzetelny stosunek do sztuki. Mam wrażenie, że to jest jakaś niesprawiedliwość, że właśnie tacy ludzie odchodzą i nigdy już się ich nie zobaczy...

Dziecińko złota, piszesz mi, że chcesz wiedzieć, co robię? Na szczęście dużo pracuję, bo od momentu mego przyjazdu na teren 2 Korpusu, jak zaczęłam grać, to bez przerwy (a to już 10 miesięcy) nie mam wolnej sztuki — z czego się ciszę, bo w przeciwnym wypadku można byłoby oszaleć. Pewnie, że to nie są najlepsze warunki pracy, ale i te są dobre dla kogoś kto chce pracować. W tej chwili jestem w próbach sztuki *Szkarłatne róże*, nie wiem, czy znasz?

Współczesna komedia, włoskiego pisarza Aldo de Benedettiego. Naturalnie, nic nadzwyczajnego, ale przyjemny dialog, który trzeba umieć mówić bardzo prosto, co jest bardzo trudne. Poprzednie sztuki, w których grałam to: *Mirandolina* i *Śluby panięskie*.

W pierwszej grałam *Mirandolinę*, a w drugiej — Klarę. Podobno nieźle, ale ja nie byłam zadowolona. Kielanowski, który jest także tutaj, powiedział mi, że bardzo się aktorsko rozwinęłam. Nie wiem, może. Och! Jakbym chciała, abyś Ty mogła mnie zobaczyć i coś powiedzieć, dać kilka cennych swoich wskazówek. Mam okropną tremę przed premierą, która się zbliża szybkimi krokami (12 kwietnia) — pewnie do tego czasu nie dostaniesz jeszcze mego listu. Jeżeli zaś tak, to proszę Cię, Haneczko, trzymaj palce za mnie — dobrze? Śmiejesz się?! Kochana Moja! Mam do Ciebie prośbę, przyślij mi swoją fotografię, niestety mnie wszystkie fotografie i w ogóle całe mieszkanie spaliło się podczas powstania,

tak że zostałam tak jak stałam, to znaczy w spodniach i jakiejś bluzce — w ubraniu, w którym walczyłam podczas powstania, i w którym wzięto mnie do niewoli.

A więc żadnych pamiątek, żadnych fotografii — wszystko się spaliło. Będę bardzo szczęśliwa, jeżeli mi przyślesz swoją śliczną mordkę na zdjęciu, wszystko jedno jaką! A jeżeli będziesz chciała, to ja przyślę Ci swoją, z ostatniej sztuki — dobra?

Kochana, powiem Ci chyba już do widzenia, bo jesteś zmęczona tym moim chaotycznym listem i tą ilością bolesnych wspomnień.

Droga Moja, Mocno, mocno Cię całuję, i będę prosić Boga aby pozwolił Ci jak najszybciej wrócić do zdrowia i tym samym na scenę.

Najserdeczniejsze pozdrowienia dla Twego Męża. Dla którego mam tyle szacunku za postawę jaką miał podczas okupacji sowieckiej w Wilnie.

Całuję Cię mocno i tulę do serca.

Kochana, dziękuję Ci bardzo za gościnę, którą mi ofiarujesz w domu Państwa.

Niestety, teraz o urlopie nie ma co marzyć — może po wygraniu tej sztuki, zgodzą się dać mi urlop, to wtedy jeżeli będę miała możliwości, przyjadę.

Irena Brzezińska

* Irena Brzezińska (1911–1994), aktorka, absolwentka ostatniego rocznika warszawskiego PIST. Po roku 1946 działała w teatrze emigracyjnym w Londynie.

2.

CHECKENDON. 5.XI.[19]47.

Haneczko Najdroższa!

Zazdrość mnie pożera. Zbyszek [Blichewicz]*, który dostał dzisiaj list od Ciebie i Twoją wspaniałą fotografię. Mój Boże! Patrząc na Ciebie i zaraz tyle wspomnień się nasuwa — Wilno, teatr i nadzieja, że będzie inaczej, lepiej...

Kochana, wyglądasz wspaniale! Nie widzę żadnej różnicy, a raczej widzę, ale na lepsze, według mnie, teraz wyglądasz dużo lepiej, gdyż buzia jest wypoczęta, śmiejące się te Twoje piękne oczy, które tak b. lubię.

Wówczas, w Wilnie, byłaś mizerna, zmęczona i b. szczupła, ale wtedy byłaś po aresztowaniu i siedzeniu na Pawiaku, więc nic dziwnego, że tak a nie inaczej wyglądałaś.

Nie śmiem Cię prosić, ale, tak bym bardzo chciała mieć Twoją fotografię. Niestety te, które dostałam od Ciebie w Wilnie — spaliły się w Warszawie, wraz z całym mieszkaniem. Nawet nie mam żadnej „rzeczy”, która by mnie łączyła z życiem sprzed 39 roku.

Kochana, masz rację pisząc o smutnej i ciężkiej niedoli Polaków na emigracji. Nie miałam pojęcia, że to może być coś tak smutnego. Piszesz, że zazdrościsz nam tego, że gramy, nie powinnaś, gdyż z bliska to nie jest tak jak sobie wyobrażamy. Sztuka nasza na emigracji jest z góry skazana na zagładę, a to co teraz robimy, to zaledwie namiastka. Cieszę się bardzo, że myślisz o koncertach, och Boże, jakbym chciała Cię widzieć i słyszeć w Twoich niezapomnianych kreacjach, jak: *Johnny, Śmierć Mac Donalda, Serce Szopena* i tyle, tyle, różnych piosenek śpiewanych przez Ciebie.

Hanuś, więc rzeczywiście, że dziwna historia wyszła z naszymi listami. Gdyż wówczas, jeszcze we Włoszech, jak otrzymałam Twój list (natychmiast odpisałam), który mi zwrócono i teraz dowiaduję się, że z Twoim listem do mnie była analogiczna historia. Było mi przykro, gdyż bardzo chciałam być z Tobą w kontakcie. Haneczko, może to będzie trochę brzmiało dziwnie, ale wierz mi, że mówię to szczerze i z głębi serca. — Ja Ciebie uwielbiam!!

Nie wiem za co? Czy za Twój talent, czy za Twoje człowieczeństwo, czy za Twój urok. To nie ważne, fakt, że tak jest. Ile razy chociażby pomiędzy naszymi koleżankami w garderobie, stawiałam Ciebie za przykład. Kochana, na razie całuję Cię gorąco i tulę do serca. Lecę na próbę, po premierze napiszę obszerniej.

Irena Brzezińska

* Zbigniew Blichewicz (1912–1959), aktor i reżyser. Od 1956 pracował w RWE w Monachium.

LISTY OD ZBIGNIEWA BlicHEWICZA

1.

Recanati — 5. IV.[19]46.

Kochana Pani Haneczko!

Nie potrzebuję Pani opisywać chyba jaką radość sprawił mi Pani list. Boże kochany, ileż w czasie minęło, jakeśmy deptali deski polskiego teatru w Wilnie, ileż to rzeczy się przez ten czas przewaliło. Strasznie, strasznie Pani dziękuję.

Proszę mi wierzyć, że skorzystam z pierwszej okazji urlopowej, ażeby wpaść do Państwa.

O chorobie Pani słyszałem, mam jednak nadzieję, że wszystko będzie dobrze, tak jak w „12-ej Nocy”. Ja po upadku Powstania znalazłem się za drutami, potem trochę w I Dywizji, no a teraz — już pół roku w 2-gim Korpusie. Gram dużo: więc w *Mirandolinie* Goldoniego grałem kawalera Ripafratę, w *Ślubach panieńskich* Fredry, Gustawa, a teraz właśnie w *Wiele hałasu o nic* Shakespeare’a, Klaudia. Narzekać więc na brak zajęcia nie mogę. Żona moja jest w Niemczech w I Dywizji i wybiera się do mnie. Była razem ze mną w Powstaniu Warszawskim. Nie wiem, czy Pani wie, że jest tu u nas Leopold Kielanowski, od którego ma Pani serdeczne pozdrowienia. Strasznie chciałbym Panią, Siostrzyczko, zobaczyć i wszelkich starań dołożę, by możliwie nie za długo na tę przyjemność czekać. — Jak się czuję? Mówiąc szczerze trudno się dobrze czuć w obecnej sytuacji, w każdym razie postanowiłem nie poddać się pesymizmowi. To jest jedyne, co w tej chwili możemy. Miałem oczywiście chwile depresji i to nawet może trochę za mocnej, ale teraz już postanowiłem z tym skończyć. Jak do Państwa przyjadę to sobie obszernie o starych Polakach pogadamy.

Ale zanim to nastąpi mam nadzieję, że będziemy prowadzili częstą korespondencję. Życzę Pani, Haneczko, z całego serca prędkiego polepszenia i rączki całuję, dziękując raz jeszcze za pamięć.

Zbyszek Blichewicz

Dla Męża Pani serdeczne pozdrowienia.

* Żoną Blichewicza była Maria Sznukówna, też aktorka. Popelniła samobójstwo w 1958 r. w Monachium. On zginął w kilka miesięcy po niej. Ich tragiczna śmierć (spowodowana niemożnością odnalezienia się w warunkach emigracyjnego życia), w historii powojennego teatru polskiego, stała się symbolem smutnego losu artystów żyjących poza krajem.

2.

Mielfield 29.12.[19]46.

Kochana Pani Haneczko!

Ogromnie się cieszę, bo wnosząc z listu, czuje się Pani znacznie lepiej, skoro udaje się Pani w góry. Naprawdę, że bardzo się cieszę. Ja w Italii miałem gór pod dostatkiem, więc wiem, co to za radość i jaki odpoczynek myślom dają. A tego nam ogromnie wszystkim potrzeba. Pani list zastał mnie już w Anglii i gonił mnie dość długo, bo otrzymałem go dopiero teraz. Anglia po Italii — straszna rzecz. Do tego kraju nie mógłbym się nigdy przyzwyczaić, a mimo to zapisałem się do PKPR. — Co robić, taki już nasz los.

Pyta Pani jak się Shakespeare udał? Owszem, piękna wystawa, olbrzymie sceny włoskie, tylko nie wiem dlaczegośmy grali właśnie tę komedię, a nie na przykład *Wieczór trzech króli* albo *Poskromienie złośnicy*, gdyż *Wiele hałasu o nic* dla mnie jest jedną z najsłabszych komedii Shakespeare'a. No, ale przeszło. Teraz w Anglii wznawiamy *Śluby panieńskie*. Bardzo lubię tę sztukę i moją rolę (Gustaw). To jest prawdziwa perła w skarbcu naszych komedii.

Z kraju zawsze mamy względnie świeże wiadomości i wiemy prawie o każdym, co robi. Do Kielanowskiego pisał niedawno Martyka Stefan, namawiając nas lekko do kraju. Ale jakoś nie zdołał nas przekonać. Janek Ciecierski jest dyrektorem teatru, zdaje się we Wrocławiu. Schiller jest tam główny komunista i trzęsie wszystkim i tak każdy sobie rzepkę skrobie.

Żona moja jest na terenie Niemiec w I Dywizji Pancерnej i zjedzie tutaj, przypuszczam, nie wcześniej jak w marcu. Bardzo dziękuję za zaprosiny, i jak w Italii, tak i tutaj nie rezygnuję wcale z okazji „wpadnięcia” do państwa. Trochę zabawnie wygląda ten termin jeśli się zważy odległość między Bejrutem a Edynburgiem, prawda?

Niemniej jednak podtrzymuję to nadal, co powiedziałem. Nie wiem tylko jeszcze jak w tym PKPR będzie z urlopami, ale myślę, że jakoś to się przecież da wykręcić. Na razie jednak muszę do przyjazdu żony poczekać.

Kończąc zasylam najserdeczniejsze życzenia Noworoczne. Oby Bóg dał, żeby ta magiczna „7” coś nam lepszego przyniosła nareszcie.

Rączki Pani mocno całuję — Pozdrowienia dla Męża

Zbyszek Blichewicz

Podaję dla pewności adres mój:
Polish Forces, Mielfield — Camp
Alnwick — Northumberland

3.

Checkendon 20.9.[19]47.

Bardzo Droga Pani Haneczko!

Ucieszyłem się mocno, otrzymawszy list Pani, choć przyszedł z dużym opóźnieniem, bo już tu w Anglii zmieniłem kilka obozów, więc list gonił mnie po całym kraju. Grunt, że jest.

Otóż ja jeszcze na razie pracuję w teatrze. Mieliśmy nawet duży festiwal w Londynie, gdzieśmy wprowadzili w czyn dewizę „mierz siły na zamiary”. Na pierwszy ogień poszło widowisko złożone i zatytułowane „Droga Konrada”, na które się składał Mickiewicz, Wyspiański, Krasiński i Żeromski. Obu Konradów (*Dziady* i *Wyzwolenie*) przypadło

w udziale grać mnie, jak również *Sułkowskiego*, więc, że tak powiem, byłem „gwoździem” widowiska. Podobno artystyczny sukces (widowiska, nie mój!) duży. Potem szły *Śluby panieńskie*, gdzie robiłem swojego Gucia, potem *Skalmierzanki*, potem *Gdzie diabeł nie może* Niewiarowicza i znowu *Śluby*..

„Drogę Konrada” mamy powtarzać teraz na 11 listopada. Kielanowski jest w naszym teatrze i mówił, że pisał do pani. Irka Brzezińska również jest ze mną. Pisała do pani, ale list wrócił z dopiskiem, że Pani nie ma już na starym m.p., jak się mówi w języku wojskowym.

Martyka administruje w Warszawie u Szyfmana. Pisał do nas.

Żona moja już jest w Anglii. Umieściłem ją w Londynie i nawet zatrudniłem przy pomocy p. Marii Balcerkiewicz. Uroczą kobietą i ma pasję do pomagania innym. Jestem jej szczerze wdzięczny. Tyle mniej więcej o mnie.

A teraz o Pani. Z dziką rozkoszą przyjąłem wiadomość, że Pani ma się już dobrze. Naprawdę, że się bardzo, bardzo cieszę. Dobrze również, że Pani ma tam przyjemne otoczenie i to zarówno Polaków, jak i tubylców. Ja nawzajem o Anglikach tego powiedzieć nie mogę. Anglosasi nie należą do najprzyjemniejszych narodów. Otoczenia Pani zatem zazdroścę. A z naszych co przyjemniejsi ludzie wyjeżdżają albo do Kraju, albo gdzieś emigrują z tej „miłej” wysepki. Dziękuję serdecznie za zaproszenie, które powtarza Pani w każdym liście, ale na razie jest to zupełnie niemożliwe, a nie sądzę, by i w przyszłości coś się w tym sensie na lepsze zmieniło. Bardzo bym chciał, ale... Marzyłem z początku o tym, ale teraz marzenia te tak mi się wydają nieosiągalne z najrozmaitszych względów, że nie ma co i marzyć. W każdym razie za szczerze ze strony Pani intencje najserdeczniej dziękuję.

Ponieważ jednak sam nie mogę przyjechać, przesyłam zastępcę w postaci mojej skromnej fotografii. Co prawda nie z żadnej sztuki, tylko zwykłe, codzienne w battle dressie, ale trudno się mówi. Czy bardzo się zestarzałem? Zdjęcie zresztą jest bardzo niedobre, mimo że robił je dobry fotograf.

Wyobrażam sobie, jak teraz pięknie jest w Libanie. Tutaj, w tym roku, było wyjątkowo ładne lato, jakiego podobno nie było od stu lat, a mimo to nie mam serca do tego kraju i nie mogę się jakoś zaklimatyzować. Jeszcze jak na wielką ironię losu, przyjechaliśmy tutaj z tak cudownego kraju, jakim jest Italia. Nie mówiąc już o Polsce. Do Italii tęsknię bardzo. Zdaje mi się, że to jest jedyny kraj, gdzie poza Polską mógłbym się jeszcze jakoś czuć. Dlatego zazdroścę Pani Libanu, bo wyobrażam sobie, że to jest coś w tym rodzaju.

Dlatego cieszę się bardzo Pani radością. Kończąc całuję mocno rączki Pani i zasylam Państwu obydwójgu dużo serdecznych życzeń.

Zbyszek Blichewicz

P.S.:

Pozdrowienia od mojej żony i od wszystkich znajomych.

4.

Checkendon 2.12.[19]47.

Kochana Pani Haneczko!

Ogromnie dziękuję za wspaniałe zdjęcie. Wygląda Pani rzeczywiście doskonale. Teraz widzę, że choroba istotnie się skończyła. Chwalić Boga.

Tutaj teraz zaczęli napływać ludzie z Waszych stron, no i klną na czym świat stoi. Ogromnie żałuję, że nie dane mi było wszystkich tych cudów oglądać. Teraz objeżdżamy

wyspę (Anglię) ze współczesną sztuką Budzyńskiego *Spotkanie*. Sztuka jest satyrą, bardzo dowcipną, na stosunki emigracyjne. Powodzenie szalone. Bardzo dobra jest Irena Brzezińska jako Major-kobieta z AK. Mam bardzo dobre sceny z nią, i dobrze nam się gra. Sztuka zrobiła już dużo szumu tutaj, aczkolwiek w Londynie jeszcze grana nie była, i dopiero zawędruje tam w styczniu. Zgadła Pani, że w tych rolach, które są przez Panią wymienione czuję się najlepiej i one najbardziej mnie pociągają. No, ale tylko tego rodzaju rzeczy grać nie można, więc się robi, co się może, byle jakoś dalej szło. Pyta Pani co sądzę o sensie naszej emigracji? Oczywiście, że zgadzam się ze zdaniem jej całkowicie, ale czasem jak się sobie i innym człowiek bliżej przyjrzy, to naprawdę, że ręce opadają. Nasz teatr prowadzi Jadwiga Domańska, a kierownikiem artystycznym jest Leopold Kielanowski. Przedtem był Wacek Radulski, ale przeszedł do Pierwszego Korpusu już kilka miesięcy temu.

Z Hemarem pogadam na pewno w sprawie, o którą Pani prosiła. Teraz, i on, i ja jesteśmy bardzo zajęci, bo on wystawił szopkę polityczną, a ja jeżdżę ze *Spotkaniem*.

Zdaje się, że zanim ten list dojdzie, to już będą święta. Chciałbym zatem życzyć Pani przede wszystkim pełnego powrotu do zdrowia, no i bardzo szczęśliwej i owocnej jeszcze pracy na scenie, jak za dawnych dobrych czasów. I niech ta Gwiazdeczka Boża, która zaświeci tego cudownego Wieczoru zarówno tam, jak i tu, da nam wszystkim to, do czego stale wrywają się nasze dusze i serca.

Łączę najserdeczniejsze wyrazy szacunku i przyjaźni dla obojga Państwa — pozdrowienia od wszystkich.

Zbyszek Blichewicz

LISTY OD FRYDERYKA JÁROSY'EGO¹

1.

Tel Aviv, 23 X [19]47

Droga i kochana Haneczko!

Mój Boże — z czego zacząć taki list, by był mostem przez czas (i jaki czas!) — przez przestrzeń, koszmary, wzniesienia, upadki, łzy i uśmiechy; by był mostem pomiędzy naszym ostatnim spotkaniem w płonącej Warszawie i przyszłym, o którym marzę i które mam nadzieję — niedługo nastąpi.

Nie sposób opisać Ci, co przeżyłem przez te 8 lat, wiem tylko, że kiedy w 1945 r. zacząłem wierzyć w to, że jestem jeszcze wśród żyjących i otworzyłem teatr polski w Brukseli — ogarnął mnie ogromny, nieopisany smutek na wiadomość w gazetach, że jesteś bardzo chora. Żadnymi sposobami nie mogłem się dowiedzieć Twego adresu, ani we Włoszech, ani w Anglii — i tu nagle człowiek, który go ma i mówi, że mieszkasz nie tak daleko ode mnie.

Bo od 3 tygodni jestem w Tel-Awiwie, dokąd mnie zaangażowali na 6 miesięcy jako reżysera teatru Li-La-Lo². Więc piszę naturalnie natychmiast. Stoi przede mną Twoja fotografia, którą Helena³ podarowała mi w Londynie, i dopóki Ciebie samej nie zobaczę, przenoszę na nią wszystkie serdeczne myśli, wszystkie najgłębsze uczucia, które towarzyszyły moim, ach jak częstym, wspomnieniom o Tobie, — czy to, kiedy siedzieliśmy razem na Daniłowiczowskiej i ja drżałem o Ciebie, czy to w konspiracji, kiedy los połączył mnie z cudownym człowiekiem (Janka)⁴, który był wielkim Twoim wielbicielem i z którym tak często o Tobie mówiliśmy, czy to po ucieczce z więzienia w beznadziejnym ukrywaniu się przed Gestapo, kiedy mój gospodarz z organizacji⁵, by mnie podtrzymać na

duchu, zagrał moc Twoich płyt, czy to w obozie koncentracyjnym, kiedy wśród mających się wszystkim postaci kobiecych Ty u wielu zajmowałaś pierwsze miejsce — czy to w Powstaniu Warszawskim, w którym brałem taki udział, jak Ci kiedyś przyrzekłem, kiedy mówiliśmy o Dziadku — i podczas którego moja grupa szła do ataku z wierszem: *Czy to jest Twoja melodia, Warszawo?!⁶*

Tysiąc i jedną noc musielibyśmy przegadać, bym się dowiedział, co Ty przez ten czas przeszłaś, a Ty — co ja.

W każdym razie — już to, że mogę teraz pisać do Ciebie w nadziei, że list dojdzie do Twoich rąk, jest wielkim CUDEM po tym wszystkim. Ale bardzo Cię proszę — potwierdź zaraz jego otrzymanie, bym wiedział, czy adres jest jeszcze aktualny.

Pozdrów najserdeczniej Miszę⁷ ode mnie, o perypetiach którego opowiadał mi w Londynie min. Kwapiński⁸ i który — jak i Ty — ma wieczny pomnik w sercu Heleny.

Całuję Cię, Haneczko, moja droga, z głębi serca i czekam na wiadomość.

Adres mój jest: Fryderyk Járosy, Hotel San Remo, Tel Aviv, Palestine.

Toujours le meme

— Twój Jarosik

¹ Fryderyk Járosy (1889–1960), aktor, reżyser, legendarny konferansjer teatrów rewiowych przedwojennej Warszawy. Od 1946 działał w środowisku teatralnym emigracji polskiej w Londynie. Listy były ogłoszone w „Pamiętniku Teatralnym” 1998 z. 1–2.

² Więcej o teatrze rewiowym Li-La-Lo w: N. Gross, *W drodze i po drodze — polskie korzenie hebrajskiego kabaretu*, Archiwum Emigracji 2000 z. 3 s. 103–110.

³ Helena, to siostra F. Járosy’ego, która w Londynie mieszkała od lat przedwojennych. Znała Ordonkę osobiście.

⁴ Janina Wojciechowska (1900–1980), powojenna towarzyszką życia F. Járosy’ego.

⁵ Kazimierz Koźniewski, który był konspiracyjnym „szefem” Járosy’ego. Na jego polecenie, ukrywający się w okupowanej Warszawie artysta, pisał po polsku i po niemiecku antyhitlerowskie wierszyki. Po polsku, były drukowane w prasie podziemnej, po niemiecku — naklejane na wagony, które z żołnierzami niemieckimi jechały na front wschodni.

⁶ Aluzja do melorecytacji wiersza J. Tuwima *Melodie Warszawy*, który Ordonka z wielkim powodzeniem wykonywała w teatrzyku Banda.

⁷ Michał Tyszkiewicz (1903–1974), mąż Hanki Ordonówny.

⁸ Jan Kwapiński (1885–1964), działacz polityczny. W latach 1941–1942 był delegatem Ambasadory Polskiej w Taszkencie, udzielał pierwszej pomocy Polakom udającym się do punktów zbórnych powstającej armii generała Andersa. W latach 1942–1945 był ministrem handlu, przemysłu i żeglugi w rządzie emigracyjnym.

2.

Tel Aviv, Hotel San Remo 10 XI [19]47

Droga, kochana Haneczko!

Czego się wstydzić?? Parę łez połknąłem i parę wylałem, kiedy po tyłu — potrójnie liczonych latach, po raz pierwszy ujrzałem Twoje drogie pismo i resztki mojej wiedzy grafologicznej potwierdziły mi znowu, że jesteś morowy, fajny chłopak, pełna fantazji, znawstwa ludzi, wiary w Boga i bogów, jednym słowem — jak Helena Cię nazywa — „ostatni romantyczny ptak naszego wieku!”

Ile radości życiowej, ile bodźca straciłem przez to, że Twoje listy do mnie — o których piszesz — nie dochodziły do mnie. Nie mam żadnej wątpliwości, że to perfidia ludzka grała dużą rolę w tym, ta perfidia, przed którą uciekłem z Londynu aż tu do Pale-

styny, aby choć trochę nie widzieć ludzi. Bo tu dzięki Bogu nie muszę obcować z nikim, — a prawdziwego, swojego człowieka zabrałem ze sobą, siwowłosą Jankę Woyciechowską, która mi w Warszawie uratowała życie, ze mną walczyła w konspiracji, w powstaniu, ze mną dzieliła obóz koncentracyjny, pierwsze kroki w Brukseli i w Londynie, i teraz pomaga mi tu w mojej teatralnej i literackiej pracy. Mierząc ludzi według niej — straciłem wszelki wewnętrzny kontakt — tak z Carlheinzem*, jak z Zosią Terné, z *moral insanity* Hemara, jak z Epi, z całą szumowiną naokoło „Rządu Warszawskiego”, jak z buffonami z Drugiego Korpusu.

Rozumiem mordercę z afektu, rozumiem złodzieja z nędzy, rozumiem prawdę samobójczą, bezkompromisowość obłądną — ale już nie rozumiem i nie chcę rozumieć „jadaczów chleba”, złośliwych rzezimieszków, kawiarnianych literatów, politycznych geschaftmacherów i tego wstrętnego zakłamania codziennego. To oni powodowali, że lew po ucieczce z niewoli ZOO — wróciwszy do wolnych przestrzeni — ciągle jeszcze chodzi tam i nazad, tam i nazad — jak w dawnej klatce.

Ach — z jaką ogromną radością, z jakim uśmiechem w duszy przyleciałbym na Twoje zaproszenie do Was! Niestety jest to w tej chwili niemożliwe, gdyż 25 listopada mam premierę i mam przez cały tydzień próby, by z dyletanckiego tingl-tanglu zrobić prawdziwy teatr literacki. Nie mam więc ani jednego dnia wolnego, bo według tego, czy ten eksperyment mi się uda czy nie, będę sądził o tym, czy Járosy się już skończył, czy mam temu koszmarnemu światu jeszcze coś do powiedzenia. Robię program bezkompromisowy, obliczony na wychowanie publiczności, więc ryzyko duże!

Ale — rzecz jasna, najjaśniejsza — że nie opuszczę Palestyny, zanim Ciebie i Misia nie widziałem, zanim Wam osobiście nie powiedziałem, jak niezmiernie drodzy jesteście sercu memu i zanim się nie dowiedziałem, czy nie mógłbym coś dla Was zrobić, by Wam udowodnić czynem, jak Was lubię i jak dobrze Wam życzę. A może — Wy byście mogli tu przyjechać na parę dni???! Przecież to nie daleko i z wizami na pewno nie macie takich trudności jak my, bo my mamy — jako emigranci polsko-angielskie *travel documents*.

Haneczko — jakby to było cudne! Bylibyście moimi gośćmi w Hotelu San Remo, pogadalibyśmy o wszystkim i umówilibyśmy się, gdzie, kiedy i jak się spotkamy następnym razem. Na samą myśl poznania Was, Janka też skacze do sufitu! Napisz mi, Haneczko, czy to jest możliwe i kiedy. Jeśli niemożliwe — to napisz mi, jakie nasze dane potrzebujecie, by nam wysłać wizy, kiedy chwila nadejdzie.

Oczekuję niecierpliwie na wiadomości i całuję Was obydwójce z całego serca —

Twój Jarosik

* Karol Járosy, brat Fryderyka, reżyser filmowy, autor scenariusza popularnego w Polsce filmu *Jadzia*. W tym czasie bracia byli skłóceni. Epi — to ich siostra, która mieszkała w Tel Awiwie.

LIST OD JALU KURKA¹

Kraków, 12 sierpnia 1947

Wielce Szanowna Pani,

Wracam właśnie od kolegi Gałczyńskiego, który przed chwilą otrzymał od Pani list i on to zachęcił mnie do przesłania na adres Pani paru tekstów, gdyż podobno poszukuje Pani tekstów literackich z kraju.

Przesyłam z myślą o Pani interpretacji dwa utwory z ostatniej swojej twórczości poetyckiej a to: *Pawanę hiszpańską* i *Balladę o Bebi*².

Przypominam Pani, iż poznaliśmy się osobiście w Krakowie przed laty w związku ze sprawami hiszpańszczyzny, które nas oboje frapują.

Łączę wyrazy poważania oraz życzenia sukcesów

Jalu Kurek

Kraków, Al. Mickiewicza 57.

¹ Jalu Kurek (1904–1983), prozaik, poeta, publicysta.

² W ocalałych dokumentach Hanka Ordonówny nie zachowały się przesłane przez autora teksty.

LIST OD ELŻBIETY OSTERWIANKI*

[adres na kopercie:] Hanka Ordonówna
Beyrouth
P.O.Box 1221
Liban

[17.8.1948]

Hanek Kochany! Haneczko —

Wielką radość sprawił mi Twój list i fotografia. Cieszę się z całego serca, że nie wyrzuciłaś mnie ze swej pamięci. Jesteś jedyną z niewielu ludzi, z którą najwięcej się łączę moich wspomnień o Tatusiu. Śmiałyśmy się często — pamiętasz?

Jakże mam pisać o tym wszystkim co się działo potem — od początku?

Tyle jest przeżyć — tyle chciałoby się powiedzieć i tyloma myślami podzielić — że doprawdy nie wiadomo od czego zacząć, żeby się nie poplątać. Tak szybko mija jeden dzień za drugim, niejedno przeżycie z „wczoraj” zaciera się i pozornie ustępuje temu „z dziś”. Tylko pozornie bo każde jest tak samo ważne — choć czasem „mniej mocne” tak samo żyje — choć nieco uśpione i tkwi głęboko w nerwach i duszy. Nawarstwione jedno na drugim — kształtuje i tworzy człowieka.

Od stycznia do maja nie opuściłam Tatusia. Te miesiące, w których patrzyłam jak powoli odchodzi — jak się męczy — to do dziś, choć to rok już minął — zaważyły i zaciążyły na mnie, są żywe — będą.

Staram się pozbyć pytań — „dlaczego”? Staram się zdobyć na mądrość, Najwyższą Mądrość — nie rezygnację. Ale wyzbyć się buntu jest czasem bardzo trudną rzeczą. Trudno jest się pogodzić z myślą o rozstaniu — choćby to miał być i czas niedługi.

Choć się wie, że w tym wszystkim jest jakiś Wielki Sens — że to wszystko jest od Boga, że się przez Niego tu znalazło i do Niego trzeba wrócić — do Niego dążyć!

Że na tej drodze każdy z nas idzie tylko „obok siebie” idąc razem — bo każdy jest samotny.

Że się Mu sprzeniewierza, że Go traci bo Go szuka w innych — a potem jest Go tak trudno znaleźć w sobie.

Ale nie o tym miałam Ci pisać — choć to jest teraz we mnie dość istotne. Tak się w moich myślach teraz dzieje. Zrobiłam tak jak chciałaś. Odbyłam w piękny, jasny dzień spacer z Tobą, byłam na Salwatorze. Przesyłam Ci zerwany listek z drzewka tui, dwie rosną u głowy Tatusia. Tam poszłam z Tobą na pierwszy spacer, niebo było takie czyste — może usłyszałaś to o czym mówiłyśmy. Napisz. Nawet nie wiesz jak bardzo jestem szczęśliwa, że mogę mieć z Tobą kontakt. Czuję, że jesteśmy ze sobą związane bardzo ściśle. Co to jest, nie wiem — ale jest. Więc pisz do mnie, i myśl o mnie. I pomódl się za mnie. Tak pragnę wiedzieć, co się z Tobą dzieje. Jak się czujesz? Podobno chorowałaś?

Co to było? Jak jest teraz? Jak sobie dajesz radę? Śpiewasz? Czy wrócisz? Jak by to było pięknie. Pisz kochana. Czekam na list od Ciebie. Czy czujesz, jak o Tobie myślę?
Całuję Cię czule — Twoja zawsze Elżunia.

[dalszy ciąg tego samego listu]

Hanek Kochany!

Dostałam paczkę od Ciebie. Dziękuję Ci serdecznie. Sprawiałaś mi wielką radość. Znowu jesteś jedyną z dalekiego świata, która przysłała „paczkę”. Od 1939 roku. Nikt o mnie tak nie pomyślał. Choć ludzi dużo otrzymywało nawet od obcych. Ale proszę Cię, Kochana, nie rób tego więcej. Nie rób sobie żadnych kłopotów. Jedno tylko — pisz do mnie dużo i pisz często. O to Cię tylko proszę, to bowiem będzie dla mnie najważniejsze — wiedzieć, że możemy się podzielić myślami. Bo przecież mało jest takich ludzi, którym i z którymi można szczerze mówić o sobie. Wiem, że wiele zrozumiesz. Łaską jest odnaleźć człowieka, który może zrozumieć bliźniego.

W moim życiu tyle było różnych zdarzeń. „Nic co ludzkie nie jest mi obce”. Wszystko się powinno przejść. Wiele razy nawet upaść, żeby się móc podnieść.

Tatuaś nie zawsze mnie rozumiał. Ogromnie cierpiał nad tym, że się rozeszłam z Gutkiem. Co gorsze, przypisywał sobie winę! Dopiero pod koniec zapanowała między nami harmonia. Z początku nie rozmawiał ze mną przez dwa lata. To było bardzo ciężkie. Pomyśl. Wojna. Od września 1939 roku utrzymywałam się sama. Wieczny strach, uczucie zaszczutego psa. Walka o byt, o chleb. Walka o prawo do życia, do godności. Do szczęścia społecznego i osobistego. Czym nie byłam? Kelnerką, szatniarką, kasjerką, pomywaczką, pod koniec, krótko, pracowałam jako kwiaciarka. W kwiaciarni tej, koło teatru. Potem robiłam torty! No i sprzedawałam przez cały okres okupacji wszystko co tylko dało się sprzedać. Zresztą, robiłam to z humorem, bo to wszystko „rzeczy do nabywania”. Niczego właściwie mi nie było żal (i teraz nie żałuję).

I w tych ciężkich chwilach i opresjach — byłam bez dobrego słowa od Tatusia, który się wówczas zaciął. Był ze mną Alek. Alek — Alojzy Klucznik — muzyk, kompozytor. Znasz go. Przyjaciółka Ryśka Franka. Poznałam go w 1938 roku — to już dziesięć lat jak jesteśmy razem. Łączy nas dużo dobrych i złych dni. Jesteśmy przyjaciółmi. Alek pracuje teraz w Orkiestrze Polskiego Radia (krakowskiej). Jest bardzo utalentowany. Ja pracuję w teatrze. Od 1945 roku. Zaczęłam u Adwentowicza w Katowicach, potem z nim razem byłam w Krakowie, potem w Sosnowcu. Ten sezon byłam tu w Słowackiego teatrze. Ale to był okropny dla mnie sezon. Grałam mało więc uciekłam — „kulisy”. W „kulisach” niestety niewiele się zmieniło. Ploty, intryżki, zawiści. Sama praca jest najcudowniejsza. Od września będę w Krakowie w Scali i częściowo w Częstochowie. Mam wiele ambicji artystycznych, no i obowiązuje mnie wiele. Trochę dorabiam w Radio. I próbuję skromną pracę w Reducie. Reduta jest wielkim moim zmartwieniem. Wołałabym, żeby się rozwiązała. Mało robią — wiele gadają.

Mam malutkie jednopokojowe z kuchnią (niestety bez łazienki) mieszkanko. Ale jest wiele takich, co żadnego nie mają, a ja w moim jestem panią u siebie. Mieszkamy „pod niebem”, bo na czwartym piętrze. Jak się jest optymistką, tak jak ja, to jest zupełnie dobrze. W tamtych dniach grozy nastąpiło u mnie zupełne przewartościowanie. Umieję cieszyć małym. Skromnie u nas bardzo, ale miło. Zdobyliśmy się na radio! Alek teraz zaczął dość dobrze zarabiać, i mam nadzieję, że powoli, z Bożą pomocą, zaczniemy się w gniazdku naszym jakoś urządzać lepiej. Piszę Ci o tym, abyś miała obraz naszego życia.

Pragnę podziękować Ci z całego serca za opiekę nad moją Babcia [w Wilnie — A.M.], która jest teraz tu w Krakowie, i mieszka u ciotki na Grodzkiej, wuj nie żyje.

Pragnę też Ci powiedzieć, że wiele myślę o Tobie i często, bardzo często Cię wspominam, posyłając w Twoją stronę najlepsze życzenia.

Teraz Cię tulę serdecznie — proszę nie zapominaj o mnie — Twoja Elżunia.

* Elżbieta Osterwianka (1914–1989), aktorka, pierwsza córka Juliusza Osterwy była bardzo zaprzyjaźniona z Hanką Ordonówną z okresu jej współpracy w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie.

W czerwcu 1960 r., na dwa miesiące przed śmiercią, Fryderyk Járosy nagrał w Ognisku Polskim w Londynie audycję wspomnieniową poświęconą pewnej epoce w dziejach polskiego kabaretu. Epoce bardzo ważnej, kiedy kabaret zaczynał być sztuką. Teodozja Lisiewicz, popularna w środowisku emigracyjnym pisarka i dziennikarka, na zamówienie Radia Wolna Europa, przeprowadziła wywiad ze znanym konferansjerem. Pretekstem do rozmowy było ukazanie się w Polsce, w 1959, książki *Dymek z papierosa*, w opracowaniu i pod redakcją Kazimierza Rudzkiego. Książkę tę otrzymał bohater audycji od kogoś z Polski. Oryginalne nagranie tej audycji — nie wyemitowanej na antenie RWE! — (oraz maszynopis scenariusza z odręcznymi poprawkami i uwagami wielkiego mistrza kabaretu), ocalało w mieszkaniu jego córki w Wiedniu.

Z dokumentów, pamiątek rodzinnych i artystycznych, Muzeum Teatralne w Warszawie, 10 kwietnia 2000 r., przygotowało specjalną okolicznościową wystawę. Najważniejszymi gośćmi tej uroczystości były: Marina Járosy-Kratochwill i Stefania Grodzieńska.

Jest znakomita okazja opublikowania unikatowego scenariusza audycji sprzed ponad czterdziestu laty. Oddajemy głos samemu Wielkiemu Fryderykowi.

DYMEK Z PAPIEROSA

(według wskazówek Fryderyka Járosy'ego — Teodozja Lisiewicz)

Gwar wnętrza kawiarni w Ognisku Polskim w Londynie. Cichy fortepian, kobiecy głos nuci piosenkę *Dymek z papierosa*.

Teodozja Lisiewicz: Czy ten stolik wolny?

Kelnerka: Proszę bardzo.

T.L.: Dlaczego druga sala dziś zamknięta?

Kelnerka: Tam jest teraz próba kabaretu.

T.L.: Kto to gra?

Kelnerka: Jerzy Kropiwnicki, a śpiewa...

T.L.: Wiem. Renata Bogdańska. Zaraz poznałam.

Kelnerka: Co mogę pani podać?

T.L.: Proszę dwie czarne.

Kelnerka: Jedna dla pani, a druga...?

T.L.: Dla Fryderyka Járosy'ego. Zaraz tu będzie.

Fryderyk Járosy: O wilku mowa, wilk tuż... Dobry wieczór pani.

T.L.: Dobry wieczór, drogi panie Fryderyku. Niech pan siada. Zamówiłam już dla pana kawę.

F.J.: Słyszałam, słyszałam. Kto to śpiewa? Czy nie Renata? Stara piosenka, a najlepiej pasuje do tematu, o którym chciała pani ze mną porozmawiać. O *Dymku z papierosa* — prawda? Co pani myśli o tej książce?

T.L.: Jest to chyba jedyna w swoim rodzaju kronika dziejów polskiego kabaretu.

F.J.: Jeżeli chodzi o Zielony Balonik, to z pewnością. Wstęp Boya, wspomnienia Karola Frycza, Grzymały Siedleckiego, Arnolda Szyfmana są żywe, sumienne. Wyczułem tu z każdego słowa rzetelną, doskonałą pracę, chociaż to nie moje czasy.

T.L.: Pana czasy to dzieje późniejsze. Qui Pro Quo, Banda...

F.J.: Cyganeria, Stara Banda na Hożej, no — i Cyrulik Warszawski. Doskonale je pamiętam. Jestem zdania, że *Dymek z papierosa* to tylko częściowo kronika, a więcej zbiór autobiografii. Franklin Jones powiedział kiedyś, że autobiografia nigdy niczego złego nie mówi o autorze, tylko odsłania jego słabą pamięć. Otóż jedynie we wspomnieniach Jerzego Jurandota nie znalazłem ani jednej nieścisłości. Przyznaję, że z rozczuleniem czytałem słowa „Co nam zostało z tych lat”... A, pani Renata! Skończyła pani próbę?

T.L.: Niech pani usiądzie z nami i przypomni nam tę miłą piosenkę...

Renata Bogdańska: [śpiewa:]

Co nam zostało z tych lat
Miłości pierwszej?
Zeschnięte liście i kwiat
W tomiku wierszy.
Wspomnienia czułe i szept,
I jasne łzy, co nie schną,
I anioł smutku, co wszedł
I cicho westchnął...¹

F.J.: Tego sentymentu nie może pani jeszcze zrozumieć, za młoda...

T.L.: Więc zdaniem pana, tylko Jurandot ma dobrą pamięć. A u innych znalazł pan nieścisłości?

F.J.: Mnóstwo! Nie tyle to wina autorów, ile może redakcji. Autorowi wolno się mylić, ale redaktor powinien sprostować, a przede wszystkim uzgodnić teksty. Sempoliński np. pisze, że na poziom kabaretów warszawskich miały wpływ dwa teatry z ZSRR: Nietoperz i Niebieski Ptak. Wroczyński zaś dyrektorem obu tych scen mianuje Balijewa. Muszę sprostować. Niebieski Ptak powstał w Berlinie. Stworzyli go rosyjscy emigranci. Dyrektorem był Jakub Juźnij, a ja — kierownikiem artystycznym. Z tym to teatrem, w 1924 roku, przyjechałem z Berlina do Polski, i już zostałem. Potem dajmy na to, taki drobiazg. Tadeusz Żeromski — czyli Wrzos, pisze, że teatr Banda powstał w dawnej salce Teatru Małego, w Filharmonii, gdzie „pod wodzą Fryderyka Járosy’ego występowali: Dymsha, Olsza, Górka i Żelichowska”.

Otóż Banda powstała na ulicy Mokotowskiej, w salce dawnej Aleksandryni, a na czele zespołu stali: Ordonka, Pogorzelska, Loda Halama, Tom, Lawiński, Dymsha i Krukowski.

I teatrzyk ten nie „robił bokami”, jak pisze Wrzos, bo przez cały sezon szedł kompletami. Dopiero po fuzji z Teatrem Polskim przeniósł się do Teatru Małego. Nie robił też bokami Cyrulik Warszawski. Np. program „Kariera Alfa Omegi” szedł w Warszawie i na prowincji przez pięć miesięcy przy zapełnionej widowni. Takich nieścisłości, niestety, pełno jest w książce.

T.L.: A zgadzają się autorstwa piosenek?

F.J.: O piosenkach sprzed moich czasów trudno mi powiedzieć. Ale co do piosenek Ordonki podanych tu jako Tuwima, tj. *Rodzinną radość* i *Marzenie*, stwierdzam stanowczo, że były specjalnie pisane dla niej przez Leona Łuskino.

T.L.: Ordonka... To pan doprowadził ją do sławy!

¹ Słowa J. Tuwima, muzyka W. Dana-Daniłowskiego. Tango śpiewał Chór Dana w kabarecie Qui Pro Quo (1930).

F.J.: Nie! Do sławy doprowadził ją jej wielki talent. Ale nie wywoziłem jej do Paryża na studia u Cécile Sorel, jak pisze mój stary przyjaciel, Tur. Co miałyby Sorel do Ordonki? Sorel była wielką, klasyczną tragiczką z Comédie Française, i ani ja, ani Ordonka nie widzieliśmy jej na oczy. Owszem, Ordonka występowała w Paryżu jeden raz i miała ogromne powodzenie. W teatrze Arc-en-Ciel, w Passy. Po jej koncercie recenzent „Figaro” napisał: „Gdyby ojczystym językiem pani Ordon był francuski, zawojowała by świat”. Proszę, tu jest wycinek z pisma. Specjalnie go dla pani przyniosłem. Więc po co takie fantazje o Cécile Sorel? I jeszcze jedna nieścisłość, dość znamienita. Hanka Ordonówna nie umarła w Syrii, jak pisze Sempoliński, lecz w Bejrucie, jak podaje Jurandot. Bo mieszkała z mężem w stolicy Libanu. Sempoliński mógł się pomylić, ale redaktor książki powinien był uzgodnić teksty. Teraz rozumie pani, dlaczego *Dymku z papierosa* nie mógłbym nazwać stuprocentowym dokumentem historii polskiego kabaretu.

T.L.: W książce dużo mówi się o *Uliczce z Barcelony*, a o ile mi się zdaje, Ordonce wcześniej sławę przyniosła *Mimoza*...

F.J.: Tak, pióra Lechonia. [cicho nuci, śpiew podchwytuje Renata Bogdańska] i *Córka kata* Hemara². Ale nie parodie piosenek Weretyńskiego, jak pisze Tur. Jakaś tam jedną parodię kiedyś zrobiła, ale to nie zaważyło na jej karierze.

T.L.: Pamięta pan jej piosenkę „Jak tylko Żydek umie grać...”

F.J.: „...to w świecie on nie zginie...”, pamiętam!

Renata Bogdańska: [śpiewa refren *Dźwięki starej piosenki*:]

Jak tylko Żydek umie grać, to w świecie on nie zginie.

Pamiętaj, kto ci skrzypce dał i co twój tata grał.

Dźwięki starej piosenki o jo jo jo joj,

Pójdą za tobą w świat.

Skrzypki weźmiesz do ręki, o jo jo jo joj

Zagrasz pieśń z dawnych lat.

[razem z F.J.:]

Czy to Rotszyld czy to ty, każdy Żyd ma w oczach łzy

Przy tej piosence z dawnych dni.

T.L.: A *Pieśń sentymentalna* Hemara?

F.J.: [cicho nuci] ...i *Melodie Warszawy*, kapitalny utwór Tuwima w Bandzie?

T.L.: Są dwie piosenki stosunkowo mało znane, a zapomnieć ich nie mogę. *Daj mi słowo*... [F.J. cicho nuci] i *La Madonne de Sleeping*.

F.J.: Do tej piosenki muzykę napisał Dan. Słów nie pamiętam, ale dziś jeszcze widzę Ordonkę jak ją śpiewa... Ona w fotelu, obok stoją walizki z nalepkami: „Rzym”, „Londyn”, „Paryż”... Wspaniałe były te nasze artystki z Qui Pro Quo, z Bandy, z Cyrulika...

T.L.: Cały zespół był wspaniały. Pana wychowankowie.

F.J.: Tylko nie przesadzajmy. Jeżeli chodzi o typy, które stworzyli, to Zimińska i Krukowski zawdzięczają jednak wszystko tekstom Hemara. A z Dymczy groteskowego komika zrobiły teksty Tuwima. [nuci fragment *Nikt mnie nie spłodził, nikt nie urodził*] Ja byłem tylko reżyserem.

T.L.: To wystarczy!

F.J.: Moi prawdziwi wychowankowie, to: Ordonka, Pogorzelska — ten niezapomniany komik w spódnicy, potem Stefcia Górską, Lena Żelichowską i Zosia Terné. A propos

² *Córka kata*, popularny utwór J. Tuwima wykonywany w 1918 r. przez Marię Strońską w warszawskich kabaretach, opublikowany w: *Estrada* [1918] nr 4 s. 27. Po kilku latach Hemar dla Ordonki napisał nową piosenkę na ten sam temat, z tym samym tytułem. Premierowe wykonanie odbyło się w Qui Pro Quo, w rewii „Puść go kantem” (16 XI 1926).

Leny. Nigdy nie słyszałem, żeby swoje piosenki opracowywała z Honoratą Leszczyńską, jak pisze Sempoliński. Zdawało mi się, że opracowywała je ze mną.

T.L.: A Zosia Terné?

F.J.: Była taka mała, że ginęła na scenie. Ślicznie śpiewała swoją *Klementynę* i tę może najbardziej popularną swoją piosenkę. [z płyty słysząc *Kiedy znów zakwitną białe bzy*] Niestety, żeby się podwyższyć, nosiła bardzo wysokie obcasy. Obcasy kazałem zdjąć, a uczesać się gładko. Zrozumiałem, że jej lilipuci wzrost może być jej największym atutem. Autorzy pojęli w mig o co mi chodzi. I Schlechter i Wars napisali... [słysząc: „Ojej, ach, żebym ja nie była taka mała”] Po tym mała Zosia od razu wyrosła.

T.L.: Wie pan, kiedy po raz pierwszy ujrzałam pana na scenie? W 1926. Pamiętam jeszcze dwa dowcipy z pana konferansjerki. Jeden, że „kobieta jest jak kołnierzyk...”

F.J.: „...bo dopiero, kiedy ma się ją na szyi widzi się, jaki to numer”. Pamiętam.

T.L.: A drugi: „— Co mówi człowiek, któremu jakieś auto się nie podoba?”

F.J.: Mówi: „auto da fe!” To pani lepiej pamięta moją konferansjerkę niż Dymśza. Bo w *Dymku z papierosa* dowcipy z mojej konferansjerki podaje jako opowiedane przeze mnie zdarzenia z mojego życia. Czyli słowa pamięta, ale do dziś dnia nie rozumie o co chodzi. Pisze np., jak to cesarz Franciszek Józef, niby to wyratowany przeze mnie z niebezpieczeństwa, momentalnie ofiarował mi złotą papierośnicę z wygrawerowaną już z góry dedykacją: „Dla Fryderyka Járosy’ego”. Świetny kawał — ale nie zdarzenie! W dodatku kawał nie mój, tylko Juliana Tuwima, który tę konferansjerkę pisał. Zresztą po rodzaju dowcipu łatwo poznać Tuwima.

T.L.: Niech mi pan powie, na czym to polegało, że w prowadzeniu konferansjerki nikt nie mógł panu dorównać?

F.J.: Na magii, proszę pani. Tylko na magii. Bo nawet najlepszy pomysł czy dowcip nie zrobi wrażenia, jeśli nie jest podany w odpowiednich słowach. Dopiero wtedy nabiera siły magicznej. Magia mojej konferansjerki polegała na śmiesznie nieprawidłowej polszczyźnie i na akcencie. Zresztą — mnie samego bawiło, kiedy słyszałem swoje „prouzi państwa”. A mój rodzaj konferansjerki powstał, kiedy zrozumiałem słowa Ludwika Börne — że humor nie jest darem umysłu, lecz darem serca. Jeżeli piszą, że zawojowałem serca miliona Polaków, i jeżeli tak było istotnie, to dlatego, że kochanym warszawiakom wciąż dźwięczy jeszcze w uszach mój ton Polaka „humoris causa”. Dowcip wyłowiony niby z nie zrozumienia polskich powiedzonek, a naprawdę z bogactwa języka Antka znad Wisły, z sentymentu jaki kryje się w melodii szorstkiego języka warszawskiego, z komizmu dialektu z Bielan.

T.L.: A w czym kryła się tajemnica, że mimo kryzysów teatralnych, swoją scenę zawsze utrzymywał pan na poziomie i nigdy pan nie zbankrutował, chociaż płacił pan aktorom fenomenalne gaże?

F.J.: Dlatego, że swoją pracę zawsze traktowałem serio, ale nigdy nie brałem jej poważnie. Może dlatego, że wiedząc jakie to wszystko niepoważne, byłem zabezpieczony przed wszelką krytyką i nic nie mogło wytrącić mnie z równowagi, bo — nigdy żadnej nie miałem. Poza tym, prowadząc i polityczny kabaret — a ten nie ma litości nad swoimi ofiarami — nawet atakując kogoś, zawsze starałem się zachować wobec niego jak dżentelmen. Przy tym mój humor zawsze krył w sobie pewną domieszkę melancholii, co doskonale chwytały nawet widzowie z ostatnich rzędów. Natomiast pewne jest, że przed bankructwem uchroniło mnie znanstwo teatru, względnie kasy teatralnej. W każdym razie mój zespół miał dochody przewyższające dochody bardzo zamożnych ludzi w Warszawie.

T.L.: Dzisiaj z tego zespołu wielu już nie ma. A reszta? Jedni na scenie — tam; drudzy — tu, na emigracji, jak pan...

F.J.: Ale nie biorę żadnej angielskiej emerytury, jak pisze Dymśa. Tylko zwykłe ubezpieczenie społeczne, które w Anglii otrzymuje każdy, kto skończył 65 lat. A młodości serca tutaj nie biorą pod uwagę, ani zachwytu dla drugiej płci.

T.L.: Jednak przyzna pan, że *Dymek z papierosa* czyta się przyjemnie.

F.J.: Bezwarunkowo. Byłem bardzo wzruszony. Przeszłość stanęła mi przed oczami jak żywa: Hanka Ordonówna... [słysząc nagrania z płyt: „Pierwszy znak, gdy serce drgnie, ledwo drgnie i już się wie, że to właśnie ten, tylko ten...”]

T.L.: Stefcia Górską. [„Nasza jest noc i oprócz niej nie mamy nic...”]

F.J.: Jej muzyka, a słowa Tuwima.

T.L.: A Marian Rentgen...

F.J.: Z nieodłączną gitarą. [„Ach, jak mało do szczęścia nam trzeba i to tak niewiele kosztuje...”]

T.L.: Zula Pogorzelska...

Renata Bogdańska: [śpiewa:] „Mały gigolo, śliczny gigolo...”

T.L.: No i Fryderyk Járosy!

F.J.: [śpiewa piosenkę *Osiemnaście lat*.]

Przychodzi do mnie i podnosi na mnie wzrok
I mówi: — Pan mnie nie zna, ale ja znam pana
Ujrzałam pana po raz pierwszy temu rok, i już od roku jestem w panu... zakochana
Tak miło, słodko powiedziała mi te słowa
I poczułem jakby z góry spadł na nas biały kwiat...
I usłyszałem: Fryderyku, gdzie jest twoje osiemnaście lat...³

F.J.: Dzięki Bogu, że to nie telewizja, i nikt nie widzi w tej chwili łez w moich oczach. Bo co tu dużo gadać — to był szczyt kabaretu literackiego i drugiego z takimi talentami i w takiej atmosferze — nie było wtedy w Europie!

[fortepian, ostatnie słowa piosenki:]

Wśród życiowych fal
Rozpacz, smutek, żal
Ulatują w dal,
Jak dym rozwiany z papierosa!⁴

LIST STEFCI GÓRSKIEJ DO TADEUSZA WITTLINA

Warszawa 7 II [19]76 r.

Kochany Tadziu!

Nareszcie wzięłam się w kupę i tak jak Ci obiecałam, zaczynam pisać krótki pamiętnik mojego pożycia z Fryderykiem Járosym. Otóż jak Ci prawdopodobnie wiadomo byłam w szkole muzycznej pod nazwą Szkoła Umuzycznienia Stefana i Tacjanny Wysockich. W szkole tej byłam na dwóch wydziałach. Na wydziale pedagogicznym, który kształcił na nauczycielki rytmiki i solfeżu, i na wydziale tanecznym pod „batutą” Tacjanny Wysockiej. I jeden i drugi wydział ukończyłam, otrzymawszy dyplomy z wyróżnieniem.

³ Piosenkę *Osiemnaście lat* napisał Marian Hemar (muzyka Leona Boruńskiego). Járosy śpiewał ją w rewii Cyrulika Warszawskiego „Wieczna undulacja” (prem. 20 XII 1935).

⁴ *Dymek z papierosa*, muzyka G. Goubiera, słowa L. Konarski.

W roku 1926 p. Tacjana postanowiła stworzyć teatrzyk pod nazwą Teatr Sztuki Tanczej. Maleńki, bo salka była nieduża, na 50 miejsc, i raz na tydzień, we wtorki tańczyliśmy dwugodzinny program oparty na muzyce poważnej, jak: Chopin, Beethoven, Rachmaninow, Debussy itd. Pani Tacjana wybrała do tych występów najlepsze tancerki, jak: Jadwiga Hryniewiecka, Jadwiga Mierzejewska, Zofia Jentysówna, Rysia Krajewska, obie Berlinerówny, Zosia Olechnowicz (późniejsza Dymszyna), Irena Szarska, Janka Łukaszewicz i mnie.

Otóż do tego teatrzyku zamówili się na nasz występ trzej panowie z Qui Pro Quo: Jerzy Boczkowski, Fryderyk Járosy i Julian Tuwim. Przyszli ażeby zaangażować nasz zespół do Qui Pro Quo, jeżeli im się nasz koncert spodoba. Miałyśmy cholerną tremę. Ale tego rodzaju trema raczej pomaga. Po skończonym występie gratulacjom nie było końca. Byli zachwyceni. W czasie rozmowy Járosy zapytał, „kto jest ta mała czarna”. To byłam ja!

I czy w zespole jest uczennica, która potrafiłaby coś niecoś zaśpiewać i zagrać na fortepianie.

To właśnie okazałam się ja. Zasiadłam do fortepianu i już bez tremy zagrałam i zaśpiewałam piosenkę z repertuaru Zuli Pogorzelskiej, którą uwielbiałam, *Ta mała piła dziś i jest wstawiona*. Járosy był zachwycony. I tak się zaczęła moja kariera artystyczna w Qui Pro Quo. Cały zespół był zaangażowany, a dla mnie, na prośbę Járosy’ego, Tuwim napisał piosenkę *Nie bój się mamy, bo mama też nie była święta*, a Hemar, napisał piosenkę na dwa fortepiany dla mnie i Zosi Terné *Bernardzie, Bernardzie, choć zginę, chcę w ramiona twoje paść*. I przy tym dorosłym tekście byłyśmy bardzo zabawnie ubrane. Jak dwie smarkule. Krótkie sukieneczki, gołe nogi, w buciczkach i w skarpetkach. A na głowach olbrzymie kokardy. To był szlagerowy numer, bo po piosence był rewiowy taniec. Wszystkie były ubrane tak jak my obie.

W teatrze, po naszym przyjściu od razu potworzyły się pary. Zosia Olechnowicz z Dymszą, Lola Berlinerówna z dyrygentem Ivo Wesbym. A ja z Járosym. Ponieważ byłam od pół roku mężatką (moim mężem wówczas był dziennikarz Stefan Reinstein, syn znanego satyryka, który pisał do pisma satyrycznego „Mucha”), a Járosy był z Ordonówną, trzeba było tak aranżować nasze spotkania, żeby nikt o tym nie wiedział. A w jaki sposób? Otóż naprzeciwko naszej garderoby był zainstalowany telefon. Ponieważ drzwi na korytarz były stale otwarte, słyszało się wszystkie rozmowy telefoniczne. Járosy umówił się ze mną w ten sposób, że niby będzie rozmawiał ze swoją znajomą, ale ta rozmowa była przeznaczona dla mnie. I w ten sposób wiedziałam gdzie, kiedy, i o której godzinie mam się z nim spotkać. Járosy był starszy ode mnie prawie o dwadzieścia lat, a ja byłam młodą, niedoświadczoną dziewczyną, wiedział w jaki sposób mnie w sobie rozkochać. Wiedziałam, że był żonaty i miał dwoje dzieci, syna i córkę. I nigdy z nikim w Polsce nie był ożeniony, bo nie miał rozwodu ze swoją żoną. Zresztą nie chciał. Tak mu było wygodnie. Plotkowali, że był mężem Olgi Czechowej, filmowej rosyjskiej (potem niemieckiej) aktorki. Nic podobnego! Ani z nią, ani z Ordonówną, ani ze mną nie miał ślubu. Przede wszystkim bardzo kochał dzieci, które z matką mieszkały w Wiedniu. Co miesiąc posyłał im ogromne pieniądze, a raz do roku, podczas urlopu, jechał do nich na dwa tygodnie, a drugie dwa tygodnie spędzał ze mną. Opiszę, bo to ciekawe, jak rozstał się z Ordonką. Otóż nasz zespół wstąpił do Qui Pro Quo w maju 1928 roku, a teatr w lipcu jeździł na cały miesiąc do Lwowa na występy z czterema premierami, a w sierpniu były urlopy. Ponieważ w pierwszym programie we Lwowie, nie brałyśmy udziału, dopiero w drugim, teatr wyjechał przy końcu czerwca, a my tydzień później. Jechałyśmy pociągiem. I kto mnie wita w Przemyślu z kwiatami. Oczywiście Járosy. Wszystkie były zdumione, a ja szalałam z radości. Naturalnie o tej eskapadzie dowiedziała się Ordonówna (zazdrosnych donosicielek było kilka). W parę dni później, Ordonówna poprosiła mnie,

panią Wysocką i Fryderyka do siebie do hotelu na rozmowę. Boże, jaka byłam przerażona, to trudno opisać. Ordonka zachowała się wspaniale. Powiedziała, że do mnie nie ma pretensji, że rozumie, że mógł mi zawrócić w głowie, tylko do niego. On naturalnie zaczął jej wypominać jej flirty, a potem powiedział, że jeżeli chodzi o mnie, jak dziś pamiętam: „moja droga, serce nie sluga”, nie wymawiał „f”, tylko „l”. I wtedy Ordonka pokazała mu drzwi i powiedziała: „wynoś się!”.

Myśmy z panią Tacjaną zostały. Ja siedziałam jak na szpilkach. Ona nas przeproszała i mówiła, że chce ze mną być w jak najlepszych stosunkach. I rzeczywiście w późniejszym okresie, pomagała mi w opracowywaniu numerów, stawiała tańce. W ogóle byliśmy w przyjaźni. Prosiła tylko, żebym się nie afiszowała w teatrze z Járosym, a poza teatrem możemy robić co nam się podoba. Przyrzekłam jej, ponieważ rozumiałam, że potrzebny jest jej spokój w pracy. Járosy wyprowadził się od niej i wynajął dwa pokoje na Nowogrodzkiej i ja tam przychodziłam. Mieszkałam wówczas z mężem na Hożej, a więc w pobliżu, ale nigdy nie zostawałam na noc u Fryderyka, tylko spotykałam się po południu. Już nie pamiętam, jak to było i kiedy mój mąż dowiedział się o moim romansie. W każdym razie jak się dowiedział, że się wyprowadzam, ponieważ postanowiłam się z nim rozwieść, bardzo ciężko to przeżył. Najlepszy dowód, że do dzisiejszego dnia drugi raz się nie ożenił. A mnie wówczas Járosy wynajął mieszkanie, za bardzo drogie komorne, dwa pokoje z kuchnią, łazienką, na Narbutta. W mieszkaniu tym mieszkałam do wojny. Dzięki Járosy'emu byłam pierwszy raz za granicą. Byliśmy w Wiedniu, Salzburgu i kilku innych miejscach w Austrii. Potem w Berlinie, w Dreźnie. W Pradze czeskiej, w Piszczanach w kurorcie, gdzie Járosy leczył się na artretyzm.

Z Fryderykiem byłam dziewięć lat! Do 1937 roku. W późniejszych latach irytowało mnie, że ani się nie mógł ożenić, ani nie mieszkaliśmy razem, bo on sobie tak życzył. Ponieważ w pierwszych latach naszego pożycia byłam bardzo zakochana, nie zwracałam uwagi na jego wady. Był abstynentem i mnie nie wolno było pić nawet kieliszka. Natomiast uwielbiał karty. Prawie całymi nocami grał w pokera. A przy tym nie miał szczęścia i przeważnie przegrywał. I to nie był groszowy poker! Więc jak powiedziałam, pierwsze dwa lata, kiedy byłam bardzo zakochana, siedziałam przy nim i kibicowałam mu całymi nocami. Aż pewnego dnia spojrzałam w lustro i nie mogłam uwierzyć, że 22 letnia kobieta ma zmarszczki. Przestałam mu kibicować. Natomiast nalegałam, żeby od czasu do czasu poszedł ze mną na dansing. Uwielbiałam tańczyć. Na tym tle ciągle były scysje. On chciał iść na karty, ja na dansing. Kiedyś, pamiętam, była straszna draka. To było zimą. Janka Romanówna zaprosiła Fryderyka na jakieś przyjęcie. Naturalnie mnie nie zaprosiła. Zawsze byłam szalenie ambitna. Bardzo mnie to zabolowało. Postanowiłam nie dopuścić do tego pójścia na ten bal. Jak zwykle odwiózł mnie do domu po przedstawieniu i prosiłam, żeby wszedł na górę na chwilę rozmowy. Powiedziałam mu wręcz, że na to przyjęcie nie pójdziesz, ponieważ ja tam nie zostałam zaproszona. On zaczął się śmiać. I powiedział, że to byłby dla Janki afront, gdyby nie poszedł. Od słowa do słowa zaczęła się kłótnia. Takich momentów w późniejszym okresie było kilka. Nie będę opisywać naszego rozstania. W każdym razie, nie on ode mnie odszedł, jak mówiono w teatrze, ale ja odeszłam, bo zakochałam się w Lowie Boruńskim, znakomitym pianiście, ciotecznym bracie Tuwima i Krukowskiego. Dla mnie się wychrzczył. Niestety nie pobraliśmy się, bo wybuchła wojna i on musiał uciekać z Warszawy.

Tadziu, Ty się mylisz, Zula Pogorzelska umarła w Warszawie². Przecież ja chodziłam do niej.

Miała piękne mieszkanie na Mokotowie, przy ulicy Asfaltowej. To był właściwie domek jednopiętrowy. Mówiła, że jak była zdrowa, to miała tyłu przyjaciół, a jak jest chora, to tylko ja jej zostałam z tej całej plejady. Na wyprowadzeniu Zuli (na Powązkach)

było tak strasznie dużo ludzi, że ja nie pamiętam czy byłam przy samym grobie. Ale wydaje mi się, że możesz napisać o tym pogrzebie. Jakaś rodzina jej została, ale to nie ma znaczenia. A będziesz się przejmował starym, zramolałym Krukowskim, albo Sempolińskim? Śmieszne! Krukowski nigdzie nie występuje, natomiast Sempoliński gra w moim programie w „Syrenie”.

I jeszcze jedno. Taziu, pytałeś gdzie i w którym roku śpiewałam *Rumbę Hipochondryczki*.

Oczywiście, że pamiętam! W Cyruliku Warszawskim, rok 1936. W kostiumie projektu pani Geny Galewskiej! Piękny był ten kostium, mam go przed oczyma.

Kochani, już tyle nabazgrałam, że aż ręka mnie boli. Całuję Was mocno

Stefcia

¹ Stefania Górska (1907–1986), tancerka, piosenkarka, aktorka, kompozytorka.

² Zula Pogorzelska zmarła w 1936 w Wilnie. Pojechała tam na kurację. Została przewieziona do Warszawy i tu pochowana na Cmentarzu Powązkowskim.

JERZY GIEDROYC A „PRZEŁOM PAŹDZIERNIKOWY” W POLSCE

Zbigniew GIRZYŃSKI (Toruń)

Postawa polskiej emigracji politycznej wobec „przełomu październikowego” w Polsce stała się w ostatnim czasie częstym obszarem badań polskich historyków¹. Rok 1956 stanowi bowiem nie tylko ważną cezurę w dziejach PRL, ale odegrał także istotną rolę w historii polskiej emigracji. Stosunek do Października pogłębił bowiem różnice polityczne na i tak poważnie już podzielonej konfliktami polskiej emigracji².

Na szczególną uwagę zasługuje jedno z najbardziej opiniotwórczych środowisk emigracyjnych — paryska „Kultura”. Stworzona i wydawana przez Jerzego Giedroycia „Kultura” stanowi jeden z największych pomników polskiej emigracji niepodległościowej po II wojnie światowej. Składa się na ten pomnik ogromna ilość cennych artykułów i wydawanych przez Instytut Literacki książek³, które odgrywały istotną rolę kształtując świadomość polską zagranicą oraz docierając w bezpośredniej formie czy w postaci przedruków do kraju⁴.

Mimo iż „Kultura” ukazywała się na emigracji to dystansowała się od emigracyjnych sporów i zajmowanej przez emigrację londyńską niezłomnej postawy⁵. Jak pisał na łamach

¹ Por. np.: P. Ziętara, *Emigracja wobec Października. Postawy polskich środowisk emigracyjnych wobec liberalizacji w PRL w latach 1955–1957*. Warszawa 2001; 1956. *Polska emigracja a Kraj. Antologia źródeł*, pod red. M. M. Drozdowskiego. Warszawa 1998

² Szerzej: A. Siwik, *Polski październik a emigracja*, *Przegląd Polonijny* 1994 z. 1 s. 79–94.

³ Por.: J. Kowalik, „Kultura” 1947–1957. *Bibliografia zawartości treści. Działalność wydawnicza (1946–maj 1959)*. Paryż 1959; M. Danilewicz Zielińska, *Bibliografia, t. 1: „Kultura” (1958–1973), „Zeszyty Historyczne” (1962–1973), Działalność wydawnicza (1959–1973)*. Paryż 1975; t. 2: 1974–1980. Paryż 1981; t. 3: 1981–1987. Paryż 1989; A. Supruniuk, M. A. Supruniuk, *Bibliografia. „Kultura” (1988–1996), „Zeszyty Historyczne” (1988–1996), Działalność wydawnicza (1988–1996)*. Paryż 1997; M. A. Supruniuk, „Kultura”. *Materiały do dziejów Instytutu Literackiego w Paryżu. Bibliografia działalności wydawniczej 1946–1990 (Uzupełnienia)*. Toruń 1994.

⁴ M. A. Supruniuk, „Kultura”. *Materiały źródłowe do dziejów Instytutu Literackiego w Paryżu, t. 2: Bibliografia przedruków wydawnictw Instytutu Literackiego w Paryżu w niezależnych oficynach wydawniczych w Polsce w latach 1977–1990*. Warszawa 1995.

⁵ Por.: A. Siwik, *Juliusz Mieroszewski jako publicysta polityczny paryskiej „Kultury”*, *Przegląd Polonijny* 1992 z. 3 s. 113–133.

paryskiej „Kultury” najbliższy współpracownik i główny doradca polityczny Giedroycia Juliusz Mieroszewski:

historia zna tylko dwie kategorie emigrantów politycznych. Pierwsi opuszczają kraj, by za granicą walczyć o postęp i wolność. Drudzy opuszczają kraj, by na obczyźnie bezpłodnie marzyć o przywróceniu *status quo*. Pierwsi reprezentują siły postępu, drudzy — reakcję i wsteczność. „Kultura” jest pismem tej pierwszej kategorii⁶.

Takie podejście redakcji pisma wpływało też na stosunek do niego emigracyjnych twórców, choć zdaniem Rafała Habielskiego:

nie uprawnia to jednak do stawiania tezy o wyraźnym podziale na pisujących do „Kultury” (poza ścisłym kręgiem współpracowników) i do periodyków „niezłomnych”⁷.

Okres jaki nastąpił w związku z Październikiem to największe zachwianie paryskiej „Kultury” w jej nieprzychylnym postawie wobec komunizmu. Giedroyc i J. Mieroszewski udzielili Gomułce „kredytu zaufania” czym zresztą narazili się znacznej części „niezłomnej” londyńskiej emigracji. Giedroyc wydał nawet w formie broszury ogłoszone na październikowym plenum przemówienie Gomułki. Jeszcze w rok po październiku redakcja nie cofnęła „kredytu zaufania” udzielonego Gomułce choć, jak twierdziła, było już go „bardzo mało”. Taka postawa wynikała po pierwsze z chęci wykorzystania nadarzającej się okazji do legalnego ukazywania się pisma w kraju, po drugie z przekonania, że Gomułka stworzy z Polski suwerenne choć komunistyczne państwo, wzorowane na Jugosławii, a emigracja z dużym udziałem „Kultury” doprowadzi w dalszej kolejności do przywrócenia demokracji⁸. „Kultura” liczyła także, że przebieg destalinizacji w Polsce będzie miał pozytywny wpływ na inne kraje europejskie znajdujące się pod sowiecką dominacją⁹.

Październik przyniósł dla „Kultury” także wymierne korzyści. W początkowym okresie swobody mogła ona swobodnie docierać za pośrednictwem poczty do czytelników w kraju, na czym Giedroycowi bardzo zależało. Trwało to jednak krótko i już w 1957 r. była ona konfiskowana i wraz z innymi niezależnymi wydawnictwami jako makulatura trafiała do młynów przemysłowych w papierni w Jeziornie¹⁰.

Zauroczenie Giedroycia i „Kultury” Październikiem, zwłaszcza na tle postaw ogółu polskiego społeczeństwa, nie było czymś niezwykłym. Zresztą już latem 1957 r. zachowywał Giedroyc w stosunku do Gomułki o wiele więcej powściągliwości niż Dyrektor Radia Wolna Europa Jan Nowak Jeziorański¹¹. Jednak na tle niezwykle ostrożnych w ocenie sytuacji w kraju emigracyjnych elit politycznych, stosunek Giedroycia i „Kultury” do Gomułki i Października należy uznać za zadziwiająco otwarty.

Zamieszczony poniżej tekst jest zapisem pierwszej rozmowy, jaką w szczytowym okresie fascynacji Gomułką odbył Jerzy Giedroyc z Konsulem Generalnym PRL w Pary-

⁶ K. Pomian, *W kręgu Giedroycia*. Warszawa 2000 s. 27; por.: J. Mieroszewski, *Budujemy dom*, *Kultura* 1954 nr 10 s. 5.

⁷ R. Habielski, *Życie społeczne i kulturalne emigracji*. Warszawa 1999 s. 139.

⁸ R. Wawryniewicz, *Od „gomułkizmu” do „rewizjonizmu” — paryska „Kultura” w latach 1956–1958*, *Głos* 1991 nr 2 s. 20–34.

⁹ M. S. Wolański, *Europa Środkowo-Wschodnia w myśli politycznej emigracji polskiej 1945–1975*. Wrocław 1996 s. 226–227.

¹⁰ A. S. Kowalczyk, *Giedroyc i „Kultura”*. Wrocław 1999 s. 201.

¹¹ K. Pomian, *W kręgu Giedroycia*, s. 98.

zu Edwardem Wychowańcem¹². Rozmowa ta była częścią prowadzonej w 1957 r. przez młodego Konsula, jakim był Wychowaniec, ofensywy zmierzającej do zbliżenia się władz PRL przynajmniej do części środowisk emigracyjnych. Spotkania z przywódcami Stronnictwa Pracy: Karolem Popielem, Sewerynem Eustachiewiczem czy Stanisławem Gebhardtem, wyjazdy w teren i spotkania z lokalnymi liderami organizacji emigracyjnych, kontakty z kierownictwem Sekcji Polskiej Radia Francuskiego, wypełniały ściśle kalendarz obowiązków Konsula Generalnego PRL w Paryżu w 1957 r. Rozmowę z Jerzym Giedroyciem, z racji rangi kierowanego przez niego pisma, należy jednak zaliczyć do najistotniejszych.

Błędną ocenę planów Gomułki nazwał Mieroszewski w liście do Giedroycia „kłęską”, z której przyszło się „Kulturze” dźwigać pięć lat. Rozczarowanie Gomułką uczulało redakcję „Kultury” do zachowania o wiele bardziej powściągliwej oceny wydarzeń w Polsce w późniejszych latach np. w roku 1970¹³. Po latach zachwiania i wiary w Gomułkę 1956–1958, przyszedł rok 1958, w którym

za jedno z najważniejszych zadań uznała „Kultura” zniszczenie „mitu Gomułki”, do którego powstania sama się także przyczyniła¹⁴.

¹² Archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie (dalej AMSZ), z. 20, w. 60, t. 825, Notatka służbowa Konsula Gen. PRL w Paryżu Edwarda Wychowańca z rozmowy z Jerzym Giedroyciem z 6 II 1957 r.

¹³ R. Wawryniewicz, *Od „gomułkizmu” do „rewizjonizmu”...*, s. 33–34.

¹⁴ J. Korek, *Paradoksy paryskiej „Kultury”. Styl i tradycja myślenia politycznego*. Lublin 2000 s. 282.

Przerejestrowano F 272/2/57

KONSULAT GENERALNY POLSKI
W PARYŻU
CONSULAT GÉNÉRAL DE POLOGNE
A PARIS
31, RUE JEAN GOUJON (VIII^E)

PARYŻ, dn. 9. II. 1957 roku
Paris, le
Konto pocztowe Nr 855.39 Paris
Compte Chèques Postaux

Poufne

Nr 80/1/57

D II F 086/8/57 – 13 II 1957

W sprawie
Objet

Do
Ministerstwa Spraw Zagranicznych
Departament II-gi
Tow. Birecki Henryk¹⁵
Warszawa

W załączniku przesyłam notatkę z rozmowy z panem Giedroyciem, Naczelnym Redaktorem „KULTURY” w Paryżu do wiadomości i ewentualnego wykorzystania.

Zał: notatka

Pieczczę:

mgr Edward Wychowaniec¹⁶
Konsul Generalny PRL
W Paryżu
[Podpis nieczytelny]

¹⁵ Henryk Birecki (ur. 1916), właściwe nazwisko Birnbaum. Członek PZPR. Od 1 I 1949 do 31 VIII 1968 pracownik MSZ. Od 1 I 1949 do 30 XI 1949 II a następnie I Sekretarz Ambasady w Paryżu, od 15 III 1950 do 30 III 1951 Dyrektor Protokołu Dyplomatycznego, od 1 VII 1951 do 30 IX 1956 Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny — Stały Przedstawiciel PRL przy ONZ w Nowym Jorku, od 1 X 1956 do 4 XII 1959 Dyrektor Departamentu II (kraje Europy Zachodniej), od 5 XII 1959 do 31 VIII 1968 Dyrektor Departamentu Współpracy Kulturalnej i Naukowej. W czasie sprawowania funkcji ministra spraw zagranicznych przez Adama Rapackiego Birecki był jego najbliższym doradcą i należał do kolegiального kierownictwa resortu. Z pracy w MSZ odszedł wraz z Rapackim i wyemigrował do Francji. Podczas pobytu na emigracji ujawnił m.in. kulisy prowadzonych przez władze PRL akcji wymierzonych w Radio Wolna Europa, „Kulturę” i emigrację polską. Twierdził także, że tzw. plan Rapackiego nie był autorstwa PRL-owskiego ministra spraw zagranicznych ale został narzucony przez ZSRS. Por.: AMSZ,teczka personalna Henryka Bireckiego; [Zdzisław Jeziorański] J. Nowak, *Polska z oddali. Wojna w eterze — wspomnienia, t. 2: 1956–1976*. Londyn 1988 s. 288, 300, 319–320; M. Dobrosielski, R. Frelek, B. Sujka, *Wybitni dyplomaci XX wieku*. Warszawa 1996 s. 235.

¹⁶ Edward Wychowaniec (ur. 1924), od 15 X 1956 do 18 VII 1989 zatrudniony w MSZ. Od 15 X 1956 do 30 VI 1963 r. Konsul Gen. PRL w Paryżu, od 1956 do 15 V 1966 Naczelnik Wydziału Osobowego a następnie Wicedyrektor Departamentu Kadr, od 29 IX 1966 do 8 IV 1971 Wicedyrektor Departamentu Konsularnego, 25 X 1973 do 1 VI 1977 Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny PRL w Brazylii, 1 VIII 1977 do XII 1979 Wicedyrektor Protokołu Dyplomatycznego, 6 XII 1979 do 16 XI 1982 Ambasador Nadzwyczajny i Pełnomocny PRL w Kolumbii, 1 II 1983 do IX 1986 Wicedyrektor Departamentu Konsularnego, od 1 X 1986 do 30 VI 1989 Konsul Gen. PRL w Paryżu. Por.: AMSZ,teczka personalna Edwarda Wychowańca.

Notatka służbowa

W dniu 6-go lutego br. spotkałem się na własne życzenie z redaktorem „Kultury” — Giedryciem [tak w oryginale] Jerzym. W rozmowie, która była pierwszą oficjalną rozmową przedstawiciela Konsulatu z przedstawicielem tego pisma, wysunęłem [tak w oryginale] następujące zagadnienia:

- 1/ Jakie jest stanowisko „Kultury” i czy może podjąć akcję
 - a) w sprawie pomocy dla Konsulatu w zjednoczeniu wysiłków na polu pogłębienia pracy kulturalno-oświatowej wśród polonii,
 - b) w sprawie zjednoczenia szkolnictwa konsularnego i „niezależnego”,
 - c) w sprawie zapobieżenia szybkiemu wynarodowieniu Polaków.
- 2/ Co myśli grupa „Kultury” o Kongresie Polonii Francuskiej¹⁷ i o jego działalności?
- 3/ Dlaczego dotychczas nie zajęła stanowiska w sprawie Biblioteki Polskiej¹⁸ i co o niej myśli?
- 4/ Jak zdaniem „Kultury” można nawiązać ściślejszy kontakt między przyjeżdżającymi z Kraju przedstawicielami świata nauki i kultury a miejscową polską inteligencją i jak to środowisko można wykorzystać do szerszej pracy wśród polonii?
- 5/ Czy „Kultura” ustosunkuje się do wyborów w Kraju¹⁹ i jeśli tak, to w jakim sensie?

W rozmowie, która była prowadzona w swobodnym tonie i dość przyjemnej atmosferze uzyskałem następujące odpowiedzi.

ad. 1-a) Generalnie „Kulturę” nie interesują sprawy „szarej masy” emigracji polskiej i nie widzi potrzeby podejmowania jakichś wysiłków w tym zakresie, gdyż to i tak nie da żadnych rezultatów z powodu że

¹⁷ Kongres Polonii Francuskiej powstał 19 VI 1949 r. Został stworzony głównie przez działaczy konserwatywnie nastawionego Polskiego Zjednoczenia Katolickiego i miał być przeciwagą dla zdominowanego przez socjalistów Centralnego Związku Polaków utworzonego w maju 1945 r. Z uwagi na słabnącą pozycję CZP zdominował z czasem życie emigracyjne we Francji. Por.: H i J. Kudlikowscy, *Przebyta droga. Działalność polskich organizacji społecznych we Francji w latach 1949–1979*. Lens 1986.

¹⁸ Biblioteka Polska w Paryżu została utworzona w 1838 r. Opiekę nad Biblioteką sprawowało Towarzystwo Historyczno-Literackie (THL). W 1893 Towarzystwo przekazało Bibliotekę Akademii Umiejętności w Krakowie (od 1919 Polska Akademia Umiejętności — PAU) warunkowym aktem darowizny. Po II wojnie światowej rozgorzał spór o prawo do Biblioteki między władzami komunistycznymi w Polsce (po zlikwidowaniu PAU władze twierdziły, że prawa własności Biblioteki przeszły na Polską Akademię Nauk — PAN), a reaktywowanym THL. 8 VII 1959 r. Sąd Apelacyjny w Paryżu nie rozstrzygnął sprawy własności Biblioteki i ustanowił administratora sądowego, który wydzierżawił Bibliotekę THL, najpierw na 18 lat, a następnie przedłużył dzierżawę do roku 2030. Od 2000 r. Biblioteka jest przedmiotem kolejnego sporu. Zarząd THL przekazał 50% własności Biblioteki odtworzonej w latach 90. PAU w Krakowie. Przeciwno takiemu rozwiązaniu oponuje Stowarzyszenie Obrony Biblioteki Polskiej wspierane przez rektora Polskiej Misji Katolickiej we Francji ks. prałata Stanisława Jeża. Por.: I. Gałęzowska, *Bibliothèque Polonaise de Paris 1839–1939*. Paris 1946; Cz. Chowaniec, *Podstawy ideowe Biblioteki Polskiej w Paryżu*. Paryż 1956; Association de défense de la Bibliothèque Polonaise [on-line]. [Dostęp — kwiecień 2002]. Dostępny w WWW: <http://assoc.bibliopolonais.free.fr>.

¹⁹ Chodzi o wybory do sejmu z 20 I 1957 r., w których Gomułka wezwał do „głosowania bez skreśleń”.

— nie dopuszczą do porozumienia poszczególni przywódcy różnych ugrupowań ze względów czysto osobistych (a nie idei, które reprezentują) t.j. Chęci przewodzenia i związanych z tym honorami.

— sprawa ta nie udała się nawet przed wojną, gdyż emigracja polska zawsze była skłócona. Właściwa linija [tak w oryginale] podziału we Francji, wg. Giedroycia, przebiega bowiem nie między przedstawicielami Kraju i różnymi ugrupowaniami politycznymi emigracji, a w łonie samej emigracji np. między PSL a SPK, PSL a Andersowcami itp.

— w ogóle nie ma potrzeby wysilać się z pracą polonijną bo same masy tym się nie interesują i nie jest ona im potrzebna. Żyją one własnym życiem miejscowego francuskiego społeczeństwa, które znacznie lepiej rozumieją niż życie w Kraju.

b) nie uda się ujednoczyć szkolnictwa z powodu zbyt dużych rozbieżności ideologicznych między różnymi organizacjami oraz między nimi a nami. Poza tym brak jest podstaw do tego, żeby to szkolnictwo dobrze zorganizować (brak kadry fachowej, brak podręczników, które trzeba napisać na nowo). Również uważa, że nie będzie ono nigdy atrakcyjne i pożyteczne dla polskiej młodzieży bo nie przygotowuje jej dostatecznie do pracy w środowisku francuskim a jeszcze gorzej do życia w środowisku polskim (zresztą do Polski mogą wrócić tylko jednostki). Nawet taka szkoła jak Liceum Polskie w Paryżu²⁰ czyni młodzieży krzywdę, gdyż przez szereg lat utrzymuje ją w sztucznych warunkach, bo z gruntu rzeczy jest to już młodzież francuska (urodzona we Francji i przepojona wychowaniem środowiska francuskiego).

c) Z powyższych powodów wyciąga wnioski o nieuchronności wynaradawiania i z góry przewiduje, że nasze wysiłki nie przyniosą rezultatów, których oczekujemy.

Jedno co można zrobić według Giedroycia to:

— właściwie informować polonię o sytuacji w Kraju przez wykorzystanie i współpracę z Sekcją Polską Radia Francuskiego²¹: np. domówić się z nimi o zamieszczeniu skrzynki konsularnej (poruszającej problemy pracy konsularnej wśród emigracji)²².

²⁰ Liceum Polskie w Paryżu zostało utworzone z inicjatywy Polskiej Misji Katolickiej w listopadzie 1939 r. jako Gimnazjum-Liceum im. Cypriana K. Norwida. Po kapitulacji Francji w 1939 r. zostało przeniesione z Paryża do Villard-de-Lans. W 1946 r. placówka została przejęta przez władze komunistyczne w Warszawie, które przenieśli szkołę do Paryża na ulicę Lamandé. W związku z malejącą liczbą uczniów szkoła została zamknięta w 1963 r. Szerzej: E. Gogolewski, *Szkolnictwo polskie we Francji (1833–1990)*. Wrocław 1998.

²¹ Sekcją Polską Radia Francuskiego — Radiodiffusion — Télévision Française, Section Polonaise. W grudniu 1944 r. radio francuskie zaczęło nadawać audycje w języku polskim. Półgodzinna audycja popołudniowa przeznaczona była dla emigracji w północnej Francji i Belgii, a godzinna audycja wieczorna skierowana była do słuchaczy w Polsce. Audycje nadawane były głównie na falach Radia Lille. Popularność audycji zmalała po powstaniu Radia Wolna Europa. Podobnie jak inne sekcje zagraniczne Sekcja Polska przestała nadawać swoje programy 1 I 1975 r., zachowane zostały jednak w częściowej formie audycje dla robotników polskich pracujących w północnej Francji. Na nowo audycje w rozbudowanej formule zostały uruchomione po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego w 1981 r. Nadawane są do dziś, w ramach stworzonego Francuskiego Radia Międzynarodowego (RFI) nadającego programy w 18 językach.

²² Konsul Edward Wychowaniec skorzystał z rady Giedroycia i spotkał się z kierownictwem Sekcji Polskiej Radia Francuskiego. Zgodnie z sugestią redaktora „Kultury” wystąpił podczas tych spotkań z propozycją stworzenia „skrzynki konsularnej”. Por.: AMSZ, z. 20, w. 60, t. 825, Notatka służbowa Konsula Gen. PRL w Paryżu Edwarda Wychowańca z rozmowy z zastępcą Kierownika Sekcji Polskiej Radia Francuskiego Święcickim z 28 III 1957; AMSZ, z. 20, w. 60, t. 825, Notatka służbowa Konsula Gen. PRL w Paryżu Edwarda Wychowańca z rozmowy z Kierownikiem Sekcji Polskiej Radia Francuskiego Moosmannem z 3 IV 1957.

Sądzi, że Sekcja Polska pójdzie na to, bo rozmawiał już w tej sprawie z jej kierownikiem Mosmanem [tak w oryginale]²³ i jego zastępcą Świącickim²⁴.

— lepiej kolportować czasopisma i książki polskie. Obecna Księgarnia Polska²⁵, zdaniem jego, robi to źle nie terminowo realizuje zamówienia (sam czekał rok czasu na „Robinsona Crusoe” dla swojego syna) niepotrzebnie propaguje książki ideologiczne i niepotrzebnie mieści się w budynku Konsulatu, bo to odstrasza wielu ludzi. Proponuje zwiększyć podaż klasyków polskich, gdyż te książki przede wszystkim są poszukiwane.

Przy okazji oświadczył, że gazeta „Wiadomości”²⁶ czyni więcej szkody niż dobrogo i dezorientuje swoimi artykułami emigrację. Na wzmiankę moją, czy widzi konieczność powstania innej gazety, obiektywnie informującej o sytuacji w Kraju — mówi, że nie widzi potrzeby. Nikt jej nie będzie czytał a rzeczy te z powodzeniem może robić prasa krajowa, lepiej kolportowana we Francji. Uważa też, że gdybyśmy próbowali zorganizować nową gazetę, to natknemy się na brak fachowców, co przesądza o poziomie gazety.

ad. 2. Kongres Polonii Francuskiej — to fikcja. Nie ma żadnej pracy z jego strony i nigdy nie będzie w stanie jej podjąć. Nawet ksiądz Kwaśny²⁷, który jest w zarządzie nie da rady nic zrobić, gdyż kler polski we Francji jest do tego za słaby.

²³ Moosmann André (1910–1998), jego związki z Polską ograniczały się do słabej znajomości języka polskiego (znał także rosyjski) i posiadania żony — Polki. Przed II wojną światową przez rok przebywał w Polsce pracując w Instytucie Francuskim. Po wojnie francuskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych oddelegowało go do kierowania Sekcją Polską Radia Francuskiego, z czasem awansował na kierownika wszystkich sekcji obcojęzycznych francuskiego radia.

²⁴ Świącicki Tadeusz (1893–1973), absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie poznał i zaprzyjaźnił się ze swoim politycznym patronem Bogdanem Miedzińskim, czołowym działaczem sanacji, ostatnim przed wojną marszałkiem senatu. Świącicki, były Legionista i dowódca batalionu w wojnie polsko-bolszewickiej został w okresie międzywojennym jednym z czołowych dziennikarzy sanacyjnych. Pracował w redakcji „Gazety Polskiej”, został pierwszym redaktorem wydawanego od 1933 r. tygodnika literacko-społecznego „Pion”, był długoletnim kierownikiem Biura Informacji w Prezydium Rady Ministrów. W 1938 r. został kierownikiem Polskiej Agencji Telegraficznej w Paryżu. W czasie II wojny światowej uczestniczył w polskim ruchu oporu we Francji, więzień Buchenwaldu. Po wojnie zamieszkał we Francji gdzie związał się z Radiem Francuskim, obejmując wkrótce po utworzeniu funkcję sekretarza redakcji (w praktyce druga, po dyrektorze, osoba w redakcji) Sekcji Polskiej Radia Francuskiego. Publikował także na łamach prasy emigracyjnej m.in. w wydawanych przez Instytut Literacki w Paryżu „Zeszytach Historycznych”.

²⁵ W Paryżu istniało na przestrzeni XIX i XX w. szereg instytucji posługujących się nazwą Księgarnia Polska. Do najważniejszych należy zaliczyć Księgarnię Polską uznawaną za sukcesorkę pierwszej założonej w 1833 r. na obczyźnie polskiej księgarni w Paryżu, kierowaną w latach 1944–1965 przez Stanisława Lama; czy Libellę powstałą w 1946 r. W tym wypadku chodzi zapewne o Książkę Polską we Francji prowadzoną przez Polkę o francuskim nazwisku, Marię Fontaine, położoną przy ulicy Jean Goujon obok Konsulatu Generalnego PRL w Paryżu. Instytucja ta została zlikwidowana przed 1971 r. Por.: A. Kłossowski, *Księgarnie polskie we Francji w XX wieku*, [w:] *Kultura skupisk polonijnych. Materiały II sympozjum naukowego. Warszawa, 11–12 czerwca 1984*. Warszawa 1987 s. 1–29.

²⁶ „Wiadomości” — pismo wydawane od 1956 r. przez współpracujące z Ambasadą PRL wydawnictwo we Francji. Była to kolejna (14) próba wskrzeszenia kontrolowanego przez władze PRL polskojęzycznego dziennika we Francji, jaka nastąpiła po zamknięciu w 1952 r. „Gazety Polskiej”. Por.: J. Kowalik, *Bibliografia czasopism polskich wydawanych poza granicami Kraju od września 1939 roku, t. 4*. Lublin 1976 s. 72.

²⁷ Kwaśny Kazimierz (1900–1987), infulat, ksiądz diecezji przemyskiej. W 1917 ukończył gimnazjum w Jaśle. Służył w armii austro-węgierskiej i Legionach Polskich. Jednocześnie podjął

ad. 3. W sprawie Biblioteki Polskiej, jedyne wyjście to pójście na kompromis. Należy utworzyć mieszane kierownictwo które by w fachowy sposób zabezpieczyło prowadzenie Biblioteki i udostępniło ją wszystkim. „Kultura” nie będzie pisać o tym stanowisku, ponieważ mogłaby zostać źle zrozumiana przez różnych ludzi.

ad. 4. Stwierdza brak opieki ze strony Ambasady nad przyjeżdżającymi z Kraju intelektualistami. Nikt się nimi nie interesuje, nie pomaga im w maksymalnym korzystaniu z osiągnięć nauki i kultury francuskiej. Chodzą samopas i z konieczności wielu z nich zwraca się do „Kultury”. Z rozmowy wynikało, że osobiście kontaktuje się ze wszystkimi poważniejszymi osobami przyjeżdżającymi z Kraju. „Kultura” pomaga wielu z nich wskazując ciekawsze wydawnictwa, ułatwia kontakty z Francuzami, informuje o ciekawych osiągnięciach francuskich itp.

Widzi potrzebę przyjazdu tych ludzi do Francji dla przeniesienia zdobyczy Zachodu do Kraju i wykorzystania ich dla jego rozwoju. Emigracji w zasadzie ci ludzie są niepotrzebni.

ad. 5. „Kultura” skomentuje wybory w sensie (prawie dosłowne wyrażenie) „Uważam, że społeczeństwo polskie, zdając sobie sprawę, iż jest w przymusowej sytuacji, wybrało mniejsze zło głosując na program Gomułki”²⁸, dało tym samym kredyt zaufania dla Go-

studia teologiczno-filozoficzne. 23 V 1923 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Był wybitnym kaznodzieją i bliskim współpracownikiem ks. bpa Pelczara. Pod koniec 1929 r. przyjechał z grupą polskich robotników do Antwerpii. Z powodu naglących potrzeb duszpasterskich we Wschodniej Francji w czerwcu 1930 r. objął placówkę w Auden-le-Tiche. W 1940 r. wraz z polskimi robotnikami opuścił Auden-le-Tiche, które jako strefa Linii Maginota zostało ewakuowane. Objął obowiązki proboszcza w Loudun (Vienne). W 1945 r. wraz z powracającymi wysiedleńcami powrócił do Auden-le-Tiche jako proboszcz a jednocześnie dziekan PMK na wschodnią Francję. Z nominacji ks. kardynała Hlonda został w 1947 r. Rektorem Polskiej Misji Katolickiej we Francji. Funkcję tę sprawował przez 25 lat do 1972 r., kiedy to na własną prośbę z przyczyn zdrowotnych został odwołany i emerytowany. Zamieszkał w Paryżu. Jako rektor przyczynił się do powstania Kongresu Polonii Francuskiej. Został wyróżniony godnością kanonika katedry przemyskiej, prałatem Jego Świątobliwości, a także protonotariuszem. Otrzymał odznaczenie Ordre de la Santé Publique. 27 V 1973 r. obchodził uroczyste złoty jubileusz kapłaństwa. Zmarł 23 XI 1987 r. Pogrzeb odbył się 1 XII 1987 r. Został pochowany w grobowcu misyjnym na cmentarzu Montmorency. Por.: *Schematismus Universi Venerabilis Cleri Saecularis et Regularis Dioecesis Premisliensis Rit. Lat., 1935*. Przemysł 1935 s. 120; Rocznik Diecezji Przemyskiej Ob. Łac. 1938 s. 177, 184; Rocznik Diecezji Przemyskiej 1952 s. 17, 139, 188; Duszpasterz Polski Zagranicą 1972 nr 3 s. 276–280; Tamże, 1973 nr 5 s. 511; Tamże, 1988 nr 1 s. 152–155.

²⁸ Władysław Gomułka, pseud. Wiesław i inne (1905–1982), polityk komunistyczny, od 1926 w KPP. Więziony w latach 1932–1934 i 1936–1939. W latach 1934–1935 w ZSRS. Po wybuchu II wojny światowej przebywał w Białymstoku i Lwowie, od 1941 r. członek WKP(b). W 1942 r. przeniósł się na Podkarpacie a następnie do Warszawy. Włączył się w działalność PPR, wchodząc najpierw w skład KC, później Sekretariatu KC, Biura Politycznego i obejmując funkcję Sekretarza Generalnego KC PPR. W PKWN, a następnie Rządzie Tymczasowym, TRJN i rządzie Cyrankiewiczza pełnił funkcję I wicepremiera, a od 1945 r. dodatkowo ministra Ziem Odzyskanych. W 1948 r. oskarżony o tzw. odchylenia prawicowo-nacjonalistyczne i stopniowo odsuwany na podrzędne stanowiska państwowe i partyjne. W 1951 r. uwięziony, pozbawiony immunitetu poselskiego i wyrzucony z PZPR. Z więzienia został zwolniony w 1954 r. W lipcu 1956 r. przywrócono mu prawa członkowskie w PZPR, a w październiku 1956 r. stanął na czele partii. W pierwszym okresie po Październiku cieszył się dużym poparciem społecznym jako symbol destalinizacji i przeciwstawiania się naciskom ze strony ZSRS. Wraz z odchodzeniem od polityki liberalizmu tracił zaufanie społeczne. Poparł interwencję wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji w 1968 r. Odpowiedzialny za represje w marcu 1968 r. i za użycie broni wobec robotników na

mułki, który nie wiadomo jednak, jak długo potrwa bo zależny jest od realnych wyników gospodarczych”. Zdaniem Giedroycia, „Polska może się cofnąć pod presją Związku Radzieckiego, który w razie potrzeby nie zawaha się użyć siły”.

Poza tym w rozmowie, która była bardzo żywa, poruszył szereg innych zagadnień i podał następujące uwagi:

1/ Dlaczego do Francji przyjeżdżają przeważnie intelektualści i handlowcy, a nie przyjdzie na przykład do którejś z fabryk w Nord grupa robotników z Żerania. Mogłaby ona odegrać poważną rolę w zbliżeniu robotników francuskich i polskich, oraz w bardziej zrozumiały sposób wyjaśnić emigrantom szereg spraw krajowych.

2/ Dlaczego lansuje się ciągle przyjazd do Francji tow. Cyrankiewicza²⁹ kiedy jego zdaniem znacznie lepsze wyniki w rozmowie z Francuzami osiągnąłby ktoś „z grupy Gomułki” np. Bieńkowski³⁰ czy Kliszko³¹.

3/ Na pytanie dlaczego „Kultura” nie zajmuje stanowiska w sprawach skarbów kultury polskiej w Kanadzie³², oświadczył, że w pozytywnym dla Kraju rozwiązaniem tej sprawy może pomóc tylko Prymas Wyszyński. Jego zdaniem wydanie tych skarbów zależy od władz samorządowych w Kanadzie, które są pod wpływem kleru, stąd pośrednictwo pr.

Wybrzeżu w 1970 r. W grudniu 1970 r. zmuszony do rezygnacji z funkcji I Sekretarza KC PZPR, a następnie odwołany z innych stanowisk i przeniesiony na emeryturę.

²⁹ Józef Cyrankiewicz (1911–1989), od 1931 działacz PPS, 1939–1941 PPS-WRN, 1941–1945 więziony m.in. w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. Po wojnie stanął na czele koncesjonowanego PPS, doprowadził do wyeliminowania zwolenników autonomii partii i przyczynił się do zjednoczenia PPS z PPR i powstania w 1948 r. PZPR. W latach 1948–1971 członek Biura Politycznego KC PZPR. W latach 1948–1952, 1954–1970 premier a w latach 1952–1954 wicepremier. W latach 1970–1972 przewodniczący Rady Państwa. Jako szef rządu bardzo ostro występował przeciwko uczestnikom strajków i manifestacji w czerwcu 1956 i grudniu 1970 r.

³⁰ Władysław Bieńkowski (1906–1991), z ruchem komunistycznym związał się w okresie międzywojennym. Członek PPR a następnie PZPR. W latach 1945–1948 piastował funkcje: wiceministra oświaty, kierownika Wydziału Propagandy PPR, członka Sekretariatu KC PPR. W okresie stalinowskim 1949–1956 odsunięty od wysokich funkcji partyjno-państwowych był dyrektorem Biblioteki Narodowej. Po październiku 1956 minister oświaty, zaliczany do liberałów (frakcja Puławian). Zdymisjonowany w 1959 r. i odsunięty na podrzędne stanowiska. W maju 1970 r. usunięty z PZPR za publikowanie książek w Instytucie Literackim w Paryżu. Włączył się w działalność opozycyjną.

³¹ Zenon Kliszko (1908–1989), w okresie międzywojennym związany z KPP. Członek PPR a następnie PZPR. W 1949 r. jako współpracownik Gomułki usunięty ze stanowisk rządowych i partyjnych, czasowo aresztowany, następnie pracownik Wydawnictwa KiW i PWN. Do działalności politycznej powrócił w 1956 r. W latach 1959–1970 członek Biura Politycznego KC PZPR. W lutym 1971 r. usunięty z KC PZPR za dopuszczenie do wydarzeń na Wybrzeżu w grudniu 1970 r.

³² Tzw. skarby wawelskie (arrasy) zostały ewakuowane z Polski w 1939 r. przez Rumunię i Francję i zdeponowane w Kanadzie w klasztorze Hôtel-Dieu. 3 III 1948 r. skarby zostały zajęte przez rząd prowincji Quebec. Po wojnie władze PRL przez kilka lat bezskutecznie domagały się powrotu arrasów do Polski. Przeciąganie się negocjacji wiązało się z wątpliwościami strony kanadyjskiej co do tytułu prawnego władz PRL do skarbów wawelskich, a także z powodu nieporozumień pomiędzy rządem federalnym w Kanadzie a władzami prowincji Quebec. Skarby wawelskie powróciły do Polski 16 I 1961 r. Por.: S. Nahlik, *Sprawa zbiorów polskich w Kanadzie. Rozważania prawne*, Sprawy Międzynarodowe 1958 z. 1 s. 47–66; Tegoż, *Tak zwana sprawa arrasów w świetle dokumentów*, [w:] *Studia do dziejów Wawelu*, t. 4. Kraków 1978 s. 361–398.

Wyszyńskiego mogłoby dać efekt³³. Jednak „Kultura” oficjalnie nie może o tym pisać bo mogłaby być znowu źle zrozumiana.

4/ Podał, że nie rozumie postępowania Rządu Polskiego w sprawach personalnych. Zdaniem jego zmiana programu winna się wiązać ze zmianami personalnymi stąd konieczność

- a) zmiany ludzi w rozgłośni Kraj³⁴ a konkretnie konieczność odwołania red. Florczyka [tak w oryginale, powinno być Florczak]³⁵ i Mitznera³⁶ jako nie popularnych za granicą z uwagi na ich poprzednią pracę w Rozgłośni.
- b) zmian na placówkach dyplomatycznych (choćby byli to najlepsi ludzie).
- c) pesymistycznie zapatruje się na rozmowy w sprawie pomocy gospodarczej USA dla Polski, z uwagi na to, że pojechał tam Min. Winiewicz³⁷, który poprzednio reprezentował Polskę w USA.

³³ Episkopat Polski wezwał władze Kanady do zwrotu skarbów wawelskich w liście z 1958 r. Podczas przekazywania przez władze kanadyjskie 31 XII 1960 r. w Quebecu arrasów wawelskich obecny był prymas Kościoła Katolickiego w Kanadzie ks. abp Maurice Roy.

³⁴ W latach 1955–1959 poza strukturami Polskiego Radia funkcjonowała rozgłośnia „Kraj” (wbrew ustawie dającej Komitetowi do Spraw Radiofonii „Polskie Radio” wyłączność w zakresie nadawania programów radiowych). Początek audycji wiąże się z odezwą „wracajcie” wystosowaną 26 VII 1955 r. przez grupę intelektualistów. Rozgłośnia zaczęła nadawać regularne audycje we wrześniu 1955 r. W pierwszym okresie nadawano jeden, następnie dwa-cztery zestawy audycji. Równocześnie wydawano „Biuletyn Rozgłośni «Kraj»”. Po 24 II 1957 r. jego kontynuacją miał być nowy periodyk „7 Dni w Polsce” i miesięcznik „Magazyn Polski”. Od 29 VI 1959 r. dodatkiem do „7 Dni w Polsce” był periodyk „7 Dni w Programie Zagranicznym Polskiego Radia”. Rozgłośnia początkowo akcentowała konieczność powrotu do Polski, następnie apelowała aby wracali tylko ci, „którzy nie wrosli jeszcze w nowe środowiska i źle czuli się na uchodźstwie, marnując swoje kwalifikacje i talent”. Rozgłośnia jako jedyna placówka w Polsce otwarcie polemizowała z prasą emigracyjną, Wolną Europą i Głosem Ameryki. Mimo prób podejmowanych przez redakcję aby „Kraj” mógł nadal nadawać lub aby pozostawiono mu autonomię w obrębie Polskiego Radia, sekretariat KC PZPR w końcu 1959 r. włączył rozgłośnię do Zespołu Programu dla Zagranicy Polskiego Radia i ulokował ją w Naczelnej Redakcji Audycji dla Polonii. Por.: J. Myśliński, *Rozgłośnia „Kraj” na tle programów radiowych dla Polonii po 1944 r.*, *Kwartalnik Historii Prasy Polskiej* 1987 R. 26 z. 1 s. 109–115.

³⁵ Zbigniew Florczak (ur. 1923), publicysta, eseista, krytyk sztuki, tłumacz. W początkowym okresie istnienia pisma współpracował z „Kulturą”. Do Polski powrócił w 1949 r. Należał do największych propagatorów repatriacji na falach rozgłośni i łamach „Biuletynu Rozgłośni «Kraj»”. Członek redakcji warszawskich czasopism: „Nowej Kultury” i „Kultury”. Od 1968 r. przysyłał do „Kultury” felietony pod pseudonimem Pelikan. Swoje prawdziwe nazwisko ujawnił Giedroyciowi dopiero w 1984 r. Por.: *Zbigniew Florczak namawia do powrotu*, *Kultura* 1955 nr 9 s. 102–104.

³⁶ Zbigniew Mitzner pseud. Jan Szela (1910–1968), dziennikarz i satyryk, działacz socjalistyczny. Współzałożyciel w 1935 i redaktor pisma satyrycznego „Szpilki”. W latach 1945–1947 redaktor „Robotnika”. Redaktor naczelny: „Muchy”, „Tygodnika” i „Nowej Kultury”. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Po śmierci pierwszego kierownika Radiostacji „Kraj” Wiktora Grosza w styczniu 1956 r. został jego następcą.

³⁷ Józef Winiewicz (1905–1984), w okresie międzywojennym redaktor naczelny „Dziennika Poznańskiego”. W czasie II wojny światowej przebywał na emigracji gdzie pracował m.in. w Ministerstwie Prac Kongresowych. W 1945 r. wstąpił do służby dyplomatycznej Polski Ludowej. Znalazł się w delegacji polskiej na obrady pierwszej sesji ONZ. W latach 1947–1954 ambasador w Waszyngtonie. W latach 1956–1972 wiceminister spraw zagranicznych, następnie wiceprezes Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”. Autor wspomnień zatytułowanych *Co pamiętam z długiej drogi życia* (Poznań 1985); por.: M. Dobrosielski, R. Frelek, B. Sujka, *Wybitni dyplomaci XX wieku*, s. 240–251.

5/ „Kultura” projektuje zamieścić dział poszukiwania rodzin w postaci wkładki dla Polaków repatriowanych obecnie ze Związku Radzieckiego (Prawdopodobnie chodzi mu o zwiększenie popularności wydawnictwa i związanych z tym dochodów).

6/ Zapytał dlaczego Kraj dla szybszego uregulowania problemu semickiego w Polsce nie zaprosi przedstawicieli „Joint’u”³⁸ i nie nawiąże z nimi bezpośrednich rozmów. Podał, że w Paryżu rozeszła się wiadomość jakoby Żydów za granicę nie puszczano i że Rząd nasz wstrzymał ich wyjazdy, co zrobiło tu bardzo niekorzystne wrażenie.

Choć w toku rozmowy starałem się trzymać tematów związanych z pracą konsularną i ewentualnej pomocy „Kultury” w pracy naszej z polonią, siłą rzeczy rozmowa schodziła na inne zagadnienia, stąd powyższe uwagi uzyskane od rozmówcy, który na zakończenie wyraził zgodę na ewentualne dalsze spotkania.

Paryż, dnia 7.II.1957 roku.

[Podpis odręczny nieczytelny]

Odbito w 5 egz.

Otrzymuje w egz.

1. MSZ Dep. II-gi
2. MSZ Wydz. Polonijny
3. MSZ Wydz. Konsularny
4. Ambasada PRL w Paryżu
5. a/a Konsulat Gen. — Paryż.

³⁸ „Joint” — American Jewish Joint Distribution Committee (Amerykańsko-Żydowski Połączony Komitet Pomocy. Organizacja założona w 1914 r. przez powstały w 1906 r. syjonistyczny American Jewish Committee w celu wspierania materialnego Żydów. Skupia reprezentantów wielkiej finansjery żydowskiej w USA. Jest największą organizacją wspierającą Żydów zamieszkałych poza Izraelem.

JÓZEF MACKIEWICZ – SZKICE I WSPOMNIENIA

SETNA ROCZNICA URODZIN JÓZEFA MACKIEWICZA

Wacław LEWANDOWSKI (Bydgoszcz)

Rocznicę tę najpożyteczniej uczciła Nina Karsov, wydawca *Dzieł* pisarza. W jubileuszowym roku londyńska Kontra podjęła gigantyczny wysiłek, którego plonem są cztery nowe tomy edycji zebranych utworów Józefa Mackiewicza: pierwsze wydanie krytyczne *Buntu rojstów*, uwzględniające warianty tekstu (tom 13 *Dzieł*); *Bulbin z jednosielca* — wybór tekstów rozproszonych z lat 1922–1936 (tom 14), przynoszący rewelacje w postaci nieznanych dotąd tekstów nowelistycznych z lat 20. oraz tekst debiutancki, drukowany w „Słowie”, podpisany pseudonimem Ali, dopiero teraz rozszyfrowany; *Okna zatkane szmatami* (tom 15) — wybór publikacji prasowych Józefa Mackiewicza z lat 1937–1938 oraz pierwodruk uznawanej za zaginioną książki *Prawda w oczy nie kole* (tom 17), której maszynopis pozostawił Mackiewicz w Wilnie, gdy w roku 1944 przeniósł się do Warszawy, aby uniknąć drugiej okupacji sowieckiej.

Plon owych edytorskich trudów będzie owocował przez lata, stanowiąc podstawę dalszego poznawania pisarza i wzbogacania wiedzy na temat osoby twórcy i jego dzieła.

Zespół redakcyjny „Archiwum Emigracji” postanowił zaś potraktować stulecie Józefa Mackiewicza jako okazję do skomponowania monograficznego bloku tekstów i ogłoszenia go w 5/6 tomie rocznika. Zaprosiliśmy do współpracy krytyków, historyków literatury i pisarzy, którzy pisywali już kiedyś na temat twórczości autora *Kontry*, jak i tych, dla których nasza oferta mogła stać się nowym wyzwaniem, okazją do poszerzenia własnych zainteresowań badawczych. Prosząc o autorską współpracę, pozwoliliśmy sobie zaznaczyć, że interesują nas refleksje nad dziełem i osobowością pisarską Mackiewicza, nie chcemy zaś utworów, w których pisarz potraktowany zostanie pretekstowo, a dyskurs jemu poświęcony będzie jedynie punktem wyjścia do poruszeń aktualnych sporów politycznych, ideologicznych, czy towarzysko-koteryjnych, jak to już na łamach polskiej prasy bywało. Być może z powodu tego właśnie zastrzeżenia nie wszyscy z zaproszonych zechcieli odpowiedzieć; być może niektórzy z nich uznali, że o Józefie Mackiewiczu powiedzieli już w innych miejscach wszystko, co mieli do powiedzenia. Otrzymali-

śmy jednakże zestaw piętnastu tekstów, nie zawsze całkowicie posłusznych redakcyjnemu życzeniu, zawsze jednak interesujących w swej różnorodności gatunkowej i — by tak rzec — emocjonalnej, bo prócz studiów pisanych z badawczym chłodem dotarły do nas także bardzo osobiste wspomnienia, jak i swoiste świadectwa żywotności pism Mackiewicza, nadal prowokujących do kategorycznego sprzeciwu i odnawiania dawnych, ideologicznych sporów. Zdecydowaliśmy się na łączną publikację tak niejednorodnego materiału w przekonaniu, że nawet te głosy, których ton nie mieści się w granicach historycznoliterackiego dyskursu, dowodzą przecież zmiany, jaka dokonała się w recepcji Mackiewicza w ostatnich latach. Nie ma już bowiem krytyków, którzy kwestionowaliby wagę tego pisarstwa, odmawiali mu ważnego miejsca w historii literatury, uznawali że dzieło Mackiewicza po śmierci autora będzie miało trwałość czasowo ograniczoną, że prędzej czy później pójdzie w zapomnienie, jak spory polityczne, z którym je wiązano. Owszem, Mackiewicza nadal nie zawsze mierzy się miarą, jaką zwykliśmy przykładać do pisarzy i ich dokonań. Na przykład Jerzy R. Krzyżanowski, w prezentowanym tu artykule polemizuje z powieścią Józefa Mackiewicza tak, jakby miał do czynienia z pracą historyograficzną czy podręcznikiem historii, nie — dziełem literackim. Odgrzewając stare pretensje kombatanów Armii Krajowej do pisarza, czyni to jednak w przekonaniu o „trwałym miejscu jego powieści w historii literatury polskiej”. (Pamiętajmy, że w przeszłości, gdy polemika tego rodzaju była reakcją na niemal każdą nowo wydaną powieść pisarza, oponenti odmawiali mu nie tylko miejsca w historii ojczystej literatury, ale i wprost — miejsca w polskim społeczeństwie i prawa głosu w sprawach polskich.) Innym autorom zdarza się, aczkolwiek na marginesie rozważań, ocenianie pisarza w kategoriach, w jakich wystawia się noty działającym politykom czy ideologom, nie zaś — beletrystom. Wytknięcie idealizmu i obstawania przy mitach może być, by posłużyć się takim przykładem, zarzutem zabójczym, gdy postawimy go politykowi, zastosowane wobec autora artystycznej prozy staje się właściwie mimowolnym komplementem. Tego rodzaju nieporozumienia świadczą zaś o tym, że od Józefa Mackiewicza jego krytycy zwykli żądać więcej niż przywykliśmy żądać od „zwykłych” powieściopisarzy. Jest zatem, tak u entuzjastów, jak i oponentów pisarza coraz wyraźniej dostrzegalne, „podskórne” przekonanie, że mamy do czynienia z twórcą wybitnym, wyjątkowym, takim, od którego oczekivalibyśmy dowodów jakiejś omnipotencji poznawczej, czy kompetencji w dziedzinach wykraczających daleko poza sztukę pisania. Godzi się przypomnieć, że w dziejach kultury europejskiej było normą, iż z tak wielkimi oczekiwaniami krytyki i publiczności spotykali się wyłącznie pisarze największego formatu.

Nie mam wątpliwości, że kresu dobiega czas, w którym wagę pisarstwa Józefa Mackiewicza można było z beztrąską dezynwolturą kwestionować. Otwierający prezentowany tu blok tekstów głos Czesława Miłosza utwierdza mnie w tym przekonaniu. Oto nestor literatury polskiej upomina się o „kolegę pisarza, któremu należy się szacunek za rzetelność jego prozy”, o miejsce dla niego w polskim kanonie literackim i na listach szkolnych lektur. Pisarzowi-seniorowi towarzyszy głos Waldemara Jakubowskiego, młodego krytyka, który nie ma wątpliwości, że „należy Józefa Mackiewicza zaliczyć do największych polskich i światowych pisarzy”. Jest w tym znak czasu i miejsca, w jakim, zgoła niepostrzeżenie dla polskiej krytyki literackiej, odnajduje się dzisiaj czytelniczy odbiór tej prozy.

GŁOS WIERNEGO CZYTELNIKA

Czesław MIŁOSZ (Kraków)

Józef Mackiewicz był człowiekiem uparcie trzymającym się swego zdania, często wbrew zdaniu innych. W okresach, kiedy wymagane jest podporządkowanie się opinii zbiorowej taki człowiek jest niewygodny i naraża się na liczne niebezpieczeństwa. Nigdy nie traktowałem poważnie pomówień o współpracę Mackiewicza z Niemcami hitlerowskimi. Te i podobnie nieprzychylnie mu sądy jednak do niego przylgnęły i przeszkadzały w uznaniu jego zasług jako pisarza.

Przez kilka miesięcy 1940 r. współpracowałem z wydawaną przez niego w Wilnie „Gazetą Codzienną”. Po zajęciu Litwy przez Rosjan przedostałem się przez zieloną granicę do Warszawy i nie byłem świadkiem tego, co się pod okupacją sowiecką i później niemiecką z Mackiewiczem działo, ale spotkałem go w Warszawie latem 1944 i odbyłem z nim długą rozmowę, notabene rozmawialiśmy we trójkę tj. z Januszem Minkiewiczem.

Tak zwana „sprawa Mackiewicza” wygląda inaczej dla kogoś, kto jak ja znał dobrze wileńskie polityczne układy, a zwłaszcza, kto znał opinie i plotki krążące w polskim Wilnie czasów wojny. Mackiewicz nienawidził bolszewików i oczywiście przyjął z ulgą zajęcie Wilna przez Litwinów, po paru tygodniach, w początkach października 1939 r., odstąpionego im przez Sowiety. Wtedy napisał artykuł witający to zdarzenie i ten to artykuł dostarczył powodów do oskarżeń o kolaborację. Książka Mackiewicza *Prawda w oczy nie kole*, której manuskrypt został niedawno odnaleziony i wydany, dostatecznie wyjaśnia jego motywy oraz rozczarowanie nacjonalistyczną polityką władz litewskich, kiedy wydawał w Wilnie „Gazetę Codzienną”.

Co do oskarżeń Mackiewicza o kolaborację z Niemcami przez polskie podziemie to wiele mówiły mi nazwiska oskarżycieli. Na przykład: Fedorowicza i Ochockiego, działaczy Narodowej Demokracji, oczywiście wrogów idei „krajowości”, jaką wyznawał Mackiewicz. Jednym z oskarżycieli był też z ramienia AK mój kolega z Akademickiego Klubu Włóczęgów, Lech Beynar, znany później w Polsce jako Paweł Jasienica. Moim zdaniem w ocenie powieści Mackiewicza *Droga donikąd* mylił się gruntownie dopatrując się w niej braku patriotyzmu, w przeciwieństwie, jak powiadał, do *Pana Tadeusza*. Trudno o większy patriotyzm, tam właśnie na Wileńszczyźnie ugruntowany, niż Mackiewicza.

Wkrótce po zajęciu Wilna przez Niemców w gadzinowym „Gońcu” Mackiewicz opublikował fragmenty swojej powieści napisanej za sowieckiej okupacji, ale nie on jeden czuł wtedy krótkotrwałą ulgę po zakończeniu sowieckiego koszmaru, choć oczywiście popełnił błąd drukując w „Gońcu”.

Mackiewicz był dla mnie przede wszystkim „naszym człowiekiem”, wilnianinem, patriotą naszych stron rodzinnych i ich obrońcą w swoich artykułach ogłaszanych w wileńskim

„Słowie” swojego brata Stanisława Cata-Mackiewicza. Kiedy rozmawialiśmy w Warszawie w 1944 r. rozumiałem, że nie wyczuwa nastrojów ulicy warszawskiej, bo mówił, że teraz, kiedy klęska Niemiec jest już pewna, należy robić wszystko, żeby uświadamiać ludziom niebezpieczeństwo grożące ze strony Sowietów. Podobno wydał wtedy parę numerów pi-semka „Alarm” wspólnie ze swoją żoną Barbarą Toporską. Ale nam, kiedy wyśmieliśmy podobny pomysł, o tym nie powiedział. Gdyby więcej było takich zwolenników jakiejś ugody z Niemcami w ostatniej chwili, może by nie doszło do wybuchu powstania. Było już na to jednak za późno. W końcowych rozdziałach powieści *Nie trzeba głośno mówić* pokazuje Warszawę latem 1944 jako miasto zwariowane, heroicznie lekkomyślne i beztroskie.

Zawsze traktowałem Mackiewicza jako kolegę pisarza, któremu należy się szacunek za rzetelność jego prozy. Wychowany na wielkiej literaturze rosyjskiej był obojętny na zmieniające się mody i najzupełniej „treściowy”, tzn. dążył do prawdy opisu i resztę uważał za środki. Główną jego cechą była prawdomówność posuwająca się do przekory i jeżeli jego brat był awanturnikiem głośnym czyli Raptusiewiczem, Józef był awanturnikiem cichym — Rejentem Milczkiem. Jego umysł stale pracował na innej fali, niż umysł jego otoczenia, wskutek czego ściągał do siebie wszelkie osy pomówień i oskarżeń jakby nasmarowany miodem. Jego powieść *Droga donikąd* powinna zawsze być na liście lektur szkolnych, bo nie ma w literaturze światowej przykładu takiej rozpaczcy człowieka, który patrzy jak rozpada się w jego kraju wszystko, co kochał i do czego był przyzwyczajony, a więc więzi przyjaźni i pokrewieństwa, szczerość, otwartość, szacunek dla tradycji i zastępuje to wszystko gangrena przystosowania podyktowanego strachem przed więzieniem i deportacją. Wbrew posądzeniom Jasienicy jest to książka miłości do zdeptanej ojczyzny.

Nie ma innego polskiego autora w XX wieku, któryby tak utrwalił swoje nazwisko jako wierny powieściopisarz-reportażysta. Opisał odkopywanie ciał w Katyniu, dokąd jeździł zresztą z przyzwolenia władz podziemnych. I jest to jedyny opis, nie mamy innego. Nie mamy też żadnego opisu jak odbywało się mordowanie Żydów na podwileńskich Ponarach. W powieści Mackiewicza *Nie trzeba głośno mówić* jeden z bohaterów natrafia na tę scenę przypadkiem, jadąc leśną ścieżką na rowerze. Ta powieść to jakby dalszy ciąg *Drogi donikąd*, dzieło wyjątkowe w literaturze polskiej, bo opisuje wydarzenia II wojny światowej na Litwie i Białorusi bez podziału na dobre i złe narodowości. Wśród bohaterów pozytywnych są zarówno Polacy jak Niemcy, Litwini, Białorusini, Rosjanie. Mackiewicz nie ulega stereotypom, ale stara się pokazać całą złożoność ówczesnych wyborów. Na przykład na Białorusi istniały całe obszary kontrolowane przez miejscowych watażków, opierających się zarówno Niemcom jak bolszewikom.

Muszę tu przyznać się do osobistych preferencji, jeżeli chodzi o prozę polską XX wieku. Wśród jej naczelnych dzieł umieściłbym świadectwo z łagru Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, *Imy świat*, opowiadania Tadeusza Borowskiego o Oświęcimiu, rodzaj diariusza pióra Bohdana Korzeniewskiego *Książki i ludzie* — o Oświęcimiu i o pierwszych miesiącach pobytu w Polsce armii sowieckiej. Należą tu też dwie powieści Mackiewicza.

Polscy literaci i krytycy literaccy wysoko wynieśli Witolda Gombrowicza i Brunona Schulza jako okazowych pisarzy nowoczesnych. Nie mogli pogodzić się z wielbicielami prozy Mackiewicza, bo taka staroświecka. I rzeczywiście Mackiewiczowi daleko było do warszawskiej kawiarni i królującego w niej Gombrowicza. Można jednak uznać wybitność autora *Ferdydurke* i wybitność prozy troszczącej się tylko o wierność wobec szczegółu. Mackiewicz w recenzji z mojej *Doliny Issy* przyznał mi rzetelną wiedzę ornitologiczną i brak pomyłek w opisach polowań oraz wszelkich akcji, z jednym wyjątkiem, który dotyczy tzw. „obriezki” czyli karabinu ze skróconą lufą: ma on muszkę czy nie*.

* Por.: J. Mackiewicz, *Błędy których się nie widzi*, [w:] „Wiadomości” na emigracji. *Antologia prozy 1940–1967 w wyborze i z przedmową Stefani Kossowskiej*. Londyn 1968, zwł. s. 170 — red.

Staralem się jak mogłem, kiedy mieszkałem w Berkeley, pomagać mu u wydawców amerykańskich i niemieckich. Świadczy o tym moja korespondencja z nim w latach 1965–1970. Niestety, korespondencja ta jest tak zawstydzająca dla niektórych postaci emigracji polskiej, że dotychczas jej nie ogłosiłem. Zorganizowano przeciwko Mackiewiczowi prawdziwą nagankę czyli, jak mówiono na ziemiach polskich, nagonkę, uniemożliwiając ukazywanie się jego książek w przekładach na obce języki. Zaszczepnym wyjątkiem był Jerzy Giedroyc, który książki Mackiewicza wydawał po polsku i traktował go z należnym szacunkiem, ale i w Londynie redaktor „Wiadomości”, Grydzewski, nie poddał się powszechnej obsesji i Mackiewicza drukował.

Język był dla Mackiewicza narzędziem dokumentalisty, a także służył do przekazania jego filozofii politycznej. Związki dzieła z poglądami politycznymi autora są bardzo niejednoznaczne. Gdyby nie silne przekonanie Dostojewskiego o złowróżbnym odstępstwie inteligencji rosyjskiej od chrześcijaństwa i zbawieniu Rosji dzięki pobożnemu ludowi, nie mielibyśmy jego wielkich powieści. Bo jednak tezę Bachtina o polifonii powieści Dostojewskiego powinniśmy traktować ze szczyptą niedowierzania. Opcje powieściopisarza są jednak bardzo wyraźne.

Zaciekłość Józefa Mackiewicza może wielu razić, ale ona to prowadziła jego język prosto do zamierzonego celu. Z jego poglądami trudno niekiedy się zgadzać. W swoim idealizowaniu carskiej Rosji, nienawiści do bolszewików i przywiązaniu do literatury rosyjskiej XIX wieku był najbardziej może podobny do „białych” Rosjan. Całą książkę *Lewa wolna* poświęcił atakowi na Piłsudskiego za to, że ten nie wspomógł carskich generałów w walce przeciwko bolszewikom i w ten sposób nie uratował Rosji choć mógł. Ale przecież Piłsudski uważał, że carska Rosja byłaby dla Polski jeszcze niebezpieczniejsza niż Rosja sowiecka. Mackiewicza niechętny stosunek do działalności Armii Krajowej podczas II wojny wpędził w okropne opaty, bo zapytywał: co wy robicie stawiając na Anglików i przekazując im wszelkie informacje o ruchach wojsk niemieckich, które oni zaraz przekazują sowietom? Nie był w tym jednak logiczny, bo przecież rozumiał, że Niemcy są ogarnięte szaleństwem i że polska współpraca z nimi przeciwko Rosji jest niemożliwa. Ale przynajmniej zemścił się na Anglikach pisząc *Kontrę* czyli opis zbrodni popełnionej przez dowództwo angielskiej armii wydającej tysiące kozaków dońskich i innych obywateli Związku w ręce NKWD. Nie doczekał jednak pomnika, który ruszeni sumieniem Anglicy wystawili w Londynie ofiarom tej zbrodni.

Mackiewicz, zrzędzeniem losu, był zawsze rzecznikiem spraw przegranych. Jego ideologia „krajowa” czyli polsko-litewsko-białoruskiego państwa była utopią. Jego świadectwo o zbrodni w Katyniu nie na wiele się przydało, skoro Zachód przez dziesiątki lat udawał, że wierzy w wersję rosyjską przypisującą zbrodnię katyńską Niemcom.

Jednakże dzięki pasji z jaką głosił swoje poglądy, Mackiewicz, dokonywał takich przekrojów, że ukazywały się sprawy i powiązania przez nikogo innego nie dostrzegane. Istnieją jednak choroby zawodowe tego rodzaju co on tropicieli. Pod koniec życia Mackiewicz przekonany o wszechpotędze komunizmu dopatrywał się agenturalnej manipulacji nawet w polityce Watykanu czy w działalności KOR-u w Polsce. Ale rycerz z La Manchya też pomylił groźnych olbrzymów z wiatrakami.

Mackiewiczowi należy się poczesne miejsce w literaturze polskiej i pośmiertna kompensata za wszelkie pomówienia i skuteczne zabiegi odcinające mu drogę do zachodnich wydawców i do znośnego zarobku z honorariów. On i jego żona, Barbara Toporska, autorka inteligentnych esejów, żyli w nędzy. W jednym z listów do mnie Mackiewicz pisze, że w porównaniu z nim Gombrowiczowi żyło się nieźle. Sądzę, że widomym znakiem jego rehabilitacji będzie miejsce jemu należne w szkolnych i uniwersyteckich podręcznikach.

JÓZEFA MACKIEWICZA FILOZOFIA CZŁOWIEKA I POLITYKI

Wojciech CHUDY (Lublin)

W setną rocznicę urodzin Józefa Mackiewicza czytelnicy otrzymali prezent w postaci kilku jego nieznanych jeszcze książek. *Bulbin z jednosiela* — jedna z nich — jest zbiorem publicystyki Mackiewicza z lat 1922–1936, zamieszczanej przede wszystkim w wileńskim „Słowie”. *Okna zatkane szmatami* to tom, zawierający szkice i reportaże z lat 1937–1938. Kolejna z polecanych tu książek — *Prawda w oczy nie kole* — jest swoistą sensacją. Po sześćdziesięciu latach odnaleziony został w Wilnie (w Bibliotece Litewskiej Akademii Nauk) maszynopis „na papierze przebitkowym, przez niebieską kalkę” wspomnieniowo-historiozoficznej książki Mackiewicza. Opłacił się trud Niny Karsov, heroicznego i konsekwentnego wydawcy dzieł tego autora, która nie tylko z wielkim osobistym zaangażowaniem czuwa nad poziomem oraz oryginalnością tej edycji, ale także „śle wici” w poszukiwaniu jego prac jeszcze nieznanymi. Wreszcie *Bunt rojstów* (pozycja opublikowana pierwotnie w 1938 r., to ona wówczas objawiła charakter, siłę i talent pisarza)¹.

Najnowsze książki udostępnione nam przez Ninę Karsov w cyklu *Dzieła* zawierają szkice i reportaże pisane przez Mackiewicza w większości w latach 1922–1938; znajdują się tam jednak teksty odnoszące się do jego wcześniejszych etapów życia, jak choćby wojna z bolszewikami, a nawet początek I wojny światowej; zawierają się tam także artykuły i reportaże dotyczące czasów nieco późniejszych, np. początków II wojny światowej. Ten pokaźny okres czasowy obejmuje lata, w których dojrzewał światopogląd etyczny, polityczny i literacki pisarza. Miał on wówczas 21–36 lat, przeżył więc okres życia od młodzięcych porywów do męskiej, zdecydowanej stanowczości moralnej. Teksty zamieszczone w tomach 13–17² *Dzieł* zawierają, oprócz treści komunikowanych zgodnie z intencją autora jego współczesnym oraz nam dzisiejszym czytelnikom, wyraz

¹ A oto opis bibliograficzny tych tomów: *Bulbin z jednosiela*. Londyn 2001, 541 s. (*Dzieła*, t. 14), *Okna zatkane szmatami*. Londyn 2002, 456 s. (*Dzieła*, t. 15), *Prawda w oczy nie kole*. Londyn 2002, 216 s. (*Dzieła*, t. 17), i *Bunt rojstów*. Londyn 2002, 354 s. (*Dzieła*, t. 13). Wszystkie książki wydane w oficynie Kontra.

² Z wyjątkiem zapowiadanego przez Kontrę tomu 16, zbierającego prasowe teksty z okresu po 1 września 1939 — red.

krystalizacji i stabilizacji poglądów Mackiewicza na świat i jego istotne sprawy. Możemy sformułować tezę, że pisma te unaocniają zasadniczy zrąb przekonań i poglądów autora *Kontry*, będący fundamentem aksjologicznym jego życia i twórczości³. Ten niewątpliwie doniosły dla niego okres upoważnia nas do postawienia pytania o Józefa Mackiewicza filozofię człowieka i polityki.

ŚWIATOPOGŁĄD

Józef Mackiewicz w swoim kodeksie wartości wysoko stawiał wolność, zwłaszcza wolność myśli i słowa. Widział siebie dotkniętego egzystencjalnie „wielką rażącą tęsknotą do wolności słowa!” Był przekonany, że „nie temat książki, a prawo pisania, wypowiedzenia i drukowania przekonań mniejszości wbrew poglądom większości jest tematem godnym tęsknoty, nawet gdyby ta mniejszość miała się sprowadzać do postaci odosobnionej jednostki autora i po stokroć nie miała racji”. Zasłużony historyk literatury, w szczególności znawca twórczości Mackiewicza Włodzimierz Bolecki⁴ jest skłonny widzieć w nim „czystego” liberała. Pisał w jednym z ostatnich artykułów na ten temat:

Myślenie Mackiewicza nie było związane z żadną doktryną. Jego antykomunizm był światopoglądem, a nie ideologią. Dlatego też jest nieporozumieniem wpisywanie jego myśli w terminy współczesnego życia politycznego, a szczególnym nonsensem jest dziś czynienie z pisarza patrona polskiej prawicy. Ci, którzy tak robią, zdają się zapominać, że Mackiewicz uważał nacjonalizm endecki za jedno z głównych nieszczęść historii Polski, a stosunek pisarza do polityki Watykanu czy mniejszości narodowych zbliżał go zdecydowanie do postawy liberalnej — w najbardziej potocznym znaczeniu tego słowa. Dewizą pisarza były po prostu słowa: „żyj i daj żyć innym”⁵.

Można przypuszczać, że Bolecki i niektórzy inni interpretatorzy widzą w Mackiewiczu — zarówno w aspekcie życia jak i pisarstwa — światopogląd „czystego” liberała, dla którego wolność jednostki stanowi nadrzędną wartość zarówno w relacjach międzyludzkich jak i w dziedzinie społecznej. Jesteśmy skłonni polemizować z tak jednoznacznym przyporządkowaniem światopoglądu pisarza. W dzisiejszych czasach uproszczonej dyskusji politycznej obraz taki bywa często także z lewej strony planszy ideowej wynikiem „nadinterpretacji”, podyktowanej dość wybiórczym doбором fragmentów dzieł pisarza, a służącej niekiedy doraźnym celom ideologicznym lub politycznym. Ciśnienie codzienności skłania nieraz do dużych uproszczeń.

W rzeczywistości głębsze i dokładniejsze zastanowienie się nad tekstami pisarza dostarcza pierwszej narzucającej się konstatacji co do jego hierarchii aksjologicznej. Pierwszorzędną wartością dla Mackiewicza była p r a w d a. To twierdzenie nie podlegające wątpliwości.

„Jedynie prawda jest ciekawa”⁶. Hasło, które stało się sloganem. Jednak w rzeczywistości nie chodziło Mackiewiczowi o samo zainteresowanie prawdą. Jej poszukiwanie i pragnienie miało u niego walor przede wszystkim m o r a l n y. „Etyka jako rdzeń tej twórczości. [...] Jego absolutny stosunek do prawdy z gruntu moralny” pisał Michał

³ Potwierdza to m.in. J. Kozieł w artykule: *Pisarz konsekwentny — o przedwojennych poglądach Józefa Mackiewicza*, *Kultura Niezależna* 1990 nr 60.

⁴ Autor (pod pseudonimem Jerzy Malewski) *Ptasznika z Wilna* (Kraków 1991) i *Wyroku na Józefa Mackiewicza* (Londyn 1991).

⁵ W. Bolecki, *Prawda rzucona w oczy świata*, *Rzeczpospolita/Plus-Minus* 2002 nr 13.

⁶ „«Jedynie prawda jest ciekawa» — oto zawołanie Mackiewicza. Powtórzył je tyle razy, że nieomal udało mu się mnie przekonać” pisał M. Bąkowski w *Votum separatum* (Londyn 2000 s. 14). Zob. zwłaszcza tamże, Rozdział I: *Czy tylko prawda jest ciekawa?*, s. 13–41 oraz Rozdział II: *Absolutny stosunek do prawdy*, s. 43–50.

Bąkowski⁷. Wiązało się to z jego koncepcją człowieka, u którego naczelną wartość stanowi wartość poznawania. „Otóż obowiązkiem każdego myślącego człowieka jest zastanawianie się nad przyczynami zjawisk, wydobywanie prawdy przez oddzielanie ziarna od plew, a nie mieszanie wszystkiego w jeden bezmyślny korzec” — głosił Józef Mackiewicz w artykule *Na zgliszczach Polski*⁸. Dlatego przyjął ten punkt widzenia jako naczelną element swego etosu — ludzkiego i pisarskiego. Głoszenie prawdy — właściwie: świadczenie prawdzie — było powołaniem, któremu przez całe życie pozostał Mackiewicz wierny. Już w okresie, który rozpatrujemy, widział tę kwestię nader jasno, pisząc: „Prawda jest przykra, ale byłoby głupio nie patrzeć jej w oczy”⁹. Powtórzył to dobitnie po wielu latach w wywiadzie dla periodyku młodej polskiej emigracji „Libertas”: „Credo przewodnie, Pan pyta? Prawda. Czy coś z niej, ale zawsze prawda”¹⁰.

Drugim ważnym powodem był brak prawdy, jej lekceważenie lub fałszowanie. Jest to nader często wartość drugorzędna. Mało komu chce się podjąć wysiłek żmudnego dociekania „banalnego elementu, t.j. prawdy”. Autor *Buntu rojstów* pisał, zdarłszy buty na wschodnich reportażowych wędrowniach:

Jedni ciemni, brudni i w kozuchach gubią się w konglomeracie mistyki i materjalizmu, drudzy wykształceni, uczesani i w paltach na watolinie gubią się w mieszaninie szablonu, frazesu i tendencyjności. — A prawda leży na uboczu i nikt się o nią nie troszczy¹¹.

Prawda jest skomplikowana i trudna do uchwycenia w swej złożoności. Podobnie jak dziś, niemal nikt nie chce podjąć się wysiłku żmudnego jej dociekania.

Nic bowiem łatwiejszego, jak dla celów politycznych, demagogji, ułatwień literackich, rzucić frazesy, tworzyć koncepcje, naginać rzeczywistość do własnych pomysłów, które się zrodziły przy zielonym biurku, syntetyzować zjawiska, których się nie zna. Trudniej jest przebrnąć zielone lasy i łąki i tę rzeczywistość poznać¹².

Mackiewicz nie był bezbłędny, to, co pisał charakteryzowało się często przesadą, nadmiernym krytycyzmem i uprzedzeniem. Jednak — trzeba to bezwzględnie przyznać — jego twórczość nie była interesowna. „Staram się pisać — zgodnie z własnym przekonaniem — «w interesie» prawdy obiektywnej”¹³. Piętnował z imienia twórców, którzy pisali powodowani jakimś interesem: ideologicznym, politycznym, czy materialnym¹⁴. Gdy spojrzeć na jego postawę przez pryzmat dzisiejszych czasów początków XXI wieku, kiedy zalewa nas publicystyka partyjna, stronnicza, a w najlepszym wypadku bezpiecznie oparta na instytucjonalnym „zapleczu” jakiejś instytucji, można sobie zdać sprawę z niezwyklej determinacji pisarza. „Prawda jest istotną ojczyzną pisarza — albo powinna

⁷ Tamże, s. 41.

⁸ Gazeta Codzienna 1940 nr 66.

⁹ Naraz, Słowo 1938 nr 60.

¹⁰ Rozmowa z Józefem Mackiewiczem, Libertas 1985 nr 2–3.

¹¹ Syntetycy Ziemi Wschodnich, Słowo 1938 nr 14.

¹² Tamże.

¹³ Cyt. za: M. Bąkowski, *Sołżenicyn i Mackiewicz*, Wiadomości 1976 nr 15.

¹⁴ Píše na przykład z sarkazmem o Melchiorze Wańkowiczu (był on w tym czasie pupilem rządu Sławoja-Składkowskiego: „dobrze widziany w sferach rządowych”), który w „Wiadomościach Literackich” co czwartek publikował reportaże, sławiące absurdalny i kompletnie nieudany eksperyment rządowych osadników na wschodzie Polski: „rozstawnymi autami sprowadzono lejbliwera żeby opiewał wschodzące chwasty” (*Okna zatłkane szmatami*, s. 331). „Rzecznikczą reżimu” nazywa też Marię Dąbrowską (tamże, s. 290). „Nie należę do jej bezkompromisowych entuzjastów” — wyznaje (tamże, s. 278).

nią być” — ten cytat ze *Sprawy pułkownika Miasojedowa* to w istocie żarliwe *credo* Józefa Mackiewicza¹⁵.

Pisarz mówi o dwóch typach prawdy: jedna to prawda naturalna, „prawda faktów”; druga — to pseudo-prawda, prawda propagandy, wykreowana¹⁶. W swym metodycznym planie, aby być maksymalnie obiektywnym, nie zna umiaru.

Powstrzymuje się od oceny opisywanych postępów, bo aby je opisywać, trzeba wyzwać się osobistych pasji i predylekcji i rozważać wyłącznie materiał znany z obserwacji. [...] „Ocena ścisła” to tyle co „opis”, możliwie dokładne zdanie sprawy ze stanu faktycznego. Dowodem mogą być analogiczne pary przeciwieństw, które błyskotliwie zestawia, żądając „informacji” zamiast „interpretacji”, „prawdy historycznej” a nie „historycznej legendy”, „ścisłości obiektywnej” w miejsce „nieścisłości moralnej, patriotycznej” [właściwie należałoby w tym przypadku mnożyć cudzysłowy, pisząc: „nieścisłość «moralna», «patriotyczna»” — przyp. W.Ch.]¹⁷.

Za ostatecznym utwierdzeniem jego poglądów stało doświadczenie komunizmu oraz podróz i obserwacja na własne oczy zbrodni dokonanej w Katyniu. Przez resztę życia jego pisarskim obowiązkiem będzie odtąd „rzucenie prawdy w oczy świata”¹⁸.

Według niego nawet literatura piękna — jak wszelka literatura — ma głównie funkcję prawdziwościową. Istnieje po to, by okazywać prawdę w dziejach ludzkości. Jak syntetycznie odsłania to M. Bąkowski, „Piękno w oddawaniu prawdy” — oto pełne *credo* pisarskie Mackiewicza. „Pisarz jest dostarczycielem prawdy”, a jego jedynym zadaniem jest „przedstawić przeżyta prawdę w literackiej formie”. Pisarz powinien służyć tylko „kulturze i pomnażaniu czystej sztuki i prawdy”. „Pisarz-instytucja” narodowa bądź społeczna służy już wyłącznie propagandzie, jest więc wrogiem prawdy¹⁹.

Pierwszym wrogiem prawdy w społeczeństwie jest cenzura. Autor *Nie trzeba głośno mówić* doznawał jej działania właściwie nieustannie: cenzura PRL skazała go na niebyt, a przed wojną polska cenzura rządowa zdejmowała mu artykuły w „Słowie” (np. w 1937 r. reportaż o głodzie na Brześcu), które było najczęściej cenzurowanym pismem w Polsce — głównie ze względu na teksty J. Mackiewicza²⁰. Litewska cenzura notorycznie ingerowała w jego teksty lub zdejmowała je z druku w latach 1939–1941. Cenzura w Kownie — pisał Mackiewicz — „idzie dalej niż w innych państwach o zdecydowanie totalistycznym charakterze”²¹.

Ten właśnie motyw negacji wartości prawdy decyduje o konsekwentnym odrzuceniu przez Mackiewicza idei komunistycznej i wszelkiej lewicowości. Z niezmienną intensywnością przekonania twierdził, iż głównym wrogiem człowieka i ładu w dziejach jest totalitaryzm komunistyczny.

Jedynym wrogiem, godnym fanatycznej nienawiści, jest bolszewizm, jako idealnie zamykający, nie jednemu narodowi, ale całej ludzkości, wszystkie drogi do poznania prawdy obiektywnej —

¹⁵ J. Mackiewicz, *Sprawa pułkownika Miasojedowa*. Londyn 1962 s. 40.

¹⁶ Najobszerniej zarysowane w powieściach: *Kontra* i *Karierowicz*. Zob.: M. Bąkowski, *Votum separatum*, s. 15.

¹⁷ Tamże, s. 34.

¹⁸ Jak wiadomo, zeznawał przed specjalną komisją Kongresu USA, a zbrodni katyńskiej poświęcił m.in. wywiad dla „Gońca Codziennego” — *Widziałem na własne oczy*, opracowanie „Białej Księgi” zbrodni katyńskiej (na zlecenie Biura Studiów 2. Korpusu gen. Andersa) oraz książkę *The Katyn Wood Murders* (1952). Zbrodniom hitlerowskim poświęcił m.in. reportaż *Ponary-Baza* w „Orle Białym” (1945).

¹⁹ Zob.: M. Bąkowski, *Votum separatum*, s. 43.

²⁰ Zob.: J. Mackiewicz, *Okna zatłkane szmatami*, s. 115.

²¹ Tamże, s. 326.

napisał w swoim „Głosie w Ankiecie” londyńskich „Wiadomości”²². Uniemożliwienie korzystania z nieskończonego bogatego źródła prawdy, a nawet wolnego jej poszukiwania, sprawia, iż większość dziedzin ludzkich ulega odczłowieczeniu. Praca traci swój element twórczy, wychowanie staje się tresurą, sztuka — automatyczną produkcją. Dlatego sam fakt istnienia zmysłu piękna u człowieka jest dla Mackiewicza argumentem antykomunistycznym. W *Liście do Szotochowa* pisał:

Komunistów nienawidzi się u nas z różnych względów i w ogóle w różny sposób. Ja zaś osobiście (pozwoli mi Pan uciec się do odrobiny patosu) w imię walki o wolne słowo i autentyczne piękno w oddawaniu prawdy.

INDYWIDUALIZM

Fascynacja dla wartości prawdy wiąże się u Mackiewicza z afirmacją jednostki ludzkiej. „Indywidualizm jest warunkiem obiektywizmu. Obiektywizm warunkiem poznania prawdy — prawdy przyrodzonej” — tak wyprowadza ten związek Michał Bąkowski²³. Z kart tekstów autora *Kontry* wyłania się swoista ontologia bytów indywidualnych. Na początku znajdują się rzeczy jednostkowe, konkrety. Z nich składa się świat. W jednym ze szkiców przekazuje „przekonanie o wielkim indywidualizmie rzeczy, o zakłamaniu abstrakcji politycznej, o bezmiarze pustej frazeologii, w którą ubieramy społeczne, gromadne życie państw i narodów”²⁴. Indywidualna jest l u d z k a o s o b a. Każdy z ludzi jest całością, mikrokosmosem, wyposażonym w wolność i przeznaczonym do kierowania swoim losem. Charakterystyczne, jak pisarz odróżnia ludzkie czyny od bytu człowieka; można by rzec: „tomistycznie” — choć sam odwołuje się do nauk przyrodniczych.

Jako przyrodnik z wykształcenia, nie wierzę w zło i dobro, nie wierzę więc w ludzi złych i dobrych, a tym bardziej w podobny podział narodów²⁵.

Jednak prawie cała jego twórczość zawiera co krok ostre bezkompromisowe oceny ludzkich działań i postaw. Z wolności człowieka bowiem wynika prawo do oceny.

Jego indywidualizm wykazuje niekiedy skrajne cechy. Ograniczanie wolności jednostkowej przez instytucję państwową, która wolności obywateli winna ze swej istoty strzec — uważa za karygodne. W emocjonalnym *Felietonie antyspołecznym*²⁶ posuwa się do nazwania „małą bolszewią” (s. 260) przepisów administracyjnych, ograniczających do pewnego stopnia życie codzienne obywateli Litwy, Łotwy i Polski w dniach uroczystości lub innych imprez państwowych. Czym innym jest oddanie swej wolności wartościom związanym z prawdą: ojczyźnie, państwu czy obronie tejże wolności. Autor *Lewej wolnej* (1965), będąc uczniem VI klasy gimnazjum jako ochotnik wziął udział w wojnie polsko-bolszewickiej.

Mackiewicz wykazuje w swych poglądach na wolność cechy romantyka (wolność jako ideał), jednak właściwy jej model widzi w przyrodzie. Wolny jest ptak, las, drzewa nie znają pojęcia granicy, rzeka przecina różne kraje i ustroje.

²² Wiadomości 1949 nr 21. „Odrzucenie kłamstwa i walka z «dekretowaniem» prawdy — nakazują bezwzględną nienawiść do bolszewizmu, największego kłamcy i dekretodawcy w dziejach” relacjonuje M. Bąkowski w *Votum separatum* (s. 45).

²³ Tamże, s. 27.

²⁴ *Wielki indywidualizm rzeczy*, [w:] *Prawda w oczy nie kole*, s. 41.

²⁵ *Prawda w oczy nie kole*, s. 104. Mówiąc: „nie wierzę w zło i dobro” Mackiewicz ma na myśli oczywiście zło i dobro substancjalne, istniejące samoistnie i ogólnie.

²⁶ *Bulbin z jednosielca*, s. 256–260.

Wolny jest ptak, który leci het, wysoko, który zatacza kręgi nad łąką i rzeką i granicy nijakiej nie widzi²⁷.

Jest sceptyczny odnośnie do wolności politycznej jednostki. W szkicu *Słońce świeci nad granicą* zarysowuje obraz względności pojęcia człowieka wolnego (notabene dość ryzykownie zbliżając się w tym opisie do koncepcji marksistowskiej). Dwaj chłopci po dwóch stronach granicy polsko-sowieckiej.

Nic do się nie mówią. Dzieli ich dwa metry, szerokość wody, dwa słupy i dwa światy. Patrzą na siebie obojętnie i daleko, kałchożnik i ułanik. Wolny i niewolny. Ale który z nich jest wolny?²⁸

Ten rys indywidualizmu zostaje przeniesiony na historię²⁹. Człowiek różni się od zwierzęcia — pisze Józef Mackiewicz — „rozumową możliwością przewidywania naprzód”³⁰. Każdy dźwiga jednak swój czas przeszły. Dzieje są tworzone przez jednostki, ich codzienność, dramaty, przeżycia i stroje. Pisarz odczytuje sens jednostkowy czasów, które minęły; sięga do dzieciństwa jako do źródła wiedzy o człowieku. Dowiadujemy się tu wiele o rzeczach zapomnianych, spłowiałych lub nieistniejących. (Co to jest „baszłyk”? — niech odpowie mi na to pytanie któraś z dzisiejszych pań modnych!)³¹

Trudno byłoby tę postawę nazwać „czystym liberalizmem”. Tutaj poglądy Mackiewicza nie są odległe od klasycznych tez filozofii chrześcijańskiej. Jednostka ludzka nie stanowi miary świata. Pisarz prezentuje w swoich tekstach bardzo wyraźną aksjologię czynów człowieka. Nie waha się nazywać po imieniu osób, czyniących zło — bez względu na to, czy będzie to wojewoda śląski czy niewykształcony chłop z Polesia. Od różnia wyraźnie prawo jednostek (prawa człowieka) i prawo narodów. Nie jest skłonny — na sposób liberalistyczny — rozmywać struktur narodowych, kulturowych i etnicznych w jednowymiarowym indywidualizmie jednostek ludzkich. Szczególne znaczenie ma w jego katalogu wartości natura — również w sensie przyrody.

PRZYRODA

Przywiązanie Mackiewicza do przyrody i jej wartości — zasad, dynamiki i ładu — wskazuje na trwałą i bogatszą niż sama idea podstawę jego światopoglądu. Częste zestawianie ze sobą reguł świata ludzkiego i świata natury — z aksjologicznym „prymatem” tego drugiego — każe dostrzec w jego ontologii świata silny element prawa naturalnego. Życiorys pisarza dostarcza tu pierwotnych danych. Jak podaje w cytowanym artykule W. Bolecki³², w Wilnie —

kontynuował studia (zajmował się ornitologią), których nie ukończył. W pamięci rodziny pozostał miłośnikiem ptaków. Kiedy był mały, ojciec zrobił mu specjalne klatki, w których trzymał gile, kanarki, oswojoną wronę i kruką. Zaprzyjaźniony ogrodnik nazywał go św. Franciszkiem. Później, już we własnym domu w Czarnym Borze, także hodował ptaki, trzymając klatki ustawione jedna na drugiej. Znał się na ptakach jak mało kto. Ich opisy spotkać można w jego wszystkich utworach.

²⁷ Tamże, s. 342.

²⁸ Tamże.

²⁹ Por.: Z. S. Siemaszko, *Elementy historyczne w twórczości Józefa Mackiewicza*, Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 1981 nr 20 s. 6 (Tydzień Polski nr 4).

³⁰ *Prawda w oczy nie kole*, s. 64.

³¹ *Wspomnienia niepopularne*, [w:] *Bulbin z jednosiela* s. 247–250, zwł. 249.

³² W. Bolecki, *Prawda rzucona w oczy świata*.

W czasie okupacji utrzymywał się przy życiu, pracując jako woźnica i drwal. Wędrował namiętnie podglądając cuda przyrody. „Jak sam obliczył, w roku 1938 przeszedł i przejechał w ten sposób 26 tys. 132 km!” — przytacza Bolecki.

Większość jego reportaży i przedwojennej publicystyki poświęcona jest walce z przerostem i absurdami władzy. Polityka w szerokim i wąskim znaczeniu tego słowa wypełnia jego teksty w dużej części, ale wyczuwa się, że największą fascynację Mackiewicza stanowi przyroda. Jego opisy przyrody, zwłaszcza dotyczące obszarów na wschodzie Polski, urzeczenie prostymi ludźmi, którzy żyją blisko przyrody, „powiew metafizyczny” obecny przy opisach odkryć archeologicznych³³, wzruszający esej o kruku³⁴ albo niezwykle uogólnienie zjawiska śniegu, ukazujące przyrodę, w którą wciska się historia, symbiozę natury i dziejów³⁵ — to wszystko przekracza styl zwykłego reportażu czy artykułu interwencyjnego i wchodzi w sferę ogólniejszego namysłu nad światem i człowiekiem. Przyroda jest w tej wizji ostoją trwałości i pewności, choć często trwałość to okrutna, a pewność wynika z konieczności biologicznej. Jednak wymiar ten dla autora zbioru *Fakty, przyroda i ludzie* łączy się z poczuciem prawdy i sprawiedliwości; zwierzę nie okłamuje (gdy dochodzi w jego świecie do gry podstępnej, to w imię życia), nie ma też tu zniewolenia czy okrucieństwa wyrządzanego dla zachcianki lub przyjemności.

W stratyfikacji antropologicznej najbliżsi przyrodzie są dla Mackiewicza chłopci. Oni nie oderwali się jeszcze od sensu ziemi, natury i mozolnej pracy, dlatego zachowali w sobie tę „filozoficzną nutę” zdrowego rozsądku, która pozwala człowiekowi intuicyjnie odsiać ziarna od plew³⁶. Knut Hamsun, twórca norweski, noblista, w powieści *Błogosławieństwo ziemi* tak oto opisał prostego człowieka natury:

W księdze nigdy się nie zatapiał, ale myśli jego często krążyły koło Boga, nie mógł inaczej, ufność i cześć miały w duszy jego silne korzenie. Niebo gwiaździste, poszum boru, samotność, zasypane śnieżne, wszelkie potęgi ziemskie i nadziemskie nakłaniały go do rozmyślań i nabożności: czuł się grzeszny, więc był bogobojny³⁷.

Prosty człowiek — chłop, robotnik — zachowuje zdrowy rozsądek i głębokie poczucie zdrowej moralności. Mackiewicz wierzy w to i przytacza wiele argumentów przemawiających za tym.

Jednym z nich jest wskazanie na niepodatność na nachalną i agresywną propagandę komunistyczną. Prosty lud według niego intuicyjnie odrzuca komunizm, dostrzegając w nim antywartość obcą naturze człowieka i przyrodzie. „Minęły już te czasy — pisze w 1938 r. — gdy niebezpieczeństwo komunistycznej propagandy w masach było dla nas tak niebezpieczne”, a dalej: „ogromnie potężnie w ciemnym ludzie złość i nienawiść do bolszewików”. Wskazuje na inteligencję jako na główną siłę propagacji tendencji lewicowych³⁸. Te konstatacje pozwalają nam dziś zrozumieć, dlaczego z takimi oporami przebiegała indoktrynacja komunistyczna większości Polaków po 1944 r. i dlaczego tak wielkie obszary inteligencji zaangażowały się z zapałem do jej realizacji.

Szczególne świadectwa dostarczają opisywane w reportażach zderzenia lewicowej inteligencji — zwłaszcza nauczycielskiej — z rodzicami z miasteczek i wsi Polski międzywojennej. Związek Nauczycielstwa Polskiego, odznaczający się znacznym nastawieniem lewicowym i dążący do stworzenia swobodnego rządu dusz, był wówczas znany z przeciwstawiania się Kościołowi, wartościom patriotycznym i promocji zachowań, de-

³³ Zob.: *Złóża mamutowe na Wołyniu*, [w:] *Okna zatłkane szmatami*, s. 201–205.

³⁴ Zob.: *Krakaś*, [w:] tamże, s. 219–224.

³⁵ Zob.: *Śnieg*, [w:] tamże, s. 231–235.

³⁶ Zob.: *Po co mówić szeptem o Narocz*, [w:] *Bulbin z jednosielca*, s. 386nn.

³⁷ K. Hamsun, *Błogosławieństwo ziemi*, tłum. Cz. Kędziński. Poznań 1973.

³⁸ *Tajemnica sowieckiej prowokacji w Zdobunowie*, [w:] *Okna zatłkane szmatami*, s. 247 i 249.

prawujących dzieci i młodzież³⁹. Doprowadzało to nierzadko do protestów społeczności lokalnych, a nawet do scysji z władzami⁴⁰. Zasadniczym punktem konfliktu był często element religijności. Ludzie próci zrażali się do obcych światopoglądowo urzędników ZNP i reagowali oburzeniem na ateizujące poczynania kadry szkolnej. Wierność religii ojców i wytrwałość w postanowieniu tradycyjnego wychowywania dzieci Mackiewicz wiąże również z zakorzeniem tych ludzi w naturze. Pisze:

Tak jak świątynia odciąga ludzi od zbytniego zmaterializowania i doczesności, tak samo przyroda w swych kreacjach⁴¹.

Prostego człowieka cechuje wrażliwość na proste wartości. Mackiewicz relacjonuje powszechne oburzenie a zarazem kpinę w reakcji na wystawienie przez „wdzięczną ludność” Polesia pomnika z granitu żyjącemu wojewodzie śląskiemu Michałowi Grażyńskiemu.

Każdy z nich rozumie, że wobec przełożonego trzeba być grzecznym, nawet podskoczyć i krzesło podać, nawet czapkę w rękę trzymać, nawet kłaniać się nisko. Ale żeby aż tak! Żeby za jego życia wznosić mu z granitu pomniki... Bo, proszę panów, można chodzić w zgrzebnej koszuli, smarować nos w palce i wycierać je o spodnie, rugać się „po matuzce”, wkładać łapcie, a nie zatracić poczucia smaku obywatelskiego⁴².

Ci ludzie są dla pisarza synonimem natury. Tytułem dygresji warto zauważyć w związku z tym utożsamieniem przyrody z naturą, że w wielu językach (język polski nie jest tu wyjątkiem) istnieje wspólne znaczenie natury w sensie biologii, przyrody i natury w sensie istoty ludzkiej. Chociaż z reguły w literaturze odróżnia się starannie te dwa znaczenia, to jednak istnieje pewna ich wspólna „część semantyczna”. Tym wspólnym sensem jest to, co z a d a n e, czyli wymiar d a r u — zarówno przyrody jak i natury ludzkiej; wymiar — można rzec — tego, co niekreowalne przez człowieka. Innymi słowy: to, co jest wspólnego w tych dwu pojęciach, to pewien obiektywizm, przedmiotowość zastana przez człowieka. To jest ów element życia, z którym bohater cytowanej powieści Hamsuna miał do czynienia na co dzień, coś, z czym się trzeba uporać, trudzić, a co charakteryzuje ściśle realność świata. Niestety, dzisiaj natura w tych obydwu sensach jest przed człowiekiem ukryta lub przez niego ignorowana. Trzeba stwierdzić, że w tym sensie w naszym dzisiejszym świecie jest więcej kultury niż natury. Człowiek właściwie sam przetwarza lub wytwarza swoje otoczenie (albo przynajmniej tak mu się wydaje). Gdy rozejrzemy się dookoła siebie, to zobaczymy, że większość rzeczy stanowią produkty człowieka, wykreowane przez niego. Począwszy od chemizowanego jedzenia, poprzez miejsce, gdzie spędza czas („maszynę do mieszkania”), aż po rachityczne drzewko na ulicy, które jest tak przystrzyżone oraz tak obudowane betonem, że stanowi właściwie bardziej wytwór człowieka niż przyrody. Można by powiedzieć, że człowiek wielkomięjski, mieszkający niemal całe życie w bloku, niezwykle rzadko ma okazję doznać wyraźnego momentu przeżywania transcendencji natury; rzeczy, z którymi

³⁹ Na przykład nauczyciel Sarbinowski ze szkoły w Chełmie lubelskim w II klasie gimnazjum „ośmieszał cuda, drwił z Żywotów Świętych, podważał etykę katolicką” (*Należy wyciągać konsekwencje właściwe*, [w:] *Okna zatłkane szmatami*, s. 122). Wiele reportaży Mackiewicza poświęconych jest trwałemu antyklerykalizmowi i nachyleniu komunistycznemu Związku Nauczycielstwa Polskiego. (Zob. m.in.: „*Higieniczne*” *kulisy wojny religijnej w Rykontach*, [w:] *Bulbin z jednosiłca*, s. 356–361). Można postawić tezę, iż tam znajdowały się źródła klęski pedagogicznej Polski powojennej, kiedy wychowawcy i nauczyciele byli w przeważającej mierze manipulatorami-narzędziami nowej władzy, deformującymi młodzież.

⁴⁰ Por.: *Żądamy rozwiązania ZNP-u*, [w:] *Okna zatłkane szmatami*, s. 52–57 oraz *Duch naprawy krąży w Gaciach*, [w:] tamże, s. 177–178.

⁴¹ *Złóża mamutowe na Wołyniu*, [w:] tamże, s. 204.

⁴² *To nie sen*, [w:] tamże, s. 294.

się styka, to w większości artefakty. Człowieka otacza jego zła kultura — jesteśmy coraz bliżsi takiej diagnozy⁴³.

Mackiewiczą wartościowanie przyrody nie jest pozbawione podstaw filozoficznych. W człowieku istnieje głęboko zakorzenione przekonanie, że można się wiele nauczyć od świata przyrody. Między innymi wielki polski psychiatra Antoni Kępiński twierdzi, że normy moralne konstytuują się w psychice człowieka w trzech warstwach. Pierwszą z nich jest, „konstytucjonalna” dla moralności i zdrowego sumienia, warstwa przyrody. Píše:

należałoby przyjąć, że najwyższy system samokontroli odczuwany przez człowieka jako sumienie, dzięki któremu odróżniamy dobro od zła, mieści się w istocie przyrody ożywionej. To znaczy nie tworzy się on wyłącznie dzięki wpływom otoczenia społecznego, ale jest człowiekowi dany w postaci naturalnego porządku moralnego. Śladów tego systemu można doszukać się w świecie zwierzęcym. [...] Wydaje się, że istnieje jakaś naturalna moralność przyrody, której także człowiekowi naruszyć nie wolno⁴⁴.

Pierwszą warstwą jest więc przyroda, świat zwierzęcy. W koncepcji A. Kępińskiego — nie inaczej krystalizuje się myśl Mackiewiczą — następuje zbliżenie świata biologicznego i duchowego. Drugie prawo biologiczne, czyli prawo zachowania gatunku, przejawiające się w instynkcie macierzyńskim, trosce o młode i w obronie słabych (np. samiec walczy z napastnikiem broniąc gniazda), ma sens moralny zbliżony do zasady spolegliwego opiekuna i zasad moralnych strzegących rodzaju ludzkiego, a wynikających z prawa naturalnego. Inaczej rzecz ujmując, należy powiedzieć, że w otoczeniu przyrodniczym istnieją pewne wartości dane poprzez obiektywność rzeczywistości. Przyroda formułuje swoiste wskazówki i normy. Kępiński mówi: „naturalna moralność przyrody”. Nie chodzi z pewnością o to, żebyśmy mieli naśladować zwierzęta, uczyć się od nich, poddawać „zezwierżeniu”. Nie chodzi też bynajmniej o biocentryzm. Istotne jest, aby odczytać w środowisku naturalnym to, co dane i że jest to dane. Jest to rodzaj *rewaloryzacji obiektywności* w naszej rzeczywistości aksjologicznej. Pojawia się obecnie coraz więcej sygnałów psychologicznych, filozoficznych i literackich, które wyznaczają wyraźny kierunek metodologiczny „powrotu ku naturze”, wskazując zarazem drogę wyjścia z niepohamowanej relatywizacji obejmującej dzisiaj sferę norm moralnych. W tekstach Józefa Mackiewiczą znajduje się wielka ilość takich sygnałów.

POLITYKA

Podstawą ładu życiowego i zasadą wyjaśniania świata była dla Mackiewiczą przyroda. Jednak tematem numer jeden, pasją i żywiołem — była polityka.

Bez polityki nie można — pisał. — Nie można dlatego, że stanowi ona składową część życia⁴⁵.

Polityka nie jest dla pisarza w pierwszym rzędzie ani sposobem zdobywania władzy, ani służbą wspólnocie ludzkiej, lecz przede wszystkim służącym działaniu środkiem poznania rzeczywistości. Aspektów rzeczy jest niezliczona ilość. Polityk „winien być jak numizmatyk” — pisał Mackiewicz w *Prawda w oczy nie kole*. We współczesnym świecie, nabierającym na jego oczach coraz większego rozpędu, widzenie polityczne staje się

⁴³ Por.: W. Chudy, *Natura a normy moralne. Z metodologicznych podstaw „styku” filozofii i psychologii*, Edukacja Filozoficzna 1997 vol. 23 s. 58–70.

⁴⁴ A. Kępiński, *Lęk*. Warszawa 1977 s. 124. Dwie następne warstwy konstytuowania się moralności w człowieku to według Kępińskiego warstwa z wczesnego okresu rozwoju — zasady moralne wpojone lub nabyte w okresie dzieciństwa — i warstwa aktualna, tworząca się na bieżąco, w życiu codziennym człowieka.

⁴⁵ *Wycieczka do Europy*, [w:] *Fakty, przyroda i ludzie*, s. 303.

najbardziej wszechstronnym i najpełniejszym sposobem orientacji. Pod warunkiem, że będzie rzetelnym i uczciwym środkiem poznania i oceny. Sprawiedliwość wobec jednostki i integralność państwa — to cele polityki⁴⁶. Kryterium negatywnym oceny idei i etosu polityki jest stosunek do jednostkowej osoby — jej prawdy przekonań i wolności sumienia. Dlatego autor *Drogi donikąd* zdecydowanie odrzuca jakąkolwiek rację bytu politycznego komunizmu zarówno jako ideologii jak i jako ustroju⁴⁷. Mackiewicz krytykuje z pasją i odrzuca pojęcie polityki jako narzędzia ideologii i źródła korupcji; nie neguje natomiast racji istnienia polityki jako nadrzędnej wartości budowy i stabilizacji państwa⁴⁸. Akcentuje wielką rolę historii dla polityki. Podobnie jak Santayana, twierdzi że aby uniknąć błędów przeszłości, trzeba znać historię. Aby uzasadnić realizm swojej koncepcji „idei krajowej”, przywołuje m.in. postać Wielkiego Księcia Witolda jako symbol męża stanu⁴⁹. Na gruncie historii dopiero dochodzi do głosu —

prawo bezstronnego sądu o stronie krzywdzącej i krzywdzonej. Histeryczne oczernianie jednych i sztuczne idealizowanie drugich, nie jest drogą wiodącą do ujawnienia rzeczywistości⁵⁰.

Autor *Kontry* nie miał jednak okazji, aby przekonać się o smaku owoców ideału polityki jako czynności czysto ludzkiej.

Sam też doskonale zdawał sobie sprawę z ciemnych stron tej domeny. „Polityczne choroby są równie częste wśród organizmów zbiorowych, jak organizmów ludzkich” — stwierdzał chłodno⁵¹. Pierwszą przyczyną tych chorób jest z d r a d a r o z u m u.

⁴⁶ Ze względu na dalekowzroczny aspekt państwowotwórczy nie mógł znieść emocjonalnie postaci J. Piłsudskiego. Zarzucał mu kunktatorstwo polityczne, które przejawiało się najwyraźniej — i zdaniem Mackiewicza tragicznie dla Polski — w odrzuceniu w 1920 r. sojuszu z Denikinem, który doprowadziłby do radykalnej likwidacji zagrożenia komunistycznego. Według Mackiewicza marszałek był „politycznym kretynem” (*Prawda w oczy nie kole*, s. 11). W innym miejscu pisze: „Zdzieciniały kretyn Piłsudski, pasowany na geniusza” (tamże, s. 61), „ojciec i organizator całej tej bandy: Kostka Biernackiego, skorumpowanych polityków itp.” (tamże, s. 75); wreszcie: „Największe zło i nieszczęście Polski” (tamże, s. 83). Nie może też pojąć uwielbienia Polaków „do nabalsamowanych zwłok Piłsudskiego. Tragiczna bruzda, którą przekopał ten człowiek w poprzek żywego ciała Narodu Polskiego, pozostała nie zagojoną nawet po jego śmierci i po śmierci państwa polskiego” (tamże, s. 139).

⁴⁷ Nie zamierzamy kontynuować tutaj tematu stosunku Mackiewicza do komunizmu. Jest to temat sam w sobie. Garść cytatów z tekstów pisarza niech zamknie tę sprawę. Oto one. „Komuniści, niebezpieczeństwo największe dla świata” (*Okna zatłkane szmatami*, s. 30). „Najpodlejszy z ustrojów świata” (*Prawda w oczy nie kole*, s. 173), będący w istocie „totalnym programem zniwelowania indywidualności ludzkiej” (*Okna zatłkane szmatami*, s. 84). (Por. też: *Jeszcze wielkie oskarżenie Sowie-tów*, [w:] *Bulbin z jednosiela*, s. 97–102.) „Powinniśmy prowadzić walkę z komunizmem na śmierć i życie. To nie jest walka o piłkę w tenisie, ani o bilę w bilardzie lub wieżę w szachach. To jest walka o najszczytniejsze ideały ludzkości. A w walce na śmierć i życie nie udziela się «forów»” (*Bierzmy przykład z „Cichego Donu”*, [w:] *Bulbin z jednosiela*, s. 411). „Bolszewia rozbita być powinna, zgnieciona, wypalona, unicestwiona raz na zawsze i po wieki wieków. Amen”. Tak się kończy (s. 206) książka *Prawda w oczy nie kole*, będąca najosobistszym wyznaniem filozofii politycznej Mackiewicza. („Piszę tu raczej spowiedź osobistą na tle wypadków, tak jak mi przychodzi na pamięć i na myśl” (tamże, s. 129).

⁴⁸ Trudno więc zgodzić się z W. Boleckim (zob. art.: *Prawda rzucona w oczy świata*), utrzymującym, że Mackiewicz neguje wszelkie życie polityczne. Interpretacja ta jest klasycznym anachronizmem: przeniesieniem nierzadkiej obecnie abominacji do dzisiejszej sfery polityki na okres, którego dotyczą teksty autora.

⁴⁹ Zob.: *Maiores dux Lituaniae*, [w:] *Bulbin z jednosiela*, s. 200–202.

⁵⁰ *Prawda w oczy nie kole*, s. 102.

⁵¹ Tamże, s. 126.

Każdą polityką rządzą głównie czynniki emocjonalne, a często z ich rzędu irracjonalne⁵².

To najniebezpieczniejsza dziedzina działalności ludzkiej, jeśli wola władzy zdominuje pragnienie ładu i wartości.

Przyrodzony egoizm ludzkiej jednostki wspinał się i osiągał swój wielokrotny punkt szczytowy dopiero w płaszczyźnie politycznej. Egoizm państwowy stał się sformułowanym już dogmatem od czasów Machiavellego. Stąd rozdwojenie ludzkiego sumienia, które pochwała w polityce to samo, czego się zapiera i potępia w życiu prywatnym. Stąd też wypływa ta skrętna zapobiegliwość, z której się korzysta dla osłonięcia celów osobistych, celami wyższej polityki⁵³.

Mackiewicz nie szczędzi mocnych słów przy charakterystyce współczesnej sobie klasy politycznej. Pisze w tekście o nadzwyczaj znajomo brzmiącym tytule: cechuje ich —

spora doza najszczerzej frazeologii, służącej za odskocznnię osobistych ambicji pewnych panów. Jest wielka umiejętność w spekulacji politycznej, w zakłamaniu. Siewcy demagogii potrafią nieraz wykazać tak olbrzymi zasób hipokryzji, wobec której staje się z otwartymi ustami zaskoczenia i zapartym w oburzeniu tchem⁵⁴.

Stąd racjonalność zostaje w praktyce zastąpiona interesownością. „Historia często łże, a prawie zawsze jest tendencyjna”⁵⁵.

W szczególności historia w funkcji politycznej staje się *de facto* apologią jednej opcji; Mackiewicz miał okazję zwłaszcza stykać się z tym nadużyciem w wersji nacjonalistycznej. Napiętnowane przez niego „kłamstwo patriotyczne”⁵⁶ swoim agresywnie ideologicznym charakterem odpowiada dzisiejszemu uprawianiu „poprawności politycznej”, jaka atakuje nas nieprzerwanie z mass mediów. Był jak najdalszy od ciasno rozumianego nacjonalizmu⁵⁷. Wierzył w owocne współistnienie wielu kultur i nacji. Książka *Prawda w oczy nie kole* jest jednym żarliwym wyrazem pragnienia powrotu do idei Wielkiego Księstwa Litewskiego, gdzie Polacy, Litwini, Białorusini, Żydzi i inne narody współżyli, tworząc harmonię państwową i stabilność gospodarczą — na tym polegała jego koncepcja polityczna „idei krajowej”. Bronił nieprzerwanie regionalizmów (argumentował: wieś na Wileńszczyźnie mówi dziś po białorusku, a chłop jest większym patriotą niż zawodowy polityk⁵⁸ jednak bronił również przed zarzutem antypaństwowości nauczyciela, który zwracał się do uczniów po rosyjsku („ty gołubczik”)⁵⁹. Uważał, że wrogiem numer jeden jego „idei krajowej” jest nacjonalizm.

Nacjoniści litewscy są naszymi przeciwnikami politycznymi, tak samo jak są nimi nacjoniści polscy⁶⁰.

⁵² Tamże, s. 138.

⁵³ Tamże, s. 147.

⁵⁴ *Zamiast programu, banda złodziei*, [w:] *Bulbin z jednosielca*, s. 452.

⁵⁵ *Prawda w oczy nie kole*, s. 160.

⁵⁶ Zob.: *Okna zatkałe szmatami*, s. 368.

⁵⁷ W. Bolecki przytacza Mackiewicza piszącego o sobie, że „ma atrofię poczucia nacjonalizmu”. Antysemityzm czy filosemityzm, anyniemieckość czy filoniemieckość, antyrosyjskość czy filorosyjskość etc. były dla niego sprawami „na równi obcymi. ... Natura — podkreślał wielokrotnie — nie zna ani rasizmu, ani nacjonalizmu”. Zob.: W. Bolecki, *Prawda rzucona w oczy świata*.

⁵⁸ Zob.: *Bulbin z jednosielca*, s. 86–92.

⁵⁹ Por.: tamże, s. 415.

⁶⁰ Tamże, s. 238–239.

Z dzisiejszego punktu widzenia ów nacjonalizm to zwyczajny fanatyzm narodowy, szowinizm: chora, nie cofająca się przed przemocą, a nawet zbrodnią, ideologia. Czym innym jest afirmacja idei i wartości narodowej, stanowiącej niezbywalne prawo człowieka i horyzont kulturowo-historyczny zbiorowości⁶¹.

OGÓŁ A JEDNOSTKA

Mackiewicz w swym piarstwie zafascynowany jest przede wszystkim losami jednostkowymi człowieka. Życie indywidualnej osoby to samo w sobie kosmos i historia — warte więcej niż wielkie struktury społeczne tworzone przez ludzi. Poglądami tymi zbliża się bardzo do naszej dwudziestopierwszowiecznej współczesności. Właśnie jednostkowe życie człowieka jest według pisarza decydujące dla kształtu wspólnoty, instytucji, a nawet całych dziejów; człowiek swymi decyzjami wywołuje lawinę zdarzeń, które kształtują historię. Przykładem tego są losy atamana Machno czy pułkownika Miasojedowa, któremu Mackiewicz poświęcił powieść, a którego tragiczna sprawa miała specyficzny początek nakreślony tutaj w opisie pewnego skandalu w Wilnie⁶².

W ocenie ludzi także na pierwszym miejscu Mackiewicz stawia indywidualizm, ewentualnie sytuacjonizm (można zauważyć że w jego reportażach sytuacja, w którą uwikłany jest człowiek, wyjaśnia wiele z postępowania). Jest natomiast zdecydowanie przeciwny mitologizacji pojęcia społeczeństwa, narodu albo ludu (w postaci np. „duszy ludu”). Postawa, polegająca na sentymentalnym albo przeciwnie przesadnie pejoratywnym stosunku do jakiejś abstrakcji zbiorowości, prowadzi często do deformacji obrazu i błędów w działaniu. Píše:

Wiele błędów, zarówno w tzw. podejściu generalnym, jak w rozwiązaniu problemów lokalnych, dałoby się uniknąć, gdybyśmy zarzucili metodę filozoficznego zgłębiania „istoty chłopskiej psychiki”, a traktowali ją na równi z psychiką normalnego człowieka⁶³.

Jak już wykazywaliśmy wyżej, afirmacja jednostkowości nie zakłada jednak negacji przez Mackiewicza sensu ogółu. Pisarz dostrzega i opisuje wyraźne odrębności strukturalne i znaczeniowe zbiorowości w rodzaju kultury lokalnej, regionu, narodu i państwa. W szczególności zauważa związek między moralnością jednostek i kondycją struktury państwowej. Zawsze „ruina osobista obywateli zespala się z ruiną państwa” (s. 69) — mówi o kłesce 1939 r., jednak zdanie to ma z pewnością sens ogólniejszy⁶⁴.

Warto zatrzymać się w tym kontekście przy pojęciu *p a t r i o t y z m u* Mackiewicza. Całą jego twórczość, zwłaszcza twórczość reportażową, przenika ton szlachetnej emocjonalności związanej z ojczyzną, krainą, przede wszystkim zaś z ludźmi, wśród których żyje. Oto dłuższy passus, odnoszący się do tych uczuć.

Miłość kraju zupełnie automatycznie wywołuje sentyment do wszystkiego, co jest z nim związane. Mam głęboki i wielki sentyment do szarego człowieka naszej wsi, jego mowy, ubogich chat, stroju, zlepionych w wyobraźni od dzieciństwa z krajobrazem. Do

⁶¹ Dlatego, jak się wydaje, Mackiewicz idzie zbyt daleko w swojej krytyce ideologii narodowej, w rezultacie „wylewając dziecko z kąpielą”. Gdy bowiem przywołać dzisiejszą sytuację narodów Europy — zwłaszcza słabszych gospodarczo i politycznie — ukazuje się istotna wartość poczucia i obiektywnej natury narodu. Jeśli usunąć zasadę narodu ze współczesnej planszy politycznej, to owe słabsze państwa utracą wszelki punkt oparcia dla swojej suwerenności kulturowej i politycznej np. na tle ogromnej i wszechpotężnej struktury Unii Europejskiej.

⁶² Zob.: *Ataman Machno*, [w:] *Bulbin z jednosiela*, s. 306–310 i *W 105-ym Orenburskim*, [w:] tamże, s. 332–335.

⁶³ *Bazyluk i jego towarzysze*, [w:] *Okna zatkałe szmatami*, s. 440.

⁶⁴ *Prawda w oczy nie kole*, s. 69.

wszystkich szczegółów tak dobrze mi znanego życia; sentyment do mizernego konika i chwiejącej się nad jego łbem duhy, do lejc z powroza i łapci często z kory drzewnej. Do zgniłej słomy w strzechach i niemelodyjnych tęsknych pieśni⁶⁵.

Ten obraz „małej ojczyzny” wywołuje istotne i ważne pojęcia etyczne. Patriotyzm bowiem w istocie — tak jak rzecz ujmuje Mackiewicz — nie zależy od zasobności materialnej. Trudno byłoby rzeczywiście pochwalić się np. dzisiaj walorami Polesia, do których wzdychał autor. Bodaj ważniejszym jeszcze akcentem tego pojęcia patriotyzmu jest jego swoista ewangeliczność. Wartość ojczyzny wyklada się w wartości najuboższych i najmniejszych.

Walor etyczny polskości ujawnia się również w języku, którym pisarz się posługuje. Uderza język jego tekstów, w tym może szczególnie język publicystyki: nowoczesna polszczyzna, do dzisiaj literacka, nawet niekiedy wyrafinowana, lecz zawierająca często ów ton, tak charakterystyczny dla patriotyzmu Mackiewicza. Oddaje on ten język w całej jego barwie i smaku, a także bogactwie, dziś już niedostępnym dla nas: u Mackiewicza w reportażach „słysząc” go z cudnym, niepowtarzalnym nalotem kresowym, śpiewem białoruskim czy wolapikiem polsko-żydowskim, zatraającym jidysz.

Stałym tematem twórcy *Drogi donikąd* jest współżycie ludzi różnych narodów, religii i języków⁶⁶. W. Bolecki w cytowanym tutaj artykule z „Rzeczpospolitej” („Plus-Minus”) cytuje charakterystyczny dla rozumienia patriotyzmu przez Mackiewicza fragment tej książki, opisujący ziemię, której ośrodkiem było Wilno:

Były to ziemie nie tylko litewskie, białoruskie i polskie jednocześnie, zjednoczone w przeszłości i pokłócone współcześnie; zamieszkiwali je też Żydzi i Rosjanie; na tych ziemiach zwycięscy w wojnach tatarscy wielcy książęta osadzali przed wiekami jeńców dając im grunty i przywileje. Dlatego wśród sosen północnych zdarzało się spotykać jeszcze minarety z półksiężycem; tu, w stołecznych ongiś Trokach nad potrójnym jeziorem, zasiedli krymscy Karaimi, wyznający Pięcioksiąg Mojżeszowy, ale odrzucający Talmud; kościoły katolickie budowano przeważnie w stylu włoskiego baroku, rzadziej gotyku; cerkwie prawosławne w niezmiennie kopulastobizantyjskim stylu; z czasów Reformacji zostało trochę wyznawców Kalwina, mniej Lutra; w bardziej zaś odległych od miasta stronach, wśród lasów i bagien, ludzie szukający prawdy poddawali się wpływom różnorodnych sekt.

Przechodzimy do istoty Mackiewiczowego pojęcia patriotyzmu. Stanowi ją *h a r m o n i a w s p ó ł i s t n i e n i a* na jednej ziemi i uczestnictwo w jednej kulturze, mieniającej się różnymi barwami obyczaju, języka i tradycji. Formalną zasadą jedności tego, co wspólne, jest państwo; wspólną treść stanowi historia oraz pewien katalog wartości, składający się na to, co w ojczyźnie uważane jest za podstawową uczciwość. Poglądy Mackiewicza w tej mierze zbliżone są do poglądów Antoniego Słonimskiego; powołuje się zresztą na niego w książce *Bulbin z jednosielca* (s. 423). Jak pisze w znakomicie zredagowanym *Kalendarium życia i twórczości* Nina Karsov —

działalność dziennikarska Mackiewicza była bardzo wszechstronna, ale głównie walczył z administracją polską, starającą się zniszczyć wielonarodowościową i wielowyznaniową mozaikę dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego w imię „polskiej racji stanu”⁶⁷.

Najwyrazistszą ilustracją tego pojęcia patriotyzmu jest tekst tytułowy z tomu *Bulbin z jednosielca*. Tytułowy Bulbin to chłop białoruski z podwileńskiej wioski, na pozór

⁶⁵ *Zamiast programu, banda złodziei*, [w:] *Bulbin z jednosielca*, s. 452.

⁶⁶ Por.: S. Brykczyński, *Wielonarodowy światopogląd J. Mackiewicza*, *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* 1985 nr 147 s. 9 (Tydzień Polski nr 25).

⁶⁷ *Bulbin z jednosielca*, s. 532.

nierozgarnięty i zniewolony przez każdą siłę, która wejdzie do wsi, i za którego „nie dałoby się pięciu groszy”; w rzeczywistości wierny wartościom i tradycji okazuje się ponadczasowym wzorem męznego patrioty.

Autor *Kontry* i *Sprawy pułkownika Miasojedowa* miał wyjątkowe wycucie socjopsychologicznych praw rządzących mentalnością zbiorową. We fragmencie powieści przygotowywanej do druku przed wojną, zatytułowanym *Kriuczkow*⁶⁸, przedstawia swoistą filozofię idola i zapowiedź nowej ery mentalnej, która na naszych oczach w końcu XX wieku osiągnęła swoje apogeum. W wymienionym fragmencie jedna z postaci — Siergiej Ławrowicz stary generał rosyjski — tak interpretuje zdarzenie mające miejsce w czasie I wojny światowej: —

Wie pan, jak sobie dziś pomyślę — mówił — to mi się zdaje, że w tym porywie masowej hysterii z powodu takiego Kriuczkowa było coś wieszczego. To tak wyszło, że już pierwszego dnia Wielkiej Wojny, pierwsze skrzyżowanie szabel wykrzesalo jakby z ich kling pierwszy dzwonek, który zapowiadał powszechną psychozę, jaka po tej wojnie ma nastąpić. Oto przez przeobrażenia powierzchowne i trupy obalonych autorytetów do demokracji, miotanego paroksyzmem tęsknoty do własnych „wodzów”. Do tego poszukiwania autorytetów tłumu, dyktatorów, bożyszcz, geniuszów. [...] Do pewnego stopnia zasadnicze rysy dzisiejszej psychozy występowały już w ówczesnej aferze Kriuczkowa: zupełny brak krytycyzmu; przeżywanie jego imieniem byle jakich przedmiotów, wcale z nim niezbieżnych, imaginowanie fantastycznych legend, no itd. A to, że sam Kriuczkow uwierzył z biegiem czasu we własną wielkość, co zresztą uczyniłby na jego miejscu każdy człowiek, czy to też nie rys charakterystyczny z tej kategorii?⁶⁹

Z gorzkim zaskoczeniem odkrywamy, iż sprawdzają się reguły „nowych czasów” odkryte intuicyjnie przez Mackiewicza przed ponad 60 laty: potężniejąca siła polityczna mass mediów, konstruowanie „faktów prasowych”, kreowanie sztucznych autorytetów, manipulowanie informacjami, skuteczne indoktrynowanie mas ludzkich i dyktowanie im norm obyczajowych przez telewizję i inne media. Pisarz odkrył obiektywną tendencję dziejową, która wkrótce już ogarnęła cały świat.

FILOZOFIA PISARSKA

Interesująca jest filozofia pisarstwa Mackiewicza, w szczególności odnosząca się do realizmu i prawdy w literaturze. Wyżej wspominaliśmy już o podporządkowaniu całej twórczości prawdzie obiektywnej: zarówno proza reportażowa jak i fikcyjna (powieści) odnosić się ma do prawdy. Autor *Nie trzeba głośno mówić* zresztą nie posługuje się w swym pisarstwie tylko „szkiełkiem i okiem”, jego częstą metodą jest żywa relacja z własnych przeżyć. Stąd bywa, że teksty są pełne emocji i wewnętrznych sprzeczności⁷⁰. U Mackiewicza można odczytać całe spektrum opisu, odnoszącego się do tej „obsesji prawdziwości”: od „prawdy faktów” do „Tajemnicy prawdy”⁷¹. Idąc tym tropem, można by zapytać o miejsce Boga w światopoglądzie pisarskim autora *Kontry*. Trzeba przyznać, że jest on w tej dziedzinie nader powściągliwy. Wielu historyków i krytyków

⁶⁸ [W:] *Okna zatkane szmatami*, s. 443–450. Niestety nie dowiadujemy się, pod jakim tytułem miała się ukazać, a także, jakie były dalsze jej losy. [Powieść ta nigdy nie została ukończona. Historię propagandowego kultu bohatera Kozaka ukazał Mackiewicz w *Sprawie pułkownika Miasojedowa* — red.]

⁶⁹ Tamże, s. 445.

⁷⁰ Np. w jednym z artykułów pozytywnie wyraża się o Mussolinim i Hitlerze (w aspekcie ich dynamicznej polityki gospodarczej). Zob.: *Bazowanie na fikcji*, [w:] *Okna zatkane szmatami*, s. 362.

⁷¹ Zob.: M. Bąkowski, *Votum separatum*, s. 49.

literatury jest skłonnych postawić tu tezę o agnostycyzmie⁷². Jednak istnieje w tym piarstwie wiele przesłanek, nakazujących zająć się tą kwestią bardziej wnikliwie. Wyrażane w książkach Mackiewicza silne przekonanie o absolutności prawdy i istnieniu transcendentnej wartości, przekraczającej zdolności kreatywne człowieka; wyraźna afirmacja różnych form i postaci ducha, przejawiających się zarówno w kulturze jak i przyrodzie; przede wszystkim zaś wielka apologia wartości człowieczeństwa — przewyższającej indywidualne i zbiorowe możliwości rozumu, wyobraźni i woli jednostek ludzkich, owa „aksjologiczna szala”, która u autora przeważa wszelki byt ziemski — świadczą o istnieniu Boga ukrytego w materii tego piarstwa.

Szczególną abominacją darzył w związku z tym kłamstwo. Tropił je i demaskował zwłaszcza w dziedzinie polityki i administrowania państwem. *Okna zatkanie szmatami* to nazwa całego tomu wzięta od tytułu reportażu, opisującego drakońskie i absurdatne rozporządzenia rządu dotyczące mieszkańców sfery przygranicznej na wschodzie. Tytuł jest symboliczny, jednak ma swoje konkretne odniesienia: „na terenie województwa p. Bocińskiego nakazano zakrywać okna szmatami w kierunku granicy”. W wielu miejscach kraju to, co „w projektach uczciwych entuzjastów miało być oknem do rynków europejskich dla Ziemi Północno-Wschodnich, stało się oknem zatkanym dziś po prostu szmatą”⁷³. Dla Mackiewicza był to jawny fałsz kierowania państwem, kłamstwo służby publicznej. W wielu miejscach pisarz demaskuje panoszące się tego typu kłamstwa, którymi są jawna i notoryczna niesprawiedliwość urzędów i instytucji, pycha urzędnicza, dyskryminacja biedy, korupcja oraz zwyczajna głupota polityków. Nie potrzeba dodawać, że wówczas — podobnie jak dziś — były to główne czynniki, popychające ludzi i całe warstwy społeczne w kierunku ideologii lewicowej.

Dzisiaj również, podobnie jak przed wojną, dotykają nas absurdaty dysproporcji nakładów finansowych na przedsięwzięcia wymyślone i poronione; rozum oburza się na przejawy arogancji lub niekompetencji urzędników, z jakimi stykamy się na co dzień. Znajdujemy u Mackiewicza bliski „nam dzisiejszym” nastrój opisu niektórych spraw. Wyczuwa się bowiem w jego niektórych tekstach swoistą bezradność dyskursu poważnego. Tak jak dzisiaj, kiedy wobec pewnych akcji, traktujących społeczeństwo jak bezmyślne stado, jedyną reakcją racjonalną może być humor, ironia i groteska. Rozum staje się bezradny. Tak Mackiewicz przedstawia m.in. słynne rozporządzenia rządu Sławoja-Składkowskiego, znanego z nakazowej konstrukcji „sławojek” („chata się wali, tylko wychodek jak pałac”⁷⁴), a także z szału przesadnej higieny, wyrażonej w postaci bielienia ścian (w impecie bielienia malowało się także „żerdź opartą o ścianę chaty”⁷⁵).

Jednak w przypadku wielu zdarzeń śmiech nie był na miejscu. Pisarz rejestrował przypadki zaprzeczenia rozumności, umiejętnie podsycane przez graczy politycznych wybuchy irracjonalizmu społecznego. Z jego książki dowiadujemy się o antysemitkich pogromach, jakie miały wówczas miejsce w miastach polskich: Grodnie, Przytyku, Łomży, Mińsku Mazowieckim, Wysokim, Dąbrowie Wielkiej i Brześciu⁷⁶.

⁷² Por.: R. Skwarski, *Milczenie Boga, czyli agnostycyzm Józefa Mackiewicza*, W drodze 1995 nr 11 s. 31–40 oraz M. Adamiec, „Cień wielkiej tajemnicy...”: Norwid, Grabiński, Leśmian, Tyrmand, Mackiewicz, Herbert, Vincenz. Gdańsk 1995.

⁷³ Zob.: *Okna zatkanie szmatami*, s. 188–191.

⁷⁴ Tamże, s. 284.

⁷⁵ Tamże, s. 352.

⁷⁶ O tym ostatnim zob.: *Jak to było naprawdę w Brześciu*, [w:] *Okna zatkanie szmatami*, s. 138–147. Pozostaje do osobnej analizy problem polskiej społeczności żydowskiej, stosunków polsko-żydowskich w Polsce przedwojennej, wreszcie stosunku samego Mackiewicza do Żydów — to wszystko zawarte jest w bogatej reprezentacji materiału, na którym tu bazujemy.

Lektura szczególnych „sprawozdań z historii” dokonywanych przez Mackiewicza „na bieżąco” z tamtych czasów pozwala dzisiejszemu czytelnikowi na rewelatorskie wglądy w historię. W wielu wypadkach dokonuje się rewizja widzenia spraw, faktów i charakterów, które dotarły do nas często zdeformowane otoczką ideologiczną, schematem historycznym, przesądem lub załganiem poprawności politycznej. W książkach tych dokonuje się rewizja stereotypów. Dotyczy to m.in. takich wydarzeń jak zajęcie Zaolzia, lewicowy charakter społeczeństwa polskiego przed wojną czy bogatego naświetlenia relacji polsko-żydowskich w tamtych czasach.

Dziś ciągle można się uczyć pisarstwa od Józefa Mackiewicza. Współczesnym językiem można by powiedzieć, że cała jego aktywność twórcza wymierzona jest przeciwko różnym przejawom kłamstwa i fałszu myśli i poświęcona odkrywaniu prawdy. Zawsze walczy z poprawnością polityczną: pisze „pod prąd”, przedstawiając ostro fakty i oceniając je bezkompromisowo. Nie unika wycieczek personalnych, bez względu na to, czy dotyczą one lokalnej gwiazdy literackiej czy premiera rządu. „Słowo”, w którym pracował, wymieniane było w kręgach ówczesnego establishmentu oraz redaktorów prasy lewicowej z nienawiścią na równi z „Rycerzem Niepokalanej” i „Małym Dziennikiem”. Wspominaliśmy także, jak określał i oceniał fałsz pisarski i kłamstwo twórczości⁷⁷. Nie wahał się nazywać je głośno i po imieniu.

Pisaliśmy już na temat języka pisarstwa Józefa Mackiewicza. Można by oddać jego istotę, nawiązując do pierwszej cechy jego filozofii twórczości — prawdy. Język ten odzwierciedla (w znaczeniu: „adaequatio”) najrdzenniejsze właściwości żywej polszczyzny tamtych czasów, zachowując najszlachetniejszą część polskiego języka literackiego. Czytając te teksty słyszy się zaśpiew wschodnich rubieży, szorstkość nieuformowanej metaforyki politycznej, ale także poetyckość opisów przyrody i bogactwo brzmień i semantyki czerpanych z tradycji szlacheckiej polskiego baroku i odrodzenia. Jest to **p r a w d a j ę z y k a p o l s k i e g o**. Dlatego na osobną uwagę — jako wzór do naśladowania — zasługują reportaże Mackiewicza. Ich styl, język, jego pióro i oko. Śmiem twierdzić, że cykl reportaży z przedwojennej Łodzi *Specjalne reportaże z Łodzi*⁷⁸ nie ma sobie równych w tym gatunku do dzisiaj. Wyłania się z tych tekstów obraz miasta-tygła: bogactwa, przedsiębiorczości, kultu użycia, walki, nędzy, pogardy dla człowieka i prób obrony jego godności.

Chodziłem po przedmieściach czy dzielnicach Łodzi: Bałutach, Chojnach i Widzewie. Podobnej nędzy nie widziałem nigdy. Są może pojedyncze okazy, ale tego rodzaju zmasowania, skłoczenia, stłoczenia ludzkiego ubóstwa nie ma w innych miastach⁷⁹.

Mackiewicz odkrywa w tym cyklu, który jest swojego rodzaju krystalizacją Ziemi Obiecanej, esencję „życia dla pieniądza i władzy”. Uniwersalizm tego obrazu uderza nas dzisiaj, kiedy mimo sporadyczności tak skrajnych przypadków życia poddanego presji ekonomicznej, sama zasada egzystencji staje się coraz bardziej dominująca w świecie.

⁷⁷ Por. wyżej: rozdział: „Światopogląd”.

⁷⁸ [W:] *Okna zatłkane szmatami*, s. 65–84.

⁷⁹ Tamże, s. 79.

JÓZEF MACKIEWICZ W NIEMCZECH: PISARZ JESZCZE NIE ZNANY?

Tomasz MIANOWICZ (Niemcy)

I

Choć w ostatnich latach liczba pozycji bibliograficznych dotyczących Józefa Mackiewicza znacznie wzrosła¹, monachijskiemu okresowi życia pisarza poświęca się, także w pracach naukowych, niewiele miejsca. Tymczasem Mackiewicz spędził w stolicy Bawarii ostatnie 30 lat życia; spośród wszystkich jego „adresów” Monachium było zatem, oprócz Wilna, tym miastem, w którym pisarz najdłużej przebywał. Co więcej, w tym okresie ukazały się wszystkie powieści Mackiewicza, także w tłumaczeniach na języki obce, jego trzy książki polityczne, zbiór nowel oraz liczne teksty publicystyczne i literackie, publikowane w polskiej prasie emigracyjnej. Już sam ten fakt stanowi wystarczający powód, aby w badaniach naukowych monachijskim latom pisarza poświęcić więcej uwagi niż dotychczas a przede wszystkim — wykorzystać źródła historyczne tego okresu dotyczące.

Tło historyczne powieści i opowiadań Mackiewicza nie jest związane z okresem spędzonym przezeń w Bawarii. Inaczej natomiast w publicystyce: zarówno problemy dotyczące stosunków polsko-niemieckich jak i aktualne wydarzenia polityczne, które pisarz obserwował z perspektywy Monachium, są w tej publicystyce stale obecne. Ewolucja polityki państw zachodnich, a zwłaszcza Stanów Zjednoczonych, wobec bloku sowieckiego — to jeden z najistotniejszych tematów w artykułach, które pisarz ogłaszał w prasie emigracyjnej. Radio Wolna Europa, z siedzibą w Monachium, było czułym sejsmografem zmienności amerykańskich doktryn politycznych i obiektem krytycznych wypowiedzi autora *Zwycięstwa prowokacji*.

Interpretując twórczość Mackiewicza nie można oddzielać prozy artystycznej od dziennikarstwa i publicystyki. Poglądy wypowiedane w książkach politycznych czy artykułach prasowych odnajdujemy w powieściach, rozpisane na głosy bohaterów. Dowodu

¹ A. Fitas zamieścił w swej książce *Model powieści Józefa Mackiewicza* (Lublin 1996) bibliografię dotyczącą osoby i twórczości pisarza. Bibliografia obejmuje 883 pozycje, wymienia jednak tylko kilkanaście publikacji w językach obcych.

na poparcie tej tezy dostarcza, być może w sposób nie zamierzony, Dariusz Rohnka w swej książce o Mackiewiczu: aby przedstawić jego poglądy, cytuje dialogi pomiędzy postaciami jego powieści². Związek pomiędzy opiniami politycznymi, czy szerzej — etycznymi pisarza (wydarzenia polityczne są dla Mackiewicza tylko jednym z przejawów kryzysu cywilizacyjnego) a dziełem literackim, dotyczył również recepcji jego twórczości. Ewolucja stosunków Wschód–Zachód, zwłaszcza po 1956 r., brak reakcji amerykańskiej na budowę muru berlińskiego, okres *détente*, wyznaczają w znacznym stopniu miejsce Mackiewicza nie tylko w życiu kulturalnym emigracji, ale także jego pozycję w Niemczech — jako pisarza i znawcy komunizmu.

Sygnalizuję jedynie w tym miejscu kilka wątków związanych z okresem monachijskim autora *Kontry*, których nie uwzględniono dotychczas w badaniach historycznych czy literackich. Rzecz jasna podstawowym źródłem do tych badań jest archiwum Barbary Toporskiej i Józefa Mackiewicza, niedostępne dla naukowców do 2005 r. Nie jest to jednak źródło jedyne. Żyją jeszcze w Niemczech tłumacze jego książek, redaktorzy pism, z którymi współpracował, naukowcy, z którymi spotykał się na sympozjach. Z najbliższego środowiska Mackiewiczów w Monachium zostało jeszcze kilka osób, choć co roku ich grono maleje. Być może przyczyną części zaniedbań w badaniu kwestii biograficznych, wykraczających poza problematykę twórczości pisarza w języku polskim, jest fakt, że dyskusja na temat Mackiewicza, nawet jeśli uczestniczą w niej przedstawiciele nauki, nie jest wolna od emocjonalnych kontrowersji i podziałów na „zwolenników” i „przeciwników”, „oskarżycieli” i „obrońców”. Polemiki wokół Mackiewicza pełnią w znacznym stopniu rolę zastępczą: oskarżenia o kolaborację w czasie niemieckiej okupacji Wilna ponawiali wielokrotnie przedstawiciele środowisk, które pisarz krytykował z powodu realizowanej przez nie polityki. Wyeksponowanie faktu współpracy Mackiewicza z pismem wydawanym przez władze niemieckie (notabene z pominięciem tematu kilku artykułów, które ogłosił w „Gońcu Codziennym”), automatycznie blokowało dyskusję o polityce władz RP w czasie wojny, upatrujących w ZSRS „sojusznika naszych sojuszników”, czy też o celowości popierania gomułkowskiej „polskiej drogi do socjalizmu”. Nietrudno również wykazać, że kolejne fale ataków na Mackiewicza pojawiały się w związku z publikacją jego książek. W pewnym sensie dotyczy to również okresu po jego śmierci, gdy wraz i, jak się zdaje, w związku ze wzrostem popularności pisarstwa Mackiewicza, odświeżono stare zarzuty. Fakt, że „oskarżycielom” w rzeczywistości chodziło o uniemożliwienie publikacji poglądów pisarza, jest przy tym udokumentowany źródłowo³, ale uczestnicy polemik zdają się o tym zapominać.

Również tematyka kolaboracji polskich intelektualistów z okupantem sowieckim po 17 września 1939 r. pojawiła się na dobrą sprawę w związku z dyskusjami wokół Mackiewicza⁴, więc i w tym wypadku polemiki te pełniły rolę podwójną, aktualizując jeden z wątków nieobecnych dotąd w polskiej historiografii, nadal pełnej luk, zwłaszcza w zakresie dziejów najnowszych.

Skoro dyskusja na temat Mackiewicza prowadzona w Polsce przywołuje niechciane tematy i zarazem jej charakter nierzadko daleki jest od naukowego obiektywizmu, w lepszej sytuacji powinni być badacze zagraniczni zajmujący się twórczością pisarza.

² D. Rohnka, *A ja przeciwnie... Szkice o Józefie Mackiewiczu*. Londyn 1997 s. 106–110, 120–131.

³ Por.: Niezwykła korespondencja, *Contra* 1990 nr 4 s. 167–173 oraz: T. Mianowicz, *Zbrodnia literatury*, Kresy 1993 nr 16 s. 47–57 (korekta błędów drukarskich: Kresy 1994 nr 17 s. 191).

⁴ Por. zwłaszcza: J. Trznadel, *Kolaboranci. Tadeusz Boy-Żeleński i grupa komunistycznych pisarzy we Lwowie 1939–1941*. Komorów 1998 oraz: [W. Bolecki] J. Małewski, *Prawda historyczna, której zmienić się nie da*, Puls 1988 nr 36 s. 37–50.

Nikt jednak do tej pory w Polsce nie pytał, w jakim stopniu pisarstwo autora *Drogi donikąd* było przedmiotem zainteresowania slawistów czy historyków za granicą. Praca dyplomowa Reinharda Vesera, powstała w 1997 r. na uniwersytecie we Frankfurcie nad Menem⁵, potwierdza tezę, że badaczowi z zagranicy, wolnemu od ekscytacji towarzyszących w Polsce recepcji Mackiewicza, łatwiej zdobyć się na naukowy dystans wobec przedmiotu swych dociekań. Świadczy o tym rzeczowa analiza stanu badań a ponadto fakt, że Vesper, konfrontując oceny polityczne Mackiewicza z późniejszym rozwojem wypadków, zachowuje styl naukowego dyskursu. Natomiast w polskim piśmiennictwie poglądy pisarza kwalifikowano niekiedy jako „objaw niepoczytalności” czy „obsesję”, a już samo takie ujęcie utrudnia merytoryczne rozważania. Niemiecki slawista wskazuje ponadto na szereg problemów teoretycznoliterackich, na dobrą sprawę nadal zupełnie nie zbadanych oraz kwestionuje kilka dotychczasowych ustaleń interpretacyjnych; poloniści zajmujący się Mackiewiczem już z tego względu powinni przyswoić sobie pracę Vesera.

Zamyśliłem się nad zdaniem, którym Vesper uzasadnia rozszerzenie rozdziału dotyczącego kolei życia i światopoglądu Mackiewicza: „W Niemczech jest on jeszcze prawie nie znany”⁶. Z jednej strony opinia ta w jakimś stopniu zapowiada jeśli nie sławę, to przynajmniej zwiększenie poczytności książek Mackiewicza, zwłaszcza że pięć tytułów ukazało się w języku niemieckim. Odnotować trzeba fakt, że w związku z 100. rocznicą urodzin pisarza, dwa najważniejsze dzienniki niemieckie poświęciły mu artykuły⁷. Z drugiej strony zdanie z pracy Vesera implikuje — w pewnym sensie historyczne — pytanie o recepcję twórczości literackiej i publicystycznej Mackiewicza w niemieckim obszarze językowym. I tą sprawą nikt do tej pory się nie zajmował. Rzecz jasna moje uwagi nie wypełnią luki badawczej, zwłaszcza że nie są one rezultatem pogłębionych studiów, lecz jedynie wstępną informacją, opartą na znanych mi źródłach i ograniczoną do kilku epizodów z monachijskiego okresu pisarza.

II

Niewiele miejsca poświęcono do tej pory aktywności Mackiewicza wykraczającej poza ramy działalności politycznej i kulturalnej polskiej emigracji. A tymczasem na okres monachijski przypadają intensywne kontakty pisarza z emigrantami wywodzącymi się z innych narodów Europy Wschodniej i jego współpraca z antykomunistyczną prasą rosyjską, ukraińską, białoruską. Zapewne jeszcze ważniejszy a również nieobecny w polskim piśmiennictwie dotyczącym Mackiewicza, jest wątek jego kontaktów w środowiskach literackich, politycznych i naukowych po przeprowadzce z Londynu do Monachium, która miała miejsce w 1955 r. Już samo opuszczenie kulturalnego i politycznego centrum polskiej emigracji i osiedlenie się w mieście, w którym polskich instytucji nie było a polska diaspora skupiała się głównie wokół amerykańskiego Radio Free Europe, pociągało za sobą zmianę środowiska (także w sensie narodowościowym), w którym obracali się Barbara Toporska i Józef Mackiewicz.

W opublikowanym przed dwoma laty artykule poświęconym postawom polskich intelektualistów wobec obu okupantów w okresie II wojny światowej, niemiecki historyk Karl-Peter Friedrich sugeruje, że droga pisarza z Wilna poprzez Rzym i Londyn do Monachium związana była z atakami ze strony polskich środowisk z powodu postawy poli-

⁵ R. Vesper, „Die Kresy in Józef Mackiewicz's Romanen *Droga donikąd* und *Nie trzeba głośno mówić*”. Frankfurt a. Main, 136 s. (maszynopis pracy dyplomowej).

⁶ Tamże, s. 3.

⁷ G. Gnauck, *Heiliger und Nestbeschmutzer*, Die Welt 30 III 2002 oraz R. Vesper, *Chronist eines blutigen Untergangs*, Frankfurter Allgemeine Zeitung 2 IV 2002.

tycznej Mackiewicza⁸. Friedrich nie podaje na poparcie swej sugestii żadnych źródeł ani dowodów. Z tekstów samego Mackiewicza wiemy, że w Rzymie znalazł się „uciekając przed wyzwoleniem”, czyli uchodząc przed bolszewikami z Wilna poprzez Warszawę, Kraków, Wiedeń do Włoch. Również osiedlenie się w Monachium nie było spowodowane atakami na pisarza, zwłaszcza że ich kolejne fale pojawiały się w związku z publikacją książek Mackiewicza. Teza Friedricha zaskakuje jednak przede wszystkim dlatego, że właśnie w języku niemieckim ukazał się jedyny autobiograficzny tekst pisarza, w którym podaje przyczyny przeprowadzki do Monachium. Chodzi o szkic *Pisarz emigracyjny opowiada*, który ukazał się w 1978 r. w 48. numerze wydawanego w Monachium konserwatywnego dwumiesięcznika „Criticón”⁹. Fragment dotyczący przyjazdu do Monachium brzmi w przekładzie na polski:

Do Niemiec, gdzie mieszkamy od 1955 roku, przyjechałem właściwie przez przypadek dzięki żonie. Jest polską pisarką i publikuje pod panięmskim nazwiskiem Barbara Toporska. Wówczas pracowała dla Głosu Ameryki (Voice of America). Jej redakcję przeniesiono do Monachium. Od tego czasu upłynęły 23 lata...¹⁰.

Również Józef Mackiewicz miał uzyskać posadę w amerykańskiej instytucji. Chodziło o działający do połowy lat 70. w Monachium Instytut Studiów nad ZSRS (Institut for the Study of the USSR). Pisarz miał już przydzielony pokój i biurko, jednak bezpośrednio przed podjęciem obowiązków został zawiadomiony, że pracodawca postanowił go nie zatrudniać¹¹. Powód rezygnacji z zatrudnienia Mackiewicza nie jest znany, można się jednak domyślać, że przyczyną była jego postawa polityczna, zwłaszcza konsekwentny antykomunizm.

Po przyjeździe do Monachium Mackiewiczowie przez kilka pierwszych lat mieszkają na Nibelungenstrasse 16 (zajmują sublokatorsko dwa duże pokoje na pierwszym piętrze) w dzielnicy Nymphenburg, następnie przenoszą się na Windeckstrasse 21, wynajmując małe mieszkanie w domu Adalberta i Marianne Mayerów. Ten właśnie dom pokazano w emitowanym 20 lipca 1993 r. w II programie polskiej telewizji filmie *Słowa i twarze*, aliści jako dostatnią willę z dużym ogrodem, również wewnątrz sprawiało wrażenie dostatku. W rzeczywistości skromne mieszkanie Mackiewiczów składało się z małego przedpokoju, niewiele większej kuchni (pełniącej zarazem funkcję salonu i jadalni), z której przechodziło się do pokoju, w którym centralne miejsce zajmowało biurko, znane w Polsce dzięki wystawie w warszawskim Muzeum Literatury. Na brak miejsca Barbara Toporska narzekała nieraz, m.in. w liście do Wiwy Trościankowej z 5 stycznia 1984 r.:

Chodzi mi o nie [większe mieszkanie] ze względu na [...] książki, które nas tu już dosłownie duszą. I o kuchnię!

Najbardziej luksusowym elementem wyposażenia był telewizor. Pojawił się w mieszkaniu Mackiewiczów jednak dopiero w 1984 r., jako prezent od zaprzyjaźnionej z nimi

⁸ K.-P., Friedrich, *Der „Fall Józef Mackiewicz” und die polnische Zeitgeschichte*, Zeitschrift für Geschichtswissenschaft 2000 Heft 8 s. 699 przyp. 13.

⁹ Ten tekst Mackiewicz napisał po niemiecku (inf. R. Gnaucka).

¹⁰ J. Mackiewicz, *Ein Exilschriftsteller erzählt*, Criticón 1978 nr 48 s. 193–196. Tekst ukazał się w rubryce „Autoren”, czyli imię i nazwisko pisarza były jego właściwym tytułem (dalsze cytaty w tekście głównym podaję wg tej publikacji we własnym tłumaczeniu).

¹¹ Źródłem danych biograficznych dot. Józefa Mackiewicza, zawartych w niniejszym tekście, są — o ile nie chodzi o fakty powszechnie znane — moje osobiste kontakty z pisarzem a przede wszystkim z Barbarą Toporską-Mackiewicz w okresie od lata 1983 r. do śmierci ich obojga. Za kilka cennych informacji i „odświeżenie pamięci” dziękuję p. dr Ninie Kozłowskiej z Monachium.

Wandy Stankowskiej, wieloletniej sekretarki dyrektora Rozgłośni Polskiej RWE, która wówczas, po przejściu na emeryturę, przeniosła się do Londynu.

Z właścicielami domu łączyły Mackiewiczów bliskie i przyjazne stosunki. Marianne Mayer pomogła Barbarze Toporskiej sfinansować wydanie *Spójrz wstecz Ajonie*. Do tego samego kręgu przyjaciół należała również lekarka Barbary — dr Hannelore Friedl-van Oyen, namiętna czytelniczka niemieckich przekładów książek Józefa. W 1957 r. ukazały się dwa tytuły: *Der Weg ins Nirgendwo* i *Tragödie an der Drau*. Mackiewicz autoryzował przekłady i prowadził intensywną korespondencję z tłumaczem Arminem Drossem. Ze skierowanego doń listu Mackiewicza z 5 września 1956 r. wiadomo, że właśnie ukończył nową powieść: „Brulion książki skończyłem pisać wczoraj”. Nie wiedział jeszcze, jaki będzie jej tytuł. Natomiast znany był już tytuł niemieckiego przekładu, bowiem wydawca zwrócił uwagę na fakt, że nazwa rzeki ma swoje znaczenie i — jak pisał Mackiewicz — „według mnie ma rację”. A zatem *Tragedia nad Drawą*. „To nie byłby ostatecznie najgorszy tytuł, ale sądzę, że można by wymyśleć coś lepszego” — pisał autor w tym samym liście. I w istocie polski tytuł — to *Kontra*, który dla czytelnika niemieckiego byłby jednak niezrozumiały.

Mackiewicz był pisarzem znanym, także w Niemczech, jeszcze przed przyjazdem do Monachium. W styczniowym numerze liczącego się na niemieckim forum politycznym pisma „Aussenpolitik” z 1954 r. ukazał się artykuł *Polen und Deutschland in meiner Sicht* (Polska i Niemcy w mojej opinii). Redakcja przedstawiła Mackiewicza jako „znanego polskiego pisarza mieszkającego w Londynie”. Bez wątplenia jego nazwisko, jako autora książek o Katyniu, musiało być znane także czytelnikom w niemieckim obszarze językowym, zwłaszcza że najwcześniejsze wydanie pracy o zbrodni katyńskiej ukazało się w Zurychu w 1949 r. W artykule w „Aussenpolitik” Mackiewicz, podkreślając zagrożenie Europy przez system komunistyczny, krytykował jako anachronizm „patriotyzm państwowy”, czyli podnoszenie sprawy granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej do rangi naczelnego problemu w stosunkach polsko-niemieckich. Odrzucając pojęcie „winy zbiorowej” zaznaczał jednak, że Niemcy jako państwo ponoszą wobec Polski odpowiedzialność za wybuch ostatniej wojny. Naczelny postulat polityczny, adresowany do polskich polityków emigracyjnych i kół rządowych w Bonn brzmiał:

Przy rozważaniu aktualnych problemów polsko-niemieckich należałoby moim zdaniem postępować następująco: Odsunąć na później wszystkie kwestie, które dzielą i zająć się poważnie tymi, które łączą. Sądzę, że w ten sposób łatwiej uda się osiągnąć porozumienie¹².

Tekst w „Aussenpolitik” jest o tyle istotny, że zawiera poglądy, rozwinięte po latach w *Zwycięstwie prowokacji*.

W 1958 r. ukazało się w Monachium wznowienie wspomnianej książki o mordzie katyńskim *Katyn — ungesühntes Verbrechen*. Mackiewicz wygłaszał odczyty, publikował w prasie, współpracował z organizacjami emigrantów z Europy Wschodniej. W kwietniu 1958 r. w pierwszym numerze biuletynu wydawanego przez Action Committee of the Fighters against Communism ukazał się artykuł Mackiewicza *Wspólna walka przeciwko wspólnemu wrogowi* (tak zresztą zatytułowano cały biuletyn: *Gemeinsamer Kampf gegen einen gemeinsamen Feind*). Autor zaznaczał na wstępie odrębność swoich poglądów:

Jeżeli wypowiadam się publicznie, zawsze podkreślam, że nie reprezentuję żadnego polskiego politycznego ugrupowania emigracyjnego. Jako pisarz i publicysta wyrażam zarówno w swych książkach jak i w artykułach prasowych wyłącznie poglądy osobiste.

Moje zapatrywania odróżniają się od większości pozostałych emigrantów głównie tym, że ci ostatni najczęściej wysuwają na pierwsze miejsce postulat narodowy. Mnie wy-

¹² Aussenpolitik 1954 z. 1 s. 19.

daje się natomiast, że komunizm, niezależnie od swych zabarwień narodowych, jest problemem rodzaju ponadnarodowego.

I dalej dwa zdania, które wyjaśniają zarówno tożsamość Mackiewicza, jak i jedno z najważniejszych źródeł jego poglądów na komunizm:

Władzy komunistycznej doświadczyłem jako zwykły furman. Dawne Wielkie Księstwo Litewskie, mój właściwy kraj pochodzenia [w oryginale *Heimat* — przyp. T.M.] był — z uwagi na swą wielonarodowość — idealnym polem obserwacji.

Rezonans w prasie wywołało demonstracyjne wystąpienie Mackiewicza z PEN-Clubu w 1959 r. Pisarz protestował w ten sposób przeciwko ponownemu przyjęciu do organizacji przedstawicieli komunistycznych Węgier. Mackiewicz nie był jedynym, który protestował przeciwko tej decyzji, ale tylko on — jak pisała „Potsdamer Tageszeitung” — zachował się konsekwentnie. W liście do Ericha Kästnera, który przewodniczył obradom kongresu PEN we Frankfurcie nad Menem, Mackiewicz podał postawę tej organizacji wobec komunistycznej dyktatury na Węgrzech jako powód swojej decyzji. Jego list cytowało wiele dzienników. Mackiewicz podkreślał, że pisarze reprezentujący reżim Kadara, określane na kongresie we Frankfurcie jako „koledzy”, znajdują się pod kontrolą państwa, a zatem działają w rzeczywistości przeciwko Kartcie PEN:

Przy tym paradoksalną sytuację wytwarza fakt, że my wszyscy o tym wiemy, a „koledzy” z Republik Ludowych także wiedzą że my wiemy. Tym niemniej prezes PEN-Klubu, monsieur Chamson, wzywa dyskutantów, aby zechcieli się wykazać dobrym wychowaniem i nie psuli tej śmiesznej, urzędowej gry przez wprowadzanie akcentów „politycznych”¹³.

Warto dodać, że głównym argumentem, mającym uzasadnić decyzję PEN-Clubu, były rachuby na zwolnienie z więzienia węgierskich pisarzy Tibora Dery i Juliusa Haya. Pomimo „gestu” PEN-Clubu władze węgierskie pisarzy nie zwolniły.

W tym samym roku odbył się w Monachium I Kongres PEN-Clubu autorów-emigrantów (PEN-Club im Exil), który powstał głównie w wyniku exodusu pisarzy z Węgier po 1956 r. Mackiewicz wygłosił na kongresie przemówienie, którego fragmenty opublikował dziennik „Münchener Merkur”. Przemówienie zwraca uwagę na zmiany, które zaistniały w sytuacji pisarzy emigracyjnych pod koniec lat 50. a zarazem wyraża przeczucia, które miały się potwierdzić w następnych dekadach:

Bez wątpienia w czasach dawnych cesarzy i królów łatwiej było być rewolucjonistą, niż dzisiaj kointrewolucjonistą. [...] Nie pozostaje mi nic innego, jak ograniczyć się do pesymistycznej konstatacji: pisarze emigracyjni nie są zbyt popularni w tak zwanych kręgach postępowych. Jednak te właśnie kręgi są reprezentatywne dla wolnego świata, w każdym razie na terenie sztuk pięknych i literatury. [...] Trzeba powiedzieć, że koniunktura dla pisarzy-uchodźców nie jest dobra... Nie sądzę jednak, aby próby dostosowania się, ćwierć- lub trzy-czwarte-kompromisy, przyniosły rozwiązanie. Sądzę, że trzeba tym bardziej trzymać się prawdy w twórczości literackiej. Jedynej prawdy, która jest nam dostępna w życiu doczesnym, mianowicie szukania prawdy i prawdy wątpienia. Jestem nawet zdania, że nie powinniśmy pozwolić, aby nam cokolwiek w tym przeszkadzało, ani niechęć otoczenia, ani rodacy, którzy zbyt często są przekonani, iż w imię racji narodowych powinni nam podpowiedzieć taką czy inną wytyczną...

W ten sposób bardziej przysłużymy się literaturze narodowej i być może pokażemy wolnemu światu, że jesteśmy na emigracji nie dlatego, iż nie interesują nas zwyczaje i polityka w kraju...¹⁴.

¹³ Cyt. wg wersji polskiej, opublikowanej w dziale „Listy do redakcji” w: *Kultura* 1959 nr 9 s. 154.

¹⁴ *Freiheit im Exil. Münchener Merkur*, 16/17 IV 1959.

Ta wypowiedź Mackiewicza zapowiada późniejsze intensywne debaty na temat stosunku do pisarzy krajowych, prowadzone głównie na łamach „Wiadomości”. Lata 60. przynoszą zmianę polityki amerykańskiej, choć ani umieszczenie na Kubie sowieckiej broni atomowej, ani budowa muru berlińskiego nie wskazywały na zasadniczą ewolucję systemu komunistycznego.

III

W 1962 r. ukazała się *Sprawa pułkownika Miasojedowa* — dzieło Józefa Mackiewicza, które może służyć za ilustrację opinii Michaiła Bachtina o powieści jako najwyższym gatunku literackim. Pomimo znacznej objętości i braku zgody autora na jakiegokolwiek skróty, powieść ukazała się w 1967 r. w przekładzie na język niemiecki, tym razem w wydawnictwie Pfeiffer. W Bergstadt-Verlag Wilhelma Korna, który wydał poprzednie powieści Mackiewicza, ukazało się natomiast już w 1964 r. tłumaczenie *Zwycięstwa prowokacji*.

To jedyna książka, którą wydałem własnym nakładem, bowiem żadne polskie wydawnictwo nie miało odwagi jej opublikować. Pozostało mi jeszcze tylko dwadzieścia egzemplarzy

— pisał autor 13 sierpnia 1972 r. do dr. Reinharda Gnaucka z Wiesbaden na temat polskiego pierwodruku. Gnauck i jego żona, polska lekarka Maria (Magdalena), stali się bliskimi przyjaciółmi Mackiewiczów. Reinhard Gnauck doprowadził do wznowienia *Katyn* — *unge-sühntes Verbrechen* oraz *Sieg der Provokation* (już po śmierci autora, w 1987 r.). Obie książki ukazały się nakładem emigracyjnego wydawnictwa rosyjskiego Possiew. Mackiewicz nie był jednak zbyt szczęśliwy z wyboru tego właśnie wydawnictwa:

Jestem trochę rozczarowany, że wydawcą książki o Katyniu ma być „Possev-Verlag”. Jest bowiem znany jako pozostający pod bezpośrednim wpływem propagandy amerykańskiej, co mu odbiera charakter wydawcy niezależnego...¹⁵.

W latach 80. trudno jednak było znaleźć, nie tylko na terenie Niemiec, wydawnictwo gotowe opublikować książkę o masowych zbrodniach komunistycznych. Problemy wydawnicze na emigracji rozwiązała Kontra założona w Londynie w 1970 r. przez Ninę Karsov i Szymona Szechtera. „...będziemy wydawać samych siebie, ale i takich jak my, których też mierzi wszelka cenzura” — pisał Szechter do Mackiewiczów o decyzji założenia wydawnictwa¹⁶.

Zasadnicze zmiany w atmosferze politycznej i kulturalnej nastąpiły już w latach 70.; przyniosła je polityka *détente*, na którą w Niemczech nałożyła się *Ostpolitik* Brandta. Topniały możliwości publikacji, odczytów, znikwały stopniowo instytucje badające problemy komunizmu. Co prawda w wydanej w 1970 r. książce *Gespräche zwischen gestern und morgen* znalazła się jeszcze rozmowa z Józefem Mackiewiczem a okazją do niej było ukazanie się — nakładem Instytutu Literackiego — *Nie trzeba głośno mówić*. Jednak jego pozycja jako pisarza-emigranta słabła, zwłaszcza, że w Niemczech, nie bez związku z normalizacją stosunków politycznych z Warszawą, rosło zainteresowanie pisarzami z Polski Ludowej. Wprawdzie w antologiach przekładów publikowano autorów krajowych i emigracyjnych, ale władze PRL nie traciły możliwości wpływania na dobór autorów. Zasłużony tłumacz literatury polskiej — Karl Dedecius, przed publikacją *Polnische Prosa des XX. Jahrhunderts* (ukazała się pierwotnie w dwóch tomach w latach 1969–1970), sondował w czasie pobytu w Krakowie, czy oficjalne czynniki PRL nie będą miały

¹⁵ List J. Mackiewicza do M. Gnauck z 15 VIII 1982.

¹⁶ Cyt. za: J. Mackiewicz, B. Toporska, *Droga Pani*. Londyn 1984 s. 366.

zastrzeżeń do włączenia do antologii wybranych pisarzy emigracyjnych¹⁷. Mackiewiczza w antologii nie uwzględniono. Z gratulacji, które Dedecius przysłał autorowi *Kontry* 17 września 1974 r. w związku z kandydaturą do literackiego Nobla (inicjatorką zgłoszenia kandydatury Mackiewiczza była prof. Jadwiga Maurer), wynika, że czołowy tłumacz polskiej literatury nie znał książek kandydata. Dedecius kartkę napisał po polsku:

Szanowny Panie, szczerze gratuluję zaszczytnej kandydatury! Ciągłe sobie przysięgam, już teraz, jutro, co najmniej pojutrze wziąć się do przeczytania Pańskich książek i wierszy Żony Pana i „nikak” się sprawić nie mogę z moimi robotami zawodowymi, terminami, robótkami lirycznymi i przyjacielskimi przysługami.

Jeżeli Dedecius do 1974 r. rzeczywiście nie znał prozy Mackiewiczza, pominięcie pisarza we wspomnianej antologii nie miałooby przyczyn natury politycznej. Ta niezajomość twórczości pisarza jest jednak zaskakująca, tym bardziej, że Dedecius zetknął się z Mackiewiczem już w 1967 r. na forum dyskusyjnym w Lindenfels.

Rozmowy w Lindenfels, stanowiły od 1964 r. polsko-niemieckie forum dyskusyjne. Spotkania, które odbywały się co dwa lata, „zamarły” w latach 70. Brali w nich udział przedstawiciele różnych dyscyplin: historycy, slawiści, prawnicy, socjologowie, pisarze, dziennikarze, polscy działacze emigracyjni. Mackiewicz uczestniczył w pięciu forach w latach 1964–1971, na trzech — był jednym z referentów¹⁸. Głównym animatorem „Rozmów...” ze strony niemieckiej był profesor Gotthold Rhode, którego autor *Kontry* uważał za najlepszego niemieckiego znawcę historii Polski. Rhode, ze swej strony, przyczynił się do popularyzowania pisarstwa Mackiewiczza, tłumaczył na niemiecki jego utwory literackie i teksty publicystyczne. W latach 80. czynił starania o opublikowanie po niemiecku *Nie trzeba głośno mówić* a także — w serii „Polnische Bibliothek” w wydawnictwie Suhrkamp — wyboru opowiadań. Lektura — przynajmniej niektórych recenzji lektorskich dotyczących *Nie trzeba głośno mówić* — może wywołać rumieniec zażenowania, bowiem rzekomi specjaliści od literatury polskiej zupełnie nie znali wydarzeń, będących historycznym tłem powieści.

Na inny rodzaj przeszkód natrafiło wydanie wyboru nowel, w większości przetłumaczonych przez Rhodego. Rzecz była postanowiona, zapłacono honorarium tłumaczowi, ale wydawca wycofał się już po przyjęciu przekładu. Jako powód podawano „wypowiedzi, które interpretowano jako antysemickie ale także sprawę jakości literackiej”¹⁹. Takie tłumaczenie nie przekonuje, bowiem trudno uwierzyć, aby wydawca najpierw zdecydował się na publikację książki a później doszedł do wniosku, że autor nie nadaje się do druku i na dodatek sprawia wrażenie antysemitę. Zapewne i tym razem zadziałał czynnik, o którym wspominał Czesław Miłosz: „zawsze nawijał się ktoś z Polaków, dbały o to, aby zamiar wydania książki ubić”²⁰.

Jednak niezależnie od intryg ze strony różnych czynników polskich, atmosfera w Niemczech w latach 80. była dla Józefa Mackiewiczza wyjątkowo niekorzystna:

Niestety nie można pozyskać naszych [...] czasopism kulturalnych dla pochwał pod adresem pisarzy-emigrantów. Jeżeli ktoś ma być chwalony, to z reguły musi być całkowicie albo połowicznie nawróconym komunistą. Natomiast ktoś, kto stale był przeciwnikiem komunizmu, nie jest dla naszych mediów interesujący

¹⁷ Por.: J. Mackiewicz, *Refleksje z Lindenfels*, Kultura 1968 nr 3 s. 138–139.

¹⁸ Tematy jego referatów to: „Literatura Polski komunistycznej” (1964); „Postępowe koła katolickie w Polsce” (razem z W. Strobłem) (1966); „Polska polityka wobec mniejszości narodowych w okresie międzywojennym” (1971). Podaję za: J. Hauptmann, G. Rhode, *Lindenfelder Gespräche. Ein Bericht über fünf deutsch-polnische Symposien 1964 bis 1971*. Bonn-Bruxelles-New York 1972.

¹⁹ List A. Ławatego z Deutsches Polen-Institut do G. Gnaucka z 3 XII 1990.

²⁰ Cz. Miłosz, *Rok myśliwego*. Paryż 1990 s. 181.

— pisał Gotthold Rhode 26 maja 1982 r. do Reinharda Gnaucka w związku z 80. urodzinnymi Mackiewicza. Pod koniec dekady sytuacja była podobna. Tym razem Rhode pisał o reakcji na przesłanie do wydawnictwa Bertelsmann maszynopisu tłumaczenia *Nie trzeba głośno mówić*:

Reakcją był telefon z zachwytem i zapowiedzią przekazania maszynopisu właściwemu lektorowi. Potem zapadła jednak cisza. [...] Trudno to zrozumieć, gdyż teraz, gdy przy dyskusji na temat Katynia okazuje się, że Mackiewicz miał w stu procentach rację [...] ciągle zachowuje się tyle rezerwy wobec wielkiego pisarza. Najwyraźniej istnieje gotowość do honorowania i wydawania starego komunisty (p. Spasowski), ale nie człowieka, który nigdy nie ukrywał swej konsekwentnej niechęci do komunizmu²¹.

We wspomnianym już tekście autobiograficznym w „Criticónie” Mackiewicz zwracał uwagę na jeszcze jeden czynnik, który, oprócz nowej atmosfery politycznej, zamknął mu dostęp do instytucji katolickich:

Dotychczas wydałem [...] pięć książek w języku niemieckim. Wygłaszałem różne wykłady na uniwersytetach (Moguncja, Tybinga). W Berlinie Zachodnim, w Akademii Wschodniej w Lüneburgu, w wyższych szkołach ludowych, brałem udział w bardzo wielu konferencjach. Niestety, wpadłem na pomysł opublikowania dwóch książek z ostrą krytyką watykańskiej *Ostpolitik* (po polsku, hiszpańsku, angielsku)... Potem stałem się nie do przyjęcia dla instytucji katolickich.

Istotniejsze były jednak dla pisarza trudności z publikacją powieści:

Kaprysy klimatu politycznego wpłynęły na moją twórczość literacką a ściślej — na jej odbiór — bardziej niekorzystnie niż słynny monachijski Föhn [...]. W wyniku powszechnych niedogodności ucierpiały przede wszystkim moje ostatnie powieści, które osobiście uważam za najlepsze [...] *Lewa wolna* a zwłaszcza wydane przez paryską „Kulturę” *Nie trzeba głośno mówić* — próba przedstawienia wydarzeń na froncie wschodnim w czasie ostatniej wojny nie w biało-czarnych schematach, ale tak, jak było w rzeczywistości. [Powieść] pomimo wielu protestów ze strony pewnych polskich kręgów, rozeszła się w mig a nie ukazała się w języku niemieckim.

Mackiewicz, nie wiem czy świadomie, używa w przytoczonym cytacie klasycznej formuły Leopolda von Ranke o zadaniu historii („aufzuzéigen, wie es wirklich gewesen [ist],,). Istotna jest również własna ocena ostatniej powieści. Wspomniany Reinhard Vesper przyjmuje oryginalne założenie metodologiczne, analizując w jednym z wątków swej pracy ewolucję modelu powieści pomiędzy *Drogą donikąd* a *Nie trzeba głośno mówić* (czyli pomiędzy pierwszym a ostatnim utworem powieściowym Mackiewicza) i wskazuje w tym kontekście między innymi na nie zbadany do tej pory problem wykorzystania przez autora dokumentu historycznego. Pewną przeszkodą dla badaczy literatury może być, jak sądzę, konieczność analizy interdyscyplinarnej: bez gruntownej wiedzy historycznej opartej na ewaluacji źródeł, już sam wybór metodologii nie jest łatwy. Mackiewicz interesuje los ludzki wpisany w wydarzenia historyczne, w dodatku najczęściej takie, których rozpowszechniony obraz jest bądź to uproszczony, bądź niepełny.

IV

Rezerwa, jaką Mackiewicz okazywał ruchom dysydenckim, jest znana z jego wypowiedzi w języku polskim, przede wszystkim z *Na drodze Wielkiego Ześlizgu*²²; i ten wą-

²¹ List G. Rhode do R. Gnaucka z 20 VI 1989.

²² Przedruk w: J. Mackiewicz, B. Toporska, *Droga Pani*. Londyn 1984 s. 241–264. Sprawę tę omawia również D. Rohnka, *A ja przeciwnie...*, s. 204n.

tek pojawia się w autobiograficznym tekście w „Criticónie”, wraz z aluzją do materialnych skutków własnej postawy:

Sam zawiniłem pogłębienie swojej obecnej izolacji a mianowicie poprzez sceptycyzm wobec czołowych tzw. „dysydentów” z państw bloku wschodniego, z polskimi włącznie, których wyolbrzymia się teraz na Zachodzie. Zwłaszcza od czasu, gdy wśród nich zaznacza się pewien rodzaj wspólnego frontu z „eurokomunizmem”. [...] Cóż, może się zdarzyć, że niewygodne poglądy pisarza mogą mieć wpływ na jego osobistą sytuację materialną...

Do sprawy literatury krajowej i jej recepcji na emigracji, powrócił Mackiewicz raz jeszcze w rzadko przytaczanym artykule *Wbrew przymusowemu chceniu*²³, którego publikacji odmówiły „Wiadomości”. Pisarz nawiązywał do sprawy nagrody „Wiadomości” z 1978 r., kiedy to na znak protestu przeciwko łamaniu regulaminu, ustalonego swego czasu przez Mieczysława Grydzewskiego, odmówił udziału w pracach jury (chodziło o zgłoszenie do nagrody książek pisarzy mieszkających w PRL). Mało znana jest propozycja, którą Mackiewicz w tym artykule przedstawił i jej uzasadnienie: Otóż sugerował, aby zamiast umysłowej ekwilibrystyki dla uzasadniania odejścia od regulaminu i jako prostą konsekwencję przekonania o jedności literatury polskiej, przyznając nagrodę uwzględniać

wszystkie polskie książki, bez względu na miejsce wydania i adresy wydawców. [...] Skoro się tak „kochamy” z krajem [...] i mamy tylko „jedną literaturę”, trzeba wyrzucić anachronizmy starych regulaminów do kosza. Otwarcie, jasno, bez niedomowień, bez inwestygacji mieszkaniowych i bez interpretacji.

I raz jeszcze postulat aksjologiczny, powtarzany przez pisarza wielokrotnie:

Ważniejsza wydaje się szczerłość, a tej brakuje nam bodaj najbardziej. Szczególnym cieniem odbija się brak szczerłości w literaturze.

Ów postulat wewnętrznej szczerłości, który organizuje wypowiedzi Mackiewicza, zarówno jego prozę artystyczną jak i publicystykę, jest w istocie częstym przedmiotem sporów wokół pisarza, dotyczących pytania „Czy Mackiewicz miał rację?”. Stąd też podziały na „zwolenników i przeciwników”, które dają się zauważyć również w tekstach krytyczno-literackich. Tymczasem badacz literatury analizuje tekst, a zatem pytanie o „rację”, bądź jej brak, jest w tym kontekście poznawczo nieistotne. Łatwo zresztą na nie odpowiedzieć: jeżeli naczelną zasadą twórczości Mackiewicza jest szczerłość wewnętrzna, „prawdomówność słowa” (Bachtin) — ma on zawsze „rację”, niezależnie od tego, czy własne przekonania wypowiada bezpośrednio w tekstach publicystycznych, czy też rozpisane na głosy w poetyce powieści polifonicznej.

Starałem się swego czasu zaproponować Bachtina teorię powieści jako klucz interpretacyjny do całości pisarstwa Mackiewicza, klucz, umożliwiający analizę prozy artystycznej i publicystyki w kontekście wątków biograficznych i tła epoki, w której żył autor²⁴. Stosując tę teorię można np. wykazać, że odrębne miejsce powieści *Karierowicz* w całokształcie twórczości pisarza, wynika z jej poetyki, a nie z „polityki” (recenzenci podkreślali natomiast, że jest to, w przeciwieństwie do innych utworów powieściowych, „powieść apolityczna”). Fakt, że moja propozycja przeszła bez echa²⁵, miały natomiast

²³ J. Mackiewicz, *Wbrew przymusowemu chceniu*, Gwiazda Polarna 23 VIII 1980.

²⁴ T. Mianowicz, *Dwie powieści Józefa Mackiewicza*, [w:] *Nad twórczością Józefa Mackiewicza*, szkice pod red. M. Zybury. Warszawa 1990 s. 30–79.

²⁵ A. Fitas skrytykował we wstępie do swojej książki (patrz przyp. 1) moją koncepcję, choć dla poparcia własnego stanowiska nie przedstawił, w moim odczuciu, przekonujących argumentów.

miejsce kolejne erupcje „sporu o Mackiewicza”, świadczy o tym, że przyczyn tak nietypowej recepcji jego pisarstwa należy szukać poza tekstem.

To, że Mackiewicz dla jednych jest prorokiem, inni zaś starają się zdeprecjonować go ponawianymi oskarżeniami o współpracę z niemiecką prasą w czasie okupacji Wilna, dowodzi w moim przekonaniu, że jest on pisarzem łatwo zdobywającym czytelników a równocześnie „niebezpiecznym”, także po śmierci. Proponuje on bowiem zupełnie inne spojrzenie na historię najnowszą, na wydarzenia, które ukształtowały obecną sytuację w Polsce i do tej pory na nią wpływają. Punkt widzenia Mackiewicza jest tak inny („a ja — przeciwnie”), że dla wielu czytelników staje się on odkryciem, poszerza horyzont myślowy odbiorcy tekstu o zupełnie nowe wymiary, tym bardziej że jego wywody, oparte na żelaznej logice, są wypowiedzią wolną od agitacji (charakterystyczne jest to, że — o ile mi wiadomo — brak do tej pory analiz języka tej publicystyki). Skoro Mackiewicz kwestionuje ustalone schematy myślowe, powszechne oceny i uznane autorytety a ponadto zyskuje zwolenników — musi nastąpić reakcja ze strony tych, których pozycji to nowe spojrzenie zagraża.

Prostym, ale — przynajmniej jeśli chodzi o środowisko emigracyjne — skutecznym sposobem uniknięcia merytorycznej dyskusji nad historią i sytuacją polityczną Polski, było kwalifikowanie wypowiedzi Mackiewicza jako „antykomunistycznej obsesji” lub „politycznej paranoi”. Sam autor pisał na ten temat:

Istnieje rozpowszechniony pogląd, przedstawiający antykomunizm w postaci obsesji osób niezdolnych do rozumowania kategoriami „rozsądnymi” i „realnymi”; nieomal tkniętych nieuleczalną chorobą i dlatego nie zasługujących nawet na leczenie, lecz tylko wrzucenie ramion. Ten pogląd na rzekomą „obsesję” antykomunistyczną ukuli „realiści” polityczni i konformiści intelektualni nie tylko na własny użytek, ale i na użytek znacznej części drobno-mieszczan szerokiego świata²⁶.

Nie prowadzono zatem dyskusji ze stanowiskiem Mackiewicza i, co więcej, próbowano — dla obrony „rządu dusz” — uniemożliwić mu publikowanie w prasie emigracyjnej. Dyrektor Rozgłośni Polskiej RWE Jan Nowak (właśc. Zdzisław Antoni Jeziorański), organizując kolejną falę ataków na autora *Lewej wolnej*, pisał wyraźnie o wadze, jaką przywiązywał do „wyeliminowania Mackiewicza z niepodległościowej publicystyki politycznej”²⁷. Jeden z kolejnych dyrektorów Rozgłośni Polskiej RWE usuwał już nawet nazwisko Mackiewicza z audycji radiowych: Zdzisław Najder w 1984 r. nie zezwolił na nadanie w programie kulturalnym recenzji Andrzeja Szulczyńskiego z tomu *Droga Pani*²⁸.

Myli się twierdząc, że nie dostrzegam „wyraźnego ukierunkowania ideologicznego pisarstwa [Mackiewicza]”. Powieść polifoniczna jest wg Bachtina „ideologiczna”, jest właśnie „powieścią o idei”. Jeżeli zaś Fitas pod pojęciem „ukierunkowania ideologicznego” rozumie preferencje autorskie, to w niniejszym szkicu nie po raz pierwszy podkreślam, że Mackiewicz swoje poglądy na historię, literaturę, politykę, sztukę jednoznacznie i bezpośrednio wypowiadał w wystąpieniach publicystycznych. W jego powieściach natomiast „głosy” są równouprawnione a narrator wszechwiedzący pojawia się sporadycznie, na co wskazuje np. Vesper w swojej pracy (patrz przyp. 5). Ponadto Fitas błędnie przyjął, że Sergiusz Miasojedow był postacią wykreowaną przez autora *Sprawy...* a relacja pomiędzy fikcją a faktami historycznymi jest istotna dla zrozumienia źródeł powieściopisarstwa Mackiewicza i pełni ponadto istotną funkcję artystyczną.

²⁶ J. Mackiewicz, *Zwycięstwo prowokacji*. Londyn 1983 s. 221.

²⁷ Por.: *Contra* 1990 nr 4 s. 170.

²⁸ Tekst ten pod tytułem *Kontra karabelę* ukazał się w majowym numerze „Archipelagu” z 1984 r. W. Odojewski, w owych latach odpowiedzialny za programy kulturalne w Rozgłośni Polskiej RWE, zdolał bodajże dwukrotnie „puścić” programy o Mackiewiczu, korzystając z nieobecności Najdera w Monachium.

Charakter prowadzonych do dziś dyskusji nad poglądami Mackiewicza świadczy o istniejących nadal deficytach w polskiej historiografii, na zamykanie oczu na — jak to ujął Tadeusz Wyrwa, jeden z historyków, starających się wypełnić tę lukę — „bezdroża dziejów Polski”. Co ciekawe, już uprzednio istniały *sui generis* dwie opinie na temat publicystyki Józefa Mackiewicza i Barbary Toporskiej. Wbrew temu, co napisał Stefan Kisielewski w swoim *Alfabecie*, nigdy nie próbowałem zaaranżować jego spotkania z Józefem Mackiewiczem. Taki pomysł nie przyszedłby mi do głowy, miałem bowiem w pamięci fakt, że p. Józef odmówił nawet spotkania z bratem, gdy Cat, już po powrocie z Londynu do Warszawy, jako turysta przyjechał do Monachium. Zagadnąłem natomiast Kisiele, w czasie jednej z jego wizyt w Bawarii, o skierowaną przeciwko publikowaniu Mackiewicza wypowiedź w „Kulturze” z 1957 r. „Mackiewicz napisał wiele słusznych rzeczy” — odpowiedział Kisiel, wyraźnie unikając kontynuowania wątku.

W prywatnych rozmowach premier Rządu RP na Obczyźnie Kazimierz Sabbat, w znacznym stopniu podzielał krytyczne opinie Józefa Mackiewicza o RWE. Nie mogło przecież być inaczej, skoro w Wolnej Europie nie można było nawet wymieniać londyńskiego rządu RP (zakaz zniesiono dopiero w połowie lat 80., u progu konwergencji systemów). Nie sposób analizować tutaj poglądów autora *Drogi donikąd* na temat RWE, zwłaszcza, że i w tym wypadku nie można ograniczyć się do pytań o to, czy „Mackiewicz miał rację”. Chodzi o zbadane cały czas w niewystarczającym stopniu obszary historii najnowszej (nie tylko Polski), a zwłaszcza stosunków Wschód–Zachód. W sprawie RWE istnieje wiele legend i jeszcze więcej białych względnie szarych plam, przy dominacji memuarystyki jako źródła i trudnym dostępie do dokumentów archiwalnych (przypuszczam, że materiały amerykańskie, a przynajmniej ich część, są równie trudno dostępne jak archiwalia MSW). Wydaną w 1969 r. broszurę Mackiewicza „*mówi Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa...*” wspominam głównie dlatego, że jest mało znana²⁹ a chodzi przy tym o jeden z istotnych elementów z monachijskiego okresu pisarza.

W analizie roli politycznej RWE a tym samym powodów krytycznych opinii Mackiewicza na temat tego radia, trzeba odejść od uproszczeń i przede wszystkim widzieć Wolną Europę jako instrument polityki amerykańskiej. Nie zmieniają tego faktu wypowiedzi byłych dyrektorów Rozgłośni Polskiej, którzy ze zrozumiałych powodów eksponują własną rolę polityczną. „Amerykanie chcieli, aby były utrzymane pozory niezależności przy zachowaniu linii polityki amerykańskiej” — mówił o tym Kazimierz Zamorski³⁰. Ten sam autor wspominał, jak dyrektor Rozgłośni Polskiej RWE, Jan Nowak, definiował cele radia:

[...] pragniemy ewolucji komunizmu w kierunku socjalizmu demokratycznego. Należy komunistom odebrać słowo socjalizm w znaczeniu, w jakim je używają³¹.

Mackiewicz krytykował amerykańskie instrukcje polityczne, Nowak twierdził, że instrukcji nie było³². Dziś wiemy, że zalecenia polityczne były i to właśnie w sprawach, o których wypowiadał się Mackiewicz³³. Ponieważ polityka amerykańska po II wojnie światowej nie miała na celu rozbicia systemu komunistycznego, a jedynie realizację interesu strategicznego USA, łatwo zrozumieć dezaprobatę Mackiewicza. Strategia amerykańska

²⁹ Pominęto ją w spisie publikacji pisarza, zamieszczonych w tomie *Droga Pani* (patrz przyp. 16).

³⁰ K. Zamorski, *Jestem fanatykiem prawdy. Z Kazimierzem Zamorskim rozmawia Jacek Trznadel*, Gazeta Polska 6 X 1994.

³¹ K. Zamorski, *Pod anteną Radia Wolna Europa*. Poznań 1995 s. 174.

³² Por.: J. Mackiewicz, „*mówi Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa...*”. Monachium 1969 s. 12.

³³ Np. w 1956 r. w sprawie poparcia dla Gomulki, przeciwstawianego jako pozytywny kontrprzykład Imre Nagy’owi. Por.: P. Machcewicz, *Tajny punkt 15*, Polityka 4 XI 1995.

została zresztą ustalona wkrótce po zakończeniu II wojny światowej i pomimo zmiennych doktryn, utrzymała się do czasu transformacji w bloku sowieckim na przełomie lat 80. i 90. ubiegłego wieku. Doradcy rządu amerykańskiego już w 1948 r. opracowali zalecenia dotyczące polityki wobec krajów satelickich ZSRS i Europy Wschodniej:

W celu wyeliminowania wpływów sowieckich w krajach satelickich, istnieją tylko dwie możliwości: z jednej strony wojna, z drugiej — środki pozwalające działać bez doprowadzenia do konfrontacji. [...]

Wojna jest tutaj wymieniona jedynie w celu podkreślenia, że nie wchodzi ona w grę. [...]

Naszym celem będzie zastąpienie rządów obecnych przez inne, które będą nam życzliwe, nawet jeśli miałyby być komunistyczne, a jeśli nieżyczliwe — to pod warunkiem, że nie będą pod kontrolą Moskwy. [...]

Jeżeli będziemy gotowi zaakceptować w pierwszej kolejności dysydenckie reżimy komunistyczne, niezależne od ZSRS, w celu zastąpienia obecnych rządów stalinowskich — szansa sukcesu będzie większa. Oczywiście będzie bardzo trudno próbować zerwać natychmiast wszystkie związki pomiędzy Kremlem a krajami satelickimi. Jednak jeszcze trudniej byłoby próbować na początku obalić reżimy komunistyczne u władzy. [...]

Możemy wpływać na obszar polityki i gospodarki. Jest jasne, że ta druga dziedzina jest ważniejsza, ponieważ mamy w niej większe szanse sukcesu³⁴.

Warto uwzględnić te zalecenia, analizując historię polityczną okresu powojennego i funkcję, jaką w istocie pełniło RWE, niezależnie od podporządkowanych celom propagandowym opinii, szczególnie intensywnie upowszechnianych od końca lat 80. Przytoczone zalecenia pozwalają również zrozumieć, pozornie tylko zaskakujący, niepokój ambasadora USA w Warszawie Johna Davisa, który w 1989 r. w jednym z tajnych raportów przesłanych do Waszyngtonu, jako największe niebezpieczeństwo określał „niemal pełne zwycięstwo «Solidarności»”, co mogłoby „zagrozić pozycji czołowych partyjnych reformatorów”³⁵.

Były dyrektor RWE George Urban wspomina³⁶, że w połowie lat 80. prezes połączonych rozgłośni Radio Free Europe/Radio Liberty Inc. Eugene Pell, uniemożliwił prokuratorze niemieckiej podjęcie dochodzeń przeciwko działającym w Wolnej Europie współpracownikom służb specjalnych z bloku sowieckiego. Urban wymienia Vladimira Kusina — wicedyrektora działu badawczego RFE i wspomnianego już Zdzisława Najdera. Oczywiście książka Urbana, jak każde źródło tego typu, wymaga weryfikacji; jednak informacja o akceptacji w RWE tajnych współpracowników komunistycznych „organów” jest wiarygodna; agentem KGB był również główny redaktor Sekcji Rosyjskiej Radia Swoboda — Oleg Tumanow, czego domyślała się przynajmniej połowa jego kolegów w rozgłośni (sam zainteresowany pisał o tym później w swoich wspomnieniach), a pomimo tego wspinał się na kolejne szczeble radiowej kariery.

Jeżeli zatem amerykańska dyrektora Wolnej Europy i Radia Swoboda chroniła współpracowników „organów” z bloku sowieckiego, interpretacja wydarzeń lat 80. jako sukcesu ukrytych intencji komunistów jest mało przekonująca. A formułuje ją Dariusz Rohnka w cytowanej już książce o Józefie Mackiewicz. Rohnka przywołuje ponadto ukończoną w 1984 r. pracę Anatolija Golicyna *New Lies for Old*, która, choć ciekawa (autor ze zdumiewającą trafnością przepowiedział epokowe zmiany w bloku wschodnim w drugiej połowie lat 80.), dla historyka ma w znacznym stopniu charakter spekulacyjny. Gatunkowo książka Rohnki jest esejystyką, autora nie obowiązuje zatem naukowa dyscyplina. Nie to

³⁴ Cyt. za: P. de Villemarest, *Complicités et financement soviéto-nazis*. Paris 1996 s. 252.

³⁵ *Zwycięstwo pełne i groźne*, Gazeta Wyborcza 9/10 VI 2001.

³⁶ G. R. Urban, *Radio Free Europe and the Pursuit of Democracy. My War Within the Cold War*. New Haven 1997; zob. też: R. Larsen, *Did RFE cover up agent?*, The Prague Post 21–27 I 1998.

jednak jest najważniejsze. Otóż Rohnka i cytowany przez niego Golycyn widzą w wydarzeniach politycznych tylko jeden element sprawczy — komunistów, którzy starają się oszukać bezczynny Zachód. W rzeczywistości stosunki Wschód–Zachód były wynikiem aktywnych działań obu stron. Józef Mackiewicz pytał o powody, dla których Zachód „chce się dać oszukać”³⁷ i dostrzegał je — m.in. analizując linię programową RWE — w świadomej polityce popierania reform systemu komunistycznego. Ale i w tym wypadku kwestia „Czy Józef Mackiewicz miał rację?” jest, przynajmniej z punktu widzenia historyka, pytaniem jałowym, choć z pewnością debaty na ten temat będą powracać w polskiej publicystyce. Natomiast oczywiste jest rozszerzenie wpływów Stanów Zjednoczonych na obszar dawnego bloku sowieckiego, w czym trudno jednak widzieć realizację tajnego planu komunistów.

V

Grupa pracowników RWE należała do kręgu osób bliskich Barbarze i Józefowi Mackiewiczom. Oprócz wspomnianej już Wandy Stankowskiej, ich najbliższymi przyjaciółmi i stałymi partnerami „do kart” byli Urszula i Kazimierz Zamorscy, który swego czasu narażony był w Wolnej Europie, w związku z kontaktami z pisarzem, na różne naciski. Już w Monachium stały kontakty z Mackiewiczami utrzymywali Wiktor Trościanko, pisarz i działacz Stronnictwa Narodowego, autor popularnych w Polsce komentarzy radiowych, a zwłaszcza jego żona Wiwa. Po przeprowadzce Trościanków do Hiszpanii trwała korespondencja, którą Barbara Toporska utrzymywała niemal do ostatnich dni życia. Grono przyjaciół, które w lutym 1985 r. żegnało Józefa Mackiewicza na cmentarzu w Monachium, gdzie spopieleno zwłoki, nie było wielkie. „Radiowiec” Zygmunt Jabłoński, autor kilku powieści i sztuk scenicznych, ciężko chory na raka, nie mógł przyjść (zmarł w marcu 1985 r.). Była natomiast jego żona Hildegarda, również z Mackiewiczami zaprzyjaźniona. Z Londynu przyleciała Nina Karsov, z Wiednia przyjechał ks. prałat (dziś już infułat) Bonifacy Miązek, poeta i docent na wydziale sławistyki tamtejszego uniwersytetu. Wiera Pirożkowa, często wymieniana w publicystyce Mackiewicza, wydawca pisma „Gołos Zarubieža”, z którym pisarz przez wiele lat współpracował, docent na monachijskim Uniwersytecie Ludwika-Maksymiliana a poza tym — pierwowzór Pani Anty z *Homo Sovieticus* Aleksandra Zinowiewa. Parę miesięcy później, w bardzo podobnym gronie, żegnaliśmy w Bad Trissl Barbarę Toporską.

Nina Kozłowska, która znała Mackiewiczów niemal od początku ich pobytu w Bawarii, mówi mi, że na pożegnaniu p. Józefa w Monachium „jednak trochę osób się zebrało”. Wymieniłem tutaj te osoby z najbliższego otoczenia Barbary i Józefa Mackiewiczów, które znałem bądź znam osobiście i jeśli kogoś pominąłem, przypisać to należy mej zawodnej pamięci. Ważniejsze wydaje mi się wskazanie kilku chociażby środowisk, instytucji, wydawnictw, z którymi Józef Mackiewicz w okresie spędzonym w Monachium współpracował. Tam należy szukać dalszych źródeł, relacji i świadków, zwłaszcza, że liczba tych ostatnich nieubłaganie maleje.

³⁷ J. Mackiewicz, *Na przekór przymusowemu „chceniu”*, Gwiazda Polarna 23 VIII 1980.

RECEPCJA JÓZEFA MACKIEWICZA NA WĘGRZECH

Lajos PÁLFALVI (Węgry)

Pisząc o tłumaczeniu Józefa Mackiewicza na węgierski mogę pisać wyłącznie o swoich przekładach drukowanych w dwóch miesięcznikach literackich, bo inni tłumacze jeszcze nie zainteresowali się jego twórczością. Chyba nikt się nie dziwi, że te teksty wyszły dopiero w latach 90. Przed zmianą systemu Józefa Mackiewicza można byłoby drukować tylko w drugim obiegu, ale chociaż w skromnym dorobku literackim węgierskiego samizdatu znajdujemy kilku autorów polskich, redaktorzy preferowali utwory tematycznie związane ze stanem wojennym czy aktualną sytuacją. Więc chętnie drukowali satyry czy nawet *Alfę* Mrożka, opowiadania Nowakowskiego, wiersze Herberta i Woroszylskiego, dzienniki Brandysa — obok tekstów publicystycznych¹. Utwory Józefa Mackiewicza nie mieściły się w takim wąskim kontekście, ponieważ autor pisał swoje najważniejsze teksty polityczne o wcześniejszych okresach albo o komunizmie jako problemie globalnym.

Najpierw zająłem się Józefem Mackiewiczem jako historyk literatury. Na przełomie lat 80. i 90. pracowałem nad swoją dysertacją. Wybrałem ciekawy temat (dla sumiennego polskiego polonisty, delikatnie mówiąc, pewnie zbyt obszerny, ale dla kogoś patrzącego na to z peryferyjnego miejsca, z Budapesztu, w sam raz): polska proza emigracyjna lat 1945–1980. Całość tego materiału najpierw podzieliłem na gatunki fikcyjne i przejściowe (ta ostatnia kategoria zawierała wspomnienia, dzienniki, eseje, wywiady-rzeki, literaturę łagrową i zajęła dwa razy tyle miejsca, niż pierwsza). Rozdział pt. *Fikcja* podzieliłem na dwa podrozdziały: *Mit*, *Polityka*. Umieściłem Józefa Mackiewicza w tym drugim podrozdziale obok m.in. Sergiusza Piaseckiego i Miłosza jako autora *Zdobycia władzy*².

Czytelnicy podręczników znajdują materiały o Józefie Mackiewicz w syntezie historycznoliterackiej Istvána D. Molnára³, poza tym nasz autor ma obszerne osobne hasło w tomie uzupełniającym *Leksykonu literatury światowej* (podobno największego leksy-

¹ Zob.: L. Pálfalvi, *Recepcja literatury polskiej w samizdatkach węgierskich*, [w:] *Polskie lato, węgierska jesień. Polsko-węgierska solidarność w latach 1956–1990*, red. C. G. Kiss, K. Sutarski. Budapeszt 1997 [1998!] s. 107–114.

² L. Pálfalvi, *Tény és metafora. A lengyel emigráció prózairodalma 1945–1980* (Fakt i metafora. Polska proza emigracyjna lat 1945–1980). Budapeszt 1993 s. 54–61.

³ Molnár I. D., *Lengyel irodalmi kalauz. A kezdetektől 1989-ig* (Przewodnik po literaturze polskiej. Od początków do 1989 r.). Budapeszt 1997 s. 351.

konu literackiego świata). Zresztą historia tego leksykonu jest bardzo ciekawa. Pierwszy tom wyszedł w 1970 r. Wtedy jeszcze nikt nie myślał, że na ostatni (uzupełniający) tom trzeba jeszcze czekać 26 lat. Koniec lat 60. widocznie sprzyjał duchowi encyklopedyzmu, dlatego w tym leksykonie obok haseł o autorach i utworach anonimowych znajdujemy najważniejsze pojęcia poetyki od czasów staroindyjskich do końca XX wieku. W latach 80. (od litery „P”) hasła stały się coraz dłuższe i cały leksykon stał się jeszcze bardziej szczegółowy, prawie bezgraniczny (jakby cała redakcja chciała wytrwać na etacie do emerytury). Według wewnętrznych reguł redaktorzy musieli umieścić każdego autora, który miał dwie publikacje po węgiersku (a brak publikacji na Węgrzech wcale nie znaczył, że dany autor nie może mieć hasła).

Po obaleniu komunizmu (od litery „S”) redaktorów już nie krępowała cenzura, więc ostatnie tomy leksykonu różnią się bardzo od pierwszych. Wieloletnią pracę skończono tomem uzupełniającym, gdzie umieszczono między innymi polskich pisarzy-emigrantów. Tak się złożyło, że np. o Szymonie Szechterze i Barbarze Toporskiej mogłem już napisać hasło do odpowiednich tomów, a o Józefie Mackiewicz (i wszystkich innych ważnych autorach emigracyjnych od „A” do „R”) do tomu uzupełniającego. Pozycja w tym leksykonie czasami się przydaje: parę lat temu redaktor pewnego bardzo elitarnego miesięcznika literackiego odrzucił *Drugie przyjscie* Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, bo nie znalazł autora w tomie leksykonu wydanym w połowie lat 70.

Owszem, już wiadomo, że Józef Mackiewicz jest pisarzem notowanym na Węgrzech, można udokumentować jego istnienie w różnych źródłach, ale czy udało się osiągnąć coś poza tym? Niestety niewiele. W końcu lat 80. sam miałem nadzieję, że po zniesieniu cenzury będą kontynuowane tendencje literatury wydawanej w drugim obiegu, a na wolnym rynku właśnie tacy autorzy będą skazani na sukces, którzy zajmują się najważniejszą problematyką historii XX wieku: totalitaryzmem, który skończył się przed chwilą, na naszych oczach.

Wkrótce zaczęła się jakaś krótka koniunktura, wydawnictwa rzuciły na rynek klasyków antytotaryzmu, powróciły takie, na Węgrzech już znane nazwiska, jak Mrozek, Brandys i Kołakowski, nawet pojawiły się nowe — Gustaw Herling-Grudziński, Stanisław Vincenz, Jerzy Stempowski, Sergiusz Piasecki — ale moda literacka zmieniła się bardzo szybko i w Polsce, i na Węgrzech.

W obu krajach czytano już książki, których bohaterowie żyją poza historią. Chociaż — co jest symptomatyczne — krytycy i autorzy (nie mówiąc już o poetach) bardzo niechętnie używali terminu postmodernizm, bo to sugerowałoby przebrzmiałą wizję rozwoju literatury węgierskiej jako literatury przejmującej nurty zachodnie z „opóźnieniem”. A przecież w czasie pozbawionym perspektywy utopistycznej nie można się spóźnić. Wszyscy mamy czas i miejsce: ani centralne, ani peryferyjne — takie nijakie, w miarę normalne.

Droga pisarza polskiego do książki wydanej na Węgrzech zaczyna się publikacją w miesięcznikach literackich. Józefa Mackiewicza drukowano przede wszystkim w „Életünk” (Nasze Życie), periodyku wydawanym w Szombathely, przy austriackiej granicy. Założony w roku 1963 „Életünk” stał się ważnym miesięcznikiem w połowie lat 80. Przede wszystkim dlatego, że drukowano tam współczesną literaturę węgierską powstałą w krajach sąsiednich: w Czechosłowacji, Rumunii i Jugosławii (tzn. na Słowacji, w Siedmiogrodzie i Wojwodinie — na terenie Węgier historycznych). W redakcji „Életünk” pracował wybitny historyk literatury, Gusztáv Láng — węgierski emigrant żyjący na Węgrzech (zamiast Siedmiogrodu).

Dla kadarowskiej administracji nie istniała kultura węgierska poza granicami państwa. Węgrów żyjących we wspomnianych krajach traktowano jako obywateli obcych państw, ich przynależność narodowa nie grała żadnej roli. Zainteresowanie kulturą czy

w ogóle problematyką mniejszości węgierskich uważano za przejaw skrajnego nacjonalizmu. To oczywiście przyczyniło się do bolesnego politycznego napięcia: państwo komunistyczne nie było odpowiedzialne za cały naród którego duża część była zdana na łaskę innych dyktatur.

W tej sytuacji stały się popularne takie pisma literackie, które regularnie drukowały węgierskich autorów żyjących poza krajem. Redaktor Gusztáv Láng doskonale znał siedmiogrodzką literaturę węgierską, a Lajos Ambrus, wybitny prozaik i zastępca redaktora naczelnego, absolwent segedyńskiego uniwersytetu — wojwodińską, poza tym redakcja miała kontakty z pisarzami żyjącymi na Słowacji (przecież Szombathely nie jest daleko od Bratysławy).

Wkrótce okazało się, że ci nonkonformistyczni autorzy „Életünk”, którzy byli trochę podejrzani w tych sąsiednich, a jakże różnych dyktaturach i, delikatnie mówiąc, nie czuli się tam najlepiej, byli autentycznie zainteresowani literaturą tych krajów. I za pośrednictwem tych pisarzy węgierskich pojawiły się na łamach „Életünk” takie nazwiska, jak Hrabal, Jančar czy Dinescu.

Dla Polaków Europa Środkowa to strefa między Niemcami i Rosjanami. Dla Węgrów Austro-Węgry i jeszcze jakieś północne tereny. Albo inaczej: średniowieczne monarchie tego regionu, tzn. Polska, Czechy, Węgry. Ale to pojęcie właśnie w połowie lat 80. krystalizowało się w niezależnych umysłach. Dzięki esejom Kundery, Miłosza, Jančara, Konráda i Bibó powstał paradygmat Europy Środkowej, a „Életünk” — prawie niedostrzegalnie, bez ogłoszenia artykułów programowych — stał się też forum środkowoeuropejskim. Drukowano teksty o pokrewieństwach Gombrowicza i Esterházyego, o Mrożku jako obrońcy tradycji, najważniejszy środkowoeuropejski esej Stanisława Vincenza pt. *Hungarica. Dar przyjaźni*, a nawet zdjęcia żyjącego na Węgrzech Normantasa Pauliusa przedstawiające diuny litewskie.

„Életünk” zachował swoją pozycję do samego końca lat 80. Po zniesieniu cenzury drukowano tam m.in. noblowskie przemówienia Miłosza i Brodskiego, fragmenty *Dialogów z Sowietami* Stanisława Vincenza. Ale właśnie wtedy powstały nowe pisma literackie, które szybko stały się bardzo modne — większość tych periodyków nadal wychodzi. Środkowoeuropejska tematyka też pojawiła się prawie wszędzie.

„Életünk” też zmienił swój profil: regularnie drukował już węgierskich emigrantów, a redaktorzy poza pismem wydawali książki. Co do tłumaczeń, to pozycje były bardzo różne. Paryscy neoawangardziści grupy Magyar Műhely (Warsztat Węgierski) proponowali Derridę — i wyszła *Grammatologia* w Szombathely, chociaż autor był jeszcze nieznaną na Węgrzech. Dziennikarz żyjący w Polsce proponował Sergiusza Piaseckiego — i wyszły *Zapiski oficera Armii Czerwonej*.

Pierwszy węgierski przekład Józefa Mackiewicza wyszedł w ostatnim numerze „Életünk” 1993 r. W *Koronie św. Stefana*, w piątym rozdziale *Watykanu w cieniu czerwonej gwiazdy* mowa o kardynale Mindszentyem, prymasie Węgier, ofierze dwóch dyktatur (faszystowskiej i komunistycznej). Jego bezkompromisowa postawa była nie do przyjęcia dla kádárovskiego establishmentu aż do ostatniej chwili istnienia ustroju. Węgierskiemu czytelnikowi miło było poznać tekst, którego autor doceniał dożywotnią niezłomność kardynała. Bardzo ciekawe, że postać prymasa Mindszentyego jest przeciwstawiona zwolennikom „fałszywego realizmu”. István Bibó, wybitny myśliciel polityczny opisał dwa skrajne typy występujące w węgierskiej polityce: „fałszywych realistów” i „zbyt natchnionych wizjonerów”.

Następnym razem zestawilem dla „Életünk” krótki blok mackiewiczowski. Chciałem go przedstawić jako autora *Zwycięstwa prowokacji*, książki w której traktuje komunizm jako problem globalny. Bo właśnie tego mi brakowało w węgierskiej refleksji nad komunizmem: szerokiego sowiezologicznego kontekstu. Wybrałem pierwszy rozdział pt. *Na*

równi pochyłej, w którym demaskuje prokomunistyczny faryzeizm inteligencji lewicującej (nawiasem mówiąc to też zawiera informację dotyczącą Węgrów)⁴. Obok tego rozdziału umieściłem artykuł Włodzimierza Boleckiego pt. *Prawdy niemiłe (Józef Mackiewicz i Witold Gombrowicz)* i napisałem krótki wstęp pt. *Antykomunizm Józefa Mackiewicza*.

Miesiąc później w jednym z najważniejszych pism literacko-społecznych lat 90., w miesięczniku pt. „2000” wyszła *Zbrodnia w dolinie rzeki Drawy*, tym razem czytelnicy pisma odkryli epicki talent pisarza i poznali jeden z najważniejszych tematów Józefa Mackiewicza.

I tutaj, wiosną 1996 r. skończyła się pierwsza faza. Trzeba byłoby zebrać te publikacje i pokazać wydawcom, potem przystępować do konkursu — i wydać powieści Józefa Mackiewicza (mniej więcej tak wygląda kariera Gustawa Herlinga-Grudzińskiego czy Jerzego Stempowskiego i innych pisarzy polskich, nie tylko emigracyjnych). Choć wydawnictwo Europa już w 1990 r. zamówiło u mnie recenzję lektorską o *Sprawie pułkownika Miasojedowa* (mimo pozytywnej recenzji dyrektor nie skontaktował się z właścicielką praw autorskich), Józef Mackiewicz nadal nie ma książki po węgiersku.

Więc zamiast książki przygotowuję kolejny blok dla „Életünk”. Tym razem chciałbym drukować kolejny fragment *Zwycięstwa prowokacji (Między bolszewizmem i nacjonalizmem)*, opowiadanie pt. *Faux-pas ciotki Pafci* i referat Wacława Lewandowskiego pt. *Józef Mackiewicz o węgierskim powstaniu 1956 roku* ogłoszony na konferencji w Debreczynie w r. 2001. Bo okazało się, że ten pisarz, tak silnie związany z Litwą, doskonale rozumie najważniejsze dylematy Węgrów.

⁴ Tu pisze o tym Mackiewicz, że wystąpił z PEN-Clubu „na kongresie frankfurckim, po przyjęciu komunistów węgierskich do P.E.N.” (*Zwycięstwo prowokacji*. Londyn 1988 s. 20).

WOJNA I POLITYKA W PROZIE JÓZEFA MACKIEWICZA*

Maria ZADENCKA (Szwecja)

W wykładach na temat władzy i suwerenności z roku 1976 Michel Foucault zastanawia się nad znaną maksymą Clausewitza że „wojna jest tylko polityką prowadzoną innymi metodami” oraz nad jej parafrazą, w ujęciu której polityka była widziana jako „wojna prowadzona za pomocą innych środków”¹. Polityka i wojna są od siebie zależne, a dwie zasady, o jakich mówi Foucault, reprezentują z gruntu odmienne sposoby rozumienia tej zależności.

Żeby poznać istotę i mechanizmy polityki, warto studiować istotę i mechanizmy wojny — z jednej strony jej instytucje, strategie, taktyki i praktykę, z drugiej strony jednak także ideę o wiecznym antagonizmie leżącym u gruntów politycznej rzeczywistości.

Józef Mackiewicz jest jednym z najbardziej politycznych pisarzy polskich XX wieku.

Nie chcę tu zajmować się systemem politycznych poglądów Mackiewicza. Tematem mojego szkicu jest jedna tylko cecha pisarstwa Mackiewicza, a mianowicie sposób, w jaki opisuje wojnę. Najbardziej ogólnie sformułowane pytanie brzmiałoby następująco: Co mówią jego literackie opisy wojny na temat polityki oraz politycznego myślenia?

I. WOJNA „FORMALNA” I DYSKURS FILOZOFICZNO-PRAWNICZY

Ogólnie rzecz biorąc, obraz wojny u Mackiewicza formułowany jest w ramach tych wyobrażeń i pojęć, jakie rozwijały się w Europie w ramach nowożytnej refleksji filozoficzno-prawniczej.

Historycy i prawnicy opisują proces, który rozpoczął się w XVII wieku, trwał na kontynencie europejskim przez prawie trzy stulecia i którego wynikiem były „humanizacja i ucywilizowanie wojny”². W wieku XVII zakończył się czas prywatnych wojen feudalnych

* Artykuł jest oparty na tekście referatu wygłoszonego na konferencji „Krise, Konflikt und Strategie zur Lösung der Konflikte. Moderner Nationalismus und nationale Literaturen im Ostseeraum” (Sztokholm, 6–9 XII 2001 r.).

¹ M. Foucault, *Trzeba bronić społeczeństwa. Wykłady w Collège de France, 1976*. Warszawa 1998 s. 55.

² Jedną z podstawowych prac w tym zakresie jest *Nomos der Erde im Völkerrecht des Jus Publicum Europaeum* (Berlin 1988) Carla Schmitta, który na określenie tego procesu wprowadził

władców, czas wojen religijnych, wojen domowych i konfesjonalnych. Radykalną zmianą był fakt, że decyzje w sprawach publicznych z rąk Kościoła przeszły w ręce państwa. Na scenie europejskiej pojawiają się homogeniczne państwa terytorialne, z centralnym ośrodkiem władzy i administracją i z dokładnie określonymi granicami. Państwa te wypracowały nowy racjonalny system prawa dotyczący ich wzajemnych stosunków.

Państwa-suwereni, były postrzegane jako jednostki, które w dyskursie prawniczym nazywane były *personae publicae* lub *personae morales*. W określeniach tych przenoszono cechy władcy na przestrzenny kompleks władzy. Państwa, czyli *magni homines* („wielcy mężowie”) formują relacje między sobą w myśl zasad filozoficznych i etycznych, jako „równi wśród równych”. Dyskurs ten kształtował się pod dużym wpływem indywidualistycznych tendencji oraz alegorycznej retoryki i wyobraźni późnego renesansu³. Mówiło się o państwach jak o osobach i tak też się je odtwarzało.

„Pojawienie się na scenie europejskiej” nie jest tu wyłącznie czczą frazą. Wojna między państwami zaczęła być widziana jako *teatrum belli*, a prowadzona była jak pojedynek, z konwencjonalnymi rytuałami i gestami. Wojna zaczyna reprezentować siebie samą i uznano za nieinteresujące, i co ważniejsze, za niemożliwe do ustalenia, jakie przyczyny i jakie idee doprowadziły do jej wszczęcia.

Ten nowy sposób prowadzenia i rozumienia wojny przyniósł zatem kilka istotnych zmian:

Po pierwsze: wojna zaczęła być postrzegana jako wojna formalna (*une guerre en forme, Krieg in Form*⁴), która rozgrywa się poza sprawiedliwością czy niesprawiedliwością i że takie same prawa przysługują w prowadzonej wojnie zarówno jednej jak i drugiej stronie⁵. Zadeklarowano, że niemożliwe jest określenie *justa causa* wojny czyli odpowiedź na pytanie, po której stronie jest sprawiedliwość. Wcześniej, w trakcie wojen konfesjonalnych, Kościół stracił moc rozjemczą i nie było instancji, która miałaby władzę wydawania sądów na temat sprawiedliwości wojny, a więc także władzę ewentualnego ograniczenia czy zahamowania działań wojennych. Konfesyjne wojny domowe odsłoniły również to, co podejrzewano już wcześniej, że zasada *justa causa* może być rozumiana jako przyzwolenie na użycie wszelkich środków w przeciw wrogowi i może prowadzić do zbrutalizowania i wzmożenia okrucieństw. Nieograniczona brutalność i okrucieństwo wojny, jak również jej ponad-terytorialny charakter były cechami wojny totalnej, unicestwiającej, charakterystycznej dla tej epoki, zakończonej pokojem westfalskim.

Po drugie: rozwinięcie konceptu i praktyki wojny formalnej było możliwe dzięki temu, że wojenna praktyka i instytucje wojny zostały zjednoczone w rękach państwa. Wojna formalna była to wojna między jednostkami państwowymi, suwerennymi państwami, toczona na ich granicach albo o ich granice — a nie wojna rozgrywająca się wszędzie, wszystkich ze wszystkimi. Tylko państwo mogło wypowiedzieć wojnę. Państwo autoryzowało wojnę i organizowało ją z pomocą profesjonalnej grupy wojskowych i centralnie ustalanych poborów i mobilizacji. Wojna oczyszczała ciało społeczeństwa i uwalniała je od prywatnej wojny.

termin „ograniczenie wojny” (*Hegung des Krieges*). W Polsce pisał na ten temat m.in. Franciszek Ryszka w: *Polityka i wojna. Świadomość potoczna a teorie XX wieku* (Warszawa 1975), w Niemczech interesujące są aktualnie prace i wypowiedzi historyka Herfrieda Münklera.

³ C. Schmitt, *Der Nomos der Erde im Völkerrecht des Jus Publicum Europaeum*. Berlin 1988 s. 116.

⁴ Tamże, s. 113, 138.

⁵ Por.: E. de Vattel, *Droit des Gens*. Londres 1758 (wyd. pol.: *Prawo narodów*. Warszawa 1958) — III12, §2: „Wojna formalna musi być uważana co do swych skutków za prawą przez obydwie strony”; §191: „Cokolwiek wolno jednej stronie, wolno też i drugiej”. Cyt. za: C. Schmitt, *Der Nomos der Erde...*, s. 138.

Po trzecie: wojna stała się sprawą pomiędzy dwoma równymi sobie *personae morales* w europejskim „teatrze wojennym”, pojedynkiem państw prowadzonym wobec świadków czyli innych europejskich suwerenów. Uczestniczące w wojnie państwa, *personae morales*, postrzegały siebie wzajemnie jako równe, wróg był równym rangą oponentem, był *justi hostes*, a nie złoczyńcą wyjętym spod prawa, którego powinno się unicestwić. Dlatego możliwym stał się t r a k t a t p o k o j o w y⁶.

Porządek ten obowiązywał pewną ilość europejskich państw. Kto do niego miał należeć decydowało się w ciągu wojen i konferencji pokojowych wieku XVII i XVIII; poza Europą porządek ten nie obowiązywał. Filozoficzny i prawny dyskurs tego czasu śledził ten proces, po części formował go i potwierdzał.

W wyniku tego procesu, polsko-litewskie państwo, które z początku aktywnie uczestniczyło w działaniach na tej formującej się scenie, zostało zniszczone i zniknęło z mapy Europy.

II. WOJNA PERMANENTNA I TOTALNA — DYSKURS HISTORYCZNO-POLITYCZNY

Michel Foucault pokazuje na zasadzie paradoksu, że w trakcie procesu „ograniczania wojny” rozwinął się nowy „dziwny dyskurs”, określany przez niego polityczno-historycznym. Wojna w tym odmiennym dyskursie jest stałym i odnawiającym się stanem wewnątrz społeczeństwa, jest wojną wieczną i permanentną, motorem wszelkich relacji władzy i fundamentem wszystkich instytucji władzy, jest też podstawą i początkiem historii państwa. Historycznie był on bronią w walce z absolutną monarchią w różnych krajach i używany był przez reprezentantów zarówno ludu jak i arystokracji.

Nie był to już dyskurs filozoficzno-prawniczy, który opisywał wojnę z uniwersalistycznej perspektywy. W dyskursie polityczno-historycznym prawda i prawo nie należą do uniwersalnego centrum, są znacznie lepiej dostrzegalne z peryferii. Prawda i racja ujawniają się dopiero w walce oraz w świetle stosunków sił⁷.

Podmiot tego dyskursu reprezentuje tylko jedną stronę konfliktu. Głosi prawdę, która jest prawdą jednej tylko strony i domaga się praw, które są prawami tylko jednej strony konfliktu. Prawda i prawa miały dać siłę do zniszczenia pozornej równowagi uniwersalistycznych projektów. Był to dyskurs rewolucji, który domagał się zmiany praw politycznych, socjalnych i ekonomicznych⁸. Sprawiedliwość wojny, *justa causa*, była po jednej stronie konfliktu⁹.

W polityczno-historycznym dyskursie, prowadzonym przez peryferię przeciw centrum, społeczeństwo opisywane jest jako s t r u k t u r a b i n a r n a. Nie jest to już spójna struktura hierarchiczna ani organizm. Społeczeństwo jest podzielone na dwie grupy i prowadzą one permanentną walkę. Powodów walki może być wiele: etniczność lub język, „energia życiowa” lub „stopień barbarzyństwa”.

Ta walka, według Foucault, od samego początku, od XVII wieku była rozumiana jako „walka ras” i z czasem otrzymała p o d w ó j n ą t r a n s k r y p c j ę: biologiczną i socjalną. Pierwsza zrodziła się z materialistycznej, anatomicznej fizjonomiki oraz z filologii

⁶ C. Schmitt, *Der Nomos der Erde...*, s. 91, 113–114.

⁷ M. Foucault, *Trzeba bronić społeczeństwa...*, s. 56–70.

⁸ Tamże, s. 60.

⁹ Według klasycznej nauki Tomasza z Akwinu, potrzebne były trzy warunki dla uznania wojny za sprawiedliwą: 1. uzasadniona sprawiedliwością oraz grzechem zaatakowanego przyczyna (*causa justa*); 2. legalność władzy (*auctoritas principis*); 3. uczciwa intencja (*intentio recta*). Zob.: *Suma teologiczna*, 2-2, 40,1.

i dała początek ruchom narodowym. Druga, próbująca zająć miejsce pierwszej, definiowała się jako „walka klas”¹⁰.

Był to dyskurs polityczny, który swoją legitymizację znajdował w zmienności i dynamice historycznego procesu. Nie chodziło o to, by przeciwstawić brakowi sprawiedliwości lub nadużyciom władzy jakiś idealny schemat (jak prawo naturalne, wolę Boga lub inne fundamentalne zasady). Chodziło bardziej o zwycięstwo w wojnie, którą prowadzono już raz w zapomnianej przeszłości i którą podejmuje się od nowa, by doprowadzić ją do jej zamierzonego zwycięskiego końca w przyszłości.

Ta permanentna wojna, poprzez nastawienie na całkowite zwycięstwo i poprzez oddanie racji jednej stronie konfliktu, była blisko spokrewniona z unicestwiającą wojną totalną, a z powodu braku rozjemczego centrum i pryncypialnej nierównowagi systemu łatwo przeistaczać się mogła w wojnę wszystkich ze wszystkimi.

III.

Proza Józefa Mackiewicza może być widziana jako opowieść o XX-wiecznej historii antagonizmu pomiędzy tymi zasadniczymi typami dyskursów w historii Europy, szczególnie Europy Wschodniej oraz Polski i historycznej Litwy. Zarówno w prozie jak i publicystyce Mackiewicz stara się odbudować podstawy dla dyskursu filozoficzno-prawnego, korzeniami sięgającego czasów wojny formalnej i europejskiego systemu suwerennych państw o ustalonych wzajemnych relacjach i zrównoważonych siłach. Szacunek, jaki Mackiewicz żywi do wieku XIX dotyczy tego właśnie porządku, który był w jego opinii jednym z najbardziej humanitarnych i racjonalnie uzasadnionych w historii Europy. Dlatego też — uważa — porządek ten wart jest odbudowania, w zmienionym kształcie uwzględniającym państwowości Europy Środkowej i Wschodniej, które pomogłyby w utrzymaniu równowagi na kontynencie¹¹. Jeśli Mackiewicz chwali wiek XIX za jego liberalizm, wolność, za możliwość *leben und leben lassen* to chodzi mu w pierwszym rzędzie o „oczyszczenie ciała społeczeństw” z rozmaitych objawów wewnętrznej przemocy, z „wojny wszystkich ze wszystkimi”. W ujęciu Mackiewicza, formalizm stosunków między państwowymi i instytucjonalny rytuał w wieku XIX był wspólny wszystkim państwom należącym do europejskiego systemu, także Rosji — stąd m.in. bierze się emfaza, z jaką Mackiewicz podkreśla nieustannie, że Rosja carska w sprawach istotnych nie różniła się od innych krajów Europy¹².

Z gruntu odmienny i skierowany przeciw temu porządkowi historyczno-polityczny dyskurs wojny permanentnej, jest dla Mackiewicza podstawowym zagrożeniem dla humanitarnego budowania jakiegokolwiek porządku międzypaństwowego i bezpiecznych relacji wewnątrz społeczeństw. Rosja sowiecka była dla niego tworem zbudowanym na zasadniczo odmiennym porządku widzenia świata niż państwo rosyjskie sprzed rewolu-

¹⁰ M. Foucault, *Trzeba bronić społeczeństwa...*, s. 68.

¹¹ Mackiewicz często angażował się w dyskusje dotyczące państw i narodów Europy Wschodniej. Poczynając od szczegółowych relacji z wojny sowiecko-fińskiej w redagowanej przez niego „Gazecie Codziennej” w latach 1939–1940, poprzez wypowiedzi na łamach prasy emigracji ukraińskiej, białoruskiej, rosyjskiej i bałtyckiej po udział w zjazdach bałtyckich w Lüneburgu. Podczas polsko-niemieckich spotkań historyków „Lindenfelser Gespräche” deklarował w rubryce „narodowość”: „obywatel Europy Wschodniej”.

¹² „[...] Rosja przedrewolucyjna, państwo (ustawowo nawet!) związane z wiarą w Boga, oparte na moralności chrześcijańskiej, wolności prywatnej, wolnej konkurencji, kapitalistycznej strukturze gospodarczej, indywidualności ludzkiej itd. — bardziej zbliżone było, powiedzmy do Portugalii położonej na zachodnim cyplu Europy Zachodniej niż do dzisiejszego państwa Sowietów, jeżeli już o porównania chodzi” (J. Mackiewicz, *Zwycięstwo prowokacji*. Paryż 1983 s. 42).

cji¹³. Rosja sowiecka w gruncie rzeczy nie była państwem, jeśli jako państwo rozumieć suwerenne państwo terytorialne pozostające w systemie równych mu innych państw. Podobnie PRL nie była kontynuacją państwa polskiego tylko filią systemu komunistycznego, który w swej „walce o ostateczne zwycięstwo” używał form międzypaństwowego prawa do własnych celów.

Wielokrotnie podkreślano równoległość, z jaką Mackiewicz traktował komunizm i faszyzm, przy czym nacisk kładziono na opisanie zbrodniczości obu systemów. Warto jednak zwrócić uwagę także na fakt, że równoległość ta brała się stąd, że Mackiewicz widział je jako „podwójną transkrypcję” tego samego historyczno-politycznego dyskursu, relatywizującego prawdę i nastawionego teleologicznie, definiującego świat jako permanentną walkę.

„Dwóch ludzi opartych wzajem plecami”

Istotą idei krajowej w tej postaci, w jakiej prezentował ją Mackiewicz, było odbudowanie państwowości historycznej Litwy. Nie miało to być jednak Wielkie Księstwo Litewskie w jego historycznej postaci „z czasów Giedymina”. Mackiewicz mówi przede wszystkim o terytorium i granicach, potencjale ekonomicznym i obronnym oraz cnotach obywatelskich — a zatem o suwerennym państwie terytorialnym i takich jego cechach, jakie wykształciły się w Europie dopiero w ciągu wieku XVII i później. Przyjrzyjmy się, czym była idea krajowa dla Mackiewicza na samym początku, zanim znalazł się na emigracji i zanim nie zaczęła być w jego prozie k r a j o b r a z e m: wielowarstwowym obrazem kraju, ludzi w nim żyjących oraz idei, które tam powstawały i rządziły. Na samym początku idea krajowa była dla Mackiewicza ideą strategiczną, porównywał ją do „historycznych sojuszów politycznych starych czy nowych”, „strategii państwowych”, oraz do słynnego planu niemieckiego generała Schlieffena, który opracował strategię wojny Niemiec na dwa fronty przeciwko Francji i Rosji¹⁴.

Gdyby mnie ktoś prosił, żebym sformułował pogląd mój „w trzech słowach”, ująłbym go tak:

Jest to pomysł utworzenia pomiędzy dwoma wrogimi dla nas blokami, niemieckim i rosyjskim, takich organizacji państwowych, albo takiego organizmu państwowego, który by mógł prowadzić wojnę na dwa fronty. To znaczy obronić narody zamieszkałe pomiędzy Rosją a Niemcami, nie tylko przed każdym z tych wrogów pojedynczo, ale nawet w wypadku zaatakowania nas („nas” to znaczy narody zamieszkałe jak wyżej) jednocześnie z zachodu i wschodu. — Oto cała mądrość¹⁵.

Plan ten nawiązuje do „założeń politycznych Wielkiego Księcia Witolda”:

...obydwa państwa utworzyły wówczas związek, który upodobnić można do dwóch ludzi opartych wzajem plecami a zwróconych twarzami w przeciwległe strony.

Wielkie Księstwo Litewskie i Koronę przedstawia Mackiewicz zatem jako *personae magni*, jedną z twarzą zwróconą na wschód, drugą — na zachód, całkiem zgodnie z alegorycznym wzorem wywodzącym się z dyskursu kształtującego pojęcie wojny formalnej.

¹³ „[...] Wydaje się, że można zaryzykować twierdzenie, że ZSSR jest więcej niż tylko zmianą dawnej Rosji, bo jest niejako jej — odwróceniem. I to pod każdym względem: polityczno-ustrojowym, gospodarczym, filozoficznym, obyczajowym a najbardziej może — psychicznym. Zachowując zewnętrzne ramy imperium, zmieniono jego substancję wewnętrzną” (J. Mackiewicz, *Zwycięstwo prowokacji*, s. 47).

¹⁴ J. Mackiewicz, *Prawda w oczy nie kole*. Londyn 2002 s. 9 (*Dzieła*, t. 17).

¹⁵ Tamże, s. 8.

Tekst ten powstał w czasie wojny, nic dziwnego zatem, że strategiczne walory idei krajowej wysunięte zostały na plan pierwszy. Ważny jest jednak sam fakt, że „idea krajowa” Mackiewicza wyrastała z takiego obrazu. Była ona bowiem zasadniczym tematem prawie wszystkich jego powieści opowiadających o dziejach zniszczenia kraju: krajobrazu i ludzi oraz możliwości jakie mogłaby dać ich rzeczywista symbioza, jeśli znalazłaby wyraz w politycznych ideach i czynach.

„Polityczne prowadzenie wojny”

Powieść *Nie trzeba głośno mówić* przedstawia lokalną politykę na tle globalnej wojny. Pokazuje rywalizację pomiędzy różnymi niemieckimi scenariuszami prowadzenia wojny na wschodzie, gdzie polityczna wojna formalna oraz taktyka i strategia *teatrum belli* ustępują stopniowo miejsca wojnie totalnej; jak misyjna, ideologiczna argumentacja zaczyna odgrywać większą rolę niż strategiczna logika — wbrew opinii społecznej.

Coraz więcej ludzi po stronie niemieckiej zaczynało rozumieć, że: „Tak...” wojny nie da się wygrać! — Czy nie powiedział kiedyś Clausewitz, że: „Wojna jest przedłużeniem polityki, tylko innymi środkami”?... Coraz więcej osób z różnych sfer i na różnych stanowiskach, z rozmaitych względów, pobudek, przekonań, tradycji, o różnym smaku estetycznym i społecznym zaczęło się domagać przejścia na: „polityczne prowadzenie wojny”. Do głosów w Rzeszy dołączył się dowódca włoskich sił zbrojnych na froncie wschodnim, marszałek Giovanni Messe, domagając się z początkiem roku 1942 jakiejś interwencji ze strony Rzymu. [...] Stosy memoriałów z innych stron powracały z głównej kwatery początkowo z adnotacją: „nie odpowiada to poglądom Führera”, a później nie powracały w ogóle, lecz szły do kosza¹⁶.

Polityczne przetargi pomiędzy ministrem spraw zagranicznych von Ribbentropem, szefem Ostministerium Rosenbergiem popierane przez różne ugrupowania wyższych oficerów zostają przekreślone przez Reichskomisarza Ukrainy Kocha:

Wprawdzie z początkiem roku udało się Rosenbergowi przeforsować poufny okólnik zabraniający okładania Ukraińców pejcem przez urzędników Kocha, ale nie udało mu się podważyć głównej tezy Kocha, że Ukraińcy są także „Untermensch” jak Rosjanie. Gdyż w tej sprawie Hitler skłaniał się wyraźnie w stronę Kocha¹⁷.

W podobny sposób w powieści opisana jest skomplikowana gra, jaką prowadzili z Niemcami reprezentanci wielu narodów i narodowości, grup etnicznych i religijnych: Litwinów, Białorusinów, Łotyszy, Ukraińców, Kozaków, Tatarów, Turkmenów. Mieli oni za cel i nadzieję doprowadzenie do „negocjacji jak pomiędzy równorzędnymi partnerami” z Niemcami. Usiłowania te skończyły się totalnym niepowodzeniem w wyniku ideologicznego nastawienia kierownictwa niemieckiego ale także z powodu wzajemnych nacjonalistycznych konfliktów: partykularyzmu „peryferyjnych” racji. Efektem był chaos wojny wszystkich ze wszystkimi w ostatniej fazie wojny.

Operacja „Clarion” i operacja w dolinie rzeki Drawy

Mackiewicz pokazuje, że podczas XX wieku wojny stopniowo tracą charakter zbrojnego konfliktu opartego o linie granic i linie frontu i stają się unicestwiającą wojną totalną, która charakter swój zapożyczyła od rewolucji z jej wizją wroga i ostatecznego zwycięstwa. Jest to rodzaj wojny gdzie musi się walczyć do końca, gdzie dozwolone jest użycie wszelkich środków i gdzie przeciwnik ma zostać zniszczony, ponieważ nie reprezentuje prawdy i nie posiada praw.

¹⁶ J. Mackiewicz, *Nie trzeba głośno mówić*. Paryż 1985 s. 167–168.

¹⁷ Tamże, s. 169–170.

Są dwie sceny, które bardziej niż wszystkie inne przypominają cechy totalnej wojny „permanentnej” w twórczości Mackiewicza. *Sprawa pułkownika Miasojedowa* kończy się apokaliptyczną sceną bombardowania Drezna, kiedy ludzie i zwierzęta uciekają przed morzem ognia. W czasie bombardowania Drezno było wyjątkowo przeludnione z powodu fali uciekinierów z Europy Wschodniej uchodzących przed Armią Czerwoną. Gwałtowność i brutalność ataku skierowanego przeciw ludności cywilnej miała bezpośredni związek z zastosowaniem nowego typu wojennej techniki — „wszelkich dostępnych środków przeciw wrogowi”.

[...] Tego rodzaju taktyczne przykrycie niebywałego w historii zgrupowania ciężkich bombowców, wprowadziło w błąd przeciwnika, który zresztą i bez tego nie był w stanie przeciwstawić tej potędze jakiej bądź skutecznej siły.

[...] Pod szpitalami zginęła wyjątkowo duża ilość osób, gdyż ktoś rozpuścił pogłoskę, że mają być oszczędzone. Oszczędzone być nie mogły, gdyż znajdowały się w środku miasta. Tłumy ludzi, które się tu zebrały, zostały rozszarpane łącznie z rannymi, chorymi, lekarzami i pielęgniarkami.

[...] W dwie i pół godziny po zakończeniu pierwszego nalotu [...] rozpoczął się drugi. Tym razem nie zapowiadany żadnym alarmem [...] Lotnicy otrzymali wskazówki, które w znacznym stopniu upraszczały ich zadanie. Mając przed sobą objęte ogniem miasto, polecono im wybierać nie objęte ogniem czarne plamy [...] Ten drugi nalot pociągnął za sobą jeszcze więcej ofiar niż pierwszy. Nie było bowiem żadnego przed nim schronienia. [...] Potworne sceny rozegrały się zwłaszcza na dworcu.

[...] Według prowizorycznych obliczeń zabito w Dreźnie w nocy z 13-go na 14-go lutego 1945 roku, około 350 do 400 tysięcy cywilnej ludności¹⁸.

Druga scena pochodzi z powieści *Kontra*. Przedstawia ona wydanie w ręce armii sowieckiej oddziałów kozackich armii niemieckiej razem z cywilnymi uchodźcami, całymi wsiami wędrującymi za armią. Gwarancje dane Kozakom przez aliantów podczas kapitulacji nie zostały dotrzymane, unieważnione przez inny, tajny paragraf układu.

Major Davies podjechał, popatrzył, nic nie powiedział i odjechał. Jeszcze przez pewien czas trwały modły, śpiewano pobożne pieśni. Nikt właściwie nie wiedział o co właściwie się modli? O cud?... Nagle, na dany rozkaz żołnierze rzucili się w tłum rozrywając łańcuch rąk i bijąc kołbami i pałkami po obnażonych do modlitwy głowach, po plecach, po ramionach, po twarzach... Od razu zrobiło się zamieszanie, powstała panika...

...Wtedy to padł pierwszy Kozak doński przebity bagnetem. Tłum odpłynął na chwilę i odsłonił ołtarze. Duchowny odwrócił się i wyciągnął ku żołnierzom Ewangelię, ale piechur 8-go batalionu wytrącił mu ją z ręki...¹⁹.

Ciekawe, że jeśli cofnąć się do wcześniejszej polskiej literatury, znajdziemy podobne dwie sceny w powieści opisującej czas pierwszej „permanentnej” wojny rewolucyjnej: kampanii napoleońskiej. W *Popiołach* Żeromskiego ksiądz Gintuł przeżywa atak sił austriackich na Mantuę tak potężny, że zniósł z ziemi wszystko: budynki, ludzi i rośliny. Atak prowadzony był bronią i techniką dotychczas księciu nie znaną:

[...] pękały w powietrzu, około drzwi i okien z hukiem głośniejszym od armatniego wystrzału „świecące kule”, wyrzucały z bruku i ziemi leje sążniowej średnicy wielopudowe, jednookie, uszate bomby i skakały naokoło, jak gumowe piłki ślepe granaty. Ksiądz dyszał prędko. [...] Widział był dotychczas walki fortów z fortami na kule, bitwy pułków na bagnety, ataki konnicy na konnice. Teraz co innego...²⁰.

¹⁸ J. Mackiewicz, *Sprawa pułkownika Miasojedowa*. Paryż 1983 s. 652–658.

¹⁹ J. Mackiewicz, *Kontra*. Paryż 1957 s. 191.

²⁰ S. Żeromski, *Popioły*, t. I. London [ok. 1946] s. 333–331.

Po kilku innych walkach w bagnistej okolicy miasta, oddział otrzymuje nakaz poddania się. Na mocy porozumienia, oddziały szwajcarskie, polskie i piemonckie miały być traktowane według tych samych reguł jak francuskie. Po wmaszerowaniu do miasta zostają jednak w poniżających okolicznościach rozbrojone i wzięte do niewoli — na mocy podpisanej przez francuskiego dowódcy tajnej klauzuli w pokojowym porozumieniu.

Ujrzeni, jak napadniętym w ciasnych zaułkach żołnierzom i podoficerom zdzierają naramienniki i biją nimi po twarzy, jak szarpią za włosy, kopią nogami, tarzają w błocie ulicznym, wiążą ręce i nogi.

[...] Feldmarszałek z wyrazem wzgardliwego szyderstwa przymrużonymi oczyma spojrział naokół i rzekł niedbale:

— Wszystko, co się dzieje, dzieje się na mocy paragrafu sekretnego, dodatkowego o kapitulacji z dnia 28 lipca. Nie ma tu żadnego bezprawia. Zbiegowie z pod sztandaru Jego Cesarskiej Mości będą wydani każdy z osobna pułkowi i batalionowi, do którego należą²¹.

Kryminalizacja przeciwnika i odjęcie mu praw jest tylko etapem na drodze do jego całkowitego unicestwienia. Brutalizacja wojny i przede wszystkim dyskryminacja wroga, czyli odejście od zasady *justi hostes* zarówno u Żeromskiego jak Mackiewicza oznaczają, że zasady wojny formalnej zostają podważone powrotem zasady *justa causa*²². Jeden z przeciwników ma rację i prawo do walki, drugiemu zostaje ono odjęte. Powrót zasady *justa causa* jest jednak niewyraźny, jakby tylnymi drzwiami, jej użycie jest niekonsekwentne, w wojennym postępowaniu mieszają się dwa typy argumentacji. Dotychczasowi sojusznicy „równego rangą” wroga stają się wyjętymi spod prawa rebeliantami z powodu uznania ich za takich przez sojusznika.

„Wojna jest tylko wojną, niczym więcej”

Całkowicie kluczowe dla tego wątku twórczości Mackiewicza jest więc podjęcie próby przypomnienia sensu tak dowolnie interpretowanej zasady *justa causa*. Jeśli doktryna wojny formalnej zarzuciła tę naukę, miała ku temu poważne powody. Mackiewicz stara się je zrekapitulować, z perspektywy XX wieku.

Nie ma wątpliwości, że dla Mackiewicza wojna jako taka była poza sprawiedliwością i niesprawiedliwością. Była to wojna widziana z perspektywy dyskursu filozoficzno-prawnego, który wypracował zasady wojny formalnej.

Wojna jest tylko wojną, niczym więcej — powiada jedna z postaci w *Nie trzeba głośno mówić* — Ale gdzie tkwi *peché originel*? Grzech pierworodny tkwi w tym, że to, co jest arcyłudzkie, i tylko ludzkie, jak wszystkie straszne i masowe i wyszukane zbrodnie, my właśnie nazywamy: „niełudzkie”²³.

Zło wojny wynika ze skażonej złem rzeczywistości. Mackiewicz nie idealizuje wojny formalnej. W rozmowie z panią Blazer Anton Panisienko powiada, że „treścią” każdej wojennej „formy” jest śmierć i okrucieństwo. Jednak faktem jest, że w tej samej rozmowie jako przykłady wojennego okrucieństwa zostaje wymieniona triada wojen totalnych, „wojen wszystkich ze wszystkimi”: wojny religijne, wojny napoleońskie i druga wojna niemiecka na wschodzie Europy²⁴.

²¹ Tamże, s. 342.

²² Już w średniowieczu obłożenie zakazem wojennych udoskonaleń technicznych (strzały dalekonośne i maszyny wojenne zakazane przez Sobór Laterański w r. 1139) w praktyce nie obowiązywało strony prowadzącej wojnę sprawiedliwą, a przeciwnie, otwierało możliwość walki za pomocą wszelkich dostępnych środków. Por.: C. Schmitt, *Der Nomos der Erde...*, s. 113.

²³ J. Mackiewicz, *Nie trzeba głośno mówić*, s. 357.

²⁴ Tamże, s. 180–181.

Pytanie o *justa causa* było u średniowiecznych teologów i jurystów m.in. pytaniem o grzech i winę przeciwnika. Kwestia *justa causa* pojawia się u Mackiewicza w przetransformowanej postaci, nie jako pytanie o winę, ale o przyczynę cierpienia i o naturę zła. Myśl na temat cierpienia i zła, rozwijana w powieściach Mackiewicza mówi coś, co czytać można jako pendant do dyskursu wojny formalnej: tak jak nie jest możliwe określenie *justa causa* wojny, tak nie jest możliwe określenie przyczyny cierpienia — czyli winy — ponieważ skomponowana jest ona z łańcuchów przyczyn i zakłada wiele podmiotów. Cierpienie natomiast, w odróżnieniu od winy, ma zawsze tylko jeden podmiot, nie można myśleć o cierpieniu w liczbie mnogiej — jako o cierpieniu grupy czy cierpieniu narodu etc.²⁵

Cierpienie jest jednostkowe i dotyczy jednostki. Jest to punkt wyjściowy dla etyki, a szczególnie dla pytania o przebaczenie. Przebaczać może tylko jednostka — podobnie jak pokój zawierać mogą tylko jednostki państwowe: suwerenne, ograniczone terytorialnie państwa, *personae morales*. Jest to punkt wyjściowy międzypaństwowego prawa i stosunków międzynarodowych.

Konsekwentnie więc, traktaty i umowy zawierane z komunistycznymi państwami, które były „odwróceniami”, „zaprzeczeniami” państw sensu *stricto*²⁶ (*Zwycięstwo prowokacji*)²⁷ uważał Mackiewicz za całkowicie bezużyteczne — i dokumentował szeroko ten pogląd w swych politycznych esejach.

Historia nie zna prawdy ani przebaczenia

Rewolucja, nacjonalizm i totalna wojna permanentna — tworzą w prozie Mackiewicza rzeczywistość, którą nazywa on czasem „historią”. Końcowy fragment drugiego rozdziału *Nie trzeba głośno mówić* jest miejscem wiążącym wiele wątków myśli zawartych w tej powieści, także m.in. na temat „uhistorycznienia wojny”:

Zapowiadała się druga zima, głodna, bez opału w miastach, wstrętna, przejmująca dreszczem. Odrażająca jak olbrzymie padło nago rzucone na konary lasów, na zamrożone rzeki-jeziora, od którego ciągnęło smrodem zwęglonych belek, benzyny, starego żelaza, biedy ludzkiej i słodkawą wonią trupów.

— Co o niej powie historia?

— Zapewne zełże, jak to w jej zwyczaju.

— Czy zdobędzie się kiedy na uczynienie znaku krzyża świętego: „W imię lasów, rzek i stepów przebaczam wam żołnierze”?

— Nigdy!²⁸

„Historia” nie jest zatem dyskursem prawdy — podobnie jak „permanentna wojna”, rewolucja i jak komunizm — który Mackiewicz określa gdzie indziej wprost jako „przekręcanie znaczeń słów”, odwracanie uniwersalnych pojęć²⁹. Ta sama „historia” nie zna

²⁵ Por. np.: fragment rozmowy ze *Sprawy pułkownika Miasojedowa*: „— Wie pan, mnie się tak zdaje, że jest trochę przesady w tzw. «cierpieniach narodów». Osobiście mam takie wrażenie, że cierpią zawsze tylko ludzie. [...] Mnie się zdaje, że cierpienie, podobnie jak szczęście osobiste, to rzecz najbardziej indywidualna na świecie...”

²⁶ J. Mackiewicz, *Zwycięstwo prowokacji*.

²⁷ Problem nieużyteczności „traktatów pokojowych” i wszelkich umów z komunistycznymi państwami znajduje wyraz w szeroko dokumentowanym w wielu wypowiedziach poglądzie Mackiewicza o nieadekwatności „bilateralnej polityki” wobec „globalnego problemu komunizmu”. Por.: *Zwycięstwo prowokacji*, s. 87.

²⁸ J. Mackiewicz, *Nie trzeba głośno mówić*, s. 236–237.

²⁹ „O komunizmie napisano tysiące książek. Chciałbym tu wskazać na fenomen, moim zdaniem najbardziej charakterystyczny. Jest nim odebranie słowom ludzkim ich pierwotnego znaczenia. [...] Czasem chodzi tylko o znaczenie znaczenia słowa, czasem o nadanie mu wręcz odwrotnego sensu. [...]

też przebaczenia. Permanentna wojna nie jest ukierunkowana na zawarcie pokoju i nie może się skończyć pojednaniem. Nie istnieje taka uniwersalna prawda, w imię której takie pojednanie byłoby możliwe.

„Niemożliwe pojednanie” było idealistyczną nadzieją realisty Mackiewicza. Jego ideałem był zawsze system suwerennych państw w równowadze europejskiego porządku. Poza tą retrospektywną utopią kryje się jednak ważna próba stworzenia dyskursu, który dostarczyłby argumentów do zwalczania ogarniającej świat permanentnej wojny.

Obawy dotyczące faktycznego zaniku systemu międzypaństwowego, które Mackiewicz wyrażał poprzez obrazy XX-wiecznych wojen, coraz częściej wypowiedane są obecnie przez politologów. Przyczyn jest wiele, wojna w dawnej Jugosławii, w Bośni, ekonomiczna wojna kryminalna oraz najbardziej aktualne — wojna terrorystyczna i wojna z terroryzmem.

Przez... nazywanie agresji «wyzwoleniem», niewoli «wolnością», nietolerancji «tolerancją», nominacji «wyborami» etc. etc. zmierza się do zmuszenia nie narody, lecz wszystkich ludzi do posługiwania się językiem — na własną niekorzyść” (*Zwycięstwo prowokacji*, s. 51–52).

ZNAKI PRZESTRZENI JAKO ŚRODKI DYSKURSU IDEOWEGO W *DRODZE DONIKĄD*

Reinhard VESER (Niemcy)

Od ukazania się w roku 1955 *Drogi donikąd* podkreślanie jakości artysty poszczególnych epizodów należy do stale powracających motywów w recepcji dzieła Józefa Mackiewicza. Pochwała ta zawiera zarzut czasami wypowiedzany, że z kompozycją jego powieści jest już gorzej. Zwłaszcza ci krytycy powieści Mackiewicza, którzy nie zgadzali się z jego poglądami politycznymi, twierdzili, że poszczególne części dzieła świadczą o dużym talencie, ale polityczne rezonerstwo niszczy je jako całość. Typowym przykładem jest sąd Marii Danilewicz Zielińskiej stwierdzający, że historia miłosna w *Drodze donikąd* jest wzorcem wypróbowanym wcześniej przez setki powieściopisarzy, który Mackiewiczowi służy jedynie do tego, żeby uatrakcyjnić czytelnikom jego polityczną tezę¹. Już pierwsze, nadzwyczaj pozytywne omówienie *Drogi donikąd* w paryskiej „Kulturze” nadało ton, podejmowany później wciąż na nowo: chwalono zdolność Mackiewicza do szkicowania kilkoma kreskami charakterów zwykłych ludzi, do ujmowania w słowach krajobrazu swojej ojczyzny, zbywano natomiast jego tezy polityczne jako dziecinne — zupełnie tak, jak gdyby powieść rozpadała się na dwie części, które nie mają ze sobą nic wspólnego².

Ponieważ niektóre postaci z powieści Mackiewicza mówią dosłownie to, co autor pisał w swej publicystyce, więc wielu jego współczesnych nie dostrzegało tego, co wykraczało poza publicystykę. W *Drodze donikąd* występuje w wypowiedziach postaci wiele takich cytatów. Jednakże to nie one stanowią w książce jądro sporu powieściowego z komunizmem — jest to jedynie poddawana w wątpliwość środkami narracyjnymi warstwa wierzchnia; jedynie część niezależnego od powiązanej z wydarzeniami polemiki, dyskursu o władzy, tożsamości i wolności, który wpisany jest w strukturę powieści. Konstrukcja powieści, świadomie stosowane różne perspektywy narracji i kształtowanie przestrzeni są rzeczywistymi środkami, za pomocą których Mackiewicz prowadzi ten

¹ M. Danilewicz Zielińska, *Szkice o literaturze emigracyjnej*. Wrocław 1992 s. 262.

² W. A. Zbyszewski, *Nagroda Nobla*, *Kultura* 1955 nr 10 s. 148–154.

dyskurs. W tym eseju zamierzam ukazać to na przykładzie funkcji znaków przestrzeni kraj, miasto, wieś, droga i granica.

W przedmowie do *Drogi donikąd* Mackiewicz pisze, że książka jest raportem, w którym poza postaciami powieściowymi wszystko jest autentyczne: wydarzenia, nazwy miejscowości i kierunek każdej drogi (s. 6)³. Wbrew tej zapowiedzi, na pierwszych stronach powieści starannie unika precyzyjnych informacji o miejscu zdarzeń. Nie podaje ani nazwy miasta, w którym na Dworcu Głównym Karol i Paweł, główni bohaterowie powieści, czekają na pociąg podmiejski (s. 9 i nast.), ani przystanku, w pobliżu którego stoi w sosnowym lesie dom Pawła (s. 11). Nazwę kraju, w którym toczy się akcja, czytelnik musi odgadnąć z napisu „Mandżuria-Litwa” na pociągu przychodzącym z Moskwy (s. 10), ponieważ poza tym nazywany jest on — zarówno w rozmowach obu bohaterów powieści, jak i w opisach narratora — jedynie k r a j e m (s. 9, 10, 12, 14). To pozornie mało konkretne słowo, którego znaczenie podkreślają rzucające się w oczy powtórzenia i brak konkretnych określeń na początku powieści, jest w *Drodze donikąd* centralnym elementem literackiego kształtowania przestrzeni i wiodącym słowem w sporze z komunizmem i nacjonalizmem. Mackiewicz odnosi się przy tym bez wątplenia do i d e i k r a j o w e j i wykorzystuje znaczenie, jakie słowo to uzyskało dzięki k r a j o w c o m, ale w powieści dyskurs jest tak prowadzony, że staje się zrozumiały poprzez tekst, nawet bez znajomości tego tła.

Słowo k r a j używane w *Drodze donikąd* oznacza, z niewieloma wyjątkami, całą, rozciągającą się na około 130 km z północy na południe po obu stronach granicy — pomiędzy Białoruską i Litewską Republiką Radziecką — przestrzeń, w jakiej dzieje się akcja powieści.

Swoje specyficzne znaczenie słowo to uzyskuje w opozycji do różnych innych nazw własnych, jakimi poza tym określana jest ta przestrzeń: Litwa (s. 10, 114, 220), Litewska Republika Sowiecka (s. 114, 131, 226), Białoruś (s. 107, 148), Białoruska Republika Sowiecka (s. 114, 131, 223), Rzeczpospolita Polska (s. 15), Polska Wschodnia (s. 43, 107, 116). Wszystkie te nazwy można, w odróżnieniu od k r a j u, zlokalizować na mapie, ale żadna z nich nie obejmuje całego obszaru. Określają one różne polityczne i narodowe twory, pomiędzy którymi, zależnie od perspektywy i czasu, występują znaczne obszary geograficznie wspólne, które jednak nie mogą występować jednocześnie na tym samym terytorium. Nie dają one krainie uchwytnej tożsamości, co właśnie jest funkcją nazwy. Raczej odbierają jej tożsamość, ponieważ obierają sobie wzajemnie wartość przez to, że są wymienne. Nazwy te są jedynie łuskami słów, nazywającymi nie krainę, lecz wyłącznie aktualną władzę i panujący system. Jako określenia zdefiniowane etnicznie i światopoglądowo obejmują — w kraju zamieszkałym przez liczne ludy i wyznania (s. 15), także i na częściach obszarów, do których się odnoszą — zawsze jedynie wycinek społeczności całej krainy. Dlatego ich zastosowanie w *Drodze donikąd* ograniczone zostało do przedstawienia wrogiego krainie historycznego wydarzenia, które wpłynęło z zewnątrz na losy żyjących tam ludzi⁴. Neutralne słowo k r a j natomiast oznacza, właśnie z powodu swej nieokreśloności, krainę jako taką, bez względu na zmieniającą się władzę, ponieważ jest w stanie ująć jej różnorodność, a zatem jej całość. Obejmuje wszystkie mieszkające na tym obszarze ludy i może być użyte w tym samym stopniu w tak różnych kontekstach jak opisy krajobrazu i przyrody (np. s. 12, 116, 124), opis tradycji i zwyczajów (np. s. 14, 42, 69, 210), refleksje filozoficzne (s. 59, 189, 360) czy polityczno-

³ Przy cytatach i odwołaniach pochodzących z *Drogi donikąd* J. Mackiewicza (Londyn 1989) numery stron podano w nawiasach.

⁴ Wyjątek stanowi zdanie Tadeusza Zakrzewskiego, który mówi sobie: „Byłem agentem ubezpieczeniowym na wschodnich terenach Polski” (s. 116).

-historyczne informacje (np. s. 9, 14, 25, 43). Z wzajemnego uzupełniania się tych często przecinających się płaszczyzn znaczeniowych i ze zderzenia z jednowymiarowością różnych polityczno-geograficznych nazw własnych słowo *k r a j* uzyskuje znaczenie wielopoziomowe, które odpowiada znaczeniu słowa *p e j z a ż* w „patriotyzmie pejzażu” wymyślonym przez bohaterów powieści *Lewa wolna*:

Dopiero patriotyzm pejzażu [...] obejmuje całość, bo i powietrze, i lasy, i pola, i błota i człowieka jako część składową pejzażu. [...] czy włoski barok, czy bizantyjska kopuła, i minaret i synagoga, tak samo należą do pejzażu, jak jezioro, czy rzeka, czy rynek przy którym stoją. I czapki, które zdejmują ludzie wchodząc do świątyni, czy właśnie nie zdejmując⁵.

Słowo *k r a j* w *Drodze donikąd* reprezentuje wielokulturową i wielowyznaniową tradycję, która z powodu stanowiącego jej nieodłączną część pluralizmu, jest dla niego tożsama z wolnością.

Jednakże to, co w *Lewej wolnej* jest jedynie idealistycznym snem na jawie, w *Drodze donikąd* służy tylko jako pełne rezygnacji odbicie do opisu rozpadu wolnego społeczeństwa pod uciskiem komunistycznej władzy. Przeciwnieństwo pomiędzy znaczeniem zawartym w *k r a j u*, a coraz bardziej przytłaczającą rzeczywistością pod okupacją równającą wszystko władzy, powoduje narastanie wraz z rozwojem powieściowej akcji napięcia pomiędzy słowem a rzeczami, które ono opisuje.

Dalszym słowem przewodnim, które występuje bardzo często w mowie postaci i narratora, służąc kształtowaniu niosącej sens przestrzeni, jest zanotowane już w tytule słowo *d r o g a*. Mackiewicz wykorzystuje jego podwójne znaczenie: jako abstrakcyjnego określenia ludzkiego przemieszczania się i konkret w sensie ulicy lub drogi.

Na akcję składa się w większej części opis drogi, jaką przebył Paweł po obu stronach litewsko-białoruskiej granicy. Drogi są też podstawą wielu epizodów, skupiających się wokół głównej akcji — tak stolarz Antoni Rymaszewski wprowadzony zostaje poprzez opis drogi, jaką przebył uciekając z sowieckiego obozu (s. 43 i nast.). Tej motywowanej pragnieniem życia i wolności drodze przeciwstawiony jest na końcu bezsensowny i pełen zwątpienia marsz do niemiecko-sowieckiej granicy, zakończony zastrzeleniem Rymaszewskiego (s. 337 i nast.). Religijne przebudzenie „proroka” z Popiszek poprzedzające jego pierwszą wizję, ma miejsce na drodze (s. 279–281) i wywołuje taki skutek, że liczni ludzie z całego kraju udają się w drogę, aby zobaczyć zapowiedziany cud (s. 353). Rozpatrując częstotliwość opisu drogi można dostrzec, że nie występuje on prawie w scenach z funkcjonariuszami władzy sowieckiej. Tam, gdzie opisywana jest droga, jak we wprowadzeniu do historii porucznika NKWD Zajcewa, starannie unika się słowa *d r o g a*; a na dodatek nie chodzi tu o drogę własną Zajcewa, ale drogę jego ojca, który za władzy carskiej zesłany został na Syberię jako rewolucjonista (s. 75–77). Jeśli jednak mowa jest o drodze w kontekście przedstawicieli nowego systemu, to związane jest to z podważeniem czyjegoś zaufania (s. 44, 239), namawianiem do denuncjacji (s. 312) albo zakłóceniem spokojnego, harmonijnego nastroju (s. 278).

Funkcja *d r o g i* w dyskursie ideowym powieści określona jest otwarciem w jednym miejscu:

Droga jest czymś dla człowieka, bez czego życie jego byłoby wegetacją tylko. Rośliny wegetują, a nie żyją, bo nie mogą się ruszać, nie mogą wyjść na drogę i pójść nią. Natomiast człowiek bez dróg, po których chodzi, jest nie do pomyślenia. Wszystkie tęsknoty, bodźce, impulsy życia pchają go na drogi, a one biegną przed nim do złego i dobrego, rozchodzą się, schodzą i prowadzą, prowadzą. [...] Gdyby wmyśleć się w psychiczną ge-

⁵ J. Mackiewicz, *Lewa wolna*. Londyn 1965, s. 372.

nezę drogi, należałoby dojść do przekonania, że jest składową częścią, nierozzerwalnie skutą z pojęciem wolności ludzkiej. Ograniczenie mechaniczne wolności osobistej odbywa się przez ograniczenie dróg, po których obywatelowi wolno chodzić [...] (s. 189–190).

Jakkolwiek motywu drogi nie da się oddzielić od motywu wolności, to droga nie jest po prostu symbolem wolności. Jest ona zarówno czymś więcej i czymś mniej: czymś więcej, bo bez niej życie ludzkie jest w ogóle nie do pomyślenia, a mniej, bo jest ona jedynie „mechanicznym” warunkiem do właściwej wolności, który polega na tym, że komentuje się i przekazuje to, co usłyszało się i zobaczyło na drodze. Łączność pomiędzy swobodą poruszania się i wolnością w *Drodze donikąd* staje się jasna dzięki osobie Tadeusza Zakrzewskiego, który stale jest w drodze, a ze wszystkich postaci powieści jest tym, który przeciwstawia władzy sowieckiej największą samodzielność myślenia. Sam potwierdza tę zależność, gdy mówi, że celem jego podróży jest poznanie:

Włóczę się po całym kraju. Zarabiam, ale nie zarobek jest istotnym celem trybu życia, jaki wiodę. Obrabiając moje pole doświadczalne, chciałem się upewnić co do reakcji psychicznej różnych ludzi na działanie bolszewizmu (s. 178).

Dialektycznym biegunem dla drogi jest granica, ponieważ wstrzymuje ruch. Jej znaczenie jest w *Drodze donikąd* oczywiście ambiwalentne, ponieważ wyraża ona równocześnie dążenie do ograniczenia wolności i możliwość przewycięzania jej samej, to znaczy zdolność ludzi do przewycięzania granic i uzyskiwania w ten sposób większej wolności. I w tej sprawie Tadeusz Zakrzewski jest też świadkiem koronnym, ponieważ jest jedynym, który w tym samym stopniu porusza się swobodnie po obu stronach litewsko-białoruskiej granicy.

W akcji powieści tak droga, jak i kraj popadają w coraz większy kontrast pomiędzy symbolicznym znaczeniem, które powstaje najpierw w z kontekstu, a następnie nazwane jest *explicite*, a przedstawioną rzeczywistością. „[...] drogi prowadzą, prowadzą” napisane jest w zamieszczonym powyżej cytacie, ale im dalej posuwa się fabuła powieści, tym więcej dróg kończy się ślepych zaułkiem, prowadzi do nikąd („donikąd”). Ostatnia droga stolarza Rymaszewskiego nie ma już nic wspólnego z wolnością lub dążeniem do niej; zastrzelenie go na niemiecko-sowieckiej granicy jest jedynie cielesną śmiercią człowieka, który duchowo już umarł (s. 337). Również droga Pawła i jego żony Marty nie prowadzi w końcu dalej — ostatecznie zapędzeni zostają w swej ucieczce przez reżimowych naganiaczy na bagna i nie mogą swoim wozem ruszyć ani w przód ani w tył. Pozbawienie znaczenia drogi jako symbolu wolności następuje w ostatnich, kulminacyjnych słowach powieści, w dialogu pomiędzy chorą Martą a Pawłem: „Zimno mi. A dokąd ta droga? — Donikąd” (s. 384).

W *Drodze donikąd* występuje jedna geograficzna nazwa własna, która określa całą przestrzeń przedstawioną *implicite* za pomocą słów kraj i droga jako obraz przeciwstawny do komunistycznej rzeczywistości, a w całej powieści wymieniona jest dokładnie trzy razy: Wielkie Księstwo Litewskie. Nie jest to specjalnie zaskakujące, ponieważ w publicystycznych tekstach Mackiewicz państwo to, które upadło pod koniec XVIII wieku, jest historycznym uzasadnieniem dla jedności tego kraju Polaków, Litwinów i Białorusinów. Wartości ucieleśniane przez Wielkie Księstwo Litewskie i kraj są synonimami, ale zasięg obu słów w różnych warstwach tekstu różni się mocno między sobą. Słowo kraj używane jest w mowie postaci i w opisie codziennych sytuacji nie wywołując wrażenia nienaturalności i tworząc łącznik między światem, w którym żyją bohaterowie powieści, wydarzeniami historycznymi i dyskursem ideowym. Możliwości użycia określenia „Wielkie Księstwo Litewskie” są natomiast o wiele bardziej ograniczone, niż w przypadku innych tworców politycznych na tym terytorium, ponieważ jest to, w odróżnieniu od nich, historia z odległej przeszłości, tak że jej wspomnienie nie może

być usprawiedliwione koniecznością akcji. W świecie przedstawionym słowo to jest anachronicznym ciałem obcym, a więc rozpoznawalnym jako słowo ideologiczne, w rozumieniu Bachtinowskim⁶. Ponieważ, w przeciwieństwie do znaczącego w gruncie rzeczy to samo k r a j u, nie ma wymiaru życiowego, więc jego użycie wskazuje wyraźnie na prowadzony w powieści *implicite* dyskurs ideowy. Stwierdzone już w przypadku k r a j u dialogowe napięcie pomiędzy opisywanym i opisującym ujawnia się z powodu tej cechy jeszcze wyraźniej w przypadku „Wielkiego Księstwa Litewskiego”, co nadaje szczególnej wagi tym miejscom w tekście, w których się pojawia.

Po raz pierwszy „Wielkie Księstwo Litewskie” wspomniane jest na początku *Drogi donikąd* (s. 14 i nast.) w opisie położonej na południe od Wilna Puszczy Rudnickiej, na którym kończy się dziwny niedostatek geograficznych konkretów. Przestrzeń akcji zostaje po raz pierwszy wyraźnie nazwana i wyczerpująco scharakteryzowana; równocześnie pobrzmiewają — jak w uwerturze operowej muzyczne tematy — wszystkie ważne motywy ideowego dyskursu w powieści:

Były to ziemie nie tylko litewskie, białoruskie i polskie jednocześnie, zjednoczone w przeszłości i pokłócone współcześnie; zamieszkali je też Żydzi i Rosjanie; na tych ziemiach zwycięscy w wojnach tatarskich wielcy książęta osadzali przed wiekami jeńców dając im grunty i przywileje. Dlatego wśród sosen północnych zdarzało się spotykać jeszcze minarety z półksiężycem; tu, w stołecznych ongiś Trokach na potrójnym jeziorze, zasiedli krymscy Karaimi, wyznający Pięcioksiąg Mojżeszowy, ale odrzucający Talmud; kościoły katolickie budowano przeważnie w stylu włoskiego baroku, rzadziej w gotyku; cerkwie prawosławne w niezmiennie kopulastobizantyjskim stylu; z czasów Reformacji zostało trochę wyznawców Kalwina, mniej Lutra; w bardziej zaś odległych od miasta stronach, wśród lasów i bagien, ludzie szukający prawdy poddawali się wpływowi różnorodnych sekt; w ten sposób pokłócone ze sobą Cerkiew i Kościół zgodnie zwalczały badaczy Pisma Świętego, baptystów, zielonoświątkowców, sztundystów i wiele innych herezji... Ale opisywać szczegółowo ludzi tego kraju byłoby równie długo, co wymieniać wszystkie jego rośliny, zwierzęta albo rzeki i jeziora, które z dużej wysokości dostępnej dziś samolotom wydają się być podobnie kałużom, ostałym po wielkim deszczu; tu dodać może by jeszcze wypadało, że niebo nad krajem jest przeważnie chmurne (s. 15).

Opis etnicznej i religijnej różnorodności krainy zawiera powtarzane twierdzenie, że poszczególne grupy narodowe i religijne są ze sobą skłócone. A mimo to przedstawiono tę mozaikę języków i wyznań jako dorównującą przyrodzie część krajobrazu, przez połączenie większości wymienionych religijnych wyznań z typowymi dla tych terenów wrażeniami wizualnymi. O kościele katolickim i prawosławnym mowa jest jedynie w związku z dominującą w obrazie miast architekturą ich świątyń; pośród „północnych sosen” stoją minarety, Karaimi mieszkają nad trójramiennym jeziorem Trockim, a ojczyzna sekt leży „między lasami i bagnami”. Poprzez porównanie ludności „tego kraju” z różnorodną i urozmaiconą przyrodą podkreślona jest owa symbioza. Ale wybrany obraz sygnalizuje równocześnie jej zagrożenie: w krainie, gdzie niebo jest najczęściej zasłane chmurami, piękny widok jezior, wyglądających z dużej wysokości jak kałuże po deszczu, zasłonięty jest najczęściej szarą zasłoną. Co by to miało znaczyć, sugeruje następujące bezpośrednio potem stwierdzenie, że wraz z wejściem Armii Czerwonej po umowie Hitlera ze Stalinem o podziale Europy Wschodniej w roku 1939, zaczął się czas, w którym miało się okazać, jak zmieniają się ludzie i kraj pod rządami bolszewików.

Ta sugestia potwierdzona jest, gdy po raz drugi wspomniane jest Wielkie Księstwo Litewskie, w kontekście przygotowań władz okupacyjnych do potężnego uderzenia, które ma zniszczyć struktury społeczne kraju: w jedynej scenie umiejscowionej poza granicami byłe-

⁶ M. M. Bachtin, *Das Wort im Roman*, [w:] tegoż, *Die Ästhetik des Wortes*, hrsg. von R. Grüber. Frankfurt am Main 1979 s.170–176.

go Wielkiego Księstwa czytelnik jest świadkiem dyktowania przez podpułkownika Rudakowa w moskiewskiej centrali NKGB sekretarce super tajnego rozkazu „O sposobie przeprowadzenia operacji wysiedlenia elementu antysowieckiego z Litwy, Łotwy i Estonii”. Na jego mocy przeprowadzono deportację 14 czerwca 1941 r. (s. 229–233). Rozdział ten włączony jest w przestrzeń właściwej akcji powieści, poprzez zakreślenie drogi słońca od Moskwy na zachód, gdzie wymienia się oświetlane po kolei miasta:

Wprowadzenie czasu moskiewskiego w kraju było niewątpliwie dużą anomalią. Dotychczasowa różnica dwóch godzin wynikała nie z różnic politycznych, a zwyczaju i zachowania się słońca. [...] gdy przychodzi do Moskwy, robiąc tam rano, ma jeszcze długą drogę przed sobą zanim osiągnie zachodnich połaci b. Wielkiego Księstwa Litewskiego. Jest to droga wytknięta przez klęskę Napoleona, ale słońce robiło ją codziennie w czasach o tyle wcześniejszych, że nikt nie może twierdzić, jakoby kiedykolwiek mogło być inaczej. Borodino, Możajsk, Wiaźma, Smoleńsk, w poprzek Berezyny, Mińsk, a stąd Czarnym Traktem, wysadzonym podwójnym szpalerem wielkich brzóz. Gdy w Moskwie [...] pracowano już przy pełnym świetle dziennym, w dalekim kraju, świeżo wyzwolonym spod jarzma kapitalistycznego, ledwo zaczynało świtać (s. 229).

Umieszczona na początku uwaga o wprowadzeniu w kraju czasu moskiewskiego wskazuje na zaburzenie naturalnych warunków życia, poprzez interwencję polityczną, której sprzeczność z naturą podkreślona została przez dwukrotne wskazanie na to, że dotychczasowa różnica czasu wynikała jedynie z leżącego poza wszelkim ludzkim zasięgiem „zwyczajem” słońca. W ten sposób ukazany jest sprzeczny z naturą charakter całego systemu, którego celem jest całkowite zrównanie wszystkich ludzi i krajów. Staje on tym samym w opozycji do *p a t r i o t y z m u p e j z a z u*, którego rdzeniem jest docenianie i obrona ludzkiej indywidualności, traktowanej jako naturalna. Opozycja między naturą a systemem nie jest opozycją pomiędzy Moskwą a Wielkim Księstwem Litewskim, jako wartościującymi geograficznymi nazwami własnymi, ponieważ narysowana za pomocą nazw miejscowości na ziemi droga słońca, która nie zna granic, łączy je ze sobą. Równocześnie poprzez dwukrotne użycie kluczowego słowa *d r o g a* w połączeniu ze słońcem podkreślona została trwająca ponad wydarzeniami historycznymi naturalność dróg, które łączą nawet odległe od siebie obszary.

Okazją do trzeciego wspomnienia Wielkiego Księstwa Litewskiego — trzydzieści stron przed końcem powieści — są masy ludzi płynące z wszystkich stron kraju do Popiszek w nadziei na cud. W tych miejscach tekstu pojawiają się połączone wszystkie ważne motywy kształtujące przestrzeń, omówione do tej pory — *k r a j, d r o g a i g r a n i c a*:

O! rozległe były kiedyś ziemie Wielkiego Księstwa Litewskiego, od Bałtyku po Morze Czarne, a któż zna dzisiaj jego granice?!... Ludzie przelazili sztuczne szlabany, mimo wszystkie zakazy poruszania się [...]. Jakoś objeżdżali bocznymi drózkami, brodem przez rzekę, lasem, rojstem, pastwiskami. W gruncie rzeczy nie było tego dużo. Sporo odstało po drodze, trochę zawrócono z drogi, niektórzy wsiąkali do lokalnych więzień. [...] cieniem, raczej skąpym nurtem, ale z całego szerokiego kraju, ciekły sznurki furmanek, a obok ścieżką wydeptaną szli pojedynczy ludzie piechotą (s. 353).

Ponieważ obszar na jakim rozciągało się Wielkie Księstwo Litewskie nazwany został po raz pierwszy, więc w grę wchodzi tu dwa rodzaje granic: jego granice zewnętrzne i granice przecinające jego terytorium współcześnie. I znów przeciwstawiono sobie przyrodę i ludzki porządek, bo Wielkie Księstwo Litewskie opierało się o morza, a więc granice naturalne, a szlabany, jakie muszą pokonywać ludzie w drodze do Popiszek, określone są jako „sztuczne”. Obchodzenie tych sztucznie ustawionych przeszkód wymaga od pielgrzymów bliskiego kontaktu z przyrodą kraju. Lasy i bagna, będące właściwie naturalnymi przeszkodami, umożliwiają dalszy marsz, pomimo nałożonych przez ludzi zaka-

zów. Los tych, którzy nie dotarli do celu, bo sami zrezygnowali („odstało po drodze”) lub zmuszeni zostali do zawrócenia („zawrócono z drogi”), wyrażany jest zwrotem frazeologicznym ze słowem *d r o g a*.

Doprowadza to do typowego dla ostatniej części *Drogi donikąd* napięcia pomiędzy rozbudowanym w powieści znaczeniem słowa przewodniego i tym, co jest nim określane.

Jednakże nie jest to już ta sama co wcześniej jedność kraju, która ludzi wręcz popychała do pokonywania sztucznie ustalonych granic. Retoryczne pytanie na początku: któż zna jeszcze dziś granice Wielkiego Księstwa? sygnalizuje, że świadomość jedności została już pogrzebana. Impulsem do przechodzenia wszystkich granic, łamania wszystkich zakazów jest magiczne słowo, silniejsze od wszystkich materialnych sił:

[...] słowo: cud! Zapowiada ono wytłumaczenie wszystkiego, co jest na ziemi i niebie; potwierdza wiarę, rozprasza wątpliwości, tłumaczy przeszłość, wyjaśnia przyszłość. W zasadzie każda siła materialna traci wobec cudu swe znaczenie jak licha bariera kopnięta nogą przechodnia (s. 352).

Potrzeba jednoznacznego objaśnienia przeszłości i rozjaśnienia przyszłości jest reakcją na sytuację, której nie da się zrozumieć w kategoriach życia codziennego. Wywołane przez irracjonalną nadzieję na cud sprzeciwianie się władzom okupacyjnym nie jest zatem oporem, dowodem na siłę życiową kraju, lecz oznaką jego słabości. Wielkie Księstwo Litewskie wymienione po raz pierwszy na początku powieści, przedstawione jest jako podmiot: jest samodzielną całością, której mieszkańcy nie są zgodni, ale ich konflikty — jakkolwiek je osądzać — są ich sporami własnymi, wewnętrznymi (s. 14 i nast.). Przywołane po raz drugi Wielkie Księstwo Litewskie jest jednoznacznie przedmiotem decyzji podejmowanej poza nim (s. 229). Przywołanie trzecie i ostatnie ukazuje je jako podmiot i przedmiot jednocześnie. Jego mieszkańcy sprzeciwiają się zarządzeniom władz okupacyjnych i pokonują ustanowione przez nie granice, ale jednak w swej nadziei na cud przyzwalają na zepchnięcie ich do roli przedmiotowej. Postrzegają się jako przedmiot siły przychodzącej z zewnątrz — tyle że chętnie zamieniliby tę ziemską, na inną, nieziemską.

Poprzez analogię formalną w przedstawianiu przestrzeni nadzieja na cud porównywana jest do spożywania alkoholu bez umiaru, co nastąpiło po zajęciu kraju przez bolszewików. Całonocna pijatyka podczas drugiej podróży Pawła i Tadeusza Zakrzewskich jest dla narratora okazją do opowieści, jak pomimo braku wszelkich materiałów potrzebnych do produkcji wódki, samogon zalewa cały kraj. Entuzjastyczne niemal okrzyki wyliczają najpierw surowce na wódkę, a potem te miejsca, gdzie jest pędzona. Zaczynając od nazw nieznanymi wsi i małych miasteczek, poprzez nazwy rzek, przywołany jest cały kraj:

[...] po lewym i prawym brzegu Wilii, od starej do nowej granicy, aż het, za Niemen, za Prypeć [...]. Od ujścia Dźwiny w Zatokę Ryską, po brzegi Czarnego Morza, po całe Białorusi, Litwie, Ukrainie; Wołyniu płynął samogon (s. 143).

Rytmiczne wyliczanki tego rodzaju były w XIX stuleciu rozpowszechnionym wzorcem literackim wśród epigonów romantyzmu dla patriotycznego uwielbiania kresów⁷.

U Mackiewicza wyliczanka ta staje się, w groteskowej sprzeczności między jej podniosłym tonem i jej treścią, persyflażem tego wzorca, a równocześnie podkreśleniem z całą powagą sięgającego poza aktualne granice wspólnego losu. W podobnym tonie, ale jednak bez ironicznych pobrzmiwań i bez geograficznych nazw, opowiada się o rozprzestrzenianiu się od wsi do wsi po całym kraju wieści o rzekomym cudownym uzdro-

⁷ Np.: W. Pol, *Pieśń o ziemi naszej*, [w:] tegoż, *Wybór poezji*, wybór i wstęp M. Janion. Wrocław 1963 s. 169 wersy 57–63, s. 177 wersy 215–220, s. 183 wersy 350–355.

wieniu przez „proroka” z Popiszek, jak się o tym mówi przed katolickimi kościołami, prawosławnymi cerkwiemi i przed synagogami:

...Ze wsi do wsi. Do coraz dalszych. Do kolonii, do zaścianków; do miasteczek, dalej i dalej (s. 286).

Picie bez opamiętania i gotowość wiary w cuda są wprawdzie zrozumiałe jako reakcje na nową sytuację pod sowieckim panowaniem, ale czynią ludzi jeszcze bardziej bezbronnymi, niż dotąd i tak byli. Potwierdza to łatwość z jaką tłum — gdy cud się nie zdarzył — daje się rozproszyć oddziałom NKGB czekającym z interwencją, aż minie godzina zapowiedzianego cudu. Pojedynczo rozbrzmiewające okrzyki, że przecież nie należy się kierować, jak NKGB, czasem moskiewskim, lecz starym czasem lokalnym, giną w hałasie rozchodzącego się zawiedzionego tłumu (s. 370). Ludzie są już jedynie w tak niewielkim stopniu świadomi tożsamości swojego kraju, że większości z nich w ogóle nie przychodzi na myśl, że może chodzić o inny czas, niż obowiązujący oficjalnie, choć wprowadzono go dopiero przed rokiem.

Należy przypomnieć, że motyw przesunięcia czasu wprowadzony został przy okazji drugiego przywołania Wielkiego Księstwa Litewskiego.

W fakcie, że kraj i Wielkie Księstwo Litewskie są stałymi punktami odniesienia w dyskursie ideowym prowadzonym ponad znakami przestrzeni, zawarta jest polemika z pojęciem, które nie występuje w całej powieści: *K r e s y*. Pojęcie to odrzucałoby zdecydowanie przez Krajowców, ponieważ oznaczałoby ono, że obszar Wielkiego Księstwa Litewskiego był jedynie dodatkiem, „aneksem regionalnym, przyczepionym do ośrodka (metropolii) którejs z ziem sąsiednich, ukonstytuowanych w osobowość polityczną”⁸. Krajowcy przeciwstawiali temu samodzielność swego kraju, „dośrodkową koncepcję Litwy”⁹. Mackiewicz w swej publicystyce używał także podobnych sformułowań¹⁰. Z tego jasno wynika, dlaczego Mackiewicz unika tego pojęcia w *Drodze donikąd*¹¹. Tu chcemy jedynie zbadać, jaki wpływ postawa ta miała na kształtowanie przestrzeni.

Liczne realia geograficzne, jak dane dotyczące odległości, nazwy miejscowości, gruntów i rzek pozwalają czytelnikowi wyrobić sobie dokładny obraz przestrzeni, w jakiej dzieje się akcja powieści. Dlatego dziwne jest, że dwa najważniejsze miejsca akcji — miasto Wilno i miejsce gdzie mieszka Paweł, Czarny Bór — nie są nazwane po imieniu, ale określane jedynie jako *m i a s t o* i *w i e ś*¹². Podobnie jak rzucające się w oczy unikanie nazw geograficznych na pierwszych stronach powieści pozostaje to w pozornej sprzeczności do przedmowy i zwraca w ten sposób uwagę czytelnika na oba słowa oraz kluczowe słowo *k r a j*. Jednak obietnica autentyczności wszystkich miejsc została dotrzymana. Pomimo ich bezmienności, także w przypadku miasta i wsi, identyfikacja jest prosta.

Co do tego, że w przypadku miasta chodzi o Wilno, nie ma żadnych wątpliwości nie tylko dlatego, że jest to jedyne większe miasto w okolicy, ale dlatego, że wiele z ulic

⁸ M. Romer, *Nie ma Ludwika Abramowicza*, Gazeta Codzienna (Wilno) 1940 nr 45, cyt. za: [W. Bolecki] J. Malewski, *Wyrok na Józefa Mackiewicza*. Londyn 1991 s. 36.

⁹ Tamże.

¹⁰ J. Mackiewicz, *Ostatnie dni Wielkiego Księstwa*, Kultura 1960 nr 4/5 s. 118.

¹¹ W książce *Nie trzeba głośno mówić* pojęcie *k r e s y* występuje wielokrotnie, ale jedynie w historycznym źródle (s. 470) lub w wypowiedziach postaci powieściowych przebywających w Warszawie i nie znających z własnego doświadczenia sytuacji na terenach wschodnich II Rzeczypospolitej (s. 504, 520, 525, 549). Podane numery stron odnoszą się do wydania powieści, które ukazało się w 1993 r. w Londynie (*Dziela*, t. 8).

¹² Nazwa Wilno pada raz, gdy skutki sowieckiego systemu gospodarczego objaśniane są na przykładzie cen cukru w różnych miastach (s. 114).

i placów nie nazwanych po imieniu w powieści można, jeśli się zna Wilno, rozpoznać nawet i dziś. I tak — aby podać przykład — widok, jaki rozciąga się z okna pralni Tadeusza Zakrzewskiego (s. 181) musi nasuwać wniosek, że znajduje się ona w dzielnicy Zarzecze (dziś Uzupis) w górnej części ulicy Zarzeczej (dziś Uzupio gatve) lub na początku bezpośredniego jej przedłużenia, ulicy Połockiej (dziś Polocko gatve). Lokalizacja ta potwierdzona zostaje pośrednio w *Nie trzeba głośno mówić* we wspomnieniach jednej z głównych postaci, Henryka, gdy pada nazwa kościoła (Kościół Misjonarski), który można zobaczyć z okna pralni¹³. Również wieś, w której mieszka Paweł można zidentyfikować spośród wielu wsi otaczających Wilno bez wielkiego trudu. Na mapie znajduje się jedynie jedna miejscowość leżąca na skierowanym ku miastu skraju Puszczy Rudnickiej (s. 14), w pobliżu drogi do Białej Waki (s. 99) i przy torach kolejowych (s. 10): Czarny Bór (dziś Juodsiliai), gdzie Mackiewicz mieszkał od połowy lat 30. I to też potwierdza się pośrednio w *Nie trzeba głośno mówić*, w osobie politruka Raczenko, o którym jest mowa, że był politrukiem gminy Rudomina, do której należał Czarny Bór¹⁴.

Autor nie podejmuje żadnych starań, aby ukryć tożsamość bezimiennych miejsc i podaje w tekście liczne niezaszyfrowane wskazówki do ich określenia. Tak więc przemilczanie nazw nie może służyć tworzeniu fikcyjnych wysp w autentycznej przestrzeni — ich bezimiennność pełni inną funkcję: daje ona tym miejscowościom, w odróżnieniu od wielu nazwanych miejscowości — jak to ma miejsce i w przypadku k r a j u, wyróżniającą pozycję w przedstawianej przestrzeni, która uzależniona jest nie tylko od ich częstego występowania w fabule. Zastanawiającym jest, że nienazwane, albo rzadko nazywane są trzy różnej wielkości rodzaje ludzkich wspólnot: kraj, miasto, wieś. Dlatego nasuwa się podejrzenie, że bezimiennność miasta i wsi związana jest z bezimiennością kraju. W odniesieniu do miasta daje się to łatwo wyjaśnić — ponieważ przez m i a s t o rozumiane może być tylko miasto będące bezsprzecznie gospodarczym i kulturalnym centrum kraju — nie trzeba go nazywać. Jako że kraj zorientowany jest na leżące pośrodku centrum, to oznacza to, że jest samodzielnym tworem, a nie spogląda jako część większej całości na jej centrum. Bezimiennność miasta jest wkładem w polemikę Mackiewicza z takim widzeniem pojęcia K r e s y, według którego obszary byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego są nierozzerwalną częścią Polski i swoje centrum mają tam, gdzie jest centrum całej Polski: w Warszawie.

Właściwym celem tej konstrukcji nie jest jednak powierzchowna, aktualna polemika (nawet jeśli przykład ten wskazuje, że Mackiewicz był w niej dalece subtelniejszy, niż mu się to często przypisuje). Komunikacja bez nazywania miast i kraju możliwa jest jedynie z perspektywy mieszkańców kraju: dla nich jest samo przez się zrozumiałe, o czym mowa, podczas gdy opis z perspektywy zewnętrznej nie może zrezygnować z nazw¹⁵. *Droga donikąd* opowiedziana jest w dużej części z perspektywy Pawła — mieszkańca k r a j u, udającego się do miasta dla załatwienia swoich spraw. Centrum jego życia jest jednak — tak jak miasto stanowi centrum kraju — wieś, w której mieszka. Jest jeszcze cały szereg dalszych postaci powieściowych, których perspektywa dominuje gdzieś w toku opowiadania fabuły. A wszyscy oni są, jak Paweł, mieszkańcami Czarnego Boru. Z punktu widzenia ich wszystkich znaczenie w s i jest tak samo jednoznaczne jak m i a s t a i k r a j u. Tak więc opuszczenie nazwy jest konsekwentną kontynuacją opisanego właśnie sposobu opowiadania. Przemilczenia nazwy miejscowej Czarny Bór nie da

¹³ J. Mackiewicz, *Nie trzeba głośno mówić*, s. 279.

¹⁴ Tamże.

¹⁵ Dowód jest bardzo prosty, można go przeprowadzić w potocznej niemczyźnie. Mieszkańcy przedmieść Frankfurtu, Stuttgartu lub innego dowolnego miasta nie mówią przy okazji codziennych zakupów: „Jadę do Frankfurtu, Stuttgartu itd.”, lecz „Jadę do miasta”.

się jednak wyjaśnić sporem z polską tradycją, ponieważ literackie ujęcie *idei krajowej* straciłoby przez jego nazwanie niewiele. Dopiero to powoduje jednak skoncentrowanie perspektywy narracji na wsi, przez co spór ten uzyskuje uniwersalne znaczenie, wychodzące poza polskie stosunki w owym czasie. *Kraj i miasto* pozostają z powodu ich wielkości jednostkami abstrakcyjnymi, które, jak każda ojczyzna, mogą stać się przedmiotem idealizacji, a nawet sakralizacji. Gdyby one same miały decydować o perspektywie narracji, to *Droga donikąd* narażona by była na niebezpieczeństwo stania się jedynie wyrazem patriotyzmu Wielkiego Księstwa Litewskiego, który mógłby być przeciwstawiony innemu patriotyzmowi, na przykład polskiemu czy litewskiemu. Niebezpieczeństwo to zostaje zażegnane, gdy politycznie nic nie znacząca wioska, która nie może być przedmiotem patriotycznej ideologii, staje się ideowym centrum powieści. Kluczowa pozycja kraju w powieści unaocznia, że Mackiewiczowi nie chodzi jedynie o los jego bohatera Pawła, ale o to, jak wpływa sowiecka okupacja na życie całego kraju. Koncentracja na przejrzystej wspólnocie wiejskiej pozwala autorowi połączyć przedstawienie losu indywidualnego z losem grupowym, nie rezygnując ze swej zasady priorytetu jednostki.

Dzięki zrezygnowaniu z podania nazwy wioski i miasta i podkreśleniu neutralnego słowa *kraj* uzyskana zostaje uniwersalność obrazu. Czarny Bór, Wilno i Litwa są tylko przykładem. Oczywiście Mackiewiczowi chodzi o ten przykład, bo to jego ojczyzna, ale równocześnie chce pokazać mechanizmy sowieckiej władzy i propagandy. W *Drodze donikąd* próbuje odpowiedzieć na pytanie, jak zmienia się społeczeństwo wolnego kraju, który dostaje się pod panowanie ustabilizowanego systemu komunistycznego. Sygnalizuje to już na początku powieści:

[...] i był to początek tego nowego okresu, o którym nikt na świecie nie wiedział przedtem, w co się wyrodzi kraj i ludzie, gdy zostaną opanowani przez współczesny bolszewizm (s. 15).

Mackiewicz traktował sowiecką okupację wschodniej Polski i państw bałtyckich, która była pierwszą tego rodzaju konfrontacją, jak wzór, który obowiązywałby w przypadku przejęcia władzy przez komunistów w Europie Zachodniej, ponieważ nie wierzył w zasadnicze różnice między Europą Wschodnią a Zachodnią. Anglicy, Francuzi i Niemcy, jak przypuszczał, nie zachowaliby się pod komunistycznym panowaniem inaczej niż Rosjanie, Białorusini, Litwini i Polacy. Myśl tę wypowiada Tadeusz Zakrzewski podczas pierwszej wspólnej podróży z Pawłem (s. 117 i nast.). Publicystycznie przetworzył ją Mackiewicz później w *Zwycięstwie prowokacji*. Występowanie obok siebie nazwanych i nienazwanych miejsc w *Drodze donikąd* spełnia dla tej myśli ważną funkcję.

Dokładność topografii, którą sprawdzić można za pomocą miejsc nazwanych również i dla nienazwanych, poręcza prawdziwość przedstawionych wydarzeń¹⁶, podczas gdy brak pewnych nazw miejscowych wskazuje na to, że nie chodzi o historię wsi Czarny Bór koło Wilna, która byłaby interesująca jedynie lokalnie, ale o opis zmian, które przeżywa wolne niegdyś społeczeństwo pod komunistyczną władzą.

Za pomocą odniesionych do siebie nawzajem znaków przestrzeni *kraj, miasto, wieś, droga i granica* prowadzona jest w *Drodze donikąd* dyskusja o wolności i tożsamości, nacjonalizmie i komunizmie. Z kontekstu słowa te uzyskują, w przeciwieństwie do innych słów, znaczenie specyficzne dla tej powieści, dzięki któremu w tekście implikowany jest pozytywny obraz, przeciwny do przedstawianej rzeczywistości. Te słowa fundamentalne dla ideowego dyskursu używane są często, zwłaszcza pod koniec powieści, dla opisu spraw, które przeczą swym zbudowanym uprzednio w dialogach znaczeniom, podczas gdy ich właściwe miejsce pozostaje puste, lub wypełnione zostaje słowami o znaczeniu przeciwnym. Szczególnie łatwo można to pokazać za pomocą prze-

¹⁶ Por. też: J. Mackiewicz, *Literatura contra faktologia*, Kultura 1973 nr 7/8 s.182–183.

ciwstawienia drogi i bezdroża, które widoczne jest już w tytule powieści. W *Zwycięstwie prowokacji* opisuje Mackiewicz jako najbardziej charakterystyczny fenomen komunizmu to, że odbiera on słowom ich pierwotne znaczenie: „Czasem chodzi tylko o zamącenie znaczenia słowa, czasem o nadanie mu wręcz odwrotnego sensu”¹⁷. Chodzi tu nie o wyłączone przekonanie Mackiewicza — opis tego fenomenu jest stale powracającym motywem w literaturze i publicystyce o komunizmie i totalitaryzmie, od Orwella do Siniawskiego. W *Drodze donikąd* Mackiewicz posuwa się o krok dalej: ukazuje, jak w systemie totalitarnym wraz ze słowami przekręcane są również rzeczy.

Z niemieckiego tłumaczył: Wojciech Szreniawski

¹⁷ J. Mackiewicz, *Zwycięstwo prowokacji*. Monachium 1962 s. 51.

SPOTKANIE Z NIEPOJĘTYM (KILKA UWAG O *DRODZE DONIKĄD*)

Aleksander FIUT (Kraków)

Dla Wacława A. Zbyszewskiego *Droga donikąd* była swego rodzaju epitafium dla Wielkiego Księstwa Litewskiego, które kona w powieści „w nędzy, oparach samogonu, w upadającym strachu i nieopisanym brudzie”. Stanowiła osobliwy stop niewątpliwego artyzmu z „grafomanią małomiasteczkowego politykiera, uważającego się za Talleyranda”¹. Czesław Miłosz twierdził z kolei, że powieść Józefa Mackiewicza „tylko na powierzchni jest powieścią polityczną”, celem autora jest „niszczenie argumentów do oporu”, zaś istota książki daje się sprowadzić do pytania:

Jeżeli nikt tego nie chce, dlaczego to jest? Inaczej mówiąc, człowiek wobec Bestii Społecznej. Ta Bestia była zawsze, nigdy jednak dotychczas nie wystąpiła z pretensją absolutną, nigdy nie ogłaszała: oprócz mnie nic nie ma. Przeciwno niej buntuje się człowiek nie wspomagany niczym, bo wszystko zostało mu odjęte².

Czym *Droga donikąd* jest dzisiaj, kiedy nie dostarcza już okazji do ideologicznych polemik, kiedy wypaliły się polityczne spory, które prowokowała po swoim wydaniu? Czytana na nowo po pięćdziesięciu z górą latami, po zburzeniu Muru Berlińskiego i rozsypaniu się sowieckiego imperium? Dokumentem historycznym? Bez wątpienia, taki walor ten utwór nadal zachowuje. Do tego wszakże jego wyjątkowe znaczenie się nie ogranicza. Można go bowiem, jak sędzę, odczytać także jako skłaniający do namysłu — który znacznie wykracza poza przedstawione historyczne i topograficzne realia — opis procesu sowietyzacji przyjmującego postać zderzenia się ze sobą dwóch, całkowicie sobie przeciwstawnych form cywilizacyjnych. Celnego uchwycenia tej sfery doświadczeń społecznych, w której, co polityczne, przenika się niepostrzeżenie z pozapolitycznym, co oficjalne, styka się z prywatnym, narzucone, wprowadzone siłą czy podstępem, wchodzi w nieraz dwuznaczne związki z dziedzictwem, przez wieki całe uznawanym za życiodajne źródło kulturowej i narodowej samoidentyfikacji.

¹ W. A. Zbyszewski, *Nagroda Nobla*, Kultura 1955 nr 10 s. 148–158.

² Cz. Miłosz, *Proszę uszanować Wilnianina*, Kultura 1955 nr 12 s. 130–133.

Mackiewicz był całkowicie świadom, że ma do czynienia ze zjawiskiem bez precedensu. Pisze przecież:

Gdy Hitler ze Stalinem podzielili wschodnią Europę, Sowiety wkroczyły doń czerwoną armią w latach 1939–40, i był to początek tego nowego okresu, o którym nikt na świecie nie wiedział przedtem, w co się wyrodzi kraj i ludzie gdy zostaną opanowani przez współczesny bolszewizm (DN 15)³.

Używa określenia „w co się wyrodzi”, nie tylko dlatego, żeby od razu dać wyraz negatywnej ocenie systemu, który, co charakterystyczne, zostaje postrzegany jako zło przychodzące jak gdyby spoza Europy. Równie ważne i to, że uznaje ową formę życia ekonomiczno-polityczno-społecznego za groźną anomalię, chorobliwe wynaturzenie. Toteż zachowuje się niczym klinicysta, który ma po raz pierwszy do czynienia z nową, nieznaną mu chorobą zakaźną, i skrupulatnie badając symptomy, usiłuje dociec jej przyczyn i skutków. Albo, mówiąc inaczej, przyjmuje po trosze postawę badacza obserwującego skutki eksperymentu. Stąd tak ważne jest dla niego wydzielenie oraz izolacja obszaru badań od warunków zewnętrznych, bliższe określenie czasu trwania tego eksperymentu, wielorakość prób, precyzja narzędzi oraz chłodny obiektywizm.

Świadomości zasadniczej, radykalnej odmienności opisywanego fenomenu towarzyszy u Mackiewicza dotkliwie i nieusuwalne poczucie niewystarczalności dostępnych metod opisu, rozmiłowania się systemu gotowych i wypracowanych pojęć z przedmiotem, który zdaje się należeć do dziedziny patologii bądź jest niemal domeną przyrody. Tej trudności dają też wyraz, przynajmniej niektórzy, bohaterowie. Na przykład Tadeusz Zakrzewski waha się, czy termin „zaraza” dobrze oddaje „psychiczny paraliż”, jakiemu ulegli pod wpływem strachu mieszkańcy Litwy i Białorusi. Próbuje także porównać owo porażenie do „hipnotycznego działania kobry” (DN 118). Gdzie indziej tenże bohater wyraża potrzebę znalezienia „ogólnoludzkiej odtrutki, antyrecepty na ogólnoludzką receptę sowiecką” (DN 178). Fenomen sowietyzacji pozostaje bowiem czymś niepojętym, zatem nie dającym się ogarnąć rozumem, wymykającym się regułom logicznego myślenia, a zarazem — rażąco obcym, dziwnym, jak nieznaną dotychczas biologiczna postać życia, która swoich zasad nie pozwala do końca przeniknąć.

Wyjątkowa umiejętność wnikliwej obserwacji oraz celnego, drobiazgowego zapisu rozmaitych form bytu zbiorowego, panoramiczność ujęcia, które obejmuje przemiany zachodzące nie tylko na Litwie, ale i na Białorusi, wreszcie wielorakość przekrojów społecznych — wszystko to sprawia, że powieść Mackiewicza dostarcza bogatego materiału, który weryfikuje lub ilustruje późniejsze rozpoznania teoretyków totalitaryzmu. Jest tak, co więcej — wbrew późniejszym staraniom pisarza, by z całą ostrością oddzielać komunizm od faszystów, uznając ten pierwszy za zło nieporównywalnie większe. Wystarczy przypomnieć, co pisała Hannah Arendt:

Terror staje się totalny wtedy, kiedy staje się niezależny od jakiegokolwiek opozycji, sprawuje absolutne rządy, gdyż nikt nie stoi mu na drodze. Jeśli istotą władzy nie mającej charakteru tyranii są rządy prawa, a bezprawie jest istotą tyranii, to w takim razie terror jest istotą totalitarnego panowania⁴.

³ Wszystkie przytoczone tutaj cytaty z powieści Józefa Mackiewicza pochodzą z: J. Mackiewicz, *Droga donikąd*. Londyn 1985 — DN (numer oznacza stronicę).

⁴ H. Arendt, *Korzenie totalitaryzmu, t 1.*, tłum.: cz. 1 i 3 — D. Grinberg, cz. 2 — M. Szawiel. Warszawa: Niezależna Oficyna Wydawnicza, 1989 s. 353.

Mackiewicz pokazuje, jak rządy totalitarnego terroru mogą wyglądać w praktyce. Znamienne, że starannie unika brutalnych i drastycznych efektów, scen zbiorowych egzekucji czy tortur. W tekście pojawiają się jedynie wzmianki o trwających ciągle aresztowaniach. O aktach przemocy czytelnik zazwyczaj się dowiaduje z drugiej ręki. Cały proces duchowego i materialnego podboju odbywa się w rękawiczkach. Nawet sceny przesłuchań odznaczają się wyjątkową, zdumiewającą na tle innych świadectw, łagodnością. W jednej z nich więźniowi udaje się uciec, w innej uderzenie pięścią w twarz stanowi element rutyny, ma na celu pozbawienie przesłuchiwanego, notabene byłego adwokata, pewności siebie, przypomnienia mu, że jakiegokolwiek próby już nie tylko przechytrzenia tajnej policji, ale nawet dialogu ze śledczym są w systemie totalitarnym nie do pomyślenia.

Pisarza szczególnie zastanawia nie tyle czynne współdziałanie z aparatem ucisku, ile całkowita bierność większości, brak woli oporu⁵, a także ubogi zasób środków, jakimi wystarczy się posłużyć, by podporządkować sobie zbiorowość. Takie pojęcia, jak inżynieria społeczna czy homogenizacja przekładają się tutaj na poszczególne zachowania, drobne na pozór pojedyncze gesty. Wystarczy, że oficer NKWD, nawet bez groźnej miny, czy przekleństwa krzyknie na tłum „stanowczo i z dobrze wyreżyserowaną perswazją” (DN 25), by ten natychmiast ustąpił. Wszechobecny strach wsącza się w ludzkie umysły, niszczy nawet najbardziej intymne relacje, zatruwa stosunki pomiędzy pojedynczymi ludźmi i grupami społecznymi, które przedtem były cementowane przez wielowiekowe więzy. Istnieje obawa nie tylko przed aresztowaniem, więzieniem czy wywózką, ale także przed sąsiadem, który może zademonstrować z obawy o własnych bliskich, załatwiających prywatne porachunki, z żalu czy zawiści o to, że ktoś okazał się mniej uległy od niego. Tym sposobem następuje powolny i nieodwracalny rozkład dawnej wspólnoty.

Do uległości skłaniają coraz trudniejsze warunki codziennego życia. Mackiewicz drobniawo rejestruje zjawiska, które wkrótce staną się chlebem powszednim mieszkańców Europy Środkowej: deklasację dawnej elity intelektualnej, wprowadzaną etapami kolektywizację, poszerzanie się obszaru nędzy, brak nawet najbardziej podstawowych artykułów, a w ślad za tym rozwój czarnego rynku. Niczym wytrawny marksista dowodzi, jak dalece byt (marny, bo pozbawiony własności prywatnej i oparty na brutalnej eksploatacji) kształtuje (uległą) świadomość. Roztacza paletę rozmaitych postaw wobec nowego ustroju: od jawnej kolaboracji, poprzez zróżnicowane formy „zniewolonych umysłów” i rozpaczliwe gesty politycznej mimikry, usiłowania znalezienia prywatnej niszy, choćby w postaci kultywowanego hobby — aż po nader rzadkie próby otwartego buntu. Wreszcie — odnotowuje postępujące uwyzyczajnienie zbiorowej schizofrenii (co innego się myśli i mówi prywatnie, co innego wyraża publicznie).

Mackiewicz nie dostrzega żadnych pozytywnych cech nowego ustroju, takich jak choćby możliwości awansu w warunkach klasowego zrównania⁶. Jego zdaniem, na nowym układzie stosunków społecznych nikt nie zyskuje, nawet najbiedniejsi. Propaganda rodzi w nich postawę roszczeniową, przekonanie o darmowej rekompensacie należącej się im za wielowiekowe krzywdy, ale wbrew oficjalnym zapewnieniom o „sprawiedliwości społecznej” — materialny poziom ich życia wcale się nie poprawia, a opieka państwa okazuje się mrzonką. Ponadto awans społeczny pozostaje w ostrej kolizji z wyznawanymi wcześniej zasadami. Pouczająca pod tym względem jest historia Wulfki, żydowskiego

⁵ Pisał o tym m.in. Włodzimierz Bolecki (J. Malewski, *Ptasznik z Wilna. O Józefie Mackiewiczu*. Kraków 1991 s. 349). Książce tej wiele zawdzięczam, jakkolwiek nie ze wszystkimi jej tezami się zgadzam.

⁶ Trafnie zwrócił na to uwagę Piotr Stasiński (*Komunizm jako choroba. Na marginesie twórczości Józefa Mackiewicza*, Res Publica 1989 nr 2).

taksówkarza, który z nadejściem bolszewików wiązał nadzieje na uwolnienie się od uwłaczającego jego godności statusu „sługi”, zostając wpierw agitator, a następnie awansując na stanowisko zastępcy kierownika prowincjonalnego posterunku policji. Gdy obrugał za niedopatrzenie swojego podwładnego, został skarcony: „U nas tak nie wolno” (bo w Związku Radzieckim szanuje się przecież człowieka), kiedy jednak zwolnił aresztowanego dyrektora banku, uważając jego zatrzymanie za całkowicie bezpodstawne, spotkał się z ostrą reprymendą:

Wy [...] towarzyszu, nie jesteście mocni w zasadach walki klasowej. Czy on porządny, czy nieporządny, to nie ma nic do rzeczy. Do rzeczy ma to, że on był posiadaczem, któremu my to posiadanie odebraliśmy. I dlatego on zawsze będzie naszym wrogiem (DN 40).

Cynizm i okrucieństwo nie tyle są bowiem domeną pojedynczych ludzi i ich wrodzonych czy nabytych skłonności, ile właściwością samego systemu, który instrumentalizuje tradycyjne wartości (tę cechę najjaskrawiej uzmysławia przytoczony tekst instrukcji o deportacji). Dlatego Mackiewicz konsekwentnie unika przedstawiania prześladowców jako sadystów, którzy czerpią rozkosz z zadawania cierpień, czy też zaślepionych ideowców. Podobnie jak esesmani w obozowych opowiadaniach Borowskiego⁷ są oni mniej lub bardziej sprawnymi urzędnikami, trybikami bezosobowego mechanizmu. To zwykli ludzie, wykonujący swoją pracę, zazwyczaj przemęczeni obowiązkami, nierzadko mogący nawet budzić odruch sympatii. Jak młody enkawudzista Zajcew, który „miał ruchy szybkie, prawie wesołe, twarz szczupłą, a niebieskie oczy biegały żywo pod jasnymi rzęsami” (DN 75). Sfera prywatna zostaje starannie odgraniczona od oficjalnej, „sentymenty” od obowiązków. Metoda opisu Mackiewicza dobrze przylega do tezy o „banalności zła” przez konsekwentne podkreślanie zwykłości zachowań i scenerii, w których dokonuje się monstrualna zbrodnia. Żołnierze NKGB rozmawiają półgłosem, palą papierosy, a później, w biały dzień, podjeżdżają pod domy i na oczach krewnych, znajomych czy przechodniów zabierają stamtąd całe rodziny. Kiedy jeden z agentów ponagla aresztowanych, czyni to

bez zbytej gorliwości i bardziej, aby uczynić użytek z formalnego brzmienia swego głosu względnie dla pokrzepienia własnego autorytetu niżli z istotnej potrzeby (DN 303).

Badacze i teoretycy totalitaryzmu wskazywali na ścisłą współzależność pomiędzy terrorem oraz propagandą czy ideologią. Według cytowanego tutaj klasycznego dzieła Hannah Arendt:

Jak terror [...] niszczy wszystkie stosunki międzyludzkie, tak narzucony sobie przymus logicznego myślenia niszczy wszystkie stosunki z rzeczywistością. [...] Idealnym poddanym rządów totalitarnych nie jest przekonany nazista czy przekonany komunista, lecz człowiek, dla którego nie istnieje już rozróżnienie pomiędzy faktem a zmyśleniem (tzn. rzeczywistość doświadczenia) i rozróżnienie pomiędzy prawdą i fałszem⁸.

Mackiewicz pokazuje, że aby zlikwidować rozróżnienie pomiędzy faktem i zmyśleniem czy prawdą i fałszem, nie ma potrzeby wdawać się w wewnętrzną logikę narzuconej doktryny. Wystarczy umiejętna socjotechnika.

Na początek należy całkowicie zawałnąć rzeczywistością symboliczną, poddać ją rutynie ogłupiającego powtórzenia. Stąd wszechobecne czerwone sztandary, wywieszane na pierwszego maja nawet bez odgórnego zarządzenia. Portrety Generalissimusa w każdym

⁷ Zob. wnikliwą interpretację tych opowiadań, jako fenomenologii systemu totalitarnego w książce Andrzeja Wernera, *Zwyczajna apokalipsa. Tadeusz Borowski i jego wizja świata obozów*. Warszawa 1971.

⁸ H. Arendt, *Korzenie totalitaryzmu*, s. 361.

urzędzie i na wystawach sklepowych; nawet u fryzjera wisi „nie tylko przepisowy Stalin, ale ponadto Woroszyłow, Mołotow i Budiennyj” (DN 207). Stąd napisy w szkole głoszące, że „życie w Sowietach jest najszczęśliwsze” (DN 36). Transparent o treści: „Związek Radziecki wyratował nas od okropności wojny! Niech żyje Stalin! Wódz mas pracujących!” (DN 37). Cytaty ze „Słownika politycznego” w rodzaju: „ASCETYZM. — Odwraca uwagę mas pracujących od walki o lepsze jutro, osiągnięte przez partię Lenina-Stalina” (DN 65). Podręcznik pszczelarstwa otwarty zdaniem wielbiącym Ojca Narodu. Słowem, sfera politycznej fikcji, szczelnie oddzielona od rzeczywistości, zamknięta i samowystarczalna, w sposób nieświadomy groteskowa. Ale równocześnie — podstępnie i niedostrzegalnie wkradająca się w myśli i język.

Dobrze ten proces przedstawia scena, w której jeden z dawnych, litewskich komunistów, nie opanowawszy do końca żargonu partyjnego demaskuje niechcący prawdziwe intencje władz: „mnie się zdaje, że naród jest dostatecznie uległy”, by potem skwapliwie i niezdarne bełkotać o masach

dostatecznie, karnych, uświadomionych [...] zawstydzony, że nie potrafił od razu dobrać odpowiednich słów do właściwego zdefiniowania tego, co chciał wyrazić (DN 276).

Ale kto właściwie wypowiada słowa „właściwego zdefiniowania”? Narrator poprzez mowę pozornie zależną zbliżający się do sposobu myślenia bohatera? Tym chwytem, bez kwestii, Mackiewicz bardzo często i chętnie się posługuje. Jednakże, co ciekawe, stopniowe zatrucie czy zanieczyszczenie mowy przez propagandowe slogany nie jest w tej powieści wyłącznie domeną agentów NKGB i NKWD, członków partii czy propagandzistów. Dotyczy także języka narracji.

Toteż nie do końca pewne, czy zdanie: „Najkrótszy dzień żegnał krainę narodów Związku Radzieckiego i oddalał się na kapitalistyczny zachód” (DN 106) — uznać wypada za ironiczny żart autora (na określenie ZSRR używa on zwykle negatywnie zabarwionego określenia Sowiety), czy raczej ilustrację procesu zawłaszczania nawet języka potocznego przez terminy zaczerpnięte ze słownika propagandy. Właściwość tę szczególnie jaskrawo uzmysławia taki oto opis śpiącej wsi:

Zastawy spuszczone, płaszczyna wody odbija księżyc w pełni; śpią ptaki, ryba nie pluśnie, pies nie szczeka. Tylko krople z młyńskiego koła spadają miarowo i monotennie. [...] Śpi kułak, wróg narodu; śpi po chlewach i stajniach prywatny dobytek chłopów, łańcuch nie brzęknie przy kantarze (DN 277).

Natomiast ścisły związek propagandy z terrorem najlepiej ilustruje epizod o tym, jak cały nakład codziennej gazety został wstrzymany na kilka godzin, a na nogi postawiony aparat bezpieczeństwa po to tylko, żeby ponad wszelką wątpliwość ustalić, czy kończąc swoje wystąpienie w litewskim sejmie mówca wzniósł, czy też nie, okrzyk na cześć Stalina. Mogłaby ta opowieść budzić śmiech, gdyby nie to, że za kulisami ponurej groteski czai się rzeczywisty strach, groźba śmierci, więzienia lub deportacji.

Mackiewicz nie ogranicza się do zgromadzenia jak najobszerniejszego „materiału dowodowego”. Podejmuje także ambitną próbę dotarcia do samej istoty fenomenu, z którym przyszło mu się życiowo i intelektualnie zmierzyć. Świadom, że ma do czynienia z systemem tyleż samowystarczalnym, co hermetycznie zamkniętym, podejmuje próbę dostarczenia doń kilku kluczy.

Klucz „antropologiczny”. Punktem odniesienia są tutaj trwałe i niezmiennie właściwości ludzkiej natury. Jak powiada Karol:

Bolszewizm nie od radości nieba chce oderwać człowieka, a właśnie przeciwnie, od radości ziemi [...] powstał nie z walki z Bogiem, a z walki z człowiekiem, z jego przyrodzonym prawem do wolnego życia (DN 13).

Klucz „duszoznawczy”. Zasadza się na tradycyjnej refleksji o duszy narodu. Zgodnie z antytetycznym ujęciem archimandryty Serafima:

Naród rosyjski kochał stepy i lasy, a sowiecki — kominy fabryczne. Naród rosyjski ciągle buntował się przeciw kajdanom, a sowiecki nie tylko się nie buntuje, on je liże! Tak zwana „dusza rosyjska” — to była dusza buntu; dusza sowiecka — to dusza psiej uległości. Naród rosyjski, niech jemu to Pan Bóg zapomni, to był naród spiskowców, sowiecki — szpiclów i prowokatorów, i donosicieli! (DN 85)

Klucz „psychologiczny”. Tu brane są pod uwagę indywidualne cechy ludzkiej psychiki, zwłaszcza jej złe skłonności. Według Franciszka spod Lasu:

straszna teraz siła ludziom dana. [...] Dziś słowem jednym można zgubić. Poszedł z donosem, powiedział co na drugiego i tamten człowiek przepadł (DN 31).

Klucz „socjotechniczny”. Tadeusz Zakrzewski argumentuje:

Otóż bolszewicy doszli na podstawie studiów bardziej praktycznych niż teoretycznych, że skoncentrowane kłamstwo ludzkie posiada siłę, której granic na razie nie znamy, że można dokonać przewrotu gruntownego w takich dziedzinach, jak mowa ludzka, znaczenie słów itd. [...] twierdzenie zależy nie od jego treści, a od sposobu jego wyrażenia. [...] Słowa mają tu znaczenie odwrotne, albo nie mają żadnego. Odbierz ludziom pierwotny sens słów, a otrzymasz właśnie ten stopień paraliżu psychicznego, którego dziś jesteśmy świadkami (DN 106–109).

Klucz „historiozoficzny”. Jak wywodzi major Fjodor Mikołajewicz, skoro istnieje jak skrawa rozbieżność pomiędzy prawdą Ewangelii a zbrodniami popełnianymi w imię wiary, nie można za nie winić także bolszewików. Uznanie kłamstwa za prawdę jest kwestią czasu i przyzwyczajenia: „Przez tysiące lat przywykliśmy nie krytykować spraw wiary świętej, a teraz przywykamy nie krytykować wiary bolszewickiej”. Terror NKWD i GPU spełnia podobną rolę, jaką spełniała inkwizycja. Wolność słowa, krytyki i wypowiedzania się to wyraz „pychy jednostki”, „upust pragnienia władzy nad innymi, aby im narzucić swoje zdanie”. Tymczasem „tak zwana wolność słowa prowadzi często do własnej niewoli”, bowiem pójście na kompromisy wobec słuchaczy, skłaniania do mówienia półprawd i w konsekwencji do samozakłamania. „Prawdziwa wolność jest nie w słowach [...] a w milczeniu, żeby słowa nie zakłamały własnych, prawdziwych, wewnętrznych myśli” (DN 218–219).

Klucz „egzystencjalny”. Zwierza się przygodny podróżny:

Bywa taka choroba boli-nie-boli, a nawet jeżeli boli, to nie od bólu, ale taka straszna nudność nachodzi i gryzie, i człowiek sechnie nie wiedzieć od czego. [...] Dlatego każdy teraz przy sowietach chodzi wszystko równo jak kwaśne jabłko zjadłszy, różnych przyczyn dopatruje się, a głównej zrozumieć nie może. A przyczyna, to i jest: zgryzota (DN 346).

Przed Orwellem Mackiewicz odtwarza proces kształtowania się nowomowy oraz przedstawia jej deformujący wpływ na psychikę i sposób postrzegania rzeczywistości. Przed Solżenicynem — i tyłoma jego następcami — przenikliwie zwraca uwagę na fundamentalną rolę kłamstwa w systemie komunistycznym. Nie tylko w tym znaczeniu, że głoszone tezy całkowicie rozmiągają się z prawdą, ale także i w tym sensie, że ich uporczywe powtarzanie, pełne arogancji nawet wobec zdrowego rozsądku działa obeszładniająco, stanowi demonstrację siły, dowód, że władza jest wszechwładna i z żadnymi ograniczeniami się nie liczy.

Jest to ponadto swego rodzaju „próba socjologiczna”, imponujący przegląd stanowisk i ich głosicieli. Wypowiadają się Rosjanie i Polacy, inteligenci i chłopi, ludzie wykształceni i analfabeci, były dziennikarz, drwal, duchowny prawosławny, oficer Armii Czerwonej i chłop z Białorusi. Jednakże, poddany próbie tak rozmaitych sposobów myślenia, metod analizy, poziomów wiedzy, przetestowany przez tak wielorakie systemy znaczące — opisywany fenomen w niewielkim tylko stopniu odsłania swoją istotę. Wyłania się jedynie pośrednio — jako wyraz przeczenia, składnik porównania lub antytezy, człon negacji. Wyraźniej rysują się jego niszczycielskie skutki, zwłaszcza w sferze psychologicznej, niż ich skryte przyczyny. Ulega przy tym jaskrawym uproszczeniom i niejednej deformacji. Wszak, jak powszechnie wiadomo, system komunistyczny nie tyle odbiera wolność jednostce, co radykalnie przekreśla jej wartość i znaczenie, dąży do całkowitego podporządkowania pojedynczego człowieka wszechwładzy państwa. Trudno też zgodzić się na tak radykalne przeciwstawienie Rosji carskiej — Rosji sowieckiej, zwłaszcza prezentowania tej pierwszej jako oazy buntu przeciwko państwu. Spoza pseudodialektycznych wywodów majora wyraźnie prześwituje zła wola oraz przekreślenie wyrazistego podziału na dobro–zło oraz prawdę i fałsz. Krótko mówiąc, lepiej wiadomo czym analizowany fenomen nie jest, czemu tak brutalnie zaprzecza i jakie nawyki w rozumowaniu i postępowaniu łamie, niż czym jest. Jego istotę stanowi bowiem unieważnienie czy wzięcie w nawias całego systemu tradycyjnych wartości. Na wszelkie kryteria zbudowane na fundamencie tych zasad komunizm jest całkowicie i doskonale impregnowany. Czy można wobec tego postawić pisarzowi zarzut, że takie podejście bez wątpienia trafnie odsłania w systemie komunistycznym jego nihilistyczne założenie, ale czyni zupełnie bezradnym wobec jego filozoficznego i ideologicznego wyposażenia?

Warto przypomnieć, że *Droga donikąd* nie jest fabularyzowanym studium sowietologicznym czy fenomenologią totalitaryzmu, lecz dziełem artystycznym. Wskazane wyżej jej braki w znacznej mierze biorą się stąd chyba, że Mackiewicz nie traktuje idei *in abstracto*, lecz poddaje je zazwyczaj próbie życia, domaga się ich uwewnętrznienia. Stąd komentarze pisarza nie ograniczają się bynajmniej do cytowanych wypowiedzi, z którymi, co wypada podkreślić, tylko częściowo się identyfikuje. Swoistym uzupełnieniem oraz dopełnieniem głoszonych poglądów stają się postawy czy dalsze losy wypowiadających je postaci. Karol, bliski przyjaciel Pawła, nie wytrzyma presji trudnych warunków życia i niepokoju o swoją przyszłość i przeobrazi się stopniowo w rzecznika nowego ustroju: wykładowcę zasad leninizmu i stalinizmu, a także członka partii. Jest to postać ilustrująca drogę intelektualisty od konformizmu do kolaboracji i współdziałania w zbrodniach. Archimandryta Serafim będzie się ukrywał przed władzami sowieckimi, a jego twarz mignie tylko na moment podczas cudu w Popiszkach, jak gdyby pop rozpaczliwie szukał remedium na panujące zło nie w samej religii, lecz w jej prymitywnej ludowej odmianie, graniczącej z zabobonem i gusłami. Franciszek spod Lasu sam staje się donosicielem. Tadeusz Zakrzewski, jedyny w powieści rzecznik walki zbrojnej z bolszewikami, ginie w zasadzce — zadenuncjowany przez, zdawałoby się, sympatyka dawnego ustroju i zatłuczony kijami przez chłopów⁹. Major Fiodor Mikołajewicz, dawny oficer carski a teraz sowiecki, uzasadnia ironicznie swoją lojalność wobec Stalina dawną zasadą, że władza pochodzi od Boga. Anonimowy chłop pociesza się myślą, że bieda bywa swego rodzaju przywilejem, może bowiem ochronić przed deportacją.

Mackiewicz celowo i konsekwentnie nie podejmuje polemiki z ideologią czy doktryną komunistyczną. Jego ocena jest jednoznaczna i w dużym stopniu pokrywa się z oceną Zakrzewskiego.

⁹ Waclaw Lewandowski pisze interesująco o związku tej sceny ze snem-koszmarem Raskolnikowa ze *Zbrodni i kary* Dostojewskiego (zob.: W. Lewandowski, *Józef Mackiewicz. Artyzm. Biografia. Recepcja*. Londyn 2000 s. 207–209).

Bolszewizm predestynowany jest do tego, aby zniszczyć bez reszty siły niebolszewickie. I to w każdym wypadku. Nie broniąc się, nie walcząc ułatwiasz mu tylko zadanie zniszczenia samego siebie [...] jeżeli walcząc masz znikome szanse na życie, to nie walcząc nie masz żadnych. Bolszewizm likwiduje bowiem nie za czyn wrogi, a za odmienną myśl.

System komunistyczny jest zatem ucieleśnieniem czystej negacji. Skąd radykalny wniosek:

Otóż skoro uważam, że bolszewizm jest złem samym w sobie, złem obiektywnym, wolę, żeby mego narodu nie było wcale, niż żeby był narodem bolszewickim i stał się instrumentem do rozpowszechniania zła na świecie! (DN 177).

Tak sformułowanego przekonania pisarz nigdy nie zmieni. Nie tylko — podobnie jak Herbert czy Herling-Grudziński — odmówi komunizmowi zrozumienia, ale także będzie ostro atakował w publicystyce wszystkich tych, co wierzyli w jego „reformowalność” oraz możliwość obalenia go demokratycznymi i pokojowymi środkami. Najwyraźniej się mylił. Ale może dlatego właśnie wymowa *Drogi donikąd* jest tak katastroficzna? Bo właściwie wszyscy protagoniści powieści przegrywają. Karol, dokonuje moralnego samobójstwa, Zakrzewski zostaje zamordowany, Weronika znajdzie się wśród aresztowanych przez NKGB, Pawła pozostawia autor w głębi puszczy, bez szansy przeżycia, na drodze wiodącej do bagiennej topieli. Klęskę ponoszą zarówno jawni kolaboranci, jak rzecznicy chronienia „narodowej substancji” oraz inicjatorzy zbrojnego oporu. Przed wszystkimi majaczy perspektywa deportacji, czyli duchowego i fizycznego unicestwienia, która, co autor mocno podkreśla, obejmuje każdego — niezależnie od statusu społecznego i postawy zajmowanej wobec nowego ustroju. Jedyłą nadzieję budzi w powieści perspektywa wybuchu nowej wojny.

Drogą donikąd byłby zatem nie tylko system komunistyczny, ale także wszelkie próby paktowania z nim czy przeciwstawienia się jemu? Oczywiście, niektórym bohaterom udaje się zachować osobistą godność. Czy jednakże ich woła oporu to, jak pisał Miłosz, wyraz buntu jednostki przeciwko Bestii Społecznej? Czy raczej — przeciwko jej wyjątkowym roszczeniom? Przecież Pawła, byłego dziennikarza, który wołał zostać drwalem, woźnicą i przemytnikiem niż pracować w sowieckiej prasie, utrzymuje na powierzchni życia i przeżycia wątku pajęczyna pomocy i życzliwości nieraz przypadkowo spotkanych, ludzi reprezentujących, co ważne, rozmaite grupy i narodowości. Tutaj Bestia Społeczna chowa swoje kły i pazury, przybierając łagodniejszą postać cienia dawnej wspólnoty. Mackiewicz nie tyle jest, jak sądzę, rzecznikiem jednostki skłóconej ze zbiorowością, lecz raczej innej zbiorowości — zorganizowanej i żyjącej wedle prastarych naturalnych praw. Obrona wolności jednostki nie wyrasta u niego, jak twierdził Stasiński¹⁰ — a przynajmniej nie wyłącznie — z tradycji dziewiętnastowiecznego liberalizmu. Bo nie przypadkiem w powieści pojawia się nostalgiczna wizja dawnych czasów, tych sprzed sowieckiej inwazji:

Były to ziemie nie tylko litewskie, białoruskie i polskie jednocześnie, zjednoczone w przeszłości i pokłócone współcześnie; zamieszkiwali je też Żydzi i Rosjanie; na tych ziemiach zwycięży w wojnach tatarskich wielcy książęta osadzali przed wiekami jeńców dając im grunty i przywileje. Dlatego wśród sosen północnych zdarzało się spotykać jeszcze minarety z półksiężycem; tu, w stołecznych ongiś Trokach nad potrójnym jeziorem, zasiedli krymscy Karaimi, wyznający Pięcioksiąg Mojżeszowy, ale odrzucający Talmud; kościoły katolickie budowano przeważnie w stylu włoskiego baroku, rzadziej w gotyku; cerkwie prawosławne w niezmiennie kopulastobizantyjskim stylu; z czasów Reformacji zostało trochę wyznawców Kalwina, mniej Lutra; w bardziej zaś odległych od miast stronach, wśród lasów i bagien, ludzie szukający prawdy poddawali się wpływowi różnorodnych sekt [...]. Ale opisywać szcze-

¹⁰ P. Stasiński, *Komunizm jako choroba...*, s. 57.

gólowo ludzi tego kraju byłoby równie długo, co wymieniać wszystkie jego rośliny, zwierzęta albo rzeki i jeziora, które z dużej wysokości dostępnej dziś samolotom wydają się być podobne kałużom, ostałym po wielkim deszczu (DN 15).

Mackiewicz także spogląda na te ziemie z niebotycznej wysokości — z perspektywy mitu. Zacierają się, nawet dokonujące się w dwudziestym wieku, zmiany historyczne, unieważnieniu ulegają przesuwane się ustawicznie granice państwowe, tracą na znaczeniu konflikty narodowe, religijne czy polityczne (ani słowa o rozgorzałych szowinizmach!). Mityczne Wielkie Księstwo Litewskie¹¹ jawi się niby model europejskiej cywilizacji, troskliwie i cierpliwie gromadzącej przez wieki różnorodność inspiracji, porządkującej bogactwo estetycznych rozwiązań i religijnych poszukiwań, stojącej w obronie płodnej wielości dróg wiodących do prawdy. Organicznie wrosnięte w ziemię i przyrodę tej części Europy, stanowi przy tym oryginalne i swoiste, nie dające się powtórzyć, przetworzenie inspiracji zarówno z Zachodu, jak ze Wschodu. Może być wreszcie uznane za wzór tolerancji oraz harmonijnego współbywania rozmaitych grup narodowościowych, kulturowych i religijnych, poczucia jedności unieważniającego wszelkie podziały.

Burzyciel, kresowych zwłaszcza, mitów i stereotypów¹² odślania w tej powieści swoje zasadnicze rozdarcie: pomiędzy nieziszczalną utopią konserwatywną a brutalnie zniszczoną utopią czy raczej antyutopią „rewolucyjną”, pomiędzy płodną, ale unicestwioną, wielowariantowością kulturowego rozwoju a obecną, jałową i wyjałowiającą, jego homogenizacją. Staje wobec nierozstrzygalnego dylematu: jak pozostać wiernym przeszłości historycznej, która może w tej postaci nigdy nie istniała, a zarazem pogodzić się z teraźniejszością, która w obecnym kształcie jest dla niego nie do przyjęcia. Konsekwentny antykomunizm, obdarzający bezlitosną i godną najwyższego podziwu ostrością widzenia zagrożeń, jakie niesie każda forma totalitaryzmu, spotyka się nieoczekiwanie z troskliwie chronionym marzeniem o rajach Litwy historycznej. Z tego głębokiego pęknięcia tryskają zarówno siła i oryginalność, jak też słabości i ograniczenia całego pisarstwa Mackiewicza.

¹¹ O związku idei Wielkiego Księstwa z ideologią tzw. „krajowców” w pisarstwie Mackiewicza pisze obszernie Maria Zadencka (*W poszukiwaniu utraconej ojczyzny. Obraz Litwy i Białorusi w twórczości wybranych polskich pisarzy emigracyjnych. Florian Czernyszewicz, Michał Kryspin Pawlikowski, Maria Czapska, Czesław Miłosz, Józef Mackiewicz*. Uppsala 1995 s. 154–161).

¹² Zob. np.: J. Jarzębski, *Exodus. Ewolucja obrazu kresów po wojnie*, [w:] tegoż, *W Polsce czyli wszędzie*. Kraków 1991; M. Zadencka, *W poszukiwaniu utraconej ojczyzny...*

SPRAWY I SPRAWKI MIASOJEDOWÓW

Jan ZIELIŃSKI (Szwajcaria)

We wprowadzeniu do powieści *Sprawa pułkownika Miasojedowa* Józef Mackiewicz opowiada, jak przeglądając stare gazety natknął się w angielskim dzienniku „The Times” z roku 1915 na artykuł dotyczący sprawy rosyjskiego pułkownika nazwiskiem Miasojedow, oskarżonego o działalność szpiegowską na rzecz Niemiec, która miała się znacznie przyczynić do klęsk rosyjskich na terenie Prus Wschodnich. Pisarz powiada, że artykuł ten obudził w nim różne wspomnienia okoliczności oraz osób — z niektórymi zetknął się był w młodości osobiście. Wspomnienia te zachęciły go do bliższego zajęcia się sprawą, którą porównuje do słynnej sprawy Dreyfusa i zastanawia się, dlaczego sprawa Dreyfusa dała asumpt do powstania tylu książek, podczas gdy analogiczna sprawa Miasojedowa nie stała się dotąd tematem książki.

Taka jest jawnie przez autora głoszona geneza powieści *Sprawa pułkownika Miasojedowa*. Teraz, gdy ukazał się tom *Bulbin z jednosiela*, zawierający obszerny wybór rozproszonych tekstów prasowych Mackiewicza z lat 1922–1936, na owe intrygujące wspomnienia z młodości pada dodatkowe światło. Znalazł się bowiem w tym tomie tekst, opublikowany pierwotnie w wileńskim „Słowie” (1935 nr 97), a zatytułowany *W 105-ym Orenburskim*. Fragment dotyczący interesującej nas postaci zaczyna się, podobnie jak powieść, od publikacji prasowej:

Onegdaj w ryskiej gazecie ukazały się notatki z pamiętnika literata Minclowa, który zmarł w roku zeszłym w Rydze. Niektóre ciekawe, dotyczą słynnego pułkownika żandarmerii Miasojedowa, rozstrzelanego następnie przez sąd wojenny za rzekome uprawianie szpiegostwa na rzecz Niemiec podczas wojny.

Ze wspomnień Minclowa wynika, że przed sprawą o szpiegostwo, która stała się tematem powieści Mackiewicza, Miasojedow miał u początku swej kariery wojskowej inną sprawę, dyscyplinarną. Rzecz działa się właśnie w Wilnie, a chodziło o wychłostanie hotelarza, z którego żoną Miasojedow (podówczas sztabkapitan) miał romans. Powodem owej samowoli nie był oczywiście sam fakt romansu, ale to, że hotelarz ośmielił się kiedyś zaczepić Miasojedowa na ulicy, groził mu i nawet próbował go spoliczkować (Mac-

kiewicz: „Oficera na ulicy!... To nie przelewki. Miasojedow odznaczał się wielką siłą fizyczną. Pochwytał przeciwnika za kołnierz i rzucił nim w błoto uliczne”¹).

Siergiej Minclów (1870–1933) znał dobrze tę sprawę, ponieważ w latach 1890–1892 służył w 106. pułku piechoty w Wilnie. Nie miałem dostępu do oryginału jego wspomnień o Miasojedowie (*Žandarmiskij połk. Miasojedow i Jekaterina Miasojedowa*); postać autora niewątpliwie zasługuje na uwagę. Ten prozaik, bibliograf i archeolog był też działaczem ruchów teozoficznego i różokrzyżowego. Debiutował tomem wierszy, wydany w Odessie (1897). Wśród jego sztuk jedna (*Bojaryn Kuczko*, 1901) ukazała się w Warszawie. W roku 1904 wydał utwór prozą, którego tytuł zwrócił zapewne uwagę Józefa Mackiewicza: *W ljesach Litwy*. Po pierwszej wojnie był dyrektorem rosyjskiego gimnazjum w jugosłowiańskim mieście Novi Sad. Od roku 1926 mieszkał w Rydze, gdzie wydał kilkanaście książek. W roku 1930 w konkursie literackim, zorganizowanym na Litwie dla uczczenia pięćsetlecia wielkiego księcia Witolda, jego powieść *Orlinyj wzljot* dostała zaszczytu wydania ze środków komitetu jubileuszowego (nagród nie przyznano). Był człowiekiem jowialnym, o dobrodusznej twarzy, wysokim czole, krzaczastych brwiach, szerokim nosie, długich wąsach i szpiczastej brodzie.

Mamy zatem pierwszą sprawę Miasojedowa (dyscyplinarną w Wilnie), mamy i drugą, zasadniczą, o szpiegostwo — zakończoną wyrokiem śmierci, wykonanym w Warszawie w roku 1915. Ale na tym się akcja powieści Mackiewicza nie kończy, pozostaje jeszcze obszerna część, zatytułowana *Sprawa Klary Miasojedowej*: rzecz o tym, jak fałszywe oskarżenie wobec męża ciągnęło się za żoną, której nie pomogła zmiana nazwiska przez powtórne zamażpójście. Historia się powtarza, następuje „pełny obrót koła” kiedy drugi mąż Klary, Marian Szatkowski, zimą 1939/1940 w Wilnie oskarżony zostanie przez opinię publiczną o zdradę.

Wróćmy do wspomnienia, zatytułowanego *W 105-ym Orenburskim*. W roku 1949 Mackiewicz w wydawanym w Londynie piśmie „Lwów i Wilno” (podobnie jak „Słowo” redagowanym przez brata pisarza, Stanisława) opublikuje tekst wspomnieniowy pod tym samym tytułem, w którym znów będzie mowa o Miasojedowie. Dwa te teksty nie mają jednak, prócz tytułu, wielu miejsc wspólnych. Tym bardziej warto je porównać, przynajmniej w kwestiach, które wiążą się z przyszłą powieścią Mackiewicza.

Minclowa tym razem w ogóle nie ma. Pisząc o młodzieńczych wybrykach Miasojedowa w Wilnie, Mackiewicz powołuje się na lokalną tradycję ustną i samokrytycznie dystansuje się od szczegółów, które czternaście lat temu tak barwnie opisywał w „Słowie”:

Bardzo starzy kelnerzy wileńscy sprzed pierwszej wojny pamiętali jeszcze jakieś anegdotyczne wybryki, których treści ja z kolei nie pamiętam, być może dlatego, że słuchałem opowiadań o nich zazwyczaj przy wódce².

Następnie Mackiewicz przedstawia dość pobieżnie dalsze, po-wileńskie dzieje Miasojedowa (praca w żandarmerii na stacji granicznej w Wierzbołowie, małżeństwo z panną Hollstein, poznaną w Wilnie córką zamożnych przemysłowców niemieckich, oskarżenie i proces, egzekucja w Warszawie, zesłanie wdowy na Syberię). Jako zjawisko chronologicznie równoległe („Mniej więcej w tym samym czasie”) przedstawia aresztowanie w zajętej przez Rosjan Lwowie i zesłanie do tej samej wioski, w której przebywała Miasojedowa, współpracownika austriackiej agencji prasowej Mariana Szydłowskiego.

W tym miejscu pojawiają się wspomnienia osobiste, Szydłowski bowiem po powrocie z zesłania osiadł w Wilnie i został z czasem dyrektorem wileńskiego oddziału PAT i prezesem Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich. Mackiewicz, płodny dziennikarz „Sło-

¹ Józef Mackiewicz, *Bulbin z jednosiela*. Londyn 2001 s. 334 (*Dziela*, t. 14).

² J. M[ackiewicz], *W 105-ym Orenburskim*, Lwów i Wilno 1949 nr 12.

wa” i bywalec wileńskich lokali, znał dość dobrze Szydłowskiego i jego żonę, wdowę po Miasojedowie. Nie tylko. Znał też pewną staruszkę, która wysiadywała przed wileńskimi restauracjami, sprzedając mydło. Przypadkiem od jednego z najstarszych wileńskich kelnerów dowiedział się, że ta biedna staruszka to była wileńska piękność, za którą szalał kiedyś Miasojedow ze 105. Pułku Orenburskiego.

Ostatnia część wspomnienia poświęcona jest wojennym losom Szydłowskiego, który po wkroczeniu do Wilna wojsk radzieckich w roku 1940 skorzystał z niemieckiego pochodzenia żony i oboje wyjechali na zachód. Mackiewicz odnotowuje reakcję opinii publicznej na takie przypadki:

Wilno nie ukrywało swej dezaprobaty, nie była to wszakże dezaprobata przekraczająca granicę tej, jaką obdarzano przed wojną ludzi, którzy na ul. Zawalnej uciekali się do formalnej zmiany religii, by uciec od pożycia, które im wydawało się nie do zniesienia.

Sam powstrzymuje się od osądu. Widać jednak wyraźnie, że splot okoliczności, jakie wyznaczają biografię Miasojedowa, jego żony i jej drugiego męża już wtedy rysował mu się w kategoriach powieściowych:

Tu nie ma też żadnej pointy. To prosty splot wydarzeń. Ułożyłby się zapewne inaczej, gdyby... gdyby na przykład przed kilkudziesięciu laty, ktoś tam, w nieznanym biurach carskiej hierarchii wojskowej nie zdecydował, że 105-ty Orenburski ma stać garnizonem w Wilnie? Zapewne, zapewne. Zwyczajna fabuła powieści, do której nie mam prawa się mieszać, wpleciona w odcinek historii, od której zawisłe są losy nas wszystkich.

Dwa teksty wspomnieniowe o jednakowym tytule stanowią etapy dojrzewania fabuły, przechodzenia od faktów historycznych i biograficznych przez wspomnienia własne po odrębną logikę powieściową. Warto zauważyć, że w tym procesie następuje swoista multiplikacja. Zamiast jednej sprawy Miasojedowa mamy oto do czynienia z kilkoma (przy czym ich ranga zmienia się z upływem czasu): buńczuczności oficera w Wilnie, rzekomego szpiega, jego żony i jej drugiego męża — jakby „drugiego Miasojedowa”. A przy tym nasuwa się wrażenie, że cały czas jest to jedna i ta sama sprawa. Sprawa pomiędzy dążącą do transgresji jednostką a nietolerancyjną opinią publiczną.

O tej uniwersalności „sprawy Miasojedowa” myślałem jesienią roku 2000 we Frankfurcie, kiedy to na targach książki wpadła mi w ręce książka biograficzna, poświęcona mieszkającemu w Lichtensteinie rosyjskiemu arystokracie i mecenasowi sztuki, Eduardowi baronowi Falz-Feinowi³. Założyciel rodu Feinów przybył na Ukrainę z Wirtembergii w drugiej połowie XVIII wieku. O tym, jak Falz-Feinowie zrobili krociowy majątek na hodowli owiec, opowiada barwnie w swych wspomnieniach Lew Trocki. Pod koniec XIX wieku rodzinny interes bardzo się rozwinął, obejmując flotyllę parostatków, niezamrażający port nad Morzem Czarnym, posiadłość Preobrażenka (w której częstym gościem bywał Ajwazowski) oraz fabrykę konserw. W książce Nadieždy Danilewicz zamieszczono reprodukcję polskojęzycznego plakatu sprzed I wojny, reklamującego „Czarnomorsko-Azowską Fabrykę Konserw S. B. Falz-Fein” w Odessie, z charakterystycznym znakiem firmowym, przedstawiającym „rybkę na welocypedzie”.

W biografii barona Falz-Feina dla miłośnika Józefa Mackiewicza najważniejsze są niewątpliwie dwa sąsiadujące ze sobą i podobnie zatytułowane rozdziały: *Rosjanie w Lichtensteinie*. *Miasojedow* i *Rosjanie w Lichtensteinie*. *Bez skruchy*.

Zacznijmy od drugiego. Falz-Fein relacjonuje w nim jak to pewnej chłodnej majowej nocy roku 1945, o piątej nad ranem, zadzwonił do niego premier Lichtensteinu, żądając jego obecności na granicy w charakterze tłumacza i fotografa. Na granicy alpejskiego państewka pojawiła się bowiem grupa pięciuset żołnierzy i oficerów, w mundurach nie-

³ N. Danilevič, *Baron Falz-Fein. Żiżń ruskogo aristokrata*. Moskva 2000.

mieckich, ale pod trójkolorową flagą rosyjską. Wśród nich był też wielki książę Włodzimierz, jego jednak jako osoby cywilnej do Lichtensteinu nie wpuszczono. Baron uczestniczył w pertraktacjach. W ich trakcie okazało się, że dowódca tej grupy niedobitków RONA, Arthur Holmston, to w rzeczywistości były oficer carski, Borys hr. Smysłowski (1897–1988), który w czasie wojny domowej walczył pod rozkazami Denikina, a w okresie międzywojennym był emigrantem, czynnym w Polsce jako przedsiębiorca; po wojnie, dodajmy, wyemigrował do Argentyny. Towarzystwo jak z *Kontry*. Falz-Fein rekonstruuje logikę Smysłowskiego: liczył, powiada, na to, że Hitler i Stalin wykończą się nawzajem; wiedział o spisku niemieckich oficerów przeciw Hitlerowi, a od jeńców wojennych z Armii Czerwonej dowiedział się, że w Związku Radzieckim też ludzie nie są zadowoleni. Na tym budował swoje plany, które jednak pod koniec wojny runęły jak domek z kart.

Wtedy, mając nadzieję, że uratuje resztki swej armii, przedostał się z Wrocławia w stronę Alp. Pewien dziennikarz szwajcarski poradził mu, żeby prosił o schronienie w neutralnym Lichtensteinie⁴.

Nadzieńda Danilewicz i baron Falz-Fein powołują się, przedstawiając sytuację niedobitków RONA, nie na *Kontrę*, tylko na książkę Nikołaja Tołstoja *Victims of Yalta*. Ale ton jest ten sam: podkreślają, że wielu spośród tych, których alianci siłą wydali Związkowi Radzieckiemu, wybierało samobójstwo.

Jeśli chodzi o ocenę dowódcy internowanych w Lichtensteinie wojsk, baron jest daleki od entuzjazmu.

Nie ma w tym nic dziwnego, powiada, taki był powszechny stosunek starych Rosjan do tych, którzy współpracowali z Niemcami, nawet jeśli czynili to w dobrym zamiarze. Wszyscy emigranci byli przeciwni i piętnowali taką postawę kolaboracji. Smysłowski sam wybrał swój los. A młodzi żołnierze poszli za nim, żeby się wyrwać z niemieckiej niewoli. Dodatkowo Smysłowski nie budził sympatii przez to, że rozstrzelał niektórych swoich żołnierzy, którzy coś tam pod koniec wojny przeskrobali. Takie bezsensowne okrucieństwo trudno czymś uzasadnić czy usprawiedliwić. Przecież życie tych Rosjan i tak było dość beznadziejne⁵.

Wkrótce po internowaniu Rosjan wypadła Wielkanoc. Miejscowi harcerze nazbierali po okolicznych wsiach kilkaset jajek, zrobili z nich pisanki, nauczyli się od barona kilku słów po rosyjsku i przyszli do rosyjskiego obozu z życzeniami.

Po zakończeniu wojny władze radzieckie próbowały odzyskać żołnierzy i oficerów, którym Lichtenstein udzielił tymczasowego azylu politycznego. W wielu przypadkach udało się zastraszyć młodych żołnierzy bądź omamić ich obietnicą amnestii. Pozostało 143, którzy w roku 1945 uzyskali azyl w Argentynie generała Perona. Wraz z nimi wyjechał dowódca, który na drugiej półkuli raz jeszcze dorobił się majątku i na starość powrócił do Lichtensteinu.

Dla barona Falz-Feina los niedobitków RONA stał się punktem wyjścia do poszukiwań historycznych. Analogia trochę odległa, ale przecież w 1799 r. w tych samych okolicach, najpierw przez Szwajcarię, potem przez Austrię, przechodziły wojska osławionego rzeźniarza Pragi Suworowa. Baron podejrzewał, że musieli też zahaczyć o Lichtenstein; i rzeczywiście, w lokalnym archiwum kościelnym znalazł zapis: „Rosjanie zjedli w Lichtensteinie wszystkie kury”. Kontynuował poszukiwania archiwalne i ustalił, że w nocy z 10 na 11 października 1799 r. armia rosyjska rozbiła obóz w miejscowości Balzers, w południowej części księstwa. Dziś upamiętnia to ufundowana przez barona tablica.

⁴ Tamże, s. 134.

⁵ Tamże, s. 136.

Nie będę tu streszczał poprzedniego rozdziału biografii Falz-Feina, ponieważ dużo obszerniejszym źródłem do biografii i twórczości Iwana Miasojedowa jest książka, do której dotarłem naturalną koleją rzeczy, a mianowicie wspaniale wydany katalog, opublikowany w roku 1997 z okazji poświęconej temu malarzowi wystawy retrospektywnej w Vaduz⁶.

Życie Iwana Miasojedowa to jedno pasmo transgresji. Urodził się 30 września/ 12 października 1881 w Charkowie jako nieślubny syn znanego malarza Pieredwiżnika, Grigorija Miasojedowa (1834–1911) i malarki Kseni Iwanowej (1860–1899). Ojcem chrzestnym był niejaki Sachar Zotow — stąd późniejsze przybrane nazwisko Miasojedowa. Z własnym nazwiskiem też będzie igrał. Jako zapaśnik będzie przez pewien czas występował pod pseudonimem Rybojedow. Motyw pożerania mięsa, żywego bądź martwego, pojawia się często w jego twórczości artystycznej (pies rozszarpujący pawia — kat. 105 i 106, psy wygrzebujące trupy — kat. 127)⁷. Malarz był też świadom tożsamości znaczeniowej swego nazwiska ze słowem sarkofag: jeden z listów do zaprzyjaźnionego malarza Masjutina podpisał „Profesor Akademii Duchownej — Ojciec Ioann Sarkofagow”⁸. Data urodzenia także odgrywała dla niego istotną rolę. W kalendarzu gregoriańskim w ten dzień czci się św. Hieronima. Miasojedow w roku 1923 malował niekanoniczne sceny z życia tego świętego; naszkicował też poświęcony mu ołtarz. W przedstawieniach tych odwołuje się do legendy, zgodnie z którą Hieronim prosił niebiosa o towarzyszkę w swym samotnym życiu i otrzymał lilię, która przemieniła się w kobietę, z którą święty wędrował na oswojonym lwie po pustyni; po śmierci jego towarzyszka przemieniła się w niebieskiego gołębia (symbol nadziei, częsty u rosyjskich symbolistów)⁹.

Wróćmy wszakże do życiorysu. Młody Miasojedow buntuje się przeciw ojcu. Wprawdzie uczęszcza do moskiewskiej szkoły malarstwa, rzeźby i architektury, ale równocześnie pasjonuje się kulturystyką i zapasami. Kończy kursy założonego przez hrabiego Ribaupierre’a Towarzystwa Atletycznego. Współpracuje jako rysownik z czasopiśmie sportowym „Gierkules”. Sam występuje jako atleta w różnych cyrkach, w Rosji i zagranicą.

Druga dziedziną aktywności, spokrewniona z kulturystyką, to kult nagości. Miasojedow w latach przed wybuchem I wojny światowej jest głosicielem hasel powrotu do natury i kultu swobody ciała. Wraz z grupą przyjaciół urządzają nagie tańce na łonie natury, fotografując się w wyszukanych pozach, często zaczerpniętych z antycznej mitologii. W roku 1911 w piśmie „Nagota na scenie” ukazuje się tekst Miasojedowa *Manifest o nagocie*, ilustrowany stosownym zdjęciem autora w stroju Adama.

Rok 1911 jest dla Miasojedowa bogaty w wydarzenia. Opublikował manifest o nagości. Poślubił Ludmiłę Fridmann (za rok urodzi im się syn, ale małżeństwo wkrótce się rozpadnie). Namalował monumentalny obraz (dziś zaginiony) *Centauromachia*, za który uzyskał stypendium zagraniczne. Wreszcie pod koniec roku umarł mu ojciec (cykl rysun-

⁶ Ivan Miassojedoff/Eugen Zotow 1881–1953. *Spuren eines Exils*. Bern 1997. Dalej cytowane jako: *Spuren...* Do poszczególnych prac Miasojedowa odsyłam skrótem „kat.” i numerem pracy. Ukazała się także wersja rosyjska katalogu, nieco skrócona i w mniejszym formacie. Retrospektywa trwała od 28 września 1997 do 18 stycznia 1998. Wiosną 1998 pokazano ją w Galerii Tretjakowskiej.

⁷ Obszerniej pisze na ten temat John E. Bowlt w artykule *Gefährliche Querungen. Ivan Miasojedoff und die Kultur der Grenzverletzungen*, [w:] *Spuren...*, s. 102–113.

⁸ *Spuren...*, s. 88 i 91. List ze stycznia 1936.

⁹ Zob.: *Der hl. Hieronymus und andere religiöse Themen*, [w:] *Spuren...*, s. 278–285, kat. 151 i 152.

ków, przedstawiających starego Miasojedowa na łożu śmierci, kat. 27 i 28, poraża ekspresją, są to jakby antyczne maski Dionizosa, a może i Zeusa). Rodzinne dobra Pawlenki pod Połtawą przeszły na Iwana Miasojedowa.

Na okres pierwszych lat XX wieku przypada też epizod, świadczący o gotowości Miasojedowa do zniesienia bólu, jeśli taka jest cena za zmianę siły oddziaływania cielesnego i duchowego. Młody malarz i atleta zamówił sobie u wędrownego japońskiego żonglera specjalny tatuaż brwi i powiek, dzięki czemu jego oczy do końca życia sprawiały demoniczne wrażenie¹⁰. Kiedy w roku 1913 Michaił Łarionow w piśmie „Argus”, w manifestie *Počemu my raskraščaiwaemsja*, głosił wyższość malowania twarzy nad tatuażem jako formy wyrazu osobowości artysty, miał zapewne na myśli właśnie radykalny, bo niezmywalny postępek Miasojedowa.

W tym też czasie poznał Miasojedow córkę wędrownych artystów cyrkowych, tancerkę Malwinę Vernici, która pozostanie do końca towarzyszką jego życia. Dla niej urządził w Połtawie wieczory tańców narodowych, dla niej będzie projektował kostiumy i afisze. Ona zaś urodzi mu w roku 1915 córkę Isabelle, a po jego śmierci opiekuje się spuścizną i przyczyni się do pośmiertnego odkrycia Iwana Miasojedowa.

Rewolucję i wojnę domową przeżył Miasojedow na Ukrainie. W roku 1918 był, wedle własnego zeznania, reporterem artystycznym przy armii generała Denikina, w roku 1919 pracował, jak się zdaje, przy inwentaryzacji zamków i innych posiadłości na Krymie. O tym okresie nie rozmawiał jednak nigdy w Lichtensteinie ani z Holmstonem ani z baronem Falz-Feinem. Nie zachowały się szkicowniki z wojny domowej. Motywy okropieństwa wojny pojawiają się natomiast w jego twórczości w pracach o charakterze alegorycznym.

Już na emigracji powstał przejmujący obraz, który swym klimatem przypomina niektóre płótna Malczewskiego: *Pożegnanie z Pawlenkami* (kat. 77). Lewą część zajmuje biały mur, zwieńczony rzeźbą obojętnego lwa. Z prawej drewniane wrota, w których stoi, tyłem do widza, biało-rudy pies i patrzy smutno na ciągnącą się ku horyzontowi drogę, na której majaczy sylwetka odjeżdżającego w nieznaną powozu. Wrota są jeszcze otwarte, ale stary sługa w narzuconym na ramiona szynelu już się szykuje, by je na zawsze zamknąć.

Szczegóły wyjazdu Miasojedowa i jego nowej rodziny na zachód nie są dobrze znane. Wiadomo, że trasa wiodła przez Krym, gdzie Miasojedowa aresztowano i o mały włos nie rozstrzelano, Augsburg, gdzie chorował na tyfus i Berlin, gdzie osiadł pod koniec roku 1921, zasilając liczną już wówczas kolonię rosyjską.

Miasojedow w Berlinie przeżywa transformację. Czterdziestolatek, nie bardzo może epatować nagością (choć w archiwum zachowało się zdjęcie, na którym, rozwalony w fotelu, z siwiejącą po bokach bujną brodą, nago pozuje jako Herkules). Zapuszcza, jako się rzekło, brodę i wygląda teraz jak bojar rosyjski albo jak młodszy brat Tołstoja. W roli bojara występuje zresztą w filmie *Spielereien einer Kaiserin* (1929). Poza tym projektuje kostiumy dla Malviny Vernici i maluje na zamówienie portrety, głównie mieszkających w Berlinie Rosjan (kat. 88, 89), ale też na przykład włoskiego dyplomaty Savignone i jego rodziny (kat. 90), co świadczy o pewnej pozycji społecznej.

Pomimo tych oznak stabilizacji w okresie berlińskim skłonność do transgresji nadal cechuje działalność Miasojedowa i jego partnerki. Oto kolejne etapy: w roku 1922 Malvina zostaje zatrzymana przy próbie rozmienienia fałszywego banknotu. W roku 1923 oboje są aresztowani pod zarzutem sporządzania i wprowadzania do obiegu fałszywych pieniędzy. W roku 1924 Miasojedow dostaje wyrok trzyletniego więzienia, a jego partnerka — 9 miesięcy. W Moabicy maluje arabeski i groteski w więziennej kaplicy (zniszczonej w czasie II wojny światowej). Zwolniony przed terminem, w roku 1925, próbuje

¹⁰ Zob.: *Spuren...*, 77 i 90 (p. 11) oraz 105 i 1113 (p. 9).

zarobić na życie jako grafik i portrecista. Maluje też, na swoją zgubę, zwierzęta w berlińskim ZOO. W roku 1932 policja przeprowadza kolejną rewizję w domu Miasojedowych, podejrzewając artystę o wytwarzanie fałszywych banknotów funtowych i dolarowych, które pojawiły się w Berlinie. Zdradziły go miniaturowe studia rysunkowe bawołów na jednej z płyt drukarskich, znalezionych w mieszkaniu współnika: były identyczne z rysunkami, robionymi w ZOO. Od marca 1933 do grudnia 1934 Miasojedow siedzi w więzieniu w Luckau — powstają wtedy szkice olejne z widokami z okna (kat. 94 i 95) oraz rysunki z życia codziennego w więzieniu (kat. 96 i 97).

Dość zdumiewająca jest dezynwoltura i wyrozumiałość, z jaką autorzy katalogu (a ze swej strony także baron Falz-Fein) mówią o działalności Miasojedowa na polu fałszowania pieniędzy. Postępujemy barona:

Do Lichtensteinu trafił pod przybranym nazwiskiem Eugena Zotowa. Ukrywał się przed policją, ponieważ był fałszerzem pieniędzy. Miał niespotykanej ostrości wzrok i talent grawera, naturę awanturniczą i już w Rosji na własną rękę zajmował się przygotowywaniem środków pieniężnych¹¹.

Trudno o bardziej rzeczowy, beznamiętny i pobłażliwy ton.

Dalsze losy Miasojedowych po zwolnieniu z Luckau znów znane są tylko wyrywkowo. W roku 1935 mieszkali bodaj w Rydze, mieście rodzinnym zaprzyjaźnionego z Miasojedowem malarza-emigranta Wasila Masjutina (1884–1955) — a także mieście Minclowa, który w ryskiej gazecie publikował, jak wiemy, swe wspomnienia o oficerze Miasojedowie. W roku 1936 kupili (sami sporządzili?) fałszywe czeskie paszporty na nazwisko Eugen i Malvina Zotow. We włoskim konsulacie w Brukseli (czyżby tam urzędował teraz ów dyplomata Savignone?) Miasojedow/Zotow narysował portret Mussoliniego, reprodukowany w piśmie „L’Italie nouvelle” 28 marca 1938. W czerwcu tegoż roku para wraz z córeczką pojawia się w Lichtensteinie.

Miasojedow występuje w tym malowniczym kraiku jako „profesor Zotow”. Szybko nawiązuje kontakty z elitą księstwa: maluje księcia i jego małżonkę, otrzymuje państwowe zamówienia na znaczki Lichtensteinu. Patriarchalny starzec z długą siwą brodą jest powszechnie lubiany. Rzeczy komplikują się nieco, gdy paszporty Miasojedowych utraciły po 10 latach ważność: czeski konsul w Bernie stwierdza, że dokumenty są fałszywe. Zotowowie otrzymują status bezpaństwowców. W roku 1947 berneńska prokuratura otrzymuje donos: podobno Zotow produkuje fałszywe paszporty Lichtensteinu i banknoty dolarowe. Następnego dnia władze w Vaduz przeprowadzają rewizję i znajdują płyty miedziorytnicze do drukowania studolarówek. Zotow/Miasojedow otrzymuje wyrok 2 lat ciężkiego więzienia i nakaz opuszczenia kraju po odsiedzeniu wyroku.

Wychodzi po dwóch miesiącach. Stopniowo szykuje się do emigracji do Argentyny, gdzie grunt przygotowuje mu Holmston/Smysłowski. Ale nadal jest poważanym obywatelem. Rząd Lichtensteinu zamawia u niego w roku 1951 cykl rycin, przedstawiających poszczególne gminy księstwa. Zotow ze swej strony oferuje szwajcarskiej firmie Orell Füssli & Co własny system zabezpieczeń przed fałszerstwem (fachowiec!). W roku 1952 w Vaduz ma miejsce wystawa obrazów „prof. E. Zotowa”. W roku następnym, serdecznie żegnany przez barona Falz-Feina, wyrusza z Malwiną w drogę do Argentyny. Płyną statkiem MS Augustus — stosowna nazwa dla kogoś, kto w młodości lubił się fotografować upozowany na rzymskiego cesarza. Ale dla Miasojedowa to już ostatnia podróż. Wdaje się rak, w Buenos Aires malarz próbuje jeszcze reaktywować ruch Pieredwieźników, ale 27 lipca 1953 umiera. Dziś nie istnieje już nawet cmentarz, na którym go pochowano. Towarzyszka życia powróciła do Europy z jego spuścizną, umarła

¹¹ Danilevič, *Baron Falz-Fein*, s. 127.

w domu starców w Vaduz w roku 1972. Spuścizną opiekuje się Fundacja Prof. Eugena Zotowa — Iwana Miasojedowa z siedzibą w Vaduz.

Na koniec chciałbym jeszcze wspomnieć o pewnych wątkach polskich w twórczości tego artysty. To drobiazgi, które jednak warto są chyba odnotowania. W roku 1911, podczas pobytu stypendialnego w Rzymie, Miasojedow namalował portret olejny oraz wiele szkiców ołówkowych niejakiej Antonietty, rzymskiej modelki, która miała wówczas 48 lat (kat. 37, 38, 40). Z twarzy siwowłosej kobiety przebija duma z własnego ciała i spokojna zaduma nad upływem czasu. Otóż Antonietta była w młodości modelką Henryka Siemiradzkiego, w roku 1880 pozowała mu do *Tańca z mieczami*¹². Inne *polonicum* w twórczości Miasojedowa to pastel, przedstawiający Chopina i George Sand (kat. 71): kompozytor z głową opartą na lewej dłoni, w której trzyma bukietek fiołków, wystukuje coś prawą ręką, też „uzbrojona” w bukietek, na fortepianie, pisarka unosi się niemal w powietrzu, w powiewnej sukni, ze skrzyżowanymi rękoma i przymkniętymi w ekstazie oczyma. I wreszcie *Pojedynek dam. Balladyna zabija Alinę* (kat. 75) — barwny rysunek z akwarelą, przedstawiający dość frywolną scenę pojedynku na szpady w wykonaniu pończochach, między którymi widać w głębi biegnącego Kirkora w przebraniu pustelnika. Ta dynamiczna scenka, nie znana polskim badaczom ikonografii Słowackiego, nawiązuje do *Balladyny* w przekładzie Konstantego Balmonta, wystawianej w 1920 r. przez MchAT (Moskowskij Chudożestwiennyj Akadiemiczieskij Tieatr)¹³.

Miasojedow z powieści Mackiewicza, wdowa po nim i jej drugi mąż walczyli z uprzedzeniami i presją opinii publicznej. Pomarli w niesławie. Iwan Miasojedow prowadził życie, które było nieustannym wyzwaniem, ale opinia publiczna obeszała się z nim stosunkowo łagodnie. Dziś, pośmiertnie, jest uznanym malarzem, urządza mu się wystawy, pisze się o nim uczone rozprawy. A jednak między tymi biografiami istnieje, jak się zdaje, pewne głębsze pokrewieństwo. Są to biografie niepokorne, biografie jednostek, skonfliktowanych ze społeczeństwem, jednostek, które bronią prawa do swojej prawdy.

Czy Józef Mackiewicz zetknął się z postacią Iwana Miasojedowa? Fizycznie na pewno nie: Miasojedow zmarł w Argentynie w roku 1953, Mackiewicz dopiero w 1955 przeniósł się z Londynu na kontynent i zamieszkał w Monachium. Mógł niewątpliwie czytać coś o nim w prasie, zwłaszcza, że nazwisko Miasojedow nie było mu obce; pomysł osnucia wokół tego nazwiska powieści dojrzał w nim być może już od roku 1935, na pewno skryształizował się w 1949. Czy w archiwum Józefa Mackiewicza zachowały się jakieś wzmianki o Zotowie/Miasojedowie, dowiemy się najwcześniej w roku 2005.

Już dziś wszakże można powiedzieć, że między powieściową biografią oficera i rzekomego szpiega Miasojedowa a rzeczywistą biografią malarza i niewątpliwego fałszerza Miasojedowa istnieje *iunctim* w postaci pewnego rosyjskiego malarza. Wspomniałem już nazwisko berlińskiego przyjaciela Iwana Miasojedowa. Wasilij Nikołajewicz Masjutin urodził się w roku 1884 w Rydze. Od roku 1908 wystawiał w Petersburgu i w Moskwie. Bezpośrednio po rewolucji był autorem prac o wymownych tytułach: *Rok 1917, Manifestacja, Zwycięzcy*. W latach 1919–1920 ogłosił dwie powieści fantastyczne, które sam ilustrował. Zasłynął jako ilustrator tekstów Błoka, Dostojewskiego, Gogola, Lermontowa, Pilniaka, Puszkina. Pod koniec roku wyjechał do Rygi, rok później do Berlina. Należał do najaktywniejszych członków rosyjskiej emigracji w tym mieście, brał udział w corocznych wystawach. Po wojnie Rosjanie internowali go w obozie w Sachsenhausen. Zmarł w roku 1955 w Berlinie. Miasojedow korespondował z nim do końca życia,

¹² Zob.: *Spuren...*, s. 164.

¹³ Przekład Balmonta ukazał się drukiem w roku 1911 w tomie *Tri dramy* (wraz z *Lillą Wenedą* i fragmentem *Samuela Zborowskiego*).

pisał bardzo otwarcie o swoich problemach i słabościach, listy te są dziś przechowywane w Fundacji Zotowa-Miasojedowa w Vaduz. Kiedy Masjutin dowiedział się o śmierci Miasojedowa, zaraz przekazał tę wiadomość Dawidowi Burliukowi do Nowego Jorku. Burliuk odpisał:

Niech mi Pan szerzej napisze o malarzu Miasojedowie (to był piękny mężczyzna, za-
paśnik)¹⁴.

W powieści Mackiewicza występuje dobry znajomy i sąsiad Miasojedowa, malarz nazwiskiem Maljuszyn. Zdaniem Tomasza Mianowicza wypowiada on w powieści „wiele poglądów Mackiewicza”¹⁵. To może za mocno powiedziane, ale niewątpliwie jest to w tej książce postać znacząca. Malarz, który z Włoch przywiózł obrazy, przedstawiające przeważnie rozwieszane na włoskich uliczkach pranie. Przeciwnik wszelkiego upraszczania. Przewidujący, że mogą nadejść czasy, kiedy nie być socjalistą będzie wymagało więcej odwagi, niż nim być. Zwolennik „awangardy czasu”, wyśmiewający utarte pojęcia. Człowiek, który za najwyższe ludzkie szczęście uważa „zachowanie wewnętrznej szczerości”¹⁶. Słowem: malarz-intelektualista. Skoro autentyczny Szydlowski zmienił się w powieściowego Szatkowskiego, czyż autentyczny Masjutin nie mógł zmienić się w powieściowego Maljuszyna?

¹⁴ *Spuren...*, s. 62.

¹⁵ Zob.: T. Mianowicz, *Dwie powieści Józefa Mackiewicza*, [w:] *Nad twórczością Józefa Mackiewicza*, pod red. M. Zybury. Warszawa 1990 s. 60.

¹⁶ J. Mackiewicz, *Sprawa pułkownika Miasojedowa*. Londyn 1962 s. 178.

KONTRA JÓZEFA MACKIEWICZA: O POSTACIACH I TECHNIKACH POWIEŚCIOWYCH

Waldemar JAKUBOWSKI (Lublin)

Kozacka epopeja zajmuje szczególne miejsce w twórczości autora *Lewej wolnej*. Jest jakby prefigurą całej jego literackiej działalności. Stanowi ramę czasową, w której Józef Mackiewicz będzie się dość konsekwentnie poruszał. Magiczną granicą dla powieściopisarstwa wilnianina jest rok 1945. Jeśli wybiega poza tę granicę, to po prostu na zasadzie dopowiadania, snucia epilogu. Mackiewicz-artystę rzeczywistość powojenna nie interesuje! Co innego publicystyka, ta bardzo często relacjonuje zdarzenia powojenne.

Kontra zapowiada także tematyczne kierunki dzieła Józefa Mackiewicza, które zostaną rozwinięte w późniejszych jego powieściach. Są to: obie wojny światowe, rewolucja, pierwsza i druga kontrrewolucja, charakterystyka dwu totalitaryzmów. Przede wszystkim jednak zarysowana została sylwetka człowieka wobec kataklizmów XX w., będzie ona potem systematycznie rozwijana. Wobec powyższego można potraktować kozacką opowieść jako wstęp i równocześnie streszczenie zainteresowań pisarskich byłego reportera „Słowa”.

W powieściopisarskiej twórczości Józefa Mackiewicza *Kontra* zajmuje szczególne miejsce przede wszystkim z dwu powodów: nie dotyczy bezpośrednio spraw polskich (podobnie jak *Sprawa pułkownika Miasojedowa*) oraz cechuje się fabularną kondensacją i koncentracją na jednym temacie. Skąd wzięło się zainteresowanie losem Kozaków i to w dodatku tych znad Donu? Musi widocznie istnieć związek między losami Donu a dziejami Wileńszczyzny, jaki?... Nietrudno zgadnąć — jest nim oczywiście wspólnota doświadczeń związanych z komunizmem. Nie jest to jednak wyjaśnienie, dlaczego akurat Kozacy są bohaterami powieści. Mogliby nimi być na przykład Kałmucy, Tatarzy czy też Estończycy, których dzieje są bliżej związane z Wileńszczyzną. Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że o wyborze zdecydowały wydarzenia 1 czerwca 1945 r. nad rzeką Drawą. Ich gwałtowność i dramatyzm (tak pożądane dla każdego chyba pisarza) oraz wymowa polityczna i ideowa pozwalająca rozwinąć i egemplifikować tezy

głoszone przez autora *Zwycięstwa prowokacji*¹. W takim wypadku zupełnie nie liczyło się to, że Kozacy kojarzą się Polakom, delikatnie mówiąc, niedobrze.

Temat kozacki wpisuje się w wątek nadrzędny w twórczości Józefa Mackiewicza, jest nim konsekwentnie budowany wizerunek Rosji przedrewolucyjnej. Sposób przedstawiania Rosji w *Kontrze* można bez ryzyka nazwać daleko posuniętą idealizacją. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że obiektywnie, w porównaniu z Rosją bolszewicką, carska z pewnością prezentuje się, jeśli nie dobrze, to z całą pewnością o niebo lepiej. Konsekwentna idealizacja jako zabieg artystyczny jest zrozumiała, uwydatnia kontrast między starym a nowym porządkiem, idea przekazu staje się czytelniejsza. Z punktu widzenia historycznej rzetelności pozostawia natomiast wiele do życzenia².

Drogą idą woły, za nimi kurz stoi leniwie i nie chce opadać. Kolcow stoi leniwie na ganku w rozpiętym zipunie, w rozchełstanej koszuli, drapiąc się po nieogolonej siwiźnie policzka (17)³.

Niczym niezmacony spokój tworzy kontrast z późniejszymi gwałtownymi wydarzeniami, przygotowuje odbiorcę, by różnica stała się wyraźniejsza. W jakimś sensie motywuje psychologicznie zachowania bohaterów w dalszej części opowieści. Zwraca uwagę także charakterystyczny dla autora *Kontry* sposób opisywania postaci, cechujący się daleko posuniętym naturalizmem: drapanie się po głowie, rozchełstane koszule, spluwanie itd.⁴ Jednak nie jest to prawda do końca, pewnych czynności właściwych tak ludziom, jak zwierzętom i wykonywanych codziennie u Mackiewicza nie znajdziemy. Tak jakby chciał powiedzieć, że nie ma ochoty być niewolnikiem żadnej doktryny literackiej, korzysta po prostu z pewnych technik, gdy wydają mu się artystycznie potrzebne.

Autor *Kontry* ma poglądy ugruntowane nie tylko w odniesieniu do spraw, nazwijmy je ogólnie, politycznych. Posiada także okrzepłą wizję problemów egzystencji. Wizerunek człowieka u Józefa Mackiewicza nie należy do najpochlebniejszych w literaturze. Samo w sobie nie jest to niczym szczególnym i nie odbiega przecież od „zdroworozsądkowego” widzenia ludzkości przez większość przedstawicieli tego gatunku. Ciekawe wydaje się natomiast wyjaśnienie takiego stanu rzeczy, jakie proponuje autor *Zwycięstwa prowokacji*. Wynika z niego, że nie ma on złudzeń w odniesieniu do ludzkości⁵. Człowiek raczej nie jest taki, żeby chciał szkodzić innemu, najważniejsze: jego własne dobro (cieszy się, że „nie jemu się przytrafiło”). Zdobędzie się nawet na tolerancję, gdy problem go nie dotyczy:

Z Turkiem wprawdzie nigdy nie wojowałem, ale wiem, że wódki nie piją i po kilka bab mają. Niech sobie. Nie ja od nich będę odbierał (18).

Słowa, jakie wypowiada stary Kolcow, współgrają ze stałym dążeniem autora, by Kozacy na tle innych społeczności wypadali lepiej. Stąd biorą się różne zabiegi, za pomocą których taki wizerunek przenika do odbiorcy, sączy się wąską strugą, na ile skutecznie, to już inna kwestia. Przy generalnie pesymistycznej wizji ludzkości, sygnały takie nie muszą być bardzo silne, poprzez kontrast i tak zostaną uwydatnione, a twórcy nie będzie można posądzić o nachalną i naiwną ideologizację przekazu.

Wrażenie tolerancyjności pozostaje nawet wtedy, gdy bohater osobiście doświadczony wymienia wady przyszłego zięcia. Na pierwszym miejscu stawia jego status społeczny

¹ Por.: W. Lewandowski, *Józef Mackiewicz: Artyzm. Biografia. Recepcja*. Londyn 2000 s. 37.

² Z podobnym zjawiskiem spotkamy się u A. Sołżenicyna; zob. np.: *Rosja w zapaści*. Warszawa 1999 s. 87 i 102.

³ Cytaty z powieści z: J. Mackiewicz, *Kontra*. Londyn 1988, z numerem strony w nawiasie.

⁴ O naturalizmie, zob.: M. Bąkowski, *Votum separatum*. Londyn 2000 s. 34 i 36.

⁵ Por.: J. Bocheński, *Ludzkość*, [w:] *Sto zabobonów*. Kraków 1992 s. 78.

(„bezdolny włóczęga”), a dopiero w drugiej kolejności mówi o przynależności etnicznej i religijnej („do tego jeszcze niewierny”).

Jeśli chodzi o motywację wydarzeń, to poza „przyrodniczą” nie otrzymujemy żadnej innej, bohaterowie zachowują się tak, jak zachowują, z przyczyn niewyjaśnionych⁶. Zostajemy powiadomieni, że ludzkie czyny często nie mają po prostu uzasadnienia i są dziełem przypadku.

Kolcow [...] potraktował go trochę jak gościa, czemu się właściwie sam dziwił, i nie bardzo później rozumiał dlaczego tak wyszło... (18).

Wskazuje się, co prawda, na źródło wiedzy, ale równocześnie pada stwierdzenie o daremności wszelkiego dociekania:

I jak to Pan Bóg na takich nie ciśnie piorunem? Nie rozumiem ja. Ech, tam! Pana Boga zrozumieć, to by za dużo czasu na to stracić trzeba było. Nic tylko myśleć. Gospodarkę zaniedbać i z torbami pójść (20).

Pan Bóg dla bohaterów *Kontry* jest bardzo daleko, aż tak, że nie warto się Nim zajmować⁷. Nie stanowi punktu odniesienia, jest milczeniem lub, co najwyżej, ujawnia się w figurach retorycznych. Postaci nie mają żadnego dostępu do nadprzyrodzonych źródeł wiedzy. Czytelnik, jak i bohater powieści, pozostaje wobec tajemnicy samotny, nie może także liczyć na pomoc sił przyrody. Bezsilność w obliczu przypadku i tajemnicy to stałe elementy towarzyszące postaciom wykreowanym przez autora *Kontry*⁸.

W prezentacji postaci narrator ujawnia znaki przenikające poprzez warstwy tekstu, łączące oddalone jego części semantycznymi klamrami. Tak jest w przypadku motywu wyjazdu Mitii nad Don. W bandzie „bezprizornych”, jako człowiek wciąż wolny, przejawia chęć odnalezienia rodziny. Po przejściach w sowieckich obozach, już jako człowiek sowiecki, sam odrzuca taką możliwość. Wśród wielu sygnałów przemiany ten wydaje mi się niezwykle istotny. Odcięcie od swych korzeni ma symboliczną wymowę utraty tożsamości indywidualnej na rzecz kolektywnej. Jeszcze jeden przejaw zróżnicowania jakościowego Rosji przed i po rewolucji, co Mackiewicz stara się podkreślać przy każdej nadającej się do tego okazji.

Wspomniane „klamry semantyczne” dają się obserwować w powieści jeszcze kilkakrotnie. Poprzez odwołanie się do obrazów uprzednio prezentowanych są elementem scalającym tok powieści, który ma znaczenie tym bardziej, jeśli weźmie się pod uwagi jej „rwaną” strukturę.

Nierzadko problematyka społeczna wielkiej wagi jest egzemplifikowana przez indywidualnego bohatera. Tak dzieje się w przypadku młodszego syna Kolcowa, który jest najważniejszą postacią utworu, gdyż to na jego przykładzie ukazują Mackiewicz zmiany, jakie zachodzą w psychice człowieka pozostawionego samotnie wobec sowieckiego systemu władzy. W krótkim fragmencie ujawnia się wielki kunszt pisarski autora *Kontry*, stajemy wobec wprost genialnego konterfektu zmiany⁹:

Mitia wyszedł w lipcu, w marynarce narzuconej na ramiona, z drewnianym kuferkiem w ręku, z jakim kiedyś podążali do wojska wiejscy rekruci. Gdy przy okienku kasy stacyjnej podszedł doń służbowy z GPU i zapytał: „A ty dokąd?” Odpowiedział obojętnie:
— Do Bobrików.
— Pokaż dokumenty.
Pokazał obojętnie.

⁶ O tajemnicy, zob.: W. Lewandowski, *Józef Mackiewicz...*, s. 313.

⁷ Por.: P. Skawarski, *Milczenie Boga czyli agnostycyzm J. Mackiewicza*, W drodze 1995 z. 11 s. 32.

⁸ Podobnie problem widzi A. Fitas w: *Model powieści Józefa Mackiewicza*. Lublin 1996 s. 145.

⁹ Por.: W. Lewandowski, *Józef Mackiewicz...*, s. 278.

— Po co tam?

— Na służbę wysyłają — odparł obojętnie.

— No, waliaj!

Kiwnął głową obojętnie. Wiedział, że tak trzeba, że taki jest porządek (37).

W powyższej scenie użyto czterokrotnie słowa: „obojętnie” na przestrzeni kilku krótkich zdań i równoważników! Z całą pewnością nie jest to nieudolność stylistyczna autora. Obojętność urasta do rangi najważniejszej immanentnej cechy *homo sovieticus*, w niej zawiera się cały bezmiar znaczeń¹⁰. Jak widać, bohater obojętnie na bodźce zewnętrzne, przyjmuje niedogodności i dotkliwe naruszenia godności osobistej jako składniki naturalne. Pytania służbowego GPU nie są neutralne, noszą wszelkie znamiona agresji człowieka władnego decydować o życiu i śmierci indagowanego, a jego ostatnia wypowiedź tylko podkreśla nadaną władczość. Bezmiar tragedii moralnej przejawia się w zgodzie na tę sytuację¹¹.

Zgoda na naruszenie godności nie wyczerpuje jednak zagadnienia, obojętność ma także wymiar wewnętrzny i objawia się jako rezygnacja z wszelkich ludzkich dążeń. Bohater jedzie tam, gdzie mu każą jechać. Nie przejawia żadnych własnych ambicji ani dążeń, te mogłyby się okazać niebezpieczne dla jego fizycznego bytu, więc reaguje instynktownie, jak zwierzę, unika niebezpieczeństwa. Nie myśli nawet o oporze, jak stwierdzi narrator w dalszej wypowiedzi¹². Obojętność to także przyzwolenie na brak perspektyw, redukcję przyszłości do dnia jutrzejszego, a przeszłości do zera, pamięć o przeszłości może okazać się niebezpieczna.

Mizerność dorobku duchowego współgra ze znikomością dorobku materialnego, który daje się zarzucić na ramię i spakować do drewnianego kuferka. Poprzednia, tragiczna a jednak rzeczywista, przestrzeń wolności została zlikwidowana. Jako bezprizorny Mitya mógł jechać, dokąd chciał, teraz jako niewolnik podlega wszechstronnej kontroli, nie może nawet kupić biletu do wymyślonego przez siebie miejsca. Transformacja jest radykalna, ale bohater zdaje się jej nie dostrzegać.

Jaka jest najbardziej charakterystyczna cecha *homo sovieticus*? Otóż według Józefa Mackiewicza jest nią totalne zakłamanie. Prawda nie może być ujawniana nikomu, osobom postronnym, co oczywiste, ale także najbliższym członkom rodziny, bo grozi nieobliczalnymi skutkami. Już na tym etapie otrzymujemy wizerunek przerażający, o godności osobistej w takich warunkach nawet nie da się marzyć. A na tym się przecież proces nie kończy, z bezwzględną skutecznością działa jeszcze mechanizm wewnętrznego okłamywania się. Prawdziwe jest nie to, co stało się naprawdę, ale to co zostało zapisane w kwestionariuszu¹³. Człowiek nie staje się takim na własne życzenie. Zmiany są wynikiem dramatycznej walki o przeżycie. Bohater wypowiada się wprost na ten temat:

Niech się mędrcy zastanawiają a nie znajdą innego celu ponad: życie samo w sobie. Co innego sens tego życia. Nad tym można się zastanawiać, owszem. Ale jakiego sensu można dopatrzeć się w łagrze, na który czego-dobrego skażą? — Tak rozumował Mitya (39).

Zdaje się, że nie tylko Mitya tak rozumował, podkreślanie znaczenia życia samego w sobie przewija się przez karty powieści i twórczości autora *Kontry* ciągle. Z drugiej jednak strony znajdziemy w tej twórczości wiele momentów, w których krytykuje się

¹⁰ M. Bąkowski, *Votum separatum*, s. 121.

¹¹ Por.: A. Fitas, *Model powieści...*, s. 96.

¹² Por.: W. Lewandowski, *Józef Mackiewicz...*, s. 207 i M. Bąkowski, *Votum separatum*, s. 31.

¹³ Problematyce prawdy poświęcił najwięcej uwagi M. Bąkowski w dwu początkowych rozdziałach swej książki, zob. szczególnie: s. 15, 25, 39, 43–47, nazywa zjawisko: „absolutnym stosunkiem do prawdy”.

taką postawę, bierne poddawanie się systemowi¹⁴. Skąd bierze się taka podwójna miara? Odpowiedzią może być dwustopniowa norma aksjologiczna¹⁵. Życie dla przeżycia jest dopuszczalne, o ile nie stawia przed sobą innych zadań, ogranicza się do przetrwania, wpisuje się w byt szarego obywatela. Inna sprawa, gdy pojawiają się ambicje, te zawsze będą prowadzić do służby aparatowi zniewolenia i jako takie nie mogą być akceptowane. Innymi słowy życie jest prawem przyrodzonym, prawem natury i tego nie można nikomu zabronić, natomiast jakakolwiek „kariera” w systemie zniewolenia powinna spotkać się z dezaprobatą. Tak więc Mitia „stał się człowiekiem sowieckim”, ale nie można go za to potępiać, gdyż „chodziło o całe życie”. Swą wypowiedź narrator kończy jednak akcentem optymistycznym:

A tymczasem ojciec, stary Aleksander Kolcow, żył nadal, istniał (40).

Dla *homo sovieticus* istnieje alternatywa, uosabia ją Aleksander Kolcow, który przedstawiany jest jako depozytariusz wartości starego świata, prawdziwych wartości. Jego istnienie ma wagę znacznie większą niż byt jednostkowy, dopóki żyje, możliwy jest opór skierowany nie tyle przeciw, co za. Postać głowy rodu została też wyraźnie skonstruowana z „ludźmi sowieckimi”, za których w zasadzie można uznać pozostałych członków rodziny (z wyjątkiem, rzecz jasna, najstarszego syna pozostającego na emigracji).

Generalnie czynnikiem decydującym o losach postaci jest historia w wymiarze globalnym. Nie znaczy to jednak, że nie są one motywowane w inny sposób. Pisałem wcześniej o roli przypadku, jako istotnej przyczynie wydarzeń, na tym nie wyczerpują się jednak możliwości pisarskie autora *Kontry*. Przyjrzyjmy się, jak do niego doszło i jak postępował proces rewalidacji Mitii Kolcowa. Na początku decydującą rolę ma historia. Narrator wyjaśnia, w jakich okolicznościach zwolniono bohatera z łagru:

Z nastaniem roku 1942 Mitia ponowił swoje podanie o zwolnienie z łagru na front. W roku 1935, gdy potrzebni byli bezpłatni robotnicy, przestępstwo Mitii uznano za ciężkie. Teraz, w roku 1942, gdy potrzebni byli na gwałt żołnierze na front [...] uznano jego przestępstwo za błahe (62).

Inicjatywa pozornie jest po stronie Mitii, ale to przecież nie on podejmuje decyzje, zapadają one bardzo wysoko, w salonach-gabinetach kreatorów historii. Następnym etapem w metamorfozie bohatera jest zmiana decyzji o kierunku podróży. Zamiast na front postanawia pojechać do rodzinnego chutoru. Trzeba pamiętać, że zmiana marszruty ma konsekwencje nie tylko fizyczno-geograficzne, zadecyduje o przyszłym losie postaci, co biorąc pod uwagę okoliczności historyczne, nie powinno dziwić. Pozorną zagadkę zmiany decyzji tłumaczy zapewne jej wewnętrzne źródło.

Dlaczego młodszy Kolcow zmienił decyzję i dlaczego narrator nie stara się jej precyzyjnie określić, mimo że dociekanie przyczyn, nawet najgłębszych, jest częstym zadaniem, jakie sobie stawia. Wszystko wskazuje na to, że motywacje bohatera są natury emocjonalnej, działa pod wpływem bodźca, chwilowego nastroju, na który złożyły się wspomnienia, majaki i oddziaływanie otoczenia. Nie oznacza to, że osobowość Mitii

¹⁴ Np. rozdział *Okupacja sowiecka*, w tomie: J. Mackiewicz, *Fakty, przyroda i ludzie*. Londyn 1993 s. 170, gdzie Mackiewicz pisze: „czasem znowu mi się zdaje, że okupacja sowiecka przypomina ten obrazek z *Ogniem i mieczem*, gdy skazańcy z samego tylko strachu przed Jeremim Wiśniowieckim, wieszali jeden drugiego, ponaglając: prędzej, prędzej, bo on się będzie gniewał. — Tak mniej więcej było podczas wyborów”.

¹⁵ Zob.: T. Czeżowski, *Dwojakie normy*, [w:] tegoż, *Pisma z etyki i teorii wartości*, pod red. P. J. Smoczyńskiego. Wrocław 1989 s. 147; S. Kamiński, *Jak uporządkować rozmaite koncepcje wartości?* [w:] *O wartościowaniu w badaniach literackich*, pod. red. S. Sawickiego, W. Panasa. Lublin 1986 s. 16 (o wartościach transcendentalnej i kategoryjnej).

nie odegrała żadnej roli, wręcz przeciwnie, jego konstrukcja psychiczna w zdecydowany sposób umożliwiła takie a nie inne reakcje. A dlaczego narrator nie nazywa tych stanów, nie daje pełnej informacji, mimo pełnego wglądu we wnętrze bohatera? Przyczyna leży najprawdopodobniej w dążeniu do zachowania wiarygodności relacji, także na poziomie psychologicznym. Skoro postać miałaby trudności w nazwaniu przyczyny swej decyzji, opowiadacz również nie może tego robić, pewne sfery muszą pozostać w ukryciu, jeśli ma być uratowana psychologiczna wiarygodność przekazu. O stanach wewnętrznych można oczywiście wnioskować, ale zawsze wnioskowanie takie będzie w jakimś stopniu ułomne, napotka bariery, poza które nie wolno sięgać, jeśli chce się pozostać wiarygodnym¹⁶.

Trzeci etap przemiany następuje w rodzinnym chutorze, składa się na niego spotkanie po latach z ojcem i towarzyszące temu zdarzeniu okoliczności. Stroną aktywną jest oczywiście ojciec. Co dzieje się we wnętrzu starego Kozaka? Niestety, po raz kolejny narrator nie ma do niego wstępu, wygląda, że jest lepiej zorientowany w psychice człowieka sowieckiego niż osoby, która sowietyzacji się oparła. Czyżby przyczyny ulegania systemowi były łatwiejsze do określenia, aniżeli przyczyny opierania się mu. Można się zgodzić z taką tezą, powody poddawania się indoktrynacji mają charakter masowy i jako takie dadzą się opisać w formie reguł. Natomiast opór jest zawsze indywidualny, decydują przyczyny wewnętrzne, a więc nie dające się jednoznacznie klasyfikować, poza oczywistą różnicą pokoleń i związanych z tym doświadczeń.

Znamienny i konsekwentny jest także kontrast towarzyszący ukazywaniu obu postaci: oczy Kolcowa są po dawnemu „barwy szarego lodu”, natomiast Mitia ma „zapadłe policzki”. Jeszcze raz uwydatniane są skutki poddania się systemowi. Scena powitania nie obfituje w słowa, ściślej — padają tylko dwa, postacie więcej mówią poprzez zachowania i gesty. Kolcow dotyka syna „jakby był ślepy”, co podkreśla „cudowność” zdarzenia. Przypomnijmy: „milliooony” zginęły, dlatego trudno uwierzyć ojcu w spotkanie z synem. Nie odbiera to scenie realizmu, przecież ktoś musiał przeżyć, dlaczego w takim razie nie miałby to być Mitia? Oszczędny dialog także nie narusza poczucia rzeczywistości, w końcu co niby mieliby mówić w dużym stopniu obcy sobie ludzie, zaskoczeni na dodatek sytuacją. Jak więc widać, niezwykle zdarzenie zostało opisane ze sporą dozą poczucia rzeczywistości¹⁷.

Skoro spotkanie z ojcem nie było decydującym punktem w przemianie duchowej Dymitra Kolcowa, kiedy w takim razie można powiedzieć o przekroczeniu niewidzialnej bariery, która na zawsze miała go oddzielić od znenawidzonego sowieckiego „rodowodu”? Kiedy zamknął się ostatni etap swoistej metagenezy bohatera? Sygnałem takiej zmiany jest zapewne inny sposób budowania wizerunku postaci:

— Ej! Wy co!? Chłopczy dawajcie łopaty! Waniaaa! Łopatęęę!! Mitia! Dawaj, dawaaaj!

Mitia uśmiechnął się mimo woli na ten okrzyk, tak personalnie i bezpośrednio do niego skierowany, wesołym zadzierzystem głosem, jakim nań dawno już nikt nie wołał (70).

Mitia nie jest już przygarbiony, pasywny, wychudły, zrezygowany, pogodzony z systemem. Uśmiecha się, wyraża zadowolenie, działa. Wcześniejsze okrzyki podkreślają aktywność bohaterów, ich zaangażowanie oraz radość. Przypomnijmy jednak, że scena rozgrywa się nad trupami zastrzelonych przed chwilą enkawudzystów, którzy zo-

¹⁶ Można przypomnieć choćby przekonania behawiorystów, którzy odrzucali w ogóle sensowność badania myśli i nastrojów, wszelkich stanów wewnętrznych, zob.: G. Mietzel, *Wprowadzenie do psychologii*. Gdańsk 2000 s. 30.

¹⁷ O realistycznej kreacji bohaterów zob.: A. Fitas, *Model powieści...*, s. 118.

staną za chwilę zakopani, nie da się przecież powiedzieć zgodnie z rzeczywistością: pogrzebani. Radość ma więc wydźwięk makabryczny, taniec nad ciałami pomordowanych, kimkolwiek by oni byli, wskazuje na zupełnie nową jakość w życiu bohaterów w tym i Mitii, metageneza dokonała się¹⁸.

Ze względu na reprezentatywny charakter postaci w *Kontrze* całą sytuację można odnieść nie tylko do postaci działających w chutorze Jaglickim. Wydarzenia ilustrują zjawiska masowe, pokazują, jak doszło do pobudzenia ludzkich odruchów w sowieckich obywatelach. Nie pomijając chęci mordy i triumfu myśliwego nad ofiarą, które, jak widać, autor uznaje za immanentnie ludzkie. Nie stawia to kontrrewolucjonistów w najkorzystniejszym świetle, ale czytelnik został do tej prezentacji bardzo dobrze przygotowany, „urobiony”, nie ma więc obawy, zrozumie motywy działania bohaterów, istnieje duże prawdopodobieństwo, że również wybaczy¹⁹.

Mitia to przedziwny bohater, spokojny, zrównoważony, w jednej chwili zmienia się w furiata oszołomionego uniesieniem bojowym. Jaki jest naprawdę? Najbardziej prawomocne jest twierdzenie, że nie ma jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie, bohater zwyczajnie wciąż się zmienia. Tylko czy taka nieustająca metamorfoza rzeczywiście jest czymś zwyczajnym?

Bardzo trudno uznać zachowanie Mitii za mieszczące się w ogólnie przyjętych ramach tak zwanej normalności. Widać to najlepiej na przykładzie epizodu jugosłowiańskiego. W ciągu zapewne niespełna godziny jest: dwa razy starym wojakiem, którego niewiele może poruszyć, raz ogarnia go bojowe uniesienie rodem z filmów wojennych trzeciej klasy, raz niczym nieuzasadniona panika. Czy zachowanie takie jest prawdopodobne? Zdecydowanie nie jest, chyba żeby przyjąć, iż bohater cierpi na zaburzenia osobowości, co, jak wiemy, nie zgadza się ze stanem faktycznym. Cała prezentacja natomiast doskonale odmalowuje stany świadomości towarzyszące żołnierzom na polu walki i w tym tkwi jej cel. Nie w charakterystyce pojedynczego bohatera, a w pokazaniu, jak mogą zachowywać się ludzie w obliczu zagrożenia życia, opowiadacz buduje model takich zachowań²⁰. Oczywiście jeden bohater nie może sprostać zadaniu zbudowania modelu postaw wobec sowieckiego zniewolenia. Konieczne jest wprowadzenie w tej roli innych postaci.

W najwyraźniejsze psychologiczne osobiste motywacje wyposażono parę bohaterów: Ulę i jej syna Alego. Pod wieloma względami ich losy wykazują daleko idącą zbieżność. Decyzja o powrocie do Związku Sowieckiego jest konsekwentnie przygotowywana przez szereg sygnałów.

Ula prawie z każdym dniem stawała się coraz bardziej zgryźliwa. Twierdziła, że klimat jej nie służy. Starzała się w sposób nieprzyjemny dla otoczenia. [...] Ponad wszystko jednak zżerała ją wewnętrzna nieutulona tęsknota za synem. [...] w Uli jednak tęsknota łączyła się ponadto z fanatyczną nostalgią za krajem... (138).

Postawa bohaterki doprowadzi ją nawet do waśni z ojcem, chwilowej co prawda, ale jednak. Bardzo rzadki to wypadek. Konstrukcja powieści nie przewiduje właściwie takich splotów akcji, które prowadziłyby do prawdziwych konfliktów prywatnych. Motywacje osobiste popychają niekiedy postaci do działań wymierzonych przeciw innym, ale dzieje się to poniekąd przypadkowo i najczęściej jednorazowo (śmierć żony i córki Kolcowa w czasie rewolucji). W całym utworze nie występuje ani jeden rozwinięty konflikt osobi-

¹⁸ O relacji: bohater — przestrzeń — sytuacja, zob. w: A. Martuszevska, problem tzw. interferencji elementów rzeczywistości przedstawionej, w: PTL ser. 3, s. 197 i 199.

¹⁹ Por.: W. Lewandowski, *Józef Mackiewicz...*, s. 268 i 269. O ewokowaniu odczuć czytelnicych wobec postaci.

²⁰ O reprezentowaniu ludzkich reakcji zob.: A. Fitas, *Model powieści...*, s. 98.

sty opatrzony „wymianą ciosów” i uzasadniony różnymi interesami²¹! Tę „ułamność” rekompensuje do pewnego stopnia rozbudowana sprzeczność dążeń świata polityki. To bardzo charakterystyczna i wielce znamienne cecha dzieła.

Stan psychiczny bohaterki ujawnia się najdobitniej w chwili śmierci ojca. Przypomina bardzo pod tym względem Mitię pogodzonego z sowiecką rzeczywistością, tak, jakby przejmowała jego rolę:

Na tę wiadomość starzejąca się kobieta obróciła się jakoś bezradnie w kółko. [...] Siwiejące włosy sterczały na jej głowie we wszystkie strony świata... (195).

Radość i pogodę ducha odzyskuje dopiero w... radzieckiej strefie okupacyjnej:

Ula, gdy wyszła z wagonu, zwróciła się do konwojenta, po raz pierwszy śmiało, bo w rodzonym języku:

— Ej, swojak! [...] przekroczyła szyny wraz z innymi. Nawet się uśmiechnęła po drodze do baraków (257).

Autor *Kontry* prezentuje postawy bardzo różne, nie mogło więc zabraknąć także i takiej. Świat, w którym nie trzeba podejmować decyzji, w którym o większości aspektów życia decyzje zapadają poza człowiekiem, dla wielu ludzi jawi się jako pokusa często nie do odparcia. Fakt, że wiąże się on nierozdzielnie z rzeczywistością baraków i drutu kolczastego, nie stanowi wystarczającego argumentu, po prostu wolność wcale nie jest wartością powszechnie uznawaną, jak się niekiedy zdaje. W przypadku Uli decyzję motywuje jeszcze opozycja: obcy-swojski, co pogłębia realizm jej zachowania. Swoista resowietyzacja bohaterki zaczyna się o dziwo jeszcze na Zachodzie. Jest znakiem tego, że otaczająca nas kultura wcale nie musi oddziaływać w sposób decydujący, co jeszcze raz potwierdza opozycyjność wobec behawioryzmu koncepcji człowieka kreowanej przez autora *Kontry*²².

Wspomniana już zamiana ról objęła także Mitię, który wchodzi w rolę Aleksandra Kolcowa, staje się postacią coraz bardziej aktywną, w miarę jak tę aktywność traci ojciec i jako taki będzie jedynym reprezentantem rodziny, który z dramatu wyjdzie cało. Jedynie Ali Malek decyzją o ucieczce odmienił (chwilowo) swój los. Bohater wykazał w tym momencie podobieństwo do Mitii, którego również uratowała osobista inicjatywa. Różnica ich dalszych dziejów wynika z odmienności motywacji psychologicznych. Ali ratuje się ze względu na miłość do Zinaidy, Mitia natomiast ze względu na miłość własną, przetrwa tylko ten drugi. Widać wyraźnie tendencję do stawiania na jednostki aktywne. Wielka historia pcha postaci, gdzie chce, ale własna przedsiębiorczość jest również czynnikiem decydującym o życiowym powodzeniu²³.

Modelowość ukazywania postaci rodzi potrzebę stałego uzupełniania modelu tak, by stał się kompletny. Dlaczego jednak ostatnią część powieści zatytułowano *Azjaci*? Prawdopodobnie wydają się dwie komplementarne zresztą odpowiedzi. Według jednej decydowałyby w tym wypadku założona optyka Brytyjczyków, zgodnie z którą wszystkie narody, powiedzmy na wschód od Łaby, są Azjatami. Nie warto ich rozróżniać, a zatem tym bardziej zajmować się ich problemami, czy też, sytuacja nie do wyobrażenia, próbować je rozwiązać. Zauważmy, że w tym momencie poglądy Brytyjczyków stałyby się

²¹ Tamże, s. 213.

²² O stosunku behawiorystów do środowiska zob.: G. Mietzel, *Wprowadzenie do psychologii*, s. 30–32.

²³ Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu Mackiewicz nie jest wyznawcą determinizmu „absolutnego” tak w odniesieniu do historii, jak i do bohaterów. Por.: A. Fitas, *Model powieści...*, s. 145; M. Bąkowski, *Votum separatum*, s. 20.

tożsame z narodowosocjalistycznymi i byłby to jeszcze jeden czynnik kompromitujący tych pierwszych (wykorzystywany już wcześniej).

Druga odpowiedź: Azjaci są podwójnie niewinni ze względu na swe podwójne zniewolenie. Jedno wcześniejsze, sięgające czasów rosyjskich jeszcze i mające charakter dominacji narodowej Rosjan. Drugie, świeższej daty, bolszewickie, sięgające, według autora *Kontry*, znacznie głębiej. Odpowiedź taka niesie ze sobą sugestię, że przedstawiani bohaterowie nie byli niczym zobowiązani do wierności Związkowi Sowieckiemu, gdyż stali się jego obywatelami w wyniku podwójnej agresji. Ich przypadek jest zatem moralnie o wiele jaśniejszy niż to ma miejsce w odniesieniu do Kozaków, których separatyzm sam Aleksander Kolcow uważał za „przesadnie wybujały”. Przy skrajnie pojmowanym legalizmie dałoby się ich oskarżyć o zdradę, Azjatów natomiast raczej nie. Azerowie, Karaczaje, Ingusze i tak dalej nie mieli z krajem, którego się stali częścią, na dobrą sprawę żadnych punktów stykowych ani religijnych, ani kulturowych, ani społecznych. Dlatego też ich przykład jest o wiele jaskrawszy a obcość wobec ewentualnych prześladowców dostrzegalna gołym okiem, bo przecież fizyczna.

Najważniejszym motywem części trzeciej jest przetrwanie w obcym i wrogim świecie. By przeżyć, trzeba wyrzec się własnej tożsamości, przekonań, udawać kogoś innego, zmieniać się jak kameleon–Paulina Grostaczko. Większość bohaterów, którzy przetrwiają, udaje, kłamie, zmienia skórę i poglądy zależnie od potrzeb. Robi w ten sposób Ali, wędrując przez Włochy, choć niezbyt wprawnie. Podobnie postępuje Signira Porolli, prowadząc Zinaidę. Wynika z tego, że warunkiem przetrwania jest zaprzeczenie samego siebie i nieunikniona w takim wypadku demoralizacja²⁴.

Dramatycznym i bardzo wymownym znakiem tej demoralizacji jest pijaństwo szerzące się wśród muzułmanów, motyw ten kilkakrotnie powraca w obrębie dwu rozdziałów (*Mediolan* i *Rzym*). „Prawo równi pochyłej”²⁵ powoduje stopniowe staczanie się wyznawców Proroka. Zaczyna się od darcia portretów i drobnych kłamstw, a kończy...

Nie może być przypadkiem, że o emigracji muzułmańskiej opowiada się w scenarii, delikatnie mówiąc, alkoholowych przyjęć. Oczywiście zawsze da się powiedzieć: nie dzieje się nic specjalnie zdrożnego. Pamiętajmy jednak, że jest to tylko pewna konstrukcja semantyczna, semiotyczny sygnał rzeczywistości o wiele groźniejszej, porzucenia wszelkich zasad moralnych na rzecz przetrwania za każdą cenę. Podkreśla się też w ten sposób dramatyzm położenia uciekinierów i panujący wśród nich nastrój niepewności i beznadziei.

Reguła ma jeden wyjątek, jest nim oczywiście młodszy Kolcow, o jego przeżyciu decyduje podwójny przypadek: uzyskanie informacji od chłopca i znajomości bohatera w dowództwie oddziału. Nie bez znaczenia są też cechy charakteru Mitii: aktywność, determinacja w walce o przetrwanie oraz odporność psychiczna i fizyczna. Podsumować można w ten sposób: tylko taki bohater mógł wyjść cało z opresji. Dodatkowo dzięki kwalifikacjom psychicznym Kolcow niespodziewanie łatwo odnajduje swe miejsce w nowym świecie i to bez zbędnych kompromisów moralnych. Ta nowa osobowość otrzymuje nawet inne imię: Dmitrij Aleksandrowicz.

Znamienne, że nigdy, bez względu na to z jakiego rodzaju bohaterem się spotykamy, nie dostrzeżemy kreacji pełnowymiarowej, wszechstronnie umotywowanej psychologicznie. Wcale nie oznacza to, że autora *Nie trzeba...* nie interesuje „psychologizacja” bohaterów, jeszcze jak interesuje! Wytłumaczenie pozornej sprzeczności jest bardzo proste, narrator ujawnia psychologiczne motywacje poszczególnych osób tylko w takim

²⁴ Por.: W. Lewandowski, *Józef Mackiewicz...*, s. 253.

²⁵ „Prawo równi pochyłej wszędzie jest jednakie. Kto na nią raz wstąpi, ten się już zatrzymać nie może” (*Kontra*, s. 219).

zakresie, jaki służy zadaniom danej prezentacji (zbudowaniu modelu) i wtedy, trzeba przyznać, czyni to z wielkim znanstwem.

Jeszcze jedna uwaga, powyższe ustalenia dotyczą w zasadzie postaci fikcyjnych a nie historycznych. Hitler jest ograniczony intelektualnie, co ma niebagatelny wpływ na przebieg kampanii na wschodzie, a Churchill zaś jest cyniczny i dlatego sprzymierza się ze Stalinem. W takim układzie trudno mówić o indywidualizacji bohaterów, dostrzegamy zaledwie „lekkie dotknięcie pędzla”. Jednakowoż, moralność jest ostatecznie w rękach jednostki. Bohaterowie są zdolni postępować odmiennie, jednym z „tematów” *Kontry* jest właśnie to, że historia mogła potoczyć się inaczej. Churchill nie musiał ulec szantażowi Stalina i godzić się na deportację kontrrewolucjonistów. Dowódcy brytyjscy nie musieli wydawać obywateli niesowieckich, żołnierze nie musieli być brutalni ani wykorzystywać sytuacji dla niewielkiego zarobku! Jak widać kwalifikacje moralne w istotny sposób motywują bohaterów, dlatego „wróg” (w *Kontrze* są nim Anglicy) nie jest tak samo dobry jak „bohaterowie pozytywni” (Kozacy) — w tym momencie pewnie należałoby już zdjąć cudzysłowy.

Dwudziestowieczny pisarz nie mógł bez narażania się na śmieszność wskazać palcem i powiedzieć: ci są dobrzy a tamci źli. Jeśli zakłada jakąś strategię aksjologiczną, musi przeprowadzić ją w sposób „przezroczysty”, tak, by zmylić nawet wytrawnego badacza literatury. Z tego powodu stosuje cały szereg środków od kontrastu i paradoksu poczynając, poprzez symbolikę, metaforykę, makabrę, egzotykę aż do drwiny i ironii, nie stroni także od groteski i powoływania się na stereotypy. Buduje w ten sposób sieć sygnałów odwołujących się nie tylko do racjonalności, ale również, a może przede wszystkim, do emocji i w jakimś zakresie do podświadomości. A wizerunki wrogów, owszem, pobudzają uczuciowość odbiorcy, ale nie są to uczucia, z którymi chcielibyśmy się spotykać.

Człowiek jest zdolny przelicytować zwierzę w okrucieństwie, zapamiętać się w nim, jak niektórzy angielscy żołnierze w *Peggetz*. Spaść na samo moralne dno, ale równocześnie potrafi się wydzwignąć, przezwyciężyć swą „zwierzęcość” jak Mitia. Niestety, do tego ostatniego zdolni są nieliczni i tylko w określonych warunkach, a pierwsza postawa odnosi się do wielu. Tak więc ostateczny wizerunek człowieka trudno nazwać optymistycznym, nawet neutralnym. Jest pesymistyczny i zaledwie „przyprawiony” odrobiną nadziei, mimo to autor wyraźnie stawia na tę odrobinę. Nieprzypadkowo „głównym bohaterem” *Kontry* jest najmłodszy Kolcow, czyli ten, który się „wydzwignął”. Dymitr wygrał najwyższą stawkę, jaką w zaistniałych warunkach historycznych można było wygrać. Oczywiście dopomógł mu w tym również przypadek, ale przede wszystkim jego kwalifikacje moralne i psychologiczne wyrażające się w podjęciu walki i prowadzeniu jej do końca. Ali, który znalazł się w obiektywnie lepszej sytuacji, przegrywa, gdyż nie walczy do końca, brakuje mu tej swoiście pojętej heroiczności. Nie znajdziemy natomiast odpowiedzi w *Kontrze*, skąd wzięła się taka różnica postaw, co decyduje o odmiennej konstrukcji psychologicznej postaci. W tym sensie psychologizm Mackiewicza jest niekompletny. Jakaś część natury ludzkiej, wcale niemała, na zawsze pozostanie w ukryciu, będzie nieodgadniona.

W powieści działanie bohatera bywa motywowane przez: historię, przypadek, osobowość, bodziec, nastrój, pogodę, ostatecznie jednak to właśnie osobowość decyduje o losie bohaterów, jak w dziejach Mitii. Wszystko wskazuje na to, że taki sposób kreacji postaci jest zamierzoną i w pełni świadomą strategią twórcy. Jego ambicją nie jest bowiem opowiedzieć o Mitii Kolcowie ani nawet o Kozakach, ostatecznie chce mówić o człowieku, o ludzkości, stąd tendencja do ukazywania pełnego wachlarza motywacji.

Ze sposobami prezentowania postaci dzieła wiążą się bezpośrednio strategii pisarskie stosowane przez autora, potrzebne zarówno do budowania przekazu ideowego, jak

i jego kształtu artystycznego. Najbardziej widoczne jest oddzielenie świata dokumentu reprezentującego wielką historię od świata fikcyjnie wykreowanych bohaterów, którzy egzemplifikują prywatny los jednostek. Zdaniem autora tego wywodu, mamy programową równorzędność obu warstw, tematyczną — poprzez dopełnianie obrazu na zasadzie komplementarności, jak i funkcjonalną — na zasadzie wymiennego wchodzenia w kompetencje.

Możliwe jest „wypreparowanie” z powieści przekazu historycznego, ale oznaczałoby to zredukowanie dzieła do warstwy informacyjnej z pominięciem walorów artystycznych. Pamiętając, że również artyzm często traktuje się funkcjonalnie, wtedy i warstwa informacyjna zostałaby zubożona. Tak więc oczywista z pozoru odrębność dwu ciągów fabularnych w istocie stanowi skończoną całość. Przekaz publicystyczno-historyczny uczestniczy na równych prawach z fikcją literacką w budowaniu emocjonalnego oddziaływania *Kontry*, czyli obie warstwy realizują funkcje artystyczne. Na gruncie emotywności w równej mierze warstwa „wysoka” i „niska” spełnia zadanie kierunkowania uczuć odbiorcy. Skoro autonomiczność fabuł jest warunkowa, a ich wydzielenie prowadzi do deformacji odbioru, jaki cel ma istnienie takiego zróżnicowania?

Pełen niewiary w możliwość uelastyczenia „akademickiej” historiografii, zachęcenia jej do sięgnięcia po różne konwencje, proponował Mackiewicz nową powieść, która byłaby zarazem „nową historią”, bowiem ostatecznie pogrzebałaby pradawny rozdział poezji epickiej od dziejopisarstwa...²⁶.

Mielibyśmy zatem nie dwie formy wyrazu współlistniejące w dziele i odwołujące się do różnych wrażliwości, ale jedną współlistną, choć czerpiącą wzorce z odmiennych tradycji. Nie dwóch zresztą tylko, bo autor odwołuje się do znacznie większej liczby źródeł. Zatem zarówno tradycyjna historiografia, jak i tradycyjna literatura piękna wyczerpały już swe możliwości oddawania prawdy. Stąd konieczne jest stworzenie nowego medium, dającego komplementarny obraz zdarzeń i syntetyzującego przekaz. Opisana strategia komunikatywności ma także drugie źródło, mianowicie wchodzenie w konwencję eposu, którego podstawową cechą jest przecież dwuwarstwowa narracja. Oczywiście nie może być mowy o odtworzeniu antycznego świata bogów ingerujących w życie śmiertelników.

Wykorzystywanie literatury pięknej jako źródła historycznego nie jest zjawiskiem nowym, szczególnie w odniesieniu do epiki. W przypadku twórczości Józefa Mackiewicza mamy jednak do czynienia z sytuacją odwrotną, jego dzieła wyrastają z zamierzenia bycia źródłem wiedzy o wypadkach historycznych. Przyczyna leżałaby więc w potrzebie dania świadectwa o wydarzeniach, które „zbywa się milczeniem”. Czy można w takim razie uznać *Kontrę*, za źródło wiedzy historycznej, za tekst historyczny?

Zgodnie z kryteriami zaproponowanymi przez K. Bartoszyńskiego²⁷ trzeba uznać powieść za tekst historyczny o znamionach źródła wiedzy o przedstawionych wypadkach. Trudno odmówić wywodowi *Kontry* logiczności, tak na poziomie elementów (tu znajdziemy pewne usterki), jak i na poziomie kreowanej „całości” (w tym wypadku nikt poważnie nie zakwestionował obiektywności autora *Kontry*). Źródłowość powieści Mackiewicza nie ogranicza się do zbioru faktów „wypreparowanych” z warstwy wyższej. Funkcję taką posiada również fikcja literacka i nie jest to zjawisko nieznanne w literaturze²⁸.

²⁶ W. Lewandowski, *Józef Mackiewicz...*, s. 326.

²⁷ K. Bartoszyński, *Aspekty i relacje tekstów (Źródło — historia — literatura)*, [w:] *Dzieło literackie jako źródło historyczne*. Warszawa 1978 s. 64.

²⁸ W. A. Diakow, *Historia w dziełach Lwa Tołstoja*, [w:] tamże, s. 318.

Konieczne jest zwrócenie uwagi na jeszcze jeden aspekt „źródłowości” dzieła autora *Kontry* czyli fakt, iż sam Mackiewicz jest źródłem wiedzy o opisywanych wypadkach. W wielu uczestniczył, jeszcze większej ilości był świadkiem. W takim układzie rzeczy mielibyśmy do czynienia z literaturą osobistego świadectwa, rozumianego jako prażródło przedstawień. Nie należy z powyższego wnosić, że kreacja literacka jest dla autora *Drogi...* tylko maską kryjącą historyczne niedociągnięcia. Przeczy temu w sposób zdecydowany bogactwo i dojrzałość literackiej formy. Podkreśla ono jeszcze dobitniej nierozdzielność „fikcji i faktu”, gdyż obu warstwom towarzyszą zamierzenia czysto artystyczne.

Stosowane techniki pisarskie obracają się wokół perswazyjności dzieła i związanej z nią epopeizacji budowanego obrazu zdarzeń. Ton perswazji jest tam stale obecny, bo został programowo założony, czego wyrazem będzie końcowy dialog w powieści. Cała konstrukcja utworu podlega swoistej strategii perswazji, a poetyka wypowiedzi „ociera” się o techniki propagandowe. W żadnym jednak wypadku nie można mówić o powieści propagandowej, nie jest ona nawet tendencyjna, bo obrazowanie nie zostało podporządkowane żadnej konkretnej tezie²⁹.

Funkcję perswazyjną dzieło pełni zarówno w warstwie „faktu” jak i „fikcji”, a nawet „na styku” obu warstw, jako skutek ich wewnętrznego „dialogu”. Ważny jest też sposób rozumienia problemu. Czy perswazyjne będą tu tylko te fragmenty, gdzie opinie wyrażane są wprost, czy również te, gdzie są zaledwie sugerowane. Osobiście rozszerzyłbym zakres rozumienia pojęcia, gdyż dla odbiorcy widzianego w tej perspektywie ma drugorzędne znaczenie, jak komunikat do niego dociera, ważne, że w ogóle dociera.

Ze strategią perswazyjności wiąże się bezpośrednio epopeizacja *Kontry*. Składa się na nią szereg zabiegów pisarskich na różnym poziomie i o różnym znaczeniu dla całości artystycznej dzieła. Pisząc o epopeizacji dzieła Mackiewicza, nie należy tracić z oczu zabiegów „łatwiejszych” do przeprowadzenia niż opisane w pracy A. Fitasa³⁰. Jednym z nich jest technika drobiazgowego opisu wywodząca się bezpośrednio z eposu homeryckiego i obecna w *Kontrze* np. przy wyliczaniu formacji walczących na froncie. Pełni ona tradycyjną funkcję retardacyjną, ale o wiele istotniejsze są nowe zadania, jakie zostały jej przypisane. Przede wszystkim stawia opowiadacza w pozycji „fachowca”, a także nadaje utworowi cechy źródła historycznego.

Zamysł konstrukcyjny zarówno eposu, jak i *Kontry* opiera się na strukturze epizodycznej. Stanowi swoistą technikę „wglądów” w wydarzenia, dzięki czemu możliwe jest ukazywanie dziejów bardzo rozciągniętych w czasie i rozgrywających się w różnych sceneriach. Epizody-wglądy fabularne są równocześnie ośrodkami tematycznymi na poziomie publicystyki i ilustracji fabularnej. Dla przypomnienia: wyjazd Mitii do Jugosławii umożliwia pokazanie dziejów korpusu von Pannwitz, retrospekcję w losy emigracji porewolucyjnej na Bałkanach oraz zbudowanie obrazu przeżyć wojennych bohatera. Tak więc oprócz wątku bohaterskiego otrzymujemy wątek historyczny i temat publicystyczny. Epizodyczna struktura pozwala na zbudowanie szerokiej panoramy wypadków na stosunkowo niewielkim obszarze powieści.

Z konwencji epopei wyrasta także skłonność do operowania patosem, jednakowoż rozumiana specyficznie. Często stosowany jest zabieg autokompromitacji patosu, jako nieprzystawalnego do opisywanej rzeczywistości. Narrator wyraża wobec niego swój dystans, przerywając takie obrazy chłodną relacją o wydarzeniach wprowadzaną zazwyczaj bez żadnego przygotowania. Taka „zabawa” konwencją umożliwia równoczesne

²⁹ Problem tendencyjności dzieł Mackiewicza omawia wyczerpująco W. Lewandowski, *Józef Mackiewicz...*, s. 156.

³⁰ Por.: A. Fitas, *Model powieści...*, s. 157.

stosowanie i dystansowanie się wobec niej. Mamy do czynienia naraz z ukłonem w kierunku tradycji i nowatorstwa.

Według M. Bachtina „przedmiotem epopei jest epicka przeszłość narodu”³¹, najlepiej też, żeby była to przeszłość heroiczna. Z tego powodu Kozacy w *Kontrze* podlegają stałe zabiegom nobilitującym, co zasadniczo przeczy deklarowanemu obiektywizmowi, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Natykamy się w powieści na strategię idealizowania opisywanego narodu. Nie tylko narodu zresztą, bo wspomniana strategia obejmuje sobą szerszy zakres zjawisk. Pogląd, który wyraziłem, może wydawać się kontrowersyjny, szczególnie że wielu badaczy twórczości autora *Lewej...* traktuje metapowieściowe deklaracje narratorów zbyt poważnie³².

To prawda, sądy wartościujące nie są wyrażane wprost. Co z tego jednak, są przecież wyraźnie sugerowane, np. gdy porównuje się systemy represji: carski i bolszewicki lub gdy buduje się obrazy Brytyjczyków i Kozaków w kulminacyjnej części powieści. Teza, iż *Kontra* nie jest w żadnym aspekcie utworem o tym, co dobre i o tym, co złe, wydaje mi się chybiona.

Idealizacja świata przedstawionego nie ogranicza się tylko do Kozaków. Podlega także kraina dzieciństwa czyli Rosja carska, co charakterystyczne ze strategii tej zostało wyłączone Dwudziestolecie, zapewne ze względu na skażenie komunizmem. Wszystko, co dzieje się przed epoką porewolucyjną zawsze, w porównaniu ze stanem obecnym, jest lepsze. Zło nigdy nie przekracza granic dopuszczonych przez starą reakcyjną obyczajowość, taki po prostu obowiązuje schemat³³. Cała rzecz właśnie polega na kontraście, na nim bowiem opiera się strategia idealizująca stosowana przez autora *W cieniu...*. Kontrast zaś wynika z przyjętej metody porównawczej w partiach o walorach polemicznych, czyli w warstwie „wyższej”, choć została przeniesiona także do przedstawień fabularnych. Metoda porównawcza nie może być stosowana zawsze i wszędzie bez względu na okoliczności. Z tego powodu narrator *Kontry* odwołuje się niekiedy do tzw. „zdrowych odczuć”, gdy wyraża sądy wartościujące.

Ale obcym ludziom przeszkadzać poczęły: jednym cerkwie, innym kościoły, trzeci zaczęli palić synagogi (83).

Z artystycznego punktu widzenia strategia taka jest w pełni uzasadniona i niezwykle skuteczna, spełnia swoje zadania. Zbudowany obraz jest na tyle wiarygodny i przekonujący, że dało mu się zwieść wielu wytrawnych w końcu badaczy literatury. Dzieje się tak też dlatego, że nie można odmówić kreacji wewnętrznej logiki. Czy Rosja carska była „lepszą” od bolszewickiej? Oczywiście, że była! Czy stanowiła zupełnie inną jakość w dziejach ludzkości? Na to pytanie również trzeba odpowiedzieć twierdząco. Czy należy z tego wnosić, iż Rosja carska z bolszewicką nie mają nic wspólnego. Twierdzenie to w żadnym wypadku nie daje się utrzymać, mimo to sugestia taka pojawia się w twórczości Mackiewicz. Dodatkowo autor *Nie trzeba...* „wybiera” do przeprowadzenia porównania okres w historii Rosji szczególnie, wyjątkowy i stosunkowo krótki, kiedy istotnie nastąpiła ogólna liberalizacja stosunków społecznych. Dla przykładu, często podkreślana wartość własności prywatnej była stosunkowo „świeżym implantem” w strukturze państwowej Rosji carskiej. Obiekt idealizacji zaś to „państwo-bandyta”, które (w tym wypadku Mackiewicz nie myli się) nie było wyjątkiem na politycznej scenie XIX wieku.

³¹ M. Bachtin, *Epos a powieść (O metodologii badania powieści)*, Pamiętnik Literacki 1970 z. 3 s. 211.

³² [W. Bolecki] J. Malewski, *Ptasznik z Wilna*. Kraków 1991 s. 380.

³³ M. Nowakowski, *Józef Mackiewicz — człowiek i pisarz osobny*, [w:] *Nad twórczością Józefa Mackiewicza*, szkice pod red. M. Zybury. Warszawa 1990 s. 152.

Czy powinniśmy w takim razie sądzić, że autor *Kontry* dokonuje manipulacji historycznej dla osiągnięcia jakichś swoich celów? Nic bardziej mylącego, Józef Mackiewicz to wielki pisarz, który ma za sobą „święte prawo literatury” do budowania takiej kreacji świata przedstawionego, jaką uzna za stosowną i konieczną, by dać wyraz swej artystycznej pasji. Świadomy czytelnik powinien jednak zdawać sobie z tego sprawę.

Ze strategią idealizującą wiąże się strategia obiektywizująca. Fakt, że mogą bezkonfliktowo egzystować obok siebie, stanowi jedno z największych osiągnięć techniki pisarskiej autora *Lewej wolnej*. Na strategię tę składają się: dokumentaryzm, wyraźne nawiązanie do stylu realistycznego XIX wieku, mistrzowskie operowanie emocjami, które prowadzi do empatii oraz techniki naturalistyczne a w szczególności niezwykła dbałość o detale kreowanych wizerunków.

Sam autor *Kontry* ma pełną świadomość stosowanej strategii, co wyraża w słynnym już monologu o prawdzie. Pierwsza prawda ma swój wyraz w notach historycznych wtedy, gdy traktują o sprawach „idealnie obiektywnych”. Podawane są cyfry, daty, nazwiska, które są jak odbicie obłoków w wodzie. W innych przypadkach mamy do czynienia z drugą prawdą, czyli interpretowaniem-poszukiwaniem pierwszej prawdy. Karkołomne zadanie, żeby z „zakłamanych” okruczeń drugiej prawdy odtworzyć pierwszą, zakończyło się jednak sukcesem. Globalny, całościowy ogląd zjawisk jest po prostu prawdziwy, zdaniem autora tej pracy.

W takim razie kompletny obraz pierwszej prawdy jest obecny jakby poza powieścią, gdzieś na drodze: nadawca-odbiorca. W samym dziele spotykamy za to obiektywizm pozorowany, grę z czytelnikiem świadomością. Jeśli konsekwentnie budowany jest negatywny obraz Anglików, który krok po kroku staje się bardziej złowrogi, to w pewnym momencie musi pojawić się scena, w której jakiś Anglik wystąpi w pozytywnej roli. Ogólny obraz nie ulegnie zmianie, ale przedstawienie uzyska „maskę obiektywizmu”.

Na podobnej zasadzie operuje Mackiewicz emocjami. Najpierw *lento secco*, kiedy pisze, „jak do tego doszło”, a kiedy już „dojdzie”: *forte ardente* lub *doloroso*. Grunt pod wydarzenia kluczowe przygotowywany jest przez suchą, spokojną relację narratora, gdy zaś dochodzi do kulminacji, ton wyraźnie się zmienia. W ten sposób narracja otrzymuje etykietę obiektywności, dzięki wyraźnej przewadze tonu spokojnego, a przekaz emocjonalny zostaje również „wysłany”.

Od dawna badacze dorobku literackiego Józefa Mackiewicza podkreślali związki jego prozy z realizmem XIX wieku. Kwestia wydaje się bezsporna, co wcale nie znaczy, że nie wymaga badania³⁴. Autor *Kontry* byłby raczej odnowicielem realizmu niż jego epigonem a „nowa powieść” budująca fikcję z faktów w żadnym razie nie mieści się w konwencji realizmu XIX w. Zaznaczyć trzeba także, że model realizmu może być trudno uchwytne, nie sposób bowiem mówić o jednym jego nurcie³⁵.

W takiej perspektywie dostrzegamy u autora *Drogi donikąd* nowe wcielenie starego prądu literackiego, tym bardziej specyficzne, że osobne, nie znajdujące poprzedników i naśladowców. Poszukując wzorców i odniesień często zwraca się uwagę na elementy stylu naturalistycznego, które mają być prostą konsekwencją wejścia w konwencję powieści XIX wieku. Szuka się też tego powinowactwa w przyrodniczych zainteresowaniach autora *Buntu rojstów*³⁶. Takie postawienie sprawy wydaje się zbyt daleko idące. Ograniczenie źródeł, z których czerpał twórca „nowej powieści”, do jednego raptem, jest tezą, którą byłoby bardzo trudno udowodnić.

³⁴ [W. Bolecki] J. Malewski, *Ptasznik z Wilna*, s. 328.

³⁵ W. Weintraub, *Wyznaczniki stylu realistycznego*, w: PTL ser. 1, Wrocław 1987 s. 281.

³⁶ D. Rohnka, *A ja przeciwnie... Szkice o Józefie Mackiewiczu*. Londyn 1997 s. 14.

Jest oczywiste, że autor *Kontry*, nie rezygnując z literackiej kreacji, ma zamiar osiągnąć wiedzę historyczną, psychologiczną a nawet moralną, co nie jest zgodne z koncepcjami naturalistycznymi³⁷. Nie tylko zresztą osiągnąć, ale również w sposób perswazyjny przekazać odbiorcy. Z tego powodu musi uzyskać jak największą wiarygodność przekazu, a dzieje się to na drodze starannie przemyślanej i perfekcyjnie prowadzonej strategii obiektywizującej. Wszelkie konwencje i style literackie traktowane są jak narzędzia tej strategii, a o ich użyciu decyduje po prostu przydatność. W tym względzie autor nie nakłada na siebie żadnych „kagańców”.

Nie wydaje mi się jednak aby konwencja ograniczająca w tym względzie swobodę autorską była słuszna. Jestem zwolennikiem w twórczości literackiej swobody nieograniczonej³⁸.

Ambicją tego artykułu było, chociażby tylko pobieżne, zasygnalizowanie problematyki związanej z lekturą *Kontry*. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że mamy możliwość obcowania ze zjawiskiem niezwykłym w kulturze światowej. Tematyka powieści w mistrzowski sposób łączy to, co aktualne, z tym, co ponadczasowe. Przy czym problematykę związaną z największą tragedią, jaka spotkała ludzkość w XX wieku, czyli pojawieniem się komunizmu, wciąż trudno uznać za nieistotną i nieobecną.

Nowość zjawiska spowodowała konieczność znalezienia innych środków wyrazu, odmiennego sposobu komunikowania. Sposób ten Józef Mackiewicz odnalazł, a była nim oczywiście: nowa powieść realistyczna. Powstała na gruncie krzyżowania znanych konwencji literackich, przede wszystkim był to dziewiętnastowieczny realizm (szczególnie rosyjski) wraz ze swymi dwudziestowiecznymi kontynuacjami³⁹ i ciekawie pojętym psychologizmem. Naturalistyczne techniki obrazowania oraz epopeiczna stylizacja⁴⁰ stanowią bardzo wyraźne cechy powieści, całkowitą nowością było wprowadzenie w tym kontekście form ściśle dokumentarnych.

Struktura tematyczna dzieła zaś rozpada się na trzy zasadnicze bloki: losy bohaterów (zbiorowości), wielką historię oraz prezentację idei. Każde zjawisko rozpatrywane jest z perspektywy wszystkich „bloków”, stąd bierze się niezwykła gatunkowa różnorodność. Nie ma ustalonej kolejności występowania sposobów prezentacji tematów. Czasami dzieje się to tak jak wyliczono wyżej, innym razem pierwsza do głosu dochodzi wielka historia. Kiedy indziej wyklada się najpierw ideę. Zawsze jednak narrator odnosi się do wydarzenia-zjawiska na wszystkich trzech płaszczyznach. Dzięki temu otrzymujemy niezwykle wnikliwą analizę problemu, odbiorca zostaje „pouczony” o wszelkich jego konsekwencjach.

Biorąc to wszystko pod uwagę, trzeba stwierdzić, iż napotykaemy bardzo skomplikowaną i misternie złożoną strukturę. Jej analiza, wbrew pozornym oczywistościom, nie jest wcale łatwa. Stąd zapewne tak wiele nieporozumień i skrajnie odmiennych interpretacji, pomijając nawet zamierzoną przez autora kontrowersyjność i prowokacyjność wypowiedzi.

Dodatkowo nakładają się na opisaną strukturę dwie najważniejsze strategie pisarskie: nobilitująca i obiektywizująca, rzutujące na wymowę dzieła i realizujące jego funkcję perswazyjną. Jak już wspomniano, są one w dużym stopniu „przezroczyste” i świadczą o artystycznym kunszcie twórcy.

³⁷ Z. Mitosek, *Teorie badań literackich*, Przegląd Historyczny 1983 s. 85–86.

³⁸ J. Mackiewicz, *Nie trzeba głośno mówić*. Londyn 1985 s. 9.

³⁹ Bardzo dokładnie problem analizuje W. Lewandowski w: *Józef Mackiewicz...*, zob.: rozdziały *Aluzja „rosyjska”* oraz *Ideał pisarski*.

⁴⁰ Najlepszą analizę epopeiczności dzieł J. Mackiewicza przedstawił A. Fitas w: *Model powieści...*

Kontra spełnia także wymogi źródła historycznego i jest to jeszcze jeden sukces jej autora, zamiar stworzenia nowego środka wyrazu historii raczej się powiódł. Krąg osób, dla których dzieło Józefa Mackiewicza było czynnikiem formującym ich świadomość historyczną, nie jest wcale taki mały. Stało się tak, dlatego że wypełnił on swą twórczością rzeczywistą lukę w historiografii, która znalazła się w XX wieku pod wieloraką presją. Wszystko to sprawia, że należy Józefa Mackiewicza zaliczyć do największych polskich i światowych pisarzy. Nie mam wątpliwości, że wejdzie na trwałe do historii literatury.

NIE TRZEBA GŁOŚNO MÓWIĆ **— POWIEŚĆ HISTORYCZNA** **CZY POLITYCZNA?**

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI (USA)

We wstępie do swej najambitniejszej powieści *Nie trzeba głośno mówić* pisał Józef Mackiewicz:

Akcja powieści toczy się na tle zdarzeń historycznych, ściślej pewnych fragmentów minionej wojny, i jest z nimi związana. Przedstawienie tych zdarzeń w powieści nie ma na celu narzucania czytelnikowi jakiegokolwiek „tezy”, bądź podejmowania „polemiki politycznej”. Jest wyłącznie próbą opisanego tego co było” (s. 9)¹.

A zatem powieść historyczna, obiektywna, napisana w myśl zasady Tacyty *sine ira et studio*? Staranne odczytanie tekstu książki zdaje się stawiać to autorskie stwierdzenie pod znakiem zapytania, co *nota bene* spowodowało szereg ostrych ataków zarówno przeciwko Mackiewiczowi, jak i jego powieści. I mimo że polemiki te należą do przeszłości, trwale miejsce jego powieści w historii literatury polskiej XX wieku skłania do ponownego, uważnego przyjrzenia się jej treści i podjęcia próby odpowiedzi na postawione w tytule niniejszych rozważań pytanie.

Nie trzeba głośno mówić zdaje się spełniać wszystkie wymogi stawiane powieści historycznej². Fikcyjne postaci działają na starannie zarysowanym tle konkretnych wypadków, zwykle z dokładnym podaniem miejsca i czasu akcji. Pierwsza scena powieści to atak niemieckiego lotnictwa na Wilno w dniu 22 czerwca 1941 r., zaskakujący czekające na pociąg dwie główne postaci powieściowe, Henryka i Leona, stanowiąc zarazem bezpośrednie nawiązanie do podobnej sytuacji otwierającej poprzednią powieść Mackiewicza *Droga donikąd*, której „powieść niniejsza jest chronologicznie dalszym ciągiem” (s. 9). Dodajmy od razu, że nie tylko chronologicznie, szereg bowiem zarówno sytuacji jak i metod powieściowych łączy oba utwory w pewną nierozzerwalną całość, z tym oczywiście, że podczas gdy rzecz wcześniejsza ma na celu przedstawienie okupacji sowieckiej okresu od lata 1940 do lata 1941, *Nie trzeba głośno mówić* jest niemal drobna-

¹ W wypadku, kiedy cytaty, pochodzą z powieści J. Mackiewicza, *Nie trzeba głośno mówić* (Paryż 1969) numery stron podano w nawiasach.

² W rozumieniu: „opartej na zdarzeniach historycznych” — red.

zgową kroniką okupacji niemieckiej, od 22 czerwca 1941 r. aż po pewien dzień „w pewnym tygodniu” późnej wiosny 1945 r. (s. 547), już po wyzwoleniu przez Anglików polskiego oflagu w Niemczech. Podobnie ma się rzecz z fikcyjnymi wydarzeniami, które najczęściej wiążą się bezpośrednio z wypadkami historycznymi i są przez nie albo motywowane, albo z nich w taki czy inny sposób wynikają. Celem podbudowania wiarygodności fikcji Mackiewicz odstępuje tu od zasady prowadzenia wątku wyłącznie fikcyjnego i wprowadza obszernie wstawki historyczne, udokumentowane załączoną do tekstu bibliografią 106 pozycji w ośmiu językach; te zaś z kolei niejednokrotnie nabierają charakteru literatury raczej niż historii przez zbeletryzowanie ich dialogami, żywą charakterystyką postaci, szerokim malowaniem tła itp. Wstawki te zajmują ok. jednej trzeciej objętości książki, ściśle mówiąc 34 na ogólną liczbę 94 rozdziałów, stanowią więc jej integralną część. „Jestem zwolennikiem w twórczości literackiej swobody nieograniczonej” (s. 9), napisał autor w przedmowie i postulat ten w pełni zrealizował, tworząc w sumie ogromnie bogate, a pod wieloma względami niezwykle dzieło.

Jedną z niecodziennych metod narracji, zapożyczonych z *Wojny i pokoju* Tołstoja, jest prowadzenie dwóch niemal równoległych wątków, w pewnym momencie poszerzonych o wątek trzeci, co pozwala pisarzowi na rozbudowanie terenu akcji na obszar sięgający od Moskwy po Berlin, w przypadku bowiem ograniczenia akcji do działania obu postaci pierwszoplanowych byłoby to w powieści ściśle realistycznej niemożliwe. I podczas gdy Henryk, postać najważniejsza, porusza się głównie na terenie Wileńszczyzny, z wypadami na Białoruś, a jego przyjaciel Leon z Wilna wyrusza do Warszawy a następnie, po Powstaniu, znajduje się w Niemczech, natomiast Anton Panisienko, zbuntowany moskiewski inżynier, włącza się w akcję antysowiecką i podróżuje między Moskwą a Berlinem by przypadkowo zginąć na warszawskiej ulicy. Tego rodzaju rozszerzenie terenu akcji pozwala pisarzowi na wprowadzenie szeregu dodatkowych wątków i postaci, co znakomicie wzbogaca wielostronną panoramę powieści. Warto od razu zauważyć, że ani Henryk, ani Leon nie noszą w powieści nazwisk, a ich biografie ograniczone są do nielicznych w tekście wzmianek, takich jak np., że obaj są oficerami rezerwy (s. 199, 516), że Henryk był „jedynym chyba urzędnikiem magistratu, posiadającym przed wojną własne auto” (s. 70), Leon zaś pracował jako aplikant adwokacki³. Nieco częstsze są króciutkie opisy wyglądu jednej z głównych postaci — wzmianki o otyłości Henryka (s. 31), czy o jego szoferskim talencie, co wykorzystane zostaje w wątku podróży do Mińska i przygodach z partyzantami. Natomiast postaci drugoplanowe, takie jak Panisienko i inni, noszą pełne imiona i nazwiska, a niektóre postaci kobiet, takie jak zniemczona Rosjanka Nastazja Ipolitowna, opisane są nader starannie (s. 177). Charakterystyki te bywają nie zawsze dla postaci kobiecych korzystne, jak np. w przypadku okupacyjnej spekulantki Klaudii Kalinowskiej, która w sposób niewyszukany choć skuteczny próbuje uwieść Henryka (s. 40).

Brak zaplecza biograficznego głównych postaci nie jest też uzupełniony charakterystyką językową. I mimo, że zarówno Henryk jak i Leon działają przede wszystkim w Wilnie, język ich pozbawiony jest jakichkolwiek akcentów lokalnych, tak charakterystycznych dla tego regionu. Należąc do warstwy inteligencji posługują się poprawną, standardową polszczyzną, co zresztą znajduje potwierdzenie w opracowaniach naukowych, takich jak np. *Język polski na Wileńszczyźnie* Haliny Turskiej, która stwierdza, że „na ogół język inteligencji polskiej jest bardziej zbliżony do polskiego języka literackiego”⁴. To poczucie poprawności językowej jest tak silne, że kiedy Halina, przyjaciółka

³ J. Mackiewicz, *Droga donikąd*. Londyn 1955 s. 37.

⁴ H. Turska, *Język polski na Wileńszczyźnie*, [w:] *Studia nad polszczyzną kresową*, t. 2, pod red. J. Riegera i W. Werenicza. Wrocław 1983 s. 16 (Prace Językoznawcze, 106).

Henryka, adresując do niego list przez pomyłkę pisze „Hendryczku”, spostrzega natychmiast swój błąd, ale go nie koryguje „nie żeby było śmieszniej, ale tylko zdawało się jej nagle, że będzie czulej” (s. 505). Natomiast językowy obraz Warszawy przez kontrast nacechowany jest lokalnymi idiomami i typowym dla okresu okupacji wisielczym humorem, jak np. w scenie ulicznej strzelaniny, podczas której kula dziurawi nowy kapelusz kuzyna Leona, co wiozący ich riksarz komentuje: „A u szanownego pana mecenasa cylinder przedziurawiony na dwie strony. To pewnie dla przewietrzenia фикса brylantyny”. Odpowiedź jest równie dowcipna jak typowa: „Nie, taki już znalazłem na ławce w Ogrodzie Saskim”, po czym Julian darowuje młodemu człowiekowi uszkodzony kapelusz, co z kolei spotyka się z repliką: „Dziękuję za dar narodowy. Może będzie kiedyś tyle wart co «Szczerbiec» na Wawelu” (s. 468–469).

Zastanowić się należy nad celem tak oszczędnej charakterystyki głównych postaci powieści. Wydaje się, że Mackiewicz, który metody tej użył już poprzednio w *Drodze donikąd*, chciał zbliżyć je maksymalnie do czytelnika, uniknąć formalnego dystansu tworzonego przez podawanie nazwiska, spowodować pewnego rodzaju identyfikację czytającego z bohaterami powieści, a tym samym wzmóc jeszcze bardziej dominującą na każdym kroku zasadę realizmu.

Natomiast dziesiątki postaci drugoplanowych wielu narodowości dodają powieści kolorytu m.in. dzięki używaniu przez nie odpowiednich form języka, co w książce wprowadzane jest w wielu różnych formach, od lokalnych przysłów i powiedzeń po ledwie wyczuwalne akcenty, takie jak np. w wypowiedziach Żyda Wulfki, typowych dla tej grupy etnicznej mieszkańców Wileńszczyzny („Ach, kogo ja nie mam...”, s. 35). Żydzi, Litwini, Białorusini i Rosjanie stanowią barwne tło dla działania głównych postaci, Polaków, w rzeczywistości, tak jak w powieści, stanowiących zdecydowaną większość ludności regionu. Język tych grup etnicznych jest równie bogaty jak ich folklor, manifestujący się często swoistym humorem, typowym dla tego rodzaju form wypowiedzi. Tak np. jeden z wiejskich komunistów podaje powody lokalnego konfliktu doprowadzającego w konsekwencji do krwawej bitwy:

To Ignat, jakby bieluniu napił się, rozum stracił. Słowem dla niego słońce, księżyc i gwiazdy mniej blasku mają niż to, co Juchniewiczówna między nogami (s. 147).

Jędrność a zarazem swoista poetyckość tej frazy jest znakomitym przykładem opanowania przez Mackiewicza miejscowego idiomu, co zresztą umiał zademonstrować już wcześniej, w przedwojennym tomie reportaży *Bunt rojstów*⁵. Nawiasem warto zauważyć, że w tej wielkiej powieści o okupacji niemieckiej prawie zupełnie nie występują Niemcy. Poza epizodycznymi sylwetkami żołnierzy pojawiają się tam dwaj tylko oficerowie, przy czym okazuje się, że obaj są cudzoziemcami noszącymi niemieckie mundury. Obszernie natomiast potraktowani są Niemcy, od Hitlera po miejscowych urzędników administracji, we wstawkach historycznych.

Zagadnienie osobne, do którego szerzej powrócić przyjdzie za chwilę, stanowią występujący w powieści Rosjanie, a zwłaszcza główny ich przedstawiciel, oficer NKWD Raczenko vel Nikitin. Ewakuowany z Wilna w 1941 r. wraca tam na czele ekipy zrzuconej jako zapowiedź nowej, tym razem trwałej okupacji regionu. Bezwzględny i bezlitosny jako dowódca, który nie zawaha się dobić rannego towarzysza (s. 146), Raczenko posługuje się językiem propagandy, przy czym nie unika ironii, jak np. w rozmowie z wileńskim szewcem Drużką, którego terroryzuje jawnymi pogroźkami.

Nie był ja żadnym agentem — przerwał ponuro Drużko. — Nie? — zdziwił się Raczenko. — U mnie jak raz dowody są i chciałem was właśnie do nagrody, odznaczenia

⁵ J. Mackiewicz, *Bunt rojstów*. Wilno 1938.

przedstawić, do orderu, jak wróci nasza władza. Aaa, to szkoda. Pewnie sfalszowane dowody (s. 223).

W rezultacie Drużko, nie widząc innego wyjścia z pułapki, popełnia samobójstwo. Raczenko, podobnie jak przedstawiciele innych grup etnicznych w powieści, posługuje się językiem polskim i tylko pewne elementy rosyjskiej składni pozwalają odgadnąć w jakim naprawdę języku toczy się rozmowa, jak np. w dialogu z wiejskim działaczem komunistycznym Kuszelenką: „No, tego to my jeszcze z wami na pewno nie wiemy... [...] Wy, sami, kto będziecie?” (s. 152).

Indywidualny styl pisarski Mackiewicza przejawia się wyraźnie nie tylko w dialogach, ale także w partiach opisowych, gdzie umiejętnie wtrącone wyrażenia czy zwroty nadają fragmentom tym cech realizmu językowego w skali rzadko u innych pisarzy spotykanej. Jako przykład podać można ustępy z pierwszego rozdziału powieści ukazujące chaos spowodowany niemieckim atakiem a zarazem reakcją polskiej ludności na panikę wśród Rosjan, dotychczas propagandowo przedstawianych jako przedstawiciele „niezwyciężonej czerwonej”. Mackiewicz jest pisarzem zbyt doświadczonym, żeby powielać stereotypy językowe, toteż rzadko tylko znaleźć tu można charakterystyczne dla Wileńszczyzny imiesłowy („znaczy ogon zadarłszy, zwiali”, s. 16). Zamiast nich pisarz woli wprowadzać kolokwialne wyrażenia takie jak np. „Niemcy dali w samą guszcze” (s. 15) lub umiejętnie wtrącane rusycyzmy, trafnie oddające obraz sowieckiej klęski: „konie luzem, konie galopem, ciągnące połamane przodki wozów, duha wisi bokiem, hołoble na jebiona mać, przez pola i szyny kolejowe” (s. 14). Ordynarne rosyjskie przekleństwo nie tylko w kontekście tym nie razi, ale wzmacnia ogólne wrażenie rozbicia sowieckiej władzy, przez przeszło rok panującej nad regionem.

W ten sposób, mimochodem, przechodzimy do sprawy w powieści Mackiewicza zasadniczej, a mianowicie do kwestii powrotu komunizmu, będącej dla ciężko doświadczonych mieszkańców Wileńszczyzny sprawą kluczową. Krótkotrwała radość z powodu klęski Rosjan w czerwcu 1941 r. stopniowo zamienia się w rosnącą obawę, której przedstawiciele Polskiego Państwa Podziemnego z Warszawy zrozumieć nie potrafią. Kontrast między tymi dwiema postawami wykorzystywany jest nader umiejętnie na wielu płaszczyznach, począwszy od politycznej a skończywszy na leksykalnej, co w powieści pojawia się stosunkowo wcześnie, np. w rozmowie między emisariuszem Komendy Głównej Związku Walki Zbrojnej a Henrykiem, gdy pada propozycja wyjazdu Henryka do Mińska i środków materialnych na przeprowadzenie tej imprezy:

— Finanse? — „Świnki”. — Co to jest? — Ach, u was się tak nie nazywają? Złote ruble.
— U nas się mówi: złote ruble. — Trochę „miękkich”. — Nie wiem. — Banknoty dolarowe.
— To słabsze. — I „koła”. — Również nie znam — wzruszył ramionami. — Dolary złote. —
Dobra rzecz. U nas się mówi: dolary złote. — Co kraj to obyczaj (s. 32–33).

Podobnie zdezorientowany jest Panisienko, gdy w trzy lata później, po przyjeździe do Warszawy, riksarz proponuje mu jazdę „za górała” (s. 440), a kiedy usiłuje podjąć temat niebezpieczeństwa bolszewickiego „obecni w sklepie spoglądali na tego klienta z innej planety” (s. 443).

Warszawa widziana zarówno przez Panisienkę jak i przez Leona, który przyjeżdża tam w tym samym okresie celem ostrzeżenia władz konspiracyjnych przed nadciągającym zagrożeniem sowieckim, czyni na obu podobne wrażenie miasta mimo niemieckiego terroru beztropkiego, żyjącego własnym, pełnym życiem a ponadto bogatego.

[...] Zrzuty. [Wyjaśnia źródło tego dobrobytu Leonowi jego kuzyn.] Miasto, w które wpompowuje się miliony dolarów, funtów i złotych monet. Nie licząc dziesiątków milionów w „młynarkach” i markach niemieckich (s. 466).

Ten obraz okupacyjnej Warszawy pod piórem Mackiewicza nabiera parokrotnie charakteru niemal satyrycznego, jak np. w opisie uczty Leona i jego kuzyna w restauracyjce uroczej pani Doroty (s. 456), przy czym trafną ocenę polityczną charakteru miasta daje spotkany przez Panisienkę w tym samym lokalu sotnik stacjonujących w Warszawie Kozaków w niemieckiej służbie, Borys Mikołajewicz Siłamikiel mówiąc:

[...] Sytuacja paradoksalna. Bogactwo, burzuje, paniczyki w lakierowanych cholewach. A po naszej stronie nędza proletariacka, bezdomna. Puść ją tylko na „grab’ nagrabilennoje”, jak mawiał nieboszczyk Lenin! Oho-ho-ho! [...] Ale paradoks w tym największy, że do tego dochodzi jeszcze straszna złość, bo te burzuje i paniczyki, razem z ich złotem i towarami, stoją jak raz na stronie bolszewików, a nasza bezprizorna czerń, nasze „czarnokoże”, po przeciwnej stronie. Ty rozumiesz takie szaleństwo historii? (s. 453).

I tu wkraczamy już bezpośrednio na teren polityki, nie tylko „szaleństwa historii”.

Warto nawiasem dodać, że Mackiewicz, który był pisarzem nade wszystko prowincjonalnym, kresowym, znalazł się pod koniec okupacji w Warszawie, toteż wiele własnych obserwacji przetworzył w wątki powieściowe, o czym wyraźnie pisał np. w artykule *Zgoda 6 czyli pęk kluczy...*⁶. Jest to historia zlikwidowania przez Gestapo lokalu „braci Botlarewskich”, w rzeczywistości Kotlarewskich, działaczy Kierownictwa Walki Cywilnej (s. 441–444, 451–452), dla których Panisienko zbiera wywiadowcze informacje, potwierdzona szeregiem innych relacji przytoczonych w tym artykule.

Wbrew cytowanemu na wstępie oświadczeniu Mackiewicz nie tylko nie uniknął, ale w powieści swej forsował własną tezę oskarżając Polskie Państwo Podziemne o jawną współpracę ze Związkiem Sowieckim w okresie obowiązujących warunków paktu Sikorski–Majski, tzn. od wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej aż do odkrycia grobów katyńskich w kwietniu 1943 r., a także i późniejszej działalności na korzyść „sojusznika naszych sojuszników”. Jako koronny argument przytaczał fakt wyjątkowej roli Polski jako jedynej w okupowanej Europie państwa, które nie przyłączyło się do koalicji antykomunistycznej, wykluczając wszelką kolaborację z Niemcami jako warunek nie do przyjęcia. Toteż wątki fabularne, zwłaszcza działalność Henryka i Leona w AK, tezę tę nie tylko podtrzymują, ale w kilku przypadkach naginają do niej fakty historyczne, co jest niewybaczalną wadą rzekomo obiektywnej powieści. Jako przykład zasadniczy podać tu należy sprawę organizacji „Wachlarz”, na ogół w krytycznych omówieniach książki Mackiewicza całkowicie pomijaną.

A przecież problem „Wachlarza” występuje w *Nie trzeba głośno mówić* nader wcześniej: już w rozdziale III przedstawiciel „Organizacji” z Warszawy proponuje Henrykowi wyjazd do Mińska celem przewiezienia dwóch ciężkich, „mocno trefnych” waliz. Na pytanie Henryka czy są to druki dodaje, że nawet „gorzej”, domyślić się więc można, że idzie tu albo o sprzęt drukarski, albo broń. Nieznajomy wyjaśnia ogólny cel misji jako „wachlarzowate opanowanie na wschód od naszej granicy”, „wejście w teren”, „wytypowanie miejsc i ludzi pierwszego oparcia” (s. 32), nie mówi jednak nic o charakterze akcji. Dzieje się to późnym latem 1941 r., gdy „szpalery lip już dawno przekwitły” (s. 31), potem jednak wyjazd Henryka ulega opóźnieniu i w rezultacie dociera on do Mińska dopiero gdy czuje się tam „oddech jesieni o posmaku zbutwiałych liści” (s. 84). Na miejscu nawiązuje kontakt z niejakim Romualdem Ławrynowiczem, wieloletnim tamtejszym rezydentem polskiego wywiadu, człowiekiem nie tylko doskonale zorientowanym w tamtejszych stosunkach, ale także w bieżących planach „wachlarzowatego” opanowania terenu, co całkowicie dezaprobuje, mimo że z organizacją tą się identyfikuje („akcja tego naszego «Wachlarza nr 4»”, s. 88). Ławrynowicz, zacięty antykomunista, wyjawia całe swoje poglądy znacznie

⁶ Tegoż, *Fakty, przyroda i ludzie*. Londyn 1984 s. 297–306.

później, gdy w styczniu 1942 r. przyjeżdża z Warszawy łącznik, wobec którego akcję „Wachlarza” nazywa otwarciem „normalnym szpiegostwem na rzecz i korzyść bolszewików” (s. 114), przy czym podaje bardzo szczegółowe informacje o przybyłej z Warszawy ekipie „Czarnego”, który na bezpośrednie polecenie „Grabicy” ma w Mińsku „przygotować wspólne wystąpienie z partyzantką bolszewicką”. Co więcej, identyfikuje przyjezdnego kierownika grupy jako „niejakiego majora Sokołowskiego od szwoleżerów” (s. 115), a więc podaje maksimum dostępnych informacji, równocześnie ostro się od współpracy z „Wachlarzem” odcinając ze względów ideologicznych.

Zauważmy od razu, że w tych paru zdaniach popełnił Mackiewicz możliwie wielką ilość pomyłek lub przeinaczeń prawdy, w innych epizodach powieści tak starannie odtworzonej. Pseudonimu „Grabica” używał gen. Stefan Rowecki tylko w okresie początkowym jako szef sztabu Służby Zwycięstwa Polski, zmieniając go następnie w Związku Walki Zbrojnej na „Rakoń”, a od 7 lutego 1940 r., jako komendant polskich sił zbrojnych na terenach okupowanych przez Niemców, występował jako „Grot”⁷. Jedynym „Czarnym” na terenie Mińska był strażnik więzienny, Marian Miłaszewski, który w grudniu 1942 r. utrzymywał kontakt między uwięzionymi przez Gestapo członkami grupy „Wachlarz” a światem zewnętrznym. Wśród uwięzionych znalazł się m.in. komendant IV odcinka, major dypl. „Trop” Tadeusz Sokołowski, który zrzucony był z Anglii do kraju dopiero 30 marca 1942 r., a więc w kilka miesięcy później od sceny opisanej w powieści Mackiewicza. Istotnie, w chwili wybuchu wojny w stopniu rotmistrza (nie majora) służył on w 1. Pułku Szwoleżerów, ale na tym kończy się podobieństwo między prawdą historyczną a fikcją. Dodajmy, że major „Trop” do Mińska na stałe przybył dopiero w końcu września 1942 r.⁸ i dowodził swoją grupą aż do aresztowania w okresie 7–9 grudnia 1942 r. Zginął w tamtejszym więzieniu w dniu 6 lutego 1943 r.⁹

O tym wszystkim powieściowy Ławrynowicz nie mógł wiedzieć w styczniu 1942 r. W parę dni później zostanie on brutalnie zamordowany, a łatwe do wyczytania między wierszami implikacje zdają się wskazywać na emisariusza z Warszawy jako na zabójcę. Mimo to Henryk decyduje się uciekać z Mińska i korzysta z nadarzającej się okazji wyjazdu dalej na wschód, aż pod Lepel, co z kolei zaważy na jego dalszych losach. I na tym kończy się powieściowy epizod „Wachlarza”.

W rzeczywistości koncept „Wachlarza” jako organizacji dywersyjnej — nie wywiadowczej, jaką nigdy nie była — działającej na tyłach armii niemieckiej na wschodzie powstał jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, w kwietniu lub maju 1941 r., a realizowany był wstępnie od sierpnia tegoż roku. Praktycznie jednak „Wachlarz” rozpoczął swoją działalność dopiero wiosną 1942 r., a na IV odcinek (kierunek Mińsk) — dopiero w pierwszej dekadzie maja 1942 r. przerzucono prawie trzydziestu ludzi¹⁰.

Podobnie mylne są informacje co do istnienia „Wachlarza” w Wilnie¹¹. Bronisław Krzyżanowski w swojej książce *Wileński matecznik* pisze wyraźnie o rozpoczynaniu wiosną 1942 r. działalności organizacji czysto dywersyjnej¹², podobnie wspominają jej

⁷ Zob.: *Stefan Rowecki w relacjach*, pod red. nauk. T. Szaroty. Warszawa 1988 s. 53.

⁸ Zob.: C. Chlebowski, *Zagłada IV odcinka*. Warszawa 1968 s. 68.

⁹ Tamże, s. 163.

¹⁰ C. Chlebowski, *Wachlarz. Monografia wydzielonej organizacji dywersyjnej Armii Krajowej: wrzesień 1941–marzec 1943*. Warszawa 1983 s. 52.

¹¹ V odcinek „Wachlarza” wyznaczono zgodnie z linią komunikacyjną: Wilno-Daugavpils-Połock — red.

¹² B. Krzyżanowski, *Wileński matecznik, 1939–1944: z dziejów „Wachlarza” i Armii Krajowej*. Paryż 1979 s. 63–64.

początki inni działacze z tamtego terenu, w sumie więc koncept Mackiewicza okazuje się całkowicie nierealny.

Wolno zadać sobie pytanie dlaczego pisarz, w innych fragmentach swojej powieści ogromnie dbały o szczegóły dopuścił się tak wyraźnego wypaczenia prawdy historycznej, tym bardziej, gdy z załączonej do książki bibliografii wiemy, że znał wydawnictwo *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej*, gdzie zamieszczono obszerne choć ogólnikowe opracowanie historii „Wachlarza”¹³? Odpowiedź może być tylko jedna: Mackiewicz nagiął prawdę historyczną dla podparcia swojej tezy politycznej o pracy wywiadu AK na rzecz i korzyść Rosji Sowieckiej, co całkowicie mijają się z prawdą.

Dalszym dowodem forsowania tej tezy są obrazy środowiska warszawskiego latem 1944 r., dyskusje całkowicie lekceważące rosyjskie niebezpieczeństwo lub też mające udowodnić lewicowe sympatie Kierownictwa Walki Cywilnej, co zresztą miało znaleźć potwierdzenie w powojennej działalności postaci takich jak szef Biura Informacji Propagandy AK płk Jan Rzepecki. W sumie *Nie trzeba głośno mówić*, przy swojej wielkiej wartości literackiej okazuje się powieścią nie tyle historyczną, co polityczną i to powieścią politycznie fałszywą, a to podważa jej ogólne znaczenie. Włodzimierz Bolecki, badacz twórczości Mackiewicza, nazwał ją „wyrosłą z rozpacz” powieścią „o najstraszniejszej klęsce, jaka dotknęła Polskę w ciągu jej nowożytnego istnienia”¹⁴. Ale największa nawet rozpacz nie powinna usprawiedliwiać nieuczciwości pisarskiej i o to należy mieć do Mackiewicza pretensję.

¹³ *Polskie Siły Zbrojne w Drugiej Wojnie Światowej, t. 3: Armia Krajowa*. Londyn 1950 s. 482–498.

¹⁴ [W. Bolecki] J. Malewski, *Ptasznik w Wilna: o Józefie Mackiewiczu*. Kraków 1991 s. 371.

JÓZEF MACKIEWICZ — OD STRONY PONAR¹

Natan GROSS (Izrael)

HISTORYK, POWIEŚCIOPISARZ, DZIENNIKARZ

Historia to łańcuch faktów niewątpliwych: coś działo się gdzieś w jakimś określonym czasie, a potem działo się coś nowego, powiązanego na ogół z poprzednimi wydarzeniami, ale niekoniecznie. O tym powiązaniu decyduje ktoś, kto odnotowuje fakty i stwierdza ich zależność od siebie. Porządkuje. To jest historyk, człowiek uczony (o takich mowa), powołany do zbierania faktów, analizowania ich, zapisywania i publikowania. Historyk jest jednak człowiekiem, a choć dziś posługuje się komputerem, sam komputerem nie jest. Ma swoje osobiste poglądy społeczne, polityczne, estetyczne, zdaje sobie sprawę z tego, że pisze dla jakiegoś czytelnika emocjonalnie związanego z jego pisaną historią. Historyk wie, niewątpliwie, o wiele więcej niż to co zawiera jego książka — owoc studiów i przemyśleń. Z jednej strony musi rezygnować z mniej ważnych szczegółów i faktów — bo jego praca badawcza rozrosłaby się do nieobliczalnych rozmiarów (a są i takie), a z drugiej, chce podkreślić te fakty, które odpowiadają jego myśli przewodniej — kompozycji, ideologii, celowi, któremu idzie naprzeciw — on i historia (według jego poglądu).

Historia est magistra vitae — historia jest nauczycielką życia — taki slogan ukuli już starożytni historycy. Nie historia — a historycy. Ci są, chcą być nauczycielami, posługując się materiałem historycznym tak by nauczał, pouczał, umoralniał czytelnika-naród. Bo historyk pisze dla narodu i w pewnym sensie kształtuje jego charakter i sposób myślenia ukazując mu niejako jego odbicie, fotografię jakby — w swoim dziele. Tu należałoby rozszerzyć pojęcie „historyk” do literata piszącego powieści historyczne, malarza — Sienkiewicza, Matejkę — czy dziennikarza, eseistę, krytyka, „korygującego” dzieła historyków — więc Boya-Zeleńskiego na przykład.

¹ W opracowaniu wykorzystano: W. Lewandowski, *Józef Mackiewicz. Artyzm. Biografia. Recepcja*. Londyn 2000 (w cytatach: WL); *Nad twórczością Józefa Mackiewicza*, szkice pod red. M. Zybury. Warszawa: [wyd. Gryf], 1990. Cytaty z J. Mackiewicza pochodzą z książek oznaczonych następującymi skrótami: (B) — *Bunt rojstów*. Warszawa: [wyd. Gryf], 1990; (F) — *Fakty, przyroda i ludzie*. Warszawa: [wyd. Baza], 1990; (N) — *Nie trzeba głośno mówić*. Warszawa: [wyd. Baza], 1990. Numer strony podano po symbolu literowym.

Historyk, przywiązany do postaci historycznych bohaterów, wodzów, przywódców narodu, buduje swój życiorys jak chce, wybierając z bogatych zasobów historii te fakty, które — w jego oczach — gloryfikują wybrane postaci, mogące być „wzorem” dla ucznia, studenta, czytelnika a unikając i wymazując z życiorysu — i z historii przez siebie ułożonej — fakty, które jego zdaniem mogłyby obniżyć ocenę moralną „wzoru”. Słowem, odczłowieczają „historyczną postać” — ku pokrzepieniu serc narodu.

Celem historyka jest (powinno być, tak sądzą) poszukiwanie prawdy i nie ukrywanie jej przed narodem — tj. czytelnikiem. Ale ta sama prawda ma różne oblicza: przedstawia się inaczej pod piórem historyka polskiego a inaczej ukraińskiego, a jeszcze inaczej angielskiego. Te same fakty znajdują diametralnie różną interpretację — jeśli nie zostaną całkowicie pominięte. Interpretacja faktów historycznych jest przeważnie kwestią tendencji autora — ale niekoniecznie. Może wynikać z dociekliwości, z poszukiwania „prawdziwej prawdy”.

Chciałoby się żądać od pisarza, historyka, twórcy zajmującego się historią by był obiektywny — ale wygląda to na zadanie niewykonalne. Wystarczy żeby był uczciwy, żeby świadomie nie fałszował faktów, nie unikał spojrzenia prawdzie w oczy, choćby to była prawda bolesna. Może ją interpretować tak jak ją odczuwa, byle szczerze.

Prawda w oczy kole — nie historyka, który rozumie (powinien rozumieć) nawet to co nie zawsze „kładzie się na rozum”. Ale czytelnik (przeciętny, którego w szkole uczyli „nie szargać świętości”) reaguje na nie znane mu fakty, utajone przed nim przez „nierozsądne wychowanie” — histerią. Jeszcze większą histerią reagują ci historycy, którzy trzymają się kurczowo ukształtowanych przez wieki pojęć o swoich bohaterach narodowych i jeśli ktoś, inny uczony, kompetentny badacz dziejów odkrywa to — o czym „oficjalni” historycy dobrze wiedzą ale tę wiedzę ukrywają przed narodem — dochodzi do skandali, obelg, obmowy, banicji — zamiast rzeczowej dyskusji o faktach. Ale „konserwatyści” nie chcą mówić o faktach tylko o zasadach... Nie, jaka jest historia (narodu, w szczególności) ale jaka być powinna. Jak ją należy pisać i podawać do spożycia czytelnikowi.

Najwspanialszym przykładem „obiektywnej” historii — obiektywnie napisanej — jest Biblia. Tu nie ma „świętych” — choć wszyscy są święci. Nie ma postaci bez skazy od Abrahama po Dawida i Mojżesza — najwybitniejsze postaci w mitologii żydowskiej — i nie tylko żydowskiej. Przekaz biblijny nie odbiera im cech ludzkich, ich słabości, zboczeń, niesprawiedliwych decyzji. Nie idealizuje również ludzi, narodu, który nie zawsze kroczy drogą sprawiedliwości, nie zawsze trzyma się litery prawa, przykazań boskich. Oczywiście, to wszystko, zdanie po zdaniu, słowo po słowie, skomentowane jest przez mędrców, ślęczących całe życie nad tą księgą i dopisujących komentarze do komentarzy. Te komentarze — składające się m.in. na Talmud nie dochodzą do każdego zjadacza chleba — ale podstawowa księga historyczna, Biblia jest w każdym domu... Każdy może sobie przemyśleć i zinterpretować ten święty tekst, który w sposób prosty, bezpośredni opowiada o ludziach wielkich i małych a czasem, w niektórych księgach — jak *Pieśń nad pieśniami*, wznosi się do wyżyn poezji.

Musiałem sobie i czytelnikowi uświadomić te nie nowe poglądy, by pod ich aspektem ocenić człowieka i dzieło — Józefa Mackiewicza. Wyznam szczerze, nie jestem „Mackiewiczologiem”. Współpracując z „Wiadomościami” londyńskimi otarłem się o dyskusje, rozróby, skandale związane z jego piórem, jego interpretacją historii — i historią związaną z jego miłością prawdy, która dla jego adwersarzy była niejako „szarganiem świętości narodowych”. A on pisał co widział, co wiedział, co czuł, jako człowiek kresowy, mający bezpośredni kontakt z ludem, słyszający co w trawie piszczy, i nie bojący się o tym pisać choć nie wiedział, że nie w smak to będzie patriotom na emigracji, którzy zamiast popatrzeć do lustra i zobaczyć jak istotnie wyglądają, wołą rozbić to lu-

stro. Nie chcą wiedzieć. Trzeba wiele cierpliwości, by ostudzić zapalczywość zaślepionych bojowników ciemnogrodu.

Przyjąłem z pewnym wahaniem propozycję redaktora „Archiwum Emigracji”, by napisać o stosunku — może stosunkach — Mackiewicza do Żydów, jako że Żydzi polscy, Żydzi w Polsce, to jeden z tematów, który konsekwentnie rozwijam w mojej działalności dziennikarskiej w Izraelu i ewentualnie w polskiej prasie zagranicznej. Mackiewicz jak wiadomo (może nie wiadomo?) nie był Żydem, więc niechętnie widziałbym reakcję nieprzyjawnego polskiego czytelnika, że „pcham się nie do swoich spraw”, a z drugiej strony narażam się na ataki żydowskiego czytelnika — tego nietolerancyjnego — że biorę w obronę niejako „endeckiego” pisarza (co nie jest prawdą — ale kogo to obchodzi... W każdym razie skrajnie prawicowego antykomunistę). Doszedłem jednak do wniosku, że Mackiewicz był świetnym pisarzem, uczciwym i szczerym, wierzył w to co pisał i należy mu się ode mnie uczciwe słowo.

Mackiewicz mówił głośno o tym o czym „nie trzeba głośno mówić”, a jedną z tych spraw, o których „nie trzeba głośno mówić” jest to co zrobiono Żydom, co zrobiono z Żydami podczas II wojny światowej. Dlatego wziąłem pod skalpel powieść Józefa Mackiewicza *Nie trzeba głośno mówić*.

HUZIA NA MACKIEWICZA

Oczywiście, Mackiewicz nie pisał powieści o Żydach — ale pisał o tym co widział i słyszał — żył w społeczeństwie, którego 30–40% po miastach, miasteczkach i wsiach stanowili Żydzi. Siłą rzeczy nie mógł na ten fakt przymknąć oczu — a oczy miał bystre. Swój stosunek do świata odnotował w sloganie, którego treść stała się treścią jego życia i jego *credo*: „nie ma złych i dobrych narodów, są tylko źli i dobrzy ludzie”. Nie był nacjonalistą a w żadnym razie „endekiem”, o co go nieraz pomawiano.

Motyw żydowski przewija się przez całą twórczość Józefa Mackiewicza, przeplata się z motywami głównymi jako naturalny element ogólnej sytuacji. Znał Żydów, pomagał im, oni jemu pomagali — ot normalne stosunki między ludźmi, sąsiadami, a różnie to bywało w niepewnych, ciągle zmieniających się czasach. Jeszcze przed wojną zdobył sobie opinie „antysemitnika”, gdy w felietonie *A Szwarce Bor* — opisał kolonię letniskową wileńskich Żydów w Czarnym Borze pod Wilnem. Jak ich widział — tak ich pisał — ale nie zapomniał dodać, że „dobrobyt z tego płynie”. Chłopi przywożą na sprzedaż kartofle, ogórki, mleko, masło — wszystko, co jest do jedzenia. A traktują żydowskiego klienta jakby mu łaskę robili...

Mój znajomy Jan Kol wynajął wszystkie zakamarki swej chaty Żydom. Sam się gnieździ byle jak. Ale z tego żyje, ma zarobek i przez to nie pracuje.

Ani drzewa nie chce rąbać, ani w ogrodzie cudzym na dniówkę pracować. Po co mu to? Wychodzi do pociągu, pływa w żydowskim tłumie i lekką ręką zarabia na pośrednictwie. Prowadzi do nie wynajętych jeszcze mieszkań, szuka dla każdego Żyda odpowiedniej, według jego miejskich geszefatów, kwatery. Dostarcza im co potrzeba i informuje. Żydzi, to jego chleb powszedni z masłem, to jego utrzymanie, to jego roczny niemal budżet (B, 170).

Rozmowa toczy się na peronie, gdzie Jan Kol łowi swoich klientów:

U mnie, pan łaskawy, tak Żydów nalazłszy pełna chata. Kiedy smało się na słońcu. Na ranku słysza płacz, dzieciuk ichni na słońcu spalił sia. Tak mówia, poco palić się tak... — znów zerknął w tłum, bo mu się wydało, że ktoś nań kiwa, ale nie. Zapomniał o czym opowiadał, więc zakończył sentencjonalnie, głośno, nie żenując się swych zarobkowniców: — Ażeby oni wszystkie w piekle spaliliby się!

Jan Kol jest niepoprawny (B, 171).

Także Mackiewicz jest niepoprawny — i płaci za tę swoją wolność myśli i wypowiedzi wysoką cenę. Jego stosunek — jednoznaczny i bezwzględny — do komunizmu sowieckiego, trafia jak kosa na kamień na prosowiecką politykę państw alianckich walczących z Niemcami. Jego prawda o Katyniu — fakt, że towarzyszył komisji demaskującej zbrodnie stalinowskie, wraz z publikacjami w polskojęzycznej prasie inspirowanej przez okupanta, przylepiły mu znamię kolaboranta ale:

12 listopada 1945 roku Sąd Koleżeński Związku Dziennikarzy RP — Syndykat Włochy uwolnił Józefa Mackiewicza od zarzutu kolaboracji z niemieckim okupantem. Wyrok ten nie zahamował jednak nagonki na pisarza, prób wyeliminowania go ze społeczności emigracyjnej, na jakie będzie narażony do końca życia. W 1946 roku Mackiewicz zaczął publikować w wydawanym przez swego brata, Stanisława Mackiewicza, piśmie „Lwów i Wilno”. W połowie 1949 roku wycofał się ze współpracy z tym tygodnikiem, podejrzewając, że „Cat” nawiązał kontakt z agenturą PRL i negocjuje warunki powrotu do kraju. Jeszcze z Rzymu J. Mackiewicz przypomniał o sobie Mieczysławowi Grydzewskiemu i od roku 1947 rozpoczął współpracę z londyńskimi „Wiadomościami”. Zamieszczanie tekstów Józefa Mackiewicza kosztowało Grydzewskiego utratę londyńskiej subwencji rządowej dla „Wiadomości” (w 1948 r.). Zapytany o przyczynę jej wstrzymania, gen. Bór-Komorowski odpowiadał, że pismo, które drukuje Ferdynanda Goetla, Józefa Mackiewicza i Władysława Studnickiego, wyłamuje się z dyscypliny obywatelskiej i nie zasługuje na poparcie (WL, 124) .

Prawda, tak jak ją widział, czuł i opisywał J. Mackiewicz doprowadzała do białej gorączki patriotów na emigracji. Mackiewicz, który jako młody ale myślący i piszący człowiek brał udział w krwawych bojach oczyszczających północno-wschodnie rubieże dopiero co powstałej Niepodległej Polski z bolszewików — widział przy tej sposobności rozpad moralny swoich współtowarzyszy broni, mord i rabunek, bezmyślne zabijanie Żydów, palenie wsi pomawianych o współpracę z bolszewikami — i dał temu wyraz w książce *Lewa wolna*.

W dyskusji na zebraniu Biura Studiów Rady Głównej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, zwołanym w Londynie, w celu potępienia Józefa Mackiewicza i jego powieści *Lewa wolna* oraz „skarčenja” Juliusza Sakowskiego, który samodzielnie podjął decyzję o wydaniu książki przez Polską Fundację Kulturalną, Tadeusz Pełczyński mówił m.in.: „Obraz lat 1919–20 zarysowany przez Mackiewicza w *Lewej wolnej* musimy całkowicie odrzucić, jako nieprawdziwy, tendencyjnie wypaczony i uwłaczający nam [...] Kawalerzyści polscy występujący w tej powieści, a reprezentujący żołnierza polskiego w ogóle, to ludzie bez żadnej busoli ideowej. Poza akcją bojową [...] czas swój wypełniają wódką, kokainą lub innymi narkotykami, włóczęństwem się po burdelach, poszukiwaniem okazji do różnych nieczystych spraw, do wykroczeń, a nawet do zbrodni. Stanowią oni odrażającą, występłą bandę bez wartości moralnych. Kobiety biorące udział w walce — to według Mackiewicza nierządnicze i lesbijki rozwydrzone seksualnie. Przedstawia on je wszystkie w sposób poniżający Polki w ogóle. [...] Aby poniżyć żołnierza polskiego w oczach czytelnika, Mackiewicz każe mu używać bezustannie i na każdym kroku najordynarniejszego języka. Nawet nad trumną na pogrzebie towarzysza broni poległego w walce żołnierz w *Lewej wolnej* myśli i śpiewa ordynarnie i sprośnie” (WL, 271–272).

Nie będę analizował *Lewej wolnej* — nie czytałem tej książki, ale powyższy atak Pełczyńskiego jest przecież dowodem, jak „patriotyczna opinia” przyjmowała jego wizję zdarzeń.

Komendant Armii Krajowej Bór-Komorowski nie mógł być zadowolony z relacji Mackiewicza o stosunkach AK do sojusznika sowieckiego...

Generał Rowecki był również zdecydowanym zwolennikiem kolaboracji polsko-sowieckiej i on to, z chwilą wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej położył duży nacisk

na powiększenie obszaru dywersji na niemieckich tyłach w kierunku wschodnim, oraz w myśl wskazań gen. Sikorskiego powołał w tym celu organizację wywiadowczą pod kryptonimem „Wachlarz”. Wysłał też do Mińska majora Sokołowskiego dla podjęcia na Białorusi wspólnej z partyzantką sowiecką walki przeciwko Niemcom. Wkrótce potem, 14 lutego 1942, depeszował do naczelnego wodza w Londynie: „Organizacja Wachlarz jest już mocno ustawiona w terenie. Operację przerywania wszystkich linii kolejowych mógłbym powtórzyć kilkakrotnie w różnych odstępach czasu i w chwili najbardziej dotkliwej dla transportu niemieckiego, jeżeli otrzymam wydatnie zwiększoną ilość lotów. Dla wydatnego przeprowadzenia operacji konieczne jest zwiększenie zasięgu lotów do rejonu Wilno i rejonu Lwów, co motywowałem w meldunku nr 146”.

Dnia 30 kwietnia generał Sikorski podejmował uroczystym obiadem w hotelu Dorchester w Londynie ambasadora sowieckiego Bogomołowa i attaché wojskowego płk. Siszowa. Obecni byli ze strony polskiej ministrowie: Mikołajczyk, Raczyński, gen. Józef Haller, Modelski i wielu innych. Gen. Sikorski wykorzystał tę okazję, aby podkreślić, że wywiad AK oddaje ogromne usługi Generalnemu Sztabowi Sowieckiemu. Ambasador Bogomołow nie zaprzeczył. Przeciwnie, przywołał do siebie przybyłego z Moskwy rotmistrza Klimkowskiego, i bardzo komplementował go za zasługi oddane sprawie polsko-sowieckiego braterstwa broni (N, 165–167).

Nie spodobały się też chyba uwagi o powstaniu w getcie warszawskim, tak jak je zrelacjonował Andruszkiewicz (redaktor wileńskiego „Słowa”, wybitny działacz podziemia) Henrykowi po powrocie z Warszawy.

— Nie wiem dlaczego wyjątkowo przygnębiające wrażenie zrobiło na mnie powstanie getta warszawskiego. Taki bezprzykładny zryw. I...

— Ciągłe się jeszcze poszeptuje: „Jedyna rzecz co Hitler dobrego zrobił, to to, że zniszczył Żydów. Tylko nie należy o tym głośno mówić”.

— Nie, niekoniecznie. Choć z drugiej strony fakt, że nie ma Polaka, który by tego powiedzonka nie słyszał, względnie o nim nie słyszał, nie świadczy dobrze. Wie pan, ile AK dało sprzętu walczącym Żydom? Jeden RKM, jeden pistolet maszynowy, 20 rewolwerów i, zdaje się, 10 karabinów. A powstanie zbrojne w środku fortecy Hitlera od Atlantyku do Donu, bez żadnej pomocy z zewnątrz!... Fantastyczne. Piłem kawę i jadłem ciastka u „Aktorek” przy Mazowieckiej, jakby nigdy nic. A od Placu Krasińskich biją moździerz po Żydach. Kto chciał mógł nawet iść patrzeć. Gdy się zastanowić... (N, 256).

Z biegiem czasów i wypadków — z Katyniem w środku — atmosfera się zmieniła, ale sytuacja polityczna nie... Polska nie mogła występować przeciw aliantom. Ale na froncie, w partyzanckich kołach i szeregach — „od dołu” — myślano inaczej. Przytoczę fragmenty jednego z licznych dialogów jakie niewątpliwie drażniły byłych partyzantów AK, którzy nie zawsze tak myśleli i nie zawsze wszystko wiedzieli... bo nie o wszystkim mówi się głośno.

Rozmowa toczy się w garażu, gdzie stary (ale młody wiekiem) mechanik Skowroński uświadamia nowo zaangażowanego kolegę „Orłowskiego”, wykładając mu „kawę na ławę”, taktykę polskiego podziemia w sytuacji zbliżającego się do Wileńszczyzny frontu sowiecko-niemieckiego. „Orłowski” (Henryk, bohater powieści) wilnianin, zna dobrze sowietów i sceptycznie zapatruje się na wywody warszawiaka, który niedawno został odkomenderowany w te strony. Skowroński peroruje ze swadą znawcy i wielką pewnością siebie:

Niemcy dają nam teraz broń i myślą oczywiście, że jak przepędzimy tych kilka band bolszewickich, to zaraz ukręcą nam samym głowę, i po kwiku. Ale oni tego nie zrobią, bo oni wojnę już przegrali. Broń natomiast zostanie u nas, i ich własną bronią dostaną jeszcze od nas w dupę. A że w międzyczasie oczyściliśmy trochę teren od bolszewików, to też wyjdzie nam przede wszystkim na dobre, a nie Niemcom, których tu wkrótce już nie będzie. A jak bolszewicy wejdą, to również nam i tylko nam, zależy na tym żeby być uzbrojonym jak najlepiej, ale nie jak najgorzej. To chyba jasne.

— No, tam z tą jasnością, to powiedziałbym, częściowo. Bo co dalej?

— Naturalnie, że „dalej” zależeć będzie od naszych sojuszników zachodnich. Jeżeli

nas poprą, albo nawet wdadzą się w wojnę z Sowietami, musimy być uzbrojeni po zęby. Jeżeli zaś najgorsze, w co ja wierzę, że nas sprzedadzą, to musimy być uzbrojeni po czubek włosów na głowie. Pan myśli, że komuniści nam dadzą radę?! Polska, proszę ja pana, to nie Białoruś, nie Litwa i nie Ukraina. Polska to Zachód, to kultura europejska, to katolicyzm rzymski, to tradycja. Dla nas komunizm nie jest straszny. Nie dadzą rady. [...] Żeby pan zobaczył, czego potrafią dokonać nasze chłopaczki. W Warszawie sprzątają gestapowców i nawet generałów. Włączają się w radio, drukują im gadzinówki na opak, ach. A taki wyczyn ostatnio, jak uwolniliśmy więźniów w Pińsku. I jeżeli tego wszystkiego dokonywuje się wobec takiego przeciwnika jak Niemcy, to myśli pan, że my w trzy migi nie załatwimy się z jakąś tam Wasilewską, Putramentami, Osóbkami, czy jak się oni tam nazywają w Moskwie i na miejscu? Z całym „Związkiem Patriotów” i wszystkimi wodzami tego Pe-Pe-eRu? Po tygodniu nie będzie ani jednego.

— „W imieniu Rzeczypospolitej”?

— Tak jest. W imieniu Rzeczypospolitej. My się komunistów nie boimy. Ale do tego potrzeba nie patyczkować się, nie bawić w zasady. Tylko stosować te same bezwzględne metody co oni, i inni, dla jednego celu: dla dobra Rzeczypospolitej. Niemcy dają broń, brać. Dają rozkaz policji i SS nie strzelać pierwsi do partyzantów polskich, to korzystać z tego. Tak się, panie Orłowski, robi i tak powinno robić (N, 328–329).

Ale „Orłowski” chciał wiedzieć jak Skowroński ocenia niebezpieczeństwo zdemaskowania tej „cienkiej roboty” i związanej z tym politycznej kompromitacji, którą sowiecka propaganda niewątpliwie roztrąbi po świecie. Skowroński ma w tej mierze przekonywujące argumenty:

[...] czasy się zmieniły od tamtego czasu, gdy wpisywano w nasz hymn słowa: „Dał nam przykład Bonaparte jak zwyciężać mamy”. Od czasów rewolucji bolszewickiej, wpisuje się we wszystkie hymny wszystkich narodów: „Dał nam przykład Lenin z Trockim jak łąć mamy”... Chociaż się tego głośno nie śpiewa. Nie mówiąc już, że jest wojna, a pierwszą ofiarą każdej wojny pada zawsze prawda. No i co zrobisz? Nic nie zrobisz. Od czegoż więc są zaprzeczenia: „Nieprawda, tego nie było”! Od czego świadkowie naoczni: Janek, Franek, Kazio, Staś i Krysia, powiedzcie, było tak, co nam zarzucają? — Nie! Nie było!... Jeżeli dla dobra Rzeczypospolitej można samemu zginąć, to dlaczego nie można krzywoprzysiąc? Krzywoprzysięstwo jest mniejszym grzechem niż zabicie człowieka. No więc! A tego, kto by twierdził, że było tego wykończyć jako oszczercę i prowokatora... w imieniu Rzeczypospolitej. Tak się robi, panie Orłowski i tak się powinno robić! — Trzasnął nagle otwartą dłońią po kolanie Henryka. Henryk ani drgnął. — Powie pan, że to cyniczne? Nie zaprzeczę. Ale co nie jest cyniczne, powiedz pan, na wojnie?

— Nie to powiem. Tylko nasze staropolskie: „po co o tym głośno mówić”...

— O, pierwsze rozumne słowo. Ja w każdym razie, na to możesz pan być przygotowany, zaprzeczę każdemu słowu tu powiedzianemu. W dodatku przy wódce. Pan się upił, Orłowski, co?

— Upiłem się (N, 329–330).

W atmosferze stałych zmian na froncie i za frontem, niepewność, która udziela się wszystkim trzeźwym ofiarom i obserwatorom, w atmosferze udokumentowanej bogato cytowanymi raportów, głosów prasy niemieckiej i podziemnej, tylko „Skowrońscy” mieli wytyczoną ideologię i strategię. Byli w niej bardzo konsekwentni — i zapłacili drogą za swoją drogę.

ŻYDZI — NIE TRZEBA GŁOŚNO MÓWIĆ

Ale nie chcę się zająć w tym felietonie stroną polityczną książki, zresztą fascynującą w swoich głębokich penetracjach w archiwa niemieckie i polskie. Drogą paradoksu pisarski debiut Józefa Mackiewicza na emigracji związany był z tematem żydowskim — choć, jak

się rzekło, był to temat uboczny, niejako poruszany „po drodze” przez autora tak licznych powieści i publikacji — po drodze, bo zawsze jakoś znajdował się na jego drodze.

Jesienią 1943 roku pisarz był przypadkowym świadkiem masakry Żydów w podwileńskich Ponarach. Swoją relację, jeden z najsilniej przejmujących literackich dokumentów zagłady Żydów, opublikował w Rzymie, w „Orle Białym” — nr 35 (170) z 1945 roku. Tekst (w wersji skróconej) został przedrukowany w antologii, wydanej nakładem Szefostwa Duszpasterstwa Wyznania Mojżeszowego II Korpusu.

Już w związku z tą pierwszą publikacją dały znać o sobie skutki szeptanej propagandy, pogłosek o rzekomym kolaboracjonizmie Józefa Mackiewicza, przywożonych do Rzymu przez napływających do siedziby II Korpusu przedstawicieli „elity wileńskiej”. Pracujący wtedy w redakcji „Orla Białego” Gustaw Herling-Grudziński wspominał po latach: „Przyniosłem do redakcji wstrząsającą relację Mackiewicza *Ponary-Baza*, ale Piestrzyński [Ryszard, red. pisma — W.L.] bez czytania odmachnął się od niej, przerażony nazwiskiem autora; stanęło krakowskim targiem, na druku pod inicjałami J.M.” (WL, 123).

We wspomnianej „antologii” *Żyd polski — żołnierz polski* (pięćdziesięciostronicowa broszura zawierająca około 15 przemówień, raportów, wierszy, opowiadań i podobnych materiałów na żydowski temat), skrócony tekst *Ponary-„Baza”* podpisany jest także inicjałami: J.M. Następna publikacja *Ponar* w 1984 r. w wydanej przez londyńską „Kontrę” książce *Fakty, przyroda i ludzie* rozszyfrowuje wreszcie nazwisko autora, który wcześniej (w 1969) wprowadził ten „reportaż” do historycznej powieści *Nie trzeba głośno mówić*, z pewnymi skrótami. Jeszcze do tego wrócimy.

Nie trzeba głośno mówić jest powieścią historyczną w najściślejszym znaczeniu tego pojęcia². Tytuły jej kolejnych części to numeracja lat od 1941 do 1945, z bibliografią obejmującą ponad 90 pozycji książkowych w kilku językach i bogatym indeksem nazwisk historycznych. Historia od Berlina po Moskwę z centralnymi wydarzeniami na Białorusi, Wileńszczyźnie, Wołyniu, w którą wplecione są losy postaci częściowo historycznych, częściowo fikcyjnych, portretujących prawdopodobnie znanych autorowi mieszkańców miast czy majątków objętych opowiadaniem — m.in. przygodnych Żydów, nawiasowych bohaterów powieści, nawiasowych i sporadycznych, choćby z tego powodu, że autor nie wchodzi do getta, gdzie większość tego społeczeństwa jest „zamurowana”. Poznajemy ich — jak wszystkich i wszystko inne w tej powieści — bezpośrednio przez opis autora-świadka zdarzeń, pośrednio przez relacje bohaterów powieści oraz ich losy, przez oficjalne dokumenty-rozporządzenia, tajne raporty, prasę etc. Tak np. wspomniany wyżej, szeroko rozbudowany, wstrząsający epizod ponarski opisany w 1945 r. jako osobiste wspomnienie Mackiewicza-naocznego świadka staje się w powieści *Nie trzeba głośno mówić* częścią przygody i reakcji Leona, jednego z bohaterów opowiadania, aktywnego członka podziemia, kolportera prasy konspiracyjnej. Tenże Leon wprowadza nas w wątek żydowski — jeszcze niespecyficzny, z konkretnymi postaciami — gdy wychodząc z kolegą z kawiarni, gdzie mieli spotkanie konspiracyjne, był świadkiem spędzania Żydów do getta, które jak mówiono, miało być zamurowane.

Żydzi szli każdy z tym co mógł unieść, czasem pchając rzeczy w wózkach dziecięcych lub ciągnąc za sobą w ręcznych kolaskach (N, 33–34).

Konwojowali, pokrzykując, litewscy policjanci i niemieccy żandarmi. „Tłum na chodnikach milczał”.

² W rozumieniu: „powieścią traktującą o historycznych zdarzeniach”. Z punktu widzenia poetyki jest to powieść współczesna, nie wyznaczająca historycznego dystansu pomiędzy czasem narracji a czasem zdarzeń — red.

Tuż po jezdni, wzdłuż chodnika na którym stali, wlokła się stara Żydówka zgarbiona pod ciężarem worka na plecach, lewą ręką ciągnąc za sobą długi zegar szafkowy, który podzwaniał na nierównościach bruku. Widać było, że jest u kresu sił. Nagle z tłumu, z chodnika na jezdnię wyszedł stateczny człowiek o staturze i rysach chrześcijańskiego rzemieślnika (mógł być na przykład majstrem stolarskim), człowiek z wąsami; podszedł do Żydówki i kiwnięciem głowy dał do zrozumienia, że chce jej pomóc. Stara przystanąła, z głębokim westchnieniem postawiła worek na ziemi, i podniosła na człowieka oczy pełne, może tylko udanego zachwyty; przechyliła głowę, wargi jej zadrgały, ni to w płaczącym, ni to w dziękczynnym uśmiechu, a starcza łza spłynęła po jej policzku, zlewając się z kroplami potu. Człowiek lekko zarzucił worek na plecy, wziął w drugą rękę zegar, i... wstąpił na chodnik, po którym Żydom z gwiazdą chodzić nie było wolno, milcząc roztracił tłum, i poszedł prędko z tym łupem, znikając w bocznej uliczce. Coś jak głębokie stęknienie przebiegło w zamartym nagle tłumie. Ktoś cicho zaklął. Watrycy wyjął fajkę i spojrzał w raptownym osłupieniu za szybko niknącym człowiekiem. Leon otworzył usta. I było po wszystkim. Tylko stara Żydówka stała jeszcze na dawnym miejscu na bruku, z kamieniejącym uśmiechem na jej twarzy, uśmiechem wdzięczności.

— I żeby to coś warte. Ale takie barrrachło... — splunął ktoś obok (N, 34).

Getto i to, co potem wkrótce przyszło, zaskoczyło Żydów nie mniej niż ich polskich sąsiadów. Żydów zaskoczyło, bo nie wierzyli, że Niemcy są zdolni do takich zbrodni, a Polaków — że to zaskoczyło Żydów:

— A, to masz pan prawie i trochę racji. Z żydkami, to prawda, że jakoś nieładnie wychodzi. Ale i sami sobie winni. Tyleż to mówiło się, jeszcze do ostatnich czasów: „Żydzi wszystko wiedzą, Żydzi wszystko przewidują”. Gazetem u nas, bywało, nikt nie wierzył, a chodził Żydów pytać. Ot tobie, i przewidzieli! Jak dzieci, gołymi rękami dali się zaskoczyć. A niektórzy, mówią, to jeszcze w ostatniej chwili z Ameryki do Europy powrócili. Ech, inaczej jest na świecie, niż ludzie mówią.

— Jeden mój znajomy, też tak mówił.

— A zresztą ja w mądrość żydków nigdy nie wierzyłem — ciągnął Panisienko. — Pachciarz archirejskich sadów był, Chaim Szpitalnik. To wie pan, co on po rewolucji robił? Skupywał papierowe carskie ruble. Pomyśleć tylko. I co jemu było z nich? W Borysowie (N, 123).

A w Borysowie? Niedługo potem — i tam i wszędzie...

— Chociażby w Borysowie. Mogę panu nawet powiedzieć dokładnie: 7.620 Żydów, 9 listopada ubiegłego roku. Warstwa po warstwie kładziona w rów, na jeszcze nieostygłe trupy, lub tylko rannych, i strzelana na rozkaz policyjnych władz SS. Mężczyźni, kobiety, dzieci; wszystkim przedtem kazano rozebrać się do naga. A dlaczego to panu opowiadam? Bo mój dobry kolega z „Abwehry”, feldfelbel Sönnicken, był tam wtedy i przesłał ściśle tajny raport do mego szefa o tym co wyrabia SS. Ja ten raport miałem w rękę i czytałem. A dlaczego w tej chwili zdradzam panu tajemnicę ściśle tajnego raportu? Dlatego, że mój przyjaciel Sönnicken pisał w nim nie tylko co się działo na rozkaz SS ale również kto ten rozkaz wykonywał, mordował. A mordowali wyłącznie, w tym właśnie wypadku, zwerbowani policjanci białoruscy, lokalnego tzw. samorządu. Wszystko byli obywatele Związku Sowieckiego (N, 130).

Bezsensowne masowe mordy i okrucieństwa, wykonywane na rozkaz z góry, nie zawsze podobały się nawet niemieckim władzom administracyjnym, które nie mogły zrozumieć dlaczego likwiduje się darmową siłę roboczą, pracującą dla podniesienia potencjału walczących sił zbrojnych. Komisarze obwodowi, niekoniecznie zawodowi zbrodniarze, chcieliby stosować inną politykę wobec ludności białoruskiej czy ukraińskiej, może nawet i żydowskiej, w szczególności, gdy mieli na uwadze coraz cięższą sytuację niemieckich armii na wschodzie. Dawały temu wyraz tajne raporty, które Mackiewicz wyławiał z archiwów i literatury.

Jeszcze niedawno temu generalny komisarz Kube przesłał do Ostministerium tajny raport, jaki otrzymał od swego „Gebietskomisarza” ze Słucka, Carla: „Metody masakry Żydów są nieodpowiedzialne. Tego rodzaju metodami nie da się utrzymać spokoju i porządku na Białorusi. Poza tym ci żydowscy rzemieślnicy po prostu są potrzebni i nie mogą być zastąpieni. Mimo to, batalion policyjny w Słucku wyprowadził wszystkich Żydów i odtransportował. Na moją interwencję, kapitan policji odpowiedział, że oczyszczanie terenu z Żydów odbywa się ze względów politycznych, i względy gospodarcze nie mogą być przy tym brane pod uwagę. Z brutalnością nie do opisania, zarówno ze strony niemieckich urzędników policyjnych, jak zwłaszcza litewskiego batalionu SS, wyciągani byli z mieszkań nie tylko Żydzi, ale i inni mieszkańcy Słucka, i zganiani na kupę. W mieście zapanowała dzika strzelanina i na poszczególnych ulicach gromadziły się trupy zastrzelonych Żydów. Abstrahując od tego, że Żydzi — w tej liczbie pracujący dla nas rzemieślnicy — na oczach całej ludności w straszliwy sposób byli masakrowani, inni mieszkańcy też byli bici kolbami. O jakiejś „akcji żydowskiej” nie było już mowy, całość robiła wrażenie chaotycznej rewolucji... Znęcanie się doszło do tego, że ludzie bywali zakopywani żywcem, a litewski batalion policyjny dopuszczał się niesłychanych gwałtów i rabunku prywatnego mienia. Białorusini, którzy nabrali do nas zaufania, stali wobec tych wypadków zmieszani i zdumieni. Zaklinam Pana, Panie Generalny Komisarzu, aby zechciał Pan zabrać stąd przynajmniej ten batalion policyjny... *Heil Hitler!*” (N, 111–112).

Tego typu raporty, sygnalizujące narastający niepokój a zarazem niezadowolenie z centralnej polityki Hitlera, uderzającej nie tylko we wroga ale też wprowadzającej zamęt i demoralizację w rodzime szeregi niemieckie, przewijają się często przez karty powieści przynosząc jeszcze jedno i jeszcze jedno sprawozdanie z rzezi dokonanej na Żydach w Słucku czy w Mińsku i innych miejscowościach.

W POSZUKIWANIU WYJŚCIA: WULFKA I INNI

Na takim tle rozwijają się opowiadania o losach Żydów, znajomych Henryka, Leona i innych bohaterów książki. Jedną z żydowskich postaci przewijających się przez różne etapy powieści jest Wulfka. Zasygnalizowany wcześniej jakimś zdaniem gdy podczas nalotów spotkał niespodziewanie w bramie Henryka: „— Ale wy Wulfka znikajcie też. Wiecie co Niemcy z Żydami robią?”. Zjawia się wkrótce w mieszkaniu Henryka: „Ratuj moją siostrę!” Jego siostra ma złoto i brylanty, ale nie chcą jej dłużej trzymać na starym mieszkaniu niż trzy dni. „A co z tobą samym?” — zatroszczył się Henryk.

— Mnie obiecał po znajomości schować proboszcz Bernardynów. Tylko on nie chce kobiety. Ale ja sam, mam czas. Ja mieszkam u jednego. A później chcę z archimandrytą Serafimem przedostać się na wschód. [...]

Henrykowi zaświtała ukryta myśl. Nic jednak nie powiedział tylko spojrzął pytająco na Halę. Ta wzruszyła ramionami.

— Chyba u Klaudii Kalinowskiej, na wsi — powiedziała. — Wiesz, ta moja bliska kuzynka. Sama jedna z dziećmi w lesie. Trzeba by pojechać pogadać. Za darmo ona nie robi, ale za brylanty...

— To ta fajna blondyna w kierunku na Puszcę Rudnicką? — zapytał Wulfka.

— A skąd pan wie?

— Gdzie ja z panem Zakrzewskim nie bywałem! [...]

Sprawa umówiona została w ciągu kilku minut. Spotkanie wyznaczone w mieszkaniu wozaka Anatola Uszkowa, przy ulicy Nowogródzkiej 141. U niego mieszkał na razie Wulfka. Uszkow dużo zawdzięczał Wulfce za czasów bolszewickich (N, 35–36).

Przytoczyłem fragmenty tej żywej rozmowy, ale na dobrą sprawę należałoby przytoczyć ją w całości, bo ukazuje ona sposób charakteryzowania postaci i sytuacji: Mackiewicz, któremu nie można zresztą odmówić mistrzostwa epickiego opisu, zamyka wszyst-

ko najlepiej w dialogu, doprowadzając odbiorcę bez niepotrzebnych odautorskich uwag psychologicznych do pożądaných wniosków.

Wszystko się ułożyło, ale nie tak, jak to sobie projektował Wulfka, który chciał z Henrykiem jechać do Klaudii. Anatol, ugodzony za woźnicę sprzeciwił się stanowczo:

— Nie pojedę ja z tobą Wulfka. Na wiorsty dwie Żyda widać. I siedział by ty w ogóle w chacie a nie biegał chwost zadarty (N, 37).

Okazało się, że archimandryta Serafim też woli do Mińska nie jechać z Wulfką:

— „To tylko narazi, mówił, i jego i nas. Już po jednej wymowie każde dziecko pozna”...
— Wulfka słuchał, tracił werwę [...]. Jego niespożyta ongiś inicjatywa i energia rozbiły się o rzecz podstawową jak jego własny wygląd fizyczny. [...]

— Nu nie ma tobie jak, Wulfka, nie ma jak... — sprecyzował jego sytuację Anatol.
— Już za to jedno, że gwiazdy nie nosisz mogą zabić jak psa na ulicy. A co dopiero myśleć o czymkolwiek (N, 37).

Pojechali więc bez Wulfki, a po drodze jeszcze i o polityce pogadali — Anatol Uszkow wybrzydzał się na Niemców, że „zamiast oswobodzić, sami ta bolszewizma rozprowadzają” — i po dłuższej przerwie dorzucił: „A jak czekali ludzie...”.

— Bóg raczy wiedzieć, jak to się skończy — mruknął Henryk, myśląc o czekającej go rozmowie z Klaudią.

— Pewnie, że Bóg. Ale już i po ludziach widać. Jak to inaczej złożyło się niż tego spodziewali. Ale i nasz człowiek też, jeżeli już po prawdzie mówić, sumienie u niego czarne jak cholewa. Weź pan na przykład z Żydami. No dobrze, Gitler ten ich, chce wszystkich Żydów wyniszczyć. To co nam do tego? A zobacz pan, dlaczego ani jeden Żyd zamieszkały wśród chrześcijan, nie może u nas dalej tam mieszkać gdzie mieszkał, czy przykładem, przeprowadzić się w spokojniejsze pomieszkanie? Niemcy żesz jego sami nie rozpoznają, nie tutejsi, a po drugie u Niemców dużo jest do Żydów podobnych. Oni do tego smiekałki nie mają sami. A dlatego nie może, że rozpoznany będzie przez tychże chrześcijan naszych. I prędzej czy później wydany. Ot, i cała rzecz. Co tu i gadać!... Ja, ot za tego Wulfki głowę nadstawiam. A czyż ja przed Niemcami nadstawiam? Niemiec do mnie i wody nawet napić się nie zajdzie. Przed swoimi nadstawiam, że nie dziś to jutro doniosą. No, czy nie tak mówię? (N, 38–39)

Mąż Klaudii, oficer, był w niemieckim oflagu. Klaudia z córką dziesięcioletnią i siedmioletnim synem... była piękna i ponętna... Henryk odprawił woźnicę pod pretekstem, że ma jeszcze coś do załatwienia w okolicy. Sam wróci piechotą... „Powiedz Wulfce, że załatwione!” I tak sprawa została załatwiona bez zbytecznych słów.

Siostra Wulfki zamieszkała u pięknej Klaudii, która bardzo lubiła złoto i brylanty. Ale w końcu nie przyniosły jej szczęścia. Opowiada o tym jeden z jej zawiedzonych wielbicieli Rogożyn, spekulant czarnorynkowy i polityczny, który poznał Klaudię na tle handlu złotem i biżuterią.

Rogożina zastał Anton Panisienko w stanie największego rozdrażnienia.

Same niepowodzenia — opowiadał. — Miał tu znajomą. Trochę handlowała złotem. To znaczy: „trochę”, wcale dobrze! Skąd ona zdobywała? Nie jego rzecz. Była u niej bogata Żydówka. Mówią, że jej zabrała wszystko, a później wydała w ręce Gestapo. Już on domyśla się, jakie to było „gestapo”... Zawsze takie rzeczy będą mówić, gdy nikt sprawdzić nie może. Bo skąd i później zdobywała złote rzeczy, brylanty? Znaczą, miała dobre chody. Ładna była. Czort ją wie, z kim tam się ona kontaktowała jeszcze, z jaką bandą. Ostatecznie nie jego rzecz. Klaudia było jej na imię. I teraz zabili ją. Pod miastem, głupia, mieszkała sama jedna z dwojgiem dzieci. A mówił jej tyle razy, uprzedzał! W nocy zamordowali. Pewnie współnicy. Ładna była... Ach, jaka ładna! — W głosie Rogożina przebiegała nuta głębokiego żalu. Trudno by osądzić z całą pewnością, czy żalu wskutek strat materialnych, czy żalu za nią samą. Musiał być jednak do żywego poruszony, że nie

mógł się powstrzymać by nie mówić o rzeczach, o których się teraz zazwyczaj przemilcza. Doprawdy, wydawało się Antonowi, że Jurij Wasiljewicz zmienił się, podupadł na duchu, zgorzkniał w tym krótkim czasie (N, 367).

Losy Wulfki potoczyły się innymi torami, aż stoczyły się w otchłań wieczności. Zmuszony w pośpiechu opuścić schron u Anatola Uszkowa pobiegł pędzony strachem do proboszcza kościoła Bernardynów, który przyrzekł mu pomoc ale gospościa księdza zamknęła mu drzwi przed nosem. Okazało się, że proboszcza nie ma i nie będzie. Już go zabili... Zrozpaczony, u progu samobójstwa „złapał” przypadkiem przechodzącego innego księdza, proboszcza kościoła Wszystkich Świętych i ten litościwy duszpasterz „zamagazynował” go w piwnicy swego kościoła.

[...] wegetacja w piwnicy kościoła odebrała mu resztkę energii i przedsiębiorczości. [...] I Wulfka, który już nie mógł dłużej wytrzymać zamknięcia w schowku i postanowił uciec, wybrał ucieczkę n i e w pola-lasy [...] lecz prześliznął się w tłum getta (N, 289).

Stąd droga prowadziła do Ponar... Z tego transportu do Ponar (który wspomnieliśmy i o którym jeszcze opowiemy) nie uratował się praktycznie nikt.

To znaczy, kto się nawet i uratował, ten zginął wkrótce w tych lub innych okolicznościach. Wulfka, trafiony kulą w nogę, gdy spod pociągu wyskoczył na szyny by osiągnąć zbawcze krzaki, mógł biec jeszcze i zamierzał stoczyć się właśnie ze skarpy w zarośla leszczyny, ale trafiony został boleśnie gdzieś w tył, nie znał swej anatomii zbyt dokładnie: mogło to być w okolice płuc, serca, czy kręgosłupa. Ból promieniował. Udało mu się wszakże stoczyć i później pełzał długo na czworakach; nawet próbował wstawać; później znowu na rękach i kolanach przedzierał się przez krzaki (N, 289).

W tym czasie Leon, po wizycie „interesownej” u znajomej w Ponarach, wracał na rowerze do Wilna, ciągle pod wrażeniem niesamowitych scen pogromu i transportu Żydów na stacji kolejowej.

Wyjeżdżając z Ponar drogą dalej od toru kolejowego, zrobił krąg, ale trafił niebawem na ubitą ścieżkę, przemknął mokry w tym miejscu las i wyjechał na skraj pastwiska. Wciąż było pochmurnie. Szelest drożdów w liściastym podłożu olszyny. Dalej trzask gałązek pod racicami przechodzących krów. Raptownie wyskoczył na ścieżkę chłopak, pastuch z długim biczowiskiem wyciętym z jałowca, lat na oko trzynaście. Miał spaloną słońcem twarz, niesforne blond włosy i oczy palące się ogniem podniecenia.

— Panie! Pan może z policji?! Panie... O tam Żyd... Żyd chowa się, o, w tamtych krzakach, rojstach! Leży, raniony zdaje się... — pokazywał wyciągając bicz.

Leon minął go. Gdy zjeżdżał hamując, w gęsty parów, usłyszał za sobą jego wołanie:

— Ej! Siwaaa!! Ty, kudy?! Kudy ty! Siwaaa!... (N, 288)

Czy zdawał sobie sprawę kto go wołał, czego chciał?...

[Wulfka] umarł zupełnie samotnie. Bo młody pastuszek zapędził się za krową i zapomniał o nim. Był okropnie obdarty i wymizerowany. Ostatnie co na nim żyło to wszy, które zaczęły zlażyć z ostygającego ciała (N, 289).

PONARY — UROCZE LETNISKO...

Ponary stały się w tej wojnie uosobieniem niesłyszanej dotychczas grozy. Na dźwięk tych sześciu liter zakończonych „ypsylonem” truchlał niejedyn człowiek. Ich ponura, odrażająca sława przesączała się z wolna od roku 1941, jak lekko cieknąca krew ludzka, coraz szerzej, coraz szerzej po kraju i z kraju do kraju, ale nie objęła jeszcze świata całego, do dziś dnia (F, 18).

Mackiewicz co najmniej cztery razy publikuje jak już wspomnieliśmy — swoje wrażenia (nazwijmy to tak — bo jak?) z przygodnie (co za przygoda!) zaobserwowanej rzezi transportu Żydów przywiezionych pociągiem do Ponar. Za każdym razem wprowadza pewne zmiany — czasem dodaje, czasem ujmuje, czasem przerabia i zmienia któryś z niesamowitych epizodów zbrodni i okrucieństwa, ale zawsze daje obraz szalu i szaleństwa w nieprzewidzianej sytuacji buntu i samoobrony ze strony transportowanej masy więźniów, którzy uświadomili sobie nagle prawdziwy cel ich podróży (powiedziano im, że jadą na roboty do Koszedar), a z drugiej niezorganizowaną wściekłość uzbrojonych oprawców niemieckich i ich litewskich pomocników w bezsensownych aktach mordy i rozwydrzenia usiłujących opanować ten bunt i próbę ucieczki.

Ten opis naocznego świadka — pisarza, zawodowego reportera — z Ponar jest, zdaje się, bez precedensu, bo jeśli nawet udało się pojedynczym Żydom uciec z miejsca kaźni i opowiedzieć o niesamowitych przeżyciach, to nie byli to pisarze, i nie obserwowali scen mrozących krew w żyłach z bezpiecznej(?) choć bezpośredniej odległości — sami byli ofiarami, nie reporterami.

Najszerzej — z czterech znanych mnie — rozpisany jest reportaż z transportu śmierci w rozdziale *Ponary-„Baza”* w tomie *Fakty, przyroda i ludzie* (1984)³ niemal na początku książki, zawierającej zresztą inny bogaty materiał na temat Żydów wileńskich. Otwiera go liryczno-historyczny opis wzgórz i lasów ponarskich znanych od dawna ze swej malowniczości, z poematu Mickiewicza, z bitwy rozegranej tu w roku 1831 pomiędzy wojskami polskimi i rosyjską gwardią carską —

[...] miasto ogród, po naszymu zwyczajne letnisko [...] pachnie tu żywicą rok okrągły, a na jesieni grzybami i zimnym, potężnym wiatrem, który nawiewa świeżość ze wszystkich stron kraju. [...]

Kto kochał swój podwileński kraj rodzinny ten kochał oczywiście Ponary (F, 17).

Zimą były tam tereny narciarskie ale były też tereny... pojedynkowe...

W roku 1940 założyli w Ponarach bolszewicy, na spiętym bezmyślnie kawałku lasu i odebranych od ludności terenach, jakieś nikomu niepotrzebne przedsięwzięcie państwowe, wielkie place otaczając, swoim zwyczajem, mocnym płótem i drutem kolczastym. Z tak zniwelowanego terenu skorzystali Niemcy w r. 1941 i użyli pod miejsce kaźni, uruchamiając tu jedną z największych w Europie rzeźni Żydów. Nikt nie wie dlaczego i kto właściwie przezwiał ten teren: „bazą”. Do Ponar podwożono ciężarówkami, a następnie całymi transportami kolejowymi, tysiące Żydów i zabijano.

Dalekim echem spływały z tych wzgórz, het, w wielokilometrowy krąg, pojedyncze strzały, krótkie, urywane, gęste, trwające nieraz wiele godzin, albo na przemian terkoczące seriami broni maszynowej. Odbywało się to w różnych terminach, prawie wyłącznie w biały dzień. Nieraz kilka takich dni z rzędu, przeważnie ku wieczorowi, lub rankiem. Bywały tygodnie, a nawet miesiące przerwy, a później znów, zależnie od kierunku i siły wiatru, od pory roku, mgły czy słońca, rozchodziły się mniej lub więcej wyraźne postukiwania masowej rzezi.

Miałem nieszczęście mieszkać, wprawdzie przy drugiej z rozwidlających się od Wilna tras kolejowych, ale tylko w odległości ośmiu kilometrów od Ponar (F, 18)

— dokumentuje Mackiewicz. Potem, parę lat później — przeniesie swoje doświadczenia na głowę Leona z powieści *Nie trzeba głośno mówić* (1990). Przytoczę jednak fragment, który nie wszedł do skróconej wersji omawianej tu powieści.

Po roku 1942, gdy do Ponar zaczęły zjeżdżać masowe transporty skazańców, w lasach biegali Żydzi, którzy się wyrwali z kręgu konwoju, przeważnie postrzeleni, zupełnie tak samo, jak biega ranna zwierzyna. Błąkali się pokrawieni, krwawiąc pod sobą mech, czy liście, wcale nie sprytniejsi od dzikiego zwierza, który też nie potrafi zatrzeć po sobie

³ Tj. przedruk książkowy tekstu z „Orla Białego” 1945 nr 35 — red.

śladów. Pewien stary Żyd, ze szczęką oderwaną przez kulę, umarł aż w odległości 10 kilometrów od Ponar, zaszyty w rojsty na torfiastej łące. Ani w ich ruchach, ani w ich ucieczce, w sposobie chowania, w ich bełkoczącym z głodu i przerażenia języku, w ich fantastycznych łachmanach i ranach, a głównie w ich oczach pozieleniałych dzikością, nie było już nic człowieczego. Tropiono ich też tak samo jak zwierzyne. Szli więc policjanci-strzelcy, z psami, z naganką. Kobieta, dziecko, dziewczyna młoda, mężczyzna-Żyd, to nie robiło różnicy. Ranny, czy zdrowy, czy umierający właśnie gdzieś pod krzakiem jałowca, strzelany był po prostu na miejscu i tropiciele szli dalej. Sołtys miał tylko później nakazane wyznaczyć wóz czy sanie i trupa odwieźć w oznaczonym kierunku.

Żydzi wiedzeni już nie ludzkim odruchem, a zwierzęcym instynktem przedśmiernej ucieczki, tak samo jak zwierzęta unikali siedzib ludzkich, psów, głupich dzieci, które z czujnym okrzykiem i oznajmieniem nowiny, biegly do wsi wskazując palcami miejsce, gdzie wypadkiem spozregły ludzkiego potwora. Bezwzględnie stosowany przepis karał śmiercią każdego człowieka, który by Żydowi udzielił schronienia, a chociażby kawałka chleba, czy nawet tylko wskazówki, który by wiedząc nie powiadomił policji. A policja ta złożona z mętnych opryszków, których Niemcy werbowali na Litwie i przywozili do Wileńszczyzny, nastawiona była nie tylko na zabijanie Żydów, ale gnębienie ludności, na rabunek, szantaż i picie samogonu. — Strach zaś jest najpodlejszym doradcą człowieka (F, 19–20).

Tu już zaczyna się nasze opowiadanie:

A jednak żyli ludzie nawet w samych Ponarach. Mniej ich było. Połowa, tj. w ogóle kto mógł, zatrzasnął drzwi, werandę i okna pozabijał z płotu wyciągniętymi deskami i przenosił się do miasta, czy do innej okolicy. Ale byli tacy, którzy nie mogli (F, 20).

Człowiek może się do wszystkiego przyzwyczaić nawet do życia w pobliżu rzeźni ludzkiej...

Gwoli tym liczny czytelnikom, którzy jeszcze nie czytali książek Mackiewicza przytaczam obszernie cytaty w mojej próbie omówienia tematu nie omawianego na ogół przez recenzentów. Jakże więc mógłbym zrezygnować z jego naturalistycznego „reportażu” naoczego świadka? Tylko fragment — ale starczy za całe opowiadanie: Długi pociąg osobowy stoi na stacji Ponary, gdy zjawia się tam Leon, na rowerze w drodze do mieszkającego w pobliżu znajomego.

Wypadło zleźć z roweru i prowadzić. W tej chwili młoda Żydówka wychyliła się z okna wagonu i wprost pyta policjanta:

— Czy prędko pojedziemy dalej?

Policjant litewski spojrzął na nią, nie odpowiedział i miarowym krokiem wartownika wybierając podkłady pod stąpięcie, obszedł, a zrównawszy się z Leonem, powiedział z grymasem uśmiechu... A nie był to uśmiech, ani zły, ani zawstydzony, ani wesoły, taki sobie:

— Ona się pyta czy prędko pojedzie?... Ona już za pół godziny może żyć nie będzie.

Leon nic nie odpowiedział. Podniósł wzrok, dojrzał jej twarz, a tam pod łokciem wyłaziła głowa dziewczynki i coś na jej włosach o podobieństwie kokardki. Na dachu wagonu skaczą wróble. Dziwna rzecz, uparł się w tej chwili, aby myśleć. „Ona pojedzie i dziewczynka z łachmankiem zamiast kokardki pojedzie, i oni wszyscy, cały pociąg”. [...] ale gdy tak myślał poczuł, że nogi mu drżą. [...]

W tej chwili z pociągu zaczynają dochodzić jakieś odgłosy; zrazu jak brzęczenie raniem obudzonego ula; później coś w nim rzezi, potężnie chrobot u zamkniętych na glucho drzwiczek, jak chrobot tysięcy szczurów, później robi się rwetes, gwałt straszny, przechodzi w ryk, wrzask, wycie... Pękają uderzone pięściami szyby, trzeszcza, trzeszcza, a później łamią się pod naporem niektóre drzwi... Policjanci zaroili się, zwielokrotnili w oczach, zabiegali gestykulując, krzycząc i zrywając karabiny z pleców. Dał się słyszeć metalowy trzask zamków i ich, policjantów, groźny ryk, w odpowiedzi na ryk ludzi zamkniętych w pociągu.

Żydzi zaczęli wyskakiwać z połamanych drzwi wagonów, a naprzeciw, w sukurs wartownikom, biegly inni w różnorakich mundurach. Z okien zaczęto wyrzucać tłumoki

i walizy, i oknami też wylazili Żydzi, sami niechlujni i nieforemni jak ich worki i pakunki. To było dziełem kilku sekund raptem powstałej paniki. Ktoś przecie musiał tam, w pociągu, krzyknąć, że to koniec drogi!!!

Pierwszy strzał padł w sposób następujący: jakiś Żyd wylazł właśnie tyłem przez ciasne okno, spuścił nogi i wystawił tyłek, a policjant podskoczył i z odległości jednego kroku: strzelił mu w tyłek! Strzał padł głośny i zaraz zerwały się gawrony z pobliskich drzew obsadzonych gniazdami. W ogólnym harmidrze nie było słyhać, czy krzyczał trafiony, załopotwały tylko jego zwieszane nogi, w podciągniętych prawie do kolan nogawicach, tak że z bosych stóp spadł jeden kalosz, a drugi zadyndał na sznurku, przywiązany do kostki. Powstał wrzask, lament, i wycie, i płacz, i ze wszystkich stron naraz gruchnęły strzały, gwizdnęły kule, spadły z chrzęstem łamanych kości i pękających czaszek, uderzenia kolb... — Ktoś skakał przez rów i trafiony między łopatki, spadł weń jak ciemny ptak z rozczapierzonymi na kształt skrzydeł ramionami. Ktoś pełził na czworakach pomiędzy szynami... Stary jakiś Żyd zadarł do góry brodę i wyciągał ręce do nieba, jak na biblijnym obrazku, i naraz chlupnęła mu z głowy krew i kawały mózgu... Potoczyły się jakieś koszyki-kobiałki... Wywrócił się w biegu jeden policjant, poślizgnąwszy się we krwi... Tiuuu! gwizdnęła kula... Tam leżało dla czegoś kilku ludzi jeden na drugim... W poprzek szyny leżał cicho może dziewięcioletni chłopczyk i choć, gdyby krzyczał nie dosłyszeć by jego głosu, to widać było że nie żył już, bo nie drga... Zakotłowało się pod kołami wagonów, bo tam większość szukała ratunku i tam ich najbardziej polewano z broni maszynowej, jak z sikawek, w ciemną masę złachmanionych postaci... Oto, zeskakuje i ta młoda Żydówka, płowe jej włosy rozwiane, twarz wykrzywiona śmiertelnym strachem, z ucha, na kosmyku zwiesza się grzebyk, chwytając córeczkę... Nie mógł patrzeć. Powietrze rozdziera taki jazgot straszliwy mordowanych ludzi, a jednak rozróżnić w nim można głosy dzieci o kilka tonów wyższe, właśnie takie jak płacz-wycie kota w nocy... Żydówka pada najpierw na twarz, później się przerzuca na wznak i zataczając ręką w powietrzu, szuka rączki swego dziecka... Nie słyhać, ale widać z ułożenia ust małej, że woła ona: „Mame!”... Na głowie jej dygoce wstążeczka z łachmanka i nachylona ku przodowi, chwytając matkę za włosy... — W mgnieniu myśli Leon przypomniał sobie nagle Watrycego, gdy patrzyli na brutalne spędzanie Żydów do getta i jego okrzyk pod adresem policjantów: „bydło!”... Teraz przeszła go myśl: „Nie! Ludzie!...” Po ludzku bladzi, spoceni, jak szaleńcy, jak dzicy w tańcu, w ruchach, w obłądnych gestach, w mordowaniu, w strzelaniu... Bo jakżeby wytłumaczyć można inaczej, że ten oszalały kompletnie policjant chwytając Żydówkę za prawą nogę i usiłując wlec ją pomiędzy szynami, cały zgięty, z twarzą tak przekrzywioną jakby ciętą na ukos szabłą, dokąd?! Po co?! Nogi kobiecie się rozstawiają, lewa zaczepia za podkład, spódnica zadziera do pasa, odsłaniając majtki, a dziecko łapie włóczące się po kamieniach włosy matki i ciągnie ku sobie, jakby chciało wyrwać z rąk policjanta, i nie słyhać, a widać jak wyje: „Mamme!”... Z ust wleczonej kobiety bucha teraz krew... Gęsta ściana mundurów zasłania na chwilę widok... A później jakiś Łotysz podniósł kolbę nad zwichrzonymi włoskami uwiązanymi w ciemieniu w kokardkę i...

Leon zamknął oczy, a zdawało mu się, że ktoś zadzwonił. Telefon? Zadzwonił istotnie, kolejarz ściskający konwulsyjnie kierownicę roweru Leona wpił się palcami w dzwonek, kurczowo nim targnął mimo woli, i przechylny ku przodowi drga na całym ciele, nie wiadomo czy łka, czy rzyga...

Żyd chciał przeskoczyć rampę, ranny w nogę padł na kolana i teraz słyhać wyraźnie i kolejno: płacz, strzał, rżenie... Gestapowiec dopadł właśnie któregoś koło samego słupa telegraficznego i trzasnął nim w ten słup...

— Na rany Jezusa Chrystusa! — szepce drugi kolejarz — na rany Boga!

— Aaaaa! aaa! aaa! — zakrakał ten uderzony... A w niebie, nie w niebie, a tylko na tle nieba, zadrgały przewody drutów telegraficznych! (N, 283–285)

W oryginalnej, pierwszej, „osobistej” wersji scena wyglądała trochę inaczej:

Żyd chciał przeskoczyć rampę, ranny w nogę padł na kolana i teraz słyse wyraźnie i kolejno: płacz, strzał, rżenie... Ach, a ten co robi?!?! Ten tam, obok, o czterdzieści kroków, nie dalej, w czarnym mundurze! Co on chce zro... Rozkraczył nogi koło słupa, stanął ukosem, zamachnął się dwiema rękami... Sekunda jeszcze... Co on ma w ręku?! Co on ma w tych ręk-

kach?!!! Na rany Jezusa Chrystusa! na rany Boga! Coś wielkiego, coś strasznie straszego!!! zamachnął się i — bęc głową dziecka o słup telegraficzny!... Aaaa! aaa! aaa! — zakrakał ktoś koło mnie, kto taki — nie wiem. Ale w niebie... nie w niebie, a na tle tylko nieba, zadrgały od uderzenia przewody drutów telegraficznych (F, 24).

Ale wołanie o pomoc dotarło do nieba i bez drutów telegraficznych... Czy dotarło?...

„ANTYSEMITNIK” (GETTO WILEŃSKIE — ŻYDZI WILEŃSCY)

Mackiewicz w getcie wileńskim nie był — choć jeden z większych rozdziałów jego książki *Fakty, przyroda i ludzie* (Londyn 1984) nazywa się *Getto wileńskie*. Może i był (choć — po co?) ale o tym nie pisze. Wspomina spotkania z Żydami wileńskimi w przeddzień zapędzenia ich do getta — gdy jeszcze o tym nie wiedzieli, albo odwiedzających go przygodnie, bez zapowiedzi, gdy ukrywali się po lasach.

„Moja znajomość z Rosenzweigem datowała się od dawna, ale była powierzchowna”. (Rosenzweig to nazwisko zmyślane — ale osoba prawdziwa.) Znajomość „powierzchnowa” — myślę, że nie oddalę się zbyt od prawdy, jeśli powiem, że także wszystkie inne znajomości J. Mackiewicza z Żydami, których opisuje, były „powierzchnowe”, co nie znaczy, że pozbawione były sympatii, współczucia nawet serdeczności. Ten Rosenzweig miał maleńkie i źle prosperujące biuro reklamowe a Mackiewicz pomagał mu przemycać drobne ogłoszenia do gazety, w której pracował, „na kredyt”, na co administracja patrzyła niechętnym okiem. Za czasów „folksfrontu” — w 1939 r., koledzy zecerzy doradzali Mackiewiczowi, „Oj, niech pan ucieka, Żydki na pana cięte. Wydadzą”.

Ale się nie przestraszył — nie uciekł, a oni go nie wydali, choć przylepiono mu miano „antysemity” z powodu jego reportażu *A Szwarce Bor*, który już wspomnieliśmy, a który nie wszystkim Żydom się podobał:

W okresie najcięższych czasów okazali mi Żydzi raczej pomoc i przychyłność. — Ludzie bezkrytyczni widzieli w sowieckim reżymie równanie w dół. Żydów rozpychających się łokciami. Mój Boże, kto wówczas nie był konkurentem wspólnej walki, walki o miejsce w kolejce, przed pustym sklepem! Któż się nie starał rozpychać łokciami w tej niedoli strachu, biedy i nudy życia! Zdaje mi się, że największym łgarstwem Adolfa Hitlera był jego bluff o Sowietach rządzonych przez — Żydów. — Sam na początku roku 1941, jako furman, wywoziłem szmochty i rupiecie różnym Żydom, którzy zwiewali z miasta przed rządami tej „żydo”-komuny, którzy uciekali do lasu przed Kazachstanem... Ale to należy znów do dyskusji wielkiego tematu (F, 60).

A na zakończenie rozmowy dodał:

— Jedno tylko mogę panu powiedzieć... [...]

— Tsss! mów pan dziś obywatelu...

Wzruszyłem ramionami — ...otóż jedno tylko powiedzieć, że jeżeli kiedyś będę znów pisał, i pisał o Żydach, to tylko prawdę bez względu na miejsce i moje sympatie czy antypatie do poszczególnych obozów...

— O! o! o! — potakiwał Rosenzweig i podaliśmy sobie ręce na pożegnanie, wówczas w tym państwie, w którym strach i nuda krzyżują się ze sobą jak sierp z młotem (F, 60).

W dwa lata później, w Rzymie, w najelegantszej dzielnicy, pomiędzy pałacem królowej matki i Porta Pinciana, na via Vittorio Veneto, przy kiosku gazetowym, gdzie można kupić wszystkie gazety europejskie, patrzę i... oczom nie wierzę! Stoi Rosenzweig ze szwajcarską „Weltwoche” pod pachą.

Człowiek ten osiem miesięcy przeleżał (przeleżał!) w piwnicy kościoła Wszystkich Świętych, ukrywany przez proboszcza, a gdy przyszli bolszewicy, wyszedł, mrugając od niezwykłego światła i — uciekł. Uciekł aż do Rzymu. Ścisnął mi rękę i z radości słowa nie może wydobyć. Ja myślę! Takie spotkanie! (F, 66)

Jest to jeszcze jeden przykład jak Mackiewicz swoimi przeżyciami, spotkaniami i informacjami inspiruje losy postaci w swoich powieściach — w tym wypadku, Wulfki, ukrywającego się właśnie w piwnicy kościoła Wszystkich Świętych.

W szkicu *Getto wileńskie* odnotowuje Mackiewicz spotkania ze znanymi kupcami czy rzemieślnikami wileńskimi — np. z Ezechielem Fridmanem, właścicielem wielkiego sklepu futer i jego ciągle jeszcze hyper elegancką żoną, z złotymi gwiazdami na plecach, gdy kroczą wzdłuż wileńskiego rynsztoku (bo na chodniki, Żydom nie wolno). Mackiewicz, zdając sobie sprawę z narastających z każdym dniem niemieckich represji proponuje Fridmanowi „posadę” ogrodnika w swoim domku na przedmieściu, gdzie ma akurat wolny pokój — ale spocony Fridman dziękuje — gdzież on się tam pomieści z żoną, dziećmi i... służącą? Jeszcze się zastanowi... Ale nazajutrz — już komisarz Zehnpfennig wydał rozporządzenie o przesiedleniu wszystkich Żydów do getta w ciągu dwóch godzin!

Inny znajomy, Szapiro („Materiały piśmienne”): „Panie, kto mógł wiedzieć?!” — chował się w lesie i przynosił Mackiewiczowi drobne ilości „towaru” na sprzedaż, np. paczkę herbaty (nie ma pan pieniędzy? to zapłaci pan na raty... Po ostatnią ratę już nie przyszedł...).

Znajomy sklepikarz Jakub Ałter, gdy Niemcy weszli, zamknął skład, bo nie wiedział jakie jutro będą ceny — ale jutro już mu wszystko zabrali — jak mu przepowiedział Mackiewicz. (No może nie wszystko... na razie. Potem już resztę, razem z życiem.)

Wspomina różnych — wielu — znajomych jeszcze z czasów okupacji sowieckiej, gdy był furmanem (potem też) i rozjeżdżał po okolicznych wsiach i miasteczkach — „żydowskich miasteczkach” — i z ironią patrzy wstecz na tzw. „walkę ekonomiczną” rządów ozonowskich („walka ekonomiczna” — owszem, ale bić nie wolno!):

Ejszyski położone na odwiecznym ongiś szlaku, podupadłe później, pozostały typowo naszym, „tutejszym” miasteczkiem, tzw. przed wojną „żydowskim” miasteczkiem. Brukowane były kocimi łbami, wykoślawionymi jak bardzo stare obcasy. Rynek pusty w dnie nie-targowe, sklepy, w których wiszą sznury, łańcuchy, babskie chusty, w oknach czasem popołu z workami mąki i zardzewiałym pługiem. Cztery restauracyjki z przygodnym zajazdem. Oto cały narodowy majątek żydowski, wywierający z tego miasteczka swój ongiś tzw. zgubny wpływ gospodarczy na daleki, płaski kraj zamieszkały przez chrześcijan.

Z chwilą wkroczenia bolszewików w r. 1940 wiele sklepów zostało zamkniętych. Kilka przeistoczyło się w ledwo vegetujące handelki. Otworzono kooperatywę, w której nowym zwyczajem kupować można było tylko ograniczoną ilość towaru, a zazwyczaj nie tego, którego by się pragnęło, przy tym w sposób zawily, biurokratyczny, na podstawie zaświadczeń z gminy, okazywania paszportów i innych szykan tego rodzaju (F, 108).

Mackiewicz, furman, który stacjonuje z kolegami u Szlomy Kowarskiego obserwuje tych „burżujów” z Ejszyszek, z których niektórzy dorobili się grosza i rozbudowali interes. Oczywiście pójdą wkrótce z torbami. Restauracyjka Szlomy, w którą zainwestował rok temu swój dorobek i inicjatywę, została uznana przez nowe władze za najlepszą, by w niej urządzić stołówkę ludową, ale nikt „nie pozwolił sobie wyciągnąć złorzeczącej ręki przeciw portretowi Stalina, który wisi nad podartym bilardem, od lat już służącym za miejsce «do przespania» dla pijanych gości w dzień targowy”.

My, którzy od kilku dni mieszkamy w zajeździe u Kowarskich, oczekujemy przyjazdu pośrednika, aby nasz towar przetrzucił przemytem na stronę „białoruską”. Rano golimy się, myjemy, czyszcimy cholewy, jak na wielkie święto. Szłoma nie interesuje się nami. Jakby nas nie widział wcale. Po co? Ale stara i córki są grzeczne, jak za „dobrych polskich czasów”, dla gości tzw. lepszych (F, 111).

Córka Szlomy Gałka jest komsomołką („w pokoiku gdzie spałem znajduję w szufladzie jej zeszyty szkolne z polskiej przedwojennej szkoły. Są czyściutkie a w jednym czytamy staranne wypracowanie na dzień Trzeciego Maja”). Starsza Sonia też nie opusz-

cza żadnego zebrania politycznego ani wiecu. Ich ojcu niewiele to pomoże... „Tyle lat pracy, tyle pracy... a teraz to wszystko pójdzie na «radość nowego życia». Trzeba będzie wiązać toboły i szukać... Czego??”

Ale Hackiel, konkurent, indagowany w sprawie niesprawiedliwości losu(?) peroruje:

— Czy to władza winna? — odpowiada. — On sam sobie winien. Po co jemu było stawiać w kuchni dwanaście fajerek? (F, 110)

Gałka i Sonia — *de facto* burżujskie córki — niby przyjmujące z entuzjazmem „nowe porządki”, ale pamiętające jeszcze stare z sentymentem, to tu jedyne bodaj przedstawicielki młodszego pokolenia Żydów. Mackiewicz „ma na rozkładzie” tylko swoich rówieśników albo starsze pokolenie małomieszczańskie. Tych ze sfer ortodoksyjnych — np. — może obserwować w tłumie. Dlatego myślę, że nie zna Żydów bliżej — zna wielu, potrafi ich scharakteryzować, słucha ich poglądów i narzekań — ale nie wnika w istotę ich odrębności narodowej, religijnej, ideowej — i nie mam do niego pretensji! Po prostu żyje, sąsiaduje z tą społecznością, widzi przejawy antysemityzmu i nawet próbuje — jeszcze w przedwojennych felietonach (gdy stara się np. rozgryźć pogrom grodzieński — który uważa za największy w Polsce) — dojść do przyczyn antysemityzmu — ale jak sam twierdzi, nie udaje mu się ta próba. Natomiast rozumie (rozumuje?) dlaczego wieśniacy naroczańscy darzą Żydów większym zaufaniem niż panów z okolicznych dworów (gotowi Żydowi sprzedać za 80 groszy — to co panom za złotówkę!) — Żyda — choć może ich i oszukuje, nie boją się — a w „tamtych” widzą przedstawicieli rządu, którego polityka względem tej białoruskiej biedoty jest poniżająca i krzywdząca — ale o tym mówi się szeptem... (Dlaczego?!)

Nie, Józef Mackiewicz nie był w getcie — widział je być może, poza jego murami na ulicach Wilna, widział je w pewnej mierze jeszcze przed wojną, choć Żydzi byli dla niego równouprawnionymi współobywatelami, a getto było może dobrowolną odrębnością życia. Ale nie spotykał się ze zasymilowaną inteligencją żydowską (może się i spotykał, chyba tak...) ale nie interesowała go jako obiekt do felietonów i książek. Nie miał też kontaktu z ruchami młodzieżowymi, ani z kulturą żydowską, która w Wilnie była tak silnie reprezentowana choćby przez grupę „Jung Wilne”. Nie znajdują tych Żydów i tych elementów społeczno-kulturalnych w pismach Mackiewicza (może nie dość dobrze je znam, przyznaję). Nie jest to ani zarzut ani wyrzut. Dlaczegoż miałby się tym bliżej interesować? To nie leżało na linii jego obserwacji życia na Wileńszczyźnie czy gdzie indziej. Ani na linii jego walki politycznej — chyba na uboczu.

Być może jednak (na pewno) wstrząs, który przeżył w Ponarach — poszerzył jego zasięg zainteresowań o tę społeczność, która już przeszła do historii. Poszedł do getta, kiedy już tam Żydów nie było — ale opis tego co pozostało jest nieodłączny od tego co było — zakończmy więc ten powierzchowny, siłą ograniczonych rozmiarów zapis — fragmentem opisu:

... Idealna cisza panuje wokół. Widziałem tyle miast i miasteczek zbombardowanych, gdzie domy ginęły razem z ludźmi, albo ludzie się uratowali, a domy zginęły. Ale żadne z nich nie robiło takiego wrażenia. Tu było zupełnie coś przeciwnego: domy ostały, a tylko ludzie zginęli. Gdzieś w rogu kupa łachmanów, nie wymiecione śmiecie i czasem drogę przebiegnie zdziczały kot. Z dala dochodzi gwar miasta. Tu słońce ledwo się przeciska pomiędzy murami, ale cicho jak na wsi i nawet trawa obrasta już kamienie bruku. Gdzieś skrzypi niedomknięte okno i odbłask szyby potrącanej wiatrem biega po chodniku, po wielkich, kamiennych płytach z tamtego czasu, sprzed lat stu i więcej. Żydów wyprowadzono. Ludzie po nich wynieśli co pozostało jeszcze ruchomego, spalili na opał co było drewniane. Ostały mury, kraty, zardzewiałe żelazo. Może gdzieś w piwnicy zakopane złoto? Echem odbijają się kroki. Wyobrazić by sobie można, że tu po nocach straszy. Ale kogo? (F, 65)

JÓZEF MACKIEWICZ — FAKTY I MITY

Zenowiusz PONARSKI (Kanada)

Nigdy nie zajmowałem się specjalnie twórczością i życiem Józefa Mackiewicza. Stale jednak spotykałem się z jego nazwiskiem w trakcie zbierania materiałów o międzywojennym Wilnie. Zwłaszcza wtedy, gdy zająłem się osobą imigranta z Litwy, Franciszka Ancewicza, wileńskiego przyjaciela Czesława Miłosza. Nazwisko autora *Drogi donikąd* napotykałem też przy kwerendzie materiałów o białoruskim pisarzu Franciszku Olechnowiczu i publicyście Piotrze Kownackim.

Niniejsza praca składa się z czterech niezależnych części. W pierwszej (Trudna droga do Wilna) przedstawiam sytuację Wilna po 17 IX 1939 r. oraz znaczenie artykułu Mackiewicza *My Wilnianie* w dyskusji nad tożsamością miasta. Druga część (*Siedem lat w szponach GPU*) została poświęcona osobie Franciszka Olechnowicza-Brzozowicza z *Nie trzeba głośno mówić*. Tematem trzeciej części jest problem autorstwa dwóch broszur: *Gdyby Dziadek żył...* i *Rachunek sumienia*. Ostatnia zaś część dotyczy tzw. „listy 750” sporządzonej w latach 1943–1944 przez Okręg Wileński AK, na której znalazło się nazwisko Mackiewicza.

Większość prezentowanych tu materiałów jest nieznana lub pomijana. Są to materiały głównie litewskie i białoruskie, niedostępne w kraju, które dotyczą przedwojennej prasy wileńskiej i kowieńskiej oraz powojennej prasy litewskiej emigracyjnej. Do prac i opracowań powszechnie znanych sięgałem rzadko.

Mam nadzieję, że zbierane przez wiele lat materiały okazały się przydatne i wniosły cokolwiek do naszej wiedzy o Józefie Mackiewiczu. Jeśli tak się stanie, będzie to wielka satysfakcja dla autora tego artykułu.

TRUDNA DROGA DO WILNA

Ponad sto lat Wilno było pod rządami sześciu kolejnych generałów-gubernatorów.

Dnia 20 listopada (8 grudnia według nowego stylu) odsłonięto u nas pomnik Murawiewa-Wieszateła. Uroczystość odbyła się z nadzwyczajną pompą — pisał w listopadzie 1898 roku Józef Piłsudski w korespondencji z Wilna — Obecnie strzegą pomnika jak oka w głowie. Dwóch stójkowych w ciągu dnia, a w nocy żołnierz z nabitą bronią, nie spuszczaając oka z pomnika. Powszechnie jednak i teraz panuje przekonanie, że pomnik postoi niedługo¹.

¹ J. Piłsudski, *Pisma zbiorowe*, t. I. Warszawa 1937 s. 237, 239.

Podczas Wielkiej Wojny, w miarę przybliżania się frontu do Wilna, na wiosnę 1915 r., Rosjanie rozkazali wyjechać z miasta konsystorzowi biskupiemu jako instytucji rządowej. Wywieźli też czczone w monasterze św. Ducha, zmumifikowane w całości relikwie trzech świętych prawosławnych. Poza tym wywieziono stopy kufrów, worków i mebli.

Zobaczycie, mówili ludzie niepowściągliwi w mowie — wspominał Czesław Jankowski — oni się nie uspokoją, dopóki nie wywieżą nawet ciastek Sztralla².

Wywieziono posągi Katarzyny, Murawiewa i Puszkina. Gdy pomnik Wieszatiela znajdujący się na placu Dworcowym zawisł w powietrzu, asystujący cierpliwie całej akcji jakiś wysoki wojskowy kozacki, zrobił kilka fotografii. Zdjęcia robił także znany fotograf wileński, ukryty za roletą w mieszkaniu mecenasa Tadeusza Wróblewskiego.

Fotografują moment detronizacji Murawiewa — wspominał Jan Bulhak. — Jeden żołdat siedzi na jego głowie i wieńczy ją swemi poślakami, a drugi otacza miłośnie jego szyję siedmiorskim skrętem postronka i koniec wężła podsuwa mu pod nos jakby do powąchania³.

Minęło więc zaledwie siedemnaście lat od przepowiedni Józefa Piłsudskiego, że pomnik Murawiewa „postoi niedługo”.

W chwili opuszczenia Wilna gubernator, zatwierdzając skład powstałego Komitetu Obywatelskiego dla guberni wileńskiej i kowieńskiej, powiedział do jego członków: „Teraz panowie róbce, co chcecie, tylko radzę pamiętać, że my jeszcze wrócimy”. W sobotę 18 września 1915 r. o godz. 4 rano rozległ się ogłuszający huk pierwszego wybuchu wysadzanych przez Rosjan budowli. Naliczono przeszło 50 słabszych i mocniejszych wybuchów rozlegających się z niewielkimi przerwami mniej więcej do godziny 5.30. O 6 rano wojska carskie opuściły miasto. Wbrew szerzonym alarmom odeszły nie rabując, nie paląc i nie czyniąc żadnych ekscesów. Przez trzy godziny, od 6 do 9 rano, Wilno było wolne, pod rządami własnej Rady Miejskiej. Dopiero o 9 rano od strony Zwierzynca wolno i uroczyście wkroczył do miasta oddział niemiecki. Rosjanie oddali Wilno bez boju, chociaż trzy lata później — jak pisał Michał Pawlikowski — spotykano w Mińsku oficerów niemieckich, którzy mówili, że dostali krzyże żelazne *für die Schlacht von Wilna*⁴.

Józef Mackiewicz opisał cmentarz, na którym spoczywali *Die helden des Weltkrieges*:

Cmentarz wojenny Zakrecie jest mało odwiedzany, jakkolwiek wszyscy wiedzą o jego istnieniu. Pamiątka wojny światowej w Wilnie — nie leży tu nikt bliski i żadna znamienitość, ni wielki człowiek, ani żaden, kto z Wilnem związany, ni z tą ziemią. Skądciś przyszli tu i ich w grób zwałono. Zupełnie obcy...⁵.

Na przestrzeni trzydziestu lat od wybuchu I wojny do zakończenia II wojny światowej, Wilno przechodziło z rąk do rąk czternaście razy. Niepublikowana książka Józefa Mackiewicza „Przy konfesjonale”, pochodzi właśnie z okresu, jak to autor określił, kiedy Wilno jedenaście razy miało kolejnych gospodarzy⁶.

Przekazanie miasta odbyło się po podpisaniu przez Mołotowa i Urbšysa sowiecko-litewskiego traktatu z 11 października 1939 r.

Po tym zdarzeniu, ustała w Wilnie wszelka agitacja przedwyborcza w związku z wyborami do Zgromadzenia Ludowego. Jednym z członków Komitetu Wyborczego, wystę-

² Cz. Jankowski, *Z dnia na dzień*. Wilno 1923.

³ J. Bulhak, *Dwadzieścia sześć lat z Ruszczycem*. Wilno 1939 s. 11.

⁴ M. K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*. Warszawa 1989 s. 29.

⁵ J. Mackiewicz, *Bulbin z jednosielca*. Londyn 2001 s. 203, 206.

⁶ J. Mackiewicz, „Przy konfesjonale”. Maszynopis w bibliotece Akademii Nauk w Wilnie; jeden z rozdziałów książki nawiązuje do 11-krotnego przechodzenia Wilna z jednych do drugich rąk.

pującego pod hasłem: „naszym pragnieniem jest, by się zjednoczyć z ZSRR i żyć w rodzinie narodów sowieckich”, był Jerzy Putrament. Należał on do działaczy bardzo aktywnych i często był widoczny na wiecach i zebraniach publicznych. Na jednym z takich zebrań „z wielką uwagą wysłuchano przemówienia tow. Putramenta, który mówił o latach znęcania się polskiej szlachty nad ludem pracującym różnych narodowości”⁷.

Wraz z wojskiem, które miało wkroczyć do Wilna, zabrała się też ekipa dziennikarzy. W jej składzie z ramienia „Lietuvos Žinios” był Franciszek Anczewicz, który dopiero przyjechał z oblężonej Warszawy. Wysłano tam także historyka Antanasa Vasilauskasa, który w niepublikowanej relacji napisał:

Z sympatią Białorusini spotkali Litwinów, kupcy żydowscy byli zadowoleni. Krajowcy Polacy odnieśli się do Litwinów z większą lub mniejszą sympatią, wybierając z dwojga złego, mniejsze zło, uznając, że lepiej znaleźć się pod panowaniem litewskim aniżeli sowieckim. Litwinom nie wiwatowali, a w głębi serca cieszyli się po wkroczeniu Litwinów do Wilna. Jako Polacy czekają na dawną Polskę. Wśród Polaków jest jeszcze grupa „hura patriotów”, składająca się głównie z młodzieży, która przed rokiem wołała, „marsz na Kowno” i której teraz trudno zmienić poglądy. Jest grupa sympatyzujących bolszewikom. Są to w znacznej mierze Żydzi i w pewnej części polscy robotnicy. Bolszewicy wchodząc do Wilna mieli więcej sympatyków, po tym jak wywieźli prawie cały majątek wileńskich przedsiębiorstw i robotnicy zostali bez pracy, jak kilkakrotnie oszukali robotników, wówczas większość odwróciła się od nich⁸.

Rząd litewski od razu po zajęciu Wilna wprowadził politykę depolonizacji miasta i w tym celu skierował doń znaczną grupę Litwinów o nacjonalistycznych poglądach. Mieli związać miasto z Litwą i przynajmniej zbliżyć je pozornie do reszty kraju.

Do zachodzących wydarzeń Polacy odnosili się nieufnie. Powstawały różne organizacje środowiskowe, prezentujące rozmaite opcje polityczne. Z inicjatywy grupy starszych harcerzy z „Czarnej Trzynastki”, kierowanych przez harcmistrza Józefa Grzesiaka-Czarnego, powstał Związek Bojowników Niepodległości, reprezentujący stanowisko organizacji w aktualnych sprawach. Przyjmuje się, że nie zachował się żaden egzemplarz „Biuletynu”⁹.

Udało mi się jednak zapoznać z treścią numeru 5 z listopada 1939 r. Miał podtytuł „Wolność – Równość – Niepodległość”. W tym numerze znalazły się informacje o istniejącym Komitecie Polskim i powstałym „Kurierze Wileńskim”. W artykule *Litewskie róże i kolce* czytamy:

Naszych żołnierzy z oddziałów wojskowych, które przekroczyły granicę litewską, Litwini przyjęli bardzo serdecznie... Pragniemy, aby nasi bracia Litwini wyrzekli się zamiaru zlitwinizowania nas Polaków a poświęcili więcej wysiłków na znalezienie sposobów bratniego współżycia naszych narodów¹⁰.

W numerze „Biuletynu”, wydanym jeszcze przed litewskim „marszem do Wilna” ukażała się odezwa skierowana do ludności ziem północno-wschodnich, w której czytamy:

Nasz rząd polski oficjalnie zaprotestował przeciwko inkorporacji Wilna i Wileńszczyzny. Dzisiaj trudno przewidzieć jak się później ułożą stosunki Polski z Litwą. Chce-

⁷ Wileńska Prawdą 1939 nr 13 (6 X). Wypowiedź J. Putramenta na ogólnomiejskim zebraniu nauczycieli w Wilnie z 5 X. O tym, że wybrano go jednogłośnie do Komitetu Organizacyjnego — notka w tymże numerze. W numerze 7 z 7 X znajduje się postanowienie Tymczasowe Zarządu m. Wilna o nominacji Putramenta jako członka trzyosobowego Komitetu.

⁸ A. Vasilauskas, „Wrażenia z podróży do Wilna w październiku 1939”, rękopis w: Biblioteka Akademii Nauk Litwy (dalej nazywam BANL), F. 205. 202, relacja napisana w Kownie, 2 XI 1939 r.

⁹ L. Tomaszewski, *Kronika wileńska 1939–1941*. Warszawa 1990 [wyd. 2] s. 191.

¹⁰ BANL, F.9, 3061.

my, aby Polska i Litwa znalazły wspólną drogę współzycia. W sytuacji obecnej nasze wysiłki muszą pójść w takim kierunku: uszanować należy wszystkie cechy pozytywne narodu litewskiego i uznać z tym związane prawa. W stosunkach naszych z Litwinami nie powinno być uniżoności, ani litwinizowania się dla zdobycia posady, osiągnięcia jakiegokolwiek bądź korzyści materialnej lub zrobienia kariery. A z drugiej strony stosunek nas wobec Litwinów nie może wyrażać się nieuzasadnioną pogardą, złością, szyderstwami itp. Oczywiście, że każde wrogie wystąpienie ze strony Litwinów, powinno być nami odparte, każde prześladowanie spotkać się ze stosownym oporem.

Należy też walczyć z objawiającymi się zjawiskami naszego szowinizmu ze wszystkimi zbędnymi kolcami, mogącymi zranić bratnią rękę Litwina. Wspólny los obu narodów winien nas zbliżyć a nie oddalać¹¹.

Był pewien czynnik nieuwzględniony przez niektórych polityków, o którym meldował Stalinowi w końcu września 1939 r. przywódca komunistów białoruskich, Ponomarenko. Przedstawił przebieg okupacji Zachodniej Białorusi:

Za Białymstokiem ludność wita nasze wojska bardziej wstrzemięźliwie, gorzej zna język rosyjski, częściej rozlegają się strzały zza węgła i z lasu do czerwonoarmistów, do dowódców. W miastach (gdzie) znajduje się PPS i robotnicy pepeesowcy — sytuacja staje się bardziej złożona, niż w miejscowościach gdzie są Białorusini — relacjonował. Nawiasem mówiąc, należy stwierdzić, że Piłsudski jest popularny nie tylko wśród ludności polskiej, ale nawet wśród Żydów. Mówią, że był to prawdziwy człowiek — było przy nim znacznie lepiej aniżeli później. Stał się więc zrozumiały akt Hitlera, złożenie wieńca na grobie Piłsudskiego¹².

Litwinów w Wilnie powitał Bolesław Szyszczkowski, zwracając się do nich w imieniu Polaków, niegdyś grupujących się wokół osoby Ludwika Abramowicza, reprezentującego krajowców wileńskich¹³. Okazało się, że chyba nie wszystkich, gdyż po tym wystąpieniu rozległy się liczne głosy krytyczne opinii publicznej na temat uprawiania polityki polskiej. Spotykamy się z wypowiedziami tego rodzaju w piśmie „Złoty Róg”:

Próżne usiłowanie, bo ani zbankrutowana sanacja, którą krytykujemy nie we właściwym czasie i miejscu, ani zmurszała endecja, w przyszłej Polsce miejsca mieć nie będzie.

Tam też pojawiła się odezwa: „Matko-Polko, w dniu 12 maja udaj się z Synem na Roszę” (nr 5/4 z 25.04.1940)¹⁴.

„Narodowiec”, organ endecji, natomiast określił prasę wileńską:

„Nowe Słowo” gazeta litewska w języku polskim, „Gazeta Codzienna” — gazeta polska w duchu litewskim, a „Kurier Wileński” — gazeta broniąca reżym majowy¹⁵.

Były środowiska skrajne, którym wystarczało, by arcybiskup R. Jałbrzykowski wykonał w stosunku do Litwinów gest pojednania, aby napisać w ulotce z 13 kwietnia 1940 r. (podpisanej „Czuwające społeczeństwo”):

¹¹ A. Bubnys, *Lenku pogrindis Lietuvoje 1939–1940* (Polskie podziemie na Litwie 1939–1940). Vilnius 1994 s. 32, 33 (wyd. lit.). Autor przytacza treść „Biuletynu”, na podstawie „Biuletynu” Saugumy wileńskiego okręgu. „Biuletyn”, z wyjątkiem numeru 5, cytowany jest w przekładzie z języka litewskiego. Pod takim samym tytułem artykuł w „Lithuani” (1992 nr 4/5), w którym nie wspomina się o „Biuletynie”.

¹² *Wydarzenia i losy ludzkie: rok 1939*, red. nauk. B. Groniek [i in.]. Warszawa 1998 s. 146 (Zachodnia Białoruś 1 IX 1939 – 22 VI 1941, t. 1).

¹³ Vilniaus Žinios (Wiadomości Wileńskie) 1939 nr 2 (29 I) (lit.).

¹⁴ BANL, F.9, 3059.

¹⁵ BANL, F.9, 3060.

[...] nasz pasterz, arcybiskup Jałbrzykowski zabronił nam śpiewać nasz hymn *Boże coś Polskę!* [...] Pod płaszczkiem patrioty, zdrajcy nie mogą się ukrywać¹⁶.

Jak więc widać pewne mniej znane, a nawet nieznane fakty świadczą, że po 17 września 1939, w Wilnie istniały antagonizmy polityczne i narodowościowe i dają one wyobrażenie o stanie umysłów ówczesnych mieszkańców miasta. W tym trudnym okresie przybył do Kowna, wraz z tysiącami Polaków uciekających przed szybko postępującą Armią Czerwoną, Józef Mackiewicz, który podjął się trudu ogłoszenia niepopularnych często poglądów. Oczywiście więc rzeczą jest, że był zwalczany przez oponentów z nacjonalistycznej prawicy, niektórych piłsudczyków, zwłaszcza tych związanych z rządami po śmierci Piłsudskiego, a także opinię patriotyczną i niektóre grupy działające w podziemiu.

W końcu września w Kownie znalazł się też Ancewicz i od razu w „Lietuvos Žinios” rozpoczął publikację artykułów o bohaterskiej Warszawie. Artykuły te cieszące się zainteresowaniem czytelników zostały źle przyjęte przez młodych narodowców Smetony i zwolenników Voldemarasa. Nacjonalistom nie podobał się przekaz o bohaterskich warszawiakach i ogólny ton artykułów, o znacznym ładunku sympatii do Polski i Polaków. Te właśnie ataki były powodem, że Ancewicz skorzystał z okazji, aby wyrwać się z Kowna do Berlina, jako korespondent „Lietuvos Žinios”.

Sławny artykuł Józefa Mackiewicza *My Wilnianie* mógł być przełożony na litewski przez Ancewicza albo wileńskiego korespondenta, Vincasa Žilenasa, z którym znał się osobiście¹⁷.

W tym samym numerze, obok artykułu Mackiewicza, znalazła się kolejna relacja Ancewicza o Warszawie: „Dosyć! Ani kroku dalej!” W tekście tym przedstawiono staruszka, któremu zginął pinczerek i który błagał o ogłoszenie w gazecie, której czytelnikiem był od pięćdziesięciu lat. Ancewicz napisał, nawiązując do wcześniejszych relacji:

Przyjmując poświęcenie jako misterium, jedni szukają, bez względu na grożące niebezpieczeństwo, zagubionych pinczerek, inni w takiej sytuacji szukają bliskich, a niektórzy w obliczu bomb i pocisków artyleryjskich mówią o miłości i wreszcie inni giną za ojczyznę¹⁸.

Artykuł Mackiewicza znany z wielu relacji może być rozumiany, w nawiązaniu do słów Ancewicza, jako poszukiwanie wyjścia z sytuacji, w której znalazło się Wilno w początkowym okresie II wojny światowej.

Stanisław Mackiewicz (Cat) przebywał w tym czasie w Kownie, chroniąc się w suterenie, którą mu znalazła Grażyna Łozorajtis, jego litewska krewna, solistka opery kowieńskiej¹⁹. Ze Stanisławem Mackiewiczem spotkał się Ancewicz w kawiarni „Monika”, w której jak wspominał: „Zbierali się uchodźcy polscy, aby popolitykować i poplotkować”. Został zaproszony przez Cata, po przyłączeniu Wilna do Litwy:

Obecnie Cat-Mackiewicz był zapałony do ożywienia ich w nowych czasach — wspominał — udowadniał mi, że przyłączenie Wilna do Litwy jest najistotniejszym wydarzeniem w historii Litwinów i Polaków i stwarza doskonałą okazję powrotu do koncepcji W. Ks. Litewskiego. Litwini winni zrozumieć, że Księstwo nie było nacjonalistyczne,

¹⁶ BANL, F.9, 3061.

¹⁷ V. Žilenas, *Visuotinė mobilizacija* (Powszechna mobilizacja), Lietuvos Žinios (dalej: LŽ) 28 XII 1939 (lit.). Autor wspominał, że 28 VIII 1939 w kawiarniach zamiast muzyki słuchano komunikatów radiowych, w tym z Kowna — „Redaktor «Słowa» Józef Mackiewicz gdy mnie spotkał, zaproponował udać się do redakcji by posłuchać kowieńskiego radia i w ogóle porozumieć się o (wymianie) informacji prasowej”. Dalej relacjonował o rozmowie ze S. Cat-Mackiewiczem, o możliwości otrzymywania informacji z Kowna.

¹⁸ P. Ancevicus, *Gana! Niei žingsnio toliau!* (Dosyć! Ani kroku dalej!), LŽ z 14 XI 1939 (lit.).

¹⁹ J. Karbowska, *Z Mackiewiczem na ty*. Warszawa 1994 s. 39.

wyrażające się zamieszkiwaniem jednej grupy etnicznej, lecz stanowiło wielonarodowościowy konglomerat i podkreślać należy tolerancyjność i (konieczność) współżycia, gdy zechce się stworzyć coś wielkiego i pociągającego²⁰.

Ancewicz wspominał, iż Cat oświadczył, że chce bardzo powrócić do Wilna i poprzez swoje „Słowo”, propagować idee Wielkiego Księstwa Litewskiego i uczestniczyć czynnie w nowym historycznym procesie.

Mackiewicz zachęcał mnie bym się przyłączył do jego zamysłów i dopomógł mu w nawiązaniu kontaktu z kierowniczymi ośrodkami Litwy — napisał — nie wiem czy do Łozorajtisa zwrócił się ze swymi ideami, czy też tego nie uczynił²¹.

Nie wiadomo, czy Cat-Mackiewicz był tak naiwny, że liczył, iż niedawny banita może mu pomóc, czy też Ancewicz w tej relacji przesadził! Trudno ustalić wiarygodność tej rozmowy, ale ponoć w archiwach litewskich jest jakaś „lojalka” Ancewicza, jak się wyraził polski uczony, znający znaczenie tego słowa²².

Teraz słów kilka o artykule młodszego Mackiewicza w „Lietuvos Žinios”. Artykuł ten to swego rodzaju deklaracja woli współżycia z Litwinami w nowych warunkach, próba osłabienia litewskiego nacjonalizmu, który niebawem podjął próbę zlitwinizowania Wilna i usunięcia wielowiekowych śladów kultury polskiej. Nie wiadomo, czy Józef Mackiewicz w redakcji uzgadniał treść artykułu i czy się z kimś konsultował przed opublikowaniem. W tym czasie w redakcji były dwie osoby, z którymi mógł porozmawiać na temat przekładu „po wileńsku”: Ancewicz i Žilėnas, jego znajomi z przedwojennego Wilna. Z Ancewiczem, w pewnym sensie zapoznał się jeszcze w listopadzie 1927 r., gdy jako uchodźca polityczny i student był sekretarzem Zjazdu Emigrantów Litewskich w Rydze²³. Sprawy litewskie w tym czasie mocno absorbowwały Mackiewicza, który na łamach „Słowa” poświęcał mu wiele uwagi, podobnie jak zagadnieniu białoruskiemu.

Ancewicz po zjeździe ryskim na stałe związał się z Wilnem, gdzie rozpoczął wydawanie pisma „Pirmin” (Naprzód). Ucieszył się, kiedy objechawszy pół Europy, mógł studiować, pracować i założyć rodzinę w grodzie nad Wilią. Prowadził wiele rozmów ze znajomymi o nowych czasach, kiedy flaga litewska powiewała nie tylko na przystani w Trokach, lecz także na Zamku Giedymina²⁴.

Te rozmowy zaowocowały serią prawie pięćdziesięciu artykułów, z których większość nigdy nie ukazała się drukiem, najprawdopodobniej ze względów cenzuralnych. Te, które były opublikowane, do tej pory nie są znane, ani w Polsce ani na Litwie. Co prawda, zostało opublikowanych kilka fragmentów z jego wywiadów, ale bez podania nazwi-

²⁰ P. Ancevicus, *Istorija...*

²¹ Tamże.

²² W 1996 r. w Wilnie podczas rozmowy z J. Widackim, ambasadorem RP, dowiedziałem się, że odnalazł w archiwum „lojalkę” Cata-Mackiewicza. Nie wnikałem w szczegóły, gdyż miałem otrzymać kserokopię. Z mojej winy nie doszło do następnego spotkania. W grudniu 2001 r. zwróciłem się do prof. Widackiego zam. w Krakowie z prośbą o umożliwienie zapoznanie się z dokumentem.

²³ J. Mackiewicz, *Bulbin...*, s. 103–107; B. Szyszkowski (współwydawca „Gazety Codziennej”) reprezentował inny pogląd na zjazd litewskich emigrantów, patrz: Państwo (Wilno) 1927 nr 1 (20 XI); o tym zjeździe: P. Ancewicz w: *Pirmin (Naprzód)* 1927 nr 3/4. Organ literacki wydawany początkowo w Wilnie przez Ancewicza, był przeniesiony do Berlina, jako „Kova” (Walka) i później do Paryża.

²⁴ P. Jasienica, *Pamiętnik*. Kraków 1990 s. 65. Autor wspominał, że w Trokach Ancewicz powiedział: „— Kiedyż ja tu nareszcie zobaczę chorągiew litewską i z tego nikt nie zrobi skandalu, chociaż wśród obecnych nie brakowało ludzi znanych z przekonań narodowych. Kneblowanie ust wciąż jeszcze uchodziło za czynność mało elegancką”.

ska autora²⁵. Wielka to szkoda, gdyż na pewno byłyby pomocnym źródłem w badaniach nad sytuacją panującą w Wilnie w czasie, kiedy Mackiewicz pisał artykuł *My Wilnianie*.

Spójrzmy na problemy miasta z punktu widzenia innego baczego obserwatora ówczesnego życia a zarazem aktywnego uczestnika wydarzeń, gen. Nikodema Sulika, pierwszego komendanta wileńskiej Służby Zwycięstwu Polski²⁶.

Sulik stwierdził, że okupacja litewska była psychicznie znacznie łatwiejsza do zniesienia aniżeli okupacja sowiecka, a na życiu i konsolidacji ludzi zamieszkujących Wileńszczyznę zaważył fakt, że ziemia wileńska zmieniała okupanta częściej aniżeli jakikolwiek inny skrawek Rzeczypospolitej²⁷.

Walka o przyszłą Polskę wymaga zupełnie nowego podziału społeczeństwa [...]. Walka o taką koncepcję, nie była zbyt łatwa wobec nastrojów pokłeskowych, powszechnego poszukiwania winnych klęski, próby odgrywania się partii politycznych na obozie rządzącym dotychczas Polską²⁸.

W ogóle Pranas (Ancewicz), czy Draugas, jak go nazywałem, miał całe życie być socjalistą radykalnym w stylu wiedeńskiego marksizmu i w tym jego tragedia. Bo niewątpliwie był to człowiek spragniony politycznego działania, a skazany na los emigranta

— tak go określił Cz. Miłosz²⁹. A gdy Miłosz po wojnie stał się emigrantem napisał mu:

Na szczęście z tzw. „polityczną emigracją” nie podtrzymuję żadnych stosunków — pisał z Paryża. — Jednakże sądzę, że olbrzymie masy, obejmujące „spadek” po dawnych klasach oświeconych, wychowują się w zwykłym nacjonalizmie i że inaczej być nie może³⁰.

Protektor Ancewicza, prof. W. Sukiennicki wspomina, że mówiono o nim: „Mówić po litewsku, to on mówił, ale myślał po polsku. Tegoście go nauczyli”³¹. Rozmawiał więc z Litwinami, Polakami i z reprezentantami innych tu zamieszkałych grup etnicznych. Tylko miejscowi Rosjanie, wystraszeni niedawnymi aresztowaniami w Wilnie woleli nie mówić. Z ludzi znanych tylko arcybiskup R. Jałbrzykowski nie udzielił mu wywiadu, bo nigdy — jak oświadczono w Kurii Metropolitalnej — nie wypowiadał się w sprawach publicznych w prasie³².

K. Stašys, wieloletni przywódca wileńskich Litwinów, prześladowany przez władze, więziony i sądzony, w rozmowie z Ancewiczem oświadczył, że życzy sobie, by władze kowieńskie nie przysyłały do Wilna spekulantów, szowinistów i karierowiczów, litewskich Bociańskich, Bauermanów i Jasińskich — tu wymienił osoby, które szczególnie dokuczały Litwinom. Powiedział wyraźnie: „wszyscy Wilnianie (muszą) czuć się dobrze, niezależnie od języka, którym mówią”³³.

Dla nas są istotne wypowiedzi osób, współbrzmiające w ogólnym sensie z wypowiedzią Józefa Mackiewicza *My Litwini* w kowieńskim dzienniku.

Rektor S. Ehrenkreutz, ważący słowa i bardzo ostrożny w wypowiedziach, stwierdził:

²⁵ K. Pol, *Poczet prawników polskich*. Warszawa 2000 s. 1075. Autor przytacza wywiad prof. S. Ehrenkrauta z listopada 1939 r., nie podając nazwiska rozmówcy; P. Łossowski, *Litwa a sprawy polskie 1939–1940*. Warszawa 1982 s. 222. Autor wspominając o wywiadzie z prof. W. Staniewiczem, nie wskazał rozmówcy.

²⁶ K. Tarka, *Gen. Nikodem Sulik o SZP-ZWZ na Wileńszczyźnie*, Dzieje Najnowsze 2000 nr 4.

²⁷ Tamże, s.128.

²⁸ Tamże.

²⁹ T. Venclova, *Kształty nadziei*. Warszawa 1995.

³⁰ List Cz. Miłosza do F. Ancewicza z Paryża, bez daty, rękopis w zbiorach autora.

³¹ W. Sukiennicki, *Legenda i rzeczywistość*. Paryż 1967 s. 64.

³² LŻ z 15 XI 1939.

³³ Tamże, 6 XI 1939.

Wydarzenia w Europie Wschodniej odbywają się w tak szybkim tempie, że po prostu brak czasu na wszechstronną refleksję. Dokonały się jednak fakty, z którymi należałoby i należy się liczyć. Mogą być różne poglądy dotyczące dalszego przebiegu wydarzeń i ewentualnego końca wojny — powiedział — niezależnie od tego, co się wydarzy w przyszłości, nawiązanie ściślejszych kontaktów między społeczeństwem polskim i litewskim, tak jak współpraca nad pomnażaniem kulturalnych wartości, w przyszłości dać może wprost nieocenione rezultaty.

Bardziej otwarcie wypowiedział się prof. W. Staniewicz, oceniając pozytywnie rozwiązanie kwestii wileńskiej:

Nasze miasto i kraj w tej sytuacji miały wybór między Litwą a Białorusią. Należąc do Europy Zachodniej i katolickiej kultury, pragniemy znaleźć się pod władzą Republiki Litewskiej, prezentującej taką samą kulturę. Gdy nam, Wilnianom dano wybór, chcemy żyć wspólnie z narodem, z którym łączy nas wiekowa wspólna historia. Ogólnie biorąc wszystko razem, nie ma żadnych wątpliwości i to podkreślić należy, iż obecnie jest dla nas korzystny sowiecko-litewski pakt. Wyływa z tego wniosek, że obowiązkiem naszym jest pomóc litewskiemu rządowi w zaprowadzeniu tutaj porządku i bezpieczeństwa, aby można było gospodarczo podnieść Wilno i Wileńszczyznę³⁴.

Jako przykład współpracy z rządem wskazał:

Powrót do Wilna aresztowanych i wywiezionych obywateli miasta, wśród których jest wielu potrzebnych miastu ludzi [...] opieka nad oficerami i żołnierzami, których w tym trudnym okresie nie można pozostawić bez pomocy i opieki [...].

Ponieważ Staniewicz miał zastrzeżenia do opublikowanego wywiadu, ukazała się w prasie notatka:

Proszeni jesteśmy wskazać, że ten wywiad — prawdopodobnie z przyczyn od dr Ancewicza niezależnych, został skrócony i pozbawiony bardzo ważnej części wstępnej [...] prof. Staniewicz był i jest zwolennikiem porozumienia polsko-litewskiego, to jednak uważa się za Polaka i takim pozostanie³⁵.

Ancewicz przewidywał możliwość ingerencji cenzury i dlatego napisał: „czytając «Lietuvos Žinios» nie wszystko znajdziecie i mnie o to proszę nie oskarżać”³⁶. To dobitne oświadczenie było zrozumiałe i dla Staniewicza.

Jednym z rozmówców Ancewicza był mecenas Krzyżanowski — były senator i dziekan Rady Adwokackiej, który stanął na czele wileńskiego Komitetu Polskiego. Jego wypowiedź jest nad wyraz lakoniczna. Na pierwszy plan wysuwał egzystencję fizyczną, odsuwając na później zagadnienia kulturalne. Nie powiedział nic, co mogło być uznane za deklarację polityczną³⁷. Wiadomo, że spotykał się w Kownie z byłym premierem Prystorem, który działając zakulisowo, pozostawał autorytetem dla znacznego grona polityków polskich w Wilnie³⁸.

Teraz przejdźmy do omówienia kilkakrotnie już wspomnianego głośnego artykułu Józefa Mackiewicza *My Wilnianie*, który W. Bolecki umieścił w świetnej pracy *Ptasznik*

³⁴ Tamże, 15 XI 1939.

³⁵ Kurier Wileński z 18 XI 1939.

³⁶ LŻ z 6 XI 1939.

³⁷ Tamże, 16 XI 1939

³⁸ *Polskie podziemie na terenach Zachodniej Ukrainy i Zachodniej Białorusi w latach. 1939–1941*. Warszawa-Moskwa 2001 s. 1287; Z. Ponarski, *Aleksander Prystor w szponach NKWD*, Nowy Kurier (Toronto) 2001 nr 23. O ostatnich latach Prystora na Litwie kilka wcześniejszych artykułów tegoż w „Nowym Kurierze”.

z *Wilna*³⁹. Znam tekst litewski i tłumaczenie jest niezupełnie dokładne. Niestety, nie mogę odnaleźć, ale dobrze pamiętam, że w pewnym fragmencie opuszczono w tłumaczeniu kilka słów, mogących mieć pewne znaczenie. A pamiętać należy, że pisany po polsku, tłumaczony na litewski i z powrotem na język polski nie może być dokładny i zgodny z oryginałem. W tekście brak sformułowań obrażających marszałka Piłsudskiego, a stwierdzenie o jego obłudzie nie może nie być uznane za oszczerstwo. Mówiąc o politycznym paradoksie rządzenia ziemiami wschodu, warto przypomnieć, że Józef Piłsudski miał własny pomysł na rozwiązanie dotyczące włączenia utworzonej Litwy Środkowej do Polski, a jego zwolennicy byli zwolennikami innej koncepcji rozwiązania problemu Wileńszczyzny⁴⁰.

Należy tu wspomnieć o niewłaściwej polityce sanacji wobec prawosławia, warto odnotować fakt, że pewne rozwiązania nie były aprobowane przez premiera Sławoja-Składkowskiego, który nie zawsze wiedział o prowadzonej w jego imieniu polityce narodowościowej⁴¹.

Artykuł Mackiewicza, wyważony w formie i treści, był przedmiotem krytyki, gdyż przypisywano mu współautorstwo broszury Piotra Kownackiego, wymierzonej przeciwko zamachowi majowemu i sanacji. Z Kownackim łączyły Mackiewicza kontakty prywatne i dlatego był posądzany o współpracę z nim, a w efekcie stał się obiektem niesprawiedliwej krytyki.

Nawet dobrze poinformowany w sprawach wileńskich okresu wojny, Marian Świącicki przyznał, że:

[...] dochodziły mnie plotki jakoby występował w radio z krytycznymi uwagami pod adresem rządów polskich oraz opublikował jakąś broszurę również krytykującą rządy polskie, zwłaszcza pomajowe. Ani broszury nie widziałem, ani uwag w radio nie słyszałem⁴².

O tym, że plotki roznoszą się na skrzydłach i zawsze powracają, świadczy okoliczność, że opinia ta nie została zweryfikowana do dnia dzisiejszego. Publicystyka Mackiewicza zamieszczona w „Gazecie Codziennej” i „Lietuvos Žinios” sama w sobie jest dowodem na to, że stawiane mu zarzuty są bezpodstawne i są wynikiem „złośliwego zaciebrzewienia”, które rozpoczęło się w Wilnie w 1940 r.

Przecież Józef Mackiewicz w 1930 r. napisał:

Gdzie jest ta jasna wyraźna polityka? Gdzie jest to świadome skoordynowanie polityki zagranicznej z wewnętrzną, wyznaniową, oświatową, narodowościową, skoordynowanie w odniesieniu do Wileńszczyzny, tej całej polityki, jej zunifikowanie z wewnętrznymi i zewnętrznymi planami na przyszłość, które by wyprowadziły Wilno z ziemi... niedoli?⁴³

Czy nie powtórzył tego w październiku 1939 r.?

GDYBY DZIADEK ŻYŁ... I RACHUNEK SUMIENIA

Czesław Miłosz wielokrotnie wypowiadał się o Józefie Mackiewiczu. Poświęcił mu nawet publikację *Koniec Wielkiego Xięstwa (o Józefie Mackiewiczu)*⁴⁴. Miłosz wspomina,

³⁹ [W. Bolecki] J. Malewski, *Ptasznik z Wilna*. Kraków 1991 s. 34–36.

⁴⁰ A. Srebrakowski, *Sejm wileński 1922 roku*. Wrocław 1995 (i nast. wyd.) s. 13.

⁴¹ Z. Ponarski, *Sprawa białoruska według relacji posta Szymanowskiego*, Białoruskie Zeszyty Historyczne (dalej BZH) 2000 nr 14.

⁴² M. Świącicki, *Życie na wulkanie*. New York 1984 s. 161.

⁴³ J. Mackiewicz, *Bulbin...*, s. 198.

⁴⁴ Cz. Miłosz, *Koniec Wielkiego Xięstwa (o Józefie Mackiewiczu)*, *Kultura* 1989 nr 5 s. 102–120.

że bliżej poznali się w 1940 r., kiedy to Juozas Keliuotis, redaktor „Naujoji Romuva”, pomógł mu dostać się do litewskiego wówczas Wilna. Mackiewicz redagował wtedy wychodzącą w Wilnie „Gazetę Codzienną”, a jego zastępcą był Teodor Bujnicki, kolega Miłosza z „Żagarów”.

Czesław Miłosz został współpracownikiem jego gazety ale nigdy z nim bliżej się nie zaprzyjaźnił, „bo inne pokolenie i inny skład umysłu”. Podkreślał jednak nieraz, że dał Mackiewiczowi dużym szacunkiem jako pisarza i człowieka dobrej woli.

Jak podaje Miłosz, Mackiewicz naraził się polskiemu Wilnu od pierwszych numerów „Gazety Codziennej”, ogłaszając artykuły, w których we wściekłych atakach na całą międzywojenną Polskę wyładowywał rozpacz i gniew z powodu klęski wrześniowej. Miłosz ustosunkowuje się też do kwestii oskarżenia Mackiewiczowi o współautorstwo owej sławetnej antysanacyjnej broszury. Stwierdza mianowicie, że Mackiewicz:

Nie lubił Piłsudskiego ani sanacji (choć pracował przecie w sanacyjnym „Słowie”), ale żeby znaleźć teraz współpracownika w osobie Piotra Kownackiego, „narodowca”, i razem z nim rządy „pułkowników” wyszydzać, choć przecież nic go poza tym z Kownackim nie łączyło, to już było dużo. Wyglądało na znęcanie się nad powaloną Polską, żeby przypodobać się litewskim, gospodarzom⁴⁵.

Widać tu wyraźnie, że Józef Mackiewicz razem z Kownackim wyszydzał przedwrześniową Polskę z zamiarem przypodobania się Litwinom, którzy przejęli od Sowiec Wilno. Nie sprecyzował, jaka to była współpraca i na czym polegała. Sądzić można, że dotyczyła „Gazety Codziennej” wydawanej przez Mackiewiczowi, z którą współpracował Kownacki. W rozstrzygnięciu problemu może pomóc analiza kolejnej wypowiedzi Miłosza:

Klęska 1939 roku nie zakończyła tej wrogości, [narodowych demokratów wobec Piłsudskiego i sanacji — Z.P.] przeciwnie, dostarczyła okazji do porachunków. Piotr Kownacki napisał wtedy broszurę, w której cały gniew za przegraną, odpowiedzialnością za to obarczając sanację. Drugim autorem broszury był, o dziwo, Józef Mackiewicz, współpracownik „Słowa”, który przed wojną nic wspólnego nie miał z endekiem Kownackim. Połączyła ich wściekłość i rozpacz w obliczu nieszczęścia kraju. A to pastwienie się nad pokonaną Polską Dwudziestolecia nie było dobrze przyjęte w Wilnie i od tej broszury zaczyna się, moim zdaniem, seria oskarżeń o zdradę, mających ścigać Józefa Mackiewiczowi⁴⁶.

Nie wiemy jednak, jaka to była broszura. Wiemy już jednak, na czym polegało współdziałanie obu wilnian, których połączyła „wściekłość i rozpacz” z powodu klęski wrześniowej.

P. Łossowski, wybitny znawca historii Litwy i problematyki wileńskiej pisze:

Wydane zostały także (obok innych książek) dwie broszury Piotra Kownackiego. Pierwsza z nich pt. *Gdyby Dziadek żył...* była rozrachunkiem, przyczyn klęski wrześniowej. Druga, *Rachunek sumienia* omawiała dzieje rządów sanacji. Broszury te pisane z pozycji skrajnie endeckich były w istocie pamfletami politycznymi, pisanymi w dodatku wulgarnym językiem. „Kurier Wileński” usiłował replikować, natomiast prasa litewska nadać broszurom dużego rozgłosu. Korzystając z wyraźnego poparcia władz, do maja 1940 r. ukazały się aż trzy wydania broszury *Gdyby Dziadek żył...* Prace Kownackiego były oczywiście zjawiskiem bardziej politycznym niż kulturalnym⁴⁷.

Łossowski podaje także, że działacze z kręgów PPS mieli wydać broszurę rozpoczynającą polemikę z poglądami Kownackiego. „Gazeta Codzienna” pod redakcją Mackie-

⁴⁵ Tamże, s. 106–107.

⁴⁶ Cz. Miłosz, *Abecadło Miłosza*. Kraków 1997 s. 147.

⁴⁷ P. Łossowski, *Litwa a sprawy polskie 1939–1940*. Warszawa 1982 s. 252.

wicza popierała stanowisko Kownackiego. „Kurier Wileński” zaś bronił stanowiska, iż nie jest czas ani miejsce na publiczne rozdrapywanie ran, a wrzesień tai w sobie nie tylko klęskę, lecz i bohaterstwo żołnierza polskiego⁴⁸.

S. Lewandowska pisząc o Wilnie lat wojny i ówczesnej działalności wydawniczej, wspomniała, że:

Opublikowano również — pisane z pozycji skrajnie endeckich dwa pamflety polityczne, autorstwa Piotra Kownackiego: *Gdyby Dziadek żył...*, stanowiący rozrachunek klęski wrześniowej, oraz *Rachunek sumienia*, omawiający dzieje rządów sanacji⁴⁹.

L. Tomaszewski napisał, że w drugiej połowie marca 1940 r., w czasie, gdy władze litewskie wzmogły swe antypolskie poczynania i społeczeństwu Wilna potrzebna była solidarność i zgoda:

[...] ukazała się drukiem bulwersująca broszura Piotra Kownackiego, znanego działacza Stronnictwa Narodowego, zatytułowana *Gdyby Dziadek żył...* Był to napisany wulgarnym językiem paszkwil oczerniający Piłsudskiego i obciążający go winą za tragedię wrześniową. Przedrukowała go wkrótce bardzo skwapliwie „Gazeta Codzienna” reprezentująca nurt rozliczeniowy [...]. Kownacki swe publiczne rozrachunki polityczne prowadził i to w sposób pozbawiony kultury i uwłaczający godności narodowej Polaków [...]. „Gazeta Codzienna” pośpieszyła w sukurs Kownackiemu. Nie odbyło się bez gorszących polemik, które Litwini obserwowali z nieukrywana satysfakcją [...]. Kownacki nie licząc się z polską opinią publiczną, zdobył się w najbardziej nieodpowiednim momencie na paszkwil najgorszy z możliwych⁵⁰.

W taki sposób kształtowały się opinie współczesnych historyków o rozrachunkowej publicystyce Kownackiego.

A. Kolator przebywający z Piotrem Kownackim, w piątym forcie w Kownie wspominał:

Nie wszyscy pensjonariusze na 7 forcie byli wojskowymi, sporo było cywilów, Polaków wyłapanych na drogach przez szaulisów (litewskich strzelców). Nie wiem, czy miał coś wspólnego z wojskiem redaktor Piotr Kownacki z „Dziennika Wileńskiego”, zastałem go w 7-ym forcie. Nie musiał mieć więcej niż 40 lat, bo pamiętam go z wieców akademickich na USB, teraz nieogolony, nieostrzyżony, w zaniedbanym ubraniu cywilnym wyglądał na starca. Podał też, że ma 56 lat, na tyle przynajmniej wyglądał i wkrótce został zwolniony z obozu.

Opisał też swoje wrażenia obozowe:

[...] dotarła do nas plugawa książeczka napisana przez Niemczyka (niewątpliwie pseudonim), nie pamiętam jej tytułu, zozydzał w niej życie prywatne prezydenta Kościckiego. Ktoś życzliwy nadesłał nam broszurę byłego pensjonariusza naszego fortu, Piotra Kownackiego. Broszura była zatytułowana *Gdyby Dziadek żył...* [...] Kownacki twierdził, że gdyby „Dziadek” (Piłsudski) żył, byłoby to samo, co się zdarzyło [...]. Gasiła ostatnią iskierkę pociechy.

Opublikowanie broszury *Gdyby Dziadek żył...* rozpoczęło gwałtowną polemikę na łamach wileńskiej prasy. 30 marca w „Kurierze Wileńskim” prof. Staniewicz:

⁴⁸ Tamże, s. 253, 270.

⁴⁹ S. Lewandowska, *Życie codzienne Wilna w latach II wojny światowej*. Warszawa 1997 s. 277.

⁵⁰ L. Tomaszewski, *Kronika Wileńska 1939–1941*, s. 47. Autor przypomniał, że jeszcze w 1930 r. Kownacki ogłosił złośliwy paszkwil obrażający Piłsudskiego i spowodował oburzenie opinii publicznej w Wilnie.

Nie wszczynając polemiki, dał Kownackiemu odpowiedź pełną godności i powagi, zamykając rozgorzały spór. Przypomniawszy, że jesienią 1930 roku ogłosił Kownacki wyjątkowo złośliwy pamflet obrażający Piłsudskiego [...]⁵¹.

W „Gazecie Codziennej” 4 kwietnia 1940 r. (numer 74) opublikowano list Kownackiego z 31 marca 1940, w którym napisał:

W związku ze wzmianką, która się ukazała w nr 70-ym z 30.III. pt. „Starczy na odpowiedź”, że autor wzmianki, b. minister i b. rektor USB, p. Witold Staniewicz, kwalifikując jego broszurę (*Gdyby Dziadek żył...*) jako zwykły paszkwil, jednocześnie utrzymuje, że i za życia Piłsudskiego pisał o nim paszkwile. Jednym z najgorszych „paszkwili” miały być moje artykuły z jesieni 1939 r. (w nich była mowa o transakcji dokonanej przez pp. Piłsudskich, którzy zamienili swe działki na Wołyniu i w Świątnikach na majątek Pikieliszki).

A już następnego dnia, 5 kwietnia ukazał się w „Gazecie” artykuł Jana Otrębskiego. Profesor językoznawstwa indoeuropejskiego i filologii sanskryckiej, zazwyczaj nie angażował się w spory polityczne, a społecznie pełnił funkcję kuratora Związku Polskiej Młodzieży Akademickiej w Nowej Wilejce, bo mieszkał w Kolonii Wileńskiej. W artykule pt. *Co to jest paszkwil?*, jako filolog dał pojęcie słowa „paszkwil”. Nie chcąc nikomu narzucić swego poglądu, stwierdził po akademicku: „Rzeczą czytelników jest teraz osądzić, czy pismo p. Kownackiego podpada pod te określenia”.

Artykuł *Gdyby Dziadek żył...* przysporzył Piotrowi Kownackiemu jeszcze innych nieprzyjemności. Mianowicie przypisano mu autorstwo agresywnej broszury wymierzonej przeciwko Piłsudskiemu *Rachunek sumienia* podpisanej pseudonimem Bolesław Niemczyk. Aby rozstrzygnąć ten problem, przytoczę wypowiedź Litwina, J. Cycenasa, absolwenta Uniwersytetu Stefana Batorego, lektora języka litewskiego Instytutu Naukowo-Badawczego Europy Wschodniej w Wilnie, redaktora pism litewskich, a w 1940 r. członka kolegium redakcyjnego „Nowego Słowa”, pisma wydawanego po polsku w Wilnie a będącego przeciwwagą dla gazet polskich. Cycenas, w książce wydanej na emigracji w 1953 r. napisał:

Znany działacz polskiej endecji i redaktor „Dziennika Wileńskiego”, P. Kownacki w maju 1940 r. opublikował broszurę, *Gdyby Dziadek żył*. Obciążył za całą tragedię Polski reżym, który przejął ster rządów po przewrocie, w ciągu 1926 r. — i jak napisał — najbardziej wygarnął słowa prawdy autor *Rachunku sumienia*. Jest doktorem filozofii i filologii. Nazwisko autora nie podane i dlatego, nie mając upoważnienia, nie mogę tego uczynić. Dodam, że w Poznaniu był przez piłsudczyków pobity. Nie lubił reżymu i w Wilnie przez Kuratorium Oświaty był przetrzucany z miejsca na miejsce⁵².

Z wypowiedzi Cycenasa dowiadujemy się, że Kownacki nie był autorem *Rachunku sumienia* odbiegającego zresztą bardzo od tonu ostrej krytyki i pozbawionego wulgarnego słownictwa, tak charakterystycznego dla publikacji *Gdyby Dziadek żył...* W *Rachunku sumienia* Niemczyk napisał, że wojnę w 1920 r.:

sprowokował Piłsudski i ten „wielki mąż” wstąpił na Wawel tak, jak żył: bez mózgu i serca [...] jego ostatni kabotyńsko-błazeński gest-nakaz „rozparcelowania” zwłok jest doprawdy symboliczny.

Napisał o aresztowaniu Jana Piłsudskiego, brata marszałka. Chętnie uściskałby dłoń temu komisarzowi. I że słyszał, iż również:

⁵¹ L. Tomaszewski, *Kronika Wileńska 1939–1941*, s. 47.

⁵² J. Cycenas, *Vilnius tarp audru* (Wilno między burzami). Vilnius 1993 s. 286. Pierwsze wydanie książki ukazało się w Chicago w 1953.

pan Leon Kozłowski [...] został aresztowany w Lwowie, i mam błogą nadzieję, że i on doczeka się sprawiedliwej oceny i nagrody swych „zasług”.

Zanim skończyłem me rozważania, nastąpiła nowa *mutatio rerum* — miasto zajęły wojska litewskie na mocy układu z bolszewikami — stwierdzał dalej — Snać podobało się Opatrzności raz jeszcze okazać nam szczególną łaskę... Może niejednemu „patriocie”, co z tego powodu stracił cztery posady, pójdą nie w smak moje słowa. Ale zwracam się do ludzi dobrej woli i zdrowego rozsądku. Zdaje mi się, że leży w interesie polskości znalezienie *modus vivendi* z rządem i ludnością litewską.

Dla poparcia swego stanowiska Niemczyk w pewnym fragmencie powołał się nawet na *Bunt rojstów* Józefa Mackiewicza: „wmyślcie się w znane przekleństwo białoruskiego chłopca: «Kab ty pa polskim uradam chadził!»»⁵³.

W kontekście obrachunku z przeszłością było to nadużyciem nazwiska Józefa Mackiewicza szczególnie, że dalej wysuwa bardzo radykalne i obrazoburcze postulaty:

[...] pierwszym czynem odrodzonej Polski będzie zniesienie kopca (Piłsudskiego) na Sowińcu, opróżnienie krypty pod wieżą srebrnych dzwonów na Wawelu, zniszczenie wszystkich popiersi, pomników [...] aby nie pozostało w nas ani poza nami — nic, żadnych śladów, żadnych wspomnień po haniebnie-koszmarnym śnie jego rządów [...] nie znaleźliśmy w sobie sił, aby tę żarłoczną zgraję przepędzić i wskazać jej właściwe miejsce — rysztoł i kryminal, że czekaliśmy, aż obcy najazd uderzeniem maczugi w czaszkę zetrze nam z czoła syfilityczny furunkul piłsudczyzny [...]⁵⁴.

Rachunek sumienia publikował fragmentami pod tytułem *Obraz wewnętrznego życia Polski*, „Lietuvos Žinios”, poczynając od 4 maja 1940 r. Już 10 maja gazeta poinformowała czytelników, że pełny przekład, 170 stron druku, ukaże się nakładem wydawnictwa Spaudos Fondas. „Lietuvos Žinios” przedrukowało też broszurę Kownackiego, pod tytułem *Gdyby Piłsudski żył*. Jak napisał w notce redakcyjnej korespondent tej gazety w Wilnie V[incas] Ž[ilenas]: „Broszurę (Kownackiego) trudno w Wilnie zdobyć? Rozchwytują ją mieszkańcy i wykupują w znacznych ilościach piłsudzczy, by przed ludźmi ukryć jej treść”. Cena tylko, jak podano na okładce, 15 centów. Miała kolejne, drugie i trzecie (uzupełnione), wydania wraz z adnotacją: „W przygotowaniu broszura pt. *Dlaczego właśnie teraz i dlaczego właśnie my... Parę słów odpowiedzi*”⁵⁵.

W biogramie Piotra Kownackiego zamieszczonym w Polskim Słowniku Biograficznym napisano:

Rychło po wrześniu 1939 roku pod rządami litewskimi w Wilnie wydał broszurę polemiczną *Gdyby Dziadek żył...* o przyczynach klęski wrześniowej; broszurę tę wraz z przyjaciółmi politycznymi, wycofał jako zbyt kontrowersyjną w dobie wojny⁵⁶.

⁵³ [T. Pizło] B. Niemczyk, *Rachunek sumienia. Kilka słów o naszej niedawnej przeszłości*. [Wilno 1940]. Wydana nakładem autora i przyjaciół w kwietniu 1940 r. (wynika to z tekstu, gdzie cytowano artykuł z 30 III) a tłumaczenie ukazało się w „Lietuvos Žinios” już 5 V 1940. Wydanie amerykańskie wyszło w Nowym Jorku w 1941 r., następnie była drukowana w Toronto w „Kronice Tygodnia” poczynając od 17 I 1942 w numerach 48–72.

⁵⁴ Tamże, s. 11, 39, 160, 161, 162, 166.

⁵⁵ *Bibliografios Žinios* (Wiadomości bibliograficzne), 1942 nr 3/4. Ukazywały się w Kownie od 1928 do 1944 r. Odnotował jeszcze broszurę rozliczeniową: L. Radzyński, *Dlaczego katastrofa? I dlaczego Anglia i Francja nie przysły nam z pomocą wojskową w 1939?*. Wilno 1940 s. 15+1. Przygotowywana broszura *Dlaczego właśnie teraz...* jak odnotowała bibliografia miała zawierać 15+1 stron.

⁵⁶ E. Muszalski, *Kownacki Piotr*, [w:] *Polski słownik biograficzny, t. 14*. Wrocław-Warszawa-Kraków 1968–1969 s. 589. Autor biogramu podaje, że korzystał z informacji brata Kownackiego i jego przyjaciół. Przekazali niewłaściwą informację o broszurze, która nie była wycofana, lecz

Sądę, że przedstawiłem wystarczająco wiele wiarygodnych i niepodważalnych dowodów, by autorstwo broszury przypisać rzeczywistemu autorowi i zdjąć z Kownackiego piętno autorstwa *Rachunku sumienia*. O ile bowiem broszura Kownackiego ma charakter polemiczny i słusze prof. Jan Otrębski pozostawia czytelnikom osąd, czy była paszkwilem, to w przypadku wypowiedzi podpisanej nazwiskiem Niemczyk, nikt nie mógł wątpić, że jest to paszkwil w najgorszym stylu. J. Cyncenas nie chciał ujawnić nazwiska autora *Rachunku sumienia*, jednak z relacji prof. P. Cibirasa, można dowiedzieć się, że był nim Tadeusz Seweryn Pizło, doktor literatury pracujący w czasie wojny w księgarni przeznaczonej dla żołnierzy Wehrmachtu.

W Wilnie wśród wielu innych wydań ukazała się pod pseudonimem Bolesława Niemczyka broszura *Rachunek sumienia* (1940). Najgorszymi epitetami obrzucono tu Marszałka i całą władzę piłsudczyków [...]. Ze stylu broszury i wielu słyszanych już charakterystycznych wypowiedzi z łatwością rozpoznajemy prawdziwego autora, polonistę naszego gimnazjum (litewskiego) Tadeusza Pizłę, współpracownika „Dziennika Wileńskiego”. Jako zagorzały endek przyznał się nawet do tego z dumą⁵⁷.

Skoro sprawa autorstwa *Rachunku sumienia* została ustalona, należy poświęcić nieco miejsca broszurze Kownackiego, gdyż ma ona duże znaczenie dla wyjaśnienia istoty stosunków wileńskich i sprawy samego Józefa Mackiewicza. Niektórzy pisali, że *Gdyby Dziadek żył...* zostało opublikowane na łamach „Gazety Codziennej”. Tak jednak nie było, gdyż jej autor w słowie wstępnym napisał:

Z przyczyn zrozumiałych nie mogę pisać pod własnym nazwiskiem w żadnym z wychodzących obecnie w Wilnie dzienników polskich. Zmusza to mnie do wydania paru poniższych artykułów dyskusyjnych w formie broszury, którą też oddaję pod sąd P.T. Czytelników. — Autor⁵⁸.

W pierwszym rozdziale: *Prawdzie śmiało spojrzeć w oczy* napisał:

Od pewnego czasu na łamach dwóch dzienników wileńskich toczy się spór o to, czy należy już teraz przystąpić do omawiania i ujawnienia tego wszystkiego, co legło u podstawy wrześniowej tragedii Narodu Polskiego?

Pisze, że „Gazeta Codzienna” usiłuje ustalić fakt odpowiedzialności reżimu, a jego aktywnych popleczników można oskarżyć za to wszystko, co się stało w przeciągu paru ostatnich lat, w 1939 r. w szczególności. „Kurier Wileński” natomiast twierdzi, że chwila obecna bynajmniej nie jest odpowiednią na „pranie brudów”.

Autor zapytuje:

Który kierunek i który z dzienników ma rację? Jeśli chodzi o kierunek, to rację ma pierwszy, a jeśli chodzi o dzienniki — to drugi. Pozornie twierdzenie nasze zawiera we-

miała trzy wydania i miała dalszy ciąg. Napisałem biogram P. Kownackiego do *Słownika biograficznego adwokatów polskich*, który z innymi materiałami zaginął (informacja mec. T. Burakowskiego; List u autora). A w t. 2 wydanym prawdopodobnie w Warszawie 1998 r., jest biogram P. Kownackiego pióra J. Grodzkiego (R. Łyczynka), w którym napisano, że faktycznie prowadził „Kurier Wileński” (*sic!*) i że napisał broszurę *Gdyby Dziadek żył* po tym jak współpracował z „Walką”, w której pracował po wyjeździe z Wilna.

⁵⁷ P. Cibiras, Czas — magazyn publicystyczny, dodatek do „Naszej Gazety” (Wilno) 2000 nr 46 (28 XII).

⁵⁸ P. Kownacki, *Gdyby Dziadek żył...* . Wilno 1940 s. 3. Obszerna bibliografia *Literatura polska i teatr w latach II wojny światowej, t. 1–3* (Wrocław 1983–1986) sporządzona przez J. Czachowską, M. K. Maciejewską i T. Tyszkiewicz w ogóle nie odnotowuje broszury Kownackiego, podobnie B. Niemczyka, z tym, iż odnotowała jej przedruk w wychodzącej w Toronto „Kronice Tygodniowej”.

wewnętrzną sprzeczność. Ale tylko pozornie. Rację bowiem mają ci, co dążą do jak najszybszego wyjaśnienia przyczyn upadku i ustalenia odpowiedzialności. Ale rację też ma „Kurier Wileński” twierdząc, iż nie czas i nawet nie miejsce na „pranie brudów”.

Kownacki pisze też, że może niepotrzebnie wspomina już dziś „Gazeta Codzienna” o płaceniu „długów karcianych synalka”. „Kurierowi Wileńskiemu” zarzuca zaś ocenowanie wystąpienia premiera Sikorskiego, gdy mówił o odpowiedzialności nie jednostek, lecz systemu rządów pomajowych w Polsce⁵⁹.

Wykazuje niekonsekwencję, pisząc:

Nie to nas powinno interesować, czy generała Zagórskiego zamordował Wenda, czy bandą zbirów którzy napadli na Zdziechowskiego, dowodził Kirtiklis, a samochodów na porwanie Mostowicza dał (prezydent Wilna) Maleszewski, lecz i dlaczego zbrodnie te uszły bezkarnie, a sprawcy mogli pozostać w szeregach korpusu oficerskiego, funkcjonariuszy administracji państwowej czy też policji?⁶⁰

Przecież bez ustalenia sprawcy nie może być mowy o winie.

SIEDEM LAT W SZPONACH GPU

Książkę *Siedem lat w szponach GPU* Franciszek Olechnowicz wydał własnym sumptem w Wilnie w 1935 r. Przełożył ją na białoruski. Potem ukazała się po ukraińsku we Lwowie, wydano ją po polsku w Warszawie i Kurytybie oraz w wielu przekładach na inne języki⁶¹.

Myśl o napisaniu książki powstała we wrześniu 1933 podczas jego rozmowy z Józefem Mackiewiczem. Olechnowicz powiedział mu, że po powrocie z ZSRR chce zajmować się białoruskim życiem kulturalnym, literaturą i publicystyką, by ostrzec przed mirażem sowieckim tych, którzy kierują wzrok ku Wschodowi⁶². Książka, którą zamierzał napisać, miała być ostrzeżeniem.

Olechnowicz przeszedł interesującą, choć trudną drogę życia. Przed wojną, mimo znacznego dorobku literackiego, nie mógł realizować swych planów twórczych na niwie teatralnej. Dlatego zdecydował się pojechać do Mińska, sądząc, że się zrealizuje w teatrze, któremu zawsze był wierny. Zamiast na scenę trafił na Wyspy Sołowieckie. Po powrocie rodacy go unikal, a władze polskie nie ułatwiały mu życia.

Nieliczni go nie odrzucili. Wśród nich był Stanisław Mackiewicz, który podjął się drukowania jego wspomnień, nie ulegając szantażowi czynników rządowych (a właściwie policyjnych) nalegających, by zaprzestał drukowania *Siedmiu lat...* Józef Mackiewicz spotkał go po przyjeździe do Wilna, opublikował obszerny z nim wywiad i utrzymywał stosunki towarzyskie. Później także uwiecznił w swej twórczości.

W tej części artykułu przedstawię krótko sylwetkę Franciszka Olechnowicza. Zainteresowanych pełną informacją poświęconą temu wybitnemu białoruskiemu dramatopisarzowi, artyście sceny i publicyście, odsyłam do stosownych publikacji⁶³.

⁵⁹ P. Kownacki, *Gdyby Dziadek żył*, s. 4.

⁶⁰ Tamże.

⁶¹ F. Olechnowicz, *Siedem lat w szponach GPU*. Wilno 1935 (nakład autora); tegoż, *Prawda o Sowietach. Wrażenia z 7-letniego pobytu w więzieniach sowieckich, r. 1927–1933*. Warszawa 1937 (nakład autora); tegoż, *Prawda o Sowietach...*. Kurytyba 1938, F. Olechnowicz (Aljachnovič), *U kapcjurach GPU*. Wilno 1937. Książka ukazała się we Włoszech i Brazylii, łącznie miała siedem przekładów. Drukowała ją w odcinkach prasa polska, rosyjska w Wilnie, Paryżu i Harbinie i ukraińska we Lwowie, a podczas wojny białoruska, uzupełniona przez autora o *Epilog* i szkic *Zamiast życiorysu garść wspomnień*. Po wojnie wydano ją w Warszawie i w Mińsku w wersji uzupełnionej.

⁶² J. Mackiewicz, *Bulbin...*, s. 290.

⁶³ Z. Ponarski, *Siedem lat w szponach GPU*, *Jedność* 1989 nr 7 (4 X); tegoż, *Franciszek Olechnowicz — wydawca, redaktor, publicysta*, *BZH* 1996 nr 2 s. 6; tegoż, „Franciszka Olechno-

Był synem ziemi, której dzieci z jednego ojca i matki pochodząc, bywali nierzadko różnych narodowości lub wyznań. Był początkowo Polakiem, a przed Wielką Wojną określił się jako Białorusin. Imał się wszelakich zawodów, hołdował różnym ideałom. Rozdarty między Wilnem, gdzie nie mógł powstać teatr białoruski, a Mińskiem, gdzie się rozwijał, wybrał miasto nad Świsłoczą.

Gdy wrócił z sowieckiej niedoli, rodacy przyjęli go nieufnie, a białoruska „Krynica” odmówiła drukowania wspomnień. Zginął tragicznie z rąk sowieckiego agenta, choć obecnie pokutuje pogląd, że zabili go akowcy. Pisząc o zabójstwie, J. Mackiewicz podaje, że zabójca opuścił dom: „Trzasnął drzwiami i wszelki ślad po nim zaginął”⁶⁴.

Nie zaginął jednak i ślad doprowadził do Moskwy.

Ostatnio sylwetkę tę przypomniał Zenowiusz Ponarski — napisał Z. Solak — Jego zasługą, obok nowych szczegółów, jest ustalenie ponad wszelką wątpliwość faktycznych sprawców śmierci Franciszka Olechnowicza⁶⁵.

Podając fakty związane z Józefem Mackiewiczem, widzimy, że autor *Nie trzeba głośno mówić* nie mijał się z prawdą historyczną, kiedy mówił o Brzozowskim-Olechnowiczu:

Polacy w ogóle są do akcji białoruskiej, do emancypacji narodowej Białorusi, usposobieni niechętnie i sceptycznie — wspominał M. Römer — zwłaszcza gdy dotyczy Białorusinów katolików, których Polacy uważają za dziedzictwo narodowe Polski⁶⁶.

Do tych Polaków nie należał Józef Mackiewicz, który utrzymywał z nim kontakty przed i w trakcie wojny, zawsze wyrażał się życzliwie, co nie oznacza bezkrytycznie, o narodowych aspiracjach Białorusinów.

Józef Mackiewicz w szkicu *Egzekucja* napisał o tym z pewnym wyrzutem. Olechnowicz nie odwdzieczył się stronie polskiej, tak jak powinien: za wyrwanie z niewoli sowieców i możliwość ucieczki przed nimi na Litwę i w końcu za to, że razem z Karolem Zbyszewskim poświadczyli jego tożsamość w Kownie⁶⁷. Nie jest zupełnie tak z tą wdzięcznością, jak twierdził. Olechnowicz faktycznie podczas panowania Niemców czynił starania o nawiązanie współpracy polsko-białoruskiej, o której niewiele wiadomo⁶⁸.

Przedstawię podstawowe informacje o nim. Urodził się w Wilnie w 1883 r. w rodzinie drobnoszlacheckiej, z ojca Karola i matki z domu Narkiewicz. Dziadek Jan posiadał majątek w okolicy Radoszkowic, a ojciec był skrzypkiem w teatrach wileńskich. Franciszek w wieku 5 lat był stałym bywalcem teatrów. Wcześniej wykrystalizowane zainteresowania teatralne, spowodowały, iż podjął naukę w dwuletniej Szkole Towarzystwa Muzycznego w Warszawie.

Od grudnia 1907 występował w Warszawie w zespole F. Kwaśniewskiego. [...] W lutym 1908 został zaangażowany do zespołu objazdowego K. Kamińskiego, w którym pozostał do końca maja. Po powrocie do Warszawy występował w [teatrze] Bagatela. [...] Od początku 1909/10 występował w Lublinie. [...] na sez[on] 1909/10 został zaangażowany do lubelskiego zespołu J. Myszkowskiego⁶⁹.

wicza droga do białoruskiego teatru” (maszynopis u autora); Z. Solak, *Uzupełnienia do biografii Franciszka Olechnowicza z dziennika M. Römera*, BZH 1998 nr 9 s. 149–158.

⁶⁴ J. Mackiewicz, *Fakty, przyroda i ludzie*. Londyn 1984 s. 107.

⁶⁵ Z. Solak, *Uzupełnienia...*, s. 149.

⁶⁶ Tamże, s. 152.

⁶⁷ J. Mackiewicz, *Fakty, przyroda...*, s. 104.

⁶⁸ L. Tomaszewski, *Kronika Wileńska 1939–1941*, s. 82.

⁶⁹ *Słownik Biograficzny Teatru Polskiego, t. 2: 1900–1980*, red. Z. Wilski [i in.]. Warszawa 1994.

Wraca do Wilna i wydaje:

Jedną z ciekawszych jednodniówek humorystycznych, *Bicze z Piasku* [...]. W dniach 17 lipca – 7 sierpnia 1910 ukazywał się również redagowany przez Olechnowicza tygodnik humorystyczno-satyryczny „Perkunas”⁷⁰.

Za artykuł w „Perkunasie”, który został skonfiskowany, postawiono mu zarzut bluźnierstwa. W obawie przed skazaniem wyjeżdża do Galicji, gdzie występuje na deskach teatralnych w teatrach objazdowych od 1910 do 1913 r.

Powraca do stron rodzinnych sądząc, że obejmie go amnestia ogłoszona na 300-lecie panowania Romanowych. Amnestia jednak nie miała zastosowania do przepisu 73 (bluźnierstwo), Olechnowicz zostaje aresztowany i skazany. W więzieniu na Łukiszkach powstał pierwszy dramat *Na Antakali*⁷¹.

Podczas okupacji niemieckiej pracuje w piśmie „Homan” jako korektor, gdzie publikuje ten dramat. W okresie pookupacyjnym, gdy waga się losy Wilna, wydaje „Białoruskaja Żyćcio” (niektórzy twierdzą, że za polskie pieniądze), które ukazuje się do września 1919, a później w Mińsku, gdzie wychodzi do marca 1920 r.

Początkowo pismo wyraźnie było propolskie i popierało federacyjne plany Piłsudskiego. W pierwszym numerze zamieszczono jego odezwę z 22 kwietnia 1919 r. we fragmentach oraz zdjęcie na okładce.

W 1920 r. powraca do Wilna, które ma przejść w ręce litewskie. Niebawem do miasta wkracza gen. L. Żeligowski i powstaje Litwa Środkowa. Był to okres, gdy Józef Mackiewicz z orężem realizuje idee Józefa Piłsudskiego. Franciszek Olechnowicz piórem walczy o to samo, a bliski mu, Franciszek Umiastowski w „Białoruskaja Żyćcio” napisał, że naród białoruski nie powinien obawiać się sojuszu z Polską⁷².

Olechnowicz napisał wiele dramatów i artykułów publicystycznych, tłumaczył literaturę białoruską na polski, zajął się historią teatru białoruskiego, reżyserował sztuki i występował jako artysta. Uwierzył, że na sowieckiej Białorusi będzie miał większe pole do popisu i w listopadzie 1926 r. legalnie wyjechał do Mińska. Liczył, że zostanie kierownikiem literackim teatru na Białorusi. Jednak aresztowano go, gdy wracał z Witebska do Mińska, niespełna 6 tygodni po przyjeździe na Białoruś sowiecką. W lipcu 1927 r. został skazany na 10 lat zesłania na Wyspy Sołowieckie.

Po aresztowaniu i skazaniu rozpoczęła się w Polsce batalia prowadzona przez krewnych i przyjaciół o uwolnienie go z niewoli. „Biełaruski Dzień” wydawany przez Franciszka Umiastowskiego opublikował artykuł *Pamiętajcie o Fr. Olechnowiczu*, a Białoruski Komitet Narodowy zaprotestował przeciwko aresztowaniu⁷³.

Nieskuteczne były apele prasowe i uchwały organizacji białoruskich, a jedynie działania zakulisowe krewnego F. Umiastowskiego.

Pisze o tym Aleksander Kałodko (1911–1985), działacz białoruski:

Wszystkie próby uwolnienia Olechnowicza były nieskuteczne, do czasu jak się zaangażował F. Umiastowski, mający wielu przyjaciół i bliskich na wysokich stanowiskach, m.in. znał obu braci marszałka Piłsudskiego, jego osobistego lekarza, płk. Woyczyńskiego. Brat rodzony jego, inż. Stanisław Umiastowski, dyrektor zakładów zbrojeniowych w Skarżysku, posiadał duże znajomości. Dwukrotnie Franciszek Umiastowski wyjeżdżał specjalnie (w tej sprawie) do Warszawy — wspominał Kałodko. Po licznych interwencjach F[anciszka] Umiastowskiego u swych przyjaciół, rząd Polski zgodził się dokonać wymiany B. Tarszkiewicza, przywódcę Białoruskiej Robotniczo-Włościańskiej Hromady,

⁷⁰ A. Romanowski, *Młoda Polska wileńska*. Kraków 1999 s. 313.

⁷¹ Z. Ponarski, „Franciszka Olechnowicza droga...”, s. 10, 11, 13.

⁷² Z. Ponarski, *Franciszek Olechnowicz — wydawca...*, s. 55.

⁷³ Z. Ponarski, „Franciszka Olechnowicza droga...”, s. 37.

zwalniając go z więzienia w zamian za Fr[anciszka] Olechnowicza, przebywającego na wyspach sołowieckich⁷⁴.

Relację potwierdza Barejka:

Umiastowski osobiście znał wielu z ówczesnej elity rządowej, a rodzony jego brat Stanisław był dyrektorem fabryki zbrojeniowej w Skarżysku. [...] Franciszek Olechnowicz i Franciszek Umiastowski, zginęli z rąk bolszewików. [...] Franciszek Umiastowski, jako oficer rezerwy [...] internowany w Kozielsku, został zlikwidowany w Katyniu wraz z tysiącami innych oficerów⁷⁵.

Wymianę ułatwiła okoliczność, że także B. Taraszkiewicz miał ważnych protektorów, obracających się w tych samych kręgach co Umiastowscy. Wymiany dokonano na mocy decyzji premiera J. Jędrzejewicza z 13 sierpnia 1933 r. W uzasadnieniu powodów wymiany napisano, że Olechnowicz był „lojalnym wobec rządu i państwa obywatelem RP”⁷⁶.

Gdy zapadły decyzje w Warszawie i w Moskwie, już wkrótce losy Olechnowicza się odmieniły.

Gdy po wymianie przybył do Wilna, spotkał go Józef Mackiewicz i przeprowadził z nim obszerny wywiad dla „Słowa” pod tytułem: *Od fatamorgany pracy kulturalnej w Mińsku do Sołowieckiego i Karelsko-Murmańskiego obozu robót Przymusowych*.

Olechnowicz niewiele powiedział o przeżyciach, koncentrując się na przekazaniu warunków życia obozowego: „Do Rosji sowieckiej — powiada nam p. Olechnowicz — wyjechałem we wrześniu 1936 r., odwiedzić rodzinę, bliższych krewnych. Zdawało mi się, że znajdę tu większe możliwości pracy kulturalnej”. Kończąc rozmowę z niedawnym więźniem Sołówek, J. Mackiewicz zapytuje: „Czy wolno zapytać pana o własne projekty na najbliższą przyszłość?”. Usłyszał w odpowiedzi: „Będę pracował na polu kulturalnym białoruskim, literackim i publicystycznym, ostrzegając przed złudą budownictwa socjalistycznego...”⁷⁷.

Jeśli środowisko polskie przyjęło byłego więźnia obojętnie i bynajmniej nie wrogo, inaczej przyjęła go społeczność białoruska, wśród której oprócz komunistów, największe wpływy miała chadecja, której organem była „Krynica”. Albin Stepowicz, działacz chadeccki, później związany z białoruskimi narodowymi socjalistami napisał artykuł, w którym podniósł zastrzeżenia wobec wymiany *Taraszkiewicz–Alechnowicz* (tak zatytułowany był artykuł):

O ile wyjazd Taraszkiewicza nikogo nie zdziwił, o tyle wymiana na Alechnowicza wszystkich zaskoczyła — napisał. — Do chwili obecnej przyzwyczailiśmy się widząc na miejscu Alechnowicza więzionych księży, patriotów i działaczy polskich. Po raz pierwszy wraca tą drogą z Sowietów Białorusin. [...] Alechnowicz nigdy nie był działaczem politycznym. Jest to typowy literat, który nawet w swoich dziełach nie poruszał tematów politycznych. [...] Przez jakiś wypadek czy nieporozumienie przyklejono mu w Sowietach etykietę polityka, a przez wymianę na Taraszkiewicza za zgodą rządu polskiego etykieta ta jeszcze mocniej doń przywarła i to o specjalnym zabarwieniu. Czy słusznie? Czas to pokaże⁷⁸.

⁷⁴ A. K[ałodk]a, *Franciszek Umiastowski*, Zwiążaj (Toronto) 1980 nr 3 (biał.).

⁷⁵ J. Barejka, *Franciszek Umiastowski, jeden z pionierów białoruskiego ruchu wyzwolenieckiego*, Zwiążaj (Toronto) 1986 nr 4.

⁷⁶ A. Bergman, *Rzecz o Bronisławie Taraszkiewiczu*. Warszawa 1977 s. 212, 215; tejsze, *Sprawy białoruskie w II Rzeczypospolitej*. Warszawa 1984 s. 162; L. Hass, *Wolnomularze polscy w kraju i na świecie 1821–1999. Słownik biograficzny*. Warszawa 1999 s. 498, 593.

⁷⁷ J. Mackiewicz, *Bulbin...*, s. 281, 290.

⁷⁸ A. Stepowicz, *Taraszkiewicz–Alechnowicz*, Przegląd Wileński 1933 nr 15/16 s. 8, 9.

Czas rzeczywiście pokazał i gdy podjął starania opublikowania wspomnień spotkał się z murem nieufności i niemożności:

Poszedłem do „Krynicy”. Rozkładają ręce. Miejsca brakuje. Pismo ma pełno materiałów. Może, we właściwym czasie, później [...] kiedyś może. Rozumiem — wspominał Franciszek Olechnowicz. — Redakcja polskiej gazety „Słowo” zaproponowała drukowanie u nich wspomnień. Godzę się. Piszę, piszę prawdę. Trzymam się zasady: nie zgęszczać farb⁷⁹.

Nie musiał tego robić. Prawda wystarczała. Franciszek Olechnowicz pisał wspomnienia po polsku i tłumaczył je na rosyjski dla wileńskiej rosyjskiej gazety „Nasze Wremia”, paryskiego „Wozsroźdienia” i charbińskiego „Nasz Put”. Przetłumaczył na białoruski i wydał za własne pieniądze w Wilnie. M. Tank w dzienniku zatytułowanym *Kartki z kalendarza* zapisał pod datą 2 stycznia 1936 r.:

Swatkowska policja rozpowszechnia wspomnienia F. Olechnowicza z Sołówek... Książkę wkrótce nasi zajadli palacze, nawet nie doczytawszy, zużyli na skręty⁸⁰.

M. Tank w wydaniu rosyjskim *Kartek* zamieścił przypis: „Ostrowski, Olechnowicz, nacjonałści białoruscy, współpracujący z defensywą (policją polityczną)”⁸¹.

A z kolei pewne ośrodki polskie, związane z defensywą czy też z II Oddziałem (wywiadem), podejmują próbę namówienia redaktora „Słowa”, by zaprzestał drukowania wspomnień, bo Olechnowicz jest agentem sowieckim⁸².

Gdy się ukazało *Siedem lat w szponach GPU*, autor dedykuje ją: „Serdecznemu przyjacielowi dr Adolfowi Narkiewiczowi”. Był on działaczem niezależnej Socjalistycznej Partii Pracy, kierownikiem, Wydziału Sanitarnego Rady Miejskiej Wilna. Podczas litewskiego okresu uczestniczył w polsko-litewskich spotkaniach u prof. M. Römera, w których obok Józefa Świącickiego z „Kuriera Wileńskiego”, uczestniczył R. Wenckowicz z „Gazety Codziennej” (Wenckowicz zastąpił Mackiewicza po odejściu ze stanowiska redaktora tej gazety⁸³). W 1941 r. A. Narkiewicz został aresztowany i wywieziony przez NKWD, zaginął bez wieści⁸⁴. Nie wiadomo, czy z Olechnowiczem nie wiążą go więzy rodzinne, gdyż — jak wiadomo — matka Olechnowicza była z domu Narkiewicz.

Olechnowicz wspominał: „Sam zajmowałem się kolportażem, książki. Rozdawałem po kilka egzemplarzy do księgarń wileńskich”⁸⁵. W tym miejscu dygresja. Pracowałem w księgarni J. Girszowskiego, znajdującej się przy ul. Zamkowej 13 (obecnie numeracja jest zmieniona) i zapamiętałem autora oraz przynoszone przez niego książki. Były wydane bardzo skromnie, na zgrzanym papierze i na jego prośbę wystawiano je w witrynie. Miały okładkę o barwie dowojennego szynelu aresztanckiego. „Zdobi ją podobizna auto-

⁷⁹ F. Olechnowicz (Alechnowicz), *U kapciurach GPU*. Minsk 1994 s. 230 (biał.). Mińskie wydanie książki jest najbardziej pełne w stosunku do pierwszej, wileńskiej wersji, wydanie to zostało wzbogacone o dodatkowe rozdziały.

⁸⁰ M. Tank, *Kartki z kalendarza*. Warszawa 1977 s. 75.

⁸¹ Tegoż, *Sobranije soczinienij*, t. 3. Moskwa 1986 s. 317.

⁸² F. Olechnowicz (Alechnowicz), *U kapciurach GPU*, s. 231. Olechnowicz pisze: „S. Mackiewicz, naczelny redaktor «Słowa» w swym gabinecie odbiera telefon... Mówi zastępca naczelnika II Oddziału, Sz. Co robicie? Dlaczego drukujecie tego Olechnowicza?... Mamy informacje, że jest on — agentem GPU”.

⁸³ M. Römer, *O stosunkach polsko-litewskich na początku 1940 r. Dziennik — Fragmenty, Może ostra połączy nas brama*, Wydanie bibliofilskie [b.m.] [b.r.].

⁸⁴ Tegoż, *Dziennik — Fragmenty*, [w:] Z. Solak, *Uzupełnienia...*, s.156.

⁸⁵ Z. Ponarski, *Franciszek Olechnowicz wydawca...*, s. 59; tegoż, *Wspomnienia z księgarskiego Wilna*, Księgarz 1937 nr 4 s. 68–71.

ra z rozwichrzoną [...] i kozuchu sowieckim z roku 1929. Tania cena (1.80) udostępnia jej nabycie”⁸⁶.

Wydanie białoruskie, będące przekładem z polskiego — jak pisał recenzent — naprawdę autoryzowane:

Autor wszędzie zaznacza swą narodowo bezkompromisową białoruskość, acz zgoła nie wypowiada się politycznie. Pamiętamy nędzny papier, bezbarwną okładkę, skromne czcionki oryginału [...] a dziś cieszymy się, że szata zewnętrzna przekładu białoruskiego jest zupełnie estetyczna⁸⁷.

O ukraińskim przekładzie wypowiedział się A. Sołoduch (właściwie ks. W. Tołoczko):

Wydawnictwo od siebie poprzedziło książki może najpełniejszym z istniejących a ciekawym życiorysem, gdzie można znaleźć bodaj całkowitą bibliografię jego urozmaiconej twórczości⁸⁸.

Warto zaznaczyć, że jego twórczość była przedmiotem zainteresowania współpracowników „Słowa” i poza J. Mackiewiczem śledził ją J. Wyszomirski⁸⁹.

Zdarzały się głosy krytyczne. A. Zahorska (Savitri) w poznańskiej „Kulturze” napisała artykuł, przedrukowany w „Kurierze Wileńskim”, pt. *Truizmy*. Oskarżyła Jankę Kupalę i mieszkającego wówczas w Wilnie, F. Olechnowicza, że oboje tworzyli „dramaty proletariackie”. Olechnowicz, były więzień sołowiecki, wykupiony przez rząd polski w sowietach, napisał: „Przegląd Wileński» — naprawdę może mieć urazę do p. Zahorskiej”⁹⁰. O ile się nie mylę, nieprzyjaźń między nimi datuje się z okresu mińskiego, kiedy Zahorska będąca w Mińsku cenzorem, nie dopuszczała na scenę dramatów Olechnowicza.

W sierpniu 1939 r. lwowskie „Sygnały” wydały numer specjalny, poświęcony sprawom białoruskim. Opublikowano artykuły znanych białoruskich działaczy kultury i publicystów: S. Hrynkowicza, A. Nowiny (A. Łuckiewicza), ks. Adama Stankiewicza, J. Stankiewicza. Franciszek Olechnowicz napisał obszerny szkic o białoruskim teatrze⁹¹.

Okoliczność, że znalazł się w tak szacownym gronie świadczy, że nie tylko był czynny na polu kultury, lecz także, iż traktowano go jako przedstawiciela białoruskiego życia publicznego.

Nie wiadomo, jak przed wojną układały się stosunki z Józefem Mackiewiczem, baczny obserwator życia mniejszości białoruskiej w Polsce. Znali się i spotykali w życiu codziennym, bywając w tych samych cukierniach i knajpkach, gdzie spotykali się ludzie związani ze światem kultury. Co prawda Rafał Mackiewicz (po 1939 r. Rapola Macknis) opisując kawiarniane spotkania, wiele napisał o rozmowach z Józefem Mackiewiczem w cukierni Rudnickiego i nic nie wspomniał o Olechnowiczu⁹².

⁸⁶ Przegląd Wileński 1935 nr 20 s. 8.

⁸⁷ Tamże 1938 nr 1 s. 7.

⁸⁸ Tamże 1935 nr 1 s. 7; Z. Ponarski, *Władysław Tałoczko — ostatni obywatel Ks. Litewskiego*, BZH 1997 nr 8.

⁸⁹ J. Wyszomirski, *Wilno w maju 1955*, [w:] Cz. Miłosz, *Wyprawa w dwudziestolecie*, Kraków 1999 s. 252 i nast.

⁹⁰ Przegląd Wileński 1937 nr 6. Artykuł H. B. (kryptonim Antoniego Łuckiewicza ze słów jego syna Leona); *Kurier Wileński* 1937 nr 158 (11 VI).

⁹¹ F. Olechnowicz, *U kolebki teatru białoruskiego*, *Sygnały* (Lwów) 1939 nr 75 (15 VIII); J. Putrament, *Maksim Tank i poezja białoruska*, tamże; W. Grodz, *Ani kroku dalej! — to za mało*, tamże (w artykule słowa: „Pokój może być uratowany”).

⁹² R. Mackonis, *Iš kavines i kavine* (Z kawiarni do kawiarni). Vilnius 1994 (lit.). Autor wspomina o rozmowach z J. Mackiewiczem, B. Wit-Święcickim, F. Ancewiczem, A. Herbaczewskim, B. Toporską.

Józef Mackiewicz i Franciszek Olechnowicz spotkali się po klęsce wrześniowej w Kownie. Mackiewicz jechał przez Wiłkomierz, gdzie u dyrektora polskiego banku pożyczzył niewielką kwotę na dalszą podróż⁹³. A Olechnowicz depeszował z Koszedar do M. Römera, błagając o przytułek⁹⁴. Niebawem ci dwaj uchodźcy spotkali się w Kownie, gdzie J. Mackiewicz i K. Zbyszewski poświadczili tożsamość Olechnowicza, który przybył bez żadnych dokumentów⁹⁵.

Jako redaktor „Gazety Codziennej” J. Mackiewicz był widoczny w życiu publicznym, a F. Olechnowicz unikał rozgłosu. Kiedy białoruska „Krynica”, wznowiona 17 listopada 1939 r., pisała o wywiezionych przez bolszewików Białorusinach z Wilna, o tych, którzy wyjechali do ZSRR i o tych, którzy pozostali w Wilnie, wymienia wśród tych ostatnich Monvida, a to jak wiadomo — prawie nie używany — pseudonim Olechnowicza. W „Krynicy” rzadko wspomniano jego nazwisko, tym razem pojawiło się przy okazji wystawienia utworu scenicznego *Na wioscy*, które odbyło się 3 lutego w gimnazjum białoruskim przy ul. Dominikańskiej 3/5⁹⁶.

„Gazeta Codzienna” pamiętała o problematyce białoruskiej. Zamieściła artykuł pt. *Prawda o ruchu białoruskim*, będący wywiadem z ks. Wincentym Godlewskim⁹⁷. Niemcy rozstrzelali go na Białorusi za działalność niepodległościową⁹⁸.

Na początku czerwca 1940 r., w przededniu nadchodzących wydarzeń, adwokat M. Szkelonek w konsulacie Niemiec w Kownie pozostawił spis osób, które zamierzały opuścić Wilno w przypadku przejścia Litwy przez ZSRR. Konsul zgodził się na wpuszczenie tych osób do Rzeszy. Jednak w tym wykazie Olechnowicz nie figurował. Kiedy z trójką Białorusinów, po tym jak na ulicach Wilna zobaczył czołgi sowieckie, przekroczył zieloną granicę do Niemiec, nie został wpuszczony. Po zamknięciu w więzieniu w Suwałkach, odesłano go z powrotem przez granicę. Po drodze do Wilna zatrzymali go chłopcy litewscy i zamierzali go przekazać bolszewikom. Uciekł od nich, początkowo ukrywał się w Wilnie, by pojechać do Olkienik, gdzie podjął pracę wartownika. „Nie ma w tym nic dziwnego, że pierwsze wybuchy bomb niemieckich, wydały mi się rajską muzyką” — napisał rok później⁹⁹.

W życiu Olechnowicza rozpoczął się trudny i pracowity okres życia. Zostaje redaktorem pisma „Biełaruski Hołas”, który ukazał się 1 marca 1942 r. Pismo miało się ukazać w październiku ubiegłego roku, ale wobec różnych przeszkód, podobno ze strony Litwinów i innych, wyszedł pół roku później¹⁰⁰.

⁹³ Z. Szczęsny Brzozowski, *Litwa-Wilno 1910–1945*. Warszawa 1989 s. 24.

⁹⁴ Z. Solak, *Uzupełnienia...*, s. 151.

⁹⁵ J. Mackiewicz, *Fakty...*, s. 104.

⁹⁶ „Krynica” 1939 nr 3 (24 XI) s. 3, Kronika białoruska: ze starszych zostali: Monvid, Uład-Inicki, Kaźlouscyk. Informacja o przedstawieniu: nr 8 z 30 I 1940 r.

⁹⁷ Gazeta Codzienna 1940 nr 20 (26 I); W „Krynicy” (1940 nr 8) ukazał się artykuł krytyczny o zamieszczonym w „Gazecie Codziennej” tekście *Prawda o ruchu białoruskim*: „polska prawda o ruchu białoruskim w «Gazecie Codziennej» jest nieciekawa, a w tym niemało winy informatora białoruskiego, a był nim ks. Godlewski. Wiadomo, że ks. W. Godlewski był przywódcą radykalnego «Białoruskiego Frontu», po 17 września 1939 uciekł do Prus Wschodnich, a po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej przybył do Wilna”.

⁹⁸ K. Jura, *Monsinjoras*. New York 1979 s. 217 (lit.). Ks. Z. Ignatavicius kapelan litewskich batalionów na Białorusi, w kwietniu 1943 przebywał w Mohylewie i wspominał, że przyszedł do niego ks. Godlewski w asyście dwóch gestapowców, aby się pożegnać przed wyjazdem do Niemiec, a następnego dnia po wizycie został rozstrzelony. Inna wersja jego śmierci w: J. Malecki, *Pad znakam Pahoni*. Toronto 1976 s. 94.

⁹⁹ F. Olechnowicz (Alachnowicz), *U kapciurach...*, s. 26.

¹⁰⁰ Centralne Archiwum Litwy, F.R.-641-apl.1, b.1: FR.-641 apl.1, b.4. Są to materiały pisma „Biełaruski Hołas”, kosztorys pisma, tłumaczenia białoruskich tekstów, przygotowane dla cenzury,

Jak podaje Józef Mackiewicz:

Boże! Skarżył się Olechnowicz — czego oni ode mnie chcą, ja nie byłem nigdy publicystą w czystym tego słowa znaczeniu. Ja jestem literatem...

Rozpalał się tylko, gdy pisał o bolszewikach, poza tym obchodził go teatr. Był niewątpliwym patriotą, kochał Białoruś naprawdę, starą uczciwą miłością romantyczną, którą wysłał z XIX w. Za jakiś głupi błąd korektorski Niemcy go aresztowali i przetrzymywali kilka dni w gestapo¹⁰¹.

Prof. Michał Römer utrzymywał z nim bliskie kontakty osobiste, bywał u niego w domu:

Miał on z tego powodu (wydawania białoruskiego pisma) duże kłopoty od dawnych swych przyjaciół osobistych — Polaków, czasem nawet doświadczał z tego powodu afrontów. [...] prasa białoruska dużo wypisuje przeciw Polsce i Polakom i nie raz boleśnie Polaków zaczepia. I jeśli Olechnowicz redaguje pismo białoruskie, to on nie może przecież przeciwstawić się narodowej linii białoruskiej, zwłaszcza teraz cała prasa jest zdyscyplinowana, a że linia polityczna jest w grze obecnej antypolska — to nie jest winą Olechnowicza. Z pewnością — dużo w tym kierunku wpływają Niemcy, dużo też w tym naszym poważnieniu polsko-litewsko-białoruskim jest namiętności i gry nerwów, ale sporo też jest winy samych Polaków sprzed wojny jeszcze¹⁰².

Można w tym miejscu powiedzieć — najmniej Józefa Mackiewicza, który dążył do zgody polsko-białoruskiej.

Działał w białoruskiej partii niepodległościowej, o której niewiele wiadomo. Powstała w lipcu 1942 r., a działalność rozpoczęła dopiero w 1944, już po jego śmierci. Miała niejasne powiązania i brak świadectwa o aktywności na Wileńszczyźnie¹⁰³. Dążył do porozumienia z Polakami i stąd z nimi rozmowy w październiku 1943 a następnie w okresie luty–kwiecień 1944 r. Wraz z innymi działaczami białoruskimi rozmawiał z przedstawicielami AK i demokratycznych ugrupowań polskich.

Jego odmienną postawę w ruchu białoruskim podkreślił delegat rządu na okręg wileński, pisząc w sprawozdaniu z kwietnia 1944 r.:

„Białaruski Hołas” reprezentuje odłam Białorusinów katolików i drukowany jest literami łacińskimi [...]. Białorusinom katolikom odmawiają Białorusini prawosławni prawa nazywania się katolikami i uważają ich za Polaków¹⁰⁴.

Podobnie jak Waław Iwanowski i Władysław Kozłowski był na liście osób, przewidzianych do likwidacji w pierwszej kolejności.

Jak został zamordowany dokładnie opisał Józef Mackiewicz w szkicu *Egzekucja*. Trzeci marca 1944 r.:

[...] ktoś zastukał przed ósmą do drzwi jego mieszkania, które wychodziły na partelową sień domu, nie oświetloną [...] zabójca oddał dwa strzały z automatycznego pistoletu i z mieszkania wycofał się tyłem [...]. Wszystko było przewidziane, skalkulowane, obli-

niektóre opublikowane artykuły Olechnowicza, informacja o pracy Białoruskiego Komitetu Narodowego (Gedymino 4 m 11) o Białoruskiej Narodowo-Socjalistycznej Partii, powstałej w 1933 i zamkniętej przez władze polskie przed wojną oraz pieśni i nuty, niektóre przełożone na niemiecki.

¹⁰¹ J. Mackiewicz, *Fakty...*, s. 106.

¹⁰² Z. Solak, *Uzupełnienia...*, s. 152.

¹⁰³ *Encyklopedija Gistori Belarusi, t.1*. Minsk 1993 s. 225 (biał.); J. Turonek, *Białoruś pod okupacją niemiecką*. Warszawa 1989 s. 115; tegoż, *Waław Iwanowski i odrodzenie Białorusi*. Warszawa 1992 s. 121; S. Jersz, *Pierwszy szturmowy zwjaz*, Niwa (Białystok) 1996 nr 42 (biał.).

¹⁰⁴ L. Tomaszewski, *Kronika wileńska 1939–1941*, s. 143; tegoż, *Kronika wileńska 1941–1945*. Warszawa 1992 s. 79–82, 225.

czone. Godzina ósma, to godzina policyjna wówczas, ciemność bezksiężycowa. Ciasna uliczka, klony, wystraszone, zdziczałe miasto — pisał Józef Mackiewicz. — Trzasnął drzwiami i wszelki ślad po nim zaginął¹⁰⁵.

Ślad nie zaginął i odnalazł się w Moskwie w raporcie Litewskiego Sztabu Partyzanckiego, że partyzanci zabili w Wilnie, redaktora F. Olechnowicza. W przypisku informacja: „Niniejszą akcję przeprowadziła w Wilnie trójka dywersyjna kierowana przez J. Simanaviciusa (Petraitisa)”. Szefem trójki był podoficer litewski, jeden z przywódców puczu zwanego puczem podoficerów sierpnia 1937 r. Skazany na dziesięć lat więzienia, w 1937 r. ułaskawiony. Zamieszkał w Kownie a później w Wilnie, gdzie związał się z komunistami. W 1942 r. uruchomił w mieszkaniu partyjną drukarnię. W 1943 r. został dowódcą sowieckiej partyzantki¹⁰⁶.

Michał Römer otrzymał 8 marca 1944 r. depezę z Wilna wysłaną przez lekarza pułkownika Usasa, donoszącą o jego śmierci. Zwrócił się do niego, jako krewnego Olechnowicza, o podanie okoliczności zabójstwa. Jego relacja, na podstawie różnych źródeł jest identyczna jak u Mackiewicza. Przedstawiając opuszczenie mieszkania przez zabójcę, napisał: „morderca potrząsnął rewolwerem, grożąc jej [żonie] i nakazując milczenie, po czym wyszedł spokojnie za drzwi, które zamknął za sobą na zatrask”¹⁰⁷.

W przedmowie do powieści *Nie trzeba głośno mówić*, autor napisał: „Zastosowałem metodę wprowadzenia postaci powieściowych w bezpośrednie zetknięcie się z autentycznymi ludźmi działającymi w tym czasie”. Słuszny jest pogląd, że aby odtworzyć życie niektórych bohaterów książki, trzeba sięgać było do wileńskich archiwów i odszukać w działach archiwów specjalnych prawdziwe życiorysy przyjaciół i bohaterów Józefa Mackiewicza, po których często nie zostało nic, nawet mogiły, bo zginęli śmiercią gwałtowną¹⁰⁸.

Franciszek Brzozowicz-Olechnowicz zginął śmiercią gwałtowną, lecz udało się przedstawić, w sposób możliwie pełny jego życie. Dziś można stwierdzić, że J. Mackiewicz przedstawił go bez retuszu i nie rozminął się z prawdą historyczną, gdy pisał o białoruskim dramaturgu, który był postacią tragiczną. „Nie słyszałem jednak, aby niewielka rozmiarami i tania książeczka, zdobyła należne powodzenie” — napisał wielki filozof Marian Zdziechowski¹⁰⁹.

Dzięki Józefowi Mackiewiczowi poznamy zapomniane, *Siedem lat w szponach GPU*, przypomniany został obywatel d. W. Ks. Litewskiego.

ARMIJA KRAJOVA LIETUVOJE

Pod takim tytułem ukazała się na Litwie książka, która wywołała wiele kontrowersji¹¹⁰. Zawierała jako podsumowanie artykuł Kazimierza Garsvy *Działalność Armii Krajowej w Litwie*. Autor artykułu nie ukrywa w nim swojej nieprzyjaźni wobec działającej na Litwie Armii Krajowej. Garsva pisał, że AK dokonywała na ziemiach niepolskich pod względem historycznym i etnicznym czystki, aby zmniejszyć liczbę Litwinów i innych niepolskich narodowości w celu odrodzenia Rzeczypospolitej w granicach z 1939 r.

¹⁰⁵ J. Mackiewicz, *Fakty...*, s. 106.

¹⁰⁶ *Lietuvos liaudis džiaujame tevynes kare* (Naród Litwy w wielkiej wojnie narodowej), Vilnius 1992 s. 274 (lit.). Biogram w litewskich sowieckich encyklopediach.

¹⁰⁷ Z. Solak, *Uzupełnienia...*, s. 158.

¹⁰⁸ S. Andruszkiewicz, *Zwycięstwo prowokacji?*, Czas (Wilno) 2001 nr 91.

¹⁰⁹ M. Zdziechowski, *W obliczu końca*. [Wyd. II]. Wilno 1938 s. 84.

¹¹⁰ *Armija Krajoja Lietuvoje*, przew. kol. red. K. Garsva. Vilnius-Kaunas 1995 (lit.).

Największą „winą” była narodowość litewska, jej język ojczysty i miłość do swego kraju. Dlatego też pustoszoano szkoły litewskie, mordowano nauczycieli, księży...¹¹¹.

Swój artykuł autor zakończył apelem:

Wedle powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i zgodnie z prawem państwa, przestępstwa takie nie powinny być tolerowane. Państwowe instytucje Republiki Litewskiej musząc ocenić przestępstwa dokonane przez zgraje na jej terytorium i nadal zabraniać działalność AK oraz jej propagowanie (stawianie jej pomników, nielegalne zakładanie klubów AK itd.)¹¹².

Nie zamierzam polemizować z tymi wypowiedziami, które były już przedmiotem ostrej krytyki historyków i różnych środowisk w kraju¹¹³. Jeśli o niej wspomniałem, to dlatego, że w części drugiej, która się ukazała cztery lata później, znajduje się materiał, który nas interesuje. Nie będę przedstawiać treści wspomnianej części, zawiera ona bowiem artykuły litewskich historyków oraz przedruki polskich publikacji, przełożonych na język litewski i zaopatrzonych stosownym komentarzem dalekim od obiektywizmu¹¹⁴. Oprócz artykułów, w książce są dokumenty podziemia litewskiego i polskiego, okupacyjnej władzy niemieckiej oraz samorządów i policji litewskiej. A wśród ujawnionych polskich dokumentów: „spis osób podejrzanych przez Armię Krajową 1943 r.” (s. 214–258).

W rozdziale o pracy wileńskiego okręgowego Biura Informacji i Propagandy, jak podaje A. Bubnys, istniała komórka „N”, zajmująca się m.in. zjawiskami „obserwacji zmiany narodowości przez (pewne) osoby; działalności Polaków na szkodę państwa polskiego”¹¹⁵. Ponadto w łonie BIP była komórka „L” (antylitewska)¹¹⁶.

Wileńskie BIP opracowało specjalną instrukcję *Środki i metody pracy dywersyjnej*, która przewidywała także rejestrację Litwinów o nastawieniu antypolskim. W tym celu prowadzono wywiad i ścisłą imienną rejestrację osób podejrzanych o działalność na szkodę Polaków. Notowano także fakty ze sprawozdań więziennych, policyjnych, obozowych prowadzono stosowną kartotekę¹¹⁷.

Wspomniana lista, zawierająca 750 nazwisk, znaleziona została podczas remontu kościoła oo. bernardynów, 18 lutego 1995 r. Dokumenty pochodziły z Biura Informacji i Propagandy Okręgu Wileńskiego AK i były „sporządzone przeważnie w drugiej połowie 1943 i w pierwszym półroczu 1944 r.”¹¹⁸.

Autor rozdziału *Oni powiadali: Kończy się mīt suwerenności Litwy*, J. Drigellis, poseł ówczesnego sejmiku litewskiego, twierdzi:

To wykaz osób podejrzanych. Takie określenie być może jest zbyt łagodne, ponieważ, np. pod numerem 719 w tym dokumencie wpisany jest (Hort) Wulff, Komisarz okręgu wileńskiego, przy nazwisku, którego w rubryce „powód wciągu” (przyczyna wpisania) napisano — „osobiście rozstrzeliwał chłopów”.

W tej rubryce spisu, przy wielu nazwiskach są adnotacje, że jest agentem Gestapo lub NKWD.

¹¹¹ Tamże, s. 134.

¹¹² Tamże, s. 136.

¹¹³ R. Korab-Żebryk, *Biała Księga w obronie Armii Krajowej na Wileńszczyźnie*. Lublin 1991.

¹¹⁴ *Armija Krajova Lietuvoje*, cz. 2 (dalej: AK II), przew. kol. red. K. Garsva. Vilnius-Kaunas 1999 (lit.); M. Narrbut, *Atak na AK*, Wileńskie Słowo 1995 nr 20 (19–25 V).

¹¹⁵ AK II, s. 8.

¹¹⁶ G. Mazur, *Biuro Informacji i Propagandy SZP-ZWZ-AK 1939–1945*. Warszawa 1987 s. 231.

¹¹⁷ AK II, s. 193.

¹¹⁸ Tamże, s. 62.

Sporządzaniem tego rodzaju wykazu osób, którymi zajmują się (organa) bezpieczeństwa, trudnią się odpowiedni funkcjonariusze — napisał Drigellis. — Wśród wpisanych 750 osób, tylko 160 znalazło się, gdyż „zmienili narodowość”. Z nich 109 na litewską, 15 białoruską, 2 rosyjską, 1 niemiecką, 1 ukraińską (w stosunku do 31 osób nie wskazano na jaką — w większości z Niemenczyna)¹¹⁹.

Jak podaje Drigellis, do zmiany narodowości mogło dojść, gdyż niektórzy

podczas okupacji polskiej mogli być zapisani Polakami, jak często bywało. W październiku 1939 r. gdy kraj powrócił do Litwy, wiele osób otrzymując nowe dokumenty i jednocześnie zmieniając obywatelstwo, prostowało zapisy o narodowości. Nie mogli sądzić, że znajdują się w tym samym wykazie, razem z agentami Gestapo i NKWD.

Listę opublikowano niepełną z pominięciem niektórych nazwisk. Opuszczono nazwiska zaznaczone nawiasem z dwukropkiem — (..) — ponieważ wraz z listą opublikowano faksymile pierwszej strony oryginału.

Lista zawiera następujące rubryki: nazwisko i imię, wiek, adres, zawód dawny, zawód obecny, powód wciągu. Przeglądając listę należy stwierdzić, że ją prowadzono niestarannie, zawiera bowiem wiele luk. Najczęściej nie podawano wieku, dawnego i aktualnego zajęcia, niekiedy brakowało imion, a adresy były często niedokładne i niekiedy pominięte. Zawsze zamieszczano powód wciągu, czyli przyczynę wpisania na listę. Przyczyny były różne, niekiedy niejasne.

Na podstawie faksymile można ustalić, kogo pominięto z pierwszej strony listy. Publikacja rozpoczęła się od trzeciego nazwiska. Pod numerem 1 wpisano: Abczyński, b[ły] podof[icer] P[olicji] P[aństwowej]. „Został Volksdeutschem będąc inter[nowany] na Litwie”. Nie jest podane imię, wiek, adres, zawód obecny. A jako nr 2 widnieje Abramowicz Sz., robot[nik] browaru Szopen: „Agitator bolszewicki”¹²⁰.

Nie wiadomo z jakiego powodu zostali pominięci przy opublikowaniu listy 750 osób. Z pierwszej strony pominięto też nazwiska osób od numeru 7 do 13 włącznie i umieszczone pod numerami 15 i 16. Przytoczę te nazwiska, bo uzupełniają opublikowany tekst i mogą świadczyć, że pominięcie nazwisk było nieprzemyślanym krokiem autorów publikacji o Armii Krajowej. Zwłaszcza, iż pominięte nazwiska pojawiają się niekiedy na stronicach książki. Są to:

7. Anforowicz Adam, ul. Belmont d[om] własny. Plut[onowy] S (sic!) pp Leg. Za bolsze[wików] pisywał art[ykuły] do gazet b[ardzo] nieprzychylnie o armii pols[kiej];
8. Ankiewicz Franciszek Niemenczyn, ściśle współprac[ował] z Niemcami;
9. Apanas Jan, wieś Dusinięty. Członek komsom[ołu];
- 10, 11. Apanas Jan i Apanasówna Olga, Miejscowość i zarzuty jak w poz. 9;
12. Arciszewski, Radumino, członek komsomołu;
13. Arciszewski M.-gm. Rudomińska, Sekretarz komsom[ołu];
15. Arciszewski Julian, kol. Rudomino, komunista, brał udział w wywoz[eniu];
16. Artamówna Nina, l[at] 22/ Czł[onek] komso[mołu] ob[ecnie] obcuje z Niemcami¹²¹.

Przeglądając listę stwierdzić należy, że w ponad 35 przypadkach są na niej mieszkańcy Rudziszek i okolic, przeważnie kolejarze różnych specjalności. Prawie wszystkim stawia się zarzut zmiany narodowości, często na białoruską, a niekiedy nie wiadomo na jaką. Często brakuje imion, wieku i innych danych, które były przewidziane dla dokonania „wciągu”. Można domniemywać, że jakiś były kolejarz z Rudziszek, z powodów osobistych lub

¹¹⁹ Tamże, s. 70, 71.

¹²⁰ Tamże, s. 71.

¹²¹ Tamże, s. 217.

charakteropatycznych pisywał na sąsiadów bądź znajomych donosy. Pewną rolę odgrywać mogły tu konflikty narodowościowe i wyznaniowe, które warto odnotować.

Na liście spotykamy trzech mieszkańców Czarnego Boru. Jako 329 jest zapisany Teodor Krzysztofowicz, były Pracownik Dyrekcji Kolejowej, za to, iż: „głosi publicznie propagandę niemiecką”. A pod numerem 372 z literą „a”, Józef Mackiewicz, który: „podał się za Litwina, w czasie okup[acji] niem[ieckiej] za Volksdeutscha”¹²². Trzecim z Juodsiliai (Czarnego Boru) był wpisany nr 489: „Romejko Mikołaj (Romeika). Juodsiliai, podał się za Litwina”.

Tylko dwukrotnie kogoś wniesiono na listę z dodaniem litery „a”. Tak się stało w przypadku Józefa Mackiewicza, wpisanego po numerze 373, a więc nie kolejno. Drugą wpisaną osobą z literą „a” była wpisana po Mackiewiczu, jako 373 „a”. „Makucewicz Eudokia, lat 40, zam. Krzywe Koło 24-3, wpisana na listę, bo zmieniła narodowość na rosyjską i chwaliła Niemców. Nie wiadomo dlaczego Mackiewicz i ona byli dodatkowo wpisani, on jako „Volksdeutsch”, zaś Makucewicz Eudokia za pochwałę Niemców. A w ogóle powody wciągu były dziwne. Malczyk (imienia nie podano) mieszkający przy ul. Gudu 2 (dawniej Słowiańska), oficer rezerwy, nauczyciel, został zapisany na listę, gdyż: „wykazał się, posyłając dzieci do białoruskiego gimnazjum” (poz. 390). Natomiast Antoni Łoś, mieszkający na Zwierzyńcu, we własnym domu, absolwent gimnazjum Zygmunta Augusta, był wpisany pod numerem 372 za to, że zmienił narodowość na nie wiadomo jaką i że wyjechał do Berlina, do legionu ochotników.

Alina Smigielska, lekarz (innych danych brak), wpisana została za to, iż „przyjmowała litewskich obywateli”, prawdopodobnie jako lekarz. A Jerzy Smigielski, adiunkt kliniki USB został wpisany, gdyż: „w 1943 r. dezerterował do Wilna”. Jeśli w przypadku Smigielskiej można się domyśleć, o co chodzi, to w przypadku Smigielskiego trudno domniemywać, skąd w roku 1943 mógł dezerterować. Wiadomo, że 15 grudnia 1939 r. podpisał uroczysty protest przeciwko likwidacji Uniwersytetu Stefana Batorego, jako starszy asystent kliniki wewnętrznej¹²³.

Ciekawy jest przypadek Kazimierza Snieżko, mieszkającego przy ul. Dzuku (Szkalpernej) d. 26-6. Podano: „przed 1920 r. służył w armii litewskiej”, a później: „Po 1920 r., był Polakiem, obecnie znowu jest Litwinem”.

Stanisława Romanowskiego, rolnika z podwileńskiej Wsi Sorok Tatarów, i jeszcze jedną osobę zamieszczono na liście za drwiny z Prezydenta Polski. Był też przypadek, że kogoś wciągnięto na listę za to, że „przyjął obywatelstwo Litwy”. Tym wpisanym pod nr 649 był Józef Tomaszewski, konduktor z Landarowa.

W stosunku do pań, artystki Marii Żejmówny (poz. 738) oraz żony generała Szyszko-Bohusza (poz. 632) padły zarzuty natury obyczajowej¹²⁴.

Jest wielu Litwinów wpisanych na listę, niektórzy jako polakożercy, inni jako agenci Gestapo, a wśród nich wysocy urzędnicy w Wilnie. Jako 22 figuruje: Babrawiczius, lat 30, zam. Mindaugo (Juliusza Słowackiego) zastępca naczelnika Gestapo. Nie podano żadnego powodu wciągu. Z kolei jako 442, Litwin Palewicz, Mętna róg Ogórkowa, wiceburmistrz: „wykazał się szkodliwą działalnością”. Leonard Palewicz był wilnianinem, absolwentem gimnazjum litewskiego w Wilnie. Uczestniczył w obronie Warszawy i po

¹²² Tamże, s.72, 73, 237.

¹²³ P. Łossowski, *Likwidacja Uniwersytetu Stefana Batorego przez władze litewskie w grudniu 1939 roku*. Warszawa 1991 s. 55.

¹²⁴ Tegoż, *Litwa a sprawy polskie 1939–1940*. Warszawa 1982 s. 240; Maria Żejmówna występowała w teatryku rewiowym z doskonałą obsadą aktorską (L. Sempoliński, K. Brusikiewicz, I. Śmiałowski i in.).

powrocie do Wilna organizował litewską milicję, która miała przygotować przejęcie miasta od Sowietów¹²⁵.

Zupełną bezpodstawność postawionych niektórym zarzutów można wykazać na podstawie trzech konkretnych przykładów. Pozwoli to bardziej zrozumieć, że tak samo jak można było napisać, że Stanisław Darzynkiewicz zmienił narodowość na litewską, Bolesław Grabiński stał się Białorusinem a Rafał Jachimowicz Litwinem, w podobny sposób Józef Mackiewicz został Litwinem i volksdeutschem.

Pod pozycją 114 znajduje się Stanisław Darzynkiewicz, lat 53, były właściciel księgarni przy Dominikańskiej, z adnotacją: „zmienił narodowość na litewską”.

Na moją prośbę, Bolesław Żynda, zasłużony księgarz wileński w latach 60. przysłał mi wykaz księgarń wileńskich na 1 września 1939 r. i w nim na pozycji 2.: „Dorzynkiewicz Stanisław — Antykwariat ul. Dominikańska 12”¹²⁶. W publikacji *Pierwsze ćwierćwiecze mojej pracy* (Poznań-Wilno, 1920–1945) B. Żynda napisał:

Dość żywy Antykwariat St. Dorzynkiewicza przy Dominikańskiej 14 wydawał w nieregularnych odstępach czasu katalogi, tzw. „Kurierek Bibliofilski”, zazwyczaj z przedmową bibliofilów lub znawców przedmiotu. To w końcu „Przegląd Księgarski” z 10 maja 1939 r. wymienił wpłacających na „Pożyczkę obrony przeciwlotniczej”, na którą S. Dorzynkiewicz wniósł stosowną kwotę (nr 13 z 1939 r.).

Przygotowując się do pisania wspomnień z księgarskiego Wilna, wiele rozmawiałem w latach powojennych z B. Żyndą, który przez cały okres wojny prowadził księgarnię św. Wojciecha przy ul. Dominikańskiej nr 4. Wspominał o wielu księgarzach wileńskich, z którymi związany był zawodowo i społecznie¹²⁷. Był członkiem AK i w jego księgarni przekazywane były zasiłki dla działaczy kultury¹²⁸.

Nigdy nie wspomniał, by Dorzynkiewicz stał się Litwinem, gdyby tak było, na pewno by o tym powiedział. I dlatego uznać należy, że osobnik wpisany pod pozycją 114 nie zmienił swej narodowości na litewską. Nigdy by nie napisał jego biogramu w *Słowniku Pracowników Książki Polskiej*, gdyby przestał być Polakiem.

Lista 750. potępia Rafała Jachimowica, rzeźbiarza, za to, że zmienił narodowość na litewską. On niczego nie musiał zmieniać, był zawsze wileńskim Litwinem. Świadczy o tym jego mistrz, Ferdynand Ruszczyc w *Dzienniku*, w licznych zapisach¹²⁹. Potwierdza to inny Litwin, zawsze związany z Wilnem, przypominając, że

nie pił, nie palił, lecz wiecznie ubogi — zimą czy latem karmił ptaszki w Bernardyńskim ogródku, a wieczorami śpiący w studium rzeźby [...] (litewskiemu) kościołowi św. Mikołaja wykonał biust Witolda Wielkiego¹³⁰.

¹²⁵ B. Makowski, *Litwini w Polsce 1920–1939*. Warszawa 1986 s. 153, 154; J. Cicenias, *Vilnius tarp audru* (Wilno między burzami). Vilnius 1993 s. 234 (lit.).

¹²⁶ B. Żynda, „Materiały do dziejów księgarstwa wileńskiego z czasów II wojny światowej 1939–1945. Z notatek i pamięci”. Maszynopis (w zbiorach własnych); tegoż, „Spis księgarni wileńskich (stan I IX 1939)”. Rękopis (w zbiorach własnych); tegoż, *Dorzynkiewicz Stanisław*, [w:] *Słownik pracowników książki polskiej. Suplement*. Warszawa 1986 s. 47.

¹²⁷ Z. Ponarski, *Wspomnienia z księgarskiego Wilna*, s. 68–71; tegoż, *Bolesław Żynda, zasłużony księgarz wileński*, Wileńskie Rozmaitości 1998 nr 45 s. 8–9; tegoż, cykl artykułów o B. Żyndzie w: *Nowy Kurier* (Toronto) 2000.

¹²⁸ L. Tomaszewski, *Kronika wileńska 1939–1941*, s. 199; Z. Szczęsny Brzozowski, *Litwa-Wilno, 1919–1945*, s. 102.

¹²⁹ F. Ruszczyc, *Dziennik, cz. 2: W Wilnie: 1919–1932*. Warszawa 1996 s. 181, 356, 388, 622–624 i nast.

¹³⁰ J. Cicenias, *Vilnius tarp audru*, s. 298.

Chyba wystarczy dowodów, że nie zmienił narodowości. I wreszcie Bolesław Grabiński, lekarz dentysta, zamieszkały przy ul. Portowej 5 m 6, miał zmienić swą narodowość na białoruską (poz. 171). O tym, że był Białorusinem napisał autor *Kroniki Wileńskiej*, Longin Tomaszewski:

od lutego do kwietnia 1944 prowadzone były rozmowy zainicjowane przez WKD. Stronie polskiej przewodniczył „Irwid”-Dobrzański, zaś partnerem był Białoruski Komitet Narodowy z prezesem Bolesławem Grabińskim (lekarzem), wiceprezesem Franciszkiem Olechnowiczem (literatem). Parę razy w spotkaniach uczestniczył komendant „Wilk”¹³¹.

Przywołam na tę okoliczność źródła białoruskie, z których wynika, że był aresztowany jako zakładnik po zabójstwie Padaby we wrześniu 1943 r. Wówczas 10 Polaków zamordowano, on zaś trafił do obozu w Prowianiszkach, skąd Białorusini go wydobyli¹³². Jak widać rzetelność listy budzi szereg wątpliwości.

Osobne miejsce chciałbym poświęcić problemowi umieszczenia na liście nazwisk osób skazanych przez sądy specjalne¹³³. Do takich osób należeli Juliusz Glatman, były dyrektor elektrowni wileńskiej, wpisany pod pozycją 165, prof. Jan Dembowski (poz. 117), Andrzej Dimitrij, b. Asystent USC i radca prawny Izby Przemysłowo-Handlowej w Wilnie (poz. 127), Aleksander Dubicki, były nauczyciel gimnazjalny (poz. 136), Rudolf Nowowiejski, nauczyciel gimnazjum A. Mickiewicza w Wilnie (poz. 426). Jednak ich nazwiska nie znalazły się na opublikowanej liście, lecz zostały podane przez jednego z autorów¹³⁴.

Na liście nie pominięto nazwiska Danuty Wyleżyńskiej w stosunku, do której wyrok sądu był wykonany (poz. 719). O tym, że znajdowała się wśród tych 750. osób napisał także Drigelis¹³⁵.

Ze wszystkich osób skazanych przez sądy specjalne i umieszczonych na liście, zostało tylko opublikowane nazwisko Józefa Mackiewicza. Może dlatego, że jest najbardziej znaną osobą. Ale powody „wciągu” są całkowicie sprzeczne z tym, co mu zarzucała „Niepodległość”. Przytoczę fragment dotyczący jego osoby:

za czasów smetonowskich serdeczny przyjaciel litewskich okupantów i z ich poduszczenia ideolog lokajskiego ruchu prolitewskiego oraz główny filar „Gazety Codziennej”, będącej na usługach i żoździe szowinistów litewskich¹³⁶.

L. Krawiec, wymieniając skazanych przez sądy specjalne, dzieli ich na dwie grupy. W jednej: Ancerowicz i Józef Mackiewicz, a w drugiej: volks. Dangel, volks. Glatman i volks. Rudolf Nowowiejski¹³⁷. Wyraźnie zaznaczył, że Józef Mackiewicz nie był volksdeutschem. Tego określenia nie używa „Niepodległość”.

W tej sytuacji umieszczenie Józefa Mackiewicza jako volksdeutscha nie jest zrozumiałe, podobnie, że zmienił narodowość na litewską.

Zasady umieszczania na liście kolejnych nazwisk uwarunkowane były wieloma czynnikami. Znaczną rolę odgrywały tu z pewnością konflikty społeczne, narodowo-

¹³¹ L. Tomaszewski, *Kronika Wileńska 1941–1945*, s. 82.

¹³² J. Malecki, *Pod znakami Pahoni*. Toronto 1976 s. 55, 60, 62 i nast.; R. Żuk-Hryszkiewicz, *Życie Wincenta Żuk-Hryszkiewicza*. Toronto 1993 s. 115, 749. Informacje o wyroku na dziesięciu Polakach zamieścił 10 X 1943 r. „Goniec Codzienny” (nr 666).

¹³³ [W. Bolecki] J. Malewski, *Ptasznik...*, s. 142.

¹³⁴ AK II, s. 73.

¹³⁵ Tamże.

¹³⁶ *Pod pręgierzem*. Londyn [b.r.] s. 32; L. Gondek, *Polska karząca 1939–1945*. Warszawa 1988 s. 118.

¹³⁷ [W. Bolecki] J. Malewski, *Ptasznik...*, s. 130.

ściowe i wyznaniowe. Reprezentatywnym przykładem w badaniach nad tą kwestią może być gmina Rudziszki, z której procentowo najwięcej osób zostało umieszczonych na liście. Miasteczko Rudziszki w 1931 r. liczyło 1500 mieszkańców, z których wielu było związanych z koleją. Litwini uważali, że większość mieszkańców gminy to ich rodacy, którym umożliwiano nabożeństwa w ojczystym języku. Podobno w 1942 r. podczas spisu ludności, większość z nich przyjęła narodowość litewską¹³⁸, ale kiedy w latach 1944–1948 doszło do repatriacji do Polski, znowu prawie wszyscy byli Polakami¹³⁹. Dlatego nie dziwi wciągnięcie aż 35 osób z Rudziszek na listę 750.

Józef Mackiewicz jeszcze przed wojną napisał:

Nie będziemy się wdawać w dociekania etnologiczne. [...] Białoruszczyzna wypiera ze wsi język litewski. [...] wchłania z reguły język polskich osadników [...]¹⁴⁰.

[...] jak łatwo na tle wiecznych utyskiwań wytwarza się nastrój zgryźliwości, podejrzania i wzajemnych sąsiedzkich niechęci — napisał. — To grunt łatwo zapalny. Naród łatwo tu urazy nie zapomina¹⁴¹.

Pisząc o źródłach fermentu na prowincji, J. Mackiewicz stwierdzał:

[...] dochodzi do zajść antyżydowskich — wtedy się mówi: to robota endeków. We wsiach krążą gawędy o dzieleniu ziemi — wtedy się mówi: to robota komunistów. A mnie się zdaje, że winy nie ponoszą ani endecy, ani komuniści¹⁴².

Takie niewątpliwie motywy kierowały w znacznej mierze dokonującymi wpisów na listę 750.

Przygotował do druku Krzysztof Pstrong (Bydgoszcz)

¹³⁸ *Lietaviu enciklopedija*, t. 26. Boston 1961 s. 65. W 1911 r. w parafii Rudziszki był konflikt kościelny związany z językiem nabożeństw. W 1923 r. władze polskie aresztowały księdza Litwina, który przebywał rok w więzieniu. Podczas II wojny światowej batalion litewskich żołnierzy powstał przeciwko Rosjanom.

¹³⁹ *Lietuvos Rytai* (Wschód Litwy). Vilnius 1993 s. 288, 289 (lit.).

¹⁴⁰ J. Mackiewicz, *Bulbin...*, s. 337.

¹⁴¹ Tamże, s. 356.

¹⁴² Tamże, s. 409.

JÓZEF MACKIEWICZ W JURY NAGRODY „WIADOMOŚCI”

Stefania KOSSOWSKA (Wielka Brytania)

Moje spotkania z Józefem Mackiewiczem były ściśle wyznaczone czasem i do dzisiaj mogę dokładnie powiedzieć jaki to był rok, jaki miesiąc, jaki dzień, gdyśmy się widzieli¹. Nie jest to zasługą mojej pamięci, tylko zapisu w książce, poświęconej dorocznej nagrodzie literackiej londyńskich „Wiadomości” pt. *Od Herberta do Herberta*.

Mackiewicz należał do jury tej nagrody, która nawiązywała do przedwojennej warszawskiej nagrody „Wiadomości Literackich”, przyznawanej przez grono najwybitniejszych współczesnych pisarzy nazywane wtedy Akademią Niezależnych w odróżnieniu od oficjalnej Akademii Literatury.

W Londynie pod koniec lat 50. prof. Ignacy Wieniewski zasugerował by stworzyć na emigracji podobną instytucję. Redaktor Grydzewski z entuzjazmem przyjął ten pomysł i ogłosił w „Wiadomościach” ankietę, zadając czytelnikom pytanie: „Kogo wybraliby do emigracyjnej akademii literatury polskiej, gdyby taka akademii powstała...?”².

Odpowiedzi płynęły z paru kontynentów i w wyniku głosowania, 15 pisarzy emigracyjnych, którzy otrzymali największą ilość głosów — wśród nich Józef Mackiewicz — stworzyło jury, później żartobliwie nazywane nieraz „Akademią Grydzewskiego”³. Pierwsze zebranie odbyło się 5 grudnia 1959 i przyznało nagrodę Markowi Hłasce za *Cmentarze* wydane w 1958 r.⁴

¹ O relacjach Kossowska – Mackiewicz pisze W. Lewandowski w artykule *O romansie, którego nie było: Józef Mackiewicz – Stefania Kossowska*, [w:] *Życie literackie drugiej emigracji niepodległościowej (I)*, red. J. Kryszak, R. Moczko. Toruń 2001 s. 187–199; zob. też: tegoż na temat relacji Grydzewski – Mackiewicz, „*Głęboki szacunek*” i „*Grydzewskie poprawki*”: *Józef Mackiewicz i Redaktor „Wiadomości”*, [w:] „*Wiadomości*” i okolice. *Szkice i wspomnienia*, t. I, red. i oprac. M. A. Supruniuk. Toruń 1995 s. 85–103 — red.

² *Wiadomości* 1959 nr 20 s. 1.

³ *Rozstrzygnięcie plebiscytu czytelników „Wiadomości”: Kogo wybralibyśmy do złożonej z 15 pisarzy emigracyjnej akademii literatury polskiej gdyby taka akademii powstała?*, *Wiadomości* 1959 nr 41 s. 1.

⁴ Daty w tekście oznaczają rok zebrania jury, które przyznawało nagrodę za książkę wydaną w roku poprzednim.

Z 15 członków pierwszego jury sześciu mieszkało poza Anglią, w Stanach Zjednoczonych i w Europie i trzech z nich prawie zawsze przyjeżdżali na doroczne zebranie — Mackiewicz i Tadeusz Nowakowski z Monachium i Józef Łobodowski z Madrytu.

Przez 32 lata trwania nagrody zmieniał się skład jury, gdyż po śmierci któregoś z członków, pozostali wybierali jego następcę. W ten sposób ja zostałam wybrana do jury w 1973 r. I tak rozpoczęły się moje doroczne spotkania z Mackiewiczem.

Po przyjeździe do Londynu przychodził na drugi dzień do „Wiadomości”, które wtedy redagowałam, zawsze w ciemnym „wizytowym” ubraniu, chmurny, ale szarmancko z paroma kwiatkami w ręku. Dzięki tym wizytom i swobodnym rozmowom na byle jaki temat, nasza znajomość nabrała tonu pewnej zażyłości.

Parę tygodni przed każdym zebraniem „Wiadomości” podawały spis książek wysuniętych do nagrody i członkowie jury uzasadniali w czasie obrad swoje kandydatury, bronili je w potrzebie, zanim przystępowano do głosowania, w którym decydowała większość.

Mackiewicz kierował się w swym wyborze kandydatów do nagrody różnymi względami, nie zawsze literackimi. Czasem cichutko wchodziła w grę osobista sympatia, jak na pierwszym zebraniu, gdy wysunął do nagrody książkę Michała Chmielowca (*Łabędź Sabaudii*), złożoną z przekładu pism św. Franciszka Salezego, i komentarza autora. Z Chmielowcem, swoim szachowym partnerem, przyjaźnił się w czasie pobytu Chmielowca w Monachium. W dużej mierze przyjaźń też decydowała o jego gorącym poparciu Karola Zbyszewskiego za zbiór felietonów *Wczoraj na wrywki* (nagroda 1965) uważając, że autor:

[...] zarówno w swej formie jak treści jest absolutnie jedyny w literaturze polskiej. [...] w literaturze, jak w każdej innej dziedzinie, panuje moda. [Karol Zbyszewski] jest pisarzem jak najbardziej niemodnym, jeśli chodzi o przyjęty dziś sposób pisania. Modna jest niejasność, u Zbyszewskiego wszystko jest jasne. Modny jest stylistyczny zawijas, u Zbyszewskiego jest lapidarność. Modna jest niezrozumiałość, która ma ukrywać treść, u Zbyszewskiego treść jest zawsze obecna [...]. Karol Zbyszewski jeszcze z jednego względu zasługiwałby na specjalne wyróżnienie. Mianowicie ze względu na jego tendencję, którą kiedyś nazywano „odbrązowianiem”, a dziś pozwoliłbym sobie nazwać już „oddziecinianiem” kultury polskiej (s. 110–111)⁵.

Specjalną sympatię wzbudzały u Mackiewicza książki, które mówiły o bliskich mu ziemiach. Należały do nich wspomnienia Michała K. Pawlikowskiego pt. *Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego*, przywołujące Kresy, „Wileńszczyznę, Pińszczyznę, Nowogródzkię [...] [autor] zatrzymuje utracony czas i utraconą ziemię, pejzaż, obyczaj”. Podobnie ujęły go wspomnienia Franciszka Wysloucha *Na ściażkach Polesia*, a *Atlantyde* Andrzeja Chciuka uznał

za lekturę dla mnie ciekawą głównie ze względu na możliwość konfrontacji z moim rodzinnym krajem: litewsko-białorusko-polskim; rosyjsko-żydowsko-tatarsko-karaimskim itd. (s. 172).

W większości wypadków umiał jednak oceniać obiektywnie książki, nawet nie całkiem mu bliskie, do czego się przyznawał, uznając w nich wartości literackie, historyczne czy dokumentarne. Należała do nich np. *Liga Ocalałych* Jadwigi Maurer (o tematyce żydowskiej), *Słowa na pustyni* (antologia współczesnej poezji kapłańskiej), *Czas przeszły dokonany* Adama Pragiera, pamiętnik, który — według Mackiewicza —

Jest raczej dziełem historycznym, napisanym doskonałym językiem literackim. Pamiętnik, który czyta się jak najciekawszą powieść. Autentyczna, pełnowartościowa, wpłątana w dzieje opowieść ludzka (s. 139).

⁵ Cytaty w tekście pochodzą z książki pt. *Od Herberta do Herberta. Nagroda „Wiadomości” 1958–1990*. Londyn 1993. Numery stron podano w nawiasach.

Również za „wysoki poziom literacki pochwali Herlinga-Grudzińskiego za jego *Dziennik pisany nocą*, „choć osobiście podzielam tylko nieznaczną część poglądów, wyrażanych przez autora w tej książce” (s. 217).

Argumentacja Mackiewicza w omawianiu książek, wysuniętych do nagrody, nie omijała żadnej okazji, by nie doszukiwać się u autora jakichś prokomunistycznych tendencji czy sympatii. Czasem wymagało to nie byle jakiego dialektycznego wysiłku jak np. w wypadku książki Piotra Guzego pt. *Krótki żywot bohatera pozytywnego*, której treścią był rozpaczliwy los człowieka zaszczutego w komunistycznym państwie. Mackiewicz uznał, że choć określenie „bohater pozytywny” jest ironiczne, w rzeczywistości chodzi tu o „bohatera negatywnego”, co wydało mu się „typowym produktem tego cofania literackich wartości, które nam narzucił komunistyczny socrealizm, a zapożyczył później narodowy pol-realizm” (s. 139).

W tej pogoni za niewłaściwym myśleniem dostało się nawet Bogu ducha winnemu Janowi Bielatowiczowi za *Książeczkę*, uroczę młodzieńcze wspomnienie z Tarnowa, za to, że napisał kiedyś w prasie emigracyjnej, że powinno się walczyć o swoje cele „bez oglądania się na to, czy to na rękę komunistom, czy nie na rękę” (s. 64).

Wiele książek wysuniętych do nagrody w ciągu lat dawało Mackiewiczowi okazje do ataku wprost. Początek temu dały *Cmentarze* Hłaski, który został pierwszym laureatem nagrody „Wiadomości” w 1959 r. Mackiewicz uznał go za talent „wyraźnie i sztucznie wyolbrzymiony ze względów na spekulatywny kierunek polityki zagranicznej departamentu stanu USA” i nie za „emigranta”, upoważnionego do nagrody zgodnie z jej regulaminem. O tym, że nie jest emigrantem decyduje w oczach Mackiewicza, m.in. to że Hłasko jest „pokłóconym z «reżymem» komunistycznym młodym komunistą”, że „Jego ojczyzną jest «Polska Ludowa» a nie Polska”, że zachował obywatelstwo Polski Ludowej, że „pozostaje w stałych kontaktach z konsulatami komunistycznej Polski i zamierza tam powrócić. [...] Nagrodzenie Hłaski uważałbym za typowe, niestety «zaangażowanie» — w duchu współczesnego konformizmu” (s. 32–33).

W 1969 r., gdy kilku członków jury wysunęło do nagrody *Apelację* Jerzego Andrzejewskiego, wydaną przez Giedroycia, Mackiewicz nie przyjechał na zebranie, tylko przysłał list, ostro protestujący przeciwko tej kandydaturze.

Jerzy Andrzejewski jest klasycznym pisarzem komunistycznej Polski, jak to inni nazywają „reżymowym” [...] płatnym przez rządowo-partyjne wydawnictwa — bo innych tam nie ma — literatem PRLu, który, jak stwierdzają urzędowe polsko-komunistyczne źródła: „W latach 1945/1950 ewoluował ku marksizmowi”. Był też konsekwentnie przez partię i rząd komunistyczny za tę swoją działalność literacką nagradzany i odznaczany. [...] Kandydatura Andrzejewskiego do nagrody miałaby charakter polityczny, a nie literacki. Osobiście mam duże wątpliwości co do walorów literackich tej broszury... Ale nie to wszystko jest głównym powodem mego zastrzeżenia (s. 162).

Tym „głównym powodem” zastrzeżenia Mackiewicza był fakt, że książka Andrzejewskiego nie jest „wydana na emigracji”.

Gdybyśmy byle utwór obywatela PRLu ogłoszony drukiem w języku polskim poza krajem traktować mieli formalnie jako „wydany na emigracji”, moglibyśmy teoretycznie brać również pod uwagę „Myśli Gomułki” czy Cyrankiewicza, wydane pewnego dnia np. w Londynie po polsku. Co byłoby nie tylko oczywistym nonsensem, ale przede wszystkim sprzeczne ze statutem jury „Wiadomości” (s. 163).

W drugiej połowie lat 70. dysydency pisarze w Polsce zaczęli coraz śmieiej wydawać swe książki pod własnym nazwiskiem, głównie w paryskiej „Kulturze” i czytelnicy emigracyjni poznawali nowych dla siebie znakomitych autorów i odkrywali wartości nieznanej im dotąd literatury powstałej w kraju. Oczywiście więc coraz częściej wśród

kandydatur, zgłoszonych przez członków jury do nagrody, zjawiały się nazwiska autorów krajowych. Pierwszy raz zdarzyło się to w 1978 r. i wywołało natychmiastową i namiętą reakcję Mackiewicza. Nie czekając na zebranie, przysłał wzburzony list:

[...] ze zdumieniem przeczytałem że: „Członkowie jury nagrody...” już zgłosili kandydatury, a między innymi następujących autorów: Stanisław Barańczak, Tadeusz Konwicki, Wiktor Woroszyński, i że kandydatury te nie zostały z miejsca odrzucone, jako niezgodne z „Regulaminem nagrody «Wiadomości»” (252).

W uzasadnieniu swego protestu, Mackiewicz powtórzył swe dawne argumenty, że wymienieni pisarze nie są emigrantami z Polski komunistycznej, lecz obywatelami PRLu i że mogą wydawać książki poza granicami kraju swego obywatelstwa na równi z innymi obywatelami PRLu jak, mówiąc przykładowo Gierek, Jaroszewicz, Putrament czy Iwaszkiewicz, ale że w żadnym wypadku nie będą to książki „wydane na emigracji”. Ponieważ te kandydatury zostały przyjęte przez członków jury, Mackiewicz uważa najbliższe zebranie za nieważne jako niezgodne z regulaminem. I — dodał — oczywiście sprzeczne z intencją i celem przewidzianym przez twórcę tego jury, nieodżałowanej pamięci, Mieczysława Grydzewskiego.

W tych warunkach żadnej kandydatury do nagrody nie zgłaszam, i w przewidzianym posiedzeniu jury udziału nie biorę (253).

Pisząc to Mackiewicz nie pamiętał dyskusji nad kandydaturą książki Hłaski *Cmentarze*, która dostała nagrodę na pierwszym zebraniu jury w 1959 r. Grydzewski wtedy powiedział:

Cmentarze dzięki introspekcji psychologicznej i wulkanicznemu talentowi narracyjnemu autora, wpisują się do panteonu prozy polskiej. Nagrodzenie Hłaski podkreśliłoby nadto, że literatura polska jest jedna i że literaturę krajową i emigracyjną dzielą tylko te same kordony graniczne, które ongi były narzucone przez zaborców (s. 24).

Po odczytaniu listu Mackiewicza nastąpiła dłuższa dyskusja, w której wzięli udział wszyscy członkowie jury, obecni na zebraniu (Stanisław Baliński, Wacław Iwaniuk, Stefania Kossowska, Henryk Paszkiewicz, Bronisław Przyłuski, Edward Raczyński, Zofia Romanowiczowa, Tymon Terlecki i Ignacy Wieniewski), zgodnie wypowiadając się za nagradzaniem pisarzy krajowych, których książki zostały wydane na emigracji, „ale pisarzy o poglądach i postawie niepodległościowej, tej, którą my tu na emigracji reprezentujemy, broniąc wolności słowa i walcząc z sowietyzacją, grożącą naszej literaturze” (s. 254) — jak to wyraził Iwaniuk, uzupełniając liczne argumenty innych.

Protest Mackiewicza przeciwko wysunięciu kandydatów pisarzy krajowych w 1978 r. został zignorowany, kandydatur, oczywiście nie wycofano, i nagrodę dostał Stanisław Barańczak za zbiór wierszy *Ja wiem że to niestuszne*, wydany w 1977 r.

W następnym roku (1979) wśród kandydatur do nagrody znalazło się — obok innych pisarzy krajowych, poprzednio wymienianych — nazwisko Jacka Kuronia za książkę *Zasady ideowe*.

Tego już było Mackiewiczowi za dużo. List swój do redakcji „Wiadomości” rozpoczął od prośby o skreślenie go z listy członków jury. Motywy tego kroku wyjaśnił tymi samymi argumentami co poprzednio, przypominając, że książka wydana poza krajem nie jest książką emigracyjną, jak wynika z interpretacji regulaminu nagrody. Po nagrodzeniu w poprzednim roku książki „obywatela PRL stale zamieszkałego i piszącego w Warszawie [Barańczaka]” i zgłoszeniu przez jury „komunisty polskiego, Jacka Kuronia, zamieszkałego i piszącego w Warszawie”, Mackiewicz oświadcza, że nie chce należeć do zespołu, „który może nagrodzić lub choćby rozpatrywać możliwość nagrodzenia książki warszawskiego komunisty ani peerelowskiej odmiany komunistycznego dysydenta” (s. 270).

Odczytałam list Mackiewicza na początku zebrania, jako jego przewodnicząca i przypomniałam, że w regulaminie nagrody nie ma zastrzeżenia, że musi być przyznana wyłącznie pisarzom, mieszkającym za granicą Polski, co potwierdził red. Grydzewski w dyskusji nad kandydaturą Hłaski. Zwróciłam też uwagę, że w regulaminie jest wyraźnie powiedziane — i Grydzewski pilnie tego punktu przestrzegał — że „członkostwo jury jest dożywotnie”, tak że Mackiewicz — czy chce czy nie chce — póki żyje jest członkiem jury nagrody „Wiadomości”.

Pamiętał również o tym Tymon Terlecki, który wyraził żal, że Mackiewicz „zajmuje stanowisko rygorystycznie doktrynalne”, uchylając się od dyskusji na temat wszystkich książek polskich wydanych na emigracji, choć ma, tak jak inni, pełną swobodę do wyrażania swej opinii i głosowania zgodnie z nią.

Zawsze korzystaliśmy z tej wolności. — Dodał Terlecki. — To, że jeden członek jury dobrowolnie się jej zrzeka, jest szkodą indywidualną i zbiorową (s. 271).

Mackiewicz nie zmienił swojej decyzji i nigdy więcej nie wziął udziału w obradach jury. Ani nie komentował nagradzania przez jury pisarzy krajowych, co musiał gorzko przeżywać.

Do zakończenia nagrody „Wiadomości” w 1991 r. otrzymało ją ośmiu pisarzy z Polski, czterech za życia Mackiewicza (Stanisław Barańczak, Tadeusz Konwicki, Kazimierz Brandys, Marek Nowakowski) i czterech po jego śmierci w 1985 r. (Adam Michnik, Andrzej Szczypiorski, Jarosław Marek Rymkiewicz i Zbigniew Herbert, ostatni laureat tej nagrody).

Mackiewicz nie tylko przestał brać udział w zebraniach jury, ale przestał też pisać do „Wiadomości”. Jeszcze tylko parę miesięcy po wycofaniu się z jury, z początkiem 1979 r. ukazały się dwa jego teksty (prawdopodobnie wcześniej przysłane do redakcji). Była to polemika z *Notatkami niemieckimi*⁶, w których autorka, Krystyna Brzozowska pisała o nim i o jego wystąpieniu w radio niemieckim. Jej tekst ukazał się jeszcze poprzedniego, 1978 r., a polemika Mackiewicza 14 stycznia 1979⁷. Drugim jego tekstem z 25 marca tego roku było wspomnienie o Alfonsie Jacewicz⁸.

Zdaje się, że Mackiewicz nigdy więcej nie przyjechał do Londynu. Ja go nigdy więcej nie widziałam.

⁶ K. Brzozowska, *Notatki niemieckie*, *Wiadomości* 1978 nr 47 s. 5.

⁷ J. Mackiewicz, *Notatki do „Notatek”*, *Wiadomości* 1979 nr 2 s. 2.

⁸ J. Mackiewicz, *Alfons Jacewicz*, *Wiadomości* 1979 nr 12 s. 2.

DZIEŃ Z JÓZEFEM MACKIEWICZEM

Jadwiga MAURER (Stany Zjednoczone)

Miałam już do wspomnień o Józefie Mackiewiczu jakieś notatki, przeczytałam znowu po wielu latach artykuł, jaki po zgonie pisarza, na prośbę wdowy, Barbary Toporskiej zamówił u mnie do paryskiej „Kultury” Jerzy Giedroyc i naraz przypomniało mi się, coś czego w ogóle nie pamiętałam. Przecież ja kiedyś spędziłam cały dzień sam na sam z Józefem Mackiewiczem! Doznałam małego szoku. Jak mogłam tego nie pamiętać? Gdyby mnie ktoś prosił o powtórzenie rozmów z Miłoszem czy Watem w Berkeley, na pewno pamiętałabym prawie wszystko. A ten dzień z Mackiewiczem gdzieś się zapodział. Ulotnił się po prostu. Nie lubię takich psycho-zagadek, więc szukałam uparcie przyczyn. Na razie musiałam się zadowolić tłumaczeniem, że Józef Mackiewicz stał tak poza obrębem polskiej diaspory, w której się częściowo obracałam, że otaczał go nimb wielkiego pisarza przy równocześnie wrogiej i zaleźnionej atmosferze w polskiej emigracji i że zagadka Mackiewicza była tak nierozwiązalna, iż nie kojarzył mi się z niczym. I ten dzień wypadł jakby z mojego kalendarza. Był gdzieś schowany, istniał sam dla siebie. Po przełamaniu pierwszej bariery zaczęłam sobie przypominać to i owo. Fakt jednak, że tego dnia nie zarejestrowałam w pamięci, świadczy nie tyle o mnie, co o niezwyklej sytuacji Józefa Mackiewicza.

Powojenny Mackiewicz deklarował się stale jako pacyfista, liberał (trochę w tradycjach szlacheckich, jak Wacław Lednicki), a przede wszystkim jako doskonały daltonista na polu rasy, religii czy narodowości, a nawet klasy, co mu już przychodziło nieco trudniej. W swoich książkach, artykułach i wypowiedziach podkreślał niezmiennie, że istnieją jedynie na świecie ustroje dobre i złe, a przede wszystkim istnieją jedynie ludzie dobrzy i źli. Ta postawa nieco dziwacznej, ba, ekscentrycznej wręcz moralnej wyższości, podawana wciąż stanowczo i autorytatywnie w druku, niezmiennie irytowała różne środowiska polskie, a zwłaszcza irytowała koła akowskie w Londynie, Paryżu, czy Nowym Jorku, nie mówiąc już nawet o Sekcji Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium z dyrektorem Janem Nowakiem na czele. A powody do pewnej irytacji, powiedzmy to sobie szczerze i nie uciekajmy od prawdy, istniały. Nie od zawsze był przecież Mackiewicz szermierzem bezwzględnej równości i sprawiedliwości dla wszystkich. Przechodził różnego rodzaju metamorfozy, zanim, jak Mickiewicz, zamieszkał w ojczyźnie myśli swojej. Poeta wyznał, że „jest taki kraj, ojczyzna myśli mojej”. Jakąś podobną krainę odkrył w sobie rodak Litwin Józef Mackiewicz. I bronił jej granic, z uporem odpierając ataki ze wszystkich stron. Choć na niektórych odcinkach frontu jego niezłomność trochę się kruszyła. Na przykład rozumiał bardzo

dobrze, że jego bezkompromisowe stanowisko — idźmy z nazistami na bolszewików — było dla Polaków i tych nielicznych Żydów polskich, którzy przeżyli okupację niemiecką, nie do przyjęcia. Zresztą sam pisał o zbrodniach hitlerowskich i o losie Żydów. Zwłaszcza o losie Żydów... Pan Józef cenił sobie przyjaźnię z Żydami. Zaprzyjaźnił się raz w podróży z dwiema panienkami, które mieszkaly w Izraelu i nazywały się Pomeranz. Przysłały mu w prezencie skrzynkę pomarańczy. — Pomeranz, pomarańcza — tłumaczył mi pan Józef i cieszył się jak dziecko. Skrzynka po zjedzonych pomarańczach stała sobie na widocznym miejscu w salonie jako symbol polsko-izraelskiej przyjaźni. Cieszyły go też różne takie sztubackie kawały. Tego dnia, o którym będzie jeszcze mowa pojechaliśmy na obiad do restauracji tramwajem. Po powrocie, pan Józef poinformował mnie, że przejechaliśmy tych kilka przystanków na gapę. Zapytałam, dlaczego. — Chciałem tą trasę wypróbować powiedział pan Józef. — Czy nas aby nie złapią.

To było we wczesnych latach 70. w Monachium, gdzie mieszkali moi rodzice. Ja żyłam już od wielu lat w Stanach Zjednoczonych. Do Monachium przyjeżdżałam co kilka lat w lecie. Mackiewicz i jego żona Barbara Toporska, pisarka i poetka mieszkali stale w Monachium. Przesyłałi mi swoje książki. Na ostatniej przesyłce pana Józefa, na książce pt. *Fakty, przyroda i ludzie*, którą teraz zdjęłam z półki widnieje ułańsko-szlachecka dedykacja: Pani Profesor dr. Jadwidze Maurer, a także uroczej Pani Jadzi, z miłością bez wzajemności — Józef Mackiewicz. Monachium, maj 1984.

Z latami, jak muszę zaznaczyć, sympatie obojga Mackiewiczów do Żydów wzrosły. Powody leżały na pewno w jakimś polskim kompleksie. Ale co za różnica, jakie były powody? W tej materii los się do Mackiewiczów uśmiechnął pod koniec życia. Zawarli przyjaźnię z ostatnimi polskimi Żydami w Monachium i w Londynie. Nazwisk nie wymienię. Zaraz zjawi się ktoś, kto powie, że to nie tak, że się wcale nie przyjaźnił. Dużo nieprawdopodobnych, a prawdziwych rzeczy zdarzyło się w życiu Mackiewiczów. I większość z nich zahacza o tematykę polsko-żydowską, o powikłania, których nikt nigdy więcej nie rozszyfruje.

Drugą z kolei przyczyną, dla której tak późno przypomniałam sobie dzień spędzony z Józefem Mackiewiczem jest na pewno fakt, że zanim poznałam Mackiewicza znałam już dobrze Mackiewicza. Znałam sferę, z której się wywodził: ciotki, wujów, szkoły, kolegów, romanse, małżeństwa. Byłam w Berkeley, na Uniwersytecie Kalifornijskim blisko zaprzyjaźniona ze starszym ode mnie o półtora pokolenia Michałem K. Pawlikowskim. Pan Michał pochodził ze starszylacheckiej rodziny z Mińszczyzny, Mieszkał w Wilnie, ukończył prawo w Petersburgu. Jednym słowem obracał się w tej samej orbicie co Mackiewicz. Był jednym z klanu, był Litwinem. Pan Michał był gawędziarzem i niespodziewanie dla siebie znalazł we mnie wdzięczną słuchaczkę. Kiedy się zjawiłam w Berkeley był już na emeryturze jako lektor języka rosyjskiego i polskiego i przychodził codziennie do biura, żeby się nie nudzić w domu. Pan Michał, można śmiało powiedzieć, pokierował energicznie moim życiem, bo namówił mnie, przy pomocy Grydzewskiego, abym coś napisała do „Wiadomości”. Był autorem dwóch autobiograficznych powieści: *Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego* i *Wojna i sezon*. Kiedy podarował mi te dwa tomy, stwierdziłam bez większego zdziwienia, że znam już właściwie ich treść, wraz z anegdotami z tego, co pan Michał mi opowiadał. Pan Michał i pan Józef korespondowali pilnie ze sobą. Znałam urywki tych listów. Więc kiedy tego dnia robiłam jakieś uwagi reagując na wypowiedzi pana Józefa, on wykrzykiwał raz po raz — Skąd pani to wie? Ach, to ten Pawlikowski!

Tego lata pani Barbara, wiedząc, że jestem w Monachium, zadzwoniła i zaprosiła mnie, abym spędziła dzień z nią i jej mężem. Będzie śniadanie, obiad i podwieczorek. Harras, gdzie mieszkali to bardzo odległe przedmieście Monachium. Mieszkając tyle lat w Monachium, nigdy tam nie byłam. Kiedy dotarłam pod ich adres, otworzył mi drzwi pan Józef. — Barbara pojechała do Londynu — powiedział. I zaprosił mnie do środka.

O czym rozmawialiśmy przed południem i potem w restauracji, tego nie pamiętam wcale. Natomiast całkiem wyraźnie powróciły do mnie dwie popołudniowe rozmowy. W pierwszej pan Józef opowiadał mi o tym, jak „zmienił wiarę” żeby się móc ożenić z Barbarą. Mniej więcej to samo słyszałam już zresztą od Pawlikowskiego. Nie powiedział mi, na jakie wyznanie przeszedł, podkreślał tylko ciągle, że „przeszedł”, bo musiał. Po prostu został do tego zmuszony przez okoliczności. Tę rozmowę pamiętam tak dobrze, bo kiedy skończył, zapytałam niemądrze. — A pani Barbara? Pan Józef obrzucił mnie ponurym spojrzeniem. — Ona nic — powiedział, jakby z lekką pretensją. Albo była to pretensja do Barbary, że „ona nic” albo do mnie, że taka jestem głupia.

W niektórych tekstach o Józefie Mackiewiczu pojawia się informacja, że pan Józef przeszedł na prawosławie z solidarności i sympatii do uciśnionych Białorusinów. Pragnę podkreślić, że takiej tezy nie lansowali wobec mnie ani Mackiewicz ani Pawlikowski. Mówili jedynie o przechodzeniu na inne wyznanie aby móc wziąć ślub. A że tą inną wiarą było prawosławie dowiedziałam się dopiero po śmierci Józefa Mackiewicza. Wilno było znane z przechodzenia na kalwinizm i z ślubów kalwińskich. Pawlikowski pisze o tym tak:

Wilno było magnesem dla par rozwodzących się. Było dla Polski w miniaturze tym, czym jest Reno w Newadzie dla Stanów Zjednoczonych. Wilno udzielało rozwodów kalwińskich. Nawrócenie na kalwinizm, rozwód i ślub [...] odbywały się szybko, sprawnie i bezboleśnie. Spisanie protokołu ślubnego odbywało się w biurze superintendenta zboru kalwińskiego pod wielką palmą w wazonie. Toteż niektórzy nazywali ślub kalwiński ślubem „pod palmą”¹.

Kiedy pan Michał umarł, w dwóch pośmiertnych artykułach podzieliliśmy z panem Józefem pierwszą stronę „Wiadomości”².

Druga rozmowa tego popołudnia, którą pamiętam dobrze dotyczyła wybitnego pisarza emigracyjnego N., pracownika Radia Wolna Europa. N. był przyjacielem mojej rodziny. Kiedy mu wspomniałam, że pojedę odwiedzić Mackiewicza powiedział mi, że chciałby się z Mackiewiczem pojednać i przeprosić. Czy mogłabym mu w tym pomóc? Odrzekłam, że spróbuję. Przedstawił mi swoje racje szczegółowo i elokwentnie, bo N. był, co tu dużo mówić, mistrzem słowa. Posługując się więc tymi i innymi argumentami starałam się pana Józefa namówić, żeby się przeprosił z N. Wreszcie skończyłam moją przemowę, bo już mi zabrakło argumentów. Zapanowało milczenie. Po chwili pan Józef powiedział — N. jest najfałszywszym człowiekiem, jakiego znam.

Mackiewiczowie mieszkali ładnie, w willi z ogrodem, na parterze, u jakiegoś rosyjsko-niemieckiego arystokraty. Utrzymywali stosunki z „białymi” Rosjanami, których wtedy w Monachium było jeszcze dużo. Barbara Szubska, Polka, ale księżniczka rosyjska po ojcu, zamieszkała na Florydzie założyła w tym okresie Koło Przyjaciół Józefa Mackiewicza i częściowo przynajmniej utrzymywała Mackiewiczów ze składek. Barbarę Szubską poznałam później na Florydzie. Była to miła, energiczna i urodziwa osoba. Pan Józef chwalił się, że zaopiekowała się nim prawdziwa księżniczka, a jego żona chwaliła się przede mną, że jak się wyraziła, „żyją z żebraniny”.

Barbara Toporska-Mackiewiczowa opowiedziała mi całe swoje życie. Było to w restauracji na Leopoldstrasse, w jakieś dwa tygodnie po mojej wizycie u pana Józefa. Ojciec pani Barbary był ateistą i nie dał swoich córek ochrzcić. Z tego powodu spotykały go ciągle jakieś szykany. Wreszcie, zmęczony nieustanną walką, pozwolił Barbarę ochrzcić, kiedy miała lat sześć i miała pójść do szkoły. Podczas okupacji AK „poprawiła” metrykę urodzenia Barbary na datę bliską metryce chrztu i pani Barbara została już na zawsze

¹ M. K. Pawlikowski, *Wojna i sezon*. Paryż 1965 s. 198.

² J. Maurer, *Pan Michał*, *Wiadomości* 1972 nr 34 s. 2; J. Mackiewicz, *Michał K. Pawlikowski*, tamże s. 3.

odmłodzona o lat sześć. Chodziło oczywiście o to, że tak wielka luka między metrykami mogła śmiało nasunąć myśl, że Barbara była ochrzczoną Żydówką. Echa tej sytuacji są oddane po mistrzowsku w powieści Barbary Toporskiej *Siostry*. Niestety, Barbara Toporska jest obecnie pisarką niemal zupełnie nieznaną. Bo choć dużo się mówi o literaturze emigracyjnej, uwagę skupia się na kilku tylko nazwiskach. Pawlikowski, który zresztą nigdy nie poznał osobiście pani Barbary, powiedział mi, że swego czasu w Wilnie, kiedy Barbara pracowała jako młoda dziennikarka, kochali się w niej obydwaj bracia Mackiewicz. I że animozja między braćmi od tego się zaczęła i dopiero dużo później przeobraziła się w konflikt ideologiczny. Opowiadając o swoich wileńskich czasach pani Barbara nie wspominała w ogóle szwagra, Stanisława Mackiewicza. Powiedziała mi, że pan Józef w wileńskim okresie bardzo dużo pił. — Prosiłam go — dodała, żeby tyle nie pił. Żeby się jeden dzień w tygodniu nie upijał. O picu słyszałam różne historie od Pawlikowskiego, który opowiadał mi też o własnych pijatykach. Trudno mi to sobie było wyobrazić, bo za moich czasów wszyscy ci kresowcy i Litwini, oprócz Lednickiego, prawie nic nie pili. Lednicki pił z Kiereńskim, który mieszkał niedaleko od Berkeley w Palo Alto.

Istnieje jednak, nawet gdyby nam było trudno przyznać „sprawa Mackiewicza”. Nie można go całkowicie oddzielić od polityki czy światopoglądu. Pisarz jest przecież osobą publiczną. Co napisze czy choćby powie zostaje po nim. Milczenie jest jedynie możliwe przy zмовie krytyków, a takie milczenie nie jest na pewno wskazane. Pozostają więc ciągle te dwa pytania: dlaczego pojechał z Niemcami do Katynia i co i jak było z pisaniem do „gadzinówki”? Wyjazd z Niemcami do Katynia, uważam, powinien być uznany za aberrację, nie da się go inaczej wybronić. Przyjechał tam przecież z kraju kaźni, w towarzystwie oprawców. Jakkolwiek antykomunistyczna byłaby postawa Mackiewicza, w takiej chwili przyjechać badać zbrodnie sowieckie stawiało go raz na zawsze w ponurym i osobliwym świetle. A co do antysemityzmu zarzucanego Mackiewiczowi, to możliwe jest, że był w jakimś okresie antysemitą i że z antysemityzmu wyleczyła go wojna i Zagłada. Co do pisania do „gadzinówki” zaś, to Pawlikowski mówił mi dużo razy, że „w Wilnie był jeszcze trzeci Mackiewicz i że to on pisał do «gadzinówki»”. Ponieważ Pawlikowski był podczas wojny w Anglii i nie mógł już wtedy znać litewskich realiów, więc przypuszczam, że to była wersja samego Mackiewicza. Kolportowana przez jego przyjaciół. Jestem najzupełniej pewna, że Pawlikowski w nią wierzył, a czy ta wersja była prawdziwa, tego nie dowiemy się już nigdy. Musi nam więc wystarczyć, że Mackiewicz nie chciał najwidoczniej, o ile nim był, uchodzić za autora artykułów w „gadzinówce”.³

Pani Barbara była również malarką, malować na serio zaczęła chyba dopiero w Monachium. Wisi u mnie w domu obraz pędzla Barbary Toporskiej, który kupiłam u Barbary Szubskiej. Barbara Szubska dokładała wszelkich starań, aby ułatwić Mackiewiczom życie. Jerzy Giedroyc, redaktor kapryśny i średnio zainteresowany literaturą piękną wykreślił mi ostatnie zdanie w pośmiertnym artykule o Mackiewicz, prawdopodobnie dlatego, bo porównałam pisarza do Sienkiewicza... I tytuł mojego artykułu *Narodziny klasyka*⁴ stracił swój właściwy sens. Nie mam jednak do nikogo więcej pretensji, bo całe to pokolenie odeszło już na zawsze. Ciekawa tylko jestem, czy ci Litwini schodzą się tam jeszcze gdzieś w zaświatach?

³ Szczegółowe dochodzenia wyjaśniające w poruszanych tu sprawach prezentował [Włodzimirz Bolecki] Jerzy Malewski w pracy *Ptasznik z Wilna* (Kraków 1991) — red.

⁴ J. Maurer, *Narodziny klasyka*, Kultura 1985 nr 7/8 s. 164–167.

JÓZEF MACKIEWICZ

Stanisław WUJASTYK (Niemcy)

Józef Mackiewicz! Pewnego dnia letniego, w połowie lat 70., byliśmy umówieni przez kogoś trzeciego, już nie pamiętanego, bym na rzecz osoby czwartej prosił Go o wywiad potrzebny jako część dużego programu radiowego. Nie wdaję się w tamte szczegóły, nie o nie chodzi. Dzisiaj moim zadaniem jest napisać to, co potrafię wspomnieć o Jego osobie i o tym, co mogę tej Osobie przypisać, strzegąc się by w euforii nie bardzo mijać się z pamięcią.

Na pierwsze spotkanie umówiliśmy się w kawiarni, przy Theatiner Strasse w Monachium, gdzie państwo Mackiewiczowie, Józef i Barbara, chętnie bywali, niekiedy razem, przez dłuższe chwile. Jak im zajęcia pozwalały.

Szedłem tam z radością. Poznać Józefa Mackiewicza. Pisarz to może ponad miarę największych polskich twórców XX wieku, pióro podziwiane, autor o silnej indywidualności, odważny, aż niedbały o mściwe losy. W Polsce przez czas niewoli niemieckiej, wśród ogólnej grozy sobiepan, przez to na skraju polskich wilczych dołów.

Chodzi mi bardzo o moje pierwsze spojrzenie na Niego. Więc w tamtej kawiarni. Wchodzi się na jej teren chodnikiem oddzielającym brzeg trawnika, z jego kilkoma stolikami po lewej stronie, od, po prawej, otwartych drzwi do wnętrza kawiarni. Przy dobrej pogodzie. A pogoda dobra. Na trawniku zieleń, górą jasna poświata, jak na pogodę miejską — pięknie, wesoło, (żeby to być na brzegu lasu, wśród młodych brzoźek, sosenek-sadzonek). Zapewniało mi to złudzenie, że w kawiarni powietrza nie zabraknie, mimo że tam pan Mackiewicz pali papierosy. Pana Mackiewicza, gdy przed spotkaniem wypytywałem znajomych o jego cechy szczególne, określono mi jako palacza nieustającego. I chętnego do kieliszka. I żebym się nie speszył Jego głosem, bo ma gruby i jeszcze go celowo pogrubia, gdy w czymś, lub w kimś nie gustuje. Dlatego spodziewałem się zobaczyć starszego pana tchnącego dymem ustami i nosem, może pochylonego nad kielichem, albo kielich przechylającego.

Wszedłem. Zobaczyłem Go, mego „męża potężnego pióra” — tak go na swój domowy użytek nazywałem, bom był pod siłą wrażeń z jego ksiąg — a tu On bez papierosa w palcach, pochylony nad pustym kielichem po... sporej porcji lodów. A więc! Niewłaściwego informatora pytałem. Czyżby zamiast informacji — okazja do pomówienia? Tego mu przez całe lata nie żałowano.

Nie podszedłem do Niego od razu. Ponieważ On nie obserwował wejścia, a jeszcze miałem kilka minut do spotkania, usiadłem za Nim po to „pierwsze spojrzenie”, nie za-

kłócone. Widziałem Go z lewej strony i nieco z tyłu. Siedział, miałem chwilowe wrażenie, zapadły w sobie, zmęczony. A może tak mocno zamyślony? Obok na krześle leżał lekki, ciemny płaszcz. Zacząłem obserwować szczegóły budowy Pisarza tak dla nas ważnego: gdy siedział dało się widzieć budowę Jego nóg — długie miał golenie, krótkie kości udowe, co skłaniało do przypuszczeń, że urodził się do kawalerii, do konnej artylerii, do jazdy! On nie mógł być wysoki, to już nieźle, bo ja jestem, żeby się przyznać, no, taki sobie, raczej średni-plus. Ale poza tym On wydał mi się zwięzły, zwarty w sobie, mimo wszystkie przejścia, silny. Krótkiej szyi, jak przeważnie my, ze znanych nam połaci Wschodu Europy. Sięgał właśnie do kieszeni spodni, przechylił się nieznacznie w prawo, podniósł przy tym lewe ramię i na chwilę podciągnął całe plecy marynarki wzwyż, zakrył szyję i podkreślił tym rozmiar i wagę głowy.

Lubił lody... Znowu — nie pasowało mi to do „potęgi” mego „męża”. Trudno. I ciekawie. Tym bardziej, że przede mną siedział mężczyzna o twarzy ciężkiej, bardzo poważnej, widzianej perspektywicznie, od lewego ucha, oddany myśli niedostępnej, która odcinała Go od każdego przychodnia nieproszonego, a tym bardziej przychodnia nieznanego. Zawahałem się. Ależ ja byłem przychodniem umówionym. Przecież muszę Jego zadumę naruszyć... Patrzyłem. Czas. Trzeba podejść. Wówczas, w Jego bliskiej obecności żartobliwie poczułem jakbym na Niego polował! Zrobiłem dwa kroki w lewo, żeby się pokazać i trzy wprzód. Gdy zbliżyłem się On podniósł głowę, odchylił się ku oparciu krzesła i zwrócił do mnie pochmurną twarz. Pytająco. Szybko wypowiedziałem jak się nazywam i com zacz. Wtedy On niespodziewanie uśmiechnął się. Powiedział: Czekam na pana. Dziękuję, że pan przyszedł na czas, bo raczej się spieszę i myśli mi się rozbiegały i nie dają się zebrać. Przeleciało mi przez głowę: No, to dzięki Bogu, choć o tyle jesteśmy sobie podobni... A pan Mackiewicz dodał: ...bo widzi pan, żona była tu po mnie, ale musiała mnie zostawić, bośmy umówieni z panem, tylko prosiła, żebym możliwie rychło do niej dołączył, coś tam musimy razem załatwić, czy podpisywać... Może pan jutro przyjdzie do nas? Ja bym chciał mieć ewentualną pomoc ze strony żony, ona ma lepszą pamięć.

Zgodziłem się, rzecz prosta, bardzo rad.

Głos pan Mackiewicz miał rzeczywiście przyjemnie niski, a czy bywał ten głos burkliwy? Ja tego nie doświadczyłem, to jest — nie doznałem — pewnie nabierał on rozmaitych warkliwości, gdy w jegomości dusza zawrzała. Twarz Jego teraz doskonale widziałem z bliska. Panie dawniej powiedziałyby, że owszem, owszem, sympatycznie drapieżna. Obecnie była ona raczej podłużna, nieco niesymetryczna, spokojna, poważna. Oczy. Patrzył na mnie wzwyż — skośne. Oczy wyraźnie skośne. Ale może to moje przywidzenie, oczy widziane z mojej pozycji, bo ja przez ten moment patrzyłem na nie z góry. Ale tego, sądziłem, należało się spodziewać. Kto czytał Jego księgi, ten się spodziewał. Musiał. Takie są ich tematy, takie ich stronice i taka jest istota wspaniałości Jego ksiąg. One są „stamtąd!” A więc i tacy są ci, co nimi żyją, tworzą je. I Jego oczy, zielonkawo-szare, migotliwe, widziałem może w mej wyobraźni zabarwionej dziecinnyim wspomnieniem tamtych stron... Może tylko nieco łzawiące. I nie wydaje mi się dzisiaj, że siwiał.

Mocny był. Pomimo widocznego zniszczenia. Miał za sobą okrutne czasy, z nich poczęte okrutne pisanie, okrutne pomówienia w naszym fantastycznym kraju polskim po całym świecie i choć ten kraj nie ma granic, banicje z niego są okrutne. Banicje odbierające podstawy do życia w spokoju i to banicje kierowane w końcu przez samozwańczych pseudosędziów. Może wtedy Jego głos nabierał tonów bardzo niskich, zburczałych z gniewu, gdy, wrażliwego na cudzą złość, ogarniała Go podejrzliwość nie przebiegająca w osobach, otaczająca czadem myśli, na krótką, nie kontrolowaną chwilę.

Prosił bym usiadł i rzekł: Niech mi pan teraz w kilku słowach wskaże, o czym mamy jutro pomówić? I zaraz potem, zadziwiła mnie Jego uprzejmość. Mimo, jak powiedział,

napierającego czasu, najniespodziewaniej, okazał ochotę porozmawiania na mój temat. Powiedział mi pan Mackiewicz, że nie byłem mu obcy, bo jako zawsze ornitolog, chętnie czytywał publikowane w „Wiadomościach” okrucy moich przygód lotniczych w krajach Afryki, w Sudanie szczególnie. Powiedział: czytałem ciekawie i z przyjemnością pana opisy ptaków, na przykład żurawi koronowanych — jak je pan zupełnie dowolnie nazywa — gdy krążą w powietrzu olbrzymimi kosztami złożonymi z setek tych mistrzów lotu ślizgowego. Uśmiechnął się. Podobała mi się „Wojna Ptasia”, w Dar Fur, na Zachodzie Sudanu, gdzie na jednym drzewie stojącym pośrodku jeziora ptaki rozmaitych gatunków i wielkości usiłują znaleźć nocleg, walczą o miejsce, hałaśliwie wymyślają sobie i kraczą pogrozkami wśród trzepotu skrzydeł. Woda jeziora może zabezpieczyć je przed nocną napaścią węża. Tego się nie spodziewałem. Byłem napięty i rozgrzany. Moja pierwsza książka od razu dostała się w ręce, czemuś zawzięcie mi wrogie. A tu pisarz sławny z Jego pięknych hołdów składanych Matce Przyrodzie nie pominął tego, co ja uważałem za swe osiągnięcia, na ten sam temat.

Podziękowałem Mu. Panu Mackiewiczowi ta chwilka rozmowy na lubiany temat też dobrze zrobiła — rozjaśnił się. Zwrócił się do kelnerki, zapłacił i do mnie powiedział: Proszę o telefon przed południem. I dodał powoli, z uśmiechem: Muszę porozumieć się z żoną. Ona też pracuje, pisze swoje książki, jak pan wie. A więc do jutra. Powoli wstał, podał mi suchą, ciepłą dłoń i wychodził zapominając swój płaszcz. Ja zobaczyłem go kiedy usiadłem na swoim krześle, by poobracać w głowie i lepiej zapamiętać to spotkanie i czego doświadczyłem. Płaszcz zdążyłem mu podać na ulicy. Krótko obserwowałem jego przychyłoną postać. Wiedziałem, że on chciał odejść sam, uchronić się od rozmowy ćwierć zdaniem na ruchliwej ulicy.

Zostałem w kawiarni. Chętnie. Właśnie pożegnałem jednego z naszych wielkich pisarzy. Wydało mi się, że On był także człowiekiem obdarzonym krztyną wizjonerstwa. On opisywał świat grożący Polsce. Niejeden tytuł jego księgi, dla mnie rysował się jako palec piszący na ścianie: Mane Tekel... ostrzeżenie dla ludu polskiego przed losem, jeśli ten lud nie wykrzesze z siebie sił ponad miarę potrzebną do normalnego życia w bezpiecznych rejonach świata. Gdzie bandytyzm tylko wewnętrzny i złodziejstwo niszczą część społeczeństwa i tym samym siebie. Polska, cały Jej lud musi istnieć tu, gdzie ponad bandytyzmem wewnętrznym i obecnie proporcjonalnie szeroko i wysoko rozwiniętym złodziejstwem zawsze grozi Jej bandytyzm zewnętrzny, ten straszliwy nowych wieków, od Katarzyny, Prusaków, Austriaków, ten życzący sobie nieść nam zagładę całkowitą. Nie ma co oszukiwać się. Fakty, a więc podłoża Jego powieści i artykułów, źródła Jego wiedzy, myśli i wniosków, zamknięto w książkach zawodowych historyków. Przeminięły — ale nie przeminięły wywodzące się z nich nauki dla bieżących i dalszych pokoleń. One, przez Jego pisma otwierają oczy, a kto ma oczy do patrzenia... Czasem, gdy się czyta Jego książkę nie jest się w stanie uniknąć zastanowienia się co tam Przyszłość, zła matka, ma dla nas za pazuchą do wyboru, jeśli nie EU...

Na drugi dzień, po rozmowie i umowie telefonicznej, poszedłem przeprowadzić krótki, ale dla mego mocodawcy ważny wywiad z panem Józefem w mieszkaniu państwa Mackiewiczów, na Windeckstrasse 21; należało ono do małżeństwa Adalberta i Marianny Mayer. Tych dwoje starych Niemców serdecznie przyjaźniło się z Mackiewiczami. Ci potrafili przyjąć i oddać przyjaźń tym, którzy przeżyli hitleryzm w stałym zagrożeniu, w nieustępliwej opozycji do niego. Powtarzały się w ich stosunkach znaki — od czasem drobnych do ważnych — obustronnej stałej życzliwości. Musiało tych znaków być wiele i nie tylko od szczególnych okazji, skoro pani Barbara wydając swoją powieść pt. *Spójrz wstecz Ajonie* (Londyn 1981), zadedykowała ją, w imieniu obojga, następująco: „Tym, co przyczynili się do wydania tej powieści, a zwłaszcza najhojniejszej w przyjaźni Marianie Mayer z Monachium”.

Pan Józef opisał, czym Niemcy mogą się okazać, napisał nam tego obraz zatytułowany *Ponary*. Widzimy ich na brzegu lasu, przy stołach ustawionych koło toru kolejowego. Jedzą wędliny, piją wódkę, oczekują pociągu pełnego Żydów na zabicie; czytamy jak zabijali ich, i jak po mordach wracali do kiełbasy i wódki. Pan Mackiewicz potrafił rozróżnić Rosjan od bolszewików, Niemców od hitlerowców.

Furtka w płotku, mały ogródek przed domkiem przy ulicy Windeck 21, w Monachium. Wszystko tam małe, tylko mieszkańcy niezwykłych klas. Przyjęli mnie oboje państwo Mackiewiczowie. Życzliwie, mile. Pani Barbara, szczupła, za młodych lat ładna, jak głosiły dobrze zachowane wspomnienia, o włosach w naturalnych lokach, siwiejących. Zlustrowała mnie szybko bystrym spojrzeniem dość głęboko osadzonych oczu, wciąż interesujących, nie zdradzających znużenia pod ciężarem ich życia. I zaproszono mnie do wnętrza — rozmiarami zmuszającego do poruszania się uważnie. Więc mały przedsiónek, sionka, na wprost niej drzwi do dużej łazienki, co za przyjemność wśród wielu skrępowań. Z sionki do pokoju pani, gdzie na lewej ścianie od drzwi wbudowano kuchenkę i zasłonięto ją kotarą. Tam pani Barbara gotowała bardzo po dawnemu, po swojemu, doskonale. Inna to sprawa — pewnego razu przyznała się swojej przyjaciółce: „czasami nie ma co do garnka włożyć”.

Przeszliśmy przez pokoik pani domu, nader skromnie umeblowany, i w równie małym pokoiku, podobnie wręcz ubogo wyposażonym, zasiedliśmy naprzeciw siebie przy niewielkim biurku-warsztacie pana Józefa Mackiewicza. Obecnie to biurko ma swoje honorowe miejsce w Muzeum Polskim, w Rapperswilu.

Chwila to była dla mnie znakomitsza niż tamta, gdy w czasie wojny spotkałem jego brata, Stanisława, wtedy członka Rządu naszego, w Londynie. Fizycznie: rysy ich twarzy niezbyt do siebie podobne, lecz budową ciała, całym charakterem, psychiką, myśleniem, odwagą, zadziornością, co tu wiele rozgarniać — oni obaj stale jechali na świetnych koniach, na niebezpieczne patrole ułańskie!

Tamtym razem, po kilku pytaniach, pan Józef miękko, bez zakłopotania wezwał żonę, prosił o pomoc. Niekiedy pamięć mu nie dopisywała. Jak mnie teraz. Nie dziwię się, że nie pamiętam moich kwestii, widzę natomiast wyraźnie jak pani Barbara weszła, i w rozmowie odpowiadając na pytanie męża wyjaśniła, w czym rzecz się kryła. Miły kontakt dwojga ludzi, prosty i jasny. Znak długich lat chętniej współpracy. Była w tym elegancja.

Podąłem panu Józefowi zapis reszty pytań. Szło teraz łatwo, pan Józef raczej płynnie nagrywał tekst na taśmę. Ja tylko częściowo Go słuchałem, pilnując maszyny, częściowo obserwowałem tło, na którym Go widziałem. Ściana poza Nim zastawiona półkami książek, a powyżej zawieszona obrazkami.

Mimo woli myślę o nich obojgu prawie „po imieniu”, pomimo, że moje poczucie bliskości dziś wyłania się jednostronnie z mojego czytania Jego książek. Z natychmiastowego absorbowania Jego przesłania, to jest odkrywania przez Niego często nędnego fałszu maskującego rzeczywistość katastrofalną. W chrześcijańskim świecie niedopuszczalną. W świecie bezbożnym skrywaną, państwowo-zbrodniczo. Myślałem: On jest uczciwy do granic dla niego niebezpiecznych, a już co najmniej do brzegów stałego zagrożenia. Wiem, że On pisze prawdę i całą prawdę! Nie trzeba się przed nią bronić, trzeba ją poznawać, jej korzenie tępić. Dlatego trzeba Mu wierzyć i poszerzać znajomość Jego wiedzy. Czytać.

Patrzyłem uważnie na jego twarz, na czoło prostokątne, na oczy błyszczące, nos dość gruby, pod nim usta za małe, mocny podbródek. W pewnej chwili przestałem śledzić zdania rejestrowane na taśmie... Zafascynowany Jego wiedzą, znawstwem naszego świata, usłyszałem inne Jego słowa... jakby mówił z daleka. I nie na taśmę. Wydaje mi się, że do dzisiaj pamiętam niski głos, którym osobno do mnie mówił: Moim zadaniem całego życia — to odkrywanie prawdy zamazywanej przez umysły nadzwyczaj umiejętne

w konstruowaniu Wielkiego Kłamu, a więc tym samym umysły straszne i głupie, głupie, szkodliwe, złe, zbrodnicze... Obierają one z sensu i piękna życie ludzi a tym samym i zwierząt, ptaków i drzew i wszelkich roślin. Ziemi całej. Obnażają, akcentują i posługują się tym co w człowieku najstraszniejsze. Moim zadaniem jest odsłaniać, odkrywać, odgrzebywać, wyrywać spod głązów kłamstwa, odkopywać z rozsianych po całym naszym świecie — Prawdę — z Jej wielu Grobów Katyńskich. Prawdę. Nie dlatego, że ja kogoś, w liczbie pojedynczej, czy w bardzo mnogiej nie lubię, nie szanuję...

Pan Józef patrzył na mnie milcząc. Wróciłem do rzeczywistości. Rzekł: Sądzę, że na taśmie znajduje się to, o co w tym wywiadzie chodzi. Czy panu to wystarczy? Taśma świadczyła, że jej zadanie wypełnione.

Pożegnaliśmy się, ja z moim wreszcie dogłębnym zrozumieniem, dlaczego Go odrzucano, negowano, nie pojmano, a pewnie i celowo usiłowano „zamazać”, gdy inni znajdowali w Nim swego „Ostatecznego Pisarza”.

Odchodziłem z moim niewypowiedzianym pytaniem: Czy można pilnie Go czytając nauczyć się dostrzegać, wciąż obecne „Jądro Ciemności”?

Pożegnałem Państwa Mackiewiczów mając nadzieję na następne spotkanie. Może w kawiarni Theatiner na lody?

Okazało się, że pożegnałem na zawsze.

WSPOMNIENIA – BIOGRAFIE

JÓZEFA BAUA ZNAKI OBECNOŚCI

(1920–2002)

Sądzę, że Józef Bau miał świadomość kończącego się życia, umierał bowiem długo. Bardzo pracowity, wiecznie czynny, w ustawicznym dotąd ruchu od kilku już lat nie sięgał więcej po pióro pisarza, ołówek rysownika, pędzel malarza. Zapadał się w sobie, odgrodził i wyłączył ze świata, raptownie złamany śmiercią żony. Odszedł jakby znużony życiem, którego granice oznaczają miejsca i daty: Kraków, 18 czerwca 1920 – Petach Tikwa, 26 maja 2002 r.

Bardzo kochał rodzinny Kraków, gdzie przebiegła mu młodość i wojną rozdarte lata dojrzewania. Uczęszczał do gimnazjum hebrajskiego z polskim językiem wykładowym, potem do Szkoły Przemysłu Artystycznego. To był wybór świadomy, podyktowany wczesnym rozbudzeniem powołania artystycznego; przez całe życie grafik, malarz, kaligraf, typograf był rzeczywiście jednym z niewielu swojego pokolenia, któremu udało się zostać tym czym zawsze chciał zostać.

Był też poetą — i właśnie jako poeta debiutował w roku 1937 w krakowskim „Nowym Dzienniku”, piśmie autorów i czytelników naznaczonych żydowską biografią i jednoczesną przynależnością do kręgu kultury języka polskiego.

Z początku, po wybuchu wojny znalazł się w getcie krakowskim, potem w obozie koncentracyjnym w Płaszowie, potem w innych obozach. Był tutaj bezradnym świadkiem śmierci własnego ojca, na jego oczach zastrzelonego przez esesmana. W Płaszowie poznał Rebekę, wielką miłość swojego życia; ich potajemny ślub stał się jednym z wątków filmu Spielberga *Lista Schindlera*, należał bowiem do uratowanych przez niego.

Czas zagłady — „czas zbezczeszczenia” jak go miał później nazwać — przetrwał. Jego zachowany dotąd pasiak obozowy nosi numer 69084. Numer ten odczytać można na wstrząsającym swoją ekspresją linorycie Baua, gdzie Chrystus rozpięty na krzyżu, którego tło stanowi swastyka, ukazany jest w tym właśnie pasiaku z naszywką „Jude”, zaś postać Chrystusa o twarzy umęczonego kacetnika okala korona z drutu kolczastego.

Bau przeżył dzięki wielu pomyślnym okolicznościom, wielkiemu szczęściu i — wbrew pozorom — niezaradności i braku zdecydowania — sile przebicia, która go cechowała. Nigdy jednak nie potrafił się wyzwolić z zapadni psychicznej i zatrzymanych w pamięci obrazów zmór. „Jeszcze dłuższy czas pozostałem w obozie koncentracyjnym, który tkwi we mnie” — napisał po latach.

Przeżycia te potrafił jednak — tym objawiła się siła autentyzmu jego dzieła — przemienić w źródło inspiracji twórczej, literackiej i plastycznej. Zmierzał bowiem do powiązania tych dwóch rodzajów własnej twórczości w jeden „dokument osobisty”.

Również w linoleum cięty rysunek wielu twarzy-oczu niemo wpatrzonych w pokrojony na stole bochenek chleba; zbyt wiele par oczu, zbyt wiele wyciągających się po chleb rąk — ma swój odpowiednik literacki w wierszu obozowym *Głód* (parę swoich wierszy tak właśnie zatytułował) zakończonym pytajnikiem: „Boże, byłeś Ty już głodny kiedy?”. Wraz z ustawicznym strachem było to z pewnością najbardziej dojmujące przeżycie Baua, skoro tak właśnie postanowił nazwać angielski przekład swojej najistotniejszej książki: *Dear God, Have You Ever Gone Hungry?*¹

W obozie przygotował pierwszy swój zbiór wierszy — *Świat i ja*. Jedyne jego przepisane egzemplarz zadedykował „Najdroższej Mojej Żonie w dniu szczęśliwego spotkania po siedmiu miesiącach rozłąki, po sześciu latach niewoli” i wręczył w czeskiej miejscowości „Opawa, 7 czerwca 1945”, tam ją bowiem odnalazł. Wędrowkę w poszukiwaniu Rebeki i chwilę jej spotkania ujął, po upływie długiego czasu w zgrzebną niemal, bardzo lapidarną relację pt. „Spotkanie po...”. Z tego rękopiśmiennego zbiorku zaś czerpał utwory do publikacji we własnych książkach, antologiach i czasopismach.

Po zakończonej wojnie osiedli w Krakowie, gdzie radość z odzyskanej wolności została szybko zakłócona sierpniowym pogromem na Kazimierzu. Bau podjął studia w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Niebawem znalazł się w gronie młodych poetów ówczesnego Krakowa, Wisławy Szymborskiej (w rozmowach osobistych zawsze się o niego dopytywała) i jej męża, Adama Włodka, który Baua zaliczył do „najbliższych przyjaciół młodości”.

[...] meteorem był Józef Bau — pisze Szymborska w księdze zbiorowej poświęconej Włodkowi — trochę rysownik, trochę poeta. [...] Czy wiersze, które nam wtedy pokazywał były dobre? Nie, zbyt wiele chciał w nich naraz powiedzieć, nie radził sobie z natłokiem obrazów. Ale nagle przez to mrowisko słów przedarła się jedna fraza, prościutka i czysta jak łza, poświęcona martwej dziewczynie na placu apelowym: „Kulą wymazana z żywych / z różą krwi w butonierce pasiaka / ...zbliżyłem się... uniosłem jej / lewą dłoń — linię życia / miała bardzo długą”. — Czy trzeba pisać więcej, żeby zasłużyć na pamięć?²

W tym też czasie Bau nawiązał współpracę z Żydowską Komisją Historyczną w Krakowie. Dla serii wydanych przez nią wtedy książek zaprojektował znak wydawnictwa, podobnie jak tablicę wmurowaną w ścianę domu na podgórskim placu Zgody upamiętniającą fakt, że znajdowała się w nim w latach 1942–1943 siedziba Żydowskiej Organizacji Bojowej; był jej członkiem. Rysunki zamieszczał sporadycznie w „Żołnierzu Polskim” i wtedy właśnie poznał go Józef Hen; wspomnienie o tym pierwszym spotkaniu z Bauem umieścił ponad pół wieku później w książce swoich notatek *Nie boję się bezsennych nocy*.

Wiąże się ono z opublikowaniem przez Baua pierwszej książeczki wierszy — *Cień przechodnia* (1949; reprintowo wznowiona w 1989 r. w Tel Awiwie). Była to właściwie praca dyplomowa wykonana w krakowskiej uczelni, kiedy to autor tekstu stał się zarazem wykonawcą układu graficznego, rysunków („dziwacznych rysunków w guście nadrealistycznym”), projektu okładki, składu drukarskiego.

Potem wszystko odbił sto sześćdziesiąt pięć razy na płaskiej maszynie. Pociął arkusze. Oprawił i spiął. Wreszcie każdy egzemplarz ponumerował i podpisał. Mnie — pisze Hen — ofiarował egzemplarz numer jeden³.

W ten — prywatny — sposób wydana książeczka nie mogła oczywiście dotrzeć do zbyt wielu czytelników. Wręczony mnie znacznie później, już w Izraelu, egzemplarz opatrzony jest numerem 23. Tomik ten — złożony z wierszy wojennych i nowopowstałych — stał się przede wszystkim zapowiedzią sztukmistrzostwa graficzno-typograficznego autora, jego skrzętnej dbałości o kompozycję artystyczną swoich publikacji, o ich do wyrafinowania niekiedy doprowadzony wystrój.

W marcu 1950, w pierwszej dużej fali emigracji do Izraela, Bau wraz z rodziną opuścił Polskę. Był poetą piszącym po polsku i malarzem wrośniętym w Kraków, był jednak Żydem i jego los był żydowski. Osiadł w podtelawijskim Givataim, w samym zaś Tel Awiwie po pewnym czasie otworzył własną pracownię a przy niej wydawnictwo (wyłącznie własnych) książek i litografii Hamena'anea. W pracowni tej wykonywał napisy dla produkowanych w Izraelu filmów, sam podjął — jako pionier

¹ Z przekładu tego przetłumaczono książkę na język chiński i wydano w Szanghaju w 2002 r.

² *Godzina dla Adama. Wspomnienia, wiersze, przekłady*. Kraków 2000 s. 54. Cytowanemu przez W. Szymborską z pamięci fragmentowi wiersza przywróciłem wersję oryginalną.

³ J. Hen, *Nie boję się bezsennych nocy... . Z księgi trzeciej*. Warszawa 2001 s. 332.

na tutejszym terenie — realizację filmów animowanych; wykonywał ręcznie kaligrafowane dyplomy, modele plastyczne, projektował okładki książek, piękne plakietki z życzeniami świątecznymi ozdobione niezmiennie nowym rysunkiem (zazwyczaj satyrycznym). Tutaj też malował i rysował, a tego rodzaju swoje prace wystawiał z biegiem czasu na wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych w Izraelu, dotarł z nimi następnie i do Krakowa i do Stanów Zjednoczonych (Nowego Jorku, Waszyngtonu) i do Kanady.

Uczył się nowego kraju, trochę w tej sztuce potykał o (ludzkie) kamienie przydrożne (choć przyjaźnie wyciągniętych rąk nie brakło), bo kraj był trudny a on sam niezupełnie wyzbyty mal-kontenctwa. Nade zaś wszystko i bardzo intensywnie uczył się języka hebrajskiego. Chciał go poznać do głębi i w pewnym stopniu zapewne mu się to udało. Przez pewien czas był członkiem grupy ludzi, którzy wspólnie czytali i komentowali Biblię.

Dawne i nowe wiersze, dawne i nowe rysunki dawał do polskojęzycznej prasy izraelskiej — „Nowin Izraelskich”, „Nowin-Kuriera”, „Od Nowa” (rzadziej docierał do prasy hebrajskiej) i rocznika „Kontury”, dla którego począwszy od tomu czwartego zaprojektował okładkę. W tej to właśnie prasie polskiej zawsze i bardzo na ogół przychylnie (najczęściej piórem Natana Grossa, nie tylko jednak jego) oceniano książki, prace graficzne, filmy i wystawy Baua, jego krajowe i zagraniczne sukcesy, jakie przecież odnosił. Wyrazem zatem chwilowej gorczy i niewłaściwej oceny istniejącej sytuacji stają się wersy wiersza — prawda, pod takim tytułem! — *Depresja*:

Tłum mnie wygwizdał, krytyk mnie zganił,
Koledzy z pamiętników wydarli me nazwisko
(koledzy moi kochani)
bo mają mnie za nic,
za niepotrzebnego grata,
karła

Po długim okresie przygotowawczym, jakiegoś jakby „przymierzania się” otworzył Bau nowy rozdział swojej twórczości: pisanie po hebrajsku. Czekają go tutaj zawody pisarskie ale też (nie do końca niestety rozpoznane i docenione) sukcesy. Był nieco staroświecki w swoich poglądach na sposób istnienia książki, umiał ją bowiem obmyślić, zilustrować, opracować typograficznie, wydrukować — i tutaj uznawał swoją rolę za skończoną — do czytelników nie umiał trafić — że książkę należy powierzyć fachowcom od dystrybucji przypuszczalnie mu na myśl nie przyszło!

W kręgu literatury jako utwory fabularne — krótkie opowiadania, humoreski — zrodzone z doświadczeń izraelskich pozostają trzy po hebrajsku napisane jego książki, o tytułach jednoznacznie wskazujących na ich tonację groteskową: *Dasz kar* czyli *Oziębłe pozdrowienie* (1971), *Myszulasz agol co znaczy Okrągły trójkąt* (1982), do której wprowadził również kilka wierszy napisanych po hebrajsku, oraz *Lo tow* co dosłownie się tłumaczy *Niedobrze* (1982) i nosi podtytuł: *Podręcznik dla ludzi obdarzonych poczuciem humoru*; gorzkiego Bauowskiego poczucia humoru, który znalazł wyraz w przytoczonym na stronie tytułowej aforyzmie pochodzącym jeszcze z czasów obozowych: „Umrę i nigdy się nie dowiem, czy świat będzie dalej mógł istnieć beze mnie”.

Nie, nie udało mu się odejść od polszczyzny, nie mógł i prawdopodobnie takiego odejścia nie chciał. Niektóre teksty z tych hebrajskich książek otrzymały następnie wariant polski w publikacji, noszącej charakterystyczny dla jej autora tytuł: *2+2=22* (1995), wcześniej natomiast zredagował wybór wierszy z różnych okresów swojej twórczości pt. *Szki-co?-wnik* (1990) i wbrew sugestii tytułu i okładkowego rysunku są to wiersze bardzo smutne.

Brit mila czyli *Przymierze słów* (1987) — jedyna bodajże książka Baua, którą zauważyła hebrajska prasa literacka — powstała jako rezultat wieloletnich zainteresowań autora zagadnieniem znaczenia słów, ich wędrówek i odmian — słów hebrajskich. Jest to zestaw krótkich eseików z pogranicza językoznawstwa, folkloru i historii, a po trosze i fantazji, co oczywiście nie pozbawia ich swoistego uroku. Zamyślał zredagowanie tego rodzaju eseików również po polsku, utkwiała mi w pamięci Bauowska etymologia słowa „pokalany” (zhańbiony): ma ono pochodzić od hebrajskiego słowa „kalon” co właśnie znaczy — hańba.

W międzyczasie napisał i wydał w swoim własnym wydawnictwie książkę z pewnością najistotniejszą w jego dorobku pisarskim i najświetniejszą w typograficznym. Książkę długo obmyślaną, przeżywaną wciąż od nowa, książkę, której nieistnienie wręcz go przygniatało. — *Wspomnienia*

z czasów drugiej wojny światowej, jak mówił podtytuł a zwraca uwagę ostrzeżenie autorskie: „Nie jestem odpowiedzialny za treść, podyktowało ją życie”.

Naprzód opublikował ją po hebrajsku pod szokująco dwuznacznym tytułem: *Sznot tircach* (1982) co znaczy zarazem — „lata czterdzieste” i „lata mordu”. Po ośmiu latach książka ta w identycznej formie graficznej i typograficznej otrzymała tytuł i szatę języka polskiego nadaną jej przez samego autora: *Czas zbezczeszczenia* (1990). Nie jest to wszakże p r z e k ł a d napisanego po hebrajsku tekstu, lecz polska jego transpozycja; tekst nowy — polski.

Uderzająca jest ta dwujęzyczność Baua. Jego polszczyzna okazała się wspaniale zdramatyzowanym językiem własnym, o którego adekwatność wykazał wielką dbałość — z charakterystycznymi naleciałościami krakowskimi, jak odmiana imienia Marcel na — Marcla!

Chwilami — napisał do przyjaciela w Warszawie — ciarki przechodzą mi po grzbiecie, gdy zastanawiam się, czy aby jakieś stylistyczno-gramatyczne błędy nie pragnęły udowodnić mojego odcięcia od ojczystej literatury.

Tryb relacji wspomnieniowej nasycił Bau groteską, bez niej przecież groza opowieści byłaby wprost nie do przyjęcia, nie do doczytania. Doczytać zaś trzeba biografię człowieka, do którego „czas zbezczeszczenia” — „prawie co nocy powraca w sennych widziadłach”. W czas ten wpisany uzmysławia sobie, iż jego „młodość była okupem, który zapłacił historii za wątpliwy honor: bycia naocznym świadkiem najbardziej okrutnej epoki w dziejach narodu żydowskiego”.

Rezonans czytelniczy i rezonans krytyczny wersji hebrajskiej tych wspomnień był zaskakująco wprost nikły; nie stało recenzentów mogących (chcących) docenić wymiary zjawiska piśmienniczego i dokumentalnego, jakim ta książka była. Zaskakująco? — Literatura hebrajska zupełnie wyraźnie uchyliła się od uznania tematu holocaustu za swój temat najważniejszy, temat-wyzwanie; problem ten — dodajmy — nurtuje głównie literaturę polską.

Stąd nie tłumiony podziw polskich recenzentów tej książki (Jana Güntnera, Adama Komorowskiego, Ryszarda Terleckiego, Ryszarda Wasity), której nieliczne egzemplarze przedostały się do Polski, przede wszystkim do Krakowa. Można też dodać, że z dużą akceptacją krytyczną spotkał się przekład angielski wydany w roku 1998.

Bodajże w roku 1990 Bau pojechał do Krakowa. Spotkał dawnych przyjaciół, chodził ulicami rodzinnego miasta — i poczuł się w nim obco.

Kwadraty chodnika ojczystej ulicy
tak jak wtedy, posmarowane cyframi „klas”
[...]
Jednak — mimo wszystko,
dziwny smutek czai się w każdym kącie
i resztki wspomnień w zapomnienie zmiata.

Przechodnie są mi obcy i ja jestem obcy dla nich.
Nikt nie jest ciekawy „co słycać u mnie”
i nikt nie przesyła „pозdrowień dla taty”.

— napisał w wierszu *Ulica mojej młodości*. Tutaj zamknął się jego krakowski rozdział i więcej do niego nigdy nie wrócił.

Pisarstwo Józefa Baua należy do dziejów izraelskiej literatury polskiej, tylko krąg jej współtwórców i ich czytelników potrafił go ocenić, tylko on dał mu wsparcie środowiskowe. Od polszczyzny nie odszedł, natomiast wszystko, co napisał po hebrajsku — pozostaje bardzo polskie, bardzo polsko-żydowskie. Rodzaj humoru, aluzyjność, metaforyka, zmysł ekspresji słownej wyrosły z kultury języka polskiego. Te też cechy pisarstwa Baua z całą pewnością niemałą odegrały rolę w niemożności jego włączenia się w hebrajski obieg piśmienniczy.

W piękne wiosenne popołudnie odprowadziliśmy Baua do grobu — wspólnego grobu z żoną Rebeką — na podtelawiwskim cmentarzu Nachlat Icchak. Na świeżo wykopany piasek kładli bukiety kwiatów ci, którzy go jeszcze pamiętali z klasy w krakowskim gimnazjum, ci, którzy jeszcze pozostali z wyszczerbionych mocno szeregów „Listy Schindlera”, którzy przeżyli „czas zbezczeszczenia”. Odszedł poeta ich wspólnego losu.

Ryszard Löw (Izrael)

YORAM BRONOWSKI

(1948–2001)

„Najpiękniejszy głos wydaje dzwon ze szkła — miał powiedzieć Marek Hłasko — ale wydaje go tylko jeden raz”.

W nocy z 9 na 10 kwietnia 2001 zmarł w telawiwskim szpitalu Yoram (Jerzy) Bronowski — hebrajski pisarz, eseista uprawiający krytykę i publicystykę literacką, tłumacz prozy i poezji na język hebrajski, wykładowca uniwersytecki. Twórca zanurzony w tradycji europejskiej kultury śródziemnomorskiej (umocniony w niej lekturą Iwaszkiewicza *Książką o Sycylii*, co wyznaje w swoim *Dzienniku*), mógł o sobie powiedzieć, że Europa była dla niego fragmentem biografii i przygodą intelektualną. Hołdował poglądom literackim klasycznym, wręcz konserwatywnym, politycznym natomiast bardzo lewicowym i niechętnym wszelkim nacjonalizmom.

W izraelskim życiu literackim postrzegany był jako postać wyjątkowa: jako człowiek obdarzony siłą napięcia intelektualnego i duchową energią jaki nie w każdym pojawia się pokoleniu.

Yoram Bronowski był bohaterem, który na ochotnika i prawie zupełnie samotnie próbował zbudować przegrodę między nami a barbarzyństwem —

napisał równieśny Bronowskiemu publicysta izraelski Doron Rozenblum.

Jeszcze za jego życia wiedzieliśmy, że nie ma już takich ludzi. A co powiemy teraz? Jego nieobecność będzie zawsze obecna. Nie da się zapomnieć i nie da się odtworzyć. Nasza rzeczywistość po jego śmierci wyglądać będzie jak przeorane pole, na którym kiedyś wznosiła się świątynia. Świątynia kultury.

Urodzony w Łodzi w roku 1948, jako dziesięcioletni chłopiec przybył wraz z rodzicami, ocalałcami z Zagłady, do Izraela. Rodzina była zasymilowana w kulturze polskiej i językiem polskim. Od dzieciństwa naznaczony ciężką chorobą serca długie okresy swojego bezustannie zagrożonego życia spędził w szpitalach. Studia z zakresu filologii klasycznej odbywał w Tel Awiwie i Londynie; nigdy zresztą nie zakończył ich dyplomem i tytułem naukowym, co po latach nie przeszkodziło uniwersytetowi w Beer-Szewie w zaproszeniu go do poprowadzenia seminarium z filologii i kultury antycznej.

W bardzo młodym wieku podjął Bronowski współpracę z wieloma czasopismami i gazetami, przez pewien czas redagował najbardziej prestiżowy w kraju dodatek literacki do liberalnego dziennika „Haarec”. Pisma tego w ciągu kilku dziesięcioleci, do ostatniej chwili życia, był stałym współpracownikiem. Nawet wówczas, gdy okresowo mieszkał w Londynie czy Oxfordzie a potem w Paryżu, gdzie już był rozpoczął zajęcia w Ecole des Langues Orientales Vivantes, przerwane raptownym powrotem do Tel Awiwu. Zasadniczy zręb dzieła pisarskiego Bronowskiego składa się zatem z artykułów w dziennikach i miesięcznikach, należąc do najbardziej nietrwałego z gatunków publikacyjnych. „Lubię gazetę — napisał — jej tymczasowość, jej przemijalność”. Inna zaś jego część zamyka jako posłowania książki obcych autorów, najczęściej te, które on sam tłumaczył. Jedyną publikacją jego autorstwa wydaną za życia pozostaje *Massa al ha-laszon — Esej o języku* z 1975 r. Nie przywiązywał wagi do zebrania swoich tekstów i wydania ich w książce.

Bronowski władał biegle wieloma językami, jego znajomość hebrajskiego zaś takiej była jakości, że w pewnej chwili znalazł się w gronie osób przygotowujących w Oxfordzie słownik języka hebrajskiego. Z poliglotty z jego korzystał — a może w tym właśnie celu go osiągał? — ażeby hebrajszczyźnie przyswoić dzieła najbardziej przez siebie cenionych autorów. Jego zaciekawienia ukazać można skrótko i wybiórczo tylko, albowiem dorobek Bronowskiego jako tłumacza jest bardzo duży i różnorodny.

Tłumaczył zatem z języka starogreckiego i łaciny (w 1979 r. wydał małą antologię poezji klasycznej, potem Horacego), nowogreckiego (wszystkie wiersze Kawafisa, do napisania biografii które-

go przez długie lata zbierał materiały i bezskutecznie się przymierzał), francuskiego (Chateaubrianta, Stendhala, Flauberta, Prousta, Apollinaire'a), hiszpańskiego (Borgesa, Ortegę y Gassetę), portugalskiego (Pessoa), angielskiego (Eliota), rosyjskiego, polskiego... Obdarzony dużą skalą możliwości odtwórczych „Bronowski swoimi przekładami poszerzył izraelskie horyzonty kulturalne — charakteryzował tę działalność współczesny krytyk hebrajski Ariel Hirszfeld. — Tłumaczył utwory absolutnie niezbędne, wybierając je ze skrupulatnością wskazującą na niewątpliwą strategię translatorską. Każde z nich przełamało jakąś barierę i wywołało żywotną reakcję łańcuchową”. Znakomicie podpatrzone! Była to bowiem najtrzeźwiej przemyślana strategia życia pisarskiego Bronowskiego; jego *Dziennik literacki* nie pozostawia tutaj wątpliwości. Z pełną świadomością korzystał on z dzieł najbardziej cenionych przez siebie autorów dla wyrażenia wartości, których sam wyrazić nie potrafił. Zbyt wybornie znał tajniki pisarstwa, by nie rozpoznać granic własnych możliwości twórczych.

Często mi się wydaje — zapisał w pośmiertnie ogłoszonych (2002) stronicach swojego dziennika literackiego z lat 1971–1998 — że gdybym się był urodził w hebrajszczyźnie, od początku bym władał tym językiem — nie potrafiłbym w nim pisać.

Wyczuwał potrzebę tego oddalenia, z którego traktuje się język obcy, język nawet dobrze opanowany — ale obcy.

Stąd z pewnością wywodzi się moja żądza poznawania języków jako możliwość wypowiedziania się w sposób jasny, klarowny co udaje się wtedy, kiedy język pozostaje w pewnym sensie oddalony.

Związki Bronowskiego z Polską, którą parokrotnie odwiedził, były silne i z pewnością wyrsały ponad zwykłe przywiązanie do niej wielu pisarzy hebrajskich pochodzących z Polski. Znano jego — jak sam powiada — „nadmierną skłonność do tematyki polskiej”. To przyciągało uwagę, przezywano go „Polakiem”. Zdarzyło się nawet i tak, iż jeden z takich właśnie literatów hebrajskich napisał o Bronowskim jako — „parszywym Polaku”, o czym on sam opowiedział podczas pierwszego pobytu w Krakowie („Tygodnik Powszechny” 1984 nr 38). Inny natomiast akcent silnych związków emocjonalnych Bronowskiego z Polską wydobywa Anat Peri w pośmiertnym o nim wspomnieniu:

Sprawą niezwykle przykrą dla niego była skłonność Żydów do oskarżania Polaków o antysemityzm i Zagładę przy jednoczesnym zmniejszaniu, w miarę możliwości, winy Niemców.

Tutaj właśnie, w tym podszyciu „polskością” wypatrzeć można źródło zainteresowań Bronowskiego literaturą polską — niektórymi jej autorami — niektórymi utworami — jego wysiłków zmierzających do włączenia jej we współczesny hebrajski obieg czytelniczy.

Spod jego pióra wyszły i ukazały się w oddzielnych książkach opatrzonych posłowiami jego też autorstwa przekłady — Brunona Schulza *Sanatorium pod klepsydrą* i *Sklepy cynamonowe*, Jarosława Iwaszkiewicza *Brzezina* i *Panny z Wilka*, Tadeusza Dołęgi-Mostowicza *Kariera Nikodema Dyzmy*, Hanny Krall wybór, opowiadań zaczerpniętych z tomów *Taniec na cudzym weselu* i *Dowody na istnienie* oraz *Cesarza Ryszarda Kapuścińskiego*.

W rozproszeniu po gazetach i czasopiśmie pozostają pojedyncze utwory Mickiewicza (np. „Epilog” *Pana Tadeusza* w zamyślonym, opracowanym i zredagowanym przez Bronowskiego zeszycie miesięcznika „Moznaim” wydanym z okazji 200-letniej rocznicy urodzin Mickiewicza), Bolesława Leśmiana, Juliana Przybosa; opowiadania, fragmenty prozy Iwaszkiewicza, Stanisława Lema, Sławomira Mrożka, Leo Lipskiego, Kalmana Segala; eseje — lub ich części — Jana Kotta, Leszka Kołakowskiego, Witolda Gombrowicza, Zbigniewa Herberta i Czesława Miłosza, którego pojedyncze wiersze także tłumaczył. Miłosz był dla Bronowskiego pisarzem najważniejszym, jednym z tych twórców, którzy uformowali jego własną świadomość literacką — jak starożytni, jak niektórzy Francuzi.

Bronowski był przekonany, że współczesna poezja polska, poezja drugiej połowy ubiegłego wieku, jest jednym z najbardziej inspirujących, najistotniejszych zjawisk artystycznych i intelektualnych na świecie. Związki zaś poezji hebrajskiej z poezją polską traktował jako objaw dla hebrajskiej korzystny i wzbogacający. Przebieg tych związków przedstawił tak:

Poezja hebrajska narodziła się na początku XIX wieku w kręgu wpływów poezji polskiej. W tym okresie wszyscy poeci hebrajscy naśladowali poezję polską. Mniej więcej

przed półwieczem nic ta została zerwana i poezja hebrajska znalazła się w orbicie wpływów Zachodu. I oto, przed około dziesięcioma laty, na poezję hebrajską ponownie zaczęła oddziaływać poezja tworzona przez Polaków, która właśnie osiągnęła wielką popularność na Zachodzie.

Krąg się zatem zamyka; krąg polski poezji hebrajskiej. Nie można oczywiście mieć pewności, że pogląd ten — wypowiedziany na jednym z zebrań literackich w 2000 r. — podzielają wszyscy współcześni krytycy literatury hebrajskiej w Izraelu.

Niektóre dzieła literatury polskiej obdarzał własnym, bardzo indywidualnym spojrzeniem — *Anhellego* Słowackiego czy Wyspiańskiego *Wesele*. Przeświadczony o wyjątkowej wadze pisarstwa krytycznego Artura Sandauera zamierzył opracowanie jego monografii, i to — po polsku; po zredagowaniu jednego (zagubionego) rozdziału pracę jednak zarzucił; *Wspomnienie o Arturze Sandauerze* ogłosił w telawiwskich „Konturach”.

Dziennikarstwo literackie, które Bronowski uprawiał nakładało na niego obowiązek częstego pisania artykułów, recenzji, krótkich omówień, not informacyjnych. Z nieprzebranej wprost, z biegiem dziesięcioleci narosłej ilości tego rodzaju publikacji, sporo odnosi się do autorów i utworów polskich. Przedmiotem jego zainteresowania może nawet nie była literatura „w ogóle”, jej przebiegi historyczne, prądy czy teorie. Nastawiony był na dzieła i ludzi.

Spośród obszerniejszych jego rozpraw czy większych bloków artykułów pisanych w różnych okresach o pisarzach polskich do najważniejszych, zawierających bowiem próbę oglądu ich twórczości z perspektywy izraelskiej i wartości (intelektualnych, artystycznych, ideologicznych) wnoszonych w krąg hebrajski, zaliczyć można te o Miłoszu, Herbercie, Gombrowiczu, Iwaszkiewicz, Schulzu, Sandauerze, Borowskim, Krall; te o Mickiewiczu, Słowackim i Wyspiańskim. W nie dającej się ogarnąć bibliografii Bronowskiego są też teksty (artykuły, recenzje, wzmianki) o Witkacym, Słonimskim, Tuwimie, Różewiczu, Andrzejewskim, Kołakowskim, Błońskim...

Bardzo często omawiał książki przeczytane w oryginale i na hebrajski nie przełożone. W tym kontekście znamiona wręcz symbolu otrzymuje ostatni przekazany do druku, przed tak tragicznym w skutkach wylewem krwi do mózgu, artykuł Bronowskiego: była nim recenzja publicystycznej książki Wisławy Szymborskiej *Pocztą literacka...*; recenzja ta ukazała się w dzienniku „Haarec” już w czasie ostatniej — przegranej — walki Bronowskiego o życie w szpitalu miejskim „Ichilow”.

Teksty Yorama Bronowskiego znamionowała nie pozbawiona ironii żywotność stylu jemu tylko właściwego, ironii wzorowanej na Gombrowiczu, o czym niejednokrotnie wspomina. Czar tego stylu przyciągał czytelników do dzieł jemu osobiście bliskich. Obdarzony znakomitą intuicją literacką i olbrzymią literacką erudycją potrafił celnie rozpoznać walory utworu nowego, w dawnych zaś wątki i tropy przydatne współcześnie; nie dawał wiary opinii, zgodnie z którą dzieła literackie raz tylko są naprawdę współczesne. Żył literaturą — pod pojęcie to podciągając właściwie cały obszar piśmiennictwa — literą, jej wyrazem, przekazem i nośnością, był najautentyczniejszym filologiem. W okresach załamań podtrzymywał się taką oto dewizą: „Nie wolno myśleć o czytelniku. Po prostu trzeba uprawiać własny ogródek”.

W domenie polskiej — trudno doprawdy na literackim horyzoncie hebrajskim w Izraelu dojrzeć tak wielostronnego i kompetentnego kontynuatora jego twórczości.

Na pierwszą do mnie wizytę przyszedł objuczony czterema potężnymi tomami *Kronik* Prusa, których noszenie sprawiło mu wyraźną trudność fizyczną.

Porozumienie intelektualne między nami dokonało się nie tylko na „terenie” polskim lecz także francuskim. Szybko bowiem okazało się, że Yoram Bronowski również należy do klanu wyznawców eseistyki krytycznej Alberta Thibaudeta i pisarstwa komparatystycznego Etiemble’a. Z podróży do Paryża przywiózł dla mnie w kolejnym prezencie tomik zarejestrowanych rozmów radiowych z Etiemblem *Propos d’un emmerdeur*. Wracam do lektury tej książeczki i zakreślenia na marginesach odczytuję jako wciąż toczoną między nami, rozmowę.

Jedno z ostatnich naszych spotkań było spotkaniem przypadkowym na telawiwskiej ulicy. Zapadły we mnie słowa wypowiedziane wtedy przez Bronowskiego. Tonem spokojnym, wręcz beznamietnym, powiedział do mnie: „Muszę się poddać ciężkiej operacji serca, lekarze powiedzieli, że niepoddanie się operacji zagraża mojemu życiu, natomiast przeprowadzenie tej operacji bynajmniej nie zapewnia jego przedłużenia...”.

Ryszard Löw (Izrael)

JANUSZ EICHLER Z ARGENTYNY

(1923–2002)

W *Dzienniku* Witolda Gombrowicza Polacy z Argentyny pojawiają się niezwykle rzadko i zazwyczaj przy okazji spotkań lub rozmów, które stają się pretekstem do wypowiedzi na tematy z nimi niezwiązane. Odnosi się nawet wrażenie jakby w Buenos Aires mieszkało ich bardzo niewiele i stanowili społeczność mało interesującą dla pisarza. Z nazwiska wymienionych jest zaledwie kilku bankierów i urzędników, tyłuż polityków związanych z placówkami II Rzeczypospolitej i rządu emigracyjnego, kilku ziemian, literatów, malarzy i pewna liczba dziennikarzy, a poza tym jedynie żony i córki, które zapraszały Gombrowicza na odczyty, kolacje, koncerty i zachwycaly się pisarzem. Wszyscy oni są z reguły bezbarwni, głęboko zakompleksieni i „po polsku” nieciekawi, nawet wtedy, gdy budowani są opisem anegdoty. Niemal zawsze ich relacje z Gombrowiczem są dalekie od przyjaźni. Zapewne dlatego w książce Rity Gombrowicz *Gombrowicz w Argentynie*, zamieszczonych zostało ledwie osiem polskich relacji. Nieporównanie częściej (i gwałtowniej) wspomnani są lub cytowani emigranci polscy z Londynu, Paryża, Rzymu, Nowego Jorku czy Chicago, a zwłaszcza obywatele Polski międzywojennej. Dlatego zainteresowanie jakie autor *Trans-Atlantyku* poświęcił nieznanemu zupełnie malarzowi Januszowi Eichlerowi musi zwracać uwagę. Tylko raz w całym *Dzienniku* Gombrowicz napisał o kimś kto nie był pisarzem, wydawcą czy tłumaczem jego książek, wyłączenie w superlatywach:

Wyobraźcie sobie istotę tak delikatną, iż nie żyć jej w naszym grubiańskim świecie. Ten książę, zrażony do cywilizacji i, co więcej, przekonany, że nigdy z nikim nie będzie mógł się porozumieć, postanawia uciec w prostotę i w bajkę. Buduje więc sobie taki kolorowy domek i cieszy się nim, jak dziecko... [...] Eichler jest zarazem miękki i twardy, czuły i okrutny, słaby i silny, trzeźwy i romantyk, po azjatycku bierny i po europejsku aktywny, jest jedną nieustanną kompensacją...¹

Bohater przywołanego wyżej opisu, Janusz Eichler urodził się w 1923 r. w Grudziądzu. Rodzice dopiero co przenieśli się na Pomorze, gdzie ojciec, porucznik kawalerii, Stefan Eichler dostał przydział do Centrum Wyszkozenia Kawalerii; starsza o dwa lata siostra Janusza — Krystyna Zofia, również malarka — przyszła na świat w Częstochowie. W Grudziądzu nie mieszkali długo. Po przewrocie majowym, w którym młody oficer z Grudziądza poparł marszałka Piłsudskiego, Eichlerowie przenieśli się do Mińska Mazowieckiego, a później do Warszawy, gdzie rozpoczęła się błyskotliwa kariera wojskowa ojca malarza, zakończona w stopniu pułkownika WP w Brygadzie Kawalerii w Suwałkach. W 1934 r. pułkownik Eichler jednak odszedł z wojska i został starostą najpierw w Augustowie, a później w Stołpcu na Kresach. Latem 1939 r. Krystyna rozpocząć miała studia na Politechnice Warszawskiej, ale wojna pokrzyżowała plany. Rodzina znalazła się w Wilnie. Dopiero rok później, ratując się przed wywiezieniem z miasta, Krystyna zapisała się na studia malarskie na litewskim uniwersytecie, choć studiować nie zamierzała. Niewiele to pomogło. Wilno ponownie znalazło się pod sowiecką okupacją, a ojciec, internowany wcześniej przez rząd litewski w obozie jenieckim, w 1941 r. trafił do sowieckiego Kozielska. Uniknął jednak losu oficerów przetrzymywanych w Kozielsku w 1940 r.²

14 czerwca 1941 r., zaledwie na tydzień przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, całą „cywilną” rodzinę Eichlerów aresztowało NKWD i zesłało w głąb Związku Sowieckiego, pod

¹ W. Gombrowicz, *Co wiem o Eichlerze?* [w:] tegoż, *Publicystyka, wywiady, teksty różne 1939–1963*. Kraków 1996 s. 288.

² Informacje na temat losów rodziny Eichlerów do roku 1946 pochodzą z pamiętnika Krystyny Eichler, którego maszynopis znajduje się w Archiwum Emigracji BUMK w Toruniu.

granicę z Mongolią, do Kraju Ałtajskiego. Kilka miesięcy kopania buraków zakończyło się z chwilą podpisaniu umowy Majski–Sikorski. W październiku, nie mogąc doczekać się wiadomości o dalszych własnych losach i z trudem zdobywając informacje o tworzącym się polskim wojsku, Eichlerowie postanowili uciec z Syberii i kierować się do Samarkandy. W drodze, w polskiej placówce w Taszkencie, dowiedzieli się, że ojciec żyje i znajduje się w armii gen. Władysława Andersa. W Samarkandzie — według relacji Krystyny Eichler — trafili „na dno piekła”: tłumy niedawnych łągierników, Rosjan uciekających z terenów zajętych przez wojska niemieckie, tyfus plamisty i trudny do opisanego głód. W Samarkandzie odnalazł ich ojciec, wówczas szef oddziału II (wywiadu) Armii Polskiej w Związku Sowieckim, wysyłając żywność i pomoc, a w końcu organizując transport.

W marcu 1942 r. nastąpiła ewakuacja wojska do Iranu. Wywożono również rodziny, szpitale i chorych. Pociągiem Eichlerowie dotarli do Krasnowodska, a stamtąd statkiem przez Morze Kaspijskie dopłynęli do Pahlawi. Janusz, który chorował w Rosji powoli odzyskał siły w Iraku. Wstąpił do wojska i po przeszkoleniu w 1943 r. trafił do oddziału łączności. Przeszedł szlak Armii Polskiej na Wschodzie, a później 2. Korpusu, by w marcu 1944 r. wylądować we Włoszech. 12 maja 1944 rozpoczęła się ofensywa na Linię Gustawa. Walczył w szeregach 5. Dywizji Kresowej pod Monte Cassino, a później, w batalionie łączności, na froncie włoskim aż do końca wojny.

W sierpniu 1945 r., z inicjatywy profesorów Mariana Bohusza-Szyszko, Karoliny Lanckorońskiej oraz Henryka Paszkiewicza, powstała przy wojsku polskim Sekcja Artystów i Studentów Sztuk Pięknych oraz Szkoła Malarstwa. Siedzibą Szkoły były koszary włoskie w Cecchignola pod Rzymem. Na studia malarskie w Szkole odkomenderowano z jednostek 2. Korpusu 49 oficerów i żołnierzy. Po wstępnej selekcji i weryfikacji wykształcenia, w listopadzie 1945 r. 36-cioro z nich przyjęto na studia do rzymskiej królewskiej Accademia della Belle Arti³. Wśród owych 36 adeptów sztuki był Janusz Eichler. W ciągu roku skończył rzymską Scuola del Nudo. Największą przyjaźń łączyła go w owych latach z Ryszardem Demelem i Leonem Piesowockim. Studiowali, zwiedzali rzymskie muzea i zbiory sztuki, dyskutowali... Wystawiali rysunki na pokazach polskich malarzy-żołnierzy, aż po ostatnią pożegnalną wystawę w Rzymie w czerwcu 1946 r.

W październiku 1946 r. przyszła decyzja o ewakuacji Szkoły Malarstwa do Wielkiej Brytanii. Studentów-żołnierzy przewieziono najpierw do obozu przejściowego koło Neapolu, a następnie statkami do Glasgow. Już zimą 1946 r. rzymski ośrodek studentów został ulokowany w obozie Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia w Waldingfield, w „beczkach śmiechu” na dawnym amerykańskim lotnisku koło Sudbury (Suffolk). Warunki nauczania były dalekie od rzymskich, ale bardzo szybko odtworzono Polskie Studium Malarstwa i Grafiki Użytkowej Mariana Bohusza-Szyszko pod opieką Zrzeszenia Profesorów i Docentów Polskich Szkół Akademickich w Wielkiej Brytanii. Janusz Eichler był jednym z 29 studentów, którzy kontynuowali naukę i w 1948 r. odebrali dyplom Studium, zaliczający 4-letnie studia malarskie. Prócz niego byli tam m.in. Beutlich, Demel, Dźwig, Znicz-Muszyński, Paar, Piesowocki, Szeliga i Werner. Na dyplomie zaznaczono, że ukończył je w pełnym zakresie malarstwa sztalugowego z wynikiem bardzo dobrym oraz, że wykazał się „wybitnymi zdolnościami i osiągnięciem dojrzałości artystycznej”. Pod opinią podpisali się Kazimierz Pacewicz, Karolina Lanckorońska i Marian Bohusz. Talent malarza docenili również koledzy; na otwarciu wystawy Studium w Kingwood koło Reading w ich imieniu, witając gości przemawiał właśnie Janusz Eichler⁴.

Nie był już żołnierzem — zwolniony z wojska 1 kwietnia 1947 r., zrezygnować musiał też z przywilejów jakie dawała armia brytyjska. Zapisał się do Young Artists Association, co umożliwiło mu udział w wystawie stowarzyszenia w Kingly Gallery w kwietniu 1947 r. Krótko był też członkiem „Grupy 49”, powołanej przez dawnych studentów-żołnierzy m.in.: Bobrowskiego, Demela, Dobrowolskiego, Piesowockiego, Wenera, a później Baranowską, Kościakowskiego, Mleczkę, Znicz-Muszyńskiego, z którą wystawiał w Londynie w latach 1947–1951 (Dokumentacja działalności „Grupy 49” znajduje się w Archiwum Emigracji w Toruniu — dar R. Demela). Dzięki staraniom Bohusza

³ Działalność grupy polskich artystów plastyków w Rzymie i Anglii opisał R. Demel, *Akademia Sztuk Pięknych*, [w:] *Polscy studenci żołnierze we Włoszech 1945–1947*, oprac. Roman Lewicki. Hove 1996 s. 110–129. Por. też archiwum „Grupy 49” w Archiwum Emigracji BUMK.

⁴ Nieliczne dokumenty i świadectwa pobierania nauk przez Janusza Eichlera we Włoszech i Anglii znajdują się w jego archiwum w Archiwum Emigracji BUMK.

i ambasadora Edwarda Raczyńskiego niemal wszyscy absolwenci Studium uzyskali stypendia Komitetu dla Spraw Oświaty Polaków w W.B., które umożliwiły im naukę w elitarnej Sir John Cass School of Art and Craft w Londynie. Janusz Eichler ukończył studia malarskie w 1951 i wziął udział w pierwszej wystawie absolwentów szkoły. Wcześniej, w 1949 r. zdał państwowy egzamin sztuki (*examination in art*) przed komisją brytyjskiego Ministerstwa Edukacji.

Możemy się jedynie domyślać dlaczego malarz postanowił opuścić Wielką Brytanię. Od 1948 r. w Argentynie przebywała starsza siostra Krystyna, która po ukończeniu architektury na amerykańskim uniwersytecie w Bejrucie, wraz z mężem wyjechała do Ameryki Południowej. W 1950 r. wybuchła wojna w Korei. Obawiając się, że do wojny wciągnięte zostanie dopiero co rozwiązane polskie wojsko (pisała o tym również prasa emigracyjna), rozpoczęła kampanię listową starając się sprowadzić całą rodzinę z Londynu⁵. I to do niej, w połowie 1951 r., popłynął Janusz Eichler z rodzicami. Tuż przed wyjazdem, w marcu, pokazał w klubie YMCA przy 6 Cadogan Gardens w Londynie 13 obrazów olejnych i 27 rysunków.

EICHLER SPOTYKA GOMBROWICZA

Przez pierwsze miesiące pobytu w Argentynie Janusz Eichler mieszkał razem z matką (ojciec wkrótce wrócił do Anglii) w pensjonacie prowadzonym przez Polaków. Znalazł pracę w fabryczce gumowych zabawek, prowadzonej przez żołnierza polskiego z 2. Korpusu. Jakiś czas później (dokładne daty są najpewniej niemożliwe do ustalenia) przeprowadził się do większego mieszkania w Maximo Paz (50 km od Buenos Aires) i tam zorganizował własną pracownię. Zaczął spotykać się z malarzami, bywać na wystawach i malować, najpewniej z myślą o wystawie. Obrazy realistyczne, początkowo inspirowane scenami z życia codziennego, wolno zamieszkiwać poczęły postacie mistyczne, mitologiczne i surrealistyczne, deformując rzeczywistość i nadając jej wyraz magiczny. Przywodziły w pierwszej chwili na myśl sztukę prymitywną, jakieś reminiscencje orientu — widoczne zwłaszcza w kolorach lekko stonowanych, zapelniających duże rozpięte przestrzenie. Krytycy pierwszych argentyńskich wystaw dostrzegli w malarstwie Eichlera echa sztuki perskiej, hinduskiej przypominając pobyt malarza w Rosji i na Bliskim Wschodzie oraz studia w Rzymie. Akcentowali też oryginalność ekspresji i niezwykłą, wyrafinowaną wrażliwość⁶.

Jak długo Eichler mieszkał w Maximo Paz nie wiemy, w pewnym momencie musiał jednak zmienić lokum i zajął popadające w ruinę „rancho” wciąż z dala od miasta. Po upadku rządów Perona, i liberalizacji polityki celnej w Argentynie, fabryczka nie wytrzymała konkurencji tanich zabawek z USA i Eichler został na krótko bez pracy. Z pomocą przyszedł mu Zdzisław Bau, dziennikarz i korespondent prasy emigracyjnej, który zaprotegował malarza do pracy w argentyńskim wydawnictwie. Pozwoliło to malarzowi powrócić do stolicy. Wraz z matką wynajął „pracownię”, malutkie, prymitywne mieszkanie w Avellaneda w La Boca, biednej, portowej dzielnicy Buenos Aires — Montparnassie argentyńskich malarzy, i — jak pisał w 1956 r. Omar del Carlo, pisarz argentyński, krytyk sztuki — „przedmieściu stolicy, gdzie Argentyna przetwarza się w gorącym kotle ludzkości”. Ale była to też dzielnica modnych kabaretów artystycznych, kawiarni i teatrów. Tam w warsztacie, do którego ze wstydu prawie nikogo nie przyprowadzał, „pogrążony po uszy w podmiejskiej mitologii podsycaanej przez tanga, pieśni, fabryki, noże i nocne występki, zapomniał o przeszłości i rzucił się z zapałem do pracy, aby dać świadectwo światu, który go przygarnął”⁷.

Nie mamy pewności kiedy i w jakich okolicznościach Eichler poznał Witolda Gombrowicza. Ani narracja *Dziennika*, ani opublikowane listy pisarza, ani nawet zachowane fragmenty archiwum malarza, nie dają w tym względzie pewnych informacji. Eichler pojawił się w *Dzienniku* po raz pierwszy w połowie 1953 r. Gombrowicz wspomina o tym wydarzeniu przy okazji relacji ze spotkania w większym gronie. Czy była to ich pierwsza rozmowa? Raczej nie. W relacji pisarza miała to być jeszcze jedna okazja do intelektualnej prowokacji. Tymczasem...

Spotkawszy się z młodym malarzem Eichlerem u Grodzickich, oświadczyłem: nie wierzę w malarstwo! (Muzykom mówię: nie wierzę w muzykę!) Potem dowiedziałem się

⁵ List K. Eichler do Autora z 6 I 2003.

⁶ Juan Eichler. *Exposición retrospectiva. Obras de 1950 a 1975*. [Katalog wystawy]. Buenos Aires 1975.

⁷ Tamże, s. [6–8], tłum. K. Eichler.

od Zygmunta Grocholskiego, że Eichler go pytał, czy ja dla hecy uprawiam takie paradoksy. Oni nie domyślają się, ile w tej hecy jest prawdy... prawdy chyba prawdziwszej od prawd, którymi się karmi ich niewolnicze „przywiązanie” do sztuki. [...]

— Dziwi mnie, że malarze polscy nie próbują wyzyskać atutu, jakim na terenie sztuki jest polskość. Wiecznie macie naśladować Zachód? Korzyć się przed malarstwem, jak Francuzi? Malować z powagą? Malować na kłęczkach, z najgłębszym uszanowaniem, malować nieśmiało? Uznaję ten rodzaj malarstwa, ale przecież on nie leży w naszej naturze, wszak tradycje nasze są inne. Polscy nigdy zbytnio nie przejmowali się sztuką, my skłonni byliśmy sądzić, że nie nos dla tabakiery, a tabakiera dla nosa i bardziej odpowiada nam myśl, że „człowiek jest powyżej tego co wytwarza”. Przestańcie bać się własnych obrazów, przestańcie wielbić sztukę, potraktujcie ją po polsku, z góry, poddajcie ją sobie, a wówczas wyzwoli się w was oryginalność, otworzą się przed wami nowe drogi i pozyskacie to co jest najcenniejsze, najplodniejsze: własną rzeczywistość.

Nie przekonałem Eichlera, który wiele włożył wysiłku w wyrobienie sobie solidnej europejskości — i spoglądał on na mnie wzrokiem, do którego już się przyzwyczaiłem, który wyraża: jak łatwo jest gadać!⁸

Mamy powód, aby przypuszczać, że do spotkania Gombrowicza z Eichlerem mogło dojść znacznie wcześniej. Malarz mieszkał przez pewien czas u siostry Krystyny, w pensjonacie prowadzonym przez Polaków. Siostra wprowadzała go w polskie „towarzystwo”. Wspomina, że do grona osób, które zbierały się by w prywatnych mieszkaniach dyskutować z autorem *Ferdydurke* dołączył Janusz Eichler „po przybyciu z Londynu”. Najpewniej zatem miało to miejsce jeszcze w 1951 r., skoro we wspomnieniach Krystyny Eichler czytamy:

Gombrowicza poznałam w r. 1951 u Tymis i Zygmunta Grocholskich, gdzie bardzo często zbieraliśmy się wieczorami. Do naszego grona należeli Hala i Krzyś Grodziczcy oraz Nike i Stanisław Stadniccy, no i naturalnie Witold. Wkrótce dołączył mój brat Janusz Eichler po przybyciu z Anglii. Ciekawe były te nasze dyskusje z Gombrem na czele. A też i Zygmunt Grocholski był bardzo dowcipny i wygadany. Przed wojną był podobno konferansjerem w Dolinie Szwajcarskiej znanej kawiarni w Warszawie [...]. Grochoł uprawiał wtedy malarstwo impresjonistyczne, i malował portrety Nike Stadnickiej. Wkrótce jednak przerzucił się na abstrakty i stworzywszy nową technikę, którą nazywał „zygro”, sam zaczął się nazywać Zygro. Nie pamiętam też z czyjej inicjatywy powstała idea kursów filozoficznych. [...] jeden z nich był u mnie. Czwarty odbywał się u pani Kowalewskiej (zdaje mi się, że takie było jej nazwisko). Spotkałam ją po raz pierwszy i jedyny na „Pikniku filozofów” u Janusza w Maximo Paz⁹.

Przyjmijmy jednak, że zanotowane w *Dzienniku* spotkanie i rozmowa z Eichlerem w 1953 r. były z jakichś powodów istotne dla Gombrowicza. Na tyle ważne, że znalazły odbicie w dwóch kolejnych, następujących po sobie dziennych zapisach. Być może *passus* z *Dziennika* jest też świadectwem zacieśniającej się przez dłuższy czas znajomości (a może przyjaźni) obu mężczyzn. Gombrowicz pozował do portretów, najpewniej spotykali się w kawiarni Rex, u Grocholskich, Grodzickich i innych wspólnych znajomych. Zapewne rozmawiali również o możliwości zorganizowania wystawy. Gombrowicz poznawał twórczość malarza i wolno się do niej przekonywał. Zostawił też niezwykle świadectwo tego zainteresowania. Na początku 1954 r. Eichler wyjechał na wieś, a pisarz przeniósł się do jego mieszkania-pracowni. Napisał w *Dzienniku*:

[...] wolę nie lubić sztuki — to znaczy, że czekam, aby ona mnie się narzuciła — nie należę do osób, które uganiają się za nią... Otóż obrazy Eichlera zaczęły narzucać mi się ze ścian tego wąskiego pokoju jakąś treścią, której nie byłem w stanie odgadnąć. W tym człowieku i w jego malarstwie, które jest bardzo do niego podobne — i bardzo, uporczywie własne — i czyste, doprowadzone do maksymalnego wyrazu w skali niezwykle wąskiej swojego stylu, tkwi jakaś tajemnica „biologiczna” której nie mogę odgadnąć. Podejrzałem go o histerię, tymczasem, przy bliższym poznaniu, odkryłem w nim naturę

⁸ W. Gombrowicz, *Dziennik (1953–1956)*. Paryż 1957 s. 38–42.

⁹ List K. Eichler do autora z 7 I 2003.

mocną i zrównoważoną. Tak czy owak, te barwy, te linie, z takim uporem (będącym cechą sztuki) powtarzające jedno i to samo w wielorakich kombinacjach formy, nasunęły mi myśl o „jedwabistej zdradzie” i w braku czegoś lepszego uczepiłem się tego określenia. Zdrada? Jaka zdrada? Czy można dociec? Każdy z nas przez inną furtkę wymyka się życiu i milion drzwi prowadzi na bezmierne pola zdrady. Ale (myślałem, siedząc naprzeciwko tych form dwulicowych) jakaż bezsilność teorii wobec istnienia — i Eichler wydał mi się jak woda przeciekająca Mascolowi przez palce, jak wąż ginący w trawie, jak mrówka, jak owad w migotliwym listowiu na wietrze¹⁰.

Najpewniej tuż po tym, w lutym 1954 r., Gombrowicz zanotował w liście do Jerzego Giedroycia:

Tu Eichler, Polak, wielce utalentowany malarz, pragnie zrobić wystawę w Paryżu. Komu posłać kilka jego obrazów tytułem próbki? Czapskiemu? Ulatowskiemu? Kto mógłby tę sprawę wziąć do serca i dopomóc mu swoimi wpływami, oczywiście gdyby uznał, że gra warta świeczki? Eichler ciężko fizycznie pracuje, pieniędzy nie ma, a to człowiek wyjątkowo miły i szczerzy artysta¹¹.

W tym samym celu zapewne zabiegał o spotkanie Eichlera z Józefem Czapskim, który w maju 1955 r. przyleciał do Argentyny z zamiarem odwiedzenia brata Stanisława. Na Czapskim twórczość Eichlera i rozmowa z nim miały zrobić wielkie wrażenie. W relacji Gombrowicza czytamy:

Dziękuję za Eichlera! To rzeczywiście coś! To naprawdę ktoś! To bardzo... bardzo... wyjątkowo... to takie... — I zaczął ruszać palcami, rękami, wic się w męczarni niewysłowienia, jak zawsze malarze, gdy chcą coś powiedzieć o malarstwie¹².

Wolno nam się domyślać, że przez swoje argentyńskie znajomości Gombrowicz „załatwił” Eichlerowi wystawę w galerii Pizarro w 1956 r. Napisał też recenzję tej wystawy pt. *Co wiem o Eichlerze?* I są to chyba najpiękniejsze słowa jakie o Januszu Eichlerze napisano:

O wystawie Eichlera, Ja? Ależ to nieporozumienie! Ja, który „nie wierzę w malarstwo” i nie lubię go w tym jego wstrętnym znieruchomieniu, zubażającym naturę o całe natchnienie jej ruchu, jej gry objawicielskiej. Nie cenię pędzla, ponieważ skazuje świat na paraliż; jest, poza tym, tak ograniczony w swoich środkach wyrazu. Trudno mi jednak nie powitać publicznie nowego kolegi, Eichlera. Mówię „kolegi”, gdyż ta ręka, choć wrogi mi pędzel trzyma, jest ręką artysty. [...] To bardzo niesamowity człowiek i zgoła egzotyczny, jak na Polaka. Eichler to, przede wszystkim, delikatność, wschodnia nieomal, persko-arabska, tak jedwabista... Ale Eichler ma pewną cechę wspólną z Szopenem tę mianowicie, że w nim delikatność staje się kategorią. Czyż nie rodem z takiego „uporu w słabości” zimny tragizm Szopena, lodowate okrucieństwo tej muzyki, jej zamrożony jęk, jej skryzalizowane furie? Szopen nie udaje siły, przeciwnie, przyznaje się do bezgranicznej słabości — ale wyciąga z niej wszystkie konsekwencje, że w końcu ona słabość staje mu się siłą... W Eichlerze nie ma tak krańcowej antynomii, nie nosi on w klatce piersiowej choroby i śmierci jak Szopen, a jednak jego delikatność tak samo, po szopenowsku, jest uparta i świadoma. [...] Mowa o samym Eichlerze, a nie o jego obrazach. Nie znoszę dobrego malarstwa, lubię tylko malarstwo bardzo złe i na to, aby Eichler mógł mnie wprawić w zachwyty, musiałby malować o wiele gorzej¹³.

Biorąc pod uwagę powyższy tekst, trudno zrozumieć dlaczego Eichler po roku 1954 niemal zniknął z twórczości Gombrowicza. W każdym razie nie pojawia się w *Dzienniku*, rzadko notowany bywa w korespondencjach. Nie ma jednak wątpliwości, że przez cały ten czas jest gdzieś blisko i stanowi część kolorytu argentyńskiego świata pisarza. Śladów zostało jednak niewiele. Maria Świeczewska wspominała, że w domu Eichlera odbył się pamiętny „piknik filozofów” — poże-

¹⁰ W. Gombrowicz, *Dziennik (1953–1956)*, s. 126–127.

¹¹ J. Giedroyc, W. Gombrowicz, *Listy 1950–1969*, wybrał, oprac. i wstępem opatrzył A. S. Kowalczyk. Warszawa 1993 s. 101.

¹² W. Gombrowicz, *Co wiem o Eichlerze?*, s. 287.

¹³ Tamże, s. 286–289.

gnałny wieczór kończący kursy filozofii, które Gombrowicz prowadził dla kilku Polek w Buenos Aires¹⁴. Musiało to być w końcu 1954, może na początku 1955 r. i trudno sobie wyobrazić, aby wybór miejsca był przypadkowy. Owym domem Eichlera było wówczas wspomniane tu już wcześniej rozpadające się rancho pod miastem. W liście Gombrowicza do Mariana Betelu zamieszczonym w tomie *Tango Gombrowicz* czytamy ponadto o spotkaniu zimą 1959 u Zofii Chądzyńskiej, na którym miał być Eichler¹⁵. Być może miało to być spotkanie po wernisażu wystawy jaką Eichlerowi zorganizowano w polskiej galerii Libertad w Buenos Aires. Właścicielką galerii była Dolly Kamenko, zwana Józefinką¹⁶. Z lat 50. pochodzi też jedyne znane wspólne zdjęcie Gombrowicza i Eichlera¹⁷. Jest jeszcze jeden ślad bardzo silnych związków obu mężczyzn — w lutym 1963 r., a zatem tuż przed wyjazdem do Europy, autor *Ferdydurke* w liście do redaktora Jerzego Giedroycia sugerował, aby nagrodę plastyczną „Kultury” przyznano właśnie Januszowi Eichlerowi¹⁸.

A może odpowiedź na pytanie dlaczego? jest prostsza niż nam się wydaje... Gdzieś na początku lat 60. wydawnictwo, w którym pracował Eichler zbankrutowało i malarz, chcąc nie chcąc musiał wynieść się z miasta. Zamieszkał daleko poza Buenos Aires, w Tigre, na wyspach w delcie rzeki Parana, gdzieś w pobliżu granicy argentyńsko-paragwajskiej. Malował swoje nowe ranczo na wielu obrazach. Z daleka od ludzi, w dziczy, na ustroniu, żył wśród roślin, ptaków i płócien własnych obrazów. Własne potrzeby ograniczył do niezbędnego minimum. Argentyński krytyk sztuki nazwał Eichlera Omarem Khayyamem Parany¹⁹.

Nie sposób powiedzieć jak długo to trwało. Regularnie okradany, w obawie o życie, porzucił azyl i w latach 70. wrócił do cywilizacji. W Buenos Aires zamieszkał w rozpadającej się ruderze, ale pech go nie opuszczał. Przyciągał swą niezaradnością i dziecinną łatwowiernością wszelkiego rodzaju złodziei i cwaniaków, którzy zabierali mu pieniądze od siostry i za sprzedawane obrazy. Nie uchroniła go od tego nawet ucieczka do domu przyjaciół — Viscontich, z dala od stolicy Argentyny, choć pobyt w nowym miejscu pozwolił mu malować i wystawiać, i dał poczucie bezpieczeństwa. W latach 80. niemal regularnie zmieniał miejsca zamieszkania korzystając z gościny i pomocy argentyńskich znajomych. Ostatnie lata życia, po ciężkiej chorobie, spędził w schronisku w Buenos Aires, pod opieką argentyńskich przyjaciół, zwłaszcza malarki Liliany Pasquoli de Goyaneche, która zabierała go z miasta do swego domu, oraz Patricka i Zozi Badaracco, wielbicieli jego talentu. Byli oni świadkami śmierci malarza w szpitalu w Buenos Aires 24 sierpnia 2002 r.²⁰ Liliana Pasquoli pisała po tym wydarzeniu do siostry Janusza Eichlera — Krystyny do Stanów Zjednoczonych:

Spędzaliśmy razem koniec tygodnia malując, a potem szliśmy w pole. On kochał przyrodę i cieszył się wiejskim powietrzem. W naszej rodzinie był on jednym z nas. [...] On nie potrzebował niczego, dlatego był bogaty, posiadając wszystko w swej mądrości i w swoim sercu pełnym miłości. Kochał św. Franciszka z Asyżu i swoje Madonny. [...] Podarował mi swoje pędzle, książki o sztuce, a co najważniejsze podarował mi godziny gawęd o malarstwie i swoich przygodach²¹.

CO JESZCZE TRZEBA POWIEDZIEĆ O EICHLERZE?

Nie zerwał kontaktów z kolegami z wojska, choć listy z czasem stawały się coraz rzadsze i nawet najbliższych niegdyś znajomych zaskoczyła wiadomość o śmierci malarza w 2002 r. W 1962 r. otrzymał odznakę pamiątkową 7. Pułku Ułanów Lubelskich im gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Przesyłało mu również gazety, a czasem odwiedzali Argentynę dawni przyjaciele — jak choćby Zdzisław Bau, który relacjonował w 1960 r. jedną z wystaw Eichlera dla londyńskiego

¹⁴ M. Świeczewska, [w:] *Gombrowicz w Argentynie, świadectwa i dokumenty 1939–1963*. Londyn 1987 s. 150.

¹⁵ *Tango Gombrowicz*, zebrał, przełożył i wstępem opatrzył R. Kalicki. Kraków 1984 s. 15.

¹⁶ Z. Bau, *Janusz Eichler — Compadrito*, Tydzień Polski (Londyn) 9 I 1960.

¹⁷ *Tango Gombrowicz*, fot. 36.

¹⁸ J. Giedroyc, W. Gombrowicz, *Listy*, s. 345.

¹⁹ *Juan Eichler: Exposición retrospectiva*, s. [7].

²⁰ List K. Eichler do autora z 7 I 2003.

²¹ List L. Pasquoli do K. Eichler z grudnia 2002 r., tłum. K. Eichler (kopia w posiadaniu Autora).

„Dziennika Polskiego”. Korespondował też z ojcem w Anglii. Do Europy nigdy jednak nie wrócił, nie wróciły żadne z jego obrazów, nigdy też nie brał udziału w wystawach polskich w Londynie, czy Francji, choć nie jest wykluczone, że z poparciem Gombrowicza o taką wystawę w Paryżu zabiegał dwukrotnie, w 1954 i 1963 r.²² Nie wspomina go ani Marian Bohusz-Szysko w tomie *O sztuce* (1982), ani Stanisław Frenkiel w *Kożuchach w chmurach* (1998), choć jest obecny w opracowaniu Ryszarda Demela o artystach polskich w Rzymie w 1945 r.²³

Janusz (Juan) Eichler przez jakiś czas współpracował z czasopismami, w których zamieszczał rysunki i wydawnictwami, dla których ilustrował książki. W rysunkach osiągnął niemal doskonałą prostotę i wyrazistość. Za pomocą kilku zaledwie kresek i linii potrafił naszkicować sceny z życia dworu hiszpańskiego, koloryt miasta, twarze, fragmenty budowli, czy przejmujące wyrazem walki byków. Wystawiał w Argentynie wiele razy, głównie płótna, ale też prace mniejsze. Dla przyjaciół i znajomych tworzył kolaże z wycinanek i karty pocztowe, które wysyłał lub rozdawał. Siostra wspominała:

Od początku miał świetne krytyki, pisane przez najlepszych krytyków-pisarzy. Argentyna przyjęła go jak swojego, a bo też i on niczym się od jej mieszkańców nie różnił. Wyglądał jak Argentyńczyk, [...] nazwisko pasowało do otoczenia. Mówił też świetnie po hiszpańsku, bez akcentu²⁴.

Wiele malował, sprzedawał, ale nie zachował się zaden spis prac, czy choćby informacja o ich liczbie. W 1975 r. miał dużą wystawę retrospektywną w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Buenos Aires. Pokazał na niej kilkadziesiąt obrazów olejnych z ostatnich lat, co daje pewne wyobrażenie o pracy. W 1982 r. otrzymał prestiżową nagrodę argentyńskiej Fundacji KONEX w dziedzinie malarstwa surrealistycznego, co umożliwiło mu wystawienie obrazów w El Mensaje Gallery w stolicy. Ostatnią dużą wystawę miał Eichler w 1985 r. Czy dawało mu to satysfakcję — nie wiemy.

DLACZEGO NIKT NIE PAMIĘTA O JANUSZU EICHLERZE?

Dlaczego nikt nie pamięta o malarzu, którego obrazy prawie nie są znane — to wydaje się zrozumiałe. Poza jedną stroną internetową stworzoną przez przyjaciół w USA (www.najmici.org) malarstwo Janusza Eichlera nie istnieje w tzw. naukowym i „publicznym obiegu”. Kilka rysunków pokazywanych było na wystawie „Mała Galeria Sztuki Emigracyjnej” w toruńskim Archiwum Emigracji, a później w katalogu²⁵. I to wszystko. Dlaczego jednak nie pamiętają o malarzu tzw. „znawcy od Gombrowicza”? Na fotografii zamieszczonej w książce *Tango Gombrowicz* Rajmunda Kalickiego wydanej w Polsce w 1984 r. (fot. 36), Eichler i Gombrowicz siedzą przy stoliku w kawiarni Rex w Buenos Aires. Dlaczego zdjęcie jest jedynym nieopisanym w całej książce? Dlaczego nie zostało wyjaśnione kim był Eichler w książkach poświęconych autorowi *Ferdynandurke*, np. w edycji korespondencji Giedroycia z Gombrowiczem? Dlaczego nie ma Eichlera w książce Rity Gombrowicz *Gombrowicz w Argentynie*? Czy żyjący w nędzy, chory Eichler nie wydał się autorce interesującym świadkiem? Czy wydawało się jej, że dawno nie żyje? W książce są relacje kilku wspólnych znajomych.

Wydaje się, że ponownie odkryty, będzie Janusz Eichler znakomitym, osobnym, przykładem polskiego malarstwa surrealistycznego. Zarówno miejsce jakie zajmuje wśród malarzy argentyńskich, jak i dokonania w działalności wystawienniczej w Argentynie dają mu prawo do ubiegania się o zainteresowanie i sprawiedliwą ocenę. Ale Eichler może też być ważnym świadkiem pobytu Gombrowicza w Argentynie. Jak pisała w 1975 r. wspomniana Maria Świczewska — swoistym malarskim *alter ego* pisarza, współtowarzyszem walki o własny wyraz i formę wypowiedzi artystycznej. I choćby dlatego nie wolno o Eichlerze zapominać²⁶.

Mirosław Adam Supruniuk (Toruń)

²² J. Giedroyc, W. Gombrowicz, *Listy*, s. 344.

²³ R. Demel, *Akademia Sztuk Pięknych*, s. 110–127.

²⁴ List K. Eichler do Autora z 7 I 2003.

²⁵ M. A. Supruniuk, J. Krasnodębska, *Mała Galeria Sztuki Emigracyjnej ze zbiorów Archiwum Emigracji*. [Katalog wystawy]. Toruń 2002 s. 23.

²⁶ M. Świczewska, *Tęcza zakłęta w formę*, *Głos Polski* (Buenos Aires) 1975 nr 43 s. 4–5.

DROGA PANI ŁUCJO...

ŁUCJA GLIKSMAN (1913–2002)

Dużo by wyszło wierszy
Z tego co czuję i myślę,
Gdyby to wszystko spisać,
Coś dodać, coś wykreślić.

Dużo by można powiedzieć
O tym co snuje się w ciszy —
I to są właśnie te wiersze,
których już nie napiszę.

(Cisza)

Droga Pani Łucjo...

tak od ponad 14 lat rozpoczynałem nasze listy do profesor Łucji Pinczewskiej-Gliksman, która opuściła nas wszystkich 31 grudnia 2002 r.

Choć przez swą bogatą biografię zrosła się w niezwykle sposób z historią naszej literatury, była mało znana. Zaprzyjaźniona ze środowiskiem paryskiej „Kultury”, gdzie publikowała pod pseudonimem Wanda Falk, na trwałe wpisana w życie literackie pisarzy piszących po polsku na Ziemi Świętej, w kraju była długo zapomniana i prawie nieobecna. Przez lata decydujący wpływ miała na to cenzura, a potem Jej nazwisko pojawiała się głównie na marginesie uwag na temat twórczości Leona (Leo) Lipskiego, którym jako oddana przyjaciółka opiekowała się przez 37 lat. Publikowała niewiele, w sam raz tyle, na ile pozwoliło jej trudne życie. Teksty literacko-krytyczne drukowała w prasie polskiej w Iranie, Jerozolimie, Nowym Jorku i Paryżu. Pod panińskim nazwiskiem Pinczewska opracowała wybory wierszy Kasprowicza (1944) i Ujejskiego (1946). Wiersze publikowała w polskiej prasie w Izraelu; wydała ich dwa zbiorki: *Wczoraj i inne wiersze* (Tel Awiw 1993) i *Nostalgia* (Olsztyn 1995). Od 1988 r. współpracowała z wychodzącym w Tel Awiwie almanachem Związku Autorów Piszących po Polsku w Izraelu „Kontury”. Począwszy od lat 90. zainteresowanie postacią Łucji Gliksman wzrosło. W kraju jej życiu i twórczości poświęcone były w tym czasie: esej Piotra Łuszczkiewicza *Urok późnych debiutów: o poezji Łucji Gliksman*¹, audycja radiowa Alicji Maciejowskiej nagrana w roku 1999 dla programu I Polskiego Radia oraz film redaktora „Gazety Poznańskiej” Zbigniewa Pakuły *Emigrantka*. Łucja Gliksman była również przewodnikiem po historii życia i twórczości Leo (Leona) Lipskiego w zrealizowanym dla programu I TVP przeze mnie i Macieja Nowickiego filmie o tym pisarzu (*Leo Lipski*). W Izraelu pięknie i mądrze wypowiadał się na temat jej wierszy bibliograf i eseista Ryszard Löw — redaktor naczelny „Konturów”. Po opublikowaniu pierwszych napisał: „To był debiut późny — ale od razu zauważony; debiut dojrzały — ale nie zgorzkniały. Debiut piękny i zdumiewający”. Nie może w tym być niczego zaskakującego. Nikt tak nie ukochał literatury polskiej, nie przesiąkł nią jak Łucja Gliksman. Mówiła pięknie, polszczyzną rzadko dziś spotykanej urody. Znała na pamięć całe rozdziały z Prusa, Żeromskiego, godzinami mogła deklamować nie tylko polskich poetów, których najczęściej znała osobiście. Nasze telefoniczne rozmowy lubiła często zamieniać w quizy. Cytowała dajmy na to obszerny fragment z *Lalki*, *Anny Kareniny*, *Popiołów* lub któryś z wierszy Tuwima, a ja szukałem w pamięci tylko tytułu. Świetnie się przy tym bawiła. Zawsze potrafiła i lubiła żartować. Nie stroniła od ironii i mówienia wprost, zwłaszcza wtedy, gdy ktoś kłamał lub nadużywał słów. Uwielbiała uczciwy dialog i prawdziwe spotkania. Straciła wszystkich, żyła w samotności. Najpierw dzieliła tę samotność z przyjacielem — Leo Lipskim, potem jedynie ze swymi wierszami. Nic dziwnego zatem, że i Jej poezja — co zauważył w swym eseju Piotr Łuszczkiewicz — „jest na wskroś dialogowa”. To rozmowa z ludźmi i czasem, który odszedł lub nie nadszedł.

¹ [W:] tegoż, *Po balu: eseje o literaturze polskiej*. Warszawa 1997.

Jawny bądź skryty dyskurs: z tradycją wersyfikacyjną polskiego wiersza i kano-
nem jego metaforyki, z korowodem wirtualnych adresatów i odbiorców, z szablonami
sensów i przesłań. Łucja Gliksman nosi w sobie całą nowoczesną tradycję wiersza pol-
skiego, od Mickiewicza i Ujejskiego poczynając, na Kasproviczu zaś i szczególnie
ulubionym Tuwimie kończąc. Jej utwory są precyzyjnie przemyślane i sugestywnie
zrobione, i jest to z pewnością częściowy choćby rezultat studiów językoznawczych
u Romana Jakobsona, a także echo slawistycznej biegłości historycznoliterackiej na-
bytej w pracowni Michała Karpowicza. Ta poezja po prostu żyje liryką drugiej połowy
XIX i pierwszych czterdziestu lat XX wieku, jak bluszcz pnie się po niej w aluzjach,
cytatach, pastiszach i trawestacjach².

Szukała porozumienia nie tylko z Polską, w której straszło wiecznie odradzające się widmo
antysemityzmu, ale też z izraelską rzeczywistością, której również czuła się częścią. Kiedy sytuacja
polityczna w Izraelu nabrzmiewała, odczuwała to boleśnie i po ludzku. Aż dziw, że Jej serce tak
długo to wszystko znosiło, każde pożegnanie z odchodzącymi przyjaciółmi, każdą bombę, milcze-
nie, złe słowa... Pytała często z prostotą zranionego dziecka: „Czemu ja jeszcze żyję?”. Choć zaraz
potem żyła dalej, bo nigdy nie potrafiła nauczyć się nie żyć.

Gdzie był Jej prawdziwy dom? Chciałoby się rzec, znając specyfikę losu środowisk polskich
w Izraelu: „Nie żyje się w kraju, żyje się w języku”, ale dla Łucji Gliksman nie było to do końca
tak proste, choć przecież język polski kochała, poznała doskonale i jako naukowiec, i jako badacz
literatury, i jako poetka. Sądzę, że prawdziwą ojczyzną było dla niej u końca drogi chyba tylko
Człowieczeństwo. Asymilowała się do tyłu rzeczywistości, z których żadna nie okazała Jej życzli-
wości, iż w końcu nawet Jej Bóg, bo była osobą wierzącą, nie dałby się zamknąć w żadnej ortodok-
sji. W niepokornych wierszach poświęconych Holocaustowi i jego konsekwencjom to adresat
modlitwy cierpiących, jak w wierszu *Z głębokości*:

Byłam na wojnie. Byłam w niemieckim obozie,
Gdzie miano mnie zamęczyć i zgładzić.
Byłam na zesłaniu, byłam na Syberii —
I niczemu nie mogłam zaradzić.

Tak, byłam w szpitalach, byłam w więzieniach,
Byłam w oblężonej Warszawie —
I nic nie mogłam zrobić, niczemu zaradzić,
Tylko
de profundis clamavi

W chwilach najbardziej intymnych modliła się słowami znanymi z dzieciństwa, budowała
z nich mosty dla tego, co nie mogło być wypowiedziane.

W ludziach z radością, przełamując nieufność, dostrzegąła dobro. Po spotkaniu z Markiem
Hłasko, które obfitowało w dość gwałtowne zdarzenia, potrafiła powiedzieć, że był to bardzo,
bardzo dobry człowiek. Chowała go w życzliwej pamięci.

We wspomnieniach najchętniej powracała do kraju lat dziecinnych. Ponieważ po mieczu też
wywodzę się z Wielkopolski, wiele ciepłych chwil spędziliśmy na przypominaniu sobie tamtej-
szych przyspiewek, ciekawostek językowych i obyczajowych. Niezwykłe koncerty na liczącym
dwa i pół tysiąca mil kablu telekomunikacyjnym, śpiewane na dwa głosy.

Gdy wracała myślą do tych tematów, najbliższym sercu Łucji Gliksman miejscem był Opatów-
wek, skąd pochodziła. Pamiętają ją tam do dziś, można powiedzieć, że jest im równie bliska, jak
oni byli bliscy Jej. Na stronach internetowych miasta można odnaleźć najdokładniejszy z dostę-
pnych zapis faktów z życia poetki. Myślę, że chciałaby, aby to właśnie oni opowiedzieli o nim, dla-
tego wprost odwołam się teraz do tekstu Jadwigi Miluńskiej z tej właśnie strony:

Łucja Pinczewska urodziła się w Opatówku 14 października 1913 r. Była wnuczką
i córką znanych i szanowanych przed wojną właścicieli fabryki lalek w Opatówku. Naj-

² P. Łuszczkiewicz, *Urok późnych debiutów (o poezji Łucji Gliksman)* [on-line]. Dostęp —
luty 2003]. Dostępny w WWW: http://www.info.kalisz.pl/Po_balu/urokpoz.htm.

trwalsze obrazy z Jej dzieciństwa to przyroda — bzy kwitnące w pobliżu fabryki, sosnowy las i rosnące na jego skraju dziewanny, niezapominajki nad stawem, łąki z różowymi firletkami, sad i ogród warzywny. To właśnie przyroda jest częstym bohaterem Jej utworów. Z wczesnego dzieciństwa pani Łucja pamięta także Stefana Gillera, który był już wtedy starszym. Najważniejszą postacią w rodzinnym domu Pinczewskich była babka pani Łucji — Anna, która prowadziła jeden z działów fabryki, a także zajmowała się dużym czternastopokojowym domem. Była to samodzielna, bardzo elegancka kobieta.

Młodość spędziła pani Łucja w Warszawie, gdzie ukończyła gimnazjum, a potem studiowała polonistykę w Uniwersytecie Warszawskim. Była wyjątkowo zdolną uczennicą, bardzo ładną i pogodną dziewczyną. Miała wielu przyjaciół, którym pozostała wierna aż do ich śmierci. Jedną z koleżanek szkolnych wspomina jej warszawski dom, w którym panowała serdeczna atmosfera, a także jej trzech przystojnych, wykształconych braci. Na wakacje i w święta rodzina Pinczewskich zjeżdżała się do Opatówka. To prawdopodobnie tutaj powstały pierwsze wiersze publikowane na łamach „Gazety Kaliskiej”.

W Opatówku pani Łucja zaprzyjaźniła się z Erną Schumann Wiewiórkowską, która prowadziła księgownię fabryki. Ta przyjaźń przetrwała w korespondencyjnych kontaktach aż do śmierci pani Erny w 1989 r. W serdecznej pamięci pani Łucji pozostały także proste kobiety — Bieniaszkowa i Cieślakowa z Kolonii (Tłokini), którą odnajdujemy w jednym z wierszy. Jeszcze przed wojną rodzina utraciła dwie bliskie osoby. Najpierw w Brukseli zginął tragicznie brat pani Łucji wraz z żoną, a pół roku później na zawał serca zmarł ojciec, co było konsekwencją wcześniejszej tragedii.

Wybuch wojny zastał Łucję Pinczewską w Warszawie. W reportażu wspomina, że ona, miłośniczka Mickiewicza i Norwida, już w pierwszych dniach wojny boleśnie zetknęła się z antysemityzmem. W początkach okupacji przedostała się wraz z mężem — lekarzem do Lwowa. Później dołączyła do niej matka i dwaj bracia — adwokaci. Młodszy z braci — po krótkim czasie został aresztowany i znalazł się w łagrze, a ona z matką i starszym bratem została zesłana za Ural, gdzie pracowała ciężko w kopalni węgla. Utraciła wówczas kontakt ze swoim mężem, który zginął w nieznanych jej okolicznościach. W czasie pobytu na Syberii jej maleńki pokój był ostoją polskości. Schodziła się tu młodzież, a matka i brat, którzy byli bardzo muzykalni, uczyli pieśni Moniuszki i Karłowicza. Natomiast pani Łucja była nauczycielką literatury polskiej. Znając wiele utworów literackich na pamięć, mogła w wojennych warunkach bez książek uczyć na Syberii polskie dzieci. Oczywiście jej działalność napotykała wiele przeszkód, które potrafiła pokonywać odważnie i z godnością, a czasem nawet z humorem.

Na mocy porozumień polsko-radzieckich z lipca 1941 roku rodzina Pinczewskich została zwolniona z przymusowej pracy. Brat wstąpił do armii Andersa, a pani Łucja udała się do Kujbyszewa, gdzie mieściła się polska ambasada. Dostała tam pracę w Tadzycystanie w Delegaturze Rządu Polskiego przy rejestracji byłych polskich więźniów i zesłańców napływających do Tadżykistanu z całego Związku Radzieckiego. Była świadkiem wielu ludzkich tragedii. Po przebytej ciężkiej chorobie ewakuowała się razem z matką do Teheranu, gdzie od Polaka — kalizanina — dowiedziała się o śmierci brata Adama. To był kolejny cios, który spowodował nawrót choroby więźniów i zesłańców — pelagry.

W końcu obie kobiety dostały się do Palestyny, gdzie pani Łucja pracowała w różnych polskich placówkach. W redakcji czasopisma „W drodze” współpracowała z Władysławem Broniewskim, którego знаła jeszcze z Warszawy. Później, po jego śmierci, pisała o nim w paryskiej „Kulturze”, wspominając warszawskie czasy. W Jerozolimie tworzyła wiersze po polsku, które bardzo podobały się przyjaciołom i znajomym, ale bardzo rzadko je publikowała. Po likwidacji polskich placówek w Jerozolimie Łucja Pinczewska przeniosła się do Tel Awiwu. Tam spotkała profesora Jerzego Gliksmana [autor pierwszej obok *Innego świata* książki prezentującej Europie prawdę o sowieckich łagrach: *Powiedzcie Zachodowi* — A.N.]. Był on wielką miłością Jej życia. Po ślubie Pani Łucja wyjechała z mężem do Ameryki, gdzie ukończyła Uniwersytet w Chicago, później Uniwersytet Harvardzki. Uczyła się, potem wykładała slawistykę długo podróżowała wraz z mężem,

zawarła wiele przyjaźni z wybitnymi Polakami, między innymi z Józefem Czapskim, którego wspomina bardzo serdecznie³.

Na ścianach Jej małego mieszkania w Tel Awiwie drobne akwarele tego autora czuły się naprawdę jak u siebie. To był stary polski dom, z półkami pełnymi książek i meblami oswojonymi z ludźmi jak zwierzęta. Łucja Gliksman częstowała gości pyszną herbatą i niezwykłymi sałatkami. Na zapleczu niewielkie patio zarośnięte egzotyczną roślinnością i dość gderliwa sąsiadka dentystka, monstrialnie wyczulona na najmniejszy szmer.

Ten szczęśliwy okres w Jej życiu przerwała w 1958 roku śmierć profesora Gliksmana. Pani Łucja dokończyła jeszcze rozpoczętą pracę męża o prawie w Rosji Sowieckiej, ale po jej skończeniu zupełnie się załamała. Pomimo życzliwości i pomocy znajomych Polaków postanowiła opuścić Amerykę i wyjechać do Izraela do matki,

tym bardziej, że ta w tym czasie bardzo podupadła na zdrowiu, podobnie jak i jej brat. Wkrótce oboje zmarli. Na prośbę Jerzego Giedroycia udała się na spotkanie z Leo Lipskim, który po powrocie z łagrów walczył z nasilającymi się problemami zdrowotnymi. Zaprzyjaźnili się. Ciężka i postępująca choroba pisarza uczyniła z Pani Łucji redaktorkę i promotorkę jego, przez długie lata nieznanego w kraju, piarstwa. Spotkaliśmy się właśnie przy tej okazji. Najpierw listownie, potem, podczas kręcenia filmu, bezpośrednio. Pisałem pracę magisterską o piarstwie autora *Piotrusia*. Gdy pewnego dnia mogłem opowiedzieć moim uczniom o twórczości Leona Lipskiego, odwołując się do tekstów zamieszczonych w ich podręczniku licealnym, nasze wspólne szczęście nie miało granic.

Odeszła, pozostawiając proste przesłanie: „Budujcie mosty, budujcie mosty między ludźmi, chociaż ja już przez nie nie przejdę”.

Artur Nowak (Toruń)

³ J. Miluška, *Łucja Pinczewska-Gliksman* [on-line]. [Dostęp — luty 2003]. Dostępny w WWW: <http://www.opatowek.pl/Wybitni/GliksmanL.htm>.

O PANI ŁUCJI, KTÓREJ JUŻ NIE MA

ŁUCJA PINCZEWSKA-GLIKSMAN (1913–2002)

Był to debiut późny — ale od razu zauważony; debiut dojrzały — ale nie zgorzkniały. Debiut piękny i zdumiewający. Takie właśnie były początki poetyckie Łucji Glikzman w Izraelu.

Naprzód w roczniku „Kontury” (1988) ogłosiła dwa pełne zadumy wiersze o przemijaniu: *Wczoraj* i *Rozmowa z panią Cieślakową*. Po roku zaś, na spotkaniu literackim w Tel Awiwie odczytała trzy inne. Były niespodzianką i z zaskoczeniem zostały przyjęte przez obecnych.

Następne tomy „Konturów” przynoszą jej inne, odtąd pisane wiersze, podobnie jak — nieczęsto i w dużym rozrzucie czasowym — przynosił je dodatek literacki do dziennika — a następnie tygodnika — „Nowiny-Kurier”. W nim też były drukowane dokonane przez poetkę przekłady pojedynczych utworów z żydowskiego (Mosze Waldmana) i esperanto (Juliusza Balbina).

Potem, co parę lat i to głównie dzięki namowom i inicjatywie przyjaciół, ogłoszone uprzednio w prasie wiersze zaczęła zbierać pod wspólną okładkę książek. Pierwsza — *Wczoraj* (1993) i ostatnia *Dwadzieścia wierszy* (2002) ukazały się w Tel Awiwie i są to wybory dwujęzyczne: oryginałowi polskiemu towarzyszy przekład hebrajski; dwa środkowe opublikowała poza Izraelem i podpisała podwójnym nazwiskiem: Pinczewska-Glikzman: *Nostalgia* (1995) w Olsztynie natomiast *Na aryjskich papierach* (1996) Jerozolimie i Lublin podaje jako miejsce publikacji. Tomiki te nie przynoszą jednak wszystkich stworzonych przez Panią Łucję utworów, część zalega dotąd po czasopiśmie, część zaś inną — zabrała ze sobą do grobu, jako że wiersze swoje tworzyła w pamięci i nie zawsze je potem zapisywała.

Zycie Łucji Glikzman przebiegało w kręgu literatury, polskiej przede wszystkim — na jej poznawaniu, nauczaniu, interpretowaniu, na jej tworzeniu. Studia z zakresu polonistyki odbyła w latach 30. na Uniwersytecie Warszawskim, gdzie była uczennicą bardzo wybitnych historyków literatury — Józefa Ujejskiego, Zofii Szymdowej — i językoznawców — Witolda Doroszewskiego, Kazimierza Wóycickiego. Już po formalnym zakończeniu studiów uzyskała pozwolenie Wacława Borowego na uczestniczenie w prowadzonym przez niego seminarium. Łączyła ją wtedy komitywa z teoretykiem literatury Franciszkiem Siedleckim, z tego też czasu zapamiętała Juliusza Wiktora Gomulickiego, z którym kontakt korespondencyjny — i telefoniczny — odnowiła przed paroma zaledwie laty. Jeszcze przed wojną odbyła praktykę nauczycielską w prywatnym żydowskim gimnazjum męskim w Warszawie.

Już po przeżyciu obłężenia i zburzenia stolicy we wrześniu 1939 przedostała się do Lwowa i stała w czerwcu 1940 została wraz z matką i bratem wywieziona za Ural, gdzie posłano ją do kopalni węgla. Po amnestii w roku 1941 znalazła się w Tadżykistanie i tutaj z ramienia Delegatury Rządu organizowała szkoły polskie, „domy dziecka” dla sierot, prowadziła rejestr polskich rodzin. Tymi samymi sprawami zajmowała się nadal w Teheranie, dokąd w 1942 wyszła z armią generała Andersa.

W ukazującym się w Teheranie tygodniku „Polak w Iranie” ogłosiła swój pierwszy wiersz: *List do kraju* (1943 nr 41). Po roku w Jerozolimie, w której się w międzyczasie znalazła, w dwutygodniku „W drodze” ukazała się *Weronika* (1944 nr 254) i oba te wiersze — „takie związane z wojną, z emigracją, z tęsknotą za krajem” powie o nich po latach — okazały się rodzajem pre-debiutu, debiutem nie kontynuowanym, skoro przez następne czterdziestolecie w ogóle nie drukowała wierszy i ciągłość swojej twórczości nadała dopiero potem, po powtórnym debiucie w Izraelu. Wiersze te podpisała nigdy właściwie nie zarzuconym pseudonimem: Wanda Falk.

W czasie jerozolimskiego pobytu zaprzyjaźniła się z Władysławem Broniewskim — wspomnienie o nim pt. *Trocheje* zamieści po latach w „Kulturze” (1962 nr 7–8) — historykiem literatury i krytykiem Wiktoorem Weintraubem — późniejszym, jak sama mówiła, jej profesorem w Harvardzie — oraz historykiem oświaty Łukaszem Kurdybachą, który wtedy redagował tutaj świetną serię „Szkolnej Biblioteczki na Wschodzie”. Piękny dowód sprawności polonistycznej złożyła wydając pod panińskim nazwiskiem Pinczewska opracowane przez siebie i własnego autorstwa wstępem pop-

rzedzone wybory wierszy Kasprowicza (1944) i Ujejskiego (1946). W tym swoim okresie życia — palestyńskim — przez pewien czas była też nauczycielką w polskiej szkole w Tel Awiwie.

Potem, w roku 1946 wraz z mężem Jerzym Gliksmanem, prawnikiem i socjologiem — autorem wspomnień z okresu przymusowego pobytu w obozie pracy w Rosji pt. *Tell the West* (1948) oraz ich polskiego skrótu *Powiedz Zachodowi*¹ — przybywa do Stanów Zjednoczonych; po pewnym czasie osiadła w Chicago, gdzie mąż został wykładowcą uniwersyteckim. Ona zaś ponownie podjęła studia — językoznawcze u Romana Jacobsona i rusycystyczne u Michaiła Karpowicza. Niebawem sama rozpoczęła zajęcia dydaktyczne: na Roosevelt University prowadziła lektorat języka polskiego, zajmowała się też nowszą literaturą rosyjską.

Alicja Iwańska, pisarka i socjolog, w swoim pamiętniku *Potyczki i przymierza* (1993) z serdeczną wdzięcznością wspomina „Jerzego Gliksmana w bardzo jasnym, oszklonym gabinecie Uniwersytetu Loyoli [...] i śniadą, śliczną Łucję Gliksman w ich jasnym nowoczesnym mieszkaniu”; było to w roku 1950 i państwo Gliksmanowie wyciągnęli do Iwańskiej pomocną dłoń gdy znalazła się w Chicago bez środków do życia. „Pierwszy raz usłyszałam od nich o paryskiej «Kulturze» — dodaje Iwańska — opowiedzieli mi trochę o jej redaktorze Jerzym Giedroyciu”.

Tak, Pani Łucja była człowiekiem życzliwym i wrażliwym na niedole, umiała — czyniła to chętnie — zorganizować szybką i skuteczną pomoc ludziom znajdującym się w „dołku” życiowym. Tej właśnie problematyce poświęciła artykuł *Rozmowa* napisany w owym czasie i zamieszczony w „Kulturze” (1951 nr 10) — opowieść o dwóch młodych dziewczynach wywodzących się z „sirot teherańskich” świeżo przybyłych do Stanów.

Jerzy Gliksman zmarł nagle na atak serca w roku 1958 i wtedy Pani Łucja wyjechała do Europy — „...na jakiś czas do Brukseli, później byłam w Paryżu, a potem przyjechałam do Izraela. Właściwie wróciłam”. Było to w roku 1961. Przebywając w Paryżu zbliżyła się do środowiska „Kultury”, z którym już zawsze utrzymywała żywy kontakt — Jerzego Giedroycia, Marii i Józefa Czapskich a także ich siostrzenicy Elżbiety Łubieńskiej. To do niej teraz, do Krakowa zostaną odesłane, obrazy Józefa Czapskiego, które do tak niedawna jeszcze zdobiły ściany jej telawiwskiego mieszkania.

Leo Lipskiego znała przelotnie od czasów teherańskich. Teraz, w Tel Awiwie przejęła nad nim opiekę wyłączną. Przez parę dziesięcioleci czyniła nieprzerwane wysiłki dla ułatwienia pisarzowi — choremu kalece w ostatnich latach życia unieruchomionemu w łóżku — codziennego życia. Po jego zaś śmierci w roku 1997 to dzięki jej zabiegom ukazały się w polskich wydawnictwach krajowych utwory Lipskiego poprzednio wydane w Paryżu, a także teksty rozproszone na łamach polskiej prasy na Zachodzie i w Izraelu. Przy bliskiej współpracy z Panią Łucją powstała praca Hanny Gosk poświęcona twórczości Lipskiego². Na pewien czas przed śmiercią, niemal ostatnimi siłami, Lipskiego i własne archiwum korespondencji literackiej starannie posegregowała i przygotowała do wysyłki; zostało nim obdarowane toruńskie Archiwum Emigracji.

Poezja Łucji Gliksman właściwie w całości wyrosła i rozwinęła się tutaj, w Izraelu, w polskojęzycznym środowisku literackim i stąd następnie wyszła i zdobyła niejaką renomę poza jego granicami, czemu ogarniający również ją promień sławy padający na Lipskiego niewątpliwie sprzyjał. Środowiska tego pełniła przez czas dłuższy rolę jakby zwornika. Z jej opiniami literackimi liczone się u nas, mimo że bywały nie wyważone, że bywały nasycone stroniczymi emocjami. Co — jak sadzę — świadczy o silnym osobistym zaangażowaniu w problematykę pisarstwa i życia literackiego. Obecna była wśród nas swoją poezją, swoimi opiniami krytycznymi, swoim nieprzejednanym rzecznictwem na rzecz twórczości Lipskiego, swoją opiekuńczością.

Była staroświecką damą w życiu i była nią w swojej poezji. Nawiązywała do klasycznych poetyk międzywojnia, które w nurcie jej najbliższym — skamandryckim dbało o czytelność własnego przekazu. Jej tradycyjną, nostalgiczną — wręcz „niedzisiejszą” — poezję ożywiały wartości, bez których wszystko wokół zdaje się tracić sens: dobroć, wierność w przyjaźni, lojalność, wiara w nośność słowa poetyckiego, wiara w rozumność i rozum, w dobre maniere i wzajemne poszanowanie. Tak, była damą staroświecką przez całe życie sycącą się wciąż od nowa podejmowaną lekturą najbardziej cenioną przez siebie powieści — *Lalki* Prusa.

¹ J. Gliksman, *Powiedz Zachodowi: wspomnienia autora z okresu niewoli w obozie pracy przymusowej w Związku Sowieckich Socjalistycznych Republik*. [New York 1948].

² L. Lipski, *Paryż ze złota: teksty rozproszone*, wybór, oprac. i posł. H. Gosk. Izabelin 2002.

Uparte w wierszach powracanie do wspomnień dzieciństwa i młodości odczytać można jako tęsknotę za ówczesną w jej życiu stabilizacją, której już potem była w dużej mierze pozbawiona. Nie była wygnańcem z własnej epoki, a jednak nie potrafiła ustalić swojego miejsca w tym nękającym ją przez całe życie splocie: Żydzi — jej własny naród; Polska — jej własna kultura; Izrael, w którym była — a jednak była trochę poza nim...

Co reprezentowała poezja Pani Łucji — i dla kogo? — Dla nas tutaj — niezmiernie dużo! W naszych własnych parametrach odbioru. Zgodnie z ujawnionym niegdyś przez Kazimierza Wykę „regionalizmem poziomów poetyckich”, kiedy pojawiają się poeci i całe grupy, którzy w skali ogólnopolskiej nie wytrzymują porównania, ale w swoim własnym środowisku, wśród czytelników, którzy mogą ich przeżyć estetycznie, uczuciowo, ideologicznie są ich — niemych — głosem własnym. Taką wagę chciałbym przypisać poezji Łucji Gliksmann. Co podkreślę i uwidocznię wyborem wiersza, w moim przekonaniu najcelniej reprezentującego jej przemyślenia; jest nią *Rywcia*:

To od Rywci pierwszy raz słyszałam
Dziwną rzecz — że jestem Żydówką.
Wciąż myślałam, co to może znaczyć,
Jak to pojąć trzyletnią główką.

Rywcia sama nie bardzo wiedziała,
Trzeba było zapytać się mamy —
Co to znaczy, Mamo, być Żydówką,
Przecież wszyscy są tacy sami.

Dużo lat, dużo nauk przeszło
Zanim rzecz tę zobaczyłam z bliska —
Prawda, wszyscy są tacy sami,
ale nie jest takie same —
Wszystko.

Ryszard Lów (Izrael)

MICHAŁ KOBIELAK — WILNO, 1940

ZYGMUNT FIJAŁKOWSKI (1920–ok. 1983)

Nasza stołówka uchodząca przy ulicy Sierakowskiego stała się nie tylko ważnym punktem dożywiania, lecz również pewnego rodzaju klubem towarzyskim. Spotykało się tam ludzi wszelkiego kalibru, jednych bardzo interesujących, a innych mniej. Ponieważ jednak istniał wolny wybór, można było spędzić przyjemnie kilka chwil w czasie posiłku, lub też potem, bo wiele osób nie zaangażowanych w żadnej pracy lubiło posiedzieć po obiedzie przy milej pogawędce. Dowiedziałam się, że jedna ze stołowniczek, pani Z. związana w jakiś sposób (nie pamiętam jaki) z teatrem, postanowiła wystawić sztukę teatralną werbując aktorów spośród bywalców stołówki. Podobno próby już miały miejsce. Pewnego dnia pani Z. przysiadła się do mnie przy stole z propozycją, abym wzięła udział w tej imprezie. Podziękowałam jej uprzejmie, twierdząc, że niestety Bóg poskąpił mi wszelkich talentów scenicznych. „— Tak — rzekła na to pani Z. — ale pani nazwisko Eichlerówna mówi samo za siebie i byłoby wspaniałą reklamą na afiszu sztuki”. Była to aluzja do Ireny Eichlerówny, popularnej i cenionej aktorki scen polskich przed wojną. Staralam się jakoś wymówić, ale pani Z. była natarczywa i wygadana, aż wreszcie uległam, a ona zadowolona wręczając mi egzemplarz sztuki poprosiła, abym nazajutrz przyszła wieczorem do lokalu stołówki, gdzie odbywały się próby dwa razy w tygodniu.

Po powrocie do domu postanowiłam przeczytać tekst owej sztuki. Tytuł brzmiał *Hiszpańska Mucha*, a po przeczytaniu kilku stron stwierdziłam, że nie była to sztuka, tylko „sztuczdyło”, głupia farsa tłumaczona z angielskiego. Pomyślałam sobie, że Mama, miłośniczka dramatów, wyrzuci mnie z domu za tę *Muchę*. Ale słowo się rzekło — następnego wieczoru udałam się na próbę o wyznaczonej godzinie.

Wszyscy aktorzy byli już obecni i ustawieni strategicznie na swoich miejscach. Ja nazywałam się Polly i pani Z. wskazała mi miejsce, gdzie miałam się ustawić. Akcja sztuki rozpoczynała się od tego, że Fred (główny amant) wchodzi do pokoju, a ja, Polly, podbiegam i rzucam się mu na szyję. Fred wszedł do pokoju i stanął koło drzwi w postawie oczekującej, patrząc na mnie z półuśmiechem na twarzy. Był to młody człowiek o miłym wyglądzie, którego znałam z widzenia. Zauważyłam, że oczy miał niebieskie, jak dwa bławaty. „— Teraz, panno Krysiu, proszę do akcji!” — zawołała pani Z. klaszcząc w dłonie. Ha! — co miałam robić? Podeszłam do Freda i jednym ramieniem objęłam go za szyję. „— Nie! Nie! — zaprotestowała pani Z. — pani ma się rzucić mu na szyję. Zaraz to pani pokażę!” — i mówiąc to pani Z. stanęła w pewnej od Freda odległości i rozpedziwszy się z impetem zawisła mu na szyi, z wdziękiem podnosząc jedną nogę poniżej kolana, do góry. „— Proszę to tak spróbować” — zawołała do mnie. Rozpedziłam się więc z pewnej odległości i wpadłam na Freda, który się zaśmiewał, co dodało mi trochę odwagi. Pani Z. nie była jednak zadowolona i stwierdziła, że nad tą sceną trzeba będzie popracować. W dalszym toku akcji na szczęście moja rola nie miała wielkiego znaczenia.

Po próbie Fred podszedł do mnie i przedstawił mi się jako Michał Kobielał, oraz zaproponował, że odprowadzi mnie do domu, bo był już późny wieczór. Zgodziłam się chętnie, bo do ulicy Artyleryjskiej, za Zielonym Mostem, był to długi spacer. Wyszliśmy więc razem i powędrowali ciemnymi ulicami. Michał Kobielał był rozmowny i szybko stwierdziłam, że był to człowiek bardzo inteligentny, ciekawy i pełen wdzięku. Odprowadził mnie do bramy domu i pożegnał szarmancko.

Chodziłam teraz na próby i rzucałam się Fredowi na szyję, a coraz lepiej mi się to udawało. Po próbach wracałam do domu w towarzystwie Michała. Gdzieś w połowie drogi w trotuarze była duża dziura. Wtedy Michał brał mnie pod rękę i od tej dziury szliśmy razem blisko siebie, a szło się nam bardzo dobrze, gadając i opowiadając. Moglibyśmy tak iść kilka kilometrów dalej. Czasami spotykaliśmy się w stołówce, gdzie przychodziłam z Mamą i z bratem, a Michał siadał przy naszym stoliku.

Pewnego wieczoru, gdy przyszedłam na próbę, zastałam wszystkich zdenerwowanych i zmartwionych. Freda nie było. Jeden z panów „aktorów” poinformował mnie, że Michał Kobielał musiał nocą uciekać i ukryć się, był on bowiem członkiem Armii Krajowej i uprzedzono go, iż bolszewicy są na jego tropie.

Przeklęta wojna! Nie tylko zabija bombami i kulami z armat, dręczy i zamyka ludzi w więzieniach i obozach, ale również tnie wszelkie ludzkie więzy i uczucia! Zabija ludzi od wewnątrz. Straciłam całkowicie zainteresowanie sztuką *Hiszpańska Mucha*. Denerwowała mnie, bo wszystko przypominało mi Michała Kobielał. Pani Z. zaangażowała następnego Freda w osobie Boba Maliszewskiego, urodą odpowiadającego roli głównego amanta i poczciwego chłopaka, ale po kilku tygodniach został on aresztowany przez bolszewików. Po nim przyszedł Fred nr 3, z którym nie miałam okazji zamienić ani słowa. *Hiszpańskiej Muchy* nikt nie obejrzał na scenie, bowiem wkrótce większość „aktorów”, łącznie ze mną, pojechała w bydłących wagonach na Syberię.

A Michał Kobielał znikł bez śladu. W kilka dni po jego ucieczce zatrzymał mnie na ulicy jakiś nieznajomy mężczyzna i spytał: „— Czy panna Eichlerówna?”. Kiwnęłam mu głową twierdząco a on rzekł: „— Przychodzę z polecenia Michała Kobielał. On musiał uciekać w nocy i nie mógł pani pożegnać. Prosił mnie, abym to zrobił w jego imieniu. A również poprosił mnie abym powiedział pani, że jego nazwisko nie jest Kobielał, tylko Fijałkowski”. Stałam chwilę w milczeniu, wreszcie spytałam: „— Jak on ma na imię?”. Nieznajomy tego nie wiedział, uklonił się na pożegnanie i znikł szybko w tłumie przechodniów. A więc nazywa się Fijałkowski i ma modre oczy, to było wszystko co o nim teraz wiedziałam... Opowiedziałam to Mamie, a ona poinformowała mnie, że Michał Kobielał był ukrywającym się podporucznikiem 2. Pułku Ułanów Suwalskich, pułku gdzie spędziłam dzieciństwo.

W czasach wieloletnich moich wędrówek pytałam przygodnie poznanych ludzi, czy nie spotkali Fijałkowskiego o niebieskich oczach. Nikt o takim nie słyszał.

Dopiero 40 lat później, w Woodland Hills, gdzie stoi mój dom przy ulicy św. Michała, odnalazłam Michała Kobielał. Pewnego dnia otworzyłam świeżo otrzymany numer „Kultury” paryskiej i zajrzałam do rubryki „Wydarzenia Miesiąca”. Znalazłam tam wzmiankę o śmierci Zygmunta Fijałkowskiego — alias George’a Bereday’a, byłego oficera kawalerii polskiej, uczestnika walk wojsk polskich na zachodzie, kawalera *Virtuti Militari*, a następnie jako George Bereday, znanego naukowca w USA. Chciałam wiedzieć coś więcej. Napisałam list do mego starego przyjaciela i kolegi z czasów studenckich, który był socjologiem i wykładał na uniwersytecie w Kanadzie. On z pewnością mógł znaleźć więcej informacji.

Dostałam odpowiedź bardzo szybko. Była to kopia z leksykonu *Who is Who in the East*:

BEREDAY GEORGE, ZYGMUNT FIJAŁKOWSKI oświatowiec, ur. w Warszawie (Polska) dn. 15 lipca, 1920 r. Służył w Polskiej Kawalerii 1938–42, Brytyjski Pułk Spadochronowy 1942–45, dekorowany Polskim Krzyżem *Virtuti Militari* 1944, Uniwersytet w Oxfordzie uk. 1950, Harvard University U.S.A. uk. 1953. Prof. na Columbia University 1955–59, Exchange prof. Moskwa, 1961, Tokyo 1962.

Następuje lista jego prac naukowych i członkostwa instytucji naukowych.

Dalej są informacje bardziej osobiste, a wszystko jest tam angielskie! On sam George Bereday, żona, sądząc po nazwisku, Amerykanka i dzieci o imionach angielskich. Ale nie! Nie wszystko jest angielskie! Jego najstarsza córka Cornelia drugie imię ma Krystyna — pisane polską pisownią...

Z zaświatów wionął ku mnie świetlany strumień ciepła. Michał Kobielał zęgnął mnie po raz ostatni.

Za oknem mojej pracowni ognista kula zachodzącego słońca skryła się za ciemnym górskim konturem.

Krystyna Eichler (Stany Zjednoczone)

TERESA LEWANDOWSKA

(1928–1983)

Urodziła się 2.05.1928 r. w Warszawie jako Teresa Klette. Ojciec — inżynier-architekt Michał Klette, był synem administratora wydawanego w Petersburgu „Kraju”, pisma do rewolucji odgrywającego dużą rolę w polskiej kulturze. Matka, Joanna z domu Kossowska, była córką lekarza wojskowego w rosyjskiej służbie. Rodzice Teresy mieszkali w Petersburgu. Rewolucja uczyniła ich rozbitkami, wrócili do Polski jako młodzi ludzie bez dachu nad głową, wykształcenia, zawodu. Ojciec w latach 30., został czołowym projektantem konstrukcji żelbetonowych, ale studia robił 10 lat — kilkakrotnie je przerywał, by zarobić na utrzymanie i na kontynuowanie nauki. Bywało, że nie miał ani pracy ani środków na studia. Wpadał w depresję.

Rodzina była rozdarta. Ojciec pochodził z rodziny o sympatiach lewicowych, sam jednak, jak często ci, co przeszli przez rewolucyjne piekło, był endekiem i antysemitą. W latach 1917–1918 był podporucznikiem w korpusie gen. Dowbór-Muśnickiego, uformowanym z rozbitków rosyjskiej armii. Korpus był znany z pogromów Żydów, ale również zbuntowanych chłopów na Białorusi i Ukrainie. Nie wiem, czy Michał Klette brał w tym udział, ale w części rodziny o działaniach dowborczyków mówiono z wyrozumiałością, jako o „zabawach młodych ludzi”. Żona nie podzielała sympatii i antypatii męża — uczyła w szkole dla dzieci żydowskich na Stawkach (tam gdzie w czasie okupacji był Umschlagplatz). Twierdziła, że woli uczyć dzieci żydowskie, chłonne na naukę i szanujące nauczycieli. Współpracowała też z Januszem Korczakiem. Zgodności w rodzinie nie było.

W Warszawie Klettowie mieszkali na Wielkiej, w dzielnicy raczej żydowskiej. Przyjaciółmi Tereski były dzieci z kamienicy. Ojciec bał się „zażydzenia” — pradziadek ze strony matki, skrzypek Kossowski, był wychrzczonym Żydem, trzymano to w tajemnicy. Rodzina przeniosła się na Mokotów, gdy Teresa miała osiem lat. Z dziećmi na Dworkowej nie znalazła wspólnego języka. Dzieciństwo bez przyjaciół.

W sierpniu 1939 ojciec został zmobilizowany. Kampania była krótka, Michał Klette dostał się do niewoli sowieckiej. Podwładny radził: „niech pan porucznik zdejmie gwiazdki, pan zobaczy, szeregowych puszczą, oficerów zatrzymają”, ale ojciec nie chciał tak postąpić. Żołnierz wy dostał się z niewoli i przekazał wiadomość o swym dowódcy. Był to ostatni ślad, później już nie było nic. (Już po śmierci Teresy otrzymałem stwierdzenie Ośrodka Karta, że ppor. Michał Klette figuruje pod numerem 1312 na „Liście Ukraińskiej” obywateli polskich zamordowanych na mocy decyzji władz sowieckich z 5 marca 1940.)

Teresa, wówczas 11-letnia, była z matką u krewnych koło Wilna. Przeciągnięta wzdłuż polskiej granicy niemiecko-sowieckiej przeszkodziła w powrocie do Warszawy. Dawniej przymilna rodzina pozbyła się nędzarzy. Dwa lata głodu i poniewierki przyśpieszyły dojrzałość i wyczulenie na nędzę i upokorzenie. Do Warszawy Teresa wraz z matką wróciły w 1942 r. Nie miały kąta, ani z czego żyć. Zaopiekowali się nimi, spłacając dług wdzięczności, architekt Michał Kossowski i jego żona, Włoszka, ciocia Tata (Tatiana), co nie bez znaczenia: wnuczka Michała Bakunina.

Teresa miała już 14 lat, chciała działać, walczyć, młodzi ludzie przecież konspirowali. Na przeszkodzie stanęła ciocia Tata. Wymogła na Teresie przysięgę, że się nie wda w tajne działania, że nie będzie nawet przynosić do domu podziemnej prasy.

Dochodzę tu do kilku kompleksów. Kochała ojca, była z nim uczuciowo związana mocniej niż z matką, ale nie potrafiła aprobować jego ideologii. Szczególnie mocno, w konfrontacji z Zagładą, czuła winę za antysemityzm ojca. Stało się to wiele lat później jednym z elementów, które przyczyniły się do naszej przyjaźni a później i małżeństwa.

Drugi kompleks to niespełniony obowiązek, przecież powinna walczyć z Niemcami. Nie wiedziała, że wymuszone zobowiązanie nie było wynikiem obojętności — Kossowska bała się, że dziecięca lekkomyślność, konspiracja dla konspiracji, sprowadzi nieszczęście. Mieszkanie Kossowskich było kryjówką podziemia, w tym kurierów z Anglii. Ciocia Tata chroniła też jakąś rodzi-

nę żydowską, kolegów męża. Neapolitanka i wnuczka wielkiego anarchisty miała konspirację we krwi, traktowała ją poważnie.

Kossowscy mieszkali we własnej kamienicy koło placu Teatralnego. Z okna piątego piętra Teresa, widziała zamurowaną część Warszawy, getto. Zamknięci w nim marli jak muchy, ale głód i choroby z okna były niewidoczne, więcej można było się domyśleć. Wcześniej Zagłada w okolicy podwileńskiej przeszła niepostrzeżenie, byli Żydzi, nawet zaprzyjaźnieni, ale któregoś dnia ich nie stało. Natomiast powstanie w getcie, kwiecień 1943, było widoczne.

W powojennych relacjach Teresy powtarzały się dwa elementy. Pierwszy — to pożar Synagogi na Tłumackiem i latające strzępy palonych ksiąg, owe „latawce” Miłosza w *Campo di Fiori*. Drugi to zainstalowana przez Niemców tuż koło płonącego getta, na placu Krasińskich karuzela i wstyd za rozbawiony polski tłumek, tłoczący się, by się pokręcić. Też opisana przez Miłosza. Zaciskały się bezsilne pięści.

Jeszcze jedno natrętne wspomnienie, jeszcze przed powstaniem w getcie. Teresa jak co dzień idzie do szkoły, do „handłówki”. We wnęce domu koło placu Bankowego siedzi wynędzniała Żydówka. Wyciąga zebraczą rękę. Ludzie mijają ją obojętnie. Następnego dnia Teresa wzięła ze sobą dużą kromkę posmarowaną smalcem. Bojąc się, że zauważy ją Niemiec lub szmalcownik, niby upuściła chleb koło nóg Żydówki. Kilka godzin później, wracając, widzi, że kromka leży, a Żydówka siedzi nieruchomo z błagalnie wyciągniętą ręką, tak jak siedziała rano, jak siedziała wczoraj. Nie żyła. Chleb został rzucony umarłej. Jak w literaturze...

Początkowo Teresa z matką żyły na łasce Kossowskich, ale im się też nie przelewało. Trzeba było znaleźć źródła utrzymania. Matka uczyła w szkole, ale zarobek nie starczał nawet na głodową egzystencję. Teresa wymyśliła broszki ze skrawków, kwiatopodobne kolorowe cacka. Pierwszą zrobiła na imieniny ciotki Taty. Gdy się udała, następne były na sprzedaż. Chwyciło. Produkcja broszek stała się zajęciem kilku osób i niezłym źródłem utrzymania. Broszki ujawniły wrażliwość plastyczną i wytyczyły drogę zawodową.

Sierpień 1944, powstanie warszawskie, tym razem polskie. Okolice placu Teatralnego stały się terenem zaciętych walk, przypominę opisy związane z tu poległym Krzysztofem Kamilem Baczyńskim. Teresa przyjaźni się z sąsiadką, studentką medycyny, Karłowiczówną¹. Ta, po paraliżu dziecięcym ma bezwładne nogi, co jednak nie przeszkadza jej przystąpić do powstania jako lekarz chirurg. Z Teresą jako asystentką operuje i amputuje. Mają nóż kuchenny, nożyczki, trochę środków opatrunkowych. I żadnych środków znieczulających.

Pod koniec powstania w schron trafił pocisk wielkiego kalibru. Teresę rzuciło w powietrze. Głową przebiła szklaną ścianę. Szczęśliwa, że żyje, nie odczuwała bólu, ale zdaniem lekarzy doznany wstrząs mózgu mógł być przyczyną późniejszych chorób i wczesnej śmierci.

Po upadku powstania wywieziona została z matką do Niemiec, koło Frankfurtu nad Odrą. Gdy tylko można było, wróciły do Polski. Nie miały do czego wracać, dom na Daniłowiczowskiej spłonął, Kossowscy w drodze do obozu stracili życie. Cały majątek, jej i matki, to odzież, w której wyszły z powstania. Byłoby mądrzej — mówiła po latach — przedostać się na Zachód, ale Teresy nie opuszczała nadzieja, że jakimś cudem odnajdzie się ojciec. Znalazły kąt w Krakowie. Cud nie nastąpił, ojciec się nie odnalazł.

Teresa nadal robiła broszki, z tego się utrzymywała, ale zdołała ukończyć liceum plastyczne i Akademię Sztuk Pięknych. Na studia uczęszczała nieregularnie, jak wielu ludzi po wojnie. Wybaczano jej absencję, bo robiła dobre prace. Wyszła za męża za kuzyna, Jana Wyszkwowskiego. Małżeństwo było nieudane, szybko się rozpadło.

¹ Kilka słów o Karłowiczówniej. Skończyła medycynę. Stosunki z Teresą urwały się w naturalny sposób, wznowiły się kilka dni przed emigracją (X 1969), gdy jej rodzice zaprosili nas by się pożegnać. Karłowiczównę właśnie wydano z pracy jako Żydówkę i syjonistkę. Mówiła nam: „Mogłabym się łatwo obronić. Ale tego nie zrobiłam. Przyjęłam to jako karę za grzechy”. Nic nie rozumiałem, ale i o nic nie pytałem. Teresa wytłumaczyła mi później, że dziewczyna, pod czymś tam wpływem, wbrew pepesowskiemu rodzicom, w czasie okupacji wstąpiła do NSZ, antysemickiej formacji prawicy. Teraz represje wobec niej, rzekomej Żydówki, przyjęła jako wyrównanie. Dajmy jednak, że taka postawa jak jej, nie była zjawiskiem powszechnym. Byłoby to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Możliwości pracy w Krakowie bez powiązań były znikome. Prywatna przedsiębiorczość po kilku latach stała się niemożliwa. W 1954 r. Teresa przeniósła się do Warszawy. Mieszkała kątem, latami starała się o stołeczny meldunek i dach nad głową. Pracowała jako grafik w czasopiśmie. W Warszawie też nie miała „właściwych” kontaktów, ale tu było łatwiej o pracę. Była ceniona, robiła robotę, którą w innych pismach wykonywały dwie czy trzy osoby.

Poznaliśmy się w 1960 r. w czasie urlopu w Zawoi. Ładna kobieta, dowcipna, światowa, dobrze grająca w brydża. Gdy zaczęliśmy rozmawiać mniej salonowo, ujawniło się to, co w literaturze nazywa się pęknięciem. Makietowała kolorowe tygodniki, bo trzeba było żyć i utrzymać matkę, ale czuła wstręt do produktów pracy, ulizanej propagandy. Miała silne poczucie tragizmu, dręczyło ją pragnienie wyrażenia przeżyć, przecież dlatego wstąpiła na Akademię, była przeświadczona, że stać ją na to, ale nie potrafiła się zabrać do tego, co odczuwała jako najważniejsze zadanie życia, powołanie. Miała poczucie niespełnienia.

Zachęcałem ją, by jednak zaczęła, rezultaty nie mogą się pojawić, jeśli nic się nie robi. Banał, ale widocznie potrzebowała kogoś, kto nie zmrażałby kruchej inspiracji drwiną czy obojętnością, środowisko w którym tkwiła działało paraliżująco. Artysta tworzy złudzenie, by stworzyć, musi mieć przeświadczenie, że ktoś odbiera jego dzieło jako wyraz również swego przeżycia.

Małżeństwo zawarte w 1962 r., było źle widziane przez rodzinę. Zaczęła próbować sił. Uprawiała olej, rysowała ołówkiem, piórkiem. Rynek w Kazimierzu, wąwozy lessowe, fragmenty architektury i roślinności, zawsze zachwyty naturą i dziełem człowieka. I w każdej niemal pracy, niezależnie od obiektu, jakiś cień, nie wiem jak nazwać, ponurości, pesymizmu, czy owego pęknięcia.

Tu odstępowo. Jestem pozbawiony wyobraźni. Sztuka przyciąga mnie właśnie dlatego, że nie potrafię wyrazić się poprzez obraz. Znam jednak wielu malarzy, rozpoznaję ich sposób widzenia i technikę, brałem udział w dyskusjach. Nauczyłem się więc odbierać obraz warsztatowo. Jednak jej sposób pracy był dla mnie zaskoczeniem, jest nim do dziś. Przede wszystkim była tak skoncentrowana na tym, co robi, że nie dostrzegała przechodzących ludzi, nie słyszała ich, nie czuła czasu. Pracowała szybko. Zdarzało się, że dobry obraz, robiła przez pół godziny. Zdarzało się też, że cyzelując obraz beznadziejnie psuła go.

Historyk rosyjski Aron Gurewicz pisał o szczególnej zdolności średniowiecznych Germanów myślenia obrazami, szło mu o teksty, których myśl była wyrażana w sposób obrazowy. Ale wychodząc z tej obserwacji doszedłem kiedyś do wniosku, że są ludzie rzeczywiście potrafiący wyrażać się głównie, jeśli nie wyłącznie poprzez obraz. To właśnie przypadek Teresy. Przy jej sposobie pracy, życia, odczuwania, wszelkie względy formalne, konwencje, cudze doświadczenia tracą znaczenie. Ważna jest myśl, odczucie, przeżycie, które artysta nosi w sobie i które chce, a czasem nawet musi wyrazić.

Teresa nie zastanawiała się, jaki kolor przy jakim położyć, albo jakie linie i płaszczyzny z jakimi będą się właściwie komponować. Owszem, uczyła się tego, stosowała te kryteria oglądając cudze dzieła, ale nie pamiętała o nich przystępując do pracy. Mimo to zestawienie kolorystyczne jej obrazów było niemal zawsze bezbłędne a płaszczyzna skomponowana całościowo. To raczej ja starałem się zrozumieć kompozycję płótna czy rysunku. I jedna cecha szczególna jej wczesnej twórczości: wszystko co robiła miało jakiś dramat i koncentrację. Nawet gdy próbowała malować „współcześnie”, wychodziły rzeczy, których kontekstu uczuciowego i odniesienia do rzeczywistości nie sposób było nie odczuć.

Wyników ówczesnej, z lat 60., pracy nie traktowała z nadmierną powagą, chętnie rozdawała płótna i rysunki. Była zaskoczona, gdy krytycy mówili, że nie znają współczesnych potrafiących tak wrażliwie i tak prosto wyrazić pejzaż czy roślinność. Prace te jednak nie były tym, co uważała za cel życiowy. A tym celem — wiem teraz — było „utrudnić ludziom to, co im tak łatwo przychodzi, zapomnienie o cierpieniach innych”.

Nadszedł rok 1968. Redaktorem pisma, w którym pracowała, został intymat Moczara. Od Teresy żądano, by zrobiła afisz potępiający „syjonistów”. Odmówiła. Wyrzucono ją z pracy. Dostała po kilku miesiącach w innym piśmie, źle płatną i bez nazwiska w redakcyjnej „stopce”. Nie były to najcięższe doświadczenia, inni doznali gorszych, również w kręgu przyjaciół, ale atmosfera owego roku spowodowała szok. Zaczęła tworzyć prace, które później weszły do serii *Abel mój brat*.

Ujawniły się kłopoty warsztatowe. To, czego uczyły akademie w Polsce (gdzie indziej też), to, co wystawiano w galeriach i salonach było czasem wartościowe i odkrywcze, ale nie zbliżało do tego, co artystka nosiła w sobie. Teresa ceniła wszelką dobrą sztukę i nie przepuszczała żadnej

ważnej ekspozycji. Była obiektywna w ocenach, często zaskakiwała mnie entuzjastyczną oceną malarzy od niej dalekich. Wyjaśniała mi, że „on robi to, czego ja bym nie potrafiła”. Nie zmienia to faktu, że we współczesnej sztuce mało znajdowała wzorów i inspiracji. Współczesne kierunki uczyły malowania wyrafinowanego, ale oderwanego od „literatury”. Jeśli wymagały zaangażowania, to w „czyste malarstwo”, w przeżycie koloru, kompozycji, w co by to nie znaczyło, formy. Treści „pozamalarskie” były potępione. W Polsce poza wszystkim, a może i przede wszystkim, była to reakcja na „realizm socjalistyczny”, programowo fałszujący rzeczywistość. Owszem, ale kierunki będące reakcją na rzekomy realizm też odrywały się od najważniejszych przeżyć człowieka.

W ten sposób, jaki uprawiano malarstwo w kraju po 1955 r. można było tworzyć piękne obrazy, ale uczuciowo neutralne, nadające się do domowego salonu, gabinetu dyrektorskiego i stomatologicznego, czy lokalu bankowego. Zresztą, z czasem również tzw. „instancje” upodobały sobie sztukę abstrakcyjną, nieprzedstawiającą, właśnie z racji jej politycznej i uczuciowej, nie kompromitującej neutralności.

W tych konwencjach nie sposób było wyrazić tragedii Zagłady i łagrów, bólu rannych, niewolniczej pracy, nie mówiąc o strachu i upokorzeniu, o odczuciu nawisającej groźby i tnącego bata. Próby wyrażenia środkami konwencjonalnymi takich odczuć kończyły się niepowodzeniem, jeśli nie kompromitacją. Pamiętam, zaprzyjaźniony malarz próbował środkami abstrakcyjnymi wyrazić szpetotę totalitaryzmu. Jego posłanie nie dało się odczytać, nie dotarło do publiczności ani do krytyków. Zdobył poklask jako prekursor, a dzieło określono jako turpizm, malarstwo szpetoty. Nie zapomnę jego zgryzu, bo nie o to mu szło. Co więc robić?

W jerozolimskim Yad Vashem i praskiej Starej Synagodze widziałem wiele rysunków i obrazków szkicowanych w gettach czy w obozie w Teresinie. Tworzący je notowali rzeczywistość, jaką była, tworzyli świadectwa, próbujące zastąpić fotografię, ale ustępujące technicznym środkom dokumentacji. Więc mechaniczne wskrzeszanie zauważonego też nie ma sensu artystycznego.

Co ma więc sens? Krzyk mordowanych, okazuje się, nie sposób wyrazić w konwencji naturalistycznej, impresjonistycznej, postimpresjonistycznej, kubistycznej, czy w tasyzmie czy (wówczas jeszcze nie nazwanym) postmodernizmie. Takie próby rodzą obrazy lepsze czy gorsze, czasem nawet doskonałe, ale konwencjonalne, nie pozostające w proporcji do zamierzeń twórców.

Gdzie szukać więc inspiracji? Znajdowała niewiele. Dlatego zachwycała się portretem fajumskim, Rembrandtem, Goya, Daumierem a wśród polskich twórców Linkem. Do tego wyliczenia jednak niewiele można dodać.

Trzeba więc zrezygnować z niemal wszystkiego, czego uczyli biegli w sztuce, nawet trzeba było wyrugować z siebie nauki, by do głosu mogły dojść prawdy, które nosiła w sobie. Dlatego Teresa nienawidziła pracy w czasopiśmie, gdzie produkt był „ładny” i „nowoczesny”. Pragnęła wyrazić rzeczywistość ani ładną, ani barwną. Jej rzeczywistość była dramatyczna, bezwzględna, tragiczna. I wcale nie „nowoczesna”!

Pod jednym względem doświadczenie prasowe było cenne: przeciwdziało narcyzmowi. Bo dziennikarz zawsze zadaje sobie pytanie, jak tekst czy obraz zostanie odebrany, czy zostanie zauważony w zalewie drukowanego papieru.

Najbliższy był nadrealizm. Teresa dążyła do wyrażenia tego, co się realnie zdarzyło, ale jednocześnie było niewyobrażalnie dalekie od ludzkiej imaginacji. Podziwiała więc metafory i skróty najlepszych polskich twórców plakatu, było ich wtedy wielu. Jednak i nadrealistyczna konwencja przeżycia sennego nie bardzo przystawała do zjawisk wcale nie będących grą wyobraźni, ale doświadczeniem artysty. A więc rzeczywistość skrócona do znaku, ale znaku wcale nie umownego, lecz czytelnego, zrozumiałego, przejmującego. Jak tego dokonać? Tymczasem — przypominam — nadszedł rok 1968, czyli „marzec”.

Teresa i ja do tego czasu hołdowaliśmy „rewizjonistycznej” taktyce rozluźniania systemu. Zakładaliśmy, że można coś pożytecznego czynić tkwiąc w systemie, rozkładając go cząstka za cząstką, i że czas gra na korzyść postępu i demokracji. W 1968 r. ta filozofia doznała klęski. Realny socjalizm wracał do źródeł, do opresji jako podstawy systemu.

W 1968 r. władze PRL okazały niesłychaną w realnym socjalizmie wspaniałomyślność, przyzwoliły „syjonistom” na emigrację. Teresy i moja reakcja były jednoznaczne. Tak jak wymagano, Teresa zadeklarowała narodowość żydowską a jako cel podróży wymieniła Izrael. Wyjeżdżaliśmy bez tęsknot, mieliśmy PRL-u po dziurki od uszu. A Teresa, również wcześniej reagująca na antysemityzm, miała dość wstydu za antysemitów w społeczeństwie, знаła ich wielu, przy niej nie kępowano się.

Dostaliśmy dokumenty, że „nie jesteśmy obywatelami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”. Niektórzy przeżywali metafizyczne męki z tej racji. Teresa cieszyła się, że opadły jej pęta.

Tak więc 22 października 1969 znaleźliśmy się w Sztokholmie. Bez pieniędzy, mieszkania, języka, bez znajomości. Zaczynaliśmy życie od nowa. Czyniliśmy to nie po raz pierwszy, tym razem jednak w wieku, gdy prowadzi się życie ustabilizowane. Tyle tylko, że Europa Wschodnia była daleka od normalności.

W Szwecji umieszczono nas w obozie dla uchodźców w Lundsbrunn, na głębokiej prowincji. Dostaliśmy pokój z wygodami, cieszyliśmy się swobodą i szwedzką przyrodą. Nawiązaliśmy znajomości z dziennikarzem powiatowej gazety, z miejscowymi artystami, mieszkało ich tam kilku, a K. A. Jeleński zapośredniczył w kontakcie z Jerzym Giedroyciem. Zacząłem regularnie pisać do „Kultury”, Teresa zaczęła malować. Gwasze, akwarele, rysunki, transformowane pejzaże, ale i nieco impresji z obu powstań warszawskich.

Lundsbrunn jest uzdrowiskiem prowadzonym przez Svenska Missionförbundet, odłam luteranizmu. Dyrektorami uzdrowiska byli pastory John Malm i John Steiner. W wolnych chwilach przychodzili do nas, to dla spraw administracyjnych — tych nie brakowało — to asystując Teresie w pracy, a często po prostu by porozmawiać przy kawie. Okazali dużą wrażliwość na jej twórczość. Nie oczekiwaliśmy tego.

(Dziesięć lat później spotkałem żonę Malma. Mąż już nie żył. Po naszym wyjeździe z Lundsbrunn zaczął malować. Zostawił dziesiątek płócien na poziomie dobrych postimpresjonistów. Teresa pomogła mu wydobyć z siebie ukryty talent. Malował do ostatnich dni, malowanie dawało mu ukojenie w rozciągniętym na długie miesiące konaniu. Subtelne obrazy, z politeistycznym zachwytem naturą i świadomością przemijania.)

Steiner zaproponował Teresie wystawę. Na wernisaż w domu zdrojowym w lutym 1970 r. przyszło czterdziestu uchodźców z Polski, okoliczni mieszkańcy, trochę bohemy. Gdy obrazy były powieszono, a publiczność się zebrała, otwierający wystawę Steiner przeszedł się wzdłuż ścian, by zorientować się, co obrazy przedstawiają i jaką noszą ideę.

Zobaczywszy obrazy poświęcone Zagładzie, poprosił o chwilę zwłoki. Poszedł na zaplecze, nie powiedział po co i dlaczego. Zebrani czekali. Wrócił z kandelabrami. Postawił je przed obrazami, zapalił świece. Zebrani popłakali się. Od lat oczekiwali takiego gestu od katolickich, polskich kapłanów i nie doczekali się. Popłakała się i Teresa. Była to jej pierwsza wystawa. Była po czterdziestce, inni mieli w tym wieku znaczący dorobek.

Wystawa była ciepło przyjęta, a kilka tysięcy koron dużym wsparciem. Miejscowe i odległe pisma zamieściły aprobujące recenzje. Postanowiliśmy, iż Teresa poświęci się malarstwu, a na przeżycie wystarczą moje oczekiwane zarobki.

Dostałem pracę w Sztokholmie, zamieszkaliśmy na dalekim przedmieściu. Teresa zaczęła intensywną pracę. Miała trzy projekty. Pierwszy — zrobić serię o losie żydowskim, o Zagładzie i o powstaniu w getcie. Drugi — wyrazić przeżycia i doznania w okupowanej Warszawie, z powstaniem warszawskim włącznie. Trzeci zamierzała poświęcić tragedii ojca i w ogóle tysięcy Polaków zamordowanych w ZSSR.

Zaczęła od Zagłady, bo przeżyła antysemitką „kampanię marcową” a chyba i zachęcona ciepłym przyjęciem pierwszych prac. I nadal problem, przewijający się przez cały ten tekst, czy jest to w ogóle możliwe, pędzłem i piórkiem, gwaszem, tuszem i monotypią, wyrazić ból i tragedię, głód i umieranie? Można zanotować fakt, ale jak wyrazić przeżycie i to tak, by wzruszyć również i oglądających? Gombrowicz dowodził, że jest to niemożliwe. Ale co robić, jeśli rzeczywistość widzi się w obrazach? Zadanie przypominające buddyjski koan: nie ma recepty, należy dążyć stale i wciąż, popełniać błędy, padać i na nowo się podnosić, a w rezultacie suma wysiłku da zamierzone rezultaty. Albo nie da.

Technikę miała przemyślaną, mówiła o niej jeszcze w Warszawie. Odbicie czarnej farby, spływającej ze szklanej płyty, przeniesione na białą płaszczyznę kartonu daje wrażenie destrukcji. Zarysy i plamy są zwężane, rozszerzane, pogłębiane, uzupełniane piórkiem, pędzlem, lawowaniem. Nabierają wyrazu i stają się czytelne, zgodnie z definicją sztuki jako zatrzymanego we właściwej chwili ulotnego wrażenia.

Po śmierci Teresy znalazłem nie wiem kiedy skreślone notatki, w których utrwałała doświadczenie jak i przestrogi przed pokusami estetycznymi. Dają one pewien wgląd w proces tworzenia, jak i narzuconą sobie dyscyplinę:

Nie malować dłużej jednego obrazu jak 15 minut. Robić przerwy. Nie malować oddzielnie przedmiotu, kolor różnicuje się w zetknięciu ze światłem. [...] Granica przedmiotu w sensie rysunku jest złudna. Malować masę, a kolor ważyć [...]. Zakładać obraz w zimnych jako zestaw b. ogólny. Komponować kolorem, później budować ciepłym [...]. Przy każdym położeniu koloru zastanawiać się, w jakim stosunku pozostaje do reszty, „czy nawiązuje się dialog”. Jeśli kolor nie nawiązuje dialogu, trzeba go zmienić [...]. Obrazu nie wolno kończyć. Jest to zabieg niszczący i fałszywy („człowiek skończony”). Uczynienie i ułożenie niszczy wszystko. Obraz można malować, albo przestać malować. Czasem ma się szczęście wiedzieć kiedy skończyć. Później w ciągu tygodni można skorygować jakieś drobniaki.

Malarstwo to porównywanie, ważenie, impuls. Impulsowi trzeba się poddać, a nawet czasem starać się go pobudzić. Wówczas przekracza się barierę. Nigdy świadomie, bo zdobyte doświadczenie jest tylko w 50% zrutyinizowane. Zawsze przestarzałe. [...] Pracuje się pod wpływem wielu impulsów. Dwa najważniejsze: 1. Tworzy się to, co się czuje, 2. Tworzy się tak, jak w naszym przekonaniu powinno wyglądać. Starać się rewidować i wzbogacać to drugie. [...] Ćwiczyć wyobraźnię, aby przybliżyć „to co się czuje” do tego „jak powinno wyglądać”.

Początkowo powstawały niewielkie obrazy z dominacją rysunku, próby wskrzeszenia tego co artystka widziała i jak odbierała, penetracja pamięci i podświadomości. Pisałem, jak Teresa zobaczyła w bramie jakiegoś domu Żydówkę umierającą z głodu, z wyczerpania, z przeżyć. Widać mocno utrwaliła się w żrenicach, skoro stała się inspiracją. Powstały trzy studia, dwa z nich weszły później do teki *Abel min broder* (nr 15 i 16 w tece).

Przyznam, że gdy zobaczyłem te rysunki, byłem — piszę bez przesady — wstrząśnięty. Zarówno tym, co ta dziewczyna przeżyła, jak i siłą wyrazu, nie pozwalającego widzowi na obojętność. Twórczość zbliżyła się do celu stawianemu przez twórcę.

Wstrząśnięty jej malarstwem był też szwedzki historyk literatury Bernhard Tarschys. Napisał o tej sztuce jako wyzwoleniu z przeżyć. Bo to malowanie było uwolnieniem i oczyszczeniem. W jakimś stopniu miał rację. Nie zdawał sobie sprawy, ja też nie rozumiałem, jakim kosztem sztuka ta powstaje, ile wysiłku wymaga ewokowanie z siebie pogrzebanych przeżyć, ile się płaci za dotarcie do najośleńszych pokładów pamięci. Ludzie jej pokolenia, Żydzi, Polacy, Rosjanie, żyją i funkcjonują w głównej mierze dzięki instynktowi, pozwalającemu nie pamiętać najgorszego. Teresa była tego daru pozbawiona.

I znowu dygresja. Pastorzy w Lundsbrunnie byli świadomi, że w wieku ponadśrednim, z zawodami, prawdę mówiąc, nikomu niepotrzebnymi, będziemy mieli kłopoty w znalezieniu utrzymania. Mieliśmy i szczególne trudności. Szwecja, zawsze lewicowa, nie ochłonęła po ruchach 1968 r., a my wszystkim mówiliśmy o podłości i zgniliznie systemu sowieckiego. Naiwni, uważaliśmy to za obowiązek i uzasadnienie uchodźstwa. Budowaliśmy mur między nami a lwią częścią świata intelektualnego i uniwersyteckiego. O świecie artystycznym lepiej nie wspominać.

Myśmy sobie nie zdawali sprawy, że postępujemy wbrew swoim interesom, zresztą, nie potrafiliśmy inaczej, ale pastorzy wiedzieli lepiej. Dlatego starali się nam pomóc i w tym celu kontaktowali z prominentnymi gośćmi kurortu. Nie skorzystaliśmy z nawiązanych wówczas znajomości i nie pielęgnowaliśmy ich, odrząła wizja przekształcenia się w natrętnych petentów, atrybut życia uchodźców i artystów. Z jednym wyjątkiem. Długa dysputa na temat Sowietów, PRL-u, kryzysu ideologii komunistycznej i deklinacji systemu sowieckiego toczona z rektorem Wyższej Szkoły Teologicznej w Lidingö, Olle Engströmem przekształciła się w przyjaźń. Nawet więcej, w przyjaźń z czołową partią liberalnej, pastorami Olle Dalénem, Per-Olofem Hansonem, Jan-Erikiem Wikströmem. Zawsze czuliśmy ich dyskretną opiekę, gdy piętrzyły się przed nami trudności. I nie chcieli nas nawracać. Ta przyjaźń miała jednak i ciemną stronę, jako że też przyczyniała się do muru między nami a szwedzkim salonem kulturalnym, dla których światli pastorzy w jakimś stopniu byli „ciemnogrodem”. Akceptowaliśmy i to.

Gdy już zainstalowaliśmy się na obrzeżach Sztokholmu, Olle Engström zaproponował Teresie wystawę w jego uczelni, w grudniu 1970. Była sukcesem pod wieloma względami, również dlatego, że przy okazji poznaliśmy kilku wnikliwych odbiorców sztuki. Tylko niektóre wtedy wystawione prace weszły w późniejsze zestawy, Teresa nadal przymierzała się do problemów, ale już widać było kierunek zainteresowań i poszukiwań.

W 1973 prace Teresy były tak zaawansowane, że można było myśleć o ich prezentacji. Ekspozycja podjęła się grupa uppsalskich działaczy Amnesty. Wykładowcy uniwersyteccy Olof Kleberg i Terry Caribom, lekarz Esbjörn Backström i jego żona Kai Nolgård utożsamiali się z dziełem Teresy. Wystawa „Abel, min broder” (Mój brat Abel) odbyła się jesienią w Uppsali.

Z wystawą połączone było wydanie wyboru prac. Druk przy ówczesnej technice nie był łatwy. Poligrafowie Almqvist & Wiksell podjęli próby kosztowniejsze niż oferta. Z tego czasu utrwaliło się w pamięci zaangażowanie drukarzy. W końcowej fazie zrobili test — położyli obok siebie oryginały i wydruki, prosząc o odróżnienie. Teza *Abel, min broder* zawiera 24 prace wystawione w Uppsali. Wstęp do teki napisał Bernhard Tarschys:

Rzeczywistość na styku życia i śmierci, którą Teresa Lewandowska we wczesnej młodości zmuszona była doświadczyć, utrwaliła się jako nie zagojona, sącząca rana. [...] Wrażliwość i współprzeżycie agonii, gdy świat [żydowski] został zgaszony i wymieciony, nie uspokoiły się, przerażenie nie wygasło. Bolesne przeżycia i pamięć zaowocowały wielką sztuką, w równej mierze świadectwem jak i wyzwoleniem. Powściągliwe a porażające obrazy są epitafium dla zamordowanych, jak i przestrogą dla żyjących. I są wielką sztuką.

Podobne były reakcje w szwedzkiej prasie. 10 grudnia 1973 r., w dniu praw człowieka, szwedzka telewizja nadała długą audycję poświęconą Teresie i jej twórczości.

Zaskoczeniem była recenzja Józefa Czapskiego w „Kulturze”² i to nie tylko ze względu na wyrażoną przezeń opinię. Recenzja miała bowiem prehistorię, godzi się ją tu odnotować, również dla biografii Czapskiego. Dwa lata bowiem wcześniej, w 1972, byliśmy przez miesiąc gośćmi Jerzego Giedroycia w Maisons Laffitte. Teresa miała ze sobą kilka obrazów. Pokazała je Zygmuntovi Hertzowi, ten skontaktował ją z Czapskim. Reakcja była do przewidzenia. Czapski był przeciwnikiem sztuki angażującej się w cokolwiek poza materią malarską. Stanowisko Czapskiego Teresa przeżyła mocno, zrozumiała, że jest skazana na samotność, poza szkołami, modą i kręgami towarzyskimi. Nie doceniła Czapskiego jako człowieka. Gdy ponownie zobaczył w redakcji „Kultury” prace Teresy, już jako tekę, zapomniał wcześniejszego zdania i w ogóle, że je widział, ugiął się przed tym, co zobaczył³. Wydawca wyboru prac Czapskiego, *Oko*⁴, z niejasnych przyczyn pominął ten tekst zubożając Czapskiego jako artystę i człowieka.

Czapski pisze, jak idąc rue de la Seine, ulicą galerii, ze znużeniem oglądał witryny:

Nagle prawie fizycznie poczułem się patrząc na te obrazy — a były tam także obrazy dobre — jak w lodowatej pustyni⁵.

Sztuka abstrakcyjna spełniła swoje, ale doszła do jakiegoś kresu, właściwie do ślepego zaułka, z którego nie ma wyjścia. Dotknęło to i Czapskiego, który widać przeżywał kryzys jako twórca i jako teoretyk sztuki:

Cóż dały memu malarstwu lata wojny i Rosji — nic; kiedy przeżycia stamtąd mnie dusiły, napisałem *Nieludzką ziemię*, nic nie namalowałem. [...] Ten album czarno-biały Teresy Lewandowskiej otworzyłem prawie niechcący — biorąc go z biblioteki „Kultury”. Dał mi chyba pierwszy raz przeżycie tak jednoznaczne świadectwa a zarazem niczym nieskażonego dzieła sztuki. Wszystko, czy prawie wszystko, co widziałem w sztukach plastycznych na temat losu Żydów, tragedii getta dawało mi prawie uczucia świętokradcze, do tego stopnia próby przekazu wyrażonego sztuką były niewspółmierne z faktami [...]. Plansze Teresy Lewandowskiej bez stylizacji przekazują oszczędnymi środkami grozę istnienia. *Krwawe plamy ma śniegu* dwie postacie zaledwie kreską oznaczone na tle śnieżnej przestrzeni z grupą

² J. Czapski, „Abel, min broder”, *Kultura* 1974 nr 4 s. 121–123.

³ Prof. Gotthold Rhode pod wpływem recenzji Czapskiego, wiedząc o niemieckim pochodzeniu Teresy, w 1974 r. wystąpił z inicjatywą wystawy w Niemczech. Skontaktowała się fundacja Stiftung des Deutschen Ostens w Düsseldorfie, ale zorientowawszy się w tematyce prac kontakt zerwała. Szkoda, bo jej prace do kogo, jak do kogo, ale na pewno zwracały się do niemieckiej publiczności.

⁴ J. Czapski, *Oko*. Paryż 1960.

⁵ J. Czapski, „Abel, min broder”, s. 122.

w tle domów w ogniu i czarnym dymie. [...] Stary człowiek prowadzący dzieci na śmierć i nad ich głowami w zmroku cztery twarze w czapkach SS-mannów — *Janusz Korczak* — *ostatnia droga*. [...] Znow scena wyrażona wyłącznie paru nieśmiałyymi kreskami i grą paru walorów. Cóż mogą wyrazić te słowa bezsilne. Te obrazy zamykają mi usta, tracę wszelką potrzebę formalnej oceny dyskusji — przekaz przeżycia tak silny, wydobyty środkami tak oszczędnymi, prawda tej sztuki mówi sama za siebie⁶.

Zgrzyty? Owszem, były, jak choćby ten, że mimo legitymizującego nazwiska Tarschysa koła żydowskie zachowały milczenie. Ale ja wielu spraw nie potrafię sobie wytłumaczyć.

Kolejna wystawa. W 1973 r. byliśmy w Londynie. Jerzy Giedroyc zapośredniczył w kontakcie z Adamem i Lidią Ciołkoszami, ci zapoznali mnie z Waławem Zagórskim, redaktorem „Tygodnia Polskiego”. Przy okazji Teresa pokazała Zagórskim kilka prac z *Abla* jak i związanych z powstaniem warszawskim. Waław, zasłużony oficer podziemia i jego żona, poetka Tamara Karren byli zaskoczeni. Niebawem Teresa została zaproszona przez gen. Pełczyńskiego, szefa sztabu AK, do wystawienia prac w 30. rocznicę powstania warszawskiego.

Wernisaż „Minuty Milczenia” (po angielsku „Minute of Silence”) miał miejsce 1 sierpnia 1974 w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym, wówczas przy Princes Gardens. Teresa wystawiła ponad 60 nigdzie dotąd nie eksponowanych obrazów, tudzież tekę *Mój brat Abel*. O wstęp do folderu wystawowego Teresa poprosiła właśnie Józefa Czapskiego, a wystawę otworzył prezydent RP na uchodźstwie Edward Raczyński. Jego zdaniem „artystka dokonała wielkiego dzieła”. Stwierdził, że „to co stworzyła pani Lewandowska będzie jednym ze świadectw, które nasze pokolenie składa na rzecz przyszłości”. Na otwarciu było, wedle księgi gości, 600 osób, elita polskiego Londynu.

Prace Teresy wcześniej znali tylko Zagórscy i Ciołkoszowie, więc dla polskiego Londynu wystawa była zaskoczeniem, tego rzeczownika przyjdzie mi używać kilkakrotnie. 3 sierpnia w Polskim Ognisku podeszła do nas starsza pani, przedstawiła się jako Karolina Lanckorońska — historyk i historyk sztuki, legendarna postać emigracji. Była na wystawie, poszła „raczej z poczucia obowiązku, jako stara AK-ówka”, sądziła, że znowu obejrzy podniosłe a konwencjonalne ujęcia ze znanego jej zbioru rekwizytów, o nikłej wartości artystycznej i perswazyjnej. To, co zobaczyła było zaskoczeniem. Przyjaźń z Karoliną hr. Lanckorońską też wytrzymała próbę czasu.

W odróżnieniu od „Abla”, londyńska wystawa „Minuta Milczenia” nie została utrwalona wydawniczo, przeto kilka słów o jej zawartości. A więc Teresa jak zawsze zaczynała od twarzy i zdarzeń, które utrwaliły się w pamięci. Sylwetki osób znajomych i niezajomych, napotykanie na warszawskich ulicach za okupacji, ładne i brzydkie, młode i stare, dzielne i zrezygnowane, zawsze ze stygmatem umęczenia. Stopniowo Teresa zaczęła głębiej drażyć problematykę, szukała syntezy. A więc kręgi na wodzie, znak zacierającej się pamięci. Ludzie zamienieni w drewno. Miasto jako spalony las, tak jak je zobaczyła po powrocie z robót w Niemczech. Swastyka jako piekielne koło młyńskie, swoimi ramionami kruszące ludzi. Wisła jako rzeka krwi i dwa jej brzegi, symbol rozbicia na tych „co z lewa” i tych „co z prawa”. Przeskakiwanie przez ulicę podczas bombardowania, skulone postacie, upodobnione do pcheł.

„Minuta Milczenia” dzieje się w tym samym czasie, co „Mój brat Abel”, ich wspólnym tematem jest człowiek w obliczu przemocy, ludobójstwa, fatum. Jednak serie różnią się, również formalnie. O ile obrazy „Abla” są czarne, bo taka była żydowska beznadziejność okupacyjna, to w „Minucie Milczenia” pojawia się kolor. Bynajmniej nie „ładny”, lecz szary, ponury, ale jednak kolor, jako że polska rzeczywistość, choć ponura, to jednak nie pozbawiona nadziei.

Zaskoczenie, o którym mówiła Karolina Lanckorońska, widać również w recenzjach, było ich — jak na niewielki polski Londyn — dużo. Alicja Drwęska pisała:

Trzykrotnie odwiedziłam wystawę [...] „poświęconą tym, co walczyli, ginęli, cierpieli na ziemiach polskich w latach 1939–1945”. Chciałam się otrząsnąć z pierwszego głębokiego wrażenia i popatrzeć na te niewielkie obrazki jak najbardziej „na chłodno” i obiektywnie, aby ocenić ich czysto plastyczne, czysto malarskie walory. Lecz jakże można oddzielić formę od treści, kiedy właśnie treść wyraża się formą tak czystą, tak mocną, tak esencjonalną. [...] Nie ma w tych małych lecz monumentalnych obrazkach teatralnych gestów; rzadko nawet pojawiają się ostrzejsze kontrasty — barwy: brunatne,

⁶ Tamże, s. 122–123.

szarawe, czernie, rozwiewają się na bieli papieru, a linia płynna, cienka, oszczędna podkreśla tylko schematyczną prawie, otwartą formę. [...] Każda plamka koloru, każda kreszczka ma w tych kompozycjach swój sens, swoje znaczenie⁷.

A oto nestor polskich artystów w Londynie, prof. Marian Bohusz-Szysko, w tym samym piśmie:

Jest to prawdziwe wydarzenie — i to o charakterze podwójnym. W znaczeniu dokumentacji różnorodność tematów wizyjnych i bogactwo nie powtarzających się środków wypowiedzi — mimo zupełnej jednolitości stylu. Tragizm, wzniosłość, męczarnia jednostki i grupy ludzkiej, miękko rozlana plama płynnego wątku i kontrast wibrującej linii... przy czym nigdzie akcent formalny nie jest oderwany od treści ekspresyjnej tematu. Nie ma tu miejsca, aby opisywać każdą [...] z kreacji, zresztą, byłoby to bezcelowe, po to jest język plastyki, aby wyrażać to, czemu nie może dać pełnego wyrazu słowo mówione, czy pisane⁸.

Stanisław Frenkiel, przeciwnik „polskiej choroby w sztuce”, czyli — jak pisał — sentymentalizmu, na wystawie przekonał się, że „historia też jest sztuką i poezją, ponieważ wymaga odwagi koncepcji i twórczej wyobraźni”. Pisał:

Po Październiku, kiedy sztuka polska z orkiestrą i sztandarami przeszła na abstrakcję Lewandowska pozostała w półcieniu introwersji i odosobnienia [...]. Rysunki Lewandowskiej są milczącym lecz jakże wymownym komentarzem poetyckim, który jest ważniejszy od dokumentów, ponieważ jest sam w sobie aktem uskrzydłonej przez rozpacz i żal wyobraźni człowieka, który nie może zapomnieć. [...] Na skutek tego źle opravione i gęsto powieszzone rysunki biją obuchem w łeb i radzę tym wszystkim, którzy byli na otwarciu wystawy, aby poszli raz jeszcze bez rozgwaru i tłoku towarzyskiego londyńskiej elity. Ciemny ton rysunków i groteskowe figury żywych i traconych, bezwładnie wywijających ramionami jak oberwane kukiełki; ludzie błądzący wśród odrapanych i zbrzydanych krwią murów, przeżytki cywilizacji, zredukowani do roli świętego śmiecia, któremu nic nie zostało prócz twarzy zięjących otwartymi ślepiami. Świat, który się rozłaził w oczach jak zepsuta galareta, wszystko to przypomina czasy, kiedy ziemia krążyła w błędnej orbicie zapomnianej przez Boga a udrapowani w stal i skórę żołnierze bez sumień rozstrzelali dzieci. Rysunki Lewandowskiej są niewymyślne i im mniej są elokwentne, tym głębiej penetrują i tym bardziej niepokoją⁹.

Przemknęła się nie podpisana recenzja w wydawanej w Warszawie żydowskiej gazecie „Folksztyme”. Niestety, wbrew temu co napisała miła pani — rozmawiałem z nią na wystawie — „Minuta Milczenia”, nie wzbudziła zainteresowania prasy angielskiej. Organizatorzy starali się, dlatego proszono Raczyńskiego o inaugurację, ponoć tylko on mógł przełamać angielski bojkot emigracyjnych imprez, ale i on temu nie sprostał.

Nieprawdą też, że zwiedzający kupowali tekę *Mój brat Abel* — owszem, zwiedzający zachwycali się nią, ale jej nie kupowali, kupowali obrazy penetrujące polską tragedię i walkę, Teresa sprzedała ich dużo. Żydowska koszula była bardziej odległa niż własne ciało.

I wruszający akcent: Szef Sztabu Armii Krajowej, gen. Tadeusz Pełczyński zaprosił nas do Studium Polski Podziemnej, gdzie wręczył Teresie Krzyż Armii Krajowej.

I wreszcie trzecia seria prac. Miała być poświęcona ojcu, zamordowanemu gdzieś w otchłaniach Związku Sowieckiego. W odróżnieniu od dwóch poprzednich serii, Teresa tę tragedię przeżywała „światłem odbitym”, znała ją z relacji i z literatury. Zaczytywała się Sołżenicynem, Achmatową, Siniawskim, niektóre teksty były wydane po polsku przez Giedroycia, inne tłumaczyłem jej na żywo.

Andrzej Siniawskij, wieloletni więzień łagrów już za Breżniewa, był u nas we wrześniu 1975. Zaprosiłem go z żoną Maryną, wpadł na godzinę, bo tyle miał czasu po wykładzie a przed bankietem urządzonym przez PEN, siedział do późnej nocy, na bankiet nie poszedł, zirytowani organiza-

⁷ A. Drwęska, *Minuta milczenia*, Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 1974 nr 195 (Tydzień Polski nr 33) s. 4.

⁸ M. Bohusz-Szysko, *Wystawa Teresy Lewandowskiej*, Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza 1974 nr 189 (Tydzień Polski nr 32) s. 3.

⁹ S. Frenkiel, *Sztuka bez granic*, Wiadomości 1974 nr 36 s. 5.

torzy dzwonił co godzinę, ale za każdym razem Andriej zbywał ich niezbyt cenzuralnymi słowami, prosząc mnie, bym ich „posłał podalsze”, do tego stopnia utożsamiał się z obrazami. Szczególnie przeżywał obraz, gdzie zza krat wagonów wycierają ludzkie postacie o twarzach zmęczonych, zrezygowanych psów. Tak czuł się, gdy w bydlęcym wagonie wiezono go do łagru w Mordowii. (Noc przepita z Siniawskimi zaogniła antagonizm z miejscowymi pisarzami i sławistami, a Siniawskiemu chyba przeszła koło nosa jakaś nagroda czy stypendium.) Wykraczając poza chronologię dodam, że podobnie reagował na sztukę Teresy inny wielki Rosjanin, Władimir Maksimów, poznany dwa lata później. Niezmiennie tej sztuce wierna jest wielka poetka i dużej miary człowiek, Natalia Gorbaniewska.

Seria pomyślana jako uczczenie zamordowanych w Katyniu i gdzie indziej, polskich oficerów szybko, bezwiednie wykroczyła poza zamierzone ramy. Może to sprawa lektur, ale chyba i przeświadczenia, że polskiej tragedii nie da się wyodrębnić z całokształtu zbrodni sowieckich. Owszem, niektóre obrazy odwoływały się jednoznacznie do Katynia, jak np. ten, na którym widać zniszczone rozkładem zwłoki zamordowanego oficera. Ale nie tylko do polskich doświadczeń odwoływał się obraz zainspirowany przez Achmatową, mglista sylwetka kobiety z jeszcze słabiej zarysowanymi, dławiącymi palcami na szyi. Podobnie obraz *Czekając na areszt*: uchylona firanka, z zza niej wyglądająca świadoma swego przeznaczenia twarz mężczyzny. (Tu Teresa posłużyła się twarzą Jerzego Giedroycia, spoglądającego w Maisons Laffitte spoza uchylonej firanki. Utkwił jej w świadomości. Że to Giedroyc Teresa zorientowała się, gdy obraz był już namalowany.)

Wystawa miała w zamierzeniu nosić nazwę „Kraj wiecznego mrozu”. W Szwecji jednak „wieczny mróz” jest pojęciem klimatycznym, nie budzącym politycznych i etycznych skojarzeń, ostatecznie wystawa została nazwana „Rop ur Tystnaden” (co niezbyt składnie tłumaczy się jako „Krzyk wśród milczenia”). Została przedstawiona w 1977 w kościele w średniowiecznej Sigtunie, dokąd zaprosił Teresę proboszcz, późniejszy arcybiskup, Gunnar Weman. Powtórzona została w Immanuelkyrkan w Sztokholmie w 1980 r. Tu na otwarciu przemawiał były prezydent Sztokholmu, Per-Olof Hanson. Zdanie recenzentów najpełniej wyraził sprawozdawca „Uppsala Nya Tidning”, stwierdzający, że przy założeniach przyjętych przez Teresę wystawa winna ponieść porażkę, ale że jej nie poniosła, przeciwnie osiągnęła zwycięstwo. Do tego stopnia sztuka ta nie mieściła się w regułach utartego warsztatu.

Do Polski sztuka ta trafiała tylko w trybie wyjątkowym. Kilka egzemplarzy teki dla przyjaciół, kilka wysłanych do bibliotek. Współpraca z Giedroyciem i Londynem czyniła z Teresy osobę w PRL nie istniejącą. Jedyna recenzja, pióra krakowskiego malarza i profesora Akademii, Stanisława Rodzińskiego, ukazała się w 1980 r., za „Solidarności”, gdy władze miały większe kłopoty niż śledzenie Lewandowskich. Była wielce pozytywna, choć też świadczyła o trudnościach z określeniem tej sztuki, wyłamującej się ze szkół i szufladek¹⁰.

Teresa Lewandowska przeszła przez sztukę jak meteor. Zamierzenia nosiła w sobie od wojny, ale zrealizowała je dopiero na emigracji w Szwecji. Pod pozorami energii i przebojowości tkwił schorowany człowiek. Dręczyły ją ciężkie alergie, często noszące charakter epidermii i obrzęku Quinke’go. Leczenie dawało słabą ulgę, niszczyło natomiast organizm. Praca z farbami i klejem powodowała rany. Pośpiech w pracy to konsekwencja świadomości uciekającego czasu i kruchości życia.

Pod koniec 1974 ujawniło się przeraźliwe zmęczenie. Diagnoza była łatwa: depresja. Miała doskonałych lekarzy, zafascynowanych jej sztuką. Esbjörm Backström, Peter Norén i Leon Weintraub robili co mogli dla ratowania życia. Niewiele zdołali, sukcesy były chwilowe i szybko ustępowały. Wcale nie akademicka kwestia: czy i na ile choroby Teresy były spowodowane wojennymi przeżyciami i uszkodzeniem przysadki mózgowej, czy i na ile były spowodowane przemoczeniem, na ile geneza ich była niezależna od przeżyć. Prawdopodobnie wszystkie te czynniki wchodziły w grę i niszczyły nadwrażliwy organizm. Jeszcze w 1976 r. Teresa znalazła w sobie siłę, by dokończyć *Kraj wiecznego mrozu*. Później brała się za pędzel tylko dorywczo.

Nie czuję się na siłach opisywać rozciągniętego na lata powolnego konania. W dniu 22 września 1983, gdy miałem wykłady do późnego wieczora, Teresa wzięła letalną dżę środków nasennych. Jak wyjaśniła w pozostawionym liście, nie miała już sił znosić męki.

Krótko przed śmiercią nigdy nie parająca się piórem Teresa skreśliła kilkanaście wierszy, swego rodzaju testament świadomie odchodzącego Twórcy. Nie miała potomstwa, rodzina bądź wy-

¹⁰ S. Rodziński, *Abel, mój brat*, Tygodnik Powszechny 1980 nr 34 s. 6.

marła, bądź była od niej o psychiczne mile odległa. Zostało to, co stworzyła. Zgodnie z Jej wolą zwłoki zostały spopielone a popioły złożone na cmentarzu Berthåga w Uppsali. Nad trumną przemawiali rektor Olle Engström i doc. Terry Carlbom. W polskiej prasie krajowej ukazały nekrologi i wspomnienie umieszczone przez profesora Jerzego Tomaszewskiego.

Obrazy Teresy Lewandowskiej są eksponowane w Teologiska Högskolan, Lidingö, gdzie urządzono szczególnie „pokój Teresy” i Lundsbrunn Kurort. 61 obrazów zostało zdeponowanych w muzeum Instytutu Yad Vashem w Jerozolimie. 126 obrazów przekazałem Muzeum Okręgowemu w Koninie. Wystawienie ich planowane jest w 2003 r.

Duża część twórczości rozsiana jest w prywatnych zbiorach.

Józef Lewandowski (Szwecja)

FRAGMENTY TRUDNEJ KORESPONDENCJI

ZYGMUNT ŁAWRYNOWICZ (1925–1987)

„Dlaczego dałeś mi miłość ojczystego języka a zabrałeś ojczyznę...” skarżył się w jednym ze swoich wierszy zmarły w Londynie poeta i tłumacz Zygmunt Ławrynowicz.

Urodzony w Poniewieżu na Litwie, tam spędził dzieciństwo i chodził do polskiego gimnazjum. Liceum natomiast, po przedostaniu się przez Jugosławię do Włoch do polskiego 2. Korpusu, zaczął na ziemi włoskiej a ukończył w Anglii. Studia ekonomiczne podjął na irlandzkim uniwersytecie w Dublinie a wróciwszy do Londynu w 1952 r. zaczął pracować jako urzędnik bankowy w City aż do wczesnej emerytury w 1985.

Jego żyłka literacka, w szczególności poetycka, zbliżyła go do grona młodych ludzi wydających w Londynie pismo „Życie Akademickie” pod egidą Zrzeszenia Studentów i Absolwentów. Swoją współpracę wnet uwieńczył objęciem redakcji miesięcznika w latach 1953–1954. Następnie współredagował miesięcznik „Merkuriusz Polski” w 1955, w który pismo się przeobraziło, a także należał przez pewien okres do zespołu kolejnego wcielenia pisma, „Kontynentów”. Współpracował z nimi do bodajże 1964 r. Obok wierszy i omówień książek znajdziemy na łamach tych pism jego żywe, z pasją pisane artykuły publicystyczne.

Październik 1956 umożliwił młodym emigracyjnym poetom zadziwienie pierwszych więźów z kolegami po piórze w Polsce. Ławrynowicz na łamach katolickiego miesięcznika londyńskiego „Życie” ogłosił wtedy szereg napisanych przez siebie sylwetek młodych krajowych poetów. Zaczął też drukować swoje utwory w pismach w Polsce, głównie w miesięczniku „Więź”.

Jako poeta dał się poznać wydanym w Londynie w 1953 r. tomikiem *Epitafium jesieni* w serii debiutów oficyny Józefa Bujnowskiego tzw. Polskiego Towarzystwa Literackiego. Po tych wczesnych utworach utrzymany w tonie, który już mu miał towarzyszyć w całej twórczości, utwory bardziej różnorodne i dojrzałe znajdziemy w tomie *Syn marnotrawny*, który wyszedł w 1968 r. w Oficynie Poetów i Malarzy w Londynie. Niesprzyjające warunki wydawnicze i pewna niezaradność i nieśmiałość spowodowały długą przerwę w jego publikacjach. Wydawnictwo Pojezierze w 1984 drukowało jego winiety liryczne pod tytułem „Błędne ogniki”. Następny tom już wydał sam autor pod firmą Kwiat Lotosu. Był to *Anglobabilon* w 1986 a po nim wyszły *Trujące jagody czyli Helga*, memento nieudanej próby związania się z kobietą.

Oprócz puścizny poetyckiej zostawił wiele przekładów z angielskiego, włoskiego i litewskiego. Są to przekłady nietuzinkowe.

Poeta Ławrynowicz pisał teksty smutne, pełne wyrzutów i żalu, wiersze bliskie rozpacz. Mimo, że żył w wielkim mieście, był pustelnikiem. Spośród wielu ludzi, którzy obok niego przechodzili, niewielu wybrał na przyjaciół i powierników. Miał naturę niełatwą, obcowanie z ludźmi przychodziło mu z trudnością, zbyt wysokie stawił bliźnim wymagania. W rezultacie brakowało mu intymności ludzkiej, ciepła, koleżeńskości. Nigdy nie założył rodziny. Do końca samotnikował. Łaził po górach, włóczył się po lasach, nurkował w Morzu Śródziemnym.

Zmarł na serce w swoim kawalerskim pokoju tak cicho, że dopiero po kilku dniach domyślono się tego, co zaszło. Tak jak inni poeci emigracyjni, pozostanie w ojczyźnie-języku.

Zygmunta poznałem wnet po jego pojawieniu się w Londynie po ukończeniu studiów w Irlandii w 1951 r. Widywaliśmy się często więc korespondencja wywiązała się później dopiero, kiedy na skutek mojego ożenku i wyjazdów w teren, by uczyć w amerykańskich bazach lotniczych poza Londynem, spotykaliśmy się rzadziej, a wreszcie po przeprowadzeniu się do Nottingham a następnie po wyjeździe do Kanady, więzią mogły już być tylko listy. W zachowanej korespondencji posiadam 23 listy i kartkę z lat 1955–1986. Z tych listów prywatnych ale i dotyczących kolektywnego przedsięwzięcia wydawania i redagowania pisma chciałbym udostępnić fragmenty, które mówią o sprawach ukazujących się wtedy w Londynie czasopism „Merkuriusz Polski” i „Kontynenty” oraz pokrewnych tematach. Przytoczę również wypowiedzi Zygmunta na temat samopoczucia

i pracy zawodowej, by rzucić trochę światła na enigmę jego przedwczesnej śmierci. W ten sposób chciałbym przyczynić się do zachowania od zapomnienia wyrazów troski Zygmunta o los i kształt pism młodych w powojennym Londynie, czego on sam już nie jest w stanie zrobić. Wydają mi się one ważne szczególnie dziś, kiedy jesteśmy świadkami ożywionego zainteresowania grupą poetów londyńskich i ich czasopismami. Wkład i opinie Zygmunta Ławrynowicza muszą być brane pod uwagę, jeśli nie ma ulec wypaczeniu obraz grupy, obecnie już dość swobodnie i ryczałtowo interpretowany przez badaczy zagadnienia.

Moja korespondencja z Zygmuntem nacechowana jest nierzadką w życiu mieszanką wzlotów i upadków, stanów euforii i depresji, pochwał i rekruminaacji, ba, pomówień. Mimo zaburzeń korespondencja trwała przez lat trzydzieści, choć jej rzadkość i przypadkowość świadczy o jej drugorzędności.

Pragnę się wstrzymać od komentarzy. Niechby teksty mówiły same za siebie. Sądzę, że jeżeli Ławrynowicz zżyma się w nich i pomstuje, wikła w zeznaniach i oskarża pochopnie, to nie czyni tego dla przekory, dla podreperowania swojego samopoczucia. Chcę wierzyć, że nurtuje go pasja naprawy sytuacji. Łudzi się na przykład, że łatwo było z „Kontynentów”, pisma toczącego się od numeru do numeru w jego opinii, zrobić świadomą swojego celu trybunę pielęgowaną troskliwie przez ludzi z poświęceniem i jasną myślą przewodnią. Można więc rzec, że jest moralistą i kaznodzieją używającym ognia piekielnego za zasadniczy element swojej perory. Dlatego składać należy jego słowa na karb zdrowego, ale niekoniecznie racjonalnego instynktu, a nie zgorzknienia czy chęci wyżycia się, raczej impulsywnej akcji niż jakiemś zadawnionemu kompleksowi. Różniłem się od niego tym, że uważałem, że najpierw trzeba było żyć a dopiero potem filozofować i doskonalić warsztat. Znając całokształt wysiłków wydawniczych lepiej i dłużej, doceniałem wagę ciągłości i ludzkiego zaufania. Nie wierzyłem natomiast w powodzenie fajerwerków i błyskotliwego słomianego ognia. W tym być może byłem podobny do zwolenników emigracyjnej literatury. Różniłem się pewną trzeźwością nie przeceniającą ani roli, ani wartości „Kontynentów”.

Pierwszy list naszej korespondencji pochodzi z 2 maja 1955. Zygmunt donosi w nim o swojej rezygnacji z redagowania „Merkurjusza Polskiego”, dopiero co powstałego. Skarzy się też na brak współpracy z mojej strony w konsekwencji wydrukowania przez niego w ostatnim numerze „Życia Akademickiego” złośliwego listu Mieczysława Paszkiewicza pod moim adresem jako ripostę na mój list do redakcji. Donosił o swojej rezygnacji wobec dostrzeganej polityki „intrygi i obmowy” i przesuwania się wpływów w ręce działacza związkowego Ludwika Angerera. Zygmunt wyjaśnia, że nie chce dłużej firmować poczynań, na które nie może wpłynąć dostatecznie. Dodaje ponadto:

Myślę, że jeżeli zależy Ci choć trochę na tym aby to pismo rozwinęło [się] w poważny miesięcznik literacki to powinieneś wejść do zespołu...

Dwa lata później, widocznie w odpowiedzi na moje z kolei zaproszenie do nowego zespołu redakcyjnego, w którym miałem być naczelnym, Zygmunt zapewniał, że ma do mnie zaufanie, ale nie ma go, czuje nawet pogardę do tych, którzy mi zaproponowali redakcję. Zauważyli oni — jego zdaniem — że pismo upada, że nikt nie chce współpracować, dlatego postanowili mnie zaprosić, bym wszystkie krnąbrne owieczki sprowadził z powrotem. Sam Angerer niby to rezygnuje z redaktorstwa, ale zostaje powiernikiem czyli utrzyma nadzór nad pismem. Ławrynowicz zgadza się, że pismo trzeba ratować, ba, trzeba ratować coś więcej: reputację młodej inteligencji polskiej za granicą. Obawia się jednak, że nie zdołam przeprowadzić własnych zamiarów, że pozwolą mi na podniesienie poziomu, na powiększenie liczby prenumeratorów a potem mi podziękują.

W piśmie, które dzisiaj by powstawało, trzeba by serc gorących, jasnych umysłów i odważnych wnikliwych oczu. Nie można nie zająć stanowiska wobec wydarzeń w Kraju, nie można zignorować polityki międzynarodowej. Trzeba by odważnie mówić gdzie się stoi i gdzie chce się iść. Tylko wtedy pismo mogłoby mieć sens. W piśmie, które będzie bezzębowe, w piśmie, które będzie zlepkiem tego co różni ludzi, na różnych poziomach świadomości i talentu, łaskawie przyślą, w takim piśmie nie chciałbym współpracować nawet z Tobą, myślę bowiem, że byłoby to kompromitacją dla nas obu.

I Zygmunt współpracy odmówił. Nieco później jednak do zespołu dołączył.

Pod koniec roku przysłał list w którym informował o wizycie redaktora naczelnego „Nowej Kultury”.

Podobno Woroszyński przyjechał (Proletariusze wszystkich krajów łączcie się) i był na przyjęciu u Bogdana [Czaykowskiego]. Nie wiem czy Bolek [Taborski] był, ale wątpię, bo ostatnio coś chodzi z nosem bardzo na kwintę. Ile razy go widzę, tyle razy uświadamiam sobie znaną zresztą prawdę, że bezkrytyczny entuzjazm w polityce kończy się rozczarowaniem, inaczej być nie może. Politykę układają umysły perfidne, przewrotne, cyniczne, tacy jak Bolek są dla nich okazją do hucznego śmiechu i zjadliwej drwiny. [...] Z Bogdanem jest inna sprawa. Ten myśli, że wszystkich przechytrzy i oszwabi. W tej sytuacji do Polski na pewno nie pojedzie. [...] Myślę, że nie jest naszym zadaniem wspomaganie infiltracji komunistycznej na emigracji, wręcz odwrotnie. Trzeba ją zwalczać, albo przynajmniej uniemożliwiać pewne posunięcia. Dochodzę do wniosku, że jesteśmy w pewnym sensie po to, aby tegoż Merkuriusza bronić i rozwijać, bo czas pościna głowy niejednej redakcji emigracyjnej. [...] Myślę, że możemy z Merkuriusza zrobić fajne, interesujące ale także i ideowe pismo. Jeżeli my nie damy jakiegoś programu to w najlepszym wypadku ludzie się wynarodowią, w najgorszym — przyjmą program, który zniweczy ich patriotyzm i zabije duszę.

W kolejnym liście z 14.1.1958 r. Zygmunt strofuje mnie i wymyśla mi za nieskreślenie jego nazwiska ze stopki redakcyjnej, jak tego zażądał. Nie pamiętam dokładnie szczegółów sprawy i dlaczego nagle postanowił nas opuścić. Nazwisko kazałem utrzymać, gdyż numer został przygotowany jeszcze za członkostwa Zygmunta.

W liście pisze

[...] mimo początkowego porozumienia co do sytuacji w Merkuriuszu oraz koniecznych kroków, jakie należałoby podjąć w celu uzdrowienia atmosfery, opuściłeś mnie bez uprzedzenia, przyjmując nagle stanowisko diametralnie przeciwne.

Nie przebierając w słowach ani argumentach ciągnął dalej:

Zawsze uważałem Cię za człowieka uczciwego. Teraz widzę, że się pomyliłem. Zawiodłem się na Tobie jako na redaktorze, bo byłeś wiecznie bezradny i niezdecydowany, chwiejny, Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek usiłowałeś palić z fatalnym jak się okazuje dla pisma rezultatem.

Posunął się nawet do niegodnych go insynuacji:

Wnioskuje, że pismo jako takie nie angażowało Twoich sympatii. Traktowałeś je jako odskocznnię gdzie indziej, o czym w pewnym sensie świadczy Twój artykułik o „Życiu” w którym widzę zniekształconą *in minus* znaną bajkę o lisie i winogronach.

Pięć lat minęło od daty następnego listu. Na zaproszenie, by wziął udział w nagraniu dyskusji na temat podsunęty przez Miłosza, wyraża zgodę, ale żąda gruntownego przygotowania do dyskusji. Dalszy list Zygmunta mówi o tym samym i wobec braku rezultatów jego propozycji, zawiadamia że nie weźmie udziału życząc pozostałym powodzenia. W kolejnym liście wraca do tego samego tematu i wymawia się, że jego krytyka nie jest osobista ale merytoryczna. Dodaje:

To, że używam czasem dosadnych sformułowań jest wynikiem krewkiego temperamentu i nic na to nie poradzę, nie jestem dyplomata. Przy tym sądzę, że na dalszą metę lepiej jest wyłuszczyć sprawę *expressis verbis* bez niedomówień, niż okłamywać się wzajemnie dla uratowania pozorów. [...]

Nie ukrywam, że jestem krytycznie nastawiony do Kontynentów, nie z uwagi na redaktora, ale ze względu na zawartość pisma [...] głównie o brak konsekwentnej postawy wobec zjawiska świata literackiego.

I obiecuje napisać artykuł. List kończy:

Przeglądając niedawno Dyskusję o języku doszłem (*sic!*) do wniosku, że właściwie to jest temat, który trzeba by nagrać na nowo, bo poprzednie potraktowanie było zbyt sumaryczne i wykrętne.

W liście z 19.11.1963 po wysłaniu do mnie artykułu Zygmunt tłumaczył:

Chciałem wyjaśnić, że nie poddam tam Twojej osoby zakamuflowanej napaści. Chyba zgodzisz się ze mną, że nie wszystko — oględnie mówiąc — co jest wynikiem naszej działalności w świecie zasługuje na stuprocentowy aplauz. Istnieją różnice zdań — myślę, że pismo istnieje także po to, aby te różnice zdań ujawnić. W innym razie szybko stoczmy się do rzędu jednej z wielu grasujących tutaj klik wzajemnej adoracji, a to by równało się śmierci intelektualnej. Im więcej odważnej kontrowersji tym lepiej, moim zdaniem. Z otwartego ścierania się poglądów może i powinien wyłonić się wspólny nam wszystkim obszar doświadczeń i przyszłej działalności, na którym to terenie zgoda nie tylko że nie przyniesie wstydu, ale stanie się początkiem nowego etapu twórczej, wartościowej pracy. Żeby uniknąć nieporozumień — zresztą już mówiłem o tym nieraz — jestem zwolennikiem dalszego wydawania pisma i dobrze się stało, że poprzednia załoga nie zdołała utopić tej trawy. Z drugiej strony, nie cieszy mnie obecna forma Kontynentów. Ani objętościowo ani treściowo nie jest to miesięcznik którego istnieniem można by się chlubić. W obiecanych artykule m.in. będę mówił o tych sprawach.

W liście z 27.1.1964 Zygmunt m.in. pyta:

„Nie rozumiem na czym polega „niemożność” obrony moich zarzutów z 2-giej części artykułu. Chyba nie jesteś zobowiązany do obrony każdej opinii wygłaszanej na łamach pisma, bo to absurd. Na temat tego czym jest „rzeczywistość” a czym nie jest, ludzie spierają się od zarania dziejów — jak dotąd zgody nie osiągnięto.

List Zygmunta z 19.2.1964 donosi o przeprowadzeniu rozmów z osobami mogącymi ściśle współpracować z Kontynentami. Wynik był negatywny. „Z grubsza biorąc przychylna bierność”. Nie zabraknie „dosyłać” różnych tekstów, motywowanych swoimi interesami.

Całe towarzystwo, pomimo zróżnicowań jakie napewno występują ma jedną cechę wspólną. Jest nią cyniczny stosunek do pisma, które widzą oni jako rodzaj teatryku. W teatryku tym redaktor ma spełniać rolę aktora, reżysera i scenografa, manipulatora od świateł, dekoracji i propagandy, kasjerem, woźnym i posługaczką w jednej osobie. Pismo, więc, teatryk do wynajęcia ma istnieć po to, aby oni od czasu do czasu wygodnie rozparci w łoży, mogli oglądać własne utwory na scenie i oklaskiwać Redaktora-Factotum, względnie wygwizdywać go za to, że pokazuje nie to, co oni mu podsunęli. Jeśli pismo będzie dobre, to ich zasługa, bo to oni piszą. Jeśli złe, to winien Redaktor, który jest niedołągą.

Z tonu listu wynika, że w moim piśmie zwróciłem się do Zygmunta z zapytaniem, czy by sam nie miał ochoty objąć funkcję redaktora. Opowiedział, że takich ambicji nie hołubi, że tytuły i gry w redaktora go jedynie bawią.

Skoro nie można realizować celów wartościowych i potrzebnych a zajmowanie się głupstwami w naszym wieku zakrawa na błażeństwo, nie pozostaje mi nic innego jak zrezygnować z oferty objęcia redakcji. Redagowanie pisma w moim pojęciu, nie jest służbą społeczną ani obowiązkiem moralnym. Jest natomiast formą działalności, której wartość wyznaczają nie intencje, ale osiągnięcia, która w zależności od czasu, miejsca, sytuacji piszących może być celowa, względnie celową nie jest. Z rozważenia obecnej sytuacji i możliwości wynika, że nie byłoby celowe podejmowanie tej próby.

Dodaje, że poleca na to stanowisko Jerzego Niemojowskiego i że jest gotów poufnie o tym z nim porozmawiać.

W liście z 3.3.1964 Zygmunt to co nazwał uprzednio „cynicznym podejściem” i „przychylną biernością” uznał za wolną wolę.

Tobie, jako wolnemu człowiekowi, wolno założyć np. hodowlę orchidei, jeśli taka jest Twoja wola. Ale nierozsądnie byłoby wymagać, aby znajomi i przyjaciele przyszli Ci pomagać w tej robocie.

Dodał też:

Nie jesteśmy tacy starzy, żeby kurczowo trzymać się tej opuszczonej trawy. Spróbujmy płynąć ufając własnym siłom. Niezależność duchowa, samowystarczalność jest

warunkiem bezwzględny powodzenia w pracy umysłowej. Gromadka rozbitków kuląca się wokół ogniska i szukająca pociechy w gromadnym ciepłku jest skazana na powolną zagładę. Wygrają ci, którzy oderwą się od tego „magnesu” i pojedą w głąb odkrywać ląd nieznaną zamiast przez własny udział pomnażać wrzawę zdezorientowanych i przestraszonych, względnie pomagać w cynicznej eksploatacji tych stanów psychicznych.

Dnia 15.5.1964 Zygmunt informował o wybieraniu się na wakacje, o tym, że chodzą słuchy jakoby Czesław Bednarczyk miał objąć redakcję „Kontynentów”.

Myślę, że z zamykaniem pisma nie musisz się śpieszyć — to zawsze można zrobić o każdej porze. Zaczekaj. Niech pismo „zaśnie” na parę miesięcy i odpocznie. To mu wyjdzie na zdrowie...

Kiedy powrócił do Londynu, ja otrzymawszy pracę na jednym z uniwersytetów środkowej Anglii, przenieśliśmy się na wieś pod Nottingham. W liście z 20.9.1964 przekazanie pisma Zbigniewowi Grabowskiemu skomentował Zygmunt tak:

Nie mam ochoty wracać do sprawy Kontynentów. Powiedzieć jednak muszę, że uważam „załatwienie” sprawy za wybitnie niefortunne. Pismo dostało się w ręce ludzi, z którymi nic mnie nie łączy i z którymi współpracować nie zamierzam.

Przypomina też, że w poprzednim liście prosił mnie o

niepodejmowanie drastycznych kroków w pośpiechu. Miałem zamiar skontaktować się z Tobą po powrocie z wakacji, aby ostatecznie sprawę obgadać. Tymczasem po powrocie od postronnych osób dowiedziałem się o losach Kontynentów [...] z dwójga złego wolałbym się zjawić na stypę niż na *mariage*, który pachnie stręczycielstwem...

Kilka lat później po powrocie z wizyty w naszym domu w Ruddington pod Nottingham, Zygmunt w liście z 7.4.1968 wyznał:

Nie mieliśmy co prawda zbyt wiele czasu, żeby przedyskutować Wielkie Sprawy, ale zanurzenie się w codzienność życia rodzinnego dla takiego samotnika jak ja jest zjawiskiem cennym i pożytecznym. Na parę dni przynajmniej zapomniałem o własnych problemach i kłopotach, co stwierdziłem z ulgą wielką, jako że obsesja własnego „ja” dla faceta żyjącego w czterech ścianach własnego pokoju staje się *a la longue* zjawiskiem nie do zniesienia. Nieraz mam ochotę wy dostać się z własnej skóry i pomaszzerować w siną dal nie oglądając się za siebie. Myślę, że w życiu każdego z nas zdarzają się takie okresy [...] Praca biurowa bardziej niż kiedykolwiek daje mi się we znaki...

Tuż przed moim wyjazdem do Kanady otrzymałem od Zygmunta list głównie poświęcony przekładom (25.5.1969).

Przekłady lubię i jako ćwiczenie znakomite i jako formę popularyzacji rzeczy w Polsce nieznanych. Ale wiem, że trzeba nareszcie dać coś z siebie i tych własnych rzeczy, o których myślę, nie można odsuwać w nieskończoność, bo przepadną w obcojęzycznym rozgardiaszu...

W Kanadzie odebrałem list z 30.10.1972, w którym Zygmunt wyraża radość z otrzymania mojej korespondencji:

[...] nie tylko dlatego, że inni nie komunikują się ze mną, ale głównie dlatego, że szczególnie miło wspominam naszą przyjaźń.

Relacjonuje postępy w pracy przekładowej poezji Jeffersa i prozy Mertona.

Oryginalna twórczość w kompletnym zastoju mimo wielu projektów literackich, które nie dają mi spokoju. Przykro wyznać, ale po dwudziestu z górą latach biurowej mordęgi czuję, że zamieniam się w kalafior i coraz mniej znajduję w sobie energii potrzebnej do pracy długofalowej. Brak jakiegoś przyjaznego organu nie sprzyja realizacji projektów

literackich. Z Oficyną [Poetów i Malarzy — przyp. F.S.] nic już mnie nie łączy — stosunki b. chłodne.

Przebywając na początku roku 1975 w Hiszpanii zamierzałem wydać tom przekładów poezji Zbigniewa Herberta na hiszpański. W tym celu napisałem do Zygmunta, by mi przysłał teksty niektórych wierszy oraz materiały pomocnicze. W liście z 25.2.1975 nadeszło kilka odbitek oraz wyrazy zadowolenia z uczestniczenia w Jesieni Poetyckiej. Komentując lakoniczność listu Zygmunt skarży się

[...] skoncentrować się nie sposób w biurze liczącym ponad sto osób — rozmowy, kwiki, telefony etc. Za dużo decybela jak na moje uszy i na moją wrażliwość.

O tychże materiałach Herberta pisze w liście z 5.3.1975. Na krajowe wydawnictwa narzeka w korespondencji z 22.4.1975:

Lobuzy z Wydawnictwa Literackiego zrobiły mnie w konia, jak to ładnie tam się mówi, a inni nie lepsi. Mam dość moich pracodawców, wyżej uszu i gdybym nie był wyznawcą Chrystusa, to bym ich wykosił z pepeszy! Opuścili mnie moi dawni przyjaciele, siedzę w chałupie i nikt się nie odzywa od lat! Piszę listy, na które nie otrzymuję odpowiedzi. Całe szczęście, że jestem urodzony pod Wagą i lubię równo-Wagę. Więc daje sobie radę i nie przejmuję się problemami. Przekłady idą jako tako.

Pod datą 2.2.1976 czytam:

Wrogów nie mają ci tylko, którzy niczym nie są i nic nie robią. Niżej podpisany mimo że nie jest geniuszem ma wrogów po obu stronach pieprzonej kurtyny: stąd kłopoty z wydawnictwami w Polsce i niemożność, po ostatnich „nieporozumieniach” w Oficynie, drukowania tutaj. [...] Jedyni ludzie, z którymi się widuję — dość rzadko — to Niemojowscy i Paszkiewicz. Mam bliski kontakt z Marianem Kratochwilem (malarz), którego notatnik wojenny (1939) przekładam obecnie na angielski. [...]

Straszne upały jakie przeżywamy w Londynie nie sprzyjają pracy intelektualnej. Globusik nie chce pracować. Ale robię co mogę. W pracy nudzę (*sic!*) sromotnie i z melancholią rozważam ile to lat przemarnowałem zarabiając pieniądze po to, aby mieć z czego żyć i równocześnie nie mieć czasu ani możliwości, żeby żyć naprawdę.

List datowany „W maju 1979 roku” jako miejscowość podaje „City-Anglobabilon”. Na moje doniesienia o polonijnej prasie w Kanadzie Zygmunt odpowiedział:

Jednak to polskie dziadostwo ma twardy żywot. Trzydzieści z górą lat minęło od zakończenia działań wojennych, a oni wciąż urzędują, wciąż dołki kopią, intrygują, bzdurzą się i... wybierają nowych Prezydentów. Jak wiesz wygarnąłem tym ludziom swego czasu na łamach pisma, które — w części przynajmniej — można było uważać naszym organem prasowym [*sic!* — F.S.]. I odtąd dałem spokój. Z ludźmi, którzy chorują na atrofię szarych komórek i przewlekły szczękościsk dyskutować nie można i nie warto. Poznawszy obecnie — niezbyt głęboko, to prawda, ale już wystarczy — tę drugą stronę w PRLu dochodzę do smutnego wniosku, że ci panowie podobni są do siebie jak dwie krople wody. Ta sama arogancja, ten sam brak poszanowania dla odmiennych poglądów, ten sam, tak zenujący brak kultury osobistej i rzetelnej wiedzy przy równoczesnym zadęciu na wodzów narodu i nauczycieli. Smutek. Ale co robić? Człowiek ma tylko jedną ojczyznę na tej ziemi i bez względu na to, kto tam rej wodzi (czy aby nie kard. Wyszyński?) tam mieści się nasz narodowy Dom. Dlatego wolę pisać do pism krajowych. Bo tam są szanse, że zostaną przeczytane przez autentycznych Polaków a nie przez nawpół już wynarodowionych — mimo że wciąż szowinistycznie zacierzwionych — emigrantów. [...] Pisać [...] jeżeli w ogóle, to chyba tylko do „Kultury” paryskiej, która bez względu na swoją politykę, jest pismem na poziomie. Cóż, kiedy z uwagi na ich stanowisko i propagandę, jaką uprawiają, pisać tam nie mogę. Z katolikami łączy mnie bezdyskusyjna sprawa chrześcijańska na całej rozciągłości. A dla świadomego katolika, tak samo niepokojącym jest materializm ateistyczny wschodu jak materializm i neopoganizm Zachodu. I tu sprawdza się to, o czym nie raz myślałem wiele lat temu w Londynie: własne pismo, pismo w którym

się jest gospodarzem od a do z. Wtedy człowiek nie ogląda się za pieniędzmi dla siebie, a tylko troszczy się, aby to, co się pisze było zgodne z prawdą. Niestety. Mieliliśmy szansę dopracowania się takiego pisma, ale została zaprzepaszczone, bo nie dało się pogodzić prywatnych karier z koniecznością poświęceń koniecznych przy tego rodzaju imprezie. A brak własnego organu skazał nas wszystkich — prawie bez wyjątku — na milczenie. Można było spodziewać się, nie popadając w emfazę, że z takiego grona wyłonią się nie tylko lirycy, ale publicyści, krytycy, historycy etc. Tymczasem ćwierć wieku upłynęło już od pamiętnych sporów o „Życie Akademiczne” i „Merkurysza”, a nas nie ma ani w literaturze, ani w życiu społeczno-politycznym, po tej czy po tamtej stronie berlińskiego płotu — wszystko jedno. Nie ma nas w prasie, w radiu, w telewizji, filmie, na półkach księgarskich czy w teatrze. [...] Nasze nazwiska tam nie grają. Usiłuję zrobić to lub owo, ale jak pewnie zdajesz sobie sprawę, jest to sprawa arcydelikatna, najeżona trudnościami obiektywnymi (brak papieru, cenzura) i subiektywnymi (zawiść zawodowa, chęć szkolenia i niedopuszczania tych, którzy nie deklarują się oficjalnie z tą lub tamtą stroną)...

List zawiera sporo minucji na temat przekładów, które Ławrynowicz lansował w Polsce oraz opis stosunków urzędowych i prywatnych, jakie panują w literaturze.

Ostatni list a właściwie nota skreślona w British Library z 28.8.1986 donosiła tryumfalnie, że Zygmunt wreszcie otrzymał mój tomik wierszy, który wręczyłem redaktorowi „Gazety Niedzielnej” Zdzisławowi Wałaszewskiemu do przekazania Zygmuntovi — dwa lata wcześniej.

Przeleżał tam aż do chwili kiedy przeprowadzano się na nowy adres i z konieczności musiano zrobić jakie takie porządki.

Zygmunt gniewał się na mnie za to, że przejeżdżając przez Londyn, parę razy prosiłem Wałaszewskiego, by go powiadomił o ewentualnym wspólnym spotkaniu. Uważał, że powinienem się z nim osobiście umawiać i to dużo czasu naprzód. Cóż kiedy ja nigdy nie byłem w komfortowej sytuacji, by móc uprzedzać o przejeździe, nic nie mówiąc o ustaleniu szczegółów.

Do ostatniej korespondencji dołączył swój własnym sumptem wydany tom wierszy *Anglobabylon*. Szczerze o tym zbiorze do niego napisałem donosząc, że moim zdaniem, nie stał na poziomie jego poprzednich publikacji, że nie stanowi postępu, zgańnię autora za przesyt inwektyw i gremialne zżywanie się na siebie i na świat. Ale pochwalałem to, że te teksty z siebie wyrzucił. Nawiązując do jego noty napisałem:

Gdybyś Ty nagle się zjawił tu, to bym chciał się z Tobą spotkać nawet, gdybym się o tym dowiedział od kogoś innego, nie powiadomiony z góry o tym... Kto wie, czy tych okazji w przyszłości będzie tak wiele, bo miejsc do odwiedzenia jest dużo, a życie robi się krótkie. I po co te wszystkie pozy?

Ironia losu sprawiła, że zjawiłem się w Londynie ponownie zupełnie niespodziewanie. Wałaszewski z miejsca poinformował mnie, że Zygmunt na spotkanie nie przyjdzie i że czeka na mój telefon. Z Polskiego Ośrodka Kulturalnego zatelefonowałem, aby nasłuchać się tych samych wyrzutów, dlaczego nie zaanonsowałem się wcześniej. I to samo w kółko. Wrzuciłem do automatu ostatnią monetę. Zygmunt perorował dalej. Jeszcze dziś słyszę jego namiętne, gorzkie słowa, które automat po chwili przerwał, kiedy wyczerpały się zakupione impulsy.

I takim miałem już Zygmunta zapamiętać na zawsze.

Florian Śmieja (Kanada)

ADAM MARIAN TOMASZEWSKI

(1918–2002)

W dniu swoich 84 urodzin, 9 sierpnia 2002 r., zmarł w rodzinnym Kościanie Adam Tomaszewski, nestor polskich pisarzy-emigrantów, jeden z ostatnich już przedstawicieli emigracji niepodległościowej 1945 r., przez wiele dziesiątków lat zamieszkały w Kanadzie. I nie trzeba dodawać, że równie długo książki jego czekały na dostęp do czytelnika w kraju. Dopiero u schyłku lat 90. minionego stulecia byliśmy świadkami triumfalnego powrotu pisarza do swoich stron rodzinnych, gdy późną jesienią roku 1996 nakładem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Kościanie ukazało się pierwsze krajowe wznowienie głośnej opowieści *Młodość została nad Obrą*, gdy staraniem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Poznaniu wydano zbiór szkiców naukowych *Jesteś wszędzie, Itako. Świat prozy Adama Tomaszewskiego* (1997), a rodzinny Kościan uczcił pisarza zaszczytnym tytułem Honorowego Obywatela. Wkrótce też pojawiły się nowe książki: nawiązujący do wcześniejszych tomów prozy wspomnieniowej zbiór opowieści *Ileż to dni, ileż to lat...* (1999) oraz znakomity tom esejów kanadyjskich *Krzyk dzikiej gęsi* (2000). Obie te książki są jakby podsumowaniem wiedzy i emocji łączących Adama Tomaszewskiego z krainą młodości (Wielkopolska) i krajem lat dojrzałych, który stał się drugą ojczyzną pisarza (Kanada), bo jak pisał w książce *Wiosna u Wielkich Jezior* (Toronto 1990):

Jesteśmy jak ta roślina. Wrastamy. Dzisiaj? To już nasz kraj, tutejsza rzeczywistość jest naszą rzeczywistością, jesteśmy Kanadyjczykami polskiego pochodzenia. Powiązania z ojczyzną przodków. Tak. Aż do śmierci. Ale klonowy liść stał się i naszym symbolem. Z wyboru i z serca.

Deklaracja ta znajduje pełne potwierdzenie w licznych szkicach, opowieściach i reportażach przepojonych zarówno fotograficzną pamięcią miasta młodości, jak i czułą uwagą dla miast, przyrody i ludzi współtworzących obraz dawnej i współczesnej Kanady. Można z całym przekonaniem powiedzieć, że tak jak w miarę upływu lat coraz większej plastyczności nabierały zachowane w pamięci pisarza obrazy Kościana, miasta rodzinnego, tak też coraz skuteczniej anektował Tomaszewski dla własnej wyobraźni geograficzną przestrzeń nowej ojczyzny, aż obie utworzyły trudną do rozdzielenia je d n o ś ć duchowego i egzystencjalnego doświadczenia.

Adam Tomaszewski należał do pokolenia, któremu nie dane było zrealizować wcześniejszych projektów życiowych. Po zdaniu matury w kościańskim gimnazjum im. św. Stanisława Kostki rozpoczął studia w Akademii Medycyny Weterynaryjnej we Lwowie, ale wybuch wojny uniemożliwił ich kontynuację. Przedostał się Tomaszewski do Warszawy, gdzie ukończył podziemną szkołę podchorążych i jako żołnierz Armii Krajowej wziął udział w powstaniu warszawskim (odznaczony Krzyżem Walecznych). Po powstaniu znalazł się w obozach jenieckich w Sandbostel i Westertimke, a po zakończeniu wojny pozostał w amerykańskiej strefie okupacyjnej, służąc jako podporucznik w Oddziałach Wartowniczych. W roku 1948 zdecydował się na emigrację do Kanady, gdzie początkowo przez lata pracował fizycznie, nie zaniedbując jednak swych aspiracji intelektualnych. Uzyskał magisterium slawistyki na uniwersytecie w Ottawie i bardzo szybko, wraz z poślubioną w 1951 r. Jadwigą Jurkszus (1918–1996) romanistką po studiach w Wilnie, Belgii i Kanadzie, gdzie uzyskała doktorat, włączył się aktywnie w życie kulturalne, stając się niebawem jedną z najważniejszych postaci polskiego środowiska w Toronto. Był w latach 50. członkiem Konfraterni Artystów „Smocza Jama”, redagował wraz z żoną dodatek literacki „Prąd” (1961–1964) przy „Głosie Polskim”, skutecznie zabiegał o powstanie Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie przez wiele lat pozostając w jego zarządzie. Przede wszystkim jednak był pisarzem publikującym swe utwory na łamach wszystkich najważniejszych pism emigracyjnych. Pierwszą książkę pt. *Toronto, Tronto, Trana* (1967), będącą zbiorem szkiców z przeszłości i teraźniejszości ontaryjskiego miasta, napisał wspólnie z żoną i odtąd, jak mawiał kiedyś Tymon Terlecki, owa małżeńska unia

literacka miała stać się nieodłącznym elementem polskiego pejzażu kulturalnego w Toronto. Największy rozgłos zdobyła sobie druga książka Tomaszewskiego *Młodość została nad Obrą* (1969), której pierwotna wersja pt. *Hellada* publikowana była w odcinkach już w roku 1950 na łamach „Gazety Polskiej” w Winnipeg. Na tle bogatej w piśmiennictwie emigracyjnym literatury wspomnieniowej książka ta wyróżniała się zarówno tym, że wprowadzała temat polskich kresów zachodnich, dotąd dość ubogo prezentowanych w literaturze, jak i odmiennością swego tonu, w którym nie było nic z prób mitologizacji czy nostalgicznej idealizacji utraconych miejsc młodości. Przeciwnie, był to nader konkretny, odtworzony z fotograficzną precyzją portret miasta, ludzi, a także charakterystycznego języka, portret szczególnej formy duchowej pragmatycznego Wielkopolanina. Nic więc dziwnego, że książka ta zwróciła na siebie baczną uwagę i przypisano jej wkrótce miano „kościańskiej epepei”.

Prozę Adama Tomaszewskiego współtworzą dwa równoległe rozwijające się w niej nurty: obejmujący kilka tomów nurt prozy wspomnieniowej, gdzie w tematycznym planie centralnym znajdują się pamięciowe rekonstrukcje obrazów Kościana i bogatszy ilościowo nurt prozy podróżniczej, której oryginalność leży w umiejętnym zespoleniu składników reportażowych, eseistycznych, gawędziarskich. Łączy oba te nurty właściwa Tomaszewskiemu troska o eksponowanie konkretnego, dar szczegółu umieszczonego wśród drobnych zwykłości, a przecież odświeżającego nagle jakąś istotę ludzkiego doświadczenia. Wspólna Adamowi Tomaszewskiemu i Jadwidze Jurksus-Tomaszewskiej pasja podróżowania (i fotografowania) przyniosła w konsekwencji kilka tomów prozy najpierw wnikającej w tajemnice przestrzeni kanadyjskiej, a potem przybliżającej inne regiony świata.

W ostatnich latach życia, już po śmierci żony, dzielił Adam Tomaszewski swój czas między Polskę i Kanadę, zamierzał na stałe wrócić do kraju, ale po ponad 50 latach pobytu poza krajem było to z wielu względów niezwykle trudne. Także dlatego, że obraz Polski jawił mu się w jego doświadczeniu dość pesymistycznie. Niejednokrotnie w listach dzielił się ze mną swymi wątpliwościami. W październiku 1999 roku pisał:

Jestem w kraju od maja. Reakcja na tutejsze stosunki i warunki — bardzo różna. Od entuzjazmu do wściekłości na przedłużanie potwora jakim był PRL, jego istnienie ciągle pulsuje w charakterach ludzi, w życiu ciągle pełnym fantomów komunizmu. Zresztą co tu gadać, nie da się wymazać emigracji ze sposobu myślenia i zachowania w różnych sytuacjach życiowych, my wszyscy przebywający plus-minus 50 lat poza krajem, jesteśmy lekko stuknięci, inaczej wariatuńcio się kłania. Stąd zbyt może ciemny obraz Polski, która mimo setek tysięcy grandziarzy i zwykłych złodziei, powoli ale stale przebija się ku lepszej przyszłości.

Przed zniechęceniem ratowała Tomaszewskiego autoironia i świadomość, że wcale lepiej nie przedstawia się obraz polskiego środowiska w Kanadzie, któremu — także w listach — nie szczędził gorzkich, by nie rzec szyderczych, a pełnych bólu, słów.

Tutaj w Kanadzie — pisał w lutym 2000 roku — nie jest w środowisku polskim wcale lepiej. Jest jedna bryndza, podstawianie nogi, jedno zmiłowisko. Nie ma w ogóle do kogo gęby otworzyć...

Ale najbardziej jednak martwiło go to, że w Polsce „ciągle pokutuje szkielecik PRL-owskiej biurokracji”. Tak więc do końca pozostawał między Kanadą i Polską, nie rezygnując zarazem z dalekich podróży na Cypr, do Egiptu itp., co było pasją całego jego życia. Zmarł niemal dokładnie co do dnia w 54. rocznicę podróży zapoczątkowanej w połowie lipca 1948 r. na statku S/S Marine Shark, który wypłynął w swój rejs z Ludwigsburga do Halifaxu niosąc na pokładzie ku brzegom Kanady grupę polskich dipisów, wśród których był także przysły piewca uroków kraju klonowego liścia, a zarazem uważny dokumentalista ludzi i domów miasta nad Obrą. Do tego miasta zdołał powrócić ze świadectwem dochowanej mu wierności.

Janusz Kryszak (Toruń)

KALI CZYLI MAGIA PĘDZLA

HANNA GORDZIAŁOWSKA-WEYNEROWSKA (1919–2000)

Szczęśliwe lata międzywojennego dwudziestolecia niepodległej Polski dobiegały kresu. Studia w Warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych zostały zakończone. Letni wypoczynek i wakacyjny plener na polsko-białoruskiej ziemi dobiegał także do końca. Nikt nie przypuszczał, że dla wielu będzie to ostatnie pożegnanie z kresową ojcowizną i ojczyzną w ogóle.

Dziecko roku odrodzenia się państwowości polskiej, wychowane w patriotyzmie dzisiaj rzadko spotykanym, w wolności we własnym kraju i na początku kariery artystycznej a zwłaszcza młodość, która rozwijając swoje skrzydła szukała ujścia. Jeszcze nie zdołano zabić ran rozbiórów i wielkiej wojny, która dwukrotnie przeszła potężnym huraganem przez polską krainę a już nadchodziły czerwone i czarne chmury.

Dla jednych już pierwszy a dla innych 17 września 1939 r. stanowił o tym samym — sowiecko-niemieckim rozbiórce państwa polskiego, okupacji, zniszczeniach, rabunku, gwałtach, zsyłkach na Sybir i do obozów koncentracyjnych. Tak jak już tyle razy w dziejach, naród znowu stanął do boju i walki w obronie swojej wolności i niepodległości kraju. Codziennosc raptem się diametralnie zmieniła. W tym wypadku paletę i pędzle trzeba było zamienić na skuteczniejszą broń przeciwko najeźdźcom.

Panna Hanna Gordziałowska, po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, zamiast kariery artystycznej rozpoczęła „karierę” wojskową. Była uczennicą artysty malarza Tadeusza Pruszkowskiego (1888–1942), od 1930 r. rektora ASP. Był uwielbiany jako mistrz malarski i filozof radości życia. O tym „światowidzie zainteresowań”, który został rozstrzelany w czerwcu 1942 r. przez Niemców, czytamy w powojennym uroczym eseju Feliksa Topolskiego¹:

[...] ratował nas od niwelujących procesów, zmierzających wprost ku powadze bestialstw totalitarnych [...] walczył śmiechem — największym wrogiem zakłamania i [...] dlatego musiał być zniszczony².

Natomiast jego uczennica wstąpiła do Armii Krajowej. Z *Księgi dżungli* Rudyarda Kiplinga wzięła swój pseudonim Kali³ i jak mówiła, chciała wówczas mieć kilka par rąk, by walczyć z okupantem.

Po ukończeniu kursów wojskowych została porucznikiem w oddziale sabotażu, który zajmował się uszkodzaniem lub niszczeniem mostów, kolei żelaznej, tuneli... Nagrodą za dobrze wykonane zadanie żołnierze-kobiety otrzymywały rewolwery, które były wówczas bardzo pożądaną bronią. Wzięła udział w powstaniu warszawskim a po jego upadku dostała się do niemieckiego obozu jenieckiego. W czasie powstania została ranna a za wykazane męstwo otrzymała Krzyż Walecznych.

Jesienią 1945 r. zbiegła spod okupacji sowieckiej do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech a stamtąd przeniosła się do Belgii. Tu postanowiła wrócić do swej przedwojennej profesji i w Brukseli podjęła dalsze studia w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych.

Mimo świadomości utraty swej małej ojczyzny w wyniku zdrady aliantów w Teheranie i Jałcie, postanowiła znormalizować swoje życie na emigracji. Dość szybko, bo już w latach 1946–1950 miała wystawy w Szwajcarii, Szwecji, Luksemburgu, w Anglii i we Francji.

¹ F. Topolski, *Tadeusz Pruszkowski*, [w:] *Straty kultury polskiej 1939–1944*, t. 2, praca zbiorowa pod red. [J. Hulewicza] A. Ordegi i T. Terleckiego. Glasgow 1945 s. 399–416.

² Tamże, s. 410.

³ W sanskrycie oznacza „czarna”; hinduska bogini śmierci, niedostępna córka Himawat. Ma czarne ciało, czerwoną twarz i cztery ramiona; przedstawiana z naszyjnikami z czaszek ludzkich; wg hinduizmu ostatnia i najgorsza epoka w rozwoju świata.

W Belgii poznała swego męża, także uchodźcę, wielkopolskiego przemysłowca Henryka Weynerowskiego. W 1950 r. oboje wyemigrowali do Kanady a po trzech latach, do Stanów Zjednoczonych. Osiedlili się w Kalifornii, w mieście Świętego Franciszka. W czasie stosunkowo krótkiego pobytu w Kanadzie, artystka reprezentowała ten kraj na biennale sztuki nowoczesnej w São Paulo (Brazylia) i w Caracas (Wenezuela).

Później, jej pracowitość i oryginalność torowała drogę do szeregu wystaw indywidualnych w Palais de Beaux Arts oraz Galerie Lou Cosyn w Brukseli, London Gallery w Londynie i Galerie des Garets w Paryżu; Eaton's Gallery w Toronto i Memorial Gallery w St. Catharine, Ontario, w Kanadzie, oraz w Stanach Zjednoczonych: Weyhe Gallery w Nowym Jorku, California Palace of the Legion of Honour Museum i w Feingarten Galleries w San Francisco, Esther Robles Gallery w Los Angeles (Kalifornia), La Vieille Varsovie w Dallas (Texas), Washington Federal Gallery w Miami Beach (Floryda). Dzisiaj jej malarstwo prezentowane jest w wielu muzeach i galeriach na świecie.

Nie akceptowała siłą narzuconych rządów po 1945 r. i wobec braku perspektywy powrotu do pojałtańskiej Polski, przyjęła w 1958 r. obywatelstwo amerykańskie. Duchowo była jednak związana do końca swej drogi z naszą ojczyzną.

Z miłością wspominała o swoich bliskich, „kłanie” Czarnockich z pokolenia matek, ciotek i wujów oraz rodziny zamieszkałej przy ulicy Chopina w Warszawie, jak również ciotecznego szwagra prof. Kazimierza Czereyskiego z Milanówka. Mówiła, że ich przeciwieństwem byli Gordziałowscy, „zakuci snobi i endecy”⁴.

W tych domach odbywały się liczne wizyty „przy zamkniętych drzwiach” przeróżnych świecznikowych postaci z Piłsudskim włącznie. Zjawiali się zwykle w decydujących momentach politycznych przy ulicy Chopina czy Rejtana a także w Puławach. Nastolatka Gordziałowska była kiedyś świadkiem rozmowy u ciotki Jadwigi, która „mówiła prawdę w oczy” ministrowi rolnictwa i reform rolnych Juliuszowi Poniatowskiemu: — Jak się nie zastanowisz nad konsekwencjami swoich obecnych poczynań, to wówczas porozmawiamy!⁵ Przy tej sposobności autorka listu wspomniała Mariana Hemara, który swego czasu powiedział, że „nie cierpi ludzi mówiących prawdę w oczy” i zaraz komentuje tę wypowiedź „rzeczywiście, ci ludzie przeważnie mówią tylko przykrą prawdę, pomijając cechy pozytywne danego człowieka”⁶.

W 20. rocznicę kariery artystycznej w 1965 r. została zorganizowana specjalna wystawa malarstwa Kali w Winblad Galleries w San Francisco. W ciągu bez mała miesiąca trwania wystawy zorganizowano dyskusję specjalistów oraz prezentację warsztatu przez samą artystkę dla zaawansowanych i adeptów sztuki. W tym miejscu należy dodać, że Kali stosowała oryginalną metodę polegającą na trzech fazach malowania — robieniu szkicu, podkładu oraz kolejnym nakładaniu farb. Swoją technikę prezentowała na przykładzie jej dzieła *Dzieweczyna z szalem*.

Artystka była bardzo skrupulatna i drobiazgową w technice i jej dzieło dojrzewało bardzo wolno — czas wykonania trwał około dwóch miesięcy. Wzorem swego mistrza pracowała nad dziełem w sposób „czuły, benedyktyński, delikatny”. Troszczyła się o doskonałość i solidność warsztatu malarskiego. Była pod wpływem artystycznym Bractwa św. Łukasza założonego przez Tadeusza Pruszkowskiego w Warszawie. Malowała w tradycji renesansu. Na początku lat 60. artystka przebywała krótko w Meksyku, gdzie zrobiła serię szkiców tubylców a po powrocie namalowała szereg postaci z tego kraju. Stąd w jej twórczości epizod meksykański.

Ciekawy jest jej obraz *Sonet z krzesłami* przedstawiający sad owocowy z fortepianem pośródku a wokół niego puste krzesła. Nad tym dominuje portret Artura Rubinsteina. Wspomnieć trzeba, że artystka nigdy mistrza Rubinsteina nie spotkała, ani go nie widziała, ale utwory muzyczne wykonywane przez niego robiły na niej wielkie i nieprzemijające wrażenie. Jak mówiła — był symbolem ojczyzny Polski, którą okupanci zniszczyli. Obraz jest alegorią tej Polski, w której krzesła naszych przyjaciół w wyniku wojny się opróżniły.

Kryptonim z czasów II wojny światowej posłużył jej jako nazwisko artystyczne. Ceny jej obrazów na wystawie w 1965 r. były wysokie — powyżej 3 tys. dolarów.

⁴ List H. Weynerowskiej z San Francisco do przyjaciół, J. i M. Mogensenów w Danii z 2 VI 1991.

⁵ Tamże.

⁶ Mowa tutaj o czasach przed odzyskaniem wolności przez Polskę.

Kali w 1988 r. pożegnała swego obłożnie chorego męża na zawsze a już wkrótce, znacznie młodsza, sama zaniemogła i z coraz większą trudnością mogła odbywać ulubione spacerunki z piskiem Filipem. Ostatnie dziesięć lat były jedną udręką aż Pan powołał ją do wieczności.

Jaki los spotkał jej artystyczną spuściznę — nie wiadomo. Bliscy i przyjaciele w Stanach Zjednoczonych odeszli wcześniej. Przed laty autor usilnie namawiał, by artystka przekazała część swoich dzieł do Muzeum w Rapperswilu, ale ubywało jej sił a krąg zaprzyjaźnionych osób w San Francisco szybko się kurczył.

Wiadomości dochodzące z wolnej Polski bulwersowały ją. Pisała, że o „polityce zarówno w Belwederze, jak w Białym Domu (Clintonów) — szkoda gawarzyć!, bo... szlag może trafić a tego by jeszcze brakowało”. Jeszcze pełna temperamentu kontynuowała, że „świadomość aktualności powiedzonka Wieniawy[-Długoszowskiego], tak smutno-aktualnego w zaistniałej sytuacji: koniec dowcipów — zaczynają się schody” jest coraz bardziej przygnębiająca⁷.

Marzyła o tym, by w razie niemożności malowania zacząć pisać, gdyż „z domu wyniosła odziedziczoną po Czarnockich łatwość pisania”. Chodziło już nawet nie o coś wielkiego, ale jako naoczny świadek tragedii 1944 r., w szczególności Batalionu „Zośka” ze Starówki, najbardziej chyba przetrzebionego w walkach, chciała chociaż część swoich przeżyć utrwalić dla potomnych.

Fotograficzne reprodukcje małej części dzieł — zwłaszcza portretów przechowywanych w archiwum IPS będzie świadczył o jej niezwyklej pracowitości, dyscyplinie a przede wszystkim talencie i technice malarskiej. Dwa oryginalne portrety (własność prywatna), mianowicie artysty malarza Zamoyskiego i siostrzenicy Hanka Weynerowskiej są jednak osiągalne i do dyspozycji specjalistów, gdyby zechcieli zainteresować się sztuką Kali.

Eugeniusz S. Kruszewski (Dania)

⁷ List H. Weynerowskiej do J. i M. Mogensenów z 12 XII 1994.

POLSCY STUDENCI W LIBANIE 1942–1952*

Jedną z wielkich trosk Rządu Polskiego, rezydującego w Londynie w czasie II wojny światowej, było umożliwienie kontynuowania przerwanych studiów licznej rzeszy polskiej młodzieży rozrzuconej wskutek działań wojennych w różnych stronach świata. Z inicjatywy Rządu RP i z jego finansowym poparciem powstało kilka ośrodków gromadzących polską młodzież: w Anglii, Szwajcarii, Libanie, Afryce Wschodniej i Południowej. Liban był punktem strategicznym aby skupić polską młodzież, która znalazła się na Bliskim Wschodzie bezpośrednio po działaniach wojennych 1939 r., oraz dużą grupę ewakuowanych z Rosji Polaków.

Pierwszą grupą studentów przybyłych do Bejrutu w 1941 r., odkomenderowanych z wojska polskiego na Środkowym Wschodzie, było ośmiu oficerów i jedna ochotniczka (tak popularnie nazywano kobiety służące w wojsku ochotniczo). Byli to przedwojenni studenci medycyny, którym brakowało niewiele do ukończenia studiów.

Wszyscy z wyjątkiem jednego oficera, który zmarł, szybko powrócili do swoich oddziałów macierzystych po otrzymaniu dyplomów. Wojsko polskie potrzebowało wtedy lekarzy. W lutym 1942 r. przybyły z ówczesnej Palestyny pierwsze studentki, niektóre z przerwaniem studiami z Polski, a inne po otrzymaniu matur, ukończywszy polskie gimnazjum w Tel Awiwie. Jesienią 1943 r. przybyła następna grupa wojskowych odkomenderowanych z 5. Kresowej Dywizji Piechoty w liczbie 15 oficerów, 10 podchorążych i jednej ochotniczki. Większość z nich studiowała medycynę. W tym samym czasie przybyła na studia teologiczne grupa 16 kleryków odkomenderowana z wojska staraniem ks. Kamila Kantaka, byłego jeńca w Kozielsku (ZSSR), a obecnie pełniącego funkcję profesora seminarium przy Uniwersytecie św. Józefa. Również pod koniec 1943 r. przybyła duża grupa studentów obojga płci z Teheranu.

W latach następnych napływali studenci z Palestyny po otrzymaniu świadectw maturalnych w gimnazjum polskim w Tel Awiwie lub w szkole prowadzonej przez wojsko polskie dla junaków. W 1945 r. grono studentów powiększyło się po przybyciu byłych żołnierzy Armii Krajowej, uwolnionych z obozów niemieckich. W 1946 r. ilość polskiej młodzieży studiującej na różnych uniwersytetach w Bejrucie wynosiła około 300 osób.

Rząd Polski w Londynie, za pośrednictwem Poselstwa RP w Bejrucie zapewniał studentom opłaty uniwersyteckie, pomoce naukowe i mieszkanie. Poza tym każdy student otrzymywał stypendium w wysokości 5 funtów palestyńskich miesięcznie i żołnierską rację żywnościową od armii angielskiej, co upoważniało do korzystania ze stołówki angielskiej YMCA.

Angielska YMCA zajmowała wówczas w Bejrucie budynek byłego szpitala św. Karola Boro-meusza, który Anglicy zarekwirowali od Niemców. Na parterze budynku mieściła się obszerna i ładnie urządzonej jadalnia. Na posiłki do tej stołówki schodziły się liczne grupy wojskowych alianckich. Grupa polskich studentek stała się wielką atrakcją.

Staraniem Poselstwa RP pod przewodnictwem ministra Zygmunta Zawadowskiego, otwarto kilka dobrze urządzonych i wygodnych domów studenckich: dla studentów wojskowych, dla kleryków i dla studentek. Cywilni studenci mieszkali na prywatnych kwaterach. Ten stan trwał do 1945 r., do zakończenia wojny i do chwili kiedy cofnięto uznanie Polskiego Rządu w Londynie. Polacy przeszli wówczas pod opiekę IRO (International Refugee Organization), ale opiekę nad studentami sprawowało nadal Poselstwo RP, ciągle uznawane przez przyjaźnie nastawiony do Polaków rząd libański. Władze kierownicze polskie zmuszone zostały do podjęcia drastycznych oszczędności. Dodatkową pomoc otrzymano z War Relief Service pod egidą ks. Franciszka Zaorskiego, kleryka wyświęconego uprzednio w Bejrucie.

* We wspomnieniu wykorzystano: K. Katak, *Dzieje uchodźstwa polskiego w Libanie 1943–1950*. Bejrut 1955; Pion: miesięcznik Polskiej Młodzieży Akademickiej na Środkowym Wschodzie 1946 nr 1–4; *Pod cedrami Libanu: wspomnienia polskich studentów z Bejrutu 1942–1952*, red. B. Redzisz. Londyn 1994.

Staraniem starszych studentów, przeważnie wojskowych, którzy przed wojną obracali się w środowiskach studenckich w Polsce, w listopadzie 1944 r. zawiązała się organizacja studentów Polaków, wzorowana na przedwojennym „Bratniaku”, pod nazwą Bratnia Pomoc Studentów Polaków w Bejrucie. Zarząd prowadził szeroką akcję samopomocy, propagandową, towarzyską i wychowawczo-obywatelską. Założono chór akademicki pod batutą p. Misiaka, organizowano „Podwieczorki przy mikrofonie”, udzielano pożyczki z kasy organizacyjnej i zaczęto wydawanie pisma studenckiego „Pion”. Pierwszym prezesem i jednym z głównych organizatorów był Rościśław (Ros) Bagaj-Bagajewicz. Siedzibą „Bratniaka” został lokal przyległy do restauracji p. Hala-biego, gdzie „Bratniak” zorganizował stołówkę studencką, do której przekazywane były angielskie racje żywnościowe aż do chwili wycofania się Anglików z Libanu w 1945 r. Z „Bratniakiem” współpracował oddział polskiej YMCA w osobie Kostka Medvetzky’ego, który obok stołówki urządził ładną i nastrojową świetlicę (był urodzonym estetą i dekoratorem). Również Kostek przejął od wycofujących się Anglików budynek byłego szpitala św. Karola Boromeusza z całym urządzeniem i zorganizował wspaniały dom studencki (mieszkałam tam!). Mieściły się też w tym budynku biura Polskiego Czerwonego Krzyża, kaplica i duży hall, gdzie lubili przesiadywać starsi panowie, grać w szachy i dyskutować o polityce. Z biegiem czasu napłynęło bowiem do Libanu sporo ludności cywilnej i zostały otwarte polskie szkoły dla dzieci. Kostek zorganizował również polską pocztę w Bejrucie. Około 1950 r. Kostek opuścił Bejrut i wyemigrował do Australii, gdzie wkrótce zmarł śmiercią tragiczną. Cześć Ci, drogi Przyjacielu!

W końcu 1946 r. Stanisław Kościalkowski, zacny i kochany przez młodzież były profesor historii na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, zorganizował Studia Polonistyczne przy Instytucie Polskim w Bejrucie. Były to dwuletnie studia, które obejmowały następujące przedmioty: język polski, język staro-cerkiewno-słowiański i literaturę polską. Wykładowcami byli: prof. Stanisław Kościalkowski, dr Augustyn Steffen, dr Franciszek Machalski, mgr Elżbieta Strzemboszowa, dr Wiktor Szyryński, ks. Kamil Kantak i p. Irena Sołtan. W 1946 r. wydział liczył 24 słuchaczy.

Naszym studenckim kapelanem był przez jakiś czas ks. Władysław Rubin, wyświęcony kleryk w Bejrucie. Był to człowiek ogromnych zalet, wielki przyjaciel wszystkich dokoła, pogodny i pełen humoru. Odjechał od nas wezwany do Rzymu, gdzie wkrótce został biskupem, a potem kardynałem i duszpasterzem całej emigracyjnej Polonii.

Było też w naszym gronie kilku solistów: Stanisław Pieczora (bas), Tadeusz Zaufał (skrzypek) i Irena Stadnik (mezzosopran), którzy co jakiś czas występowali z koncertami i brali udział w naszych studenckich imprezach. Czasami akompaniowałam im na fortepianie, jako że od dziecka uczyłam się gry na tym instrumencie. Pewnego dnia zostałam wezwana do Poselstwa RP gdzie pan konsul Czosnowski, zajmujący się sprawami doczesnymi (czyli finansowymi) oświadczył, iż postanowiono przyznać mi drugie stypendium na naukę muzyki. Była to niezmiernie miła dla mnie niespodzianka. Zaczęłam więc pobierać lekcje u p. Leontyny Herchenreder, polskiej pianistki, która prowadziła klasę fortepianu na ALBA, tej samej uczelni, gdzie studiowałam architekturę. Wstawiono mi pianino do naszego pokoju w domu YMCA ku udęcie reszty mieszkańców. Spróbujcie mieszkać ze studentem ciekawy muzyki! Czasami grywałam też na małych uroczystościach intymnych, dla zaproszonych gości, które organizował w swojej świetlicy Kostek Medvetzky.

Zawsze były dekoracje, kandelabry i nastroj. Mieliśmy wtedy w naszej szkole ALBA dwoje profesorów Polaków. Oprócz pani Herchenrederowej na Wydziale Sztuk Pięknych uczył malarstwa Antoni Markowski, były profesor z uniwersytetu lwowskiego. Zorganizował on wkrótce sekcję grafiki, gdzie uczył nas drzeworytnictwa i litografii. Na wydziale architektury wykładał historię architektury w połączeniu z archeologią znany na Bliskim Wschodzie archeolog emir Maurice Shehab. Był to niezwykle ciekawy człowiek i wielki erudyta. Jego lekcje historii były fascynujące. Poza lekcjami odbyliśmy z nim sporo ciekawych wycieczek do różnych ruin, tak licznych w Libanie. Zabierał nas również na tereny ówczesnych robót wykopaliskowych prowadzonych przez rząd libański i francuskie Societé d’Antiquité. Przed otrzymaniem dyplomu architekta studenci musieli wykonać projekty rekonstrukcji różnych zabytków architektury, które prof. Shehab każdemu wyznaczał. Dostałam jako temat rekonstrukcję świątyni Wenus w Baalbeku gdzie znajdują się sławne ruiny kilku świątyń rzymskich z IV wieku po Chrystusie.

Należy podkreślić niebywale życzliwe i pozytywne nastawienie władz szkolnych na wszystkich uczelniach. Większość studentów Polaków miała trudności ze znajomością języków francuskiego, czy angielskiego. Dyrekcje uniwersytetów były bardzo wyrozumiałe. W Akademii Sztuk Pięknych (ALBA) na wydziale architektury pozwalano Polakom mającym trudności z językiem

francuskim, pisać egzaminy po polsku Przychodziła następnie pani, przysłana przez Poselstwo RP, znająca dobrze język francuski i sporządzała tłumaczenia, które dyrekcja szkoły aprobowwała. Ja, znając nieźle francuski, stałam się szkolną tłumaczką przy wstępnych egzaminach ustnych. Dyrekcja szkoły miała do mnie całkowite zaufanie, a ja nigdy jej nie zawiodłam.

Ukazywała się też co jakiś czas, w odstępach nieregularnych, gazetka pt. „Dziurka od Klucza”, redagowana przez dwóch kolegów Stanisława Frenkla i Zygmunta Mazura, studiujących sztuki piękne na ALBA. Były to satyryczne wierszyki i powiastki z naszego studenckiego życia. Oto jeden z wierszyków dotyczący naszej stołówki bratniackiej;

W OBRONIE PRAW KOBIETY

Ktokolwiek będziesz w garkuchni w Bratniaku
Zauważ krzywdzącą różnicę,
Panowie dostają dwie łyżki ziemniaków
Lecz jedną dostają dziewice!

Gdy zwały kapusty przy górach kotletów
Na męskich ujrzysz talerzach,
U pań samotny kotlecik wyschnięty
Skargę dziewczęcia uśmierza.

U panów makaron dymiącą mogiłą
Opiewa cnoty kucharek,
A dziewczę zgłodniałe główkę zwiesiło
Ostatni zlizawszy skwarek.

Czyż godzi się głodzić nieszczęsne kobiety
Przyszłe matki i żony,
Czy godzi się na nich oszczędzać kotlety
Lub łyżkę kapusty kiszzonej?

Po wyjeździe konsula Czosnowskiego objął jego funkcję Michał Tyszkiewicz, mąż znanej i popularnej przed wojną piosenkarki polskich scen, Hanki Ordonówny, która via Rosja, Persja i Indie połączyła się wreszcie z mężem. Biedna Hanka, tak pełna życia i temperamentu, była w ostatnim stadium gruźlicy i wkrótce zmarła w Bejrucie.

Latem zarząd „Bratniaka” organizował kolonie letnie w górach Libanu. W cudownych miejscach spędziliśmy czas przyjemnie i wesoło, odpoczywając po wyczerpujących egzaminach. Pan Halabi jechał z nami ze swoją kuchnią. Przyjeżdżał również prof. Markowski i doglądał naszych wyczynów malarskich. Malowaliśmy góry porośnięte piniami, a moja przyjaciółka i koleżanka z architektury Basia Pakosz twierdziła, że: „To te pinie, co tak psują wam opinie”.

W grupie byłych żołnierzy Armii Krajowej, którzy przybyli do Bejrutu po zakończeniu działań wojennych znalazł się Ludwik Schmidt. Był to młody człowiek o przyjemnej powierzchowności, lekko siwiejących skroniach, podobny bardzo do Jeana Marais, francuskiego aktora, ówczesnego bollywoodzkiego ekranów. Przybył gdy byliśmy wszyscy w Btekhay, malowniczej wiosce górskiej, gdzie tego roku „Bratniak” zorganizował kolonię letnią. Właśnie na jakiejś łączce, w cieniu drzew, odbywało się walne zebranie „Bratniaka” i wybieraliśmy prezesa. A tu Ludek wkroczył na łąkę i wszystkie studentki jednogłośnie obrały go hucznie prezesem.

Jak tu pisać o tych czasach?!

Każdy, kto kocha młodość, piękną przyrodę, przyjaźń, miłość, starożytne ruiny i wykopaliska zrozumie, że tak się żyje tylko raz!...

Wiosną Bejrut pachniał kwiatem pomarańczy. Chodziliśmy na dalekie spacerunki w góry, do Patisserie Suisse, na pyszną kawę z pasztecikami i piękny widok na morze. Dokoła z drzew i krzewów zwisały się kwitnące kiście bladoliliowych glicynii i wonnych jaśminów. Zawiązywały się przyjaźnie, miłości, a nawet małżeństwa. W końcu urodziło się kilkoro dzieciaków.

Przed wszystkim jednak uczyliśmy się wytrwale i solidnie. Chcieliśmy wszyscy powrócić i odbudowywać naszą Ojczyznę — z czego, jak wiadomo, nic nie wyszło...

Krystyna Eichler (Stany Zjednoczone)

ZAPISKI STUDENTA ROZBROJONEGO*

Wojsko Polskie zorganizowane przez gen. Władysława Andersa z zesłańców w Rosji, w drodze przez Środkowy Wschód, przygotowywało się u boku Aliantów do walki z armią Hitlera. Oprócz opieki nad rodzinami, zajęło się kształceniem młodego pokolenia, zdziśiatkowanego przez klimat Syberii, głód i choroby. Szkolnictwo pozostawało na tyłach Armii, czasem w odległych krajach byłego Imperium Brytyjskiego. Zwycięstwa 2. Korpusu w walkach na froncie włoskim od Monte Cassino, wzdłuż Adriatyku aż po Bolonię, przyczyniły się skutecznie do kapitulacji armii niemieckiej. Jeszcze w okresie walk dołączyły do Korpusu tysiące młodych Polaków uwolnionych przez Aliantów, a bezprawnie wcielonych do służb i przymusowej pracy w Niemczech, szczególnie tych z zachodnich terenów Polski włączonych do Rzeszy. W 1945 dołączyli do Korpusu oficerowie i żołnierze kampanii wrześniowej z obozów jenieckich w Niemczech i ci z Armii Krajowej. Byli wśród nich przedstawiciele kultury z poważnym dorobkiem literackim czy artystycznym. Po latach niewoli niemieckiej i pracy oświatowej wśród jeńców, przybył do Korpusu por. prof. Marian Bohusz-Szysko. Przywiózł ze sobą teczkę ponad 400 dużych rysunków, w większości portretów jeńców.

Koniec wojny nie zbliżył jednak żołnierzy polskich do Ojczyzny. Zdrada Aliantów w Jałcie i Poczdamie zgasiła ich nadzieje na powrót do rodzin w Kraju, pod okupacją wrogiego systemu, który tak dobrze poznali.

W miejscach postoju jednostek w Italii życie było wygodne. Wkradła się w nie jednak bezgraniczna nuda i troska o bezkształtnie wyglądające jutro. Alkohol i inne pokusy były powodem dalszych ofiar w szeregach rozbrojonego wojska. Władze 2. Korpusu nawiązały przyjazne stosunki z władzami oświatowymi wyzwolonych Włoch i z Watykanem. W sierpniu 1945 r. gen. Anders przyjął projekt prof. Bohusza-Szyski na zorganizowanie Polskiej Szkoły Malarstwa i Sekcji Artystów i Studentów Sztuk Pięknych w Rzymie. Starsza generacja wyniosła z Rosji skromny dorobek artystyczny, wystawiany po drodze na Bliskim Wschodzie, a w Rzymie ten już znacznie wzbogacony twórczością z okresu akcji bojowej.

Może moje „Zapiski” z okresu studiów i przenosin grupy żołnierzy artystów i studentów z Italii do Anglii, pozwolą choćby częściowo wypełnić tę „lukę”, o której pisała Karolina Lanckorońska¹.

Macerata, koszary Corridoni (2. Warszawskiej Dywizji Pancerniej), sierpień 1945
Okólnik ze sztabu w Anconie informował o planie utworzenia ośrodków akademickich dla żołnierzy Korpusu i że ci z cenzusem mogą składać podania o przyjęcie na studia.

Złożyłem podanie do Sztabu i prośbę o przyjęcie na Akademię Sztuk Pięknych w Wenecji.

Wzdłuż strefy adriatyckiej aż po Bolonię, ludność sympatyzowała z komunistami. Mówiło się o ukrytej broni w bazach partyzanckich i o komunikacji radiowej w przygotowaniu do planowanej inwazji sowieckiej północnych Włoch. Mnożyły się wypadki okrutnych morderstw politycznych u delty Padu i w „foibach”, głębokich jaskiniach w górach Carso, gdzie wrzucano bez sądu, przeciwników politycznych, grupami setek związanych za ręce. Propaganda przed planowanymi wyborami była bardzo agresywna. Na terenach uwolnionych przez 2. Korpus ukazywały się afisze po polsku pełne błędów, fałszerstw i wulgarnych obelg. Zrywaliśmy je systematycznie. Aliancka policja wojskowa groziła nam karami „za niedemokratyczne akty żołnierzy polskich”. [...]

* Maszynopis tekstu, liczący 99 stron, znajduje się w archiwum Ryszarda Demela w Archiwum Emigracji Biblioteki UMK, sygn. AE/RD/IV. Publikujemy fragment.

¹ K. Lanckorońska, *Luka* [list do redakcji], *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza* 1986 nr 212 (Tydzień Polski nr 36) s. 13.

W drodze powrotnej do koszar stanąłem na rynku. Oparta o lampion stała wysoka drabina. Młody Włoch wspinał się w górę. Włókł za sobą portret Stalina i napis „Viva Italia”. Próbował go zahaczyć pod lampionem. Z rogu, na plac maszerował polski komandos. Chwiał się na nogach. Nagle przyspieszył kroku. Zsunął na bakier zielony beret. Podkreślił rękawy. Obnażył mięśnie. Z naganem w rękę podbiegł pod drabinę. Trząśniętą nią z chłopakiem i Stalinem u góry. „Scendere draniu! Portare giù Stalin!” (Złaz draniu ze Stalinem!) „Se no, ti farò terremoto!” (Jeśli nie, to ci sprawię trzęsienie ziemi!) „O ti sparo in culo!” (I strzelę ci do d...!) Chłopak zlął szybko z drabiny.

Nazajutrz zjawiły się na murach nowe afisze: „Polacy to prowokatorzy. Ukarać sprawców ataku”, itd. [...]

Wrzesień 1945

Komenda zatwierdziła plan świetlicy przy Baonie. Krąg Starszoharcerski przystąpił od razu do pracy na parterze koszar. Porzucony włoski sprzęt wojskowy i skrzynie amunicji przyjęto do bliźnich koszar policji. Zabiegi dekoratorskie zmieniły wygląd i mniejszych sal wokoło tej głównej, przeznaczonej na koncerty, wykłady i tańce, a małe na szatnię, bilard, bibliotekę, kuchnię i jadalnię z bufetem. Apel do żołnierzy o przeczytane książki przyniósł obfity plon w Baonie i Dywizji. Półki biblioteki wypełniły się wnet ich paczkami. Te sfatygowane, harcerze oparli płótno z lekkich namiotów włoskich.

Od kilku dni szkicuję projekty na malowidła ściennie do dużej sali, kolorowe grupy tańczących par w strojach ludowych. Koledzy przegłosowali abym w innej sali wprowadził herby oddziałów i ich broń, a na głównej ścianie Orła Białego z napisem: „Za Waszą Wolność i Naszą”.

Pracowałem z zapałem parę dni. Wykonałem już kilka scen. Gонец przerwał mi pracę w jedno popołudnie. Wzywał mnie do dowódcy. Zameldowałem się posłusznie. „Zostaliście odkomenderowani do Szkoły Podchorążych” — oznajmił mi urzędowo major. Milczałem bezradnie. „Ależ, ja Panie Majorze...” „— No co wy?” — przerwał. „— Zgłosiłem się na studia, Panie Majorze” — powiedziałem. „— Na studia!” — krzyknął. „— Na wyższe studia sołtysów was wysłamy! Patrz, no... Odmaszerować!” Trzasnąłem obcasami. Przygnębiony opuściłem biuro. [...]

Styczeń 1946

Gонец z pocztą wręczył mi kartkę z Akademii Sztuk Pięknych w Wenecji z zapewnieniem miejsca na uczelni. Dyrekcja PCK przyrzekła mi pokój na II piętrze Hotelu Della Gare naprzeciw stacji kolejowej jeśli zostaną przyjęty. [...]

13.2.1946

Odmierzałem przestrzeń równym krokiem, między skrzydłami bramy. [...] Z wartowni krzyczał do mnie kolega: „Wal zaraz do dowódcy!” [...] Melduję się posłusznie. „Pakujcie manatki” — major rozkazał służbowo. „Jutro wyjazd” — milczał przez chwilę. „Do Porto Recanati, potem do Rzymu na studia”. Uśmiechnął się jak nigdy przedtem. Ucisnął mi dłoń, gratulował i życzył szczęśliwej podróży. [...]

15.2.1946

Kolumna dotarła do bram koszar w Cecchignola, Ośrodka Akademickiego 2. Korpusu, włączonego do Stałej Obsady Garnizonu Rzymu.

Słońce stało już wysoko nad wielkim placem koszar. W czasie apelu witał nas komendant Ośrodka major [Antoni] Tomaszewski, mały staruszek z uśmiechem troskliwego dziadka. Za nim stał młodszy oficer. Błyskał ustami pełnymi złotych zębów. Ktoś za mną szepnął: „Przywiózł gębę pełną «kasztanów» z Palestyny”. Bez względu na stopnie wojskowe, grupy podzielono na wydziały. Plastycy zajęli salę na 50 osób na pierwszym piętrze. Nie obiecywała nawet niezbędnych wygod. Miała wysokie, drewniane prycze bez drabinek, jeden duży stół bez krzeseł. Chaos i dyskusje o miejsca trwały dość długo. Z braku szafek czy wieszaków, prycze były obwieszane w nieporządku częściami mundurów i plecakami. Sensacją w tym bałaganie stał się podeszły w wieku, sympatyczny porucznik [Hilary] Braun. Przywiózł z sobą dziwną skrzynkę. Ustawił ją obok swej pryczy. Odkreślił dwie śrubki i rozłożył jej ścianki na zewnątrz. Cudo okazało się kompletnym biurkiem z szufladami, półkami i krzeselkiem.

To samo piętro zajęły z nami Wydziały Humanistyki, Pedagogiki i Muzyki. Grupa Plastyków liczyła 11 oficerów i 36 podoficerów i szeregowych.

Moim sąsiadem był Janusz Eichler, syn byłego starosty na Kresach, oficera 2. Korpusu. Ześlany z całą rodziną na Sybir, przeżył całą gehennę Korpusu do Monte Cassino włącznie. Z rysami twarzy młodzieńca o szlachetnym sercu miał czarne oczy i pofalowane włosy. Pierwsze spotkanie związało mnie z nim trwałą przyjaźnią. Rozwinął małe płótna portretów w ciemnych, ciepłych gamach. Prace każdego były wnet oglądane przez wszystkich.

Ciężarówka wojskowa z ławkami, przewozi studentów regularnie z i do Cecchignoli. Kursuje do Piazza Venezia z przystankiem po lewej stronie Altare della Patria.

17.02.1945

Na zebraniu Zrzeszenia Studentów, prezesem wybrano por. [Zygmunta] Popiołka. Por. prof. Marian Bohusz-Szyszko przejął opiekę nad studentami sztuki, a dr Karolina Lanckorońska nad studentkami. Sztab Korpusu mianował komisję do weryfikacji wykształcenia kandydatów na studia. Na Wydziale Sztuk Pięknych obowiązywał egzamin wstępny z rysunku na rzymskiej Akademii.

Otrzymałem wezwanie na egzamin do sali gipsów na uczelni. Moim egzaminatorem był znany artysta i krytyk prof. [Luigi] Bartolini. Onieśmielony otoczeniem i egzaminatorem z beretem na bakier, czarnym podkręcanym wąsikiem i laseczką pod pachą, stanąłem przed gigantyczną deską na sztalugach naprzeciw figury gipsowej jeńca Michała Anioła. Małałem przed tym zadaniem. Kolosów nigdy nie rysowałem. W plecaku nosiłem tylko miniatury szkicownik. Nie pamiętam czym rozpoczął rysować figurę od stóp, czy od głowy. Egzamin zdało 36 kandydatów. [...]

Miejscem spotkań na obiady w mieście był Dom Żołnierza przy ul. Panisperna 255. Usługiwały do stołu czarujące dziewczęta z Zatybrza. Nazywały mnie Principe Biondo a Janusza Principe Azzuro. My aby się odwzajemnić, nazywaliśmy je Principesse. [...]

Po obiedzie, oparty o bufet stał Melchior Wańkowicz w krótkich szortach wiszących pod jego brzuchem. Z gustem lizał olbrzymie lody.

Oparci o 2. Korpus pozostali aktywni artyści żołnierze: Stanisław Westfalewicz, Józef Jarema, Zygmunt Turkiewicz, Tadeusz Wąs, Henryk Siedlanowski, Stanisław Gliwa, Władysław Fusek-Forosiewicz i Marian Bohusz-Szyszko. Należeli do niezależnej grupy, niektórzy w ścisłym kontakcie z Ośrodkiem Akademickim. Dowództwo Korpusu zaopatrywało wszystkich plastyków i studentów w materiały i pomoce naukowe. [...]

Każdy z nas ma trudności językowe. Z pewną obawą myślimy o bliskich egzaminach, co gorsze, są tu publiczne. Pomocną jest nam szczerą przyjaźń ze studentami włoskimi. Częste wspólne wycieczki, zwiedzanie zabytków i przyjęcia prywatne, na pewno pozostaną nam na długo w pamięci. [...]

Wielkanoc 1946

Obiad urządzono w Domu Żołnierza. Długi stół „w podkowę” zastawiony był obficie dla studentów i gości. Ambasador Polski przy Watykanie Kazimierz Papée zajął honorowe miejsce. Major Tomaszewski dał znak studentom aby powstał. Witął gości i składał im życzenia. Ci długo dziękowali i składali je sobie wzajemnie. Talerze, pełne misy i kosze owoców drażniły nasze oczy. Szumne słowa, przy grzecznych ukłonach i uściskach dłoni płynęły strumieniem bez końca. Nagle, kopnięte z zewnątrz drzwi do sali otworzyły się z trzaskiem. Marian Kościałkowski, wróg ceremonii, z rękami w kieszeniach stanął w środku. Patrzył na nas cierpliwie stojących. Mierzył nas wokoło spod czarnej czupryny i znad grubych okularów. Beret zwiisał mu z kieszonki rozpiętego „dresu” i naramiennik z gwiazdkami bez guzika. Siadł na wolnym miejscu blisko drzwi. Podziwując widelcem i nożem, opróżnił talerz, popił winem, podnosił kielich za zdrowie kolegów, wytarł usta serwetką i wyszedł bez słowa. My wpatrzeni w talerze, pełne misy i koszyki, stojąc słuchaliśmy nadal przemówień. [...]

Rzym, 3.03.1946

Po wyjeździe z Rosji z wojskiem, Stanisław Frenkiel pozostał w Bejrucie, gdzie w czasie wojny studiował sztukę na Akademii. W 1946 przybył do Rzymu, gdzie znalazł grupę artystów i studentów 2. Korpusu już dobrze zorganizowaną. Udał się do prof. Bohusza-Szyszki, opiekuna żołnierzy-studentów Korpusu i grupy artystów, który mieszkał w Hotelu Massimo d'Azeglio. Przedstawił

mu swoje rysunki do oceny. Były w większości szkicami z przedmieść i okolic burdeli Bejrutu. Prof. radził mu aby je rozłożył na podłodze, a omawiając każdy, wskazywał go nogą. To podobno drażniło Frenkla, razem z autorytatywnym traktowaniem go, kiedy uważał się za dojrzałego artystę zasługującego na większy szacunek i bardziej pozytywną ocenę jego prac. Ze strony Profesora trudno było oczekiwać entuzjastycznego przyjęcia przez człowieka, który spędził całą wojnę w niewoli, gdzie niezmiernie prowadził akcję oświatową wśród jeńców i sam rysował setki portretów i szkiców o tematyce religijnej, a któremu teraz gen. Anders powierzył troskę o artystów żołnierzy, wraz z pomocą materialną w okresie studiów. Frenkiel pozostał na długo uprzedzony do Profesora. Nie brał udziału w wystawach organizowanych przez rzymską grupę malarzy Korpusu, ani nie utrzymywał z nimi kontaktu.

Rzym, klasztor oblatów, 4.04.1946

Od kwietnia grupki studentów planowały „dezercję” z Cecchignoli. Doszła nas wiadomość od kolegów z Referatu Oświaty w klasztorze ojców oblatów przy Via Vittorino di Feltrę 5, że jest tam wolna część korytarza na piętrze i że przeor był skłonny je wynająć. Nie traciliśmy czasu. Odpowiedział nam pozytywnie. Nasza grupa przeniosła się tego samego dnia. Należeli do niej oprócz mnie: malarz Marian Kościałkowski i studenci: Janusz Eichler, Czesław Politowicz i Władysław Kraszewski. Większa grupa plastyków zajęła korytarz z widokiem na wewnętrzny ogród klasztoru. Nasze okno, od lat zamknięte przez mnichów okazało się otwierać na — tak przez nas zwaną — „ścianę rozkoszy” przed bocznym murem kościoła S. Pietro in Vincoli tuż za sławną rzeźbą Mojżesza Michała Anioła [...]. W pobliżu była niegdyś kwatery legionistów Dąbrowskiego. Brak światła i upał zmusiły Mariana do otwarcia okna i okiennic. W tym miejscu już odtąd pozostał. Ustawił tu sztalugi i stołek z farbami. Nie prał prześcieradeł, brudne naciągał na blejtramy, do łóżka kupował nowe. Lubił być wolnym przy pracy, bez bielizny lub listka — jak Adam. Placyk między klasztorom a murem kościelnym, widziany od nas z piętra, był zamknięty dla ulicznego ruchu. Dokładnie za plecami Mojżesza, po każdym obiedzie i wieczorami, zbierały się pary kochanków i „signoriny” sprzedające miłość. Mąciły one niegdyś spokój mnichów i stąd zakaz przeora otwierania wtedy okien. Marian tworzył teraz przed swoim oknem o każdej porze. Skąpany w słońcu, pocentkowany plamami farb zależnie od tego gdzie się drapał, malował św. Franciszka każącego do ptaków. Pracę swą komentował: „A ty s...ynie, czego ćwierkasz! Słuchaj Świętego! A ty łobuzie też dziób zamknij!” Drewnianym końcem pędzla często skrobał sterczącą czuprynę. W godzinach schadzek, głowy i części torsów, jak kukielki za murkiem grały dla niego swe role w fascynującym go teatrze. Nie tracił żadnego z ich gestów. [...] Marian żył swoim malarstwem. Wdzięczni za jego koleżeństwo, dojrzewaliśmy w jego cieniu.

Marian zaprzyjaźnił się z braciszkiem przy bramie. Sprowadzał do klasztoru młodą Polkę. Czytała mu na głos traktaty z estetyki kiedy malował. Niespokojny braciszek od bramy nie mógł się oprzeć pokusie. Zastaliśmy go raz, jak przez dziurkę od klucza śledził Mariana z narzeczoną. Kościałkowski, bardzo utalentowany artysta, pozostawał w Rzymie pod silnym wpływem Guttusa, autora *Ukrzyżowania* wystawionego w galerii przy Via Margutta.

Kwiecień 1946

Komendant Ośrodka doniósł do Sztabu o przenosinach studentów z Cecchignoli do Rzymu. Marian uspokajał nas, że jesteśmy w miejscu kwater wojskowych obranym już na Referat Oświaty. Gen. Anders zwołał studentów na zebranie. Wysłuchał z wyrozumieniem skargi na złe warunki studiów. Przyznał, że na razie nie może ich zmienić, jako że zakwaterowanie wojska w stolicy od niego nie zależy, ale przyrzekł, że uczyni wszystko aby Ośrodek ulokować bliżej stolicy i w lepszym miejscu. Uzyskał już zapewnienie od Watykanu, że przydzieli Ośrodkowi całe Kolegium.

Trudno było zdobyć dobre materiały malarskie w Rzymie. Znalazłem olej lniany, ale ciemny i pełen zawieszin, pod wieżą w sklepie u wylotu ulicy w kierunku Forum. W oknie Mariana na słońcu, bielił się powoli w butelce. Komenda Korpusu zakupiła hurtem zapas kaset z farbami, palet, pędzli, kartonów i płócien. Każdy z nas miał otrzymać komplet z kasetą. [...] Lista malarzy i studentów sporządzona wtedy, zawierała 47 nazwisk. [...]

Collegium Leonianum, 6.07.1946

Zapowiedziane przez gen. Andersa starania dr Lanckorońskiej w Watykanie okazały się owocne. Stolica Apostolska ofiarowała Ośrodkowi Akademickiemu wynajęcie Collegium Leonianum przy

Via Marcantonio Collonna 21, czteropiętrowy budynek w pobliżu Palazzo della Giustizia. Miał stołówkę na parterze i kaplicę na jednym z pięter. Plastycy z muzykami zajęli ostatnie piętro. [...]

Janusz Eichler, doświadczony Sybirak, malował portrety jak Rafael. Był też do niego bardzo podobny. W pierwszą noc w Kolegium wędrował z łóżkiem po pokoju. Z rana fachowo oznajmił, że są tu pluskwy, może niemieckie i to niemałe. Miał ślady na rękach, szyi i twarzy. „Wyłażą na sufit i opuszczają się na swoją ofiarę” — objaśniał. W gorące noce wdziewał rękawiczki i okrywał się szczelnie prześcieradłem. Kierował „radą wojenną”. Pewny, że kryjówką „wroga” była głęboka szpara w kacie, pozostawił nam problem jak z niej pluskwy wydostać. Nie mogłem zasnąć tej nocy. Przyszedł mi pomysł. Napuścić na nie mrówki. Z rana sypałem cukier na schodach wzdłuż poręczy aż do szpary. Złapałem kilka mrówek pod drzewkami na chodniku. Wypuściłem je pojedynczo na różnych wysokościach klatki schodowej. Coraz liczniejsze ich szeregi wspinały się w górę. Janusz z napięciem śledził naszych „aliantów”. Pierwsza wyszła ze szpary. Witął ją okrzykiem „wiktoria!”. Mrówka wlokła za nogi wytuczoną pluskwę. Dotknęła czułkami inne. Kolumna za kolumną sprzymierzonych maszerowała w głąb szpary i wynosiła w procesji z pięter na ulicę otyłe trupy. Wynosiła chyba i jajka, bo Janusz odtąd nie przesuwiał łóżka i nie ubierał na noc rękawic. [...]

Studia postępowały dobrze. Wróciła ochota do malowania. Pokój stał się szybko pracownią. Czesiu [Politowicz] pożyczył z kuchni owoce i jarzyny do martwej natury a Leoś [Piesowocki] kupił śledzie. Każdy pracował przy swoich sztalugach. Odwiedził nas Henryk Siedlanowski. Malarz gwarzył do wieczora o Syberii, portretach junaków w obozach rodzącej się Armii Polskiej w Rosji. Wspominał jak to później siedział na stokach Monte Cassino. Starał się malować wśród szkieletów opalonych drzew w piekle walki. Żelazna wola aby wśród wybuchów pocisków nie ruszyć się z miejsca, zaburzyły mu chwilowo rozum. Rozgryzał i żuł tubki farb. Na wpeł przytomny wycofał się na tyły. Sylwetka kopuły św. Piotra ciemniała. Znaczyła koniec malarskiej sesji. Artysta obiecał nas znowu odwiedzić. Czesiu odniósł do kuchni owoce i jarzyny. Zostały śledzie. Lśniły na talerzu srebrem łusek i odcieniami tęczy przy ostatnich promieniach wieczornego słońca. [...]

Via Margutta, boczna ulica między Piazza di Spagna i Piazza del Popolo, była dzielnicą artystów i galerii. Nad nią unosiło się zadrzewione Pińcio, wzgórze z kawiarnią poetów, a Circolo Internazionale degli Artisti w pobliżu, miało tam swoją galerię i studio. Większość artystów i studentów polskich w Rzymie należała do tego zrzeszenia i korzystała z kursów rysunku i z sal wystawowych. Tu zostały urządzone pierwsze po wojnie wielkie wystawy malarzy 2. Korpusu z udziałem [Zygmunta] Turkiewicza, [Janiny] Boguckiej, [Edwarda] Matuszczaka, [Stanisława] Westfalewicza, [Józefa] Jaremy, [Mariana] Kościałkowskiego, [Tadeusza] Wąsa, [Leopolda] Haara, [Stanisława] Gliwy, [Adolfa] Gletta, [Henryka] Siedlanowskiego i [Romana] Burdyłły. Wnieśli oni do sztuki współczesnej Rzymu nowe tradycje, wypowiedzi swobodniejsze, malarzy bliższych Paryża, aniżeli malarstwa włoskiego. Wszyscy ci artyści żołnierze upamiętnili drogę z łagrów, przez Bliski Wschód aż do Italii. Ich szkice i rysunki z miejsc postoju i walki są już cenną częścią historii naszego malarstwa. Na Wschodzie wystawiało swe prace tylko trzech artystów. W Rzymie wystawiało już dwunastu. W katalogu tej wystawy Gino Severini pisał:

Muszą namiętnie kochać to tajemnicze i ogromne „coś”, co nazywamy sztuką, ci wypędzeni z własnego kraju, którzy mają jeszcze ochotę do malowania, po trudach, które wystawiły ich najgłębsze ludzkie uczucia na ciężkie próby. [...] Praca tych malarzy w tak strasznych warunkach materialnych i moralnych, w nielicznych chwilach odpoczynku, zasługuje na największy do nich szacunek².

Autor próbował określić charakter tego malarstwa, powiązać je ze szkołą francuską Seurata i Bonnard. Cenił poezję koloru Józefa Jaremy, podkreślił wartości malarskie prac Turkiewicza o walkach pod Monte Cassino. Rysunki z pola bitwy Mariana Kościałkowskiego nazwał fantastycznymi. Pisał o Henryku Siedlanowskim, Leopoldzie Haarze, rzeźbie Adolfa Gletta, z szacunkiem wspominał Romana Burdyłłę. [...]

² G. Severini, *Polscy artyści malarze*, [w:] *Katalog wystawy obrazów polskich malarzy żołnierzy*. Rzym 1944 s. [3].

Rzym, sierpień 1946

Od rodzin z Polski dochodziły do nas pierwsze listy przez Czerwony Krzyż. Cieszyła każdego nawet najdrobniejsza wiadomość. Ambasada Polski Ludowej z biurami o 50 m od Kolegium, nie miała z Ośrodkiem oficjalnych kontaktów. Podsunęła przez kogoś wiadomość, że przyjmuje przesyłki do Polski. Drobiazgi zakupione za oszczędzony żołąd, oddane do Ambasady nigdy nie doszły. W dyrekcji Kolegium zgłosił się młody cywil. Podał się za ex-marynarza. Prosił o przyjęcie go jako sprzątacza. Został przyjęty. W biurze Ośrodka podpatrzono, że wykradał dokumenty i dane o studentach. Był nasłany przez Ambasadę. Szczegółowe dane o każdym z nas znalazły się w archiwum w Londynie. W grubych teczkach w Ambasadzie badano je przy podaniach o wizy do Kraju.

Nasz kurs na Akademii miał przywileje. Studenci scenografii mogli zwiedzać Operę, teatry, magazyny dekoracji, maszyn do efektów specjalnych, oświetlenia scen i, najbardziej ciekawy, skład kostiumów do oper. W każdym z magazynów, większym od samej opery, eksperci i krawcowe objaśniali zbiory. Zespoły kobiet pracowały nad naprawą, porządkowaniem i szyciem nowych kostiumów. Na scenie Królewskiej Opery pozwolono nam uruchamiać maszyny do budowania struktur na scenie, obniżając lub podnosząc części podłogi, ku ucieście koleżanek. Przy naciśnięciu guzika w kabinie, spadały nagle w przepaść, lub unoszone były pod niebiosa. [...]

Rząd Brytyjski prowadził intensywną propagandę wśród żołnierzy 2. Korpusu. Zachęcał ich do powrotu do Polski pod opiekę Stalina. Wiadomości od kolegów, którzy wrócili do rodzin, były ponure i odstrasżające. Niepokojące były też wieści o układach z nowym rządem włoskim o ustalenie dat opuszczenia Italii przez wojska sprzymierzone. Martwił nas też los naszych kolegów z żonami Włoszkami. Nowy rząd z udziałem [Palmiro] Togliatti'ego, w czasie wojny u boku Stalina w Moskwie, teraz ministra „sprawiedliwości” i przywódcy największej w Europie czerwonej partii, odebrał żonom żołnierzy alianckich oprócz praw obywatelskich także tytuły naukowe. Małżeństwa, które nie zdecydowały się na emigrację, odesłał do osobnych obozów na Sycylii.

Wobec niepewnego jutra, zwiedzaliśmy ośrodki sztuki w większym pośpiechu. [...]

Przy Via Vittorio Veneto 89 zostało otwarte Ognisko Akademickie. Służba Pomocy Katolickiej Polakom (War Relief Service) wyposażyło wnętrza i podjęło się prowadzenia lokalu z barem. Ognisko stało się miejscem miłych, często burzliwych spotkań. W programie studiów byli starzy mistrzowie szkoły włoskiej. Sztuka współczesna była nam jeszcze obca. Przy szacunku do starszych kolegów, dyskusje łatwo przechodziły w kłótnie. Picasso prowokował nas swoją sztuką. Bardzo dojrzały artysta, Aleksander Werner już wtedy stawał w dyskusjach w jego obronie. Lata studiów i zmiany otoczenia pomogły nam się zbliżyć do problemów sztuki współczesnej. [...]

Dochodzą nas wieści, że pierwsze grupy oddziałów 2. Korpusu już rozpoczęto transportować do Anglii i że Ośrodek jako wojskowy, będzie wkrótce zlikwidowany. Radzimy co począć jak odmówią nam praw do dalszych studiów. Międzynarodowy Czerwony Krzyż otwarł placówkę w Rzymie, która wydawała dokumenty ważne na wyjazd do krajów zamorskich, szczególnie do Ameryki Południowej. Kapelan Kolegium pocieszał nas i upewniał, że zaopiekuje się tymi, którzy zdecydują się tam z nim wybrać.

Decyzja Aliantów zapadła. I my, żołnierze studenci będziemy musieli opuścić Italię z resztą wojska. Poczyniliśmy starania o przesunięcie daty naszego wyjazdu aby nie przerywać studiów drugiego roku. Były daremne. Pomnożyły się spotkania i przyjęcia z kolegami z Akademii, z którymi związała nas przyjaźń i sympatia. [...]

19.10.1946

Złote listowie okryło drzewka koło Kolegium, a szare niebo zapowiadało słotę. Transporty oddziałów opuszczały miejsce postoju, kierowane do obozu przejściowego pod Neapollem. I nasz dzień wyjazdu został wyznaczony. Pakowałem biblioteczkę i liczne zeszyty. Mój bagaż powiększył się o dwie drewniane skrzynki i ekwipunek malarski. O świcie kopuła św. Piotra wynurzała się z mgiełki. Ciężarówki Korpusu zajechały pod Ośrodek. Wydział po wydziale zajmował przydzielone wozy. Usiadłem w ciężarówce na bagażu. [...] Małe przemokłe namioty pod Neapollem czekały na nas na wzgórzu zarośniętym wysoką trawą. W drodze na daleką północ przeszły tędy tysią-

ce polskich żołnierzy. Częste ulewy nie ustawały. Wilgoć i zimno dokuczały tym, którzy nabawili się chorób na „niehumanitarnej ziemi”. Trwali całe dni pod kocami. [...]

Neapol, 27.10.1946

Sfatygowany okręt SS *Indian Victory* dobił do portu i stanął przy twierdzy. Ulewa wróciła. Utrudniała ładowanie bagażu. Tylko ręczny wolno było zatrzymać przy sobie. Skrzynki oddałem z bagażem. Częste burze i wzburzone morze zmuszały kapitana do odkładania daty wyjazdu z portu. Przez cztery dni nie wolno było opuszczać okrętu. Wiatr ustawał ale ulewa trwała. Przez megafony podawano informacje. „Dziennik” wychodził na powielanych arkuszach. Podawał komunikaty o pogodzie i wiadomości ze świata. Ogłoszono wyjazd okrętu z portu. Grupki dziewcząt włoskich stały na molo pod parasolkami. Niektóre szlochały. Wszystkie powiewały chusteczkami i krzyczały: *Addio!*

2.11.1946

Okręt rozkołysał się na pełnym morzu. Wiózł studentów trzech Ośrodków: Rzymu, Bolonii i Turynu, ponad 1300 oficerów i żołnierzy. Hamaki kołysały się rytmicznie w kilkupiętrowych rzędach. Przy huku motorów, skrzypiały ponuro. Ogromne fale chlustały o burtę na zewnątrz okrętu. Rozbijały się o jedyną przegrodę gigantycznej łupiny od rozszalałego żywiołu. Skąpe światło lampek między hamakami ledwo pozwalało rozpoznać bliskich sąsiadów. Opuścił nas apetyt. Nikt się nie ruszał na pokład, by nie zostać zmiecionym za burtę. Dni i bezsenne noce trwały bez końca. Tylko marzenia i wiele wspomnień, pomagało ten czas wypełnić. W północy przed oczami przesunęły mi się błyszczące złotem mozaiki w Bazylice św. Marka w Wenecji i te z Rawenny, mieniły się kolory fresków Giotta w Padwie i te Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej. Oddalały się wizje świątyń i ruin starego Rzymu i kamienne cielsko Koloseum, kochane osoby i słońce — dużo słońca. Wizje przyskały przy huku maszyn i trzasku ogromnych fal bijących zawzięcie o burtę.

„Na horyzoncie Gibraltar” — podano przez megafon. Imponujący masyw, pionowo opadający w morze, wynurzał się to ginął w kurtynie niskich chmur. Motory ucichły pod skalistą ścianą. Okręt zwolnił i rozkołysał się w miejscu. „Zbiórka na pokładzie” — padł rozkaz z głośników. [...] Gwizdała syrena. Biało-czerwoną chorągiew opuszczono na pół masztu. W miejscu śmiertelnego wypadku gen. Sikorskiego, minutą milczenia „Na baczność” czciliśmy jego pamięć. [...]

Glasgow, 4.11.1946

W zimnej słabo oświetlonej hali, ponad tysiąc żołnierzy maszerowało „gęsiego” z ręcznym bagażem wzdłuż szpalery orłookich celników, rozstawionych w regularnych odstępach. „— *Anything to declare?*!” — grzmiał przez megafon głos ochryplego Anglika. W osobnej grupce stała brodata delegacja starozakonnych i wręczała dary nielicznym wybranym. Na pobliskim torze stał pusty pociąg. Zajęliśmy miejsca w przedziałach. Ruszył z portu. Zatrzymał się po chwili w Glasgow, na jasno oświetlonej stacji. Uśmiechnięte szkockie dziewczęta pukały w okna. Podały każdemu *a cup of tea* — kubek gorącej herbaty. W chwili odjazdu żegnały nas na *Good bye*, powiewając chusteczkami. Pociąg wlokł się w kierunku Londynu. Siedząc odespaliśmy okrętowe noce. Kanapkami i herbatą karmiono nas na większych stacjach. O świcie pociąg stanął w Londynie na martwym torze. Późnym wieczorem ruszył do High Wycombe. Ciężarówki dowiozły nas do lasu-parku St. John's Wood na skraju miasta. [...] Wąziutkie ścieżki między „beczkami śmiechu” (barakami) oczyszczono przed naszym przyjazdem. [...]

Linoleum w „beczkach” na cementowej podłodze nie chroniło nóg od zimna. Ściany z pofalowanej blachy z warstwą izolującego materiału, zaledwie chroniły od opadów i wiatru. W środku baraku stał okrągły, żelazny piecyk, a pod ścianami od sześciu do ośmiu prycz, niektóre piętrowe. Umywalki i ustępy były daleko w lesie. Gałęzi na opał nie brakowało. Ciężarówki dowiozły ciężki bagaż. Cieszył mnie widok moich skrzynek, że były całe ale... napisy na nalepkach były dziwnie „rozpuszczone” i przykolorowane. Otwarłem kłódki. O zgrozo! Cenne książki z historii sztuki, były przesiąknięte lepkiem płynem. Miały pomarszczone i posklejane kartki, pachniały mocno winem.

Małe okno w górnej części nieszczelnych drzwi i słaba żarówka w środku baraku nie zachęcały do pracy. Przy małym stole brakowało miejsca. Na pryzkach czekało się na coś... na więcej koców, cieplejszą odzież. Nowe plotki pogłębiały naszą niepewność i niepokój. Prof. Bohusz-Szyszkowski wpadał niespodzianie między wyprawami do Londynu. Budził nas z „letargu”. Z entuzjazmem

zachęcał każdego do pracy, jakiegokolwiek, by tylko nie trwać beczynnym. Ustalono listy na zbieranie gałęzi na opał, na dyżur po żywność i gorące posiłki. Wypadki do miasta miały zawsze ten sam cel: odsiedzenie w ciepłym kinie dwie-trzy godziny i zjedzenie porcji *fish and chips* popitej gorącym *cup of tea*. Przy małym stole można było usiąść na zmianę. [...] Ponura „beczka” i ciągły chłód mało zachęcały do artystycznych wysiłków. [...]

Grudzień 1946

Przyjaciel Stalina, Winston Churchill, okólnikami nakłaniał żołnierzy Korpusu do powrotu do „wolnej” Polski. Okraszał swe odezwy obietnicami reżymu. Brak rozwiązań w sprawach dalszych studiów gnębił nas razem z nudą wegetacji w „beczkach”. Energiczny prof. Bohusz nie zaprzestał działać w Londynie. Wracał z coraz to nowymi informacjami od władz polskich. Radzono nam szukać miejsc na uczelniach samodzielnie. Przepustki do hoteli żołnierskich YMCA ważne w Londynie przez trzy dni zapewniały nocleg i lekkie posiłki. Wędrowni po sekretariatach angielskich szkół były ciągle bezowocne. Odpowiedzi wszędzie te same: *Sorry, no vacancies*. Byli żołnierze angielscy podjęli na wydziałach przerwane przez wojnę studia. Mieli wszędzie pierwszeństwo. Wiele szkół straciło sale wykładowe w czasie niemieckich nalotów.

Śnieg topniał. Wieści z Londynu o staraniach gen. Andersa rozbudziły nowe nadzieje w Ośrodku. Wcielenie polskich żołnierzy do Polish Resettlement Corps (Polski Korpus Przystosowania i Rozmieszczenia) otworzyło nowe możliwości przygotowania się do zawodów lub osiedlenia. Prof. Bohusz uzyskał pozwolenie zebrania artystów i studentów sztuki z Italii razem ze studentami innych wydziałów w obozie PKPR w Waldingfield koło Sudbury w hrabstwie Suffolk. Protektorat nad Ośrodkiem i Szkołą Sztuki podtrzymało Stowarzyszenie Polskich Profesorów i Docentów na Obczyźnie. Wykładowcami Szkoły Malarstwa zostali: prof. Wojciech Jastrzębowski (były rektor Akademii w Warszawie), malarze: Stanisław Drozd, Kazimierz Pacewicz i grafik Romuald Nowicki.

Sudbury/Suffolk, 26.04.1947

Transport studentów sztuki dotarł do Waldingfield Camp, 5 km od Sudbury. Obóz zajmował część byłego lotniska amerykańskiego, otoczonego rozległymi polami z gospodarstwami. „Beczki” większych rozmiarów od tych w High Wycombe i umywalnie stały w rzędzie wzdłuż cementowego chodnika. [...] Zamieszkałem w baraku z kolegami z Rzymu. Z [Marianem] Kościałkowskim, [Januszem] Eichlerem, [Henrykiem] Paarem, [Stefanem] Łukaczyńskim, [Antonim] Dobrowolskim, [Leonem] Piesowockim i [Mikołajem] Portusem. Forma beczki nie pozwalała na stworzenie sobie wygodnego kąta. Skrzynki z podniszczonymi książkami nie mieściły się pod żelazną pryczą. [...] Na dzień wieszałem wokół stolika zapasowy koc, tworząc przytulną niszę i ochronę od przeciągu. W mroźne dni, okrągły, żelazny piecyk zdołał zaledwie ogrzać środek blaszanej beczki a wiatr hulał przez szpary okna i nieszczelne drzwi. [...]

3.05.1947

Kościałkowski otrzymał zamówienie od wydawcy na zilustrowanie nowego wydania *A Sentimental Journey Through France and Italy* Sterne’a. Szkicował sceny po południu, a nad rysunkami pracował nocą. Skrobał piórem z taką pasją, że trudno było zasnąć. Głośno przy tym pomrukiwał i cicho komentował treść rozdziałów, szczególnie scen miłosnych. Rysował kilka wersji każdej ilustracji. Często zniecierpliwiony nieudanym szczegółem, ścisnął arkusz papieru w kulkę i wrzucił ją pod piecyk. Dwa takie rysunki udało mi się zachować. Poprzez artykuł *O malarstwie* drukowany w „Na szlaku Kresowej”, Marian dał nam się poznać lepiej jako zdolny krytyk i teoretyk sztuki³. [...]

10.5.1947

Ośrodek Akademicki odległy od Sudbury jest nadal bez transportu publicznego i bez kontaktu z miejscową ludnością. Padł pomysł urządzenia balu maskowego w Ośrodku i propagowania go w mieście. Pomysłów było nagle dużo. Andrzej Bobrowski i Janusz Eichler zgodzili się udekorować salę. Proponowali obrazy z papieroplastyki z użyciem waty. Antoś Dobrowolski jako skarbnik dał swoje OK na zakup materiałów. W supermarkecie Andrzej szukał kolorowego papieru a Janusz waty. Młodzieńcy w mundurach stali się natychmiast atrakcją dla dziewcząt za ladami. Janusz znalazł stoisko *Sanitaries* i miękkie paczuszki. [...] Andrzej z ciężką paczką papieru a Janusz z ko-

³ M. Kościałkowski, *O malarstwie*, Na szlaku Kresowej 1945 nr 2/3 s. 41.

szem pełnym paczuszek udali się do kasy, odprowadzani wzrokiem chichoczących dziewcząt. Wrócili z materiałem dekoracyjnym do obozu. „Aleśmy odstawili propagandę balu” — powiedział Andrzej. Janusz z dumą otwierał pierwsze paczuszki. Z zakłopotaniem odkrył, że wypełnił koszyk górą tamponów [...].

Marzę ciągle o powrocie do Italii, aby ukończyć ostatnie dwa lata studiów. Otrzymałem pozwolenie od Komendy angielskiej i z Ambasady włoskiej pod warunkiem, że otrzymam stypendium. Angielski minister szkolnictwa miał podobno rozpocząć starania o uregulowanie spraw studiów dla tych, którzy je tam rozpoczęli. [...]

22.05.1947

Bal w Ośrodku Studenckim w Waldingfield nazwaliśmy *Carnival in Green*. Zapach mydła i tanich perfum wypełniał powietrze dużego baraku „sali balowej”. Wszystkie krzesła pod ścianą były zajęte przez miejscowe dziewczęta angielskie. Były wszystkich rozmiarów, w kostiumach, jak ogród kolorowych kwiatów. Wszystkie miały coś wspólnego: bardzo obfite atrybuty. Podobno było to w modzie na zabawach Amerykanów w tym obozie. Przystojny i wesoły Andrzej Bobrowski, energiczny tancerz, wirował z rozmachem i mocno przyciskał uroczą partnerkę. Nagle, puff! z sykiem wyskoczył korek z jej napompowanego biustu. *Sorry* — rzekł Andrzej z uśmiechem. Dziewczyna wyrwała mu się i uciekła gdzie należy. Wróciła [...] sympatyczna i symetryczna jak przedtem.

28.05.1947

Improwizowane zebrania plastyków miały charakter koleżeński, bez programów i protokołów. Wybrano mnie sekretarzem a Antosia Dobrowolskiego na skarbnika. Częste zmiany w decyzjach władz angielskich wywoływały wśród nas nastrój ciągłej niepewności i oczekiwania na jakieś ostateczne rozwiązanie problemu naszych dalszych studiów. Prosiłem prof. Bohusza o dłuższą rozmowę i jego opinię w związku z otwarciem oficjalnych polskich uczelni w Londynie jak Wydziału RAST-u (Rada Akademicka Szkół Technicznych) architektury i przedmiotów technicznych. Streścił nam rozmowy z płk. [Marianem] Zimnałem i [Edmundem] Zagórskim. Zapewniono nam subwencję na prowadzenie Studium Malarstwa w obozie. Koledzy proponowali włączenie grupy do kooperatywy artystów w Londynie i otwarcie pracowni ceramiki. Profesor obiecał pomóc każdemu w staraniach o wyjazd do Francji czy Italii na dalsze studia. Istniały jednak podobno trudności czynione ze strony władz angielskich dotyczące dysponowania funduszami Korpusu w Italii. Nie widział na razie żadnych możliwości na pomoc finansową dla tych kandydatów. Otrzymał zapewnienie ministra [Władysława] Folkierskiego, że poprze sprawę połączenia Studium Malarstwa z Wydziałem Architektury PUC (Polish University College) w Londynie lub z RAST-em. [...]

Formacja Tymczasowego Komitetu Oświaty (Interim Treasury Committee for Polish Questions) i polskich uczelni w Londynie pozwoliła żywić nowe nadzieje. Fundusze 2. Korpusu i angielskiego Ministerstwa Oświaty, miały zapewnić studia pokaźnej ilości żołnierzy. Anglicy dali pierwszeństwo Wydziałom Architektury i Inżynierii. Inne długo zbywano obietnicami. Studia humanistyczne wykluczono całkowicie z programu. [...]

25.06.1947

Na zapowiedziany przyjazd do Ośrodka arcybiskupa Westminsteru, prymasa Anglii, kardynała [Bernarda] Griffina, przygotowujemy wystawę naszych prac. Zostałem wybrany do prowadzenia komitetu organizacyjnego. Wystawię osiem rysunków.

3.07.1947

Kardynał Griffin wrócił z podróży po Polsce. Zapowiedział wizytę w Ośrodku Studentów w Waldingfield, aby przekazać żołnierzom pozdrowienia studentów z Kraju. Na solenną uroczystość przyjechał sztab Korpusu i inteligencja polska z Londynu. Przywitany chlebem i solą przez dzieci w strojach ludowych, przez gen. Andersa i komendanta Ośrodka płk. [Piotra] Peruckiego Kardynał odwiedził przygotowaną wystawę malarstwa i rzeźby studentów sztuki. [...]

6.07.1947

Od dawna mówi się mniej o dalszych studiach. Nasz los staje się coraz mniej pewny. „Zaproszeń” do pracy jest coraz więcej. [Arpad] Marschalko przyjął pracę w cegielni, [Tadeusz] Beutlich jako ogrodnik, [Kazimierz] Dźwig w restauracji w Londynie. Prof. Bohusz-Szyszko radził nam samym

zbadać teren w Londynie w rozmowach z władzami. Koledzy wybrali [Aleksandra] Wernera, [Kazimierza] Stachewicza i mnie na delegatów do rozmów z ministrem [Władysławem] Folkierskim. Po przedstawieniu przez nas sytuacji artystów i danych liczebnych grupy, minister podkreślił trudności w kontaktach z osobami, które decydują o sprawach oświatowych, tak po stronie polskiej, jak i angielskiej. [...] Polecił nam odbyć rozmowę z ambasadorem [Edwardem] Raczyńskim, członkiem Rady Oświatowej Polsko-Angielskiej. Ze swej strony przyrzekł nam poczynić starania jeszcze w kilku kierunkach. [...]

18.07.1947

Delegacja spotkała dr. [Ziemowita] Sochę w Interim Treasury. Wspomnieliśmy mu, że kilku studentów uzyskało przyrzeczenie przyjęcia ich na studia w Sir John Cass Technical Institute. Dyrektor [Edward] Bainbridge Copnall był na froncie z oddziałami Polaków jako ekspert kamuflażu, był przychylnie nastawiony do ex-żołnierzy polskich, szczególnie kandydatów na studia sztuki. Dr Socha nie mógł nas upewnić, że uda mu się uzyskać stypendia dla wszystkich. Wie o tym, że na Wydziale Humanistycznym w St. Andrews jest sześć miejsc na Wydziale Historii Sztuki. Interim Treasury mogłoby umożliwić starania o te miejsca i o stypendia. W sprawie studiów na terenie Francji nie mógł nam udzielić żadnych informacji. [...]

19.07.1947, godz. 10.30

Ambasador Raczyński przyjął delegację. Po prośbie aby się zajął naszą grupą, odpowiedział, że nasze sprawy polskie stoją bardzo źle. W czasie organizowania PUC-u toczyła się walka między organizatorami i Anglikami, którzy opierali się włączeniu jakiegokolwiek przedmiotu humanistycznego do programu tej instytucji. Architektura weszła automatycznie do programu studiów na PUC-u. Anglicy są skłonni do kształcenia obcokrajowców tylko w tych kierunkach, które zapewnią pracę i użyteczność społeczną. [...] Już ustalona cyfra 1300 studentów, którzy się kształcą, budzi duże obawy u Anglików, że spowoduje konkurencję. Uważają, że wydziałom architektury grozi bezrobocie. [...] Ambasador przyznał, że nie zbadał dokładnie stosunków wewnętrznych na PUC-u, szczególnie na Wydziale Architektury. Był zaniepokojony drogą, jaką malarz [Henryk] Gotlib starał się o stypendia dla swoich uczniów⁴. Radził wy badać jego ustosunkowanie się do nas i czy podjąłby się starać o stypendia dla niektórych z nas. [...] Wspomniał o dobrych stosunkach Gotliba z Radą Oświatową, jego osiągnięciach i poparciach [...].

Sierpień 1947

W sierpniu komisja Polskiego Studium Malarstwa przeprowadziła egzamin z uwzględnieniem studiów i ocen otrzymanych w Italii i wydała studentom świadectwa za rok 1946/1947. [...]

11.09.1947

Na zebraniu głosowano jak nazwać grupę artystów. Przegłosowano nazwę na „Klub 47”. [...]

1.11.1947

Bez uprzedzenia czy przygotowań, zjawiły się w obozie ciężarówki wojskowe. Padł rozkaz pakowania bagażu, jako że zostaniemy przeniesieni do innego obozu. Grupy różnych wydziałów mają podobno być podzielone do innych miejscowości. Transport artystów został dowieziony do „celu”, do obozu repatriacyjnego (South Camp Chippenham). Tu skoncentrowano już grupy żołnierzy gotowych na powrót do Polski, najczęściej ludzi starszych, ojców z rodzinami w Kraju, niektórzy ze sporym bagażem nawet pojazdami, za bezcen kupionymi z demobilu (wyprzedaży pojazdów wojskowych). Nasza bezradność w tym miejscu nie miała granic. Świadomość dramatycznej sytuacji wymagała szybkich decyzji. Komendę przejął natychmiast prof. Bohusz-Szyszko. Przejął też całą odpowiedzialność za decyzje na swoje barki. Z nami była rodzina (Arch. Nowickiego) z niemowlęciem. Uchwaliliśmy jednogłośnie, że decydujemy d e z e r c j ę. Szybko zebrałem wszystkie nasze oszczędności na zapłatę transportu, gdziekolwiek, byle jak najdalej od tego obozu. Prof. Bohusz-Szyszko dzwonił do Sztabu w Londynie. Aby rozwiązać naszą sytuację skrajnego dramatu, musiał sam się udać do Londynu. Jego nieobecność zdawała się trwać wieki. Pani Nowicka z dzieckiem zdradzała oznaki hysterii. Prof. Bohusz zjawił się z uśmiechem. „Uciekamy stąd!” — powiedział. Nasz „wywiad” znalazł kaprala repatrianta z ciężarówką. Podjął się za zapłatą przewieźć nas gdzie trzeba. Załadowaliśmy

⁴ Współpracował z władzami PRL, skąd otrzymywał stypendia.

w pośpiechu bagaże. Rower przywiązałem na tyle wozu. Wszyscy rozlokowali się na tobołach. Prof. Bohusz-Szyszko usiadł w kabinie kierowcy. On sam utrzymał w tajemnicy dokąd jedziemy. Po kilku godzinach transport mijął St. Johns Camp, gdzie wylądował Ośrodek po przyjeździe z Glasgow. Ciężarówka dotarła do miasta Reading (a raczej jego przedmieścia). Świadomość, że podróżujemy nielegalnie, bez przepustek czy innych ważnych papierów pozostawiała nas w wielkim napięciu. Nagły zgrzyt hamulców, jakieś uderzenie i krzyki na ulicy świadczyły o jakimś wypadku. Obawa, że konflikt z władzami uczyni nasz dramat groźniejszym spowodował wybuch nagłej hysterii p. Nowickiej. Zeskoczyła z ciężarówki z dzieckiem w ramionach. Krzyczała, że pójdzie piechotą. Mąż zdołał ją namówić aby wsiadła do wozu. Kierowca załatwił sprawę wypadku. Był bez ofiar i załatwiony bez ingerencji policji, co oszczędziło nam tragedii w tragedii. O zmroku transport dotarł do Kingwood koło Reading, do 50 Officers Holding Unit, luksusowego obozu wysokich oficerów 2. Korpusu. Baraki były tu murowane a „beczki śmiechu” stały tylko w centrum obozu i służyły do zajęć, głównie kursów zawodowych, kantyny i magazynów. W czasie wojny był to wojskowy szpital amerykański. Cała grupa z wyjątkiem państwa Nowickich i prof. Bohusza-Szyszki zamieszkała w jednym baraku murowanym z piętrowymi łózkami i żelaznym piecykiem. Było już bardzo zimno i na czas schroniliśmy się przed mrozem. Wieczorem odwiedził nas Profesor. Wyjaśnił nam, że na razie nikt nie wie o naszej dezercji poza gen. Andersem, z którym osobiście rozmawiał w Londynie i komendancie obozu oficerów, który był przygotowany na nasz przyjazd. Dodał, że w jutrzejszym rozkazie każdy z nas otrzyma jakiś przydział czy funkcję, że te przydziały będą tylko fikcyjne, na papierze, z wyjątkiem tego w centrali telefonicznej, gdzie ustaliliśmy służbę na zmianę. Mamy nadal pracować i studiować jak w Waldingfield-Sudbury. Oficer łącznikowy krążył jednak niespokojnie po obozie i obserwował przybyszów, o których mało wiedział. Lektorzy, profesorowie angielscy z Oxfordu dojeżdżali codziennie na lekcje angielskiego. Włączono i nas wszystkich na te kursy. Przydzielono nam dwa długie cementowe baraki na mieszkania. Stały na skraju obozu tuż przy drodze. Dobra oficerska kuchnia była znacznie lepsza od tej w Waldingfield. Kingwood koło Reading było blisko Londynu i Oxfordu i dawało nam duże możliwości uzyskania pomocy naukowych. Nasze pierwsze lekcje były już zaplanowane na przyszły tydzień wraz z trzema godzinami języka angielskiego dziennie. W jednym z baraków przeznaczonych na kursy rzemieślnicze urządziliśmy pracownię. Naprzeciw naszego okna było ambulatorium dentystyczne. Pani doktor, blondynka w średnim wieku była jedyną osobą, która mogła podpatrywać nas przy sztalugach. Była kuzynką sławnego pianisty Małcużyńskiego. [...]

Kingwood, 8.05.1948

Ważne było dzisiaj zebranie naszej grupy. Z okazji bliskiego zakończenia roku akademickiego należało ustalić sprawy organizacji wystawy dyplomowej oraz całych obchodów łącznie z zaproszeniem do obozu — w którym byliśmy tylko „personalem obsługi” — oficerów wyższego szczebla 2. Korpusu. I jak tu naraz wyjawić wobec Anglików, że jesteśmy studentami sztuki. Prof. Bohusz-Szyszko zachęcał nas aby nie okazywać w tym stadium żadnych skrupułów i realizować nasz program jak to czyniliśmy w „podziemiu” dotychczas. Wybrano mnie na organizatora wystawy. Eichler i Starzyński przyłączyli się do pomocy. Zaproponowałem aby każdemu ze studentów przydzielić przestrzeń na własną wystawę w odrębnej sekcji wielkiej sali podzielonej ściankami zbudowanymi z ram drewnianych przyć pokrytych kocami i stołami na rysunki. Wystawę postanowiono trzymać otwartą przez 6 tygodni, zaprosić najwyższe władze wojskowe i państwowe na obczyźnie, osobistości ze świata naukowego, reprezentację wojskową angielską, przedstawicieli Uniwersytetu w Reading oraz prasę polską i angielską.

Kingwood, 30.05.1948

Uniwersytet w Reading przygotował obchody 50-lecia założenia. Syn Rektora przysłał nam zaproszenie na bal maskowy. Z Januszem Eichlerem podjęliśmy się udekorowania głównej sali kompozycjami z papieroplastyki. Za temat wybraliśmy elementy sztuki egipskiej, rzymskiej, średniowiecza i współczesnej. Jako byli uczniowie prof. Jastrzębowskiego, wprowadziliśmy tu dekoracje typu w Anglii zupełnie nieznanego. Nasze prace były tu podziwiane i bardzo chwalone. [...]

22.06.1948

Coraz trudniejsze warunki i małe możliwości otrzymania stypendium na angielskich uczelniach, czy znalezienia jakiegось zatrudnienia, skłoniły wielu kolegów do planowania wyjazdu na inne kontynenty. Australia, Argentyna i Kanada obiecały dobre warunki dla emigrantów. Rodzice z Polski odradzali mi wyjazd z Anglii. Starali się o uznanie mi lat studiów i o przyjęcie na Akade-

mię Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Nostalgicę za Italią miałem jednak wielką. Prof. Bohusz-Szyszko nie tracił ciągle nadziei, że rozwiąże naszą sytuację stypendiów w jakiś sposób. Zapewniał nas, że jeszcze istnieje nadzieja ich otrzymania z funduszy Komitetu Tymczasowego (Interim Treasury) kierowanego przez władze polsko-angielskie. [...]

2.07.1948

Przy bardzo ograniczonych funduszach opracowałem w linorycie zaproszenie na naszą wystawę dla wysokich gości z polskiego Londynu. Opracowałem też okładkę do katalogu, a przedmowę napisał prof. Bohusz-Szyszko. [...]

20.07.1948

Dzień był pogodny. Przybywający wysocy goście byli uroczystie witani. Msza święta otworzyła uroczystość. Mały chór Plastyków, który prowadziłem od Rzymu, śpiewał teraz pod batutą obozowego dyrygenta. Po mszy, w dużej sali zebrali się goście na uroczystość wręczenia dyplomów. Do gości polskich przemówił kolega Eichler, a ja do angielskich. Prof. Bohusz-Szyszko w towarzystwie dr Lanckorońskiej przemówił z ramienia Komisji Naukowej naszej szkoły. Po rozdaniu dyplomów gen. Anders spotkał się ze studentami i pogratulował im. Pani Renata Andersowa w towarzystwie Generała i oficera angielskiego z War Office otworzyła oficjalnie wystawę. Przy drzwiach, goście złożyli podpisy w księdze pamiątkowej. Oficer brytyjski wpisał się do książki z miną kogoś, kto nie wie dlaczego się tu znalazł. Milczał przez chwilę. Objął wzrokiem wystawę wypełniającą się gośćmi. Prof. Bohusz-Szyszko towarzyszył generałowi i Brytyjczykowi. Ten ciągle niespokojnie pytał: „A co ci szeregowi i podoficerowie robią w tym obozie dla oficerów sztabowych i my o tym nic nie wiemy? Na podstawie jakiego rozkazu się tu znaleźli?”. Prof. Bohusz-Szyszko po dwóch latach, nie wahał się u boku gen. Andersa odważnie przyznać po owocnie dokonanej fackie: „Ci studenci znaleźli się tutaj na podstawie mojego rozkazu” — patrząc w oczy gen. Andersa. Ten skinieniem głowy potwierdził słowa Profesora, przy miłym uśmiechu p. Renaty. Anglik milcząc, wkroczył między sekcje wystawy. Pilnie lustrował szczegóły urządzeń. „Skąd wzięli te wszystkie koce na pokrycie stołów i ścian? — powiedział — i aż tyle łóżek drewnianych na ich skłecenie?”. Stałem obok, zakłopotany, winny tego „przestępstwa”. Prof. starał się, zdaje się bezskutecznie, zainteresować go sztuką, a p. Renata Anders rozmową. [...]

25.08.1948

Wystawa jest nadal wielkim sukcesem. Wszystkie artykuły w prasie polskiej i angielskiej były dla nas przyjazne. Sekcja filmowa 2. Korpusu nakręciła film dokumentalny w dniu otwarcia i wręczenia nam dyplomów, kiedy Janusz Eichler witał gości polskich, a ja przemawiałem po angielsku. [...] Prezydent Rzeczypospolitej w Londynie wyraził życzenie aby tam przenieść wystawę. [...]

12.10.1948

Wystawa w Kingwood zamknęła okres wędrówek z obozu do obozu, pracy z naszymi docentami i położyła kres naszej improwizacji w sytuacji, prawie że tajnej wobec Anglików [...]. Prof. Bohusz-Szyszko wrócił z Londynu: „— Ta rączka, chłopcy — obwieścił z entuzjazmem — wynosimy się stąd do stolicy”. Zebrałem kolegów w pośpiechu na zebranie. Sprawa studiów dla większości grupy „rzymskiej” stała się rzeczywistością. Przydzielono Korpusowi Hotel Cavendish-Inval z biurem Inwalidów przy 77 Lancaster Gate, blisko Bayswater. Jedno z pięter zajęła Konfraternia Artystów Teatru 2. Korpusu, a nam przydzielono dużą salę z oknami na Hyde Park na studio grupy. Wydelegowano mnie, abym tam zamieszkał i prowadził administrację, organizował zebrania i sesje rysunku aktu. Prof. Bohusz-Szyszko zajął pokój o piętro wyżej. Hotel w stylu wiktoriańskim posiadał bar i dużą salę na parterze. Przeprowadzka z Kingwood odbyła się ciężarówką wojskową. Koledzy zaproponowali aby załadować część ram drewnianych z prycz przeznaczonych w obozie na spalenie, do ewentualnego wykorzystania na przyszłe wystawy. [...]

10.03.1949

„Grupa 49”. Stosunki koleżeńskie w grupie plastyków przybyłych z prof. Bohuszem z Italii zaczęły się z czasem pogarszać. Wielkie różnice pod względem kultury ogólnej a artystycznej szczególnie, były coraz bardziej widoczne w czasie wystaw zbiorowych i w pracowniach w poprzednich miejscach postoju. Obok dojrzałych artystów, do grupy należeli solidnie studiujący młodzi malarze lecz i kilku „oportunistów”, żołnierzy o braku zainteresowań kulturalnych czy nawet skromnego dorob-

ku artystycznego na poziomie studenckim. W prywatnych rozmowach członków grupy poważnie zaangażowanych w pracy artystycznej, przeważała opinia, że solidarność żołnierska powinna ustąpić tej artystycznej, aby doprowadzić grupę do poziomu zespołu godnego respektu i pomocy ze strony władz i krytyki. Proponowano doprowadzić do selekcji członków.

19.03.1949

Na pierwszym zebraniu dn. 10.03.1949 był obecny prof. Bohusz i ośmiu kolegów. Proponowano dokonać selekcji drogą losowania. Prof. wyraził przeciwną opinię o tym sposobie traktowania kolegów. Postanowiono spotkanie odłożyć na 19.03.1949. Obecni byli: [Zbigniew] Adamowicz, [Tadeusz] Beutlich, [Andrzej] Bobrowski, [Marian] Bohusz-Szysko, [Kazimierz] Dźwig, [Ryszard] Demel, [Antoni] Dobrowolski, [Janusz] Eichler, [Tadeusz] Muszyński, [Leon] Piesowocki, [Henryk] Paar, [Benon] Paszkowski, [Stefan] Starzyński, [Stefan] Łukaczyński i [Aleksander] Werner.

Postanowiono:

1. Przyjąć na nowych członków grupy artystów po rozpatrzeniu wniosków o ich przyjęcie i głosowaniu przez większość 3/4 głosów.
2. Że członek zostanie wykreślony z grupy po rocznej nieaktywności (z wyjątkiem usprawiedliwionych przeszkód jak choroba itp.)
3. Zdecydować o planach grupy na najbliższą przyszłość. Starać się o pomieszczenie dla grupy czy studio, ewentualnie zakup domu. Zaplanować imprezy. Spotykać się na razie u Henryka Paara.
4. Pozostawić swobodę członkom grupy do wystawiania prac na różnych wystawach.
5. O ilości osób potrzebnych do selekcji prac przez członków grupy, decydować się będzie doradczo.
6. Nie będzie stałych składek.
7. Sekretariat poprowadzi kol. Demel Ryszard, skarbnikiem zostanie kol. Werner Aleksander. Większe sumy pieniężne postanowiono składać na konto prof. Bohusza-Szyski.

W przedłużeniu zebrania, doszły liczne wnioski i uwagi. Proponowano urządzenie zabawy w okresie ok. 1 maja 1949. Kol. Demel przejmie sprawę wynajęcia sali. Wystawę zbiorową proponowano przygotować na październik lub listopad. Następne zebranie ustalić na kwiecień (1949). Postanowiono utrzymać kontakt z Konfraternią Artystów Teatru. Następne zebranie poświęcić organizacji zabawy. Wystawę grafiki i rysunku postanowiono urządzić w salach YMCA w maju. Kol. Demel zajmie się zarezerwowaniem sali i zaproszeniami. [...]

Po uzyskaniu nowego stypendium w Londynie do Sir John Cass Institute, Stanisław Frenkiel przyczynił się do zorganizowania ZMAP — Związku Młodych Artystów Polskich nazwanych później YAA — Young Artists Association, do którego wstąpiła większość studentów z grupy rzymskiej. Uprzedzenie Frenkla do prof. Bohusza-Szyski znalazło jednak wyraz w jego oświadczeniu, które prosił abym zaprotokołował i odczytał na jego wniosek na najbliższym zebraniu. [...]

Tygodnik „Orzeł Biały” rozpoczął drukowanie rysunków „Grupy 49”. [...]

2.10.1949

Na zebraniu Grupy przy Belsize Avenue 55 u Tadeusza Beutlicha doszło do burzliwej dyskusji o rysunkach „Grupy 49” oddanych do reprodukcji w tygodnikach. Ktoś nazwał niektóre „puszczone” — na niskim poziomie i szkodzące opinii Grupy. Krytyka wydawała się zaczepką dla tych kolegów, którzy oddali je do druku bez aprobaty Grupy. Zapadła decyzja aby wszystkie rysunki do publikacji przedyskutować i dokonać wyboru.

14.10.1949

Na zebraniu Grupy uchwalono wniosek o złożenie próbnych prac i aby starać się o urządzenie wystawy w Galerii Gimpla. Prosić [Marka] Żuławskiego i [Piotra] Potworowskiego o poparcie. Proponowano też urządzenie wystawy w YMCA ok. 20 listopada. Na wystawę w Ognisku Polskim Olek Werner ma złożyć tekst katalogu, a Antos Dobrowolski odbić go na swojej ręcznej drukarce. [...]

1.02.1950

Coś los mi płata figla. Tym razem sprawa układa się gorzej. Urządziłem się wygodnie u p. Brown przy 17 Denbigh Road a tu otrzymuję list z Interim Treasury (Komitetu Tymczasowego), że na

podstawie ostatnich zarządzeń nagle wstrzymano mi stypendium. Powód: że mieszkam poza Wielkim Londynem w Ealing, który ma osobne władze gminne, a te wyznaczają kandydatów na stypendia. Dramat pozostania bez środków do życia zmusił nas do błyskawicznych narad. Jedyny, któremu nie odebrano stypendium, bo mieszkał w okręgu Londynu był Kaziu Dźwig. Mieszkał na poddaszu przy 57 Belsize Avenue. Był gotowy przyjąć mnie i Piesowockiego do siebie, bo i on miał kłopoty pieniężne. [...]

16.12.1950

Przeczytałem Marianowi Bohuszowi-Szyszcze list od Jasia Głowackiego z Rzymu, w którym apeluje do nas aby przesłać na jego ręce prace każdego z nas dla Fundacji M. Umiastowskiej. Opowiedziałem mu o przebiegu ostatniego zebrania Grupy. Przyjął z oburzeniem wiadomość o przyjmowaniu do Grupy nowych członków jak [Mieczysława] Chojkę, bez wiedzy i zgody wszystkich członków, tym bardziej, że niektórzy nie zostali zawiadomieni o zebraniu, m.in. i on. Dziwnymi dla niego wydają się propozycje robione Frenklowi i Chojce o wstąpieniu do Grupy po tak burzliwym jej ukonstytuowaniu się w ubiegłym roku. Marian powiedział, że nie zamierza wystawiać z Grupą, jeśli jej członkowie nie będą respektować postanowień już ustalonych, szczególnie tego o przyjmowaniu nowych członków. Co do listu Głowackiego i Funduszu Rzymskiego, radził nam ostrożność, abyśmy żądali wynagrodzenia za prace im przesłane, jako że Fundacja posiada odpowiednie sumy, które nie są dobrze administrowane [...].

Ryszard Demel (Włochy)

RECENZJE – OMÓWIENIA – POLEMIKI

Antologia Bogdana Czaykowskiego

Antologia poezji polskiej na obczyźnie 1939–1999, wyboru dokonał, opracował i napisał przedmowę Bogdan Czaykowski. Warszawa-Toronto: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, 2002, 630 s. (brak recenzentów).

O potrzebie ułożenia antologii poetyckiej, która prezentowałaby w miarę szeroką panoramę zjawisk ważnych dla obrazu literatury polskiej powstającej po 1939 r. poza krajem, nie trzeba nikogo przekonywać. Miałaby ona wszak do spełnienia nie tylko funkcję czysto użytkową jako kompendium orientujące czytelnika w skali zjawiska nie dość jeszcze rozpoznanego, ale byłaby także z konieczności rekonstrukcją historycznego przebiegu procesu literackiego z istoty swej inaczej ukształtowanego, niż to miało miejsce w kraju i zarazem wstępną próbą hierarchicznego uporządkowania poetyckiego dorobku emigrantów czyli zarysem kanonu. Kilkanaście lat temu próbę taką podjął Jerzy Niemojowski, przygotowując swoją wersję „antologii poezji emigracji wojennej”, która miała wedle przyjętych założeń prezentować poetów urodzonych między 1905 a 1924 r. i którzy opuścili Polskę między 1 września 1939 a 8 maja 1945, i nigdy nie wrócili do Polski na pobyt stały. Wybór taki, jak można się łatwo przekonać, dyktowany był założeniem, że o literackiej specyfice emigracji niepodległościowej zdecydował jej trzon żołnierski, stąd poza proponowanym kanonem znaleźli się zarówno poeci generacji Skamandra, jak i autorzy młodszy, w tym głównie poeci skupieni wokół „Merkurysza Polskiego” i „Kontynentów”. Oczywiście, jak każda tego rodzaju propozycja, mogła ona budzić zasadnicze wątpliwości choćby z tego względu, że pomijała autorów, których twórczość niewątpliwie odegrała nader istotną rolę zarówno w latach wojennego uchodźstwa, jak i później na emigracji, wszak trudno wyobrazić sobie obraz poezji tego obszaru bez, powiedzmy, Kazimierza Wierzyńskiego czy Stanisława Balińskiego. Była to jednak propozycja autorska antologisty, który przyjmując tak rygorystyczne założenia (inna rzecz na ile były one zasadne) nie kierował się bynajmniej tylko swym subiektywnym rozeznaniem, ale przedstawił argumenty uzasadniające proponowaną wersję kanonu. Poza względami socjologiczno-historycznymi (istotnie trzonem składu osobowego uchodźstwa i emigracji 1945 r. były roczniki czynnie zaangażowane w działania wojenne na różnych frontach) orientowały Jerzego Niemojowskiego także kryteria bliżej powiązane z problematyką artystyczną, jak choćby fakt, że poeci ci przebywając poza Polską nie podlegali postulatowi i dążnościom ujawniającym się w kraju, a żyjąc z konieczności w środowiskach obcojęzycznych, czerpali z dostępnych tam zasobów kultury literackiej państw osiedlenia, wzbogacając tym samym dotychczasowy repertuar rodzimych zachowań artystycznych. Niestety antologia Jerzego Niemojowskiego w założonym przezeń kształcie nie ukazała się drukiem, a opublikowano jedynie jej mocno skróconą wersję jako monograficzny numer miesięcznika „Poezja” (1987, nr 4/5) zatytułowany *Emigranci*. I była to wówczas — dodajmy —

pierwsza próba przedstawienia czytelnikowi krajowemu dorobku poetyckiego emigracji, na który to obraz złożyły się utwory 35 autorów w zdecydowanej większości czytelnikowi temu nieznanym.

Projektowana antologia miała niewątpliwie charakter cząstkowy, to znaczy nie było jej założeniem staranie o rekonstrukcję całościowego obrazu poezji, a jedynie ustalenie pewnego wyraźnie ograniczonego kanonu w obrębie jednej formacji pokoleniowej. I niezależnie od wszystkich możliwych kontrowersji wpisanych w ową propozycję, niewątpliwą jej zasługą (pomijając względnie czysto informacyjny związany z przypomnieniem pewnej ilości nazwisk) był fakt otwarcia przez Niemojowskiego ważnego pola problemowego. W polu tym mieszczą się zarówno podstawowe pytania o zakres pojęciowy i literaturoznawczą operacyjność kategorii takich, jak emigracja, literatura emigracyjna, poeta emigracyjny, poezja żołnierska itp., jak i pytania jeszcze bardziej kłopotliwe, bo związane z silnie narzucającym się obrazem dwunurtowości (emigracja — kraj) powojennej literatury, gdzie obserwowane tendencje rozwojowe, wybory estetyczne, preferencje ideowe rysują się różnie w zależności od przyjętej perspektywy czy to krajowej czy emigracyjnej. I też zagadnienia te były odtąd po wielokroć dyskutowane w kręgu historyków literatury, ale długo nie pojawiły się jednak w ślad za tym próby ponownego zmierzenia się z dostępnym materiałem literackim tak, by jego niewątpliwie bogactwo ilościowe i artystyczną różnorodność ułożyć w projekt kanonu przyjmującego postać antologii.

Po latach, jakie minęły od propozycji Jerzego Niemojowskiego, podjął się tego zadania Bogdan Czaykowski, pisarz, co nie jest bez znaczenia, podobnie jak jego poprzednik, także tworzący poza krajem, a więc, jak można domniemywać, dysponujący inną niż krajowa perspektywą rozwojową polskiej literatury powojennej, a dodatkowo jeszcze uwikłany w artystyczno-ideologiczne zależności swej formacji pokoleniowej.

Świadom rysujących się w odniesieniu do tego obszaru piśmiennictwa trudności, zrezygnował Czaykowski z posługiwania się zwyczajową kategorią „literatura emigracyjna” na rzecz semantycznie bardziej neutralnej perspektywy, jaka zawiera się w określeniu „poezja polska na obczyźnie”, co też zostało uwidocznione już w tytule antologii. Tym samym zatem szczęśliwie uniknął antologista ewentualnych sporów o sens i zakres pojęć „emigracja”, „poeta emigracyjny”, o ich konotacje polityczne siłą rzeczy wpisujące się także w problematykę literacką, a jednocześnie pozostał w zgodzie z tendencją coraz częściej uobecnianą w historii literatury, która także stara się w tym względzie unikać terminologicznych niejasności. Ale, jak to się niekiedy zdarza, odsuwając od siebie jeden najeżony komplikacjami zespół zagadnień, uruchomił Czaykowski innego rodzaju krąg wątpliwości, tym razem związany z rozumieniem kategorii „obczyzna”. W przyjętym założeniu, by antologia miała także walor dokumentarno-historyczny odzwierciedlający dynamikę równoczesnych zjawisk poetyckich, lokujących się nie tylko w różnych przestrzeniach geograficznych, ale i różnych uwikłaniach egzystencjalno-sytuacyjnych (więźniowie obozów, łagrów, ofiary deportacji itd. obok rzeczywistych emigrantów), kategoria „obczyzny”, zwyczajowo rozumiana jako antonim „ojczyzny”, niespodziewanie w ujęciu antologisty nabiera charakteru niezbyt uprawnionej spekulacji. Tyczy się to najbardziej wątpliwej merytorycznie decyzji włączenia w obszar tytułowej „poezji polskiej na obczyźnie” także autorów, którzy po zajęciu Lwowa przez okupacyjne wojska sowieckie jesienią 1939 roku uznali siebie za „polskich pisarzy sowieckich” i przyjęli jako oczywiste wszystkie wynikające stąd dyrektywy i zobowiązania ideologiczno-polityczne. Taka decyzja autora antologii musi wywoływać nie tylko zdumienie, ale i silny opór tym bardziej, że wyłożone w *Przedmowie* uzasadnienie jest mocno pokrętnie.

Byli to więc — píše Czaykowski — polscy poeci, którzy uznali, przynajmniej nominalnie, ziemie kresowe okupowane przez Sowiety za integralną część swojej nowej ojczyzny, przyjmując równocześnie „zaszczytny” tytuł „pisarza radzieckiego”. [...] Można więc paradoksalnie powiedzieć, że w okresie lwowskim pisarze ci pisali swoje wiersze „w ojczyźnie na obczyźnie” (lub w „podwójnej ojczyźnie”), a w latach 1941–44 jako polityczni emigranci.

Kompromitujący część środowiska literackiego epizod lwowski jest niewątpliwie ważny (w tym ma Czaykowski rację) i to nie tylko w wąskiej perspektywie tego jednego momentu historycznego jako przykład literatury najmniejszej, ale i istotny także w perspektywie powojennych dziejów literatury w kraju, które w latach stalinizmu były niejako kontynuacją procesów przygotowanych w „laboratorium lwowskim”. To wszystko prawda, ale włączenie tego epizodu w obszar

„obczyzny” sprawia, że antologista dokonuje tym samym nieuprawnionej manipulacji semantycznej, gdyż niepostrzeżenie przesuwa zakres pojęć ojczyzna-obczyzna z porządku dyscyplinowanego kategoriami przestrzennymi w stronę porządku ideologicznego. Innymi słowy, wprowadza czynnik wydatnie zakłócający semantyczną wyrazistość pojęć, a przez to i rozmywa ich dyskursywną skuteczność. Rzecz jest tym bardziej wątpliwa, że autor tej koncepcji zasadę swą stosuje niekonsekwentnie, bo wszak przyjęcie jako kryterium porządkującego reguły „w ojczyźnie na obczyźnie” przymusza do uwzględnienia — przy pełnej świadomości rysujących się różnic — także tych pisarzy, którzy wskutek przesunięcia granic znaleźli się bez własnej woli, nie zmieniając miejsca osiedlenia, na terytorium obcego państwa, by wspomnieć chociażby poetów Wileńszczyzny czy Zaolzia. A tych antologia Czaykowskiego zupełnie pomija milczeniem.

Już ten element przyjętej koncepcji porządkującej musi budzić zasadnicze wątpliwości, a dodatkowo jeszcze pogłębi je odsłonięcie perspektywy, z jakiej patrzy Czaykowski na układ zdarzeń literackich i wedle której dokonuje ich hierarchizacji. Perspektywa ta ściśle związana jest z ideowym i sytuacyjnym uwikłaniem autora w pokoleniowe związki z grupą Kontynenty. Przekonuje dobitnie o tym już sama statystyka, zawsze przecież ważąca na kształcie każdej antologii. I tak na 460 zamieszczonych w antologii wierszy, aż 117 jest autorstwa 7 przedstawicieli niegdyśjszej grupy (na ogólną liczbę 68 poetów uwzględnionych przez antologistę), co wyraźnie sugeruje jej szczególnie ważne miejsce w obrazie poezji na obczyźnie. Dodatkowo sugestią tę (mało przecież uprawnioną) wzmacnia uprzywilejowana z punktu widzenia ilości publikowanych w antologii wierszy pozycja Adama Czerniawskiego (31 utworów), który pod tym względem ustępuje tylko Czesławowi Miłoszowi (34 utwory) czy też samego autora antologii (26 utworów). Ustępują obu wymienionym poetom na przykład Kazimierz Wierzyński (24), Waław Iwaniuk (25), Jerzy Pietrkiewicz (16), Marian Czuchnowski (9), Józef Łobodowski (5), nie mówiąc już o tak „mało ważnym” poecie, jak Bronisław Przyłuski, który — zdaniem antologisty — zasłużył tylko na jeden wiersz i to z wczesnego tomiku *Akord* (1951). No tak, ale musiała przecież znaleźć się odpowiednia ilość miejsca na wiersze poetów najemnych typu Elżbieta Szemplińska (4 wiersze) czy Jerzy Putrament (4 wiersze), bo ich skala sztuki widocznie ważniejsza jest od poezji Józefa Wittlina (3 wiersze) czy Bogumiła Andrzejewskiego (2 utwory). Jeśli pozwalam sobie w tym miejscu na tonację złośliwą, to przecież nie dlatego, bym nie rozumiał intencji autora antologii. Nie akceptuję jedynie tak założonych, jak i mimowolnych skutków niektórych autorskich decyzji. Założonych w tym wymiarze, który zdecydowanie przecenia rolę, jaką w ogólnym obrazie powojennej poezji polskiej na obczyźnie odegrali niegdyśjsi współtwórcy sytuacyjnej grupy Kontynenty, przecenia tak dalece, że czyni z niej drugą (po poetach debiutujących w latach międzywojennych), a równorzędną co do znaczenia formację artystyczną poza krajem! Daleko odbiega to od rzeczywistej skali osiągnięć poezji na obczyźnie, układ taki jest tylko i wyłącznie obrazem wymuszonym przez antologistę. I dlatego tak trudno zgodzić się na rażące dysproporcje dzielące poszczególnych poetów, zwłaszcza że nie tłumaczy ich ani historyczny porządek zdarzeń, ani motywacja artystyczna. Adam Czerniawski równorzędny Miłoszowi, a usuwający na daleki, prawie niedostrzegalny, margines na przykład Bogumiła Andrzejewskiego, autora na wskroś oryginalnej i samodzielnej *Podróży do krajów legendarnych*, to zaiste nadmiar, mówiąc łagodnie, dobrego samopoczucia.

Deklarowanym w autorskiej *Przedmowie* staraniem miało być także rzetelne zrekonstruowanie warstwy dokumentarno-historycznej wczesnego etapu formowania się świadomości poetyckiej wojennego uchodźstwa i lat niewoli (obozy, więzienia, deportacje itp.). Na tym tle niezrozumiałe wydaje się pominięcie przynajmniej kilku nader ważnych świadectw poetyckich, by wymienić tylko *Elegię emigrancką* Józefa Łobodowskiego, *List otwarty do emigracji w Zaduski* Jerzego Pietrkiewicza, wiersze Jerzego Bazarewskiego (np. *Matka Boska Kozielska*) czy Jadwigi Czechowiczówny. Ale także w obrębie poszczególnych zespołów poetyckich tekstów zastanawia niejaka nonszalancja decyzji antologisty, który wybiera wiersze przypadkowe, nie oddające zupełnie charakteru danego pisarstwa poetyckiego (tak się rzecz ma np. w wypadku J. Łobodowskiego), bo często należące do jakiegoś wczesnego okresu twórczości. Niekiedy można odnieść wrażenie, że takie czy inne utwory znalazły się w antologii tylko dlatego, że akurat autor jej miał je pod ręką, stąd chyba tak często przedrukowuje teksty publikowane na łamach prasy (głównie „Kultury”), nie sięgając do wersji książkowych. Podobny element przypadkowości ujawnia się w ostatnich partiach antologii prezentujących najmłodszych emigrantów, bo znalazło się tu miejsce na przykład dla Romana Sabo (wiersze tylko z maszynopisu, bo autor nie wydał żadnego tomiku!) czy Grażyny

Zambrzyckiej, a nie zauważył autor tak układanego wyboru na przykład twórczości Adama Lizakowskiego. Pominięcia takie dotyczą zresztą i poetów starszych generacji, bo musi wszak razić nieobecność Stefana Gackiego, niegdyś współtwórcy „nowej sztuki”, odłamu awangardy poetyckiej z początków międzywojennego dwudziestolecia, a po wojnie autora kilku nowatorskich tomików poetyckich, podobnie jak razi nieobecność oryginalnego przecież poety Jerzego Niemojowskiego. Także nie przekonuje uzasadniana enigmatycznie w słowie wstępnym nieobecność Mariana Hemara, gdyż Hemar, wbrew temu co sądzi Czaykowski, był nie tylko autorem „wierszy czysto satyrycznych” i już tylko choćby ze względów dokumentacyjnych warto było umieścić w antologii jego wiersz *Epilog* z tomu *Lata londyńskie* (Londyn 1946), w którym po raz pierwszy pojawiła się podjęta potem formuła „druga emigracja” na określenie powojennego wychodźstwa.

Jak z powyższego widać, antologia Bogdana Czaykowskiego dalece odbiega od rzetelnej, to znaczy zachowującej właściwe i historycznie uzasadnione proporcje, prezentacji dorobku poetyckiego czasu „złej chwili dziejowej”. Nie może być ona uznana za projekt kanonu, co najwyżej za autorskie marzenie o wpisaniu siebie i swoich kolegów w centralny plan powojennych dziejów literatury polskiej. A jeśli literackie fakty mówią inaczej, to zgodnie ze znanym powiedzeniem, tym gorzej dla faktów.

Janusz Kryszak (Toruń)

Kto (na Boga!) jest „księciem poetów”?

Antologia poezji polskiej na obczyźnie 1939–1999. Wyboru dokonał, opracował i napisał przedmowę Bogdan Czaykowski. Warszawa-Toronto: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, 2002, 630 s. (brak recenzentów).

Antologię poprzedza obszerna przedmowa. Bogdan Czaykowski rozpoczyna ją przypomnieniem bojków, jakie w swych *Szkicach...* toczyła Maria Danilewicz Zielińska, usiłująca zwalczyć pomysł porównawczego zestawiania dorobku dziewiętnastowiecznej emigracji polistopadowej i dwudziestowiecznej emigracji pojałtańskiej. Sprzeciw Marii Danilewiczowej wobec prób zestawiania tak różnych w swej istocie zjawisk Czaykowski przypomina po to, by — zaprezentować czytelnikowi własne porównanie literatur obu emigracji!

Pisze (s. 6):

Próba spojrzenia porównawczego na obie literatury jak na razie nie powstała. Próba taka [...] musiałaby wziąć pod uwagę bardzo różny charakter obu literatur emigracyjnych [...].

— Tu następuje syntetyczny rejestr istotnych, zdaniem Czaykowskiego, odmienności. Jedną z nich ma być „znaczna asymetria gatunkowa”, bo, jak powiada antologista:

podczas gdy emigracja popowstaniowa stworzyła przede wszystkim wielką poezję i dramat, emigracja wojenna i powojenna nie stworzyła prawie w ogóle dramatu (wyjątkiem jest tu oczywiście Gombrowicz), natomiast stworzyła prozę, powieściową i eseistyczną, której twórczość Wielkiej Emigracji w żadnym wypadku [...] nie dorównuje. Wspólnym mianownikiem obu literatur emigracyjnych pozostaje poezja.

— Nie wiem, jaki jest cel tej paraleli? Niby, zgoda, porównywać można wszystko, na przykład, powiedzmy, kurę do cielaka (bo to i jedno i drugie — zwierzę udomowione), warto jednak pytać o pożytek z takiej „analizy porównawczej”. Z największą pokorą wobec antologisty muszę wyznać, że nie dostrzegam żadnej poznawczej korzyści płynącej z tego zestawienia. Jak rozumiem, cały ów wywód na temat różnic i podobieństw literatur obu emigracji znalazł się we wstępie do antologii jedynie po to, by można było podkreślić znaczenie lirycznego dorobku emigracji dwudziestowiecznej (?).

Interesują mnie jednak przesłanki, na których oparty został tok rozumowania antologisty. Co, zatem, znaczy uwaga, że emigracja dwudziestowieczna „nie stworzyła prawie w ogóle dramatu”? — Czyżby to, że (poza „wyjątkowym” Gombrowiczem) nie uprawiała dramaturgii? — Chyba nie o to chodzi. Bogdan Czaykowski wie doskonale, że taki sąd byłby fałszywy. Wie, sądząc, że dramaturgia emigracji była liczebnie obfita. Najwyraźniej zatem owym „nie stworzyła” pseudonimuje ocenę jakościową tej scenopisarskiej produkcji. Prawdopodobnie uważa, że — poza Gombrowiczem — cała dramaturgia emigracyjna nie jest warta pamięci. To zaś, przyznam, budzi odruch niechęci i potrzebę protestu. Jak można jednym pociągnięciem pióra przekreślić ryczałtem cały dorobek dramaturgii emigracji? Na jakiej podstawie czytelnik ma uwierzyć antologście, że dorobek kilkudziesięciu (lekką licząc) dramaturgów złożył się wyłącznie z utworów artystycznie chybionych, nieinteresujących i nie zasługujących na uwagę? — Obawiam się, że mamy tu do czynienia z jakimś „totalizmem krytycznym” albo — z totalnym brakiem odpowiedzialności. Nie mam zamiaru wylizywać tych twórców i tych dramatów, które na pewno nie zasługują na lekceważącą ocenę. Byłaby to bowiem polemika z sądem w rodzaju: „wszystko jest pozbawione sensu”, a sądy tego typu, jako znaczeniowo puste, na polemikę nie zasługują. Zgoda, jak w każdej z literatur, tak i w piśmiennictwie emigracji pojawiły się również dramaty (i bardzo!) kiepskie. Ale obok wybitnych i dobrych powstały również bardzo kiepskie wiersze. Czy na tej podstawie Bogdan Czaykowski wyciągnąłby wniosek, że emigracja „prawie w ogóle” nie stworzyła poezji?

Z przytoczonego fragmentu przedmowy wyciera jeszcze jeden niefrasobliwy pogląd, będący wyrazem przekonania antologisty, które zaważyło na kształcie całości pracy. Operuje się bowiem pojęciem „emigracja wojenna i powojenna”, nie dostrzegając zasadniczej ideowej różnicy pomiędzy okresem wojennego wychodźstwa poezji polskiej a świadomością poetycką doby pojałtańskiej. Niewydzielenie uchodźczego „pielgrzymstwa” prowadzi do zrównania go ze wszelką twórczością lat wojennych rozwijaną poza dawnymi granicami II Rzeczypospolitej. Dlatego w antologii znalazła się liczna reprezentacja pionierów socrealizmu — pisarzy „polsko-sowieckich”, realizujących wycieczne „polityki kulturalnej” sowieckiej i nie przyznających się do związków z państwem polski niepodległej. Z powodu tej niefrasobliwości otrzymaliśmy antologię, w której z poetami-ofiarami katyńskimi, z twórcami, którzy decydowali się ograniczać ambicje artystyczne w imię służby wojnie, w imię powinności zbiorowej i niepodległościowego wysiłku, znalazły się wiersze apostatów polskości, wraz z osławionym „dziełem” Elżbiety Szemplińskiej, sławiącym „prawdziwą ojczyznę” — Związek Sowiecki. Wydaje mi się, że nie ma żadnego uzasadnienia, by jakkolwiek antologia poezji polskiej zawierała utwory tego rodzaju. Obecność twórców z kręgu Związku Patriotów Polskich tłumaczy Czaykowski dodatkowo powołaniem się na ten fragment *Traktatu poetyckiego* Miłosza, w którym znajduje się pochwała artystycznego ukształtowania ody do „matki-Syberii” Lucjana Szenwalda. Nie wydaje mi się, by tego rodzaju poetycki koncept mógł być przekonującym uzasadnieniem układu jakiegokolwiek antologii polskiej poezji.

Generalnie jednak pozostaje wrażenie, że Czaykowski zrobił wszystko, by nie budować antologii liryki emigracyjnej. Zdawał sobie bowiem sprawę z konfliktu pomiędzy ideowością emigracji pojałtańskiej a postawą ideową grupy poetyckiej Kontynenty. „Młodzi londyńczycy”, do których sam antologista należał, jak wiadomo zapatrzeni byli w kraj i twórczość krajową, gardzili emigracyjną „niezłomnością” i starali się włączać w życie literackie PRL. Nie chcą w tym miejscu tamtych decyzji oceniać, nie chcą przybierać pozycji sędziowskiej. Rzecz w tym jednak, że Czaykowski poetów Kontynentów uważa za twórców tej liryki emigracji, którą można przyrównywać do poetyckiego dorobku Wielkiej Emigracji dziewiętnastowiecznej. Widać to choćby po liczebnym uporządkowaniu antologii. Kontynentczycy reprezentowani są tutaj najliczniejszymi zestawami utworów. Nie da się tego ukryć — mam duże wątpliwości co do artystycznej rangi wielu spośród tych wierszy. Ta „nadpodaż” robi czasem wrażenie wyprzedzaży — asortyment wielki, nic to, że bardzo różny jakościowo, skoro to wszystko po zaniżonej cenie. Zostawmy zresztą jakościowe różnice pomiędzy poszczególnymi produkcjami poetów Kontynentów. Jakież znaczenie może mieć jakość utworu poetyckiego w antologii, w której znalazły się wiersze Jerzego Putramenta?

Cóż mówić o artyzmie, skoro nawet rodzaj literacki nie miał dla antologisty znaczenia. Czaykowski ceni Gombrowicza? — Nie ma więc przeszkód by wprowadzić do wyboru fragment *Trans-Atlantyku*. Że niby taki „poetyczny”? — W antologii poezji chciałoby się jednak dostrzec dyscyplinę przynajmniej w zakresie doboru rodzajowego.

Wróćmy jednak do spraw jakości artystycznej. Czaykowski przypomina, że żadna antologia nie może zawierać samych arcydzieł. — Ma rację. Jeżeli jednak dla zaspokojenia potrzeby „reprezentatywności” umieszcza się produkcje wątpliwej wartości artystycznej, to może wystarczyłoby po jednym (zamiast kilku) utworze w wypadku poetów, którzy mają tylko „dokumentacyjne” znaczenie? (Uwaga ta odnosi się zwłaszcza do widocznej nadreprezentacji wierszopisów działających w ostatnich latach w kanadyjskim otoczeniu antologisty.)

W swoim słowie wstępnym Bogdan Czaykowski powiada, że „jest w tej antologii wielki ładunek moralny, uczuciowy i ideowy” (s. 16). — Nie wiem, jakiz to „ładunek moralny” może łączyć Lechonia i Wierzyńskiego z, powiedzmy, Putramentem, Szemplińską czy nawet Gałczyńskim. Antologista dowodził wcześniej, (na s. 14), że tak naprawdę nie liczy się moralność poety, lecz tylko jakość wiersza. Potem dopowiedział, iż nie wszystko musi być „arcydziełem”, by wreszcie wrócić do spraw moralnych, rzekomo spajających ten wybór. Przyznam, iż w tych niekonsekwencjach założeń widzę przyczynę i przypadkowości doboru i układu antologii. Myślę, że ta książka jest mało przydatna, jeśli nie — szkodliwa. Przede wszystkim dlatego, że z założenia niszczy wyrazistość pojęć, unicestwia kryteria wartościowe, fałszuje socjologię zjawisk literackich. Czytelnik nie dowie się z niej, jaka była logika rozwoju poezji polskiej na obczyźnie, jakie hierarchie artystyczne liryka ta ukształtowała. To jest wybór zaciemniający obraz poezji polskiej poza krajem, wyraźnie zamazujący tło, na którym pojawiły się zjawiska szczególnie przez antologistę faworyzowane i waloryzowane. Kazimierz Wierzyński, Tadeusz Sułkowski, Aleksander Wat, Bronisław Przyłuski (by tylko ich wymienić) mają w tej antologii znacznie mniej swoich wierszy niż Adam Czerniawski. Niby — lojalność wobec przyjaciela i kolegi po piórze to rzecz godna pochwały. Ale kto, na litość Boską, jest „księciem poetów”?

Wacław Lewandowski (Bydgoszcz)

Pegaz jako koń polski

Wojciech A. Wierzewski, *Pegaz za Oceanem. Ludzie pióra i kultury poznani w Ameryce*. Toruń: Wydaw. Adam Marszałek, 2002, 317, [3] s. (brak recenzentów).

Krzysztof Kolumb był może pierwszym, ale na pewno nie jedynym odkrywcą Ameryki. Można ją ciągle jeszcze odkrywać, mniej lub bardziej obiektywnie konfrontować własne doświadczenie z przebogatym zbiorem amerykańskich „podań ludowych”. Choć owocem tych działań są często kolejne, prywatne legendy, wszystkie je legitymuje (a może i prowokuje) złożoność fenomenu ziemi Waszyngtona, wielorakość oblicz, ukazywanych w różnych konfiguracjach. Kulturowo, społecznie, gospodarczo i w każdym innym wymiarze eksplorowały ten obszar i nadal to czynią również miliony Polaków. Skutkiem, jak łatwo się domyślić, stały się miliony „odkryć”. O „swoim odkryciu Ameryki” pisał Aleksander Janta. Kazimierz Wierzyński zaś charakteryzował „swoją prywatną Amerykę”.

Coś z tej postawy wydaje się współokreślać dziennikarską i publicystyczną działalność Wojciecha A. Wierzewskiego, przebywającego od dwudziestu kilku lat na emigracji za Oceanem (przypadkowo-politycznej, jeśli chodzi o genezę) i z niewątpliwym zaangażowaniem odsłaniającego jak najbardziej kulturalny owej emigracji obraz. Głównym celem tej aktywności jest — jak mówi sam autor — walka ze stereotypem „zapyziałego Polonusa”. W poprzednim numerze „Archiwum Emigracji” znalazł się stworzony przez Wierzewskiego *Mały leksykon 175 znanych Polaków w Ameryce*. Podobna idea przyświeca jego nowej publikacji, książce pt. *Pegaz za Oceanem*, która ukazała się w tym roku w wydawnictwie Adama Marszałka.

Jest to zbiór wywiadów, recenzji i szkiców wspomnieniowych prezentujących twórcze indywidualności życia polonijnego, działające w różnych sferach szeroko pojętej kultury. Wśród omówionych znaleźli się: twórcy i tłumacze literatury (Stanisław Barańczak, Adam Czerniawski, Wiesław S. Kuniczak, Adam Lizakowski, Leopold Tyrmand, Ewa Krystyna Vetulani-Belfoure), muzycy (kompozytor — Joanna Bruzdowicz, skrzypaczka — Barbara Bilszta), artyści plastycy (rzeźbiarz — Jerzy Ke-

nar, autor artystycznych przekazów multimedialnych — Mirosław Rogala), twórca filmów dokumentalnych — Marian Marzyński, organizator Festiwalu Filmów w Chicago — Michael Kutza, przedstawiciele świata nauki (Adam Stefan Zamoyski, Danuta Mostwin), dziennikarz — Marek Gordon, wydawca — Jacek Gałązka i właścicielka księgarni, której aktywność znacznie wykracza poza handel książkami — Mira Puacz. Obrazu dopełnia pochodzący z 1983 r. wywiad z Jackiem Kaczmarskim i recenzje prac Harveya Sarnera. Autor przedstawia też swoją własną historię emigracyjnego żywota i działalności na rzecz rozpowszechniania kultury. Oczywiście niemal wszystkie wymienione powyżej postacie wykraczają poza przypisane im *ad hoc* kategorie.

Nie wszystkich można uznać za twórców kultury polonijnej (w tym kontekście, należałoby może rzec — kultury polskiej, albo przynajmniej zrównać te dwa wyrażenia pod względem wartościowości) w Ameryce. Sarnier nie jest Polakiem, Bruzdowicz nie mieszka w Stanach Zjednoczonych, tylko w Belgii, Kaczmarski dał tam jedynie kilka koncertów. W jakiś jednak sposób przyczynili się do żywotności tej kultury, co tłumaczy ich obecność w omawianym tomie.

Bogactwa faktów w zaprezentowanym materiale nie da się zakwestionować. Choć w słowa ubrano go nienajlepiej — styl, gramatyka, ortografia wołają o korektę, choć redakcja wydawnictwa pozostała chyba głucha na to wołanie. Czytelnikom wrażliwym na kwestie językowej poprawności tekstu nie polecam, bo w swej najbardziej wierzchniej warstwie może ich nastroić co najmniej melancholijnie. I trudno im się będzie skupić na wspaniałej warstwie faktograficznej.

Otwierający tom wywiad ze Stanisławem Barańczakiem pochodzi z 1990. Tej postaci poety-profesora chyba nie trzeba przedstawiać w kraju, jego teksty również są tu obecne. Sama jednak, bardzo ciekawa rozmowa — o żywotności poezji, o specyfice języków polskiego i angielskiego, o moralności i polityce — z nim właśnie, stanowi wyraźne zaakcentowanie, że jeden (nie jedyny) z ważniejszych twórców polskiej kultury narodowej należy właśnie do grona Polonii. Prawie każdy kolejny tekst, staje się następnym, pełniącym analogiczną funkcję dowodem wyrażonej na wstępie tezy o randze kultury polonijnej.

O poezji rozmawia też autor tomu z Adamem Lizakowskim. W książce zawarte są także dwie recenzje zbiorów poetyckich tego może jeszcze zbyt mało znanego w Polsce piewcy Pieszyc i Chicago. Mowa tu o specyfice doświadczenia emigranta z początku lat 80. Lizakowski sam skategoryzował tę grupę, nazywając ją „złodziejami czereśni”. Poeta refleksyjnie porządkuje swoje pokoleniowe doświadczenia, wyprowadza sądy ogólne. W recenzjach Wierzewski przywołuje nie zawsze najcelniejsze fragmenty tej poezji (a może znowu odzywa się tu moja podejrzana słabość do poprawnego języka polskiego, nawet w wierszach), ale na pewno dotyka jej istoty.

O doświadczeniu swojego pokolenia i o swoim rozumieniu roli poezji mówi też Adam Czerniawski. Na podstawie zamieszczonych w książce wywiadów z trzema różnymi poetyckimi osobowościami i z przedstawicielami trzech różnych generacji można dokonać interesującego zestawienia rozmaitych teoretycznych i praktycznych myśli o poezji. Materiałów do przeróżnych porównań i przemyśleń dostarcza omawiana publikacja pod dostatkiem.

Warto zapoznać się z wywiadem z młodym Jackiem Kaczmarskim. Przywołaną w 1983 r. interesującą maksymę: „jaki rząd taka opozycja”, wciąż można mieć na uwadze. Zwraca uwagę krytyczny, trzeźwy stosunek barda do „Solidarności”, niezbyt powszechny wśród przedstawicieli niezależnej myśli w tamtym okresie.

Niezwykle wartościowy jest obszerny wywiad z Leopoldem Tyrmandem przeprowadzony niedługo przed jego śmiercią. Obfitujący i w fakty, i w przemyślenia, mający w sobie coś z podsumowania. Rozmowa o absurdach życia polskiego i życia amerykańskiego, a jednocześnie o urokach obu krajów. O różnych rozumieniach opozycji liberalizmu i konserwatyzmu w świadomości polskiej i amerykańskiej tamtego czasu. Jest to materiał wciąż istotny poznawczo, mimo ukazania się książki *Tyrmand i Ameryka* Katarzyny Kwiatkowskiej i Macieja Gawęckiego (Gdańsk 1998).

Pozostając w sferze literatury, należy przyjrzeć się zamykającym tom omówieniom twórczości wspomnieniowej Krystyny Vetulani-Belfoure. Recenzje kolejnych części wspomnień mają w sobie akcenty co najmniej niepokojące, zwłaszcza jeżeli chodzi o tom pierwszy. Teksty z pozoru ciepłe, afirmujące postawę dzielnej niewiasty wobec niezbyt przyjaznych dziejów, odznaczają się pewną niefrasobliwością stwierdzeń, pociągających za sobą poważne logiczne konsekwencje. Z pewnością indywidualne i konkretne świadectwo zawarte w książce pt. *W małym niemieckim miasteczku*¹

¹ K. Vetulani-Belfoure, *W małym niemieckim miasteczku*. Kraków 1993.

ma ogromną wartość. Czyni obraz wojennych losów i postaw pełniejszym. To wspaniale, że etos, w jaki wyposażono pokolenie dorastające w II Rzeczypospolitej, uchronił tych młodych ludzi od destrukcyjnych moralnie i psychicznie konsekwencji okrucieństw niesionych przez pierwszy wielki fakt ich dorosłości — wojnę. Pamiętniki osoby, która spędziła ten czas jako robotnica przymusowa w Rzeszy mają być tego optymistycznym świadectwem:

Prywatna wojna Krystyny Belfoure w jej wspomnieniach pozostaje piękną kartą powszechnej odporności i skutecznego oporu generacji wobec okropności tamtej okupacji i wojny (s. 301).

To sformułowanie jest chyba nieco zbyt jasne i piękne, ale co gorsza paradoksalnie krzywdzące w swych implikacjach dla ogromnej rzeszy ludzi, którzy bynajmniej nie wyszli z tej wojny moralnie i psychicznie wzmocnieni i szlachetnie dojrzałsi. Niestety autor recenzji wydaje się być świadom tego, co czyni, kontrastując wzorcową, pełną przebaczenia, pozbawioną jakiegokolwiek goryczy, postawę z reakcjami tych, którym nie udało się przetworzyć doświadczenia holokaustu we własne moralne zwycięstwo i którzy w jego mniemaniu nie powinni najwyraźniej zabierać głosu, skoro wychodziły z tego zbyt głośne i może historyczne lamenty. To drastyczne przeciwstawianie postaw jest — mam nadzieję — jedynie wynikiem pewnego może chwilowego niedostatku wrażliwości, ale szereg niefortunnych sformułowań mogłoby zostać uznanych za co najmniej niesprawiedliwe, zwłaszcza wobec opisujących swoje doświadczenia ocalałych Żydów.

Głównym przedmiotem swojego zainteresowania, czyli filmem, autor mógł się zająć w rozmowie z Marianem Marzyńskim, znakomitym dokumentalistą filmowym, dla którego praca oznaczała zarazem studiowanie własnej historii. Zostało tu zawarte szkicowe omówienie jego bogatego dorobku. A przy okazji poznajemy historię Franka Popiołka, postaci realnej, choć posiadającej też wymiar legendy wręcz, bohatera filmu pt. *God Bless America and Poland Too*. Marzyński opowiada o swoim sposobie patrzenia na świat, z zainteresowaniem, po ludzku, o tym skąd biorą się tematy jego filmów. Przy okazji można w tej rozmowie znaleźć kilka krótkich, nienatrzętnych lekcji nowszej historii Polski.

Opowieści tych lub o tych, którym się powiodło, którzy zaistnieli na obcym rynku jest w omawianym tomie Wierzewskiego znacznie więcej. Opowieści o sukcesach, o dokonaniach splatają się z refleksjami, rozważaniami na temat życia emigranckiego, wymiarów i znaczenia własnej działalności. Miejskami wydaje się, że chodzi po prostu o udowodnienie nie pierwszy już raz, że Polacy to naprawdę nie gęsi. Ale książka zawiera też głębsze i bardziej ważne treści.

Rozmowa z Jerzym Kenarem, artystą spełnionym w każdym wymiarze, obok listy sukcesów rzeźbiarza zawiera ciekawe myśli o możliwej do osiągnięcia życiowej harmonii, ale przede wszystkim o sztuce, o pokrewieństwie odległych z pozoru kultur i o uniwersalności tego, co ludzkie.

Wywiady z Jackiem Gałązką, wydawcą wielu polskich tytułów w nowojorskim Hippocrene Books i z Mirą Puacz, właścicielką księgarni Polonia Bookstore w Chicago dają wyobrażenie o sposobach istnienia na rynku amerykańskim książek tak czy inaczej związanych z polskością. Obie reprezentowane przez rozmówców instytucje, odniosły sukces, także komercyjny, mają znaczenie praktyczne, a zarazem są nośnikami ważnych dla wielu Polaków idei.

Sporo miejsca poświęcił autor działalności Harveya Sarnera, amerykańskiego Żyda, badającego nieznane fakty z historii stosunków polsko-żydowskich, zwłaszcza bliskowschodnie dzieje 2. Korpusu gen. Andersa. Recenzje publikacji Sarnera ukazują, że Wierzewski doskonale orientuje się w złożoności i skomplikowaniu tych stosunków.

O zdrowym, obiektywnym podejściu do historii mówi jej emigracyjny badacz, Adam Stefan Zamoyski, w pełni świadom zarazem, jak rozmaite, uzależnione od punktu widzenia, emocje towarzyszą z reguły ocenianiu wydarzeń historycznych. Swoista wyrozumiałość wobec uczuciowego podejścia ludzi, których określone wydarzenia pośrednio lub bezpośrednio dotyczą, do historii zostaje wyraźnie oddzielona od własnej metody badawczej. Tutaj obowiązuje już bezwzględny obiektywizm, wartość pozytywna lub negatywna nie może być przypisywana różnym wydarzeniom na podstawie osobistych czy narodowych, jednostronnych przesłanek (niby oczywiste, ale nie zawsze praktykowane). W tomie zawarta jest też recenzja *The Forgotten Few*², książki Zamoyskiego o polskich lotnikach uczestniczących w bitwie o Anglię, która powstała opierając się na tej

² A. Zamoyski, *The Forgotten Few. The Polish Air Force in the Second World War*. London 1995.

właśnie metodzie. W dokonanym przez Wierzewskiego omówieniu interesująco została zarysowana sytuacja przechwycenia „pokoleniowej pałeczki narodowej pamięci”.

Michaela Kutzę trudno uznać za przedstawiciela Polonii. Choć nie odzęguje się od swoich związków z polskością, nie mówi w ogóle po polsku. Tu szczególnie mocno nasuwa się pytanie jak definiować Polonię, kto do niej przynależy, a kto już nie. Jakkolwiek by nie było, działalność Michaela Kutzy wyraźnie przyczynia się do zwiększenia popularności polskich filmów, znacząco obecnych w repertuarze Festiwalu Filmowego w Chicago.

Nie omówiłam wszystkich przedstawionych przez Wojciecha Wierzewskiego postaci. Jeżeli moje omówienie sprawia wrażenie nieco chaotycznego, po części jest to zapewne konsekwencja trudnego do jednoczesnego myślowego ogarnięcia bogactwa obszarów ich działalności. Wśród milionów amerykańskich Polaków czy polskich Amerykanów są ludzie twórczy, błyskotliwi, z pasją i siłą przebiecia realizujący swoje wizje. Nie brakuje indywidualności wykraczających poza stereotypy (zresztą taki już chyba los wszelkich stereotypów). Każdego, kto chciałby się zetknąć z tym — jak mówi autor — „czubkiem góry lodowej”, odsyłam do nowej książki Wojciecha Wierzewskiego.

Karolina Famulska (Toruń)

Między kulturami — polscy twórcy w Ameryce

Życie w przekładzie, pod red. H. Stephan. Kraków: Wydawnictwo Literackie, 2001, 320 s. (rec. A. Fiut).

Przystępując do lektury i prób oceny *Życia w przekładzie*, należy sobie odpowiedzieć na pytanie dotyczące adresata tej pracy, co — tylko pozornie — jest sprawą prostą. Szesnaście szkiców, jakie złożyły się na tę książkę, zostało napisanych po angielsku, a następnie przełożonych na polski. Zaledwie trzy z nich (o czym informuje nota bibliograficzna) ukazały się wcześniej drukiem — w tym jeden w polskim przekładzie. Praca została wydana w Wydawnictwie Literackim, zaś wersja anglojęzyczna dotychczas się nie ukazała, a w każdym razie nie notuje jej Biblioteka Kongresu Stanów Zjednoczonych. Wyciągnąć z tego można wniosek, że — w zamierzeniach — praca skierowana jest do odbiorcy krajowego, któremu autorzy chcieliby przybliżyć sylwetki i dokonania twórców polskich (lub takich, którzy legitymują się polskim rodowodem) działających i żyjących na kontynencie amerykańskim (głównie w USA). Jednocześnie jednak należy zauważyć, że książka została poświęcona postaciom, które nie są obce polskiemu czytelnikowi czy widzowi, kosztem nazwisk mniej znanych. Należy zatem zapytać o to, czy rzeczywiście szkice, których bohaterami zostali Czesław Miłosz, Stanisław Barańczak, Tymoteusz Karpowicz, Anna Frajlich, Jerzy Kosiński, Leopold Tyrmand, Marek Hłasko, Jan Kott, Janusz Głowacki, Roman Polański, Agnieszka Holland, Henryk Grynberg i Eva Hoffman, odpowiadają na zapotrzebowanie odbiorcy krajowego. A może raczej wołałby on otrzymać obok lub zgoła zamiast nich studia poświęcone „najczęściej zupełnie nie znanym w Polsce” (s. 306) pisarzom i krytykom takim jak np. wspomniani przez George’a Z. Gasyna w zamykającym książkę szkicu — *Wyrażać odmiennosc: pisarze polsko-amerykańscy po okresie wielkiego podziału* — Suzanne Strempek Shea, Anthony Bukoski, Stuart Dybek i Thomas Gladsky.

Zestawienie to (twórcy znani — twórcy nie znani) może budzić zastrzeżenia z jeszcze jednego powodu. W zasadzie nie sposób jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie dotyczące charakteru *Życia w przekładzie*. We wstępie redaktor pracy — Halina Stephan — deklaruje:

Książka przedstawia poetów, prozaików, dramatopisarzy i filmowców, którzy w różnych okolicznościach znaleźli się na emigracji i korzystając ze swych emigracyjnych doświadczeń włączyli się aktywnie w amerykańskie życie kulturalne. [...] Zasadniczym przedmiotem książki są problemy związane z kulturowym przekładem ich indywidualnych doświadczeń i koniecznością ponownego określenia przez nich własnej tożsamości (s. 5).

I rzeczywiście założenie to jest potwierdzane przez większość zawartych w książce studiów, co wskazywałoby na jej naukowy charakter. Jednocześnie jednak nie sposób oprzeć się wrażeniu, że np. szkice poświęcone Markowi Hłasce, Romanowi Polańskiemu czy Henrykowi Grynbergowi są czymś pomiędzy popularnonaukowym wykładem, w którym prezentuje się sylwetkę i (w układzie chronologicznym) przedstawia skrótowe omówienie kolejnych dzieł danego twórcy, a rzeczywistymi pogłębionymi studiami nad odkrywaniem przez tych artystów własnej, jakże złożonej tożsamości. Dlatego szereg fragmentów — nie tylko w tych trzech przywołanych szkicach — zbliża się do granicy, gdzie dyskurs naukowy przechodzi w formę popularyzatorską:

Na poziomie słowa rządzi metafora. Ma ona burzyć rutynę, przeciwdziałać kostnieniu języka. Skamieniałe słowo lub utarty zwrot wprawiają wyobraźnię w odrętwienie, usypiając ją dawkami automatycznych reakcji, co prowadzi do atrofii myślenia. Przed katastrofą może uratować nowa metafora (s. 92).

Anna Frajlch jest nie tylko poetką emigracyjną, ale także poetką emigracji i emigrantów, darzoną przez nich szczerym szacunkiem i podziwem. Jej poezja krąży uparcie wokół tematyki wygnania, przemieszczania się i adaptowania do nowych warunków kulturowych. [...] Motyw wyganiania pozostaje przewodnim motywem jej twórczości. [...] Anna Frajlch jest nie tylko znakomitą polską poetką emigracyjną, ale być może także najwybitniejszą poetką-emigrantką swojego pokolenia (s. 99).

W wielu tekstach autorzy dążąc do całościowego zaprezentowania sylwetki danego twórcy powtarzają informacje biograficzne i sądy o jego twórczości powszechnie znane, przy lekturze innych (po raz kolejny szkic Herberta J. Eagle o Romanie Polańskim czy Romana Koropeckyj o Marku Hłasce) można odnieść wrażenie, że postrzeganie dorobku poszczególnych, a jakże różnych artystów, przez pryzmat rekonstruowania własnej tożsamości, dla której czynnikiem destrukcyjnym było opuszczenie kraju rodzinnego, prowadzi do nazbyt uproszczonego odczytywania tworzonych przez nich tekstów kultury, które sprowadzane do jednego mianownika tracą swą głębię i różnorodność.

Niejednoznaczność charakteru książki i adresata, do którego jest ona kierowana, jakkolwiek mogą wzbudzać irytację i prowadzić do wydawania o książce sądów nieprzychylnych, nie powinny jednak przesłaniać kilku — bardzo istotnych — walorów tej pracy. Przy swoich niedostatkach i rodzącym się po jej lekturze uczuciu niedosytu jest ona bowiem interesującą prezentacją katalogu postaw, jakie wobec emigracji (przymusowej bądź dobrowolnej, czy wreszcie niezamierzonej, przypadkowej) przyjmowali i przyjmują różni twórcy. Losy kilkudziesięciu postaci przywołanych w *Życiu w przekładzie* prezentują cały wachlarz zachowań — od całkowitej niemożności odnalezienia się w nowej sytuacji, poprzez stopniowe adaptowanie się do nowych warunków, odkrywanie szans i prawideł rządzących w kraju osiedlenia, aż po dynamiczny rozwój, wykorzystywanie nowych możliwości i entuzjastyczne włączanie się we współtworzenie kultury drugiej ojczyzny. W wielu wypadkach autorzy poszczególnych szkiców zwracają uwagę na to, że na zagadnienie borykania się z tożsamością emigranta-wygnańca z Europy Środkowowschodniej nakładać się mogą jeszcze dwie inne perspektywy, które całą sytuację dodatkowo pogłębiają, a przy tym komplikują. Z jednej strony jest to perspektywa zachowywania czy odkrywania własnej przynależności nie tyle narodowej (państwowej), co raczej etniczno-kulturowej. Szczególnie widoczne jest to w wypadku twórców, którzy opuszczając Polskę jako obywatele tego kraju, zachowywali lub po latach odkrywali swe żydowskie korzenie; choć nieobce jest to też np. Miłoszowi, który spędziwszy dzieciństwo w wielokulturowym wileńskim tyglu czerpie z tych doświadczeń po dzień dzisiejszy. Z drugiej zaś strony na perspektywę tożsamości emigranta nakłada się sprawa języka, jakim posługuje się on w procesie twórczym. I tu — podobnie jak w wypadku oceniania kondycji uchodźcy — postawy mogą być bardzo zróżnicowane: od postrzegania języka ojczystego jako bastionu pozwalającego na zachowanie własnej tożsamości, poprzez stopniowe dochodzenie do dwujęzyczności nierzadko powiązanej z wyraźnym oddzieleniem sfery twórczości od innych dziedzin działalności, aż po całkowite, a przy tym postrzegane w kategoriach szansy, odrzucenie mowy ojczystej na rzecz języka kraju osiedlenia, czy wreszcie powracanie do języka przodków w — zdawać by się mogło — niesprzyjających warunkach wychowywania i kształcenia się w innej kulturze.

W tym świetle uzasadnionym się wydaje poświęcenie książki postaciom nie tylko literatów, lecz także twórców sceny i filmu. Ukazanie ich sposobu funkcjonowania w amerykańskiej kulturze

(także w jej wydaniu popularnym) wzbogaca — szczególnie jest to widoczne w szkicu Tamary Trojanowskiej poświęconym Januszowi Głowackiemu — przedstawioną różnorodność możliwych postaw i zachowań. Na szczególną uwagę zasługują tutaj także trzy szkice, których autorzy (obok wspomnianych już: wstępu Haliny Stephan i studium George'a Z. Gasyna, mam tu na myśli tekst Beth Holmgren *Ameryka, Ameryka, czyli jak przeżyć w przekładzie*) podejmują się trudnego wyzwania ogólnego, syntetyzującego spojrzenia na przywołane tu strategie, jakie emigranci przyjmowali i — co ważne — nadal przyjmują w zmienionej przez wydarzenia 1989 roku rzeczywistości politycznej wobec samych siebie, Polski i krajów osiedlenia. I — co szczególnie istotne i wartościowe — autorzy tych szczególnie interesujących i udanych mini-syntezy zachowując świadomość zachodzących przemian zdają się spoglądać w przyszłość z optymizmem wyrastającym z przekonania, że rozsiani po kontynencie amerykańskim twórcy polscy (ewentualnie legitymujący się jedynie polskim rodowodem i z trudem odkrywający kraj swych przodków) nie powiedzieli jeszcze ostatniego słowa, a:

Ich głosy nie składają się bynajmniej na spójną, kulturowo organiczną całość. Trwają raczej w stanie wzajemnego kontaktu, a bardzo często w bezpośrednim dialogu czy wręcz na prawach konkurencji (s. 307).

I — jak dodają —

W tym sensie obecne, w przeważającej mierze pokojowe, współistnienie kulturowej odmienności [...] jest powodem do radości, zapowiada bowiem pozytywny rozwój postmodernizmu (s. 307).

Tak też — pozytywnie — należy ocenić całość *Życia w przekładzie*. Wskazane na wstępie problemy czy niedostatki tej pracy nie powinny przesłaniać jej ogólnej wartości — o ile niektóre ze szkiców w niewielkim tylko stopniu uzupełniają ogólny stan wiedzy dotyczący poszczególnych twórców emigracyjnych, o tyle całość tworzy naprawdę interesujący przegląd możliwych zachowań i postaw jakie wobec problemów życia uchodźczego przyjmowały przywołane postaci polsko-amerykańskich poetów, prozaików, krytyków, dramaturgów i filmowców.

Rafał Moczko (Toruń)

Przemilczana książka

Michał Bąkowski, *Votum separatum*. Londyn: Kontra 2000, 190 s. (brak recenzentów).

Omawianie *Votum separatum* dobrze będzie rozpocząć od przypomnienia, że książka Michała Bąkowskiego, jakkolwiek od dawna już nie jest wydawniczą nowością, nie była w Polsce recenzowana.

Bąkowski zaznaczając, iż *Votum separatum* nie jest „Wprowadzeniem do Mackiewicza” (s. 9), dość precyzyjnie sformułował cel, jaki przyświecał mu przy pisaniu książki. Publikacja ta, zgodnie z planem Autora, ma być rozpatrywana jako „przyglądanie się współczesności poprzez świadectwo, jakim jest dzieło Józefa Mackiewicza” (s. 7), chodzi bowiem o to, aby „poprzez jego [Mackiewicza, dop. moje — P.R.] myśl, przyjrzeć się światu” (s. 8). Autor deklaruje także: „[...] będę chciał pokazać, jak poszczególne tezy i analizy polityczne wynikają z jego [pisarza — P.R.] ogólniejszych przekonań” (tamże). Tak zaprojektowaną myśl przewodnią swej rozprawy M. Bąkowski wsparł bogatym materiałem ilustracyjnym, zaczerpniętym z twórczości autora *Kontry*, przy czym korpus tekstów, w oparciu o który Autor „przygląda się współczesności”, nie ogranicza się do twórczości prozatorskiej Mackiewicza, lecz obejmuje także publicystykę polityczną i historyczną, jaka w postaci setek artykułów drukowanych w prasie emigracyjnej oraz przedwojennej, w ciągu lat kilkudziesięciu, wyszła spod pióra pisarza. Branie pod uwagę w prowadzeniu analityczno-interpretacyjnego wywodu zarówno tekstów literackich, jak i wypowiedzi publicystycznych i traktowanie ich jako równoważnych świadectw „dowodowych”

w owym swoistym studium śledczym, jakim jest omawiana książka, możliwe jest dzięki istnieniu kłamry spinającej wszystko, co pisarz i publicysta miał do powiedzenia o świecie, określanej krótko jako „DUCH tego pisarstwa” (s. 9).

Ambitne zamierzenie penetracji wielu zjawisk, wydarzeń i procesów, zachodzących we współczesnym świecie, przynależących do polityki, socjologii i moralności wsparte solidną znajomością myśli Mackiewicza czyni z książki Bąkowskiego godne uwagi (chyba nieco poskąpionej przez krytyków) studium charakteryzujące się bogactwem poruszanej problematyki. Autor odkrywa i analizuje zarówno filozoficzne podstawy warsztatu pisarskiego Mackiewicza, pokazując, jak z zainteresowania prawdą, determinizmem, wolnością, ludzką naturą wyrasta źródłowo twórczość pisarza (i te fragmenty książki najbliższe są formule rozprawy historycznoliterackiej), jak i dokonuje przeglądu i oceny wybranych wydarzeń i procesów zachodzących w świecie współczesnym, ze szczególnym uwzględnieniem PRL-u, prowadząc swe dociekania wedle reguł polemicznej publicystyki politycznej i historycznej.

Sporo uwagi poświęca Bąkowski prawdzie, pokazując, jak absolutny do niej stosunek funduje powieściopisarskie credo Mackiewicza. Obiektywna prawda, a nie „prawda koniunkturalnego interpretowania prawdy”, tak pięknie zobrazowana w słynnym początku *Kontry*, zakłada szczerłość pisarza, rozumianą jako dawanie świadectwa przeżyтым faktom w całkowitej zgodzie z własnym wewnętrznym przekonaniem na dany temat. W każdym innym przypadku bowiem: „«Pisarz-instytucja» narodowa lub społeczna służy już wyłącznie propagandzie, jest więc wrogiem prawdy” (s. 44). A skoro tak, to — konkluduje Bąkowski, ukazując jednocześnie etyczne podstawy antykomunizmu pisarza — „Odrzucenie kłamstwa i walka z «dekretowaniem» prawdy — nakazują bezwzględną nienawiść do bolszewizmu, największego kłamcy i dekretodawcy w dziejach” (s. 45). Pisanie w czymkolwiek imieniu: narodu, grupy społecznej, partii politycznej, czy w imieniu innej, koniunkturalnie traktującej prawdę zbiorowości, jest dobrowolnym zamykaniem oczu na rzeczywistość i stanowi zgodę na tworzenie rozmaitych, fałszujących prawdę sztanc. Stąd Mackiewiczowskie zainteresowanie szczegółem, drobiazgiem, z pozoru błahym i nieistotnym faktem, gdyż to wszystko jako cząstka prawdy zasługuje na uwagę oraz dopomina się zachowania w pamięci, zwłaszcza jeżeli owe fakty pozostają dla kogoś niewygodne i nie mieszczą się w obrazie świata zawężonym do jakiegoś kolektywnego, interesownego spojrzenia. Bąkowski tak pisze, formułując cenny i ciekawy ogólny sąd interpretacyjny, jakich wiele można spotkać na kartach *Votum separatum*: „Wszystkie powieści i cała publicystyka Mackiewicza są wyzwaniem rzuconym chętnemu zapomnieniu, świadectwem prawdy niechcianej” (s. 18). Stąd także wyrasta fascynacja pisarza problematyką związków przyczynowo-skutkowych zachodzących w świecie, szczególnego rodzaju troska o przeniknięcie wzajemnych relacji, w jakich pozostają i oddziałują na siebie rozmaite wydarzenia, decyzje, gesty czy słowa; fascynacja wyrażająca się znamiennym dla autora *Zwycięstwa prowokacji* pytaniem: „Jak do tego doszło?” (s. 17). Jak doszło do skazania na śmierć pułkownika Sergiusza Miasojedowa? Jak doszło do rozprzestrzenienia się komunizmu na świecie? Jak doszło do tego, że Aleksander Kolcow, Kozak rodem znad Donu zamordowany został na terenie Austrii przez brytyjskiego żołnierza? Jak doszło do współpracy Armii Krajowej z Sowieciami? W jakimś sensie książka Bąkowskiego jest próbą odpowiedzi na pytanie: Jak doszło do odrzucenia i zamknięcia w klatce z szaleńcami Mackiewicza-antykomunisty?

Bąkowski przeplatając erudycyjne, drobiazgowo dociekania sądami syntetyzującymi wyniki własnych spostrzeżeń odsłania przed czytelnikiem zręby pisarskiej metody Mackiewicza, jej ogólną koncepcję, a także charakteryzuje, choć tylko pośrednio i w sposób fragmentaryczny, nowatorstwo stworzonej przez niego formy powieściowej. Pisze przykładowo: „Mackiewicz jest bez wątpienia naturalistą w sensie techniki literackiej” (s. 28). Istnienie rażących błędów interpretacyjnych, wynikających z prób wpasowania prozy Mackiewicza w któryś ze znanych i przebadanych nurtów literackich, badacze tyleż często sygnalizują, co sami z lubością w nich grzęzną. Autor *Votum...* omawia „naturalizm” pisarza, wprowadzając w swe rozważania szerszy, filozoficzny i kulturowy kontekst, pobrzmiewający m.in. w twierdzeniu, źródłowo wywiedzionym właśnie z antropologii filozoficznej, iż: „Człowiek nie jest w niczym lepszy, nie jest wywyższony ponad przyrodę” (s. 31). Tym, co odróżnia Mackiewicza od klasycznego naturalizmu, jest — jeśli wolno by mi było posłużyć się językiem filozofii — aksjologiczny absolutyzm połączony z, wyrastającym z istoty ludzkiej wolności, przekonaniem o istnieniu niewyjaśnialnej do końca tajemnicy ludzkiej egzystencji. Bardzo trafnie przeto zauważył Autor, choć można by ów wątek rozbudować i pogłębić, iż pisarstwo

Mackiewicza w swej najgłębszej warstwie „zbliża nas do prawdy. Ale do prawdy, którą z jakimś wahaniami [chyba niepotrzebnym — P.R.] nazwałbym metafizyczną” (s. 35). Opór, jaki stawia poznaniu ludzkiemu rzeczywistość, a drugi człowiek w szczególności, wydaje się nabierać — choć sam Bąkowski nigdzie tak tego nie nazywa — charakteru ontologicznego, jest cechą świata: duchowość, wewnątrz drugiego człowieka opiera się przed wglądem poznawczym, pozostając jednocześnie wielkim wyzwaniem dla pisarza. Efektem świadomości istnienia owego ograniczenia poznawczego jest, wykraczająca poza deterministyczne uproszczenia, „pełna uroku nieprzewidywalność” czynów człowieka, od pisarza wymagająca, aby w geście pełnym szacunku „skłonił się przed mroczną tajemnicą duszy ludzkiej” (s. 23).

Drugą składową stanowiącą, obok prawdy, trzon filozoficznego zaplecza pisarstwa Mackiewicza jest kategoria wolności. Pewne fragmenty rozważań Bąkowskiego nad wolnością, choć sam Autor powiada o sobie, iż filozofem nie jest (s. 8), noszą znamiona solidnego namysłu filozoficznego. Słuszne wydaje się wskazanie na jej powinnościowy charakter i dostrzeganie w niej „bramy”, poprzez którą możliwe staje się uczestnictwo człowieka w świecie wartości (s. 54–55). Autor *Votum...* przyglądając się twórczości prozatorskiej pisarza, dostrzegając w jego książkach „traktaty o wolności ludzkiej — wolności we wszystkich jej przejawach: od zbrodni do bohaterstwa, od świętości do małości” (s. 57), pokusił się o takie oto określenie kluczowej dla zrozumienia antykomunizmu pisarza kategorii: „wolność jako konieczna forma działania nastawionego na realizację wartości” (s. 56). Właśnie w imię owych wartości Mackiewicz podnosił głos, apelując często, aby w specyficznych warunkach, jakie wytworzyła antykomunistyczna emigracja niepodległościowa, szczególnie dbać np. o swobodę wypowiedzi prasowej. Ciekawe świadectwo swoistej „wojny o prawo do wolnej wypowiedzi” (s. 69) stanowią cytowane przez Bąkowskiego fragmenty niepublikowanych listów pisarza m.in. do kolejnych redaktorów „Wiadomości” (s. 69–72).

Wspomniano już o publicystyczno-polemicznym charakterze książki Bąkowskiego. W szczególności, a wybór poniższy z konieczności jest niepełny i niewątpliwie skażony subiektywizmem, interesuje Bąkowskiego, nie stroniącego od ostrych, czasem naznaczonych kpina i szyderstwem sformułowań, sprawa Polski w trakcie II wojny światowej widziana przez pryzmat diagnoz i ostrzeżeń formułowanych przez pisarza. Autor *Votum...* błyskotliwie omawia także mechanizm sowietyzacji i rozkładowy sposób oddziaływania na wolę i psychikę wolnych ludzi zarazy bolszewickiej. Bardzo ciekawe jest zwłaszcza rozpoznanie dotyczące „minimum sowietyzacji” (s. 122), wyrażające się „akceptacją tzw. podstaw ustroju” (s. 123) oraz naczelną w tej kwestii „bezwartkowa akceptacja komunizmu jako konieczności historycznej wraz z akceptacją nieodwracalności zmian przez komunizm dokonanych” (s. 123). Przywołując na kartach swego studium postaci ważne już to w życiu publicznym w PRL-u (np. Stefan Kisielewski), już to osoby tworzące polityczną opozycję i, w niektórych przypadkach, przejmujące część władzy w roku 1989 (np. Jacek Kuroń, Tadeusz Mazowiecki, Adam Michnik), Bąkowski zarzuca im (formułując szereg szczegółowych, bodaj słusznych zarzutów, których przywołanie i rozpatrzenie przekraczałoby ramy niniejszego omówienia), najogólniej mówiąc, brak radykalnej postawy antykomunistycznej. W jej miejsce pojawiają się rozmaite formy, krytykowanej przez Autora, „opozycyjności”, rozumianej jako chęć podejmowania z komunistami dialogu, polemiki, słowem — celem tych ludzi jest nie obalenie systemu, a jedynie próba usprawnienia go na tyle (np. przez wprowadzenie elementów gospodarki rynkowej), aby dało się żyć. Bąkowski sporo trudu zadał sobie, aby wyjaśnić fenomen poputniczstwa oraz prowokacji komunistycznej (małej i dużej). O pierwszej z wymienionych kategorii czytamy: „Miejsce poputczika oświeconego [takiego jak np. S. Kisielewski, w odróżnieniu do poputniczstwa naiwnego, jakie prezentuje „Solidarność” — P.R.] jest «pomiędzy dobrą wolą i agenturą, pozorną naiwnością i skuteczną infiltracją, utrafiającą tam, gdzie nie może utrafić notoryczna propaganda komunistyczna»” (s. 130). Poputczik działa jako swoisty „wentyl bezpieczeństwa oraz zewnętrzny przejaw «demokratyzacji»” (tamże), funkcjonując w przekonaniu, że coś tam np. dla kultury polskiej ocala (domagając się choćby złagodzenia cenzury), jednocześnie nie kwestionuje podstaw systemu. W efekcie, to słowa samego pisarza, „zwalczanie ZŁA — komunizmu zastąpione zostało przez zwalczanie ZŁA — w komunizmie” (s. 164). Z punktu widzenia Autora „sytuację Solidarności oddaje zaś taki obraz: organizacja więźniów w więzieniu walącym się w gruzy. Szczytem marzeń więźniów jest, by dozorczy usiedli z nimi do stołu. Wiele lat minęło zanim dozorczy uwierzyli, że ci durnie naprawdę nie chcą rozwalić więzienia. Nie! Oni apelują do świata o lepsze zaprowiantowanie” (s. 130). Szczególnie fascynującym zjawiskiem jest, omówiona szcze-

gólowo w książce Bąkowskiego, stosowana przez komunistów taktyka prowokacji: „Wabi się zawsze przy pomocy pozornych ustępstw, koncesji, wycofania się” (s. 118). W przełożeniu na język potoczny oferta ta, w której kluczową rolę odgrywa, obliczony na lata, „plan wciągnięcia sił wrogich wobec komunizmu w działalność umacniającą komunizm” (s. 119) może być sprowadzona do dyrektywy: rób, co chcesz — krytykuj, dyskutuj, polemizuj, układaj się, siadaj do okrągłego stołu, szukaj kompromisów, rozsądnie doradzaj, debatuj nad plusami i minusami itd., byleś tylko nie podważał komunizmu *en bloc*, byleś nie próbował obalić systemu, byleś nie żądał zniszczenia zarazy. Właśnie owej horrendalnej naiwności politycznej, połączonej z fałszywym, a bardzo wygodnym dla komunistów, przekonaniem o ewolucji największego wroga w dziejach ludzkości i możliwości łagodnego naprawiania komunizmu, nie może Bąkowski krytykowanym przez siebie ludziom wybaczyć. Autor *Votum...* przypomina sąd Mackiewicza o Sołżenicynie, którego wciągnięcie „w służbę prowokacji widać tu jak na dłoni” (s. 133). Skazany na banicję noblista, autor *Archipelagu GULag* zwraca się w liście do przywódców Związku Sowieckiego: „Pozostając na gruncie bezwzględnie realizmu nie proponuję zmiany wygodnego dla was rozłożenia władzy” (s. 134). I to wystarczy — nawoływanie do nie-walki jest w gruncie rzeczy dla komunistów pożyteczne, bo nie uderza w pryncypia systemu. A w sytuacji, gdy na ponadnarodową zbrojną rozprawę z komunizmem nie można liczyć, naczelnym obowiązkiem świata wolnych ludzi jest — oddajmy głos Mackiewiczowi — „akumulowanie chcenia walki z komunizmem” (s. 147), z którego to „chcenia” skutecznie rozbrajają ludzi bolszewickie prowokacje, niechby i ustami wybitnego pisarza. Właśnie taktyczną prowokację, zmianę formy, a nie treści dostrzeża Autor w przemianach, jakie przyniósł rok 1989 w Polsce, co — śmiem twierdzić — odebrane będzie jako niesmaczna, a ponadto chorobliwej proweniencji przesada.

Ważne miejsce w planie książki zajmuje również omówienie „tezy rosyjskiej”, której istota sprowadza się do, fałszującego prawdę, postawienia znaku równości między Rosją carską a państwem bolszewickim. Sam Mackiewicz wielokrotnie dobitnie podkreślał: „[Komunizm jest] w hierarchii zjawisk politycznych fenomenem nadrzędnym, ponadnarodowym i ponadpaństwowym. W żadnym razie nie może być identyfikowany z Rosją, tak samo zresztą jak z żadnym innym państwem czy narodem na świecie” (s. 110). Szkoda, że analizy poczynione przez Bąkowskiego (s. 110–116) tylko w niewielkim stopniu odwołują się do obrazu Rosji sprzed 1917 r. Dziewiętnastowieczna historia państwa carów chyba nadal czeka na uczciwe i rzetelne opracowanie, zaś uwagi poczynione przez Autora *Votum...* potraktować można jako wskazanie na ugorujące pole badawcze.

Bąkowski kończy swe studium uwagami dotyczącymi współczesnej cywilizacji, dostrzegając w niej dwa naczelnie zagrożenia, których analizie poświęcił *Votum separatum*: „Degradacja kultury w XX wieku podąża dwiema drogami. Jedna to sowietyzacja, która niszczy mowę ludzką i znie-wala myśl, tworząc w rezultacie antykulturę. Druga to masowość i komercjalizacja, która dominuje pseudokulturę Zachodu” (s. 162). W tym kontekście rozprawę Bąkowskiego można potraktować jako głos w obronie fałszowanego przez komunistów języka. Chodziłoby zwłaszcza o to, aby słowom takim jak: „najeżdźca”, „niewola”, „wolność”, „zdrada”, „okupacja”, „wyzwolenie”, „sojusznik”, „realizm polityczny”, „kontrewolucja” — „przywrócić ostrość znaczenia” (s. 140). Końcowa konkluzja uświadamia czytelnikowi, w jak dużym stopniu rezygnacja z bezkompromisowej negacji bolszewizmu na rzecz jakkolwiek pojętej opozycji prowadzi współcześnie do uznania: „W Gorbaczowie — rosyjskiego reformatora, w p. Michniku — partnera do dialogu w kwestiach moralności, w Nelsonie Mandeli — bojownika o prawa człowieka” (s. 140), do uznania, że „Mugabe walczy o sprawiedliwość społeczną; że IRA i Yasser Arafat są stronami w dialogu pokojowym” (s. 174). Książka ta, ze względu na obfitość celnych przytoczeń i cytatów z prozy i publicystyki autora *Drogi donikąd*, tworzy swoistą *quasi*-antologię tekstów Mackiewicza, może z powodzeniem funkcjonować jako „Wypisy z Mackiewicza”, do sięgnięcia po które zachęcam osoby mające problemy z ustaleniem jakichś faktów dotyczących przekonań ideowych pisarza (choć Autor zastrzega, że „nie interesuje go bryk do Mackiewicza”, s. 111). Publikacja ta jest również obroną indywidualizmu i odwagi samodzielnego myślenia w czasach dyktatu rozmaitej maści kolektywnych formacji intelektualnych; jest właśnie, pobudzającym do odważnego przyglądania się światu — *votum separatum*. Warto jednak pamiętać, że owo wyjście z szeregu równym krokiem maszerujących mas (obojętne, czy pod hasłem: „Nie ma wolności bez solidarności”, „Polska — nasz wspólny dom” czy może „Alleluja i do przodu”) „wymaga przede wszystkim odwagi” (s. 106). Można by chyba zaryzykować przypuszczenie, że brak większego (jakiegokolwiek?) oddźwięku w stosunku do

publikacji Michała Bąkowskiego pozostaje smutnym świadectwem faktu, jak dalece myśl Mackiewicz — przenikliwego analityka zjawisk politycznych i społecznych określających oblicze świata w XX wieku, bezkompromisowego poszukiwacza prawdy, pisarza „dla dorosłych”, nie przystaje do pewnego rozpowszechnionego stylu myślenia i pisania o, również polskiej, współczesności.

Piotr Rambowicz (Bydgoszcz)

Profesjonalna i moralna odpowiedzialność biografów

Bogumiła Żongołłowicz, *Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów*. Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1999, 221, [2] s., [39] tabl. (brak recenzentów).

Namyślając się głęboko nad przytoczonymi przez autorkę książki słowami „o tym poecie Chciuku rzuconym między australijskie kangury”, który „jest tam sam w dalekiej Antypodii... nie ma koło siebie żadnego kolegi ani krytyka, nie tkwi w środowisku, które piszących wspomaga, podnieca, wychowuje, chwali...” i nad odbitym w nich obrazem życia Andrzeja Chciuka w Australii — stwierdziłam, że wyobraźnia Mariana Hemara nie odtworzyła w tym wypadku prawdziwej sytuacji pisarza.

Jako reakcja na powyższe słowa narzuca się także pytanie: gdzie jest takie polskie środowisko, które piszących wspomaga, podnieca, wychowuje, chwali, a nie ignoruje i niszczy. I gdzie na całym współczesnym świecie takowe można znaleźć? Wydaje się, że wizja Hemara była li tylko złudzeniem czy utopią.

Odwiecną prawdą bowiem jest to, że pisarz jest *a priori* sam. Przez samo powołanie — ów zew tkwiący przez całe życie jak kolec róży w jego trzewiach — jest od początku skazany na samotność. Trwa sam wobec świata i wobec społeczeństwa, a nawet w obliczu Boga, z którym — jako twórca — może sam dyskutować.

Jako nieklamany i niezależny w umyśle od nikogo rzuca wyzwanie temu środowisku i temu społeczeństwu, wśród którego żyje — czyli automatycznie ma prześladowców i wrogów. Pomimo to, własna wizja nie pozwala mu na poddanie się czy kompromis. Prawdziwy pisarz jest zawsze i wszędzie ze społeczeństwem skłócony... czyli dla swojego własnego dobra i własnej udręki nie może ani stale w nim tkwić, ani rezygnować ze swojej, jakże czasem bolesnej i trudnej samotności.

Pisarz Chciuk również był sam; nawet wśród tych, między którymi żył i o których pisał. A gdy po długim czasie wreszcie zrozumiał, że życie między nimi nie idzie w parze z jego powołaniem i absolutną potrzebą integralności — oderwał się od nich, odizolował, trwał w samotności i przeciętności starał się unikać, choć przedtem w niej prawie tonął. Jego wrogowie — ludzie nie mający nic wspólnego z tworzeniem, przeciętni i żyjący codziennością — zaczęli go drażnić i męczyć, gdyż kradli mu natchnienie i czas do pisania; lekceważyli go zapominając, że jest przede wszystkim pisarzem — nie potrafiąc odróżnić znajomego człowieka od twórcy. „Ostatecznie, czym jest pisarz?”. — pyta laureat Nobla I. B. Singer i odpowiada: — „Tylko tym, co pisze”.

Ci, którzy żyli i tworzyli w tak zwanym środowisku, od niego zależni i z nim się liczący, wśród kolegów, krytyków, tkwiący przy przysłowiowym kawiarnianym stoliku — to byli raczej literaci, którzy niczego pamiętnego nie stworzyli. Ci, którzy chcieli naprawdę tworzyć, musieli się odizolować od codziennych spraw i ludzi, od zabiegów przynoszących sukces lub popularność. Tak, jak zrobił to właśnie pod koniec życia Chciuk, kiedy zrozumiał, że musi trwać sam, choćby przeciwko wszystkim... i skupić się wyłącznie na swojej pracy; nawet jeśli czuł, że jest już za późno.

Kłopotów i prawdziwej męki Andrzeja Chciuka w środowisku polskiej emigracji melbourneńskiej, napadów na niego w prasie i przemożnej chęci zniszczenia go — biografia ta jednak nie przedstawia. Należy tu gorzko stwierdzić, że wszystko to Chciuk zabrał ze sobą do grobu... Natomiast cynicznie można się wyrazić, że słynnej z agresji i kołtuństwa owej emigracji — po prostu i jak zwykle, jeszcze raz się... upiekło.

Chciuk „nie ma koło siebie żadnego kolegi ani krytyka...” — dumął Marian Hemar. Nie było to zupełnie prawdą. Andrzej Chciuk nie znajdował się na samotnej wyspie, wśród prymitywnych ludzi, gdzie nie docierają twórcy — a biorąc pod uwagę słowa Leszka Żulińskiego: „dziś nawet krytyk literacki nie zrobi kroku, by nie natknąć się na polskich poetów. Są wszędzie! Są w Australii!”¹ — należy podkreślić, że tak było też na antypodach za czasów Chciuka. Jednym z obowiązków biografów było to zauważyć i opisać życie pisarza na ich tle, pokazać jego z nimi związki i stosunki. Tego jednak w książce Bogumiły Żongołłowicz nie ma; wydaje się, że oprócz Zbigniewa Jasińskiego, żaden inny twórca w australijskim życiu Chciuka nie istniał.

Autorka stwierdza natomiast, że to Chciuk powołał do życia wielu piszących: „Gdyby nie [jego] «Margines», niektórzy z nich nigdy by nie zaistnieli”². A jednak indeks nazwisk tych sugerowanych „debiutantów” otwierają słowa, że Chciuk: „Nakłonił do współpracy szerokie grono autorów, między innymi Marię Boniecką, Andrzeja Gawrońskiego, Lilianę Rydzyńską...” — i tu następuje kilkanaście innych nazwisk, wśród których rzucają się w oczy choćby Zygryd Atlas i Barbara Schenkel³. Wymieniając w tym jedynym miejscu również Lilianę Rydzyńską autorka wyraźnie pomija jej twórczość w Australii, jej publikacje nie tylko w „Marginesie”, jej pisemną reakcję — obronę Chciuka wobec napaści na niego, a przede wszystkim jej obecność w życiu pisarza jako kolegi po piórze i bliskiego sąsiada na Adams Street; ich współudział w wieczorach literackich i autorskich oraz ich subtelną przyjaźń w tych jej melbourneńskich latach.

Pomimo sumienności, szczegółowości i uroczej drobiazgowości w opisach — biografia ta zawiera wyłącznie fakty, wydarzenia i korespondencję — wszystko to, co dotyczyło codziennego życia pisarza i jego, także codziennych, trudów tworzenia, prób publikacji utworów oraz ich przyjęcie przez wydawców czy opiniodawców. Życie Chciuka nie jest dyskutowane na tle tworzenia — jako spójne z pisanymi utworami. Nie ma tam również opisów jego wieczorów autorskich w Melbourne czy też promocji jego książek — choć gęsto cytowane są reakcje na każdą publikację. Są wyjątki z listów oraz przytoczone z nich krytyki i opinie.

Dlatego praca ta, choć napisana dobrze i zgrabnie, choć tyle trudu włożyła autorka w zebranie materiałów i tyle entuzjazmu wykazała przy wykonywaniu tego zadania — wydaje się jakby niekompletna; czegoś się tam jeszcze spodziewa, czegoś jakby brakuje.

Być może książka była pisana z punktu widzenia i przygotowania ciekawej ludzkiego życia i przygód dziennikarki. Nie patrzy ona na los i twórczość Chciuka z pozycji i z wizją poetki i pisarki, za którą przecież uchodzi. Chciałoby się tu podać przykład tego rodzaju „czującej” czy „pulsującej” — każdym nerwem słowa współdziewiczącej z istotą opisywanej twórczości biografii, która z tej symbiozy dopiero bierze natchnienie do przedstawiania samego życia twórcy. Taką właśnie jest praca Waldemara Smaszcza o Kazimierzu Wierzyńskim: „*Ślepy od miłości, goryczy, od klęsk i od szczęścia*”⁴.

Twórczość Chciuka interesowała być może Bogumiłą Żongołłowicz-dziennikarkę jako kopalnia informacji o życiu emigracji polskiej w Australii, a życie pisarza jako pewnego rodzaju źródło sensacji i przygody: sam Chciuk jako postać malownicza — emigracyjny „rozrabiaka” i *enfant terrible*; w życiu osobistym posmak skandalu — trzy żony, jedna z nich prawie dziecko, rozwody i tragedie; twórca kabaretu Kookaburra — czyli estrada, satyra i rozrywka oraz jeszcze raz życie emigracyjne ze śmiesznej strony. Taka postać musiała wzbudzić początkową ciekawość i nieodpartą chęć inicjacji w ceremonię życia pisarza, być może bardziej niż w istotę jego utworów.

Z tego samego zresztą powodu — świadectwa życia polskiej emigracji — zainteresowały się sylwetką i pracą pisarza wydawnictwa polskie i instytucje, które poparły sprawę wydania książki finansowo.

Dla nas, Polaków, najważniejsza jest bowiem wciąż jeszcze — w przeciwieństwie i w upartej opozycji wobec szerokiego wachlarza tematów oraz imponującego intelektualizmu i indywidualizmu światowej, współczesnej literatury — na przykład anglojęzycznej — rola społeczna i narodowa literatury polskiej. Dopóki się z kręgu tego ograniczenia nie wyrwiemy, nasza literatura nie stanie się nigdy pozycją światową pomimo istnienia dobrych pisarzy.

¹ [L. Żuliński] lż, *Na antypodach*, Wiadomości Kulturalne (Warszawa) 1996 nr 25 s. 13.

² B. Żongołłowicz, *Andrzej Chciuk. Pisarz z antypodów*. Kraków 1999 s. 152.

³ Tamże.

⁴ W. Smaszcz, „*Ślepy od miłości, goryczy, od klęsk i od szczęścia*”, (cz. 1–2), *Poezja* 1989 nr 6–7.

Źródłem zainteresowania pisarza powinna być i jest przede wszystkim jednostka — indywidualista — nie masy i nie społeczeństwo; nawet jeśli to społeczeństwo drugoplanowo pragnie ono przedstawić.

Andrzej Chciuk w swoich opowieściach emigracyjnych próbował wyrazić i opisać osobowość różnych typów ludzi (włączając w to samego siebie) w trudnych i skomplikowanych sytuacjach życia na emigracji.

Czy jednak nie czuł się ograniczony, jakby sparaliżowany odpowiedzialnością będąc świadomym owych wymagań polskich czytelników, wydawców i krytyków oraz zadań, których spełnienia spodziewają się po swoich twórcach polscy społecznicy; wszyscy razem — z niewielkimi wyjątkami — wychowani na odwiecznych wzorach literatury narodowej. Czyż Chciuk w swoich „opowieściach emigranckich” nie skarży się na trudności w tworzeniu dla polskich czytelników? Czy nie czuje się ograniczony i onieśmielony spodziewaną reakcją czytelników na emigracji?

Takiego ograniczenia tematem, takich kłopotów przy pisaniu *Atlantydy* jednak nie odczuwał; nie była to bowiem opowieść o emigracji. W niedocenionym do dziś *Rejsie do Smithon* Chciuk doskonale poradził sobie z tematem ogólnoludzkim i znawcy (Maria Danilewicz) od razu porównali go z Conradem⁵.

A jednak redaktor „Kultury” grymasił, że „marynarze mówią zbyt już inteligencko”⁶, a „badacz Polonii australijskiej, Lech Paszkowski” stwierdził, że „Wszystko jest oparte na fantazji oraz błędzie szytej grubo tupetem”⁷. Okazuje się, że niedbałość o prawdziwość faktów w literaturze — a więc kompletna niezajomość praw rządzących fikcją — jest najczęstszym zarzutem „autorytetów polonijnych” i „historyków”. Marian Kałuski — wyraźnie ceniąc biografię o pisarzu bardziej niż jego utwór literacki wskazuje na „nieścistości” oraz „zwykłą literacką przesadę” *Atlantydy* — a jako „autor historii Ziemi Drohobyckiej (w przygotowaniu)” uważa, że jego własne dzieło „będzie na pewno bardziej wiarygodnym źródłem informacji”⁸.

Gdyby Chciuk nie był ograniczony tematem „życie emigracji polskiej”, gdyby twórczość mogła wylać się swobodnie poza te ramy i nawiasy — czy tych najbardziej właśnie nierównych i „niezgrabnych” książek nie napisałby lepiej? Nawet jeśli nie znalazłyby one wtedy wydawców ani na emigracji, ani w Polsce...

Wszelki twórca wychowuje i kształci się przede wszystkim sam — z daleka od hamujących ten rozwój, ograniczających wpływów społeczności, emigracyjnych czy nie. Nawet Chciuk, który nie umiał żyć bez ludzi — co tak wyraźnie i słusznie podkreśla autorka — wycofał się z ich towarzystwa, aby skupić się na własnym rozwoju, bez rozmieniania pracy umysłu oraz twórczości na drobne.

Autor każdej biografii jest przede wszystkim autorem w tym, że to on sam wybiera i podaje do publikacji czyli do publicznej wiadomości, automatycznie stającą się właścicielką i reklamą wszystkich szczegółów życia opisywanej osoby — fakty, wydarzenia, świadectwa czynów, rozmów i wyjątki dwustronnej korespondencji, a przede wszystkim — w wypadku pisarza — cytaty z jego utworów ilustrujące jego własne idee lub popierające teorie i opinie biografów. W ten oto sposób autor biografii kształtuje poglądy i opinie — indywidualne czy społeczne — na temat wybranego przez siebie twórcy.

Zarówno w Australii jak i w Polsce i wszędzie, gdzie dotarła książka Bogumiły Żongołłowicz już się wie, że Andrzej Chciuk jest właściwie „pisarzem drugiej klasy”; jest to wymieniane w recenzjach książki obok stwierdzeń, że był on największym polskim pisarzem w Australii⁹.

Co spowodowało ustalenie się tak sprzecznych opinii — a przede wszystkim rozejście się echem — jakby publicznie powtarzaną plotką po naszym polskim świecie, że Chciuk jest „pisarzem drugiej klasy”?

Źródłem tej opinii jest sama książka o Chciuku. Była ona napisana ze szczerą chęcią rozświetlenia sylwetki i pracy pisarza; czy można jednak uważać, że sam pisarz byłby z rozpowszechnia-

⁵ B. Żongołłowicz, *Andrzej Chciuk...*, s. 104.

⁶ Tamże, s. 103.

⁷ Tamże, s. 105.

⁸ M. Kałuski, *Literat zastępujący na pamięć*, Polish Kurier 1999 nr 139 s. 27–28.

⁹ Tamże: „Tak jak Andrzej Chciuk był bez wątpienia największym literatem polskim żyjącym i tworzącym w Australii, tak o autorce książki o nim można powiedzieć, że to najlepsze współczesne pióro polskie w Australii” (s. 27).

nia tego rodzaju opinii o nim zadowolony? Odtąd Chciuk może być na zawsze tak określany — i to wyłącznie za sprawą profesjonalnej i moralnej nieodpowiedzialności biografów — z racji wyboru przez autorkę książki o nim wyjątków z jego korespondencji, do której miała swobodny i nieograniczony dostęp. Opinie zawarte w tych cytatach, poparte powagą pewnych współczesnych autorytetów — wybrane i przedstawione w ten sposób przez autorkę — mogą na zawsze szkodzić pisarzowi i wyrządzać mu nieopisaną krzywdę. Czy wobec tego biograf miał prawo wybierać i przytaczać te krzywdzące opinie oraz podawać je do publicznej wiadomości, czy też nie — zachowując je raczej dla badaczy literatury i akademików?

Moim zdaniem Bogumiła Żongołłowicz mogła tego wszystkiego użyć, ale tylko na własną odpowiedzialność i będąc jej absolutnie świadoma.

Można powiedzieć, że w czasach Andrzeja Chciuka istniały dwa rodzaje podejścia do twórczości emigracyjnej i jej publikacji: paryskie — które reprezentował Instytut Literacki i „Kultura” w osobie wydawcy-redaktora Jerzego Giedroyc’a oraz londyńskie — reprezentowane przez „Wiadomości” i kontynuowane przez takich redaktorów jak Mieczysław Grydzewski i Michał Chmielowiec — aż do objęcia redakcji przez Stefanię Kossowską, która to podejście zmieniła i bliskie stosunki redaktorów z twórcami zaniedbała — a także wydawnictwo Polska Fundacja Kulturalna z jej kierownikiem Juliuszem Sakowskim.

Zupełnie inni pisarze publikowani byli w Londynie, a inni w Paryżu. Mieli oni też inną opinię w tych różnych miejscach publikacji. Niektórzy z tych piszących dla „Wiadomości” nie znaleźliby nigdy miejsca ani uznania w „Kulturze” paryskiej.

Nigdy też ani Grydzewski, ani Chmielowiec, ani Sakowski nie byliby zdolni i nie pozwoliliby sobie na takie opinie o pisarzach, jakie o Chciuku (i na pewno o innych) wyrażał Jerzy Giedroyc — a które teraz za sprawą biografów Chciuka poznaliśmy.

Przytaczam słowa z recenzji opublikowanej w „Kurierze”: „Jerzy Giedroyc zakwalifikował Andrzeja Chciuka do dobrych pisarzy drugiej klasy”¹⁰.

Nigdy u nikogo — w ciągu moich studiów i czytania krytyki literackiej — nie spotkałam się z tak bezwzględna i okrutna — a wobec tego niesprawiedliwą opinią czy gradacją. Na to nie pozwala sobie żaden poważny czytelnik czy badacz literatury; wiadomo bowiem, że taka autorytatywna opinia do współczesnych pisarzowi nie należy. Jedyne przyszłość i potomność mogą wykażać i zdecydować, do której „kategorii” należy twórca; a i to w historii literatury nieczęsto spotyka się takie wyrazy kondemnacji! Dlatego należy je traktować jako nieprawdziwe i niegodne zaufania.

Jerzy Giedroyc przesłany mi przez Chciuka *Kiermasz pamięci* [...] ocenił jednoznacznie: „Szczerze mówiąc, nie podoba mi się” — napisał w liście. Dalej Giedroyc zarzucił autorowi [...] Na koniec umieścił gorzkie dla Chciuka stwierdzenie [...]¹¹

Przytaczam następujące słowa Bogumiły Żongołłowicz:

W tym samym czasie, kiedy Sakowski zachwycał się *Atlantyda* [...], Jerzy Giedroyc krytykował *Kiermasz pamięci* Chciuka — opowieść o ciekawych ludziach [...]¹².

W tym kontekście można dopiero usprawiedliwić wybór cytatów autorki; podaje ona bowiem tutaj zestawienie dwóch punktów widzenia, dwu opinii. Ale gdy różni nieodpowiedzialni recenzenci pozwalają sobie, za sprawą książki tej samej autorki, na cytowanie owych negatywnych opinii wywierających wrażenie na nieświadomych niuansów zwykłych czytelnikach — wtedy wyrządza się nieżyjącemu już, czyli nie mogącemu się bronić pisarzowi niepowetowaną szkodę.

[...] książkę czyta się znakomicie. Jest napisana żywym, szlachetnym językiem, oferuje bogactwo materiału informacyjnego [...]¹³.

To prawda; biografia Andrzeja Chciuka napisana jest dobrze. Chciałoby się jeszcze zastanowić nad takim pytaniem: szlachetnym językiem w stosunku do jakiego (języka)? Odpowiedź jest pro-

¹⁰ Dziennik Krakowski cyt. przez: Polish Kurier 1999 nr 139 s. 22.

¹¹ Tamże.

¹² B. Żongołłowicz, *Andrzej Chciuk...*, s. 154–155.

¹³ *Zapowiedzi wydawnicze*, Polish Kurier 1999 nr 137 s. 29.

sta: w stosunku do wypaczonego współczesnego języka polskiego używanego nagminnie przez dziennikarzy i eseistów, usprawiedliwanego przez językoznawców jako „żywego” czyli chłonącego wszystko, co współczesne i odbijającego jak lustro zmiany w naszym bieżącym życiu; zaśmieconego dziwolągami anglicyzmów, arabeskami odmiany końcówek wyrazów obcych — nazw i nazwisk, używającego takich wyrazów jak „preferować” zamiast „woleć, przedkładać” i tak dalej.

Styl Bogumiły Żongołłowicz jest zwięzły, jasny, jednowarstwowy i od razu wprowadza czytelnika w bieg życia pisarza, bez gmatwania wydarzeń i sytuacji, zaciemniania czy komplikowania jego postaci. Czytając czuje się sympatię autorki w stosunku do obiektu jej niezwykle żywego zainteresowania, które to potrafiła wyrazić wybierając medium dobrego języka.

Przesadne pochwały jednak brzmią nieprawdziwie: są li tylko pieniactwem i poufałością w stosunku do omawianego autora. Poważny redaktor nie powinien pozwolić na dopuszczenie ich do druku, gdzie wyglądają albo niepoważnie, albo mogą być wzięte odwrotnie czy też po prostu traktowane jako kpiny: „[...] nikt z nas tak wspaniale nie włada w piśmie językiem polskim jak Bogumiła Żongołłowicz”¹⁴.

Wydawałoby się, że żaden z polskich twórców w Australii nie potrafi dobrze pisać — a już na pewno nie tak wspaniale jak autorka omawianej książki; co oczywiście jest nieprawdą. Wyobrażam sobie, że ona sama czytając to musi się czuć lekko zażenowana, gdyż jest to pewnego rodzaju niepożądana poufałość kryjąca się na dnie każdego pochlebstwa czy służalczości. Czytelnik natomiast czuje się zażenowany, że traktuje się go jak ucznia szkoły podstawowej: „my wszyscy na tym skorzystamy”.

Język autorki nie jest „pięknym i poprawnym”¹⁵ — ale własnym, wypracowanym w doskonałości stylu i zręcznie używanym narzędziem. Owa przesada w pochwałach wywołuje zdziwienie: jakże to? biograf miałby stawać się większym od pisarza, a biografia doskonalszą od dzieł literackich?

Nie!... Bogumiła Żongołłowicz ma przed sobą dosyć czasu na tworzenie własnych dzieł — gdyby chciała podjąć to jako wyzwanie i udowodnić, że jest „najlepszym piórem w Australii” — lepszym niż tego, o którym pisze.

Największa pochwała dla autorki biografii brzmi: jak to dobrze, jak to wspaniale, że Bogumiła Żongołłowicz sprawiła, iż nasz własny w Australii pisarz Andrzej Chciuk znów znalazł się między nami i na półkach naszych bibliotek!

Oby wkrótce znalazł się także na półkach naszych dobrych, polskich, a także obcojęzycznych księgarni!

Liliana Rydzyńska (Australia)

Zjednoczenie Europy w „Kulturze”

Iwona Hofman, *Zjednoczona Europa w publicystyce paryskiej „Kultury”*. Lublin: Morpol, 2001, 126 s. (brak recenzentów).

Proces jednoczenia się Europy znajdował się w orbicie zainteresowań Jerzego Giedroycia i publicystów paryskiej „Kultury” już od pierwszego rzymskiego numeru z roku 1947 aż po kres istnienia pisma w 2000 r. Środowisko skupione wokół miesięcznika stanowiło ośrodek intelektualny, który potrafił sprostać wyzwaniu pojałtańskiej rzeczywistości politycznej oraz stworzyć nowatorskie koncepcje polityczne. Pismo odgrywało także nieocenioną rolę pośrednika na linii kraj–Zachód: łamy „Kultury” stanowiły miejsce wymiany myśli nieskrepowanej cenzurą komunistyczną.

Przeobrażenia polityczne, gospodarcze, społeczne i kulturalne wewnątrz poszczególnych krajów Europy Zachodniej i Bloku Wschodniego miały fundamentalne znaczenie dla idei Nowej Europy po upadku „żelaznej kurtyny”. Zatem zainteresowanie rozwojem wypadków i stosunków

¹⁴ M. Kałuski, *Literat zasługujący na pamięć*, s. 27.

¹⁵ Tamże: „Książkę [...] polecam wszystkim [...], którzy kochają piękny i poprawny język polski”.

na linii władza–opozycja nie tylko w Polsce Ludowej, ale i w krajach wchodzących w skład ZSRR, a także tych określanych jako „satelickie”, było częścią linii programowej pisma. Giedroyc i autorzy „Kultury” myśleli o jedności europejskiej, ale w mentalności społeczności zachodnich Europa kończyła się na wschodniej granicy Niemiec. Z niepokojem obserwowano także kryzys tradycyjnych demokracji zachodnioeuropejskich: na łamach pisma znalazło wyraz rozczarowanie polityką anglosaską, przekonanie o kryzysie kultury, dezorientacji politycznej i moralnej społeczeństw „właściwej” Europy. Aprobata hegemonii Związku Radzieckiego na Wschodzie stwarzała niebezpieczną sytuację bierności rządów i społeczeństw wobec porządku świata ustalonego w 1945 r. W odpowiedzi na politykę Zachodu „Kultura” proponowała zawiązanie federacji państw Europy Środkowo-Wschodniej, w przyszłym układzie europejskim niezależnych wobec zjednoczonych Niemiec i Rosji wolnej od komunizmu.

Pismo Giedroycia stało się w ostatnim czasie przedmiotem badań historyków i politologów. Zwłaszcza w kontekście zbliżającej się integracji europejskiej, publicystyka polityczna i ideowa „Kultury” stanowi niezwykle interesujący materiał badawczy, a także świadectwo twórczej myśli emigracji polskiej i ważny przyczynek do historii idei zjednoczenia kontynentu.

Ostatnie dziesięciolecie obfitowało w różnorodne publikacje dotyczące „Kultury” i jej roli w historii polskiej emigracji: opracowania naukowe, artykuły konferencyjne, antologie tekstów, korespondencje, materiały wspomnieniowe, a nawet prace popularnonaukowe. Jednakże wciąż brakuje wyczerpujących opracowań dotyczących płaszczyzny ideowo-politycznej paryskiego miesięcznika. Tym bardziej należy podkreślić rolę monografii Janusza Korka *Paradoksy paryskiej „Kultury”*, która jest najbardziej dokładnym i obszernym opracowaniem dotyczącym myśli politycznej „Kultury” i jej wkładu do europejskich sporów ideowych. W roku 1997 ukazał się w Lublinie wybór tekstów Juliusza Mieroszewskiego pod tytułem *Final klasycznej Europy* w opracowaniu Rafała Habielskiego, który we wstępie do antologii poddał dokładnej analizie ewolucję ideową twórczości publicystycznej Londyńczyka.

Iwona Hofman w książce *Zjednoczona Europa w publicystyce paryskiej „Kultury”* podjęła się usystematyzowania myśli ideowej pisma w kontekście procesów politycznych i gospodarczych prowadzących do unifikacji kontynentu. Obszerny materiał źródłowy autorka poddała bardzo skrótovej analizie — każdy z przywołanych przez publicystkę artykułów został opatrzony kilkudziesięcioma komentarzami, czasem zaledwie sygnalizującym problem. Często są to tylko relacje poglądów autorów artykułów, książka ma więc właściwie charakter sprawozdawczy. Publikacja ta stanowi zatem jedynie przyczynek do badań nad historią idei i europejskiej linii programowej tego najważniejszego pisma polskiej emigracji powojennej. Wprawdzie Hofman we wstępie zastrzegła, iż: „Praca nie aspiruje do pełnego omówienia problemu, a jest jedynie próbą zmierzenia się z tematem”, a także: „Celem książki jest omówienie, co i kiedy na temat zjednoczenia Europy pisano w «Kulturze»”, ale i tak zwięzłość tej publikacji może budzić wątpliwości. Należy jednak podkreślić bogactwo odniesień bibliograficznych, które odnaleźć można w książce, co pozwala jej także pełnić rolę przewodnika źródłowego (co zresztą sugeruje sama autorka w słowie wstępnym).

Materiał zgrupowany jest w czterech rozdziałach: *Artykuły programowe. Kryzys Zachodu, Historia idei, Problemy podzielonej i jednoczącej się Europy* oraz *Miejsce Polski w zjednoczonej Europie*. Dodatkiem do publikacji jest minirozdział: *Słowo o „Kulturze” i autorach*, który zawiera bardzo skrócone informacje biograficzne.

Pierwsza część książki: *Artykuły programowe. Kryzys Zachodu* ma charakter wprowadzający, formułuje zasadnicze przyczyny niepokojów publicystów o los Europy w obliczu zagrożenia nowym konfliktem zbrojnym oraz „rozchwiania” systemu wartości i norm moralnych. W rozdziale tym autorka dość enigmatycznie omówiła zawartość sztandarowego pierwszego numeru „Kultury” z czerwca 1947 r., w którym przecież niemal wszystkie artykuły poświęcone zostały polemice z zagrożeniami kultury europejskiej: niemieckiemu katastrofizmowi, komunizmowi, ale również nowemu czynnikiowi sprzyjającemu nihilizmowi i destrukcji — egzystencjalizmowi (esej Tadeusza Krońskiego *Filozofia egzystencjalna Sartre’a*). Iwona Hofman pominęła także ważny artykuł Tymona Terleckiego *Socjalizm chrześcijański*, który odwołuje się do tradycji idealizmu politycznego. Pomimo tego, że eseje te mają charakter filozoficzno-ideologiczny, a nie *stricte* politologiczny, należą do nurtu fundamentalnych artykułów programowych. Wspomnieć trzeba także o tezach *Manifestu demokratycznego* z 1951 r. o. Innocentego Bocheńskiego, dokumentu niezwykle istotnego z punktu widzenia linii politycznej pisma, zawierającego przecież wprost sformułowaną akcesję

Polski do zjednoczonej Europy, któremu autorka książki poświęciła zaledwie jeden krótki akapit. W rozdziale tym dotkliwy wydaje się również brak omówienia semantyki pojęć dotyczących problematyki europejskiej, zwłaszcza w kontekście publicystyki Juliusza Mieroszewskiego, który stworzył zupełnie nowy styl pisania o polityce.

Rozdział drugi, zatytułowany: *Historia idei*, został zdominowany przez omówienie chronologicznie uporządkowanych artykułów, esejów, komentarzy, analiz, poświęconych okolicznościom powołania Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, a potem Unii Europejskiej. Taki właśnie układ czyni publicystykę „Kultury” bardziej czytelną, bowiem konkretne artykuły można odnieść do ówczesnej rzeczywistości gospodarczej, politycznej i społecznej. W tej części publikacji autorka przedstawiła proces pogłębiania się dysonansu pomiędzy Europą Wschodnią a Zachodem, ujawniającego się na tle różnic potencjału gospodarczego, strategii zimnowojennej i ewolucji mentalności mieszkańców Europy po obu stronach „żelaznej kurtyny”. Fragmenty książki dotyczące najnowszego rozdziału w dziejach Europy: okresu po upadku muru berlińskiego w recepcji publicystów paryskiego miesięcznika, wydają się najciekawsze, bowiem nie powstały jeszcze na ten temat wyczerpujące opracowania czy syntezy. Iwona Hofman przywołała opinie współczesnych socjologów, a także historyków idei, dotyczące różnych koncepcji jednoczenia Europy (*Mittleuropa*, unia bałtycko-skandynawska, koncepcja „koncentrycznych kręgów”, tzn. tworzenia wokół Wspólnoty Europejskiej ograniczonych stref porozumienia, partnerstwa dla pokoju itd.). Tutaj także pojawia się krótki, chociaż bardzo interesujący wątek polemiki Juliusza Mieroszewskiego z Wacławem A. Zbyszewskim, dotyczący refleksji nad celowością i jakością jednoczenia kontynentu. Pierwszy z nich, w artykule *Zjednoczenie Europy a ideologie* (1965), dowodził, iż „żelazna kurtyna” odnosiła się do mentalności mieszkańców Wschodu, a proces federalizacji musi być poprzedzony scalaniem Europy na płaszczyźnie kultury europejskiej, oraz zostać poprzedzony „europeizacją” komunizmu. Natomiast Zbyszewski w artykule *Współczesna wersja Mittleuropy* (1965) wskazywał na inną wykładnię przynależności do stref europejskich: stosunek do Rosji i Stanów Zjednoczonych. Zwracał uwagę na spadek popularności idei europejskiej w Wielkiej Brytanii i Francji, upatrując jednocześnie nowych sił witalnych dla starożytnego kontynentu w odrodzonym potencjale obyczajowym, politycznym, gospodarczym Europy Środkowo-Wschodniej.

Kolejny rozdział: *Problemy podzielonej i jednoczącej się Europy* podejmuje zagadnienie stosunku Europy Zachodniej do podzielonych Niemiec, a także Rosji i krajów Bloku Wschodniego. Na pierwszy plan wysuwa się tutaj postulat powołania rządu światowego, o czym pisała na łamach „Kultury” m.in. Zbigniew Jordan, a także idea federacji Europy Środkowo-Wschodniej. Żarliwym wyrazicielem tej opinii stał się Londyńczyk, który przekonywał, iż tylko w takim układzie Polska odrodzona może zapewnić sobie bezpieczeństwo, gdyż alternatywą pozostawało wejście w orbitę wpływów rosyjskich lub niemieckich. Autorka książki przypominała również wywołujące szereg głosów polemicznych inicjatywy „Kultury”, a mianowicie stworzenie międzynarodowej brygady środkowo-wschodnio-europejskiej oraz częściowo urzeczywistnionej idei powołania uniwersytetu dla młodych emigrantów z Europy Wschodniej: Collège de l'Europe Libre otwarto w 1951 r., nie odegrał on jednak istotnej roli ośrodka inicjującego integrację Europy.

Kolejna koncepcja przywołana w książce odwołuje się do zjednoczenia Niemiec z jednoczesną neutralizacją regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Stosunki z Niemcami były szczególnie ważne dla przyszłości Polski niezawisłej i suwerennej, zatem tematyka niemiecka, problem uznania polskich granic zachodnich stały się sprawą niezwykle istotną dla „Kultury” oraz całej emigracji. Na łamach pisma projektowano więc przyszłe stosunki Polski niepodległej z państwem niemieckim. Zdawano sobie sprawę z przeszkód stojących na drodze takiego porozumienia, do których należała propaganda komunistycznej władzy, rozdmuchująca kwestię rewizjonizmu niemieckiego oraz nie mniejsze utrudnienie jakim była przeszłość obciążonej zbiorową pamięcią o zbrodniach hitlerowskich w Polsce. Innym aspektem wzajemnych relacji był fakt, że jeżeli Polska nie uzyskałaby niezależności to szanse na uniezależnienie się NRD pozostawały znikome. Zjednoczenia Niemiec obawiał się nie tylko ZSRR, ale także kraje Wspólnoty Europejskiej, które nie chciały ich dalszego wzmocnienia politycznego i gospodarczego mogącego prowadzić do dominacji tego państwa we Wspólnocie.

W rozdziale pojawia się także wątek polityki amerykańskiej, przywołany m.in. w artykule Mieroszewskiego *Dramat Europy* (1963) w kontekście powołania Paktu Atlantyckiego, odwołania do koncepcji politycznej de Gaulle'a: utworzenia dyrektoriatu trzech — Ameryki, Francji i Anglii.

Kolejna część publikacji dotyczy miejsca Polski w zjednoczonej Europie. Szczególnie istotną rolę w tym kontekście odegrała tzw. koncepcja ULB, czyli Ukrainy, Litwy i Białorusi. Idea ta była podstawowym postulatem politycznym redaktora, który konsekwentnie dążył do stworzenia poprawnych stosunków z sąsiadami, a także popierał ich dążenie do własnej państwowości. Jerzy Giedroyc podkreślał, iż niepodległość tych państw leży w żywotnym interesie Polski i lansował koncepcję uznania powojennego kształtu terytorialnego Rzeczypospolitej, nakłaniając do wyrzeczenia się Kresów. Stosunki ze wschodnimi sąsiadami były obciążone sięgającymi głęboko w przeszłość konfliktami, które nierzadko sprzyjały myśleniu kategoriami agresywnego nacjonalizmu. Ten bardzo istotny dla historii idei programowej pisma wątek został potraktowany zbyt ogólnikowo. Zabrakło chociażby analizy artykułów poświęconych każdemu z państw ULB z osobna.

Szkoda, że autorka *Zjednoczonej Europy w publicystyce paryskiej „Kultury”* ograniczyła się tylko do zasygnalizowania pewnych tendencji w myśli politycznej i refleksji politologicznej. Hofman prawie całkowicie pominęła aspekt jednoczenia się kulturowego, filozoficznego, i społecznego Europy, w specyficznej dla optyki „Kultury” tradycji wspólnej całemu kontynentowi. Takie ujęcie problemu pozwoliłoby na pełniejszy obraz ewolucji ideologicznej i programu „Kultury” w publicystyce poświęconej jednoczeniu się Europy.

Należy przy tym podkreślić, że publikacja stanowi, mimo powyższych zastrzeżeń, uzupełnienie piśmiennictwa dotyczącego historii myśli politycznej miesięcznika Jerzego Giedroycia. Interesującym pomysłem autorki jest poszerzenie zakresu bibliograficznego książki o artykuły dotyczące bieżących wydarzeń politycznych dotyczących zjednoczenia, publikowanych na łamach „Polityki” i „Wprost”.

Ewelina Godlewska (Warszawa)